KSIĘGI JAKUBOWE

ALBO

OLGA

WIELKA PODRÓŻ

PRZEZ SIEDEM GRANIC,
PIĘĆ JĘZYKÓW
I TRZY DUŻE RELIGIE,
NIE LICZĄC TYCH MAŁYCH.

TOKARCZUK

Opowiadana przez ZMARŁYCH,
a przez AUTORKĘ dopełniona metodą
KONIEKTURY,
z wielu rozmaitych KSIĄG
zaczerpnięta, a także wspomożona
IMAGINACJĄ, która to jest
największym naturalnym DAREM
człowieka.

THE NOBEL PRIZE · 2018

Mądrym dla Memoryału, Kompatriotom dla Refleksji,
Laikom dla Nauki, Melancholikom zaś dla Rozrywki.

KSIĘGI JAKUBOWE

ALBO

WIELKA PODRÓŻ

PRZEZ SIEDEM GRANIC,
PIĘĆ JĘZYKÓW
I TRZY DUŻE RELIGIE,
NIE LICZĄC TYCH MAŁYCH.

OLGA TOKARCZUK

Opowiadana przez ZMARŁYCH,
a przez AUTORKĘ dopełniona metodą
KONIEKTURY,
z wielu rozmaitych KSIĄG
zaczerpnięta, a także wspomożona
IMAGINACJĄ, która to jest
największym naturalnym DAREM
człowieka.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Mądrym dla Memoryału, Kompatriotom dla Refleksji,
Laikom dla Nauki, Melancholikom zaś dla Rozrywki.

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

I. KSIĘGA MGŁY

1 1752, Rohatyn

2 O fatalnym resorze i kobiecej chorobie Katarzyny Kossakowskiej

O krwi na jedwabiach

Biały koniec stołu u starosty Łabęckiego

3 O Aszerze Rubinie i jego mrocznych myślach

Ul pszczeli, czyli dom i rodzina Szorów rohatyńskich

W bet midrasz

Jenta, czyli zły moment na śmierć

Co czytamy w Zoharze

O połkniętym amulecie

4 Mariasz i faraon

Polonia est paradisus Judaeorum...

O plebanii w Firlejowie i mieszkającym w niej grzesznym pasterzu

Ksiądz Chmielowski próbuje napisać list do JWM Pani Drużbackiej

Elżbieta Drużbacka pisze do księdza Chmielowskiego

Biskup Sołtyk pisze list do nuncjusza papieskiego

Zelik

II. KSIĘGA PIASKU

5 O tym, jak ze zmęczenia Boga powstaje świat

Resztki, czyli o tym, jak ze zmęczenia podróżą powstaje opowieść. Pisane przez Nachmana Samuela ben Lewiego, rabina z Buska. O tym, skąd się wziąłem

Moja młodość

O karawanie i jak spotkałem reb Mordkego

Mój powrót na Podole i dziwna wizja

O wyprawie z Mordechajem do Smyrny za przyczyną snu o kozich bobkach

6 O obcym weselnym gościu w białych pończochach i sandałach

Opowieść Nachmana, w której po raz pierwszy pojawia się Jakub

Szkoła Isochara i kim właściwie jest Bóg. Dalsza opowieść Nachmana ben Lewiego z Buska

O prostaku Jakubie i podatkach

O tym, jak Nachman pojawia się Nachmanowi, czyli nasiono ciemności i pestka światła

O kamieniach i biegunie ze straszną twarzą

O tym, jak Nachman trafia do Jenty i zasypia na podłodze przy jej łóżku

O dalszych wędrówkach Jenty w czasie

O strasznych skutkach zniknięcia amuletu

O czym mówi Zohar

Opowieść Pesełe o koźle podhajeckim i dziwnej trawie

Ksiądz Chmielowski pisze do JWM Pani Drużbackiej w styczniu 1753 roku, z Firlejowa

7 Historia Jenty

8 Miód, nie zjeść go za dużo, czyli nauki w szkole Isochara w Smyrnie, w kraju tureckim

Resztki. O tym, czym zajmowaliśmy się w Smyrnie w roku żydowskim 5511 i jak spotkaliśmy Moliwdę, a także o tym, że duch jest jak igła, która robi w świecie dziurę

9 O weselu w Nikopolu, tajemnicy spod baldachimu i korzyściach z bycia obcym

W Krajowie. O handlu w święta i o Herszele, który staje przed dylematem wiśni

O perle i Chanie

10 Kim jest ten, który zbiera zioła na górze Athos

11 Jak w mieście Krajowie Moliwda-Kossakowski spotyka Jakuba

Historia IWM Pana Moliwdy, Antoniego Kossakowskiego herbu Ślepowron, przydomek Korwin

O tym, co ciągnie ludzi do siebie, i pewne uzgodnienia na temat wędrówki dusz

Opowieść Jakuba o pierścieniu

Resztki. Cośmy zobaczyli u bogomiłów Moliwdy

12 O wyprawie Jakuba do grobu Natana z Gazy

O tym, jak Nachman podąża śladami Jakuba

O tym, jak Jakub mierzy się z Antychrystem

Jak wygląda ruach ha-kodesz, gdy duch schodzi w człowieka

O tym, dlaczego Saloniki nie lubią Jakuba

Resztki. O klątwie salonickiej i linieniu Jakuba

Resztki. O przestawianiu trójkątów

O spotkaniu z ojcem Jakuba w Romaniu, a także o staroście i złodzieju

O tańcu Jakuba

III. KSIĘGA DROGI

13 O ciepłym grudniu 1755 roku, czyli miesiącu tewet 5516, o kraju Polin i zarazie w Mielnicy

Co widzą bystre oczy wszelkiego rodzaju szpiegów

„Trzech jest ukrytych przede mną, a o czwartym nie wiem”. Księga Przysłów 30,18

Strażniczki Pańskie

Resztki Nachmana z Buska zapisywane w ukryciu przed Jakubem

O tajemniczych czynnościach w Lanckoruniu i niechętnym oku

Jak Gerszom ułowił odszczepieńców

O polskiej księżniczce Gitli Pinkasównie

O Pinkasie i jego wstydliwej rozpaczy

14 O biskupie kamienieckim Mikołaju Dembowskim, który nie wie, że jest w całej sprawie efemerydą

O tym, jak ksiądz Chmielowski broni u biskupa swojego dobrego imienia

O czym pisze Elżbieta Drużbacka do księdza Chmielowskiego w lutym roku 1756 z Rzemienia nad Wisłoką

Ksiądz Chmielowski do Elżbiety Drużbackiej

Co Pinkas zapisuje, a co pozostaje niezapisane

O Seder ha-cherem, czyli porządku klątwy

O Jencie, która jest zawsze obecna i widzi wszystko

Biskup kamieniecki Mikołaj Dembowski pisze list do nuncjusza papieskiego Serry, jego

sekretarz zaś dodaje jeszcze co nieco od siebie

Biskup Dembowski pisze do biskupa Sołtyka

Tymczasem zaś...

Jak spełniają się złe proroctwa macochy Gitli

15 Jak w Kamieńcu zmienia się dawny minaret w kolumnę z Matką Bożą

Nad czym rozmyśla biskup Dembowski przy goleniu

O dwóch naturach Chai

Kształty nowych liter

O Krysie i jego planach na przyszłość

16 O roku 1757 i o tym, jak ustala się pewne prawdy przedwieczne latem w Kamieńcu Podolskim, na debacie kamienieckiej

O paleniu Talmudów

O tym, jak ksiądz Pikulski tłumaczy wysoko urodzonym zasady gematrii

O nowo powołanym arcybiskupie Dembowskim, który szykuje się do drogi

O życiu zmarłej Jenty zimą 1757 roku, czyli tego, w którym spalono Talmud, a potem księgi niedawnych podpalaczy

O przygodach Aszera Rubina ze światłem, jego dziadka zaś – z wilkiem

O polskiej księżniczce w domu Aszera Rubina

O tym, jak okoliczności mogą stanąć na głowie. Katarzyna Kossakowska pisze do biskupa Kajetana Sołtyka

Pompa funebris. 29 stycznia 1758 roku

O rozlanej krwi i głodnych pijawkach

Pani Elżbieta Drużbacka do księdza Chmielowskiego, czyli o doskonałości form nieprecyzyjnych

Ksiądz dziekan Benedykt Chmielowski pisze do JWM Pani Elżbiety Drużbackiej

O niespodziewanym gościu, który nachodzi księdza Chmielowskiego w nocy

O jaskini w kształcie litery alef

17 Resztki. Moje rozterki serca

Jak namawialiśmy Jakuba w Giurgiu do powrotu do Polski

Ksiądz Benedykt piele lebiodkę

Biegun

Opowieść bieguna. Żydowski czyściec

Jak kuzynostwo ustanawia wspólny front i wyrusza na wojnę

Moliwda rusza w drogę i ogląda królestwo luźnych ludzi

Jak Moliwda zostaje posłańcem w trudnej sprawie

O prawdzie użytecznej i prawdzie nieużytecznej oraz poczcie moździerzykowej

Kossakowska, kasztelanowa kamieniecka, pisze do księdza biskupa lwowskiego Łubieńskiego, senatora

Ksiądz Pikulski pisze do księdza biskupa lwowskiego Łubieńskiego, senatora

Antoni Moliwda-Kossakowski do Jego Ekscelencji biskupa Łubieńskiego

Noże i widelce

18 O tym, jak Iwanie, mała wieś nad Dniestrem, staje się republiką

O rękawach świętej koszuli Szabtaja Cwi

O tym, jak działa dotyk Jakuba

O czym rozmawiają kobiety przy skubaniu kur

Kto znajdzie się w kobiecym kręgu

Chmurny wzrok Chany wydobywa w Iwaniu następujące szczegóły

O tym, jak Moliwda wizytuje Iwanie

Łaska Boska, która woła z ciemności w światłość

Suplika do arcybiskupa Łubieńskiego

O tym, że boskość i grzeszność są ze sobą na trwałe związane

O Bogu

„Młynaż miele monke”

IV. KSIĘGA KOMETY

19 O komecie, która zawsze zapowiada koniec świata i sprowadza Szechinę

O Jankielu z Glinna i fatalnym zapachu mułu

O Cudzych Uczynkach, świętym milczeniu i innych zabawach iwańskich

Opowieść o dwóch tablicach

Resztki. Osiem miesięcy wspólnoty Pańskiej w Iwaniu

O Dwójni, Trójcy i Czwórcy

O gaszeniu świec

Człowiek, który nie ma kawałka własnej ziemi, właściwie nie jest człowiekiem

O masztalerzu i nauce języka polskiego

O nowych imionach

O Pinkasie, który schodzi do piekła w poszukiwaniu córki

Antoni Moliwda-Kossakowski pisze do Katarzyny Kossakowskiej

Katarzyna Kossakowska do Antoniego Moliwdy-Kossakowskiego

O krzyżu i tańcu w otchłani

20 Co widzi Jenta spod sklepienia katedry lwowskiej 17 lipca 1759 roku

O szczęściu rodzinnym Aszera

Siódmy punkt dysputy

Tajemny znak palcem i tajemny znak okiem

Katarzyna Kossakowska pisze do biskupa Kajetana Sołtyka

O kłopotach księdza Chmielowskiego

O Pinkasie, który nie rozumie, jaki popełnił grzech

O ludzkiej powodzi, która zalewa ulice Lwowa

Majorkowicze

Nachman i jego szata z dobrych uczynków

Rachunki księdza Mikulskiego i jarmark imion chrześcijańskich

O tym, co przydarza się księdzu Chmielowskiemu we Lwowie

Pod szyldem Drukarni Pawła Józefa Golczewskiego, Uprzywilejowanego Typographa Jego Królewskiej Mości

O właściwych proporcjach

Chrzest

O zgolonej brodzie Jakuba Franka i nowej twarzy, jaka się spod niej dobywa

21 O tym, jak jesienią 1759 roku nawiedza Lwów zaraza

Co Moliwda pisze do kuzynki, Katarzyny Kossakowskiej

Katarzyna Kossakowska ośmiela się niepokoić możnych tego świata

O deptaniu monet i zawracaniu nożem klucza żurawi

Resztki. U Radziwiłła

O smutnych wydarzeniach w Lublinie

22 Karczma na prawym brzegu Wisły

O wydarzeniach w Warszawie i o nuncjuszu papieskim

O Katarzynie i jej rządach w Warszawie

Katarzyna Kossakowska pisze do kuzyna

Co podano na kolację wigilijną u Kossakowskiej

Awacza i dwie lalki

Lalka dla Salusi Łabęckiej. Opowieści księdza Chmielowskiego o bibliotece i uroczystym chrzcie

Ksiądz Gaudenty Pikulski, bernardyn, przesłuchuje naiwnych

Ksiądz Gaudenty Pikulski pisze do prymasa Łubieńskiego

Chabrowy żupan i czerwony kontusz

Co się działo w Warszawie, gdy Jakub zniknął

Plujcie na ten ogień

Ocean pytań, który pogrąża nawet najsilniejszy okręt

23 Jak się poluje u Hieronima Floriana Radziwiłła

Resztki. O trzech drogach opowieści i o tym, że opowiadanie bywa uczynkiem

Chano, rozważ w sercu

V. KSIĘGA METALU I SIARKI

24 Machina mesjańska, jak działa

O tym, jak w lutową noc 1760 roku Jakub przybywa do Częstochowy

Jak wygląda więzienie Jakuba

Biczownicy

Obraz święty, który ukrywa, a nie odkrywa

List po polsku

Odwiedziny w klasztorze

Upupa dicit

O tym, jak Jakub uczy się czytać i skąd się wzięli Polacy

O tym, jak Jan Wołowski i Mateusz Matuszewski jako następni przyjeżdżają do Częstochowy w listopadzie 1760 roku

Drużbacka do Księdza Benedykta Chmielowskiego Dziekana Rohatyńskiego, Tarnów, Boże Narodzenie 1760 roku

Ciężkie złote serce Elżbiety Drużbackiej ofiarowane Czarnej Madonnie

25 Jenta śpi pod skrzydłami bociana

O tym, jak Jenta mierzy groby

List Nachmana Jakubowskiego do Pana w Częstochowie

Podarunki od Beszta

Modrzewiowy dwór w Wojsławicach i zęby Zwierzchowskiego

O kaźni i klątwie

Jak wróży Chaja

Edom chwieje się w posadach

O tym, jak bezkrólewie przekłada się na ruch powozów na Krakowskim Przedmieściu

Pinkas redaguje Documenta Judaeos

Kogo to Pinkas spotyka na targu we Lwowie

Zwierciadło i zwykłe szkło

Życie codzienne w więzieniu i o trzymaniu dzieci w pudełku

Dziura do przepaści, czyli odwiedziny Towy i jego syna Chaima Turka w 1765 roku

Elżbieta Drużbacka pisze z klasztoru Bernardynek w Tarnowie ostatni list do księdza kanonika Benedykta Chmielowskiego w Firlejowie

O powrocie Moliwdy do życia

O wędrujących jaskiniach

O nieudanych poselstwach i historii, która oblega klasztorne mury

O odejściu Imości Chany w lutym 1770 roku i miejscu jej wiecznego spoczynku

Resztki. Stan oblężenia

VI. KSIĘGA DALEKIEGO KRAJU

26 Jenta czyta paszporty

O rodzinie Dobruszków w Prossnitz

O nowym życiu w Brünn i tykaniu zegarków

O Moszem Dobruszce i uczcie Lewiatana

O domu przy katedrze i dostawie panien

Resztki. Jak w mętnej wodzie ryby łowić

Słowa Pańskie

Ptaszek, który wyskakuje z tabakierki

Tysiąc komplementów, czyli o ślubie Moszego Dobruszki vel Thomasa von Schönfelda

O cesarzu i ludziach zewsząd i znikąd

O niedźwiedziu ze snu Awaczy Frank

O życiu na wysokościach

Maszyna, która gra w szachy

27 Jak Nachman Piotr Jakubowski został ambasadorem

Powrót biskupa Sołtyka

Co się dzieje w machnie Pańskiej w Warszawie

Anzeige, czyli doniesienie

Kawa z mlekiem, skutki picia

Ruptura i słowa Pańskie

O pociągu do tajemniczych eksperymentów na materii

Wszystkie odmiany popiołu, czyli jak zrobić złoto domowym sposobem

Jak widzą świat Pańskie sny

O Franciszku Wołowskim w zalotach

O Samuelu Ascherbachu, synu Gitli i Aszera

28 Aszer w kawiarni wiedeńskiej albo Was ist Aufklärung? 1784

O zdrowotnych aspektach prorokowania

O figurkach z chleba

Odrzucone oświadczyny Franciszka Wołowskiego młodszego

Ostatnia audiencja u cesarza

Thomas von Schönfeld i jego gry

Resztki. Synowie Jakuba Franka. Moliwda

Ostatnie dni w Brünn

Moliwda w poszukiwaniu środka swojego życia

Dalszy ciąg historii Antoniego Kossakowskiego zwanego Moliwdą

29 O owadzim ludku, który zasiedla Offenbach nad Menem

O Schlossie isemburskim i jego zziębniętych mieszkańcach

O gotowanych jajkach i księciu Lubomirskim

Jak wilczyca Zwierzchowska trzyma porządki w zamku

Nóż wysadzany turkusami

O domku dla lalek

Niebezpieczny zapach maliniaku i muszkatelu

O wielkich planach Thomasa von Schönfelda

Kim jest Pan, kiedy nie jest już tym, kim jest

O grzechach Rocha Franka

O neszika, boskim pocałunku

Plotki, listy, donosy, ukazy, raporty

30 Śmierć polskiej księżniczki, krok po kroku

Warszawski stół na trzydzieści osób
O życiu sposobem zwyczajnym
Heiliger Weg nach Offenbach
O kobietach, które moczą nogi
Resztki. O świetle

VII. KSIĘGA IMION

31 Jakubowski i księgi śmierci
Ewa Frank ratuje Offenbach od grabieży napoleońskiej
Czaszka
O spotkaniu w Wiedniu
Samuel Ascherbach i jego siostry
Biblioteka Braci Załuskich i ksiądz kanonik Benedykt Chmielowski
Męczeństwo Juniusa Freya
Dzieci
Śliczna mała dziewczynka gra na szpinecie
O pewnym manuskrypcie
Wędrówki Nowych Aten
Jenta

Nota bibliograficzna

Podziękowania

Przypisy

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Konsultacja w dziedzinie frankizmu: PAWEŁ MACIEJKO
Konsultacja historyczna: ANDRZEJ LINK-LENCZOWSKI
Redakcja: WOJCIECH ADAMSKI
Adiustacja: HENRYKA SALAWA
Korekta: ANNA DOBOSZ, ANETA TKACZYK, DOROTA TRZCINKA
Ilustracje zgromadzone dzięki uprzejmości Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Wrocławiu.
Portret Ewy Frank (s. 156) pochodzi ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.
Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT
Projekt okładki i stron tytułowych, projekt typograficzny, skład, łamanie: | manufaktu-ar.com

© copyright by Olga Tokarczuk
© copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05704-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Od Wydawcy

Ze względu na specyfikę wydań elektronicznych, ebook nie zawiera niektórych elementów typograficznych zawartych w książce. Składniki te stanowią integralną część papierowego wydania dzieła, jednakże nie wpływają na jego warstwę merytoryczną.

Rodzicom

PROLOG

Połknięty papierek zatrzymuje się w przełyku gdzieś w okolicy serca. Namaka śliną. Czarny, specjalnie przygotowany atrament powoli się rozpływa i litery tracą swą postać. W ciele człowieka słowo pęka na dwoje, na substancję i istotę. Gdy ta pierwsza zanika, druga, pozostając bez kształtu, daje się wchłonąć tkankom ciała, jako że istota nieustannie poszukuje materialnego nośnika; nawet jeśli ma się to stać przyczyną wielu nieszczęść.

Jenta budzi się, a przecież była już prawie martwa. Czuje to teraz wyraźnie, to jest jak ból, jak prąd rzeki, drganie, napieranie, ruch.

W okolicy serca wraca delikatna wibracja, serce bije słabo, ale równomiernie, pewne swego. W wysuszone i kościste piersi Jenty wpływa znowu ciepło. Jenta mruga oczami i z trudem unosi powieki. Widzi nachyloną nad sobą zmartwioną twarz Eliszy Szora. Próbuje się do niego uśmiechnąć, ale nie włada aż tak swoją twarzą. Elisza Szor ma ściągnięte brwi, patrzy na nią z pretensją. Jego usta poruszają się, ale do uszu Jenty nie dochodzi żaden głos. Skądś pojawiają się ręce – duże dłonie starego Szora, które sięgają do jej szyi i wędrują pod derkę. Szor nieporadnie próbuje odwrócić bezwładne ciało na bok i zajrzeć pod nie, na prześcieradło. Nie, Jenta nie czuje jego wysiłków, czuje tylko ciepło i obecność brodatego spoconego mężczyzny.

Potem nagle, jak za sprawą jakiegoś uderzenia, Jenta patrzy na wszystko z góry – na siebie samą i na łysiejący czubek głowy Szora, w tej szamotaninie z jej ciałem bowiem spadła mu czapka.

I odtąd tak już jest – Jenta widzi wszystko.

I. KSIĘGA MGŁY

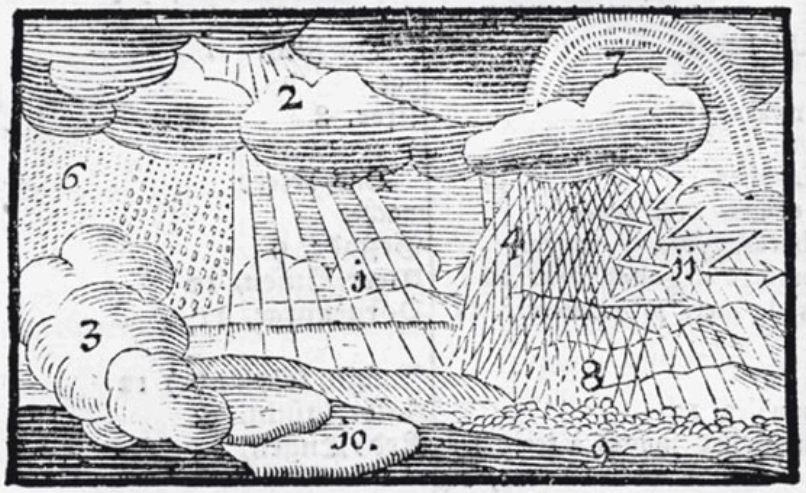

Ex aqua	Z wody	
aſcendit	wſtępuie	aſcéndere, n. 3. wſtępo-wać.
vapor. 1 m. 3.	pára, 1	
Inde fit	ztąd się ſtawa	
nubes; 2 f. 3.	obłok, 2	
& prope terram	a bliſka źiemie	
nebula 3 f. 1.	mgła. 3	
E nube	Z obłoku	
ſtillat (defluit gut-(tatim	kropi (kapie kropla-(mi	ſtillare, n. 1. kropić. defluere, n. 3. kapać.
pluvia 4 f. 1.	deſzcz, 4	
& *imber*. m. 3.	i deſzcz gwałtowny,	

Quæ

1

1752, Rohatyn

Jest koniec października, wcześnie rano. Ksiądz dziekan stoi na ganku plebanii i czeka na powóz. Przywykł wstawać o świcie, ale tym razem czuje się na wpół przytomny i właściwie nie wie, jak się tu znalazł – sam w obliczu morza mgły. Nie pamięta ani jak wstał, ani jak się ubrał, ani czy już jadł. Patrzy ze zdziwieniem na swoje solidne buty, które wystają spod sutanny, i na nieco obszarpane poły wypłowiałego wełnianego płaszcza, i na rękawiczki, które trzyma w dłoni. Wsuwa lewą; w środku wydaje się ciepła i doskonale pasuje do ręki, jakby dłoń i rękawiczka znały się od lat. Oddycha z ulgą. Dotyka przewieszonej przez ramię torby, mechanicznie obmacuje prostokątne kanty, twarde, pogrubiałe jak blizny pod skórą, i powoli przypomina sobie, co jest w środku – ciężki, znajomy, przyjemny kształt. Coś dobrego, coś, co go tu przywiodło, jakieś słowa, jakieś znaki – wszystko to ma głęboki związek z jego życiem. O tak, wie już, co tam jest, i ta świadomość powoli zaczyna mu rozgrzewać ciało, a mgła staje się przez to jakby bardziej przezroczysta. Za nim ciemny otwór drzwi, jedno skrzydło zamknięte, prawdopodobnie musiały już nastać chłody, może nawet przymrozek zwarzył śliwki w sadzie. Nad drzwiami niewyraźny napis – widzi go, nie patrząc, bo przecież wie, co tam napisano, sam to przecież zlecił; dwóch rzemieślników z Podhajec wyrzynało litery w drewnie przez cały tydzień, kazał je bowiem wykonać ozdobnie:

DZIŚ CO BYŁO, JUTRO PO NIM.
CO UCIEKŁO, NIE DOGOИIM

W słowie „dogonim”, co go bardzo denerwuje, litera „N” jest napisana odwrotnie, jak jej lustrzane odbicie.

Poirytowany tym po raz nie wiadomo który, ksiądz kręci gwałtownie głową – i to budzi go ostatecznie. Owa odwrócona litera to „И”... Co za niedbałość! Trzeba im ciągle patrzeć na ręce, pilnować ich na każdym kroku. A że owi rzemieślnicy to Żydzi, wobec tego napis zrobili jakiś taki żydowski, litery są zbyt kręcone, chwiejne. I jeszcze się jeden z nich wykłócał, że takie „N” też może być, jest nawet ładniejsze, bo poprzeczka idzie z dołu do góry i z lewej do prawej, po chrześcijańsku, a odwrotnie to byłoby właśnie po żydowsku. Drobna irytacja przywraca mu zmysły i teraz ksiądz Benedykt Chmielowski, dziekan rohatyński, widzi, skąd miał to poczucie, że jeszcze śpi – stoi w mgle, która ma kolor jego pościeli, szarawy; złamana biel, którą już dopadł brud, ogromne zasoby szarości, które są podszewką świata. Mgła jest nieruchoma, szczelnie wypełnia całe podwórko, majaczą za nią znajome kształty wielkiej gruszy, murku, a dalej – wiklinowego wozu. To zwykły obłok niebieski, który upadł na ziemię i przywarł do niej brzuchem. Czytał o tym wczoraj u Comeniusa.

Teraz słyszy znajome skrzypienie i turkot, nieuchronnie wprowadzające go w czasie każdej podróży w stan twórczej medytacji. Dopiero za dźwiękiem wyłaniają się z mgły Roszko, który prowadzi konia za uzdę, i kolaska księdza dziekana. Na jej widok ksiądz czuje przypływ energii, uderza rękawiczką o dłoń i gramoli się na siedzenie. Roszko, jak zwykle milczący, poprawia uprząż i rzuca księdzu długie spojrzenie. Mgła poszarza jego twarz i sprawia, że wydaje się księdzu starszy niż kiedykolwiek, jakby postarzał się w ciągu nocy, a przecież to młody chłopak.

W końcu ruszają, ale jest tak, jakby stali w miejscu, o ruchu zaświadcza tylko kołysanie pojazdu i uspokajające skrzypienie. Tyle razy jeździli tą drogą, przez tak wiele lat, że nie trzeba już oglądać widoków i żadne punkty orientacyjne nie będą potrzebne. Ksiądz wie, że teraz wyjechali na drogę, która idzie skrajem lasu, i tak będą się posuwać aż do krzyżówki, gdzie wznosi się kapliczka, postawiona zresztą przez księdza przed laty, gdy objął probostwo w Firlejowie. Długo zastanawiał się nad tym, kogo by w tej kapliczce umieścić, i do głowy przychodził mu święty Benedykt, jego patron, albo Onufriusz, eremita, którego na pustyni cudownie karmiła daktylami palma, a aniołowie każdego

ósmego dnia przynosili mu z nieba Ciało Chrystusa. Bo też i Firlejów miał być dla księdza taką pustynią, kiedy tu zjechał po latach edukowania syna Jego Wysokości pana Jabłonowskiego, Dymitra. Po przemyśleniu jednak sprawy ksiądz uznał, że kapliczka nie ma być zbudowana dla niego i zaspokojenia jego własnej próżności, lecz prostemu ludowi, żeby na skrzyżowaniu dróg miał gdzie spocząć i skąd zanieść swe myśli do nieba. Stanęła więc na murowanym pobielonym cokole Matka Boska Królowa Świata z koroną na głowie. Pod jej małym spiczastym pantofelkiem wił się wąż.

Lecz dziś i ona niknie we mgle, i kapliczka, i krzyżówka. Widać tylko czubki drzew, znak, że mgła zaczyna opadać.

– Patrzcież, dobrodzieju, Kaśka nie chce iść – mówi ponuro Roszko, gdy kolaska się zatrzymuje. Roszko schodzi z kozła i żegna się kilka razy zamaszyście.

Potem nachyla się i zagląda w mgłę, jakby patrzył do wody. Spod jego odświętnego czerwonego, acz trochę już wypłowiałego kubraka wychodzi koszula.

– Nie wiem, gdzie jechać – mówi.

– Jak to nie wiesz? Przecież już jesteśmy na rohatyńskim gościńcu – mówi zdziwiony ksiądz.

A jednak! Wysiada z kolaski i podąża za sługą, obchodzą bezradnie powóz, wytężając oczy w biel. Wydaje im się, że coś widzą, ale oczy, które nie mogą zaczepić się na niczym, zaczynają stroić sobie żarty. Że też im się coś podobnego przydarzyło! Przecież to tak, jakby zgubić się we własnej kieszeni.

– Cicho! – mówi nagle ksiądz i podnosi palec do góry, nadsłuchując. I rzeczywiście, gdzieś z lewej strony, z kłębów mgły, dochodzi słaby szum wody.

– Jedźmy za tym szumem. To woda płynie – decyduje ksiądz.

Będą wlec się teraz powolutku wzdłuż rzeki zwanej Gniłą Lipą. Woda ich poprowadzi.

Wkrótce ksiądz rozluźnia się w kolasce, wyciąga przed siebie nogi i pozwala oczom wędrować po morzu mgły. Natychmiast popada w podróżne zamyślenie, bo człowiekowi najlepiej myśli się w ruchu.

Wolno, z ociąganiem ożywa mechanizm jego umysłu, zaskakują tryby i przekładki, wprawiając w ruch koła napędowe, zupełnie jak w zegarze, który stoi u niego na plebanii w sieni, zakupiony we Lwowie; słono za niego zapłacił. Za chwilę odezwie się bim-bom. Czy aby świat nie wziął się z takiej mgły, zaczyna się zastanawiać. Przecież historyk żydowski Józef Flawiusz utrzymuje, że świat został stworzony jesienią, podczas aequinoctium jesiennego. Można tak sądzić, bo przecież w raju były owoce; skoro jabłko wisiało na drzewie, musiała to być jesień... Jest w tym jakaś racja. Ale zaraz przychodzi mu do głowy myśl inna: Cóż to za argument? Czyż wszechmocny Bóg takich marnych fruktów nie mógłby stworzyć ekstra, w jakiejkolwiek porze roku?

Gdy dojeżdżają do głównej drogi prowadzącej do Rohatyna, włączają się w strumień pieszych, konnych i wozów wszelakiego rodzaju, które wyłaniają się z mgły, niby figurki z chleba lepione na Boże Narodzenie. Jest środa, targ w Rohatynie, jadą chłopskie wozy obładowane workami z ziarnem, klatkami z drobiem, wszelakimi płodami rolnymi. Między nimi żwawym krokiem maszerują handlarze z każdym możliwym towarem – ich kramiki, sprytnie teraz złożone, dają się nieść na plecach niczym koromysła, a za chwilę staną się stołami pełnymi barwnych materiałów, drewnianych zabawek, jajek skupowanych po wsiach za jedną czwartą ceny... Chłopi prowadzą też kozy i krowy na sprzedaż – zwierzęta, przerażone zgiełkiem, zapierają się w kałużach. Mija ich rozpędzona fura przykryta dziurawą plandeką, pełna hałaśliwych Żydów, którzy ściągają na jarmark do Rohatyna z całej okolicy, a za nimi przedziera się bogata kareta, której we mgle i tłoku na drodze trudno zachować dostojeństwo – jasne lakierowane drzwiczki są czarne od błota, a mina stangreta w niebieskiej pelerynie wydaje się nietęga, nie spodziewał się widać takiego zamieszania i teraz rozpaczliwie szuka wzrokiem okazji, żeby zjechać z tej diabelskiej drogi.

Roszko jest zawzięty i nie da się zepchnąć na pole, trzyma się prawej strony i jadąc jednym kołem po trawie, drugim po drodze, posuwa się sprawnie do przodu. Jego smutna pociągła twarz dostaje rumieńców i spływa na nią jakiś potępieńczy grymas. Ksiądz rzuca na niego okiem i przypomina mu się rycina, którą oglądał nie dalej jak wczoraj –

widnieli na niej piekielnicy i mieli takie same grymasy na twarzy jak teraz Roszko.

– Przepuścić jegomościa księdza dobrodzieja. Nu, poszli! Na bok, ludyny! – krzyczy Roszko.

Wyrastają przed nimi pierwsze zabudowania, nagle, bez ostrzeżenia. Widać mgła zmienia poczucie odległości, bo zaskoczona tym wydaje się sama Kaśka. Nagle skacze, szarpiąc dyszlem, i gdyby nie stanowcza reakcja Roszka i jego bat, wywróciłaby kolaskę. Może Kaśkę wystraszyły iskry, które sypią się z paleniska, albo niepokój koni czekających na swoją kolej do podkuwania...

Dalej znajduje się karczma, marna i biedna, podobna do wiejskiej chałupy. Jak szubienica sterczy nad nią żuraw od studni, przebija się w górę przez mgłę, a jego koniec znika gdzieś wysoko. Ksiądz widzi, że zatrzymała się tu zakurzona kareta, zmęczony stangret opuścił głowę prawie do kolan i nie zeskakuje z kozła, nikt też nie wychodzi ze środka. A już stoi przed nią wysoki, chudy Żyd, a obok małe dziewczynki o potarganych włosach. Tyle tylko widzi ksiądz dziekan, bo mgła pochłania każdy mijany widok; przepada on gdzieś, wsiąka jak roztopiony płatek śniegu.

Oto i Rohatyn.

Zaczyna się od lepianek, domków z gliny krytych słomianymi strzechami, które wydają się przyciskać budynki do ziemi; im bliżej rynku jednak, tym domki coraz bardziej smukleją, strzechy stają się delikatniejsze, a w końcu przechodzą w drewniany gont kamieniczek z gliniastej niewypalonej cegły. Są tu też fara, klasztor Dominikanów, kościół Świętej Barbary przy rynku, a dalej dwie synagogi i pięć cerkwi. Wokół rynku tkwią jak grzyby małe domy, a w każdym jakiś interes. Krawiec, powroźnik, kuśnierz, wszyscy Żydzi, a obok piekarz o nazwisku Bochenek, co zawsze cieszy księdza dziekana, bo ukazuje jakiś ukryty porządek, który mógłby być bardziej widoczny i konsekwentny, a wtedy ludzie żyliby cnotliwiej. Obok zakład miecznika zwanego Lubą; fasada wyróżnia się zasobnością, ściany świeżo pomalowane na niebiesko, a nad wejściem wisi wielki

zardzewiały miecz – widocznie dobry rzemieślnik z tego Luby i pełne są kieszenie jego klientów. Dalej siodlarz, który wystawił przed drzwi drewniany kozioł, na nim zaś piękne siodło, strzemiona chyba srebrzone, bo tak lśnią.

Wszędzie czuć mdły zapach słodu, przenika każdy towar wystawiony do sprzedaży. Można się nim najeść jak chlebem. Na przedmieściach Rohatyna, w Babińcach, jest kilka małych browarów, to stamtąd roznosi się na całą okolicę ten sycący zapach. Wiele kramików sprzedaje tu piwo, a lepsze sklepy mają na składzie i gorzałkę, i miód pitny, głównie trójniak. Skład żydowskiego kupca Wakszula oferuje wino, prawdziwego węgrzyna i prawdziwe reńskie, i takie trochę kwaskowate, które przywożą tu aż z Wołoszczyzny.

Ksiądz posuwa się wzdłuż straganów skonstruowanych z wszelkiej możliwej materii – desek, kawałków grubo tkanego płótna, koszy wiklinowych, a nawet liści. Jakaś dobra kobieta w białej chustce na głowie sprzedaje dynie z wózka i ich jaskrawy pomarańczowy kolor przyciąga dzieci. Obok inna zachwala gomółki sera ułożone na liściach chrzanu. Dalej stoi wiele innych kramarek, które trudnią się handlem, bo owdowiały albo mają mężów opojów: olejarki, solarki, płótniarki. Wyroby tej pasztetniczki ksiądz zwykle kupuje i teraz śle handlarce miły uśmiech. Za nią są dwa stragany ozdobione zieloną gałęzią, co znaczy, że sprzedaje się tam świeże warzone piwo. A tu bogaty kram ormiańskich kupców – piękne, lekkie materie, noże w zdobionych pochwach, i zaraz – wizina, czyli suszone ryby, których mdły zapach przenika wełniane tureckie makaty. Dalej z pudła zawieszonego na chudych ramionach człowiek w zakurzonym chałacie sprzedaje jajka zapakowane tuzinami w koszyki uplecione z trawy. Drugi oferuje jaja na kopy, w dużych koszach, po konkurencyjnej, prawie hurtowej cenie. Bajgle obwieszają cały kram piekarza – jeden upadł komuś w błoto i teraz zjada go z apetytem mały pies.

Handlują tu czym się da. Także kwiecistymi materiałami, chustkami i szalami prosto z bazaru w Stambule, bucikami dla dzieci, owocami, orzechami. Mężczyzna pod płotem ma pług i gwoździe w różnych wielkościach, od takich jak szpilka aż po wielkie, do budowy domu. Obok dorodna kobieta w nakrochmalonym czepcu na głowie rozłożyła

kołatki dla nocnych stróżów: małe – takie, co to ich dźwięk przypomina raczej nocne granie świerszczy niż nawoływanie do snu, i duże – te, przeciwnie, obudziłyby umarłego.

Ile to razy zakazywano Żydom handlowania rzeczami związanymi z Kościołem. Grzmieli w tej sprawie i księża, i rabini, ale nic to nie dało. Są tu więc piękne modlitewniki, ze wstążeczką między stronami, z wytłoczonymi na okładce cudnie srebrzonymi literami, które gdy po nich przesunąć opuszką palca, wydają się ciepłe i żywe. Czysty, prawie elegancki mężczyzna w futrzanej czapie trzyma je jak jakieś relikwie – poowijane w cienki papier, kremową bibułkę, żeby ten brudny, mglisty dzień nie splamił ich niewinnych, chrześcijańskich, pachnących farbą drukarską stron. Ma także woskowe świece, a nawet obrazki świętych z aureolami.

Ksiądz podchodzi do jednego z wędrownych sprzedawców książek, mając nadzieję, że znajdzie coś po łacinie. Wszystkie są jednak żydowskie, bo obok nich leżą rzeczy, których przeznaczenia ksiądz nie zna.

Im dalej zapuści się wzrok w boczne uliczki, tym większa nędza wychodzi na wierzch, jak brudny palec z podartego buta; bieda zgrzebna, cicha, przygięta do ziemi. To już nie sklepy, nie kramy, ale budy jak dla psów, sklecone z cienkich desek uzbieranych gdzieś po śmietniskach. W jednej z nich szewc naprawia buty wiele razy już szyte, zelowane i łatane. W innej, całej obwieszonej żelaznymi garnkami, zasiadł druciarz. Twarz ma chudą i zapadłą, czapka przykrywa czoło pełne jakichś brązowych wybroczyn. Bałby się ksiądz dziekan naprawiać u niego garnki, żeby z dotykiem palców tego nieszczęśnika jaka straszna choroba nie przeszła na innych. Obok stary człowiek ostrzy noże oraz wszelkiego rodzaju sierpy i kosy. Jego warsztat składa się z kamiennego koła uwiązanego u szyi. Gdy dostanie rzecz do ostrzenia, ustawia na ziemi prymitywny drewniany stelaż – kilka skórzanych rzemieni czyni z tego prostą machinę, której koło wprawiane w ruch ręką liże metalowe ostrza. Czasem z tej machiny poleci kilka najprawdziwszych iskier, wpadając w błoto, z czego szczególnie cieszą się brudne, zaświerzbione dzieci. Na fachu swoim zarobi grosze. Może

się z pomocą tego koła utopić w rzece, taka jeszcze jest korzyść z tego zawodu.

Kobiety w łachmanach zbierają na ulicy wióry i łajno na opał. Trudno po tych łachach rozróżnić, czy to bieda żydowska, czy cerkiewna, czy katolicka. Tak, bieda nie ma ani wiary, ani narodowości.

Si est, ubi est? – pyta sam siebie ksiądz, myśląc o raju. Na pewno nie tutaj w Rohatynie, ani – jak mu się zdaje – nigdzie na podolskiej ziemi. A jeśliby kto pomyślał, że w dużych miastach jest lepiej, to grubo się pomyli. Wprawdzie ksiądz do Warszawy czy Krakowa nigdy w życiu nie dotarł, ale wie to i owo z opowieści bernardyna Pikulskiego, bardziej bywałego niż on, albo z tego, co zasłyszy gdzieś po dworach.

Raj, czyli ogród rozkoszy, w piękne i nieznane miejsce jest przeniesiony przez Boga. I jak napisane jest w *Arca Noe*, raj jest gdzieś w kraju Ormian, wysoko w górach, a znowu Brunus twierdzi, że sub polo antarctico, pod biegunem południowym. Znakiem bliskości raju są cztery rzeki: Gebon, Philon, Euphrates i Tygris. I są tacy autorzy, co na ziemi rajowi nie mogąc znaleźć miejsca, lokują go w powietrzu, nad górami z piętnaście łokci. Ale to się akurat księdzu wydaje dość niemądre. Bo jak to? Czy żyjący na ziemi pod rajem widzieliby go od spodu? Czy oglądaliby pięty świętych?

Z drugiej wszakże strony nie można zgodzić się z tymi, co próbują rozgłaszać nieprawdziwe sądy, że tekst święty o raju ma mieć tylko mistyczne znaczenie, to znaczy ma być brany w sensie duchowym albo alegorycznym. Ksiądz – nie tylko dlatego, że jest księdzem, ale z własnego głębokiego przekonania – uważa, że Pismo Święte brać trzeba dosłownie.

Wie o raju prawie wszystko, bo nie dalej jak w zeszłym tygodniu kończył rozdział swej książki wielce ambitnej, rozdział skompilowany ze wszystkich ksiąg, jakie ma w Firlejowie, a ma ich sto trzydzieści. Po niektóre jeździł i do Lwowa, a nawet do Lublina.

Oto jest dom narożny, skromny – tu idzie. Tak mu poradził ksiądz Pikulski. Dwuskrzydłowe niskie drzwi są szeroko otwarte; bije stamtąd zapach korzenny, niespotykany wśród tego smrodu końskich gówien

i jesiennej wilgoci, i jeszcze inna drażniąca woń, znana już księdzu dziekanowi – kaffy. Ksiądz kaffy nie pija, ale musi w końcu wejść z nią w bliższą znajomość.

Ksiądz ogląda się za siebie, szukając wzrokiem Roszka; widzi go, jak przerzuca kożuchy z ponurą uwagą, a dalej – cały targ zajęty sam sobą. Nikt nie patrzy na księdza, wszyscy pochłonięci frymarkiem. Hałas i zgiełk.

Nad wejściem do budynku widnieje dość nieudolnie wykonany szyld:

SZOR SKŁAD TOWARÓW

Potem idą litery hebrajskie. Przy drzwiach wisi metalowa plakietka, a obok jakieś znaki, i ksiądz przypomina sobie, że Athanasius Kircher powiada w swej księdze, iż Żydzi, kiedy żona zlegnie i boją się czarownicy, piszą na ścianach słowa: „Adam, Hawa. Huc – Lilit”, co ma znaczyć: „Adamie z Ewą, przybądźcie tu, a ty, Lilit, to jest czarownico, uciekaj”. To musi być to. Zapewne i tu niedawno urodziło się dziecko.

Ksiądz przestępuje wysoki próg i cały zanurza się w ciepły korzenny zapach. Chwilę trwa, nim oczy przyzwyczają się do mroku, bo światło wpuszcza tutaj tylko małe okienko, zastawione na dodatek donicami.

Za ladą stoi wyrostek, któremu dopiero co sypnął się wąs, ma pełne usta, które najpierw lekko drżą na widok księdza, a potem próbują ułożyć się w jakieś słowo. Jest zupełnie zaskoczony.

– Jak masz na imię, chłopcze? – pyta ksiądz śmiało, żeby pokazać, jak pewnie się czuje w tym ciemnym, niskim sklepiku i zachęcić wyrostka do rozmowy, ale tamten nie odpowiada. – Quod tibi nomen est? – powtarza więc oficjalnie, ale łacina, która miałaby służyć porozumieniu, brzmi nagle zbyt uroczyście, jakby ksiądz przyszedł tu odprawiać egzorcyzmy, niczym Chrystus w Ewangelii świętego Łukasza, który tym samym pytaniem traktuje opętanego. Ale chłopak tylko jeszcze szerzej otwiera oczy i powtarza „bh, bh”, a potem nagle czmycha za regały, potrącając warkocz czosnku wiszący na gwoździu.

Ksiądz zachował się niemądrze; nie powinien oczekiwać, że będą tu mówić po łacinie. Ogląda się krytycznie – spod płaszcza wystają czarne włosiane guziki sutanny. Tego zapewne wystraszył się chłopak, myśli ksiądz – sutanny. Uśmiecha się pod nosem i przypomina mu się biblijny Jeremiasz, który też omal nie stracił głowy i wyjąkał: Aaa, Domine Deus ecce nescio loqui! – Panie Boże, oto nie umiem mówić.

Odtąd ksiądz nazywa chłopca w myślach Jeremiaszem. Nie wie, co zrobić, gdy ten zniknął tak nagle. Rozgląda się więc po sklepie, zapinając guziki płaszcza. To ksiądz Pikulski namówił go, by tutaj przyjść; posłuchał, ale teraz nie wydaje mu się, żeby to był dobry pomysł.

Nikt nie wchodzi z zewnątrz, za co ksiądz w myślach dziękuje Bogu. Nie byłby to zwyczajny widok – ksiądz katolicki, dziekan rohatyński w sklepie u Żyda, czekający na obsłużenie niczym mieszczka. Radził mu ksiądz Pikulski iść do rabbiego Dubsa we Lwowie, sam tam bywał i wiele się od niego dowiedział. I ksiądz tam poszedł, lecz stary Dubs miał już chyba dość katolickich księży, którzy go wypytują o książki. Był nieprzyjemnie zaskoczony prośbą i tego, co księdza Benedykta interesowało najbardziej, nie miał albo udawał, że nie ma. Zrobił grzeczną minę i pokręcił głową, cmokając. A gdy ksiądz zapytał, kto mógłby mu pomóc, Dubs zamachał rękami i odwróciwszy głowę do tyłu, jakby kto za nim stał, dał do zrozumienia, że nie wie, a gdyby wiedział, to i tak nie powie. Potem ksiądz Pikulski wyjaśnił księdzu dziekanowi, że to chodzi o żydowskie herezje, a choć oni się sami chwalą, że u nich herezji nie ma, to zdaje się dla tej jednej robią jakiś wyjątek i szczerze jej nienawidzą, bez owijania w bawełnę.

W końcu poradził mu Pikulski, żeby poszedł do Szora. Duży dom ze sklepem przy rynku. Spojrzał jednak przy tym na księdza jakoś krzywo, z ironią albo się tak księdzu wydawało. Może trzeba było załatwiać te żydowskie książki przez Pikulskiego? Choć go ksiądz dziekan nie bardzo lubi. Nie musiałby się teraz tutaj wstydzić i pocić. Ale wiele jest w księdzu przekory, więc poszedł sam. I było jeszcze coś niezbyt rozumnego – mała gierka słowna wdała się w całą sprawę; kto uwierzy, że takie rzeczy mają wpływ na świat. Ksiądz pracował pilnie nad pewnym ustępem Kirchera, gdzie wspomniano o wielkim wole

Szoroborze. I być może podobieństwo słów ściągnęło go tutaj – Szor i Szorobor. Dziwne są wyroki Pana.

Lecz gdzież te słynne księgi, gdzie ta postać budząca lękliwy szacunek? Sklep wygląda jak zwykły kram, a przecież właściciel ponoć jest potomkiem słynnego rabina, mędrca wielce szanowanego Zalmana Naftalego Szora. A tu czosnek, zioła, garnce z przyprawami, słoje i słoiczki, a w nich wszelkiej maści przyprawy – tłuczone, mielone albo jeszcze w swoim naturalnym kształcie, jak te laski wanilii albo gwoździki goździków, kulki gałki muszkatołowej. Na półkach na sianie ułożono też bele materiału – to chyba jedwab i atłas, bardzo jaskrawe, przyciągają oko. Ksiądz myśli, czy nie potrzebowałby czasem czego, ale już jego uwagę zwraca nieudolny napis na pokaźnym słoju ciemnozielonym: „Herba the”. Już wie, o co poprosi, kiedy w końcu ktoś do niego wyjdzie – o trochę tego ziela, które wprawia go w lepszy nastrój, co u księdza dziekana znaczy, że może bez zmęczenia pracować. A jeszcze poprawia trawienie. I kupiłby trochę goździków, żeby doprawić nimi wieczorne grzane wino. Ostatnie noce były tak zimne, że zmarznięte nogi nie pozwalały mu się skupić na pisaniu. Szuka wzrokiem jakiejś ławy, a wtedy wszystko dzieje się w tym samym momencie: zza regałów wyłania się dobrze zbudowany, brodaty mężczyzna w długiej wełnianej sukni, spod której wystają tureckie buty o spiczastych noskach. Na ramiona ma zarzucony cienki ciemnoniebieski płaszcz. Mruży oczy, jakby wyszedł ze studni. Zza jego pleców wygląda ciekawie ów Jeremiasz, który spłoszył się wcześniej, i jeszcze jakieś dwie twarze, podobne bardzo do oblicza Jeremiasza, ciekawskie i rumiane. A z drugiej strony, w drzwiach od rynku przystanął właśnie zdyszany drobny chłopiec, czy też młody mężczyzna, bo zarost sypnął mu się obficie jasną kozią bródką. Opiera się o framugę i dyszy, widać biegł tutaj najszybciej, jak mógł. Świdruje księdza dziekana bezczelnie oczami i uśmiecha się szelmowsko, ukazując zdrowe, szeroko rozstawione zęby. Ksiądz nie jest pewny, czy czasem nie jest to uśmiech szyderczy. Woli dostojną postać w płaszczu i to do niej zwraca się nadzwyczaj grzecznie:

– Niech mi waszmość wybaczy to najście...

Tamten patrzy na niego w napięciu, lecz już po chwili wyraz jego twarzy powoli się zmienia. Pojawia się na niej coś w rodzaju uśmiechu. Ksiądz dziekan nagle pojmuje, że tamten nie rozumie, więc zaczyna teraz inaczej, po łacinie, radośnie pewny, że znalazł swój swego.

Żyd powoli przenosi wzrok na chłopca w drzwiach, tego zdyszanego, a tamten śmiało wchodzi do środka, obciąga kurtkę z ciemnego sukna.

– Ja będę tłumaczył – oznajmia niespodziewanie niskim głosem z miękkim rusińskim zaśpiewem i wskazując paluchem księdza dziekana, mówi z przejęciem, że to jest prawdziwy, najprawdziwszy ksiądz.

Nie przyszło do głowy księdzu, że potrzebny będzie tłumacz, jakoś o tym nie pomyślał. Jest speszony i nie wie, jak z tego wybrnąć, bo cała sprawa, w zamierzeniu delikatna, nagle robi się publiczna i za chwilę ściągnie tu cały jarmark. Najchętniej wyszedłby stąd w chłodną mgłę o zapachu końskiego łajna. Zaczyna się czuć osaczony w tej niskiej izbie, w powietrzu gęstym od zapachu korzeni, na dodatek już ktoś z ulicy ciekawie zagląda, by sprawdzić, co też się tu dzieje.

– Miałbym słowo do szanownego Eliszy Szora, jeśli pozwoli – mówi. – Na osobności.

Żydzi są zaskoczeni. Wymieniają między sobą kilka zdań, Jeremiasz znika i dopiero po dłuższej chwili pełnej nieznośnego milczenia wraca. Widocznie ksiądz dostał pozwolenie i teraz wiodą go za regały. Towarzyszą temu jakieś szepty, lekki tupot dziecięcych stóp, tłumione chichoty – jakby za cienkimi ścianami były tłumy innych ludzi, którzy przez szpary w drewnianych ściankach ciekawie patrzą teraz na księdza dziekana rohatyńskiego, wędrującego po zakamarkach żydowskiego domu. I okazuje się też, że sklepik przy rynku jest zaledwie przyczółkiem dużo bardziej rozbudowanej struktury, niejako ula pszczelego: pokoi, korytarzyków i schodków. Cały dom jest większy i zbudowany wokół wewnętrznego podwórka, które tylko kątem oka widzi ksiądz przez małe okienko w izbie, gdzie się na chwilę zatrzymują.

– Ja jestem Hryćko – odzywa się, kiedy tak idą, chłopak z bródką. Ksiądz uświadamia sobie, że gdyby chciał się wycofać, to nawet nie wiedziałby, jak wyjść z tego pszczelego domu. Zaczyna się pocić

z powodu tej myśli i wtedy otwierają się ze skrzypieniem jedne z drzwi i staje w nich szczupły mężczyzna w sile wieku, o jasnej, gładkiej, nieprzeniknionej twarzy, z siwą brodą, w sukni za kolana, na stopach ma wełniane skarpety i czarne pantofle.

– To jest właśnie rabbi Elisza Szor – szepcze Hryćko z przejęciem.

Pokój jest mały, niski i bardzo skromnie urządzony. Na środku znajduje się szeroki stół, leży na nim rozłożona książka, a obok w kilku stosach inne – wzrok księdza zachłannie sunie po ich grzbietach, usiłując odczytać tytuły. Ksiądz niewiele wie o Żydach w ogóle, a tych rohatyńskich zna tylko z widzenia.

Księdzu nagle wydaje się sympatyczne, że obaj są niedużego wzrostu. Wobec wysokich czuje się zawsze jakoś skonfundowany. Stają naprzeciwko siebie i przez chwilę ksiądz ma wrażenie, że tamten też kontentuje się tym podobieństwem. Żyd siada miękko, uśmiecha się i wskazuje ręką ławę dla księdza.

– Za pozwoleniem i w tych niezwykłych okolicznościach przychodzę tutaj do waszmości całkiem incognito, zasłyszawszy wiele o waszej wielkiej mądrości i erudycji...

Hryćko zatrzymuje się w połowie zdania i pyta księdza:

– In-co-gnito?

– A jakże, co znaczy, że suplikuję o dyskrecję.

– A cóż to? Su-pli-kuję? Dys-kre-cję?

Ksiądz milknie, nieprzyjemnie zaskoczony. Ale mu się tłumacz trafił, widzi, że tamten go nie rozumie. To jak mają ze sobą rozmawiać? Po chińsku? Będzie się starał mówić prosto:

– Proszę o zachowanie tajemnicy, bo nie ukrywam przecie, żem rohatyński dziekan, ksiądz katolicki. Ale przede wszystkim autor. – Słowo „autor” podkreśla podniesieniem palca. – I wolałbym tu dzisiaj rozmawiać nie jako duchowny, ale autor właśnie, który wytrwale pracuje nad pewnym opusculum...

– O-pu-scu-lum? – dopada go wątpiący głos Hryćka.

– ...dziełkiem niewielkim.

– Aha. Niechże ksiądz wybaczy, ja w polskim nieuczony, tylko w takim zwykłym języku, jak ludzie mówią. Tyle znam, ilem zasłyszał wokół koni.

– Od koni? – dziwi się ksiądz niepomiernie, zły na kiepskiego tłumacza.

– No bo przy koniach robię. Handel.

Hryćko mówi, pomagając sobie rękami. Mężczyzna patrzy na niego ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami, a księdzu przychodzi do głowy, że może ma do czynienia z niewidomym.

– Kilkuset autorów już przeczytawszy od deszczki do deszczki – ciągnie ksiądz – tu i ówdzie to pożyczając, to skupując, czuję, że wiele ksiąg mi umknęło i dostępu do nich mieć zupełnie nie mogę.

Teraz przerywa i czeka, aż się tamten odezwie, ale Szor tylko kiwa głową z przymilnym uśmiechem, z którego nic nie wynika.

– A że słyszałem, iż waszmość masz tu wcale udaną bibliotekę, nie chcąc za nic w świecie inkomodować... – poprawia się zaraz niechętnie – ...przeszkadzać czy trudzić, zebrałem się na odwagę, wbrew obyczajowi, lecz ku pożytkowi innych, by przyjść tutaj i...

Milknie, bo oto drzwi otwierają się gwałtownie i do tej niskiej salki bez nijakiej zapowiedzi wchodzi kobieta. W ślad za nią do środka zaglądają, szepcząc, twarze na pół widoczne w mroku. Kwili przez chwilę małe dziecko, a potem nagle cichnie, jakby wszystko miało skupić się na kobiecie: z odkrytą głową okoloną bujnymi lokami kroczy śmiało, ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie, nie patrząc w ogóle na mężczyzn; niesie na tacy dzban i suszone owoce. Ma na sobie szeroką suknię w kwiaty, a na niej haftowany fartuch. Stuka spiczastymi trzewikami. Jest drobna, ale zgrabna, jej figura przyciąga wzrok. Za nią drepcze mała dziewczynka i niesie dwie szklanki. Patrzy na księdza z takim przerażeniem, że niebacznie wchodzi na idącą przed sobą i przewraca się. Szklanki toczą się po podłodze, dobrze, że są z grubego szkła. Kobieta nie zwraca uwagi na dziecko, rzuca natomiast jedno spojrzenie na księdza, szybkie i bezczelne. Błyskają ciemne, mroczne oczy, duże i jakieś przepastne, a przeraźliwie białą skórę pokrywa w jednej chwili rumieniec. Ksiądz dziekan, który nie miewa kontaktów

z młodymi kobietami, czuje się zaskoczony tym nagłym wtargnięciem; przełyka ślinę. Kobieta głośno stawia na stole dzbanek i talerz oraz podniesione z ziemi szklanki i znów patrząc przed siebie, wychodzi. Trzaskają drzwi. Hryćko, tłumacz, też wygląda na zmieszanego. Elisza Szor zrywa się tymczasem, podnosi dziecko, sadza sobie na kolanach, ale dziewczynka wyrywa się i znika za matką.

Ksiądz dałby głowę, że całe to wejście kobiety i dziecka było tylko po to, żeby mogli mu się przypatrzeć. Też coś! Ksiądz w żydowskim domu! Egzotyczny jak salamandra. A co z tego? Czy mnie nie leczy lekarz Żyd? I czy lekarstw mi nie uciera także Żyd? A sprawa ksiąg to też poniekąd sprawa higieny.

– Księgi – mówi ksiądz, wskazując palcem grzbiety leżących na stole foliantów i elzewirów. Na każdym z nich złotawą farbą wypisano dwa znaki, które ksiądz bierze za inicjały właściciela, umie rozpoznać hebrajskie litery:

שייץ

Sięga po swój bilet w tej podróży do ludu Izraela i kładzie ostrożnie przed Szorem przywiezioną księgę. Uśmiecha się tryumfalnie, bo to jest *Turris Babel* Athanasiusa Kirchera, dzieło wielkie zarówno pod względem treści, jak i formatu, i ksiądz wiele ryzykował, targając je tutaj. A gdyby upadła w to cuchnące rohatyńskie błoto? A gdyby wyrwał mu ją jaki rzezimieszek na targu? Bez niej ksiądz dziekan nie byłby tym, kim jest, ale raczej stałby się jakimś ograniczonym proboszczem, jezuickim nauczycielem na pańskim dworze, próżnym urzędnikiem Kościoła, upierścienionym i niechętnym światu.

Podsuwa książkę bliżej Szora, jakby prezentował mu swą żonę. Puka teraz delikatnie w drewniane okładki.

– Mam ich więcej. Ale Kircher jest najlepszy. – Otwiera na chybił trafił i patrzą na rysunek Ziemi, przedstawionej jako kula, z długim, smukłym stożkiem wieży Babel na niej.

– Kircher udowadnia, że wieża Babel, której opis mamy w Biblii, nie mogłaby być tak wysoka, jak to jest przedstawione. Wieża, która sięga

aż do sfery Księżyca, zaburzyłaby cały porządek kosmosu. Jej podstawa, opierająca się na kuli ziemskiej, musiałaby być ogromna. Przesłoniłaby słońce, co miałoby katastrofalne skutki dla całego stworzenia. Ludzie musieliby zużyć całe zasoby drewna i gliny na Ziemi...

Ksiądz czuje się tak, jakby wygłaszał herezję, i właściwie nie wie, dlaczego to mówi milczącemu Żydowi. Chce, żeby tamten go wziął za przyjaciela, nie wroga. Ale czy to będzie możliwe? Może da się porozumieć, mimo że nie zna się swoich języków ani obyczajów, ani siebie nawzajem, ani swych rzeczy i przedmiotów, ani uśmiechów, gestów dłoni czyniących znaki, niczego; więc może da się porozumieć za pomocą książek? Czy to właśnie nie jest jedyna możliwa droga? Gdyby ludzie czytali te same książki, żyliby w tym samym świecie, tymczasem żyją w innych, jak ci Chińczycy, o których pisał Kircher. A są i tacy, całe mnóstwo, co nie czytają wcale, ci mają umysł uśpiony, myśli proste, zwierzęce, jak owi chłopi o pustych oczach. Gdyby on, ksiądz, był królem, nakazałby jeden dzień pańszczyzny na czytanie przeznaczyć, cały stan chłopski zagoniłby do ksiąg i od razu inaczej wyglądałaby Rzeczpospolita. Może to jest nawet kwestia alfabetu – że nie istnieje tylko jeden, lecz jest ich wiele, a każdy inaczej buduje myśli. Alfabety są niczym cegły – z jednych, wypalonych i gładkich, powstają katedry, z innych, gliniastych i szorstkich, zwykłe domy. I choć łaciński z pewnością najdoskonalszy, to przecież, zdaje się, Szor nie zna łaciny. Wskazuje mu więc palcem rycinę, a potem jeszcze jedną, i jeszcze, i widzi, że tamten pochyla się nad nimi z rosnącym zaciekawieniem, aż w końcu wyciąga skądś szkła zgrabnie oprawione w metalowy drut – ksiądz Chmielowski sam chciałby takie mieć, musi go spytać, gdzie je zamówić. Tłumacz również okazuje się zainteresowany, więc we trójkę pochylają się nad ryciną.

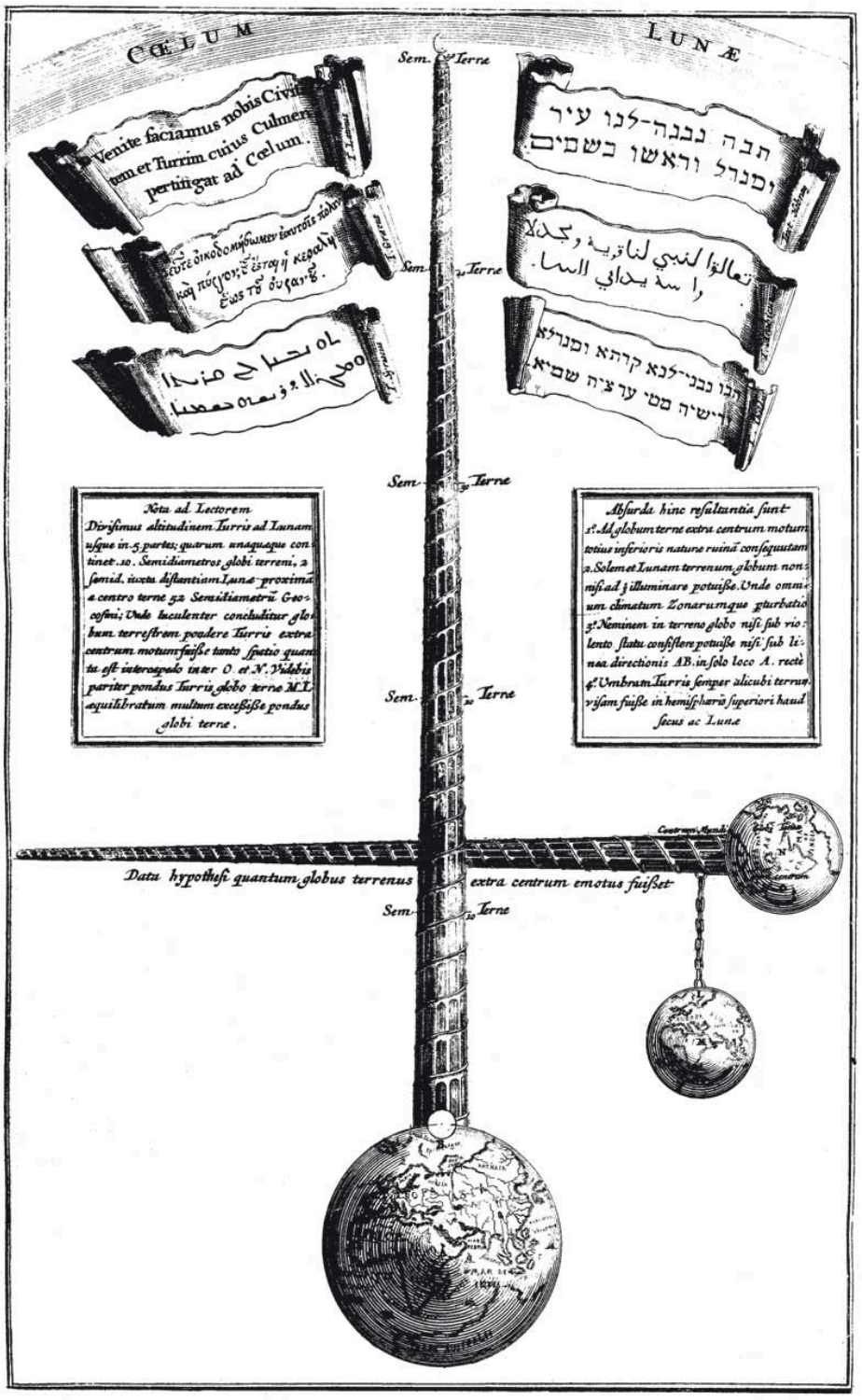

Ksiądz zerka na nich zadowolony, że ich obu złapał na haczyk, i widzi w ciemnej brodzie Żyda złote i kasztanowe włosy.

– Moglibyśmy wymieniać się księgami – proponuje.

Mówi, że ma w swojej bibliotece w Firlejowie jeszcze dwa dzieła wielkiego Kirchera, *Arca Noe* i *Mundus subterraneus*, zamknięte na klucz, zbyt cenne, żeby do nich sięgać codziennie. Wie też, że są i inne tytuły, ale zna je tylko ze wzmianek tu i ówdzie. I wielu jeszcze myślicieli świata przeszłego zgromadził, także – dodaje, żeby się przypochlebić – żydowskiego historiografa, Józefa.

Nalewają mu kompotu z dzbanka i podsuwają talerzyk z suszonymi figami i daktylami. Ksiądz bierze je do ust z nabożeństwem, dawno ich nie jadł – nieziemska słodycz od razu poprawia mu humor. Rozumie, że już powinien wyłuszczyć swą sprawę, czas najwyższy, więc przełyka słodkości i przechodzi do rzeczy; zanim skończy, już wie jednak, że wyrwał się za wcześnie i wiele tu nie wskóra.

Może poznaje to po nagłej zmianie w zachowaniu Hryćka. Dałby też głowę, że do tego, co tłumaczy, chłopak dorzuca coś od siebie. Nie wie tylko, czy są to jakieś ostrzeżenia, czy przeciwnie – coś, co ma wspierać księdza. Elisza Szor cofa się nieznacznie na krześle, odchyla głowę do tyłu i przymyka oczy, jakby udawał się na konsultacje do swojej wewnętrznej ciemności.

Trwa to aż do momentu, gdy – wbrew swej woli – ksiądz wymienia porozumiewawcze spojrzenie z młodym tłumaczem.

– Rabbi słucha głosów starszych – mówi szeptem tłumacz, a ksiądz kiwa głową jakby ze zrozumieniem, chociaż nie rozumie. Może rzeczywiście ten Żyd ma jakiś magiczny kontakt z różnymi diablikami, mało to ich wśród Żydów, te wszystkie lamie i lility. To wahanie Szora i jego zamknięte oczy przekonują księdza, że lepiej by było, gdyby tu w ogóle nie przychodził. Sytuacja jest delikatna i nietypowa. Oby nie naraził się na infamię.

Szor wstaje i odwraca się do ściany, spuszcza głowę i stoi tak przez chwilę. Ksiądz zaczyna się niecierpliwić – czy to znak, że ma odejść? Hryćko też przymknął oczy i jego długie młodzieńcze rzęsy rzucają teraz cień na pokryte miękkim zarostem policzki. Może oni posnęli? Ksiądz chrząka cicho, ich milczenie odebrało mu resztki pewności siebie. Już żałuje, że tu przyszedł.

Nagle Szor, jak gdyby nigdy nic, rusza w kierunku szaf i otwiera jedną z nich. Z namaszczeniem wyciąga gruby foliał, opatrzony tymi

samymi symbolami co wszystkie inne książki, i kładzie go na stole przed księdzem. Otwiera książkę od tyłu i przewraca kartę. Ksiądz widzi pięknie wykonaną stronę tytułową...

– Sefer ha-Zohar – mówi nabożnie i chowa księgę z powrotem do szafy.

– Kto by to księdzu przeczytał... – odzywa się Hryćko pocieszająco.

Ksiądz zostawia na stole u Szora dwa tomy swoich *Nowych Aten* na zachętę do przyszłej wymiany. Puka w nie wskazującym palcem, potem pokazuje na siebie – mierzy w sam środek swoich piersi: Ja to napisałem. Powinni to przeczytać, gdyby znali język. Wiele by się o świecie dowiedzieli. Czeka na reakcję Szora, ale on tylko lekko unosi brwi.

Ksiądz Chmielowski i Hryćko wychodzą razem w chłodne, nieprzyjemne powietrze. Hryćko coś tam jeszcze plecie, ksiądz zaś patrzy na niego uważnie – na jego młodą twarz z zaczątkami przyszłego zarostu i długie, wywinięte rzęsy, które nadają mu trochę dziecinny wygląd, wreszcie na jego chłopskie ubranie.

– Tyś Żyd?

– E, nie... – odpowiada Hryćko, wzruszając ramionami. – Ja stąd, z Rohatyna, o, z tego domu. Niby prawosławny.

– To skąd znasz ich mowę?

Hryćko przysuwa się bliżej i idzie prawie ramię w ramię z księdzem, wyraźnie czuje się zachęcony do tej poufałości. Mówi, że jego ojciec i matka umarli na zarazę w 1746 roku. Prowadzili z Szorami interesy, ojciec był rzemieślnikiem, garbował skóry, a kiedy umarł, Szor wstawił się za Hryćkiem, jego babką i młodszym bratem, Ołesiem, wykupił długi ojca i roztoczył opiekę nad trójką sąsiadów. No i tak żyją w sąsiedztwie, ma teraz do czynienia więcej z Żydami niż ze swoimi, i jakoś sam nie wie, kiedy pojął ten ich język, i mówi nim jak swoim, płynnie, co często się przydaje w różnych sprawach i interesach, bo Żydzi, zwłaszcza ci starsi, niechętnie podchodzą do polskiego i rusińskiego. Żydzi nie są tacy, jak o nich mówią, a Szorowie w szczególności. Jest ich dużo i dom

mają ciepły, gościnny, zawsze dadzą coś do jedzenia i kieliszek wódki, gdy zimno. Teraz Hryćko uczy się rzemiosła swojego ojca, żeby po nim przejąć garbarstwo, zawsze na to będzie zapotrzebowanie.

– A nie masz ty jakiej chrześcijańskiej rodziny?

– Ano mam, ale daleko i nie bardzo się o nas troszczy. O, a to jest mój brat, Ołeś. – Podbiega do nich chłopczyk może ośmioletni, cały piegowaty. – Niech się ksiądz dobrodziej tak nie trapi o nas niepotrzebnie – mówi wesoło Hryćko. – Bóg stworzył człowieka z oczami z przodu, a nie z tyłu głowy, co znaczy, że człowiek ma się zajmować tym, co będzie, a nie tym, co było.

Ksiądz istotnie uznaje to za dowód przemyślności Boga, choć nie przypomina sobie, gdzie w Piśmie to zostało powiedziane.

– Naucz się przy nich języka, to będziesz tłumaczyć te księgi.

– A gdzie tam, proszę waszmości, mnie do książek nie ciągnie. Nudzi mnie czytanie. Ja bym się raczej handlem zajął, to mi się podoba. Najlepiej końmi. Albo jak Szorowie: wódką i piwem.

– Oj, toś ty się już zbiesił przy nich... – mówi ksiądz.

– A co to, gorsze one od innych towarów? Ludzie pić potrzebują, bo życie ciężkie.

Plecie jeszcze coś, idąc za księdzem, choć ksiądz już chętnie by się go pozbył. Benedykt Chmielowski staje twarzą w stronę jarmarku i szuka wzrokiem Roszka, najpierw przy kożuszkach, a potem po całym targowisku, ale ludzi jeszcze przybyło i właściwie nie ma szans odnaleźć furmana. Postanawia więc iść sam do kolaski. Tłumacz zaś tak mocno wszedł w swoją rolę, że jeszcze mu wyjaśnia niektóre sprawy, zadowolony widocznie, że może. Mówi więc, że szykuje się wielkie wesele w domu Szorów, bo syn Eliszy (ten, którego ksiądz widział w sklepie, ów niby Jeremiasz, a w rzeczywistości Izaak), żeni się z córką Żydów morawskich. Wkrótce przybędzie cała ich familia i wielu krewnych z okolicy, z Buska, Podhajec, Jezierzan i Kopyczyniec, a także ze Lwowa i może nawet z Krakowa, choć późna pora roku i według niego, Hryćka, lepiej brać śluby latem. I mówi Hryćko gaduła, że dobrze by było, gdyby i ksiądz mógł przyjść na taki ślub, a potem widocznie

sobie to wyobraża, bo wybucha śmiechem, tym samym, który ksiądz wziął najpierw za szyderczy. Dostaje grosz.

Hryćko patrzy na grosz i znika w jednej chwili. Ksiądz stoi, zaraz jednak zanurzy się w jarmark jak we wzburzoną wodę i utonie w nim, podążając za smakowitym zapachem sprzedawanych gdzieś tutaj pasztetów.

2

O fatalnym resorze i kobiecej chorobie Katarzyny Kossakowskiej

W tym samym czasie kasztelanowa kamieniecka Katarzyna Kossakowska, z domu Potocka, i towarzysząca jej znajoma starsza dama, które są już od kilku dni w podróży z Lublina do Kamieńca, właśnie wjechały do Rohatyna. Godzinę za nimi jadą wozy z kuframi, w nich stroje, pościel oraz zastawa, tak żeby, gdy przyjdzie stanąć w gościnie, mieć swoją porcelanę i swoje sztućce. Choć specjalnie rozsyłani posłańcy zawiadamiają z wyprzedzeniem rodzinę i przyjaciół w posiadłościach, do których zbliżają się kobiety, czasami nie udaje im się dotrzeć na bezpieczny i komfortowy nocleg. Wtedy pozostają zajazdy i gospody, w których jedzenie bywa nietęgie. Pani Drużbacka, mająca już swoje lata, ledwie żyje. Skarży się na niestrawność, zapewne dlatego, iż każdy posiłek zaraz zostaje wytrzęsiony w żołądku niczym śmietana w maślnicy. Zgaga to jednak nie choroba. Gorzej jest z kasztelanową Kossakowską – od wczoraj boli ją brzuch i teraz siedzi w kącie powozu zupełnie bez sił, za to zimna, mokra i tak bardzo blada, że Drużbacka zaczyna obawiać się o jej życie. Dlatego szukają pomocy tutaj, w Rohatynie, gdzie starostą jest Szymon Łabęcki, spowinowacony z rodziną kasztelanowej, jak każdy znaczniejszy człowiek na Podolu.

Jest dzień targowy i łososiowa kareta na resorach ozdobiona miękkim złotawym ornamentem, z herbem Potockich wymalowanym na drzwiczkach, ze stangretem na koźle i obstawą mężczyzn w jaskrawych mundurach już od rogatek wzbudza w miasteczku niemałą sensację. Kareta co chwilę staje, bo droga jest zatarasowana przez pieszych i zwierzęta. Nie pomaga strzelanie z bata nad głowami. Dwie kobiety ukryte w środku pojazdu płyną w nim niczym w drogocennej muszli przez wzburzone wody wielojęzycznego, rozjarmarkowanego tłumu.

W końcu kareta, co było w tym tłoku do przewidzenia, nadziewa się na jakiś dyszel, pęka resor, to nowe udogodnienie, które teraz tylko komplikuje podróż, i kasztelanowa spada z siedzenia na podłogę, a jej twarz wykrzywia się z bólu. Drużbacka, klnąc, wyskakuje wprost w błoto i sama zaczyna szukać pomocy. Najpierw zwraca się do dwóch kobiet z koszami, ale one chichoczą i uciekają, gadając między sobą po rusińsku, potem chwyta za rękaw Żyda w czapie i płaszczu – ten stara się ją zrozumieć, a nawet odpowiada coś w swoim języku i pokazuje gdzieś w dół miasteczka, w stronę rzeki. Wtedy zniecierpliwiona Drużbacka staje na drodze dwóch dobrze wyglądających kupców, którzy wysiedli właśnie z kocza i podeszli ku zbiegowisku, ale ci okazują się chyba Ormianami, będącymi tu przejazdem. Kręcą tylko głowami. A zaraz obok nich Turcy przyglądają się Drużbackiej jakoś ironicznie, jak jej się wydaje.

– Czy ktoś tu mówi po polsku?! – krzyczy więc, zła na ten tłum wokół i na to, gdzie się znalazła. Niby to jedno królestwo, ta sama Rzeczpospolita, ale tutaj jakaś zupełnie inna niż w Wielkopolsce, z której pochodzi. Tu dziko, twarze obce, egzotyczne, ubiory komiczne, jakieś strzępiące się sukmany, jakieś czapy futrzane i turbany, bose stopy. Domy zgarbione, malutkie i z gliny, nawet przy rynku. Woń słodu i łajna, wilgotny zapach opadłych liści.

W końcu widzi przed sobą drobnego, starszego księdza, całkiem siwego, w niezbyt porządnym płaszczu, z torbą na ramieniu, który patrzy na nią wytrzeszczonymi oczami, zupełnie zaskoczony. Chwyta go za poły płaszcza i potrząsa nim, sycząc przez zęby:

– Na zmiłowanie boskie, niechże ksiądz powie, gdzie tu jest dom starosty Łabęckiego! I ani słowa! I milczeć o wszystkim!

Ksiądz mruga oczami, przestraszony. Nie wie, czy ma się odezwać, czy nic nie mówić. Może ma ręką wskazać kierunek? Kobieta, która go tak bez pardonu szarpie, jest nieduża, o nieco zaokrąglonych kształtach, ma wyraziste oczy i spory nos; spod czepca wychodzi jej kręcony kosmyk szpakowatych włosów.

– To znaczna osoba i jest incognito – mówi do księdza, wskazując na karetę.

– Incognito, incognito – powtarza przejęty ksiądz. Wyławia z tłumu młodego chłopaka i każe mu prowadzić pojazd do domu starosty. Chłopiec zgrabniej, niż można by się spodziewać, pomaga wyprząc konie, tak żeby dało się zawrócić.

W powozie o zasłoniętych okienkach pojękuje kasztelanowa Kossakowska. Po każdym jęku następuje siarczyste przekleństwo.

O krwi na jedwabiach

Szymon Łabęcki, ożeniony z Pelagią z Potockich, jest kuzynem, dalekim, ale kuzynem Katarzyny Kossakowskiej. Żony nie ma w domu, bawi u rodziny we dworze w pobliskiej wsi. Przejęty niespodziewaną wizytą, pospiesznie zapina z francuska skrojony żakiet i obciąga koronkowe mankiety.

– Bienvenu, bienvenu[1] – powtarza niezbyt przytomnie, gdy służące z Drużbacką wprowadzają kasztelanową na górę, gdzie gospodarz oddał kuzynce najlepsze komnaty. Potem, mamrocząc coś do siebie, posyła po medyka rohatyńskiego Rubina. – Quelque chose de féminin, quelque chose de féminin – powtarza.

Nie jest do końca zadowolony, a właściwie wcale nie jest zadowolony z tej nagłej wizyty. Właśnie wybierał się w pewne miejsce, gdzie regularnie grywa w karty. Sama myśl o grze podnosi mu przyjemnie ciśnienie, to tak, jakby zadziałał mu we krwi najlepszy trunek. Ileż jednak nerwów przez ten nałóg traci! Pociesza się tylko tym, że ludzie znaczniejsi od niego i bogatsi, i większym poważaniem się szczycący do kart zasiadają. Ostatnio grywa z biskupem Sołtykiem, stąd ten lepszy strój. Już miał wyjeżdżać, powóz czekał zaprzężony. A tak – nie pojedzie. Wygra kto inny. Bierze głęboki oddech i zaciera ręce, jakby chciał sobie dodać otuchy – no trudno, zagra innym razem.

Chorą cały wieczór pali gorączka i Drużbackiej się zdaje, że majaczy. Z Agnieszką, damą do towarzystwa pani, kładą jej zimne kompresy na głowę, a potem pospiesznie przywołany medyk ordynuje zioła – teraz

ich zapach, jakby anyżu i lukrecji, unosi się nad pościelą słodką chmurą i chora zasypia. Lekarz każe jej kłaść zimne kompresy na brzuch i na czoło. Uspokaja się cały dom i przygasają świece.

No cóż, nie pierwszy to raz miesięczna przypadłość tak dokucza kasztelanowej i zapewne nie ostatni. Trudno kogoś o to winić, przyczyną jest najpewniej sposób chowania panienek we dworach – w zaduchu, bez wyzwań dla ciała. Dziewczyny siedzą skulone nad tamborkami, wyszywając księżowskie stuły. Dieta we dworach ciężka, mięsna. Mięśnie słabe. Kossakowska na dodatek lubi podróże, całe dnie w powozie, hałas nieustanny i trzepanie. Nerwy i wieczne intrygi. Polityka, bo kimże jest Katarzyna, jak nie posłańcem Klemensa Branickiego; to jego interesy rozgrywa. Robi to dobrze, bo jest w niej męska dusza – tak przynajmniej o niej mówią i się z nią liczą. Ale Drużbacka nie widzi tej „męskości”. Ot, niewiasta, co lubi rządzić. Wysoka, pewna siebie, z mocnym głosem. A mówią jeszcze, że mąż Kossakowskiej, niezbyt wydarzony, malutki pokurcz, jest impotentem. Gdy się o nią starał, to podobno stanął na worku z pieniędzmi, żeby w ten sposób wyrównać brak wzrostu.

Jeżeli nawet z woli boskiej nie są jej pisane dzieci, to wcale nie wygląda na nieszczęśliwą. Plotkują o niej, że gdy kłóci się z mężem, gdy się na niego zdenerwuje, chwyta go wpół i stawia na kominku, skąd on boi się zejść i tak unieruchomiony, musi jej wysłuchać do końca. A dlaczego taka postawna kobieta wybrała sobie takiego konusa? Chyba żeby interesy rodziny umocnić, a interesy umacnia się polityką.

Rozbierały chorą we dwie i z każdą sztuką odzienia z kasztelanowej Kossakowskiej wyłaniała się ta istota o imieniu Katarzyna, a potem nawet Kasia, gdy jęcząc i płacząc, przelewała się ze słabości przez ręce. Doktor kazał wkładać między nogi opatrunki z czystego płótna i dawać chorej dużo pić, wręcz zmuszać ją do picia, zwłaszcza wywarów z jakiejś kory. Jaka chuda wydała się ta kobieta Drużbackiej, a przez to, że chuda – młodziutka, choć ma przecież już ze trzydzieści lat.

Gdy chora usnęła, zajęły się z Agnieszką pokrwawionym strojem, wielkimi plamami krwi – począwszy od bielizny, halek i spódnicy, aż do granatowego płaszcza. Ile się to plam z krwi widziało w życiu, myśli Drużbacka.

Piękna suknia kasztelanowej – gruby atłas, kremowe tło, a na nim z rzadka czerwone kwiatuszki, dzwonki z jednym zielonym listkiem po lewej i jednym po prawej stronie. Wzór radosny i lekki, pasuje do lekko śniadej cery właścicielki i jej ciemnych włosów. Teraz plamy krwi zalały te wesołe kwiatki złowrogą falą. Nieregularne kontury wchłonęły i zniszczyły wszelki porządek. Jakby nieprzyjazne siły skądś wydostały się na powierzchnię.

Istnieje na dworach specjalna nauka – o wywabianiu plam z krwi. Od wieków uczy się tego przyszłe żony i matki. To byłaby najważniejsza sprawa na uniwersytecie dla kobiet, gdyby kiedy miał powstać. Poród, menstruacja, wojna, bójka, zajazd, napad, pogrom – o tym przypomina krew, nieustannie będąc w gotowości tuż pod skórą. Co zrobić z tym wewnętrznym, które ośmieliło się wydostać na zewnątrz, jakim to ługiem zmywać, jakim octem płukać. Może moczyć szmatkę w odrobinie łez i przecierać delikatnie. Albo mocno nasączać śliną. Prześcieradła, pościel, bieliznę, halki, koszule, fartuchy, czepce i chusty, mankiety koronkowe i żaboty, surduty i gorsety. Dywany, deski podłogi, bandaże, prześcieradła, mundury.

Po wyjściu doktora obie kobiety, Drużbacka i Agnieszka, zasypiają ni to klęcząc, ni to siedząc przy łóżku – jedna z głową opartą na własnej dłoni, której ślad przez resztę wieczoru zostanie jej na policzku, druga w fotelu z głową opuszczoną na piersi; od jej oddechu delikatne koronki przy dekolcie poruszają się jak ukwiały w ciepłym morzu.

Biały koniec stołu u starosty Łabęckiego

Dom starosty przypomina zamek. Kamienny, obrośnięty mchem, stoi na starych fundamentach, stąd wilgoć. Na podwórzu z wielkiego kasztana opadają już lśniące owoce, a za nimi podążają żółte liście. Wygląda to tak, jakby podworzec pokrywał piękny pomarańczowozłoty dywan. Ze sporego hallu wchodzi się na salony ledwie umeblowane, ale wymalowane w jasne kolory, z ozdobami na ścianach i suficie. Podłoga z dębowego parkietu wyfroterowana, aż błyszczy. Trwają przygotowania do zimy – w sieni stoją kosze jabłek, które wyniesie się do zimowych

pokoi, by tam pachniały i czekały Bożego Narodzenia. Na podwórzu ruch i rozgardiasz, bo chłopi przywieźli drewno i układają je w sągi. Kobiety wnoszą kosze orzechów, Drużbacka nie może nadziwić się ich wielkości. Rozłupała jeden i ze smakiem je soczysty, miękki miąższ, badając językiem lekką gorycz skórki. Z kuchni dolatuje woń smażonych powideł.

Mija ją na dole medyk, bąka coś pod nosem i idzie na górę. Już się dowiedziała, że ten „saturniczny”, jak go określił starosta, Żyd, doktor kształcony we Włoszech, milczący i duchem nieobecny, cieszy się wielkim poważaniem Łabęckiego, który na tyle długo przebywał we Francji, że pozbawiło go to pewnych przesądów.

Już w południe następnego dnia zjadła Kossakowska trochę rosołu, po czym kazała sobie podłożyć poduszki i podać papier, pióro i atrament.

Katarzyna Kossakowska z domu Potocka, żona kasztelana kamienieckiego, pani wielu wsi i miasteczek, pałaców i dworów, należy do drapieżników. Te, nawet popadłszy w tarapaty, w uścisk sideł kłusownika, rany zaliżą i zaraz wracają do walki. Kossakowska ma instynkt zwierzęcy, jak wadera w stadzie wilków. Nic jej nie będzie. Niech się Drużbacka martwi raczej o siebie. Niech się zastanowi, jakim to ona jest zwierzęciem... Utrzymuje się przy życiu dzięki tym drapieżnikom, służąc im za towarzystwo, zabawiając je fraszkami. Jest oswojoną pliszką, ptaszkiem, który ładnie wyśpiewuje swoje trele, lecz którego zdmuchnie byle wiatr, przeciąg z otwartego przez burzę okna.

Ksiądz przychodzi już po południu, trochę za wcześnie, jest w tym samym płaszczu, ze swoją torbą nadającą się raczej dla wędrownego sprzedawcy niż dla osoby duchownej. Drużbacka wita go już od progu.

– Chciałam księdza dziekana najmocniej przeprosić za to moje raptowne zachowanie. Chyba oberwałam księdzu guziki... – mówi do niego i za łokieć prowadzi go do bawialni, nie wiedząc, co z nim począć. Do stołu będą podawać za jakieś dwie godziny.

– A to simpliciter chwila taka była... Nolens volens przysłużyłem się zdrowiu jaśnie kasztelanowej.

Drużbacka przywykła już do innej trochę polszczyzny na różnych pańskich dworach, więc te wtręty łacińskie tylko ją bawią. Spędziła w nich pół życia jako dama do towarzystwa i sekretarka. Potem wyszła za mąż, urodziła córki, a teraz, po śmierci męża i narodzinach wnucząt, próbuje radzić sobie sama albo przy córkach, bądź też przy pani Kossakowskiej, bądź to jako dama do towarzystwa. Cieszy się, że wraca na magnacki dwór, gdzie tyle się dzieje i gdzie wieczorami czyta się poezje. Ma w swoim bagażu kilka tomików, ale wstydzi się je wyciągać. Nic nie mówi. Raczej słucha, jak się ksiądz rozgadał, i zaraz znajduje z nim wspólny język, mimo tej łaciny; okazuje się bowiem, że ksiądz wizytował niedawno pałac Dzieduszyckich w Cecołowcach i teraz próbuje odtworzyć u siebie na plebanii to, co stamtąd zapamiętał. Uradowany i rozochocony likierem, którego wypił już ze trzy kieliszki, szczęśliwy, że ktoś go słucha, opowiada.

Wczoraj posłano po kasztelana Kossakowskiego do Kamieńca i teraz wszyscy się go lada chwila spodziewają. Pewnie zjawi się tu rano, a może już w nocy.

Przy stole siedzą mieszkańcy i goście domu, stali i tymczasowi. Ci najmniej ważni na szarym końcu, gdzie biel obrusów już nie sięga. Z rezydentów jest tu wuj czy stryj gospodarza, starszy pan, nieco otyły i sapiący, który zwraca się do wszystkich „asindzieju” i „asindziejko”. Są tu też zarządca majątków, nieśmiały wąsaty mężczyzna słusznej postury, oraz dawny nauczyciel religii dzieci Łabęckich, wielce wykształcony bernardyn ksiądz Gaudenty Pikulski. Tego od razu zagarnia ksiądz Chmielowski, który wiedzie go w róg pokoju, żeby pokazać mu żydowską książkę.

– Zamieniłem się, ja mu dałem moje *Nowe Ateny*, a on mnie Zohar – mówi z dumą ksiądz Chmielowski i wyciąga z torby księgę. – Prośbę miałbym – dodaje bezosobowo – gdyby znalazło się trochę czasu, żeby mi to i owo z tej książki przepowiedzieć...

Pikulski ogląda księgę, otwiera ją od tyłu i czytając, porusza wargami.

– To żaden Zohar – mówi.

– Jakżeż to? – ksiądz Chmielowski nie rozumie.

– A to Szor wcisnął ojcu jakieś bajki żydowskie. – Sunie palcem od prawej do lewej po ciągu niezrozumiałych znaczków. – *Oko Jakuba*. Tak się nazywa, to takie opowiastki dla ludu.

– A to stare Szorzysko... – Kiwa głową ksiądz, rozczarowany. – Pewnie się pomylił. No cóż, chyba i tu znajdę trochę jakiej mądrości. O ile mi to kto przetłumaczy...

Starosta Łabęcki daje znak ręką i dwóch służących wnosi tace z likierem i maleńkie kieliszki oraz talerzyk z cieniutko krojonymi skórkami od chleba. Kto chce, może sobie w ten sposób zaostrzyć apetyt, bo potem podany posiłek będzie już ciężki i obfity. Najpierw idzie zupa, a następnie pokrojona w nieregularne plastry gotowana wołowina wraz z innymi mięsami – pieczenią wołową, dziczyzną i kurczętami; do tego marchew gotowana, kapusta z boczkiem i miski kaszy bogato okraszonej tłuszczem.

Ksiądz Pikulski przy stole nachyla się do księdza Benedykta i mówi półgłosem:

– Niechże ksiądz do mnie wpadnie, mam ja i po łacinie żydowskie księgi, a i w hebrajskim mogę pomóc. Po co od razu do Żydów chodzić?

– Sameś mi, synu, radził – odpowiada ksiądz Benedykt, nieco zirytowany.

– Dla żartu mówiłem. Nie sądziłem, że ksiądz pójdzie.

Drużbacka je powściągliwie; wołowina nie służy jej zębom, wykałaczek zaś nie widzi. Dziubie kurczę z ryżem i spod oka przygląda się dwom młodym służącym, widać jeszcze nieobytym z nową pracą, bo stroją do siebie przez stół miny i błaznują, myśląc, że goście, zajęci jedzeniem, niczego nie dojrzą.

Kossakowska niby słaba, ale każe swoje łoże w kącie pokoju obstawić świecami i podać sobie ryżu tudzież mięsa z kury. Zaraz potem prosi o węgrzyna.

– To już najgorsze za waćpanią, skoro po wino sięgasz – mówi Łabęcki z ledwie wyczuwalną w głosie ironią. Wciąż jest poirytowany, że na karty nie pojechał. – Vous permettez?[2] – Wstaje, by z nieco przesadnym ukłonem dolać kasztelanowej wina. – Zdrowie waćpani.

– A ja winnam wypić zdrowie tego medyka, bo mnie na nogi postawił swoją miksturą – mówi Kossakowska i pociąga spory łyk.

– C’est un homme rare – stwierdza gospodarz. – Dobrze wykształcony Żyd, choć mnie z podagry wyleczyć nie potrafi. Studiował w Italii. Ponoć igłą zdejmuje z oka zaćmę i tym samym przywraca wzrok, tak właśnie było z jedną z okolicznych szlachcianek, która teraz wyszywa najdrobniejsze ściegi.

Odzywa się znowu Kossakowska ze swojego kąta. Zjadła już i leży oparta o poduszki, cokolwiek blada. Jej twarz oświetlona drgającym światłem świec porusza się jakby w jakimś grymasie:

– Pełno Żydów teraz wszędzie, tylko patrzeć, jak nas tu zjedzą z kopytami – mówi. – Panom nie chce się pracować i o własne majątki dbać, to dają je Żydom w arendę, a sami używają życia w stolicy. I patrzę, a tu Żyd mostowym jest, a tu majątek ziemski prowadzi, a tu buty i ubranie szyje, całe rzemiosło wziął.

W czasie obiadu rozmowy schodzą na gospodarkę, która tu, na Podolu, zawsze kuleje, a przecież wielkie jest bogactwo tej ziemi. Można by zrobić z niej kwitnący kraj. Te potaże, saletry, miody. Woski, łoje, płótna. Tytoń, skóry, bydło, konie, mnóstwo tego jest i nie znajduje zbytu. A dlaczego? – dopytuje się Łabęcki. Bo Dniestr jest płytki, posiekany porohami, drogi byle jakie, wiosną po roztopach prawie nieprzejezdne. Jak tu handlować, gdy przez granice bezkarnie przechodzą bandy tureckie i łupią podróżnych, tak że ze zbrojnymi jeździć trzeba, wynajmować ochronę.

– Kto ma na to pieniądze? – skarży się Łabęcki i marzy, żeby było jak w innych krajach, żeby handel kwitł i bogactwo ludzi rosło. Tak jak to jest we Francji, a przecież wcale ziemi lepszej tam nie ma, ani rzeki nie lepsze. Kossakowska twierdzi, że to wina panów, którzy płacą chłopom wódką, nie pieniędzmi.

– A ty, pani, wiesz, że to u Potockich w ich dobrach chłop ma już tyle dni w roku pańszczyzny, że na swoim może pracować tylko w soboty i niedziele?

– U nas i piątek mają wolny – odcina się Kossakowska. – A bo i marnie pracują. Połowę urodzaju daje się robotnikowi za zbiór drugiej

połowy, a i tak te hojne dary nieba nie mogą być spożytkowane. U mojego brata stoją do dziś ogromne stogi, pasą się na nich robaki i nie ma sposobu, by je sprzedać.

– Tego, kto wpadł na pomysł, by zboże przepalać na wódkę, powinno się ozłocić – mówi Łabęcki i ściągając serwetę spod brody, daje znak, żeby dobrym zwyczajem przejść na fajki do biblioteki. – Teraz całe galony wódki jadą na wozach na drugą stronę Dniestru. Co prawda Koran zabrania pić wina, ale o wódce nic nie mówi. Zresztą niedaleko jest ziemia hospodara mołdawskiego, a tam chrześcijanie mogą smakować trunku do woli... – Śmieje się, odsłaniając żółte od tytoniu zęby.

Starosta Łabęcki nie jest byle kim. W bibliotece na honorowym miejscu leży jego książka: *Instrukcye dla młodych Panow przez Iegomości Pana Dela Chetardie Káwálerá w woysku y ná Dworze Krolewskim we Fráncyi dobrze zásłużonego opisane, a tu krotko zebráne, w ktorych młody Pan pyta się y odbiera odpowiedzi. Przy ostátnim Szkołom Lwowskim Vale od Wielmożnego IMci Pana Szymona Łabęckiego Starosty Rohatyńskiego ná upominek swoim kollegom zostáwione y do druku podane*.

Gdy go Drużbacka grzecznie dopytuje, o czymże to książka, wychodzi na jaw, że to chronologia znaczniejszych batalii i że, co się okazuje po dłuższej przemowie Łabęckiego, jest to bardziej tłumaczenie niż oryginalnie napisane przez niego dzieło. Co po prawdzie nie wynika z tytułu.

Potem muszą wszyscy w palarni wysłuchać – i damy także, bo obie palaczki namiętne – jak to starosta Łabęcki wygłaszał mowę uroczystą na otwarciu biblioteki Załuskich.

Gdy wywołują starostę, bo przyszedł lekarz na zabiegi, rozmowa schodzi na Drużbacką i Kossakowska przypomina, że jest ona poetką, czemu bardzo grzecznie dziwi się ksiądz dziekan Chmielowski, lecz po prezentowaną książeczkę chciwie wyciąga rękę. Zadrukowane kartki budzą w nim jakiś odruch trudny do opanowania – złapać i nie wypuścić, dopóki oczy nie zapoznają się, choćby pobieżnie, z całością. Tak jest i teraz, otwiera, zbliża do światła, żeby lepiej się przyjrzeć tytułowej stronie.

– To rymy – mówi rozczarowany, ale szybko się mityguje i kiwa głową z uznaniem. *Zbiór rytmów duchownych, panegirycznych, moralnych i światowych...* Nie podoba mu się, że to wiersze, nie rozumie ich, ale wartość tomiku wzrasta, gdy ksiądz widzi, że wydali to bracia Załuscy.

Zza niedomkniętych drzwi słychać głos starosty, nagle jakiś taki pokorny:

– Aszerze złoty, to choróbsko mi życie obrzydza, boli paluch, zróbże coś z tym, kochaneńki.

I zaraz słychać inny głos, niski, z żydowskim akcentem:

– Ja się waćpana zrzeknę leczyć. Waćpan miałeś nie pić wina i nie jeść mięsa, zwłaszcza czerwonego, a nie słuchasz doktora, to i boli, i boleć będzie. Siłą leczyć nie zamierzam.

– No, nie obrażaj się, przecież to nie twoje paluchy, ale moje... A to ci medyk diabelski... – Niknie gdzieś w dali, widocznie odeszło tych dwóch w głąb domu.

3

O Aszerze Rubinie i jego mrocznych myślach

Aszer Rubin wychodzi z domu starosty i kieruje się w stronę rynku. Niebo się wieczorem rozpogodziło i świeci teraz milion gwiazd, ale ich światło jest zimne i sprowadza na ziemię, tu, do Rohatyna, przymrozek, pierwszy tej jesieni. Rubin podciąga poły swojego czarnego wełnianego płaszcza i otula się nimi – wysoki i chudy, wygląda teraz jak pionowa kreska. W mieście jest cicho i zimno. Słabe światełka majaczą gdzieś z okien, ale ledwie je widać, wydają się złudzeniem, łatwo można je pomylić ze śladem słońca na tęczówce oka, który pozostał tam z bardziej słonecznych dni i jego pamięć powraca, zaczepiając o wszystkie oglądane przedmioty. Rubina bardzo interesuje to, co widzimy pod powiekami, i chciałby wiedzieć, skąd to się bierze. Czy z zanieczyszczeń na gałce ocznej? A może oko jest czymś w rodzaju laterna magica, którą widział we Włoszech.

Myśl, że to wszystko, co teraz dostrzega: ciemność przetykana ostrymi punktami gwiazd nad Rohatynem, zarysy domów, małych, pochylonych, bryła zamku i niedaleko ostra wieża kościoła, niewyraźne światełka, niczym zjawy, ukośnie, jakby w geście protestu wystrzelony w niebo żuraw studzienny, a może i to, co słyszy: szmer wody gdzieś w dole i jeszcze leciutkie skrzypienie ściętych przez mróz liści, że wszystko to pochodzi z jego głowy – ta myśl budzi w nim dreszcz podniecenia. A co jeżeli to wszystko sobie wyobrażamy? A co jeżeli każdy widzi inaczej? Czy kolor zielony jest w istocie tak samo odbierany przez wszystkich? A może to tylko nazwa „zielony”, którą niczym farbą pokrywamy zupełnie różne doznania i komunikujemy się tak, choć w rzeczywistości widzimy każdy co innego? Czy jest jakiś sposób, żeby to sprawdzić? A co by było, gdyby naprawdę o t w o r z y ć oczy? Gdyby u j r z e ć jakimś cudem to prawdziwe, co nas otacza? Co by to było?

Aszer często miewa takie myśli i wtedy ogarnia go lęk.

Zaczynają szczekać psy, słychać podniesione męskie głosy, krzyki, to pewnie przy zajeździe na rynku. Medyk wchodzi między żydowskie domy, mija z prawej strony dużą, ciemną bryłę synagogi. Od rzeki, z dołu, dolatuje zapach wody. Rynek rozdziela dwie grupy rohatyńskich Żydów, skłócone ze sobą, wrogie.

Na kogo oni czekają? – myśli. Kto ma przyjść i uratować świat?

I jedni, i drudzy. Ci wierni Talmudowi, ściśnięci w Rohatynie do kilku zaledwie domów, jak w oblężonej twierdzy, i ci heretycy, odszczepieńcy, do których w głębi serca czuje jeszcze większą awersję, unurzani w mistycznych bajaniach, zabobonni i prymitywni, poobwieszani amuletami, z chytrym, tajemniczym uśmieszkiem, jak stary Szor. Ci wierzą w Mesjasza zbolałego, takiego, co upadł najniżej, bo tylko z najniższego można podnieść się w najwyższe. Wierzą w Mesjasza oberwańca, który już przyszedł prawie sto lat temu. Świat już został zbawiony, choć może na pierwszy rzut oka tego nie widać, a ci, co wiedzą, że tak jest, powołują się na Izajasza. Ignorują szabat i cudzołożą – grzechy są dla jednych niezrozumiałe, dla innych banalne, tak że nie warto sobie nimi zaprzątać głowy. Ich domy w górnej części rynku stoją tak blisko siebie, że wydaje się, iż fasady zlewają się ze sobą, tworząc jeden ciąg, solidarny i mocny niczym kordon.

Tam właśnie Aszer idzie.

A znowu rabin rohatyński, chciwy despota, rozstrzygający wiecznie jakieś małe, absurdalne sprawy, też go często przyzywa na drugą stronę. Niby Aszera Rubina nie ceni, bo ten do synagogi rzadko chodzi, ubiera się nie po żydowsku, tylko tak pomiędzy, na czarno, w skromny surdut, i nosi stary włoski kapelusz, po czym go wszyscy w miasteczku rozpoznają. U rabina w domu jest chory chłopczyk, nogi ma powykręcane, i Aszer pomóc mu nie potrafi. Właściwie to życzy mu śmierci, żeby to dziecięce niezawinione cierpienie szybko się skończyło. Tylko z powodu tego chłopca ma dla rabina trochę współczucia, bo człowiek to próżny i małoduszny.

Jest pewny, iż rabin chciałby, żeby Mesjasz to był król na białym koniu, wjeżdżający do Jerozolimy w złotej zbroi, może i z wojskiem, z wojownikami, którzy wraz z nim obejmą władzę i zaprowadzą na świecie ostateczny porządek. Żeby był podobny do jakiegoś sławnego

generała. Odbierze panom tego świata władzę, poddadzą mu się wszelkie narody bez walki, królowie płacić mu będą daniny, a nad rzeką Sambation spotka dziesięć zagubionych plemion izraelskich. Świątynia Jerozolimska w gotowej postaci zostanie spuszczona z nieba i tego samego dnia zmartwychwstaną ci, którzy są pochowani w Ziemi Izraela. Aszer uśmiecha się pod nosem, przypominając sobie, że ci, którzy umarli poza Ziemią Świętą, zmartwychwstać mają dopiero czterysta lat później. Jako dziecko w to wierzył, choć wydawało mu się to okrutnie niesprawiedliwe.

Jedni i drudzy oskarżają się nawzajem o największe grzechy i toczą ze sobą podjazdową wojnę. I jedni, i drudzy są żałośni, myśli. Właściwie to jest mizantropem – dziwne, że został lekarzem. W gruncie rzeczy ludzie go drażnią i rozczarowują.

Co do grzechów, to wie o nich więcej niż ktokolwiek inny. Grzechy zapisują się bowiem na ludzkim ciele jak na pergaminie. Niewiele różni się ten pergamin u poszczególnych ludzi, a i grzechy są zdumiewająco podobne.

Ul pszczeli, czyli dom i rodzina Szorów rohatyńskich

W domu Szorów przy rynku i jeszcze w kilku innych – bo rodzina Szorów jest duża i rozgałęziona – trwają przygotowania do wesela. Żeni się jeden z synów.

Elisza ma ich pięciu, a do tego jedną córkę, najstarsze z dzieci. Pierwszy jest Salomon, już trzydziestoletni, podobny do ojca, rozważny i milczący. Można na nim polegać, więc cieszy się wielkim poważaniem. Jego żona, zwana Chajkełe w odróżnieniu od dużej Chai, siostry Salomona, spodziewa się właśnie kolejnego dziecka. Pochodzi z Wołoszczyzny, jej uroda przyciąga wzrok nawet teraz, gdy jest w ciąży. Układa śmieszne piosenki, które sama śpiewa. Spisuje też opowieści dla kobiet. Natan, dwudziestoośmioletni, o szczerej, łagodnej twarzy, jest biegły w handlu z Turkami, ciągle w drodze; robi dobre interesy, choć mało kto wie jakie. Rzadko bywa w Rohatynie, ale na wesele przyjechał.

Jego żona, dama ubrana bogato i wytwornie, pochodzi z Litwy i patrzy z góry na rohatyńską rodzinę. Ma bujne włosy uczesane wysoko i wciętą suknię. Powóz, który stoi na podwórku, należy do nich. Potem jest Jehuda, żywiołowy i dowcipny. Miewają z nim kłopot, bo trudno utrzymać w ryzach jego gwałtowną naturę. Ubiera się z polska i nosi szablę. Bracia mówią na niego „Kozak". Ten ma interes w Kamieńcu – aprowizuje fortecę, co mu daje niezły dochód. Jego żona zmarła niedawno przy porodzie, dziecko też się nie uchowało; ma dwoje szkrabów z tego związku. Widać, że rozgląda się już za nową partią, a wesele będzie ku temu dobrą okazją. Podoba mu się najstarsza córka Moszego z Podhajec, ma teraz czternaście lat, akurat tyle, żeby iść za mąż. Mosze zaś jest zacnym człowiekiem, bardzo uczonym; zajmuje się kabałą, zna na pamięć cały Zohar i potrafi „przenikać tajemnicę", cokolwiek to dla Jehudy znaczy. Dla niego, prawdę mówiąc, nie jest to tak ważne jak uroda i inteligencja dziewczyny, której ojciec kabalista dał na imię Małka, królowa. Najmłodszy z synów Szora, Wolf, ma siedem lat. Jego szeroka, radosna twarz obsypana piegami pojawia się zawsze przy ojcu.

Panem młodym jest ów Izaak nazwany przez księdza Chmielowskiego Jeremiaszem. Liczy sobie szesnaście lat, a oprócz tego, że jest wysoki i niezgrabny, nie ma jeszcze zbyt wielu cech szczególnych. Jego przyszła żona, Frejna, pochodzi z Lanckorunia – to krewna Hirsza, rabbiego lanckoruńskiego, męża Chai, córki Eliszy Szora. Wszyscy tutaj, w tym niskim, ale rozległym domu stanowią rodzinę, wiążą ich ze sobą pokrewieństwo, powinowactwo, interesy handlowe, żyrowane pożyczki, pożyczane fury.

Aszer Rubin bywa tu dość często. Wzywa się go do dzieci, ale też do Chai. Ona ma zawsze niezwykle tajemnicze choroby, którym on poradzić nie umie inaczej, jak tylko rozmawiając z nią. Właściwie to lubi te odwiedziny u Chai. To jedyna rzecz, o której mógłby tak powiedzieć. I to zazwyczaj Chaja się upiera, żeby go zawezwać, bo nikt w tym domu nie wierzy w żadną medycynę. Rozmawiają, po czym dolegliwość przechodzi. Czasem myśli, że ona jest jak ta traszka, co sama na siebie przywołuje różne kolory, żeby się lepiej ukryć przed napastnikiem albo wydać się czymś innym. Chaja więc a to ma

wysypkę, a to oddychać czemuś nie może, a to krwawi z nosa. Wszyscy wierzą, że to z powodu duchów, dybuków, demonów czy też bałakaben, czyli kulawych istot z podziemia pilnujących skarbów. Jej choroba jest zawsze znakiem i poprzedza prorokowanie. Wtedy Aszera odsyłają. Nie jest już im potrzebny.

Aszer myśli rozbawiony, że u Szorów mężczyźni robią interesy, a kobiety prorokują. Co druga z nich to prorokini. I pomyśleć: w swojej berlińskiej gazecie czytał dzisiaj, jak to w dalekiej Ameryce udowodniono, że piorun jest zjawiskiem elektrycznym i dzięki prostemu drutowi można się uchronić od Bożego gniewu.

Lecz tutaj taka wiedza nie dochodzi.

Teraz, po ślubie, Chaja przeniosła się do męża, ale często tu bywa. Wydali ją za rabina z Lanckorunia, człowieka swojego, przyjaciela ojca, sporo od niej starszego i Chaja już ma z nim dwoje dzieci. Ojciec i zięć są jak dwie krople wody: brodaci, posiwiali, o zapadniętych policzkach, w których chowa się cień niskiej izby, gdzie przeważnie urzędują. Ten cień noszą na twarzy wszędzie.

Chaja, gdy wróży, wpada w trans – bawi się wówczas małymi figurkami z chleba czy gliny, które rozstawia na własnoręcznie wymalowanej planszy. I wtedy wieszczy przyszłość. Potrzebny jest jej ojciec, który przybliża ucho do jej warg, tak blisko, że wygląda, jakby dziewczyna je lizała, i słucha z zamkniętymi oczami. Potem przekłada usłyszane z języka duchów na język ludzki. Wiele rzeczy się zgadza, ale wiele nie. Aszer Rubin nie wie, jak to tłumaczyć, i nie wie, co to za choroba. Z tego powodu, że nie wie, jest mu nieprzyjemnie i stara się o tym nie myśleć. Oni zaś mówią o tym wróżeniu: ibbur, co znaczy, że nawiedza ją dobry, święty duch i daje jej wiedzę zazwyczaj ludziom niedostępną. Aszer czasem upuszcza jej po prostu krwi; stara się przy tym nie patrzeć jej w oczy. Wierzy, że ten zabieg ją oczyszcza, ciśnienie w żyłach słabnie i krew nie uderza do mózgu. Chaja ma w rodzinie posłuch wcale nie mniejszy niż jej ojciec.

Teraz jednak wezwali Aszera Rubina do umierającej starej kobiety, która przyjechała do nich jako gość weselny. Po drodze tak osłabła, że musieli położyć ją do łóżka; boją się, że umrze w samo wesele. Więc Aszer raczej dziś Chai nie zobaczy.

Wchodzi przez błotniste, ciemne podwórko, na którym wiszą głowami w dół świeżo zabite gęsi tuczone całe lato. Idzie przez wąską sień, czując zapach smażonych kotletów i cebuli, słyszy, jak tłuką gdzieś pieprz w moździerzu. Kobiety hałasują w kuchni, skąd w zimne powietrze wzbija się ciepła para z gotowanych potraw, a wraz z nią zapachy octu, gałki muszkatołowej, liści laurowych, a także woń świeżego mięsa, słodka i mdląca. Przy tym wszystkim jesienne powietrze wydaje się tym bardziej chłodne i nieprzyjemne.

Mężczyźni za drewnianą ścianą rozmawiają dość gwałtownie, jakby się kłócili – słychać ich głosy, czuć też zapach wosku i wilgoci, jaką przesiąknięte są ich ubrania. Pełno ich tu dzisiaj, dom jest zatłoczony.

Aszera mijają dzieci; szkraby nie zwracają na niego uwagi, podekscytowane bliskim już świętem. Aszer Rubin przechodzi przez drugie podwórko, oświetlone słabo jedną pochodnią, stoją tam koń i wóz. Ktoś, kogo Rubin nie widzi, w ciemności wyładowuje z wozu worki i wnosi je do komory. Po chwili Aszer dostrzega jego twarz i mimowolnie się wzdraga – to ten biegun, chłop, co go starszy Szor zimą wyciągnął półżywego ze śniegu z odmrożoną twarzą.

W progu natyka się na lekko podpitego Jehudę, na którego cała rodzina woła Lejbe. Zresztą i on nie nazywa się Rubin, tylko Aszer ben Lewi. Teraz, w mroku i w ciżbie gości, imiona wydają się jednak czymś płynnym, zmiennym i drugorzędnym. W końcu wszyscy nosić je będą niedługo. Jehuda bez słowa prowadzi go w głąb domu i otwiera drzwi do małej izby, gdzie pracują młode kobiety, a na łóżku przy piecu leży wsparta na poduszkach stara, zasuszona kobieta. Pracujące witają go hałaśliwie i ciekawie zawisają nad łóżkiem, żeby popatrzeć, jak będzie badał Jentę.

Jest drobna i chuda jak stara kura, a jej ciało wiotkie. Wypukła ptasia klatka piersiowa unosi się i opada szybko jak u dziecka. Wpółotwarte usta, obciągnięte wąziutkimi wargami, zapadają się do środka. Jednak ciemne oczy uważnie śledzą ruchy medyka. Kiedy po przegonieniu wszystkich ciekawskich z pokoju unosi przykrycie, widzi całą jej postać wielkości dziecka i kościste dłonie pełne sznureczków i rzemyków.

Otulili ją wilczymi skórami po szyję. Wierzą, że skóra z wilka grzeje i przywraca siły.

Jak można było ciągnąć ze sobą tę staruszkę, której zostało ledwie trochę życia, myśli Aszer. Podobna jest do starego, zeschniętego grzyba, ma brązową, pomarszczoną twarz, a światło świec rzeźbi ją jeszcze bardziej i okrutniej, tak że powoli przestaje wyglądać jak ludzka. Aszer ma wrażenie, że za chwilę stanie się nieodróżnialna od dzieł natury – kory drzewa, szorstkiego kamienia i sękatego drewna.

Widać, że starą kobietę otoczono tu dobrą opieką. W końcu, jak powiedział Aszerowi Elisza Szor, ojciec Jente i dziadek Eliszy Szora, Zalman Naftali Szor, ten sam, który napisał sławną książkę *Tewuat Szor*, byli braćmi. Nie ma się co dziwić, że i ona przyjechała na wesele krewnego, skoro będą tu kuzyni z Moraw i z dalekiego Lublina. Aszer kuca przy niskim łóżku i od razu czuje zapach soli z ludzkiego potu oraz – zastanawia się przez chwilę, szukając właściwego określenia – dziecka. W jej wieku zaczyna się mieć taki sam zapach, jaki mają dzieci. Wie, że nic tej kobiecie nie jest, ona po prostu umiera. Bada ją starannie i niczego się nie dopatruje, poza starością. Serce jej bije nierówno i słabiutko, jakby się zmęczyło, skórę ma czystą, choć cienką i suchą jak pergamin. Oczy szkliste, zapadnięte. Tak samo skronie, a to znak nadchodzącej śmierci. Spod lekko rozpiętej pod szyją koszuli widać jakieś sznureczki i supły. Dotyka jej zaciśniętej pięści, a ta przez chwilę się opiera, potem jednak, jakby zawstydzona, rozkwita przed nim niczym wyschnięta róża pustyni. Na dłoni leży kawałek jedwabnej szmatki, cały gęsto zapisany znakami: שיין

Aszer ma wrażenie, że staruszka uśmiecha się do niego bezzębnymi ustami, a jej ciemne, studzienne oczy odbijają płomienie świec, i wydaje mu się, że to odbicie biegnie ku niemu z daleka, z nieodgadnionych głębi mieszczących się w człowieku.

– Co jej jest? – pyta go Elisza, który nagle wchodzi do tej ciasnej izdebki.

Aszer podnosi się powoli i patrzy na jego zaniepokojoną twarz.

– Co ma być? Ona umiera. Nie doczeka wesela.

Aszer Rubin robi przy tym minę, która mówi sama za siebie. Po cóż było ją tu wieźć w takim stanie?

Elisza Szor bierze go na bok i chwyta pod łokieć.

– Masz ty swoje metody, których my nie znamy. Pomóż nam, Aszer. Mięso już posiekane, marchew obrana. W miskach moczą się rodzynki, kobiety skrobią karpie. Widziałeś, ile gości?

– Ledwo jej bije serce – mówi Rubin. – Nic tu nie poradzę. Nie trzeba było brać jej ze sobą w podróż.

Delikatnie uwalnia łokieć z uścisku Eliszy Szora i idzie ku wyjściu.

Aszer Rubin uważa, że większość ludzi jest głupia i że to głupota ludzka sprowadza na świat smutek. Nie jest to grzech ani cecha, z którą się człowiek rodzi, ale zły pogląd na świat, błędna ocena tego, co widzą oczy. W rezultacie ludzie spostrzegają wszystko osobno, każdą rzecz w oderwaniu od pozostałych. Prawdziwa mądrość to sztuka łączenia wszystkiego ze wszystkim, wtedy wyłania się właściwy kształt rzeczy.

Ma trzydzieści pięć lat, ale wygląda o wiele starzej. Ostatnie lata sprawiły, że przygarbił się i zupełnie posiwiał, a przedtem jego włosy były kruczoczarne. Ma również kłopot z zębami. Czasem też, gdy jest wilgotno, puchną mu stawy palców; jest delikatny, powinien na siebie uważać. Udało mu się uniknąć małżeństwa. Jego narzeczona umarła, gdy był na studiach. Prawie jej nie znał, więc go ten fakt nie zasmucił. Ale dano mu spokój.

Pochodzi z Litwy. Ponieważ był zdolny, rodzina zebrała fundusze, żeby go wykształcić za granicą. Pojechał na studia do Włoch, ale ich nie skończył. Dopadła go jakaś niemoc. Ledwo starczyło mu sił, żeby wracając, dojechać do Rohatyna, gdzie jego wuj Anczel Lindner szył szaty prawosławnym popom i był na tyle zamożny, że mógł go przyjąć pod swój dach. Tu Rubin zaczął dochodzić do siebie. Mimo że miał za sobą parę lat studiów medycznych, nie wiedział, co mu było. Niemoc, niemoc. Ręka leżała przed nim na stole, a on nie miał siły jej podnieść. Nie był w stanie otworzyć oczu. Ciotka kilka razy dziennie smarowała mu powieki baranim tłuszczem z ziołami; powoli odżywał. Wiedza z włoskiego uniwersytetu wracała z dnia na dzień i sam zaczął leczyć

ludzi. Idzie mu to dobrze. Ale czuje się w Rohatynie uwięziony, jakby był owadem, który wpadł w żywicę i zastygł na wieki.

W bet midrasz

Elisza Szor, któremu długa broda nadaje wygląd patriarchy, trzyma wnuczkę na rękach i nosem łaskocze ją w brzuszek. Dziewczynka śmieje się radośnie, pokazując jeszcze bezzębne dziąsła. Odchyla główkę do tyłu i jej śmiech wypełnia całą izbę. Przypomina gołębie gruchanie. Potem z pieluszek zaczynają kapać na podłogę krople i dziadek szybko oddaje dziecko matce, Chai. Chaja podaje je dalej innym kobietom, po czym mała znika w głębi domu; strużka moczu znaczy jej drogę na wytartych deskach podłogi.

Szor musi wyjść z domu w chłodne październikowe południe, żeby przejść do następnego budynku, gdzie znajduje się bet midrasz i skąd słychać jak zwykle wiele męskich głosów, nierzadko podniesionych, niecierpliwych – można by pomyśleć, że to nie miejsce studiowania pism i nauki, ale bazar. Idzie do dzieci, tam gdzie uczy się je czytania. W rodzinie jest sporo dzieci, Szor samych wnuków ma już dziewięcioro. Uważa, że dzieci powinno się trzymać krótko. Do południa nauka, czytanie i modlitwa. Potem praca w sklepie, pomoc w domu i nauka praktycznych rzeczy, takich jak rachunki albo korespondencja handlowa. Ale także praca przy koniach, rąbanie drewna na opał i układanie go w równe sągi, drobne naprawy w domu. Muszą umieć wszystko, bo wszystko im się przyda. Człowiek musi być samodzielny i samowystarczalny, powinien umieć po trochu wszystkiego. I mieć jedną porządną umiejętność, która w razie konieczności pozwoli mu przeżyć – tę według talentu. Należy baczyć, do czego dziecko lgnie, wtedy nie popełni się błędu. Pozwala też Elisza uczyć się dziewczynkom, ale nie wszystkim i nie razem z chłopcami. Ma wzrok jak sokół, przenika do środka i dobrze widzi, z której będzie bystra uczennica. Na te mniej zdolne i próżne nie należy tracić czasu, będą dobrymi żonami i urodzą wiele dzieci.

Dzieci w bet midrasz jest jedenaścioro, prawie wszystkie są jego wnukami.

Sam Elisza dobiega sześćdziesiątki. Jest drobny, żylasty i porywczy. Chłopcy, którzy już czekają na nauczyciela, wiedzą, że przyjdzie dziadek, żeby sprawdzić, jak się uczą. Stary Szor robi to codziennie, jeśli tylko jest w Rohatynie, a nie w jednej z wielu handlowych podróży.

Pojawia się i dziś. Wchodzi jak zawsze szybkim krokiem, jego twarz przecinają dwie pionowe bruzdy, co przydaje mu jeszcze srogości. Ale przecież nie chce straszyć dzieci. Pilnuje więc, żeby się do nich uśmiechać. Elisza najpierw patrzy na każde z osobna z czułością, którą stara się ukryć. Zwraca się do nich tłumionym głosem, nieco ochrypłym, jakby musiał trzymać go na wodzy, i wyciąga z kieszeni kilka wielkich orzechów; są naprawdę ogromne, prawie jak brzoskwinie. Kładzie je na swoich otwartych dłoniach i podsuwa pod nos chłopcom. Patrzą zaciekawieni, myślą, że on im zaraz te orzechy rozda, nie spodziewają się podstępu. Stary bierze jeden i rozłupuje go w żelaznym uścisku kościstych dłoni. Potem podsuwa pod nos pierwszemu z brzegu chłopcu, a jest nim Lejbko, syn Natana.

– Co to jest?

– Orzech – odpowiada pewnie Lejbko.

– Z czego się składa? – Teraz przechodzi do następnego, Szloma. Ten jest już mniej pewny. Patrzy na dziadka i mruga oczami:

– Ze skorupy i serca.

Elisza Szor jest zadowolony. Na oczach chłopców, powoli i teatralnie, wyjmuje jądro orzecha i zjada je, zamykając z rozkoszy oczy i mlaskając. Dziwne to jest. Mały Izrael z ostatniej ławeczki zaczyna się śmiać z dziadka – tak śmiesznie przewraca oczami.

– O, to za proste – mówi Elisza do Szloma, nagle poważniejąc. – Popatrz, tu jest jeszcze osłonka na wewnętrznej stronie skorupki i błonka, która pokrywa jądro.

Zagarnia ich dłońmi tak, żeby wszyscy chłopcy pochylili się nad orzechem.

– Chodźcie tu zobaczyć.

Wszystko po to, żeby wytłumaczyć uczniom, że tak samo jest z Torą. Skorupa to najprostsze znaczenie Tory, zwykłe opowieści, opisanie tego, co się zdarzyło. Potem – zstępujemy do głębi. Teraz dzieci piszą na swoich tabliczkach cztery litery: pej, resz, dalet, samech, a kiedy już się z tym uporają, Elisza Szor każe im głośno przeczytać, co napisali – wszystkie litery razem i każdą z osobna.

Szlomo recytuje wierszyk, ale tak, jakby nic z niego nie rozumiał:

– P – pszat – to jest sens dosłowny, R – remez – to jest sens przenośny, D – drasz – to jest to, co mówią uczeni, S – sod – to jest sens mistyczny.

Przy słowie „mistyczny” zaczyna się jąkać zupełnie jak jego matka. Jakiż on podobny do Chai, myśli ze wzruszeniem Elisza. To odkrycie poprawia mu humor, wszystkie te dzieci są z jego krwi, w każdym ma swoją część, jakby był rąbanym polanem, z którego lecą drzazgi.

– Jak się nazywają cztery rzeki wypływające z Edenu? – pyta innego chłopca, o dużych odstających uszach i drobnej twarzy. To Hilel, wnuk jego siostry. Tamten odpowiada od razu: Piszon, Giszon, Chiddekelu i Eufrat.

Wchodzi Berek Smetankes, nauczyciel, i widzi miłą oku każdego scenkę. Elisza Szor siedzi między uczniami i opowiada. Nauczyciel przybiera rozanielony wyraz twarzy, żeby przypodobać się staremu, przewraca oczami. Ma bardzo jasną skórę i prawie białe włosy, stąd przezwisko. W gruncie rzeczy boi się tego drobnego starca panicznie i nie zna nikogo, kto by się go nie bał. Może tylko obie Chaje, duża i mała – córka i synowa. Te poczynają sobie ze starym, jak chcą.

– Było kiedyś czterech wielkich mędrców, którzy nazywali się Ben Asaji, Ben Soma, Elisza ben Abuja i Rabbi Akiba. Jeden po drugim weszli oni do raju – zaczyna stary. – Ben Asaji zobaczył i umarł.

Elisza Szor zawiesza głos, milknie dramatycznie i z podniesionymi wysoko brwiami sprawdza, jaki efekt wywołały jego słowa. Mały Hilel otworzył buzię ze zdziwienia.

– Co to znaczy? – pyta Szor chłopców, ale oczywiście nikt mu nie odpowiada, więc podnosi palec do góry i kończy: – A to znaczy, że

wszedł do rzeki Piszon, której nazwę tłumaczy się tak: „Usta, które uczą się dokładnego sensu”.

Prostuje drugi palec i mówi:

– Ben Soma zobaczył i postradał zmysły. – Krzywi twarz w grymasie i dzieci śmieją się. – A to co znaczy? To znaczy, że wszedł do rzeki Giszon, której nazwa mówi, że człowiek widzi tylko sens alegoryczny.

Wie, że dzieci i tak nie rozumieją wiele z tego, co mówi. Nie szkodzi. Nie muszą rozumieć, ważne, żeby nauczyły się na pamięć. Potem zrozumieją.

– Elisza ben Abuja – ciągnie – spojrzał i stał się odszczepieńcem. Co znaczy, że wszedł do rzeki Chiddekelu i pogubił się w wielu możliwych rozumieniach.

Wskazuje trzema palcami małego Izaaka, który zaczyna się kręcić.

– Tylko Rabbi Akiba wszedł do raju i wyszedł bez szwanku, co znaczy, że zanurzywszy się w Eufracie, przeniknął najgłębszy, mistyczny sens. Takie są cztery drogi czytania i rozumienia.

Dzieci patrzą łakomie na orzechy, które leżą przed nim na stole. Dziadek rozłupuje je w dłoniach i rozdaje chłopcom. Patrzy uważnie, jak je jedzą do ostatniej okruszyny. Potem wychodzi, twarz mu się ściąga, znika uśmiech i labiryntami swego domu, który wygląda jak ul pszczeli, idzie do Jenty.

Jenta, czyli zły moment na śmierć

Jentę przywieźli z Korolówki jej wnuk Izrael z żoną Soblą, którzy także zostali zaproszeni na wesele. Oni też są „swoi”, jak wszyscy tutaj. Mieszkają daleko od siebie, ale trzymają się razem.

Teraz właściwie żałują tego, co zrobili, i nikt nie pamięta, czyj to był pomysł. To nic, że babka chciała. Zawsze bali się babki, bo rządziła całym domem. Nie można jej było odmówić. Teraz drżą, że babka umrze w domu Szorów, i to w trakcie wesela, co położy się na zawsze cieniem na życiu młodych. Gdy wsiadali w Korolówce do krytego plandeką wozu, który wspólnie z innymi gośćmi wynajęli, Jenta była zupełnie

zdrowa i nawet sama wspięła się na siedzenie. Potem kazała dać sobie tabaki i tak jechali, śpiewając, a potem, zmęczeni, próbowali przysnąć. Patrzyła zza płóciennej plandeki, brudnej i poszarpanej, jak świat cały zostaje za nimi i układa się w kręte linie drogi, miedz, drzew i horyzontu.

Jechali dwa dni, powóz trząsł niemiłosiernie, ale stara Jenta znosiła to dobrze. Nocowali u rodziny w Buczaczu i o świcie następnego dnia ruszyli dalej. Po drodze dopadła ich taka mgła, że nagle zrobiło się wszystkim weselnikom nieswojo, i właśnie wtedy Jenta zaczęła pojękiwać, jakby domagała się uwagi pozostałych. Mgła jest mętną wodą, poruszają się w niej różne złe siły, które mącą umysł człowiekowi i zwierzęciu. Czy koń nie zjedzie z drogi i nie zaprowadzi ich wszystkich na stromy brzeg rzeki, skąd runą w przepaść? Albo czy nie dopadną ich jakieś niedotworzone siły, złe i okrutne, czy nie otworzy się w drodze zejście do jaskini, w której trzymają skarby podziemne karły, tak samo brzydkie, jak bogate? Może z tego strachu babka zasłabła.

W południe mgła opadła i zobaczyli niedaleko przed sobą wielką, niesamowitą bryłę zamku w Podhajcach, niezamieszkanego i popadającego w ruinę. Krążyły nad nim wielkie stada wron, które raz po raz zrywały się z na wpół zawalonego dachu. Mgła cofała się przed ich przeraźliwym krakaniem, które odbijało się od murów i wracało echem. Izrael i jego żona, Sobla, najstarsi na wozie, zarządzili postój. Rozłożyli się przy drodze, żeby odpocząć, wyciągnęli bułki, owoce i wodę, ale babka już nic nie jadła. Wypiła tylko kilka kropel.

Kiedy późną nocą dojechali w końcu do Rohatyna, nie mogła ustać na nogach, zataczała się i trzeba było skrzyknąć mężczyzn, żeby ją przenieśli do domu. Okazali się zresztą niepotrzebni, wystarczył jeden. Ile mogła ważyć stara Jenta? Tyle co nic. Co chuda koza.

Elisza Szor przyjął swoją ciotkę z pewnym zakłopotaniem, dał jej porządne posłanie w malutkiej izbie i przykazał kobietom, żeby o nią dbały. Po południu poszedł do niej i teraz coś tam szepczą, jak zwykle. Znają się całe życie.

Elisza patrzy na nią z troską. Jenta wie, o co mu chodzi:

– Zły moment, co?

Elisza nie odpowiada. Jenta mruży łagodnie oczy.

– A czy jest dobry czas na śmierć? – stwierdza w końcu filozoficznie Elisza.

Jenta mówi, że poczeka, aż przetoczy się ten tłum gości, od których oddechów parują szyby w oknach, a powietrze robi się ciężkie. Poczeka, aż weselnicy wyjadą do siebie po tańcach i wódce, aż wymiecie się zgniecione, brudne trociny z podłóg i wymyje naczynia. Elisza patrzy na nią niby zatroskany, ale myślami jest gdzie indziej.

Jenta nigdy nie lubiła Eliszy Szora. To człowiek, co jest w środku jak dom o wielu izbach – w jednej to, w drugiej tamto. Z zewnątrz wygląda jak jeden budynek, ale wewnątrz widać ową wielość. Nigdy nie wiadomo, czego się po nim spodziewać. I jeszcze coś – Elisza Szor jest zawsze nieszczęśliwy. Zawsze mu czegoś brakuje, do czegoś tęskni, chciałby mieć to, co mają inni, albo przeciwnie – ma coś, czego inni nie mają, a co uważa za niepotrzebne. To czyni z niego człowieka zgorzkniałego i niezadowolonego.

Jako że Jenta jest najstarsza, każdy, kto przyjeżdża na wesele, od razu idzie się z nią przywitać. Goście odwiedzają ją nieustannie w pokoiku na końcu labiryntu, w drugim domu, do którego trzeba przejść przez podwórko, a który sąsiaduje przez ulicę z cmentarzem. Dzieci zaglądają do niej przez szpary w ścianach, najwyższy czas uszczelnić je przed zimą. Długo przesiaduje u niej Chaja. Jenta kładzie jej dłonie na swojej twarzy, dotyka jej oczu, ust i policzków – widziały to dzieci. Głaszcze ją po głowie. Chaja znosi jej smakołyki, poi ją rosołem z kury, dodaje łyżkę gęsiego smalcu, a wtedy stara Jenta długo mlaska ze smakiem i oblizuje wąskie, suche wargi, ale smalec nie dodaje jej tyle sił, żeby się podniosła.

Zaraz po przyjeździe idą odwiedzić starą kuzynkę Morawianie – Salomon Zalman i jego młodziutka żona Szejndel. Jechali tu z Brünn trzy tygodnie przez Žlin i Prešov, i potem Drohobycz, ale nie będą wracać tą samą drogą. W górach napadli ich jacyś zbiegli chłopi i Zalman musiał zapłacić im spory wykup, szczęście, że nie zabrali wszystkiego. Będą wracać teraz przez Kraków, zanim śnieg spadnie. Szejndel jest już w ciąży ze swoim pierwszym dzieckiem, właśnie powiedziała o tym mężowi. Ma mdłości. Najbardziej nie służy jej zapach

kaffy i przypraw, który czuć w pierwszej części rozległego domostwa Szorów i który ciągnie od sklepiku. Nie podoba jej się też zapach starej Jenty. Boi się tej kobiety, jakby jakiejś dzikiej, w dziwacznych sukniach, z włosami na brodzie. Na Morawach starsze kobiety wyglądają o wiele porządniej, noszą krochmalone czepki i schludne fartuchy. Szejndel jest przekonana, że to czarownica. Boi się usiąść na skraju łóżka, choć ją do tego zachęcają. Boi się, że coś z tej starej przejdzie na dziecko w jej brzuchu, jakieś mroczne szaleństwo, nie do poskromienia. Usiłuje niczego nie dotykać w tym pokoiku. Od zapachu ciągle robi jej się niedobrze. W ogóle krewni z Podola wydają jej się dzicy. W końcu jednak popychają Szejndel ku starej, tak że przysiada na brzeżku, gotowa natychmiast uciec.

Za to podoba jej się zapach wosku – ukradkiem obwąchuje świece – oraz błota wymieszanego z końskimi odchodami, a także, teraz to odkryła, wódki. Salomon, starszy od niej znacznie, dobrze zbudowany, brzuchaty, brodaty mężczyzna w średnim wieku, dumny ze swej ślicznej i wiotkiej żony, przynosi jej kieliszek. Szejndel smakuje trunek, ale nie może go przełknąć. Pluje na podłogę.

Gdy młoda żona siada przy łóżku Jenty, ta wyciąga rękę spod wilczych futer i kładzie ją na brzuchu dziewczyny, choć jeszcze wcale nie widać krągłości. O tak, Jenta widzi, że w brzuchu Szejndel rozgościła się właśnie pewna dusza, jeszcze niewyraźna, trudno ją opisać, bo jest mnoga; właściwie są to wolne dusze, których wszędzie wokół jest pełno i które tylko szukają okazji, żeby się chwycić jakiegoś wolnego kawałka materii. I teraz również liżą tę maleńką grudkę, która przypomina kijankę, zaglądają w nią, ale nic tam jeszcze nie ma konkretnego, zaledwie strzępki, cienie. Obmacują, próbują. Same składają się ze smug: obrazów, wspomnień, pamięci uczynków, kawałków zdań, z liter. Nigdy przedtem Jenta nie widziała tego tak wyraźnie. Prawdę mówiąc, Szejndel też czasami jest jakaś nieswoja, bo również czuje ich obecność – jakby ją macały dziesiątki obcych rąk, jakby w nią wtykały palce. Nie chce się zwierzać z tego mężowi, nie umie znaleźć słów.

Gdy mężczyźni siedzą w jednej izbie, kobiety zbierają się w pokoiku Jenty, gdzie ledwie mogą się pomieścić. Co jakiś czas któraś przynosi z kuchni trochę wódki, tej weselnej, niby w tajemnicy, jak przemytniczka, ale przecież to część wesela. Stłoczone, podniecone bliską zabawą zapominają się i zaczynają dokazywać. Lecz chyba nie przeszkadza to chorej – a może nawet jest zadowolona, że stała się ośrodkiem tej zabawy. Czasem popatrują na nią z niepokojem, z poczuciem winy, gdy nagle przysypia, a po chwili budzi się z dziecinnym uśmiechem. Szejndel patrzy wymownie na Chaję, gdy ta poprawia na chorej wilcze skóry, owija jej wokół szyi swój szal i widzi, że staruszka nosi mnóstwo amuletów – jakieś małe woreczki na sznurkach, kawałki drewienka z wypisanymi na nich znakami, figurki z kości. Chaja nie śmie ich tknąć.

Kobiety opowiadają sobie straszne historie – o duchach, zbłąkanych duszach, ludziach pochowanych żywcem i oznakach śmierci.

– Gdybyście wiedziały, ile złych duchów czyha na jedną ćwiartkę kropli waszej serdecznej krwi, tobyście pewnie poświęciły swe ciało i swą duszę stwórcy tego świata – mówi Cypa, żona starego Notki, uważana za uczoną.

– Gdzie są te duchy? – pyta któraś trwożliwym szeptem, a Cypa podnosi z klepiska patyk i wskazuje na jego koniuszek:

– Tutaj! Tutaj są wszystkie, patrz uważnie.

Kobiety wpatrują się w koniec patyka, oczy zezują śmiesznie, któraś zaczyna chichotać, a w świetle kilku zaledwie świec już im się on dwoi i troi w oczach, ale duchów nie widzą.

Co czytamy w Zoharze

Elisza z najstarszym synem, z kuzynem Zalmanem Dobruszką z Moraw i Izraelem z Korolówki, który tak głęboko wcisnął głowę w ramiona, że każdy widzi, jak bardzo czuje się winny, roztrząsają ważną kwestię: co należy zrobić, gdy w domu szykuje się i wesele, i pogrzeb. Siedzą we czterech pochyleni ku sobie. Po chwili drzwi otwierają się i wchodzi,

szurając nogami, rabbi Moszko, szczególnie biegły w kabale. Izrael podrywa się, żeby go ku nim podprowadzić. Nie trzeba staremu rabinowi przedstawiać sprawy – każdy wie, wszyscy o tym mówią.

Szepczą między sobą, a w końcu rabbi Moszko zaczyna:

– Czytamy w Zoharze, że dwie rozpustnice, które stanęły z jednym żywym dzieckiem przed królem Salomonem, zwały się Machalat i Lilit, hę? – stary pytająco zawiesza głos, jakby dawał im czas, żeby przywołali sobie przed oczy odpowiedni ustęp.

– Litery imienia Machalat mają wartość numeryczną 478. Lilit zaś – 480, hę?

Kiwają głowami. Wiedzą już, co powie.

– Gdy człowiek bierze udział w uczcie weselnej, odrzuca od siebie czarownicę Machalat z jej 478 kompaniami czartów, gdy zaś bierze udział w żałobie swego bliźniego, pokonuje czarownicę Lilit z jej 480 kompaniami czartów. Dlatego czytamy u Koheleta 7,2: „Godzi się lepiej pójść do domu żałoby aniżeli na miejsce radości. Idąc bowiem do domu żałoby, pokonywa się 480 czartowskich kompanii, w domu zaś wesela pokonywa się kompanii tylko 478”.

Co znaczy: wesele należy odwołać i czekać na pogrzeb.

Dobruszka patrzy porozumiewawczo na kuzyna Eliszę, wznosi wymownie oczy do góry, jest rozczarowany wyrokiem. Nie będzie tu siedział w nieskończoność. Ma w Prossnitz na Morawach swoje tabaczane interesy, których spuszczać z oka nie powinien. I dostawy koszernego wina dla wszystkich tamtejszych Żydów, na co ma monopol. Ci tutaj krewni żony to ludzie mili, lecz prości i zabobonni. Dobrze mu idą z nimi tureckie interesy, więc postanowił wybrać się do nich. Lecz wiecznie tu siedzieć nie będzie. A jak spadnie śnieg? Właściwie nikomu nie podoba się takie rozwiązanie sprawy. Każdemu chce się wesela, zaraz, natychmiast. Nie można już czekać, wszystko stoi gotowe.

I Elisza Szor nie jest zadowolony z wyroku. Wesele musi się odbyć.

Gdy zostaje sam, woła do siebie Chaję, ona mu doradzi, i czekając na nią, przerzuca strony księżowskiej księgi, z której nie rozumie ani słowa.

O połkniętym amulecie

W nocy, gdy wszyscy już śpią, Elisza Szor przy świetle świecy pisze na małym skrawku papieru litery:

המתנה, המתנה, המתנה

Hej-mem-taw-nun-hej. Hamtana – czekanie.

Chaja w białej nocnej koszuli staje na środku izby i rysuje w powietrzu wokół siebie niewidoczny dla oczu krąg. Tam unosi papierek nad głowę i tak stoi z zamkniętymi oczami długą chwilę. Jej usta poruszają się. Dmucha weń kilka razy, potem starannie zwija papierek w rurkę i wkłada do drewnianego pudełeczka wielkości paznokcia. Stoi jeszcze dłuższy czas w milczeniu z pochyloną głową, żeby zaraz potem, pośliniwszy palce, przewlec rzemyk przez dziurkę amuletu. I wręcza amulet ojcu. Ten ze świecą w ręku sunie przez śpiący dom pełen skrzypienia i pochrapywań, przez wąskie korytarze, do pokoju, gdzie położono Jentę. Zatrzymuje się przy drzwiach i nasłuchuje. Widocznie nic go nie niepokoi, bo delikatnie otwiera drzwi, które poddają mu się pokornie, bez jednego dźwięku, i odsłaniają małe, ciasne wnętrze, oświetlone ledwie oliwną lampką. Ostry nos Jenty mierzy śmiało prosto w sufit i rzuca na ścianę wyzywający cień. Elisza musi przez niego przejść, żeby założyć umierającej amulet na szyję. Kiedy się nad nią pochyla, jej powieki zaczynają drgać. Elisza zamiera w bezruchu, ale to nic, widocznie kobieta śni: oddech ma tak lekki, że prawie niezauważalny. Wiąże końce rzemyka i wsuwa amulet pod koszulę staruszki. Potem odwraca się na palcach i bezszelestnie wychodzi.

Kiedy światło świecy znika za drzwiami i słabnie w szparach między deskami, Jenta otwiera oczy i słabnącą ręką wymacuje amulet. Wie, co tam jest napisane. Przerywa rzemyk, otwiera pudełko i połyka zapisany skrawek jak pigułkę.

Jenta leży w ciasnym pokoiku, gdzie służba przynosi bez przerwy okrycia gości i kładzie je w nogach łóżka. Gdy w końcu zaczynają grać gdzieś w głębi domu, Jenta jest już ledwie widoczna spod sterty

płaszczy; dopiero gdy przychodzi tu Chaja, robi z tym porządek i płaszcze lądują na podłodze. Chaja nachyla się nad starą ciotką i wsłuchuje się w jej oddech – jest taki słabiutki, iż wydaje się, że motyl spowodowałby machnięciem swoich skrzydeł silniejszy ruch powietrza. Ale jej serce bije. Chaja, lekko zarumieniona od wódki, przykłada ucho do piersi Jenty, do wiązek amuletów, sznurków i rzemyków, i słyszy delikatne bom, bom, bardzo wolne, oddalone jedno od drugiego o cały oddech.

– Babciu Jento! – woła ją cicho Chaja i ma wrażenie, że wpółprzymknięte oczy staruszki drgnęły, że poruszyły się źrenice, a na ustach pojawił się jakby uśmiech. Jest to uśmiech zbłąkany – faluje, czasem kąciki ust unoszą się, czasem opadają i wtedy Jenta wygląda jak nieżywa. Dłonie ma letnie, nie zimne, skórę miękką, bladą. Chaja poprawia jej włosy, które wyszły spod chustki, i nachyla się do jej ucha: – Czy ty żyjesz?

I znowu na twarzy starej kobiety pojawia się skądś ten uśmiech, który trwa chwileczkę i zaraz znika. Chaję wzywają z daleka tupot nóg i wysokie dźwięki muzyki, więc całuje starą w letni policzek i biegnie tańczyć.

Do izby Jenty dochodzi rytmiczne przytupywanie – weselnicy tańczą, choć tutaj nie słychać już muzyki, utknęła w drewnianych ścianach, rozbiły ją na pojedyncze pomruki kręte korytarze. Słychać tylko bum, bum tanecznych kroków, a od czasu do czasu piski i pokrzykiwania. Przy Jencie czuwała jakaś starsza kobieta, ale rozochocona weselem w końcu sobie poszła. Jenta też jest ciekawa, co się tam dzieje. Odkrywa zaskoczona, że z łatwością może wysunąć się ze swojego ciała i zawisnąć nad nim; patrzy wprost na swoją twarz, zapadłą i bladą, dziwne uczucie, ale zaraz potem odpływa, sunie wsparta na podmuchach przeciągu, na drganiach dźwięku, przenika bez trudu przez drewniane ściany i drzwi.

Jenta widzi teraz wszystko z góry, a potem jej wzrok wraca pod przymknięte powieki. I tak jest przez całą noc. Uniesienie i powrót w dół. Balansowanie na granicy. Męczy to Jentę, właściwie nigdy się tak nie napracowała, ani przy porządkach, ani w ogrodzie. A jednak i jedno,

i drugie jest przyjemne, i opadanie, i wznoszenie. Niemiły jest tylko ten ruch, świszczący i gwałtowny, który usiłuje ją wypchnąć gdzieś daleko, poza horyzonty, ta siła, zewnętrzna i brutalna, z którą trudno byłoby się zmierzyć, gdyby ciała od środka i nieodwracalnie nie chronił amulet.

Dziwne – jej myśli owiewają całą okolicę. Wiatr – mówi jakiś głos w jej głowie, zapewne własny. Wiatr to jest wzrok umarłych, kiedy patrzą na świat stamtąd, gdzie są. Widziałaś kiedy pole traw, jak się kłania i słania, zapewne patrzy na nie właśnie któryś z umarłych – chciałaby powiedzieć do Chai. Bo gdyby zliczyć wszystkich umarłych, to okazałoby się, że jest ich dużo więcej niż żywych na ziemi. Ich dusze już się oczyściły wędrowaniem w wielu żywotach i teraz czekają na Mesjasza, który przyjdzie dokończyć dzieła. I patrzą na wszystko. Dlatego na ziemi wieje wiatr. Wiatr to jest ich baczny wzrok.

Po chwili spłoszonego wahania i ona dołącza do tego wiatru, który przelatuje nad domami Rohatyna i małych, skarlałych osad, nad furmanami, co przycupnęli na rynku w nadziei, że zdarzy się im klient, nad trzema cmentarzami, nad kościołami, synagogą i cerkwią, nad rohatyńskim gościńcem – i pomyka dalej, poruszając pożółkłe trawy na wzgórzach, najpierw chaotycznie, bez ładu i składu, a potem, jakby uczył się kroków tańca, gna wzdłuż koryt rzek aż do Dniestru. Tam zatrzymuje się, bo Jentę zdumiewa maestria krętej linii rzeki, jej esy-floresy, jakby zarysy liter gimmel i lamed. I potem zawraca, choć wcale nie z powodu granicy, która zmówiła się z rzeką i oddziela od siebie dwa wielkie państwa. Bo przecież wzrok Jenty ma za nic takie granice.

4

Mariasz i faraon

Biskup Sołtyk ma naprawdę wielki kłopot. Nawet modlitwa, szczera i głęboka, nie potrafi zmyć tych myśli. Pocą mu się ręce, budzi się zbyt wcześnie, kiedy zaczynają śpiewać ptaki, a chodzi spać późno z wiadomych przyczyn. Dlatego jego nerwy nigdy nie odpoczywają.

Dwadzieścia cztery karty. Rozdaje się po sześć kart, a jedną wyświęca się i ta stanowi kozerę, czyli kolor najstarszy, atu, bijący inne. Biskup uspokaja się dopiero, kiedy siada do gry, a właściwie gdy na stole leży już kozera. Spływa wtedy na niego coś jakby błogosławieństwo. Umysł znajduje prawdziwy balans, aequilibrium cudowne, oczy skupiają się na stole i na wyglądzie kart, widzą wszystko w jednym spojrzeniu. Oddech wyrównuje się, pot ustępuje z czoła, dłonie stają się suche, pewne, szybkie, palce sprawnie tasują karty i odsłaniają jedną po drugiej. To jest moment jakiejś rozkoszy – tak, biskup wolałby nie jeść, pozbawić się innych przyjemności cielesnych niźli tego momentu.

W mariasza biskup gra z równymi sobie. Ostatnio, gdy tu peregrynował kanonik przemyski, grali do rana. Gra z Jabłonowskim, Łabęckim, Kossakowskim, lecz to nie wystarcza. Dlatego ostatnio zdarza mu się też coś innego. Niewygodnie jest mu o tym myśleć.

Ściąga przez głowę swój biskupi strój, przebiera się w zwyczajne łachy, wkłada na głowę czapę. Wie o tym tylko jego kamerdyner, Antoni, ktoś jakby krewny, miną żadną znaku nie daje, że się temu dziwi. Biskupowi nie należy się dziwić, biskup to biskup, wie, co robi, gdy każe się wieźć do podmiejskich karczm, tam gdzie ma pewność, że będą grać w faraona na pieniądze. Do stołu zasiadają przejezdni kupcy, szlachcice w podróży, goście z zagranicy, urzędnicy jadący z listami i wszelkiego rodzaju awanturnicy. W karczmach, niezbyt czystych i zadymionych, wydaje się, że grają wszyscy, cały świat i że karty łączą ludzi lepiej niż wiara czy język. Siada się do stołu, rozchyla wachlarz

karciany i tam jest porządek zrozumiały dla każdego. I tak trzeba go umieć rozegrać, żeby mieć z tego zysk, żeby zgarnąć wygraną. Biskupowi wydaje się, że to jest nowy język, który brata wszystkich na jeden wieczór. Kiedy mu brakuje gotówki, każe przywołać Żyda, ale pożycza tylko małe sumy. Na większe ma weksel od Żydów z Żytomierza, jakby jego bankierów, którym świadczy każdą pożyczkę swoim podpisem.

Gra każdy, kto się przysiądzie. To oczywiste, że biskup wolałby lepsze towarzystwo, równych sobie, ale oni rzadko stoją dobrze z pieniędzmi, najwięcej ich mają przyjezdni handlarze albo Turcy, albo oficerowie, albo inni, ludzie nie wiadomo skąd. Gdy bankier wysypuje pieniądze na stół i tasuje karty, ci, którzy chcą grać przeciw niemu, poniterzy, zajmują miejsca przy stole każdy z własną talią. Gracz bierze z niej jedną kartę albo i więcej i kładzie ją przed sobą, na niej zaś kładzie stawkę. Skończywszy tasowanie, bankier odkrywa po kolei wszystkie swoje karty, kładąc pierwszą po prawej ręce, drugą po lewej, trzecią znów po prawej, czwartą po lewej – i tak aż do wyczerpania talii. Karty po prawej stronie są wygraną banku, te po lewej – wygraną poniterów. Jeśli więc kto położył przed sobą siódemkę pik, a na niej dukata, w talii bankiera zaś siódemka pik upada na prawo – wówczas traci swojego dukata; jeśli jednak upada na lewo, wówczas bankier wypłaca graczowi dukata. Reguła ta ma także wyjątki – karta ostatnia, choć kładziona po lewej stronie, wygrywa dla banku. Kto wygrał w pierwszym ciągnieniu, może zakończyć grę, może grać od nowa na inną kartę, ale może też „parolować”. Tak zawsze robi biskup Sołtyk. Zostawia wygrane pieniądze na karcie i załamuje jeden róg karty. Jeśli tym razem przegra, traci tylko sumę początkową.

Ta gra jest uczciwsza – wszystko jest w rękach Boga. Jak tu oszukać?

Więc kiedy biskupowi narastają karciane długi, wzywa Boga, żeby go uchronił przed skandalem, gdyby sprawa wyszła na jaw. Domaga się współdziałania, wszak on i Bóg walczą w jednej drużynie. Ale Bóg działa jakoś opieszale, a czasami chce chyba uczynić z biskupa Sołtyka Hioba. Zdarza się, że biskup go przeklina; potem oczywiście kaja się i przeprasza – rzecz to wszystkim znana, że jest popędliwy. Ogłasza dla siebie post i śpi we włosiennicy.

Nikt jeszcze nie wie, że zastawił insygnia biskupie, by spłacić długi. U Żydów żytomierskich. Nie chcieli przyjąć, musiał ich przekonać. Gdy ujrzeli, co znajduje się w przywiezionej do nich biskupiej skrzyni, przykryte dla niepoznaki workowym płótnem, odskoczyli i zaczęli stękać, lamentować, machać rękami, jakby tam ujrzeli nie wiadomo co.

– Ja tego wziąć nie mogę – powiedział starszy z nich. – To dla was więcej niż srebro i złoto, a dla mnie kruszec na wagę. Gdyby to u nas znaleziono, już by z nas darli pasy.

Tak stękali, ale biskup się uparł, podniósł głos, wystraszył ich. Wzięli i wypłacili mu czystą gotówkę.

Biskup, jako że gotówki z kart nie odzyskał, chce teraz Żydom te insygnia odebrać, nasłać na nich jakichś zbrojnych – ponoć trzymają je w chałupie pod podłogą. Gdyby się ktokolwiek o tym dowiedział, nie miałby już biskup życia. Dlatego gotowy jest zrobić wszystko, by insygnia wróciły znów do domu biskupiego.

Tymczasem jednak próbuje odegrać się w faraona, licząc ufnie na pomoc Boską. I rzeczywiście, na początku dobrze mu idzie.

W izbie jest pełno dymu, przy stole siedzi ich czterech: sam biskup, jakiś podróżny ubrany z niemiecka, ale dobrze mówiący po polsku, szlachcic miejscowy, który mówi po rusińsku i klnie po rusińsku, z młodą dziewczyną, dzieckiem prawie, na kolanach. Szlachcic albo ją odpycha, gdy mu karta nie idzie, albo ją przyciąga do siebie i gładzi wtedy po prawie obnażonych piersiach, na co biskup zerka z przyganą. I jest jeszcze jakiś kupiec, który wygląda mu na przechrztę; temu też idzie karta. Przed każdym rozdaniem biskup jest całkowicie pewien, że teraz jego karty pojawią się we właściwej kolumnie, i ze zdumieniem patrzy, że jakoś znowu znalazły się po drugiej stronie. Nie może w to uwierzyć.

Polonia est paradisus Judaeorum...

Biskup Kajetan Sołtyk, koadiutor kijowski, zmęczony i niewyspany, odesłał już sekretarza i pisze teraz własnoręcznie list do biskupa

kamienieckiego Mikołaja Dembowskiego.

Spiesznie i własnoręcznie donoszę Ci, Przyjacielu, żem zdrów na ciele, ale umęczony przez kłopoty, które nastają tu zewsząd tak, że czuję się czasem osaczony niby jaki dziki zwierz. Wieleś razy przyszedł mi z pomocą, tak i tym razem zwracam się do Ciebie jak do brata rodzonego, w imię naszej długoletniej przyjaźni, jakiej by próżno szukać wśród innych.

Interim...

Tymczasem... tymczasem... I teraz nie wie, co pisać. Bo jakże się wytłumaczy? Dembowski sam w karty nie gra, więc go najpewniej nie zrozumie. Biskupa Sołtyka ogarnia naraz poczucie wielkiej niesprawiedliwości, czuje w piersiach łagodny, ciepły ucisk, który chyba rozpuszcza mu serce i zamienia je w coś miękkiego i płynnego. Przypomina mu się nagle, jak obejmował biskupstwo w Żytomierzu – pierwszy przyjazd do miasta brudnego i błotnistego, otoczonego zewsząd lasem... Myśli podbiegają teraz pod jego pióro łatwo i szybko, serce na powrót zmienia się w ciało stałe i energia powraca. Biskup Kajetan Sołtyk pisze:

Pamiętasz dobrze, że jakem obejmował biskupstwo w Żytomierzu, wszelkie grzechy były tam w wielkiej popularności. Choćby wielożeństwo, to występek był powszechny. Mężowie za złe uczynki żony swoje sprzedawali i zamieniali na inne. Nałożnictwa ani rozpusty wcale nie uważano za rzecz zdrożną i ponoć przy ślubie już sobie obiecywano obopólną w tym względzie wolność. Nadto nie było żadnej obserwancji przepisów religijnych, żadnych przykazań, wszędzie grzech i zgorszenie, nadto bieda z nędzą.

Przypomnę Ci więc skrupulatnie, że diecezja podzielona była na trzy dekanaty: żytomierski – 7 parafii, z 277 wsiami i miasteczkami, chwastowski – 5 parafii, ze 100 wsiami i miasteczkami, oraz owrucki – 8 parafii z 220 wsiami i miasteczkami. W tym wszystkim tylko 25 tysięcy ludności katolickiej. Moje dochody z tych niewielkich dóbr biskupich dochodziły do 70 000 złotych polskich; przy wydatkach na konsystorz, szkołę diecezjalną toż to było nic. Sam

o tym wiesz, ile z takich biednych włości jest dochodu. Własne dochody biskupie – to wsie Skryhylówka, Wepryk i Wolica.

Zaraz po przybyciu najsampierw zająłem się finansami. Okazało się, że katedra posiada w kapitałach ofiarowanych przez pobożnych ogółem sumę 48 000 złp. Kapitały te były ulokowane w dobrach prywatnych, a pewną sumę pożyczono kahałowi dubieńskiemu, z czego roczny procent wynosił 3337 złp. Wydatki zaś miałem ogromne: utrzymanie kościoła, pensje czterem wikariuszom, służbie kościelnej et caetera.

Kapituła zaś była uposażona skromnie, różne fundacje na sumę 10 300 przynosiły jej rocznie dochód 721 złp. Ze wsi darowanej przez księcia Sanguszkę dochód był jeszcze dodatkowo 700 złp, ale właściciel wsi Zwiniacz od trzech lat nie płacił procentu z pożyczonych 4000. Suma darowana przez niejakiego oficera Piotra pozostawała w rękach kanonika Zawadzkiego, który ani jej nie ulokował, ani procentu nie płacił, toż samo z sumą 2000 złp, pozostającą u kanonika Rabczewskiego. W sumie bałagan był wielki i żywo wziąłem się do naprawy finansów.

Ile zrobiłem, to sam możesz, najlepszy mój Przyjacielu, docenić. Wizytowałeś tu i sam widziałeś. Kończę teraz budowę kaplicy i gwałtowne wydatki wyczerpały na razie moją kiesę, ale rzeczy idą w dobrym kierunku, dlatego proszę Cię, Przyjacielu, o wsparcie, jakieś 15 000, które oddałbym zaraz po Wielkanocy. Rozbudziłem ofiarność wiernych, co w czasie Wielkanocy zapewne przyniesie efekty. Na przykład Jan Olszański, podkomorzy słucki, sumę 20 000 umieścił na dobrach swoich w Brusiłowie, przeznaczając jedną połowę procentów z niej dla katedry, drugą na powiększenie liczby misjonarzy. Głębocki, podczaszy bracławski, ofiarował 10 000 na ufundowanie nowej kanonii i na ołtarz w katedrze oraz dał 2000 na seminarium.

Piszę Ci to wszystko, bo wielkie robię interesa, i żebyś miał pewność, że pożyczka od Ciebie ma pokrycie. Tymczasem wdałem się w pewne niefortunne sprawy z Żydami żytomierskimi, a że w bezczelności swojej umiaru oni nie mają, potrzebowałbym tych pieniędzy jak najszybciej. Dziwi, że w naszej Rzeczypospolitej Żydzi tak jawnie urągać mogą prawom i dobremu obyczajowi. Nie na darmo papieże: Klemens VIII, Innocenty III, Grzegorz XIII i Aleksander III, nakazywali bezustannie palenie ich Talmudów, i kiedyśmy to chcieli w końcu uczynić tutaj, to nie tylko nie mieliśmy poparcia, ale nawet władze świeckie stawiały nam opór.

Rzecz to szczególna, że wypędzono Tatarów, arian, husytów, a o wypędzeniu Żydów jakoś się zapomina, choć oni krew naszą wysysają. A przecież za granicą mają już na nas swoje przysłowie: Polonia est paradisus Judaeorum...

O plebanii w Firlejowie i mieszkającym w niej grzesznym pasterzu

Ta jesień jest jak makatka haftowana przez niewidzialne igły, tak myśli Elżbieta Drużbacka, jadąc użyczoną przez starostę bryką. Głębokie brązy w zaoranych bruzdach i jaśniejsza smuga wyschniętej ziemi na polach, do tego smoliste gałęzie, na których trzymają się jeszcze najbardziej uparte liście, tworząc pstrokate plamy. Gdzieniegdzie zieleń traw wciąż jest soczysta, jakby trawy zapomniały, że to koniec października i nocami przychodzi już mróz.

Droga jest prosta jak strzała, biegnie wzdłuż rzeki. Po lewej stronie piaszczysty jar, grunt oberwany przez jakąś dawną katastrofę. Widać tam chłopskie wozy, które podjeżdżają po żółty piasek. Niespokojne chmury płyną po niebie; raz jest mroczno i szaro, potem nagle zza chmur bucha ostre słońce i wszystkie przedmioty na ziemi stają się przerażająco wyraźne i kolczaste.

Drużbacka tęskni do córki, która właśnie spodziewa się piątego dziecka, i myśli, że właściwie to z nią powinna teraz być, nie zaś peregrynować z ekscentryczną kasztelanową po obcym kraju, a już w szczególności wyprawiać się do dóbr księdza omnibusa. Ale przecież żyje z tego jeżdżenia. Można by pomyśleć, że bycie poetką to zajęcie osiadłe, bliskie ogródka, nie gościńca, godne domatorki.

Ksiądz czeka na nią przy bramie. Złapał konia za uprząż, jakby nie mógł się doczekać tej wizyty, i zaraz wziąwszy Drużbacką pod ramię, prowadzi ją do ogrodu przy domu.

– Najpierw dobrodziejka.

Plebania stoi tuż przy rozjeżdżonej drodze. To drewniany dworek, pięknie pobielony i zadbany. Widać, że latem okalały go kępy kwiatów – leżą teraz pożółkłymi poduchami. Ale już czyjaś ręka wzięła się do

porządków i złożyła część badyli w kupkę, która jeszcze się tli, bo ogień widocznie nie czuje się pewnie w tak wilgotnym powietrzu. Po badylach z dumą chodzą dwa pawie, jeden już stary i skapcaniały, niewiele zostało z jego ogona. Drugi pewny siebie, agresywny, podbiega do Drużbackiej i trąca ją w suknię, aż przestraszona kobieta odskakuje.

Rzuca okiem na ogródek – piękny, każda grządka prosto wytyczona, na ścieżce poukładano okrągłe kamienie, a wszystko rozplanowane według najlepszej ogrodniczej sztuki: przy płocie róże do wódki i zapewne do wieńców do kościoła, dalej dzięgiel, biedrzeniec, kadzidło. Po kamieniach płożą się macierzanka, ślaz, kopytnik i rumian. Teraz niewiele już z ziół zostało, ale wszystkiego można się dowiedzieć z małych tabliczek drewnianych, na których wypisano nazwy.

Od plebanii prowadzi w głąb małego parku starannie zagrabiona ścieżka, po obu jej stronach ustawiono dosyć kanciaste popiersia z wyrytymi podpisami, a nadto nad wejściem do ogrodu widnieje niezdarny napis na deszczułce, widać, że ksiądz radził sobie z nim sam:

Ciało ludzkie wszak jest smrodem
Pachnącym go zbaw ogrodem.

Drużbacka krzywi się na te poezje.

Teren jest w sumie niewielki; w którymś miejscu ostro spada ku rzece skarpa, ale i tam ksiądz przygotował niespodzianki: kamienne schodki, mały mostek nad tycim strumyczkiem, za którym stoi kościół, wysoki, potężny, ponury. Góruje nad chałupami pokrytymi strzechą.

Idąc schodkami w dół, widzi się po obu stronach lapidarium. Należy zatrzymać się przed każdym kamieniem i przeczytać napisy.

Ex nihil orta sunt omnia, et in nihilum omnia revolvuntur. Z nicości wszystko powstało i w nicość się obróci – czyta Drużbacka i nagle przechodzi ją dreszcz, i od zimna, i od tego napisu, dość nieporadnie wyrytego w kamieniu. To po co to wszystko? Po co te starania? Te ścieżki i mostki, te ogródki, studzienki i schodki, te napisy?

Ksiądz prowadzi ją teraz do drogi kamienistą ścieżką i idąc, zataczają krąg wokół niewielkiej posiadłości. Biedna Drużbacka, nie spodziewała się chyba takiego obrotu sprawy. Buty ma wprawdzie dobre, skórzane, ale wymarzła w powozie i chciała raczej przytulić stare plecy do pieca, niż biegać po polu. Wreszcie gospodarz po tym przymusowym spacerze zaprasza ją do środka; przy drzwiach plebanii stoi spora płyta z wyrytym napisem:

Ksiądz Benedykt zwan Chmielowski
Grzeszny pasterz firlejowski
W Podkamieniu był plebanem
Rohatyńskim wraz dziekanem
Kary godzien a nie kronik
Garść dziś prochu nie kanonik
Ten wszech prosi was o modły
By go grzechy tam nie bodły
Zmów Ojcze nasz, Zdrowaś przy tem
Uczynisz go wiecznie sytem.

Patrzy na niego zdumiona.

– A cóż to? Już się ksiądz szykuje do śmierci?

– Lepiej zawczasu przygotować wszystko, żeby potem biednych krewnych niepotrzebnie nie fatygować. Chcę wiedzieć, co mi tam wymalują na grobie. Pewnie jakieś głupotki, co to bym ich sam nie napisał. A tak przynajmniej wiem.

Drużbacka, zmęczona, przysiada i już rozgląda się za czymś do picia, ale w pokoju stół jest pusty, nie licząc jakichś papierów. Cały dom czuć wilgocią pomieszaną z dymem. Zapewne dawno nie czyszczono tu kominów. I wieje chłodem. W kącie stoi piec wyłożony białymi kaflami, a obok kobiałka z drewnem, tyle że dopiero niedawno w nim rozpalono i pokój się jeszcze nie nagrzał.

– Alem zmarzła – mówi Drużbacka.

Ksiądz, skrzywiony, jakby połknął właśnie popsuty kąsek, otwiera szybko kredens i wyciąga stamtąd rżniętą karafę i kieliszki.

– A kasztelanowa Kossakowska znajomą mi się wydała... – zaczyna niepewnie, nalewając likieru. – Znałem kiedyś jej siostrę najstarszą...

– Jabłonowską pewnie? – pyta z roztargnieniem Drużbacka, mocząc usta w słodkim trunku.

Do pokoju wchodzi tęga, radosna kobieta, widać księżowska gospodyni, i niesie na tacy dwie miski z parującą zupą.

– Kto to widział tak gościa po zimnie gonić – mówi z wyrzutem do księdza i widać, że on pod jej karcącym wzrokiem czuje się nieswojo. Drużbacka zaś wyraźnie się ożywia. Niechże będzie błogosławiona ta tęga wybawicielka.

Zupa jest gęsta, warzywna i na dodatek pływają w niej kluski. Teraz dopiero ksiądz dziekan widzi ubłocone trzewiki Drużbackiej i jej zgarbione plecy; widzi, że drży cała, i w pierwszym odruchu robi gest, jakby chciał ją objąć, ale oczywiście tego nie robi.

Za gospodynią wpada do izby pies średniej wielkości, kudłaty, z kłapciatymi uszami, o falującej sierści koloru kasztana. Pies z powagą obwąchuje suknię Drużbackiej. I gdy Drużbacka schyla się, żeby go pogłaskać, dostrzega biegnące za nim szczeniaki, cztery, a każdy inny. Gospodyni księdza już chce je przegonić i znowu z wyrzutem wypomina księdzu, że nie zamknął drzwi. Ale Drużbacka prosi, by te psy pozostawić. Odtąd towarzyszą im do wieczora, siedząc najchętniej przy piecu, który w końcu rozgrzewa się na tyle, że gość może zdjąć podbity futerkiem kubrak.

Drużbacka patrzy na księdza Benedykta i nagle czuje, jak bardzo samotny jest ten starzejący się, zaniedbany człowiek, który krząta się koło niej, chcąc ją zadziwić niczym chłopiec. Stawia na stole karafkę i ogląda pod światło kieliszki, sprawdzając, czy są czyste. Jego wyświechtana, strzępiąca się sutanna z wełnianego kamlotu wytarła się na brzuchu i teraz lśni tu jaśniejszą plamą. Nie wiedzieć czemu, wzbudza to w Drużbackiej falę wzruszenia. Musi odwrócić wzrok. Bierze na kolana szczeniaka – to suczka, ta najbardziej podobna do matki; od razu układa się na plecach, ukazując delikatny brzuszek.

Drużbacka zaczyna opowiadać księdzu o swoich wnuczkach, samych dziewczynkach – któż jednak wie, może robi mu tym przykrość? Chmielowski słucha jej nieuważnie, a jego wzrok krąży po izbie, jakby ksiądz zastanawiał się, czym jeszcze mógłby zadziwić tę damę. Równocześnie smakują nalewkę księdza i Drużbacka kiwa z uznaniem głową. Wreszcie przychodzi pora na główne danie – odsuwając kieliszki i karafkę, Chmielowski z dumą kładzie przed nią na stole swoje dzieło. Drużbacka czyta na głos:

– *Nowe Ateny, albo Akademia wszelkiey scyencyi pełna, na rożne tytuły iak na classes podzielona. Mądrym dla Memoryału, idiotom dla Nauki, politykom dla Praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowana...*

Ksiądz, wygodnie oparty w fotelu, wypija duszkiem kieliszek likieru. Drużbacka wzdycha z nieukrywanym podziwem:

– Piękny tytuł. A to trudne dać pracy dobry tytuł.

Ksiądz odpowiada skromnie, że chciałby zrobić kompendium wiedzy, takie, które byłoby w każdym domu. A w nim po trochu o wszystkim, żeby człowiek, gdy czegoś nie wie, mógł sięgnąć do takiej książki i tam to znaleźć. Geografia, medycyna, języki ludzkie, obyczaje, ale flora i fauna także, i ciekawostki wszelkiego rodzaju.

– Imaginujże jejmość sobie: wszystko pod ręką, w każdej bibliotece. Cała ludzka wiedza zgromadzona w jednym.

Już zebrał wiele i wydał kilka lat temu w dwóch tomach. A teraz chciałby także oprócz łaciny posiąść znajomość hebrajszczyzny i stamtąd różne smaczne kawałki zaczerpnąć. Lecz o żydowskie księgi jest dosyć trudno, u samych Żydów właścicieli trzeba się o nie prosić, a jeszcze w języku tym mało kto z chrześcijan czyta. Ksiądz Pikulski mu na razie raczył tłumaczyć to i owo, ale ksiądz Benedykt, sam języka nie znając, nie ma tak naprawdę dostępu do tej wiedzy.

– Tom pierwszy wyszedł we Lwowie w oficynie niejakiego Golczewskiego...

Kobieta bawi się z psem.

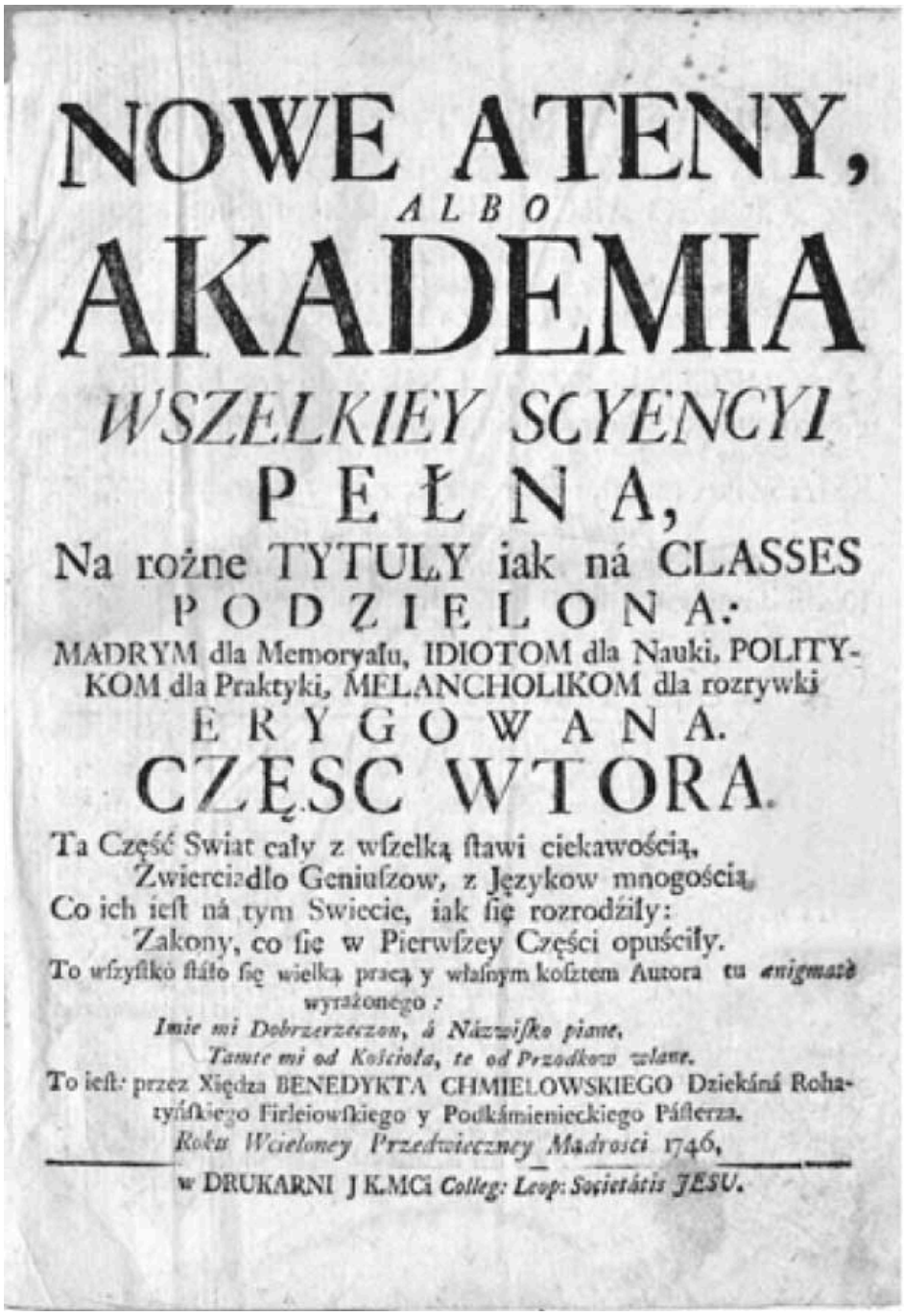

NOWE ATENY,
ALBO
AKADEMIA
WSZELKIEY SCYENCYI
PEŁNA,
Na rożne TYTUŁY iak ná CLASSES
PODZIELONA:
MADRYM dla Memoryału, IDIOTOM dla Nauki, POLITYKOM dla Praktyki, MELANCHOLIKOM dla rozrywki
ERYGOWANA.
CZĘSC WTORA.
Ta Część Swiat cały z wszelką ſtawi ciekawością,
Zwierciadło Geniuſzow, z Języków mnogością,
Co ich ieſt ná tym Swiecie, iak ſię rozrodźiły:
Zakony, co ſie w Pierwſzey Części opuściły.
To wſzyſtko ſtáło ſię wielką pracą y własnym kosztem Autora tu *enigmatè* wyrażonego:
Imie mi Dobrzerzeczon, á Nazwiſko piſme,
Tamte mi od Kościoła, te od Przodkow zdane.
To ieſt: przez Xiędza BENEDYKTA CHMIELOWSKIEGO Dziekáná Rohatyńſkiego Firleiowſkiego y Podkámienieckiego Páſterza.
Roku Wcieloney Przedwieczney Mądrosci 1746,
w DRUKARNI J.K.MCi *Colleg: Leop: Societátis JESU.*

– Teraz piszę suplement do obu ksiąg, czyli tomy trzeci i czwarty, i na tym, myślę, skończę opisanie świata – dopowiada ksiądz Benedykt.

Co ma rzec Drużbacka? Odkłada szczeniaka, biorąc sobie za to na podołek księgę. Tak, zna ją, kiedyś czytała ją na dworze Jabłonowskich, tam mieli pierwsze wydanie. Otwiera jej się teraz rozdział o zwierzętach i znajduje tam coś o psie. Czyta głośno:

– „W Piotrkowie u nas pies był tak dowcipny, iż na rozkaz pański szedł z nożem do kuchni, tam go szorował łapami, opłukał w wodzie i przynosił panu”.

– Toż to właśnie jej matka tak robiła – cieszy się ksiądz, wskazując na swoją sukę.

– A czemuż tu tyle łaciny, księże dobrodzieju? – odzywa się nagle Drużbacka. – Przecież to nie każdy zrozumie.

Ksiądz porusza się niespokojnie.

– Jakże to? Każdy Polak przecie tak gładko mówi po łacinie, jakby się w owym łacińskim urodził. Polski naród jest to gens culta, polita[3], wszelkich mądrości jak capax, dlatego całkiem słusznie lubuje się w łacińskim języku i najlepiej go wymawia. Nie mówimy jak Włosi: Redzina, ale Regina, ani tridzinta, quadradzinta, ale triginta, quadraginta. Nie psujemy łaciny jak Niemcy i Francuzi, którzy miasto Jesus Christus mówią J-e-d-z-u-s Krystus, miasto Michael – Mikael, miasto charus – karus...

– A jaki Polak, drogi ojcze? Damy na przykład rzadko mówią po łacinie, bo w niej kształcone nie były. I mieszczanie raczej wcale łaciny nie znają, a przecież chciałby ksiądz, żeby go i niższe stany czytały... I nawet starosta przedkłada nad łacinę francuski. Mnie się zdaje, że w następnym wydaniu całą tę łacińską mowę trzeba by było wyplewić, jak ogródek księdza dobrodzieja.

Ksiądz jest nieprzyjemnie zaskoczony taką krytyką.

Wygląda na to, że dama, którą gości, jest bardziej zainteresowana psami niż jego księgami.

Słońce już prawie zachodzi, gdy Drużbacka wsiada do kolaski i ksiądz podaje jej kosz z dwoma szczeniakami. Gdy dojedzie do Rohatyna, będzie już ciemno.

– Mogłaby waćpani przenocować w tych skromnych księżowskich pokojach – mówi ksiądz, właściwie zły na samego siebie, że to mówi.

Kiedy powozik odjeżdża, ksiądz nie wie, co z sobą począć. Zgromadził więcej sił niż na te dwie godziny, zgromadził sił na cały

dzień, na tydzień. Deszczułki płotku przy malwach osunęły się, w płocie zieje nieprzyjemna wyrwa, więc ksiądz, nie zastanawiając się zbytnio, bierze się z rozpędu do pracy. Ale potem nagle zastyga i już czuje, jak zewsząd sączy się ku niemu jakiś bezruch, zwątpienie i za tym dalej jakiś rozkład wszystkiego, co do tej pory nienazwane, robi się chaos, wszystko to zaczyna gnić z liśćmi, pęcznieje na jego oczach. Zmusza się jeszcze, żeby przymocować deszczułki do płotku, ale nagle wydaje mu się to zbyt trudne, więc wysypują się z jego rąk i padają na wilgotną ziemię. Ksiądz idzie do domu, w ciemnej sieni zrzuca buty i wchodzi do swojej biblioteki – niskie pomieszczenie z belkami u powały zdaje się go nagle dławić. Siada w fotelu, piec już na całego rozpalony i białe kafle powleczone miedziowym szkliwem rozgrzewają się powoli. Patrzy na książeczkę tej starszej kobiety, bierze do ręki, wącha. Czuć jeszcze farbę drukarską. Czyta:

...prawda, że straszna, wyschła, nazbyt blada,
Junktury żyłmi jak drutami spięte;
Znać nigdy nie śpi, nie pije, nie jada,
Wnętrzności widać przez żebra wygięte,
Gdzie oczy były, tam głębokie doły,
Tam gdzie mózg mieszkał, jakby nalał smoły.

– Zbaw nas, Panie Boże, od wszelkiego złego – szepcze ksiądz i odkłada książeczkę. Taka mu się miła zdawała ta kobieta...

I nagle wie, że musi przywołać na powrót ten sam dziecinny entuzjazm, który go prowadzi przy pisaniu. Bo inaczej zginie, rozłoży się w jesiennej wilgoci jak liść.

Siada do stołu, upycha stopy w but z wilczej skóry, który mu uszyła gospodyni, żeby nie marzł, gdy godzinami siedzi bez ruchu i pisze. Rozkłada papier, ostrzy pióro, zaciera zziębnięte ręce. Zawsze o tej porze roku wydaje mu się, że nie przeżyje zimy.

Ksiądz dziekan Chmielowski zna świat tylko z książek. Za każdym razem, kiedy zasiada w swojej firlejowskiej bibliotece i sięga czy to po pokaźny foliant, czy drobny elzewir, zawsze jest tak, jakby wyruszał w podróż do nieznanego kraju. Ta metafora mu się podoba, uśmiecha się do siebie i już próbuje ją ułożyć w zgrabne zdanie... Łatwiej mu jest pisać o całym świecie niż o sobie samym. Ciągle czymś zaabsorbowany, sobą się nie zajmował, wydarzeń z życia nie spisywał i teraz zdaje mu się, że nie ma żadnej biografii. Gdyby go zapytała ta dama, która pisze tak ponure wiersze, kim on jest, jakże przeżył swoje lata, to co by odpowiedział? I gdyby chciał to spisać, nie byłoby tego wiele więcej niż kilka stron, więc nawet nie książeczka, nawet nie taki mały elzewir, zaledwie tylko broszura, świstek, żywocik nieświętego z obrazkiem. Ani peregrynant, ani lustrator obcych krain.

Macza pióro w atramencie i trzyma je przez chwilę nad arkuszem, a potem z rozmachem zaczyna:

> Historia życia JMć Xiędza Joachima Benedykta Chmielowskiego herbu Nałęcz, proboszcza na Firlejowie, Podkamieniu i Janczynie, dziekana rohatyńskiego i na ubogiej owczarni pasterza chudego, własną ręką spisana i nie sadząc się na wysoką polszczyznę, aby nią nie ćmić sensów, Czytelnikowi ad usum dedykowana.

Tytuł zajmuje mu pół strony, więc sięga ksiądz po kolejny arkusz papieru, ale jego ręka jakby zdrętwiała i nic więcej napisać już nie chce albo nie może. Kiedy napisał „czytelnikowi”, przed oczami stanęła mu Drużbacka, ta drobna starsza pani o czerstwej cerze i wyrazistych oczach. Ksiądz obiecuje sobie przeczytać jej wiersze, ale nie spodziewa się po nich wiele. Płochość. Musi być płochość i jeszcze niemożliwe zastępy bogów greckich.

Żal mu, że pojechała.

Przysunąwszy sobie kolejną kartę, zanurza pióro w atramencie. Co by miał tu napisać, zastanawia się. Historia życia księdza jest historią książek, które przeczytał i napisał. Matka, widząc, że mały Benedykt

taki chętny do książek, wysłała go do jezuitów do Lwowa w wieku piętnastu lat. Decyzja ta znacznie polepszyła jego relacje z ojczymem, który go nie lubił. Odtąd prawie się już nie spotykali. Potem od razu poszedł do seminarium i wkrótce został wyświęcony. Swoją pierwszą pracę podjął na dworze u Jabłonowskich jako preceptor tylko o pięć lat od siebie młodszego Dymitra. Tam nauczył się, jak udawać starszego, niż się jest, i mówić tonem wiecznego pouczania, co mu niektórzy do dziś biorą za złe. Pozwolono mu też korzystać z biblioteki gospodarza, całkiem sporej, i tam odkrył Kirchera oraz *Orbis pictus* Komenskiego. Na dodatek ręka, krnąbrna służka, sama wyrywała się do pisania, zwłaszcza pierwszej wiosny, jaką tam spędził, wilgotnej i dusznej, szczególnie gdy gdzieś niedaleko znajdowała się jejmość Joanna Maria Jabłonowska, matka Dymitra i żona gospodarza (o czym to ksiądz starał się nie myśleć). Zakochany do nieprzytomności, ogłuszony uczuciem, nieobecny duchem, słaby, toczył ze sobą straszną walkę. Żeby nie dać poznać nic po sobie, cały poświęcał się pracy i napisał dla ukochanej książkę do nabożeństwa. Tym zabiegiem udało mu się oddzielić ukochaną od siebie, unieszkodliwić ją niejako, uświęcić i zanielić, i kiedy jej wręczał rękopis (dobrych parę lat przed tym, zanim to zostało wydane we Lwowie, a potem osiągnęło sporą popularność i jeszcze kilka nakładów), to czuł się tak, jakby ją poślubił, połączył się z nią i teraz dawał jej dziecię tego związku. *Bieg roku całego* – modlitewnik. W ten sposób zrozumiał, że pisanie ocala.

Joanna była w niebezpiecznym dla wielu mężczyzn okresie życia między wiekiem ich matki a wiekiem kochanki. Erotyczny powab macierzyńskości nie był więc wystarczająco jawny i można się w nim było pławić do woli. Wyobrażać sobie własną twarz wtuloną w miękkość koronek, słaby zapach wody różanej i pudru, delikatność skóry pokrytej brzoskwiniowym meszkiem, już nie tak jędrnej i napiętej, ale ciepłej, łagodnej, miękkiej jak zamsz. Za jej wstawiennictwem otrzymał od króla Augusta II probostwo w Firlejowie i jako dwudziestopięciolatek, ze złamanym sercem objął tę niedużą parafię. Tu przytaszczył swoją bibliotekę i zbudował dla niej piękne rzeźbione gabloty. Własnych ksiąg miał czterdzieści siedem; inne pożyczał z bibliotek klasztornych, z biskupstwa, z pałaców magnackich, gdzie

najczęściej leżały zupełnie nierozcięte, jako pamiątki z wypraw za granicę. Dwa pierwsze lata były trudne. Zwłaszcza zimy. Wtedy nadwerężył sobie oczy, bo zmrok zapadał szybko, a on nie mógł przestać pracować. Napisał dwie dziwne książeczki: *Ucieczkę przez świętych do Boga* i *Wyprawę na tamten świat*, której nie odważył się wydać pod swoim nazwiskiem. W przeciwieństwie do modlitewnika nie zrobiły wielkiej kariery i przepadły gdzieś w świecie. Ksiądz trzyma ich po kilka egzemplarzy tu, w Firlejowie, w specjalnym kufrze, który kazał obić blachą i opatrzyć porządnymi zamkami na wypadek pożaru, kradzieży i wszelkich kataklizmów, na jakie nieodporne są zwyczajne ludzkie biblioteki. Pamięta dokładnie kształt modlitewnika i zapach jego okładki – z ciemnej, zwyczajnej skóry. To dziwne, pamięta też dotyk dłoni Joanny Jabłonowskiej, miała taki zwyczaj – przykrywała swoją dłonią jego dłoń, gdy chciała go uspokoić. I jeszcze coś: pamięta delikatną miękkość jej chłodnego policzka, gdy zupełnie oszalały z miłości, odważył się go kiedyś pocałować.

I to tyle jego życia, nie zajęłoby mu to chyba więcej miejsca niż sam tytuł. Jego ukochana umarła przed wydaniem *Nowych Aten*, a one też były pisane z miłości.

Ale to dziwne zrządzenie Boskie z ostatniego czasu stało się jego udziałem chyba dlatego, żeby zaczął już rozpamiętywać swoje życie. W rysach Kossakowskiej rozpoznał jej starszą siostrę, a pani Drużbacka całe lata była u niej na służbie, właśnie u księżnej Jabłonowskiej, siostry Kossakowskiej, aż do końca. Powiedziała mu nawet, że była przy jej śmierci. To wprawiło księdza w jakieś pomieszanie – teraz Drużbacka okazała się posłanką z przeszłości. Dotyk, policzek, dłoń tamtej przeszły jakoś na nią. Nic nie jest już tak intensywne i barwne, stało się rozmyte i bez konturów. Jak sen, który znika po przebudzeniu, który ulatuje z pamięci niczym mgła znad pól. Nie bardzo to ksiądz rozumie, ale i nie chce rozumieć. Ludzie, którzy piszą księgi, myśli, nie chcą mieć własnej historii. No bo i po co? W porównaniu z tym, co jest zapisane, zawsze będzie nudna i nijaka. Ksiądz siedzi z piórem już wyschłym, aż wypala się świeca i z krótkim syknięciem gaśnie. Wtedy zalewa go ciemność.

Ksiądz Chmielowski próbuje napisać list do JWM Pani Drużbackiej

Ksiądz Chmielowski czuje się nieusatysfakcjonowany tym, co udało mu się wypowiedzieć podczas odwiedzin pani Drużbackiej. Bo też niewiele mu się udało, chyba z wrodzonej nieśmiałości. Przechwalał się tylko, ciągnął niewiastę po kamieniach, w zimnie i wilgoci. Sama myśl, że ta mądra i wykształcona kobieta miałaby go brać za idiotę i ignoranta, rozdrażnia go. Dręczy go to, aż postanawia do niej napisać list i wyłuszczyć swoje dowody.

Zaczyna od pięknego zwrotu:

> Przewodniczko Muz, Ulubienico Apollona...

Ale na tym zatrzymuje się na cały dzień. Zwrot podoba mu się gdzieś do obiadu. Przy kolacji wydaje mu się żałosny i napuszony. Dopiero wieczorem, gdy gorące korzenne wino rozgrzewa jego umysł i ciało, siada śmielej do czystej karty papieru i pisze jej podziękowania za to, że go odwiedziła w „firlejowskiej samotni” i dodała nieco światła jego monotonnemu szaremu życiu. Wierzy, że „światło” rozumieć będzie pani Drużbacka szeroko i poetycznie.

Pyta jeszcze o szczeniaki i sam zwierza się z kłopotów, że mu lis wydusił wszystkie kurki i teraz po jajka musi posyłać do chłopa. Ale nowych boi się brać, bo je znowu skaże na śmierć w lisich szczękach. I takie tam.

Nie chce się do tego przyznać, ale potem czeka i czeka na odpowiedź. Liczy w myślach, ile to poczta może iść do Buska, bo tam teraz pani Drużbacka bawi. Ale to przecież niedaleko. List już powinien być.

Wreszcie przychodzi. Roszko szuka adresata po całej plebanii i trzyma list w sztywno wyciągniętej ręce. Znajduje księdza w piwnicy, gdy ten zlewa wino.

– Aleś mnie przestraszył – wzdraga się dobrodziej. Wyciera ręce o fartuch, który zawsze zakłada, gdy bierze się do gospodarskich

czynności, i ostrożnie chwyta list w dwa palce. Ale go nie otwiera. Przygląda się pieczęci i własnemu imieniu wykaligrafowanemu pięknym, świadczącym o pewności siebie pismem, którego zawijasy powiewają na papierze jak chorągwie bitewne.

Dopiero potem, z godzinę później, gdy jego biblioteka już rozgrzała się od pieca, gdy przyrządził sobie wino z korzeniami, a stopy przykrył futrem, delikatnie otwiera list i czyta:

Elżbieta Drużbacka pisze do księdza Chmielowskiego

Boże Narodzenie 1752, Busk

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju,

Oto przychodzi ta wielka sposobność, aby w czasie narodzin Pana Naszego Zbawiciela życzyć Ci wszelakiej pomyślności, a nadto ochrony zdrowia Twojego i dobrego samopoczucia, bośmy przecież tak krusi, że byle co powalić nas może. Oby Ci się darzyło we wszystkim i oby łaska Dzieciątka Jezus sprzyjała Ci nieskończenie.

Pod wielkim wrażeniem pozostaję od czasu wizyty w Firlejowie i przyznać muszę, żem sobie tak słynnego Księdza inaczej imaginowała: że masz wielką bibliotekę, a w niej wielu sekretarzów siedzi i wszyscy oni dla Ciebie pracują, piszą, przepisują. A tu Waszmość skromny niczym Franciszek.

U Waszmości podziwiam kunszt ogrodniczy, pomysłowość wszelką i erudycję Waszmości ogromną. Od razu po przyjeździe z wielką przyjemnością zajęłam swoje wieczory powtórnym czytaniem *Nowych Aten*, które przecież dobrze znam, bom się w nich zaczytywała, gdy po raz pierwszy były wydane. I gdybyż na to moje oczy pozwoliły, czytałabym godzinami. Bo teraz jest to bardziej szczególne, bo przecież znam Autora osobiście, i nawet zdarza mi się, że słyszę jego głos, jakbym czytanie na głos miała od Ciebie, Dobrodzieju. A i książka ta jest dziwnie magiczna – można ją czytać bez przerwy, to tu, to tam, i zawsze coś ciekawego w głowie zostaje, i ma się wszelkie preteksta do pomyślenia, jaki to świat jest wielki i skomplikowany, że myślą się go nijak objąć nie da, chyba tylko wyrywkami, drobinami małych zrozumień.

Teraz jednak zmrok tak szybko zapada i codziennie połyka nam chwile naszego życia, światło świec zaś jest tylko nędzną imitacją światła, której nasze oczy znieść długo nie mogą.

Wiem jednak, że zamysł *Nowych Aten* jest zamysłem wielkiego geniuszu i odwagi ogromnej i wielką ma zasługę dla nas wszystkich, jak żyjemy w Polszcze, bo to prawdziwe kompendium naszej wiedzy.

Jest jednakże rzecz, która mi przeszkadza w dobrej lekturze Twego dzieła, Mości Dobrodzieju, i o tym już mówiliśmy, kiedyśmy siedzieli u Ciebie w Firlejowie – a to ta łacina, a nie ona sama, lecz jej nieprzebrana obfitość, wszędzie wtrącona, niczym sól, co się zbyt obficie sypie do potrawy i zamiast podnieść jej smak, czyni ją trudną do przełknięcia.

Ja rozumiem, Mości Dobrodzieju, że łacina to język ze wszystkim otrzaskany i słów w niej poręcznych więcej niż w polskim, lecz ten, kto jej nie zna, czytać Twojej książki mógł nie będzie, zgubi się zupełnie. A myślałeś o tych chętnych do czytania, którzy łaciny nie znają, jak owi kupcy, drobni ziemianie niezbyt kształceni, a nawet i co bystrzejsi rzemieślnicy – to im przydałaby się ta wiedza, którą tak skrupulatnie zbierasz, nie zaś Twoim konfratrom, księżom i akademikom, oni i tak mają dostęp do ksiąg. Jeśli chcą oczywiście, bo chce im się nie zawsze. Nie mówię już o białogłowach, które najczęściej czytać nawet dobrze potrafią, a jako że do szkół ich nie posyłano, w łacinie od razu grzęzną.

Biskup Sołtyk pisze list do nuncjusza papieskiego

Zostawił sobie ten list do napisania wczoraj jako ostatni, ale zmogło go zmęczenie, dlatego dziś musi zacząć swój dzień od tak nieprzyjemnej sprawy. Sekretarz zaspany, tłumi ziewanie. Bawi się piórem i wypróbowuje grubość linii, gdy biskup zaczyna dyktować:

Biskup Kajetan Sołtyk, koadiutor kijowski, do nuncjusza papieskiego Mikołaja Serry, arcybiskupa mityleńskiego...

Wtedy wchodzi chłopiec podręczny od palenia w piecach i zabiera się do wygarniania popiołu. Szuranie szufelki wydaje się biskupowi nie do

zniesienia i wszystkie myśli z jego głowy ulatują niczym chmura owego popiołu. I jak popiół smakuje mu ta sprawa.

– Przyjdź z tym później, chłopcze – odzywa się do niego łagodnie i przez chwilę zbiera rozpierzchnięte myśli. Pióro rusza do ataku na niewinny papier:

> Jeszcze raz wielce winszuję Waszej Eminencji stanowiska nowego w Polszcze, mając nadzieję, że będzie ono okazją do wszechstronnego umacniania wiary w Jezusa Chrystusa na ziemiach tak szczególnie umiłowanych przez Niego, bośmy tu, w Rzeczypospolitej, najwierniejsi z Jego stajni, najbardziej oddani Mu sercem...

Teraz biskup Sołtyk zupełnie nie wie, jak przejść do rzeczy. Najpierw chciał całą sprawę potraktować ogólnie – nie spodziewał się wyraźnej prośby o raport, i to od nuncjusza. Dziwi się temu, bo nuncjusz wszędzie ma swoich szpiegów i choć sam swojego dużego włoskiego nosa nigdzie nie wściubia, to wysługuje się nosami innych, gorliwych.

Sekretarz czeka z uniesionym piórem, na którego koniuszku już gromadzi się spora kropla. Ale człowiek ten, bardzo doświadczony, zna dobrze zwyczaje kropel atramentu, i czeka do końca, by dopiero w ostatniej chwili strząsnąć ją z powrotem do kałamarza.

Jakże to opisać, myśli biskup Sołtyk i przychodzą mu do głowy jakieś zgrabne zdania typu: „Świat jest pielgrzymowaniem bardzo niebezpiecznym dla tych, którzy wzdychają do wieczności”, co ukazałoby tę niewygodną i męczącą sytuację biskupa, który musi się teraz tłumaczyć z uczynków swoich, słusznych, acz przykrych, podczas gdy powinien swoje myśli oddawać modlitwie i duchowym potrzebom swej owczarni. Jak zacząć? Może od znalezienia dziecka i że działo się to pod Żytomierzem, we wsi Markowej Wolicy, tego właśnie roku, niedawno.

– Studziński, czy tak?

Sekretarz kiwa głową i dodaje jeszcze imię chłopca: Stefan. W końcu znalazł się, ale jako martwe ciało, posiniaczone i pełne ran, jakby kłutych. W krzakach przy trakcie.

Teraz biskup skupia się w sobie. Zaczyna dyktować:

...chłopi, znalazłszy dziecię, nieśli je do cerkwi, przechodząc koło tej karczmy, w której umęczone być musiało. Krew się z boku lewego z najpierwszej rany puściła, i tak z tego, jako i innych na Żydów suspicji, zaraz wzięto w tej wsi dwóch Żydów karczmarzów i ich żony, którzy się do wszystkiego przyznali i innych powołali. Sprawa wynikła więc sama z siebie, dzięki boskiej sprawiedliwości.

Dano mi natychmiast znać o całej sprawie i nie omieszkałem się wdać w nią z wszelką usilnością, i już in crastinum[4] kazałem dyspozytorom dóbr okolicznych i panom wydać innych winnych, a gdy ci się okazali opieszałymi, sam po tych dobrach jeździć jąłem i perswadować Imościom aresztowanie. Tak zaaresztowano trzydziestu jeden mężczyzn i dwie kobiety, i sprowadziwszy ich okutych w kajdany do Żytomierza, osadzono w dołach specjalnie na ten cel wykopanych. Po wyprowadzeniu inkwizycji odesłałem oskarżonych do sądu grodzkiego. Sąd dla zupełniejszego złośliwych morderców aktu niegodziwego docieczenia postanowił przystąpić do badania strictissime stawionych przed nim Żydów, a to tem bardziej że niektórzy zmieniali swe zeznania, uczynione przed sądem konsystorskim, oraz zbijali obciążające ich świadectwa chrześcijan. Brano tedy oskarżonych na tortury i przez mistrza świętej sprawiedliwości po trzykroć przypaleniem potraktowani byli. Z tych korporalnych konfessat okazało się rychło, iż Jankiel i Ela, arendarze karczmy w Markowej Wolicy, namówieni przez Szmajera, rabina z Pawlaczy, schwycili jakoby to dziecię, uprowadzili je do karczmy, spoili wódką, poczem rabin scyzorykiem lewy bok przebił. Potem zaś w książkach swe modlitwy czytali, a inni Żydzi ćwieczkami i wielkimi szpilkami kłuli i ze wszystkich żył krew niewinną wyciskali do miski, którą to krwią rabin obdzielił obecnych, we flaszeczki im rozlewając.

Biskup robi teraz przerwę w dyktowaniu i każe sobie podać odrobinę węgrzyna, który mu zawsze na krew dobrze robi. To nic, że na pusty żołądek. Czuje też, że czas śniadania zamieni się zaraz w czas obiadowania, a on zaczyna się robić głodny. A więc i zły. Cóż począć. List musi pójść dzisiaj. Dyktuje więc dalej:

> Gdy więc oskarżyciel w sprawie nieletniego Stefana, opisując jego dolenda fata[5], według procedury złożył z siedmioma świadkami przysięgę, iż rzeczeni Żydzi śmierci i krwi wylania dzieciątka są przyczyną, sąd skazał ich na śmierć okrutną.
>
> Siedmiu motorów tej zbrodni i hersztów tego pogańskiego okrucieństwa miał mistrz z rynku od pręgierza z miasta Żytomierza z okręconymi konopiami i oblanymi smołą obiema rękami, zapaliwszy, prowadzić przez miasto pod szubienice. Tam z każdego po trzy pasy drzeć, potem ćwiartować, głowy na pal powbijać, ćwierci porozwieszać. Sześciu skazano na ćwiartowanie, jednego zaś –

jako że do wiary katolickiej świętej z żoną i dziećmi w ostatniej chwili przystąpił, skazano na lżejszą karę, aby był tylko ścięty. Pozostałych uniewinniono. Sukcesorowie skazanych na śmierć mieli zapłacić ojcu ofiary 1000 złotych polskich pod karą banicji wiecznej.

Spośród pierwszych siedmiu – jednemu udało się zbiec, drugi zaś chrzest przyjął i wraz ze skazanym na ścięcie został przeze mnie od śmierci wyproszony.

Na reszcie wyrok został sprawiedliwie wykonany. Trzech winnych w złości swej zatwardziałych poćwiartowano, trzem zaś, którzy się ochrzcili, karę zamieniono na ścięcie i ich ciała sam z licznym klerem odprowadziłem na cmentarz katolicki.

Na drugi dzień odprawiłem ceremonię chrztu świętego trzynastu Żydów i Żydówek, dla zamęczonego zaś dziecięcia kazałem przygotować epitupticum, a święte ciało niewiniątka i męczennika z całą solennością kazałem pogrzebać w katedralnych grobach.

Ista scienda saris, strasznych, acz ze wszech miar koniecznych dla ukarania sprawców tak haniebnego czynu. Ufam, że Jego Ekscelencja w tych wyjaśnieniach znajdzie wszystko, co pragnął wiedzieć, i uśmierzy to Jego wyrażony w liście niepokój, żeśmy coś tutaj przeciw Kościołowi, Matce Naszej Świętej uczynili.

Zelik

Ten, który uciekł, po prostu zeskoczył z wozu, którym ich, skrępowanych, wieziono do aresztu na tortury. Okazało się to nietrudne, bo związano ich byle jak. Los czternaściorga więźniów, w tym dwóch kobiet, był właściwie przesądzony, uważano ich za prawie martwych i nikomu nie przyszło do głowy, że mogliby próbować zbiec. Wóz konwojowany przez oddział konnych tuż przed Żytomierzem wjechał na milę w las. Tam właśnie uciekł Zelik. Wysupłał jakoś dłonie z postronka, wyczekał na właściwy moment, a gdy znaleźli się najbliżej zarośli, jednym susem zeskoczył z wozu i zniknął w lesie. Wszyscy pozostali więźniowie siedzieli cicho ze spuszczonymi głowami, jakby celebrując własną bliską śmierć, strażnicy zaś nie od razu zorientowali się, co zaszło.

Ojciec Zelika, ten sam, który pożyczał pieniądze Sołtykowi, zamknął oczy i zaczął się modlić. Zelik, kiedy jego stopa dotykała już poszycia lasu, obejrzał się za siebie i dobrze zapamiętał ten widok: zgarbiony starzec, stare małżeństwo siedzące blisko siebie, ich ramiona dotykają się, młoda dziewczyna, dwóch sąsiadów ojca z białymi brodami kontrastującymi z czernią płaszczy, biało-czarna plama tałesu. Tylko ojciec patrzy na niego spokojnie, jakby to wszystko wiedział od początku.

Teraz Zelik wędruje. Czyni to tylko w nocy. Za dnia śpi; kładzie się o świcie, kiedy ptaki robią największy hałas, i wstaje o zmierzchu. Idzie, idzie – nigdy drogą, ale zawsze obok, zaroślami, próbując omijać odkryte połacie. A jeśli już musi przejść przez otwartą przestrzeń, stara się, żeby rosło na niej choć zboże, bo jeszcze nie wszystko zebrano z pól. W czasie tej wędrówki prawie nie je – niekiedy tylko jabłka, gorzkie ulęgałki – ale też nie czuje głodu. Wciąż drży, tyleż ze strachu, co z oburzenia i gniewu, ręce mu drżą i nogi i ściska go w brzuchu, we wnętrznościach, dlatego czasem wymiotuje żółcią, spluwając potem długo ze wstrętem. Zdarzyło się kilka nocy bardzo jasnych z powodu pełnego, zadowolonego z siebie Księżyca. Widział wtedy z daleka stado wilków, słyszał ich wycie. Przyglądały mu się stada saren – zdziwione, spokojnie sunęły za nim wzrokiem. Dostrzegł go też jakiś wędrowny dziad ślepy na jedno oko, brudny i kudłaty; ten przeraził się go nie na żarty, przeżegnał się tylko i szybko czmychnął w krzaki. Z daleka Zelik obserwował małą grupkę zbiegłych chłopów, którzy we czterech przeprawiali się przez rzekę, do Turcji – na jego oczach nadjechali konni, złapali ich i powiązali sznurami jak bydło.

Kolejnej nocy zaczyna padać deszcz i chmury przesłaniają Księżyc. Zelikowi udaje się wówczas przejść rzekę. Cały następny dzień próbuje wysuszyć ubranie. Zziębnięty, słaby, myśli bez przerwy o tym samym. Jak to się stało, że pan, któremu prowadził rachunki związane z wyrębem lasu – ludzki pan, jak uważał – okazał się zły? Dlaczego zeznawał nieprawdę przed sądem? Jak to możliwe, że kłamał pod przysięgą, i to nie w sprawie pieniędzy czy interesu, ale tu, gdzie szło o ludzkie życie? Zelik nie potrafi tego pojąć; cały czas powracają mu również przed oczy te same obrazy: aresztowany, wywleczony z domu

wraz z innymi, z jego starym, zupełnie głuchym ojcem, który nie rozumiał, co się dzieje. A potem potworny ból, który ma władzę nad ciałem i rządzi rozumem; ból, który jest królem tego świata. I jeszcze wóz drabiniasty, wożący ich z aresztu na tortury, przez miasteczko, gdzie ludzie pluli na nich, otępiałych i poranionych.

Mniej więcej po miesiącu Zelik dociera do Jassów, gdzie odnajduje znajomych matki. Przyjmują go, wiedząc już, co się stało; tam przez jakiś czas dochodzi do siebie. Ma kłopoty ze spaniem, boi się zamknąć oczy; we śnie, kiedy już weń wpadnie – jakby się pośliznął na gliniastym brzegu bajora i runął do wody – widzi ciało swojego ojca, ukryte gdzieś w mule, niepochowane, straszne. Nocami dręczy go lęk, że śmierć czyha na niego w ciemności i może go znowu capnąć – tam, w mroku, są jej rewiry, koszary jej wojsk. Skoro uciekł jej tak banalnie, skoro ani się obejrzała, jak zniknął z gromady tych, co już do niej należeli, będzie miała na niego zakusy już zawsze.

Dlatego Zelika nie da się już zatrzymać. Rusza na południe, piechotą, jak pątnik. Puka po drodze do żydowskich domostw, gdzie zatrzymuje się na nocleg. Opowiada przy kolacji swoją historię i ludzie przekazują go sobie z domu do domu, z miasta do miasta, jak kruchy delikatny towar. Wkrótce wieść leci przed nim – znają jego opowieść i wiedzą, gdzie idzie, więc otaczają go swego rodzaju czcią. Każdy pomaga mu, jak umie. Odpoczywa w szabat. Jeden dzień w tygodniu pisze listy – do rodziny, do gmin żydowskich, do rabinów, do Sejmu Czterech Ziem. Do Żydów i chrześcijan. Do polskiego króla. Do papieża. Zdziera wiele par butów i wypisuje z kwartę atramentu, zanim udaje mu się dotrzeć do Rzymu. I jakimś cudem, jakby czuwały nad nim potężne siły, już następnego dnia staje twarzą w twarz z papieżem.

RUSSIA RUBRA, PODOLIA, VOLHYNIA ET UKRAINA.
P. 113.
RUSSIA
RUBRA
Palatinatus Lemburgiensis
PODOLIA
VOLHYNIA
Palatinatus Lucucensis
Palatinatus Kijoviensis
UKRAINA
Palatinatus Braclaviensis
Campi Deserti.
WALACHIA
MOLDAVIA
Budziak.
Mare
Ngrum
Or

II. KSIĘGA PIASKU

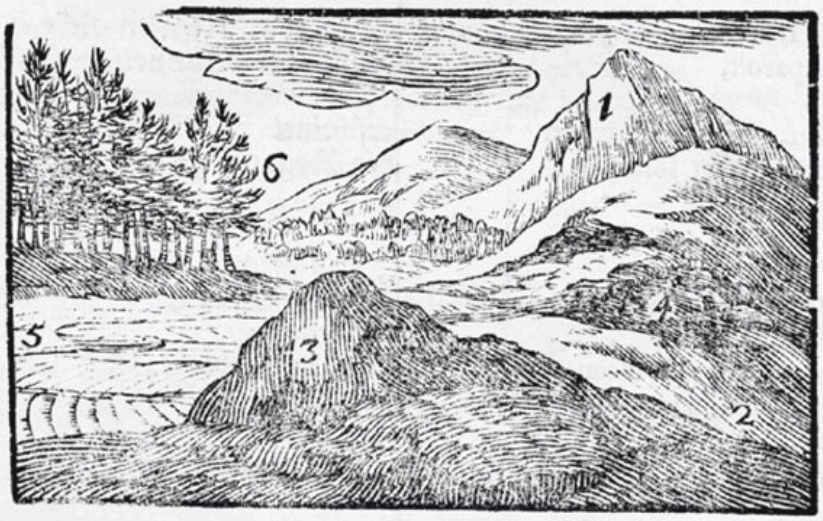

Super *terra* ſunt	Na ziemi ſą	terra, f. 1. ziemia.
alti *montes*, 1	wyſokie gory, 1	altus, a, um, wyſoki, a, e. mons, m. 3. gora,
profundæ *valles*, 2	głębokie doliny, 2	profundus, a, um, głęboki, a, e. vallis, f. 3. dolina.
elevati *colles*, 3	wyniosłe pagorki, 3	elevatus, a. um, wyniosły, a, e. collis, m. 3. pagorek.
cavæ *ſpeluncæ*, 4	wklęsłe iaſkinie, 4	cavus, a, um, wklęsły, a, e. ſpelunca, f. 1. iaſkinia.
plani *campi*, 5	rowne pola, 5	planus, a, um, rowny, a. e. campus, m. 2. pole.
opácæ *ſylvæ* 6	ciemne laſy 6	

5

O tym, jak ze zmęczenia Boga powstaje świat

Bywa, że Bóg męczy się swoją światłością i ciszą, mdli go od nieskończoności. Wtedy, jak ogromna, wszechwrażliwa ostryga, której ciało, tak nagie i delikatne, czuje najmniejsze drganie cząsteczek światła, kurczy się w sobie i zostaje po nim trochę miejsca, gdzie od razu z zupełnie niczego pojawia się świat. Najpierw świat przypomina pleśń, jest delikatny i biały, ale rośnie szybko, pojedyncze nitki łączą się ze sobą, tworząc mocne poszycie. W końcu twardnieje i odtąd zaczyna nabierać kolorów. Towarzyszy temu niski, ledwie słyszalny dźwięk, ponura wibracja, która wprawia atomy w niespokojne drżenie. Z tego właśnie ruchu powstają cząsteczki, a potem ziarnka piasku i krople wody, które dzielą świat na pół.

Teraz jesteśmy po stronie piasku.

Widzimy oczyma Jenty niski horyzont i ogromne niebo, złote i pomarańczowe. Wielkie bulwiaste cumulusy odpływają ku zachodowi, jeszcze nieświadome, że za chwilę spadną w otchłań. Pustynia jest czerwona i nawet najmniejsze kamyki rzucają długie, rozpaczliwe cienie, którymi próbują się wczepić w solidną materię.

Końskie i ośle kopyta prawie nie zostawiają śladów, osuwają się po kamieniach, wzniecają trochę pyłu, który zaraz osiada i zakrywa każdą powstałą rysę. Zwierzęta idą powoli, z opuszczonymi głowami, zmęczone całodzienną podróżą, jak w transie. Ich grzbiety przywykły już do ciężarów, jakie nakłada się na nie każdego ranka, po nocnym postoju. Tylko osły robią każdego ranka raban, rozdzierając świt pełnym żalu i zdumienia wrzaskiem. Ale teraz nawet one, urodzeni buntownicy, zupełnie zamilkły, licząc na rychły odpoczynek.

Między nimi poruszają się ludzie, smukli na tle krągłych, zdeformowanych ładunkiem kształtów zwierząt. Jak wskazówki

zegarów, które uwolniły się od swoich cyferblatów, teraz samowolnie odmierzają czas oderwany, chaotyczny, którego nie zdoła już poskromić żaden zegarmistrz. Ich cienie, długie i ostre, dźgają pustynię i drażnią zapadający zmierzch.

Wielu z nich odzianych jest w długie jasne płaszcze, na głowie mają turbany, kiedyś zielone, a dziś wyblakłe od słońca. Inni schowali się pod kapeluszami o dużych rondach i ich twarze wcale nie różnią się od cieni rzucanych przez kamienie.

To karawana, która kilka dni temu ruszyła ze Smyrny i zdąża na północ, przez Konstantynopol, i potem przez Bukareszt. Po drodze będzie rozdzielać się i łączyć. Część kupców odbije już za kilka dni, w Stambule, ci powędrują przez Saloniki i Sofię do Grecji i Macedonii, inni pozostaną aż do Bukaresztu, a jeszcze inni pójdą do końca, wzdłuż Prutu, do polskiej granicy i przekroczą ją, pokonując płytki Dniestr.

Na każdym postoju trzeba zdejmować z grzbietów zwierząt wiezione towary i przeglądać te, które leżą porządnie zapakowane na wozach. Niektóre z nich są delikatne, jak partia długich tureckich fajek; każda z nich pakowana osobno w pakuły i jeszcze dokładnie obwiązana płótnem. Jest także trochę tureckiej broni i końska paradna uprząż, są kobierce i tkane pasy, którymi panowie szlachta przewiązują swoje żupany.

Są też bakalie w drewnianych skrzyniach, starannie zakryte przed słońcem, materyjki różne, a nawet cytryny i pomarańcze nie do końca dojrzałe, żeby mogły przetrwać podróż.

Jeden Ormianin, niejaki Jakubowicz, który dołączył do karawany w ostatniej chwili, wiezie na osobnym wozie towary luksusowe: kobierce dywańskie, tureckie kilimy. Teraz drży o ten towar, unosi się gniewem o byle co. Już był skłonny wsiąść na statek i ze Smyrny do Salonik przewieźć wszystko w dwa dni, ale handel morski dziś niebezpieczny – można wpaść w niewolę, opowieści o tym krążą nieustannie, gdy tylko karawana przystaje na popas przy ogniu.

Nachman Samuel ben Lewi z Buska właśnie usiadł z płaską skrzynką na kolanach. Wiezie tytoń ubity ciasno w twarde paczki. Niedużo tego, ale

liczy na spory zysk, bo tytoń kupił tanio i dobrej jakości. Ma jeszcze przy sobie, w specjalnie szytych kieszeniach, inne drobne, ale cenne rzeczy: piękne kamienie, głównie turkusy, oraz kilka długich, mocno sprasowanych pałeczek smółki do palenia, którą dodaje się do fajek i którą tak lubi Mordechaj.

Szykowali karawanę przez kilka dobrych dni, a jednocześnie trzeba było jeszcze biegać po tureckich urzędach, żeby dostać za obfity bakszysz ferman – rozkaz do władz tureckich po drodze, aby karawanę przepuszczały.

Dlatego tak jest zmęczony i to zmęczenie niełatwo ustępuje. Najbardziej pomaga mu widok kamienistej pustyni. Wychodzi poza obóz i tam siada, z dala od ludzkiej gadaniny. Słońce jest już tak nisko, że kamienie rzucają przed siebie długie, ciemne cienie, niczym ziemne komety, przeciwnie niż te niebieskie zbudowane z cienia, nie ze światła. I zastanawia się Nachman, który wszędzie widzi znaki, jaką to przyszłość zapowiadają owe ziemskie ciała, jaką niosą wróżbę. A ponieważ pustynia jest jedynym na świecie miejscem, w którym czas zawraca, robi pętlę i wyskakuje do przodu wielkimi susami, niczym tłusta szarańcza, niektóre oczy mogą tam zyskać wgląd w przyszłość. I tak właśnie widzi Nachmana wzrok Jenty: Nachman jest już stary, wyschnięty na wiór i zgarbiony. Siedzi przy małym okienku, z którego wpada niewiele światła, od grubych murów płynie chłód. Jego ręka, która trzyma pióro, wyraźnie drży. W małej klepsydrze stojącej obok kałamarza przesypują się ostatnie ziarenka piasku: jego koniec jest już bliski, ale Nachman wciąż pisze.

Prawda jest taka, że Nachman nie może się powstrzymać. To jest jak świerzbienie, ustaje tylko, gdy zaczyna układać chaos myśli w zdania. Skrzypienie pióra go uspokaja. Ślad, który pozostawia ono na karcie papieru, daje mu przyjemność, jakby jadł najsłodsze daktyle, jakby miał w ustach rachatłukum. Wszystko się wtedy układa, uściśla, porządkuje. Bo Nachman zawsze miał wrażenie, że uczestniczy w czymś wielkim, niepowtarzalnym i jedynym. Że to nigdy już nie powstanie i nigdy czegoś takiego nie było. I na dodatek: że spisuje to wszystko dla tych, którzy się jeszcze nie urodzili, bo oni będą chcieli wiedzieć.

Zawsze ma przy sobie przybory do pisania: tę płaską skrzynkę, drewnianą, może niepozorną, ale jest tam papier dobrej jakości, jest butelka z atramentem, piasek w zamykanym pudełku, zapas piór i nożyk do ich ostrzenia. Nachman wiele nie potrzebuje, siada na ziemi, rozkłada skrzyneczkę, która zamienia się w niski turecki stolik, i jest gotowy do pisania.

Od kiedy jednak zaczął towarzyszyć Jakubowi, coraz częściej spotyka go niezadowolony, karcący wzrok. Jakub nie lubi skrzypienia pióra. Kiedyś zajrzał mu przez ramię. Dobrze, że Nachman akurat robił rachunki. Jakub zażądał, żeby nie zapisywał tego, co on mówi. Nachman musiał go zapewnić, że tego nie zrobi. Lecz wciąż męczy go ta sprawa – dlaczego?

– Jak to jest? – zapytał go kiedyś. – Przecież śpiewamy: „Daj mi mowę, daj mi język i słowa, abym mógł powiedzieć prawdę o Tobie”. A to jest z *Hemdat Yamim.*

Jakub go skarcił:

– Nie bądź głupi. Jeśli kto chce zdobyć twierdzę, ten nie może tego dokonać samym gadaniem, słowem ulotnym, ale musi tam pójść z wojskiem. Tak i my musimy działać, a nie mówić. Mało się to nasi dziadowie nagadali, naślęczeli nad pismem? Cóż im pomogło to gadanie i co z tego wynikło? Lepiej widzieć oczyma, niż mówić słowami. Nie potrzeba nam mądrali. Jak cię zobaczę, że piszesz, dam ci w łeb, żeby cię otrzeźwić.

Nachman wie swoje. Główną jego pracą jest *Żywot Najświętszego Szabtaja Cwi* (oby jego imię było błogosławione!). Spisuje go dla porządku, ot, po prostu układa fakty, te znane i te mniej znane; niektóre koloryzuje, lecz to przecież nie grzech, a raczej zasługa – będzie się je lepiej pamiętać. Pod spodem, na dnie pudełka, ma jednak i inny pakunek – to karty zszyte własnoręcznie grubą dratwą. Ot, resztki. Pisze je w tajemnicy. Od czasu do czasu przerywa, gdyż męczy go, że ten, kto będzie to czytał, musi wiedzieć, kim jest ten, kto to pisał. Zawsze za literami stoi czyjaś ręka, zza zdań wychyla się czyjaś twarz. Przecież i spoza Tory wyłania się zaraz jakaś obecność, wielka, której prawdziwego imienia nie można napisać żadną, nawet pozłoconą i pogrubioną literą. A jednak Tora i cały świat składają się z imion Boga.

Każde słowo jest jego imieniem, każda rzecz. Tora jest utkana z imion Boga jak wielka tkanina Ariga, choć jak jest zapisane w Księdze Hioba: „Żaden śmiertelnik nie zna jej porządku”. Nikt nie wie, co jest osnową, a co wątkiem, jaki wzór widać na prawej stronie i jak ma się on do wzoru, który znajduje się na lewej.

Rabbi Eleazar, bardzo mądry kabalista, domyślił się już dawno temu, że części Tory zostały nam podane w niewłaściwej kolejności. Bo gdyby je podano tak, jak mają być, każdy, poznając jej porządek, natychmiast stałby się nieśmiertelny i sam umiałby ożywiać zmarłych i czynić cuda.

Dlatego – żeby utrzymać porządek tego świata – fragmenty owe pomieszano. Nie pytaj kto. Jeszcze nie czas. Tylko Święty potrafi je ustawić we właściwym porządku.

Nachman widzi, jak zza jego *Żywota Najświętszego Szabtaja Cwi*, z pakietu kartek zszytych dratwą, wyłania się on sam, Nachman Samuel ben Lewi z Buska. Widzi swą postać: drobny, niewysoki, nijaki, wiecznie w drodze. I siebie samego zapisuje. A nazwał te zapiski resztkami, strużynami po innych, ważniejszych pracach. Okruchy – oto czym jest nasze życie. Jego pisanie na wieku skrzyneczki ułożonej na kolanach, w podróżnym kurzu i niewygodzie, jest w istocie tikkun, naprawą świata, cerowaniem dziur w tkaninie, pełnej nachodzących na siebie wzorów, zawijasów, splotów i szlaków. Właśnie tak należy traktować tę dziwaczną czynność. Jedni leczą ludzi, inni budują domy, jeszcze inni studiują księgi i przestawiają słowa, żeby znaleźć w nich właściwy sens. A Nachman pisze.

RESZTKI,

CZYLI O TYM, JAK ZE ZMĘCZENIA PODRÓŻĄ POWSTAJE OPOWIEŚĆ.

PISANE PRZEZ NACHMANA SAMUELA BEN LEWIEGO, RABINA Z BUSKA

O TYM, SKĄD SIĘ WZIĄŁEM

Wiem, że nie jestem żadnym prorokiem ani nie ma we mnie Świętego Ducha. Nie mam władzy nad głosami, nie umiem przeniknąć czasu przyszłego. Moje pochodzenie jest marne i nic nie podnosi mnie z prochu. Jestem taki jak wielu i należę do tych, których macewy kruszeją najpierwsze. Lecz widzę też swoje

zalety: nadaję się do handlu i do podróży, szybko liczę i mam dar do języków. Jestem urodzonym posłańcem.

Gdy byłem dzieckiem, moja mowa przypominała bębnienie deszczu o drewniany dach kuczkowych szałasów, dudnienie, terkot, w którym słowa stawały się nierozróżnialne. Na dodatek jakaś siła wewnątrz mnie nie mogła skończyć rozpoczętego zdania czy słowa, lecz musiała powtórzyć je kilka razy, pospiesznie, prawie bełkotliwie. Jąkałem się. Z rozpaczą widziałem, że nie rozumieją mnie moi rodzice i rodzeństwo. Ojciec walił mnie wtedy w ucho i syczał: „Mów wolniej!”. Więc musiałem próbować. Nauczyłem się niejako wychodzić z siebie i sam chwytać się za gardło, żeby powstrzymać owo terkotanie. Udawało mi się w końcu rozbić słowa na sylaby i rozwodnić je niczym zupę, tak jak robiła to matka z barszczem na drugi dzień, żeby go starczyło dla wszystkich. Ale za to byłem bystry. Z grzeczności czekałem na innych, aż skończą mówić, ale już wcześniej wiedziałem, co chcieli powiedzieć.

Mój ojciec był rabinem w Busku, tak samo i ja miałem się nim stać w przyszłości, choć na krótko. Prowadzili z matką karczmę na skraju bagien, niezbyt często odwiedzaną, dlatego żyli biednie. Nasza rodzina, tak ze strony matki, jak i ojca, przybyła na Podole z zachodu, z Lublina, a przedtem z krajów niemieckich, skąd została wygnana i ledwo uszła z życiem. Z tych czasów nie zostało jednak wiele opowieści, może tylko ta, która jako druga wprawiała mnie w stan dziecięcego lęku – o ogniu trawiącym książki.

Z dzieciństwa pamiętam jednak niewiele. Głównie matkę, której nie odstępowałem na krok, ciągle trzymając się jej spódnicy, przez co ojciec był na mnie zły i wieszczył, że stanę się maminsynkiem, fejgełe, zniewieściałym słabeuszem. Pamiętam plagę komarów, gdy miałem kilka lat, kiedy to wszystkie otwory domów zapychano szmatami i gliną, a ciała, ręce i twarze stawały się czerwone od

> pogryzień, jakbyśmy wszyscy dostali ospy. Małe ranki smarowano świeżą szałwią, a po wsiach krążyli wędrowni handlarze, którzy sprzedawali cudowny cuchnący płyn wydobywany z ziemi gdzieś w okolicach Drohobycza...

Tak się zaczyna niezbyt staranny rękopis Nachmana – sam autor lubi czytać te pierwsze strony. Czuje wtedy, jakby pewniej stąpał po ziemi, jakby mu nagle urosły stopy. Teraz wraca do obozu, bo zgłodniał, i dołącza do towarzyszy. Tureccy przewodnicy i tragarze wrócili właśnie z modłów i dokazują, szykując się do kolacji. Ormianie przed jedzeniem zamykają oczy i zamaszyście prawą ręką pieczętują swoje ciało krzyżem. Nachman z innymi Żydami modlą się krótko i pospiesznie. Są głodni. Poczekają z prawdziwą modlitwą do powrotu do domu. Siedzą w luźnych grupkach, każdy przy swoim towarze, przy swoim mule, ale dobrze się widzą. Gdy pierwszy głód zostaje zaspokojony, zaczynają rozmawiać, a w końcu żartować. Zmrok zapada nagle, w minutę jest ciemno i trzeba zapalić oliwne lampki.

> Zatrzymał się raz u nas w karczmie, którą prowadziła głównie matka, jeden z gości przybyłych na polowanie u pana Jabłonowskiego. A ten to gość był znany jako pijak i okrutnik. Ponieważ było gorąco i duszno, a opary bagienne unosiły się nisko nad ziemią, jakaś księżna chciała natychmiast odpocząć. Dlatego naszą rodzinę wyrzucono na dwór, ale ja schowałem się za piecem i obserwowałem z wielkim przejęciem tę scenę, gdy piękna dama, z lokajami, damami i kamerdynerami, weszła do środka. Przepych, kolory, wzory i piękność tych ludzi zrobiły na mnie takie wrażenie, że dostałem wypieków i matka potem obawiała się o moje zdrowie. Gdy możni odjechali, matka szepnęła mi na ucho: „Mój mały osiołku, na tamtym świecie duksel będzie paliła u nas pescure”, co znaczyło, że w przyszłym życiu księżna będzie nam paliła w piecu.

Z jednej strony uradowało mnie to wielce, że gdzieś tam w górze, tam gdzie powstają codziennie plany świata, istnieje surowa sprawiedliwość. Z drugiej jednak strony było mi nas wszystkich żal, a zwłaszcza tej dumnej pani, takiej pięknej i niedostępnej. Czy ona o tym wiedziała? Czy ktoś jej powiedział? Czy w ich kościele mówi się ludziom, jak będzie naprawdę? Że wszystko się odwróci i służący będą panami, a panowie służącymi? Ale czy to będzie sprawiedliwe i dobre?

Przed odjazdem ów pan wytargał mojego ojca za brodę, a jego goście zaśmiewali się z tego dowcipu, po czym kazał swoim wojskowym napić się żydowskiej wódki, co skwapliwie uczynili, plądrując przy okazji karczmę i niszcząc bezmyślnie cały dobytek.

Nachman musi wstać. Gdy tylko zajdzie słońce, robi się przeraźliwie zimno, nie tak jak w mieście, gdzie upał trwa dalej schowany w rozgrzanych murach i gdzie o tej porze koszula przykleja się do pleców. Bierze lampkę i nakrywa się barchanowym płaszczem. Tragarze grają w kości, co zaraz skończy się kłótnią. Niebo jest już całe usiane gwiazdami, i mimowolnie Nachman ustala kierunki. Na południu widzi Smyrnę – Iźmierz, jak mawia reb Mordke – którą opuścili przedwczoraj. Składa się z chaosu nierównych klockowatych budynków, z nieskończonej liczby dachów poprzetykanych strzelistymi sylwetkami minaretów i – gdzieniegdzie – kopułami świątyń. I wydaje mu się, że w ciemnościach słyszy zza horyzontu głos muezina, natarczywy, żałosny, że zaraz odpowie mu drugi, z karawany, i w jednej chwili powietrze wypełni muzułmańska modlitwa, która ma być hymnem i chwalbą, lecz brzmi raczej jak skarga.

Nachman patrzy na północ i widzi tam daleko, daleko, w fałdach skłębionej ciemności, małe miasteczko rozłożone na bagnach, pod niskim niebem, które sięga wieży kościoła. Wydaje się zupełnie pozbawione koloru, jakby zbudowano je z torfu i posypano popiołem.

Gdy się urodziłem w roku 5481, chrześcijańskim 1721, mój ojciec, świeżo upieczony rabin, obejmował swoje stanowisko, nie zdając sobie sprawy, gdzie się osiedla.

W Busku rzeka Bug łączy się z Pełtwią. Miasto należało od zawsze do króla, nie do panów, dlatego dobrze nam się tu żyło; pewnie też dlatego ciągle było niszczone, a to przez Kozaków, a to przez Turków. Jeżeli niebo jest lustrem, które odbija czas, obraz płonących domów ciągle wisi nad miastem. Zawsze potem, doszczętnie zniszczone odbudowywało się chaotycznie we wszystkie strony na błotach, bo tu rządzi woda jako jedyna królowa. Dlatego gdy następowały wiosenne roztopy, na drogi wypełzało owo błoto i odcinało miasteczko od reszty świata, a jego mieszkańcy, jak to mieszkańcy błot i torfowisk, siedzieli w podmokłych chatach ponurzy, zaśniedziali – można by pomyśleć, że oblazła ich pleśń.

Żydzi mieszkali tu grupkami po wielu dzielnicach, ale najwięcej ich było na Starym Mieście i w Lipibokach. Handlowali końmi, przeprowadzali je z miasta do miasta na jarmarki, mieli też małe sklepiki z tytoniem, a większość z nich była wielkości budy dla psa. Niektórzy uprawiali ziemię, kilkunastu trudniło się rzemiosłem. W większości była to biedota, marna i zabobonna.

Patrzyliśmy na okolicznych chłopów, tych rusińskich i tych polskich – którzy od świtu przygięci do ziemi, prostowali plecy dopiero pod wieczór, gdy siadali na ławeczkach przed domem – z poczuciem pewnej wyższości: lepiej już było być Żydem niż chłopem. A i oni nam się przyglądali – gdzież to one tak jadą na tych swoich furach i czemu takie hałaśliwe, te Żydki? Kobiety mrużyły oczy, cały dzień oślepiane słońcem, gdy zbierały kłosy pozostałe po żniwach.

Wiosną, gdy błonia nadrzeczne się zieleniły, do Buska zlatywały setki, a może tysiące bocianów i kroczyły po królewsku, godnie wyprostowane i dumne. Pewnie stąd tyle dzieci się tu rodziło: chłopi wierzyli, że przynoszą je właśnie bociany.

W herbie Buska jest bocian stojący na jednej nodze. Tak i my, buskowianie, wiecznie staliśmy na jednej nodze, gotowi do drogi, zaczepieni do życia na jedną arendę, na jeden kontrakt. Wokół nas – mokro, grząsko. Prawo niby jest, ale chwiejne, mętne, jak brudna woda.

Busk, jak wiele podolskich miasteczek i wsi, był zamieszkany prawie w całości przez nas, tych, którzy sami siebie nazywali „naszymi” albo „prawowiernymi”. Wierzyliśmy sercem czystym i bardzo głęboko, że Mesjasz już się pojawił w Turcji i że odchodząc, pozostawił nam następcę, a przede wszystkim drogę, którą mieliśmy iść.

Im więcej mój ojciec czytał i dyskutował w bet midrasz, tym bardziej i on skłaniał się ku takim poglądom. Po roku od sprowadzenia się w to miejsce, naczytawszy się pism szabatajskich, dał się im całkowicie przekonać, a naturalna jego wrażliwość i religijny zmysł sprzyjały tej zmianie.

„Bo jak to jest? – mówił. – Dlaczego, skoro Bóg nas tak umiłował, jest tyle cierpienia wokół? Wystarczy wyjść na rynek w Busku, żeby nogi ugięły się pod ciężarem tego bólu. Skoro nas umiłował, to dlaczego nie jesteśmy zdrowi i syci, a wraz z nami i inni, żebyśmy nie musieli patrzeć na chorobę i śmierć?” Garbił się, jakby chciał pokazać rzeczywisty ciężar. A potem już wpadał w swoją zwykłą gadkę przeciwko rabinom i ich prawom, rozpędzał się coraz bardziej i zaczynał gestykulować.

Jako dziecko widywałem go często na ryneczku, pod sklepem Szyli, jak wraz z innymi stał rozgadany i wzburzony. Jego drobna,

niepozorna postać wydawała się większa, kiedy mówił, czynił to bowiem żarliwie i od serca.

„Z jednego prawa w Torze Miszna wyprowadziła tuzin, a Gemara pięć tuzinów; w późniejszych komentarzach zaś praw jest już tyle co ziaren piasku. To powiedzcie mi, jak mamy żyć?” – rzucał dramatycznie, aż zatrzymywali się przechodnie.

Szyla, który niezbyt się przejmował handlowaniem i bardziej interesowało go towarzystwo rozgadanych mężczyzn, przytakiwał mu ze smutkiem, częstując ich fajką: „Niedługo nic już nie będzie koszerne”.

„Trudno pilnować przepisów, gdy się jest głodnym” – przytakiwali mu i wzdychali. Wzdychanie też było częścią rozmowy. Wielu z nich to byli prości kupcy, ale czasem przychodzili też nauczyciele z jesziwy i dodawali coś od siebie do tego codziennego rynkowego lamentu. A potem jeszcze dochodziły żale na pańskie porządki, na chłopską wrogość, która mogła zatruć życie, na ceny mąki, na pogodę, na zerwany przez powódź most i pogniłe od wilgoci owoce na drzewach.

Tak i ja nasiąkałem od dziecka ową wieczną pretensją do stworzenia. Coś jest nie tak, otacza nas jakiś fałsz. Coś musiało zostać przemilczane w tym, czego nas uczono w jesziwach. Na pewno zatajono przed nami jakieś fakty i dlatego nie możemy sobie świata złożyć w całość. Musi istnieć tajemnica, która wyjaśnia wszystko.

Od czasów młodości mojego ojca wszyscy w Busku tak mówili, a imię Szabtaja Cwi pojawiało się często, i to wypowiadane wcale nie szeptem, lecz zupełnie jawnie. Brzmiało ono w moich dziecięcych uszach jak galop jeźdźców przybywających na ratunek. Dziś jednak lepiej nie wymawiać głośno tego imienia.

MOJA MŁODOŚĆ

Od początku chciałem studiować pisma, jak wielu chłopców w moim wieku, ale jako jedynak, zbyt byłem przywiązany do matki i ojca. Dopiero gdy miałem szesnaście lat, zrozumiałem, że chcę służyć jakiejś dobrej sprawie i że jestem z tych, którym nigdy nie wystarcza to, co jest, ale zawsze chcą jeszcze czegoś innego.

Dlatego gdy doszły mnie słuchy o wielkim nauczycielu Baal Szem Towie i o tym, że przyjmuje uczniów, postanowiłem dołączyć do takiej kompanii i w ten sposób opuściłem rodzinny Busk. Ku rozpaczy mojej matki ruszyłem samotnie na wschód, do Międzyboża, a było to jakieś dwieście mil. Już pierwszego dnia spotkałem chłopca trochę ode mnie starszego, który w tym samym celu wyruszył z Glinna i był już trzeci dzień w drodze. Ów Lejbko, świeżo upieczony małżonek, któremu się dopiero co wąs sypnął, przerażony własnym małżeństwem, wymógł na żonie i teściach, że zanim weźmie się do zarabiania pieniędzy, musi poobcować z prawdziwą świętością i nasycić się nią na późniejsze lata. Lejbko pochodził z szanowanej rodziny rabinów gliniańskich i to, że trafił do chasydów, było dla tej jego rodziny wielkim nieszczęściem. Dwa razy przyjeżdżał po niego ojciec i błagał go, żeby z nim wracał do domu.

Wkrótce staliśmy się nierozłączni. Spaliśmy pod jedną derką i dzieliliśmy się każdym kęsem. Lubiłem z nim rozmawiać, był to bowiem chłopiec bardzo wrażliwy i myślał w inny sposób niż wszyscy. Nasze dyskusje przenosiły się w nocy pod tę brudną derkę i tam roztrząsaliśmy wielkie tajemnice.

To on właśnie, jako już małżonek, wprowadził mnie także w te sprawy, które istnieją między kobietą a mężczyzną, co mi się wtedy wydało równie fascynujące jak kwestie cimcum.

Dom był duży, drewniany i niski. Spaliśmy pokotem w szerokim na całą izbę łóżku, jeden przy drugim, wtuleni w siebie, chudzi chłopcy, pod derkami, w których nierzadko znajdowało się wszy; potem smarowało się pogryzione przez nie łydki liśćmi mięty. Jedliśmy niewiele – chleb, oliwa, trochę rzepy. Czasem kobiety znosiły nam jakieś smakołyki, choćby rodzynki, ale chłopców było tak wielu, że starczało dla każdego zaledwie po kilka, akurat tyle, żeby nie zapomnieć ich smaku w ustach. Za to dużo czytaliśmy, właściwie czytaliśmy bez przerwy, przez co mieliśmy wiecznie czerwone oczy, niczym króliki, i po tym dało się nas wszystkich rozpoznać. A wieczorem, gdy Beszt mógł nam poświęcić trochę świętego czasu, słuchaliśmy go i jego rozmów z innymi cadykami. Wtedy zaczęły mnie interesować problemy, które nie bardzo umiał mi przekonująco wyjaśnić ojciec. Jak może istnieć świat, skoro Bóg jest wszędzie? Skoro Bóg jest wszystkim we wszystkim, to jak mogą istnieć rzeczy, które nie są Bogiem? Jak Bóg mógł stworzyć świat z niczego?

Wiadomo, że w każdym pokoleniu istnieje trzydziestu sześciu ludzi świętych i to dzięki nim Bóg utrzymuje świat w istnieniu. Z pewnością Baal Szem Tow był jednym z nich. Choć większość świętych pozostaje nierozpoznana i żyją oni sobie jako biedni karczmarze czy szewcy, to zalety Beszta były tak wielkie, że nie dałoby się ich ukryć. Ten człowiek nie miał w sobie ani trochę pychy, a jednak gdzie tylko się pojawił, wszyscy czuli się jakoś onieśmieleni, co go bardzo męczyło. Było widać, że niósł swoją świętość niczym przyciężki bagaż. W niczym nie przypominał mojego ojca, który był zawsze smutny i gniewny. Beszt mienił się.

Raz miał wygląd starego mędrca, mówił poważnie z przymkniętymi oczami, innym razem coś go napadało i swawolił z nami, żartując i wzbudzając wybuchy śmiechu. Zawsze był gotów do zrobienia rzeczy nieoczekiwanej, zaskakującej. Przez to ściągał na siebie uwagę i utrzymywał ją nieustannie. Był dla nas środkiem świata.

Nikogo tutaj nie pociągał martwy i pusty rabinizm, co do tego wszyscy byli zgodni – i w tym sensie podobałoby się to mojemu ojcu. Zohar czytano codziennie i z wielkim przejęciem, a wielu ze starszych było kabalistami o zamglonych oczach, którzy nieustannie roztrząsali między sobą boskie tajemnice w taki sam sposób, jakby mówili o gospodarstwie, ile to kur karmią, ile im siana zostało na zimę...

Gdy raz taki kabalista zapytał Beszta, czy uważa, że świat jest emanacją Boga, ten zgodził się radośnie: „O tak, cały świat jest Bogiem”. Wszyscy przytakiwali mu z zadowoleniem. „A zło?”, zapytał tamten podchwytliwie i złośliwie. „I zło jest Bogiem”, powiedział spokojnie pogodny Beszt, ale teraz wśród wszystkich obecnych przeszedł szmer i zaraz odezwały się głosy innych uczonych cadyków i różnych świętych mężów. A na wszystkie dyskusje reagowało się tam gwałtownie – przewracaniem krzeseł, nagłym szlochem, krzykiem, rwaniem włosów. Wiele razy byłem świadkiem roztrząsania tej kwestii. I mnie samemu burzyła się wtedy krew, bo jakże to? A to wszystko wokół, gdzie zaliczyć? Do jakiej rubryki wpisać głód i rany na ciele, i szlachtowanie zwierząt, i dzieci kładzione pokotem przez zarazę? Zawsze mi się wtedy wydawało, że tak myśląc, trzeba w końcu przyznać, iż Bóg ma nas wszystkich gdzieś.

Wystarczyło, by ktoś rzucił, że zło nie jest złe samo w sobie, lecz wydaje się takie tylko w oczach człowieka, a już zaczynało się

szarpanie przy stole, ze zbitego dzbanka lała się woda i wsiąkała w trociny na podłodze, ktoś wybiegał z gniewem, kogoś trzeba było przytrzymać, bo rzucał się na innych. Taką moc ma wypowiedziane słowo.

Dlatego Beszt nam powtarzał: „Tajemnica zła jest jedyną, której Bóg nie każe nam brać na wiarę, lecz przemyśleć". Więc myślałem tam całe dnie i noce, bo czasem moje, wciąż domagające się jedzenia ciało nie dawało mi spać z głodu. Myślałem, że może jest i tak, iż Bóg zdał sobie sprawę z własnej omyłki, oczekując niemożliwego od człowieka. Chciał bowiem człowieka bezgrzesznego. Tak więc Bóg miał wybór: mógł karać za grzechy, karać nieustannie i stać się wiecznym ekonomem, jak ten, który wali chłopów po plecach, gdy nie pracują dość na pańskich polach. I mógł też Bóg, który jest wszak nieskończenie mądry, być gotów znosić ludzką grzeszność, pozostawić miejsce dla słabości człowieka. Powiedział Bóg do siebie: Nie mogę jednocześnie mieć człowieka i wolnym, i zupełnie mi poddanym. Nie mogę mieć wolnej od grzechu istoty, która byłaby jednocześnie człowiekiem. Wolę raczej grzeszną ludzkość niż świat bez ludzi.

O tak, wszyscy się z tym zgadzaliśmy. Chudzi chłopcy w podartych kapotach, których rękawy zawsze były za krótkie, siedzący po jednej stronie stołu. Po drugiej – kilku nauczycieli.

Spędziłem ze świętymi Beszta kilka miesięcy, i choć było biednie i chłodno, to czułem, że dopiero teraz moja dusza dościga wzrost ciała, które wyrosło, zmężniało, nogi pokryły się włosem, podobnie jak i piersi, brzuch stwardniał. Tak i ona goniła ciało i krzepła. Wydawało mi się na dodatek, że rozwija się we mnie nowy zmysł, o którego istnieniu do tej pory nie wiedziałem.

Niektórzy ludzie mają zmysł spraw nieziemskich, tak jak inni świetny węch, słuch czy smak. Czują subtelne poruszenia

w wielkim, skomplikowanym ciele świata. A ponadto u niektórych z nich ów wewnętrzny wzrok jest tak dalece wyostrzony, że widzą, gdzie upadła iskra, dostrzegają jej blask w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu. Im gorsze miejsce, tym iskra świeci bardziej rozpaczliwie, tym silniej migocze, a jej światło gorętsze jest i czystsze.

Lecz są i tacy, którzy zmysłu tego nie mają, muszą więc ufać tylko pięciu pozostałym i do nich sprowadzają cały świat. I tak jak ślepy od urodzenia nie wie, co to światło, a głuchy – co to muzyka, jak pozbawiony węchu nie ma pojęcia, co to zapach kwiatów, tak i oni nie rozumieją tych mistycznych dusz i biorą ludzi nimi obdarzonych za wariatów, nawiedzonych, którzy sobie to wszystko z niezrozumiałych powodów wymyślają.

Uczniów Beszta (niech imię jego będzie błogosławione) tego roku zaczęła nękać dziwna choroba, jak mówił o niej on sam ze smutkiem i niepokojem, a ja nie wiedziałem, co ma na myśli.

Raz w czasie modlitwy jeden ze starszych chłopców wybuchnął płaczem i nie można go było uspokoić. Zaprowadzono go do świętego i tam nieszczęśnik, szlochając, wyznał, że odmawiając Szema Izrael, wyobrażał sobie Chrystusa i do niego kierował te słowa. Kiedy ów chłopak o tym opowiadał, wszyscy, który słyszeli te straszne słowa, zatykali sobie uszy rękoma i zamykali oczy, żeby nie dać swoim zmysłom dostępu do takiego świętokradztwa. Beszt tylko smutno pokiwał głową, a potem wytłumaczył to bardzo prosto, tak iż wszyscy doznali wielkiej ulgi: otóż ów chłopiec codziennie musiał przechodzić koło jakiejś chrześcijańskiej kapliczki i tam widział Chrystusa. A gdy się na coś długo patrzy, gdy się coś często ogląda, to obraz tego czegoś wchodzi w oczy i w umysł, wżera się w nie jak ług. Że zaś umysł człowieka

potrzebuje świętości, więc szuka jej wszędzie, niby pęd rośliny, który rosnąc w jaskini, pnie się do każdego, najmniejszego nawet światła. To było dobre wytłumaczenie.

Mieliśmy z Lejbkiem naszą sekretną namiętność: wsłuchiwaliśmy się mianowicie w samo brzmienie słów, w szmer odmawianych modlitw dochodzący zza przepierzenia, i nastawialiśmy nasze uszy na te wyrazy, które łącząc się ze sobą w szybkiej recytacji, mieszały swoje znaczenia. A im dziwaczniejszy był wynik tych naszych gier, tym bardziej się z tego cieszyliśmy.

W Międzybożu wszyscy, tak jak my, byli nastawieni na słowa, toteż samo miasteczko wydawało się jakoś niewydarzone, byle jakie i chwilowe, jakby w tym zetknięciu ze słowem materia chowała pod siebie ogon i kuliła się zawstydzona: błotnista, rozjeżdżona furami droga wydawała się prowadzić donikąd, a małe chałupki stojące po obu jej stronach i dom nauki – jedyny z drewnianym szerokim gankiem ze zbutwiałego i sczerniałego drewna, w którym wierciliśmy palcem dziury – były jak ze snu.

I mogę powiedzieć, że wierciliśmy także palcem dziury w słowach, zaglądając w ich przepastne wnętrza. Moje pierwsze olśnienie dotyczyło podobieństwa dwóch słów.

Otóż żeby stworzyć świat, Bóg musiał się cofnąć sam z siebie, pozostawić w swym ciele pustkę, która stała się przestrzenią dla świata. Z tej przestrzeni Bóg zniknął. Słowo „znikać” pochodzi od rdzenia „elem”, a miejsce zniknięcia nazywa się „olam” – świat. Więc nawet w nazwie świata mieści się historia zniknięcia Boga. Świat mógł powstać tylko dlatego, że Bóg go opuścił. Najpierw było coś, a potem tego zabrakło. To jest świat. Świat cały jest brakiem.

O KARAWANIE
I JAK SPOTKAŁEM REB MORDKEGO

Po powrocie do domu, aby mnie zatrzymać, ożeniono mnie z szesnastoletnią Leją, dziewczyną mądrą, ufną i wyrozumiałą. Na niewiele się to zdało, bo znalazłszy pretekst w postaci pracy u Eliszy Szora, udałem się z wyprawą handlową do Pragi i Brna.

I tu spotkałem Mordechaja ben Eliasza Margalita, zwanego przez wszystkich reb Mordke – niech imię tego dobrego człowieka będzie błogosławione. Był dla mnie drugim Besztem, ale też tym jedynym, ponieważ miałem go tylko dla siebie, on zaś, czując prawdopodobnie to samo co ja, przyjął mnie na swojego ucznia. Nie wiem, co mnie w nim tak bardzo pociągało – widocznie mają rację ci, którzy twierdzą, że dusze rozpoznają się natychmiast i lgną do siebie niewytłumaczalnie. Prawdą jest, że odłączyłem się od Szorów i postanowiłem zostać z nim, zapominając o mojej rodzinie, którą zostawiłem na Podolu.

Był on uczniem słynnego mędrca, Jonatana Eibeschütza, a ten z kolei – spadkobiercą najstarszych nauk.

Na początku jego teorie wydawały mi się mętne. Miałem wrażenie, że trwa w wiecznym uniesieniu, które sprawiało, że oddychał płytko, jakby się bał zaciągnąć ziemskim powietrzem; dopiero przefiltrowane przez fajkę, dawało życiu jako takie oparcie.

Lecz niezgłębiony jest umysł mędrca. W naszej podróży zupełnie zdałem się na niego; zawsze wiedział, kiedy wyruszyć i jaką drogą się udać, żebyśmy zostali podwiezieni wygodnie przez dobrych ludzi czy nakarmieni przez jakichś pielgrzymów. Jego pomysły na pierwszy rzut oka wydawały się niedorzeczne, lecz gdy się im poddawaliśmy, wychodziliśmy na tym dobrze.

Studiowaliśmy razem nocami, za dnia zaś pracowałem. Nieraz świt zastawał mnie nad księgami, a oczy zaczynały mi ropieć od ciągłego wysiłku. Rzeczy, które mi dawał do czytania Mordechaj, były tak nieprawdopodobne, że mój praktyczny jak do tej pory umysł podolskiego młodzieńca wierzgał jak koń, który zawsze chodził w kieracie, a którego teraz chcą zmienić w rumaka.

„Synu mój, dlaczego odrzucasz coś, czego nie spróbowałeś?”, zapytał Mordechaj, gdy właściwie byłem już zdecydowany wracać do Buska, by zatroszczyć się o własną rodzinę.

Powiedziałem więc do siebie, jak mniemałem wtedy, bardzo rozsądnie: On ma rację. Tu mogę tylko zyskać, a nie stracić. Poczekam zatem cierpliwie, aż znajdę w tym dla siebie coś dobrego.

Poddałem mu się więc, wynająłem mały pokoik za drewnianym przepierzeniem i żyłem skromnie, spędzając ranki na pracy w kantorze, a wieczory i noce na studiowaniu.

Nauczył mnie metody permutacji i kombinacji liter, a także mistyki liczb i innych „dróg Sefer Jecira”. Każdą z tych dróg kazał mi podążać dwa tygodnie, póki nie wyryła się w moim sercu jej forma. W ten sposób prowadził mnie przez bite cztery miesiące, a potem nagle kazał mi to wszystko „wymazać”.

Tego wieczoru obficie nabił ziołami moją fajkę i dał mi bardzo starą modlitwę, już nie wiadomo czyją, a która wkrótce stała się moim osobistym głosem. Brzmiała tak:

Moja dusza
nie pozwoli się zamknąć w więzieniu,
w klatce z żelaza czy w klatce z powietrza.
Moja dusza chce być jak statek na niebie
i granice ciała nie mogą jej zatrzymać.
I żadne mury jej nie uwiężą:
ani te, które zbudowano ludzkimi rękami,
ani mury grzeczności,
ani mury uprzejmości
czy dobrego wychowania.
Nie pochwycą jej szumne przemowy,
granice królestw,
wysokie urodzenie – Nic.
Dusza przelatuje nad tym wszystkim
z wielką łatwością,
jest ponad tym, co mieści się w słowach,
i poza tym, co się w ogóle w słowach nie mieści.
Jest poza przyjemnością i poza lękiem.

Przekracza tak samo to, co piękne i wzniosłe,
jak i to, co podłe i straszne.

Pomóż mi, dobry Boże, i spraw, by mnie życie nie raniło.
Daj mi zdolność mówienia, daj mi język i słowa,
a wtedy wypowiem prawdę
o Tobie.

MÓJ POWRÓT NA PODOLE I DZIWNA WIZJA

Jakiś czas potem wróciłem na Podole, gdzie po nagłej śmierci ojca dostałem urząd rabina w Busku. Leja przyjęła mnie z powrotem, a ja odwdzięczałem się jej za to wielką czułością. Umiała zorganizować całkiem dostatnie i spokojne życie. Mój mały synek Aron rósł i mężniał. Zajęty pracą i dbaniem o rodzinę, odsunąłem od siebie niepokój podróży i wszelką kabałę. Gmina była spora i podzielona na „naszych" i „tamtych", a ja jako młody, niedoświadczony rabin miałem wiele zajęć i obowiązków.

Pewnej jednak zimowej nocy nie mogłem usnąć i czułem się bardzo dziwnie. Miałem przejmujące wrażenie, że wszystko wokół mnie nie jest prawdziwe, że jest sztuczne, jakby świat został namalowany ręką sprawnego malarza na kawałkach płótna rozwieszonych wokół. Albo inaczej: jakby to wszystko wokół zostało w y m y ś l o n e i jakimś cudem nabrało pozornego kształtu.

Już kilka razy przedtem, gdym pracował z reb Mordkem, pojawiało się to męczące i budzące lęk wrażenie, lecz tym razem było tak dojmujące, że zacząłem się bać, jak wtedy, kiedy byłem

mały. Poczułem się nagle uwięziony, jak ktoś wrzucony do lochu, w którym za chwilę zabraknie powietrza.

Wstałem drżący, podłożyłem do pieca, wyciągnąłem na stół księgi, które otrzymałem od reb Mordkego i przypomniawszy sobie, czego on mnie uczył, jąłem łączyć ze sobą litery i medytować nad nimi metodą filozoficzną mojego mistrza. Sądziłem, że to zajmie mi umysł i lęk minie. Tak spędziłem czas do rana, a potem udałem się do swoich zwykłych zadań. I znowu następnej nocy robiłem to samo do trzeciej nad ranem. Leja niepokoiła się moim zachowaniem, wstawała ze mną, delikatnie uwalniała się od rączek rozespanego synka i patrzyła przez ramię, co robię. Zawsze wtedy widziałem na jej twarzy dezaprobatę, lecz to nie mogło mnie powstrzymać. Była bardzo pobożna, nie uznawała żadnych kabał, z podejrzliwością podchodziła też do szabtajskich rytuałów.

Tej trzeciej dziwnej nocy byłem już tak zmęczony, że po dwunastej zdrzemnąłem się trochę z piórem w dłoni i papierem na kolanach. Gdy się ocknąłem, ujrzałem, że gaśnie świeca, więc wstałem, żeby wziąć nową. Zobaczyłem jednak, że światło nie znika, mimo że świeca zgasła! Wtedy ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że to j a ś w i e c ę, że ze mnie bije ta poświata, która wypełnia całą izbę. Powiedziałem do siebie głośno: „Nie wierzę w to”, ale światło nie gasło. Zapytałem więc na głos: „Jak to możliwe?”, lecz oczywiście nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Uderzyłem się jeszcze w twarz i poszczypałem w policzek, ale nic się nie zmieniło. Siedziałem tak do rana, z rękami opuszczonymi, zmęczony, z pustką w głowie – i świeciłem! Aż o świcie światło przygasło i w końcu zniknęło.

I tej nocy zobaczyłem świat zupełnie inaczej, niż widziałem go dotąd – oświetlony popielatym słońcem, mały, marny, kaleki.

Ciemność rodziła się w każdym zakamarku, w każdej dziurze. Po świecie tym przetaczały się wojny i zarazy, wylewały w nim rzeki i drżała ziemia. Każdy człowiek wydawał się tak kruchą istotą, że przypominał najmniejszą rzęsę z powieki, pyłek kwiatu. Zrozumiałem wtedy, że życie ludzkie składa się z cierpienia, że to jest właściwa substancja świata. Wszystko krzyczało z bólu. A potem zobaczyłem jeszcze przyszłość, bo świat się zmieniał, znikały lasy i na ich miejsce wyrastały miasta, i działy się inne niezrozumiałe dla mnie rzeczy, lecz i tam nie było żadnej nadziei i następowały takie wydarzenia, których nawet nie mogłem pojąć, bo przekraczały moją zdolność rozumienia. Obezwładniło mnie to do tego stopnia, że padłem z rumorem na ziemię i, tak mi się przynajmniej zdawało, zobaczyłem wtedy, na czym polega zbawienie. Potem wpadła moja żona i zaczęła wołać o pomoc.

O WYPRAWIE Z MORDECHAJEM DO SMYRNY
ZA PRZYCZYNĄ SNU O KOZICH BOBKACH

Mój mistrz Mordechaj jakby wiedział o wszystkim. Kilka dni później pojawił się w Busku znienacka, ponieważ miał dziwny sen. Śniło mu się, że pod synagogą we Lwowie widzi biblijnego Jakuba, który rozdaje ludziom kozie bobki. Większość z obdarowanych oburza się albo wybucha głośnym śmiechem, ale ci, którzy przyjmują ten dar i połykają go z szacunkiem, zaczynają świecić od środka jak lampiony. Dlatego w tym widzeniu i Mordechaj wyciąga dłoń po dar.

Kiedy mu, uradowany z jego przybycia, opowiadałem o moich przygodach ze światłem, słuchał mnie uważnie i w jego oczach dostrzegłem dumę i czułość. „Jesteś dopiero na samym początku

drogi. Gdybyś poszedł nią dalej, wiedziałbyś, że ten świat wokół już się kończy, to dlatego widzisz go tak, jakby był nieprawdziwy, i dostrzegasz nie to światło z zewnątrz, które jest fałszywe i złudne, ale to wewnętrzne, prawdziwe, pochodzące z rozsypanych boskich iskier, które zbierze Mesjasz”.

Mordechaj uznał, że jestem wybrany do jego misji.

„Mesjasz już idzie – powiedział do mnie, nachylając się do mego ucha tak, że jego wargi dotknęły małżowiny. – Jest w Smyrnie”.

Nie zrozumiałem wtedy, co miał na myśli, lecz wiedziałem, że Szabtaj, niech imię jego będzie błogosławione, urodził się w Smyrnie, więc jego miałem w umyśle, mimo że dawno odszedł. Mordechaj zaproponował, żebyśmy razem ruszyli na południe, łącząc interesy i poznanie prawdy.

We Lwowie Grzegorz Nikorowicz, Ormianin, miał handel turecki – sprowadzał głównie pasy z Turcji, ale handlował także kobiercami i kilimami, balsamem tureckim i białą bronią. Sam zamieszkał w Stambule, żeby stamtąd doglądać interesu, i co jakiś czas jego karawany z cennym towarem ruszały na północ i wracały na południe. Przyłączyć się do nich mógł każdy, nie tylko chrześcijanin, byle wykazał się dobrą wolą i miał na tyle pieniędzy, żeby złożyć się na opłacenie przewodnika i ochrony zbrojnej. Można było wziąć z Polski towar – wosk, łój czy miód, czasem bursztyn, choć nie szedł on już tak dobrze jak kiedyś, trzeba było też mieć się z czego utrzymać po drodze, a na miejscu zainwestować zarobione pieniądze w odrobinę towaru, żeby cokolwiek na całej wyprawie zarobić.

Pożyczyłem niedużą sumę, Mordechaj zaś dołożył trochę swoich oszczędności. W sumie więc dysponowaliśmy małym kapitałem i szczęśliwi ruszyliśmy w drogę. Było to wiosną 1749 roku.

Mordechaj ben Eliasz Margalit, reb Mordke, był już wtedy człowiekiem dojrzałym. Nieskończenie cierpliwy, nigdy się nie śpieszył i nie znałem nikogo, kto by miał w sobie tyle dobroci i wyrozumiałości dla świata. Często służyłem mu za oczy do czytania, bo sam już nie widział drobniejszych liter. Słuchał uważnie, a pamięć miał tak dobrą, że umiał powtórzyć wszystko bez błędu. Ale nadal był mężczyzną sprawnym i dość silnym – czasami to ja więcej marudziłem w podróży niż on. Do karawany dołączał kto żyw, kto tylko miał nadzieję szczęśliwie zajechać do Turcji i wrócić do domu – Ormianie i Polacy, Wołosi i Turcy wracający z Polski, często nawet Żydzi z Niemiec. Wszyscy oni w końcu rozchodzili się po drodze, a przybywali inni.

Szlak prowadził ze Lwowa do Czerniowiec, potem do Jassów wzdłuż Prutu i w końcu do Bukaresztu, gdzie był dłuższy postój. Tam postanowiliśmy odłączyć się od karawany i odtąd niespiesznie podążaliśmy tam, gdzie prowadził nas Bóg.

Reb Mordke w czasie postojów dodawał do tytoniu, który paliliśmy w fajkach, małą grudeczkę żywicy, co sprawiało, że nasze myśli unosiły się wysoko i sięgały daleko, a wszystko wydawało się pełne ukrytego sensu, głębokich znaczeń. Stawałem nieruchomo, lekko unosiłem ręce i tak trwałem godzinami w zachwyceniu. Każdy najmniejszy ruch głowy odsłaniał wielkie tajemnice. Każde źdźbło trawy należało do najgłębszego systemu znaczeń, było nieodzowną częścią ogromu tego świata, zbudowanego przemyślnie i najdoskonalej, świata, w którym najmniejsza rzecz połączona jest z rzeczą największą.

Za dnia krążyliśmy po uliczkach mijanych miasteczek w górę i w dół, wspinaliśmy się schodami, oglądaliśmy wystawione wprost na ulicy towary. Przyglądaliśmy się pilnie młodym dziewczynom

i chłopcom, nie dla własnej jednak przyjemności, ale dlatego że byliśmy swatami kojarzącymi młodych. Mówiliśmy na przykład w Nikopolu, że jest w Ruse taki chłopiec, sympatyczny i uczony, ma na imię – weźmy – Szlomo i rodzice szukają mu żony posażnej i miłej. A w Krajowie mówiliśmy, że jest w Bukareszcie dziewczyna miła i dobra, posag wprawdzie nieduży, ale tak piękna, że oczy mrużyć trzeba, a jest to Sara, córka kupca bydlęcego Abrama. I tak przenosiliśmy te wieści, jak mrówki noszą swoje kawałki liści i patyki, aż się z tego zrobi mrowisko. Gdy dochodziło co do czego, zapraszano nas na wesela i zarabialiśmy jako swaci żywy grosz, oprócz tego, żeśmy pojedli i popili. W mykwie zawsze zanurzaliśmy się siedemdziesiąt dwa razy, tyle, ile jest liter w imieniu Boga. Stać nas było potem na sok z granatów wyciskany na naszych oczach, na baranie szaszłyki i na lepsze wino. Planowaliśmy wielkie interesy, które zapewnią spokój naszym rodzinom, a nam pozwolą oddać się studiowaniu ksiąg.

Sypialiśmy z końmi w stajniach, na ziemi, na słomie, a gdy już owionęło nas ciepłe i wonne powietrze Południa – na brzegach rzek, pod drzewami, w milczącym towarzystwie jucznych zwierząt, mocno ściskając poły naszych kapot, gdzie zaszyte mieliśmy wszystkie drogocenne dla nas rzeczy. Słodki zapach brudnej wody, mułu i gnijących ryb po chwili stawał się nawet jakoś przyjemny, im szerzej się Mordechaj nad nim rozwodził, próbując przekonać i mnie, że to jest prawdziwy zapach świata. Wieczorami półgłosem rozmawialiśmy, tak ze sobą zgrani, że zaledwie jeden zaczął, drugi już wiedział, o co mu chodzi. Gdy on prawił o Szabtaju i skomplikowanych ścieżkach, którymi przyjdzie do nas zbawienie, ja opowiadałem mu o Beszcie, ufając, że da się połączyć mądrość tych dwóch mężów, co szybko okazało się niemożliwe. I zanim stanąłem przed wyborem, roztrząsaliśmy nocami nasze racje.

Mówiłem, że Beszt uważał, jakoby Szabtaj miał iskrę świętości, ale szybko przechwycił ją Samael, a tym samym pochwycił i Szabtaja. Reb Mordke machał wtedy rękami, jakby chciał odgonić od siebie te straszne słowa. I opowiedziałem mu to, co sam słyszałem u Beszta z czyichś ust, że ponoć przyszedł kiedyś do Beszta Szabtaj i prosił, żeby go naprawił, czuł bowiem, że sam jest wielkim i niegodnym grzesznikiem. Taka naprawa, czyli tikkun, polegała na tym, że święty łączył się z duszą grzesznika krok po kroku, poprzez wszystkie trzy postaci duszy – najpierw nefesz świętego, czyli dusza zwierzęca, łączył się z nefesz grzesznika, potem, gdy to się udało, ruah, czyli uczucia i wola świętego, łączyły się z ruah grzesznika, żeby w końcu neszama świętego, czyli boski aspekt, który w sobie nosimy, łączył się z neszama grzesznika. I gdy to się działo, Beszt poczuł, jak wiele grzechu i ciemności jest w tym człowieku zwanym Szabtajem, i odepchnął go od siebie, aż tamten spadł na samo dno szeolu.

Reb Mordke nie lubił tej opowieści. „Twój Beszt nic nie zrozumiał. Najważniejsze jest w Izajaszu”, mówił, a ja kiwałem głową, znałem bowiem i ja ten słynny wers z Księgi Izajasza 53,9, że Mesjaszowi grób wyznaczono między bezbożnymi. Że Mesjasz musi być z najniższych sfer, grzeszny i śmiertelny. I jeszcze jedno określenie przychodziło reb Mordkemu natychmiast do głowy, a to było z sześćdziesiątego tikunu w Tikkunei ha-Zohar: „Mesjasz będzie wewnętrznie dobry, lecz jego szaty będą złe”. Tłumaczył, że te słowa dotyczą Szabtaja Cwi, który pod naciskiem sułtana porzucił religię żydowską i przeszedł na islam. I tak paląc, obserwując ludzi i dyskutując, doszliśmy aż do Smyrny, tam zaś w czasie gorących smyrneńskich nocy nasiąkałem tą wiedzą dziwaczną, trzymaną w tajemnicy, że samą modlitwą i medytacją nie da się uratować świata, choć wielu próbowało. Zadanie

Mesjasza jest straszne, Mesjasz to jest bydlę na rzeź. On musi wejść w samo jądro królestwa skorup, w ciemność i dokonać wyzwolenia z niej świętych iskier. Mesjasz musi zstąpić do otchłani wszelakiego zła i zniszczyć ją od wewnątrz. Musi wejść tam niby swój, grzesznik niebudzący podejrzeń wśród sił zła i stać się prochem, który wysadza twierdzę od środka.

Byłem wtedy młody i choć miałem świadomość cierpienia i bólu, którego się już zdążyłem naoglądać, to jednak ufnie traktowałem świat jako dobry i ludzki. Cieszyły mnie chłodne, świeże poranki i te wszystkie rzeczy, które miałem do zrobienia. Cieszyły mnie jaskrawe kolory bazarów, na których sprzedawaliśmy nasze marne towary. Cieszyło mnie piękno kobiet, ich czarne przepastne oczy i powieki podmalowane ciemną kreską, cieszyła delikatność chłopców, ich smukłe, zwinne ciała – tak, kręciło mi się od tego w głowie. Cieszyły mnie daktyle ułożone do suszenia, ich słodycz, wzruszające zmarszczki turkusów, wszystkie kolory tęczy ułożonej z przypraw na bazarze.

„Nie daj się zwieść tej pozłocie, poskrob w nią paznokciem, zobacz, co jest pod spodem”, mawiał reb Mordke i ciągnął mnie na brudne podwórka, gdzie pokazywał mi zupełnie inny świat. Owrzodziałe, chore staruszki żebrzące przed bazarem; męskie prostytutki, wyniszczone od haszyszu i chore; biedne, byle jak sklecone lepianki na przedmieściach; stada parszywych psów grzebiące w śmieciach, pomiędzy ciałami padłych z głodu towarzyszy. To był świat bezmyślnego okrucieństwa i zła, w którym wszystko pędziło ku własnej zgubie, ku rozkładowi i śmierci.

„Świat wcale nie pochodzi od dobrego Boga – powiedział mi kiedyś reb Mordke, kiedy uznał, że już wystarczająco dużo widziałem. – Bóg stworzył to wszystko przez przypadek i odszedł.

Oto jest wielka tajemnica. Mesjasz przyjdzie po cichu, gdy świat pogrążony będzie w największym mroku i największej biedzie, w złu i cierpieniu. Będzie potraktowany jak przestępca, tak przepowiadali prorocy”.

Tego wieczoru na skraju ogromnego wysypiska śmieci zaraz za miastem reb Mordke wyjął ze swej torby rękopis obszyty grubym suknem dla niepoznaki, żeby wyglądał niepozornie i żeby nikt się na niego nie połakomił. Wiedziałem, co to za księga, lecz Mordechaj nigdy mi nie zaproponował jej wspólnego czytania, a ja nie śmiałem go o to prosić, choć usychałem z ciekawości. Uznałem, że przyjdzie czas, gdy sam mi ją podsunie. I stało się. Poczułem wagę tej chwili, przeszedł mnie dreszcz i włosy stanęły mi dęba, gdy wszedłem wraz z księgą w krąg światła. Zacząłem czytać na głos z przejęciem.

To był traktat Wa-Avo ha-Jom el ha-Ajin – „I przyszedłem dzisiaj do źródła”, który napisał Eibeschütz, mistrz mojego reb Mordkego. I poczułem wtedy, że stałem się następnym ogniwem długiego łańcucha wtajemniczonych, który ciągnie się przez pokolenia, a zaczyna się jeszcze gdzieś przed Szabtajem, przed Abulafią, przed Szymonem bar Jochajem, przed, przed... w mroku czasów, i że ten łańcuch, choć czasami ginie w błocie, choć zarasta go trawa i zasypują gruzy wojen, to on i tak trwa i rośnie w przyszłość.

6

O obcym weselnym gościu w białych pończochach i sandałach

Obcy, który wchodzi do izby, musi schylić głowę, więc pierwsze, co się rzuca w oczy, to nie jego twarz, lecz ubiór. Ma na sobie przybrudzony jasny płaszcz, jakich nie widuje się w Polsce, a na nogach ubłocone białe pończochy i sandały. Z ramienia zwisa mu torba z wyszywanej kolorowymi nićmi skóry. Na jego widok milkną rozmowy, dopiero gdy podnosi głowę i światło lampek wpełza na jego twarz, z izby słychać okrzyk:

– Nachman! Przecież to nasz Nachman!

Nie dla wszystkich to jasne, więc szepczą:

– Jaki Nachman, co za Nachman? Skąd? Rabin z Buska?

Prowadzą go od razu do Eliszy, gdzie siedzą starsi – rabbi Hirsz z Lanckorunia, rabbi Mosze z Podhajec, wielki kabalista, oraz Zalman Dobruszka z Prossnitz, i tam drzwi się za nimi zamykają.

Zaczyna się ruch wśród kobiet. Chaja z pomocnicami przygotowują wódkę, gorący barszcz i chleb z gęsim smalcem. Jej młodsza siostra szykuje miskę z wodą, żeby podróżny się obmył. Tylko Chai wolno wejść do mężczyzn. Teraz patrzy, jak Nachman starannie myje ręce. Widzi niedużego, szczupłego mężczyznę przywykłego do garbienia się, o łagodnej twarzy i kącikach oczu skierowanych w dół, jakby wiecznie smutnych. Ma długie, jedwabiste, kasztanowe włosy i płoworudą brodę. Pociągła twarz jest jeszcze młoda, choć wokół oczu usadowiła się sieć zmarszczek – Nachman zawsze mruży oczy. Światło lampek zabarwia mu policzki na pomarańczowo i czerwono. Nachman, kiedy już siada do stołu, zdejmuje sandały, zupełnie nieodpowiednie na tę porę roku i podolskie słoty. Chaja wpatruje się teraz w jego duże, kościste stopy w jasnych, brudnych skarpetach. Myśli, że te stopy przywędrowały z Salonik, Smyrny i Stambułu, całe jeszcze w macedońskim i wołoskim

kurzu, żeby mogły tu dotrzeć dobre wieści. A może te wieści są złe? Co o tym myśleć, nie wiadomo.

Ukradkiem spogląda na ojca, na Eliszę Szora, co też on powie. Ale on odwrócił się do ściany i leciutko kołysze się w przód i w tył. Nowiny, które przywiózł Nachman, są tak wielkiej wagi, że starsi zgodnie ustalają, iż Nachman powinien opowiedzieć je wszystkim.

Chaja popatruje na ojca. Brakuje tu matki, która umarła w zeszłym roku. Stary Szor chciał się ożenić, ale Chaja nie pozwoliła i nigdy na to nie pozwoli. Nie chce macochy. Trzyma na kolanach córeczkę. Założyła nogę na nogę, niby że to konik dla małej. Spod marszczonych spódnic wystają piękne czerwone sznurowane trzewiki sięgające do pół łydki. Ich wypolerowane noski, ni to spiczaste, ni okrągłe, przyciągają wzrok.

Najpierw Nachman wręcza Szorowi listy od reb Mordkego i od Isochara, które Szor czyta długo i w milczeniu. Czekają, aż skończy. Powietrze gęstnieje, jakby nabierało ciężaru.

– I wszystko wam mówi, że on to on? – pyta Nachmana po nieskończenie długim czasie Elisza Szor.

Nachman potwierdza. Ze zmęczenia i wypitej wódki kręci mu się w głowie. Czuje na sobie wzrok Chai, lepki, mokry – mógłby powiedzieć: jak psi język.

– Dajcie mu odpocząć – mówi stary Szor. Wstaje i przyjacielsko klepie Nachmana po ramieniu.

Inni też podchodzą i dotykają ramienia albo pleców przybysza. Z tych dotyków tworzy się krąg, ręce lądują na barkach towarzyszy po jednej i drugiej stronie. Przez chwilę nic nie ma do nich dostępu i coś jakby pojawia się w środku, jakaś obecność, coś dziwnego. Stoją tak pochyleni do wnętrza koła, z głowami opuszczonymi, prawie się nimi dotykają. Potem jeden z nich robi pierwszy krok w tył, to Elisza, i rozchodzą się rozweseleni, z zarumienionymi twarzami; w końcu ktoś daje Nachmanowi wysokie buty z cholewkami z baraniej skóry, żeby ogrzał nogi.

Opowieść Nachmana,
w której po raz pierwszy pojawia się Jakub

Hałas i szemranie powoli cichnie, Nachman odczekuje długą chwilę, świadomy, że skupia teraz na sobie ich całkowitą uwagę. Zaczyna od głębokiego westchnienia, po którym zapada absolutna cisza. Powietrze, które wciąga i zaraz wypuszcza z płuc, jest niewątpliwie z innego świata – oddech Nachmana rośnie jak ciasto na chałkę, złociście, zaczyna pachnieć migdałami, mieni się w ciepłym południowym słońcu, niosąc woń szeroko rozlanej rzeki – bo to jest powietrze z Nikopola, miasta wołoskiego w dalekim kraju, a rzeka to Dunaj, nad którym Nikopol leży. Dunaj jest tak szeroki, że czasami w mgliste dni w ogóle nie widać drugiego brzegu. Nad miastem góruje warownia o dwudziestu sześciu basztach i dwóch bramach. W zamku pełni straż załoga, a jej komendant mieszka nad więzieniem, gdzie trzyma się dłużników i złodziei. Nocą strażnicy biją w bęben i wołają: „Allahu akbar!”. Okolica jest skalista, latem wyschnięta, lecz w cieniu domów rosną figi i morwy, a na wzgórzach winorośl. Samo miasto leży na południowym brzegu rzeki – stoi w nim trzy tysiące pięknych domów krytych dachówką lub gontem. Najwięcej jest w mieście dzielnic tureckich, trochę mniej żydowskich i chrześcijańskich. Na rynku nikopolskim zawsze bywa tłoczno, bo jest tam aż tysiąc pięknych kramów. Rzemieślnicy mają warsztaty w porządnie zbudowanych halach, sąsiadujących z kramami. Szczególnie liczni są tam krawcy, którzy słyną z tego, że uszyją każdą szatę, każdy żupan czy koszulę, choć najlepiej im wychodzą stroje na czerkieską modłę. A ile tam narodów na bazarze! Wołosi, Turcy, Mołdawianie i Bułgarzy, Żydzi i Ormianie, a nieraz można zobaczyć nawet kupców z Gdańska.

Tłum mieni się kolorami, gada w różnych językach, rozkłada do sprzedaży niezwykłe towary: pachnące przyprawy, jaskrawe kilimy, tureckie łakocie, tak słodkie, że się po nich omdlewa z przyjemności, suszone daktyle i rodzynki każdego gatunku, pięknie barwione łapcie skórzane, wyszywane srebrnymi nićmi.

– Wielu naszych ma tam swoje kramy albo utrzymuje faktorów, a i niektórzy z nas dobrze znają to błogosławione miejsce. – Nachman

poprawia się na siedzeniu i patrzy na starego Szora, ale twarz Eliszy jest nieprzenikniona i nie reaguje on najmniejszym choćby mrugnięciem powieki.

Nachman znowu głęboko wzdycha i chwilę milczy, panuje w ten sposób nad swoją i cudzą niecierpliwością. Oczy wszystkich zdają się go popędzać i mówić: Dalej, dalej, człowieku – bo wiedzą przecież, że właściwej opowieści jeszcze nie zaczął.

Najpierw Nachman opowiada o pannie młodej. Gdy mówi o niej, o Chanie, córce wielkiego Towy, nieświadomie robi ręką kilka miękkich ruchów, bardzo delikatnych, i dzięki temu czyni swoje słowa aksamitnymi. Oczy starego Szora na chwilę zwężają się, jakby w uśmiechu zadowolenia: tak właśnie należy mówić o pannach młodych. Słuchacze kiwają głowami, ukontentowani. Uroda, łagodność i roztropność młodych panien są nadzieją całego ludu. A znowu kiedy pada nazwisko ojca Chany, rozlega się w izbie kilka cmoknięć, więc Nachman znowu milknie na chwilę, by dać słuchaczom dość czasu, żeby nacieszyli się tym wszystkim. Tym, jak świat się dopełnia, składa na powrót. Tikkun rozpoczęty.

Ślub odbył się w Nikopolu kilka miesięcy temu, w czerwcu. O Chanie już wiemy. Ojciec panny młodej to Jehuda Towa ha-Lewi, mędrzec, wielki chacham, którego pisma dotarły nawet tutaj, do Rohatyna i Elisza Szor ma je w swojej szafce; niedawno je studiował. Chana to jedyna córka Towy pośród wielu synów.

Czym zasłużył sobie na nią ów Jakub Lejbowicz, to wciąż nie jest jasne. Kim jest ten człowiek, o którym z takim przejęciem opowiada Nachman? I dlaczego o nim? Jakub Lejbowicz z Korolówki? Nie, z Czerniowiec. Nasz to czy nie nasz? No jakże, musi być nasz, skoro Nachman o nim mówi. To człowiek stąd, ktoś sobie przypomina, że znał jego ojca, czy to nie on więc będzie wnukiem Jenty, która leży w tym domu i umiera? Wszyscy spoglądają teraz na Izraela z Korolówki i na jego żonę Soblę, ale ci, niepewni jeszcze, co zostanie powiedziane, siedzą cicho. Jej napływają na twarz wielkie rumieńce.

– Jehuda Lejb z Czerniowiec, on jest ojcem tego Jakuba – mówi Elisza Szor.

– To on był rabinem w Czerniowcach – kojarzy Mosze z Podhajec.

– A tam zaraz rabinem... – odzywa się kąśliwie Jeruchim, który handluje z Szorami. – Uczył pisać dzieci w jesziwie. Buchbinder, tak na niego mówili.

– To brat Mojżesza Meira Kamenkera – mówi z powagą Szor i wtedy zapada na chwilę cisza, jako że ów Kamenker stał się już bohaterem: woził zakazane święte księgi do prawowiernych braci z Niemiec, przez co obłożono go klątwą.

I już sobie przypominają. Teraz mówią jeden przez drugiego, że ów Jehuda arendował najpierw w Bereżance i Czerniowcach, służył panu i ściągał od chłopów podatki. Ponoć raz się zdarzyło, że pobili go chłopi. A gdy doniósł na nich panu, ten kazał ich ćwiczyć, aż jeden z nich od tego zmarł i wtedy musiał się ów Buchbinder z okolicą pożegnać, bo nie daliby mu chłopi spokoju nigdy. Na dodatek i Żydzi byli mu wrodzy, bo jawnie czytywał pisma Natana z Gazy. Dziwny to był człowiek, porywczy. Ktoś sobie przypomina, jak to po klątwie rzuconej na jego brata rabini nastawali na Lejba, aż w końcu on się z tej służby wymówił i ruszył do Czerniowiec na Wołoszczyznę, gdzie pod rządami Turków dawało się żyć spokojniej.

– Ich zawsze do Turków ciągnęło, tak się Kozaków bali – dodaje jeszcze Małka, siostra Szora.

Nachman rozumie, że nie jest im miła postać ojca Jakuba. Im więcej się o nim dowiadują, tym gorzej dla syna. Więc daje spokój ojcu.

To pozostaje zawsze wielką prawdą: żaden prorok nie może być swój, musi być w jakiś sposób obcy. Musi przyjść z obcej ziemi, pojawić się ni stąd, ni zowąd, wydać się dziwny, niezwykły. Musi go owiewać tajemnica, jak choćby taka, jak u gojów, że się narodził z dziewicy. Musi stąpać inaczej, mówić inaczej. Najlepiej by było, gdyby pochodził z miejsc niewyobrażalnych, stamtąd, skąd przylatują egzotyczne słowa, niesmakowane potrawy, niewąchane zapachy – mirra, pomarańcze.

Ale i to nie jest prawdą do końca. Prorok musi być także i swój, najlepiej niech ma kroplę naszej krwi, niechże będzie dalekim krewnym

kogoś, kogo mogliśmy znać, ale już zapomnieliśmy, jak wygląda. Bóg nigdy nie przemawia przez sąsiada, przez tego, z którym kłócimy się o studnię, ani tego, którego żona kusi nas swoimi wdziękami.

Nachman czeka, aż skończą.

– Ja, Nachman z Buska, byłem na tym weselu drużbą. Drugim był reb Mordke ze Lwowa.

W głowach zebranych, w tej ciasnej, niskiej izbie, pojawia się myśl, która dodaje otuchy. Wszyscy są ze wszystkimi powiązani. Świat jest zaledwie wielokrotnością owej izby w rohatyńskim domu Szorów na górze przy rynku. Przez nieszczelne zasłony w oknach i niedbale zbite drzwi przenika tu światło gwiazd, więc i gwiazdy są dobrymi znajomymi, jakiś przodek czy kuzyn miał z nimi na pewno bliższą styczność. Powiedz jedno słowo w rohatyńskiej izbie, a za chwilę rozniesie się po świecie rozmaitymi ścieżkami i drogami, śladem handlowych wypraw, z pomocą posłańców, którzy nieustannie krążą z kraju do kraju, noszą listy i powtarzają plotki. Jak Nachman ben Lewi z Buska.

Nachman już wie, co mówić – rozwodzi się nad strojem panny młodej, nad pięknością jej brata bliźniaka, Chaima, tak do niej podobnego, że są jak dwie krople wody. Opisuje potrawy, które podano na stół, i muzykantów, i ich egzotyczne instrumenty, jakich tutaj, na Północy, nawet się nie widuje. Opisuje dojrzewające na drzewach figi, kamienny dom położony tak, że widać z niego wielką rzekę Dunaj, i winnice, w których już zawiązały się grona i wkrótce będą przypominać sutki karmiącej Lilit.

Pan młody, Jakub Lejbowicz – jak przedstawia go Nachman – jest wysoki i dobrze zbudowany; ubrany po turecku, przypomina paszę. Mówią już o nim „mądry Jakub”, choć nie ma jeszcze trzydziestu lat. Studiował w Smyrnie u Isochara z Podhajec (tutaj znowu słychać pełne podziwu cmokania słuchaczy). Mimo młodego wieku już zgromadził spory majątek, handlując jedwabiem i drogimi kamieniami. Jego przyszła żona ma lat czternaście. Piękna para. Gdy odbywa się ceremonia zaślubin, ustaje wiatr.

– Wtedy... – mówi Nachman i znowu zawiesza głos, choć samemu mu się spieszy, żeby to opowiedzieć – ...wtedy teść Jakuba wszedł pod baldachim i przysunął usta do ucha Jakuba. Ale nawet gdyby wszyscy zamilkli, gdyby ptaki przestały śpiewać i psy szczekać, gdyby wozy zatrzymały się, nikt by nie usłyszał tej tajemnicy, którą Towa wyznał Jakubowi. Bo to była raza de-mehemanuta, tajemnica naszej wiary, ale mało kto dorósł do tego, żeby ją usłyszeć. Tajemnica ta jest tak potężna, że podobno ciało zaczyna drżeć, gdy człowiek ją pozna. Można ją wyszeptać do ucha tylko najbliższemu, na dodatek w ciemnym pokoju, żeby się nikt niczego nie dorozumiał ani z ruchu warg, ani ze zmienionej ze zdumienia twarzy. Szepcze się ją do ucha tylko wybranym, co przysięgli, że nigdy nie powtórzą jej nikomu pod groźbą klątwy sprowadzającej chorobę lub nagłą śmierć.

– Jak daje się tę wielką tajemnicę zawrzeć w jednym zdaniu? – Nachman uprzedza pytanie, które mogłoby paść. – Czy jest to proste oznajmienie, czy może przeciwnie, zaprzeczenie? A może to pytanie?

Cokolwiek to jest, każdy, kto pozna tę tajemnicę, będzie spokojny i pewny swego. Odtąd już najbardziej skomplikowana rzecz będzie się wydawała prosta. Może jest to jakaś zawiłość, ona jest zawsze najbliższa prawdy, zdanie korek, które zamyka głowę na myślenie, a otwiera na prawdę. Być może tajemnica jest zaklęciem, kilkunastoma sylabami, wydawałoby się, bez znaczenia albo ciągiem liczb, gematryczną doskonałością, kiedy numeryczne wartości liter ujawniają zupełnie inny sens.

– Po tę tajemnicę wysłano z Polski do Turcji wiele lat temu Chaima Malacha – mówi Szor.

– Ale czy ją przywiózł? – powątpiewa Jeruchim.

Przez izbę idzie szmer. Nachman opowiada pięknie, ale ludziom trudno uwierzyć, że to wszystko dotyczy ich ziomka. Tu? Świętość? Stąd się wzięło to imię? „Jakub Lejbowicz” brzmi jak imię pierwszego z brzegu rzezaka, kuśnierz z Rohatyna nazywa się tak samo.

Późnym wieczorem, gdy wszyscy się już rozeszli, stary Szor bierze Nachmana pod ramię i wychodzą na zewnątrz, przed sklep.

– Nie możemy tu tkwić – mówi, wskazując na ubłocony rohatyński rynek i ciemne chmury pędzące nisko, tak że prawie słychać, jak się drą, zaczepiając o wieżę kościoła. – Nie wolno nam tu kupić ziemi, osiedlić się na stałe. Przeganiają nas na wszystkie strony, a w każdym pokoleniu pojawia sie jakaś katastrofa, prawdziwa gzera. Kim my jesteśmy i co nas czeka?

Odchodzą od siebie nawzajem o kilka kroków i słychać w ciemności, jak strużki moczu uderzają w sztachety płotu.

Nachman widzi mały domek chylący się do ziemi pod czapą słomianej strzechy, o oknach maluteńkich, deskach zmurszałych, a za nim majaczą inne, dobudowane, tak samo pochylone, przyklejone jeden do drugiego, jak komórki w plastrze miodu. I wie, że jest w nich mnóstwo przejść, korytarzy, zakamarków, gdzie stoją wózki z nierozładowanym drzewem. I są podwórka ogrodzone niskimi płotkami, na których za dnia grzeją się w słońcu gliniane garnki. Stamtąd zaś prowadzą przejścia na inne podwórka, malutkie, tak że się ledwo w nich można obrócić, z trojgiem drzwi, a każde do innego domu. Wyżej zaś są stryszki łączące te domki górą, a w nich pełno gołębi, które odmierzają czas warstwami odchodów – żywe zegary. W ogródkach wielkości rozłożonej na ziemi kapoty zwija się z wysiłkiem kapusta, marchew pazurami trzyma się grządki. Szkoda w nich miejsca na kwiaty, więc można pozwolić sobie tylko na malwy – one rosną w górę; teraz, w październiku, badyle po malwach wydają się podpierać dom. Pod płotami wzdłuż uliczek rozrasta się śmietnik, przy którym wartują koty i zdziczałe psy. Ciągnie się on przez całe miasteczko, wzdłuż ulic, przez sady i miedze aż do rzeki, gdzie kobiety pracowicie piorą wszystkie brudy tego osiedla.

– Potrzebujemy kogoś, kto nas wesprze we wszystkim, kto nas podtrzyma. Nie rabina, nie mędrca, nie bogacza, nie wojownika. Potrzebujemy mocarza, który wygląda na słabeusza, kogoś bez lęku. On nas stąd wyprowadzi – mówi Elisza Szor, obciągając ciężkie wełniane poły płaszcza. – Znasz takiego?

– Dokąd? Dokąd mielibyśmy iść? – pyta Nachman. – Do Ziemi Izraela?

Elisza odwraca się i rusza z powrotem. Nachmana dolatuje przez chwilę jego zapach, stary Szor pachnie niedosuszonym tytoniem.

– Do świata. – Elisza Szor robi ruch ręką, jakby pokazywał jakąś przestrzeń nad nimi, nad dachami Rohatyna.

Gdy są już w środku, Elisza Szor mówi:

– Nachman, ty go tu sprowadź. Tego Jakuba.

Szkoła Isochara i kim właściwie jest Bóg. Dalsza opowieść Nachmana ben Lewiego z Buska

Smyrna wie, że grzeszy, że zwodzi, że oszukuje. W wąskich uliczkach dniem i nocą odbywa się tu handel; zawsze ktoś ma coś do sprzedania, zawsze ktoś chce coś kupić. Towary przechodzą z ręki do ręki, dłoń wyciąga się po monety, które nikną w głębokich kieszeniach płaszczy, w fałdach szerokich spodni. Woreczki, sakiewki, pudełka, torby, wszędzie dźwięczy moneta, każdy ma nadzieję, że się na transakcji wzbogaci. Na schodach przy meczetach siedzą ludzie zwani sarafami i trzymają na kolanach małe stoliki z rowkiem z boku, służącym do zsypywania odliczonych monet. Obok nich stoją worki ze srebrem i złotem tudzież każdą walutą, na jaką chciałby wymienić swój kapitał klient. Mają chyba wszystkie rodzaje pieniądza, jakie na świecie istnieją, znają na pamięć kursy wymiany; żadna mądra księga, żadna najlepsza mapa, nic tak nie przedstawi świata jak profile władców wybite w miedzi, srebrze i złocie, jak ich imiona. To stąd, z płaskich powierzchni monet sprawują rządy, patrząc srogo na własnych poddanych, jak pogańscy bogowie.

Tutaj uliczki tworzą zawiłą plątaninę, w której łatwo zgubi się ten, kto nie pilnuje drogi. Bogatsi mają tam swoje kramy i sklepy, ich magazyny zaś rozciągają się w głąb budynków i przechodzą w mieszkania, w których kupcy trzymają swoje rodziny i najcenniejszy towar. Uliczki często są zadaszone, przez co miasto przypomina prawdziwy labirynt i wiele razy przybyszom zdarzało się w nim pobłądzić, zanim weszli w rejony, które już poznali. Nie ma tu prawie roślin; tam gdzie nie stoi

dom czy świątynia, ziemia jest wyschła i kamienista, pełna śmieci, gnijących odpadków, w których grzebią psy i ptaki, walcząc między sobą o każdy kąsek.

W Smyrnie jest pełno Żydów z Polski przybyłych a to za jałmużną, bo tam, skąd pochodzą, bieda, a to w sprawach handlowych, tych pomniejszych, liczonych na kilka sztuk złota, i całkiem dużych, na które nie starcza kufrów czy worków. Kręcą się, rozpytują, robią interesy i nie w głowie im powrót do domu. Żydzi smyrneńscy patrzą na nich z wyższością, nie znają ich języka i właściwie porozumiewają się z nimi po hebrajsku (kto potrafi) albo po turecku. Tych świeżo przybyłych rozpoznać można po cieplejszych ubiorach, przybrudzonych, obstrzępionych u dołu, często byle jakich – znać, że przemierzyły kawał świata. Teraz są rozchełstane, porozpinane, bo zbyt tu gorąco.

Niektórzy z bogatych kupców podolskich utrzymują tu swoich faktorów – ci obracają towarem, pożyczają pieniądze, dają gwarancje podróżne i trzymają cały interes pod nieobecność patrona.

Wielu z nich, najwięcej, to wyznawcy Szabtaja Cwi. Wcale tego nie ukrywają i jawnie sławią Mesjasza, nie obawiając się tu, w Turcji, żadnych prześladowań, sułtan bowiem toleruje różne religie, jeśli nie są głoszone zbyt nachalnie. Ci Żydzi są cokolwiek obyci z nowym miejscem, w wyglądzie swoim już sturczeni, swobodni w zachowaniu; inni, mniej pewni siebie, noszą się jeszcze po żydowsku, ale już z podolskich samodziałów wystaje coś obcego, kolorowego – a to jakaś ozdobna torba, a to broda modnie przycięta, a to tureckie buty z miękkiej skóry. Tak oto wiara przejawia się w ubiorze. Ale wiadomo też, że wielu tych, co to wyglądają jak najprawdziwsi Żydzi, też jest owładniętych szabtajskimi ideami.

Z nimi wszystkimi trzymają Nachman i reb Mordke, bo z nimi łatwiej się porozumieć i podobnymi oczami patrzą na ten wielki, barwny świat. Niedawno spotkali Nussena, który jak oni pochodzi z Podola i radzi sobie w Smyrnie lepiej niż ktokolwiek tutaj urodzony.

Nussen, który nie ma jednego oka, syn rymarza Arona ze Lwowa, skupuje barwione skóry, miękkie, delikatne, wytłaczane we wzory. Skóry te pakuje w paki, po czym organizuje ich transport na północ. Część zostawia w Bukareszcie, Widynie i Giurgiu, część wysyła dalej,

do Polski. Do Lwowa dociera akurat tyle, żeby sprawnie działał zakład jego synów, którzy zrobią z nich okładki do ksiąg, portfele, sakiewki. Nussen jest ruchliwy i nerwowy, mówi szybko, kilkoma językami naraz. W nielicznych chwilach, kiedy się uśmiecha, odsłania równe, śnieżnobiałe zęby – widok to szczególny, wtedy jego twarz zmienia się w piękną. Zna tu każdego. Zręcznie porusza się między kramami, po wąskich uliczkach, wymija wózki i osły. Jego jedyna słabość to kobiety. Nie może się oprzeć żadnej, przez co ciągle popada w jakieś tarapaty, a i pieniędzy na powrót zaoszczędzić nie potrafi.

Dzięki Nussenowi reb Mordke i Nachman znajdują Isochara z Podhajec; prowadzi ich obu do niego, dumny, że zna mędrca osobiście.

Szkoła Isochara to piętrowy budynek w tureckiej dzielnicy, wąski i wysoki. Na środku chłodnego podwórka rośnie drzewko pomarańczowe, dalej jest ogród ze starymi oliwkami, w których cieniu nierzadko przesiadują bezpańskie psy. Przegania się je stamtąd, rzucając kamieniami. Wszystkie są żółte, jakby pochodziły z tej samej rodziny, od jednej psiej Ewy. Ruszają się z cienia niechętnie, ospale, patrząc na ludzi jak na swoje odwieczne utrapienie.

Wewnątrz jest chłodno i ciemnawo. Isochar wita się z reb Mordkem serdecznie, drży mu broda ze wzruszenia – dwaj starcy, lekko zgarbieni, trzymając się za ramiona, obchodzą się wkoło, jakby celebrowali taniec białych chmur, które w postaci bród zawisły im u warg. Drepczą wokół siebie, podobni, choć Isochar jest drobniejszy i bledszy, widać, że rzadko wychodzi na słońce.

Przybysze dostają pokój do spania w sam raz dla dwóch. Sława reb Mordkego przechodzi na Nachmana i traktują go tu z powagą i szacunkiem. Wreszcie może się wyspać na czystym, wygodnym posłaniu.

Na dole śpią młodzi adepci – na ziemi, pokotem, niemal jak u Beszta w Międzybożu. Kuchnia jest w podwórzu. Po wodę chodzi się z wielkimi konwiami do studni żydowskiej na drugie podwórko.

W izbie nauki zawsze gwar i hałas, jakby to był jakiś targ, tylko że handluje się tu czym innym. I nigdy nie jest jasne, kto jest nauczycielem, a kto uczniem. Uczyć się od młodych, niedoświadczonych i niepopsutych książkami – to zalecenie reb Mordkego. Isochar idzie

jeszcze dalej: choć pozostaje osią owego przybytku i wokół niego wszystko się kręci, to jednak ten bet midrasz jest najważniejszym miejscem, działa niczym ul czy mrowisko, a jeżeli panuje tu jakaś królowa, to jest nią chyba tylko Mądrość. Wiele tu wolno młodemu. Ma prawo i obowiązek zadawania pytań; żadne nie jest głupie i nad każdym trzeba się zastanowić.

Prowadzi się tu te same dyskusje, co we Lwowie czy w Lublinie, zmieniają się tylko okoliczności i otoczenie – odbywa się to nie w wilgotnej chałupie pełnej dymu, nie w izbie szkolnej o podłodze wysypanej trocinami i pachnącej drzewem sosnowym, lecz pod gołym niebem, na rozgrzanych kamieniach. Wieczorem dyskutujących zagłuszają cykady, tak że trzeba podnosić głos, żeby wypowiedzieć się jasno i zostać zrozumianym.

Isochar uczy, że istnieją trzy ścieżki naszego uduchowienia. Pierwsza jest ogólna i najprostsza. Podążają nią na przykład asceci muzułmańscy. Chwytają się oni każdego możliwego fortelu, żeby wyrugować ze swych dusz wszelkie formy naturalne, to znaczy jakiekolwiek obrazy świata ziemskiego. Bo te przeszkadzają formom prawdziwie duchowym – gdy taka forma pojawi się w duszy, należy ją odosobnić i tak potęgować w wyobraźni, aż urośnie i zajmie całą duszę, człowiek zaś stanie się zdolny do prorokowania. Powtarzają na przykład bez przerwy i bez końca imię Allach, Allach, Allach, aż słowo to zajmie całość ich umysłu – nazywają to „wygaszeniem”.

Druga ścieżka jest rodzaju filozoficznego i ma słodki zapach dla naszego rozumu. Polega na tym, że uczeń zdobywa wiedzę w jakiejś dziedzinie, na przykład w matematyce, potem w innych, aż w końcu dociera do teologii. Przedmiot, który zgłębił i którym zawładnął jego ludzki rozum, zapanowuje nad nim, a jemu się wydaje, że jest wielkim mistrzem we wszystkich tych dziedzinach. Zaczyna rozumieć różne skomplikowane związki i jest przekonany, że to na skutek poszerzenia i pogłębienia jego ludzkiej wiedzy. Nie wie jednak, że to litery pochwycone przez jego myśl i wyobraźnię tak na niego działają, swoim ruchem zaprowadzają w jego umyśle porządki i otwierają drzwi do niewyrażalnego uduchowienia.

Trzecia ścieżka polega na kabalistycznym przesuwaniu, wymawianiu, liczeniu liter – prowadzi do prawdziwego uduchowienia. Ta ścieżka jest najlepsza, daje poza tym wielką przyjemność, gdyż dzięki niej obcuje się blisko z samą istotą stworzenia i poznaje się, kim właśnie jest Bóg.

Nie jest jednak łatwo uspokoić się po takich rozmowach i Nachmanowi, gdy wypali z reb Mordkem ostatnią fajkę, stają przed zaśnięciem przed oczyma dziwne obrazy, w których pojawiają się to ule pełne świetlistych pszczół, to znów jakieś mroczne postaci, z których wychodzą inne. Iluzja. Nie może spać, a bezsenność potęguje niespotykany upał, do którego im, ludziom z Północy, trudno się przyzwyczaić. Niejeden raz nocą Nachman siedzi samotnie na skraju wysypiska śmieci i patrzy w rozgwieżdżone niebo. Pierwsza sprawa dla każdego adepta to zrozumieć, że Bóg, czymkolwiek on jest, nie ma nic wspólnego z człowiekiem i pozostaje tak daleki, że niedostępny jest ludzkim zmysłom. Podobnie jego zamiary. Nigdy się ludzie nie dowiedzą, o co mu chodzi.

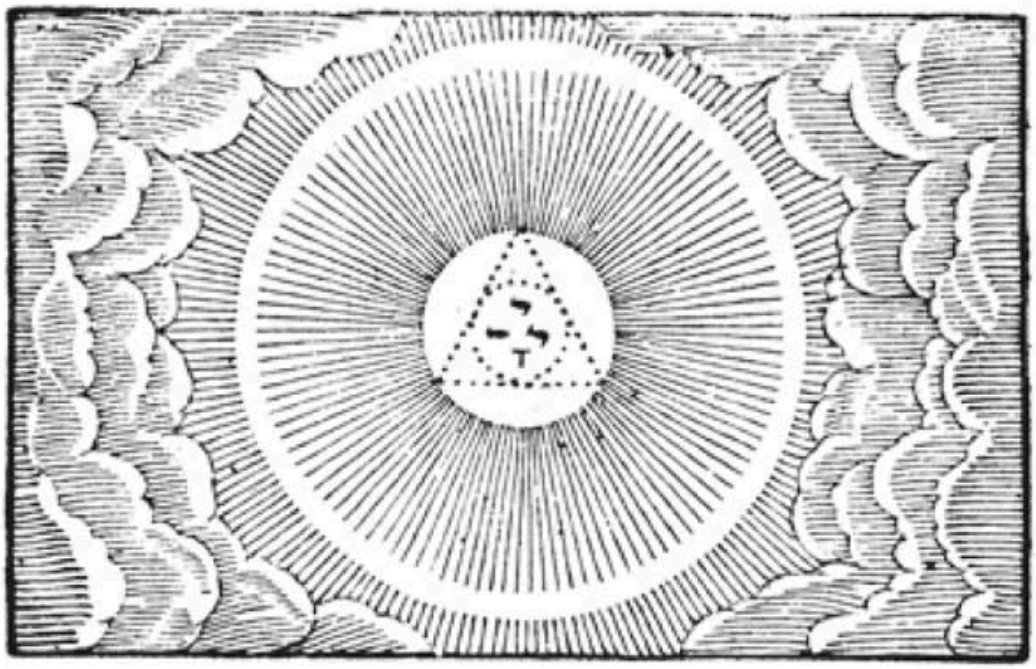

O prostaku Jakubie i podatkach

Już po drodze słyszeli o Jakubie z ust podróżnych – że jest taki uczeń u Isochara i że jest już słynny wśród Żydów, choć nie bardzo wiadomo dlaczego. Czy dzięki swojej bystrości i dziwnemu zachowaniu, które łamie wszelkie ludzkie zasady? Czy może dzięki mądrości, niezwykłej u młodego człowieka? Podobno on sam ma się za prostaka i tak każe do siebie mówić: amoryc, prostak. Twierdzą, że nie lada z niego cudak. Opowiadają, że jako piętnastoletni może chłopiec, jeszcze w Rumunii, przyszedł jakby nigdy nic do gospody, gdzie pobierano cło od towarów, i zasiadłszy przy stole, polecił podać sobie wina i jedzenia, wyciągnął jakieś papiery, po czym rozkazał, żeby mu przyniesiono towary do oclenia, spisał je skrupulatnie, a pieniądze zabrał dla siebie. Byłby poszedł do więzienia, gdyby nie wstawiła się za nim jakaś bogata pani; kładąc wszystko na karb młodzieńczej swawoli, potraktowano go dzięki jej protekcji łagodnie.

Wszyscy, słuchając tego, uśmiechają się z aprobatą i poklepują się po plecach. Podoba się to również reb Mordkemu, Nachmanowi zaś to zachowanie bohatera wydaje się nieprzystojne i prawdę mówiąc, jest zdziwiony, że nie tylko reb Mordke, ale i inni chichoczą z zadowoleniem.

– Dlaczego tak was to zachwyca? – pyta rozeźlony.

Reb Mordke przestaje się śmiać i patrzy spode łba.

– A zastanów się, co w tym jest dobrego – mówi i sięga spokojnie po fajkę.

Dla Nachmana jest jasne, że ten Jakub oszukał ludzi i odebrał im ich pieniądze, które mu się wcale nie należały.

– Dlaczego jesteś po stronie tamtych? – pyta go reb Mordke.

– Bo ja też muszę oddawać pogłówne, choć nic złego nie zrobiłem. Więc mi żal tych ludzi, którym zabrano to, co do nich należało. Gdy przyjdzie prawdziwy poborca, będą musieli zapłacić jeszcze raz.

– A za co oni mają płacić, myślałeś?

– No jak to? – Nachmana dziwi to, co mówi jego mistrz. – Jak to „za co płacić”? – brakuje mu słów, tak bardzo to płacenie jest oczywiste.

– Płacisz za to, żeś Żyd, żyjesz na łasce pańskiej, królewskiej. Płacisz podatki, ale gdy ci się niesprawiedliwość dzieje, ani pan, ani król chętnie

się za tobą nie wstawi. Czy gdzieś jest napisane, że twoje życie kosztuje? Że cenę ma twój rok i miesiąc i każdy dzień da się przeliczyć na złoto? – mówi reb Mordke, spokojnie i starannie nabijając fajkę.

Daje to Nachmanowi do myślenia jeszcze więcej niż teologiczne dysputy. Jak to się stało, że jedni płacą, a drudzy zbierają? Skąd to się wzięło, że jedni mają ogrom ziemi, której nawet objechać nie zdołają, a inni arendują od nich kawałek, za który płacą tak wiele, że im już na chleb nie starcza?

– Bo mają od swoich ojców i matek – mówi bez przekonania, gdy nazajutrz wracają do tej rozmowy. I już czuje, dokąd zmierza argumentacja reb Mordkego.

– A ojcowie skąd mieli? – pyta stary.

– Od swoich ojców? – mówi Nachman, nie kończąc tego ułomnego zdania, bo już rozumie, jak działa ta cała myślowa budowla, więc sam ciągnie, jakby był swoim własnym rozmówcą. – Albo się przysłużyli królowi i dostali ziemie na własność. Albo te ziemie kupili i teraz oddają je potomkom...

Na to w pół słowa wtrąca się zapalczywy jednooki Nussen:

– Ale mnie się wydaje, że ziemi nie powinno się ani sprzedawać, ani kupować na własność. Tak samo jak wody i powietrza. I ogniem też nie pohandlujesz. To są rzeczy dane nam od Boga, nie każdemu z osobna, ale wspólne. Jak niebo i słońce. Czy słońce jest czyjeś, czy gwiazdy do kogoś należą?

– No nie, bo nie dają pożytku. To co niesie korzyść człowiekowi, musi być czyjąś własnością... – próbuje Nachman.

– A jakże to słońce pożytku nie niesie! – wykrzykuje Jeruchim. – Gdyby tylko umiały go dosięgnąć ręce chciwych, zaraz by je na kawałki pocięły, w skarbcu pochowały i w odpowiednim czasie sprzedawały innym.

– A jeszcze ziemię dzieli się jak martwe ciało zwierzęcia, zawłaszcza, pilnuje i strzeże – mruczy do siebie reb Mordke, ale coraz bardziej zajmuje go palenie fajki i wiadomo, że zaraz odpłynie w swoje łagodne ekstazy, gdzie „podatek” jest słowem niezrozumiałym.

Temat podatków w opowieści Nachmana bardzo porusza rohatyńskich słuchaczy i Nachman musi zamilknąć, zaczynają bowiem rozmawiać między sobą.

Ostrzegają się wzajemnie, żeby na przykład nie wdawać się w interesy z „tamtymi” Żydami, bo do niczego dobrego to nie prowadzi. Głośna jest sprawa rabina Izaaka Babada z Brodów, który sprzeniewierzył gminne pieniądze. I jak tu płacić podatki? Są zbyt wysokie i od wszystkiego, tak że przestaje mieć sens robienie czegokolwiek. Lepiej by było położyć się i spać od rana do wieczora, patrzeć, jak chmury płyną po niebie, i słuchać mowy ptaków. Kupcy chrześcijańscy takich kłopotów nie mają, ich podatki są ludzkie; i Ormianie mają o niebo lepiej, bo chrześcijanie. Dlatego Polacy i Rusini uważają Ormian za swoich, chociaż według zgromadzonych w domu Szorów to nieprawda. Umysł Ormianina jest nieprzenikniony i pokrętny. Taki to i Żyda przekabaci. Wszyscy idą im na rękę, bo potrafią się przypodobać, choć w istocie są chytrzy i śliscy jak węże. A gminy żydowskie muszą coraz więcej trybutów wnosić, tak że już synod się zadłużył, bo płacił pogłówne i za tych Żydów, którzy sami za siebie płacić nie mogli. Rządzą więc najbogatsi, ci, co mają pieniądze, a potem ich synowie i wnukowie. Córki wydają za mąż w rodzinie i w ten sposób kapitał trzyma się kupy.

A czy można podatków nie płacić? Wymknąć się z tej maszynerii? Bo jak chcesz być uczciwy i szanować porządek, to zaraz cię ten porządek zawiedzie. Czy w Kamieńcu nie uchwalono, żeby Żydów wyrzucić z miasta w ciągu jednego dnia? I nie bliżej niż sześć mil od miasta mogą się teraz osiedlać. I co z czymś takim zrobić?

– Dom był świeżo malowany – mówi żona Jeruchima, który handluje wódką – a przy nim piękny ogródek.

Kobieta zaczyna płakać, najbardziej o utraconą pietruszkę i główki kapusty, bo zapowiadały się dobrze. Pietruszka grubości kciuka silnego mężczyzny. Kapusta zwarta wielkości główki niemowlęcia. Nawet tego nie pozwolili jej zabrać. Tajemniczy rezultat przynosi porównanie do główki niemowlęcia – inne kobiety też zaczynają szlochać, więc nalewają sobie odrobinę wódki, dzięki której, pochlipując jeszcze,

uspokajają się, po czym wracają do swoich prac, do cerowania i skubania gęsiego pierza; ich ręce nie powinny być bezczynne.

O tym, jak Nachman pojawia się Nachmanowi, czyli nasiono ciemności i pestka światła

Nachman wzdycha, czym ucisza poruszony tłumek. Teraz będzie najważniejsze – wszyscy to czują. Zastygają w bezruchu, jak przed objawieniem.

Drobne interesy Nachmana i reb Mordkego nie idą w Smyrnie dobrze. Za dużo czasu zabierają im sprawy z Bogiem; inwestowanie tego czasu w stawianie pytań, w myślenie – to same koszta. A że każda odpowiedź wywołuje nowe pytania, interes kuleje, bo koszta nieustannie się zwiększają. W rachunkach zawsze jest niedobór i więcej po stronie „winien” niż po stronie „ma”. O tak, gdyby pytaniami można było handlować, obaj z reb Mordkem zbiliby majątek.

Czasami młodzi wysyłają Nachmana, żeby kogoś p r z e d y s p u t o w a ł. Jest w tym najlepszy, każdemu da radę. Wielu skorych do dyskusji Żydów i Greków zachęca zresztą młodych adeptów i namawiają Nachmana do wejścia z nimi w spór. To rodzaj ulicznego pojedynku – przeciwnicy siadają naprzeciwko siebie, wokół zbiera się grupka gapiów. Inspirator rzuca temat, właściwie wszystko jedno jaki, chodzi bowiem o takie przedstawienie argumentów, żeby ten drugi musiał się wobec nich ugiąć, to znaczy, by nie potrafił ich zbić. Przegrany w tych zawodach płaci albo stawia jedzenie i wino. Staje się to okazją do kolejnej dysputy i tak to się toczy. Nachman zawsze wygrywa, przez co nie chodzą głodni spać.

– Pewnego popołudnia, gdy Nussen i inni szukali dla mnie kogoś do dysputy, ja zostałem na ulicy, bo wolałem patrzeć na ostrzycieli noży, sprzedawców owoców, wyciskaczy soku z granatów, ulicznych muzyków i kłębiący się wszędzie tłum. Kucnąłem przy osłach, w cieniu, bo żar był wielki. W pewnym momencie spostrzegłem, że z tego tłumu wychodzi jakiś człowiek i kieruje się ku drzwiom domu, gdzie mieszkał Jakub. Trwało chwilę, kilka uderzeń serca, zanim zrozumiałem, kogo

widzę, choć prawie od razu wydał mi się jakoś znajomy. Patrzyłem na niego z dołu, z tych moich kucek, jak szedł ku Jakubowym drzwiom ubrany w barchanową kapotę, taką, jaką sam miałem jeszcze z Podola. Widziałem jego profil, marny zarost na policzkach, upstrzoną piegami skórę i rude włosy... Nagle odwrócił się do mnie i wtedy go poznałem. To byłem ja sam! – Nachman na chwilę zawiesza głos tylko po to, żeby usłyszeć zdumione okrzyki pełne niedowierzania:

– Jak to?! Co to znaczy?!

– To niedobry znak.

– To był znak śmierci, Nachmanie.

Nie zważając na te trwożliwe uwagi, ciągnie:

– Było gorąco, powietrze od żaru zdawało się pełne noży. Zrobiło mi się słabo, a moje serce jakby zawisło na cieniutkiej nitce. Chciałem wstać, ale nie miałem władzy w nogach. Czując, że umieram, umiałem tylko przytulić się do osła, który, to pamiętam, patrzył na mnie zdziwiony tym przypływem czułości.

Jakieś dziecko zaczyna się głośno śmiać, milknie jednak skarcone przez matkę.

– Zobaczyłem go jako cień. Światło było oślepiające, popołudniowe. Stanął nade mną na wpół zemdlonym i pochylił się, żeby dotknąć mojego rozpalonego czoła. W jednej chwili jasność myśli wróciła i stanąłem na nogi... A on, ten ja, zniknął.

Słuchacze oddychają z ulgą, słychać zewsząd szmery i szepty. To dobra opowieść, podoba się.

Ale Nachman zmyśla. W rzeczywistości zemdlał przy osłach i nikt nie przyszedł go wybawić. Towarzysze zabrali go stamtąd później. I dopiero wieczorem, gdy leżał w ciemnym pokoju bez okien, chłodnym i cichym, przyszedł do niego Jakub. Zatrzymał się przed wejściem, oparł ramię o drzwi i tak nachylony zaglądał do środka – Nachman widział tylko jego kontur, ciemną sylwetkę w prostokącie drzwi na tle schodów. Jakub musiał schylić głowę, żeby wejść. Wahał się przed uczynieniem tego kroku, o którym przecież jeszcze nie wiedział, że zmieni jego życie. W końcu zdecydował się i wszedł do nich, do leżącego w malignie Nachmana i do reb Mordkego siedzącego przy nim na łóżku. Jego włosy,

długie do ramion, falując, spływały spod tureckiej czapki. Na jego bujnej ciemnej brodzie zagrało przez chwilę światło, wydobywając rubinowe refleksy. Wyglądał jak wyrośnięty chłopak.

Gdy potem Nachman, już ozdrowiawszy, szedł na ulice Smyrny, mijając setki ludzi spieszących w swoich interesach, nie umiał wyzbyć się przypuszczenia, że między nimi może być Mesjasz i że nikt nie potrafi go rozpoznać. A co najgorsze – że on sam, ów Mesjasz, jest tego nieświadomy.

Reb Mordke, kiedy to usłyszał, kiwał długo głową, zanim powiedział:

– Ty, Nachmanie, jesteś wrażliwy instrument. Czuły i delikatny. Ty mógłbyś sam być prorokiem tego Mesjasza, tak jak Natan z Gazy był prorokiem Szabtaja Cwi, niech imię jego będzie błogosławione.

I po długiej chwili, jaką zajęło mu rozdrobnienie kawałąteczka żywicy i zmieszanie go z tytoniem, dodał tajemniczo:

– Każde miejsce ma dwie postaci, każde miejsce jest podwójne. To, co wzniosłe, jest jednocześnie upadłe. To, co miłosierne, jest jednocześnie podłe. W największej ciemności tkwi iskra najpotężniejszego światła, i odwrotnie: tam gdzie panuje wszechobecna jasność, nasienie ciemności kryje się w pestce światła. Mesjasz jest naszym sobowtórem, naszą doskonalszą wersją – tacy bylibyśmy, gdyby nie nasz upadek.

O kamieniach i biegunie ze straszną twarzą

Nagle, gdy tak w rohatyńskiej izbie mówią jeden przez drugiego, a Nachman przepłukuje gardło winem, coś dudni o dach i ściany, wywołując krzyk i rwetes. Do izby przez zbitą szybę wpada kamień i przewraca świece; ogień zaczyna lizać ze smakiem trociny, którymi wysypano podłogę. Jakaś starsza kobieta rzuca się na ratunek i ciężkimi spódnicami tłumi zarzewie. Inni wybiegli z piskiem i krzykiem na zewnątrz, w ciemnościach słychać nawołujących się gniewnie mężczyzn, lecz tymczasem grad kamieni ustał. Po dłuższej chwili, gdy goście wracają już do środka z rumieńcami podniecenia i złości, zza domu znowu rozlegają się krzyki i w końcu w głównej izbie, gdzie przed

chwilą odbywały się tańce, pojawiają się poruszeni mężczyźni. Wśród nich dwóch braci Szorów – Szlomo i Izaak, przyszły pan młody, oraz Moszek Abramowicz z Lanckorunia, szwagier Chai, mężczyzna postawny i silny, trzymają pod ręce jakąś chudzinę, która wierzga nogami i pluje z wściekłością wokół siebie.

– Chaskiel! – krzyczy do niego Chaja i podchodzi blisko, schyla się, chcąc popatrzeć mu w twarz, ale on, zasmarkany, płaczący z wściekłości, tę twarz odwraca, żeby czasem nie spojrzeć jej w oczy. – Kto był z tobą? Jak tyś mógł?

– Przeklęte nasienie, zdrajcy, odszczepieńcy! – krzyczy tamten, aż Moszek daje mu w gębę tak mocno, że Chaskiel chwieje się i pada na kolana.

– Nie bij go! – krzyczy Chaja.

Puszczają więc chłopaka, a on podnosi się z trudem, szukając wyjścia. Na jego jasnej lnianej koszuli pojawiają się plamy krwi z rozbitego nosa.

Wtedy najstarszy z braci Szorów, Natan, podchodzi do niego i mówi spokojnie:

– Nu, Chaskiel, powiedz Aronowi, żeby się więcej na coś takiego nie poważył. My krwi przelewać z wami nie chcemy, ale Rohatyn jest nasz.

Chaskiel zmyka, potykając się o poły własnej kapoty. Przy bramie jego wzrok pada na stojącą spokojnie postać ze straszną, zniekształconą twarzą i na jej widok zaczyna skomleć ze strachu:

– Golem. Golem...

Dobruszka z Moraw jest wstrząśnięty i przygarnia swoją żonę do siebie. Utyskuje, że wszyscy tutaj to są dzicy ludzie, że u nich na Morawach robią swoje we własnych domach i nikt im się do tego nie miesza. Żeby rzucać kamieniami!

Niezadowolony Natan Szor gestem każe „golemowi” wrócić do szopy, gdzie tamten mieszka. Teraz trzeba będzie się go pozbyć, bo Chaskiel ich wyda.

Biegun – tak mówią na tego zbiegłego chłopa o odmrożonej twarzy i czerwonych rękach. Duży, milczący, rysy twarzy ma zamazane, bo po odmrożeniu pozostały na niej blizny. Jego wielkie czerwone dłonie przypominają jakieś bulwy, chropawe i napuchłe. Budzą respekt. Jest

silny jak tur i wyjątkowo łagodny. Śpi w oborze, przybudówce, której ściana jest ciepła, bo przylega do domu. Pracowity i sprytny, pracę wykonuje solidnie i z chłopskim pomysłem, powoli, ale dokładnie. To jego przywiązanie jest dziwne, co mu po Żydach, którymi jako chłop zapewne gardzi i których nienawidzi? To oni są przyczyną wielu jego chłopskich nieszczęść – dzierżawią pańskie dobra, zbierają podatki, rozpijają chłopów w karczmie, a gdy tylko który poczuje się trochę pewniej, już zachowuje się jak właściciel niewolników.

Ale po tym golemie nie widać żadnej złości. Możliwe, że ma coś z głową, że wraz z twarzą i rękami odmroził mu się kawałek rozumu – dlatego jest taki powolny, jakby od wiecznego chłodu.

Szorowie znaleźli go w śniegu pewnej ostrej zimy, gdy wracali z jarmarku do domu. I to tylko dlatego, że Eliszy zachciało się iść za potrzebą. Był z nim jeszcze jeden uciekinier, tak jak on w chłopskiej sukmanie, w butach wypchanych słomą, z tobołkiem, w którym zostały tylko okruchy chleba i skarpety, ale już nie żył. Obce ciała już przyprószył śnieg i Szor był pewien, że to martwe zwierzęta. Trupa tamtego zostawili w lesie.

Biegun tajał długo. Powoli przychodził do siebie, dzień po dniu, jakby zamrożeniu uległa także jego dusza i tak samo jak ciało tajała. Odmrożenia nie goiły się wcale, ropiały, skóra schodziła. Chaja przemywała mu twarz i to ona zna go najlepiej. Zna jego rosłe, piękne ciało. Spał w izbie całą zimę, do kwietnia, a oni radzili, co z nim zrobić. Należałoby to zgłosić władzy, wtedy bieguna zabrano by i surowo ukarano. Byli rozczarowani, że nie mówi, a jak nie mówi, to nie ma swojej historii ani języka, jest jak bezdomny, bezkrajowy. Szor zapałał do niego jakąś trudną do wytłumaczenia sympatią, a jak Szor, to i Chaja. Synowie wyrzucali ojcu, po co trzymać kogoś, kto potrzebuje tyle jedzenia i na dodatek jest obcy – szpieg w ulu, trzmiel pomiędzy pszczołami. Gdyby to do władz doszło, byłby straszny kłopot.

Szor umyślił, żeby nikomu o nim nie wspominać, a jakby kto pytał, to mówić, że jest to nienormalny kuzyn z Moraw, dlatego się nie odzywa. Korzyść z niego jest taka, że sam nie wychodzi, a umie naprawić wóz, koło utoczyć, skopać ogród, wymłócić, co tam jest do wymłócenia,

obielić ściany; gospodarskie roboty robi za strawę i niczego się nie domaga.

Szor czasami go obserwuje, jego proste ruchy, sposób, w jaki pracuje – sprawny, szybki, mechaniczny. Unika patrzenia mu w oczy; boi się, co by tam zobaczył. A Chaja mówiła mu kiedyś, że widziała, jak golem płakał.

Szlomo, syn, zrugał go za ten objaw litości i za to, że przygarnął bieguna.

– A jak to jest morderca? – zapytał zdenerwowany, podnosząc głos.

– Kto wie, kim on jest – odpowiedział sam Szor. – A może to jaki posłaniec?

– Ale to goj – zakończył sprawę Szlomo.

Ma rację, to goj. Trzymać takiego zbieżeńca to strach i przestępstwo. Jakby się kto złośliwy dowiedział, dorobiłby się Szor dopiero kłopotów. Ale chłop nie reaguje na pantomimę, której celem jest jasne wytłumaczenie, żeby sobie poszedł. Ignoruje Szora i każdego, odwraca się i odchodzi na swoje posłanie przy koniach.

Szor myśli, że źle jest być Żydem, że Żyd życie ma ciężkie, ale być chłopem jest najgorzej. Chyba nie ma bardziej przeklętego losu. Pod nimi chyba tylko cała gadzina. Bo nawet o krowy i konie, a zwłaszcza o psy, pan dba lepiej niż o chłopa i Żyda.

O tym, jak Nachman trafia do Jenty i zasypia na podłodze przy jej łóżku

Nachman jest pijany. Kilka kieliszków wystarczyło, bo od dawna nie pił i jest zmęczony podróżą, a mocna tutejsza wódka zbiła go z nóg. Chce wyjść na powietrze, błądzi w labiryncie korytarzyków, szuka podwórka. Rękami maca po chropowatych drewnianych ścianach i w końcu trafia na jakąś klamkę. Otwiera drzwi i widzi malutką izdebkę, w której mieści się tylko łóżko. W nogach tego łóżka piętrzy się stos kapot i futer. Odchodzi stamtąd jakiś człowiek o jasnej, zmęczonej twarzy, patrzy na Nachmana nieprzyjaźnie i podejrzliwie. Mija go w drzwiach i znika. To

pewnie medyk. Nachman zatacza się, dotyka dłonią drewnianej ściany, odbija mu się trunkiem, którym go napojono, i gęsim smalcem. Pali się tu tylko mała oliwna lampka – malutki płomyk, który trzeba dopiero podkręcić, żeby cokolwiek zobaczyć. Kiedy już oczy Nachmana przyzwyczajają się do mroku, widzi na łóżku bardzo starą kobietę w przekrzywionym czepcu. Przez chwilę nie wie, z kim ma do czynienia. Wygląda to na żart – umierająca staruszka w domu weselnym. Kobieta ma uniesioną brodę i oddycha ciężko. Leży wsparta o poduszki, jej małe, wysuszone piąstki są zaciśnięte na wyszywanej płóciennej narzucie.

Czy to jest babka Jankiela Lejbowicza, Jakuba? Nachmana ogarnia przerażenie i jednocześnie wzruszenie na widok tej dziwacznej starej, ręką maca za sobą drzwi, szukając skobla. Czeka na jakiś jej znak, ale stara jest chyba nieprzytomna, bo nie rusza się, pod rzęsami błyszczy skrawek oka, w którym odbija się światło. Wydaje się pijanemu Nachmanowi, że go przyzywa, więc próbując zapanować nad strachem i wstrętem, kuca przy łóżku. Nic się nie dzieje. Stara z bliska wygląda lepiej, tak jakby spała. Nachman dopiero teraz czuje, jak bardzo jest zmęczony. Opada z niego napięcie, plecy mu się garbią, powieki robią się ciężkie. Kilka razy musi się otrząsnąć, żeby nie usnąć, i już podnosi się, by wyjść, ale mierzi go i przeraża myśl o tłumie gości z ich ciekawskimi spojrzeniami i niezliczonymi pytaniami. Dlatego, pewny, że nikt tu nie wejdzie, kładzie się na podłodze przy łóżku, na baranim dywaniku, zwijając się w kłębek jak pies. Jest ledwie żywy, wyssali z niego wszystkie soki. „Tylko chwileczkę”, mówi do siebie. Kiedy zamyka oczy, pod powiekami widzi twarz Chai – jej zaintrygowany, pełen podziwu wzrok. Nachmanowi robi się błogo. Czuje zapach wilgotnych desek podłogi, a do tego woń szmat, niepranych ubrań i wszechobecnego dymu, który przypomina mu dzieciństwo – wie, że jest w domu.

Jenta zaśmiałaby się, gdyby mogła. Widzi śpiącego mężczyznę nieco z góry, z pewnością nie swoimi przymkniętymi oczyma. Jej nowy wzrok zawisa nad śpiącym i co dziwne, Jenta dostrzega jego myśli.

W głowie śpiącego widzi innego mężczyznę. Widzi też, że jak i ona, śpiący go kocha. Dla niej ten mężczyzna jest dzieckiem – drobnym, ledwie urodzonym, wciąż porośniętym ciemnym meszkiem, jak wszystkie dzieci, które na świat wyrwały się za wcześnie.

Gdy się rodził, wokoło domu chodziły czarownice, ale nie mogły wejść do środka, bo Jenta trzymała straż. Trzymała tę straż na spółkę z suką, której ojcem był prawdziwy wilk, jeden z tych, co włóczyły się samotnie i szukały zdobyczy po kurnikach. Owa suka miała na imię Wilga. Kiedy więc rodziło się dziecko najmłodszego syna Jenty, Wilga obiegała dom wkoło, cały dzień i całą noc, nieprzytomna z wyczerpania, ale dzięki temu czarownice z samą Lilit nie dały rady podejść.

Lilit, jakby kto nie wiedział, była pierwszą żoną Adama, a jako że nie chciała być Adamowi posłuszna ani leżeć pod nim, jak kazał Bóg, uciekła nad Morze Czerwone. Tam zrobiła się czerwona, jakby ją obdarto ze skóry. Bóg wysłał za nią trzech groźnych aniołów o imionach Senon, Sansenoj i Somangelow, żeby ją zmusić do powrotu. Napadli ją w jej kryjówce, męczyli i grozili, że ją utopią. Ale ona wrócić nie chciała. Potem gdyby nawet chciała, to już by nie mogła, nie mógłby jej Adam przyjąć, bo według Tory kobieta, która już spała z innym, do męża wrócić nie może. A kto był kochankiem Lilit? Sam Samael.

Musiał więc Bóg stworzyć Adamowi drugą, bardziej posłuszną kobietę. Ta była łagodna, ale dość głupia. Zjadła, nieszczęsna, zakazany owoc, przez co nastąpił upadek. Dlatego zaczęło obowiązywać prawo, za karę.

Lecz Lilit i wszystkie jej podobne istoty należą do świata sprzed upadku, dlatego ludzkie prawo ich nie dotyczy, nie obowiązują ich ludzkie reguły ani ludzkie zapisy, nie mają ludzkich sumień ani serc, nie wylewają ludzkich łez. Dla Lilit grzech nie istnieje. Tamten świat jest inny. Ludzkim oczom wydać się może dziwny, jakby narysowany cienką linią, bo wszystko tam jest bardziej świetliste i lekkie, a należące doń istoty potrafią przenikać przez ściany i przedmioty, i przez siebie nawzajem – nie ma między nimi takich różnic jak tutaj między ludźmi, co są pozamykani w sobie jak w żelaznych puszkach. Tam jest inaczej. I pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem nie ma tak wielkich różnic, tylko te z wyglądu, bo możemy tam ze zwierzętami rozmawiać bezgłośnie

i one nas rozumieją, a my je. Tak samo jest z aniołami – tam są widoczne. Latają po niebie jak ptaki, przysiadają czasem na dachach domów – bo tam też są domy – niczym bociany.

Nachman budzi się, kręci mu się w głowie od obrazów. Wstaje chwiejnie i patrzy na Jentę; po krótkim wahaniu dotyka jej policzka, jest ledwie ciepły. Nagle ogarnia go lęk. Widziała jego myśli, oglądała jego sen.

Jentę budzi skrzypienie drzwi, jest na powrót w sobie. Gdzie była? W rozkojarzeniu wydaje jej się, że nie da rady wrócić na twardą drewnianą podłogę tego świata. I dobrze. Tu jest lepiej – czasy plączą się i zachodzą na siebie. Jak mogła kiedyś wierzyć, że czas płynie, c z a s p ł y n i e? To śmieszne. Teraz jest oczywiste, że czas wiruje, jak spódnice w tańcu. Jak wycięty z lipowego drewna i puszczony w ruch na stole bączek, który utrzymuje w owym ruchu wzrok wpatrzonych weń dzieci.

Widzi te dzieci, ich buzie o zaczerwionych od ciepła policzkach, o wpółotwartych ustach, z gilami pod nosem. To jest mały Mosze, obok niego Cifke, która niedługo umrze na koklusz, a to Jankiełe, Jakubek, i jego starszy brat Izaak. Mały Jankiełe nie może się powstrzymać, nagłym ruchem szturcha bączek, a ten zatacza się jak pijany i pada. Starszy brat odwraca się do niego z wściekłością, Cifke zaś zaczyna płakać. Na to wszystko zjawia się ich ojciec, Lejb Buchbinder, zły, że odrywają go od pracy, chwyta Jankiełe za ucho i prawie go za to ucho podnosi. Potem wymierza w niego wskazujący palec, sycząc przez zęby, że Jakub wreszcie dostanie za swoje, i na koniec zamyka go w komórce. Na chwilę zapada milczenie, a potem za drewnianymi drzwiami Jakub zaczyna krzyczeć i krzyczy tak długo, aż nie da się tego słuchać ani nic robić, więc Lejb, czerwony z gniewu, wyciąga małego z komórki i uderza go kilka razy w twarz, tak mocno, że dziecku puszcza się z nosa krew. Dopiero wtedy ojciec zwalnia uścisk i pozwala chłopcu wybiec z domu.

Kiedy dziecko nie pojawia się na noc, zaczynają się poszukiwania. Najpierw szukają go kobiety, potem dołączają mężczyźni, a wkrótce cała rodzina i sąsiedzi chodzą po wsi i pytają, czy kto nie widział Jakuba.

I dochodzą aż do chrześcijańskich chałup i tam też pytają, ale nikt nie widział małego chłopca z rozkwaszonym nosem. A wieś nazywa się Korolówka. Z góry wygląda jak trójramienna gwiazda. Tu urodził się Jakubek, o tam, na końcu wsi, w domu, gdzie nadal mieszka brat jego ojca, Jaakiew. Jehuda Lejb Buchbinder z rodziną przyjechał tu z Czerniowiec, na bar micwę najmłodszego syna swojego brata, a przy okazji, by spotkać się z rodziną; przyjechali nie na długo, za kilka dni mają wracać do Czerniowiec, gdzie się wyprowadzili kilka lat temu. Rodzinny dom, w którym się zatrzymali, jest mały i trudno się w nim wszystkim pomieścić; stoi przy cmentarzu, więc myślą, że mały Jankiełe tam właśnie pobiegł i skrył się za macewami. Jak go jednak teraz wypatrzyć, taką drobinę, nawet jeżeli w poszukiwaniach pomaga wschodzący księżyc i jego srebrna poświata, która zalała wieś. Matka chłopca, Rachel, osłabła z płaczu. Wiedziała, że tak to się kiedyś skończy, jeżeli mąż gwałtownik nie powstrzyma się od bicia Jakuba – że właśnie tak będzie.

– Jankiełe! – woła Rachel, a w jej głosie słychać histerię. – Dziecka nie ma, jakże to? Zabiłeś go! Własnego syna zabiłeś! – krzyczy do męża. Łapie się płotu i trzęsie nim, aż go wyrywa z ziemi.

Mężczyźni pobiegli w dół do rzeki, płosząc stada gęsi pasące się na błoniach, goniły ich potem małe białe piórka i w końcu dosięgły, spoczęły we włosach. Inni pognali na prawosławny cmentarz, bo wiadomo było, że chłopiec tam chadza, na sam koniec wsi.

– W to dziecko wdał się demon, dybuk, wiele ich, jak się mieszka przy cmentarzu. Jeden musiał w niego wleźć – powtarza ojciec, też już przestraszony. – Ja mu pokażę, jak wróci – dodaje zaraz, żeby ukryć swój strach.

– Co on zrobił? – pyta brat Jehudy Lejba Buchbindera roztrzęsioną Rachelę.

– Co zrobił? Co zrobił? – przedrzeźnia go kobieta, zbierając siły do ostatecznego wybuchu. – A co on mógł zrobić? Przecież to dziecko!

O świcie już cała wieś jest na nogach.

– Żydom zginęło dziecko! U Żidiw propała dytyna! – zwołują się goje.

Biorą kije, pałki, widły i ruszają, jakby przeciwko jakiemuś wilkołackiemu wojsku, przeciw podziemnym koboldom porywaczom dzieci, przeciw cmentarnym diabłom. Ktoś wpada na pomysł, żeby iść w las, za wieś, tam jest Księża Góra, tam mógł uciec.

W południe kilku z poszukiwaczy stoi nad wejściem do jaskini – jest nieduże, wąskie, straszne; ma kształt babskiego przyrodzenia. Nikt nie chce się tam zapuszczać do środka – wsunięcie się tam byłoby jak wejście z powrotem do brzucha kobiety.

– Tam by nie wszedł – pocieszają się. W końcu jeden chłopak o wyblakłych oczach, mówią na niego Bereś, zbiera się na odwagę, za nim wchodzi jeszcze dwóch. Zrazu słychać ich głosy w środku, ale potem cichną, jakby pochłonęła ich ziemia. Po kwadransie pojawia się ten bladooki z dzieckiem na ręku. Dziecko ma szeroko otwarte, przerażone oczy i czkawkę od płaczu.

Cała trójramienna wieś opowiada sobie jeszcze o tym wydarzeniu przez kilka dni, a grupa połączonych wspólnym celem wyrostków w wielkiej tajemnicy, do jakiej ma się skłonność w tym wieku, zaczyna eksplorację Jakubkowej jaskini.

Do izby, gdzie leży Jenta, wchodzi Chaja. Pochyla się nad nią, uważnie bada, czy nie drżą jej powieki, czy jakaś żyłka na zapadniętych skroniach nie pulsuje w rytm słabiutkiego serca. Chaja bierze w dłonie małą, zasuszoną główkę starej Jenty.

– Jenta? – pyta cicho. – Ty żyjesz?

Co ma jej odpowiedzieć? Czy to jest dobrze postawione pytanie? Powinna raczej zapytać: Czy ty widzisz, czy ty czujesz? Jak to się dzieje, że przemieszczasz się szybko niczym myśl poprzez rozfalowane falbany czasu? Chaja powinna wiedzieć, jak pytać. Jenta, nie siląc się na żadną odpowiedź, wraca tam, gdzie była przed chwilą, no, może nie dokładnie tam; teraz jest później, nie ma to zresztą specjalnego znaczenia.

Jehuda Lejb Buchbinder, jej syn, a ojciec małego Jakubka, jest porywczy i nieprzewidywalny. Zawsze czuje się przez kogoś prześladowany za swoje herezje. Nie lubi ludzi. Czy nie można sobie żyć, myśląc swoje i robiąc swoje – zastanawia się Jenta. Tego właśnie

ich uczono: będziemy wieść spokojne podwójne życie, podążając śladem Mesjasza. Trzeba się tylko nauczyć absolutnego milczenia, odwracania oczu, życia w skrytości. Czy to takie trudne, Jehudo? Nie okazywać uczuć ani nie zdradzać się z myślami. Mieszkańcy tego świata, otchłannicy, i tak nic nie zrozumieją, wszelka prawda jest od nich odległa niczym Afryka. Podlegają prawom, które my musimy odrzucić.

Buchbinder to po prostu awanturnik, ze wszystkimi jest w niezgodzie. To w niego wrodził się jego syn, jest taki sam jak on, dlatego tak się nie lubią. Wzrok Jenty wędruje teraz gdzieś wysoko, pod wilgotnymi brzuchami chmur, i kobieta bez trudu znajduje swojego syna śpiącego nad księgą. Dopala się olejowa lampka. Jego czarna broda przykryła pismo, na chudych, zapadniętych policzkach cień uwił małe gniazda, powieki drżą, Jehuda śni.

Wzrok Jenty waha się – czy wejść do jego snu? Jak to działa, że wszystko widzi jednocześnie, wszystkie czasy skłębione, a do tego jeszcze myśli? – widzi myśli. Okrąża głowę syna; po drewnianym stole wędrują mrówki, jedna za drugą, w wielkim porządku. Gdy Jehuda się obudzi, jednym ruchem zetrze je niechcący z powierzchni stołu.

O dalszych wędrówkach Jenty w czasie

Jencie przypomina się nagle, jak kilka lat po zdarzeniu w jaskini Jehuda przyjechał ją odwiedzić w Korolówce po drodze do Kamieńca. Podróżował wtedy z czternastoletnim Jakubem. Ojciec miał nadzieję przyuczyć syna do prowadzenia interesów.

Jakub jest chudy, niezgrabny i pod nosem sypie mu się czarny wąs. Jego twarz pokrywają czerwone pryszcze. Niektóre z nich mają białe ropne czubki, skóra jest brzydka, zaczerwieniona i świeci się; Jakub bardzo się tego wstydzi. Zapuścił sobie długie włosy i nosi je tak, że opadają mu na twarz. Tego zaś jego ojciec bardzo nie lubi i często chwyta go za te „kudły”, jak mówi, i odrzuca je synowi na plecy. Obaj są już tego samego wzrostu i z tyłu wyglądają jak bracia. Bracia wiecznie skłóceni. Gdy młody pyskuje, ojciec wali go otwartą dłonią w głowę.

We wsi tylko cztery domy żyją w prawdziwej wierze. Wieczorem zamyka się drzwi, spuszcza zasłony w oknach, zapala świece. Młodzież bierze udział w bar micwie tylko, gdy czyta się Zohar i śpiewa psalmy. Potem idą do innej chaty pod opieką dorosłego. Lepiej, żeby ich płoche uszy nie słyszały, a oczy nie widziały, co się dzieje, gdy zaczyna się gaszenie świec.

Teraz nawet za dnia dorośli siedzą przy zamkniętych okiennicach, czekając na wieści o Mesjaszu, który musi przecież nadejść. Lecz te wieści ze świata przychodzą spóźnione, po czasie, a tu już komuś śnił się Mesjasz – że idzie od zachodu, a za nim zwijają się pola i lasy, wsie i miasta, jakby wzory na dywanie. I zostaje ze świata rulon, zwój zapisany drobnymi znakami, nieodczytanymi do końca. W nowym świecie będzie inny alfabet, będą inne znaki, inne reguły. Może z dołu do góry, a nie z góry na dół. Może od starości do młodości, a nie odwrotnie. Może ludzie brać się będą z ziemi i znikać na koniec w brzuchach swoich matek.

Mesjasz, który nadchodzi, jest Mesjaszem cierpiącym, zbolałym, przygniotło go zło świata i cierpienie ludzi. Może nawet podobny jest Jezusowi, którego pokaleczone ciało wisi w Korolówce na krzyżu na wszystkich prawie rozstajach. Zwyczajni Żydzi odwracają od tej strasznej postaci wzrok, ale oni, prawowierni, zerkają na niego. Bo czy Szabtaj Cwi nie był cierpiącym zbawcą? Czy nie zamknięto go w więzieniu i nie pognębiono?

Gdy rodzice szepczą między sobą, upał wypala w głowach dzieci wszelkie pomysły do zabawy. Wtedy pojawia się Jakub – ani dorosły, ani dziecko. Ojciec wygonił go przed chwilą z domu. Sam miał rumieńce na twarzy, wzrok nieobecny; pewnie płakał nad Zoharem, coraz częściej mu się to zdarza.

Jakub, na którego mówią tu Jankiełe, skrzyknął dzieci, te starsze i te całkiem małe, chrześcijańskie i żydowskie, i wszyscy zgodną grupą ruszyli od cmentarza, od domu stryja, w kierunku wsi, piaszczystą drogą, porośniętą tylko na poboczu gęsim zielem, aż doszli do gościńca i minęli karczmę Żyda Salomona zwanego Czarnym Szlomo. Idą teraz pod górę, w stronę katolickiego kościoła i drewnianej plebanii, potem jeszcze

dalej, koło cmentarza przykościelnego, aż docierają do ostatnich domów na wsi.

Z górki wieś wygląda jak ogród między łanami zboża. Jakub wywiódł z tego ogrodu kilku chłopców i dwie dziewczynki i prowadził ich polami. Weszli na górę ponad wieś, niebo jest czyste, bliski zachód słońca złoci sklepienie niebieskie, a oni wchodzą do małego lasku – rosną tu rzadkie drzewka, jakich nikt chyba jeszcze nie widział. I nagle wszystko robi się dziwne, inne, śpiewy już nie dochodzą z dołu, głos ginie w miękkości zielonych liści, tak bardzo zielonych, że aż razi w oczy. „Czy to są drzewa z bajki?”, pyta któryś z mniejszych chłopców, a Jakub zaczyna się śmiać i odpowiada, że tu jest zawsze wiosna i liście nigdy nie robią się żółte, nigdy nie spadają. Mówi, że tu znajduje się jaskinia, w której spoczywa Abraham, cudownie przeniesiona z Ziemi Izraela, tylko dla niego, żeby mógł ją pokazać. A obok Abrahama leży Sara, jego żona i siostra. A tam gdzie jest Abraham, nie płynie czas, i gdyby wejść do tej jaskini i posiedzieć tam trochę, i wyjść po godzinie, to okazałoby się na ziemi, że na zewnątrz minęło już sto lat.

– Urodziłem się w tej jaskini – oznajmia.

– To kłamstwo – stwierdza rezolutnie jedna z dziewczynek. – Nie słuchajcie go. On tak zawsze zmyśla.

Jakub patrzy na nią ironicznie. Dziewczynka odgryza się za ten ironiczny wzrok.

– Pryszczata gęba – mówi złośliwie.

Jenta odlatuje w przeszłość, gdzie Jankiełe wciąż jest mały i ledwie uspokoił się od płaczu. Ona go usypia i patrzy na inne dzieci, które leżą pokotem na łóżku. Wszystkie już śpią, tylko nie Jankiełe. Chłopczyk musi jeszcze wszystkiemu wokół powiedzieć „dobranoc”. Szepcze ni do siebie, ni do niej, coraz ciszej, ale z przejęciem: „Dobranoc, babciu Jento, dobranoc, bracie Izaaku i siostro Chano, i kuzynko Cifko, dobranoc, mamo Rachel”; a dalej wymienia po imieniu wszystkich sąsiadów i jeszcze przypomina mu się, kogo tam za dnia spotkał, i tym też mówi dobranoc, aż Jenta boi się, że w ten sposób nigdy nie skończy, bo świat jest taki ogromny, że nawet odbity w tak małej główce pozostaje nieskończony, i Jankiełe będzie tak mówił do rana. Potem mały mówi dobranoc okolicznym psom, kotom, jałówkom, kozom,

i w końcu przedmiotom. Misie, powale, dzbanowi, wiadrom, garnkom, talerzom, łyżkom, pierzynom, poduchom, kwiatom w donicach, firankom i gwoździom.

Wszyscy już w izbie posnęli, ogień w piecu przygasł, zmieniwszy się w czerwony leniwy żar, ktoś pochrapuje, a to dziecko mówi i mówi, coraz słabiej i ciszej, ale w jego słowa wkradają się dziwne pomyłki i przejęzyczenia, i nie ma już nikogo przytomnego, kto by go poprawiał, więc powoli ta litania dziwnie się wykrzywia, przybierając postać czarodziejskiego, niezrozumiałego zaklęcia wypowiadanego w starym, zapomnianym języku. Wreszcie dziecięcy głos słabnie całkiem i chłopiec zasypia. Wtedy Jenta delikatnie wstaje, patrzy z czułością na to dziwne dziecko, które powinno mieć na imię nie Jakub, lecz Kłopot, i widzi, jak jego powieki drżą nerwowo, co znaczy, że mały przeniósł się już całkiem w sen i tam zaczyna swoje dokazywania.

O strasznych skutkach zniknięcia amuletu

Nad ranem, gdy wszyscy po weselu śpią po kątach, a trociny w wielkiej izbie są tak zdeptane, że przypominają zbity kurz, w izbie u Jenty pojawia się Elisza Szor. Jest zmęczony, ma przekrwione oczy. Siada przy niej na łóżku, kiwa się w przód i w tył i szepcze:

– Już po wszystkim, Jento, możesz odejść. Nie miejże mi za złe, że cię przytrzymałem. Innego wyjścia nie było.

Delikatnie wyciąga zza jej dekoltu garść sznurków i rzemieni; szuka tego jednego, przekłada przez palce pozostałe, i wciąż sądzi, że tego najważniejszego nie zauważył, że zmęczone oczy go nie widzą. Robi to kilka razy – zlicza malutkie terafim, puzderka, woreczki, kościane tabliczki z wydrapanym na nich zaklęciem. Wszyscy je noszą, ale te stare kobiety mają ich zawsze najwięcej. Zapewne wokół Jenty krążą dziesiątki aniołów, duchów obronnych i innych, bezimiennych. Ale jego amuletu nie ma. Został sznurek, sam, pusty. Zaklęcie zniknęło. Jak to możliwe?

Elisza Szor natychmiast trzeźwieje, jego ruchy robią się nerwowe. W końcu zaczyna obmacywać starą. Podnosi bezwładne ciało i szuka

pod plecami, pod biodrami, odkrywa chude kończyny biednej Jenty, jej kościste duże stopy, które wystają sztywno spod spódnicy, grzebie w fałdach koszuli, sprawdza wnętrze dłoni, w końcu, coraz bardziej przerażony, szuka w poduszkach, w prześcieradłach, kołdrach i derkach, pod łóżkiem i wokół łóżka. Może upadło?

Śmiesznie wygląda ten dostojny starzec buszujący w pościeli starej kobiety, jakby ją wziął za młódkę i się do niej niezdarnie dobierał.

– Jento, ty mi powiedz, co się stało? – mówi do niej przenikliwym szeptem, jak do dziecka, które dopuściło się strasznego przewinienia, ale ona oczywiście nie odpowiada, tylko drżą jej powieki i przez chwilę gałki oczne poruszają się w jedną i w drugą stronę, a na wargi wypływa niepewny uśmiech.

– Coś ty tam napisał? – pyta ojca Chaja natarczywym szeptem. Rozespana, w nocnej koszuli i chustce na głowie, przybiegła tutaj na jego wezwanie. Elisza jest strapiony, zmarszczki na jego czole układają się w miękkie fale, ich wzór przyciąga wzrok Chai. Ojciec zawsze tak wygląda, kiedy czuje się winny.

– Ty wiesz, co napisałem – mówi. – Zatrzymałem ją.

– Powiesiłeś jej to na szyi?

Ojciec przytakuje.

– Ojcze, miałeś to włożyć do pudełka i zamknąć na kluczyk.

Elisza bezradnie wzrusza ramionami.

– Jesteś jak dziecko – mówi Chaja, jednocześnie czule i ze złością. – Jak mogłeś. Tak jej to po prostu założyłeś na szyję? I gdzie to jest?

– Nie ma, zniknęło.

– Nic nie znika tak o!

Chaja bierze się do szukania, ale widzi, że to nie ma sensu.

– Zniknęło, szukałem.

– Ona to zjadła – mówi Chaja. – Połknęła.

Ojciec milczy wstrząśnięty, a potem bezradnie pyta:

– Co można zrobić?

– Nie wiem.

– Kto jeszcze o tym wie? – pyta córka.

Elisza Szor zastanawia się. Ściągnął z głowy futrzaną czapkę i trze czoło. Włosy ma długie, rzadkie, spocone.

– Ona teraz nie umrze – mówi Szor do córki z rozpaczą w głosie.

Na twarzy Chai pojawia się dziwny wyraz niedowierzania i zaskoczenia, które z każdą chwilą zmieniają się w rozbawienie. Śmieje się najpierw cichutko, potem coraz głośniej, w końcu jej niski, głęboki śmiech wypełnia małą izbę i przenika drewniane ściany. Ojciec zatyka jej usta.

O czym mówi Zohar

Jenta umiera i nie umiera. Właśnie tak: „umiera i nie umiera”. W ten sposób tłumaczy to uczona Chaja:

– To wygląda zupełnie tak samo jak w Zoharze – powiada z ukrywaną irytacją, bo wszyscy robią z tego wydarzenie. Ludzie z Rohatyna zaczynają schodzić się do ich domu i zaglądają przez okienka do środka. – W Zoharze jest wiele takich określeń, sprzecznych na pierwszy rzut oka, ale gdy popatrzy się rozważniej, stanie się jasne, że istnieją rzeczy nieprzeniknione dla rozumu i naszych porządków. Czy nie w ten sam sposób zaczyna swoją perorę Starzec z Zoharu? – Chaja mówi to do kilkorga zmęczonych, lecz zaufanych gości, którzy tu przyszli, wietrząc jakiś cud. Przydałby się bardzo. Jest między nimi Izrael z Korolówki, wnuk Jenty, który ją tu przywiózł. Ten wydaje się najbardziej niespokojny i zmartwiony.

Chaja recytuje: „Kimże są istoty, które gdy wstają, schodzą, a gdy schodzą, wspinają się; i dwie będące jedną, a jedna, która jest trzema”.

Słuchający kiwają głowami, jakby tego się właśnie spodziewali i słowa Chai ich uspokoiły. Tylko Izrael nie wydaje się zadowolony z tej odpowiedzi, bo naprawdę nie wie, czy Jenta żyje, czy nie. Już zaczyna swoje pytanie:

– Ale...

Chaja, zawiązując pod brodą grubą wełnianą chustkę, bo zrobiło się zimno, odpowiada mu zniecierpliwiona:

– Ludzie zawsze chcieliby, żeby było prosto. Tak albo tak. Białe albo czarne. To głupcy. Bo przecież świat zrobiony został z niezliczonych odcieni szarości. Możecie ją zabrać do domu – zwraca się do Izraela.

Potem szybkim krokiem przechodzi przez podwórko i znika w przybudówce, gdzie leży Jenta.

Po południu znowu przychodzi medyk Aszer Rubin i bada babkę dokładnie. Pyta, ile ma lat. Dużo, odpowiadają zgodnie. Rubin w końcu mówi, że zdarza się coś takiego, że to śpiączka i żeby jej broń Boże nie traktować jak zmarłą, lecz jak śpiącą. Ale z jego miny wynika, że sam nie bardzo wierzy w to, co mówi.

– Prawdopodobnie sama umrze we śnie – dodaje jakby na pocieszenie.

Po weselu, gdy goście się rozjeżdżają i drewniane koła ich wozów żłobią pod domem Szorów głębokie koleiny, Elisza Szor podchodzi do fury, na której ułożono Jentę. Kiedy nikt nie patrzy, mówi do niej cicho:

– Nie bądź na mnie zła.

Nie odpowie mu, to oczywiste. Podchodzi też Izrael, jej wnuk. Ma żal do Szora – mógłby babkę zatrzymać i pozwolić jej tu umrzeć. Kłócili się o to z Soblą, bo ona babki zostawić nie chciała. Sobla szepcze teraz do niej: „Babciu, babciu”. Ale nie ma odpowiedzi ani reakcji. Ręce Jenta ma zimne, rozcierali je, ale się nie rozgrzały. Oddycha jednak równo, choć powoli. Aszer Rubin mierzył jej tętno kilka razy i nie mógł uwierzyć, że jest tak powolne.

Opowieść Pesełe o koźle podhajeckim i dziwnej trawie

Elisza daje im dodatkową furę wyścieloną sianem. Cała rodzina z Korolówki zasiada teraz w dwóch wozach. Siąpi deszcz i derki, którymi przykryta jest stara, nasiąkają wodą, więc mężczyźni budują prowizoryczny daszek. Jenta wygląda tam jak prawdziwy trup, dlatego

po drodze, gdy widzą ich ludzie, od razu odmawiają modlitwę, a goje żegnają się znakiem krzyża.

Na postoju w Podhajcach jej prawnuczka Pesełe, córeczka Izraela, przypomina sobie, jak trzy tygodnie temu przystanęli tutaj na odpoczynek i babcia, jeszcze zdrowa i przytomna, opowiadała im historię o koźle podhajeckim. Teraz Pesełe, pochlipując, próbuje opowiedzieć ją tak samo jak babka. Słuchają jej w milczeniu i zdają sobie sprawę – co wyciska z ich oczu jeszcze więcej łez – że to było ostatnie, co Jenta opowiadała. Czy chciała im przez tę historię coś przekazać? Jakąś tajemnicę? Wtedy opowieść była zabawna – teraz wydaje im się dziwaczna i niezrozumiała.

– Tu niedaleko, w Podhajcach, pod zamkiem żyje kozioł – mówi słabym głosem Pesełe. Kobiety uciszają się wzajemnie. – Teraz go nie zobaczycie, bo nie lubi on ludzi i żyje samotnie. Jest to bardzo uczony kozioł, mądre zwierzę, które wiele widziało rzeczy dobrych i strasznych. Ma trzysta lat.

Wszyscy rozglądają się wokół mimowolnie, szukając wzrokiem kozła. Widzą tylko wyschłą, zbrązowiałą trawę, gęsie kupy i wielką bryłę ruin podhajeckiego zamku. Kozioł musi mieć z tym wszystkim coś wspólnego. Pesełe obciąga spódnicę na swoje podróżne skórzane buty z ostrym noskiem.

– W takich ruinach rośnie dziwna trawa, boża trawa, bo nikt jej nie sieje i nikt nie kosi. Trawa zostawiona w spokoju też nabiera własnej mądrości. Więc tylko taką trawą żywi się ten kozioł, żadną inną. Jest nazirem, który ślubował nieobcinanie włosów i niedotykanie ciał zmarłych, i zna się na tej trawie. Nigdy nie przełknął innej, jak tylko tę spod zamku w Podhajcach, mądrą trawę. Dlatego i on stał się mądry, a jego rogi rosły i rosły. Nie były to jednak zwykłe rogi, takie jakie ma inne bydło. Te były miękkie, wiły się i skręcały. Mądry kozioł ukrywał swoje rogi. Za dnia nosił je skręcone tak, że wyglądały na całkiem zwyczajne. Jednak w nocy wychodził, o tam, na ten szeroki stopień zamku, na ten zawalony dziedziniec i stamtąd sięgał rogami do nieba. Wyciągał je wysoko, wysoko, stawał na tylnych nogach, żeby być jeszcze wyżej, i w końcu zahaczał czubki rogów o kraj młodego, rogatego jak i on księżyca i pytał: „Co tam słychać, księżycu? Czy nie

nadszedł jeszcze czas na nadejście Mesjasza?”. Księżyc oglądał się wtedy na gwiazdy, a one zatrzymywały się na chwilę w swojej wędrówce. „Mesjasz już nadszedł, jest w Smyrnie, czyżbyś tego nie wiedział, mądry koźle?” „Wiem, miły księżycu. Chciałem się tylko upewnić”.

Tak sobie rozmawiali przez całą noc, a rano, gdy wstało słońce, kozioł zwijał swoje rogi i dalej pasł się na mądrej trawie.

Pesełe milknie, a jej matka i ciotki zaczynają pochlipywać.

Ksiądz Chmielowski pisze do JWM Pani Drużbackiej w styczniu 1753 roku, z Firlejowa

Wiele mi po wyjeździe Jejmości Dobrodziejki do głowy przychodzi pytań i całych zdań, których nie miałem okazji wypowiedzieć w czasie naszego spotkania, a ponieważ dałaś mi Pani pozwolenie na pisanie, to korzystam z niego, żeby się także wybronić od niektórych Pani Dobrodziejki zarzutów. A jako że pogoda w Firlejowie już całkiem zimowa, to tylko pilnuję pieca i nad papierami siedzę całe dnie, choć to oczy niemiłosiernie psuje, jako też dym.

Pani się pytasz, czemu łacina? I optujesz, jak inne białogłowy, za tym, żeby się do polszczyzny w piśmie przyznawać więcej. Ja do polszczyzny nic nie mam, ale jak w niej mielibyśmy mówić, skoro nam słów nie starcza?

Czy nie lepiej powiedzieć Rhetoryka niż Krasomówstwo? Albo Philosophia niżeli Miłość mądrości? Astronomia niż Gwiazdarska nauka? I czasu się zaoszczędzi, i języka nie łamie. W Muzyce też bez łaciny nie dasz rady, na przykład tony, klawisze, konsonancja, są to słowa z łacińskiego języka. I gdyby Polacy – jako teraz invaluit Usus[6] – łaciny poniechawszy, albo spolszczonych terminów, samą mówili i pisali Polszczyzną, musieliby się wrócić do zarzuconej i niezrozumianej Słowiańszczyzny owej w Pieśni Świętego Wojciecha znajdującej się:

Już nam czas godzina grzechów się kajaci, Bogu chwałę daci.

Ale cóż to znaczy? Jakie „kajaci”, jakie „daci”? Chciałaby Waćpani mówić Sypialnia zamiast Dormitarza? Nie wierzę! Jadalnia miasto Refektarza,

Chałupka miasto Celle? Jakże to brzmi! Jak by to wyglądało, gdyby sekretarz napisał do swojego pryncypała: „Wypadło skazanie od Sądowego Stolca Lubelskiego”. Lepiej jest przecież: „Ferowany Dekret w Trybunale Lubelskim”. No i nie mam racji? Albo niech sobie Waćpani wystawi. Nie: „Miałem u konfessjonału wielu penitentów”, ale: „Miałem u spowiadania wielu pokutników”. Czy to nie śmieszne? „Zalecam się wielmożnego pana baczności, albo obzieraniu”, a nie: „Rekommenduję mię W. Pana respektowi”. Jakżeby to było? „Otworzył się widok nieszczęścia nieraz w Polszcze, na które wielu w Europie było patrzaczów”. Przecież o wiele lepiej jest: „Otworzyło się Theatrum nieszczęścia, na które wielu w Europie było spektatorów”. No i jak?

Wszędzie na świecie z pomocą łaciny porozumieć się można. Tylko poganie i barbarzyńcy łaciny unikają.

Polszczyzna jest jakaś toporna i brzmi z chłopska. Nadaje się do opisu świata natury i co najwyżej agrikultury, ale trudno nią wyrazić sprawy skomplikowane, wyższe, duchowe. Jakim kto językiem mówi, takim i myśli. A polszczyzna jest niejasna i niekonkretna. Nadaje się raczej do opisów pogody w podróży, a nie do dyskursów, gdzie trzeba umysł wytężyć i wyrażać się jasno. Ot, do poezji się nadaje, Droga Pani Dobrodziejko, Muzo Nasza Sarmacka, bo poezja rozmyta i niekonkretna. Choć rzeczywiście niejaką przyjemność w czytaniu daje, której się prosto wyrazić tu nie da. Wiem o tym, bom zamówił u Twojego wydawcy Pani rymowanki i znalazłem w nich wielką przyjemność, choć nie wszystko mi się wydaje w nich jasne i oczywiste, o czym Ci jeszcze napiszę.

Ja optuję za wspólnym językiem; niechże będzie nawet trochę uproszczony, ale taki, by go wszyscy na całym świecie rozumieli. Tylko tak ludzie będą mieli dostęp do wiedzy, bo literatura to jest jakiś rodzaj wiedzy – uczy nas. Na przykład JWPani wiersze mogą nauczyć uważnego czytelnika, co tam rośnie w lesie, jaka to flora i fauna leśna, nauczy się też człowiek prac we dworze i co w ogrodzie rośnie. Można się dzięki poezji egzercytować, to jest wprawiać się, ćwiczyć w różnych pożytecznych arkanach i co najważniejsze – jeszcze nauczyć się, jak myślą inni, co jest bardzo cenne, jako bez tego można by sądzić, że wszyscy myślą tak samo, a przecież to nieprawda. Każdy myśli inaczej i co innego sobie wyobraża, gdy czyta. Czasem mnie to niepokoi i że moje rzeczy własną ręką napisane będą rozumieć inaczej, niżbym chciał.

Tak że mnie, Jaśnie Wielmożna Pani, wydaje się, iż druk po to wynaleziono i czarne na białym ustanowiono, by robić z tego tylko taki dobry użytek, aby wiedzę naszych przodków zapisywać, gromadzić, tak iżby dostęp do niej miał

każdy z nas, nawet ci najmniejsi, o ile nauczą się czytać. Wiedza powinna być jak woda czysta – za darmo i dla każdego.

Myślałem długo, jakąż ja mogę Ci, JWPani, sprawić przyjemność moimi listami, skoro tyle się wokół Ciebie, Safono nasza, dzieje. Powziąłem przeto myśl taką, aby Ci w każdym liście miranda różne umieszczać, które ja wynalazłem w moich księgach, abyś się nimi mogła popisać w dobrym towarzystwie, w którym – w przeciwieństwie do mnie – bywasz.

Dziś więc zacznę od Czartoskiej Góry, która to pod Rohatynem w polu osiem mil od Lwowa jest. Na samą Wielkanoc Roku 1650 8 Aprilis, przed wojną pod Beresteczkiem z Kozakami, z miejsca na miejsce przeniesiona została, czyli motu terae – trzęsieniem ziemi, czyli ex Mandato, to jest z woli Najwyższego Pana. Pospólstwo na geologii nieznające się uważa, że czarci tą górą Rohatyn chcieli przywalić, tylko kur, zapiawszy, mocy im ujął, stąd jej nazwa. Wyczytałem to u Krasuskiego i Rzączyńskiego, obaj Soc. Jesu, więc źródło godne zaufania.

7

Historia Jenty

Ojciec Jenty, Majer z Kalisza, był jednym z tych sprawiedliwych, którzy dostąpili widoku Mesjasza.

Stało się to przed jej urodzeniem, w złych i marnych czasach, kiedy wszyscy wyczekiwali zbawcy świata, ponieważ ludzkich nieszczęść było tak wiele, iż niemożliwe się wydawało, żeby świat mógł trwać dalej. Tyle bólu żaden świat nie uniesie. Nie da się go już wytłumaczyć ani zrozumieć, nikt nie uwierzy, że nadal tkwi w nim Boży zamysł. Zresztą ci, co mają wrażliwe oko, najczęściej stare kobiety, które wiele w życiu widziały, dostrzegali, że psuje się mechanizm świata. Na przykład w młynie, gdzie ojciec Jenty dowoził zboże, jednej nocy pękły koła młyńskie, wszystkie, co do jednego. A mlecze, ich żółte kwiatki, ułożyły się pewnego poranka w literę alef. Wieczorami słońce zachodziło krwawo, pomarańczowo, tak że wszystko na ziemi brązowiało jakby od zaschłej krwi. Trzciny nad rzeką wyrosły takie ostre, że cięły ludzkie łydki. Piołun stał się tak trujący, że sam jego zapach obalał dorosłego mężczyznę. Same rzezie Chmielnickiego – jakżeby się miały mieścić w planach Bożych? Straszne o nich pogłoski, które od 1648 roku rozchodziły się po krajach, coraz więcej uciekinierów, wdowców i agun, osieroconych dzieci, kalek – wszystko to było niewątpliwym dowodem, że nadchodzi koniec i świat zaraz urodzi Mesjasza, że oto zaczęły się już bóle porodowe, i jak to zostało napisane, stare prawo zostaje unieważnione.

Ojciec Jenty przywędrował do Polski z Ratyzbony, skąd całą rodzinę wypędzono za wciąż te same, odwieczne żydowskie grzechy. Osiedlił się w Wielkopolsce, gdzie handlował zbożem, jak wielu współbraci, i słał to piękne, złote zboże do Gdańska i dalej w świat. Dobry to był interes, na niczym im nie zbywało.

Dopiero zaczynał, gdy w 1654 roku wybuchła zaraza i morowe powietrze zabrało wielu ludzi. A gdy przyszedł mróz i wymroził zarazę, to trzymał całe długie miesiące, i ci, co ocaleli, zamarzali teraz we własnych łóżkach. Morze zmieniło się w lód i do Szwecji można było iść na piechotę, porty stanęły, zwierzęta domowe poumierały, drogi zasypał śnieg i ustał wszelki ruch. Dlatego od razu na wiosnę pojawiły się oskarżenia, że te nieszczęścia są przez Żydów. Zaczęły się w kraju procesy, a Żydzi, żeby się bronić, posłali po pomoc do papieża, lecz zanim posłaniec zdołał wrócić do kraju, przyszli Szwedzi i poczęli plądrować miasta i wsie. I znów się oberwało Żydom – bo niewierni.

Dlatego ojciec Jenty z rodziną ruszył z Wielkopolski na wschód, do krewnych we Lwowie, gdzie miał nadzieję znaleźć spokojną przystań. Tu było daleko od świata, wszystko dochodziło z opóźnieniem, a ziemie okazały się niespotykanie żyzne. Jak w tych koloniach, do których chętnie emigrowali ludzie z zachodu, dla każdego mogło się znaleźć miejsce. Ale tylko na chwilę. Bo po wygnaniu Szwedów na gruzach i na rynkach ograbionych doszczętnie miast znowu zaczęto zadawać pytania, kto winien wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej, i znów najczęściej padała odpowiedź, że to Żydzi i innowiercy, którzy knuli z najeźdźcą. I tak najpierw nękano arian, a zaraz potem zaczęły się pogromy.

Dziadek Jenty ze strony matki pochodził z podkrakowskiego Kazimierza. Miał tu mały interes, robił czapki z filcu. Latem chrześcijańskiego roku 1664, a żydowskiego 5425, zginęło tam podczas tumultu sto dwadzieścia dziewięć osób. Wszystko wzięło się stąd, że jakiś Żyd został oskarżony o kradzież hostii. Sklep dziadka został doszczętnie zniszczony i ograbiony. Okupiwszy się resztką swojego majątku, zabrał całą rodzinę na furę i ruszyli na południowy wschód, do Lwowa, gdzie mieszkali ich bliscy. Myśleli mądrze: żywioł kozacki już się wyszalał pod Chmielnickim w 1648 roku. Gezera – Wielka Katastrofa, nie może się powtórzyć. To tak samo jak o miejscu, w które uderzył piorun, mówi się, że jest najbezpieczniejsze.

Osiedlili się we wsi niedaleko Lwowa. Ziemia tu była bogata, gleba tłusta, lasy gęste, rzeki pełne ryb. Wielki pan Potocki twardą ręką trzymał to wszystko w karbach. Mniemali chyba, że nie ma już miejsca na ziemi, gdzie można się ukryć i że lepiej zdać się na wolę Boga. A tu im było dobrze. Sprowadzali z Wołoszczyzny wełnę na filc, przy tym zaś inne jeszcze towary, dzięki czemu szybko interes zaczął dobrze prosperować i stanęli na nogi – mieli dom z sadem, przy nim mały warsztat, a wokół gęsi i kury, żółte melony w trawie, śliwki, z których, gdy tylko zwarzył je mróz, pędziło się śliwowicę.

Wtedy, jesienią 1665 roku, razem z towarami ze Smyrny nadeszła wiadomość, która poruszyła wszystkich Żydów w Polsce – powstał Mesjasz. Każdy, kto tego słuchał, od razu milkł i próbował sobie uzmysłowić sens tego krótkiego zdania: Mesjasz przyszedł. Bo to nie

jest zwykłe zdanie. Bo to jest zdanie ostateczne. Kto je wypowie, to jakby mu łuski spadły z oczu i widzi już świat zupełnie inaczej.

Bo czy w istocie nie brak było zapowiedzi końca? Te monstrualne żółte korzenie pokrzyw, które pod ziemią podstępnie oplątują korzenie innych roślin, niezwykle wybujały w tym roku powój, z pędami mocnymi jak powrozy. Zieleń wspina się po ścianach domów, po korze drzewa, wydaje się, że sięga do gardeł ludzi. Jabłka o wielu gniazdach nasiennych, jajka o dwóch żółtkach, chmiel, który rósł tak gwałtownie, że udusił jałówkę.

Mesjaszowi na imię Szabtaj Cwi. Skupiają się już wokół niego tysiące ludzi, którzy ciągną z całego świata, zbierają się, by zaraz ruszyć z Mesjaszem do Konstantynopola, gdzie ma on zedrzeć sułtanowi koronę z głowy i samemu ogłosić się królem. Jest przy nim jego prorok, Natan z Gazy, wielce uczony, który spisuje jego słowa i przesyła je w świat, do wszystkich Żydów.

I zaraz przyszedł do gminy lwowskiej list od rabina Barucha Pejsacha z Krakowa, że nie ma już czasu na czekanie – trzeba ruszyć do Turcji jak najszybciej i stać się świadkiem ostatnich dni. Należeć do pierwszych, którzy ujrzą.

Majer, ojciec Jenty, niełatwo dawał się porywać takim wizjom.

Gdyby było tak, jak mówicie, to Mesjasz przychodziłby w każdym pokoleniu, byłby co miesiąc to tu, to tam. Rodziłby się po każdym tumulcie i po każdej wojnie. Interweniowałby po każdym nieszczęściu. A ile ich było? Niezliczona ilość.

Tak, tak, kiwali głowami ci, co go słuchali. Miał rację. Ale każdy czuł, że tym razem to co innego. I znowu zaczęła się zabawa w znaki – obłoki, odbicia na wodzie, kształt płatków śniegu. Majer zdecydował się na

wyprawę z powodu mrówek, które dostrzegł, gdy intensywnie o tym wszystkim myślał: szły po nodze od stołu, w szeregu, spokojnie i karnie, dosięgały blatu, tam jedna po drugiej zgarniały odrobiny sera, po czym wracały tak samo – spokojnie i karnie. To mu się spodobało i uznał mrówki za znak. Miał już uskładane pieniądze i towar, a że go ceniono wysoko jako człowieka rozważnego i mądrego, znalazł bez trudu miejsce w tej wielkiej wyprawie handlowej, która miała go w rzeczywistości doprowadzić do Szabtaja Cwi.

Jenta urodziła się kilka dobrych lat po całym tym wydarzeniu i dlatego nie jest pewna, czy będzie miała udział w świętości oczu swojego ojca, gdy oglądał oblicze Mesjasza. On i jego towarzysze: Mosze Halewi, jego syn i pasierb ze Lwowa, oraz Baruch Pejsach z Krakowa.

Z Krakowa do Lwowa, ze Lwowa przez Czerniowce na południe, na Wołoszczyznę, a im bliżej byli, tym cieplej się robiło, tym śniegu było mniej i powietrze stawało się bardziej pachnące i łagodniejsze, opowiadał potem ojciec. Wieczorami zastanawiali się nad tym, jak to jest, gdy Mesjasz przychodzi. Dochodzili do wniosku, że te nieszczęścia lat poprzednich były w istocie dobre, bo miały swój sens, zapowiadały przyjście zbawiciela, tak jak bóle zapowiadają narodziny nowego człowieka. Bo gdy świat rodzi Mesjasza, musi cierpieć, załamują się wszelkie prawa, tracą ważność ludzkie umowy, przyrzeczenia i przysięgi rozsypują się w pył. Brat rzuca się na brata, sąsiad nienawidzi sąsiada, ludzie, którzy żyli obok siebie, teraz w nocy podrzynają sobie gardła i piją swoją krew.

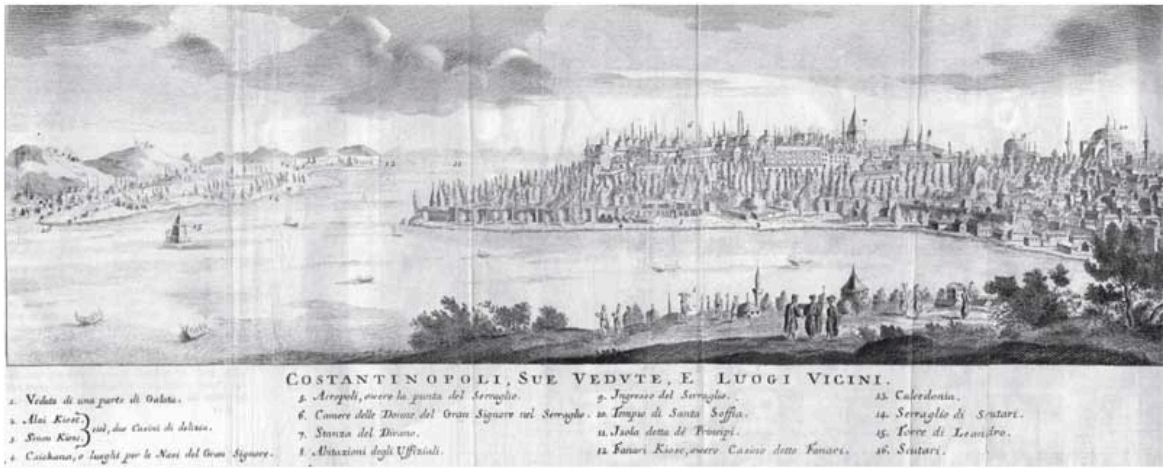

Delegacja lwowska zastała Mesjasza w więzieniu, w Gallipoli. Gdy oni wędrowali na południe z Polski, sułtan, zaniepokojony tumultem żydowskim i planami Szabtaja Cwi, pochwycił go i uwięził w twierdzy.

Mesjasz w więzieniu! Nie do pojęcia, jakże to? Wśród wszystkich przybyłych w tym czasie do Stambułu, nie tylko z Polski, zapanował wielki niepokój. Więzienie! Mesjasz w więzieniu, czy to może być, czy pasuje do proroctw, mamy przecież Izajasza?

Ale zaraz, a jakie to więzienie? I czy to jest więzienie? A co to jest w ogóle „więzienie”? Przecież Szabtaj Cwi, szczodrze zaopatrzony przez wiernych, mieszka w twierdzy Gallipoli niczym w pałacu. Mesjasz nie je mięsa ani ryb; mówią, że żywi się tylko owocami – i te, najświeższe, ściąga się dla niego z całej okolicy i przywozi statkami. Lubi granaty, dłubie długimi delikatnymi palcami w ich ziarnistych wnętrzach, wyłuskuje rubiny nasion i rozgryza je w swoich świętych ustach. Je niewiele – kilka ziaren granatu; podobno jego ciało czerpie życiodajną siłę wprost od słońca. Mówi się też w wielkiej tajemnicy – która jednak rozchodzi się szybciej, niż gdyby to była tylko mała tajemnica – że Mesjasz jest kobietą. Ci, co byli przy nim blisko, widzieli jego kobiece piersi. Jego skóra, gładka i różowa, pachnie jak skóra kobiety. W Gallipoli ma do dyspozycji wielki dwór i sale wyłożone kobiercami, gdzie udziela audiencji. Czy to jest więzienie?

Tak go znalazła delegacja. Najpierw czekali półtora dnia, tak wielu chętnych starało się o audiencję u Mesjasza w więzieniu. Przed ich oczami przelewał się podniecony różnojęzyczny tłum. Krzyżowały się

spekulacje – co teraz będzie... Żydzi z Południa, smagli, w ciemnych turbanach, i Żydzi z Afryki, barwni jak ważki. Śmieszni Żydzi z Europy, ubrani na czarno, w sztywnych kołnierzach, które zbierały kurz niczym gąbki wodę.

Musieli dzień pościć, a potem wykąpać się w łaźni. W końcu dano im białe szaty i dopuszczono przed mesjański majestat. Był to dzień świąteczny, właśnie ustanowiony według nowego, mesjańskiego kalendarza. Bo Szabtaj Cwi zniósł wszystkie tradycyjne święta żydowskie, nie obowiązywało już Prawo Mojżeszowe, tylko inne, jeszcze niewysłowione, wobec którego nie wiadomo było, jak się zachować ani co powiedzieć.

Zastali go siedzącego na bogato rzeźbionym stolcu, w szkarłatnych szatach, w asyście świętobliwych mędrców, którzy zwrócili się do nich z zapytaniem, po co przyszli i czego chcą od zbawcy.

Było postanowione, że mówić będzie Baruch Pejsach, i on to zaczął opowiadać o wszystkich nieszczęściach kraju polskiego, a równocześnie o nieszczęściach Żydów polskich i na dowód przedłożył mu kronikę nieszczęść Majera ze Szczebrzeszyna pod hebrajskim tytułem *Cok Ha-itim*, czyli *Ucisk czasów*, wydaną kilka lat temu. Lecz kiedy Baruch płaczliwym głosem rozwodził się nad wojnami, chorobami, pogromami i niesprawiedliwością ludzką, Szabtaj nagle mu przerwał i wskazując na swoje szkarłatne szaty, wielkim głosem krzyknął: „Czyż nie widzicie koloru zemsty?! Jestem odziany w szkarłat, jako rzecze prorok Izajasz: dzień zemsty mam w sercu, a rok zbawienia już nadszedł!”. Wszyscy pochylili się, tak był ten głos mocny i niespodziewany. Potem Szabtaj zerwał z siebie koszulę i dał ją Izajaszowi, synowi Dawida Halewiego, a innym rozdał bryłki cukru i kazał im włożyć je do ust: „Oby się w nich młodzieńcza siła obudziła”. Majer chciał wtedy powiedzieć, że niepotrzebna im młodzieńcza siła, tylko życie w spokoju, ale Mesjasz krzyknął: „Milcz!”. Majer, jak to tylko on potrafił, spoglądał ukradkiem na zbawcę i widział jego łagodną, piękną twarz, miękkie rysy i niezwykłej urody oczy okolone rzęsami, wilgotne i mroczne zarazem. I widział, jak ciemne, wydatne usta Mesjasza jeszcze drżały z oburzenia i leciutko trzęsły się jego smagłe policzki bez zarostu, gładkie i zapewne miłe w dotyku jak najlepiej wyprawiony nubuk. I zdziwiło go bardzo, że

piersi Mesjasza były rzeczywiście jak piersi kobiety, wydatne, o brązowych sutkach. Ktoś wtedy szybko narzucił na Mesjasza szal, ale widok tych nagich piersi pozostał w pamięci Majera do końca życia, a potem – jak to bywa z pamiętanymi obrazami – został podzielony na słowa i na powrót z tych słów złożony w głowach jego dzieci.

Sceptyczny Majer poczuł wtedy coś jakby ukłucie w piersiach, targnięcie wzruszenia, i musiało to głęboko zadrasnąć jego duszę, bo owo draśnięcie przekazywał swoim dzieciom, a potem wnukom. Ojciec Jenty, Majer, był bratem dziadka Eliszy Szora.

No i co? I tyle. Spisali to wszystko dokładnie, każdy ruch i każde słowo. Pierwszej nocy siedzieli w milczeniu, nie rozumiejąc, co się im właściwie przydarzyło. Czy to znak jakiś? Czy sami dostąpią zbawienia? Czy w obliczu końca czasów są w stanie objąć rozumem to, co się dzieje? Wszak w s z y s t k o j e s t i n a c z e j, o d w r o t n i e.

W końcu, załatwiwszy interesy, w dziwnym, podniosłym nastroju wrócili do domu, do Polski.

Wiadomość o odstępstwie Szabtaja uderzyła w nich jak grom z jasnego nieba. Stało się to 16 dnia miesiąca elul 5426 roku, czyli 16 września 1666, ale dowiedzieli się o wszystkim, gdy byli już w domu. Tego dnia spadł niespodziewany, zbyt wczesny śnieg i przysypał niezebrane jeszcze plony w ogródkach: dynie, marchew i buraki, które dożywały jeszcze w ziemi swojej starości.

Roznosili ową wiadomość posłańcy w rozerwanych z żalu szatach, o twarzach brudnych od nieustannego przebywania w drodze. Nie chcieli nawet przystanąć, tylko szli przez wsie, zawodząc. Zły sułtan niewiernych zagroził Szabtajowi śmiercią, jeżeli nie przyjmie islamu. Groził, że zetnie mu głowę. I Mesjasz się zgodził.

Najpierw po domach rozlegał się szloch i panowało niedowierzanie. Potem zapadła cisza. Przez jeden, dwa, trzy dni jakoś nikt nie kwapił się do rozmów. Co powiedzieć? Żeśmy raz jeszcze najsłabsi, oszukani, że Bóg nas opuścił? Mesjasz pognębiony? A przecież miał zrzucić z tronu sułtana, przejąć władzę nad całym światem, wywyższyć poniżonych?

Znowu nad biedne podolskie wsie nadciągnęły wielkie, szare, barchanowe chmury jak poszycie zniszczonego namiotu. Majerowi wydawało się, że świat zaczął gnić, że toczy go gangrena. Siedząc przy ciężkim drewnianym stole, z najmłodszą, drobniutką jak groszek córeczką na kolanach, rozpisywał, jak wszyscy, gematryczne kolumny. Dopiero gdy chwycił pierwszy mróz, zaczęły krążyć listy i wyjaśnienia i nie było tygodnia, żeby jakiś wędrowny kupiec nie przyniósł czegoś nowego na temat zbawcy. Nawet zwykły mleczarz, który rozwoził mleko i masło po okolicznych wsiach, stawał się w tamtym czasie mędrcem. Rysował palcem na czym bądź schematy zbawienia.

Z tych nerwowych, rwanych doniesień trzeba sobie było złożyć całość, sięgnąć po księgi, zapytać tych najmądrzejszych. I powoli tej zimy wykluwała się nowa wiedza, która wiosną była już silna i mocna jak świeży pęd rośliny. Jakże mogliśmy tak się mylić? To smutek nas zaślepił, zwątpienie niegodne dobrego człowieka. Tak, przeszedł na wiarę Mahometa, przeszedł – lecz nie p r a w d z i w i e, a tylko p o z o r n i e; to jego wizerunek, c e l, czyli cień, nałożył zielony turban, Mesjasz zaś skrył się i czekać będzie na lepszy czas, który nastąpi wnet, właściwie to kwestia dni, jest tuż-tuż.

Jenta wciąż ma przed oczami palec kreślący w mące rozsypanej na stole Drzewo Sefirot, a jednocześnie znajduje się teraz ona we wsi pod Brzeżanami osiemdziesiąt kilka lat wcześniej. Jest to dokładnie ten sam dzień, kiedy została poczęta. Dopiero teraz może go ujrzeć.

Czy Jenta w tym dziwnym stanie, w jakim się znalazła, potrafi inicjować jakieś drobne sprawy? Wpływać na bieg wypadków? Czy może? Gdyby mogła, zmieniłaby ten jeden dzień.

Widzi młodą kobietę, która idzie polami z koszem w ręku, ma w nim dwie gęsi. Ich szyje poruszają się w rytm jej kroków, oczy jak koraliki patrzą wokół z tym rodzajem ufności, jaką mają oswojone zwierzęta. Spod lasu wyjeżdża konny patrol kozacki, galopuje, rośnie w oczach. Jest za późno na ucieczkę, kobieta staje zaskoczona, zasłania się koszem z gęsiami. Konie otaczają ją, napierają na nią. I jakby na rozkaz mężczyźni zsiadają z koni; wszystko dzieje się bardzo szybko i w milczeniu. Popychają ją miękko na trawę, kosz upada, gęsi wydostają się z niego, ale nie odchodzą, posykują tylko groźnie,

ostrzegawczo i świadkują temu, co się dzieje. Dwóch trzyma konie, a jeden odwiązuje od pasa szerokie marszczone spodnie i kładzie się na kobiecie. Potem zmiana, robią to coraz szybciej, w pośpiechu, jakby musieli wykonać tych kilka ruchów – właściwie niemal nie widać, żeby sprawiało im to przyjemność. Nasienie wlewa się w kobietę i ścieka potem na trawę. Ostatni przydusza jej szyję i kobieta już zaczyna się godzić z tym, że umrze, ale któryś z pozostałych podaje mu lejce i mężczyzna wsiada na konia. Patrzy na nią jeszcze przez chwilę, jakby chciał zapamiętać swoją ofiarę. Potem szybko odjeżdżają.

Kobieta siedzi z rozrzuconymi nogami, oburzone gęsi patrzą na nią, gęgając z dezaprobatą. Kawałkiem halki wyciera się między nogami, potem rwie liście i trawę. Na końcu biegnie do rzeczki, podnosi wysoko spódnice, siada w wodzie i wypycha z siebie nasienie. Gęsi uważają, że to dla nich zachęta, i też biegną do wody. Ale zanim zdecydują się do niej wejść, jak zwykle z gęsią rezerwą, kobieta łapie je obie, pakuje do kosza i wraca na ścieżkę. Zwalnia przed wsią, idzie coraz wolniej, aż w końcu zatrzymuje się, jakby dotknęła niewidzialnej granicy.

To jest matka Jenty.

Pewnie dlatego całe życie przyglądała się córce uważnie i podejrzliwie. Jenta przyzwyczaiła się do jej spojrzenia pełnego rezerwy, rzucanego znad jakiejś pracy wykonywanej przy stole, znad krojenia warzyw, obierania jajek ugotowanych na twardo, szorowania garnków. Matka co chwila na nią popatrywała. Jak wilk, jak pies, który szykuje się do zatopienia zębów w łydce. Z czasem do tego popatrywania dołączył się drobny grymas ust: lekkie uniesienie górnej wargi, podciągnięcie jej pod nos – wyraz ni to niechęci, ni to obrzydzenia, ale nieznaczny, ledwie widoczny.

Pamięta, jak plotąc jej warkoczyki, matka znalazła we włosach nad uchem ciemny pieprzyk, który bardzo ją ucieszył. „Patrz – powiedziała do ojca – ma pieprzyk w tym samym miejscu co ty, tylko po drugiej stronie, jak odbicie w lustrze”. Ojciec przyjął to z roztargnieniem. Nigdy się niczego nie domyślał. Matka umarła z tajemnicą zaciśniętą w pięść. Umarła w jakimś skurczu, w furii. Zapewne powróci jako dzikie zwierzę.

Urodziła się jako jedenasta. Majer dał jej na imię Jenta, co znaczy: taka, która roznosi wiadomości, i taka, co uczy innych. Matka nie miała już siły się nią opiekować – była zbyt delikatna. Jentą zajmowały się inne kobiety, które wiecznie kręciły się po domu – kuzynki, ciotka, przez jakiś czas babka. Zapamiętała, jak matka wieczorami zsuwała z głowy czepiec – wtedy Jenta widziała z bliska jej marne, krótko i byle jak obcięte włosy porastające niezdrową, łuszczącą się skórę.

Jenta miała sześciu starszych braci, którzy uczyli się w jesziwie i dukali w domu wyrazy Pisma, podczas gdy ona wisiała u stołu, przy którym siedzieli; była za mała, żeby wziąć ją do prawdziwie kobiecej pracy. Miała też cztery starsze siostry, z których jedna już wyszła za mąż, a drugą usilnie starano się wyswatać.

Ojciec widział jej zapał i ciekawość, więc pokazał jej litery, sądząc, że będą dla niej jak obrazki, jak klejnoty i gwiazdki – piękny alef niczym odbicie kociej łapy, samech niczym łódeczka z masztem, którą robi się z kory i puszcza na wodę. Ale Jenta, nie wiadomo jak i kiedy, nauczyła się liter inaczej, po dorosłemu, tak że mogła wkrótce układać z nich słowa. Matka biła ją za to po rękach z nieoczekiwaną wściekłością, jakby Jenta sięgała po zbyt wiele. Sama nie umiała czytać. Chętnie za to słuchała, gdy ojciec, rzadko, albo, częściej, ich stary krewny, Kulawy Abramek, opowiadał kobietom i dzieciom po żydowsku historie z ksiąg; Abramek robił to zawsze głosem zawodzącym, jakby zapisane słowa pokrewne były z natury lamentowi. Zaczynał, kiedy się zmierzchało, przy mdłym świetle świec, więc wraz z czytaniem pojawiał się w domu wieczorami uporczywy smutek wiejskich kabalistów, których było wtedy wielu. W smutku tym można się było rozsmakować tak samo, jak niektórzy rozsmakowują się w wódce. I potem ogarniała ich wszystkich taka melancholia, że zawsze ktoś zaczynał płakać i biadolić. Chciało się wtedy dotknąć tego wszystkiego, o czym mówił Abramek, wyciągało się rękę po coś konkretnego, ale nie było nic. I ten brak okazywał się straszny. Rodził prawdziwą rozpacz. Wokół ciemność, chłód i wilgoć. Latem pył, zeschła trawa i kamienie. Gdzie to wszystko jest – ten świat, to całe życie, ten raj? W jaki sposób się do nich dostać?

Małej Jencie wydawało się, że każdy taki wieczór opowieści stawał się gęsty, bardziej ciemny, nieprzenikniony, zwłaszcza gdy Kulawy

Abramek mówił niskim ciepłym głosem:

– I to jest wiadome, że przestwór świata jest pełen upiorów i złych duchów, rodzących się z grzechu ludzkiego. Unoszą się one w przestrzeni, jak jest napisane wyraźnie w księdze Zohar. Należy się tedy wystrzegać, by w drodze do bożnicy nie przylgnęły do człowieka, i dlatego winien tenże wiedzieć, co jest napisane w Zoharze, a mianowicie, że z lewej strony czyha na ciebie szkodnik, bo mezuza jest przybita tylko od strony prawej, a w mezuzie jest napisane Imię Boże: Szaddaj, które pokonuje szkodnika, co nam wyjaśnia napis na niej: „I Szaddaj będzie na twoich odrzwiach".

Kiwali zgodnie głowami. To wiemy. Lewa strona.

Jenta była tego świadoma: „Powietrze jest pełne oczu – mawiała jej szeptem matka, tarmosząc ją jak szmacianą lalkę przy każdym ubieraniu. – Patrzą na ciebie. Rzuć tylko pytanie przed siebie, a duchy zaraz odpowiedzą. Trzeba jedynie umieć pytać. I znajdować odpowiedzi: w mleku, które wylało się w kształt litery samech, w odcisku kopyta końskiego w kształcie litery szin. Zbieraj, zbieraj znaki, to wkrótce przeczytasz całe zdanie. Co to za sztuka czytać z ksiąg napisanych przez człowieka, kiedy cały świat jest księgą pisaną przez Boga, także gliniana dróżka, która prowadzi nad rzekę. Przyjrzyj się jej. Także piórka gęsi, wyschnięte słoje drewna na deskach w płocie, pęknięcia gliny na ścianach domu – ta jest zupełnie jak jedna z liter: szin. Umiesz to, czytaj, Jento".

Bała się swojej matki, a jakże. Malutka dziewczynka stoi przed chudą, drobną kobietą, która wiecznie coś mamrocze, zawsze ze złością. Piekielnica – za taką miała ją cała wieś. Nastroje matki zmieniały się zbyt często i Jenta nigdy nie wiedziała, czy biorąc ją na kolana, ucałuje ją i przytuli, czy ściśnie boleśnie jej ramiona i potrząśnie nią jak kukiełką. Dlatego wolała jej schodzić z drogi. Patrzyła, jak chudymi rękami układa w skrzyni resztki dawnego posagu – pochodziła z zamożnych Żydów ze Śląska, ale niewiele jej z tej zamożności pozostało. Jenta słyszała, jak rodzice pojękują w łóżku, i wiedziała, że to ojciec w tajemnicy przed resztą rodziny wygania z matki dybuka. Matka zaś najpierw mu się słabo wyrywała, a potem brała głęboki oddech, jak

ktoś, kto zanurkował w zimnej wodzie, w lodowatej wodzie mykwy, i tam się skrył przed złem.

Kiedyś, w czasach wielkiej biedy, podpatrzyła ją, jak wyjada zapasy przeznaczone dla wszystkich – ze zgarbionymi plecami, z wychudłą twarzą, z pustymi oczami, które były tak czarne, że nie było w nich widać źrenic.

Gdy Jenta miała siedem lat, matka umarła przy kolejnym porodzie – ona i dziecko, które nie miało siły wydostać się z niej na zewnątrz. Dla Jenty to był oczywiście dybuk, którego tamta zjadła, kradnąc pożywienie, a którego ojciec nie zdołał wygnać w czasie nocnych zmagań. Rozgościł się w brzuchu jej matki i nie chciał wyjść. A śmierć – to była kara. Kilka dni przed fatalnym porodem gruba i spuchnięta, o błędnych oczach obudziła śpiącą córkę o świcie, ciągnąc ją za warkoczyki, i powiedziała:

– Wstawaj, Mesjasz przyszedł. Jest już w Samborze.

Po śmierci żony Majer, powodowany niejasnym poczuciem winy, sam zajmował się córką. Nie bardzo wiedział, co z nią zrobić, więc gdy studiował, siedziała przy nim i przyglądała się temu, co czytał.

– A jak będzie wyglądało zbawienie? – spytała go raz.

Majer, przywołany do rzeczywistości, wstał znad książek i oparł się plecami o piec.

– To proste – powiedział. – Kiedy ostatnia iskierka boskiego światła wróci do swojego źródła, objawi się nam Mesjasz. Wszelkie prawa zostaną unieważnione. Zniknie podział na koszerne i niekoszerne, na święte i przeklęte, przestanie być odróżnialna noc od dnia, a różnice między kobietą a mężczyzną zanikną. Litery w Torze poprzestawiają się tak, że pojawi się nowa Tora i wszystko w niej będzie odwrotnie. Ciała ludzkie staną się lekkie jak duchy i nowe dusze zstąpią do nich spod samego tronu dobrego Boga. Wtedy też zniknie potrzeba jedzenia i picia, zbędne stanie się spanie, a każde pożądanie rozwieje się jak dym. Cielesne rozmnażanie ustąpi łączeniu się świętych imion. Talmud pokryje się kurzem, zupełnie zapomniany i niepotrzebny. Będzie wszędzie jasno od blasku Szechiny.

Potem jednak Majer uznał za stosowne przypomnieć jej najważniejsze:

– Między sercem a językiem jest otchłań – powiedział. – Pamiętaj o tym. Myśli trzeba kryć, zwłaszcza gdy urodziłaś się na swoje nieszczęście kobietą. Myśl tak, żeby myśleli, że ty nie myślisz. Zachowuj się tak, żeby innych zmylić. Tak musimy wszyscy robić, a kobiety w szczególności. Talmudyści wiedzą o sile kobiet, jednak się jej boją, dlatego przekłuwają dziewczynkom uszy, żeby je osłabić. Ale my – nie. My tego nie robimy, bo sami jesteśmy jak kobiety. Ukrywamy się. Udajemy głupich, udajemy jakichś innych ludzi, którymi nie jesteśmy. Przychodzimy do domu i ściągamy z twarzy maski. Spoczywa na nas ciężar milczenia, masa duma.

I teraz, gdy Jenta leży przykryta po szyję w korolewskiej drewutni, wie, że wszystkich oszukała.

8

Miód, nie zjeść go za dużo, czyli nauki w szkole Isochara w Smyrnie, w kraju tureckim

Nachman dzięki szkole Isochara ma gematrię, notarikon i temurę w jednym palcu. Można go obudzić w środku nocy i kazać mu przestawiać litery oraz produkować słowa. Już zważył i ustalił liczbę słów w modlitwach i błogosławieństwach, aby odkryć, według jakiej zasady zostały one ustanowione. Porównał je z innymi, przekształcał, przestawiając litery. Wiele razy, gdy nie mógł spać w czasie upalnych smyrneńskich nocy, kiedy reb Mordke w milczeniu odpływał, paląc fajkę, Nachman bawił się tak z zamkniętymi oczami do świtu, grał ze słowami i literami, tworząc zupełnie nowe, nieprawdopodobne znaczenia i powiązania. Kiedy pierwszy świt oświetlał szaro placyk porośnięty kilkoma marnymi oliwkami, pod którymi wśród śmieci spały psy, zdawało mu się, że świat słów jest o wiele realniejszy niż to, co widzą jego oczy.

Nachman jest szczęśliwy. Zawsze zajmuje miejsce za Jakubem, lubi patrzeć na jego plecy. I właśnie dlatego dotyczą go słowa Pisma – mamy w Księdze Przysłów 25,16 takie słowa: „Znalazłeś miód? Jedz tyle, ile trzeba, żebyś się nie przejadł i nie zwymiotował”.

Tymczasem oprócz hakkarat panim – znajomości fizjonomii, i sidrej szirtutin – znajomości chiromancji, wybrani uczniowie, do których już zaliczają się Nachman i Jakub, pod okiem Isochara i reb Mordkego przyuczani są jeszcze do pewnej tajemnej rzeczy. Wieczorem zostawia się tylko dwie świece w małym pokoju i siada pod ścianą na podłodze. Głowa musi iść między kolana. Ciało człowiecze wraca wtedy do tej samej pozycji, którą miało w brzuchu matki, a więc kiedy jeszcze pozostawało w bliskości Boga. Gdy się tak siedzi kilka godzin, gdy

oddech powraca do płuc i słyszy się bicie własnego serca, ludzki umysł zaczyna swoje podróże.

Jakub, wysoki i mocny, zawsze ma wokół siebie wianuszek słuchaczy. Opowiada przygody z młodości w Bukareszcie, a Nachman podsłuchuje jednym uchem. Jakub mówi, że kiedyś stanął w obronie Żyda, a tu na niego dwóch jeźdźców od agi napadło. Walczył wałkiem do ciasta i tym wałkiem całą straż turecką rozgromił. A kiedy, jako że im szkód cielesnych narobił, podano go na sąd, tak adze przypadła do gustu jego waleczność, że nie tylko go zwolnił, ale jeszcze prezenty mu dał. Oczywiście Nachman mu nie wierzy. Wczoraj Jakub opowiadał o cudownym świdrze, który natarty jakimiś magicznymi ziołami, umiał pokazywać schowane w ziemi skarby.

Widząc zapewne wpatrzony w siebie wzrok Nachmana, który ten zawsze szybko odwraca, gdy tylko Jakub na niego spojrzy, Jakub zaczepia go po turecku:

– A tyś co, Fejgełe, że się tak na mnie patrzysz?

Zapewne mówi to z intencją obrażenia Nachmana. Nachman mruga oczami, tak jest zaskoczony. Także tym, że Jakub używa słowa żydowskiego, „fejgełe” – ptaszek, ale i taki, co lubi mężczyzn bardziej niż kobiety.

Jakub jest zadowolony, wprawił Nachmana w konfuzję, uśmiecha się szeroko.

Przez chwilę poszukują wspólnego języka. Jakub zaczyna od tego, którym mówią tutaj Żydzi: ladino, Nachman jednak nic nie rozumie i odzywa się po hebrajsku, ale obu im nie wychodzi gadanie na ulicy w świętym języku, zacinają się. Nachman przechodzi na żydowski, a w tym znowu Jakub mówi z dziwnym akcentem, odpowiada zatem w tureckim, płynnie, radośnie, jakby znalazł się nagle na swoim gruncie, tu z kolei Nachman nie czuje się zupełnie sobą. W końcu mówią jakąś mieszaniną, nie przejmując się pochodzeniem słów; słowa to nie szlachta, żeby im drzewa genealogiczne odtwarzać. Słowa to kupcy, szybcy i użyteczni, to tu, to tam.

Jak nazwać miejsce, gdzie pije się kaffę? To kahvehane, prawda? A ciemny, krępy Turek z południa, który nosi zakupione towary z bazaru

do domu, to hamal. Z kolei targ kamieniami, na którym za dnia pojawia się zawsze Jakub, to bezestan, czyż nie? Jakub się śmieje, ma ładne zęby.

Resztki. O tym, czym zajmowaliśmy się w Smyrnie w roku żydowskim 5511 i jak spotkaliśmy Moliwdę, a także o tym, że duch jest jak igła, która robi w świecie dziurę

Wziąłem sobie do serca to, czego nauczał nas Isochar. A mówił on, że są cztery rodzaje czytelników. Jest czytelnik gąbka, czytelnik lejek, czytelnik cedzidło i czytelnik sito. Gąbka wchłania w siebie wszystko, jak leci; jasne jest, że potem dużo z tego pamięta, lecz nie umie wydobyć najważniejszego. Lejek – przyjmuje jednym końcem, drugim zaś wszystko, co przeczytane, z niego wylatuje. Cedzak przepuszcza wino, a zatrzymuje winny osad; ten w ogóle nie powinien czytać i lepiej, żeby zajął się rzemiosłem. Sito zaś oddziela plewy, żeby otrzymać najlepsze ziarno.

„Chciałbym, żebyście byli jak sito i nie zatrzymywali tego, co niedobre i nudne” – mawiał do nas Isochar.

Dzięki praskim jeszcze znajomościom i dobrej opinii reb Mordkego zostaliśmy – ku naszemu szczęściu – obaj zatrudnieni, za całkiem dobre pieniądze, do pomocy trynitarzom, którzy wykupywali chrześcijańskich jeńców z niewoli tureckiej. Zajęliśmy miejsce po Żydzie, który zmarł nagle na jakąś gorączkę i którego szybko trzeba było zastąpić. Naszym zadaniem było zaopatrywać zakonników przez czas ich pobytu w Smyrnie; ponieważ byłem już biegły w tureckim, a i polski, jak już mówiłem, znałem całkiem

nieźle, brali mnie też do tłumaczenia, przez co w niedługim czasie stałem się, jak mówią Turcy, dragomanem, czyli tłumaczem.

Wykupy odbywały się w porcie, trynitarze schodzili do tymczasowych cel, gdzie trzymano jeńców, i rozmawiali z nimi, skąd są i czy mają rodzinę, która mogłaby zapłacić za nich wykup i zwrócić braciom trynitarzom założone pieniądze.

Zdarzały się czasem zabawne historie, jak choćby pewnej włościanki spod Lwowa. Nazywała się Zaborowska, a jej mały synek, urodzony w niewoli, miał na imię Ismail. Ta kobieta o mało sama nie zaprzepaściła transakcji, gdy upierała się, że nie porzuci mahometańskiej wiary i swego syna Ismaila nie ochrzci, co dla braci trynitarzy było twardym orzechem do zgryzienia.

Tłumaczem, który też pracował dla trynitarzy, był pewien człowiek, który natychmiast przyciągnął moją uwagę, usłyszałem bowiem, jak rozmawiał z kimś po polsku, choć ubrany był w strój turecki. Miał wyjaśniałe od słońca włosy i podciętą krótko rudawą brodę. Budowy był krępej i mocnej – należało przypuszczać, że jest silny i wytrzymały. Przyglądałem mu się spod oka, ale nie chciałem go zaczepiać, dopóki nie nadarzyła się okazja. Zauważył kiedyś, że próbuję coś wytłumaczyć po polsku przybyszom z Małopolski, którzy wyprawili się aż tutaj, by wykupić swojego krewnego, podszedł do mnie i klepnąwszy w plecy, uściskał jak swojaka. „Skąd jesteś?”, zapytał bez ceremonii, co mnie żywo poruszyło, bo nigdy mnie tak serdecznie żaden szlachcic nie potraktował. Potem zaś odezwał się do mnie po hebrajsku całkiem sprawnie i po naszemu, po żydowsku. Głos miał głęboki, mógłby przemawiać. Musiałem mieć niemądrą minę, bo roześmiał się na cały głos, odchylając do tyłu głowę, tak że prawie mogłem mu zajrzeć do gardła.

Przywiodły go do Smyrny jakieś tajemnicze interesy, o których mówić nie chciał, twierdził natomiast, że jest księciem wyspy na morzu greckim, która nazywa się jego imieniem – Moliwda. Mówił o tym jednak w taki sposób, jakby zarzucał na nas wędkę – czy uwierzymy, czy damy się złapać. Mówił, jakby nie do końca wierzył samemu sobie, jakby miał w zanadrzu jeszcze kilka innych wersji, równie prawdziwych. Mimo to jakoś przylgnęliśmy do siebie. Wobec mnie zachowywał się po ojcowsku, choć był przecież niewiele ode mnie starszy. Wypytywał nas o Polskę – musiałem mu opowiadać całkiem zwyczajne rzeczy, które go widocznie cieszyły: jak się noszą szlachta i mieszczanie we Lwowie, jakie są sklepy, czy można się tam napić dobrej kaffy, czym handlują Żydzi, a czym Ormianie, co się jada i jaki alkohol pije. Prawdę mówiąc, nie byłem zorientowany w polskich sprawach. Opowiadałem mu o Krakowie i Lwowie, opisałem dokładnie Rohatyn, Kamieniec i Busk – moje rodzinne miasteczko. Muszę przyznać, że obaj nie umieliśmy uniknąć tych nagłych fal tęsknoty, które zalewają wędrowców, gdy znajdą się daleko od domu. Lecz mnie się wydawało, że on dawno domu nie widział, bo pytał o rzeczy błahe i dziwne. Za to w zamian opowiadał swoje przygody na morzu z piratami, a tak opisywał bitwy morskie, że nawet trynitarze w swoich białych habitach z krzyżami kucali przy nas, żeby posłuchać. Z braćmi przechodził na polski i z tego, jak z nim rozmawiali (wtedy jeszcze nie wszystko rozumiałem), widać było, że bardzo go cenią i traktują w sposób wyjątkowy, jak prawdziwego pana. Mówili o nim „hrabia Kossakowski”, co mi dziwnie dech zapierało, jako żem nigdy z bliska nie oglądał hrabiego, choćby tak dziwacznego.

Im dłużej znaliśmy tego Moliwdę, tym bardziej nas zadziwiał. Nie dosyć, że biegle czytał i mówił po hebrajsku, to znał jeszcze

podstawy gematrii! Szybko wykazał się wiedzą, która daleko przekraczała horyzonty zwykłego goja. I mówił jeszcze po grecku, i nawet tureckie pismo zgłębił tak, że mógł wypisywać tureckie pokwitowania.

Pewnego dnia zjawił się u Isochara Towa z Nikopola, któregośmy jeszcze nie znali, ale o którym słyszeliśmy same najlepsze rzeczy, a też studiowaliśmy jego księgę i jego poezje. Był to człowiek skromny i zamknięty w sobie. Wszędzie towarzyszył mu trzynastoletni syn, chłopiec piękny, i razem wyglądali, jakby to anioł opiekował się mędrcem.

Dysputy, jakie zaczęły się odbywać za sprawą jego przyjazdu, wprowadziły nas w zupełnie inne rejony dociekań.

Mówił Isochar:

– I nie ma już co oczekiwać wielkich wydarzeń, zaćmień słońca ani powodzi. Dziwny proces zbawienia zachodzi o tu – klepnął się w piersi, aż zadudniło. – Podnosimy się z najgłębszego dna, tak jak i on się podnosił i upadał, nieustannie walcząc z siłami zła, z demonami ciemności. Uwolnimy się, będziemy wewnętrznie wolni, nawet gdybyśmy tutaj, w świecie, mieli być niewolnikami... tylko wtedy podniesiemy Szechinę z prochu, my maaminim, wierzący prawdziwie.

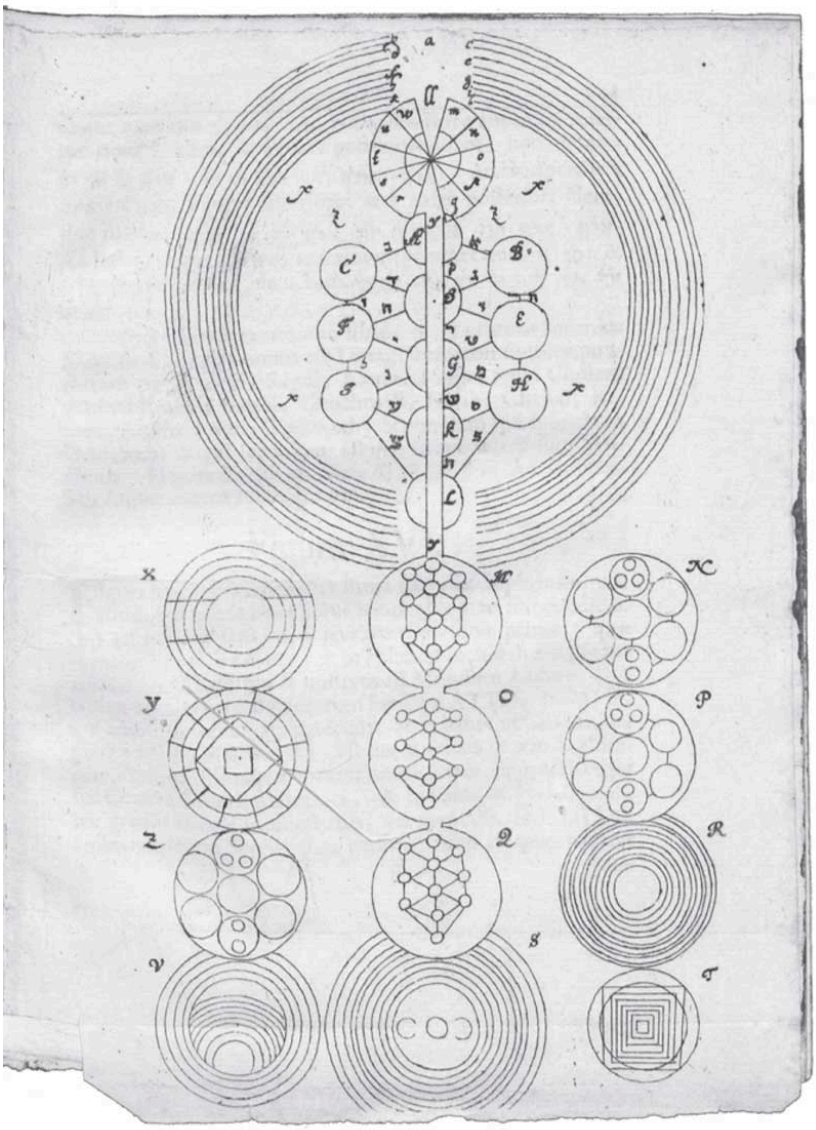

Zapisywałem te słowa z radosną satysfakcją. Tak właśnie należało rozumieć zachowanie Szabtaja. On wybrał wolność w sercu, nie wolność w świecie. Przeszedł na islam, żeby być wiernym swojej misji zbawienia. A my, głupcy, oczekiwaliśmy, że pojawi się pod pałacem sułtana z tysiącem wojsk ze złotymi tarczami. Byliśmy jak dzieci, które pragną cudownych zabawek, achaia aynayim, iluzji, magii dla maluczkich.

Ci z nas, co myślą, że Bóg mówi do nas przez zewnętrzne wydarzenia, nie mają racji, są jak dzieci. On szepcze do nas wprost

do najgłębszej duszy.

– Wielka to zagadka i tajemnica niezwykła, że odkupicielem staje się ten, kto jest najbardziej pognębiony, kto sięgnął dna otchłani najgorszych ciemności. Teraz czekamy na jego powrót; będzie wracał pod różnymi postaciami, aż się tajemnica ziści w jednym – gdy Bóg wcieli się w człowieka, gdy nastąpi Dewekut i zapanuje Trójca. – Słowo „Trójca” wymówił Isochar ciszej, żeby nie drażnić tych, którzy uważali, że taki słaby Mesjasz jest zbyt chrześcijański. Ale czy każda religia nie ma po trosze słuszności? W każdej z nich, nawet najbardziej barbarzyńskiej, też skąpały się iskry boskości.

Wtedy to z oparów dymu odezwał się reb Mordke:

– A może Mesjasz dał nam przykład, że i my mamy iść za nim w tę ciemność? Wielu w Hiszpanii przyjęło wiarę Edomu.

– Boże broń – oponował Towa. – Nie nam małym naśladować Mesjasza. Tylko on jest w stanie wejść w błoto i brud, zanurzyć się w nich cały i wyjść z tego bez skazy, zupełnie czysty i niesplamiony.

Towa uważał, że zbyt blisko do chrześcijaństwa podchodzić nie należy. Gdy potem podnieceni dyskutowaliśmy z innymi o Trójcy, twierdził, że chrześcijańska nauka o Trójcy jest popsutą wersją starej nauki o tajemnicy bóstwa, której już dzisiaj nikt nie pamięta. Jest jej cieniem i błędną wersją.

„Trzymajcie się z daleka od Trójcy” – ostrzegał.

Ten obraz dobrze wrył mi się w pamięć: trzej dojrzali mężczyźni, brodaci, spowici drgającym światłem lampki oliwnej, całe wieczory dywagujący o Mesjaszu. Każdy list przychodzący od braci z Altony czy Salonik, z Moraw, Lwowa czy Krakowa, ze

Stambułu czy Sofii, był powodem do nieprzespanych nocy, i w ten smyrneński czas nasze myślenie stawało się bardziej zgodne. Isochar wydawał się najpowściągliwszy, Towa zaś bywał sarkastyczny, i przyznać muszę, że unikałem jego gniewnego wzroku.

Tak, wiedzieliśmy, że od kiedy przyszedł on, Szabtaj Cwi, świat ma inne oblicze – zmartwiałe, i choć jawi się jako taki sam, to jednak jest to już zupełnie inny świat niż przedtem. Stare prawa już nie obwiązują, przykazania, których żeśmy w dzieciństwie z ufnością przestrzegali, straciły sens. Tora jest niby ta sama, literalnie nic się w niej nie zmieniło, nikt nie poprzestawiał liter, ale nie da się już jej czytać po dawnemu. W starych słowach objawia się zupełnie nowe znaczenie i my je widzimy i rozumiemy.

Kto się w tym odkupionym świecie trzyma starej Tory, ten oddaje cześć martwemu światu i martwemu prawu. Ten jest grzesznikiem.

Mesjasz dopełni swej bolesnej wędrówki, niszcząc od wewnątrz puste światy, rozbijając w pył martwe prawa. Należy więc unicestwić stare porządki, by zapanowały już nowe.

Czy nauki i pisma nie pokazują nam tego wyraźnie, że Izrael właśnie dlatego został rozproszony po świecie, by zebrać z niego wszystkie iskry świętości, nawet z najdalszych części ziemi, najgłębszych otchłani? Czy Natan z Gazy nie nauczał nas jeszcze czegoś – że czasem te iskry utkwiły tak głęboko i haniebnie w ciele materii jak klejnoty, które wpadły w gnój? W najtrudniejszych momentach tikkun nie było nikogo, kto umiałby je wydobyć, tylko ten jeden jedyny – on sam musiał doświadczyć grzechu i zła i wynieść stamtąd święte iskry. Musiał pojawić się ktoś taki jak Szabtaj Cwi i przyjąć islam, musiał zdradzić za nas wszystkich, żebyśmy my już tego nie musieli robić. Wielu pojąć tego nie

potrafi. Ale my wiemy od Izajasza – Mesjasz musi zostać odrzucony przez swoich i obcych, tak mówi proroctwo.

Towa już zbierał się do odjazdu. Nakupił jedwabi, które docierały tu statkami z Chin, i farfuru chińskiego, starannie opakowanego w papier i trociny. Nakupił olejków indyjskich. Sam był na bazarze po prezenty dla żony i ukochanej córki Chany, o której wtedy usłyszałem pierwszy raz, nie wiedząc jeszcze, jak potoczą się sprawy. Oglądał szale przetykane złotą nitką i wyszywane pantofelki. Zaszliśmy do niego z reb Mordkem, gdy odpoczywał, wysławszy pomocników do urzędów celnych po fermany, bo za kilka dni miał wyruszyć w powrotną drogę. Dlatego każdy, kto miał jakąś rodzinę na Północy, pisał teraz listy i pakował drobne przesyłki, by mogły pojechać z karawaną Towy nad Dunaj – do Nikopola i do Girugiu, a stamtąd dalej, do Polski.

Usiedliśmy przy nim i Mordechaj wyciągnął skądś butelkę najlepszego wina. Po dwóch kieliszkach twarz Towy stopniała, pojawił się na niej wyraz dziecinnego zdziwienia, brwi powędrowały do góry, czoło zmarszczyło się i pomyślałem, że widzę teraz prawdziwe oblicze tego mędrca, że Towa cały czas się pilnuje. Jako człowiekowi nienawykłemu do picia, wino szybko uderzyło mu do głowy. Reb Mordke zaczął z niego żartować: „Jak to jest nie pić, kiedy się ma własną winnicę?”. Lecz powód naszej wizyty był inny. Znowu poczułem się jak dawniej, kiedyśmy swatali młodych. Mowa była o Jakubie. Najpierw, że trzyma z salonickimi Żydami, którzy popierają Konia, syna Baruchji, co się bardzo Towie podobało, sam bowiem lgnął do nich. Lecz my obaj z reb Mordkem wracaliśmy uparcie do czego innego, nasz upór, upór „tych dwóch z Polski”, jak mówił o nas Towa, był niczym spirala – najpierw wydawało się, że słabł, ale zaraz

powracał w to samo miejsce, tylko już w innej postaci. A tym miejscem, do którego wracała każda rozmowa po najdalej idących dygresjach i najodleglejszych skojarzeniach, był Jakub. Czegośmy chcieli? Chcieliśmy ożenić Jakuba z córką Towy, w ten sposób Jakub stałby się szacownym człowiekiem. Nieżonaty Żyd jest nikim i nigdy nie będą go brać poważnie. I co jeszcze? Co jakby cudem urodziło się w naszych głowach? To była odważna myśl, może niebezpieczna, ale nagle zobaczyłem ją w całości i wydała mi się absolutnie doskonała. Jakbym zrozumiał, po co było to wszystko – nasze wędrówki z reb Mordkem, nasze studiowanie. I może to wino odprężyło mój umysł, bo nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Wtedy reb Mordke powiedział za mnie:

– My go wyswatamy z twoją córką i on pójdzie do Polski jako posłaniec.

Tego właśnie chcieliśmy. I, o dziwo, Towa nie przeciwstawił się nam ani jednym słowem, słyszał bowiem o Jakubie, jak każdy.

Posłaliśmy więc po Jakuba i przyszedł po dłuższym czasie, a z nim cała zgraja chłopców w jego wieku i jacyś Turcy. Tamci zostali po drugiej stronie placyku, Jakub zaś stanął przed nami trochę onieśmielony. Pamiętam, że na jego widok przeszedł mnie dreszcz, poczułem drżenie w całym ciele i miłość większą niż do kogokolwiek innego na świecie. Jakubowi błyszczały oczy, był jakiś podniecony i z trudem usiłował opanować ten swój ironiczny uśmiech.

– Jeśli ty, Mordechaju, ty, Towo, i ty, Nachmanie, jesteście mędrcami tego wieku – powiedział z przesadną estymą – zamieńcie metal w złoto, wtedy będę wiedział, żeście wysłannikami świętymi.

Nie wiedziałem, czy błaznuje, czy mówi poważnie.

– Siadaj – odezwał się do niego ostro reb Mordke. – Tego cudu tylko sam Mesjasz dokonać może. Dobrze to wiesz. Jużeśmy o tym

mówili.

– A gdzież on jest, ten Mesjasz?

– Jak to, nie wiesz? – Reb Mordke popatrzył na niego spod oka, ironicznie. – Przecież z jego wyznawcami ciągle przestajesz.

– Mesjasz jest w Salonikach – powiedział spokojnie Towa. Wino rozwlekało jego słowa. – Duch przeszedł z Szabtaja Cwi po jego śmierci na Baruchję, niech imię jego będzie błogosławione! – Chwilę pomilczał i dodał, jakby prowokacyjnie: – A teraz mówią, że duch znalazł sobie miejsce w synu Baruchji, Koniu. Mówią, że to jest Mesjasz.

Jakubowi nie udało się zachować powagi. Uśmiechnął się szeroko, a nam wszystkim przyniosło to ulgę, nie wiedzieliśmy bowiem, dokąd zdążamy w tej rozmowie.

– Jeżeli tak mówicie, to zaraz pójdę do niego – powiedział po chwili Jakub. – Bo pragnę mu służyć z całego serca. Jeśli zechce, żebym mu rąbał drzewo, będę mu rąbał drzewo. Jeżeli mi każe wodę nosić, to będę nosił. Jeżeli będzie potrzebował kogoś do prowadzenia wojny, to ja stanę na czele wojsk. Tylko mi powiedzcie, co mam robić.

Mówi się w traktacie Chagiga 12: „Biada ludziom, którzy widzą, a nie wiedzą, co widzą”. Lecz myśmy widzieli i rozumieli, co widzimy. Działo się to jeszcze tej samej nocy. Najpierw Jakub stanął przed reb Mordkem, a ten, modląc się i przywołując najpotężniejsze słowa, dotykał raz po raz jego ust, oczu i brwi, potem nacierał jego czoło zielem, aż oczy chłopca zrobiły się szkliste, a on sam stał się cichy i potulny. Zdjęliśmy z niego ubranie i zostawiliśmy płomień tylko jednej lampki. Potem drżącym głosem zacząłem śpiewać tę pieśń, którą wszyscy

znaliśmy, ale która teraz nabrała zupełnie innego znaczenia, nie prosiliśmy już bowiem o zstąpienie ducha, jak się prosi na co dzień, tak ogólnie, ku poprawie świata, ku naszemu ratunkowi. Teraz prosiliśmy o prawdziwie namacalne zejście ducha w to nagie ciało przed nami, ciało mężczyzny, brata, którego dobrze znaliśmy, ale zarazem i nie znaliśmy. Daliśmy go duchowi na próbę, sprawdzaliśmy, czy się nadaje, czy zniesie to uderzenie. I nie prosiliśmy już o zwykły znak ku pocieszeniu naszych serc, prosiliśmy o czyn, o wejście w nasz świat, ciemny, brudny i ponury. Wystawiliśmy Jakuba niczym przynętę, jak wystawia się wilkowi otumanionego baranka. Głos nasz wznosił się, żeby się w końcu stać piskliwym, jakbyśmy zamienili się w kobiety. Towa kołysał się w przód i w tył, ja czułem mdłości, jakbym zjadł coś nieświeżego, i zdawało mi się, że zemdleję. Tylko reb Mordke stał spokojnie, z oczami wzniesionymi wysoko, w stronę sufitu, gdzie było małe okienko. Może spodziewał się, że duch przyjdzie przez to okno.

– Duch krąży wokół nas jak wilk wokół zamkniętych w jaskini – mówiłem. – Szuka najmniejszej dziury, by się tam dostać, do tych słabych świetlistych postaci żyjących w świecie cienia. Niucha, sprawdza każdą szczelinę, każdy otwór, czuje nas w środku. Krąży jak kochanek trawiony pożądaniem, żeby wypełnić światłem te delikatne istoty, niczym podziemne grzyby. A ludzie, owe drobne, kruche i zagubione byty, zostawiają mu znaki – znaczą oliwą kamienie, korę drzew, futryny drzwi, robią sobie olejem znak na czole, żeby duch mógł lepiej tam wniknąć.

„Dlaczego duch tak lubi oliwę? Skąd to pomazanie? Czy dlatego że większy ma poślizg i łatwość, gdy wchodzi w materię?”, zapytał

raz Jakub i wszyscy uczniowie wybuchnęli śmiechem. I ja też, bo było to tak śmiałe, że nie mogło być niemądre.

A wszystko stało się nagle. Jakub dostał nagle wzwodu, a jego skóra pokryła się potem. Miał dziwnie wytrzeszczone, niewidzące oczy i jakby b r z ę c z a ł. Potem nagle rzuciło go na ziemię i tam pozostał w dziwnej, skręconej pozycji, trzęsąc się na całym ciele. W pierwszym naturalnym odruchu zrobiłem ku niemu krok, żeby go ratować, ale powstrzymała mnie niespodziewanie silna dłoń reb Mordkego. Trwało to chwilę. Potem spod Jakuba zaczęła powoli wypływać struga moczu. Trudno mi o tym pisać.

Nigdy nie zapomnę tego, com tam widział, i nigdy nie zobaczyłem już niczego tak prawdziwego, co by świadczyło, jak bardzo w ziemskiej, cielesnej, materialnej postaci jesteśmy obcy duchowi.

NUOVA CARTA
del
EUROPA
TURCHESCA
Secondo l'ultime Osservazioni
fata in AMSTERDAM
apresso ISAAK TIRION
IL MARE NEGRO
MARE MEDITERRANEO
MOSCOVIA
POLONIA
TRANSILVANIA
UNGARIA
BOSNA
SERVIA
BULGARIA
ROMANIA
MACEDONIA
NATOLIA
CARAMANIA
CRIMEA
CIRCASSIA
ARMENIA
PALUDE di MEOTIDE
MARE AZOFSCHE
Azof
TARTARIA
BESSARABIA
MORIA
ISOLA DI CANDIA
CIPRO
Golfo di Scanderoon
Golfo di Satalia
Golfo di Lepanto
Cefalonia
Rodi
Smirne
Ankera
Bursa
Constantinopoli
Miglia Alemane 15 in un Grado
Miglia Inglesi 69 in un Grado
Miglia Francese 25 un una di Grado

9

O weselu w Nikopolu, tajemnicy spod baldachimu i korzyściach z bycia obcym

Mapa wpływów tureckich z połowy XVIII wieku to obszar poznaczony z rzadka rozrzuconymi miastami. Najwięcej osad ulokowało się wzdłuż rzek, a zwłaszcza Dunaju; na mapie wyglądają jak kleszcze przyssane do żył. Dominuje tu żywioł wody – wydaje się obecny wszędzie. Imperium zaczyna się od Dniestru na północy, liże brzegi Morza Czarnego na wschodzie i sięga na południu po Turcję i Ziemię Izraela, a dalej ciągnie się wokół Morza Śródziemnego. Niewiele brakuje, by zatoczyło krąg.

I gdyby można było znaczyć na takiej mapie ludzkie ruchy, to okazałoby się, że wędrujący zostawiają po sobie ślady chaotyczne, a przez to nieprzyjemne dla oka. Zygzaki, pokrętne spirale, koślawe elipsy – dowody podróży w interesach, pielgrzymek, wypraw kupieckich, odwiedzin u rodzin, ucieczek i tęsknot.

Kręci się tu wielu złych ludzi, niektórzy są bardzo okrutni. Rozkładają na gościńcu kilim, a obok wbijają w ziemię włócznie – to znak, że należy tam złożyć okup, nie ujrzawszy nawet twarzy złoczyńcy. Jeżeli tego nie zrobisz, z zarośli wylecą inne włócznie, a za nimi zbóje i mieczami posiekają cię na kawałki.

Niebezpieczeństwa nie zrażają jednak podróżnych. Ciągną więc karawany z belami bawełny na wozach. I całe rodziny na furach w odwiedziny do krewnych. Idą głupcy boży, wygnańcy, pomyleńcy, którzy już tyle przeżyli, że jest im wszystko jedno i haracze dla rozbójników mają za nic. Ciągną też oddziały sułtańskich namiestników, wolno i leniwie, zbierając podatki, którymi szczodrze obdzielają siebie i swoich zauszników. Wloką się haremy paszów, zostawiając za sobą zapach olejków i pachnideł. Idą pasterze ze stadami przeganianego na południe bydła.

Nikopol jest niedużym miastem położonym na południowym brzegu Dunaju, odprawiają się tutaj promy do Turnu, wołoskiego miasteczka, zwanego też Wielkim Nikopolem, po drugiej stronie szeroko rozlanej rzeki. Każdy, kto podróżuje z południa na północ, musi tutaj przystanąć, sprzedać część wiezionych towarów lub wymienić je na inne. Dlatego w mieście jest ruch i handel ma się dobrze. Tutaj, w Nikopolu, Żydzi mówią ladino, językiem, który szedł wraz z nimi, wygnańcami, z Hiszpanii, przejmował po drodze nowe słowa, zmieniał brzmienie i w końcu stał się tym, czym jest – mową sefardyjskich Żydów na Bałkanach. Niektórzy złośliwie nazywają go popsutym hiszpańskim. Ale dlaczego popsutym? Wszak to język piękny. Wszyscy tutaj tak mówią, choć czasem przechodzą na turecki. Jakub wychował się na Wołoszczyźnie, więc zna ladino dobrze, lecz świadkowie ślubu, reb Mordke z Pragi i Nachman z Buska, nawet nie próbują używać tych swoich kilku słów i wolą już zostać przy hebrajskim i tureckim.

Wesele trwało siedem dni, od 24 dnia miesiąca sivan 5512 roku, czyli 6 czerwca 1752. Ojciec panny młodej, Towa, zapożyczył się na ten cel i już się martwi, że prawdopodobnie wpadnie w finansowe tarapaty, a i tak ostatnio nie powodzi mu się najlepiej. Posag jest marny, ale dziewczyna śliczna i zapatrzona w męża. Nie ma się czemu dziwić – Jakub jest wesoły i dowcipny, na dodatek zgrabny jak jeleń. Już pierwszej nocy doszło do skonsumowania związku, tak przynajmniej chwali się pan młody, i to kilka razy; jej nikt nie pyta. Zdziwiona tym wtargnięciem o dwanaście lat starszego męża w senne rabatki swojego ciała, pytająco patrzy w oczy matki i sióstr. A więc to tak?

Dostała nowy strój jako mężatka; nosi się po turecku – miękkie szarawary, na to tunika turecka haftowana w róże i zdobiona drogimi kamieniami, i jeszcze piękny szal z kaszmirowej wełny, teraz porzucony na balustradzie, bo jest bardzo gorąco.

Naszyjnik, który dostała od męża, jest tak cenny, że zaraz go zabrano i schowano w skrzyni. Chana zaś ma specjalny posag – prestiż rodziny, zaradność braci, księgi napisane przez ojca, pochodzenie matki z portugalskich Żydów, swoją senną urodę i łagodność, którą zachwyca Jakuba, przyzwyczajony jest bowiem do kobiet szczupłych, hardych i bezczelnych, o silnej woli, jak Żydówki z Podola, jego babka, jego

siostry i kuzynki, albo do dojrzałych wdów, którym pozwalał się rozpieszczać w Smyrnie. Chana jest łagodna jak łania. Oddaje mu się z miłości, nic nie bierze dla siebie, tego ją dopiero nauczy. Oddaje mu się ze zdziwieniem w oczach, to Jakuba podnieca. Ogląda go dokładnie, jak konia, którego mogłaby dostać w prezencie. Jakub drzemie, a ona sprawdza dokładnie jego palce, skórę na plecach, bada ślady po ospie na jego twarzy, nawija na palec jego brodę, a w końcu, nabrawszy odwagi, patrzy ze zdziwieniem na jego genitalia.

Zdeptany ogródek, przewrócone ogrodzenie, piasek naniesiony do wnętrza domu przez tańczących, którzy wychodzili na zewnątrz, by się ochłodzić, i wnosili zapowiedź pustyni na podłogi zasłane kilimami i poduszkami. Brudne naczynia jeszcze niesprzątnięte, choć kobiety uwijają się od rana, zapach moczu w sadzie, resztki jedzenia rzucone kotom i ptakom, do cna obgryzione kosteczki – tyle tylko zostało z uczty, która trwała kilka dni. Nachmana boli głowa, chyba przesadził z nikopolskim winem. Leży w cieniu figowca i przygląda się Chanie, gdy ta – a to nie przystoi młodej mężatce – dłubie patykiem w ścianie domu, w której zagnieździły się osy. Zaraz narobi kłopotu sobie i im wszystkim, będą musieli uciekać. Jest naburmuszona, że dopiero co skończyło się wesele, a oni już chcą jechać. Ledwie zdołała przyjrzeć się swojemu mężowi, a on już pędzi dalej.

Nachman udaje, że drzemie, ale patrzy na Chanę spod oka. Chyba jej nie lubi. Wydaje mu się taka nijaka. Kim jest ta, która dostaje się Jakubowi? Nie umiałby jej opisać, gdyby wrócił do swoich *Resztek*. Nie wie, czy jest mądra, czy głupia, wesoła czy melancholijna, czy łatwo wpada w złość, czy przeciwnie – ma łagodny charakter. Nie wie, jak może być żoną ta dziewczyna o okrągłej twarzy i zielonkawych oczach. Tutaj nie ścina się mężatkom włosów, więc widać, jakie są bujne i piękne, ciemnobrązowe jak kaffa. Ma ładne dłonie o długich wąskich palcach i bujne biodra. Zdaje się mieć o wiele więcej niż te swoje czternaście lat. Wygląda na dwadzieścia, na kobietę. I tak właśnie należy ją opisać – że jest ładna i krągła. Wystarczy. A jeszcze kilka dni temu patrzył na nią jak na dziecko.

Przygląda się też bratu bliźniakowi Chany, Chaimowi – widać między nimi podobieństwo, które wywołuje dreszcz. On jest mniejszy, drobniejszy, żywszy, twarz ma bardziej pociągłą, a włosy w chłopięcym nieładzie, długie do ramion. Jego ciało jest szczuplejsze, przez to wydaje się młodszy. Jest bystry i zawsze śmieje się zaczepnie. Ojciec wyznaczył go na swojego następcę. Teraz odbywa się rozdzielanie rodzeństwa, co nie będzie łatwe. Chaim chce jechać z nimi do Krajowy, ale ojciec potrzebuje go tutaj, a może się o niego po prostu boi. Córki są przeznaczone na wydanie, od początku wiadomo, że pójdą z domu, jak pieczołowicie składane pieniądze, którymi w odpowiednim czasie trzeba opłacić się światu. Kiedy Chana przestaje się dąsać i prawie zapomina, że wyszła za mąż, idzie do brata i coś tam szepczą, nachyleni ciemnymi głowami do siebie. To jest miły widok nie tylko dla Nachmana, który dostrzega, że wszystkim podoba się ten podwójny obraz – dopiero razem są doskonali. Czy człowiek nie powinien być właśnie taki – podwójny? Jak by to było, gdyby każdy miał swojego bliźniaka innej płci? Mówiłoby się wtedy bez słów.

Patrzy też na Jakuba i wydaje mu się, że jego oczy od ślubu powlekła jakaś błona; może to zmęczenie, skutek wznoszonych toastów. Gdzie jego ptasi wzrok, ironiczne spojrzenie, od którego ludzie umykają oczami na bok? Teraz założył ręce za głowę – nie ma tu obcych, czuje się rozluźniony; szeroki rękaw zsunął mu się aż do ramienia i odsłania zagłębienie pachy, bujnie porośnięte ciemnym włosem.

Teść Towa półgłosem coś sączy Jakubowi do ucha, jego ręka spoczywa tuż za plecami Jakuba, można by sądzić – myśli złośliwie Nachman – że to teść się z nim ożenił, a nie Chana wyszła za niego za mąż. Brat Chany natomiast, Chaim, choć garnie się do wszystkich, Jakuba unika. Gdy go Jakub zaczepia, tamten milknie i zmyka. Nie wiadomo, dlaczego śmieszy to dorosłych.

Reb Mordke nie wychodzi z domu, nie lubi słońca. Siedzi sam w izbie wsparty na poduszkach i pali swoją fajkę – leniwie i powoli, smakując każdy kłąb dymu, rozmyślając, biorąc pod lupę poszczególne chwile świata pod czujnym okiem liter alfabetu. Nachman wie, że on czeka, że stoi na straży, czuwa, by wypełniło się wszystko, co widzi swoimi oczyma, nawet gdy na nic nie patrzy.

Pod baldachimem Towa powiedział coś Jakubowi, kilka słów, jedno krótkie zdanie – jego początek i koniec zaplątały się w bujnej brodzie mędrca. Jakub musiał się pochylić ku teściowi i na chwilę na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie i zdumienie. Potem twarz Jakuba stężała, jakby próbował opanować grymas.

Goście dopytują się o pana młodego, chcą jeszcze raz usłyszeć te historie, którymi chętnie dzieli się z nimi siedzący przy stole Mordechaj, reb Mordke – spowity kłębami dymu, opowiada, jak to z Nachmanem ben Lewim przyprowadzili Jakuba do Towy:

– To jest mąż dla twojej córki, rzekliśmy. Tylko on. A dlaczego on, zapytał Towa. On jest wyjątkowy, powiedziałem, ona dzięki niemu dojdzie do wielkich zaszczytów. Patrz na niego, nie widzisz? On jest wielki. – Reb Mordke zaciąga się dymem z fajki, dym pachnie Smyrną, Stambułem. – Lecz Towa się wahał. Kim on jest, ten chłopak o dziobatej twarzy i skąd są jego rodzice, zapytał. Na to ja, reb Mordke, i ten tu Nachman z Buska tłumaczyliśmy cierpliwie, że jego ojciec jest znanym rabinem, to Jehuda Lejb Buchbinder, jego matka zaś, Rachel z Rzeszowa, pochodzi z najlepszego domu, jest krewną Chaima Malacha, a jego siostra cioteczna została wydana za Dobruszkę na Morawach, prawnuka Leibele Prossnitza. I nie ma w rodzinie szaleńców i chorych ani żadnych ułomnych. Duch zstępuje tylko na wybranych. O, gdyby Towa miał żonę, mógłby pójść do niej po radę, ale nie ma, umarła.

Reb Mordke milknie i przypomina mu się, że owo wahanie Towy denerwowało ich, wydawało im się wahaniem kupca, który trzęsie się nad towarem. A przecież tu chodziło o Jakuba!

Nachman słucha reb Mordkego jednym uchem, bo przygląda się z daleka Jakubowi, gdy ten z teściem pije kaffę z małych filiżanek. Jakub spuścił głowę i patrzy na swoje buty. Upał sprawia, że słowa obu mężczyzn nie mogą dojrzeć do wypowiedzenia, są ciężkie i powolne. Jakub nie zdejmuje już tureckiego stroju, na głowie ma nowy, jaskrawy turban, ten sam, co na weselu, w kolorze liści figowych. Ładnie w nim wygląda. Nachman widzi jego tureckie safianowe buty o wygiętych do

góry noskach. Potem dłonie obu mężczyzn podnoszą się w tym samym momencie, żeby z małej czarki łyknąć kaffy.

Nachman wie, że Jakub to ten J a k u b, ponieważ kiedy na niego patrzy tak jak teraz, z daleka, i wtedy, gdy tamten go nie widzi, czuje w okolicy serca ucisk, jakby jakaś niewidzialna dłoń trzymała go za nie, gorąca i wilgotna. Od tego uścisku robi mu się dobrze i spokojnie. Ale też smutno. Łzy napływają mu do oczu. Mógłby tak patrzeć i patrzeć. Jakiego jeszcze chcieć dowodu – to przecież mówi serce.

Jakub zaczął nagle przedstawiać się nie jak dotąd: Jankiel Lejbowicz, lecz Jakub Frank, tak tu nazywają Żydów z Zachodu, tak mówią o jego teściu i żonie. Frank, frenk znaczy obcy. Nachman wie, że to się podoba Jakubowi – być obcym to cecha tych, którzy często zmieniali miejsce zamieszkania. Mówił Nachmanowi, że najlepiej mu jest w nowym miejscu, bo wtedy jakby świat zaczyna się na nowo. Być obcym to być wolnym. Mieć za sobą wielką przestrzeń, step, pustynię. Mieć za sobą kształt księżyca, który jest niczym kołyska, ogłuszającą muzykę cykad, powietrze pachnące skórką melona, szelest skarabeusza, który pod wieczór, kiedy niebo robi się całkiem czerwone, wychodzi w piasek na łowy. Mieć swoją historię, nie dla każdego, własną opowieść napisaną śladami, jakie zostawia się po sobie.

Wszędzie czuć się gościem, domy zasiedlać tylko na jakiś czas, nie przejmować się sadem, raczej cieszyć się winem, niż przywiązywać do winnicy. Nie rozumieć języka, przez co widzieć lepiej gesty i miny, wyraz ludzkich oczu, emocje, które pojawiają się na twarzach niby cienie chmur. Uczyć się cudzej mowy od początku, w każdym miejscu po trochę, porównywać słowa i znajdować porządki podobieństw.

Trzeba tego stanu uważnie pilnować, bo daje ogromną moc.

Pewną rzecz powiedział mu Jakub – jak to on – niby żartem, niby wygłupem, rzecz niejasną, która natychmiast wyryła się w pamięci Nachmana, bo była pierwszą nauką Jakuba, choć może sam o tym jeszcze nie wiedział: że trzeba codziennie ćwiczyć, jak mówić: nie. Co to znaczy? Nachman obiecuje sobie, że o to zapyta – ale kiedy? Już nie ma czasu. Jest teraz smutny i rozdrażniony, może to wino było złe? Sam nie wie, kiedy z mistrza zaczął stawać się kolegą, a potem, teraz, niepostrzeżenie, uczniem. Pozwolił na to.

Jakub nigdy nie mówi tak jak mędrcy, długimi, skomplikowanymi zdaniami, w których pełno jest rzadkich, cennych słów, i powołując się ciągle na cytaty z pism. Jakub mówi krótko i jasno, jak ktoś, kto żyje z handlu na rynku albo powozi furą. Ciągle żartuje, ale właściwie nie wiadomo, czy to są żarty, czy poważne sądy. Patrzy prosto w oczy, wypowiada zdanie, jakby strzelał, i czeka na reakcję rozmówcy. Zwykle jego uporczywe, niejako ptasie – orle, sokole, sępie – spojrzenie wprawia rozmówców w konfuzję. Odwracają wzrok, plączą się. Bywa, że wybucha śmiechem, ni stąd, ni zowąd, a wtedy wszyscy wokoło czują ulgę. Bywa grubiański, opryskliwy. Przedrzeźnia. Gdy mu się w czymś podpadnie, ściąga brwi i jego spojrzenie staje się jak nóż. Mówi rzeczy mądre i głupie. Nie zawierzaj mu zbytnio, bo cię wyśmieje – takiego też go Nachman widział, choć na Nachmana jeszcze swojego sępiego wzroku nie podniósł. Przez to wszystko Jakub na pierwszy rzut oka wydaje się swój i równy, ale już po chwili rozmowy czuje się, że on nie jest ani swój, ani nikomu równy.

Pan młody zbiera się do wyjazdu. Jehuda Lewi ben Towa, teść Jakuba, znalazł Jakubowi dobrą pracę w Krajowie. To spore miasto leżące w dorzeczu Dunaju, wrota między Północą a Południem. Towa ma tam szwagra, który z powodzeniem zajmuje się handlem, będą prowadzić mu skład towarów – odbierać, rozsyłać, fakturować. Całą tą współzależną handlową siecią zarządza Osman z Czerniowiec, człowiek niezwykle zaradny; mówią o nim, że czego się dotknie, zamienia w złoto. Złoto płynie z Polski, z Moraw, płacą nim za towary tureckie i takie, których tam, na północy, nie ma. Czemuż w Polsce nie wytwarzają kapeluszy z filcu wełnianego? Czemuż nie tkają dywanów? A farfury, a szkło? Mało się tam robi, a wszystko sprowadza, dlatego ktoś taki jak Osman musi znajdować się przy granicy – sól ziemi, która pomaga przewodzić impulsy świata. Ma spory brzuch i nosi się po turecku. Turban, który wieńczy jego opaloną twarz, czyni go do reszty Turkiem.

Reb Mordke zostaje w Nikopolu; jest stary, zmęczony. Potrzeba mu miękkich poduszek, czystej pościeli, jego misja się zakończyła, tajemnica wyjawiona, Jakub został wyswatany i ożeniony, stał się już dorosłym mężczyzną. Naprawił się jeden popsuty tryb w maszynie świata. Teraz reb Mordke może usunąć się w cień i w dym swojej fajki.

Jutro wszyscy się rozstaną. Jakub z Herszełe ben Zebu, młodziutkim kuzynem Chany, wyruszają do Krajowy, a Nachman wraca do Polski. Zawiezie dobre wieści braciom z Podola, z Rohatyna, Glinna i Buska, a w końcu trafi do własnego domu. Myśli o tym z mieszaniną radości i niechęci. Nie jest łatwo wracać do domu, każdy to wie.

Żegnają się do północy. Kobiety wysłali spać, zamknęli drzwi. Piją teraz to nikopolskie wino i snują plany na przyszłość, bawiąc się okruszkami chleba na stole, usypując z nich górki, kręcąc kuleczki. Nussen już śpi na beli bawełny, zamknął swoje jedno oko i nie widzi, jak Jakub z zamglonym wzrokiem gładzi Nachmana po twarzy, a Nachman, pijany, kładzie mu głowę na piersi.

O świcie, jeszcze nie całkiem przytomny, Nachman siada na furę, która wiezie podróżnych do Bukaresztu; ma złoto zaszyte w jasnej kapocie, wszystko, co zarobił na wyprawie. I wiezie kilkanaście flaszek olejku aloesowego, który sprzeda w Polsce po kilkakrotnie wyższej cenie. Głęboko w kieszeni płaszcza z białej wełny, który kupił na bazarze w Nikopolu, chowa grudkę pachnącej żywicy. Jest też na furze torba listów i cała paka prezentów dla kobiet. Po jego piegowatej, spierzchniętej twarzy płyną łzy, ale zaraz za rogatkami miasta ogarnia go takie uniesienie, że wydaje mu się, jakby leciał nad kamienistym traktem w stronę słońca, które właśnie wschodzi i zupełnie go oślepia.

Ma szczęście, bo w Bukareszcie dołącza do karawany spółki kamienieckiej Wereszczyńskiego, Dawida i Muradowicza – tak są oznaczone paki na wozach. Ładunek czuć kaffą i tytoniem. Karawana rusza na północ.

Po prawie trzech tygodniach Nachman szczęśliwie dociera do Rohatyna i w przybrudzonych pończochach, w zakurzonym jasnym płaszczu staje o zmierzchu przed domem Szorów, gdzie właśnie przygotowują się do wesela.

W Krajowie. O handlu w święta i o Herszełe, który staje przed dylematem wiśni

Skład Abrahama, szwagra Towy, jest prawdziwym sezamem; handluje z całą Europą tym, co Orient ma najlepszego, co przez Stambuł płynie na północ barwnym strumieniem dóbr wszelakich, jaskrawych, błyszczących, pożądanych na dworach i w pałacach Budy, Wiednia, Krakowa i Lwowa. Materie stambulskie, zwane stambulakijari, w rozmaitych kolorach, przetykane złotem, w paski amarantowe, czerwone, zielone i błękitne albo wytłaczane w kwiatowe wzory, leżą zwinięte w bele, przykryte płótnem dla ochrony przed kurzem i słońcem. Obok miękkie kobierce algierskie z wełny tak delikatnej, że przypomina w dotyku adamaszek, z frędzlami lub obramowane galonami. Kamlot też w belach, rozmaite kolory; to materiał, z którego w Europie szyje się strojne męskie żakiety podbite jedwabiem.

I jeszcze kilimki, kutasiki, frędzle, guziki z masy perłowej i laki, drobna broń ozdobna, tabakierki z laki – na prezent dla nobliwego mężczyzny, wachlarze z obrazkami – dla europejskich dam, fajki, drogie kamienie. Są nawet słodycze: chałwa i rachatłukum. Do składu przyjeżdżają Bośniacy zwani tutaj Grekami i przywożą wyroby skórzane, gąbki, włochate ręczniki, brokaty, szale chorasańskie i szale kermańskie, które wprawiają w zachwyt wyszywanymi na nich lwami lub pawiami. A ze stert kilimów dobywa się jakaś woń egzotyczna, obca, zapach niewyobrażalnych ogrodów, kwitnących drzew, owoców.

– Subhanulah, chwała Allachowi – mówią kontrahenci, gdy wchodzą do tego przybytku. – Salem alejkum, szalom alechem.

Muszą schylić głowę, bo wejście jest niskie. Jakub nigdy nie siedzi w kantorze, lecz przy stoliku z herbatą, ubrany bogato jak Turek – nosi z upodobaniem niebieskozielony kaftan i ciemnoczerwoną turecką czapkę. Zanim się przejdzie do interesów, trzeba wypić dwie, trzy szklaneczki herbaty. Wszyscy okoliczni kupcy chcą poznać zięcia Towy, więc Jakub udziela czegoś w rodzaju audiencji, co złości Abrahama. Ale dzięki temu nieduży skład Abrahama jest wciąż pełen ludzi. Handluje się tutaj między innymi kamieniami szlachetnymi i gotową już biżuterią w półhurtowych ilościach. Nanizane na sznury korale, malachity i turkusy każdej możliwej wielkości wiszą na hakach w ścianie i pokrywają kamienny mur kolorowym, skomplikowanym wzorem z rozfalowanych linii. Szczególnie cenne wyroby znajdują się

w przeszklonej metalowej gablocie. Można tam zobaczyć wyjątkowo drogą perłę.

Jakub wita z ukłonem każdego przybyłego. Już po kilku dniach, odkąd zaczął pracę, skład Abrahama stał się najbardziej zatłoczonym miejscem w całej Krajowie.

Kilka dni po przybyciu do Krajowy zaczyna się święto Tisza be-aw. To pamiątka zburzenia świątyni – czas ciemny i mroczny, dzień smutku; świat też wtedy zwalnia, jakby się smucił i od smutku słaniał. Żydzi, kilkanaście domów, zamykają interes, nie pracują, siedzą w cieniu i czytają Lamentacje Jeremiasza, rozpamiętując nieszczęście.

Dobrze to dla Abrahama, on jako prawowierny, jako wyznawca Szabtaja Cwi i jego następcy, Baruchji, obchodzi to święto inaczej, pamiętając, że w czasie ostatecznym wszystko się robi na odwrót. Dla niego to radosne święto.

Baruchja urodził się dokładnie dziewięć miesięcy po śmierci Szabtaja Cwi, i to dziewiątego dnia miesiąca aw, tak jak przepowiadano! I to w dniu żałoby, w dniu zburzenia świątyni. AMIRAH, jak zapisywano imię Szabtaja, czyli Adoneiu Malkeinu Yarum Hodo – Nasz Pan i Król, Jego Majestat będzie wywyższony, wrócił i przez te lata żył jako Baruchja w Salonikach. W roku 5476, czyli chrześcijańskim 1716, uznano go za wcielonego Boga, zstąpiła weń Szechina, która przedtem weszła w Szabtaja. Dlatego wszyscy, którzy uwierzyli w posłannictwo Baruchji, dzień żałoby zamieniają na dzień radości, ku przerażeniu innych Żydów. Kobiety myją włosy i suszą je w sierpniowym słońcu na dworze, sprzątają domy, umajają je kwiatami, zamiatają podłogi, żeby Mesjasz mógł wejść w schludny świat. Straszny ten świat, to prawda, ale może gdzieniegdzie da się go trochę posprzątać.

W tym najgorszym, najciemniejszym dniu rodzi się bowiem światło. Na samym dnie smutku i żałoby tkwi okruch radości i święta – i odwrotnie. Izajasz mówi, 61,3: „wieniec zamiast popiołu, olejek radości zamiast szaty smutku, pieśń chwały zamiast zgnębienia na duchu”. I dobrze, klienci wszelkiej maści, ubioru i języka przychodzą do Abrahama. Jakub i Herszełe już w kantorze. Kto przeliczy woreczki

tytoniu i ile ich wejdzie na furkę? Dużo. Kto wyda towar kupcowi z Wrocławia, który płaci gotówką i składa duże zamówienia?

Klienci, nawet ci zagorzali wrogowie wyznawców Szabtaja Cwi, nie mogą powstrzymać ciekawości i też zaglądają do środka. Wzbraniają się przed kieliszkiem wódki z ręki odszczepieńca. Naj, naj, naj – wołają przerażeni. Jakub robi sztuczki, żeby ich jeszcze bardziej przestraszyć. Najlepiej wychodzi mu ta, gdy pyta klienta, co ma w kieszeni.

– Nic – odpowiada ten zaskoczony.

– A te jajka? Ukradzione, co? A której to kramarce je zwinąłeś?

– Jakie jajka? – dziwi się klient. – Co ty wygadujesz?

Wtedy Jakub śmiałym ruchem sięga mu do kieszeni i wyciąga jajko. Tłumek wybucha śmiechem, twarz delikwenta czerwienieje i nie wie, co powiedzieć, a to jeszcze bardziej rozśmiesza ludzi. Jakub udaje, że się złości, i wygląda to poważnie, ściąga brwi, patrzy swoim ptasim wzrokiem:

– A dlaczego za to nie zapłaciłeś? Złodziej jesteś! Złodziej jajek!

I już po chwili powtarzają to po nim wszyscy wokół, aż sam posądzony zaczyna się mierzyć z myślą, że ukradł, choćby nieświadomie. Widzi jednak, że Jakub ma lekko uniesioną brew, rozbawione spojrzenie, więc sam się uśmiecha, a potem rechocze i chyba najlepsze, co może zrobić, to pogodzić się z tym, że padł ofiarą żartu, samego siebie wystawić na pośmiewisko i odejść.

Herszełe to wcale nie śmieszy. Gdyby jego miało to spotkać, takie jajko w kieszeni, umarłby ze wstydu. Nie ma jeszcze trzynastu lat i został tu przysłany przez rodzinę po śmierci rodziców. Dotąd mieszkał w Czerniowcach; teraz pewnie zostanie przy Abrahamie, dalekim krewnym.

Nie wie, jak powinno być z postem w Tisza be-aw, nikt go nie wtajemniczył, nie wyjaśnił mu, dlaczego tutaj w ciągu tego dnia ma być radosny, skoro inni są smutni. U nich w domu, kiedy obchodziło się to święto, panował smutek. Dopiero u wujostwa jest inaczej, ale nikt go nie wprowadził w religijne niuanse. Wie już, że Szabtaj to Mesjasz – tylko dlaczego świata nie zbawił, nie zmienił, tego już nie wie. Czym miałby się różnić świat zbawiony od niezbawionego? Dla jego prostych

rodziców to było oczywiste – Mesjasz zjawi się jak wojownik, zmiecie z powierzchni ziemi sułtanów, królów i cesarzy, przejmie rządy nad światem. Świątynia Jerozolimska sama się odbuduje albo Bóg ją spuści gotową, całą ze złota, z nieba. Wszyscy Żydzi powrócą do Ziemi Izraela. Najpierw zmartwychwstaną ci, którzy są tam pochowani, ale potem także ci, co spoczywają gdzieś w świecie, poza Świętą Ziemią.

Ale tutaj ludzie twierdzą co innego. Pytał ich w drodze. Mówili Mordechaj i Nachman, Jakub milczał.

Dziwne to zbawienie, którego nie widać. Dzieje się nie tu, nie w kręgu tego, co widzialne, ale gdzieś – to Herszele nie bardzo rozumie – w jakimś innym wymiarze, tuż obok czy pod spodem widzialnego świata. Mesjasz już przyszedł i niezauważalnie przestawił wajchę świata, taką jak przy studni. Teraz wszystko jest na odwrót, woda w rzece wraca do źródła, deszcz do chmur, krew do rany. Okazuje się, że prawa Mojżeszowe były tymczasowe, że zostały stworzone tylko dla świata przed zbawieniem i teraz już nie obowiązują. Albo inaczej: trzeba się do nich stosować na odwrót. Kiedy Żydzi poszczą, trzeba jeść i pić, kiedy się smucą, trzeba się weselić.

Nikt się nim specjalnie nie zajmuje, mają go za głupka. Jakub czasem patrzy na niego w taki sposób, że Herszele robi się cały czerwony. Jest pomocnikiem Jakuba, czyści mu odzież, zamiata kantor, parzy kaffę. Wieczorem, gdy zliczają utarg, zapisuje cyfry w rubrykach.

Nie jest niczego pewien, a wstydzi się pytać, istnieje jakaś tajemnica wokół tego wszystkiego. Ponieważ nie miał jeszcze bar micwy, nie wpuszczają go, gdy zbierają się na swoje modły, zamykają drzwi. Ma pościć czy nie?

Więc Herszele w dzień postu Tisza be-aw sprząta piwnice, wymiata bawełniany kurz i mysie bobki. Nie jadł od rana, pamiętając, że to post. Tak było w domu. Nie chciał patrzeć, jak Jakub i wszyscy jedli na górze. Ale teraz głód złapał go mocną ręką za brzuch i trzyma, kiszki lamentują. W piwnicy trzyma się wino i marchew. Stoją tu w chłodzie garnki z kompotem. Mógłby go skosztować. Lecz Herszele nie może się zdecydować, nie może się przemóc, żeby jeść, skoro przecież przez całe jego dotychczasowe życie w post się nie jadło, więc wyciąga z kompotu małą wisienkę i zjada jej połowę. Jeżeli Szabtaj Cwi jest Mesjaszem, to

wypełnia nakaz i łamie prawo zgodnie z nowym prawem, lecz jeżeli on nie jest żadnym Mesjaszem, to przecież pości – cóż to jest ta jedna mała wisienka na cały dzień?

Pytał o to rano Jakuba. Przyniósł Traktat Joma, gdzie w rozdziale ósmym napisano:

„Jeśli kto zjadł pokarm wielkości suszonego daktyla z pestką, jeśli się napił i nalał pełne usta płynu – jest winien. Wszystkie pokarmy razem nie mogą przekraczać wielkości suszonego daktyla, a wszystkie napoje pojemności ust. Jeśli kto je i popija, to ilości nie łączą się”.

Jakub patrzy na tekst i na przejętego Herszele z udawaną powagą. Potem nagle wybucha śmiechem. Śmieje się, jak to on, głęboko, dźwięcznie, z samego brzucha, zaraźliwie, słychać go chyba w całej Krajowie, aż zaczyna mu jakby mimo woli towarzyszyć i Herszele; najpierw się tylko uśmiecha, potem zaczyna chichotać. Wtedy Jakub przyciąga go do siebie za rękę i całuje go, zaskoczonego, w usta.

Herszele zastanawia się, czy młody mąż nie tęskni do żony, którą zostawił u ojca; ona śle do niego miłosne listy, prosi, żeby wracał, albo nieustannie pyta, kiedy ją zabierze do siebie. Herszele wie to, bo podczytuje te listy, kiedy Jakub nie widzi. Czasem wyobraża sobie białą rękę, która owe listy pisała. Sprawia mu to przyjemność. Jakub listów nie chowa, w dokumentach ma bałagan, spisy zamówień leżą rozrzucone na stole, a Herszele usiłuje je jakoś zbierać i porządkować. Towarzyszy Jakubowi, gdy ten udaje się do klientów, a raczej klientek, bogatych mieszczanek, których mężowie wyjechali, kapitanowych i wdów, które posyłają po Jakuba, właśnie po niego, żeby pokazał, co ma do sprzedania. Umawiają się, że gdy Jakub upuszcza sakiewkę, niby w nieuwadze i niechcąco, Herszele ma się wymówić i wyjść. Potem czeka na Jakuba na jednej z ulic, nie spuszczając oczu z drzwi domu.

Jakub wychodzi zamaszystym krokiem, on zawsze tak chodzi, rozstawiając nogi, stopy lekko na bok i poprawiając szarawary, nosi się bowiem po turecku. Patrzy na Herszele z tryumfem. Zadowolony, klepie się w krocze gestem Turka. Ciekawe, co tak pociąga kobiety w tym człowieku? Kobiety zawsze coś czują i rozpoznają mężczyzn po czymś, co i Herszele rozumie. Jakub jest piękny, a tam gdzie się pojawia, wszystko nabiera sensu, układa się, jakby ktoś wcześniej posprzątał.

Jakub obiecał Towie wiele studiować, ale Herszele widzi, że czytanie go męczy, minął już ten okres uniesienia, którym zarazili go reb Mordke i Nachman. Książki leżą odłogiem. Czasami długich listów z Polski od Nachmana nie otwiera i przez kilka dni. Herszele zbiera te listy, czyta i układa w kupkę. Jakuba w tej chwili o wiele bardziej interesują pieniądze. Zdeponował u kuzyna Abrahama wszystko, co zarobił przez ten rok. Chciałby mieć dom i winnice w Nikopolu albo w Giurgiu. Tak żeby z okna było widać Dunaj, a winne pędy żeby pięły się po drewnianych wspornikach, tworząc zielone ściany i zielony dach. Wtedy sprowadzi Chanę. Teraz dokazuje z klientami albo wychodzi w połowie dnia i znika gdzieś. Musi mieć własne interesy, co nie bardzo podoba się Abrahamowi. Ten wypytuje Herszele i chłopak, chcąc nie chcąc, musi kryć Jakuba. A chce go kryć. Wymyśla więc niestworzone historie. Że chodzi modlić się nad rzekę, że pożycza księgi, że namawia klientów, że dogląda rozładunku. Gdy po raz pierwszy Jakub zaprasza Herszele do siebie do łóżka, ten nie protestuje. Oddaje mu się cały, rozpalony jak żagiew, i gdyby to było możliwe, oddałby mu jeszcze więcej, życie nawet. Jakub nazywa to Maase Zar, Cudzym Uczynkiem – uczynkiem odwrotnym, na wspak zapisanemu prawu, które wobec oczyszczającego ognia Mesjasza zetliło się jak stary wilgotny gałgan.

O perle i Chanie

Jakub postanawia podarować Chanie najcenniejszą perłę. Przez kilka dni obaj z Herszele przemierzają składy jubilerskie. Jakub z namaszczeniem wyciąga perłę z pudełeczka, gdzie spoczywa na kawałku jedwabiu. Ktokolwiek bierze ją w palce, od razu mruga oczami z zachwytu, cmoka – to cudo, nie perła. Jest warta majątek. Jakub syci się tym zachwytem. Ale potem zwykle jest tak, że jubiler oddaje perłę, niczym szczyptę światła złapaną między palce – nie, nie odważy się w niej wiercić, cudo mogłoby pęknąć i strata byłaby ogromna. Proszę szukać gdzie indziej. Jakub jest zły. W domu kładzie perłę na stole i wpatruje się w nią w milczeniu. Herszele podaje mu miskę z oliwkami, które Jakub tak lubi. Potem będzie zbierał pestki po całej podłodze.

– Nie ma już do kogo pójść. Ta perła ich, tchórzy, onieśmiela – mówi Jakub.

Kiedy jest zły, porusza się szybciej niż normalnie, bardziej sztywno. Marszczy czoło i ściąga brwi. Herszełe boi się go wtedy, choć Jakub nigdy nie zrobił mu krzywdy. Herszełe wie, że Jakub go kocha.

W końcu każe chłopcu zbierać się, wkładają najstarsze ubrania, te najbardziej znoszone, idą na przystań i promem przeprawiają się przez rzekę. Tam, po drugiej stronie, wchodzą do pierwszego lepszego kramu szlifierskiego. Jakub z pewnością w głosie i ruchach każe w tej sztucznej, niewiele wartej perełce, w tym świecidełku, jak mówi jubilerowi, zrobić dziurę.

– Chcę to dać dziewczynie. – Wyciąga klejnot wprost z kieszeni i rzuca na szalkę, prowadząc niewinną rozmowę. Szlifierz bierze perłę śmiało, bez zachwytów i westchnień, wkłada ją w imadełko i dalej rozmawiając z Jakubem, wierci w niej dziurkę; świderek przechodzi przez perłę jak przez masło. Dostaje niewielką zapłatę i wraca do przerwanych zajęć.

Na ulicy Jakub mówi do zdumionego tym wszystkim Herszełe:

– Tak właśnie należy postępować. Nie certować się. Zapamiętaj to sobie.

Te słowa robią na Herszełe ogromne wrażenie. Od tej chwili chciałby być taki jak Jakub. Na dodatek bliskość Jakuba wyzwala w nim niepojęte podekscytowanie, ciepło rozlewa się po jego drobnym ciele i chłopiec czuje się bezpieczny i mocny.

Na Chanukę jadą do Nikopola po Chanę. Młoda żona wybiega im naprzeciw, zanim jeszcze Jakub wygramoli się z fury z prezentami dla całej rodziny. Witają się oficjalnie, trochę sztywno. Wszyscy traktują tutaj Jakuba jak kogoś bardziej znacznego niż zwykły kupiec, a i Jakub przybiera jakiś nieznany wcześniej chłopcu ton powagi. Całuje Chanę w czoło, jak ojciec. Wita się z Tową, jakby obaj byli królami. Dostaje osobną izbę, ale zaraz znika u Chany w kobiecej części domu, jednak Herszełe i tak zostawia mu rozścielone łóżko, sam zaś śpi na podłodze przy piecu.

Za dnia jedzą i piją, a modlą się w taki sposób, że nie zakładają żadnych tefilin. Poza tym chłopiec widzi, że nie prowadzi się tu koszernej kuchni, kroją zwykły turecki chleb, maczają go w oliwie i ziołach, rękami kruszą ser. Siedzą na podłodze jak Turcy. Kobiety noszą spodnie, szerokie, szyte z lekkiego materiału.

Chana wpada na pomysł, żeby odwiedzić siostrę w Widynie. Najpierw zwraca się z tym do ojca, ale ten patrzy na nią karcąco i po chwili Chana rozumie, że powinna poprosić o to męża. Bawi się wiszącą na złotym łańcuszku perłą, podarkiem od Jakuba. Widocznie ma dość rodziców, pewnie chce się pochwalić tym, że jest mężatką, chce Jakuba dla siebie, chce podróży, zmiany. Herszele widzi, że to jeszcze dziecko – jak on sam – które udaje dorosłą kobietę. Podgląda ją raz, gdy się myje w tylnej, północnej części ogrodu. Jest pulchna, ma szerokie biodra, duże pośladki.

W ciągu tych trzech dni podróży wzdłuż Dunaju z Nikopola do Widynia Herszele zakochuje się w Chanie. Teraz kocha ich oboje jedną miłością. Jest to dziwny stan – obsesyjnie pragnie przy niej być. Wciąż przypominają mu się jej pośladki, duże i jakieś takie łagodne, i niewinne – pragnąłby je szturmować bez końca.

Tuż przed Widyniem każą się wieźć za miasto, na skały. Herszele powozi i kątem oka widzi, gdzie wędruje ręka Jakuba, zaciska wtedy mocniej palce na lejcach. Każą mu czekać przy koniach jak służącemu, a sami znikają między skałami, które przypominają skamieniałe potwory. Herszele wie, że to potrwa, dlatego zapala fajkę i dodaje do niej odrobinę żywicy, którą dostał od Jakuba. Zaciąga się jak stary reb Mordke i horyzont nagle mięknie. Opiera się o skałę i śledzi wzrokiem brązowe pasikoniki, wielkie i kanciaste. A gdy podnosi oczy ku skałom, widzi, że to białe kamienne miasto rozpościera się po horyzont i – dziwne – to ono patrzy na ludzi, nie odwrotnie. Nie wie, jak to wytłumaczyć, że skały na nich spoglądają. Właściwie wcale go to nie dziwi. On też patrzy. Widzi obnażoną Chanę, opartą szeroko rozłożonymi rękami o kamienną ścianę, i przyciśniętego do jej pleców półnagiego Jakuba, który porusza się powoli i rytmicznie. Jakub nagle kieruje wzrok ku siedzącemu na koźle Herszele i spogląda na niego z daleka, a wzrok ten dotyka chłopca, taki jest gorący i mocny. Herszele

natychmiast ma erekcję i w efekcie brązowe pasikoniki spotykają na swej drodze poważną przeszkodę. Zapewne dziwią się tej potężnej plamie organicznej materii, która nagle dokonała inwazji z nieba na ich owadzi świat.

10

Kim jest ten, który zbiera zioła na górze Athos

Antoni Kossakowski małym stateczkiem z portu w Develiki dociera do przystani u stóp góry. Czuje niezmierne wzruszenie; ból, który jeszcze nie tak dawno uciskał mu piersi, mija już zupełnie, nie wiadomo, czy za sprawą morskiego powietrza i wiatru, który odbijając się od stromego brzegu, nabiera specyficznego zapachu żywicy i ziół, czy dzięki bliskości świętego miejsca.

Zastanawia się nad nagłą zmianą własnego nastroju i samopoczucia. Zmianą głęboką i nieoczekiwaną, bo gdy tylko przed laty zapuścił się był z zimnej Rosji w kraje greckie i tureckie, stał się innym człowiekiem, powiedziałby: świetlistym i lekkim. Czy to takie proste – chodzi o światło i ciepło? O słońce, że go jest więcej i przez to kolory stają się bardziej intensywne, a za przyczyną rozgrzanej ziemi zapachy oszałamiają. Tutaj nieba było więcej, świat zaś zdawał się poddany innym mechanizmom niż te północne. Tutaj wciąż działało Przeznaczenie, greckie Fatum, które poruszało ludźmi i wytyczało ich drogi jakby jakieś sznureczki piasku, co spływają po wydmie z góry w dół, tworząc figury, jakich nie powstydziłby się najlepszy artysta, kręte, chimeryczne, wyrafinowane.

Tutaj, na Południu, to wszystko istnieje bardzo namacalnie. Rośnie w słońcu, czai się w upale. I świadomość tego niesie Antoniemu Kossakowskiemu ulgę, staje się czulszy sam dla siebie. Czasami chce mu się płakać, tak bardzo czuje się wolny.

Zauważa, że im dalej na południe, im słabsze jest chrześcijaństwo, im więcej słońca i im słodsze wino, i im więcej greckiego Fatum – tym lepiej mu się żyje. Jego decyzje nie są jego decyzjami, lecz przychodzą z zewnątrz, mają swoje miejsce w porządku świata. A skoro tak, to mniejszą ponosi się odpowiedzialność, stąd mniej tego wewnętrznego

wstydu, nieznośnego poczucia winy za wszystko, co się zrobiło. Tutaj każdy czyn można naprawić, można dogadać się z bogami, złożyć im ofiarę. Dlatego da się patrzeć na swoje odbicie w wodzie z szacunkiem. I spoglądać na innych z miłością. Nikt nie jest zły, żaden morderca nie może być potępiony, ponieważ stanowi część większego planu. Można kochać tak samo kata, jak i ofiarę. Ludzie są dobrzy i łagodni. Zło, które się dzieje, pochodzi nie z nich, ale ze świata. Świat bywa zły – i to jak!

Im bardziej zaś na północ, tym mocniej człowiek skupia się na sobie i w jakimś północnym szaleństwie (zapewne z braku słońca) przypisuje sobie zbyt wiele. Czyni się odpowiedzialnym za swoje uczynki. Fatum dziurawią krople deszczu, a rozbijają ostatecznie płatki śniegu; wkrótce znika. Zostaje niszczące każdego człowieka przekonanie, wspierane przez Władcę Północy, czyli Kościół, i jego wszechobecnych funkcjonariuszy, że całe zło jest w człowieku i nie da się go samemu naprawić. Może być tylko wybaczone. Ale czy do końca? Stąd bierze się to męczące, niszczące uczucie, że jest się zawsze winnym, od urodzenia, że tkwi się w grzechu i że wszystko jest grzechem – uczynek i poniechanie, miłość i nienawiść, słowo i sama myśl. Wiedza jest grzechem i ignorancja jest grzechem.

Staje w gospodzie dla pielgrzymów, prowadzonej przez kobietę, na którą mówią Irena albo Matka. Osoba to nieduża, drobna, o smagłej twarzy, zawsze nosi się na czarno; czasem wiatr wyrywa jej spod czarnej chusty całkiem siwe już włosy. Mimo że to karczmarka, wszyscy zwracają się do niej z wielkim szacunkiem, jak do mniszki, choć wiadomo, że ma dorosłe dzieci gdzieś w świecie i jest wdową. Owa Irena co wieczór i co rano zarządza modlitwy i sama intonuje śpiew głosem tak czystym, że pielgrzymom otwierają się serca. Służą u niej dwie niby-dziewki – Kossakowski tak z początku myślał i dopiero po kilku dniach spostrzegł, że choć na pierwszy rzut oka robią wrażenie dziewek, są to raczej kastraci, tyle że z piersiami. Musi się pilnować, żeby się na nie – czy na nich – nie gapić, bo wtedy pokazują język. Ktoś mu opowiada, że w tej karczmie od setek lat zawsze jest jakaś Irena i że tak być musi. Ta Irena pochodzi z Północy; nie mówi czysto po grecku, ale wstawia obce słowa, często znajome Antoniemu – pewnie jest Wołoszką albo Serbką.

Wokół sami mężczyźni, nie ma tu ani jednej kobiety (oprócz Ireny, ale czy ona jest kobietą?), a nawet ani jednego zwierzęcia żeńskiej płci. To by rozpraszało mnichów. Kossakowski próbuje się skupić na idącym po ścieżce żuku o zielonkawych skrzydłach. Ciekawe, czy to też samiec...

Wraz z innymi pielgrzymami Kossakowski wspina się na górę, lecz nie mogą zostać wpuszczeni do klasztoru. Dla takich jak on przeznaczono specjalne miejsce w kamiennym domu, pod świętym murem, gdzie śpi się i je. Poranki i wieczory poświęca się modlitwie według zaleceń świętego mnicha Grzegorza Palamasa. Polega ona na tym, że mówi się bezustannie, tysiąc razy dziennie: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, miej miłosierdzie nade mną”. Modlący się siedzą na ziemi, skuleni, z głową opuszczoną ku brzuchowi, jakby byli płodami, jakby się jeszcze nie urodzili; wstrzymują przy tym oddech, jak długo się da.

Rano i wieczorem jakiś męski wysoki głos woła ich na wspólne modły – po całej okolicy rozchodzi się słowiańskie: „Molidbaaa, Molidbaaa”. Na to wezwanie wszyscy pielgrzymi porzucają natychmiast to, czym się zajmowali, i szybkim krokiem podążają pod górę do klasztoru. Kossakowskiemu kojarzy się to z zachowaniem ptaków, gdy usłyszą krzyk tych, które widzą drapieżnika.

W porcie za dnia Kossakowski uprawia ogród.

Zgłosił się też w porcie na tragarza – pomaga przy rozładunku stateczków, które zjawiają się tutaj raz, dwa razy dziennie. Nie chodzi o te grosze, które się zarobi, ale o to, że jest się z ludźmi, no i idzie się na górę do klasztoru, dzięki czemu można wejść na zewnętrzny dziedziniec. Tam furtian, krzepki mnich w kwiecie wieku, odbiera żywność i towary, daje się napić zimnej, prawie lodowatej wody i częstuje oliwkami. To tragarzowanie nie zdarza się jednak często, bo mnisi są samowystarczalni.

Kossakowski najpierw jest oporny, patrzy na opętanych religijną manią pielgrzymów z ironią. Raczej oddaje się spacerom po kamienistych dróżkach okalających klasztor, po rozgrzanej ziemi, ciętej nieustannie maleńkimi smyczkami cykad, ziemi, która od mieszaniny ziół i żywic pachnie jak coś do jedzenia, jak wyschły, naszpikowany ziołami placek. W trakcie tych spacerów Kossakowski wyobraża sobie, że mieszkali tu kiedyś greccy bogowie, ci sami, o których uczył się

w domu stryja. Teraz wracają. Mają złote, błyszczące szaty, bardzo jasną skórę, są wyżsi niż człowiek. Czasami wydaje mu się, że idzie po ich śladach, że kiedy się pospieszy, może jeszcze dogoni boginię Afrodytę, ujrzy jej wspaniałą nagość; woń hyzopu przez chwilę staje się półzwierzęcym zapachem spoconego Pana. Wysila wyobraźnię, jej oczami chce ich oglądać, są mu potrzebni. Bogowie. Bóg. Ich obecność w żywicznym zapachu, a zwłaszcza sekretna obecność jakiejś siły lepkiej i słodkawej, pulsującej w każdym istnieniu, sprawia, że świat wydaje się wypełniony po brzegi. Robi wielki wysiłek, żeby sobie wyobrazić – obecność. Jego członek nabrzmiewa i, chcąc nie chcąc, na tej świętej górze Kossakowski musi sobie ulżyć.

Ale potem, któregoś dnia, gdy wydaje się sobie najszczęśliwszy, w samo południe usypia w cieniu jakiegoś krzaka. Nagle budzi go szum morza – teraz brzmi złowrogo, a przecież towarzyszy mu cały czas. Kossakowski podrywa się i rozgląda wokół. Wysokie mocarne słońce dzieli wszystko na jasne i ciemne, na blask i cień. Wszystko się zatrzymało, widzi z daleka fale morza zastygłe w bezruchu, nad nimi wisi pojedyncza mewa, jakby przybita do nieba. Serce podchodzi mu do gardła, podpiera się, żeby wstać, a wtedy trawa pod jego dłonią rozpada się w proch. Nie ma czym oddychać, horyzont zbliżył się niebezpiecznie i za chwilę jego łagodna linia zamieni się w pętlę. W tym momencie Antoni Kossakowski uświadamia sobie, że ten zawodzący szum morza to lament i że cała natura uczestniczy w żałobie po tych bogach, których świat tak potrzebował. Nie ma tu nikogo, Bóg stworzył świat i umarł z wysiłku. Trzeba było przyjechać aż tutaj, żeby to zrozumieć.

Dlatego Kossakowski zaczyna się modlić.

Ale modlitwa mu się nie udaje. Daremnie pochyla głowę ku brzuchowi, zwija ciało w kłębek, podobny do tego, jaki tworzyło przed urodzeniem – tak jak go uczono. Spokój nie nadchodzi, oddech nie może się wyrównać, a słowa „Panie Jezu Chryste...” powtarzane mechanicznie nie niosą żadnej ulgi. Kossakowski czuje tylko swój zapach – woń dojrzałego, spoconego mężczyzny. Nic więcej.

Następnego dnia rankiem, nie zważając na wymówki Ireny ani na porzucone obowiązki, wsiada na pierwszy lepszy żaglowiec i nawet nie pyta, dokąd on płynie. Słyszy jeszcze z brzegu wezwanie „Molidbaaa,

Molidbaaa” i wydaje mu się, że to woła go wyspa. Dopiero na morzu dowiaduje się, że płynie do Smyrny.

W Smyrnie układa mu się bardzo dobrze. Znajduje pracę u trynitarzy i pierwszy raz od długiego czasu udaje mu się zarobić jakieś godziwe pieniądze. Nie skąpi sobie niczego: kupuje porządny turecki ubiór i zamawia wino. Picie sprawia mu wielką przyjemność, byleby miał dobre towarzystwo. Widzi, że kiedy tylko rozmawia z jakimiś chrześcijanami i mówi, że był na górze Athos, budzi to wielkie zainteresowanie, więc każdego wieczoru dodaje do swojej opowieści jakiś nowy szczegół, aż w końcu staje się ona niekończącym się pasmem przygód. Mówi, że nazywa się Moliwda. Jest zadowolony z tego nowego miana, bo przecież nie imienia. Moliwda to coś więcej niż imię, to nowy herb, szyld. Poprzednie miano: imię i nazwisko – już nieco przymałe, sparciałe i jakieś takie słomiane, jak myśli – prawie zupełnie porzuca. Używa go tylko wobec braci trynitarzy. Antoni Kossakowski – co z niego zostało?

Moliwda chciałby przyglądać się teraz swojemu życiu z pewnym dystansem, jaki mają ci Żydzi z Polski, których tu spotkał. Za dnia robią, co do nich należy, skupieni i zawsze w dobrych humorach. Wieczorem bez przerwy rozmawiają. Najpierw ich podsłuchuje, oni zaś myślą, że ich nie rozumie. Niby Żydzi, a Moliwda czuje, że jest w nich coś bliskiego. Nawet zastanawia się całkiem poważnie, czy to powietrze, światło, woda, przyroda tak jakoś osadzają się w człowieku, że ci, którzy wychowali się w tym samym kraju, muszą być do siebie podobni, nawet gdy wszystko ich dzieli.

Najbardziej lubi Nachmana. Jest bystry i wygadany, umie w dyskusji wykręcić kota ogonem i udowodnić każde, nawet najbardziej absurdalne twierdzenie. Umie też zadawać pytania, które wprawiają Moliwdę-Kossakowskiego w zadziwienie. Widzi on jednak, że ogromna wiedza i inteligencja tych ludzi spożytkowane zostają na jakieś dziwaczne zabawy ze słowami, o których on sam ma tylko ogólne pojęcie. Kupuje kiedyś kosz oliwek i spory dzban wina i idzie do nich. Jedzą te oliwki, plują pestkami pod nogi zapóźnionych przechodniów, bo zapada już zmierzch i upał smyrneński, wilgotny i lepki, słabnie nieco. Nagle ten

starszy, reb Mordke, zaczyna wykład o duszy. Że jest w istocie potrójna. Najniższa, ta od głodu, zimna i pożądania – to jest nefesz. Mają ją także zwierzęta.

– Soma – mówi Moliwda.

Ta wyższa – to duch, ruach. Ona ożywia nasze myśli, sprawia, że stajemy się dobrymi ludźmi.

– Psyche – powiada Moliwda.

Trzecia zaś, najwyższa, to neszama.

– Pneuma – rzecze Moliwda i dodaje: – Ładne mi odkrycie!

Reb Mordke, niezrażony, opowiada swoje:

– To jest prawdziwie dusza święta, którą zdobyć może jedynie dobry święty mąż, kabalista; a uzyskuje się ją tylko, zagłębiając się w tajemnicę poznania Tory. Dzięki niej możemy oglądać ukrytą naturę świata i Boga, bo jest to iskra, która odprysła od Biny, boskiego intelektu. Tylko nefesz jest zdolna do grzechu. Ruach i neszama są bezgrzeszne.

– Skoro neszama jest iskrą Bożą w człowieku, to jak Bóg może karać za grzech piekłem, w ten sposób przecież karałby i siebie samego w swojej cząstce? – pyta Moliwda, trochę już podochocony winem, i tym pytaniem zyskuje uznanie obu mężczyzn. I on, i oni znają odpowiedź na to pytanie. Tam gdzie jest Bóg, ten wielki, największy, tam nie ma ani grzechu, ani poczucia winy. Tylko mali bogowie wytwarzają grzech, podobnie jak nieuczciwi rzemieślnicy fałszują monety.

Po pracy u trynitarzy siadują w kahvehane. Moliwda nauczył się czerpać przyjemność z picia gorzkiej kaffy i palenia długich tureckich fajek.

Moliwda bierze udział w wykupie Piotra Andrusewicza z Buczacza za 600 złotych i Anny z Popielaw, która kilka lat była na dworze Husajna Bajraktara ze Smyrny, za 450 złotych. Dobrze pamięta te imiona, bo spisywał umowę wykupu po turecku i po polsku. Zna ceny, jakie płaci się w Smyrnie za ludzi: za niejakiego Tomasza Cybulskiego, czterdziestoszścioletniego szlachcica, kwatermistrza z regimentu Jabłonowskiego, będącego w niewoli dziewięć lat, zapłacono wielką

sumę 2700 złotych i natychmiast pod eskortą wysłano go do Polski. Za dzieci płacono po 618 złotych, a za staruszka Jana cena wyniosła tylko 18 złotych polskich. Staruszek pochodzi z Opatowa, waży tyle co koza; całe życie spędził w tureckiej niewoli i teraz, zdaje się, nie ma nawet do kogo w Polsce wracać, ale jego radość jest ogromna. Moliwda widzi, jak łzy płyną po wysmaganej słońcem, pomarszczonej twarzy starca. Przygląda się też z uwagą dojrzałej już pannie Annie. Podobają mu się jej władczość i duma, z jaką traktuje trynitarzy i jego samego, tłumacza. Nie może zrozumieć, dlaczego bogaty Turek pozbywa się tej pięknej kobiety. Sądząc z tego, co opowiadała Moliwdzie, obiecał jej to z miłości, bo tęskniła do domu. Za kilka dni ma wsiąść na statek do Salonik, a potem drogą lądową podróżować do Polski, nagle jednak Moliwda, opętany jakąś niezrozumiałą namiętnością, kuszony przez jej białe, obfite ciało, rzucając znowu wszystko na jedną szalę, godzi się na jej szalony plan ucieczki. Anna Popielawska bowiem wcale nie zamierza wracać do Polski, do nudnego dworku gdzieś na Polesiu. Moliwda nawet nie ma czasu pożegnać się ze swoimi przyjaciółmi. Konno uciekają do niedużego portowego miasta na północ od Smyrny i tam za pieniądze Moliwdy wynajmują dom, gdzie przez dwa tygodnie oddają się wszelkim rozkoszom. Popołudnia spędzają na rozległym balkonie, który wychodzi na nabrzeże, gdzie codziennie o tej porze przechadza się turecki aga ze swoimi janczarami. Janczarowie mają białe pióra na czapkach, a ich dowódca nosi purpurowy płaszcz podszyty cienką srebrną tkaniną, która błyszczy w słońcu jak brzuch ryby świeżo wyciągniętej na brzeg.

W upale na balkonach wylegują się na otomanach chrześcijanki, żony kupców greckich, i zaczepiają wzrokiem młodych mężczyzn, którzy prężą się przed nimi. Rzecz nie do pomyślenia dla Turczynek. I tak też Anna Popielawska, blondynka, zaczepia wzrokiem tego agę, i wywiązuje się między nimi krótka rozmowa. Moliwda wtedy czyta na tyłach domu, w cieniu. Następnego dnia Anna Popielawska znika z wszystkimi pieniędzmi Moliwdy, zarobionymi u trynitarzy.

Moliwda wraca do Smyrny, lecz trynitarze mają już innego dragomana, a dwaj rozdyskutowani Żydzi zniknęli. Moliwda mustruje się na statek

i wraca do Grecji.

Patrząc na morski horyzont, słysząc plusk fal uderzających o burty, staje się skłonny do refleksji. Myśli i obrazy układają się w długie wstęgi, można im się dokładnie przyjrzeć i zobaczyć, co z czego wynika. Przypomina mu się dzieciństwo. Tamte lata wydają mu się sztywne, jak krochmalone odświętne koszule, które stryjenka przygotowywała jemu i jego braciom na Wielkanoc i których szorstkość potrzebowała kilku dni, żeby w końcu ulec ciepłu ciała i potowi.

Dzieciństwo wspomina Moliwda zawsze wtedy, gdy znajdzie się na morzu – nie wie dlaczego, widocznie jego bezkres powoduje zawrót głowy; trzeba się czegoś uchwycić.

Stryj, którego musieli całować w rękę, przyklękając na powitanie, miał drugą żonę, niebezpiecznie młodą – roztaczała wokół siebie atmosferę wtedy dla młodego Antoniego zupełnie niepojętą: teatru i udawania. Pochodziła z bardzo ubożuchnej, podejrzanej szlachty, musiała się więc silić na jakąś lepszą postać siebie. W swoich staraniach była śmieszna. Gdy zjawiali się goście w ich dworze, z ostentacyjną czułością głaskała bratanków męża po twarzy, pieszczotliwie łapała ich za ucho i chwaliła: „No, no, Antosiek, temu to w życiu darzyć się będzie”. Po wyjściu gości ściągała z chłopców wykwintne ubranie i chowała je do szafy w sieni, jakby się spodziewała, że pewnego dnia trafią tutaj inne sieroty po zmarłych krewnych, tym razem w lepszym gatunku.

Ucieczka kochanki, morze i to wspomnienie z dzieciństwa sprawiają, że Moliwda czuje się przerażająco samotny. Jedyną ulgę przyniosą mu już wkrótce wołoscy bogomili, o których z błędnym uporem mówi się, że to filipowcy. Dadzą mu jakieś wytchnienie od tego siebie pękniętego na pół (co to za dziwna choroba – nikt chyba na nią jeszcze nie chorował, i nie ma jak i komu o niej opowiedzieć). A to dlatego, że Moliwda jest święcie przekonany, że to już koniec jego życia, że innego świata nie będzie.

11

Jak w mieście Krajowie Moliwda-Kossakowski spotyka Jakuba

Po dwóch latach Moliwda ma teraz, wiosną 1753 roku, trzydzieści pięć lat i nieco zeszczuplał na diecie bogomiłów. Oczy ma jasne, wodniste, trudno wyczytać z nich cokolwiek. Jego broda jest rzadka, szaroruda, koloru jutowego worka, twarz ogorzała od słońca. Na głowie biały turecki zawój, bardzo przybrudzony.

Idzie zobaczyć tego szaleńca, bożego głupca, o którym wszyscy Żydzi mówią, że weszła w niego dusza Mesjasza, dlatego nie zachowuje się po ludzku. Widział już takich wielu, jakby dusza Mesjasza lubiła wcielać się w kogoś co kilka dni.

Nie podchodzi za blisko. Staje po drugiej stronie uliczki, opiera się o mur, nabija fajkę spokojnymi, powolnymi ruchami. Paląc, przygląda się całemu zamieszaniu. Kręcą się tu głównie młodzi mężczyźni, młokosy Żydzi, Turcy. Coś dzieje się wewnątrz budynku, grupka mężczyzn przedziera się przez drzwi, słychać wybuchy śmiechu.

Skończywszy palić, Moliwda decyduje się wejść do środka. Musi schylić głowę, przejść przez ciemną sień aż do podwórka, na którym małą studnię zmieniono w coś w rodzaju fontanny. Jest tu chłodno, rośnie drzewo o szerokich liściach, pod którym rozłożyli się mężczyźni, prawie wszyscy w tureckich ubraniach, ale jest i kilku w żydowskich chałatach – ci nie siedzą na ziemi, lecz na stołeczkach. Są tu też po wołosku ubrani i wygoleni mieszczanie i dwaj Grecy, których poznaje po charakterystycznych wełnianych płaszczach. Zebrani przez chwilę patrzą na Moliwdę podejrzliwie, w końcu zaczepia go szczupły mężczyzna z ospowatą twarzą, pytając, po co tu przyszedł. Wtedy Moliwda czystą turecczyzną odpowiada: „Posłuchać”. Tamten odsuwa się, ale niechęć w jego oczach pozostaje. Odtąd zerka na Moliwdę podejrzliwie. Na pewno myślą o nim, że to szpieg. Niech myślą.

Wewnątrz szerokiego, luźnego półokręgu stoi wysoki, postawny mężczyzna, ubrany z turecka. Mówi dość niedbale donośnym, wibrującym głosem, w taki sposób, że trudno mu przerwać. Mówi po turecku – powoli, z jakimś dziwnym, obcym akcentem, przy tym nie jak uczony, ale jak kupiec, a może nawet włóczęga. Używa słów rodem z targu końskiego, ale znienacka wtrąca wyrazy greckie i hebrajskie, niewątpliwie uczone. Moliwda krzywi się mimowolnie, kontrast jest zbyt duży i robi nieprzyjemne wrażenie. To nie może być nic ciekawego, myśli, ale potem nagle zdaje sobie sprawę, że to jest język tych wszystkich, którzy go tu otaczają, tej mieszanki ludzi, którzy ciągle są w drodze, nie zaś język ksiąg złożonych w jednym miejscu do użytku nielicznych. Moliwda jeszcze nie wie, że w każdym języku, którego używa Jakub, słychać obcy akcent.

Twarz tego Franka jest pociągła, dość jasna jak na Żyda tureckiego, skóra na niej nierówna, zwłaszcza policzki pokryte są drobnymi zagłębieniami, niby bliznami, jakby świadectwem czegoś niedobrego, jakby płomień jej dotknął w dalekiej przeszłości. Coś niepokoi w tej twarzy, myśli Moliwda, i budzi mimowolny respekt – wzrok Jakuba jest zupełnie nieprzenikniony.

Kossakowski z wielkim zaskoczeniem rozpoznaje starca, który siedzi najbliżej tego niby-proroka i pali fajkę, zamykając oczy przy każdym zaciągnięciu się. Jego broda jest gęsta, siwa, zażółcona od tytoniu; stary nie ma turbanu, lecz zwykłą turecką czapkę, spod której wystają równie bujne i siwe włosy. Daje sobie trochę czasu, żeby sobie przypomnieć, gdzie go widział.

– Jaki świat mały – mówi do starego po turecku niby obojętnym tonem. Tamten odwraca się do niego i po chwili z jego gęstej siwej brody wyłania się serdeczny uśmiech.

– A to, patrzcie, nasz wielki pan, arystokrata – mówi reb Mordke ironicznie, wskazując Moliwdę palcem i zwracając się do jednookiego mężczyzny, smagłego jak Arab. – To udało ci się uciec, widzę. – Śmieje się głośno, ucieszony, że coś może zdarzyć się dwa razy.

Obejmują się i witają znacznie bardziej zażyle, niż się się rzeczywiście znają.

Zostaje z nimi do wieczora i obserwuje nieustanny ruch – mężczyźni przychodzą i odchodzą, wpadają na chwilę, a potem wracają do własnych interesów, do karawan, do straganów. Na boku dają sobie adresy i nazwiska urzędników tureckich, których można przekupić. Spisują je w małych zeszycikach, które można nabyć tu na straganach. Potem przyłączają się do rozmów, jakby nigdy stąd nie odchodzili. Dysputa trwa cały czas, pada jakieś pytanie, czasem głupie, czasem prowokacyjne, i zaczyna się wyścig: każdy chce na nie odpowiedzieć, przekrzykują się. Czasem się nie rozumieją – niektórzy złapali skądś taki akcent, że teraz muszą powtarzać wszystko po dwa razy; są też tłumacze – wtedy Moliwda rozpoznaje żydowski język z Polski, dziwną mieszankę niemieckiego, polskiego i hebrajskiego. Kiedy to słyszy, ogarnia go nagle wzruszenie. Nachman mówi tak, jak mówiły ukochana Malka i jej siostry, i naraz Moliwdę przykrywa jakby ciepły płaszcz obrazów z dawnych czasów. Na przykład: zboże, zboże po horyzont, jasnożółte, a w nim ciemnoniebieskie punkty chabrów; dopiero co udojone mleko i świeżo ukrojona pajda chleba leżąca na stole; i bartnik w aureoli pszczół, wyciągający plastry oblepione miodem.

Cóż z tego, miód jest przecież także w Turcji, i chleb. Moliwda jest sam sobą zawstydzony. Upycha rozkwitły niespodziewanie bukiet obrazów gdzieś z tyłu głowy i wraca znowu tu, gdzie dyskusja właśnie się sama wyczerpuje i gdzie teraz prorok opowiada historyjki, a kiedy opowiada, na jego twarzy czai się złośliwy uśmieszek. Mówi, jak walczył ze stoma rozbójnikami, jak ich siekł niby pokrzywy. Ktoś mu przerywa, wykrzykuje coś nad głowami zebranych. Inni odchodzą albo odsuwają się dalej, w głąb oliwkowego cienia, i tam, paląc fajki, półgłosem komentują to, co usłyszeli. W pewnym momencie głos zabiera Nachman. Mówi uczenie i składnie. Przywołuje Izajasza. Trudno go przegadać. Ma dowody na wszystko. Kiedy cytuje odpowiedni fragment z pism, podnosi oczy do góry, jakby gdzieś tam w powietrzu wisiała niewidoczna dla innych biblioteka. Jakub żadnym gestem nie reaguje na wykłady Nachmana. Kiedy ten kończy, Jakub nawet nie skinie ku niemu głową. Dziwna to szkoła.

Gdy widownia się przerzedza, jest już ciemno, a wokół Franka tworzy się niewielka, acz głośna grupa młodych mężczyzn. Wychodzą na miasto. Krążą hałaśliwie po jego wąskich uliczkach, szukając guza. Zaczepiają przechodniów, komentują występy linoskoczków, piją wino, rozrabiają. Moliwda z reb Mordkem suną za nimi, kilka kroków z tyłu, na wszelki wypadek, żeby się do nich nie przyznawać, gdy wywołają jaką burdę. Ma ta grupka z Jakubem na czele jakąś dziwną moc, niczym młode samce, które w przepychankach testują swoje prawdziwe możliwości. Moliwdzie to się podoba. Chciałoby się być w środku między nimi, uderzać o ich ramiona własnymi ramionami, klepać ich po plecach, poruszać się w obłoku ich zapachu – cierpkiego młodzieńczego potu, wiatru, kurzu. Jakub ma na twarzy zawadiacki uśmieszek, który sprawia, że przypomina rozbawionego chłopca. Moliwda łapie na moment jego spojrzenie i chce podnieść dłoń, żeby mu pomachać, ale tamten już się odwraca. Umykają przed tym orszakiem przekupki z owocami i sprzedawcy placków. Nagle cały pochód na chwilę przystaje, Moliwda nie widzi, co się tam dzieje z przodu, ale cierpliwie czeka, aż rzecz się wyjaśni; kupuje sobie placek polany słodkim syropem i zjada go ze smakiem. A tam na przodzie jakiś zgiełk, podniesione głosy, wybuch śmiechu. Kolejna awantura Jakuba. O co tym razem poszło, nie wiadomo.

Historia IWM Pana Moliwdy, Antoniego Kossakowskiego herbu Ślepowron, przydomek Korwin

Pochodzi ze Żmudzi, z ojca husarza w wojsku koronnym. Ma pięciu braci: jeden z nich jest wojskowym, dwóch – księżmi, a o dwóch kolejnych nie wie nic. Z księży jeden mieszka w Warszawie, raz do roku piszą do siebie.

Nie ma go w Polsce od ponad dwudziestu lat. Musi się już wysilać, żeby złożyć w miarę zgrabne zdanie w ojczystym języku, ale jakimś cudem wciąż myśli po polsku. Na wiele jednak spraw brakuje mu słów. A ponieważ sporo przeżył, nie starcza mu polszczyzny na opisanie siebie

samego. Robi to za pomocą mieszaniny greckiego i tureckiego. Teraz, gdy pracuje dla Żydów, dochodzą do tego słowa hebrajskie. Moliwda opisany tymi językami jawi się hybrydą, jakimś dziwnym stworem z antypodów.

Po polsku potrafi opowiedzieć o dzieciństwie w domu stolnika kowieńskiego Dominika, wuja Kossakowskiego, który po nagłej śmierci obojga jego rodziców wziął go razem z pięcioma braćmi na wychowanie. Wuj był wymagający i miał ciężką rękę. Gdy złapał na kłamstwie czy krętactwie, bił na odlew całą dłonią w twarz. W razie większych przewinień (gdy na przykład Antoni wyjadł trochę miodu z kanki, a żeby się nie wydało, dolał wody, co sprawiło, że miód się popsuł) wyciągał skądś batog rzemienny, chyba do biczowania, bo bardzo świętobliwa była ta rodzina, i ciął przez nagie plecy i pośladki. Najbardziej krzepkiemu z braci przeznaczył karierę wojskową, dwóch spokojniejszych i bardziej spolegliwych wysłał na księży, lecz Antoni ani na wojskowego, ani na księdza się nie nadawał. Kilka razy uciekał z domu i służba ścigała go potem po wsi albo wygrzebywała z chłopskich stodół, gdzie zmęczony płaczem usypiał w sianie. Ciężkie i dotkliwe były metody wychowawcze wuja Dominika, ale w końcu pojawiła się nadzieja, że Antoni wyjdzie na ludzi. Wpływowy wuj dobrze go przecież wykształcił i piętnastoletniego zaprotegował do kancelarii króla Stanisława Leszczyńskiego. Sprawiono mu odpowiednie ubranie, zakupiono kuferek i buty. Dostał komplety bielizny, chustek do nosa i tak pojechał do Warszawy. Nikt bliżej nie wiedział, co miałby tam robić taki wyrostek, toteż swym ładnym pismem przepisywał dokumenty i świecom obcinał knoty. Opowiadał pisarczykom, że wuj znalazł go w lesie żmudzkim, gdzie przez parę lat wychowywała go wilczyca, stąd dobrze zna język i psi, i wilczy, że jest synem sułtana, poczętym, gdy ten incognito peregrynował do Radziwiłłów. W końcu, gdy nie chciało mu się już przepisywać raportów, schował cały ich plik za ciężki mebel pod oknem, gdzie z powodu nieszczelności szyb zawilgły i zniszczały. Były też inne sztubackie przewinienia, jak to, gdy go starsi koledzy upili i porzucili w burdelu na Powiślu, a on o mało nie umarł i dochodził do siebie trzy dni. Wreszcie zabrał pieniądze, które mu nieopatrznie

powierzono, i przez czas jakiś królował na Powiślu, dopóki mu reszty nie ukradziono, a jego nie pobito.

Moliwda często ostatnio myśli, co by było, gdyby został w kancelarii, i kim by teraz był – może panem, stołecznym urzędnikiem królewskim, pod nowym królem, który rzadko bywał w Rzeczpospolitej, najczęściej pojawiał się w przygranicznej Wschowie. A teraz kim jest?

Powiedziano mu w kancelarii, żeby się tam więcej nie pokazywał, i zawiadomiono wuja. Ten przyjechał po synowca, lecz nie śmiał go już obić, jak to robił do tej pory – młody Antoni był przecież, bądź co bądź, urzędnikiem królewskim.

Wysłał go więc za karę do posagowego majątku jego świętej pamięci matki, jako że był zarządzany tylko przez miejscowego ekonoma, i tam kazał się przyuczać do agronomii – do uprawy ziemi, żniw, wykotów owiec, hodowli kur. Majątek nazywał się Bielewicze.

Antoni, wciąż nastoletni, młody pan, przyjechał tam pod koniec zimy, kiedy ziemia była jeszcze zamarznięta. Przez pierwsze tygodnie był tak pełen poczucia winy i straconych szans, że prawie nie wychodził z domu, modląc się żarliwie i myszkując po pustych pokojach w poszukiwaniu śladów zmarłej matki. Dopiero w kwietniu pojechał po raz pierwszy do młyna.

Młyn w Bielewiczach był arendowany przez Mendla Kozowicza, który miał same córki, a jedna z nich nazywała się Malka i już była przyrzeczona jakiemuś łachmycie. Wkrótce miało się odbyć ich wesele. Antoni jeździł tam codziennie, niby z ziarnem, niby sprawdzić, jak idzie mielenie, nagle zrobił się z niego bardzo wielki gospodarz, potem doglądał mielenia tego ziarna i sprawdzał mąkę. Brał ją w palce, szczyptę po szczypcie, podnosił do nosa, czy żyto nie zatęchłe, wychodził oprószony mąką, jakby postarzały. Ale wszystko to czynił nie dla mąki, tylko z powodu owej Malki. Powiedziała mu, że jej imię znaczy królowa, choć na królową nie wyglądała, raczej na królewnę – drobna, szybka, czarnooka, o niebywale suchej i ciepłej skórze, niczym jaszczurka, tak że gdy raz otarły się o siebie ich ramiona, Antoni usłyszał szelest i trzask.

Nikt nie zauważył, że romans trwa, może przez te chmury mąki w powietrzu, a może dlatego, że dziwny to był związek. Zakochało się

w sobie dwoje dzieci. Ona starsza była od niego niewiele, wystarczająco dużo jednak, żeby podczas wspólnych spacerów pokazywać mu, pod którymi kamieniami są raki i gdzie rosną rydze w zagajniku. To raczej jakby się dwoje sierot połączyło.

W czas żniw letnich nikt nie widział Antoniego w polu, a i w domu rzadko bywał. Na żydowski Nowy Rok, we wrześniu, już było jasne, że Malka jest w ciąży, i ktoś poradził mu, jakiś szaleniec, żeby ją porwał, ochrzcił i ożenił się z nią, wtedy obie rodziny zostaną postawione przed nieodwołalnym, co zgasi ich gniew.

Więc rzeczywiście porwał ją z domu, zawiózł do miasta i tam, przekupiwszy księdza, iżby ją pospiesznie ochrzcił, wziął z nią ślub. Sam był świadkiem jej chrztu, drugim zaś – zakrystian. Na imię dali jej Małgorzata.

To wszakże było mało. To było nic. Gdy tak stali koło siebie przed ołtarzem, rzekłby ktoś – najlepiej taki jak Jenta, która wszystko widzi – że to chłopiec i dziewczyna w podobnym wieku. Ale w rzeczywistości była między nimi przepaść nie do zasypania, przepaść tak głęboka, że sięga do samego środka ziemi, albo i dalej. Trudno ją słowami wytłumaczyć. Powiedzieć, że ona Żydówka, a on chrześcijanin – to mało. To niewiele znaczy, bo w istocie reprezentują jakby dwa rodzaje ludzi, czego na pierwszy rzut oka nie widać, dwie istoty łudząco do siebie podobne, ale skrajnie odmienne: ona wszakże nie zostanie zbawiona, a on będzie żył wiecznie. Więc ona, jeszcze wciąż w swojej postaci, już jest popiołem i zjawą. Z kolei z punktu widzenia młynarza Kozowicza, który arenduje młyn od pana Dominika – różnią się jeszcze bardziej: Malka jest prawdziwym człowiekiem, Antoni zaś tworem do człowieka tylko podobnym, fałszywym i w prawdziwym świecie niewartym nawet uwagi.

Młodzi, jakby nieświadomi tych różnic, pokazali się w młynie w Bielewiczach, ale tylko raz. Od początku stało się jasne, że nigdy nie będzie tu dla nich miejsca. Ojciec Malki tak lamentował, że osłabł i zachorował. Malkę usiłowano uwięzić w piwnicy, lecz uciekła.

Antoni z młodą żoną wprowadzili się więc do dworu, do Bielewicz, ale jak się okazało, zaledwie na parę miesięcy.

Z rezerwą powitała ich służba. Do Malki zaraz zaczęły przychodzić jej siostry; coraz śmielej zaglądały pod serwety, szperały w szufladach, gładziły kapy. Siadały z nimi do stołu: pięć dziewcząt i chłopiec, któremu ledwie sypnął się wąs. Nakrywały do stołu z siostrą, a potem przed jedzeniem, gdy młodzi robili znak krzyża, dziewczynki modliły się po swojemu. Republika żydowsko-dziecięca. Dziewczęta szczebiotały po żydowsku, Antoni szybko chwycił ten szczególny ton i słowa niejako mu same przychodziły na język. Wyglądało, jakby byli dobrą rodziną, idealną, same dzieci, bez pierwszej przyczyny.

Po kilku miesiącach wzburzony takim biegiem wydarzeń ekonom wysłał listy do wuja Dominika i ten nadciągnął, groźny jak chmura gradowa. Kiedy młody Antoni uświadomił sobie, że oberwie lanie przy ciężarnej żonie, małżonkowie spakowali się i pojechali do młyna. Kozowicz jednak, ze strachu przed panem, od którego zależała jego arenda, po ciemku i pospiesznie wyprawił ich do rodziny na Litwie. I tam ślad po młodych zaginął.

O tym, co ciągnie ludzi do siebie, i pewne uzgodnienia na temat wędrówki dusz

Moliwda spędza coraz więcej czasu w składzie, gdzie pracuje Jakub. Handel odbywa się tu w godzinach porannych, gdy upał nie jest jeszcze tak duży, albo późnym wieczorem. Wtedy też, ze dwie godziny po zachodzie słońca, zamiast herbaty pojawia się wino dla starych klientów.

Moliwda zna dobrze Osmana z Czerniowców. Zna go dzięki pewnym Turkom, nie powie skąd, ślubował milczenie. Tajemnica, ukrywanie, maska. Jeśli spojrzeć na te tajemnice oczami Jenty, która widzi wszystko, jasne jest, że spotykali się kiedyś na tajnych zebraniach bektaszytów. Teraz tylko pozdrawiają się lekkim skinieniem głowy, nie wdając się nawet w rozmowę.

Tak też przedstawia się Moliwda – jako stary klient. Robi największe wrażenie tym, że jest – jak to sam chętnie podkreśla – polskim hrabią. Na twarzach żydowskich rozmówców pojawia się wtedy wyraz niedowierzania i jakiegoś dziecinnego szacunku. Rzuca kilka słów po turecku i hebrajsku. Jego śmiech jest głęboki, zaraźliwy. Przez cały wrzesień Moliwda bywa u Jakuba codziennie. Do tej pory kupił zaledwie spinkę z turkusem, a i tak Jakub sprzedał mu ją skandalicznie tanio, ku oburzeniu Nachmana. Lubi też z nimi przesiadywać reb Mordke, omawiając jakiś temat; im dziwniejszy, tym lepiej.

Wchodzą jacyś przybysze z Północy, mówią obcym językiem. Nussen skupia uwagę na nich i z uczonego zmienia się w handlarza. To kupcy żydowscy ze Śląska, interesują ich malachity, opale i turkusy. Jakub pokazuje im też perły; kiedy sprzedaje towar, podnosi głos. Zawieranie transakcji trwa godzinami, leje się herbata, młody Herszele przynosi ciastka i szepcze Jakubowi do ucha, że Abraham kazał zaprezentować im jeszcze kobierce. Kupcy marudzą i wybrzydzają w swoim języku, naradzają się półgłosem, przekonani, że nikt ich nie rozumie. Nie powinni być tacy pewni siebie. Nussen słucha z przymkniętym jedynym okiem i potem za zasłoną, gdzie siedzi Nachman, zdaje mu relację:

– Tylko perły ich obchodzą, resztę już mają, i to drożej kupione. Żałują, że nie trafili tu wcześniej.

Jakub wysyła Herszełe po perły do Abrahama i do innych kramów. I kiedy późnym wieczorem kończą się transakcje i dzień zostaje uznany za wyjątkowo dobry, w największej izbie w domu przyjaciele rozkładają dywany i poduszki, by zjeść późną kolację, która przeradza się natychmiast w ucztę.

– Tak, lud Izraela pożre Lewiatana! – wykrzykuje Jakub, jakby wznosił toast, i wsuwa upieczony kawał mięsa do ust; tłuszcz spływa mu po brodzie. – Wielkie, ogromne cielsko potwora, pyszne i mięciutkie jak mięsko przepiórek, jak mięso delikatnych ryb. Lud będzie pożywał Lewiatana tak długo, aż nasyci swój wielusetletni głód.

Wszyscy zajęci jedzeniem śmieją się i żartują.

– Wiatr będzie trzepotał białymi obrusami, a kości będziemy rzucać pod stół dla psów – dodaje pod nosem Moliwda.

Nachman, rozluźniony dobrym winem z piwniczki Jakuba, mówi do Moliwdy:

– Gdy patrzysz na świat jak na dobry, to zło staje się wtedy wyjątkiem, brakiem i błędem, i nic ci nie pasuje. Ale gdyby założyć odwrotnie, że świat jest zły, a dobro to wyjątek, wtedy wszystko układa się zgrabnie i rozumnie. Dlaczego nie chcemy widzieć tego, co oczywiste?

Moliwda podchwytuje temat.

– U mnie na wsi uważają, że świat podzielony jest na dwoje, na dwie siły rządzące: tę dobrą i tę złą...

– Co to za „twoja wieś”? – dopytuje się Nachman z pełnymi ustami.

Moliwda zbywa go niecierpliwym ruchem ręki i ciągnie dalej:

– ...Nie ma człowieka, który nie życzyłby źle drugiemu, państwa, które nie cieszyłoby się z upadku innego państwa, kupca, który by nie chciał, żeby drugi poszedł z torbami... Dajcie mi tego, kto to stworzył. Kto spartolił robotę!

– Moliwda, daj spokój – uspokaja go Nachman. – Masz, jedz. Nie jesz, tylko pijesz.

Wszyscy mówią teraz jeden przez drugiego, widać Moliwda włożył kij w mrowisko. Moliwda odrywa kawałek podpłomyka i macza go w przyprawionej ziołami oliwie.

– Jak tam u was jest? – odważa się spytać Nachman. – Pokazałbyś nam, jak żyjecie.

– No nie wiem – wykręca się Moliwda. Jego oczy są lekko zamglone od nadmiaru wina. – Musiałbyś przysiąc, że dochowasz tajemnicy.

Nachman bez wahania kiwa głową. To wydaje mu się oczywiste. Moliwda dolewa im wina; jest tak ciemne, że na wargach pozostaje fioletowy osad.

– U nas jest tak, ja ci to prosto powiem – zaczyna Moliwda, język mu się plącze. – Wszystko jest poziome: jest światło i ciemność. I ciemność napada na to światło, a Bóg tworzy ludzi ku pomocy, żeby bronili światła.

Nachman odsuwa talerz i podnosi wzrok na Moliwdę. Moliwda patrzy w jego ciemne, głębokie oczy, odgłos ucztowania odpływa gdzieś poza nich obu, a Nachman cichym głosem opowiada o czterech największych paradoksach, które należy rozważyć; inaczej nigdy nie będzie się myślącym człowiekiem.

– Po pierwsze, Bóg, żeby stworzyć skończony świat, musiał siebie ograniczyć, lecz wciąż pozostaje nieskończona część Boga zupełnie w stworzenie niezaangażowana. Czyż nie tak? – pyta Moliwdę, aby się upewnić, że rozumie on ten język.

Moliwda potakuje, więc Nachman ciągnie dalej, że jeżeli przyjmie się, iż idea stworzonego świata jest jedną z nieskończonej liczby idei w nieskończonym boskim umyśle, to z pewnością jest marginalna i nieważna. Możliwe, że Bóg nawet nie zauważył, iż coś stworzył. Nachman znowu bacznie bada wzrokiem reakcję Moliwdy. Moliwda bierze głęboki oddech.

– Po drugie – ciągnie Nachman – stworzenie jako nieskończenie mała część boskiego umysłu wydaje się Mu obojętne i jest tylko ledwie w to stworzenie zaangażowany; z ludzkiego punktu widzenia ową obojętność możemy postrzegać wręcz jako wrogość.

Moliwda wypija duszkiem wino i głośno odstawia kubek na stół.

– Po trzecie – ciągnie Nachman cichym głosem – Absolut, jako nieskończenie doskonały, nie miał żadnego powodu, żeby stworzyć świat. Ta jego część, która jednak do stworzenia doprowadziła, musiała przechytrzyć resztę i nadal ją przechytrza, a my bierzemy w tych podchodach udział. Chwytasz? Bierzemy udział w wojnie. I po czwarte: jako że Absolut musiał się ograniczyć, żeby powstał skończony świat, nasz świat jest dla Niego wygnaniem. Rozumiesz? Żeby stworzyć świat, wszechmocny Bóg musiał się zrobić słaby i bezwolny, jak kobieta.

Siedzą w milczeniu, wyczerpani. Odgłosy ucztowania wracają; słychać głos Jakuba, który opowiada sprośne kawały. Potem całkiem już pijany Moliwda długo klepie Nachmana po plecach, aż staje się to przedmiotem niewybrednych żartów; w końcu kładzie mu na ramieniu twarz i mówi w rękaw:

– Ja to wiem.

Moliwda znika na kilka dni, potem wraca na dzień, dwa. Nocuje wtedy u Jakuba.

Gdy siedzą do wieczora, Herszełe wsypuje gorący popiół do tandiru, glinianego pieca w ziemi. Opierają na nim stopy; miłe, łagodne ciepło wędruje z krwią wyżej i rozgrzewa całe ciało.

– Czy on jest cibukli? – pyta Moliwda Nachmana, patrząc na Herszełe. Tak Turcy nazywają obojnaków, wyposażonych przez Boga w taki sposób, że równocześnie mogą uchodzić za kobietę i za mężczyznę.

Nachman wzrusza ramionami.

– To dobry chłopiec. Bardzo oddany. Jakub go kocha.

Po chwili, czując, że jego szczerość zobowiązuje Moliwdę do podobnej szczerości, mówi:

– A czy to prawda, co powiadają o tobie, że jesteś bektaszytą?

– Tak gadają?

– I że byłeś w służbie u sułtana... – Nachman waha się chwilę – szpiegiem.

Moliwda patrzy na swoje splecione dłonie.

– Ty wiesz, Nachman, że to dobra rzecz trzymać z nimi. I ja z nimi trzymam. – Po chwili dodaje: – Także i szpiegiem być nic złego, byleby się tym jakiemu dobru przysłużyć. To też wiesz.

– Wiem. Czego ty chcesz od nas, Moliwda?

– Niczego nie chcę. Ciebie lubię, a Jakuba podziwiam.

– Ty, Moliwda, jesteś umysł wysoki, w doczesne rzeczy zaplątany.

– To jesteśmy do siebie podobni.

Nachman nie wydaje się jednak przekonany.

Kilka dni przed wyjazdem Nachmana do Polski Moliwda zaprasza ich do siebie. Przyjeżdża konno i ma też ze sobą dziwną bryczkę, na którą ładują się Nussen, Nachman i cała reszta. Jakub i Moliwda jadą z przodu konno. Trwa to ze cztery godziny, bo droga jest trudna, wąziutka i prowadzi pod górę.

W drodze Jakub ma dobry humor i śpiewa swoim ładnym, mocnym głosem. Zaczyna od pieśni uroczystych, w starym języku, a kończy na żydowskich przyśpiewkach, jakie na weselach wykonuje barchan, dowcipniś, żeby rozbawić gości:

Czymże jest życie,

jak nie tańcem na grobach?

Gdy kończy, intonuje świńskie piosenki o nocy poślubnej. Mocny głos Jakuba odbija się echem od skał. Moliwda jedzie pół kroku za nim i nagle uświadamia sobie, dlaczego ten dziwny człowiek tak łatwo skupia ludzi wokół siebie. Jakub we wszystkim, co robi, jest do końca prawdziwy. Jest jak ta studnia z bajki, w którą to studnię, gdy się cokolwiek krzyknie, ona zawsze odpowie tak samo.

Opowieść Jakuba o pierścieniu

Odpoczywają po drodze, w cieniu drzew oliwnych, mając przed sobą widok na Krajowę. Jakie malutkie wydaje się teraz to miasto – jak

chustka do nosa. Nachman siada koło Jakuba i przygarnia do siebie jego głowę, niby w zabawie, Jakub poddaje się temu i przepychają się przez chwilę jak młode psy. Moliwda myśli wtedy o nich: dzieciaki.

Na takich postojach w podróży zawsze musi być jakaś opowieść. Nawet taka, co to ją już wszyscy znają. Herszełe, trochę naburmuszony, domaga się tej o pierścieniu. Jakub nigdy nie daje się prosić i zaczyna opowiadać.

– Był sobie raz pewien człowiek – zaczyna. – Miał on niezwykły pierścień, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Ten, kto ów pierścień nosił, był szczęśliwym człowiekiem, dobrze mu się wiodło, jednak przez ten dobrobyt nie zatracał współczucia dla innych i nie uchylał się od pomagania im. Pierścień należał więc do dobrych ludzi i każdy z nich przekazywał go swojemu dziecku.

Lecz zdarzyło się, że jednym rodzicom urodziło się naraz trzech synów. I dorastali zdrowo i w miłości braterskiej, dzieląc się wszystkim i we wszystkim się wspomagając. Rodzice zachodzili w głowę, jak to będzie, gdy dorosną i trzeba będzie jednego z nich obdarować pierścieniem. Długo rozmawiali po nocach, aż w końcu matka dzieci zaproponowała takie rozwiązanie: trzeba zanieść pierścień do najlepszego złotnika i kazać zrobić jeszcze dwa takie same. Złotnik musi zadbać o to, żeby pierścienie były identyczne i żeby nie dało się rozpoznać, który z nich był pierwowzorem. Długo szukali, aż znaleźli jednego, niezwykle zdolnego, któremu z wielkim staraniem i mozołem udało się wykonać to zadanie. Kiedy rodzice przyszli odebrać pierścienie, złotnik pomieszał przed nimi wszystkie trzy tak, że nie mogli rozpoznać, który był pierwszy, a które na jego wzór wykonane. Toż samo i złotnik – sam się zdziwił, nie mogąc odróżnić, który jest który.

Kiedy synowie osiągnęli pełnoletność, odbyła się huczna uroczystość, na której rodzice wręczyli chłopcom pierścienie. Chłopcy wcale nie byli zadowoleni, choć starali się tego nie okazać, żeby nie sprawić przykrości rodzicom. Każdy z nich w głębi serca uważał, że to on dostał prawdziwy pierścień, i zaczęli patrzeć na siebie podejrzliwie i nieufnie. Po śmierci rodziców natychmiast poszli do sędziego, żeby to on raz na zawsze rozstrzygnął wątpliwości. Ale i mądry sędzia nie zdołał tego uczynić

i zamiast wydać wyrok, powiedział im: „Podobno klejnot ma właściwość czynienia jego posiadacza miłym Bogu i ludziom. Jako iż wydaje się to nie stosować do żadnego z was, to możliwe, że autentyczny pierścień się zagubił. Dlatego żyjcie tak, jakby to wasz pierścień był prawdziwy, a życie pokaże, czy to prawda”.

I tak jak te trzy pierścienie, tak są i trzy religie. A kto się w jednej urodził, powinien wziąć dwie pozostałe jak dwa pantofle i w nich iść do zbawienia.

Moliwda zna tę opowieść. Ostatnio słyszał ją od muzułmanina, z którym robił interesy. Jego samego przejęła zaś bardzo modlitwa Nachmana – podsłuchiwał go, jak ten się modlił śpiewnie po hebrajsku. Nie wie, czy spamiętał wszystko, a to, co spamiętał, ujął w polskie słowa, ułożył i teraz, kiedy tę modlitwę sobie w głowie przepowiada, rozsmakowując się w jej rytmie, usta zalewa mu fala przyjemności, jakby jadł co dobrego, słodkiego.

Bije skrzydłami i eteru szuka
Niezwyciężona ma dusza,
Nie przypomina żurawia ni kruka,
Gdy w otchłań nieba wyrusza.

Nie da się zamknąć w siarce i żelazie,
W serca kaprysach nie zbłądzi
I nigdy nie zemrze w murów zarazie,
W ludzkiej płochości i sądzie.

Mury rozwali i poleci dalej,
Nad gładkie słówka i plotki,
Bo nie chce ulic, nie chce alei,
Frunie zaś nad opłotki.

Wolna bez granic buja w wszechbycie,

Z mądrości ludzkich się śmieje,
To co piękne, brzydkim nazywa skrycie,
Każdą ułudę rozwieje.

Wstrząsa piórami i za światłem patrzy,
Takim, co nie zmieścisz w słowach,
Nieważne dla niej, kto i jakie raczy
W tym świecie miejsce piastować.

Dopomóż, Ojcze, w językiem władaniu,
Pozwól mi ból mój wysłowić
I prawdy dodać ludzkiemu gadaniu,
By duszą boski sens złowić.

I ta słodkość dawno nieużywanego języka po chwili zmienia się w trudną do zniesienia tęsknotę.

Resztki. Cośmy zobaczyli u bogomiłów Moliwdy

Choć bardzo bym tego pragnął, nie umiem spisać wszystkiego, bo przecież rzeczy są ze sobą tak ściśle powiązane, że gdy tylko tknę końcem pióra jedną, to ona potrąca inną i za chwilę już rozlewa się przede mną wielkie morze. Jakąż to dla niego tamą są granice mojej kartki papieru czy szlak, jaki zostawia na niej moje pióro? Jak miałbym więc wyrazić to wszystko, co otrzymała moja dusza w tym życiu, i to w jednej książce?

Abulafia, któregom studiował z zapałem, mówi, że ludzka dusza jest częścią wielkiego strumienia kosmicznego, który płynie przez wszystkie stworzenia. To jest jeden ruch, jedna siła, ale gdy rodzi

się człowiek w materialnym ciele, gdy przychodzi na świat jako pojedynczy byt, owa dusza musi się oddzielić od reszty, inaczej człowiek taki nie mógłby żyć – dusza utonęłaby w Jednym, a człowiek oszalałby w kilka chwil. Dlatego dusza taka zostaje z a p i e c z ę t o w a n a, to znaczy wyciśnięte są na niej pieczęcie, które nie pozwalają jej zlać się z jednością i pozwalają działać w skończonym, ograniczonym świecie materii.

Trzeba nam umieć zachować równowagę. Jeżeli dusza będzie zbyt zachłanna, zbyt lepka, to zbyt dużo form do niej przeniknie i oddzieli ją od boskiego strumienia.

Powiedziane jest przecież: „Kto jest pełen samego siebie, nie ma w nim miejsca dla Boga”.

Wioska Moliwdy składała się z kilkunastu niedużych, schludnych, zbudowanych z kamienia i krytych łupkiem domów, między którymi biegły ścieżki obłożone kamyczkami; domy stały nieregularnie wokół zadeptanej łączki, przez którą przepływał strumień, tworząc niewielkie rozlewisko. Wyżej było ujęcie wody, konstrukcja zbudowana z drewna, która jak młyńskie koło napędzała jakieś maszyny, pewnie do mielenia ziarna. Za domami ciągnęły się ogródki i sady, gęste, zadbane, i mogliśmy od wejścia zobaczyć dojrzewające dynie.

Na suchej już o tej porze roku trawie bieliły się wielkie prostokąty płótna, które wyglądało, jakby tej wsi przydano białe świąteczne kołnierze. Jakoś tu było dziwnie jak na wioskę i szybko uświadomiłem sobie, że nie ma tu ptactwa, tego co tak oczywiste w każdej wsi: grzebiących w ziemi kur, kołyszących się niezgrabnie kaczek, gęgających nieustannie gęsi i atakujących wściekle gąsiorów.

Nasze nadejście spowodowało prawdziwy rwetes, najpierw wybiegły ku nam dzieci czujki, które pierwsze zauważyły przybyszów. Stropione obecnością obcych, garnęły się do Moliwdy, jakby były jego dziećmi, a on do nich mówił czule jakąś mową chropowatą, nieznaną nam. Potem pojawili się skądś mężczyźni, brodaci, przysadziści, w koszulach z surowego lnu, łagodni, dopiero za nimi przybiegły ze śmiechem kobiety. I wszyscy byli ubrani na biało, w len, i widocznie sami ten len uprawiali, bo na błoniach wokół wsi świeciły wszędzie w słońcu rozłożone do wybielenia świeżo tkane sztuki.

Moliwda zdjął worki z tym, co zakupił w mieście. Kazał włościanom przywitać gości, co ci chętnie uczynili, otaczając nas kołem i śpiewając jakąś krótką radosną pieśń. Gestem powitania była tutaj dłoń położona na sercu, a potem przeniesiona do ust. Ujęli mnie swoją powierzchownością i zachowaniem chłopi, choć słowo to, przywiezione z Podola, zdawało się dotyczyć jakiejś innej odmiany ludzi, ci byli bowiem pogodni i zadowoleni, i widać było, że syci.

Staliśmy zupełnie zaskoczeni i nawet Jakub, którego zwykle nic nie było w stanie zadziwić, wyglądał na zbitego z tropu – na chwilę jakby zapomniał, kim jest, wobec ogromu tej serdeczności. I to, że my byliśmy Żydami, w niczym im nie wadziło, a wręcz przeciwnie, właśnie dlatego, żeśmy byli obcy, zdawali się do nas dobrze nastawieni. Tylko Osman wydawał się nie dziwić niczemu i ciągle wypytywał Moliwdę a to o zaopatrzenie, a to o podział pracy, a to o dochody z upraw warzyw i tkania, lecz Moliwda wcale się dobry w odpowiedziach na te pytania nie czuł i okazało się ku naszemu zdziwieniu, że najwięcej do powiedzenia o tych sprawach miała tutaj kobieta, o której mówili Matka, choć nie była stara.

Zaprowadzono nas do dużej izby, gdzie młodzi ludzie, dziewczyny i chłopcy, usługiwali nam, gdyśmy jedli. Jedzenie było proste i smaczne – stary miód, suszone owoce, oliwa i pasta z bakłażanów, nakładana na placki pieczone wprost na gorącym kamieniu, a do tego źródlana woda.

Moliwda zachowywał się godnie i spokojnie, ale zauważyłem, że choć go traktowano z szacunkiem, to jednak nie jak pana. Wszyscy mówili do niego „brate”, a on się zwracał do nich także „brate” i „sestro”, co znaczyło, że uważają się za braci i siostry, niczym wielka rodzina. Gdyśmy już byli syci, przyszła do nas kobieta, też cała w bieli, którą oni nazywali Matką, siadła z nami i uśmiechała się do nas ciepło, ale niewiele mówiła. Widać było, że pan Moliwda poważa ją bardzo, bo gdy tylko zaczęła się zbierać, on wstał, a za nim myśmy wstali i rozprowadzono nas do izb, gdzieśmy mieli nocleg. Wszystko tu było bardzo skromne i czyste, spało mi się doskonale, a byłem tak zmęczony, żem już sił nie miał, żeby zapisywać wszystko na bieżąco. Jak na przykład to, że w mojej izbie były tylko posłanie na drewnianej podłodze i kij zawieszony na sznurach jako szafa, gdzie mogłem powiesić swoje ubranie.

Na drugi dzień oglądaliśmy z Jakubem, jak sobie to wszystko dobrze Moliwda urządził.

Ma wokół siebie dwunastu braci i dwanaście sióstr – to oni są zarządem tej wsi, na równych prawach, kobiety i mężczyźni. Kiedy trzeba coś ustalić, zbierają się na placyku nad stawem i głosują. Gdy coś akceptują, podnoszą rękę. Wszystkie chaty i dobrodziejstwa, jak studnia, wozy, konie, należą do wszystkich, do ogółu – każdy, czego tylko potrzebuje, bierze to sobie niejako w arendę, pożycza, a potem, gdy już skorzysta, oddaje. Dzieci jest niewiele, bo dla nich płodzenie dzieci to grzech, a te, które są, nie

pozostają przy matkach, ale też traktuje się je niczym wspólne, zajmuje się nimi kilka starszych kobiet, bo młodsze pracują w polu albo przy domu. Widzieliśmy, jak malowały ściany domów i dodawały do bielidła jakiegoś barwnika, tak iż domy były niebieskie. Dzieciom nie mówi się, kto jest ich ojcem, i ojcom też nie; mogłoby to rodzić niesprawiedliwości, forowanie swoich potomków. A ponieważ kobiety to wiedzą, mają tu ważną rolę, równą mężczyznom, i widać, że przez to te kobiety są tutaj jakieś inne – spokojne bardziej i rozumne, roztropne. Rachunki gminne prowadzi kobieta: pisze, czyta i liczy – bardzo uczona. Moliwda zwraca się do niej z szacunkiem.

Zastanawialiśmy się wszyscy, jaka tu jest rola Moliwdy, czy on tu rządzi, czy pomaga, czy jest na usługach tej kobiety, a może to ona na jego. Lecz on nas obśmiał i drwił z nas, że wszystko widzimy w stary, najgorszy sposób: że wszędzie ma być drabina, jeden stoi nad drugim i przymusza go do wszystkiego. Ten ważniejszy, ten mniej ważny. A oni tutaj, w tej wiosce pod Krajową, zupełnie inaczej to ułożyli. Wszyscy są równi. Każdy ma prawo do życia, jedzenia, radości i pracy. Każdy może odejść w każdej chwili. Czy ktoś odchodzi? Czasami, rzadko. Gdzie miałby pójść?

A jednak mieliśmy przemożne wrażenie, że Moliwda tu współrządzi razem z tą kobietą o łagodnym uśmiechu. Wszyscyśmy się od razu cicho zastanawiali, czy ona nie jest jego żoną, lecz on nas szybko wyprowadził z błędu: jest siostrą, tak jak każda tutaj kobieta. „Czy z nimi sypiasz?”, zapytał go Jakub prosto z mostu. Moliwda tylko wzruszył ramionami i pokazał nam wielkie, starannie utrzymane warzywniki, w których plony osiąga się dwa razy w roku, i powiedział, że z tego właśnie wspólnota

żyje, z darów słońca, bo jakby spojrzeć na to tak, jak on patrzy, to wszystko jest ze słońca, ze światła, za darmo i dla każdego.

Posiłek jedliśmy przy długich stołach, do których zasiadali wszyscy, przedtem głośno odmawiając modlitwę w języku, którego nie umiałem rozpoznać.

Nie jedli mięsa, tylko pokarmy roślinne, z rzadka sery, gdy ich kto obdarował. Jajek jeść się brzydzili tak samo jak mięsa. Z warzyw nie jedli bobu, bo uważali, że tam mogą przebywać na chwilę dusze przed urodzeniem, w ziarenkach ułożonych w strąku niczym w cennej szkatułce. W tym się zgadzaliśmy: że niektóre rośliny mają więcej światła niż inne – najwięcej ma ogórek, a także bakłażan i wszelkie odmiany podłużnych melonów.

Wierzyli w wędrówkę dusz, jako i my, i na dodatek Moliwda uważał, że ta wiara była kiedyś powszechna, dopóki jej chrześcijaństwo u siebie nie pogrzebało. Cenili planety i nazywali je rządcami.

Co nas zastanowiło, choć nie daliśmy tego z Jakubem poznać po sobie, to to, że było wiele podobieństw do tego, cośmy sami uważali. Wierzyli na przykład w świętą mowę, której używano podczas wtajemniczeń. Jej świętość polegała na tym, że była na odwrót – była bezwstydna. Każdy, kto przechodził inicjację, musiał wysłuchać opowiadania obrażającego ogólną przystojność, a wzięło się to z bardzo dawnej tradycji ich wiary, z pogańskich jeszcze misteriów poświęconych starej bogini Baubo albo rozpasanemu greckiemu bogu Bachusowi. Imiona tych bogów pierwszy raz usłyszałem, Moliwda je wypowiedział szybko i jakby wstydliwie, lecz zaraz je sobie zapisałem.

Po obiedzie usiedliśmy przy słodyczach w domku Moliwdy, a były to te tradycyjne tureckie baklawy; podano do tego odrobinę wina, własnego – widziałem małą winnicę za ogrodami.

– Jak wy się modlicie? – zapytał go Jakub.

– A to jest rzecz najprostsza z najprostszych – powiedział Moliwda – bo to jest modlitwa serca: „Panie Jezu Chryste, miej miłosierdzie nade mną”. Nic specjalnego robić nie trzeba. Bóg cię słyszy.

Małżeństwo jest grzeszne, powiedzieli nam jeszcze. To na tym polega grzech Adama i Ewy, bo powinno być tak jak w naturze – ludzie mają się łączyć duchem, a nie martwą regułą. Ci, którzy połączą się duchem, bracia i siostry duchowi, mogą obcować ze sobą fizycznie i dzieci z tych związków są darami. Te, które pochodzą od par małżeńskich, są „dziećmi martwego prawa”.

Wieczorem ustawili się w koło i zaczęli tańczyć wokół kobiety, która była panną. Najpierw występowała w białych szatach, po świętym zaś akcie zmieniła szatę na czerwoną, a na koniec, gdy wszyscy, wycieńczeni szaleńczym tanecznym galopem wokół niej, padali już ze zmęczenia, nałożyła na siebie czarny płaszcz.

Wszystko to wydało nam się dziwnie znajome i wracając do Krajowy, do kantoru Jakuba, mówiliśmy jeden przez drugiego podnieceni i potem długo w nocy spać nie mogliśmy.

Kilka dni potem Nussen i ja ruszyliśmy do Polski z towarem i z wieściami. Przez cały czas w podróży głowy mieliśmy pełne obrazków ze wsi Moliwdy. Zwłaszcza Nussen marzył, przejęty, gdyśmy znów przekraczali Dniestr, że takie wsie można i u nas na Podolu zakładać. Mnie zaś najbardziej spodobało się, że nieważne było tam, czy jesteśmy matką, czy ojcem, córką czy synem, kobietą czy mężczyzną. Nie ma między nami bowiem większej różnicy. Wszyscy jesteśmy formami, które przybiera światło, kiedy tylko muśnie materię.

12

O wyprawie Jakuba do grobu Natana z Gazy

Kto się zachowuje tak bezrozumnie jak Jakub w podróży do grobu Natana proroka, musi być szaleńcem albo świętym – pisze Abraham do swojego brata Towy. – Interes mój ucierpiał na tym, że zatrudniłem tutaj Twojego zięcia. Więcej było gadania i ludzi w moim sklepie niż kiedykolwiek indziej, lecz zysk okazał się z tego niewielki. Twój zięć nie nadaje się według mnie do sklepu, lecz nie mówię tego z przyganą, wiem bowiem, jakie wobec niego masz oczekiwania. To człowiek niespokojny i wewnętrznie wzburzony, to nie jest mędrzec, ale rebeliant. Rzucił wszystko i niezadowolony z pieniędzy, którymi wynagrodziłem go za pracę, sam się wynagrodził, zabierając mi kilka cennych rzeczy, których spis Ci załączam na osobnej karcie. Mam nadzieję, że wpłyniesz na niego, żeby mi sumę wyszacowaną zwrócił. Umyślili sobie, on i jego zwolennicy, że odwiedzą grób Natana z Gazy, niech imię jego będzie błogosławione. I choć to cel szczytny, to przez swoje gorące głowy zrobili to zbyt nagle, porzuciwszy wszystko – powiedziałbym – jak stali, choć mieli na tyle czasu, żeby poobrażać jednych, a od drugich pozaciągać pożyczki. Nie ma tu już dla niego miejsca, nawet gdyby chciał wrócić, choć mniemam, że wrócić nie będzie chciał.

Głęboko wierzę, że wiesz, coście zrobili, wydając Chanę za kogoś takiego. Wierzę w Twoją mądrość i głęboką roztropność, która często wychodzi poza proste rozumienie. Powiem Ci tylko, że czuję po tym, jak wyjechał, wielką ulgę. Twój zięć nie nadaje się do kantoru. Myślę, że w ogóle do wielu rzeczy się nie nadaje.

O tym, jak Nachman podąża śladami Jakuba

Wreszcie, z początkiem lata, załatwiwszy wszystkie sprawy w Polsce, pozbierawszy listy i zgromadziwszy trochę towaru, Nachman z Nussenem ruszają na południe. Droga prowadzi w kierunku Dniestru, polem; gdy jadą, świeci piękne słońce, niebo wydaje się ogromne.

Nachman ma dość tego podolskiego brudu, małości wiejskiej, zawiści i prostactwa; tęskni za figami na drzewie i zapachem kaffy, a najbardziej – za Jakubem. Isocharowi wiezie prezenty od Szora, dla reb Mordkego ma bursztynowe krople z samego Gdańska, lek, który pomaga na jego bolące stawy.

Brzegi rzeki kompletnie wyschły i teraz pokrywa je brązowa, sucha jak pieprz trawa, która pod krokami ludzi i zwierząt rozpada się w proch. Nachman stoi na nabrzeżu i patrzy na południe, na drugą stronę. Nagle słyszy szelest w burzanach nieopodal i po chwili wychodzi stamtąd biało-czarna suka z nabrzmiałymi sutkami, chuda i brudna. Za nią gramolą się szczenięta. Suka mija go, nie zauważywszy nieruchomo stojącego człowieka, ale jedno ze szczeniąt dostrzega go i przystaje zdumione. Przez chwilę mierzą się wzrokiem. Szczenię patrzy ciekawie i ufnie, potem nagle, jakby ktoś je ostrzegł, że stoi oko w oko z największym wrogiem, umyka za matką. Nachman bierze to za zły znak.

Wieczorem przeprawiają się przez Dniestr. Przy rzece chłopi palą ogniska, a po wodzie płyną wianki z zapalonymi światełkami. Wszędzie słychać chichoty i pokrzykiwania. U brzegu, po kolana w wodzie, stoją dziewczęta w długich białych koszulach podkasanych do pół uda. Mają rozpuszczone włosy i wianki na głowie. Patrzą na nich, Żydów na koniach, w milczeniu, aż Nachman zaczyna myśleć, że to wcale nie dziewczęta ze wsi ich żegnają, ale wodnice, te, które nocą wypływają na powierzchnię i topią napotkanych ludzi. Nagle któraś nachyla się i zaczyna pryskać na nich wodą, inne dołączają ze śmiechem, więc mężczyźni poganiają konie.

Wieści o jakimś „świętym mężu” dochodzą do nich tym częściej i są tym barwniejsze, im głębiej zapuszczają się w kraj turecki. Na razie ignorują je. Lecz nie da się tego robić zbyt długo. Na postojach, gdzie zazwyczaj podróżni żydowscy przekazują sobie plotki zebrane po drodze, dowiadują się coraz więcej szczegółów, jak na przykład to, że „święty mąż” z wielką kompanią jest w Sofii i czyni cuda. Wielu ma go za hochsztaplera. W ich opowieściach jest to stary Żyd z Turcji, kiedy indziej młodzieniec z Bukaresztu, tak więc nie od razu staje się jasne, że ci wszyscy ludzie, ci podróżni, mówią o Jakubie. To Nachmana

i Nussena bardzo wzburza, nie śpią przez całą noc, próbując zgadnąć, co stało się pod ich nieobecność. I zamiast się cieszyć – bo czy nie tego wyczekiwali? – zaczynają się bać. Najlepszym lekarstwem na lęk i niepokój jest skrzynka do pisania. Nachman wyciąga ją na każdym postoju i notuje, co mówią o Jakubie. Wygląda to tak:

> W jednej ze wsi przez pół dnia przeskakiwał na koniu dół pewien, głęboki, do którego niebezpiecznie byłoby wpaść. Koń, zmęczony, zapierał się już kopytami, ale go Jakub jeszcze dręczył. Wkrótce wokół niego i dołu stała cała wieś, przyjechali też tureccy strażnicy – chcieli zobaczyć, co to za zbiegowisko i czy przypadkiem nie przeciwko sułtanowi burzy się lud.

Albo:

> Jakub podszedł do pewnego bogato wyglądającego kupca, sięgnął mu do kieszeni, wyciągnął stamtąd coś jakby węża i machając nim, krzyczał nad głowami ludzi. Zrobił się tumult straszny, a przeraźliwy pisk kobiet spłoszył konie tureckich strażników, Jakub zaś wybuchnął takim śmiechem, że pokładał się i tarzał w piasku. Wtedy ciżba, zawstydzona, zobaczyła, że to nie żaden wąż, ale wstęga z drewnianych korali.

Czy też na przykład:

> W jakiejś wielkiej bóżnicy wszedł na bimę, a gdy miano już czytać Prawa Mojżeszowe, wyrwał pulpit i zaczął nim wymachiwać, grożąc, że wszystkich pozabija. Wtedy to ludzie uciekli z synagogi, sądząc, że to wariat, który poważy się na wszystko.

Lub:

Kiedyś napadł go na drodze rozbójnik. Jakub tylko krzyknął w niebo i zaraz zebrała się w mgnieniu oka burza z piorunami, co tak wystraszyło zbójców, że uciekli.

Teraz małymi literkami Nachman dopisuje:

Gnaliśmy do Sofii, ale tam go już jednak nie zastaliśmy. Rozpytywaliśmy o niego naszych i wszyscy z ożywieniem opowiadali, co tu wyprawiał, i że koniec końców ruszyli całą grupą do Salonik. I teraz to ponoć jak cadyk jechał wozem na przedzie, a za nim inne wozy, fury, konni i piesi – cała droga zajęta, kurz nad głowami. A gdzie się tylko zatrzymywał, tam wszyscy ciekawie pytali, kto zacz, a gdy im wyjaśniano, i oni porzucali, co tam wtedy robili, i otarłszy ręce o kapotę, dołączali do tej karawany, choćby z ciekawości. Tak nam mówili. I jeszcze rozpływali się ci mówcy nad dorodnością koni i jakością powozów, zapewniali, że to są setki ludzi.

Mnie się jednak wydaje, że znam tę „kompanię”. Nędzarze i obdartusy, co to miejsca nigdzie nie zagrzeją. Chorzy, ułomni z nadzieją na jakiś mały cud, ale bardziej niż cudu żądni sensacji i awantury. Podrostki, które wyrwały się z domu spod ciężkiej ręki ojca, kupcy, którzy przez brak rozwagi stracili wszystko, a teraz pełni goryczy i złości szukają jakiegokolwiek zadośćuczynienia, szaleńcy wszelkiej maści i tacy, co to uciekli od rodzin, dość mając nudnych obowiązków. A do tego jeszcze kobiety, żebrzące albo te lekkich obyczajów, wietrzące dla siebie korzyści w tak dużej grupie, albo jakieś porzucone wdowy, niechciane przez nikogo, z dzieckiem na ręku, a też i chrześcijanie łapserdaki, włóczędzy,

bez nijakiego zatrudnienia. Wszystko to ciągnęło za Jakubem i gdyby ich zapytać, o co tu chodzi, za kim idą, nie bardzo by wiedzieli.

W Skopje prosiłem naszego proroka Natana przy jego grobie, prosiłem cicho, nawet nie poruszając wargami, ale w samych myślach, najskryciej, byśmy się jak najszybciej z Jakubem spotkali, i czasem przychodziły mi do głowy myśli wskazujące, że brak mi pokory i właściwej oceny mojej osoby, zaczynałem myśleć, że on tak beze mnie szaleje i że gdy tylko go odnajdę, on się uspokoi i przestanie uparcie naśladować Pierwszego, niech jego imię będzie błogosławione. Że ten tumult na drodze to znak dla mnie, iż mnie potrzebuje.

W Salonikach Nachman z Nussenem znaleźli się 2 dnia miesiąca elul 5514 roku, czyli 20 sierpnia 1754, i od razu, choć było już ciemno i choć padali ze zmęczenia, poszli szukać Jakuba. Była gorąca noc, mury miasta rozgrzane, powietrze chłodziło się leniwie, lekkimi podmuchami wiatru gdzieś od gór, wtedy powiew niósł zapach żywych roślin, drewna i liści. W mieście wszystko było wyschnięte na pieprz. Pachniało skądś pomarańczami, takimi, co to już nabrzmiałe od soku są najsłodsze i najlepsze do jedzenia, ale za chwilę staną się przejrzałe i cuchnące.

Nachman zobaczył go pierwszy, pod bet midrasz, gdzie odbywały się zawsze dysputy Żydów salonickich. Już się rozchodzili, było późno, Jakub stał jeszcze, rozmawiając o czymś żywo, otoczony mężczyznami. Nachman ujrzał wśród z grecka ubranych młodzieńców małego Herszełe. Podszedł bliżej i choć nie słyszał, o czym mówią, zaczął drżeć. Trudno to wytłumaczyć, bo noc była upalna. Zapisał:

Teraz dopiero zrozumiałem, jakem tęsknił do niego; teraz dopiero opadł ze mnie cały pośpiech podróżny, całe to rozgorączkowanie, które nie opuszczało mnie przez ostatnie miesiące.

„Co mówi ten człowiek?” – zapytałem stojącego obok mężczyznę.

„Mówi, że Szabtaj nie był wcale Mesjaszem z boską naturą, lecz zwykłym prorokiem, który miał zapowiedzieć swojego następcę”.

„Ma rację – odezwał się stojący obok mnie inny człowiek. – Gdyby miał naturę prosto od Boga, zmieniłby świat widocznie. A tak, czy się co zmieniło?”

Nie wdałem się w te rozważania.

Ujrzałem go pomiędzy innymi. Schudł i zmarniał. Urosła mu broda. Ale pojawiło się w nim też coś nowego – większa zapalczywość i pewność siebie. Kto go do tego przywiódł, kto mu pomógł stać się takim, kiedy mnie nie było?

Gdym tak patrzył na jego ruchy, gdym słuchał, co mówił, zacząłem powoli pojmować, że dobrze się stało, iż on tym, co mówił, przynosił ulgę innym. Zdawało mi się też, że w jego sercu jest jakaś całość dająca wiedzę, w którą stronę należy iść i co robić. I patrzenie na niego czasami wystarczało; to samo przyciągało do niego innych ludzi.

Nie ma nic, co przyniosłoby większą ulgę niż pewność, że jest taki ktoś, kto w i e naprawdę. Bo my, zwykli ludzie, nigdy takiej pewności nie mamy.

Wiele razy, gdy byłem na Podolu z moją rodziną, myślałem o nim. Tęskniłem za nim, zwłaszcza przed snem, gdy myśli robiły, co chciały i nie można było już nad nimi zapanować. Było to smutne, bo obok leżała moja żona, której nie poświęcałem za wiele uwagi. Nasze dzieci rodziły się słabe i zaraz umierały. Ale nie o tym wtedy myślałem. Zdawało mi się, że twarz Jakuba stawała się moją twarzą, usypiałem z jego twarzą zamiast mojej. A teraz widziałem ją żywą przed sobą.

Dlatego wieczorem, gdy usiedliśmy w końcu wszyscy razem: Jakub, reb Mordke, Isochar, Nussen, mały Herszełe i ja, poczułem się szczęśliwy, a jako że nie zabrakło wina, upiłem się, ale w taki sposób, jakbym był dzieckiem – poczułem się bezbronny i gotowy na wszystko, co przyniesie los, i pewny, że cokolwiek się stanie, będę z Jakubem.

O tym, jak Jakub mierzy się z Antychrystem

W Salonikach żyje następca i syn Drugiego, czyli Baruchji, o którym mówi się: Konio.

Ma tutaj wielu wyznawców i wielu traktuje go jako świętego męża, w którym mieszka dusza Baruchji. Długo próbują się do niego dostać. Jego błogosławieństwo i wtajemniczenie przezeń Jakuba w nauki ojca potwierdziłoby Jakubową wyjątkowość. Nachman zanosi listy od Isochara i reb Mordkego pod wysoki dom w środku miasta, przypominający białą wieżę. Podobno wewnątrz budowli kryje się piękny ogród z fontanną i pawiami, ale z zewnątrz przypomina ona twierdzę. Białe ściany są gładkie, jakby zrobiono je ze śliskiego granitu. Na dodatek domu strzegą strażnicy, którzy raz poszarpali Nachmanowi ubranie, gdy zbyt natarczywie domagał się audiencji.

Jakub, poruszony najwyraźniej tą szkodą (kaftan Nachmana był nowiutki, właśnie go kupił na targu za spore pieniądze), mówi towarzyszom, żeby go zostawili pod tą niedostępną wieżą, a sami ukryli się w gaju. Potem opiera się o ścianę i zaczyna śpiewać najgłośniej jak potrafi, prawie ryczeć jak osioł, w starym języku sefardyjczyków. A gdy kończy piosenkę, to zaczyna ją zaraz od początku, przy każdej ścianie, z każdej strony domu.

– Machszawa se in fue esta... – drze się, fałszując, i wykrzywia twarz, skręca się w dziwnych pozach, co ściąga oczywiście gapiów, którzy tłumią śmiech na jego widok; robi się zbiegowisko i tumult.

I wtedy otwiera się okienko, małe, wysokie, i wychyla się głowa samego Konia; woła coś w dół w ladino, a Jakub odpowiada i tak przez

chwilę rozmawiają. Nachman patrzy pytająco na Isochara, który zna tę starą mowę Żydów z Hiszpanii.

– Domaga się widzenia – tłumaczy Isochar.

Okienko się zatrzaskuje.

Jakub śpiewa pod wieżą do wieczora, aż zupełnie chrypnie.

Nic nie da się zrobić. Konio jest niedostępny i nie interesują go przybysze z Polski. Nawet jeżeli jest z nimi Mądry Jakub, który śpiewał pod jego oknami. Bo tak już mówi się o Jakubie. Mądry Jakub.

A pełno jest w owym czasie w Salonikach wszelakiej maści magów i cudotwórców, na każdym rogu ulicy naucza jakiś samozwańczy mesjasz lub czarnoksiężnik. Dużo mówi się o pewnym Żydzie, który uważa się za Mesjasza Antychrysta, i podobno jest tak, że kto tylko zamieni z nim choćby słowo, ten od razu do niego przystaje.

Jakub chce go wypróbować, zmierzyć się z kimś takim. Rozpowiada o tym zamiarze przez kilka dni, aż w końcu zbiera się przy nim cała grupa – drobni handlarze, studenci, domokrążcy, szewcy, którzy pozamykali kramy, byle tylko zobaczyć coś niecodziennego. Idą hałaśliwie przez miasto i znajdują tego człowieka z jego świtą na ogrodowym dziedzińcu, gdzie naucza swoich. Jest to duży, postawny chłop o ciemnej karnacji, sefardyjczyk, z gołą głową i włosami skręconymi w długie sfilcowane postronki. Ma na sobie białą szatę, która przy ciemnej cerze wydaje się świecić. Jakub siada przed nim ze swoim uśmieszkiem, który przybiera, gdy coś knuje, i pyta go bezczelnie, co on za jeden. Tamten, przyzwyczajony do posłuchu, odpowiada spokojnie, że jest Mesjaszem.

– Daj na to jakiś znak – mówi do niego Jakub, patrząc po ludziach, którzy są świadkami.

Tamten wstaje i chce odejść, ale Jakub nie rezygnuje. Idzie za nim i powtarza:

– Daj na to jakiś znak. Przenieś ten kawałek fontanny pod mur. Jako Mesjasz potrafisz to zrobić.

– Odejdź – mówi tamten. – Nie chcę z tobą rozmawiać.

Jakub nie daje mu spokoju. Tamten odwraca się doń i zaczyna szeptać jakieś zaklęcia. Wtedy Jakub łapie go za te postronki na głowie, co

prowokuje towarzyszy i stają w jego obronie. Pchnięty, Jakub upada w piach.

Wieczorem rozpowiada wszystkim, których za dnia z nim nie było, że jak tamten biblijny Jakub walczył z aniołem, tak ten Jakub walczył z Antychrystem.

Nachman, stęskniony po długiej rozłące, chodzi z Jakubem wszędzie, gdzie się tylko da, przez co zaniedbuje i interesy, i nauki. Odłogiem leżą sprawy związane z zarabianiem pieniędzy. Towar przywieziony z Polski pozostaje wciąż jeszcze niesprzedany. Niektóre uczynki Jakuba bardzo go zawstydzają, niektórych nie umie zaakceptować. Jakub włóczy się po mieście, szukając okazji do bójki lub sporu. Upatruje sobie na przykład jakiegoś uczonego Żyda, zadaje mu jakieś inteligentne pytanie i tak obraca sprawę, że tamten, czując się w obowiązku odpowiedzieć, zostaje wciągnięty w jego wywody. Nim się obejrzy taki uczony, a już siedzą obaj w kawiarni tureckiej i piją kaffę, i Jakub częstuje tamtego fajką, a tamten jakoś nie śmie odmówić, a przecież jest szabat! Gdy zaś dochodzi do płacenia, a przecież religijny Żyd nie może mieć przy sobie w szabat pieniędzy, Jakub ściąga mu z głowy zawój i zastawia, przez co tamten, ośmieszony, musi wracać potem do domu z gołą głową. Jakub wyprawia takie rzeczy, że aż zaczynają się go wszyscy bać. Także swoi.

Nachmanowi trudno jest znieść takie poniżanie kogokolwiek, nawet jeśli byłby to wróg największy. Jakub zaś jest z siebie wielce zadowolony:

– Kto się boi, ten szanuje, tak już jest.

Wkrótce Jakuba rozpoznają wszyscy w Salonikach i reb Mordke z Isocharem postanawiają, że powinni uwolnić go od zajmowania się handlem. I że oni sami też powinni poświęcić się nauce.

– Załatw wszystko, co masz do załatwienia, ale kontaktów już nie szukaj – mówi reb Mordke do zaskoczonego Nachmana.

– Jakże to? – pyta zdumiony Nachman. – A z czegoż to będziemy żyć? Co jeść?

– Z jałmużny – odpowiada reb Mordke prostodusznie.

– Przecież nigdy do tej pory praca nie stała na przeszkodzie nauce – broni się Nachman.

– Teraz stanęła.

Jak wygląda ruach ha-kodesz, gdy duch schodzi w człowieka

W miesiącu kislew 5515 roku, czyli w listopadzie 1754, ogłasza Jakub ustami i pismami Nachmana, że otwiera własny bet midrasz, swoją szkołę, i od razu zgłasza się wielu chętnych. Zwłaszcza że – rzecz absolutnie niezwykła – pierwszym uczniem zostaje rabbi Mordechaj, reb Mordke. Uroczyście wprowadzony, skupia na swojej dostojnej postaci wiele spojrzeń; jemu się ufa i ceni się go bardzo. Skoro on zawierza temu Jakubowi, to Jakub musi być kimś szczególnym. Kilka dni potem wprowadza Jakub do swojej szkoły Nachmana i Nussena. Nachman wydaje się onieśmielony – występuje w nowym greckim ubraniu, które zakupił sobie za pieniądze ze sprzedaży wosku przywiezionego z Podola.

Kilkanaście dni później dochodzi do nich wiadomość, że w Nikopolu Chana powiła córeczkę i tak jak pierwotnie ustalili z Jakubem, dała jej na imię Awacza, Ewa. Mieli tego zapowiedź – oślica Nussena wydała na świat bliźnięta: choć sama jest szara, to jedno z ośląt, samica, było zupełnie białe, a drugie, samiec, ciemne, o niezwykłym kolorze jakby kaffy. Jakub jest uradowany, na kilka dni poważnieje i każdemu opowiada, że urodziła mu się córka i tego samego dnia on sam urodził szkołę.

Potem wydarza się coś dziwnego, coś, czego długo oczekiwano, a przynajmniej o czym było wiadomo, że stać się musi, że jest nieuniknione. Trudno to opisać, choć idzie o pojedyncze wydarzenie, w którym przecież wszystko dzieje się po kolei i na każdy ruch, na każdy obraz istnieje odpowiednie słowo... Może lepiej, jeśli opowie to świadek, szczególnie, że i tak wszystko zapisuje.

Niedługo potem zerwał mnie ze snu Nussen, mówiąc, że coś dziwnego dzieje się z Jakubem. Ten miał zwyczaj długo w nocy siedzieć i czytać, dlatego wszyscy szli spać przed nim. Nussen pobudził jeszcze innych, którzy byli wtedy u nas w medreszu, a ci, zaspani i przestraszeni, zeszli się w izbie Jakuba, gdzie paliło się kilka lampek i gdzie był już rabbi Mordechaj. Jakub stał na środku wśród poprzewracanych mebli, półnagi, szarawary ledwie trzymały mu się na chudych biodrach, skóra lśniła od potu, a twarz miał bladą, oczy jakieś dziwne, niewidzące, drżał na całym ciele, jakby go atak gorączki chwycił. Trwało to jakiś czas, że tak staliśmy, patrząc na niego i czekając, co się wydarzy, a nikt nie miał śmiałości go dotknąć. Mordechaj jął odmawiać modlitwę jakimś płaczliwym, pełnym przejęcia głosem, tak że i mnie się udzieliło drżenie, i inni też zmartwieli na widok tego, co się działo na ich oczach. Bo oto stało się jasne, że schodził między nas duch. Zasłony między tym i tamtym światem zostały naruszone, ten czas tracił dziewictwo, przepychał się do nas duch, niczym taran. W małej dusznej izbie aż gęsto było od woni naszego potu i unosił się jeszcze jakby zapach surowego mięsa, jakby krwi. Zrobiło mi się mdło, a potem poczułem, że wszystkie włosy na ciele stają mi dęba; widziałem też, że męskość Jakuba rośnie i wybrzusza materiał jego szarawarów, aż w końcu jęknął i upadł na kolana z opuszczoną głową. Po chwili odezwał się cicho i ochryple słowami, które nie wszyscy zrozumieli: „Mostro Signor abascharo”, co reb Mordke powtórzył po naszemu: „Nasz Pan schodzi”.

Tak klęczał Jakub w nienaturalnej pozycji, skurczony, pot wystąpił na jego plecy i ramiona, twarz okleiły mokre włosy. Jego ciało drżało lekko raz po raz, jakby przechodziły przez nie fale

zimnego powietrza. Potem, po długiej chwili, upadł bez czucia na podłogę.

Tak wygląda ruach ha-kodesz, gdy duch schodzi w człowieka. Przypomina chorobę, lepką i nieuleczalną, jak nagłe osłabienie. Można się czuć rozczarowanym. Większość ludzi myśli bowiem, że jest to chwila uroczysta i podniosła. A to raczej przypomina biczowanie albo poród.

Gdy Jakub klęczał skurczony jakby w bolesnym spazmie, Nachman zobaczył nad nim poświatę i wskazał ją komuś palcem – jaśniejsze, jakby rozżarzone zimnym światłem powietrze, nierówną aureolę. Wtedy dopiero, na widok tego światła, pozostali runęli na klęczki, a nad nimi wolno, niczym w wodzie, krążyło coś na kształt lśniących opiłków żelaza.

Wieść o tym wszystkim szybko rozeszła się po mieście i pod domem, gdzie mieszkał Jakub, koczowali teraz ludzie. Na dodatek zaczął on miewać widzenia.

Nachman skrupulatnie je notował:

Poprowadzony między pokoje unosił się w powietrzu, a po jego bokach były dwie piękne panny. W pokojach widział wiele kobiet i mężczyzn, a w niektórych pomieszczeniach dostrzegł medresze, i słyszał z góry, o czym tam mówili, i wszystko dobrze rozumiał już od pierwszego słowa. Pokoi tych było mnóstwo, a w ostatnim dojrzał Pierwszego, Szabtaja, niech imię jego będzie błogosławione – ubrany był w odzienie frankowskie, takie jak nasze, a wokół niego zgromadziło się wielu uczniów. Powiedział Pierwszy do Jakuba: „Tyżeś to Mądry Jakub? Słyszałem, że jesteś mocny i odważnego serca. To mnie cieszy, bo ja dotąd doszedłem i nie mam już mocy, by iść dalej. Wielu już wzięło przed nami ten ciężar na siebie, ale poupadali. Nie boisz się?”.

I pokazał Pierwszy Jakubowi otchłań, która wyglądała jak czarne morze. Na drugim, dalekim jej brzegu wznosiła się góra. Wtedy Jakub zawołał: „Niech się dzieje! Ja pójdę!”.

Wieść o tym widzeniu rozchodzi się po Salonikach, ludzie podają ją sobie z ust do ust, czasem z jakimś nowym szczegółem. Rozprzestrzenia się po mieście niczym wiadomość o przybyłych statkach z niezwykłym towarem. Jeszcze więcej ludzi przychodzi słuchać Jakuba z ciekawości, jego szkoła pęka w szwach. Kiedy idzie, ludzie ustępują mu z drogi z nabożnym szacunkiem. Niektórzy, śmielsi, wyciągają rękę, żeby dotknąć jego szaty. Zaczęli już mówić o nim chacham, czyli mędrzec, choć on się o to złości i powtarza wszystkim, że jest prostakiem. Nawet ci starzy, co znali się na dawnej kabale, uznają teraz, po owej wizji, jego wielkość. Kucają w cieniu i dyskutują, a ci najmądrzejsi dopatrują się w tym wszystkim tajemnych znaków od dawnych proroków.

Jakubowi śnią się też boskie pałace. Był tam gdzie Pierwszy. Widział te same drzwi. Szedł za nim. Szedł tą samą drogą.

Każdy dzień zaczynają od wysłuchania snów Jakuba. Czekają, aż się obudzi, są na jego pierwsze poruszenie. Nie wolno mu się podnieść ani niczego dotykać, ma tylko mówić od razu, prosto ze snu, jakby przynosił wieści z tamtych, większych, rozleglejszych światów, bliższych światła.

Przychodzą do nich również uczniowie syna Baruchji, tego Konia, co nie chciał ich przyjąć, i też słuchają Jakuba, z czego najbardziej cieszy się reb Mordke. Większość z nich odnosi się jednak do Jakuba podejrzliwie, z góry mając o nim wyrobione zdanie. Traktują go jak konkurencję, jak kogoś, kto bezczelnie wystawił obok nich kram ze zbawieniem, taki sam jak ich, ale ceny dał lepsze. Pytają głośno i teatralnie: Kim jest ten przybłęda?

Najwięcej jednak garnie się do Jakuba Żydów z Polski, tych, co mają w Salonikach jakieś interesy albo tu utknęli i nie wracają do rodzin, przetraciwszy pieniądze. Jak ich poznać? Bez kłopotu, rzucają się w oczy. Nachman na przykład umie od razu wyłowić ich z tłumu, nawet jeśli noszą już greckie lub tureckie ubrania i szybkim krokiem przemierzają zatłoczone uliczki. Widzi w nich siebie – cechują ich te

same gesty i postawa oraz trochę niepewny, trochę bezczelny krok. Najczęściej ci biedniejsi noszą ubrania szare, nijakie, i nawet gdy sobie który sprawił jaki szal czy lepszy płaszcz, to i tak wyzierają spod niego Rohatyn, Dawidów, Czerniowce. Nawet kiedy dla ochrony przed słońcem owinie taki głowę turbanem, to i tak Podhajce i Buczacz wychodzą mu ze spodni, Lwów wystaje z kieszeni, a kapcie, niby-greckie, rozczłapują się tak, jakby były prosto z Buska.

O tym, dlaczego Saloniki nie lubią Jakuba

Potem sytuacja się odmienia. Pewnego dnia, gdy Jakub naucza, do sali wpadają jakieś osiłki uzbrojone w kije. Rzucają się na tych, co stoją najbliżej drzwi. Walą na oślep. Obrywa się Nussenowi, ma rozbity nos, krwawi. Na podłodze ślady krwi, słychać krzyk i zgiełk. Uczniowie uciekają na zewnątrz, boją się przyjść ponownie, bo powtarza się to następnego dnia. Wszyscy wiedzą, że to wyznawcy Konia, syna Baruchji, usiłują przegonić Jakuba, upierając się, że tylko oni mogą nauczać w Salonikach. Niektórzy mają znajome twarze, kiedyś byli przyjaciółmi, przecież też są prawowierni, teraz jednak dawna przyjaźń się nie liczy. W Salonikach nie ma miejsca dla dwóch pretendentów na Mesjasza. Dlatego Nussen umieszcza przed medreszem straże, które odtąd stoją tam cały dzień i całą noc. Mimo to i tak dwa razy ktoś podłożył ogień. Kilka razy zaatakowano Jakuba na ulicy, ale że jest silny, umiał się obronić. Nussenowi, gdy robił zakupy, o mało nie wybito jedynego oka. I jeszcze – to najdziwniejszy atak – przeciw Jakubowi zmówiły się salonickie Żydówki, rozwścieczone kobiety, młode i stare, dopadły go, gdy szedł się kąpać do łaźni, i rzucały weń kamieniami. Kulał potem kilka dni, ale wstyd mu się było przyznać, że to przez kobiety.

Okazało się też z dnia na dzień, że miejscowi kupcy przestali z nimi handlować. Gdy ci od Jakuba wchodzą teraz do ich kramów, traktują ich jak obcych, odwracają głowy i znikają wśród towarów. To sprawia, że sytuacja przybyszów bardzo szybko staje się niewygodna. Żeby coś kupić do jedzenia, muszą wyprawiać się daleko na inne bazary, na

przedmieścia, gdzie nikt ich nie zna. Wyznawcy Konia wypowiadają Jakubowi i innym wojnę. Zmawiają się przeciwko nim z Grekami, to znaczy kupcami chrześcijańskimi, i oni też odwracają na ich widok oczy. Nie pomagają straże Nussena pod bet midrasz – tamci wystawili swoje i biją każdego, kto chce wejść do szkoły Mądrego Jakuba. Bardzo szybko kończą się pieniądze i niestety, szkołę trzeba zamknąć.

Na dodatek przyszła nieoczekiwanie surowa zima –

pisze potem Nachman. Nie mają pieniędzy nawet na najgorszy opał. Siedzą zamknięci w wynajętym domu, bojąc się o własne życie. Jakub kaszle.

Myślałem nieraz, jak to powodzenie i szczęście zmieniają się nagle w nędzę i poniżenie.

Nie było pieniędzy, dlatego zapamiętam tę zimę salonicką jako chudą i głodną. Żeby napełnić żołądki, wychodziliśmy często po jałmużnę, jako tu wielu uczonych robiło. Ja zawsze starałem się spokojnie i grzecznie ludzi o grosz poprosić, ale Jakub często inne zgoła stosował metody. Raz tuż przed świętem Paschy zaszliśmy do pewnego Żyda, który trzymał kasę dla biednych. Odezwałem się do niego pierwszy, zawsze tak było, że mnie wystawiano w takich sytuacjach, uważali bowiem, że ładnie mówię i potrafię użyć argumentów, dzięki którym robię dobre wrażenie jako mąż uczony i godny zaufania. Powiedziałem więc, że jesteśmy z przeklętej ziemi, gdzie najwięcej nieszczęść Żydzi wycierpieli przez prześladowania straszne i gdzie bieda wielka panuje, a klimat nieprzyjazny i wrogi, lecz za to ludzie jednak tam ufni i oddani wierze... I tak mówiłem, próbując wzbudzić w nim litość, lecz on nawet nie patrzył na mnie.

– My mamy dość krajowych jałmużników, żebyśmy jeszcze i obcych mieli utrzymywać.

Ja zaś mu na to:

– W naszym kraju także wszyscy obcy znajdują pomoc.

Kasjer uśmiechnął się złośliwie i po raz pierwszy spojrzał mi w twarz:

– To po coście się tu przybłąkali i z tego wspaniałego kraju wyjechali, skoro tak wam tam dobrze?

Już miałem mu jakoś sprytnie odpowiedzieć, ale odepchnął mnie Jakub, który dotąd stał za mną spokojnie, i wrzasnął na niego:

– Jak śmiesz pytać, po cośmy wyszli z naszego kraju, ty mała gnido?!

Tamten cofnął się przestraszony tym tonem, lecz nic nie odpowiedział, zresztą nie było jak, bo Jakub pochylił się ku niemu i krzyczał:

– A po co Jakub patriarcha wyszedł ze swojego kraju i poszedł do Egiptu?! Przecież stąd Pascha wynikła! Gdyby w swoim kraju został, nie miałbyś teraz, łachmyto, święta, a my byśmy nie potrzebowali paschów świątecznych!

Kasjer tak się przestraszył, że dał nam od razu kilka lewów i przeprosiwszy grzecznie, odprowadził nas do drzwi.

I może dobrze się stało, bo głód i niedostatek tej zimy jakoś nas w sobie zebrały i wyostrzyły nam zmysły. Nie było jednak takiej siły, która zdołałaby zgasić płomień Jakuba. On – jak się w wielu sytuacjach pokazało – nawet w najgorszych warunkach umiał jaśnieć niczym szlachetny kamień. Nawet w łachmanach, gdyśmy prosili o jałmużnę, biło od niego dostojeństwo i każdy, kto się z nim spotkał, wiedział, że ma do czynienia z kimś niezwykłym. I bał się go. To dziwne, ale w tej nędzy, zamiast sczeznąć,

zaczęliśmy sobie dawać radę. I było tak, jakbyśmy się w tę nędzę, w ten chłód i boleść przebrali. A szczególnie Jakub – zziębnięty i obdarty budził jeszcze większe współczucie, ale i jeszcze większy respekt niźli zadowolony z siebie i bogaty chacham.

I znowu stał się cud: sława Jakuba tak się rozeszła po Salonikach, że w końcu zjawili się sami prawowierni od Konia i teraz próbowali go przekupić. Chcieli mu dać sporo pieniędzy, żeby albo przystał do nich, albo wyniósł się z miasta.

– Teraz przychodzicie?! – krzyknął do nich z goryczą. – Pocałujcie się w dupę. Teraz to jest za późno.

W końcu wrogość przeciwko niemu narosła tak duża, że Jakub przestał sypiać w domu. A stało się to po tym, jak w swoim łóżku położył pewnego Greka, który chciał jeszcze z nami handlować kamieniami. Sam położył się spać w kuchni, tak przynajmniej wszystkim opowiadał. Ja zaś dobrze wiedziałem, że poszedł do pewnej wdowy, która mu często udzielała i pieniężnego wsparcia, i swojego ciała. W nocy ktoś się włamał do domu i Greka pod derką zasztyletowano. Morderca zniknął niby cień.

To zdarzenie tak wystraszyło Jakuba, że na jakiś czas wyniósł się z Salonik do Larissy, a myśmy udawali, że jest u siebie. Gdy wrócił stamtąd, już pierwszej nocy znowu zmówili się na niego i szykowali zasadzkę.

Odtąd więc Jakub spał każdej nocy gdzie indziej i zaczęliśmy się bać o życie i zdrowie nas wszystkich. Nie było wyjścia, umyśliliśmy opuścić Saloniki i wracać do Smyrny, zostawiając to miasto na pastwę złego. Najgorsze, że to byli swoi, którzy życzyli mu jak najgorzej. Teraz i Jakub nie miał o nich dobrego zdania i gardził nimi. Mówił o nich, że są zniewieściali i ze wszystkiego, czego nauczał ich Baruchja, zostało im tylko upodobanie do sodomii.

Resztki. O klątwie salonickiej i linieniu Jakuba

Gdyśmy podjęli decyzję o ucieczce z Salonik i już zaczęliśmy się zbierać do drogi, Jakub nagle zachorował. Jego ciało jednego dnia pokryło się wrzodami, skóra schodziła z niego krwawymi płatami, a on wył z bólu. Jakaż choroba napada tak nagle, tak nieoczekiwanie i takie przybiera objawy? Pierwsze, co przychodziło każdemu do głowy, że była to klątwa. I Jakub w to wierzył. Musieli ci koniozos wynająć jakiego czarownika, chociaż i między nimi było kilku niezgorszych, i ten klątwę rzucił na rywala.

Reb Mordke najpierw sam przykładał plastry, obkładał Jakuba amuletami, które sporządzał, mamrocząc zaklęcia. Ładował mu też fajkę ciemną żywicą, bo palenie jej uśmierzało ból. Potem jednak, bezradny wobec cierpienia swego ukochanego Jakuba, wezwał pewną kobietę, starą i trzęsącą się, najlepszą uzdrowicielkę w okolicy. Mówiło się o niej, że to czarownica, bardzo słynna, z tych tesalonickich, które tu żyją pod miastem od wieków i które potrafią znikać. Posmarowała Jakubowe rany cuchnącym płynem, co szczypał i piekł, tak że krzyk Jakuba słyszano chyba w całym mieście. Wymawiała nad jęczącym z bólu Jakubem jakieś zaklęcia w języku, którego nikt nie rozpoznawał, tak był dziwaczny. Klepała go po pośladkach jak chłopca, a na koniec nie chciała wziąć żadnej zapłaty, bo mówiła, że to nie żadna choroba, tylko że Jakub linieje. Jak wąż.

Patrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem, a reb Mordke rozpłakał się niczym dziecko.

„Linieje jak wąż!” Podniósł, wzruszony, ręce do nieba i zawołał: „Panie nasz, po kres świata – dzięki Ci!”. A potem szarpał wszystkich za rękawy i powtarzał podniecony: „Wąż zbawiciel, wąż nachasz. Czy to nie dowód mesjańskiego posłannictwa Jakuba?”. Jego ciemne, załzawione oczy błyszczały, odbijając małe płomyki lampek. Ja moczyłem bandaże w ciepłym wywarze z ziół, jak kazała stara, żeby móc je przyłożyć na zeskorupiałe rany. Nawet nie te rany były straszne, choć powodowały ból prawdziwy i dotkliwy, ale samo to, że się pojawiły. Kto to zrobił? Kto się do tego przyczynił? – myślałem najpierw z gniewem i oburzeniem. Teraz jednak wiedziałem, że nikt nie jest w stanie zrobić Jakubowi nic złego. Kiedy duch wstępuje w człowieka, wszystko się musi w jego ciele zmienić, ustawić na nowo. Człowiek zostawia na boku starą skórę i obleka się w nową. Tak o tym mówiliśmy przez całą noc przed wyjazdem.

Siedzieliśmy z Nussenem w kucki pod drzewami. Czekaliśmy na jakiś cud. Niebo na wschodzie różowiało, ptaki zaczęły śpiewać, a potem dołączyło do nich wołanie muezina. Gdy słońce zaczęło się dobywać spod horyzontu, domki o płaskich dachach oblekły się w długie, wilgotne cienie i obudziły się wszystkie zapachy świata: kwiatów pomarańczy, dymu, popiołu i wczorajszych gnijących resztek wyrzuconych na ulice. I kadzidła, i oślich odchodów. Poczułem, jak przepełnia mnie niewyobrażalne szczęście – to jest cud i znak, że każdego dnia świat powstaje od nowa i daje nam nową szansę na tikkun. Oddaje się nam w ręce ufnie, jak ogromne, niepewne siebie zwierzę, kalekie i zależne od naszej woli. I my musimy je zaprząc do naszego dzieła.

„Czy na podłodze zostanie po Jakubie przezroczysta wylinka?”, zapytał przejęty Herszele, a ja wstałem i w świetle wschodzącego

słońca, przy wtórze zawodzenia muezina tańczyłem.

Tego dnia Jakub obudził się zły i cierpiący. Kazał pakować cały marny dobytek, a że nie mieliśmy pieniędzy na statek, ruszyliśmy na osłach wzdłuż brzegu na wschód.

Gdy w drodze do Adrianopola obozowaliśmy nad morzem, Jakub syczał z bólu i choć robiłem mu okłady, nic to nie pomagało. Wtedy któraś z przejezdnych, jakaś kobieta na ośle, zapewne też czarownica jak wszystkie saloniczanki, poradziła mu, żeby wszedł do słonej morskiej wody i stał tam, ile wytrzyma. Jakub zrobił, jak mu kazała, ale woda nie chciała go przyjąć. Słaniał się w niej, przewracał, morze wypychało go słabego na brzeg, próbował więc rzucić się na fale, ale wyglądało to tak, jakby one uciekały przed nim i on zostawał w mokrym piasku. Wtedy – sam widziałem i mówię to jako świadek – Jakub podniósł ręce do nieba i jął strasznie krzyczeć. Krzyczał tak, że wszyscy podróżni zatrzymali się zaniepokojeni i rybacy, co oporządzali sieci, znieruchomieli w pół gestu, i handlarki, co zaraz przy porcie sprzedawały ryby prosto z koszy, i nawet żeglarze, co właśnie przybili do portu, podnieśli głowy. Nie mogliśmy z Nussenem tego słuchać. Zatkałem uszy i wtedy stała się rzecz dziwna. Nagle morze go wpuszcza do siebie, przypływa fala i Jakub zanurza się w niej po szyję, i wreszcie na chwilę cały znika pod wodą, migają tylko jego dłonie i stopy, woda obraca go jak kawałek drewienka. W końcu wydobył się na brzeg i leżał na piasku jak nieżywy. Podbiegliśmy z Nussenem i mocząc nasze szaty, wyciągnęliśmy go dalej, i – prawdę mówiąc – myślałem, że się utopił.

Ale po tej kąpieli skóra cały dzień schodziła z niego płatami, a spod spodu wyłaniała się nowa i zdrowa, różowa niczym u dziecka.

W dwa dni Jakub wyzdrowiał i kiedy dotarliśmy do Smyrny, był znowu młody i taki piękny i pełen światła, jak to on. I właśnie taki pokazał się żonie.

Nachman jest bardzo zadowolony z tego, co napisał. Waha się, czy nie wspomnieć o przygodach na morzu, o tym, co się wydarzyło, gdy płynęli statkiem. Właściwie mógłby to opisać, podróż była wystarczająco dramatyczna. Macza więc pióro i zaraz potem strzepuje krople atramentu na piasek. Nie, nie będzie o tym pisał. Nie napisze, że za niewielkie pieniądze zgodził się ich zabrać do Smyrny mały stateczek handlowy. Przewóz był tani, ale i warunki bardzo złe. Ledwie umościli się pod pokładem i statek wypłynął w morze, okazało się, że jego właściciel, pewien ni to Grek, ni Italczyk, chrześcijanin, wcale nie zajmuje się przewozem towarów, ale piractwem. Gdy zaczęli się domagać rejsu prosto na Smyrnę, zrugał ich ten człowiek i groził, że łapami swoich zbirów wyrzuci ich wszystkich do morza.

Nachman dobrze zapamiętał tę datę – było to 25 lipca 1755 roku, w dzień patrona tego strasznego człowieka, do którego ów modlił się żarliwie, spowiadając się ze wszystkich zbrodni (czego musieli wysłuchać i co mroziło im krew w żyłach), gdy rozpętała się na morzu straszna nawałnica. Nachman pierwszy raz przeżywał coś tak potwornego i powoli docierało do niego, że tego dnia zginie. Przerażony, przywiązał się do masztu, żeby nie zmyły go szalejące fale, i głośno lamentował. Potem w panice chwycił się kurczowo płaszcza Jakuba, usiłując się pod nim schować. Jakub, który nie miał w sobie żadnego lęku, próbował go najpierw uspokoić, ale gdy żadne metody nie skutkowały, cała ta sytuacja zaczęła go widocznie śmieszyć, bo dworował sobie wyraźnie z biednego Nachmana. Trzymali się wątłych masztów, a gdy te połamały się od uderzeń fal, łapali się, czego popadnie. Woda była gorsza niż rabuś – wymyła wszystkie łupy spod pokładu stateczku i porwała jednego majtka, który był pijany i ledwie trzymał się na nogach. Śmierć tego człowieka w odmętach sprawiła, że Nachman do reszty przestał nad sobą panować. Bełkotliwie wymawiał słowa modlitwy, łzy równie słone jak woda morska zaślepiały mu oczy.

Jakuba najwyraźniej bawiło przerażenie Nachmana, bo po spowiedzi pirata teraz kazał spowiadać się jemu i – co najgorsze – kazał składać Bogu różne obietnice, a on, Nachman, w swoim przestrachu zobowiązał się z płaczem, że nie tknie już więcej wina ani okowity, że nie będzie palić fajki.

– Przysięgam, przysięgam! – krzyczał z zamkniętymi oczami, zbyt przerażony, żeby rozsądnie myśleć, co wzbudziło w Jakubie wielką radość, tak że rechotał wśród burzy niczym demon.

– I że będziesz po mnie zawsze gówna sprzątać! – przekrzykiwał sztorm Jakub.

A Nachman odpowiadał:

– Przysięgam, przysięgam.

– I dupę mi podcierać! – wołał Jakub.

– I dupę Jakubowi podcierać. Przysięgam, przysięgam na wszystko! – odpowiadał Nachman, aż inni, słuchając tego, też zaczynali pokładać się

ze śmiechu i dworować sobie z rabina, i to ich zajęło w końcu bardziej niż burza, która przeszła jak zły sen.

Nawet teraz nie przechodzi Nachmanowi wstyd i poczucie poniżenia. Nie odzywa się słowem do Jakuba aż do samej Smyrny, choć ten go wiele razy ramieniem do siebie przygarnia i klepie poufale po plecach. Trudno jest wybaczyć zabawę z cudzego nieszczęścia. Lecz – co niezwykłe – znajduje w tym Nachman jakąś dziwną przyjemność, blady cień niewypowiedzianej rozkoszy, lekki ból, gdy ramię Jakuba ściska mu kark.

Wśród tych wszystkich przysiąg, które Jakub ze śmiechem wymusił na Nachmanie, była też i ta, że nigdy go nie opuści.

Resztki. O przestawianiu trójkątów

W Smyrnie wszystko wydało nam się znajome, jakbyśmy wyjechali zaledwie na tydzień.

Jakub z Chaną i tą malutką dziewczynką, która im się niedawno urodziła, wynajęli nieduży dom przy bocznej ulicy. Chana, wyposażona przez ojca, urządziła dom, tak że miło tam było przychodzić i siedzieć. Mimo że zwyczajem tureckim znikała z dzieckiem w kobiecej części domu, jednak często czułem skądś jej wzrok na własnych plecach.

Isochar, usłyszawszy o wstąpieniu świętego ducha w Jakuba, zachowywał się teraz zupełnie inaczej niż przedtem. Zaczął mnie wyróżniać, jako że byłem bezpośrednim świadkiem Jakuba i jego głosem. Zbieraliśmy się codziennie na długie posiedzenia i Isochar coraz goręcej przekonywał nas do studiowania nauk o Trójcy.

Zakazana ta idea przejmowała nas dreszczem i nie wiadomo, czy była tak bardzo nieprawomyślna dla każdego Żyda, jak my, czy też

tak potężna, iż wydawało się nam, że ma w sobie moc jak te cztery litery hebrajskie, które tworzą imię Boga.

Isochar rysował w rozsypanym na stole piasku trójkąty i oznaczał ich kąty według tego, co było w Zoharze, a potem według tego, co mówił Szabtaj Cwi, niech imię jego będzie błogosławione. Pomyślałby kto, że jesteśmy dziećmi, które się bawią rysunkami.

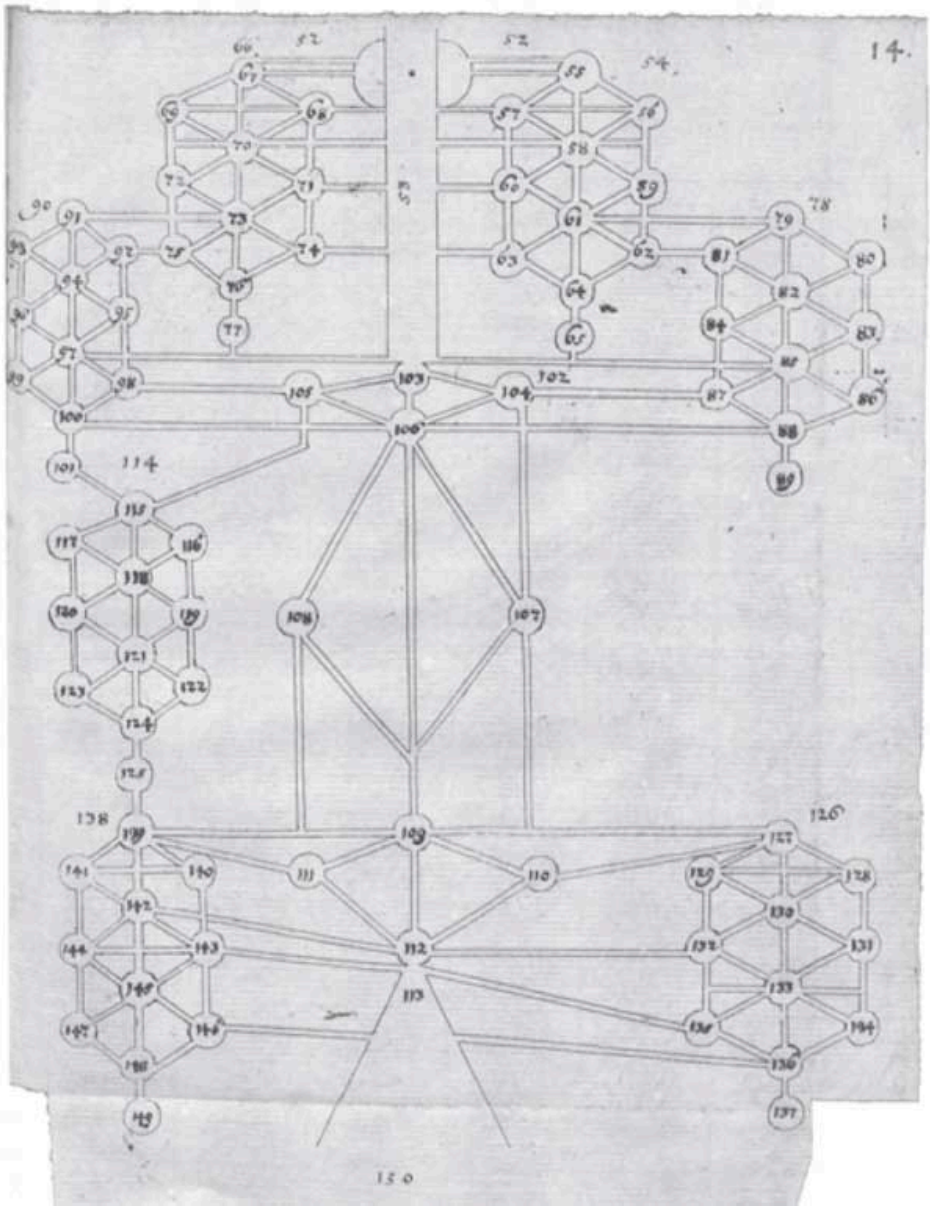

Jest Bóg prawdy w duchowym świecie i Szechina uwięziona w materii, a jakby „pod nimi”, w dolnym rogu trójkąta znajduje się Bóg Stworzyciel, przyczyna Boskich iskier. A kiedy Mesjasz przychodzi, eliminuje Pierwszą Przyczynę i wtedy trójkąt staje na głowie, teraz na górze jest Bóg Prawdy, pod nim zaś: Szechina i jej naczynie – Mesjasz.

Niewiele z tego rozumiałem.

„Tak, tak, tak”, powtarzał tylko Isochar, który ostatnio bardzo się zestarzał, jakby szedł szybciej niż inni, sam na przedzie. Pokazywał nam też ciągle dwie skrzyżowane ze sobą linie, z których powstaje krzyż, jako poczwórność, która jest stemplem świata. Rysował dwie przecinające się linie i wykrzywiał je trochę.

„Co ci to przypomina?” – pytał.

I Jakub od razu zobaczył tajemnicę krzyża.

„To jest alef. Krzyż jest alefem”.

W tajemnicy, gdy zostawałem sam, podnosiłem dłoń do czoła i dotykałem skóry, mówiąc: „Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba”, bom się dopiero oswajał z tą myślą.

Pewnej smyrneńskiej nocy, dusznej od woni kwitnących pomarańczy, była to już bowiem wiosna, Isochar wyjawił nam kolejną tajemnicę:

Jest jeden Bóg w trzech postaciach, a czwartą jest święta Matka.

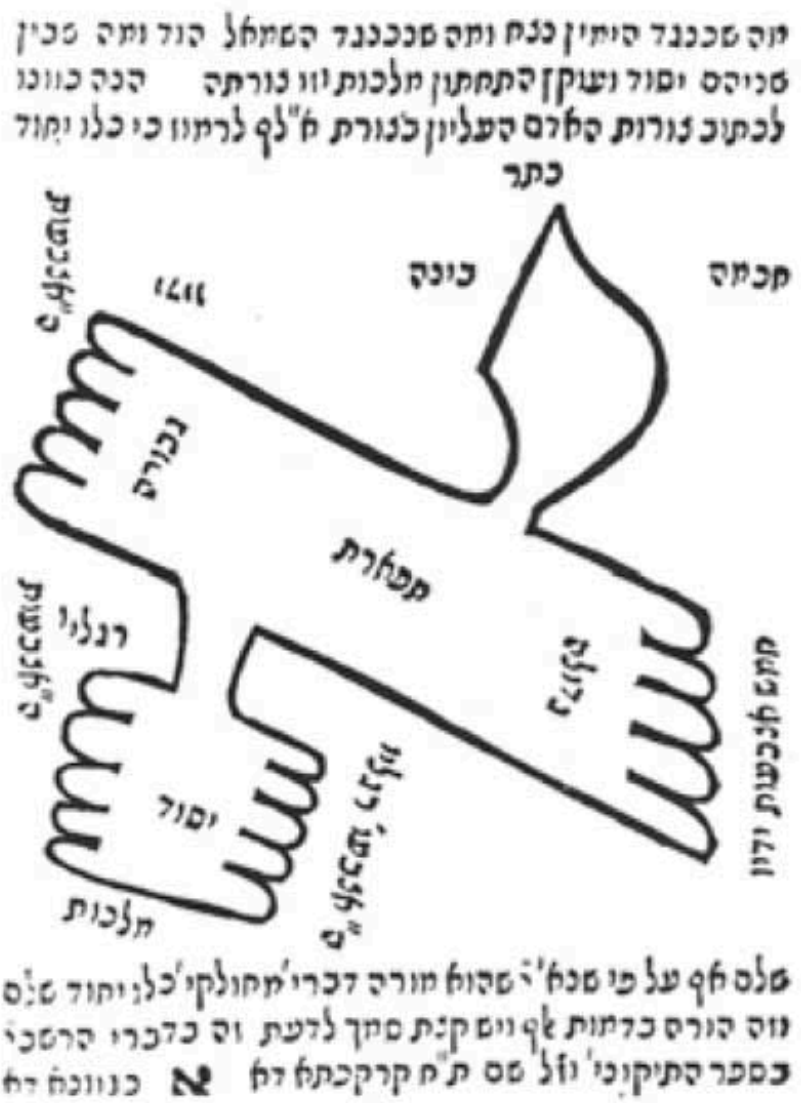

Jakiś czas potem, ponaglana moimi listami, przybyła do Smyrny kupiecka karawana z Podola, a z nią Elisza Szor z synami, Natanem i Salomonem. Upierałem się przy Jakubie, Isocharze i reb Mordkem, że to wola Boska kieruje nami, stawia nas naprzeciwko innych i każe spotykać się z tymi, których akurat potrzebujemy, ale prawda wygląda inaczej. To ja napisałem do reb Szora jeszcze z Salonik, opisując mu ruach ha-kodesz Jakuba, i dokładnie opowiedziałem to, co się tam z nami działo. Lecz, szczerze mówiąc, nie sądziłem, że sprawi to, iż ten starszy mężczyzna osiodła konie, wyciągnie wozy i ruszy w tak daleką podróż. Jasne

było, że Szorowie zawsze umieli połączyć wielkiego ducha z interesami różnego rodzaju, toteż podczas gdy bracia zajmowali się sprzedażą i zakupem towarów, stary Szor dyskutował z nami, i powoli w trakcie tych wieczorów wysnuwała się wizja dni, które miały nadejść i którymi mieliśmy pokierować. Znalazł wielkie w tym wsparcie w osobie reb Mordkego, który od dawna o tym przebąkiwał, powołując się na swoje dziwne sny. Lecz Szorom nie chodziło o sny.

Czy Jakub wiedział, cośmy mu szykowali? Zachorował wtedy bardzo i o mało nie umarł, a gdy się obudził z gorączki, rzekł, że miał sen. Że śnił mu się jakiś człowiek z białą brodą, który mu powiedział: „Pójdziesz na północ i tam wielu ludzi pociągniesz do nowej wiary".

Mądry Jakub oponował: „Jak ja mam iść do Polski, kiedy języka polskiego nie rozumiem i cały interes mój tutaj, w tureckim kraju, i mam żonę młodziutką, i córka mi się właśnie urodziła, ona nie będzie chciała iść ze mną..." – bronił się Jakub przed nami i przed własnym snem, a myśmy siedzieli przed nim niczym czwórka paradna: Isochar, Elisza Szor, reb Mordke i ja.

„Ten człowiek z brodą, któregoś widział we śnie, to jest sam Eliasz, nie wiedziałeś? – powiedział mu reb Mordke. – Kiedy ci będzie ciężko, on będzie szedł przed tobą. Pojedziesz pierwszy, a potem Chana do ciebie przyjedzie. Będziesz w Polsce królem i zbawcą".

„Ja będę z tobą" – dodałem ja, Nachman z Buska.

O SPOTKANIU Z OJCEM JAKUBA W ROMANIU,
A TAKŻE O STAROŚCIE I ZŁODZIEJU

Z początkiem października 1755 roku ruszyliśmy na północ w dwie fury i kilku konnych. Z pewnością nie wyglądaliśmy na tych, którymi byliśmy – posłańców wielkiej sprawy, lecz przypominaliśmy zwykłych kupców, krążących nieustannie tam i sam, niczym mrówki. Po drodze do Czerniowców przybyliśmy do Romania, by odwiedzić ojca Jakuba, który po śmierci żony żył tam samotnie. Jakub zatrzymał się na rogatkach miasta i włożył swój najlepszy strój; po co mu to było – nie wiem.

Jehuda Lejb Buchbinder mieszkał w małym domku z jedną izbą, ciasną i zadymioną. Nawet koni nie było gdzie schować, stały na zewnątrz całą noc. Trzech nas było: Jakub, Nussen i ja, gdyż karawana Szorów już dużo wcześniej ruszyła do Polski.

Jehuda Lejb był wysokiej postury, lecz chudy i pomarszczony. Jego twarz na nasz widok przybrała wyraz niezadowolenia i rozczarowania. Gęste, krzaczaste brwi prawie zasłaniały oczy, zwłaszcza że miał zwyczaj patrzeć spode łba. Jakub był bardzo podniecony tym, że zobaczy ojca, ale kiedy się spotkali, przywitali się prawie obojętnie. Ojciec chyba bardziej ucieszył się z przybycia Nussena, którego dobrze znał, niż z widoku syna. Przywieźliśmy dobre jedzenie: mnóstwo sera, gąsiory wina, garniec oliwek, wszystko to najprzedniejszego gatunku, kupione po drodze. Jakub się na nie wykosztował. Ale widok tych smakołyków nie ucieszył wcale Jehudy. Oczy starego pozostały smutne i uciekał wzrokiem.

Dziwny był i Jakub, który przedtem tak się cieszył, a teraz zamilkł i oklapł. Tak to jest, że nam nasi rodzice przypominają to, czego w sobie najbardziej nie lubimy, i w ich starzeniu się widzimy nasze liczne grzechy, myślałem, ale może to było coś więcej – czasem zdarza się, że dusze dzieci i rodziców są w istocie sobie wrogie i spotykają się w życiu, aby tę wrogość naprawić. Nie zawsze się to jednak udaje.

„Wszyscy tu wokół mają ten sam sen – powiedział Jehuda Lejb na samym początku. – Wszystkim się śni, że w mieście, gdzieś w sąsiedztwie, jest już Mesjasz, tylko nikt nie pamięta ani nazwy tego miasta, ani imienia Mesjasza. I ja też miałem ten sen, i nazwa miasta brzmiała jakoś znajomo. Inni mówią to samo i nawet poszczą całe dnie, żeby im drugi sen wyjawił, jak się to miasto nazywa”.

Piliśmy wino i zagryzali oliwkami, i jako najgadatliwszy, opowiadałem wszystko, co nam się przydarzyło. Opowiadałem tak, jak teraz tutaj opowiadam, ale widać było, że stary Buchbinder nie słucha. Milczał i rozglądał się po własnej izbie, w której niczego, co by wzrok przyciągnąć mogło, nie było. W końcu odezwał się Nussen:

„Ja ciebie, Lejb, nie rozumiem. Myśmy tu przyjechali ze świata i takie rzeczy ci opowiadamy, a ty nic. Słuchasz jednym uchem, nie wypytujesz. Czyś ty zdrów?”.

„A co mi z tego przyjdzie, jak mi będziesz opowiadał o jarmarku w niebie – odrzekł Lejb. – Co to dla mnie za mądrości, kiedy ja ciekawy jestem, co z tego dla mnie przyjdzie. Ile jeszcze tak żyć będę sam, w boleści, w smutku. Co Bóg dla nas zdziała, o tym opowiadaj”.

Potem dodał:

„Ja już nie wierzę, że coś się zmieni. Nikt nie zna nazwy tego miasteczka. Mnie się wydawało, że coś jakby Sambor, Sampol...”.

Wyszliśmy z Jakubem przed domek, w dole płynęła rzeka. Jakub powiedział, że wszystkie ich domy tak wyglądały: stały nad rzeką i co wieczór gęsi schodziły z wody jedna za drugą, tak to pamięta

z dzieciństwa. Jakimś cudem ich rodzina zawsze osiedlała się nad rzeką taką jak ta – rozlaną między pagórkami, płytką, słoneczną, wartką. Wbiegało się do niej z rozpędu i rozpryskiwało wodę na wszystkie strony; w miejscach przy brzegu, gdzie wiry wypłukały piasek, można się było uczyć pływać pieskiem, tam i z powrotem. I nagle przypomniało mu się, że kiedyś w zabawie z innymi dziećmi ustanowił się starostą, a jako że miał rządzić, to musiał mieć i złodzieja. Wybrali więc do tej roli jednego małego chłopca, przywiązali go do drzewa i rozgrzaną w ognisku szyną przypalali, żeby się przyznał, gdzie ukrył konie. A ten ich błagał, że to przecież zabawa, że żadnych koni nie ma. Ale potem ból był tak wielki, że chłopiec o mało nie zemdlał, a wtedy wykrzyczał im, że ukrył te konie tam i tam. Wtedy go Jakub uwolnił.

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć na taką historię. Potem, gdy wszystko wyszło na jaw, ojciec zbił go rózgami, powiedział Jakub po chwili milczenia, w czasie której sikał na stojąco na rozwalający się ojcowy płot.

„Miał rację”, odparłem, bo przejęła mnie ta okrutna historia. Wino uderzyło mi już do głowy i chciałem wracać do izby, a wtedy on mnie chwycił za rękaw i przyciągnął do siebie.

Mówił, żebym się go zawsze słuchał i że kiedy mi powie, żem złodziej, to mam być złodziejem. A kiedy mi powie, żem starosta, to mam zostać starostą. Mówił mi to prosto w twarz i czułem winny owocowy zapach jego oddechu. Wystraszyłem się wtedy jego pociemniałych z gniewu oczu i nie odważyłem się sprzeciwić. Kiedy wróciliśmy do izby, obaj starzy mężczyźni płakali. Łzy spływały im po policzkach i wsiąkały w brody.

„Co byś ty, Jehuda, powiedział, jakby twój syn poszedł do Polski z posłannictwem i tam by nauczał?” – zapytałem go na odchodnym.

„Niech go Bóg od tego broni”.

„A czemuż to?”.

Wzruszył ramionami.

„Zabiją go. Jedni albo drudzy. Tylko czekają na kogoś takiego”.

Dwa dni potem w Czerniowcach Jakub znowu miał ruach hakodesz w obecności wielu wiernych. Znowu go rzuciło o ziemię, a potem cały dzień nie mówił nic innego, jak tylko takie jakby: zy-zy-zy, w co wsłuchawszy się, uznaliśmy, że powtarza: „Maase Zar, Maase Zar”, czyli „Cudzy Uczynek”. Trząsł się cały i dzwonił zębami. Potem ludzie podchodzili do niego, a on kładł na nich swoje ręce i wielu odchodziło uzdrowionych. Było tam kilkoro naszych z Podola, którzy przekraczali granice jawnie albo nielegalnie, trudząc się drobnym handlem. Siedzieli przy chałupie jak psy, mimo zimna, czekając, aż Jakub wyjdzie, by choć dotknąć jego płaszcza. Poznałem wśród nich kilku, jak Szyle z Lanckorunia, i rozmawiając z nimi, zatęskniłem do domu, który był tak blisko.

Jedno było pewne – nasi z Czerniowiec nas wsparli; widać było, że legenda Jakuba nabrała już szerokiego zasięgu i za nic ma granice. I jest tak, jakby wszyscy na niego czekali, jakby się już nie dało powiedzieć: „nie”.

A na koniec znowu nocowaliśmy u ojca Jakuba i przypomniałem mu tę historię o staroście i złodzieju.

Wtedy stary Lejb powiedział:

„Uważaj na Jakuba. On to jest prawdziwy złodziej”.

O tańcu Jakuba

We wsi po tureckiej stronie zbierają się ludzie, bo straże nie puszczają do Polski. Ponoć panuje tam zaraza. Jacyś grajkowie wracający z wesela rozsiedli się zmęczeni wprost na balach drewna do spławienia. Mają bębenki, flety i baglamy, małe instrumenty ze strunami, po których przeciągają smyczkiem. Jeden z nich ćwiczy właśnie jakąś smutną frazę, powtarza wciąż kilka tych samych dźwięków.

Jakub przystaje przy nich, uwalnia się od płaszcza i oto jego wysoka postać zaczyna się rytmicznie poruszać. Najpierw przytupuje nogą, ale tak, że popędza grajka, który niechętnie przyjmuje ten rytm, szybszy niżby chciał. Teraz Jakub kołysze się na boki i przebiera nogami coraz szybciej, pokrzykuje na grajków i oni rozumieją, że ten dziwny człowiek domaga się, by też zagrali. Skądś przychodzi starszy mężczyzna z santurem, tureckimi cymbałami, i kiedy przyłącza się po chwili do grających, muzyka staje się zupełnie skończona, doskonała do tańca. Wtedy Jakub kładzie ręce na ramionach dwóch podrygujących gapiów i już drobią małe kroczki. Bębenki wybijają wyraźny rytm, który niesie się przez wodę na drugą stronę i w dół rzeki. I zaraz przyłączają się inni: tureccy poganiacze bydła, kupcy, chłopi podolscy, wszyscy rzucają podróżne sakwy, zrzucają baranie kożuchy. Powstaje szereg tańczących, następnie jego końce zwijają się, aż tworzy się krąg, który natychmiast zaczyna wirować. Ci, których przyciąga ten hałas i rozgardiasz, też zaczynają podrygiwać, po czym jakby w desperacji, jakby już mieli dość czekania, jakby zdecydowali się postawić wszystko na jedną kartę, dołączają do tanecznego kręgu. Potem Jakub wiedzie ich wokół wozów i zdziwionych koni, sam wyróżnia się wysoką czapką, ale kiedy czapka spada, nie jest już jasne, że to on przewodzi. Za nim sunie Nachman, ekstatycznie, niczym święty, z rękami wzniesionymi do góry, oczy ma przymknięte, rozanielony uśmiech. I jakiś żebrak, mimo że kulawy, zamienia się w tancerza, szczerzy zęby, wybałusza oczy. Kobiety na jego widok śmieją się, a ten stroi do nich miny. I po chwili wahania dołącza do nich młody Szlomo Szor, który tu z ojcem czekał na Jakuba, żeby go bezpiecznie przeprowadzić przez granicę – poły wełnianego płaszcza powiewają wokół jego chudej postaci. Za nim sunie jednooki Nussen, a dalej nieco sztywny Herszele. Dołączają się do tego korowodu dzieci i służący, obszczekuje ich pies, to podbiegając do przytupujących nóg, to

odskakując. Jakieś dziewczęta odstawiają koromysła, z którymi przyszły po wodę, i zadzierając spódnice, drobią bosymi stopami, małe, kruche, nawet nie sięgają piersi Jakuba. I gruba chłopka w drewniakach wypchanych słomą też już zaczyna podrygiwać, i tureccy przemytnicy wódki ruszają w tany, udając niewiniątka. Bębenek gra coraz szybciej i coraz szybciej poruszają się nogi tańczących. Jakub zaczyna kręcić się jak derwisz, taneczny krąg rozrywa się, ludzie padają ze śmiechem na ziemię, spoceni, czerwoni z wysiłku.

I tak to się kończy.

Po wszystkim zbliża się do Jakuba strażnik turecki z wielkim wąsem.

– Ktoś ty? – pyta go po turecku, groźnie. – Żyd? Muzułmanin? Rusin?

– Nie widzisz, głupi? Ja jestem tancerz – odpowiada mu zdyszany Jakub. Pochyla się, opierając ręce o własne kolana, i odwraca się od pytającego tak, jakby mu chciał pokazać tyłek.

Strażnik łapie za szablę, urażony tym „głupkiem”, ale uspokaja go stary Szor, który siedział do tej pory na wozie. Przytrzymuje go za rękę.

– Co to za idiota? – pyta strażnik, rozeźlony.

Reb Elisza Szor odpowiada, że to prostak boży. Ale to nic nie mówi Turkowi.

– Mnie się zdaje, że to wariat – wzrusza ramionami i odchodzi.

Nova totius
REGNI POLONIÆ,
Magnig, Ducatus
LITHUANIÆ,
cum suis
PALATINATIBUS
ac Confinijs.
Auctore Guillelmo Vander Hemer. Excu.
SVECIÆ PARS.
DANIÆ PARS.
Vulgo. De Oost Zee.
Sinus Finnicus.
MOSCOVIÆ
PARS.
TARTARIÆ
PARS.
AUSTRIÆ
PARS.
HUNGARIÆ
PARS.
Mare Nigrum olim
PONTUS EUXINUS
WALACHIA.
MOLDAVIA
Vulgo
Moscovia.

III. KSIĘGA DROGI

Viator 1 m. 3.	Podrożny, 1	
portat *humeris*	nieśie na ramieniu,	humerus, m. 2. ramie.
in *bulga*, 2	w torbie (taiſtrze)	bulga, f. 1. (torba taiſtra),
quæ capere nequit	co nie może zabrać (ogarnąć,)	
funda, 3 f. 1.	w kieſzen; 3	
vel *marſupium*; 4 (n. 2.		
tegitur	okrywa się	
lacerna; 5	opończą; 5	łacerna, f. 1, opończa.
tenet *manu*	w ręku trzyma	manus, m. 2. ręka.
baculum, 6	laſkę; 6	baculus, m. 2 &, um, n. 2. laſka.
quo ſe fulciat;	ktorą się podpiera;	
opus habet	potrzebuie	viaticum, n. 2. ſtrawa podrożna.
viatico,	ſtrawnego,	

13

O ciepłym grudniu 1755 roku, czyli miesiącu tewet 5516, o kraju Polin i zarazie w Mielnicy

Grupa podróżnych staje na brzegu Dniestru, tym niskim, południowym. Słabe zimowe słońce rzuca czerwone cienie na wszystko, czego dosięga. Grudzień jest ciepły, dziwnie rozgrzany, zupełnie inny niż zazwyczaj. Powietrze – jakby splecione w warkocze z zimnych i ciepłych podmuchów pachnie świeżo, rozkopaną ziemią.

Mają przed sobą wysoki, stromy brzeg po tamtej stronie, niknący już w cieniu, słońce obeszło bokiem tę ciemną ścianę, na którą trzeba się wspiąć.

– Polin – mówi stary Szor.

– Polska, Polska – powtarzają wszyscy radośnie i ich oczy robią się od uśmiechów wąskie jak szparki. Szlomo, syn Szora, zaczyna się modlić i dziękować Panu, że dotarli, że szczęśliwie, że wszyscy razem. Wypowiada cicho słowa modlitwy, dołączają się wszyscy mamrotliwie, niedbale, zajęci w myślach czym innym, poluźniają kulbaki, ściągają przepocone czapki. Będą teraz jedli i pili. Odpoczną przed przeprawą.

Nie czekają długo, ledwie mrok zapada, a już pojawia się przemytnik turecki – znają go, to Sakadże, wiele razy z nimi pracował. W całkowitych ciemnościach przechodzą rzekę w bród, z końmi i powozami. Słychać tylko plusk wody pod kopytami.

Potem, po drugiej stronie, rozdzielają się. Stroma ściana jest groźna tylko oglądana z tamtego brzegu. Sakadże prowadzi ich ścieżką, która wrzyna się w stromiznę całkiem łagodnie. Obaj Szorowie z polskimi papierami jadą przodem, do strażnicy, a Nachman z Jakubem i jeszcze

kilkoma innymi odczekują trochę w całkowitym milczeniu i ruszają bocznymi drogami.

Polskie warty stoją we wsi i nie wpuszczają podróżnych z Turcji z powodu zarazy. Teraz wykłóca się z nimi Szor z synem, ten ma papiery i pozwolenia, ściąga w ten sposób na siebie uwagę i widać, że sowicie im płaci, bo robi się cicho i podróżni ruszają dalej.

Jakub ma papiery tureckie, według nich jest poddanym sułtana. Tak też wygląda – w wysokiej czapie, w podbitym futrem tureckim płaszczu. Tylko broda różni go od prawdziwego Turka. Jest niezwykle spokojny, ledwie mu czubek nosa wystaje z kołnierza, może śpi?

Docierają do wsi, cichej i zupełnie ciemnej o tej porze. Nikt ich nie zatrzymał, żadnych wart nie było. Turek żegna się z nimi, upychając za pas monety, zadowolony z wykonanej pracy. Jego zęby bieleją w uśmiechu. Zostawia ich przed małą karczmą; zaspany arendarz bardzo się dziwi późnym gościom i temu, że ich warty wpuściły.

Jakub zasypia natychmiast, ale Nachman całą noc przewraca się na niezbyt wygodnym posłaniu, pali świece i szuka w pościeli pluskiew. Maleńkie okienka są brudne, na parapetach stoją zeschłe badyle, kiedyś pewnie kwiaty. Rano gospodarz, chudy Żyd w średnim wieku, z wyrazem zakłopotania na twarzy daje im trochę podgrzanej wody z pokruszoną macą. Karczma wygląda na dość zasobną, lecz gospodarz tłumaczy się, że zaraza wybija ludzi, że strach wychodzić z domu i kupować cokolwiek od zapowietrzonych. Własne zapasy już zjedli, prosi więc, żeby wybaczyć i samemu sobie z jedzeniem jakoś poradzić. A kiedy mówi, trzyma się od nich z daleka, na bezpieczną odległość, bojąc się ich oddechu i dotyku.

Ów dziwnie rozgrzany grudzień ożywił malutkie stwory, które zazwyczaj w obawie przed mrozem o tej porze roku śpią pod ziemią, teraz wszakże, za sprawą ciepła, wydobyły się na powierzchnię, żeby niszczyć i zabijać. Kryją się one w niepochwytnej gęstej mgle, w dusznej jadowitej parze, która stoi nad wsiami i miasteczkami, w cuchnących waporach unoszących się z ciał zarażonych – w tym wszystkim, o czym ludzie mówią „morowe powietrze”. Gdy wraz z nim

dostaną się do płuc, trafiają od razu do krwi, rozpalając ją, a potem przeciskają się do serca – i człowiek umiera.

Kiedy rankiem przybysze wychodzą na ulice miasteczka, które nazywa się Mielnica, widzą spory, prawie pusty ryneczek obrośnięty niskimi domkami i trzy odchodzące od niego ulice. Panuje wilgotny ziąb – widocznie ciepłe dni już się skończyły albo tu, na wysokiej skarpie, panuje zupełnie inny klimat. W kałużach pośród błota przeglądają się ze zdziwieniem rozpędzone niskie chmury. Prawie wszystkie sklepy są zamknięte; na rynku stoi samotnie pusty kram, na którym powiewa konopny sznur, jak dla wisielca. Gdzieś skrzypią drzwi czy okiennice, a od czasu do czasu pod ścianami domów przemknie jakaś opatulona postać. Tak musi wyglądać świat po Sądzie Ostatecznym, opuszczony przez ludzi. Widać, jaki jest nieprzyjazny, jaki wrogi, myśli Nachman, przeliczając pieniądze w kieszeni.

– Od zapowietrzonych pieniędzy nie biorą – powiedział Jakub, widząc, że Nachman wybiera się po zakupy. Mył się w lodowatej wodzie. Jego nagi tors zachował na skórze słońce południa. – Nie płać im – rzucił, prychając dookoła zimną wodą.

Nachman śmiało wchodzi do małego żydowskiego sklepiku, skąd wyszedł właśnie jakiś człowiek, i robi zbolałą minę. Za ladą stoi drobny stary mężczyzna, jakby rodzina tego staruszka właśnie jego zobowiązała do kontaktu ze światem w zastępstwie młodszych.

– Chciałbym wina, sera i chleba – mówi Nachman. – Kilka bochenków.

Starzec podaje chleby, nie odrywając od niego wzroku, zdziwiony jego obco wyglądającym strojem, choć tu, przy granicy, nie powinien się niczemu dziwić.

Kiedy Nachman, zapłaciwszy, odchodzi, kątem oka dostrzega, że staruszek jakoś dziwnie chwieje się na nogach.

Nie należy wierzyć Nachmanowi we wszystko, co opowiada, a tym bardziej we wszystko, co pisze. Ma skłonność do przesady i ekscytacji. Wszędzie wietrzy znaki, wszędzie wynajduje związki. Jemu jest zawsze za mało tego, co się wydarza, on chciałby, żeby to, co się dzieje, miało

sens niebiański i ostateczny. Żeby niosło konsekwencje na przyszłość, żeby nawet drobna przyczyna wywoływała wielki skutek. Dlatego często popada w melancholię – nie wspominał o tym?

Gdy wraca do Jakuba, opowiada, jak staruszek padł trupem, gdy tylko sprzedał mu towar, i nawet nie zdążył wziąć pieniędzy. Jakub śmieje się z tego, zadowolony. Nachman lubi robić mu takie przyjemności. Lubi jego głęboki, trochę ochrypły śmiech.

Co widzą bystre oczy wszelkiego rodzaju szpiegów

Za Jakubem, od kiedy przekroczył Dniestr, podążają rozmaici szpiedzy, Jenta wszakże widzi ich lepiej, niż oni widzą Jakuba. Patrzy, jak na brudnych blatach karczemnych stołów gryzmolą niezdarnie donosy i powierzają je posłańcom, którzy wiozą je do Kamieńca i Lwowa. Tam przerobione w kancelariach sekretarzy, przyjmują postać lepiej wypracowaną, stają się elaboratami, zestawieniami faktów, rubrykami zdarzeń, trafiają na lepszy papier i dorabiają się pieczęci – i tak, jako oficjalne pisma, jadą pocztą do Warszawy, do zmęczonych urzędników tego rozpadającego się państwa, do kapiącego luksusem pałacu nuncjusza papieskiego, ponadto zaś, poprzez sekretarzy gmin żydowskich, do Wilna, Krakowa, a nawet Altony i Amsterdamu. Czytają je biskup Dembowski, marznący w lichym pałacu w Kamieńcu, oraz rabini kahałów lwowskiego i satanowskiego, Chaim Kohen Rapaport i Dawid ben Abraham, śląc sobie nieustannie wiadomości, w których wiele jest niedomówień, ponieważ cała ta wstydliwa i żenująca sprawa trudna jest do ujęcia w czystych i świętych hebrajskich słowach. Czytają je w końcu również urzędnicy tureccy, którzy muszą wiedzieć, co dzieje się w sąsiednim państwie, a poza tym mają swoje interesy z miejscowymi panami. Głód informacji jest wielki.

Szpiedzy, zarówno ci królewscy, jak i kościelni i żydowscy, donoszą, że Jakub zajechał następnie do Korolówki, gdzie się urodził i gdzie mieszka wciąż część jego rodziny, a mianowicie stryj, też Jankiel, rabbi korolewski, i jego syn Izrael z żoną Soblą.

Tutaj, według donosów, przystępuje do niego dwudziestu ludzi; większość z nich to krewniacy. Wszyscy uroczyście spisują swoje imiona na karcie – obiecują tym samym stać przy swej wierze, na żadne prześladowania nie bacząc i niczego się nie bojąc. Potwierdzają też, że jeżeli trzeba będzie iść z Jakubem do innej wiary, to oni za nim pójdą. Są jak żołnierze, pisze górnolotnie jeden ze szpiegów, gotowi na wszystko.

Szpiedzy wiedzą też o Jencie w drewutni przy domu. Piszą o niej: „jakaś święta staruszka”, „stara kobieta, która nie chce umrzeć”, „czarownica, która ma trzysta lat”.

To do niej najpierw idzie Jakub.

Sobla prowadzi go do drewutni, otwiera drzwi i pokazuje to, o co prosił, gdy tylko tu przybył. Jakub staje zdumiony. Drewutnia zamieniona jest w uroczysty pokój, na ścianach wiszą kilimy tkane przez tutejszych chłopów, pasiaste, kolorowe; takimi kilimami wyłożono też podłogę. Na środku stoi łoże zasłane piękną wyszywaną pościelą, teraz trochę zakurzoną – Sobla zmiata z niego ręką źdźbła traw i małe pajęczyny. Spod przykrycia wygląda ludzka twarz, na wierzchu leżą ręce z białymi, kościstymi dłońmi. Pod Jakubem, jeszcze rozbawionym i skorym do żartów, uginają się nogi. Bo to jego babka. Również inni, Nachman i Nussen, i reb Mordke, i stary Mosze z Podhajec, który też przybył powitać Jakuba, wszyscy pochylają się nad Jentą. Jakub najpierw stoi jak skamieniały, aż nagle zaczyna teatralnie szlochać, a za nim inni. Sobla tkwi w drzwiach do drewutni, żeby już nikt tu nie wchodził, żeby nie cisnęli się ciekawscy; ludzie wypełniają prawie całe ich niewielkie podwórko, bladzi, brodaci, w futrzanych czapach, przytupują w świeżym śniegu.

Sobla ma swoją wielką chwilę i jest dumna, że Jenta wygląda tak pięknie.

Zatrzaskuje drzwi i wchodzi do środka, żeby zwrócić uwagę, jak delikatnie drżą Jencie powieki, jak poruszają się pod nimi gałki oczne, jak wędrują po jakichś niewyobrażalnych światach.

– Ona żyje – mówi Sobla uspokajająco. – Dotknij jej, jest nawet trochę ciepła.

Jakub posłusznie, bez wahania, dotyka palcem dłoni Jenty. Cofa ją szybko. Sobla chichocze.

Co powiesz, Mądry Jakubie, na coś takiego?

Wiadomo, że żona Izraela, Sobla, tak jak wiele kobiet, jest przeciwna tym prawowiernym, jak oni sami mówią o sobie, wykręcając kota ogonem, bo przecież prawowierni wcale nie są. Jak wiele kobiet nie lubi Jakuba. Zwłaszcza kiedy widzi go modlącego się – bez filakteriów! Kręci się przy tym wokół własnej osi, szczęka zębami. Odstawia jarmarczne sztuczki, myśli Sobla. Jakub każe jej iść do sklepu gojskiego – bo wyżej wieś jest gojska – po chrześcijański chleb. Sobla odmawia. Kto inny więc przynosi ów chleb i tym chlebem Jakub zaczyna wszystkich częstować, a niektórzy ludzie tak się przy nim ośmielają, że wyciągają ręce po ten chleb, popełniając świętokradztwo. Dziwnie się zachowuje także wtedy, gdy nagle zatrzymuje się i nadstawia uszu, jakby słyszał jakieś głosy. Ale tylko on. Mówi bezsensowne rzeczy w jakimś nieznanym języku – powtarza na przykład: „zy- zy- zy”, drżąc przy tym na całym ciele. Co by to miało znaczyć, Sobla nie wie, nikt nie wie, jednak jego wyznawcy biorą to poważnie. Mosze z Podhajec tłumaczy Izraelowi, że Jakub powtarza: „Maasim Zarim, Maasim Zarim”, i chodzi o „Cudze Uczynki”, czyli to, od czego trzeba zacząć. Cudze Uczynki, Obce Uczynki – dziwne czyny, niezrozumiałe w pierwszej chwili, dziwaczne dla niewtajemniczonych, ale wtajemniczeni, najbliżsi Jakubowi, powinni wiedzieć. Trzeba robić wszystkie te rzeczy, które dotąd były zabronione. Stąd ten chleb chrześcijański, nieczysty.

Izrael myśli o tym całe popołudnie. Skoro nadeszły tak długo wyczekiwane czasy mesjańskie, to Jakub ma rację, przestały obowiązywać prawa tego świata, prawa Tory. Teraz wszystko jest na opak. Izraela ta myśl napełnia grozą. Siedzi na ławce i patrzy z otwartymi ustami, jak to świat nagle zdziwniał. Kręci mu się w głowie. Jakub na podwórku obiecuje, że będzie ich więcej, tych „Cudzych Uczynków”, i należy wykonywać je starannie, z namaszczeniem. Łamanie starego prawa jest konieczne, tylko to może przyspieszyć nadejście zbawienia. Wieczorem Izrael prosi o ten gojski chleb i żuje go powoli, pracowicie, dokładnie.

Sobla zaś jest niezwykle praktyczną osobą i w ogóle nie interesują jej podobne sprawy. Gdyby nie jej zdrowy rozsądek, dawno umarliby z głodu, ponieważ Izraela zajmują tylko takie rzeczy, jak tikkun, dewekut, zbawienie świata i podobne. Jest poza tym chory na płuca i nie potrafi nawet porządnie narąbać drzewa. Każe więc Sobla nagrzać wody do parzenia kurcząt, dowodzi gotowaniem tłustego rosołu, robi swoje. Towarzyszy jej Pesełe, ośmioletnia, rezolutna, są podobne jak dwie krople wody. Sobla karmi inne dziecko – Frejnę. Dziecko jest żarłoczne, dlatego Sobla jest taka chuda. Reszta dzieci biega po domu.

Sobla byłaby raczej ciekawa żony tego antypatycznego kuzyna, którego musi gościć w domu – podobno urodziła córeczkę. Czy przyjedzie kiedy do Polski, czy dołączy do niego? Jaka ona jest? I jaka jest ta rodzina w Nikopolu? Czy to prawda, że Jakub jest bogaty i ma tam własną winnicę? To czego tutaj szuka?

Pierwszego dnia na nic nie ma czasu, bo bez przerwy obstępują go ludzie, dotykają, ciągną za rękawy, Jakub ma długą mowę do zgromadzonych, pełną przypowieści. Głosi tę całkowicie nową religię, taką, do której trzeba dojść przez Ezawa, czyli chrześcijaństwo, tak jak Szabtaj wszedł do Izmaela, czyli religii tureckiej. Bo droga zbawienia polega na wydobyciu z tych religii ziaren objawienia i połączenia ich w jedno wielkie Boskie objawienie, Torę de-’Acilut. W owej religii końca wszystkie te trzy religie będą sprzęgnięte w jedną. Niektórzy, gdy to słyszą, spluwają w śnieg i odchodzą.

Potem jest biesiada, po której Jakub, zmęczony czy pijany, zaraz idzie spać – nie sam oczywiście, bo w domach szabtajskich obowiązuje szczególna gościnność. Grzać Jakuba przychodzi młodsza córka Moszego zza cmentarza.

Zaraz po śniadaniu każe się Jakub wieźć na wzgórze, gdzie są jaskinie. Tam jego towarzysze mają na niego czekać, on sam znika w lesie. Znowu odbywa się to przytupywanie w śniegu. Tłumek zbiera się spory, przyszli też goje ze wsi, pytają, co się stało. Potem będą opowiadać ciekawym władzom: „A to jakiś Żyd uczony przyjechał z Turcji, ichni święty. Wielki, z turecką czapą na głowie, z dziobatą twarzą”. No i ciągną tam za nim ludzie ze wsi, i czekają na niego

w lasku, z powagą, przekonani, że Jakub rozmawia z podziemnymi duchami. Kiedy wraca, już zaczyna zmierzchać, a wraz ze zmierzchem zaczyna padać śnieg. Wracają do wsi całą kompanią, weseli, choć zmarznięci, ciesząc się, że czeka już na nich gorący rosół i wódka. Rano ruszają dalej, na Chanukę do Jezierzan.

Szpiedzy już dobrze wiedzą, co dzieje się dalej: ten prorok, Jakub, zatrzymuje się oto na dwa tygodnie u Symchy ben Chaima i zaczyna widzieć światło nad głowami niektórych wiernych. Jest to aureola, zielonkawa, czy może niebieska. Symcha i jego brat mają to światło nad głową, co znaczy, że są wybrani. Każdy chciałby mieć taką aureolę, niektórzy już ją nawet wyczuwają, lekkie swędzenie wokół głowy, ciepło, jakby się było bez czapki. Ktoś mówi, że taka aureola bierze się z niewidocznej dziurki w głowie, którą wypływa wewnętrzne światło. To ta dziurka tak swędzi. I że koniecznie trzeba się pozbyć z głowy kołtuna, który ma wielu i który przeszkadza światłu.

„Trzech jest ukrytych przede mną, a o czwartym nie wiem”. Księga Przysłów 30,18

Gdy Jakub idzie przez wsie czy miasteczka, biegną za nim miejscowi tradycyjni Żydzi i krzyczą: „Trójca! Trójca!”, jakby to było jakieś przezwisko. Czasami podnoszą z ziemi kamienie i rzucają w zwolenników Jakuba. Inni, ci, których ukąsił Szabtaj Cwi, zakazany prorok, patrzą ciekawie, z nich bierze się grupa takich, co ruszają za Jakubem.

Ludzie są tu biedni i przez to stali się podejrzliwi, biedny nie może sobie pozwolić na zbyt daleko idące zaufanie. Zanim gruby schudnie, chudy umrze – mówi się tutaj. Chcieliby cudów, znaków, spadających gwiazd, krwawej wody. Nie bardzo rozumieją, co im mówi Jankiel Lejbowicz zwany Jakubem Frankiem. Ale ponieważ jest przystojny, ładny i ubrany z turecka, wydaje się niezwykły, robi na nich wrażenie. Wieczorem, gdy rozmawiają przy ogniu, Jakub skarży się Nachmanowi, że czuje się jak kupiec, który ma do sprzedania najpiękniejszą perłę, a tu

go biorą za kupczyka i wartości perły ocenić nie umieją, myśląc, że fałszywa.

A opowiada ludziom to, czego uczył go Isochar, co mu wieczorami podpowiada reb Mordke i co mu tłumaczy Nachman, biegły w każdej dyspucie, lecz sam pozbawiony zarówno dobrego wyglądu, jak i mocy przekonywania. Gdy jednak Jakuba poniesie, wiele dodaje od siebie. Szczególnie lubi mocne porównania i nie wzdraga się przeklinać. Mówi jak prosty Żyd, jak mleczarz z Czerniowiec, jak rymarz z Kamieńca, tylko w żydowskie zdania wrzuca sporo tureckich słów, przez co stają się one podobne do chałki z rodzynkami.

W chrześcijański Nowy Rok ruszają do Kopyczyniec. Mija ich po drodze wiele sań bogato przystrojonych, to okoliczni wielmoże jadą uroczyście i z fasonem do kościoła. Konie zwalniają i oba orszaki sunące w przeciwne strony patrzą na siebie w zdumionym milczeniu. Jakub w szubie z wielkim kołnierzem, w futrzanym, farbowanym kołpaku – jak król. Panowie okutani w futra, przez co wydają się grubi i przysadziści; ich głowy zdobią czapy, do których nad czołem przypięto drogie brosze podtrzymujące pióro. Kobiety, blade, z nosami poczerwieniałymi od mrozu, toną w futrzanych pledach.

W Kopyczyńcach stoły już zastawiono, a prawowierni z całej wsi czekają pod domem Szloma i Zytli – przestępują z nogi na nogę, tupią, bo mróz łapie, gadają między sobą. Niebo czerwienieje, gdy sanie podjeżdżają pod dom. Tłum cichnie i w pełnym napięcia milczeniu patrzy, jak Jakub wchodzi do środka. Ten tuż przed drzwiami zatrzymuje się i cofa, podchodzi do Ryfki i jej małej córeczki, i do jej męża Szyli, patrząc nad ich głowami, jakby tam coś widział. Wywołuje to poruszenie, a i sami wybrani czują się nieswojo. Potem, gdy Jakub znika w środku, Ryfka zaczyna pochlipywać, płacze też ta mała dziewczynka, może trzyletnia, i w ogóle wielu ludzi, czy to ze zdenerwowania, czy z zimna, czy ze zmęczenia. Niektórzy jechali przecież całą noc. Są tu też ci, którzy byli przedtem w Jezierzanach, a nawet w Korolówce.

W środku przyjmuje Jakuba uroczyście Chaim z Warszawy, który ma interes w stolicy i dlatego wszyscy go szanują. Także i tam rozeszła się już sława Jakuba. Tamtejsi też chcieliby wiedzieć, co się będzie działo

teraz, gdy świat zbliża się do końca. Jakub cierpliwie wyjaśnia przez całe popołudnie, aż szybki w małych okienkach stają się białe od pary, którą natychmiast mróz zamienia w filigranowe palmy.

Tego wieczoru ci, którzy zaglądają przez małe okienka, niewiele widzą. Płomienie świec migoczą i co chwila gasną. W Jakuba znów wstępuje duch – ruach ha-kodesz. Nie widać tego dobrze, tylko jakiś cień na ścianie od płomieni świec, rozmigotany i niepewny. Słychać krótki krzyk jakiejś kobiety.

Po wszystkim Szlomo Szor, zgodnie ze starym prawem, wysyła do łoża Jakuba Zytlę. Ale Jakub jest tak zmęczony, że Zytla, czysta i wypachniona, przebrana w odświętną koszulę, zła i zagniewana wraca do męża.

W domu rodziców Chaima Jakub nawraca trzy osoby. Sam Chaim bardzo podoba się Jakubowi, ma zmysł organizacyjny i zaraz następnego dnia bierze się do roboty. Teraz już ze wsi do wsi towarzyszy im prawdziwy orszak, kilkanaście fur, do tego konni i jacyś piesi, którzy nie nadążają za całą karawaną i dochodzą do celu dopiero wieczorem, zmęczeni i głodni; ci ostatni śpią byle gdzie, w stodole, w karczmie na podłodze. Wsie przekazują sobie Jakuba jak święte dziwo. A tam, gdzie zatrzymuje się na postój, natychmiast schodzą się jacyś ludzie, zaglądają przez okienka, a słuchając tego, co mówi, choć nie do końca to rozumieją, mają w oczach łzy wzruszenia. Wzrusza nie tylko sam Jakub, którego ruchy stały się teraz jakieś kanciaste, zdecydowane, jakby tu wpadł na chwilę, a sam był już myślami gdzie indziej, z Abrahamem, z Sarą, z Szabtajem, z wielkimi mędrcami, którzy rozbierali świat na najdrobniejsze literki. Na dodatek bowiem na niebie pojawiła się kometa – co wieczór towarzyszy Jakubowi, jakby był jej synem, tej iskry światła, która tu wpadła na świat. I jadą przez Trembowlę, Sokołów, Kozowę, Płauczę, Zborów, Złoczów, Hanaczówkę i Busk. Wszyscy podnoszą głowy, patrząc w niebo. Jakub uzdrawia nakładaniem rąk, znajdują się zagubione rzeczy, cofają się wrzody, kobiety zachodzą w upragnione ciąże, wraca miłość między małżonkami. Krowy rodzą bliźnięta o dziwnym umaszczeniu, a kury znoszą jajka, w których są po dwa, trzy żółtka. Polscy panowie przyjeżdżają popatrzyć, jak ten Frank,

ten Żyd turecki czy wołoski, czyni cuda, jakich nigdzie nie widzieli, i mówi o końcu świata. Czy chrześcijanie też będą zbawieni, czy to tylko żydowski koniec świata? – to nie jest pewne. Chcą z nim rozmawiać. W rozmowie przez tłumacza, którym jest Nachman albo Chaim z Warszawy, panowie starają się zachować wyższość. Najpierw wołają go do powozu, Jakub podchodzi, grzecznie odpowiada. Zaczyna od tego, że jest prostym człowiekiem, prostakiem, ale tak na nich patrzy, że pod jego wzrokiem tracą rezon. Potem już stają w tłumie innych, różnią się tylko grubym futrem i piórem na czapie.

W Busku cała wieś wylega przed domy, palą się pochodnie, złapał tęgi mróz i świeży śnieg trzeszczy pod stopami. Jakub bawi tu tydzień w domu brata Nachmana, Chaima, i jego żony. Mały synek Nachmana, Aronek, i inni chłopcy chodzą za Jakubem jak paziowie za królem. Tu Jakub widzi niebieskie aureole nad prawie każdym. Niemal całe miasteczko nawraca się na wiarę Trójcy Świętej, jak mówi sam Jakub. Za dnia przynoszą chore dzieci, żeby położył na nie dłonie. Potem przyjeżdżają po niego z Dawidowa, a potem chcą go widzieć we Lwowie. Tam ma do dyspozycji wielką salę, gdzie tłum ludzi przyszedł go zobaczyć, ale gdy mówi o tym, że jak za drugim razem się w Polsce pojawi, to trzeba będzie iść do Ezawa, czyli do religii katolickiej, żeby nadeszły Ostatnie Dni, zaczynają wychodzić, sarkając. Lwowscy Żydzi są bogaci, wredni i rozpuszczeni. Lwów nie jest tak chętny Jakubowi jak biedne miasteczka i wsie. Bogatym i zadowolonym nie spieszy się do Mesjasza; Mesjasz to przecież ten, na którego się wiecznie czeka. Każdy, który przyszedł, jest Mesjaszem fałszywym. Mesjasz więc to ktoś taki, kto nigdy nie przychodzi. Na tym to polega. Zagłuszają Jakuba, gdy zaczyna mówić w lwowskiej synagodze. W końcu wyrywa pulpit i rzuca go w tłum, musi uciekać, bo napierają na niego, wściekli i rozjuszeni.

Nawet w karczmie nie są dla niego uprzejmi, mimo że Chaim dobrze płaci. Karczmarka, niezbyt grzeczna, fuka na Jakuba. Wtedy on jej mówi, żeby sprawdziła kieszeń, bo ma w niej tynfa. Staje zdziwiona.

– A skąd niby miałabym mieć?

On upiera się i każe jej sięgnąć do kieszeni – a wszystko to się dzieje w obecności wielu świadków. I ona wyciąga stamtąd monetę, niezbyt

cenną, odkąd je fałszują, ale w końcu to pieniądz. Spogląda na nią jakaś zmieszana, ucieka wzrokiem i chętnie by sobie poszła, gdyby nie to, że Jakub mocno ją trzyma za ramię.

– A wiesz dobrze, skąd ją masz? – pyta Jakub, ale na nią nie patrzy; patrzy ponad głowami zaciekawionego tłumku, który się już zebrał.

– Nie mów, panie – prosi karczmarka i wyrywa się z tego uścisku.

Ale on nie ma zamiaru jej usłuchać i już woła z głową zadartą do góry, żeby go było lepiej słychać:

– Od szlachcica dostała, co wczoraj z nim grzeszyła.

Ludzie wybuchają śmiechem, sądząc, że to wymysł, ale o dziwo karczmarka to potwierdza. Przyznaje mu rację, ku zdumieniu gawiedzi, i cała czerwona znika.

Teraz przesłanie Jakuba staje się jasne, wyraźne niczym ślady na śniegu wytupywane dla rozgrzewki przez tych, którzy nie dostali się do środka i będą musieli wszystkiego dowiedzieć się od innych. Chodzi o sprzęgnięcie razem trzech religii: żydowskiej, muzułmańskiej i chrześcijańskiej. Pierwszy, Szabtaj, to ten, który otworzył drogę przez islam, Baruchja ruszył przez chrześcijaństwo. Co najbardziej bulwersuje wszystkich i po czym rozlegają się tupania i krzyki? – to że należy przejść przez wiarę nazareńską tak samo, jak się przechodzi przez rzekę; i że Jezus był powłoką i skorupą Mesjasza prawdziwego.

Myśl w południe wydaje się haniebna. Po południu nadaje się do przedyskutowania. Pod wieczór jest już przyswojona, a późnym wieczorem – już całkiem oczywista.

W nocy pojawia się jeszcze jeden aspekt tej myśli, dotąd jakby niebrany pod uwagę – że wraz z chrztem przestaje się być Żydem, przynajmniej dla innych. Staje się człowiekiem, chrześcijaninem. Można kupić ziemię, otworzyć sklep w mieście, wysłać dzieci do szkół wszelakich... Od możliwości kręci się w głowie, bo to tak, jakby dostać nagle dziwny, niepojęty prezent.

Szpiedzy słusznie też zauważyli, że już od Jezierzan towarzyszy Jakubowi panna, a potem dołącza do niej i druga – obie mają go niby strzec. Jedna, śliczna buskowiczanka, jest jasnowłosa, różowa, wiecznie roześmiana, postępuje za nim pół kroku w tyle. Druga, lwowianka, Gitla, wysoka i dumna jak królowa Saba, rzadko coś mówi. Ponoć to córka gminnego pisarza lwowskiego, Pinkasa, ale ona sama twierdzi, że ma w sobie królewską krew od polskiej królewny, którą jej pradziadek porwał. Siedzą po dwóch stronach Jakuba, niczym anielice strażniczki, na ramionach mają piękne futra, na głowach czapki ozdobione szlachetnym kamieniem i pawim piórem. U boku nieduże tureckie mieczyki w pochewkach wysadzanych turkusami. Jakub między nimi, jakby między filarami świątyni. Wkrótce ta ciemniejsza, Gitla, staje się jego prawdziwą tarczą, przepycha się przodem i broni swoim ciałem dostępu do niego, laską wstrzymuje napierających. Ostrzegawczo trzyma rękę na mieczyku. Wkrótce futro tylko jej przeszkadza, więc zmienia je na kubrak wojskowy koloru czerwonego, zdobiony białym szamerunkiem. Jej bujne ciemne włosy, skręcone i niesforne, wystają spod futrzanej wojskowej czapki.

Jakub nie obywa się bez niej i jakby z żoną, wszędzie z nią nocuje. Ona podobno jest jego obroną daną mu od Boga. Będzie z nim szła dalej przez Polskę, będzie go strzec. Bo Jakub się boi, nie jest przecież ślepy i za plecami swoich zwolenników dostrzega milczącą gawiedź, która spluwa na wzmiankę o nim, a pod nosem mamrocze przekleństwa. Nachman też to widzi, dlatego każe co noc wystawiać straże naokoło domu, gdzie śpią. Jakubowe nerwy koją dopiero dzbanek wina oraz piękna Gitla. Trzymający straż słyszą chichoty i jęki miłosne przez cienkie, drewniane ściany chałupy. Nachmanowi się to nie podoba. Także Mosze, rabin z Podhajec, ten, który radził Szorowi odwołać wesele, przestrzega, że taka ostentacja nie jest potrzebna i prowokuje złe języki, ale przecież również on, od niedawna wdowiec, patrzy łakomym okiem na dziewczęta. Gitla działa wszystkim na nerwy, panoszy się, patrzy z góry na inne kobiety. Najbardziej mają jej dość Chaim z Warszawy i jego żona Wittel. Choć we Lwowie Jakub, acz niechętnie, oddala tę jasną, to Gitlę zatrzymuje. Na miejsce oddalonej w następnej wsi pojawia się zresztą nowa.

Wędrówka trwa cały miesiąc. Coraz to inny nocleg, coraz inni ludzie. W Dawidowie Jakub wita się jak z ojcem z Eliszą Szorem – Szor w szubie do ziemi, w czapie futrzanej, jego synowie po obu stronach. Drżącą ręką stary Szor wskazuje nad głową Franka dziwną poświatę, a im dłużej na nią patrzą, tym większa się robi, tak że obecni przy tym klękają w śniegu.

Gdy nocuje znowu u Szorów w Rohatynie, prosi go stary Szor przy wszystkich:

– Pokażże, Jakubie, swoją siłę. Wiemy, żeś ją dostał.

Lecz Jakub się wymawia, że zmęczony, że pora spać po długich dysputach, i idzie po schodach na górę, gdzie ma pokoje. A wtedy zebrani widzą, że na stopniach dębowych pozostał ślad jego stopy, jakby wypalony, wygnieciony w drewnie. Od tej pory przychodzą tam ludzie w nabożnym milczeniu oglądać ten święty ślad; trzymają też tam w Rohatynie jego pantofel, turecki, wyszywany.

Szpiedzy wysłani z lwowskiej gminy żydowskiej odnotowują skrzętnie zarówno treść nowej modlitwy, którą przywiózł Jakub Lejbowicz Frank ze sobą, jak i to, że uwielbia kajmak oraz tureckie słodycze z sezamu i miodu. Jego towarzysze zawsze mają je w swoich bagażach. W modlitwie mieszają się ze sobą słowa hebrajskie, hiszpańskie, aramejskie i portugalskie, tak że nikt dokładnie wszystkiego zrozumieć nie może, ale przez to brzmi ona tajemniczo. Modlą się do jakiegoś Señor Santo, śpiewają „Dio mio Baruchja”. Z zasłyszanych strzępków próbują odtworzyć treść tej modlitwy i wychodzi im mniej więcej tak:

„Obyśmy poznali wielkość Twoją, Señor Santo, żeś Ty Bóg prawdziwy i Pan Świata, i Król Świata, który byłeś w bycie cielesnym i zniszczyłeś raz na zawsze zakon stworzenia, i podniosłeś się na własne Twe miejsce, aby usunąć wszystkie inne stworzone światy, i oprócz Ciebie nie ma innego Boga, ani wysoko, ani nisko. I nie przywódź nas na pokuszenie ani wstyd, dlatego klękamy przed Tobą i chwalimy Twoje imię, Króla wielkiego i silnego. Święty on jest”.

Resztki Nachmana z Buska
zapisywane w ukryciu przed Jakubem

Gdy Bóg nakazał Żydom ruszyć w drogę, miał już na myśli cel tej wędrówki, choć oni go nie znali; chciał, by szli ku przeznaczeniu. Rzeczą Boską jest cel i punkt wyjścia, rzeczą zaś człowieka jest niecierpliwość i wiara w przypadek oraz oczekiwanie przygód. Gdy zatem przychodziło Żydom osiedlić się gdzieś na dłużej, okazywali – jak dzieci – niezadowolenie. Radość zaś, gdy nadchodził czas, by znowu zwinąć obóz. Tak to właśnie jest i teraz. Dobry Bóg tworzy więc ramy każdej wędrówki, a człowiek stanowi jej treść.

„Czy już jesteśmy w najgorszym z miejsc? Czy to Busk?”, zapytał mnie Jakub i wybuchnął śmiechem, gdy przybyliśmy do Buska.

W Busku przyjmowaliśmy Jakuba w domu mojego brata, Chaima ben Lewiego, ponieważ moja żona nie chciała się na to zgodzić. A że była w wysokiej ciąży, tom jej ustąpił. I ona, jak wiele kobiet, była niechętna nowym naukom. Mój syn, jedyny, który przeżył niemowlęctwo, miał na imię Aronek i jego szczególnie upodobał sobie nasz Jakub. Brał go na kolana, czym niezwykle cieszył moją duszę, i jeszcze powiadał, że z chłopca wyrośnie tęgi mędrzec, któremu nikt nie da rady w słowach. Cieszyło mnie to, lecz wiedziałem, iż Jakub dobrze zna moją sytuację i wie, że żadne z moich dzieci nie przeżywało roku. Mały Aronek dostał tego wieczoru wypieków i Leja skarciła mnie, żem wziął słabowite dziecko na dwór i nosił po zimnie.

Poszła ze mną raz do Chaima, więcej nie chciała. Zapytała, czy to prawda, co o nas mówią.

„A co mówią?”, zapytałem. „Zapowiadałeś nam prawdziwie uczonego rabina, a tak, przez niego – zrobiła ruch głową w stronę

okna – Bóg nas pokarał. Każe mi rodzić dzieci, które umierają”. „Dlaczego przez niego?”, zapytałem. „Bo jeździsz za nim od kilku lat. Gdzie on, tam i ty”.

Co można na to powiedzieć? Może miała rację? Może Bóg odbiera mi dzieci, bym mógł być bliżej Jakuba?

Każdy wieczór układał się podobnie: najpierw wspólna kolacja – kasza, sery, pieczone mięso, chleb, oliwa. Przy długich stołach zasiadali wszyscy – kobiety, dzieci i podrostki, i kto tylko dołożył się do uczty; ale też ten, kto by się nie miał z czego dokładać, głodnym nie pozostał. Wtedy to Jakub snuł swoje opowieści z tureckich krajów, często śmieszne i zabawne, tak że większość kobiet, oczarowana jego piękną wymową i humorem, pozbywała się złych o nim myśli, dzieci zaś brały go za niezwykłego bajarza. Potem była wspólna modlitwa, której nas nauczył, a gdy kobiety sprzątały ze stołu i kładły dzieci spać, zostawali już tylko ci, którzy godni byli uczestniczyć w nocnych naukach.

Jakub zawsze zaczynał od ciężaru milczenia. Podnosił wtedy palec wskazujący i przesuwał nim, wyprostowanym w górę, przed swoją twarzą w jedną i drugą stronę, a wszystkie nasze oczy ciągnęły za tym jego palcem, za którym twarz jego rozlewała się i nikła. Wypowiadał wtedy słowa: „Szloiszo seforim niftuchem”, co znaczyło: „Trzy księgi otwierają się”. Zapadała wówczas przejmująca cisza, tak że słychać było prawie szelest kart świętych ksiąg. Potem Jakub przerywał tę ciszę i pouczał nas: cokolwiek tu usłyszycie, ma to zapaść w was jak w grób. I odtąd to będzie nasza religia – milczeć.

Mówił:

„Gdyby kto chciał twierdzę zdobyć, ten nie może dokonać tego samym gadaniem, słowem ulotnym, ale musi tam pójść

z wojskiem. Tak i my musimy działać, a nie mówić. Mało się to nasi dziadowie nagadali, naślęczeli nad pismem? Cóż im pomogło to gadanie i co z tego wynikło? Lepiej widzieć oczyma, niż mówić słowami. Nie potrzeba nam mądrali”.

Zawsze mi się wydawało, że kiedy wspominał o mądrali, patrzył na mnie. A przecież ja starałem się zapamiętać każde jego słowo, choć mi zakazywał te słowa zapisywać. Więc zapisywałem w ukryciu. Bałem się, że oni wszyscy, teraz zasłuchani, jak tylko stąd wyjadą, od razu wszystko zapomną. Nie rozumiałem tego zakazu. Gdy następnego dnia rano siadałem niby do rachunków, niby układać listy, uzgadniać terminy, miałem pod spodem inną kartę i tam pisałem, jakbym jeszcze raz, tym razem sam sobie, tłumaczył słowa Jakuba:

„Trzeba iść do chrześcijaństwa – mówił prostym ludziom. – Ugodzić się z Ezawem. Trzeba iść w ciemność, to jasne jak słońce! Bo tylko w ciemności czeka na nas zbawienie. Tylko w najgorszym miejscu może się zacząć mesjańska misja. Cały świat jest nieprzyjacielem prawdziwego Boga, czy tego nie wiecie?”.

„To jest ciężar milczenia. Masa duma. Słowo to jest taki ciężar, jakby się nosiło na sobie pół świata. Trzeba słuchać mnie i iść za mną. Musicie zarzucić wasz język i z każdym narodem mówić jego własnym językiem”.

Cnotą jest nic szpetnego ze swoich ust nie wyrzucać. Cnota to jest milczeć, trzymać w sobie wszystko, co się zobaczy i usłyszy. Zachować stałość. Tak jak Pierwszy, Szabtaj, zaprosił na swój ślub gości i wtedy pod baldachimem ślubnym stanęła Tora jako panna młoda, tak i my zastąpiliśmy Torę kobietą. Odtąd co wieczór pojawia się w postaci nagiej, bez osłon, między nami. Kobieta jest największą tajemnicą i tu, w dolnym świecie, jest odpowiednikiem najświętszej Tory. Będziemy się z nią łączyć, najpierw delikatnie

samymi wargami, ruchem ust, które wypowiadają czytane słowo i przez to na powrót, codziennie, stwarzają świat z nicości. Ponieważ przyznaję to ja, Nachman Samuel ben Lewi z Buska, że jest jeden Bóg w Trójcy, a Czwarta Osoba to jest Matka Święta.

O tajemniczych czynnościach w Lanckoruniu i niechętnym oku

Nachman tego nie opisze, tak, słowa dodają ciężaru. Nachman, kiedy siada do pisania, wyraźnie oddziela to, co można napisać, i to, czego napisać nie można. Należy o tym pamiętać. Zresztą Jakub mówi – żadnych śladów, tkwicie w tajemnicy po sam czubek głowy, nikt nie może się dowiedzieć, kim jesteśmy i co robimy. Ale sam robi dużo szumu, wykonuje dziwne gesty, rzuca dziwne zdania. Mówi enigmatycznie, tak że trzeba się domyślać, o co mu chodzi. Dlatego ludzie długo po jego odjeździe zostają razem i tłumaczą sobie słowa tego Franka, obcego. Co on powiedział? W jakimś sensie każdy rozumie to na swój sposób.

Kiedy 26 stycznia przybywają do Lanckorunia, prowadzeni przez jadącego konno Lejbka Abramowicza i jego brata Moszka, od razu wiodą ich do domu Lejbki. Jest już zupełnie ciemno.

Wieś leży na stromym zboczu, które spada do rzeki. Droga, kamienista i niewygodna, prowadzi górą. Mrok jest gęsty i zimny, światło grzęźnie w nim na kilka łokci od swego źródła. Pachnie dymem z mokrego drzewa i w ciemnościach majaczą zarysy domów; przez ich małe okienka prześwieca gdzieniegdzie brudnożółta poświata.

Szlomo Szor i jego brat Natan spotykają się z siostrą. Chaja, prorokini, mieszka w Lanckoruniu od ślubu z tutejszym rabinem, Hirszem, który prowadzi interesy tytoniowe i cieszy się tu wielkim poważaniem wśród prawowiernych. Nachmana na jej widok ogarnia lekkie oszołomienie, jakby się napił wódki.

Przychodzi z mężem, stają u drzwi i Nachmanowi wydaje się, że Chai towarzyszy ojciec, tak Hirsz przypomina starego Szora – nie dziwne to,

są przecież kuzynami. Chaja wypiękniała po dzieciach, jest bardzo szczupła i wysoka. Ma krwistoczerwoną sukienkę i jaskrawobłękitny szal, jak panna. Włosy przewiązane barwną szmate, rozpuszczone na plecy. W uszach długie, wiszące tureckie kolczyki.

Przez zakurzone niewielkie okna wpada zawsze zbyt mało światła, więc prawie przez cały dzień pali się knot zanurzony w glinianej skorupce z olejem, stąd smród kopcia i spalonego tłuszczu. Obie izby są zagracone i skądś dochodzi nieustający chrobot, szelest. Jest zima, to i myszy schroniły się pod dach przed mrozami – tworzą teraz pionowe miasta w ścianach i poziome w podłogach, bardziej skomplikowane niż Lwów i Lublin razem wzięte.

We frontowej izbie nad paleniskiem znajduje się wgłębienie, przez które dochodzi do ognia powietrze. Ale ciągle się zatyka i piec dymi, dlatego wszystko w środku przesiąknięte jest jego zapachem.

Zamykają szczelnie drzwi i zasłaniają okna. Można by sądzić, że poszli spać, cały dzień jechali, są pomęczeni, tak samo jak szpiedzy. We wsi już szumi od wzburzenia – zaraza szabtajska przybyła. Jest też dwóch ciekawskich, to Gerszom Nachmanowicz i jego kuzyn, Naftali, ten, który arenduje u pana i przez to ma o sobie wielkie mniemanie. Skrada się i udaje mu się zajrzeć przez okno (ktoś je jednak zostawił lekko odsłonięte). Krew odpływa mu z twarzy i stoi jak zaczarowany, oderwać się od tego widoku nie może; choć ma przed sobą tylko szparę w kształcie pionowego paska, to poruszając głową, może objąć wzrokiem całą scenę. Oto widzi ledwie przy jednej świeczce siedzących kołem mężczyzn, a w środku nagą do połowy kobietę. Jej duże, jędrne piersi wydają się świecić w mroku. Ten Frank obchodzi ją wkoło, gadając coś do siebie.

Na tle topornych sprzętów w domu Lejbki ciało Chai jest doskonałe i cudowne, jakby się tu wzięło z innego świata. Kobieta ma przymknięte oczy, lekko rozchylone usta, w których widać koniuszki zębów. Na jej ramionach i dekolcie błyszczą kropelki potu, piersi ciążą ku ziemi, aż chciałoby się je podtrzymać. Chaja stoi na stołku. Jedyna kobieta pośród wielu mężczyzn.

Pierwszy podchodzi Jakub – musi się lekko wspiąć na palce, żeby dotknąć ustami koniuszków jej piersi. Wydaje się nawet, że trzyma przez

chwilę w ustach sutek, że spija krople mleka. I jeszcze druga pierś. Za nim idzie reb Szajes, stary, z długą rzadką brodą, która sięga mu do pasa; jego wargi, ruchliwe jak u konia, szukają sutka Chai na ślepo – reb Szajes nie otwiera oczu. Potem podchodzi do niej Szlomo Szor, jej brat, po chwili wahania robi to samo, lecz z większym pośpiechem. I ruszają już wszyscy – ośmielony Lejbko Abramowicz, gospodarz, za nim jego brat, Moszek, potem znowu Szor, tym razem Jehuda, a za nim Izaak z Korolówki, i każdy, nawet ten, który tylko stał do tej pory pod ścianą, cofnięty w cień, już wie, że został dopuszczony do wielkiej tajemnicy tej wiary i przez to staje się prawowierny, a ci ludzie wokół są jego braćmi i tak już będzie, aż zbawiciel zniszczy stary świat i odkryje się nowe. Bo w żonę Hirszową weszła sama Tora, to ona świeci przez jej skórę.

Trzeba zamknąć oczy i trzeba iść w ciemność, bo dopiero z ciemności widać to, co jasne, mówi Nachman w myślach i bierze w usta sutek Chai.

Jak Gerszom ułowił odszczepieńców

Mówi się, że to sam Jakub kazał niedbale zasłonić okna – tak żeby jednak widzieli. Podglądacze zaraz biegną do wsi, do rabina i w mig zbiera się grupa ludzi, uzbrojonych w kije.

I rzeczywiście, Gerszom ma rację, każe im najpierw rzucić okiem przez szparę między zasłonami, a kiedy wyważają drzwi, przez chwilę widzą półnagą kobietę, która próbuje się osłonić jakimś kawałkiem odzieży, i pierzchających pod ściany ludzi. Gerszom wrzeszczy groźnie, ktoś wyskakuje przez okienko, ale łapią go ci na zewnątrz, komuś innemu udaje się uciec. Wszystkich pozostałych, z wyjątkiem Chai, nieco podpitych, przestraszonych, powiązawszy ich postronkami, Gerszom każe zawieźć do rabina. Samowolnie rekwiruje ich powozy, konie, księgi, pisma i szuby futrzane, po czym idzie na dwór do pana. Gerszom nie wie, że jest karnawał i pan ma gości. I na dodatek pan nie chce wdawać się w żydowskie awantury – ma u Żydów kredyt – nie wie, o co dokładnie chodzi, którzy są w to zamieszani, a którzy nie. Woła więc swojego zarządcę, Romanowskiego, sam zajęty smakowaniem

dereniowej nalewki. Dwór jest oświetlony i nawet na zewnątrz czuć zapach pieczystego, słychać muzykę i śmiechy kobiet. Zza pańskich pleców wyglądają ciekawie zarumienione twarze. Zarządca Romanowski wkłada długie buty i ściąga ze ściany strzelbę, woła parobków i idą razem przez śnieg, a oburzenie w nich święte, żydowskie i chrześcijańskie, budzi niespokojne obrazy, że dzieje się jakieś wielkie świętokradztwo, blasfemia ogólna, ponadwyznaniowa. Na miejscu widzą tylko zziębniętych mężczyzn, powiązanych postronkami po dwóch, bez ciepłych okryć, dygoczących na mrozie. Romanowski wzrusza ramionami. Nawet nie rozumie, o co tu chodzi. Ale na wszelki wypadek wszyscy zostają osadzeni w areszcie w Kopyczyńcach.

Szybko dochodzi do tureckich władz, co się tu stało; już na trzeci dzień przybywa mały oddział turecki i od Romanowskiego domaga się oddania jeńca, Jakuba Franka, obywatela Porty, co też Romanowski chętnie czyni. Niechże sobie Żydzi czy Turcy sami sądzą swoich odszczepieńców.

Podobno w ciągu tych trzech dni spędzonych w areszcie w Kopyczyńcach, zanim przyjechali po niego Turcy, Jakub znowu miał zesłanie świętego ducha, ruach ha-kodesz, i dziwne rzeczy krzyczał, o czym później zaświadczyli siedzący z nim w celi reb Szajes i Icełe z Korolówki – że pójdzie do religii chrześcijańskiej i dwunastu braci razem z nim. A kiedy go Turcy uwolnili, dali mu konia, na którego on wsiadł i natychmiast ruszył za turecką granicę, do Chocimia. Szpiedzy zaś donieśli potem rabinowi Rapaportowi we Lwowie, że wyjeżdżając, powiedział po hebrajsku całkiem donośnie: „W drogę królewską idziemy!”.

O polskiej księżniczce Gitli Pinkasównie

Piękna Gitla to jedyna córka Pinkasa, sekretarza rabina lwowskiego Rapaporta. Dziewczyna ma źle poukładane w głowie, przysparzała ojcu nieustających kłopotów i dlatego oddał ją do swojej siostry w Busku,

żeby zażyła tam zdrowego wiejskiego powietrza oraz nie rzucała się wszystkim w oczy.

Niedobrze, że jest ładna – choć to zwykle cieszy rodziców – wysoka, smukła, o pociągłej, śniadej twarzy, wydatnych ustach i ciemnych oczach. Chodzi niedbale i zawsze jest dziwacznie ubrana. Całe lato spacerowała po wilgotnych łąkach za miastem, recytowała wiersze, chodziła sama na cmentarz, zawsze z książką w ręce. Jej ciotka uważa, że tak się zawsze dzieje, kiedy uczy się dziewczyny czytać. Nieostrożny ojciec Gitli zrobił to i oto są właśnie skutki. Uczona kobieta to powód wielkich kłopotów. No i niejako się ziściło. Kto normalny przesiaduje na cmentarzu? Dziewczyna ma dziewiętnaście lat, dawno powinna być wydana za mąż, tymczasem przyciąga ciekawskie spojrzenia chłopców i starszych mężczyzn, ale nikt się z taką jak ona żenić nie chce. Podobno dawała się niektórym chłopcom obmacywać. Robili to za cmentarzem, tam gdzie droga prowadzi do lasu. Kto wie, czy nie doszło do czegoś więcej.

Matka Gitli umarła, gdy dziewczynka miała kilka lat. Przez długi czas Pinkas był wdowcem, ale parę lat temu wziął sobie nową żonę, która nie znosiła pasierbicy. Z wzajemnością. Kiedy macocha urodziła bliźnięta, Gitla uciekła z domu pierwszy raz. Ojciec znalazł ją w karczmie na rogatkach Lwowa. Młodziutka, dosiadła się do grających w karty i doradzała to jednemu, to drugiemu. Ale nie wzięli jej za wędrowną dziwkę. Poprawnie wyrażała się po polsku, widać było, że jest uczona, dobrze wychowana. Chciała jechać do Krakowa. Była porządnie ubrana, w najlepsze sukienki, i zachowywała się tak, jakby na kogoś czekała. Karczmarz myślał, że to jakaś wielka pani, co popadła w kłopoty. Opowiadała, że jest prawnuczką polskiego króla i że jej ojciec znalazł ją w koszyku wymoszczonym łabędzim puchem, a na dodatek karmiła ją mlekiem łabędzica. Ci, co jej słuchali, bardziej śmiali się z tego karmienia mlekiem przez łabędzicę niż z tego koszyka. Ojciec wpadł do karczmy i dał jej w twarz na oczach wszystkich. Potem ją siłą wsadził na furę i odjechali w stronę Lwowa. Biedny Pinkas do dziś ma w uszach rechot i sprośne żarciki tych, którzy wtedy byli w karczmie. Dlatego postanowił wydać córkę jak najszybciej za mąż, właściwie za pierwszego, który ją zechce, póki – miał nadzieję – jest dziewicą.

Wynajął najlepsze swatki i zaraz znaleźli się chętni z Jezierzan i Czortkowa. Wtedy ona zaczęła chodzić na siano z chłopakami, tak żeby to wszyscy widzieli. Robiła to specjalnie, żeby do ślubu nie doszło. I nie doszło, bo kandydaci na męża się wycofali. I ten z Jezierzan, i ten z Czortkowa – wieści rozchodzą się szybko. Teraz mieszkała w osobnej izbie zrobionej w przybudówce, jak trędowata.

Zimą tego fatalnego roku miała jednak Gitla szczęście, czy może raczej nieszczęście, kto to wie – na gościńcu pojawił się bowiem sznur sań i przybysze rozłożyli się w miasteczku. Ciotka Gitli, u której gościła także jej macocha z bliźniakami, dwoma chłopcami, żarłocznymi i owłosionymi niczym Ezaw, pozamykała całą swoją rodzinę w domu, zamknęła okiennice i kazała się wszystkim modlić, żeby czasem głosy tych bezbożników nie doleciały do ich niewinnych uszu.

Gitla, nie zważając na sprzeciw ciotki i macochy, narzuciła na siebie huculski kożuszek, który dostała od ojca, i wyszła w śnieg. Brnęła przez wieś, do domu rudego Nachmana, gdzie na chwilę zatrzymał się Pan. Czekała pod drzwiami wraz z innymi, którym obłoki pary z ust przesłaniały twarze, tupiąc z zimna, aż Pan zwany Jakubem wyszedł w końcu ze świtą. Wtedy złapała go za dłoń i pocałowała. On chciał wyrwać rękę, lecz Gitla już wcześniej odsłoniła swoje piękne gęste włosy i na dodatek powiedziała to, co zawsze: „Jestem polską księżniczką, wnuczką króla polskiego”.

Inni wybuchnęli śmiechem, ale na Jakubie zrobiło to wrażenie, więc przyjrzał się dziewczynie i popatrzył jej prosto w oczy. Co tam dojrzał, tego nie wiadomo. Odtąd szła za nim krok w krok, nie odstępując go ani na chwilę. Mówiono, że Pan był nią wielce ukontentowany. Przez nią – mówili ludzie – Pan rósł w siłę, a i ona moc wielką dostała z nieba, czuła ją w sobie. Gdy się kiedyś jakiś oberwaniec rzucił na Pana, ona tej mocy użyła i tak tego łobuza rąbnęła, że się przewrócił w śnieg i długo nie mógł powstać. I była przy Jakubie jak wilczyca, aż do tej fatalnej nocy w Lanckoruniu.

O Pinkasie i jego wstydliwej rozpaczy

Gdy Pinkas pojawia się u Rapaporta, woli nie rzucać mu się w oczy, przemyka bokiem, kuli się nad pismami, które teraz przepisuje, prawie go nie widać. Ale rabin o przymkniętych wiecznie oczach widzi nie gorzej niż niejeden młodzieniec. Niby to przechodzi koło niego, ale Pinkas czuje na sobie ten jego wzrok, jakby go ktoś oparzył pokrzywą. Wreszcie nadchodzi ta chwila – każe mu przyjść do siebie, gdy jest sam. Wypytuje o zdrowie, żonę i bliźniaki, grzecznie, łagodnie, jak to on. W końcu pyta, nie patrząc na swojego sekretarza:

– Czy to prawda, że... – Nie kończy. Pinkasowi i tak robi się gorąco, czuje na skórze tysiące igieł, a każda z nich jest rozpalona, piekielna.

– Spotkało mnie nieszczęście.

Rabbi Rapaport tylko kiwa smutno głową.

– Czy wiesz, Pinkas, że ona już do Żydówek nie należy? – pyta łagodnie. – Czy ty to wiesz?

Rapaport mówi, że Pinkas już dawno powinien coś zrobić, wtedy gdy zaczęła mówić, że jest polską księżniczką, albo jeszcze wcześniej, wszyscy wokół widzieli, że niedobrze z nią się dzieje i opętał ją jakiś dybuk, stała się bowiem rozwiązła, ordynarna i pyskata.

– Od kiedy zaczęła się zachowywać dziwnie? – pyta rabin.

Pinkas długo myśli i odpowiada, że od śmierci jej matki. Matka umierała długo, w męczarniach, miała w piersi guza, który rozlał się na całe jej ciało.

– To zrozumiałe, że wtedy – mówi rabin. – Wokół umierającej duszy gromadzi się wiele wolnych, mrocznych dusz. Szukają słabego miejsca, którędy mogłyby się wedrzeć w człowieka. Rozpacz osłabia.

Pinkas słucha tego ze ściśniętym sercem. Przyznaje rabinowi rację, to mądry człowiek i on, Pinkas, rozumie tę logikę, tak samo powiedziałby komu innemu – gdy w koszu popsuł się jeden owoc, to należy go wyrzucić, żeby nie zaraził pozostałych. Ale gdy patrzy na pewnego siebie, choć współczującego Rapaporta, który na dodatek, gdy mówi, zamyka oczy, przychodzi mu do głowy myśl o ślepocie, że może jest coś, czego ten wielki, mądry człowiek nie widzi. Może są jakieś prawa, które wymykają się rozumieniu, może nie wszystko jest ujęte

w pismach, może trzeba dla jego Gitli stworzyć nowy zapis o takich jak ona, może ona w końcu jest polską księżniczką, jej dusza...

Rapaport otwiera oczy i widząc Pinkasa pochylonego, jakby był złamanym patykiem, mówi do niego:

– Płacz, bracie, płacz. Twoje łzy oczyszczą ranę, a ta się szybko zagoi.

Ale Pinkas wie, że takie rany nie goją się nigdy.

14

O biskupie kamienieckim Mikołaju Dembowskim, który nie wie, że jest w całej sprawie efemerydą

Biskup Dembowski żywi silne przekonanie, że jest ważnym człowiekiem. Myśli też, że będzie żył wiecznie, bo uważa się za człowieka prawego i sprawiedliwego, dokładnie takiego, o jakiego chodziło Chrystusowi.

Patrząc na niego oczami Jenty, należałoby przyznać, że w pewnym sensie ma rację. Nie zabił, nie zdradził, nie gwałcił, biednym pomagał, dając co niedziela jałmużnę. Czasem ulega chuci cielesnej, ale trzeba przyznać – uczciwie ją zwalcza, a kiedy ona zmogła jego, szybko o tym zapominał i w ogóle o tym nie myślał. Grzech się wzmacnia, gdy się o nim myśli, gdy się go międli w głowie, wyobraża go sobie, rozpacza nad nim. Tymczasem jest jasno powiedziane, że trzeba odbyć pokutę i koniec.

Biskup ma pewną skłonność do zbytku, lecz tłumaczy to sobie słabym zdrowiem. Chciałby się przysłużyć dobrze światu; dlatego jest wdzięczny Bogu, że został biskupem – otwiera mu to szansę, by tak się stało.

Siedzi przy stole i pisze. Ma okrągłą, mięsistą twarz i duże usta, które można by nazwać zmysłowymi, gdyby nie to, że należą do biskupa, a także ma jasną cerę i jasne włosy. Czasami, gdy się zgrzeje, robi się czerwony i wtedy wygląda jak ugotowany. Na rokietę nałożył ciepły wełniany mucet, a stopy grzeje w futrzanym papuciu uszytym przez kobiety specjalnie dla niego, bo marzną mu nogi. Jego pałacyk kamieniecki nigdy nie jest dość dogrzany, ciepło gdzieś stąd ulatuje, czuć przeciągi, choć okna są małe i w środku zawsze panuje mrok. Okna jego gabinetu wychodzą na uliczkę tuż przy ścianie kościoła. Widzi tam teraz kłócących się dziadów, po chwili jeden zaczyna drugiego okładać kijem, bity krzyczy piskliwym głosem, więc inni żebracy też się

podrywają do tej konfrontacji i już za chwilę zgiełk gwałci biskupie uszy.

Biskup próbuje napisać:

Szapsa Zwinnicy
Szabsa Swinnicy
Szabsaćwinnicy
Szabsiaświnnikowie
Szabsiaświnkowie
Szapłaświnki

W końcu zwraca się do księdza Pikulskiego, szczupłego, drobnego czterdziestolatka o szarych włosach, który oddelegowany tutaj specjalnie z zakonu i za poręczeniem biskupa Sołtyka w specjalnej sprawie jako ekspert, pracuje za uchylonymi drzwiami i jego duża głowa, która gardzi miękkością peruki, rzuca od świecy długi cień na ścianę.

– Jakże się to w końcu pisze?

Ksiądz Pikulski pojawia się przy biurku. Rysy mu się wyostrzyły przez ostatnich kilka lat, od czasu kiedyśmy go widzieli na rohatyńskim obiedzie; jest świeżo ogolony, a na wydatnym podbródku widnieją ranki po zacięciach. Któryż to balwierz go tak załatwił? – myśli biskup.

– Będzie lepiej, Wasza Ekscelencjo, pisać: kontratalmudyści, jako że oni przeciwko Talmudowi występują, to jedno jest jasne. To jest dla nas także bezpieczniejsze: nie wdawać się w ichnie teologie. A lud mówi na nich „sabsaćwinnicy”.

– Co ty sądzisz o tym, ojcze? – pyta biskup, wskazując na list leżący przed nim na stole. A jest to list od starszych gminy żydowskiej Lanckorunia i Satanowa, w którym rabini proszą o interwencję w sprawie odszczepieństw od Prawa Mojżeszowego i zbrukania najstarszych tradycji.

– Widocznie ich samych to przerasta.

– Chodzi o te bezeceństwa, które ci ludzie wyprawiali w jakiejś karczmie? Czy to powód?

Pikulski odczekuje chwilę, wygląda, jakby liczył w myślach, może zresztą to robi. Potem splata dłonie i mówi, nie patrząc na biskupa:

– Mnie się zdaje, że oni chcą nam pokazać, że z tymi heretykami nic nie chcą mieć wspólnego.

Biskup chrząka nieznacznie, niecierpliwie porusza stopą w papuciu, i ksiądz Pikulski rozumie, że ma mówić dalej.

– Jak my mamy katechizm, tak oni mają Talmud. To, jak by to rzec krótko, komentarz do Biblii, ale szczególny, bo dotyczy tego, jak przestrzegać praw i nakazów Mojżeszowych. – Ksiądz powoli ożywia się, zadowolony, że może się wykazać wiedzą, którą tak pilnie nabywa od lat. Patrzy na ławę obok i pytająco podnosi brwi.

Biskup kiwa nieznacznie głową i ksiądz przysuwa się do niego. Czuć od niego stęchlizną – biedny, ma pokoje na parterze – i jeszcze ługiem, chyba zapach przeszedł od balwierza, który go tak nieszczęśliwie ogolił.

– Pisali go ich rabini wiele setek lat temu i wszystko tam wyjaśnili, co jeść, kiedy, co wolno, a czego nie. Bez tego rozpadłaby się ta ich skomplikowana konstrukcja.

– Przecież mówiłeś mi, że wszystkie prawa są w Torze – przerywa z pretensją biskup.

– Ale po zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej, na wygnaniu, trudno by było być posłusznym Torze – w obcym kraju, w innym klimacie. Poza tym owe prawa są bardzo szczegółowe, odnoszą się do ich dawnego, pasterskiego trybu życia, świat się zmienił, więc napisano Talmud. Niech sobie Wasza Ekscelencja przypomni Czwartą Księgę Mojżeszową, to tam jest o trąbach i wojskach, naczelnikach plemion, namiotach...

– No tak – wzdycha biskup nieuważnie.

– Ten Frank utrzymuje, że wszystko to jest kłamliwe.

– To jest bardzo ciężkie oskarżenie. I Tora też?

– Tora mu nie wadzi, ale ich świętą księgą jest Zohar.

– To już wiem. A czego oni chcą tym razem?

– Chcą, żeby tego Franka ukarać. We wsi Lanckoruń talmudyści pobili tych swoich heretyków i wnieśli przeciw nim sprawę do sądu o „grzech adamitów”, a sami obłożyli ich klątwą. Co mogą jeszcze przeciw nim zrobić? Dlatego zwracają się do nas.

Biskup podnosi głowę.

– Grzech adamitów?

– No, wie ksiądz biskup... – mówi Pikulski i nagle oblewa się rumieńcem i zaczyna chrząkać, a biskup w jakimś spontanicznym akcie miłosierdzia pozwala mu nie kończyć tego zdania. Ale ksiądz Pikulski szybko wraca do siebie: – Tego Franka z więzienia trzeba było zwolnić, ale on dalej działa, przebywając u Turków. W żydowski post ten Jakub z wozu namawiał, że skoro mają prawdziwego Boga i mocno w niego wierzą, to dlaczegóż mają się kryć? Powiedział: „Chodźcie, odkryjmy się i pokażmy wszystkim. Niech nas zobaczą”. Potem – w ten ich ostry post – nalewał wszystkim wódkę, częstował ciastkami i wieprzowiną.

Skąd oni się wzięli, tak nagle, w takiej liczbie? – zastanawia się biskup, poruszając palcami w futrzanym papciu. Już przedtem słyszał, że jacyś odszczepieńcy żydowscy opierają się postępować według nakazów Tory, przekonani, że jej prawa zostały unieważnione wraz z nadejściem Mesjasza. Ale co nas to miałoby obchodzić? – myśli biskup. Oni są obcy, ich religia jest cudaczna i wykrzywiona. To spór wewnętrzny, niech się gryzą. Lecz dochodzą też inne rzeczy: że ponoć posługiwali się zaklęciami i czarami, że próbowali wina utoczyć ze ściany,

wykorzystując tajemne moce opisane w Księdze Stworzenia. Podobno się spotykali w odległych miejscach, na jarmarkach i rozpoznawali tam za pomocą różnych znaków, na przykład wypisywali inicjały swojego proroka S-C na książkach, kramach i swoich towarach. I jeszcze – to też biskup zakonotował dobrze – handlowali ze sobą, tworzyli zamknięte spółki, gdzie ręczyli za siebie wzajemnie. Słyszał, że gdy jednego z nich oskarżano o oszustwo, inni zaświadczali o jego uczciwości i winę zwalali na kogoś spoza ich grupy.

– Jeszcze nie skończyłem pisać dla Waszej Ekscelencji sprawozdania – tłumaczy się nagle Pikulski. – Zohar to też jest komentarz, inny, powiedziałbym: mistyczny, nie zajmuje się prawem, ale sprawami powstania świata, Boga samego...

– Bluźnierstwa – przerwał mu biskup. – Wróćmy do pracy.

Ale tamten stoi, jest młodszy od biskupa o jakieś dziesięć, a może i więcej lat, mimo to wygląda staro. To z powodu chudości, myśli biskup.

– Dobrze, że Wasza Ekscelencja posłał po mnie do Lwowa – odzywa się ksiądz Pikulski. – Jestem do dyspozycji Waszej Ekscelencji i chyba nie znajdzie Ekscelencja nikogo, kto by był lepszym ode mnie, jeżeli chodzi o Żydów i tę herezję żydowską. – Mówiąc to, ksiądz Pikulski oblewa się nagłym rumieńcem, chrząka i spuszcza oczy. Czuje chyba, że przesadził i popełnił oto grzech pychy.

Biskup nie zauważa jednak tego zmieszania. Dlaczego tak marznę? – myśli – tak jakby krew nie dochodziła mi do najdalszych członków ciała, jakby krążyła zbyt wolno, czemu moja krew taka nierychliwa?

Biskup ma dość problemów z miejscowymi Żydami. Co za plemię diabelskie, podstępne i uparte – skąd się ich wyrzuci, tam zaraz opłotkami wrócą, siły na nich nie ma, chyba żeby jaka zdecydowana, nieodwołalna. Nic nie pomaga.

Czy nie przyczynił się biskup do dekretu królewskiego przeciw Żydom w ósmym roku sprawowania swojego urzędu, czyli Anno Domini 1748? Tak wiercił dziurę w brzuchu królowi, listy słał i składał nieustające supliki, aż król edykt wydał: w ciągu dwudziestu czterech godzin Żydzi

z Kamieńca uchodzić musieli, domy ich poprzepadały na rzecz miasta, szkoła została zburzona. Mieli w tym swój udział kupcy ormiańscy, którym Żydzi przeszkadzali szczególnie, zaniżając ceny, handlując z ręki czy pokątnie; ci Ormianie pięknie się biskupowi odwdzięczyli. Ale problem nie zniknął. Wyrzuceni z Kamieńca Żydzi przenieśli się do Karwasar i Zinkowiec, czym natychmiast złamali zakaz osiedlania się nie bliżej niż trzy mile od miasta, nikt jednak nie miał siły ich za to sądzić, i władze przymknęły oko. Oni i tak codziennie przychodzili z towarem do miasta, żeby choć trochę pohandlować. Wysyłali swoje kobiety. Najgorsze, że kupujący także zaczęli się za nimi przenosić za Smotrycz do Zinkowiec i tam się utworzył nielegalny targ, umniejszając ten kamieniecki. Znowu popłynęły na nich skargi, choćby że przynosiły Żydówki z Karwasar do piekarni piec swoje obwarzanki, mimo zakazu. Dlaczego ja się muszę tym zajmować? – myśli biskup.

– Oni twierdzą, że ich już prawa Tory nie obowiązują – ciągnie ksiądz Pikulski swoje. – I że religia żydowska oparta na Talmudzie jest religią kłamliwą. Żaden Mesjasz już nie przyjdzie, Żydzi darmo czekają Mesjasza... Mówią też, że Bóg jest w trzech osobach i że był ten Bóg w ludzkim ciele na świecie.

– O! No i mają rację – ucieszył się biskup. – Mesjasz nie przyjdzie, bo już przyszedł. Ale nie powiesz mi, dobrodzieju, że wierzą w Jezusa Chrystusa – ksiądz biskup przeżegnał się. – Daj mi list od tych dziwaków.

Ogląda dokładnie pismo, jakby spodziewał się, że będzie tam coś szczególnego: pieczęcie, znaki wodne...

– Czy oni władają łaciną? – powątpiewa ksiądz biskup, czytając list, który wystosowali do niego kontratalmudyści, niewątpliwie pisany uczoną ręką. Kto im to pisze?

– A podobno jakiś Kossakowski, ale z których, nie wiem. Dobrze mu płacą.

O tym, jak ksiądz Chmielowski broni u biskupa swojego dobrego imienia

Ksiądz Chmielowski drobnym krokiem pędzi do biskupa i całuje jego rękę, a biskup podnosi oczy do góry, trudno rzec, czy błogosławiąc przybysza, czy raczej w geście znudzenia. Pikulski też się z księdzem wita, nawet wylewnie, jak na siebie – kłania się nisko, podaje mu dłoń i chwilę nią potrząsa. Stary księżulo w przybrudzonej sutannie (kilka oberwanych guzików, to niedopuszczalne), ze zniszczoną torbą, przy której urwał się pasek i dlatego trzyma ją pod pachą, źle ogolony, siwiuteńki – śmieje się radośnie.

– Słyszałem, że się ksiądz już u biskupa zadomowił – mówi jowialnie, ale widocznie Pikulski dostrzega w tym jakąś przyganę, bo znowu jego twarz czerwienieje.

Od drzwi zaczyna ksiądz dziekan swoją suplikę. Robi to śmiało, bo zna biskupa dobrze z czasów, kiedy ten był zwykłym księdzem.

– Księże biskupie, Ekscelencjo drogi, nie przyszedłem tu darmo inkomodować, ale o radę braterską zapytać. Co robić? – zaczyna dramatycznie.

Z torby wyciąga jakiś pakunek, okręcony niezbyt czystą szmatką płócienną, i kładzie go przed sobą, lecz trzyma na nim ręce, póki nie skończy.

A chodzi o to, że dawno temu, gdy ksiądz dziekan był jeszcze preceptorem magnackiego syna na dworze Józefa Jabłonowskiego, miał pozwolenie na korzystanie w wolnych chwilach z biblioteki w pałacu. Chodził tam często, gdy tylko jego wychowanek czym innym się zajmował, i każdą wolną chwilę spędzał, czytając w tej krynicy wiedzy. Już wtedy zaczął robić notatki i przepisywać całe ustępy, a że pamięć miał świetną, to i zapamiętywał wiele.

I teraz, gdy już kolejne wydanie jego dzieła ujrzało światło dzienne – ksiądz Chmielowski postukuje znacząco w pakunek – wraca stara sprawa o to, że podobno ściągnął i pomysł, i wiele faktów tudzież myśli z nieudanego rękopisu magnata, który to rękopis ponoć leżał, przed nikim niechroniony, na stole w bibliotece, gdzie ksiądz mógł bezkarnie z niego zrzynać.

Ksiądz milknie, nie mogąc złapać tchu, biskup zaś, przestraszony jego pasją, aż się ku niemu pochylił przez biurko i niespokojnie rzuca okiem

na pakunek, próbując przypomnieć sobie całą sprawę.

– Jakże to „zrzynać”?! – wykrzykuje ksiądz dziekan. – Co to znaczy „zrzynać”? Przecież cała moja praca to thesaurus stultitiae[7]! Zebrałem wiedzę ludzką w moich księgach, więc jakże nie miałem spisywać? Jakże nie miałem wertować? Przecież wiedza Arystotelesa czy podania Sigibertusa, czy Augustyna świętego pisma nie mogą być czyjąś własnością! Może on i magnat, i skarbce jego są pełne, ale przecież wiedza nie należy do niego i nie da się na niej postawić pieczęci ani oznaczyć miedzami jak pole! Mało mu tego, co ma, a jeszcze mnie chce popsuć jedyne, co ja mam – dobre imię i konsyderację czytelnika. Kiedy omni modo crescendi neglecto[8], wielkim wysiłkiem doprowadziłem me dzieło do końca, ma mi teraz pomówieniem takim opinię psuć? Dicit: fur es! Że ukradłem mu pomysł! A cóż to za pomysł wielki ciekawe rzeczy spisywać? Cokolwiek znalazłem gdzie mądrego, to sine invidia, bez zazdrości na teatrum moich *Aten* curiosis przynoszę. Cóż w tym jest złego? Każdy by wpadł na taki pomysł. Niech mi pokaże gdzie. – Tu ksiądz dziekan dobywa jednym ruchem z pakunku wolumin i oczom biskupa ukazuje nowiutkie wydanie *Nowych Aten*. Zapach farby drukarskiej, intensywny i gryzący, uderza w ich nozdrza.

– A to już chyba czwarte wydanie – próbuje go uspokoić biskup Dembowski.

– No właśnie! Ludzie to czytają częściej, niż ci się, Ekscelencjo najdroższy, zdaje. W wielu domach szlacheckich, a i u mieszczan niektórych stoi ta książka w bawialni i sięgają po nią i starzy, i młodzi, i po trochu, nolens volens, wiedzę o świecie sączą.

Na to biskup Dembowski zamyśla się; mądrość jest przecież stanem wyważenia sądów, niczym więcej.

– Może i zarzuty niesłuszne, ale wypowiada je człowiek bardzo szanowany – mówi, a po chwili dodaje: – Choć swarliwy i zgorzkniały. Co ja mam zrobić?

Ksiądz Chmielowski chciałby wsparcia kościelnego dla swej książki. Zwłaszcza że sam przecież jest funkcjonariuszem Kościoła, w szeregach wyznawców dzielnie stoi i dla dobra Kościoła pracuje, nie dbając o własne korzyści. A przypomina, że Rzeczpospolita to kraj marny dla

książek. Ponoć jest aż sześćset tysięcy szlachty w tym kraju, a rocznie wydaje się trzysta tytułów, to jakże ta szlachta ma myśleć. Chłop już z założenia czytać nie potrafi, taka jego dola, to książki mu niepotrzebne. Żydzi mają własne, łaciny przeważnie nie znają. Na chwilę milknie, a potem, patrząc na swoje oberwane guziki, mówi:

– Obiecał Wasza Ekscelencja dwa lata temu, że dołoży się do wydania... Moje *Ateny* to skarbnica wiedzy, którą każdy powinien mieć.

Ksiądz nie chce tego mówić, żeby go biskup nie posądził o pychę, ale najchętniej widziałby *Ateny* w każdym szlacheckim dworze, czytane przez wszystkich, bo tak właśnie je pisał: dla wszystkich, niechby i kobiety po pracy usiadły do nich, a niektóre strony nadawałyby się nawet dla dzieci... No, nie wszystkie, dodaje w myślach.

Biskup chrząka i odsuwa się nieco, więc ksiądz dziekan dodaje już cichszym i nie tak rozentuzjazmowanym głosem:

– Ale nic z tego nie wyszło. Sam wszystko skrupulatnie spłaciłem jezuitom w drukarni z pieniędzy na starość odłożonych.

Biskup musi się jakoś wywinąć od tych absurdalnych żądań starego kolegi. Ani pieniędzy, bo skąd? – ani poparcia. Biskup nawet nie czytał tej księgi, a Chmielowski nie bardzo mu się podoba. Jest zbyt niechlujny jak na dobrego pisarza, w każdym razie na mędrca biskupowi nie wygląda. Jeżeli już wsparcie, to raczej dla Kościoła, nie zaś od Kościoła.

– Ty, ojcze, żyjesz piórem, to i piórem się broń – mówi. – Napisz waść eksplikę, w jakimś manifeście umieść swoje argumenty. – Widzi, jak twarz księdza się zmienia, wydłuża i smutnieje, i od razu żal mu tego starego człowieka, więc mięknie i szybko dodaje: – Wesprę cię u jezuitów, ale nie rozgłaszaj tego.

APPROBACYA Tey KSIASZKI
Przez J.W.JMci Xiedza IGNACEGO z Wyżyc WYZYCKIEGO ARCYBISKUPA Metropolitalnego Lwowskiego,
Dana iest w Pierwszey CZESCI Tey KSIASZKI.
Tamże iest PRZEMOWA do CZYTELNIKA barzo potrzebna.
Tu kładę
ZACHĘCENIE CZYTELNIKA do tey CZĘSCI.
Surge vade; & Domus tua, & peregrinare, ubicunque reperetu.
IV. Regum cap: 8. v. 1.
KSIASZKA ta iest, *Quæ Mare, quæ terras, quæ totum possidet Orbem.* Lucanus.
Opus Magni mirabile Mundi Tibullus.
Kto w domu iak żołw siedzisz, aniś woiażował,
Kurkow nie Turkow z okna w swym Domu widował:
Ledwieś słyszał co MOGOL? SWIAT Nowy? PETZORA?
Tu czytay, PEREGRYNANT będziesz z Domatora.

KATALOG AUTOROW.
Obszerny Regestr Autorow, ktorych zażyłem w pisaniu tych ATEN, iest w Pierwszey CZĘSCI: tu iednak essencyalnych ztamtąd repetuię.

Atlas Contractus Iansonis	*Historia Perfida P. Krusinski.*	*Regna Poloniæ, Hispaniæ, Galliæ, Angliæ. &c. &c.*
Adrichomii Jerosolyma.	*Kircheri Turris Babel.*	*vario Authore.*
Botera Theatrum.	*Italiæ Descriptio*	*Radziwiła Xiążęcia Peregrynacya.*
Barclaii Icon Animorum	*Lipsii Justi Roma.*	*Rykosta Monarchia Turecka.*
Cluverii Geographia.	*Moscovia Pauli Potocki.*	*Speculum Orbis.*
Delicye Włoskiey Ziemi.	*Michalonis Tartaria.*	*Theatrum Urbis Europæ.*
D Giovanium Historicorū.	*Niderndoff Henrici Geographia.*	*Templum Vaticanum.*
Fabritius Georgius.	*Numismatica Historia Claudii du Molinet.*	*Volscii Peregrinatio.*
Flores Regnorum.		*Vir Consilii Andreæ V- dro Pal. Podol.*
Gladius contra Turcas.		
Gyllii Constantinopol.s.		
Horatii Ulissea.		

Widać nie takiego przyjęcia się spodziewał ksiądz Chmielowski, chciałby jeszcze coś powiedzieć, ale już w drzwiach stoi jakiś sekretarz podobny do wielkiej myszy, dlatego zabiera swój pakunek i odchodzi. Stara się iść wolno i z godnością, żeby nie było po nim widać, jak bardzo jest rozczarowany.

Roszko wiezie go zakutanego w futra do domu. Śniegu napadało po dachy chałup, więc sanie suną lekko, jakby leciały. Słońce oślepia księdza, odbija się od każdego płatka śniegu. Tuż przed Rohatynem wyłania się z tej jasności kawalkada sań i sanek, a na nich pełno Żydów.

Robią hałas i znikają w oślepiającej bieli. Ksiądz jeszcze nie wie, że w domu czeka nań długo oczekiwany list.

O czym pisze Elżbieta Drużbacka do księdza Chmielowskiego w lutym roku 1756 z Rzemienia nad Wisłoką

Chciałabym ja do Ciebie, Drogi Przyjacielu, częściej pisać, ale moja córka w połogu i na mnie starą spadło całe zawiadywanie dworem, bo mój zięć w podróży, która się już przedłuża z miesiąc z powodu śniegów tak okropnych, że wielka część dróg jest w ogóle nieprzejezdna, a i rzeki powylewały, osady ludzkie od świata odłączając.

Od rana więc wstaję i gonię: obory, chlewy, kurniki, konserwowanie tego, co przynieśli chłopi – już od świtu te wszystkie starania o nabiał, gomółki, małdrzyki i twarogi, mięso wędzone, drób tuczony, tłuszcze, mąki, kasze, chleby, grzyby, suszone owoce, konfekty na miodzie smażone, woski i łoje na świece, oleje do lamp i na dni postne, wełnę, przędziwo, skóry na kożuchy i buty. Żeby rano chleb położyć na stole, trzeba wiele, bardzo wiele się przedtem napracować, i to wielu ludzi razem i osobno. A przede wszystkim białogłowy. One poruszają żarna, kołowrotki, krosna. Pod ich okiem dymią wędzarnie, rosną ciasta w dzieżach, dopiekają się chleby w piecach, dociskają się formy na świece, suszą się zioła do domowych aptek, soli się sadło i słoninę. Pod ich nadzorem pędzi się wódkę i przyprawia korzeniami, warzy piwa, syci miody, do spiżarni i lamusów składa zapasy. Na kobiecie bowiem stoją trzy węgły domu, czwarty na Bogu.

Linijki jednej nie postawiłam od miesięcy i rada bym już, prawdę mówiąc, odpocząć trochę od tego młyna. Mam dwie córki, jak wiesz, a jedna jak się wzięła do rodzenia, to już czwartą córeczkę na świat wydała. Dobrze jej się układa, mąż poczciwy, zdolny do pracy i widać, że bardzo są sobie bliscy. Czego chcieć więcej niż takiej ludzkiej bliskości?

Staram się patrzeć na wszystko pogodnie, choć kłopotów wiele. Dlaczego to tak jest, że jedni mają w życiu nadmiar, a inni niedomiar? Nie tylko dóbr materialnych, ale zajęć, czasu wszelkiego, szczęścia i zdrowia. Gdybyż się tak można było podzielić po równo...

Prosiłam już raz Zofię Czartoryską, by moje wino pomogła mi sprzedać, robię bowiem dobre wino, lecz nie gronowe, jeno z owoców leśnych, a zwłaszcza z róży dzikiej. Jest mocne i jego aromat wszyscy zgodnie chwalą. I Tobie, Dobrodzieju, poślę kilka butelek.

Oto gdy to piszę, otwierają się gwałtownie drzwi i wpadają dziewczynki, które gonią Firlejkę, bo weszła do domu z ubłoconymi łapami i trzeba jej te łapy wytrzeć, lecz pies ucieka między nogami mebli i zostawia za sobą brudne ślady, niczym błotniste pieczęcie. Zawsze kiedy patrzę na nią, na ten okruszek bożego stworzenia, myślę o Tobie, Drogi Przyjacielu. Jak się miewasz i czyś zdrów? I – przede wszystkim – jak idzie Twoja wielka praca. Dziewczynki piszczą i krzyczą, pies nie rozumie zupełnie tego zgiełku, a kiedy najmłodsza przewraca się wprost na deski podłogi, pies, myśląc, że to zabawa, wesoło zaczyna tarmosić ją za sukienkę. Oj, będzie wielkie pranie, Mości Dobrodzieju.

Włożyłbyś mi do listu jakie ciekawe historyjki, bym mogła zabłysnąć w towarzystwie, jak już do niego dotrę. W maju wybieram się znowu do Jabłonowskich na ich zaproszenie...

Ksiądz Chmielowski do Elżbiety Drużbackiej

Wino Waćpani nadeszło i bardzo mi ono smakuje. Pijam je wieczorem, kiedy oczy już zmęczone i do pracy się nie nadają, za to patrzę sobie w ogień i winem Waćpani się raczę. Z całego serca za nie dziękuję, jako i za książki Waćpani z poezjami.

Mnie ze wszystkich wierszy Waćpani podoba się ten, który chwali lasy i życie na osobności, z tym to się zupełnie zgadzam. Nie chwalę wierszy o miłości, tych rzeczy ani nie rozumiem, ani nie mam na nie czasu i z racji stanu mojego duchownego nie przystoi mi takimi płochościami się zajmować. Całe to ludzkie miłowanie zbytnio się ceni i łatwo je wyolbrzymia i zdaje mi się czasem, że ludzie tym się zajmując, co innego mają na myśli, i że ta „miłość” to jakaś metafora, której ja pojąć nie mogę. Może tylko kobiety mają do niej dostęp albo zniewieściali mężczyźni. Czy chodzi o Caritas, czy raczej o Agape?

Podziwiam JWPanią za to, że tak sama z siebie poezje toczy, niby piwo z beczki. Gdzie się to u Waćpani wszystko mieści? I jak to jest, żeby tak z głowy brać te wszystkie piękne zdania i pomysły? Moja praca, Droga Dobrodziejko,

jest zgoła innej natury. Ja nic nie zmyślam, daję quintę esencję z kilkuset autorów, których sam od deszczki do deszczki przeczytałem.

Ty, Waćpani, jesteś zupełnie wolna w tym, co piszesz, a ja stoję na gruncie tego, co już napisane. Ty czerpiesz z imaginacji i serca, skrupulatnie sięgasz do swoich afektów i przywidzeń, jakby do jakiej portmonetki, i już rozrzucasz wkoło złote monety, już nimi pobłyskujesz, wabiąc gawiedź. A ja nic tu od siebie nie dodaję, jeno kompiluję i cytuję. Źródła skrupulatnie znaczę, dlatego wszędzie umieszczam to „teste", czyli sprawdź, czytelniku, tam czy sam, sięgnij po książkę matkę i zobacz, jak się wiedza plecie i przeplata od wieków. W ten sposób, gdy przepisujemy i cytujemy, budujemy gmach wiedzy i rozmnażamy ją jak moje warzywa czy jabłonki. Przepisywanie jest jak szczepienie drzewka; cytowanie – jak wysiewanie nasion. I wtedy niestraszne nam pożary bibliotek, potopy szwedzkie, żaden ogień Chmielnickiego. Każda książka to szczepka nowa wiedzy. Wiedza powinna być użyteczna i łatwo dostępna. Wszyscy powinni mieć podstawy nieodzownych nauk – i medycyny, i geografii czy magii naturalnej, i winni wiedzieć to i owo o religiach cudzych i państwach. Trzeba znać przewodnie pojęcia i mieć je w głowie uporządkowane, bo et quo modo possum intelligere, si non aliquis ostenderit mihi?[9] Mój czytelnik musiałby wielkie przewracać wolumina, skupować biblioteki, a tu dzięki mojej pracy masz Waćpani bez multa scienda.

Często się jednak zastanawiam, jak coś opisać, jak sobie z takim ogromem poradzić? Czy wybierać tylko fragmenty i tłumaczyć możliwie najwierniej, czy streszczać wywody pisarzy i zaznaczać tylko, skąd są wzięte, żeby dociekliwy czytelnik mógł trafić do tych ksiąg, jak się znajdzie w dobrej bibliotece.

Bo martwi mnie to, że jednak streszczanie czyich poglądów nie do końca oddaje ich ducha, bo gubi się językowe nawyki autora, jego styl, nie streszcza się ani humoru, ani anegdoty. Więc takie kompilacje są tylko przybliżeniem, a gdy potem jeszcze kto streści streszczenie, to już naprawdę robią się z tego same fusy, i w ten sposób wiedza staje się jakby wyciśnięta. I nie wiem, czy to raczej wygniotki, jak te owoce z wina, z których już wyciągnięto wszelką essencyję, czy – odwrotnie – aqua vitae[10], kiedy to destyluje się coś bardziej rozwodnionego, słabszego, w sam spirytus, samego ducha.

Chciałem właśnie takiej destylacji dokonać. Żeby czytelnik nie musiał po te wszystkie książki sięgać, które u mnie stoją na półkach, a jest ich sto dwadzieścia, ani po te, które w odwiedzinach będąc po dworach, pałacach i klasztorach, sczytywałem i obszerne robiłem z nich notatki.

Nie myśl, Pani Dobrodziejko, że ja wyżej stawiam moje starania niż poezje Waćpani i romanse. Twoje ku rozrywce są pisane, moje zaś ku nauce pożytecznymi się zdają.

Moim marzeniem wielkim jest, aby kiedy ruszyć w peregrynację daleką, ale nie myślę o Rzymie czy innych egzotycznych miejscach, tylko o Warszawie. Tam udałbym się od razu w jedno miejsce – do Daniłowiczowskiego Pałacu, gdzie bracia Załuscy, Twoi wydawcy szlachetni, bibliotekę zebrali z tysięcy woluminów i dostępna jest ona każdemu, kto zechce i umie czytać...

Na koniec popieść JWPani ode mnie za uchem Firlejkę. Jakżem dumny, żeś ją Waćpani tak nazwała. Jej matka znowu ma miot. Topić nie mam serca, po dworach okolicznych rozdam, a od księdza to i chłopi chętnie biorą...

Co Pinkas zapisuje, a co pozostaje niezapisane

Myliłby się kto, myśląc, że szpiedzy pracują tylko dla biskupów; listy spływają także na stół rabina Rapaporta we Lwowie. Pinkas jest jego najbardziej zasłużonym sekretarzem, jego zewnętrzną pamięcią, archiwum, księgą adresów. Zawsze w pół kroku za rabinem, wyprostowany, drobny, podobny trochę do gryzonia. Bierze każdy list w swoje długie, chude palce, starannie obraca w dłoniach, zwracając uwagę na każdy szczegół, plamę, kleks, potem ostrożnie otwiera – jeżeli jest pieczęć, to stara się ją złamać tak, żeby najmniej nakruszyć i żeby pieczęć pozostała znakiem nadawcy. Potem niesie listy rabinowi i czeka, co tamten każe z nimi zrobić – odłożyć na później, skopiować, odpowiedzieć natychmiast? Po czym Pinkas siada do pisania.

Od kiedy jednak stracił córkę, trudno mu się skupić nad listami. Rabbi Rapaport to dobrze rozumie (a może boi się, że w stanie wewnętrznego poruszenia mógłby coś pomylić, więc nie nadaje się na sekretarza) i każe mu tylko czytać i co najwyżej przynosić mu listy. Do samego pisania zatrudnił już kogo innego, więc Pinkas ma teraz lżej. Dla Pinkasa to przykre, ale stara się stłumić nieco urażoną dumę. Tak, musi przyznać, dotknęło go nieszczęście.

Lecz przecież żywo go interesuje, co się dzieje z wyklętymi zwolennikami tego Franka, tymi parszywcami, co nie wahają się kalać swego gniazda. Jest to wyrażenie rabbiego Rapaporta. Rapaport przypomniał wszystkim, co w takich wypadkach zrobić się powinno:

– Zachowała się tradycja naszych ojców, by w sprawach związanych z Szabtajem Cwi nic nie mówić; ani dobrze, ani źle; ani przeklinać, ani błogosławić. A gdyby kto chciał za bardzo pytać, dociekać, jak było, trzeba mu pogrozić cheremem.

Ale przecież nie można tego w nieskończoność ignorować. Dlatego znaleźli się w kramie niejakiego Naftuły w Lanckoruniu, Rapaport i inni rabini, jako sąd rabiniczny. Naradzają się, niedawno przesłuchiwali uwięzionych. Trzeba ich było chronić od gniewu zebranych pod kramem ludzi, którzy szarpali ich wściekle i krzyczeli: „Trójca! Trójca!”.

– To jest tak – mówi Rapaport – że siedzimy jako Żydzi na tej samej łodzi i płyniemy przez wzburzone morze, a wokoło pełno jest morskich potworów i ciągle, każdego dnia, czyha na nas niebezpieczeństwo. Każdego dnia, o każdej godzinie może powstać wielka burza, która potopi nas do imentu.

I teraz podnosi głos:

– Ale z nami siedzą też szubrawcy, Żydzi z tego samego pnia. Tak tylko się wydaje na pierwszy rzut oka, że to bracia, bo w rzeczywistości są to bękarty, nasienie diabelskie, które dostało się między nas. Oni są gorsi od faraona, Goliata, Filistynów, Nabuchodonozora, Hamana, Tytusa... Oni są gorsi niż wąż w Edenie, bo złorzeczą Bogu Izraela, a tego nawet wąż nie odważył się zrobić.

Siedzący wokół stołu najstarsi, najbardziej szacowni rabini z całej okolicy, brodaci, podobni do siebie w słabym świetle kaganków, strapieni spuszczają oczy. Pinkas przy bocznym stole wraz z innym sekretarzem przeznaczeni są do protokołowania. Teraz Pinkas przerwał pisanie i patrzy, jak spóźnionemu rabinowi z Czortkowa, który zmókł po drodze, woda spływa z płaszcza na drewnianą wywoskowaną podłogę i tworzy małe kałuże, w których odbija się światło lamp.

Rabbi Rapaport podnosi głos i cień jego palca dźga niski sufit:

– Lecz oni to właśnie, nie oglądając się na wspólne dobro Żydów, wiercą w tej łódce dziurę, jakby nie zdawali sobie sprawy, że zatoniemy wszyscy!

Nie ma jednak zgody co do tego, że dobrze zrobił Gerszom z Lanckorunia, iż doniósł władzom o tych obrzydliwych obrzędach

w jednym z domów w miasteczku.

– Choć najbardziej błyszczy się to, co przyciąga uwagę w tej sprawie, wcale nie to jest najważniejsze i najgroźniejsze – ciągnie Rapaport i nagle daje znak Pinkasowi, żeby tego nie pisać. – Groźne jest co innego, co zostało niejako niezauważone i zasłonięte piersiami Chai, córki Szora. Wszyscy się na nagości kobiecej skupiają, a tymczasem ważne, najważniejsze jest to, co widział na własne oczy i zeznał oficjalnie Melech Naftuła, który tam był: k r z y ż!

Zapada teraz takie milczenie, że słychać świszczący oddech Moszka z Satanowa.

– I z krzyżem tym różne tam wyrabiali cuda, paląc na nim świece i wywijając nim nad głową. Ten krzyż jest naszym gwoździem do trumny! – rabin podnosi głos, co mu się zdarza rzadko. – Czy tak? – pyta Naftułę, który wydaje się przerażony tym, o czym sam im doniósł.

Naftuła potakuje ruchem głowy.

– Co teraz pomyślą goje? – pyta dramatycznie Moszko z Satanowa. – Im jest przecież wszystko jedno, Żyd to Żyd, i wyjdzie na to, że Żydzi wszyscy są tacy. Że krzyż świętokradczo traktują. Że się nad nim znęcają. Znamy to już, znamy... Zanim się wytłumaczymy, już nas wezmą na męki.

– Może trzeba było siedzieć cicho i załatwić mądrze sprawę we własnym gronie? – pyta zmoknięty rabin.

Ale nie ma już „własnego grona”. Nie można się z nimi dogadać, bo i oni napierają z całą siłą. A mają protekcję takich możnych, jak biskup Dembowski (na to nazwisko niespokojne poruszenie wśród siedzących) oraz biskup Sołtyk (na co większość rabinów wbija wzrok w ciemną podłogę, tylko jeden wzdycha jękliwie).

– Więc może właśnie lepiej byłoby – ciągnie mądry Rapaport – żebyśmy od tego brudu ręce umyli całkowicie, niechże się sądy królewskie babrzą z nimi, a my utrzymywać będziemy już zawsze, że nic z tymi zaprzańcami wspólnego nie mamy. Bo czy oni jeszcze Żydzi? – pyta dramatycznie.

Chwilę trwa pełne napięcia milczenie.

– Już nie są Żydami, skoro się do Szabtaja, niech imię jego będzie wymazane na wieki, przyznają – kończy i brzmi to jak klątwa.

Tak, po tych słowach Pinkas czuje ulgę. Wypuścił z siebie zgniłe powietrze i teraz nabierze haust świeżego. Dyskusja trwa do północy. Pinkas, protokołując, nadstawia uszu na to wszystko, co pada między zdaniami godnymi zapisania.

Cherem zostaje wydany następnego dnia. Pinkas ma teraz pełne ręce roboty. List o cheremie musi być przepisany wiele razy i rozesłany jak najszybciej do wszystkich gmin. Wieczorem dostarcza go do małej żydowskiej drukarenki niedaleko rynku we Lwowie. Późno w nocy wraca do domu, gdzie wita go wymówkami jego młoda żona, rozdrażniona jak zwykle bliźniętami, które, jak twierdzi, wypijają z niej całe życie.

O Seder ha-cherem, czyli porządku klątwy

Klątwa sprowadza się do słów wypowiedzianych w określonym porządku i czasie przy dźwięku szofaru. Nakłada się ją w synagodze we Lwowie, przy blasku świec z czarnego wosku, przy otwartej świętej arce. Czyta się fragmenty z Księgi Kapłańskiej 26,14–45 oraz z Księgi Powtórzonego Prawa 28,15–68, a potem gasi się świece i wszystkim robi się straszno, jako że nad przeklętym od tej pory przestaje świecić boskie światło. Głos jednego z trzech sędziów, którzy prowadzą ceremonię, rozchodzi się po całej synagodze i słabnie w wielkim tłumie wiernych:

– Obwieszczamy wszystkim, że od dawna obznajomieni z ohydnymi poglądami i czynami Jankiela Lejbowicza z Korolówki, na wszelkie sposoby próbowaliśmy zawrócić go ze złej drogi. Nie mogąc jednak dotrzeć do jego zatwardziałego serca i otrzymując każdego dnia nowe wieści o herezjach i uczynkach jego, mając na podorędziu świadków, rada rabinów postanowiła, że Jankiel Lejbowicz z Korolówki powinien zostać wyklęty i odłączony od Izraela.

Pinkas, który stoi w samym środku zebranych i prawie czuje ciepło ciał innych mężczyzn, porusza się niespokojnie. Dlaczego mówią o wyklętym: Jankiel Lejbowicz, a nie: Jakub Frank, unieważniając niejako to wszystko, co zdarzyło się ostatnio? Nagle budzi się w Pinkasie denerwujące podejrzenie, że przeklinając Jankiela Lejbowicza, pozostawiają bezpiecznego Jakuba Franka. Czy klątwa nie idzie za imieniem, jak wytresowany pies gończy, któremu powiedziano: „Szukaj”? A jeżeli klątwa źle zaadresowana nie trafi do właściwej osoby? Może człowiek, zmieniając imiona, miejsca zamieszkania, kraje i języki, zdoła wymknąć się cheremowi, najcięższej z klątw? Kogo przeklinają? Tamtego krnąbrnego rozrabiakę? Młodzieniaszka, który wodzi na pokuszenie kobiety i popełnia drobne oszustwa?

Pinkas wie, że według tego, co napisano, człowiek, na którego nałożono cherem, powinien umrzeć.

Rozpycha się ramionami i brnie do przodu, szepcząc wokół: „Jakub Frank. Jakub Frank, a nie Jankiel Lejbowicz”. I jedno, i drugie. W końcu najbliżej stojący pojmują, o co chodzi staremu Pinkasowi. Robi się małe zamieszanie, po czym rabin ciągnie cherem, a jego głos staje się coraz bardziej zawodzący i straszny, aż kulą się plecy zebranych mężczyzn, a kobiety w babińcu nerwowo łkają wobec siły tego strasznego mechanizmu, który dobyty teraz jakby z najciemniejszych piwnic, niczym bezduszny olbrzym z gliny, będzie działał już zawsze i nie da się go zatrzymać.

– Wyklinamy, przeklinamy i odrzucamy Jankiela Lejbowicza, zwanego też Jakubem Frankiem, tymi samymi słowami, którymi Jozue przeklął Jerycho, którymi Elizeusz przeklął dzieci, oraz słowami wszystkich przekleństw zapisanych w Księdze Prawa – mówi rabin.

Wokół podnosi się pomruk, nie wiadomo, czy żalu, czy zadowolenia, ale jakby nie wydobywał się wprost z ust, lecz z szat, z głębi kieszeni, z szerokich rękawów, ze szpar w podłodze.

– Niech będzie przeklęty w dzień i niech będzie przeklęty w nocy. Przeklęty, gdy się kładzie i gdy wstaje, gdy wchodzi do domu i gdy zeń wychodzi. Niech Pan nie przebaczy mu nigdy i niech go nie uzna! Niech gniew Pana płonie odtąd przeciwko temu człowiekowi, niech obciąży go Pan wszystkimi przekleństwami i niech wymaże jego imię z Księgi

Żywota. Ostrzegamy, ażeby nikt nie zamieniał z nim słowa w rozmowie czy w piśmie, aby nikt nie wyświadczył mu żadnej przysługi, nie pozostawał z nim pod jednym dachem, nie zbliżał się doń na odległość czterech łokci i nie czytał żadnego dokumentu podyktowanego przez niego czy napisanego jego ręką.

Słowa gasną, zmieniają się w coś jakby materialnego, twór z powietrza, byt nieokreślony i długowieczny. Zamykają synagogę i idą w milczeniu do domów. Tymczasem gdzieś daleko, w innym miejscu Jakub siedzi otoczony swoimi ludźmi; jest lekko pijany, niczego nie zauważa, nic się wokół niego nie zmienia, nic się nie dzieje, nie licząc nagłego zakołysania się płomieni świec.

O Jencie, która jest zawsze obecna i widzi wszystko

Jenta, zawsze obecna, widzi klątwę w postaci czegoś zamazanego, jak te dziwne stwory, które pływają w naszych oczach, pokręcone kawałki, żyjątka na wpół przezroczyste. I klątwa odtąd będzie się trzymać Jakuba, tak samo jak białko trzyma się żółtka.

Ale w gruncie rzeczy nie ma się o co martwić ani czemu dziwić. Patrzcie, oto więcej jest takich klątw dookoła, może drobniejszych, słabszych, bardziej byle jakich. Wielu ludzi ma je wokół siebie, niczym żelowate księżyce na zamarłych orbitach otaczających ludzkie serca – ci wszyscy, którym się dostało: „Obyś sczezł”, gdy ich fura wjechała w pole kapusty i jej koła porozgniatały dojrzałe już główki, albo te, które przeklął własny ojciec, bo chodziły w krzaki z parobkiem, albo ten w pięknie wyszywanym żupanie, co naraził się na przekleństwo własnego chłopa za dodatkowy dzień pańszczyzny, albo i tenże chłop, którego zwyzywała żona, gdy dał się okraść z wszystkich pieniędzy czy gdy je wszystkie w karczmie przepił – jemu się też dostało: „Obyś zdechł”.

Gdyby umieć spojrzeć tak, jak Jenta to widzi, zobaczyłoby się, że w istocie świat składa się ze słów, które raz powiedziane, roszczą sobie

odtąd pretensje do wszelkiego porządku i wszystko wydaje się dziać pod ich dyktando, wszystko im podlega.

Działa każde najpospolitsze przekleństwo, każde wypowiedziane słowo.

Kiedy Jakub dowiaduje się o cheremie kilka dni potem, siedzi tyłem do światła, więc nikt nie widzi wyrazu jego twarzy. Świece rzucają ostry blask na jego nierówny, kostropaty policzek. Czy znowu dopadnie go choroba, jak wtedy w Salonikach? Każe tylko przywołać Nachmana i do rana się modlą na stojąco. Obronnie. Palą świece, a w izbie robi się duszno i gorąco. Tuż przed świtem, gdy padają z nóg, Jakub wykonuje pewną tajemną czynność, po czym reb Mordke wypowiada słowa równie potężne jak klątwa i rzuca je w stronę Lwowa.

W Kamieńcu zaś biskup Dembowski budzi się pewnego ranka i czuje, jakby jego ruchy stały się powolniejsze i wymagały teraz od niego więcej wysiłku. Nie wie, co by to miało znaczyć. Lecz kiedy sobie uświadamia możliwy powód tej dziwnej, nieoczekiwanej niedyspozycji, zaczyna się bać.

Jenta leży w szopie i ani nie umiera, ani się nie budzi. Izrael zaś, jej wnuk, chodzi po wsi i opowiada o tym dziwie ze strapieniem i lękiem, które uśmierzyć może tylko wódka. Przedstawia siebie zawsze jako dobrego wnuka, który całe dnie poświęca babce i przez to nie ma czasu na pracę. Niekiedy rozpamiętywanie tego przywodzi go do łez, a niekiedy do wściekłości, wtedy się awanturuje. Ale naprawdę starą Jentą zajmują się Pesełe i Frejna, jego córki.

Pesełe wstaje o świcie i idzie do szopy, która w istocie jest przybudówką do chałupy, upewnić się, czy wszystko w porządku. Zawsze jest w porządku. Raz tylko zobaczyła, że na ciele starej siedzi kot, obcy kot. Przegnała go i teraz szczelnie zamyka drzwi. Czasami Jenta pokryta jest jakby rosą, kroplami wody, tak na skórze, jak i na ubraniu, ale ta woda jest dziwna, wcale nie paruje i trzeba ją strząsać miotełką.

Potem Pesełe delikatnie wyciera twarz Jenty; zawsze waha się, zanim dotknie skóry babki. Skóra ta jest chłodna, delikatna, ale sprężysta. Czasami Pesełe ma wrażenie, że cicho trzeszczy, czy może lepiej powiedzieć – skrzypi, jak nowy but ze skóry, jak końska uprząż dopiero co kupiona na jarmarku. Raz Pesełe, zaciekawiona, poprosiła matkę, Soblę, o pomoc i delikatnie uniosły ciało, żeby sprawdzić, czy nie ma jakich odleżyn. Odciągnęły sukienki, lecz niczego takiego nie było widać.

– W tym ciele nie krąży już krew – mówi Pesełe do matki i przenika je obie dreszcz.

Ale przecież to nie jest martwe ciało. Gdy go dotykają, powolny ruch gałek ocznych pod powiekami staje się szybszy. Nie ma wątpliwości.

I jeszcze coś sprawdziła raz ciekawska Pesełe, ale sama, bez świadków. Wzięła ostry nożyk i przecięła szybko kawałek skóry pod nadgarstkiem. Miała rację, żadna krew nie popłynęła, powieki Jenty zadrgały jednak niespokojnie i z jej ust wydobył się jakby długo wstrzymywany oddech. Możliwe to?

Pesełe, która uważnie obserwuje życie zmarłej, jeżeli tak można to określić, widzi pewne zmiany, bardzo subtelne. Upiera się na przykład, opowiadając o tym ojcu, że Jenta się zmniejsza.

Tymczasem na zewnątrz czeka już zaspany ludek. Niektórzy szli tutaj cały dzień, inni zaś wynajęli izbę u kogoś ze wsi, bo jadą z daleka.

Słońce wschodzi nad rzeką i sunie szybko w górę, rzucając długie wilgotne cienie. Czekający grzeją się w jego ostrych promieniach. Potem Pesełe wpuszcza ich do środka i tam mogą zostać jakiś czas. Najpierw stoją nieśmiało i boją się podejść do tego jakby katafalku. Nie pozwala im głośno się modlić, mało to mają kłopotów? Więc stojący modlą się w milczeniu, zanosząc do Jenty swoje prośby. Podobno spełnia te, które dotyczą płodności i niepłodności, jak komu odpowiada. Wszystkie, które mają związek z ciałem kobiety. Ale przecież przychodzą i mężczyźni; mówi się, że Jenta pomaga w sprawach beznadziejnych, gdy już się straciło wszystko.

Tego lata, gdy Jakub Frank przemieszcza się ze swoją chawurą od wsi do wsi, gdy naucza i wzbudza tyle dobrych i złych myśli, do Korolówki przybywa najwięcej ludzi zobaczyć jego babkę.

Na podwórku Izraela panuje bałagan. Do płotu przywiązane są konie, czuć zapach ich łajna, wokół pełno much. Pesełe wpuszcza pielgrzymów grupkami. Niektórzy z nich to bogobojni Żydzi, biedota z okolicy i jacyś włóczędzy, co to handlują guzikami i sprzedają wino na kubki. Ale są również inni, tych wiedzie ciekawość. Przyjeżdżają furami i zostawiają Sobli ser, kurę czy kobiałkę jajek. I dobrze, to się należy ich rodzinie. Po gościach dziewczynki muszą wieczorem posprzątać, śmieci z podwórka wyrzucić, pozamiatać w przybudówce i zgrabić rozdeptaną ziemię na podwórku. Gdy pogoda deszczowa, sama Sobla przynosi do Jenty trociny i zasypuje nimi całą podłogę, by lepiej zbierało się błoto.

Teraz, wieczorem, Pesełe zapaliła świecę i układa na ciele zmarłej ręcznie dziane skarpety, dziecięce buciki, czapeczki, wyszywane chusteczki. Mruczy pod nosem. Na dźwięk skrzypnięcia drzwi wzdryga się nerwowo. To Sobla, jej matka, więc oddycha z ulgą.

– Aleś mnie, mamo, przestraszyła.

Sobla stoi zdumiona.

– Co ty wyprawiasz? Co to jest?

Pesełe nie przestaje wyjmować z kosza skarpet i chustek. Wzrusza tylko ramionami.

– Co? Co? – powtarza z przekąsem. – U Majorkowiczów dziecko było chore na uszy i wyzdrowiało od takiej czapki. Skarpety są na bolące stopy i kości. Chustki właściwie na wszystko.

Frejna stoi pod ścianą i zawija skarpety w kawałki czystego lnu, przewiązuje wstążeczką. Jutro te rzeczy sprzedadzą pielgrzymom.

Sobla, od kiedy usłyszała o klątwie, wie, że to wszystko źle się skończy. Czy klątwa obejmuje też rodzinę przeklętego? Na pewno. Panicznie się boi. Kłuje ją w piersiach od jakiegoś czasu. Namawia Izraela, żeby się więcej nie mieszać w te religijne spory. Pozbyć się Jenty. Czasami staje przy oknie, które wychodzi na cmentarz i wzgórza opadające aż do rzeki, i zastanawia się, którędy będą uciekać.

Największym przerażeniem napełniła ją historia Józefa z Rohatyna, którego znała – był tu, z Jakubem, zimą. Człowiek ten poszedł do synagogi i publicznie przyznał się do błędu; wyspowiadał się ze swoich grzechów, wyznając wszystkie. Powiedział o łamaniu szabatu, o nieprzestrzeganiu postów, o zakazanych stosunkach cielesnych i o tym, że modlił się do Szabtaja Cwi i Baruchji, że odprawiał kabalistyczne rytuały, że jadł zakazane pokarmy, o wszystkim tym, co działo się tutaj, kiedy był Jakub. Sobli kręci się w głowie, zbiera jej się na wymioty ze strachu. Izrael, jej mąż, mógłby powiedzieć to samo. I skazano tego Józefa rohatyńskiego na trzydzieści dziewięć rózeg, ale to nic w porównaniu z resztą kary. Musiał rozwieść się z żoną, a swoje dzieci ogłosić bękartami. Został wygnany z rohatyńskiej gminy i nie wolno mu odtąd kontaktować się z Żydami. Ma się tułać po świecie aż do śmierci.

Sobla podbiega do mar Jenty i z wściekłością zrzuca skarpety i czapki na ziemię. Pesełe patrzy na nią, zaskoczona i zła.

– Oj, mamo – mówi – ty naprawdę niczego nie rozumiesz.

Biskup kamieniecki Mikołaj Dembowski pisze list do nuncjusza papieskiego Serry, jego sekretarz zaś dodaje jeszcze co nieco od siebie

List jest od biskupa, ale napisał go od początku do końca ksiądz Pikulski (i teraz czyta biskupowi), biskup jest bowiem bardziej zajęty przebudową swojego letniego pałacu w Czarnokozińcach i rwie się, żeby wszystkiego sam doglądać.

Nuncjusz zaś chciałby wiedzieć, co słychać z tą dziwną sprawą heretyków żydowskich. Wyszło na jaw, a to z przyczyny samych Żydów i ich sądu rabinicznego, że sieć gmin szabtajskich, odszczepieńczych, rozciąga się wszędzie! Istnieje na Bukowinie, Węgrzech, Morawach, Podolu. Wszystkie te gminy są tajne; wyznawcy herezji udają prawowiernych Żydów, lecz w domu oddają się diabelskim rytuałom, w tym grzechowi adamitów. Rabini są tym odkryciem zbulwersowani i przerażeni. Napisali o tym grzecznie do nuncjusza.

List biskupa pisany ręką Pikulskiego relacjonuje więc proces pojmanych żydowskich heretyków przed sądem rabinicznym w Satanowie:

Przesłuchania odbyły się w izbie kahału. Strażnicy dworscy i ze strony żydowskiej strażnik mykwy, niejaki Naftali, przyprowadzili oskarżonych z postronkiem na szyi, z rękami związanymi, tak że się nie mogli nijak bronić przed kuksańcami tłumu i opluwaniem. Niektórzy z nich tak byli wystraszeni, że przyznawali się do wszystkiego, jeszcze zanim zadano im pytania, i natychmiast prosili o łaskę, przysięgając, że nigdy już więcej podobnych uczynków się nie dopuszczą. Tak zrobił niejaki Józef z Rohatyna. Inni szli w zaparte i twierdzili, że postawienie ich przed sądem jest pomyłką, nic bowiem z odszczepieńcami wspólnego nie mają.

Już po pierwszym dniu przesłuchań z tego, co zeznawano, można by namalować obraz, który budzi grozę. Nie dość, że bezcześcili swoje święta, jak szabat, i jedli zakazane Żydom pokarmy, to jeszcze cudzołożyli, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, za wiedzą i pozwoleniem swoich małżonków. Za sam środek tej herezji uważa się rodzinę Szorów i jej głowę – Eliszę Szora, który został posądzony o utrzymywanie bliskich stosunków ze swoją synową. Zdaje się, iż ostatnie zarzuty wywołały wielkie poruszenie, tak że żony oskarżonych opuściły ich gremialnie, żądając rozwodów.

Rabini zdają sobie sprawę, że muszą powstrzymać sektę i jej brudne praktyki, które mogą stawiać w złym świetle bogobojnych Żydów, i dlatego zdecydowali się na krok bardzo surowy – rzucili klątwę, czyli cherem, na Jakuba Franka. Sekta ma być prześladowana, a studiowanie Zoharu i Kabały, tak niebezpieczne dla niewprawionych umysłów, zostało zabronione aż do ukończenia czterdziestego roku życia. Każdy, kto wierzy w Szabtaja Cwi i jego proroków: Baruchję czy Natana z Gazy, jest przeklęty. Przeklętym nie wolno pełnić żadnej funkcji publicznej, ich żony i córki mają być uważane za nałożnice, a ich dzieci za bękarty. Nie pozwala się przyjmować ich do swoich domów ani karmić ich koni. Każdy Żyd powinien natychmiast zgłaszać, gdy takiego gdzie przyuważy.

Potwierdził to wszystko Sejm Czterech Ziem w Konstantynowie.

Postanowienie o klątwie rychło rozgłoszono po kraju i teraz mamy doniesienia, że ci sabsaćwinnicy, jak mówi o nich lud, są nagminnie

prześladowani. Otóż są oni napadani we własnych domach, bici, księgi ich święte są im zabierane i niszczone.

Mówi się, że złapanym mężczyznom goli się pół brody, na znak, że ani z nich Żydzi, ani chrześcijanie, tylko wpółstojący między religiami. Mamy więc prawdziwe prześladowanie i ten cios zadany kacerstwu żydowskiemu chyba już nie pozwoli mu się podnieść. Zresztą przywódca jego udał się do Turcji i bojąc się o swoje życie, chyba już tu nie wróci.

– Szkoda – wyrywa się biskupowi. – Byłaby jakaś szansa, że się ich rzeczywiście nawróci.

Pikulski przelatuje wzrokiem jeszcze grzeczności, po czym daje biskupowi list do podpisania. Zasypuje atrament piaskiem i już w głowie układa własny list, który będzie mu zapewne poczytany za bezczelność, ale przecież księdzu Pikulskiemu też leży na sercu dobro Kościoła. Idzie więc do siebie i pisze własny list do nuncjusza, który pośle do Warszawy tym samym posłańcem. Jest w nim napisane między innymi:

...Ksiądz Biskup, w swej dobroci pozostający, chciałby w nich widzieć owieczki garnące się do matki naszej Kościoła, ale ja miałbym śmiałość przestrzegać przed tak naiwnym rozumieniem. Należałoby dokładnie zbadać, co się kryje pod deklaracjami owych sekciarzy, którzy już o sobie mówią: k o n t r a t a l m u d y ś c i... Nie chcąc też umniejszać dobroci Jego Ekscelencji Biskupa, widziałbym w tym posunięciu chęć zdobycia osobistej zasługi przez włączenie do nas rzeszy chrześcijan.

Według mojego rozeznania ten Frank wprawdzie mówi o Trójcy Świętej, ale wcale nie ma na myśli Trójcy chrześcijańskiej, tylko ichnią, gdzie jest niby to niewiasta zwana Szechiną. Nic to wspólnego z chrześcijaństwem nie ma, jak raczy widzieć Jego Ekscelencja. O chrzcie sam Jakub wspomina mgliście, jak mu pasuje. Zdaje się także, że co innego mówi on ludziom we wsiach – wtedy przedstawia się jako nauczyciel, rabin wędrowny – a co innego opowiada za zamkniętymi drzwiami w najściślejszym gronie swoich uczniów. Wielu jest jego zwolenników, zwłaszcza Żydów kontratalmudystów z Nadwornej, Rohatyna i Buska. Do jakiego stopnia jednak jest to głęboka chęć religijna, a do jakiego próba wejścia w naszą chrześcijańską wspólnotę w celach inne niż religijne – tego nikt domyślić się jeszcze nie potrafi. Dlatego powodowany wielką troską,

śmiem namawiać zwierzchność Kościoła naszego, by tę sprawę pilnie zbadała, inkwizycją staranną, zanim podejmie się jakiekolwiek kroki...

Ksiądz Pikulski kończy i wpatruje się teraz w jeden punkt naprzeciwko na ścianie. Chętnie by się tej sprawie oddał i Kościołowi przysłużył. Zna dobrze hebrajski i przeniknął religię żydowską, jak mu się wydaje, do głębi. Budzi ona w nim rodzaj trwożnego wstrętu. Coś, co przypomina brudne zafascynowanie. Kto nie widział tego z bliska – a większość nie widzi – ten nie ma pojęcia o ogromie gmachu, jakim jest religia mojżeszowa. Cegła na cegle i wielgaśne, przysadziste sklepienia, które trzymają się wsparte na sobie – kto to zdołał wymyślić, trudno sobie wyobrazić. Ksiądz Pikulski wierzy, że w istocie Bóg zawarł z Żydami przymierze, ukochał ich i przygarnął do piersi, lecz potem porzucił. Wycofał się i oddał świat we władanie czystemu i schludnemu, jasnowłosemu Chrystusowi, w prostej szacie, skupionemu i poważnemu.

Chciałby jeszcze ksiądz Pikulski umieć poprosić, by nuncjusz ze względu na językowe talenty i ogrom jego wiedzy uczynił go kimś ważnym w tej sprawie. Jak to napisać? Nachyla się nad pokreśloną kartką i próbuje klecić zdania na brudno.

Biskup Dembowski pisze do biskupa Sołtyka

W tym samym czasie biskup Dembowski, z równie rozognioną wyobraźnią, wyjmuje z szuflady arkusz papieru, prasuje go dłonią i usuwa niewidzialne pyłki. Zaczyna od daty: 20 lutego 1756, a potem już sunie po papierze z rozmachem, dużymi literami, czerpiąc wyraźną przyjemność z zawijasów, jakimi opatruje zwłaszcza litery J i S.

Oni chcą wielkiej publicznej dysputy, chcą naprzeciwko swoich wrogów rabinów usiąść i pokazać im, że Talmud jest zły. Za to mieliby chrzest przyjąć w całości, to jest, jak mówią, kilka tysięcy ludu. Gdyby to doszło do skutku, byłby to wielki nasz wyczyn w całym świecie, że w Świętej Rzeczypospolitej tak się udało nawrócić pogan i nie trzeba do Indyj jeździć, lecz tu na miejscu

własnych dzikich nawracać. Po drugie, mają ci sabsaćwinnicy oprócz dobrych chęci prawdziwą nienawiść do swych żydowskich talmudycznych pobratymców...

Tym razem, już zaraz po ich aresztowaniu z powodu jakichś bezeceństw, które wyprawiali w chałupie w Lanckoruniu, donieśli na nich inni Żydzi, z którymi jestem w dobrych stosunkach i prowadzę z nimi wiele własnych spraw. Oskarżyli tych heretyków o grzech adamitów, co nie powinno dotyczyć sądu konsystorskiego, gdyby nie to, że pod tym doniesieniem tkwi sprawa o herezję. Ale czyja to herezja? Przecie nie nasza! Jakże my się mamy zajmować herezją żydowską, skoro nic o niej nie wiemy, a o żydostwie niewiele. Dzięki Bogu mam się na kim wesprzeć w tych kwestiach, jest to bernardyn, ksiądz Pikulski, który je dość dobrze zna.

Sprawa cała jest delikatna, bo tak to widzę: z rabinami lepiej nam dobrze żyć i trzymać ich na swoim miejscu, bo niejednokrotnie dostarczają dowodów lojalności. Z drugiej strony ten nowy ferment też może nam się przydać, gdybyśmy chcieli mieć możność wywierania nacisku jakiego na gminy żydowskie i rabinów. Rzucili oni klątwę na tych antytalmudystów i większość z nich zaaresztowana została przez władzę królewską. Niektórzy są na wolności, bo ich w Lanckoruniu nie było. Posłałem po ich delegację natychmiast, jak tylko się o tym dowiedziałem. Przybyli do mnie do Czarnokoziniec, ale tym razem bez ich przywódcy. Ten ich przywódca, Jakub, jako poddany turecki, musiał zostać natychmiast zwolniony i udał się już był do Turcji.

Tym razem prym wiódł niejaki Krysa, człowiek brzydki, na dodatek o charakterze pieniacza, choć dobrze po polsku mówiący, przez co wydał mi się bystrzejszy niż tamten Frank. Sam zapalczywy i gwałtowny, wspierał się urodą i wymową swojego brata, i tak mi wspólnie grupowo wyłuszczyli, że są prześladowani przez rabinów i spokoju od nich nie mają, bo to i nawet śmiercią im grożą, po drogach ich napadają i ograbiają z majątku. Także żyć ani interesu prowadzić nie pozwalają, dlatego oni, którzy są przeciwko Talmudowi i którzy lgną w wielu sprawach do naszej najświętszej wiary, chcieliby jednak zachować swoją niezależność i osiedlić się poza wpływami, i zakładać własne wsie całe lub przejmować te istniejące, jak na przykład Busk czy Podhajce, skąd oni pochodzą.

Co się zaś tyczy Franka samego, owi Krysowie nie najlepsze zdanie o nim mieli, a zwłaszcza z tego powodu, że namotawszy kłopotów, teraz uciekł i zapewne siedzi w Chocimiu albo Czerniowcach, i stamtąd się przygląda, co się tu zdarzy. Mówią o nim, że od razu przeszedł na islam. Jeżeli to prawda, niezbyt

to dobrze o nim świadczy, skoro jeszcze chwilę temu deklarował takie gorące religijne uczucia do naszego Świętego Kościoła. Świadczyłoby to raczej o tym, że oni są jak ateiści i lubują się w takiej religijnej anarchii, chodząc wte i wewte od jednej wiary do drugiej.

Według mnie ten starszy Krysa lepszym byłby przywódcą tychże sabsaćwinników, gdyby nie był taki brzydki i zapalczywy. Do przywództwa bowiem musi być i postawa, i wzrost słuszny, i uroda, choćby najzwyklejsza, która, odpowiednio przybrana, budzi i posłuch, i sympatię.

Ja jestem im przychylny. Choć wielkiej sympatii do nich nie czuję, obcy są, inni niż my i wewnętrznie pokrętni, to chciałbym ich widzieć wszystkich jako boże dziatki u mnie w Kościele. Mniemam, że się ze mną w zupełności zgadzasz i sprawę ich chrztu szeroko wesprzesz. Tymczasem wystawiam im list ochronny, aby im więcej talmudyści nie przeszkadzali, bo straszne się tu rzeczy u nas dzieją. Nie dosyć, że obłożyli tego Jakuba Franka klątwą żydowską, to jeszcze palą ich księgi heretyckie, o których mam słabe pojęcie.

Muszę Ci zwrócić uwagę na tych kilku ludzi, którzy oskarżeni zostali i szczuci byli przez rabinów talmudystów. Gdyby kiedy od Ciebie potrzebowali pomocy jakiej, to miej ich, proszę, na względzie. Oto oni:

Lejzorg i Jeruhim z Jezierzan

Lejb Krysa z Nadwornej

Lejbka Szajnowicz Rabinowicz i Moszko Dawidowicz z Brzeżan

Herszko Szmulowicz i Icek Motylowicz z Buska

Nutka Falek Mejerowicz zwany Starym Fatkiem

Moszek Lejbka Abramowicz i jego syn Jankiel z Lanckorunia

Elisza Szor z Rohatyna z liczną rodziną

Lejbka Herszko z Satanowa

Moszko Izraelowicz z synem Joskiem z Nadwornej

Mojżesz Aronowicz ze Lwowa

Nachman z Buska

Zelik z synem Lejbkiem i Lejbko Szmulowicz.

Biskup jest tak zmęczony, że jego głowa ciąży ku karcie papieru; po nazwisku „Szmulowicz” opada nań i jasną skroń biskupią brudzi

atrament z imienia Zelik.

Tymczasem zaś...

Wszyscy wymienieni przez biskupa, co do jednego, oraz ci, których nie dopisał, siedzą teraz u niejakiego Berka, w jego domu w Kamieńcu. Jest koniec lutego, przenikliwy ziąb wkrada się do izby wszystkimi szparami, a jest ich mnóstwo.

– Dobrze zrobił, że się stąd usunął do Turcji, bo tumult się tu wielki uczynił – mówi Lejbko Szmulowicz do Krysy, mając na myśli Jakuba.

Krysa na to:

– Mnie się zdaje, że on z nami powinien tu być. Może uciekł, tak niektórzy mówią.

– I co z tego, niech sobie mówią. Ważne, żeby listy dochodziły; przecież on zaraz za rzeką, w Chocimiu. Polska, Turcja... Jaka to granica? Ważne, żeby się nie marnował tam, u Turków, tylko dawał nam wskazówki, co i jak mamy mówić i czynić.

– Jakbyśmy sami nie wiedzieli – mruczy Krysa.

Teraz, gdy głosy cichną, podnosi się Szlomo Szor, który tu przybył przed chwilą; sama jego postać wzbudza respekt.

– Otóż biskup dobrze jest do nas nastawiony. Przeegzaminował nas trzech, mojego brata, Nachmana i mnie. Zostaliśmy wszyscy zwolnieni z aresztu i wypuszczeni do domów. Koniec naszej poniewierki. Będzie za to dysputa między nami a nimi. Tyleśmy wydarli.

Robi się hałas, który Szor ucisza i wskazuje na Moszego z Podhajec w futrzanej szubie. Ten podnosi się ciężko i mówi:

– Aby stało się wszystko po naszej myśli, musimy jasno obstawać przy dwóch prawdziwych rzeczach: że wierzymy w Trójcę, którą jest Bóg jeden w trzech osobach, i w żadne na ten temat dyskusje się nie wdawać, kto w tej Trójcy i tak dalej, oraz że odrzucamy raz na zawsze Talmud jako źródło błędów i bluźnierstw. I to jest wszystko. Tylko tyle.

Rozchodzą się w milczeniu, szurając nogami po trocinach, którymi wysypano podłogę.

Jak spełniają się złe proroctwa macochy Gitli

Kiedy wybuchł tumult w Lanckoruniu i aresztowali wszystkich mężczyzn, Gitla nie ucierpiała zbytnio. Na noc obie „strażniczki” przygarnęła Chaja, po którą zaraz przybył mąż i zabrał je wszystkie do domu. Chaja, której jeszcze kilka godzin temu uroczyście całowano piersi, teraz przypominała gospodynię – pościeliła im obu łóżka, nakarmiła je zsiadłym mlekiem.

– Dziecko drogie, nic tu po tobie – powiedziała do Gitli, siadając przy niej na łóżku i gładząc ją po policzku. – Uciekaj stąd, jedź do Lwowa i przeproś ojca. Przyjmie cię.

Następnego dnia dała im po parę groszy i obie dziewczyny opuściły jej dom. Zaraz potem rozeszły się w dwie przeciwne strony, bez słowa (tam gdzie poszła Gitla, na śniegu widać było ślady krwi). Gitla odwróciła futro na lewą stronę i ruszyła w kierunku drogi. Podwożona przygodnymi saniami, próbowała dotrzeć do Lwowa, ale nie ze względu na ojca, tylko dlatego, że prawdopodobnie tam będzie Pan.

Na początku lutego Gitla jest już we Lwowie, ale nie śmie pokazać się ojcu na oczy. Raz widzi go ukradkiem, gdy idzie do gminy, blisko muru, zgarbiony i stary; stawia drobne kroczki i mówi coś do siebie. Gitli robi się go żal, nie rusza się jednak z miejsca. Idzie do siostry zmarłej matki, mieszkającej koło synagogi, ale ona już wie, co się wydarzyło, i zamyka jej drzwi przed nosem. Gitla słyszy przez zamknięte drzwi, jak biadolą tam jeszcze długo nad losem jej ojca.

Stoi na rogu ulicy, gdzie zaczynają się żydowskie domy. Wiatr podwiewa jej spódnicę i drobinki zmrożonego śniegu topią się na jej cienkich pończochach. Już wkrótce wyciągnie rękę po jałmużnę albo zacznie się sprzedawać za chleb i będzie tak, jak przepowiedziała jej macocha – spadnie na samo dno. Dlatego stoi na mrozie godnie, tak jej się przynajmniej wydaje. Ale jakiś młody Żyd w sztrejmli, wielkiej czapce z futra, nawet na nią nie patrząc, wciska jej grosz, za który Gitla kupuje sobie ciepłego obwarzanka. Powoli godzi się z myślą, że wygląda jak ladacznica, ma potargane włosy, jest brudna, głodna. I nagle czuje się zupełnie wolna. Wchodzi na pierwsze lepsze podwórko, do pierwszego

lepszego domu, a potem idzie schodami na piętro i po chwili puka do pierwszych z brzegu drzwi.

Otwiera jej wysoki, zgarbiony mężczyzna w szlafmycy i szlafroku podbitym ciemnym futerkiem. Na nosie ma szkła. Trzyma przed sobą świecę, która oświetla jego twarz o ostrych rysach.

– Czego chcesz? – pyta chropowatym niskim głosem i odruchowo szuka groszy na jałmużnę.

– Jestem prawnuczką polskiego króla – mówi Gitla. – Szukam godziwego noclegu.

15

Jak w Kamieńcu zmienia się dawny minaret w kolumnę z Matką Bożą

Latem 1756 roku Nachman, Jakub i Szlomo Szor stawiają się w Kamieńcu jako zwyczajni Żydzi, którzy przyszli zza Smotryczy, żeby sprzedawać czosnek. Nachman na ramionach niesie koromysła, a do nich podczepione kosze z czosnkiem. Jakub wprawdzie chodzi teraz w biednej kapocie, ale nie zgodził się na łapcie z łyka i ma dobre skórzane buty, które wystają spod szerokich spodni. Ubrany w strój na pół turecki, na pół ormiański, z wyglądu przypomina jakiegoś przybłędę bez przynależności, których pełno wzdłuż pogranicza i którym się nikt specjalnie nie przygląda. Szlomo Szor, wysoki i szczupły, ma taką godność w twarzy, że trudno z niego zrobić włóczęgę. W długim ciemnym płaszczu i w chłopskich butach przypomina duchownego jakiejś nieokreślonej religii i budzi mimowolny szacunek ludzi.

Stoją teraz we trzech przy kamienieckiej katedrze Piotra i Pawła, w sporym tłumku, który z przejęciem komentuje ustawianie posągu na wysokiej kolumnie. Wydarzenie to ściągnęło wszystkich z okolicznych wiosek oraz z bliższych i dalszych uliczek, a także klientów kramów na rynku; nawet księża wyszli popatrzeć, jak drewniany dźwig podnosi złotą figurę. Przed chwilą rozmawiali żywo i głośno, a teraz ucichli, spoglądając na statuę, która nagle zaczęła się kołysać, co grozi zerwaniem sznurów i runięciem jej w dół, na głowy zebranych. Tłumek cofa się nieco. Pracują jacyś obcy robotnicy, a ludzie szepczą, że to z Gdańska, że cała figura odlana została w Gdańsku, pokryta grubo złotem i przez cały miesiąc wieźli ją tutaj na podwodach. Samą zaś kolumnę zbudowali jeszcze Turcy i przez lata był tam ich półksiężyc, bo stanowiła ona część minaretu, w jaki zamienili, bezbożni, katedrę. Lecz teraz Panna Najświętsza wróciła i będzie górowała nad miastem i głowami jego mieszkańców.

Wreszcie znalazła się na miejscu. Tłum wzdycha, ktoś intonuje pieśń. Teraz można zobaczyć całą figurę. Matka Boska, Maria Dziewica, Pani Miłosierna, Królowa Świata jest tu jak młoda dziewczyna, która biegnie lekko, tanecznym krokiem, ręce ma rozłożone i uniesione jak do powitania. Zaraz cię pochwyci w ramiona i przytuli do piersi. Nachman zadziera głowę, zasłania oczy, białe niebo go oślepia i wydaje mu się, że ona mówi: „Chodź, tańcz ze mną”, albo: „Baw się ze mną”, albo: „Daj rękę”. Jakub wyciąga dłoń do góry i wskazuje im posąg, niepotrzebnie, wszyscy są tutaj, żeby go oglądać. Nachman jednak wie, co Jakub chce powiedzieć: to Panna, to święta Szechina, boska obecność w ciemnym świecie. Wtedy zza chmur wyskakuje słońce, zupełnie nieoczekiwanie, bo niebo było zachmurzone od rana, i jego promień uderza w posąg, a wówczas całe to gdańskie złoto rozbłyska niczym drugie słońce i nagle na placu pod kościołem w Kamieńcu robi się jasno, światło jest świeże, radosne, i Panna, która biegnie na niebie, staje się czystym dobrem, jak ktoś, kto zstępuje do ludzi, żeby im dać nadzieję: będzie dobrze. Lud wzdycha zachwycony tym fajerwerkiem światła: Panna Święta. Ludzie mrużą oczy i klękają przed tym ewidentnym dowodem cudu. To znak, to znak, powtarzają wszyscy i tłum klęka, i oni też. A Nachman ma oczy pełne łez i jego wzruszenie udziela się innym. Cud jest cudem i nijak się ma do żadnej religii.

Bo im się zdaje, że to Szechina schodzi w ten posąg pozłacany gdańskim złotem, że prowadzi ich do domu biskupa jak matka, jak siostra, jak najczulsza kochanka, która rzuci wszystko, by choć przez chwilę popatrzeć na ukochanego, nawet gdyby był w najuboższej kapocie. Zanim wejdą na tajną audiencję u biskupa Dembowskiego, Jakub, jak to on, nieznoszący wszelkiego uniesienia, w przypływie dziecinnego humoru wydostaje się z tłumu i nagle pod murem zaczyna zawodzić jak dziad żydowski, zgarbiony, kulawy.

– Żydzisko bezczelne – syczy o nim jakaś tęga mieszczka. – Poszanowania dla świętej sprawy nie ma.

Tego samego dnia późnym wieczorem przedstawiają biskupowi manifest z dziewięcioma tezami, których mają bronić w dyspucie. I jednocześnie

proszą o jakąś obronę, bo prześladują ich talmudyści. No i klątwa. To najbardziej złości biskupa. Klątwa. Cóż to jest klątwa żydowska?

Każe im usiąść, a sam czyta:

„Jeden: My wierzymy w to, w cokolwiek Bóg w Starym Testamencie kazał wierzyć, i w to, czegokolwiek nauczał.

Dwa: Pisma Świętego rozum ludzki bez Łaski Bożej skutecznie pojąć nie może.

Trzy: Talmud, niesłychanym przeciw Bogu bluźnierstwem napełniony, powinien i ma być odrzucony.

Cztery: Jeden jest Bóg i Ten wszech rzeczy stworzyciel.

Pięć: Tenże Bóg we trzech Osobach, naturą nierozdzielny.

Sześć: Można Bogu wziąć na się ciało ludzkie i wszelkim namiętnościom prócz grzechu być podległym.

Siedem: Jeruzalem miasto, podług proroctwa, już nie będzie zbudowane.

Osiem: Mesjasz w Pismach obiecany już nie przyjdzie.

Dziewięć: Sam Bóg przekleństwo pierwszych rodziców i całego w nim narodu zniesie, a ten, kto jest prawdziwym Mesjaszem, jest Bogiem Wcielonym”.

– Czy tak jest dobrze? – pyta Nachman i kładzie dyskretnie na stoliku przy drzwiach turecką sakiewkę, wyszywaną jakby kryształami i turkusami, pięknej ręcznej roboty, z delikatnej koziej skórki. Biskup domyśla się, co tam jest, nie przyszliby z byle czym. Jest tam dość drogich kamieni, żeby wysadzić nimi całą monstrancję. Od tego wyobrażenia kręci mu się w głowie. Biskup musi się skupić. Łatwo nie będzie, bo ta mała niby sprawa przybrała nagle ogromne rozmiary: przeciwnicy tych obdartusów uderzyli do wielkiego Jawana, zausznika ministra Brühla – na stole leżą listy z Warszawy, szczegółowo relacjonujące dworskie intrygi; tą bronią teraz władają w królewskim pałacu. Kto by pomyślał, że całowanie nagiej kobiety w jakiejś pogranicznej wiosce urośnie do takich rozmiarów.

Biskup przyjmuje sakiewkę i tym samym bierze stronę Franka, choć pewność siebie tego Żyda go denerwuje. Żyd żąda dysputy. Żąda ochrony. Żąda ziemi – do „spokojnego” osiedlenia się, jak mówi.

I jeszcze: nobilitacji żąda ten Żyd. Niechże ich biskup protekcją ogarnie, a oni się wtedy ochrzczą. Życzy też sobie, żeby najznamienitsi spośród nich (tu biskupowi trudno sobie wyobrazić te ich „znakomitości”, bo to przecież arendarze, kuśnierze, sklepikarze jacyś) według prawa Rzeczypospolitej o nobilitację mogli się starać. Niech im dadzą prawo osiedlenia się w dobrach biskupich.

Ten drugi, rudy, który tłumaczy Jakuba, mówi, że tradycją jest jeszcze od Hiszpanii dysputy organizować, gdy jakieś sporne kwestie powstają, i teraz przyszedł na to czas. Tłumaczy słowa Franka:

– Weźcie nawet kilkuset rabinów i biskupów mądrych, i panów, i uczonych najlepszych. Niechaj oni ze mną dysputują i z moim ludem. Ja im na wszystkie pytania odpowiem, bo po mojej stronie jest prawda.

Są jak kupcy, którzy przyszli załatwić interes: żądają dużo.

Ale i dają wiele, myśli biskup.

Nad czym rozmyśla biskup Dembowski przy goleniu

To jest już naprawdę dziwne, jak bardzo zimny i wilgotny jest biskupi pałac w Kamieńcu Podolskim. Nawet teraz, latem, gdy wczesnym rankiem przychodzi balwierz, biskup musi rozgrzewać sobie stopy gorącym kamieniem owiniętym w grube płótno.

Każe sobie przysunąć fotel do okna i zanim balwierz naostrzy nożyk, pocierając z rozmachem ostrze o skórzany pasek, zanim przygotuje mydło i delikatnie, żeby broń Boże nie uchybić w niczym majestatowi, obłoży jego ramiona lnianymi, ozdobionymi haftem ręcznikami, ma czas, by przejrzeć świeże listy z Kamieńca, Lwowa i Warszawy.

Poprzedniego dnia biskup spotkał się z niejakim Krysą, który niby też działa w imieniu Jakuba Franka, ale jakby gra na swoją korzyść. Biskup uporczywie wzywa tych, jak to mówią, talmudystów, rabinów uczonych z całego Podola, żeby przystąpili do dysputy, lecz rabini uchylają się od podjęcia sporu. Rozkazuje im się stawić przed jego oblicze raz, drugi, do wytłumaczenia, ale nie stawiają się, mając jawnie urząd biskupa

w pogardzie. Gdy zarządza dla nich kary pieniężne, wysyłają tylko Herszka Szmulewicza, bardzo bystrego Żyda, niby przedstawiciela, i on w ich imieniu wynajduje wszelakie możliwe przeszkody. Za to zawartość ich sakiewki jest bardzo konkretna, choć nie tak wyszukana: złote monety. Biskup stara się nie pokazać po sobie, że już zajął stanowisko i stoi po stronie tamtych.

Gdybyż udało się ich pojąć tak samo, jak mniej więcej od razu pojmuje się intencje chłopa. A tu te ich frędzle, kapelusze, dziwaczna mowa (dlatego z przychylnością patrzy na starania Pikulskiego, by nauczyć się ich języka), podejrzana religia. Dlaczego podejrzana? Bo zbyt bliska. Księgi te same, Mojżesz, Abraham, Izaak na kamieniu pod nożem ojca, Noe i jego arka, wszystko to samo, a jednak umieszczone w jakimś obcym otoczeniu. I Noe już nie wygląda tak samo, jest jakoś ten ich Noe skrzywiony, i jego arka nie ta sama, ale żydowska, zdobna, wschodnia i pękata. I Izaak, który był zawsze blond pacholęciem, o różowej skórze, teraz staje się dzikim dzieckiem, zwartym w sobie i już nie tak bezbronnym. Nasze jest jakby lżejsze, myśli biskup Dembowski, jakby umowne, naszkicowane elegancką ręką, delikatne, wymowne. Ich jest ciemne i konkretne, jakoś niezręcznie dosłowne. Ich Mojżesz jest starym dziadem o kościstych stopach; nasz – dostojnym starcem z rozwianą brodą. Biskupowi Dembowskiemu zdaje się, że to światło Chrystusa tak opromienia naszą stronę Starego Testamentu wspólnego z Żydami, stąd te różnice.

Najgorsze, kiedy coś obcego przebrane jest za swoje. Jakby się przedrzeźniali. Jakby sobie z Pisma Świętego żarty stroili. I jeszcze jedno – upór, bo oni przecież są starsi, a w błędzie trwają. Więc trudno ich nie podejrzewać, że coś knują. Gdybyż byli tacy otwarci w swym zachowaniu jak Ormianie. Ci jeżeli coś knują, to chodzi im o jakieś korzyści liczone w złocie.

Co oni mówią, ci wszyscy Żydzi, gdy ich tak biskup Dembowski obserwuje z okna, gdy zbierają się w małe, trzy-, czteroosobowe grupki, i dyskutują swoim rwanym, śpiewnym językiem, dodając do słów także ruchy ciała i gesty: wysuwają do przodu głowę, potrząsają brodami, odskakują jak oparzeni, gdy nie zgadzają się z argumentami innych. Czy to prawda, co o nich powtarza Sołtyk, przyjaciel, któremu ufa biskup?

Że powodowani nakazem jakichś swoich mrocznych wierzeń, w tych pochylonych, zawilgoconych domkach dopuszczają się praktyk, do których potrzeba krwi chrześcijańskiej. Strach pomyśleć. Niemożliwe, i Ojciec Święty z Rzymu mówi jasno – w rzeczy takie nie wierzyć, a wiarę w użycie krwi chrześcijańskiej przez Żydów tępić. Oj, ale wystarczy na nich popatrzeć. Biskup widzi przez okno placyk przed pałacem, gdzie sprzedawca obrazków, młody jeszcze chłopak, pokazuje dziewczynie ubranej z rusińska w haftowaną koszulę i kolorową spódnicę święty obrazek. Dziewczyna delikatnie dotyka koniuszkiem małego palca wizerunków świętych – a ma ten żydowski sprzedawca podobizny i świętych katolickich, i prawosławnych – tamten zaś wyciąga zza pazuchy tani medalik i kładzie jej na dłoni; ich głowy pochylają się ku sobie nad medalikiem z Matką Boską. Biskup jest pewny, że ta dziewczyna go kupi.

Balwierz nakłada mu mydło i zaczyna golenie. Brzytwa skrzypi cichutko, tnąc zarost. Nagle jego wyobraźnia robi skok pod te ich kapoty postrzępione i biskupa męczy obraz ich członków. Że obrzezane. To go i fascynuje, i zdumiewa, a jednocześnie budzi jakąś niezrozumiałą złość. Zaciska szczęki.

Gdyby tego obnośnego sprzedawcę świętych obrazków (wbrew prawu – nie mają oni poszanowania dla zakazów!) rozebrać z tych jego tałesów i ubrać w sutannę, czy różniłby się od idących o, tam, kleryków? A gdyby tak jego samego, biskupa kamienieckiego, Mikołaja Dembowskiego herbu Jelita, cierpliwie czekającego na arcybiskupstwo lwowskie, gdyby jego rozebrać z bogatych szat, ubrać w te żydowskie postrzępione kapoty i postawić z obrazkami pod pałacem w Kamieńcu... Biskup wzdryga się na tę niedorzeczną myśl, choć przez chwilę widzi ten obraz: on, gruby i różowy, jako Żyd sprzedający obrazki. Nie. Nie.

Gdyby tak było, jak się o nich mówi, gdyby mieli takie moce, to byliby bogaci, a nie – jak ci tu pod oknem – biedni. Czy są więc silni, czy słabi? Czy zagrażają pałacowi biskupa? Czy to prawda, że nienawidzą gojów i brzydzą się nimi? I że na całym ciele mają drobne, ciemne włoski?

Bóg by na to nie pozwolił, żeby oni mieli taką władzę, jak się wydaje Sołtykowi, bo przecież sami odrzucili zbawczy gest Chrystusa,

z Bogiem prawdziwym więc już nie trzymają, zostali zepchnięci z traktu zbawienia i utknęli gdzieś na pustkowiu.

Dziewczyna nie chce medalika – odpina guzik pod szyją i wyciąga zza koszuli swój, pokazuje chłopcu, ten chętnie przysuwa się do jej szyi. Kupuje jednak obrazek i sprzedawca pakuje go w cienką, przybrudzoną bibułkę.

Jacy są ci obcy, gdy rozdzieją się z szat? – myśli biskup. Co się w nich zmienia, gdy zostają sami, myśli dalej, odprawiając kłaniającego się w pas balwierza, i uświadamia sobie, że czas już przebrać się na mszę. Idzie do sypialni i chętnie pozbywa się przyciężkiej domowej sutanny. Stoi przez moment nagi i nie wie, czy popełnia jakiś straszny grzech, właściwie już zaczyna zań przepraszać Boga – czy to grzech bezwstydu, czy może ludzkiej nędzy. Czuje, jak leciutki powiew zimnego powietrza porusza delikatnie włoski na jego krępym, owłosionym ciele.

O dwóch naturach Chai

Jakub ma ze sobą kilku konnych bogato ubranych po turecku – tym oddano specjalny pokój. Ich dowódcą jest Chaim, brat Chany. Mówią ze sobą tylko po turecku. Jakub Frank nazywa się teraz Achmed Frenk i ma turecki paszport. Jest nietykalny. Codziennie posłaniec dostarcza mu wiadomości z dysputy w Kamieńcu.

Na wieść o tym, że Jakub Frank zatrzymał się w tajemnicy na czas dysputy kamienieckiej u jej ojca w Rohatynie, Chaja bierze najmłodsze dziecko, pakuje kufer i wyrusza z Lanckorunia do Rohatyna. Jest gorąco, niedługo zaczną się żniwa; złote łany, ciągnące się po horyzont, falują w słońcu łagodnie, powoli, i wygląda to, jakby cała ziemia oddychała. Chaja ma jasną suknię i niebieski welon. Na kolanach trzyma córeczkę. Siedzi na wozie wyprostowana i spokojna, karmi małą swoją białą piersią. Para jabłkowitych koni ciągnie przykryty płócienną plandeką lekki koczobryk. Widać, że jedzie bogata Żydówka. Chłopki przystają i podnoszą rękę do oczu, żeby lepiej zobaczyć tę kobietę. Chaja, gdy tylko spotka ich wzrok, uśmiecha się lekko. Jedna z kobiet żegna się

odruchowo: nie wiadomo, czy na widok Żydówki, czy kobiety z dzieckiem noszącej niebieski welon.

Chaja oddaje córkę służącej i zaraz biegnie do ojca, który gdy tylko ją widzi, wstaje od rachunków i zaczyna chrząkać wzruszony. Chaja wtula się w jego brodę i czuje znajomy zapach – kaffy i tytoniu, najbezpieczniejszy zapach świata – tak jej się wydaje. Za chwilę schodzi się cały dom – jej brat Jehuda i jego żona, drobna jak dziewczynka, o pięknych zielonych oczach, i ich dzieci, i służba, i Hryćko, na którego mówi się teraz Chaim i który mieszka obok, i sąsiedzi. Robi się gwarno. Chaja rozstawia kosze podróżne, wyjmuje prezenty. Dopiero gdy spełni ten sympatyczny obowiązek i gdy zje rosół z kury, którym karmi się tu codziennie Jakuba (w kuchni poniewierają się kurze piórka), może zajrzeć do gościa.

Chaja podchodzi do Jakuba i patrzy bacznie w jego pociemniałą od słońca twarz, na której po chwili powagi pojawia się tak dobrze jej znany ironiczny uśmiech.

– Postarzałaś się, ale i tak nadal jesteś piękna.

– A ty wyprzystojniałeś, boś schudł. Pewnie cię słabo żona karmi.

Obejmują się jak brat z siostrą, lecz ręka Jakuba łagodnie i jakby z pieszczotą przesuwa się po szczupłych plecach Chai.

– Nie miałem wyjścia – mówi Jakub i cofa się o krok. Poprawia koszulę, która wyszła mu z szarawarów.

– Dobrześ zrobił, żeś uciekł. Gdy się z biskupami ułożymy, wrócisz jak król. – Chaja chwyta go za ręce.

– Chcieli mnie zabić w Salonikach i tu też chcą.

– Bo się ciebie boją. A to jest twoja wielka siła.

– Ja tu już nie wrócę. Mam dom i winnicę. Będę studiował pisma...

Chaja wybucha śmiechem, śmieje się szczerze, radośnie, całym ciałem.

– Już to widzę... Studiował pisma... – mówi, łapiąc oddech i wypakowuje z kuferka swoje książki i terafim.

Wśród posążków jest jeden szczególny; to ajelet ahuwim, jelenica ulubiona – posążek łani wyrzeźbiony z kości słoniowej. Jakub bierze go

do ręki i ogląda, choć dość nieuważnie, potem czyta tytuły książek wykładanych przez Chaję na stół.

– Spodziewałbyś się, że to jakieś tchines, kobiece supliki, co? – pyta go złośliwie Chaja i zakręca spódnicą tak, że porusza poniewierające się po podłodze białe piórka.

Jenta, która zawsze jest gdzieś w pobliżu, patrzy na Chaję.

Kim jest Chaja? I czy Chaja jest podwójna? Kiedy idzie rano przez kuchnię i niesie miskę z cebulą, kiedy ociera dłonią pot znad czarnych brwi, marszczy czoło, na którym pojawia się pionowa bruzda, jest gospodynią domową, najstarszą córką, która przejęła obowiązki matki. Kiedy idzie, stuka trzewikami i słychać ją w całym domu, to Chaja jest dzienna, słoneczna. Podczas modłów staje się zogerke, podpowiadaczką, która pomaga nieumiejącym czytać czy mniej biegłym w czytaniu kobietom zorientować się w czasie nabożeństwa, jaką modlitwę należy właśnie odmówić. Potrafi być apodyktyczna. Groźnym zmarszczeniem brwi gasi wszelkie nieposłuszeństwo. Nawet ojciec boi się jej szybkich kroków, jej pokrzykiwań, gdy dyscyplinuje dzieci, gdy wykłóca się z wozakiem, który dostarczył mąkę z młyna, a dwa worki są dziurawe, i jej gniewu, gdy zaczyna rzucać talerzami, ku rozpaczy służących. Jak to się stało, że Chai tyle wolno?

W Zoharze mówi się: wszystkie niewiasty na ziemi tkwią w tajemnicy Szechiny. Tylko dzięki temu można zrozumieć, jak Chaja staje się tą mroczną kobietą o rozpuszczonych włosach, w niedbałym odzieniu, z nieobecnym wzrokiem. Jej twarz starzeje się w okamgnieniu, niczym pęknięcia wyskakują na niej zmarszczki, ściąga brwi, zaciska usta. Zapadł już zmrok i dom rozpadł się na plamy światła bijącego od lampek i świec. Znikają z twarzy Chai jej rysy, Chaja nie ma już gniewnych oczu, przykrywają je teraz ciężkie powieki, jej twarz puchnie, obwisa, staje się brzydka jak twarz chorej starej kobiety. Chaja jest bosa, a jej krok robi się ciężki, gdy sunie przez sień do izby, gdzie już na nią czekają. Dotyka palcami ścian, jakby rzeczywiście była Panną bez Oczu. Zebrani okadzają pomieszczenie szałwią i tureckim ziołem, robi się duszno i Chaja zaczyna mówić. Kto raz to zobaczył, zawsze będzie się czuć nieswojo, widząc ją za dnia, kiedy szatkuje kapustę.

Dlaczego Szor dał swojej ukochanej córce na imię Chaja? I skąd wiedział, że to niemowlę urodzone nad ranem w dusznej izbie, gdzie parowała woda w garach na piecu, żeby ogrzać dom w mroźną styczniową zimę, stanie się jego ukochaną córką, najmądrzejszą? Czy dlatego że została poczęta pierwsza, z jego najlepszego nasienia, w rozkwicie sił, kiedy ciała żony i jego były gładkie, sprężyste i czyste, niesplamione, a ich umysły pełne dobrej wiary, niczym niezepsute? A przecież dziewczynka urodziła się martwa, bez oddechu, i cisza, która nastąpiła po dramatycznym porodzie, była jak makiem siał. Przestraszył się, że maleństwo umrze. Przestraszył się śmierci, która zapewne okrążała już dom. I dopiero po chwili, gdy położna użyła jakichś swoich szeptów i zaklęć, dziecko zakrztusiło się i krzyknęło. Więc pierwsze słowo, jakie mu przyszło na myśl w związku z tym dzieckiem, to było „chajo” – żyć. Chajim to Życie, ale nie to wegetatywne, nie samo cielesne, tylko takie, które pozwala modlić się, myśleć i czuć.

– Waj-jicer ha-szem Elohim et ha-adam afar min ha-adama, waj-jipach be-apaw niszmat chajim, wa-jechi ha-adam le-nefesz chaja – recytował Elisza, gdy zobaczył dziecko. – Wtedy to Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia (niszmat chajim), przez co człowiek stał się żywą istotą (nefesz chaja).

I oto Szor poczuł się jak Bóg.

Kształty nowych liter

Skóra, w którą oprawiono książkę, jest nowa i dobrej jakości, gładka i pachnąca. Jakub z przyjemnością dotyka jej grzbietu i zdaje sobie sprawę, że rzadko widuje się nowe książki – jakby te, których należy używać, musiały być stare. On też ma swoją, każdy powinien mieć taką, z którą się nie rozstaje. Ale to manuskrypt, zaczytany odpis *I przyszedłem dzisiaj do źródła*, który zawsze ma w bagażu; jest już zwiędły, jeżeli można tak pomyśleć o pliku kartek zszytych nicią. Pierwsza strona uszkodziła się w kilku miejscach, kartki pożółkły od słońca, gdy je kiedyś zostawił na parapecie. Co za nieuwaga! Ojciec zawsze bił go po rękach za takie niedbalstwo.

Ta nowa jest grubą księgą, introligator mocno ścisnął karty, więc przy rozchylaniu trzeszczą jak zbyt gwałtownie rozciągane kości, stawiają opór dłoniom. Jakub otwiera ją na chybił trafił i mocno trzyma, żeby się przed nim ta dziwaczna książka nie zamknęła, sunie wzrokiem po sznureczku liter od prawej do lewej, potem jednak przypomina sobie, że to trzeba odwrotnie, od lewej do prawej, jego oczy z trudem dokonują tej niemal cyrkowej sztuki, ale już za chwilę – chociaż nic nie rozumie – znajduje przyjemność w tym ruchu z lewej do prawej, jakby pod prąd, na przekór światu. Myśli, że może to jest podstawowa rzecz – ten inny kierunek ruchu, że tego powinien się uczyć i to ćwiczyć – gest inicjowany przez lewą rękę, kończony zaś przez prawą; obrót dookoła, tak że prawe ramię cofa się przed lewym, a dzień zaczyna się o wschodzie słońca, od światła, żeby potem utonąć w mroku.

Przygląda się kształtom liter i martwi, że ich nie spamięta. Jest tu jedna, która przypomina cade, i inna, która wydaje się podobna do samech, i jeszcze coś jakby kof, ale nie do końca, tylko przybliżone, niedokładne, może i znaczenia są przybliżone i niedokładne, przesunięte wobec tych, które zna, zaledwie o kawałek, ale to wystarczy, żeby świat widzieć nieostro.

– To ich zbiór geszichte – mówi Szor do Jakuba w rozchełstanej koszuli. – Coś jak nasze *Oko Jakuba*, o wszystkim po trochu, o zwierzętach, miejscach, bajki różne, o duchach. Napisane przez tutejszego rohatyńskiego księdza, uwierzysz?

Jakub teraz jakby uważniej przygląda się książce.

– Wezmę dla ciebie nauczyciela – mówi Elisza Szor i nabija mu fajkę. – Nie po tośmy jechali po ciebie do Smyrny, żeby ci teraz pozwolić odejść. Wszyscy ci ludzie tam, w Kamieńcu, w twoim zastępstwie idą się kłócić o swoje. Ty im przewodzisz, choć sam tam pojechać nie możesz. Ale nie wolno ci się wycofać.

Co wieczór Chaja klęczy przed ojcem i naciera mu nogi jakimś cuchnącym sokiem z cebuli pomieszanym z czymś jeszcze, co cały dom wypełnia na noc zapachem ziół. Ale to nie wszystko – Chaja oddaje dziecko kobietom, zamyka się z mężczyznami w izbie ojca i tam obradują. Jakub na początku jest tym zdziwiony. To nie jest widok, do jakiego przywykł. W Turcji i na Wołoszczyźnie kobiety znają swoje

miejsce i każdy uczony trzyma się od nich raczej z dala, ich przyrodzony związek z najniższym światem materii wprowadza bowiem chaos w świat ducha. U nich, prawowiernych, tak się wszakże nie dzieje. Oni, wiecznie w podróży, zginęliby, gdyby nie kobiety.

– Ach – mówi Elisza, jakby słyszał jego myśli – gdyby ona była mężczyzną, byłaby moim najrozumniejszym synem.

Tej pierwszej nocy, prawem starego zwyczaju, Chaja przychodzi do łóżka Jakuba. Ciało ma delikatne, choć trochę kościste, długie uda i szorstki wzgórek. Według zwyczaju powinni obcować bez zbędnych pieszczot i bez słów. Jakub jednak długo gładzi ją po lekko wypukłym brzuchu, za każdym razem mijając dłonią jej pępek, który wydaje mu się gorący. Ona śmiało chwyta w dłoń jego przyrodzenie i delikatnie, jakby nieuważnie je pieści. Chaja chce wiedzieć, jak się odbywa przyjęcie tureckiej religii, co jest zamiast chrztu, czy trzeba się jakoś przygotować, ile ich to kosztowało, czy żona Jakuba też przeszła do Izmaiła i czy kobiety mają tam lepiej niż tutaj? Czy rzeczywiście ta decyzja go chroni? Czy tak uważa, że jest dla władz polskich nietykalny? I czy wie, że dla Żydów – i dla niej samej – takie przejście na inną wiarę byłoby trudne. I że ona mu wierzy, i że wszyscy Szorowie pójdą za nim, jeżeli on zechce ich poprowadzić. A jeszcze: czy słyszał te wszystkie opowieści, jakie o nim krążą, i że ona sama też je rozpowszechnia wśród kobiet. I w końcu Jakub, zmęczony opowiadaniem, kładzie się na niej i gwałtownie w nią wchodzi, i zaraz potem opada wyczerpany.

Rano Jakub przygląda się jej z uśmiechem, gdy jedzą. Widzi, że Chaja nieustannie mruży oczy, przez co ma wokół nich siateczkę drobnych zmarszczek. Elisza zamierza posłać ją do Lwowa, do Aszera, który się tam przeniósł, a który najlepiej dobiera szkła do czytania.

Chaja chodzi w skromnych sukienkach, raz tylko widział ją Jakub w odświętnym stroju, pierwszego dnia jego tutaj nauk, kiedy do rohatyńskiego bet ha-midrasz przyjechało mnóstwo ludzi z okolicy – wtedy na szarą sukienkę narzuciła niebieską chustę, do uszu wpięła kolczyki. Jest poważna i spokojna.

Potem widział niespodziewaną scenę czułości – gdy ojciec podniósł dłoń i gładził ją po policzku, a ona spokojnym, powolnym ruchem położyła głowę na jego piersi, w fale jego bujnej szpakowatej brody. Sam nie wiedząc dlaczego, zmieszany odwrócił wzrok.

O Krysie i jego planach na przyszłość

Krysa, jako się rzekło, ma bliznę na twarzy. Jeden policzek jest przecięty z góry na dół prostą krechą, co sprawia wrażenie jakiejś ukrytej symetrii, wrażenie na tyle niepokojące, że każdy, kto na niego spojrzy pierwszy raz, nie może oderwać wzroku, szuka, lecz nie znalazłszy porządku, odwraca się z nieuświadomioną do końca niechęcią. A przecież to najbardziej inteligentny człowiek na Podolu, dobrze wykształcony i przewidujący. Na pierwszy rzut oka tego nie widać. I to dobrze dla Krysy.

Nauczył się, że nie ma co oczekiwać sympatii od innych. Należy dokładnie określać, czego się chce, i żądać, prosić, domagać się, pertraktować. Gdyby nie ta blizna na twarzy, on byłby teraz na miejscu Jakuba, to jasne.

Krysa uważa, że powinni być niezależni w ramach chrześcijaństwa. Takie jest jego stanowisko teraz, przed dysputą, i do tego dąży, tocząc pełne nieporozumień rozmowy z biskupem Dembowskim za plecami braci. Bo Krysa jest przekonany, że wie lepiej.

– Na pograniczu trzeba trzymać się od wszystkich z daleka i robić swoje – mówi.

Nie za bardzo żydowscy, nie za bardzo chrześcijańscy, tam byłoby dla nich miejsce, gdzie pozostawaliby niezależni od kontroli i chciwości księży i rabinów. I jeszcze: uważa, że jako prześladowani przez swoich, przez Żydów, nie przestają być Żydami, ale jednocześnie zbliżają się do chrześcijan. Występują oto, on i żydowscy odszczepieńcy, o wsparcie, ochronę i opiekę, a to jest gest dziecka, wyciągnięcie niewinnej ręki do zgody. Chrześcijanie ich przyjmują ze współczuciem.

Ale najważniejsze jest dla Krysy co innego, bo jak jest napisane w Jewamot 63 (mimo że jest antytalmudystą, nie może się powstrzymać od cytowania Talmudu): „Człowiek, który nie posiada kawałka ziemi, nie jest właściwie człowiekiem”. Dostać więc od panów kawałek ziemi, żeby tam osiąść i spokojnie gospodarować, byłoby najlepsze dla wszystkich: Żydzi by ich nie prześladowali, prawowierni pracowaliby dzielnie na swojej ziemi, mogliby zatrudniać chłopów do pracy. Nie musieliby się nawet chrzcić. Wizja ta rozsnuwa się nad stołem w zadymionej izbie, bo wieje wiatr i z powrotem wpycha powietrze do komina. Jego wycie wtóruje dyskusji.

– Nigdy dla pana – wtrąca się ktoś, w kim Krysa poznaje w mroku Lejba Herszkowicza z Satanowa.

– Wzięłaby nas pani Kossakowska do swoich dóbr... – zaczyna Mosze z Podhajec.

Wtedy Krysa wyrywa się do przodu, twarz krzywi mu się z gniewu.

– Chcecie sobie bicz na kark ukręcić? Pan zrobi, co zechce, z żadnym prawem nie będzie się liczyć. Dwa pokolenia i będziemy jak ci chłopi.

Inni go popierają.

– U biskupa też będziemy jak chłopi – mówi Mosze.

Wtedy odzywa się najstarszy syn Szora, Szlomo, który do tej pory siedział bez ruchu i patrzył w czubki swoich butów.

– Tylko do króla, tylko do królewszczyzny, tak mówi Jakub i ja tak sądzę. Pod królem jesteśmy bezpieczni.

Krysie znowu twarz się wykrzywia. Mówi:

– Głupcy jesteście. Takim jak wy to dać palec, a wy już byście chcieli wszystko. Trzeba targować się powoli.

– I wtargować się w kłopoty – dodaje ktoś złośliwie.

– Jeszcze zobaczycie. Dobrze rozumiemy się z biskupem.

16

O roku 1757 i o tym, jak ustala się pewne prawdy przedwieczne latem w Kamieńcu Podolskim, na debacie kamienieckiej

W osadzie Moliwdy koło Krajowy na Wołoszczyźnie uważa się, że rok, który nadszedł, 1757, jest rokiem Sądu Ostatecznego. Codziennie wywołuje się nowe imiona aniołów, żeby ci stawili się jako świadkowie. Nikt nie pomyślał, że jak tak dalej pójdzie, zajmie to tysiąc lat, liczba aniołów jest bowiem nieskończona. Modlący się wierzą, że świata nie da się już uratować, trzeba się tylko przygotować na koniec, który właśnie się zbliża. Sąd Ostateczny następuje jak poród, gdy już się zacznie, nie ma od niego odwołania i zatrzymać go nie można. Ale ten sąd, wierzą współbracia i współsiostry, których Moliwda opuścił na zawsze, nie jest taki, jakiego byśmy się spodziewali – ziemski, z trąbami anielskimi, wielką wagą, która będzie odważać uczynki ludzi, i mieczem archanioła. Ten sąd jest skromny, przechodzi jakby niezauważenie, bez żadnych ekstrawagancji. Odbywa się niejako za naszymi plecami i pod naszą nieobecność. Zostaliśmy osądzeni tego dziwnego 1757 roku zaocznie i – zapewne – bez możliwości odwołania. Nie tłumaczy nas nasza ludzka niewiedza.

Widocznie świat stał się nie do zniesienia nie tylko na rozległych, otwartych równinach Podola, ale i tutaj, na Wołoszczyźnie, gdzie jest cieplej i można uprawiać winorośl. Należało mu się jakieś zakończenie. Zresztą w zeszłym roku wybuchła wojna. Jenta, która widzi wszystko, wie, że będzie trwała siedem lat i naruszy delikatne języczki u wag odważających ludzkie życie. Zmiany nie są jeszcze zauważalne, ale anioły już zaczynają sprzątanie; chwytają oburącz dywan świata, trzepią go, leci kurz. Zaraz go zwiną.

Rabini z kretesem przegrywają debatę w Kamieńcu, a to dlatego że nikt nie chce słuchać ich zawiłych tłumaczeń, gdy oskarżenia są tak proste i celne. Bohaterem staje się reb Krysa z Nadwornej, gdy udaje mu się ośmieszyć Talmud. Wstaje i podnosi palec do góry.

– Dlaczego to wół ma ogon? – pyta.

Sala milknie, zaciekawiona tak głupim pytaniem.

– Co to za święta księga, skoro stawia się tam takie pytania? – ciągnie Krysa z palcem, który powoli kieruje się w stronę rabinów. – Talmud! – wykrzykuje po chwili.

Sala wybucha śmiechem. Śmiech niesie się pod sklepienie sądowe, nienawykłe do tego rodzaju wybuchów radości.

– A jaka będzie talmudyczna odpowiedź? – pyta Krysa, któremu na oszpeconą blizną twarz wystąpiły rumieńce, i znowu zawiesza głos. – Bo musi odganiać muchy! – odpowiada sam sobie tryumfalnie.

I znowu śmiech.

Żądania rabinów, żeby kontratalmudystów wyłączono z synagogi, żeby im wyznaczono jaki inny ubiór niż żydowski i żeby się oni Żydami więcej nie nazywali, też wydają się śmieszne. Sąd konsystorski z właściwą sobie powagą oddala tę suplikę, jako że niewładny jest w tej dziedzinie się wypowiadać, kto ma się Żydem nazywać, a kto nie.

Gdy zaś podniesiona jest sprawa oskarżeń lanckoruńskich, sąd się wymiguje od zajęcia stanowiska. Było już przecież śledztwo i nie wykazało nic zdrożnego w śpiewach i pląsach przy zamkniętych drzwiach. Każdy ma prawo modlić się, jak uważa. I tańcować z kobietą, nawet jeśli ta obnaży piersi. Zresztą że były tam nagie kobiety, tego śledztwo nie udowodniło.

Potem uwaga ludzi przenosi się na sprawę procesu przeciwko Żydom fałszerzom. Niejaki Lejba Gdalowicz i jego czeladnik Haszko Szlomowicz bili fałszywe monety. Czeladnika uniewinniono, ale majstra Gdalowicza skazano na ścięcie i poćwiartowanie zwłok. Stempel do bicia monety został tuż przed egzekucją uroczyście w ogniu spalony i skruszony. Potem winnemu zgodnie z wyrokiem głowę ucięto, ciało poćwiartowano i do szubienicy przybito. Głowę zaś na pal nabito.

Całe to wydarzenie nie pomogło rabinom. Podczas ostatnich dni dysputy przemykali chyłkiem pod ścianami domów, bo niechęć do nich stała się powszechna.

Sąd konsystorski odnieść się musiał jeszcze do spraw pomniejszych. Jedna zbulwersowała kamienieckich chrześcijan, bo Żyd handlujący z chłopami, Henszyja z Lanckorunia, odgryzł się Bazylemu Kneszowi, chłopu, który mu zarzucił, że z sabsaćwinnikami trzyma, mówiąc, iż krzyż to on ma na odwrotności brzucha. Za to bluźnierstwo Henszyja został skazany na sto batów w czterech ratach, w różnych częściach miasta, tak żeby jak najwięcej ludzi mogło zobaczyć wykonanie kary.

Tę samą karę dostał Gerszom, który wszczął tumult w Lanckoruniu i od którego wszystko się zaczęło.

I jeszcze polecił sąd konsystorski z biskupem Dembowskim, żeby dziedzice dóbr, w których znajdują się kontratalmudyści, roztoczyli nad nimi opiekę.

Główny wyrok odczytano i od razu zatwierdzono do wykonania.

Sąd kontratalmudystów uwolnił od wszelkich kalumnii, ponadto kazał rabinom zapłacić pięć tysięcy złotych na koszty i wynagrodzenie strat pobitym i okradzionym w bójkach kontratalmudystom i dodatkowo sto pięćdziesiąt dwa czerwone złote na reperację wieży kościoła w Kamieńcu tytułem kary. Talmud zaś, jako księga kłamliwa i szkodliwa, miał być na całym Podolu spalony.

Po wyroku zapadła cisza, jakby strona kościelna sama stropiła się własną surowością, a kiedy tłumacz przełożył słowa wyroku rabinom, podniósł się z ich ławy krzyk i lament. Kazano im się uspokoić, budzili teraz tylko zażenowanie, a nie współczucie. Sami sobie winni. Opuszczali sąd w oburzonym milczeniu, mrucząc coś pod nosem.

Moliwda, wciąż zachwycony swoim powrotem do kraju, też czuje, że wszystko się zmieniło. Czasami bawi go, że umie coś przewidzieć, patrzy wtedy w niebo; na równinach jest go jakby więcej, działa jak lustro-soczewka: skupia w sobie wszystkie obrazy w jeden i odbija ziemię jako fresk, gdzie wszystko dzieje się równocześnie i widać tropy

przyszłych wydarzeń. Ten, kto umie patrzeć, wystarczy, że tylko podniesie głowę, i wszystko ujrzy w niebie.

Gdy przyjechali po niego Jakub z Nachmanem, żeby wracał z nimi do Polski, nawet nie był zaskoczony. Z grzeczności udawał wahanie. Lecz prawda jest taka, że widok Jakuba, gdy ten zeskakiwał z konia w charakterystyczny turecki sposób, z rozmachem, obudził w Moliwdzie nagle prawdziwie chłopięcą radość z nadciągającej ryzykownej przygody.

O paleniu Talmudów

Księgi zaczynają płonąć jeszcze tego samego dnia pod wieczór, czyli 14 października. Nie muszą się wykonawcy wyroków sądowych zbytnio wysilać. Tylko pierwszy stos, ten w Kamieńcu, inicjuje formalny gest miejskiego kata, odczytuje on nakaz podpisany przez biskupa Dembowskiego. Potem – już samo idzie.

Najczęściej wygląda to tak, że tłumek wdziera się do żydowskiego domu i zaraz w ręce wpada mu jakaś księga. Wszystkie te „talmuty”, te pisma nieczyste, pisane alfabetem pokrętnym od prawej do lewej, od razu lądują na ulicy, gdzie się je potem kopniakami ściąga na kupę i zapala. Sami sabsaćwinnicy, żydowscy heretycy, nader gorliwie pomagają urzędnikom, dzięki czemu ci, wyręczeni, mogą iść do domu na kolację. A potem do sabsaćwinników przyłączają się goje i kawalerka, która zawsze szuka zwady. W całym Lwowie płoną księgi, każdy większy plac ma swoje ognisko, Talmud nie Talmud. Te ogniska tlą się jeszcze przez cały następny dzień, a wieczorem znowu rozpalają się żywym płomieniem nowych ksiąg, już każdy druk wydaje się złowrogi. Dochodzi do tego, że i lwowscy chrześcijanie chowają swoje książki i że barykadują się na wszelki wypadek drukarnie. W ciągu kilku dni to palenie wszystkich tak rozzuchwaliło, że kamienieccy Żydzi, już prawie zadomowieni w mieście, choć nadal nielegalnie, znowu zaczęli przenosić się z całym dobytkiem na Karwasary, bojąc się o życie. Bo widok płonących książek, ich trzepoczących w płomieniach kart przyciąga ludzi i ustawia ich w koło, jak jarmarczny mag, który

zamawiał kury, tak by robiły, co on chciał. Ludzie patrzą na płomienie i podoba im się ten teatr niszczenia, i narasta w nich niesprecyzowany gniew, lecz chociaż do końca nie wiedzą, przeciwko komu miałby się ten gniew obrócić, to oburzenie zwraca ich niejako automatycznie przeciw właścicielom tych niszczonych ksiąg. Teraz wystarczy jeden okrzyk i rozgorączkowany tłum ruszy zaraz do najbliższego żydowskiego domu, który wskaże im straż antytalmudystów, mająca chronić przed grabieżą własne domy.

Ten, kto przedtem był marny, grzeszny i wyklęty, teraz staje się prawodawcą i egzekutorem. I odwrotnie, kto kiedyś rozsądzał i pouczał, teraz sam jest sądzony i pouczany. Dom rabina już nie jest domem rabina, jest karczmą, do której można wejść, otwierając drzwi nogą. W środku nie zważa się na protesty i krzyki; ponieważ wiadomo, gdzie trzymają księgi, idzie się wprost do tego miejsca, którym jest zazwyczaj szafka, wyciąga się je stamtąd kolejno i chwytając za okładki, patroszy jak kurczaka przed ugotowaniem.

Jakaś kobieta, często ta najstarsza, rzuca się desperacko, by bronić tej czy innej księgi, niczym dziwnego upośledzonego wnuka, który skurczył się do tej papierowej postaci, ale reszta domowników boi się przeciwstawić gwałtowi; widocznie wiedzą już, że kapryśne moce świata przeszły na tamtą stronę – na jak długo, nie wiadomo. Czasami kobiety wyrywają się do egzekutora, a bywa, że jest nim młody krewny, którego omamiła idea szabtajska, chwytają go za rękę, usiłują pochwycić jego wzrok: „Icełe, co ty robisz? Z twoją matką bawiłam się nad rzeką!”. Starsze rzucają z kąta: „Ręka ci uschnie za to świętokradztwo”.

W Busku płonie tylko kilka Talmudów, bo niewielu jest już tutaj talmudystów. Większość to wyznawcy Szabtaja. Płonie małe ognisko za synagogą, płonie marnie, dymi, bo przedtem książki wpadły w kałużę i teraz nie chcą się palić. Nie ma tutaj zawziętości. Ci, co palą, zachowują się tak, jakby wykonywali wyrok; wokół ogniska krąży butelka wódki. Do autodafe próbuje się przyłączyć gojska kawalerka, palenie, wrzucanie w ogień zawsze ją przyciąga, choć nie wie dokładnie, o co chodzi. Ale już dano im do zrozumienia, że to sprawa wewnętrzna, żydowska, więc stoją teraz z rękami w kieszeniach lnianych portek i patrzą w ogień.

Najgorzej jest w Kamieńcu, Rohatynie i Lwowie. Tam polało się trochę krwi. We Lwowie rozwścieczony tłum spalił całą żydowską bibliotekę zgromadzoną w domu modlitwy. Wybito okna, zniszczono ławki.

Następnego dnia zamieszki są coraz groźniejsze – po południu podochocony tłum, już nie żydowski, ale mieszany, barwny, kolorowy, nie potrafi rozróżnić, co to Talmud, a co to inna księga, ważne, że pełna jest tego dziwacznego pisma, wrogiego z założenia, bo nieczytelnego. I ten tłum zgromadzony już na jutrzejszy targ w Rohatynie, mając w końcu przyzwolenie na tę przemoc wobec ksiąg, uwalnia z siebie radosny, krzykliwy szał i rusza na łowy. Staje u wejścia do domów i żąda wydania ksiąg jak zakładników, a jeżeli uzna, że właściciel coś kręci, zaczyna się bójka. Leje się krew, łamią się ręce, sypią się z ust wybite zęby.

Tymczasem oburzeni przegraną dysputą rabini zarządzili modły i ścisły post, tak że matki nawet piersi niemowlętom nie dają. U Rapaporta we Lwowie jest miejsce, skąd rozsyła się pocztę, praca wre przy świecach do rana. Sam rabin Rapaport leży; pobili go przed synagogą, ciężko mu oddychać, istnieje obawa, że złamali mu żebra. Pinkas, przepisując listy, płacze. Wygląda na to, że oto nadchodzi koniec świata i zaczyna się kolejna katastrofa, ale ta będzie najboleśniejsza, bo swoi swoim zadają ból. Jakże to możliwe, na jakże bolesną Bóg wystawia nas próbę, że to już nie Kozak, nie dziki Tatar czyha na nasze życie, lecz swój i sąsiad, z którego ojcem chodziliśmy do jesziwy. Naszym językiem mówią, w naszych wsiach żyją i do naszych bożnic się wpychają, choć ich tam nie chcemy. Kiedy swój przeciwko swemu się zwróci, znaczy to, że grzech Izraela jest wielki, a Bóg bardzo zagniewany.

Za kilka dni, gdy rabbi Rapaport jako tako dochodzi do siebie, zbierają się przedstawiciele gmin i uchwalają kolejną zbiórkę pieniędzy. Trzeba je wieźć do Warszawy do Barucha Jawana, który jest zaufanym samego ministra Brühla, ale zły to jest widocznie czas, żeby zajmować króla paleniem ksiąg, gdy trwa wojna, bo długo nie ma żadnej odpowiedzi.

O tym, jak ksiądz Pikulski tłumaczy wysoko urodzonym zasady gematrii

Jerzy Marcin Lubomirski jest komendantem garnizonu w Kamieńcu Podolskim, miasteczku dość nudnym, dalekim od świata – to jego pierwsze dowództwo. Ma dwadzieścia lat, jest wysoki, przystojny, a nawet gdyby nie skupiać się na jego przyjemnej fizys, ma jeszcze inną zaletę: jest dziedzicem ogromnej fortuny. Dodaje mu to wyrazistości – wszyscy dostrzegają go od razu i kiedy już dostrzegą, nie spuszczają zeń oczu. Kamieniec leży w jego ogromnych dobrach. Odkąd dzieją się tu tak niezwykłe rzeczy, odkąd pojawił się ten tłum na pustych wcześniej uliczkach, książę jest podekscytowany i wreszcie zadowolony. Potrzebuje ciągle nowych wrażeń, tak samo jak jedzenia i picia. Na pożegnalną kolację z okazji awansu Mikołaja Dembowskiego na arcybiskupa zabiera pół tuzina skrzynek najlepszego reńskiego wina.

Gdy pierwsze z nich są już opróżnione, zaczynają rozmawiać o ostatnich wydarzeniach i uwaga pana Lubomirskiego zwraca się na niepozornego księdza Pikulskiego, prawą rękę arcybiskupa. Ksiądz ma za zadanie oświecić wysoko urodzonych w kwestiach żydowskich, z natury swej zagmatwanych i niejasnych. Każdy bowiem chciałby rozumieć, o co w tym całym zamieszaniu żydowskim chodzi.

– W Żydzie pociecha jakaś jest – odzywa się głośno biskup Kajetan Sołtyk, ledwo przełknąwszy spory kęs kiszki.

Ostatnio utył. Wszystko na nim wydaje się przesadzone. Kolor biskupich szat zbyt jaskrawy, mankiety zbytnio wykrochmalone, łańcuch na piersi zbyt błyszczący. Zadowolony, że udało mu się zwrócić na siebie uwagę, ciągnie:

– Żyd przypilnuje pieniędzy i założy własne, jak będzie trzeba. Szybki jest w myśleniu i chciwy dla siebie, to i będzie chciwy dla swojego pana. Kiedy chcę coś kupić czy sprzedać, zawsze wzywam Żyda. Taki ma swoje układy ze wszystkimi kupcami w kraju. Rozumie, co to jest robić interesy. W jego własnym interesie jest to, żebym był jego klientem, a dla mnie to znaczy, że zawsze potraktuje mnie tak, że będę się czuł bezpiecznie, że mnie nie oszuka i zostanę obsłużony najlepiej, jak to tylko możliwe. Nie ma tu żadnego poważnego pana i właściciela dóbr

w okolicy, który by nie był obsługiwany przez Izraelitów. Czy nie mam racji, mości kasztelanie?

Kasztelanowa Kossakowska odpowiada za męża:

– Każdy wie, żeś Ekscelencja nie został stworzony do zajmowania się sprawami agrikultury czy interesu. Od tego ma się zarządców. Niebezpieczeństwo jest takie, że gdy będą nieuczciwi, mogą kraść. Ręce od tego opadają.

Temat złodziejstwa tak porusza wszystkich – a i znakomite wino robi swoje – że dyskusja przy stole już pęka na wiele części i teraz każdy rozmawia z każdym przez stół; chłopcy służący dolewają wina i na dyskretny znak biskupa Dembowskiego niepostrzeżenie zmieniają skrzynkę, i teraz leją gorsze, choć, jak się zdaje, nikt tego nie zauważa.

– Na czym polega ta kabała, co to wszyscy o niej mówią? Nawet mój mąż zaczął się tym interesować – zagaduje Katarzyna Kossakowska księdza Pikulskiego.

– Wierzą, że świat został stworzony ze słowa – odpowiada ten, przełykając głośno, i odkłada na swój talerz spory kęs wołowiny, który właśnie wędrował do jego ust.

– No tak, każdy w to wierzy: na początku było Słowo. To tak jak i my. Cóż to więc za herezja?

– Tak, waszmość pani, ale my na tym zdaniu poprzestajemy, a oni je stosują do każdej najmniejszej rzeczy.

Widać, że ksiądz odpowiada niechętnie. Nie wiadomo czemu; sam się temu dziwi. Czyżby dlatego, że jego zdaniem nie warto opowiadać kobiecie o sprawach zbyt skomplikowanych, których ona i tak pewnie nie zrozumie, nawet jeżeli nie wiadomo jak byłaby uczona? Czy może dlatego, że takie i podobne pytania zazwyczaj go skłaniają do tego, by sprawy maksymalnie upraszczać. Biskup biskupem, ale i jemu trzeba wykładać powoli i ostrożnie, bo bystry nie jest. Z pewnością jest święty i nie mnie go oceniać, łaje się w myślach Pikulski, lecz czasem trudno się z nim rozmawia.

Prosi więc o kartkę i pióro, żeby im poglądowo wszystko wyjaśnić. Rozkłada je między talerzami, do czego zachęca go biskup; odsuwając półmisek z półgęskiem, cofa się lekko, oddaje mu pole i patrzy

porozumiewawczo na Kossakowską, bo czuje, że ten mały, niepozorny księżyna ma w sobie ukryte siły, po które teraz sięga, ale to i tak jakby tylko małą łyżeczką, jakby nie chciał się zdradzić z istniejącymi całymi stągwiami.

– Każda litera ma swój równoważnik liczbowy. Alef ma jeden, bet ma dwa, gimel – trzy, i tak to idzie dalej. To znaczy, że każde słowo złożone z liter ma swoją liczbę. – Patrzy na nich pytająco, czy rozumieją. – Słowa, których liczby są takie same, są ze sobą połączone głębokim znaczeniem, mimo że po wierzchu wydaje się, iż nie ma między nimi związku. Można na słowach liczyć, kombinować i wtedy dzieją się bardzo ciekawe rzeczy.

Ksiądz Pikulski nie wie, czy na tym skończyć, czy to wystarczy, ale nie, nie może się powstrzymać:

– Weźmy przykład następujący – mówi. – Ojciec to po hebrajsku „aw". Piszemy to tak: alef, bet, od prawej strony. Matka to „em", czyli alef-mem. Ale słowo „matka" – „em", można odczytać też jako „im". „Aw", ojciec, ma wartość liczbową 3, bo alef ma 1, a bet 2. „Matka" ma wartość 41, bo alef to 1, a mem to 40. I teraz: jeżeli dodamy do siebie oba słowa, „matka" i „ojciec", to wyjdzie nam 44, a to liczba słowa „jeled", czyli dziecko!

Kossakowska, pochylona nad księdzem, odskakuje od stołu, klaszcząc.

– Jakie to sprytne! – woła.

– Jod-lamed-dalet – pisze ksiądz Pikulski na papierze biskupa i patrzy na niego tryumfalnie.

Biskup Sołtyk nie bardzo rozumie i już mu się plączą te liczby. Sapie. Powinien schudnąć. Biskup Dembowski zaś unosi brwi na znak, że mogłoby go to w przyszłości zainteresować.

– Według kabały w obcowaniu kobiety z mężczyzną spotykają się alfabety, jak się mówi po polsku, obiecadła, matczyny i ojcowski, i one to, splatając się ze sobą, powodują poczęcie dziecka.

Biskup Dembowski kilka razy delikatnie pokasłuje i wraca do jedzenia.

– Kabała kabałą – odzywa się kasztelanowa z zaróżowionymi już od wina policzkami. – Nam się tutaj wydarza rzecz w całym świecie niebywała. Tysiące Żydów chcą się nawrócić na katolicką wiarę. Garną się do nas jak kurczęta do kwoki, biedne to, żydostwem swoim wymęczone...

– Myli się waćpani – przerywa jej ksiądz Pikulski, chrząkając z zakłopotania. Kossakowska patrzy na niego, zdziwiona tym wtargnięciem w jej tok myślenia. – Oni swój interes w tym mają. Kraj nasz sobie od dawna upatrzyli jako nową ziemię obiecaną...

– Trzeba im ciągle patrzyć na ręce – dodaje do tego biskup Sołtyk.

– Oni teraz wyrok na Talmud wydają, ale wyrok powinno się wydać na ich wszystkie księgi. Kabała to pewien rodzaj niebezpiecznego zabobonu i powinna być zakazana. Uczy ona takiego sposobu czczenia Boga, jaki jest czystą herezją. Rzekomo uczy też poznawania przyszłości i prowadzi do uprawiania magii. Na pewno kabała nie pochodzi od Boga, ale od szatana.

– Ksiądz przesadza – teraz przerywa mu Kossakowska. – A nawet gdyby to miało siarką cuchnąć, to przecież oni na łonie Kościoła zaraz znajdą inne życie. Po tośmy się tu zebrali, żeby ludziom tym pogubionym pomóc, kiedy oni sami deklarują najlepsze intencje.

Pan Jerzy Marcin Lubomirski zajada kiszkę; to najlepsze, co podano na tej kolacji. Mięso jest twarde, a znowu ryż rozgotowany. Dziwny zapach stęchlizny idzie od kapusty. Rozmówców swoich uważa za starych i nudnych. Na Żydach nie zna się wcale, widuje ich z daleka. Tylko jedną bliższą znajomość zawarł niedawno z żydowską dziewczyną, jedną z tych, które się kręcą wokół garnizonu, a są wśród nich dziewki wszystkich nacji, do wyboru, do koloru, jak to przy wojsku.

O nowo powołanym arcybiskupie Dembowskim, który szykuje się do drogi

Czekając na kufry do pakowania, które mogą przybyć w każdej chwili, gotowy do rychłej drogi do Lwowa na arcybiskupstwo, biskup ogląda jeszcze komplety bielizny, którą sobie obstalował, a potem polecił kobietom ozdabiać jego monogramem: MD, Mikołaj Dembowski.

Monogram jest szyty fioletowymi jedwabnymi nićmi. Z zagranicy przysłano zamówione wcześniej jedwabne pończochy, biskup Dembowski już zupełnie odwykł od lnianych. Pończochy są i białe, i fioletowe, jak monogram, te drugie mają jeszcze wrabiany ściegiem delikatny szlaczek. Ma ksiądz biskup także nowość – pantalony ciepłe, z wełny delikatnej robione, które go trochę gryzą w uda, ale za to dają mu tak upragnione ciepło.

Wydawałoby się, że jest z siebie zadowolony. Kto wie, czy jego subtelne starania o arcybiskupstwo nie zostały ocenione w świetle ostatnich wydarzeń – tylu ludzi, biednych, wyklętych przez swoich, poniżanych – już czuje serce miłościwego Jezusa Chrystusa. Biskup tej sprawy nie zostawi, dopóki te rzesze żydowskie się nie ochrzczą. Byłby to wielki cud w całej Europie, może początek nowej epoki. Patrzy z uwagą na książki przygotowane do pakowania i rzuca mu się w oczy tom w nowiutką skórę oprawny. Wie, co to jest. Bierze go z uśmiechem, przegląda nieuważnie i natrafia na wierszyk:

Co w Polszcze jest złego?
Złe są Rządy i złe drogi w Polszcze,
Złe i mosty,
Złych ludzi bez liku, co nie znają chłosty.

Ksiądz biskup uśmiecha się do siebie, poruszony naiwnością tej poezji. Gdybyż ksiądz dziekan Chmielowski miał tyle mądrości, ile żarliwości! Po namyśle i tę księgę w pięknej skórkowej oprawie dokłada do stosu innych.

Ostatniej nocy przed planowanym wyjazdem biskup Dembowski w swoim pałacu w Czarnokozińcach kładzie się późno spać, a rękę ma

już zdrętwiałą od pisania listów (porządkuje sprawy żydowskie, jeden list jest do króla z prośbą o wsparcie tej szlachetnej akcji). Budzi się w środku nocy zlany potem, sztywny jakiś, z karkiem drewnianym i z bolącą głową. Coś mu się śniło, coś strasznego, ale nie może sobie przypomnieć, co to było. Jakiś tupot, gwałt, ostre krawędzie, odgłosy prucia, trzaski, gardłowy bełkot, z którego nic nie rozumiał. Gdy tak leży w ciemnościach wciąż drżący ze strachu i chce wyciągnąć rękę, żeby zadzwonić po służącego, czuje, że nie może się ruszyć i że ta sama ręka, która cały dzień pisała listy, ta ręka go nie słucha. To niemożliwe, myśli przerażony. To mi się śni. Ogarnia go paniczny, zwierzęcy strach.

Zaraz potem czuje charakterystyczny zapach i uświadamia sobie, że się zsikał. Chce się poruszyć – nie może; właśnie to mu się śniło: że nie może się ruszyć. Chce krzyknąć na służbę, lecz nie słuchają go piersi, nie ma w nich tyle siły, żeby nabrać powietrza i wydobyć z siebie choćby słaby skowyt. Leży tak bez ruchu do rana, na wznak, oddychając szybko jak królik, i zaczyna się modlić, ale że jest w strachu, modlitwa się rwie i biskup nie wie, co mówi. Ma uczucie, jakby mu na piersiach usiadła jakaś niewidzialna postać, zmora, i jeżeli jej nie strąci, to ona go udusi. Próbuje się uspokoić i zadomowić na powrót w swoim ciele, wyczuć rękę, nogę, poczuć brzuch, zacisnąć pośladki, poruszyć palcem. Zaraz się jednak stamtąd wycofuje, bo tam nic nie ma. Została głowa, ale jakby zawieszona w kompletnej pustce. Cały czas ma poczucie,

jakby spadał, musi trzymać się wzrokiem kinkietu, który wisi wysoko przy ścianie w jego biskupiej sypialni w Czarnokozińcach, nad spakowanymi kuframi. Tak trwa i trwa – w śmiertelnym przerażeniu.

Rano znajduje go służący i robi się raban. Medycy puszczają mu krew, leci czarna i gęsta; na ich twarzach pojawia się głębokie zatroskanie.

A jednak po upuszczeniu krwi stan biskupa poprawia się nieco. Zaczyna poruszać palcami i głową. Nachylają się nad nim twarze, mówią coś, pytają, patrzą ze smutkiem i współczuciem. Lecz tylko go deprymują; są złożone ze zbyt wielu elementów: oczy, usta, nos, zmarszczki, uszy, pieprzyki, brodawki – za dużo tego, nie do zniesienia, kręci mu się w głowie i mdli go, więc ucieka wzrokiem do kinkietu. Wie niby, że go dotykają jakieś ręce, lecz jedyne, co czuje, to zupełna obcość ciała. Stoją nad nim jacyś ludzie, nie rozumie jednak, co mówią, chwyta czasem pojedyncze słowa, ale nie budują one żadnych zdań, żadnego sensu. W końcu ludzie odchodzą i zostawiają tylko jedną świecę, zapada półmrok. Biskup chciałby bardzo, żeby ktoś go wziął za rękę – ileż by dał za ciepłe, szorstkie wnętrze czyjejś dłoni...

Kiedy tylko światło świecy przygasa, bo posnęli czuwający, zaczyna się miotać i krzyczeć – czy raczej wydaje mu się, że krzyczy, bo głosu z siebie wydobyć nie może – tak bardzo boi się ciemności.

Następnego dnia zjawia się jego brat – o tak, poznaje go, chociaż nie patrzy mu w twarz, słyszy jednak jego głos. Po prostu wie, że on to on, i przynosi mu to ulgę, zasypia, ale tam, we śnie, jest tak samo jak tutaj, leży w tym samym miejscu i tak samo boi się ciemności. Potem brat znika. Wieczorem tego dnia umysł księdza biskupa zaczyna tworzyć obrazy. Znajduje się w Kamieńcu koło swojego pałacu, koło katedry, ale nie stoi na ziemi, tylko wisi w powietrzu, na wysokości rantu dachu. Widzi, że pod dachem zalęgły się gołębie, gniazdo jest jednak opuszczone i poniewierają się w nim stare skorupki. Potem dostrzega ustawiony na wysokiej kolumnie jasny, świetlisty posąg Matki Boskiej, który całkiem niedawno święcił – wtedy lęk na chwilę odpływa, lecz zaraz wraca, gdy spojrzenie biskupa przenosi się na rzekę i wielkie cielsko twierdzy. Czuje na sobie wzrok wielu przyglądających mu się

obojętnie oczu, które pochodzą z pustki. Jakby czekały tam miliony ludzi.

Widzi też płonące księgi, które puchną od ognia i pękają. Ale zanim ogień liźnie biel kartek, litery, podobne mrówkom lub innym małym, ruchliwym owadom, uciekają sznureczkami z kartek i przepadają w ciemnościach. Dembowski widzi je bardzo wyraźnie i właściwie wcale się temu nie dziwi, że litery są żywe: jedne przebierają maluchnymi nóżkami, inne zaś, te, które są ich pozbawione, te najprostsze, z konieczności skaczą albo pełzną. Biskup nie ma pojęcia, jak się nazywają, ale ta ich ucieczka go wzrusza, nachyla się ku nim prawie z czułością i po chwili widzi, że żadna nie została, że płoną czyste, białe stronice.

Potem biskup Dembowski traci przytomność. Nie pomaga puszczanie krwi.

Wieczorem umiera.

Lekarze i czuwający przy biskupie jego sekretarze, a także najbliższy współpracownik, ksiądz Pikulski, są tak zaskoczeni tą śmiercią, że wyglądają na ogłuszonych. Jak to? Przecież był zdrowy. Nie, nie był zdrowy, miał kłopoty z krwią, krążyła za wolno, była za gęsta, dlatego umarł. Ale nie skarżył się na nic. Może nie mówił, co mu jest. Narzekał tylko, że mu zimno. To jednak nie jest powód do śmierci. Dlatego w pałacu podejmuje się decyzję, żeby jej jeszcze nie ogłaszać. Siedzą i nie wiedzą, co robić. Tego samego dnia przychodzi reszta zamówionej bielizny i przywożą kufry do pakowania rękopisów. Dzieje się to wszystko 17 listopada 1757 roku.

O życiu zmarłej Jenty zimą 1757 roku, czyli tego, w którym spalono Talmud, a potem księgi niedawnych podpalaczy

Takie wydarzenie jak śmierć arcybiskupa jest pojedyncze i nigdy się nie powtórzy. Każda sytuacja i wszystko, co ją tworzy, dzieje się tylko raz.

Poszczególne elementy schodzą się ze sobą tylko na jeden występ, tak jak specjalnie zaproszeni do przedstawienia aktorzy odgrywają swoje role, choćby jeden gest, przejście przez scenę lub krótki, pospieszny dialog, który wyrwany z kontekstu, natychmiast osuwa się w absurd.

A jednak tworzy się z tego pewien ciąg zdarzeń, któremu musimy ufać, ponieważ nie mamy nic poza nim. Zresztą jeśli się temu przyjrzeć bardzo dokładnie, tak jak to teraz widzi Jenta, zobaczy się te wszystkie mostki, przekładnie, śruby i moduły, a także te drobne narzędzia, które scalają oderwane od siebie, pojedyncze i niepowtarzalne zdarzenia. Właściwie to one są klejem świata, to one transportują to czy inne słowo w sąsiednie wydarzenia, powtarzają jakiś gest czy minę rytmicznie, wiele razy w innych kontekstach, stykają ze sobą raz po raz te same przedmioty lub tych samych ludzi, produkują fantomowe ciągi skojarzeń rzeczy z natury sobie obcych.

Widać to dokładnie stamtąd, gdzie teraz Jenta jest; widzi się więc, jak wszystko migocze i zmienia się nieustannie, jak pięknie pulsuje. Nic nie da się uchwycić w całości, bo zaraz przemija, rozpada się na cząstki i natychmiast tworzy całkiem nowy, równie nietrwały wzór, choć poprzedni przez chwilę wydawał się sensowny, piękny albo zdumiewający. Gdy się próbuje nadążać uwagą za jakąś ludzką figurką, ona zmienia się, tak że trudno nawet przez moment mieć pewność, iż to ten sam człowiek. Ta na przykład była chwilę temu umorusanym dzieckiem, kruchym jak wafelek, a teraz! – przed dom wychodzi wysoka, postawna kobieta, która zdecydowanym ruchem z rozmachem wylewa z miednicy brudną wodę. Woda psuje biel śniegu i zostawia na nim żółtawe plamy.

Tylko Jenta jest niezmienna, tylko Jenta się powtarza i wciąż wraca w to samo miejsce. Można jej zaufać.

Przed Chanuką i Bożym Narodzeniem rozchodzi się wieść o śmierci arcybiskupa Dembowskiego i ta wieść, hiobowa dla jednych, staje się radosna dla innych. Wiadomość jest niespodziewana, jakby kto nożem ciął cierpliwie tkany kilim. Tyle zabiegów na marne! I zaraz rozchodzi się inna wieść, i ta dociera do Korolówki razem ze śnieżną zamiecią – że gdy tylko umarł protektor prawowiernych, rabini znów podnieśli głowę

i zaczęły się prześladowania drugiej strony. Ci, którym spalono niedawno Talmud, teraz palą księgi niedawnych podpalaczy. A Jakub Frank jest w największym areszcie za grubymi murami. W Korolówce spoglądają na siebie ponuro. Już wieczorem pierwszego dnia po tej wiadomości siadają razem w szopie u Izraela i trudno im się opanować, żeby nie szeptać. Wkrótce głosy stają się donośniejsze.

– To jest mocowanie się wielkich sił...

– Tak samo jak z Szabtajem. Też go uwięzili...

– Musi tak być. Uwięzienie jest częścią planu...

– To się musiało stać, teraz wszystko się zaczyna...

– To są ostatnie dni...

– To koniec.

Śnieg zasypał drogi i przykrył wszystko wokół, nawet cmentarz i macewy zniknęły w nieprzeniknionej bieli. Gdzie spojrzeć, tylko śnieg i śnieg. I cud jakiś, bo przez te morza śniegu udaje się dotrzeć do wsi handlarzowi z Kamieńca; nawet nie ma siły wyprząc koni, mruży tylko oślepione bielą oczy o pokrytych szronem rzęsach. Mówi:

– Nie, Jakub nie jest w żadnym więzieniu, bo udało mu się uciec z Rohatyna prosto do Czerniowiec, a przecież to już Turcja. Jest z żoną i dziećmi w Giurgiu, i nawet, jak mówią, wrócił do interesów.

Ktoś odzywa się przerażająco smutnym głosem:

– Opuścił nas.

Na to wygląda. Zostawił Polskę za sobą, krainę zaśnieżoną i mimo tej śnieżnej bieli – ciemną, ponurą. Nie ma tu dla niego miejsca.

Słuchają tego najpierw z niedowierzaniem, a zaraz potem pojawia się jakaś złość – nie, nie na Jakuba, który uciekł, raczej na samych siebie, bo przecież powinni wiedzieć, że tak będzie. Najgorsza jest świadomość, że już nic się nie zmieni. Odchody konia stojącego przed domem Izraela parują na mrozie, brudzą czysty jak prześcieradło śnieg, smutny to dowód słabości wszelkiego stworzenia; zaraz zmienią się w zamarzniętą grudkę materii.

– Bóg nas od niego uwolnił i od pokusy, jaką cały był ten człowiek – mówi Sobla, wchodząc do domu, i zaraz zaczyna płakać.

Płacze cały wieczór. Właściwie to nie wiadomo, dlaczego płacze, przecież nie lubiła Jakuba, tej jego krzykliwej świty, tych nadętych panien i pokrętnego Nachmana. Nie wierzyła w ani jedno ich słowo. Bała się ich nauk.

Izrael ją strofuje. A gdy już leżą pod pierzyną i czują wilgotny zapach piór kilku pokoleń gęsi, próbuje ją niezręcznie przytulić.

– Czuję się, jakbym to ja była w więzieniu... całe życie jest więzieniem – szlocha Sobla.

Nabiera powietrza do płuc, ale nie potrafi powiedzieć już nic więcej. A Izrael milczy.

Potem potwierdza się wieść jeszcze bardziej zdumiewająca – że Jakub przeszedł na religię muzułmańską, tam, w tej Turcji, i teraz Izrael aż przysiada z wrażenia. Dopiero matka mu przypomina, że tak samo było z Pierwszym, z Szabtajem. Czy nie założył turbanu? Czy i to nie jest w planach zbawienia? Spekulacje trwają teraz całe wieczory. Dla jednych to czyn tchórzliwy i nie do wyobrażenia. Dla innych to jakaś sprytna polityka. Nikt nie wierzy, że Jakub n a p r a w d ę stał się wyznawcą Allacha.

Nawet najdziwaczniejsza, najstraszniejsza rzecz, kiedy staje się częścią planu, wydaje się nagle swojska i naturalna. Stwierdza to Izrael, który teraz handluje drzewem z chrześcijanami. Skupuje od pana prosto z lasu ociosane pnie i sprzedaje dalej. Dorobił się na datkach dla Jenty potężnej fury i dwóch mocnych koni, to wielki majątek. Czasami, gdy czeka na załadunek, kuca z drwalami i razem palą fajkę. Szczególnie dobrze rozmawia mu się z pańskim zarządcą, który ma jakie takie pojęcie o tajemnicach religii, w przeciwieństwie do drwali. Właśnie po rozmowie z owym zarządcą Izrael uświadamia sobie, że śmierć Jezusa, chrześcijańskiego Mesjasza, też była częścią planu Boskiego. Jezus musiał zostać ukrzyżowany, bo inaczej akt zbawienia by się w ogóle nie zaczął. To jest dziwne, ale w jakimś pokrętnym sensie logiczne. Izrael długo o tym myśli – zaskoczyło go to podobieństwo do Szabtaja Cwi, który musiał dać się uwięzić, przyjąć turban i pozwolić się wygnać.

Mesjasz musi upaść jak najniżej, inaczej nie jest Mesjaszem. Izrael wraca z ciężką furą, ale z lekkim sercem.

Ruch pielgrzymi na podwórku Sobli i Izraela zupełnie zamiera. I z powodu mrozów, i ze względu na sytuację ogólną. Ludzie zaczęli się bać publicznych cudów; lepiej niech się dzieją gdzieś w ukryciu. Ale Pesełe i Frejna nie zjawiają się u Jenty rzadziej, chociaż Pesełe przygotowuje się do wesela. Właśnie odbyły się zaręczyny – chłopiec ma, tak jak i ona, trzynaście lat. Widziała go dwa razy i wydał jej się sympatyczny, choć dziecinny. Obie z siostrą wyszywają teraz obrusy, bo Frejna pewnie wyjdzie za mąż za kilka lat. Pesełe czasem, kiedy jeszcze było ciepło, brała szycie do babki, jak mówi o Jencie, pracowała przy niej. Opowiadała jej różne historie, zwierzała się z planów. Że chciałaby na przykład żyć w dużym mieście i być wielką damą. Mieć swój powóz i suknie obszyte koronkami, i małą jedwabną torebkę, w której trzymałaby wyperfumowaną chusteczkę, bo nie bardzo wie, co można trzymać jeszcze w takiej torebce. Teraz już jest za zimno. Palce marzną tak bardzo, że nie są w stanie utrzymać igły. Krople rosy na ciele Jenty zamieniają się szybko w piękne kryształki śniegu. Odkryła to Pesełe. Brała je na palec i zanim stopniały, niosła do okna, pod słońce. Przez chwilę oglądała cuda. Całe pałace z kryształów bielszych od śniegu, pełne szkła, żyrandoli, kielichów rżniętych.

– Gdzie ty to widzisz? W płatku śniegu? – dziwi się Frejna. Ale kiedyś sama bierze delikatnie taki płatek na opuszkę palca i patrzy na niego pod słońce. Jest cudny, wyjątkowo duży, jak mała moneta, jak grosz. Krystaliczne piękno znika w ciągu sekundy, ponieważ jest to piękno nie z tego świata i zabija je ciepło człowieka. Dzięki tej jednej małej chwili można zajrzeć w tamten wyższy świat, upewnić się, że jest.

Jak to możliwe, że mróz się Jenty nie ima? Izrael sprawdza to kilka razy, zwłaszcza rankiem, gdy na dworze z zimna trzaskają drzewa. Ale Jenta jest zaledwie chłodna. Na rzęsach i brwiach osiada jej szron. Czasem przychodzi też tutaj Sobla, owija się kożuchem i przysypia.

– Nie możemy cię pochować, babciu – mówi do Jenty Pesełe. – Ale nie możemy cię tu trzymać. Tate mówi, że czasy stały się bardzo niespokojne, nikt nie wie, co będzie jutro.

– I czy będzie jakieś jutro – dodaje siostra.

– Koniec świata nadchodzi. Boimy się – odzywa się Sobla, stropiona. Wydaje jej się, że powieki babki Jenty się poruszają, o tak, na pewno, słyszy je. – Co my mamy zrobić? Czy to jedna z tych beznadziejnych spraw, w których podobno pomagasz? Pomóż nam. – Sobla wstrzymuje oddech, żeby nie przegapić najmniejszego znaku. Nic.

Sobla boi się. Lepiej nie mieć w stodole babki wyklętego i sturczonego Jakuba. Ściągnie nieszczęście. Gdy się dowiedziała, że go uwięzili, poczuła jednak satysfakcję – dobrze ci tak, za dużo chciałeś, Jakubie. Zawsześ się sadzał na najwyższej gałęzi, zawsześ chciał być lepszy niż inni. I teraz skończysz w lochu. Lecz gdy się dowiedziała, że jest bezpieczny w Giurgiu, ulżyło jej. Przedtem tak wiele wydawało się możliwe, teraz znowu zapanowały zimno i ciemność. Światło wycofało się w październiku za szopę i już nie zagląda na podwórko, zimno wymknęło się spod kamieni, gdzie się schowało na czas lata.

Sobli przed snem przypominają się opowieści o jaskini – jak to Jakub, jako młody Jankiełe, upodobał sobie owo miejsce. I jak zaginął tam jako dziecko.

Była wtedy mała, znała Jakuba dobrze, zawsze się go bała, bo był z niego gwałtownik. Bawili się w wojnę: jedni byli Turkami, a drudzy Moskalami. I raz Jakub jako Moskal czy Turek, tego dokładnie Sobla nie pamięta, zaczął walczyć z takim zapamiętaniem i z taką wściekłością, że nie mógł przestać i walił jednego chłopca drewnianym mieczem tak, że o mało go nie zabił. Sobla pamięta jeszcze, jak ojciec go za to zbił do krwi.

I widzi teraz pod powiekami wejście do jaskini – nigdy nie była w środku. To miejsce ją przeraża, coś dziwnego dzieje się wokół, drzewa są zieleńsze i cisza taka straszna, a cała ziemia pod brzózkami porośnięta niedźwiedzim czosnkiem. Ten czosnek znosi się stamtąd i daje ludziom, gdy zachorują. Zawsze pomaga. Nikt nie wie, jak wielka jest ta jaskinia, podobno ciągnie się milami pod ziemią i ma kształt ogromnej litery alef; powiadają, że jest tam całe miasto. Żyją tam skrzaty i beznóżkowie – bałakaben, którzy trzymają tam skarby...

Nagle Sobla wstaje, koc opada z jej ramion na ziemię. Mówi tylko jedno słowo:

– Jaskinia!

O przygodach Aszera Rubina ze światłem, jego dziadka zaś – z wilkiem

W zeszłym roku dotarła do Lwowa wiadomość o trzęsieniu ziemi w Lizbonie. Wiadomości rozchodzą się wolno. Te, które znalazł Aszer w ilustrowanej rycinami broszurze, okazują się przerażające. Aszer studiuje je wciąż na nowo, kilkanaście razy, jest wstrząśnięty i nie może przestać na nie patrzeć. Przed oczami ma sceny jak z Sądu Ostatecznego. Właściwie o niczym innym nie może myśleć.

Mówią o stosach trupów i Aszer próbuje sobie wyobrazić, ile to jest te sto tysięcy; to więcej niż ludzi we Lwowie, a trzeba by jeszcze dodać okoliczne wsie i miasteczka, wszystkich wezwać do tego apelu, chrześcijan i Żydów, Rusinów i Ormian, dzieci, kobiety i mężczyzn, starców, zwierzęta, niewinne krowy, psy przy budach. Ile to jest sto tysięcy?

Potem jednak, gdy trochę się uspokaja, myśli, że przecież to nic wyjątkowego. Chyba nikt nie policzył ofiar Chmielnickiego – całe wsie, miasta, odcięte szlacheckie głowy poniewierające się po dziedzińcach dworów, Żydówki z rozciętymi brzuchami. Gdzieś słyszał, że razem zostali powieszeni szlachcic Polak, Żyd i pies. Lecz mimo wszystko do tej pory nie widział Aszer podobnych rycin, gdzie ujęto by graficznie, starannie wyryto na metalowej płycie sceny, jakie przechodzą ludzkie pojęcie. Ten oto obraz wrasta mu w mózg: Widzi odmęty, które szturmują miasto. Wygląda to tak, jakby rozpętała się wojna żywiołów – ziemia broni się ogniem przed wodą, ale żywioł wody jest najsilniejszy, tam gdzie przejdą fale, nie zostawia nic żywego, burzy i rozmywa. Okręty wyglądają jak kacze piórka na stawie, ludzie są w tym Armagedonie prawie niewidoczni, to co się dzieje, jest nie na ludzką miarę. Z jednym wyjątkiem – w łodzi na pierwszym planie stoi

człowiek, pewnie wielmoża, bo ma piękne ubranie, i wznosi złożone do modlitwy ręce ku niebu.

Aszer z mściwą satysfakcją patrzy na rozpaczliwy gest owego człowieczka i na to, że na obrazku nie ma właściwie nieba. Zredukowane zostało do cienkiego paska nad pobojowiskiem. Bo jakże mogłoby być?

Mieszka od czterech lat we Lwowie, prowadzi praktykę, leczy oczy. Z pewnym szlifierzem soczewek dobiera szkła niedowidzącym. Nauczył się tego trochę na studiach we Włoszech, ale teraz właściwie sam rozwija swoją wiedzę. Największe wrażenie zrobiły na nim jedna książka, którą stamtąd przywiózł, i jeden fragment, niby fundament jego studiów, dewiza: „I ujrzałem – pisał jej autor, niejaki Newton, Anglik – że światło kierujące się ku jednemu krańcowi Obrazu istotnie ulegało Załamaniu w stopniu o wiele większym niż to, które kierowało się ku drugiemu. Tak zatem można wnosić, że prawdziwą przyczyną długości tego Obrazu nie jest nic innego, jak tylko to, iż Światło składa się

z Promieni o różnej zdolności załamania, które zostały, w zależności od stopnia zdolności załamania, przekazane w stronę różnych miejsc na ścianie”.

Ojciec Aszera był kabalistą, który zajmował się głównie światłem, choć był też dzierżawcą dwóch wiosek w dobrach pana Radziwiłła na Litwie. Dzierżawy były więc na głowie matki Aszera, która trzymała wszystko silną ręką. Wieś, w której się osiedlili i mieli karczmę, leżała nad Niemnem. Oprócz kilku zagród były tu jeszcze młyn wodny i mały port ze składem towarowym dla okrętów, które pływały tędy do pruskiego Królewca. Dzierżawa była całkiem intratna i rodzice, jako że matka miała wielkie ku temu zdolności i okazała się nader odpowiedzialna, dorobili się majątku na swojej chazace, lepszej niż jakakolwiek arenda.

Ojciec Aszera uchodził za bogatego w porównaniu z ubogimi Żydami wokół i dzięki temu (oraz z pomocą gminy) mógł w odpowiednim czasie wysłać zdolnego syna na zagraniczne studia, ale żył skromnie, nie lubił bowiem żadnych nowości, żadnego zbytku. Dla niego byłoby najlepiej, gdyby nic się nigdy nie zmieniało. Aszer pamięta, jak pierzchły mu ręce, gdy tylko zajmował się jakimiś pracami na dworze. Skóra pękała, a tam gdzie dostawał się jakiś brud, powstawała jątrząca się ranka. Matka smarowała mu te miejsca gęsim smalcem, tak że potem nie mógł dotykać książek. Ze swoim bratem żył ojciec Aszera jak Jakub i Ezaw, tak że w końcu stryj wyprowadził się na Podole, gdzie go potem Aszer z pewnych powodów odnalazł i przy nim utknął.

W okolicy mieszkali i Polacy, i Rusini, a prowadzoną przez matkę Aszera karczmę lubili wszyscy. Dom był bardzo gościnny i gdy tylko jakiś Żyd zjawiał się z drogi, biedny czy bogaty, matka Aszera witała go kielichem wódki. Stół był zawsze nakryty i jedzenia dość.

Przychodził do karczmy matczynej pewien pop z pobliskiej cerkiewki, a był to człowiek gnuśny, ledwie umiejący czytać oraz pijak pierwszej wody. O mały włos przyczyniłby się do śmierci ojca Aszera i niewiele brakowało, a życie rodziny może potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Przesiadywał ów pop w karczmie całymi dniami z chłopami, nic innego nie robiąc, a jeszcze bałamucąc kogo się dało. Kazał zawsze zapisywać swoje rachunki, ale nigdy nie płacił. W końcu dziadek uznał,

że pop przesadza, i przestał mu dawać wódki. Tak bardzo ubodło to owego popa, że postanowił się zemścić.

Ojciec Aszera często nielegalnie skupował wilcze skóry od tych, którzy kłusowali. Byli to i chłopi, i drobna szlachta, i jacyś włóczędzy, kto się odważył. Polowanie na leśną zwierzynę było pańskim przywilejem. Kiedyś w nocy zapukał do domu Aszerów pewien myśliwy, od którego od czasu do czasu ojciec kupował wilcze skóry. Teraz też powiedział, że ma wielki okaz w worze, który postawił na ziemi. Dziadek chciał martwego wilka obejrzeć i jakość skóry ocenić, ale było ciemno i późno, a kłusownik się spieszył, więc zapłacił mu tylko, odstawił wór na bok i wrócił do łóżka.

Po niedługim czasie rozległo się głośne łomotanie do drzwi i wpadli strażnicy. Od razu zainteresował ich ten wór. Ojciec Aszera myślał, że dostanie grzywnę za kupowanie ukłusowanych zwierząt. Jakież jednak było jego przerażenie, kiedy okazało się, że w worku jest ciało człowieka.

Natychmiast zakuto go w kajdany i wrzucono do ciemnicy. Szykowano już proces, jako że pop oskarżył ojca Aszera, iż zamordował on tego człowieka własnymi rękami, żeby wytoczyć z niego krew i użyć do macy, co się często zarzucało Żydom. Rozpacz ogarnęła wszystkich, lecz ojciec Aszera, ów czciciel iskier światła w najgłębszej ciemności, nawet na torturach nie przyznał się do winy i błagał o przesłuchanie myśliwego. Ten najpierw wszystkiego się wyparł, ale wzięty na męki, przyznał się, że znalazł w wodzie topielca i zaniósł go do popa, żeby nieboraka pochowano. Pop jednak namówił go do podrzucenia ciała Żydowi, co też myśliwy zrobił. Dostało mu się za to batów od sądu. Ojca Aszera puszczono wolno, ale popowi nic a nic nie zrobiono.

Aszer już się tego nauczył – ludzie mają potężną potrzebę, żeby czuć się lepszymi od innych. Nieważne, kim są, muszą mieć kogoś, kto byłby gorszy od nich. Kto jest gorszy, kto lepszy, zależy od wielu przypadkowych cech. Ci, co mają jasne oczy, myślą z wyższością o tych ciemnookich. Ci ciemnoocy zaś patrzą z góry na jasnookich. Ci, co mieszkają pod lasem, czują jakąś wyższość nad tymi, co mieszkają nad stawami, i odwrotnie. Chłopi patrzą z wyższością na Żydów, Żydzi zaś

z wyższością na chłopów. Mieszczanie czują się lepsi niż mieszkańcy wsi, a ci ze wsi traktują tych z miasta jak jakichś gorszych.

Czy to nie jest spoiwem ludzkiego świata? Czy po to są nam potrzebni inni ludzie, żeby nam dostarczyć radości, żeśmy od nich lepsi? O dziwo, nawet ci – wydawałoby się – najgorsi w swoim poniżeniu znajdują przewrotną satysfakcję, że nie ma już gorszych od nich, a więc właśnie w tym są górą.

Skąd to się bierze, zastanawia się Aszer. Czy nie dałoby się człowieka naprawić? Gdyby był maszyną, jak to teraz niektórzy mówią, wystarczyłoby przesunąć lekko jedną dźwigienkę czy dokręcić małą śrubkę, a ludzie zaczęliby znajdować wielką przyjemność w traktowaniu się jak równi.

O polskiej księżniczce w domu Aszera Rubina

W jego domu urodziło się dziecko, ma na imię Samuel. Aszer myśli o nim: mój syn.

Żyją bez żadnego ślubu. Aszer udaje, że Gitla jest jego służącą – ona prawie i tak nie wychodzi z domu, a jeżeli już, to idzie na targ. Aszer mieszka i przyjmuje przy Ruskiej, w dzielnicy chrześcijańskiej, ale widzi z okien synagogę Turej Zahaw. W sobotę po południu, gdy kończy się szabat i odmawiane jest *Szmone Esre*, czyli osiemnaście błogosławieństw, Aszera dochodzą wypowiadane z żarliwością słowa.

Zamyka wtedy okno. Prawie nie rozumie już tego języka. Mówi po polsku i włosku, nieźle po niemiecku. Myśli, żeby nauczyć się francuskiego. Gdy przychodzą do niego pacjenci Żydzi, odzywa się do nich oczywiście po żydowsku. Używa też terminów łacińskich.

Ostatnio obserwuje prawdziwą epidemię zaćmy: co trzeci pacjent ją ma. Ludzie nie dbają o oczy, patrzą wprost w światło, a ono zmętnia im gałkę oczną, ścina ją jak białko gotowanego jajka. Aszer sprowadził więc z Niemiec specjalne okulary z przyciemnionymi szkłami i teraz sam w nich chodzi, przez co wygląda jak ślepiec.

Gitla, polska królewna, krząta się po kuchni. Chciałby, żeby jego pacjenci brali ją raczej za jakąś krewną niż za służącą, bo jej się rola służącej nie podoba, burmuszy się i trzaska drzwiami. Aszer jej jeszcze nawet nie dotknął, choć urodziła już kilka miesięcy temu. Popłakuje w pokoiku, który jej przydzielił, i rzadko wychodzi na dwór, mimo że słońce jak jaskrawa bibuła powyciągało już z kątków wszystkie wilgotne mroki i omszałe zimowe smutki.

Kiedy Gitla ma lepszy humor (rzadko), zagląda Aszerowi przez ramię, gdy ten czyta. Wtedy czuje od niej ten charakterystyczny zapach mleka, który go obezwładnia. Ma nadzieję, że kiedyś stanie się dla niego czuła. Było mu dobrze samemu, a teraz rozgościły się przy nim dwie obce istoty: jedna – nieprzewidywalna, druga – zupełnie niepoznawalna. Obie siedzą teraz na poręczy fotela: jedna czyta, gryząc rzodkiew, druga ssie wielką białą pierś.

Aszer widzi, że dziewczyna jest melancholijna. A może to z powodu ciąży i połogu miewa takie zmienne nastroje? Gdy ma lepszy humor, bierze jego książki i gazety i studiuje je całymi dniami. Dobrze czyta po niemiecku, gorzej po polsku, wcale po łacinie. Zna trochę hebrajski, Aszer nie wie, w jakim stopniu, nawet nie pyta. W ogóle mało ze sobą rozmawiają. Aszer najpierw myślał, że potrzyma ją tu do porodu, a gdy już urodzi, gdzieś ją ulokuje. Ale teraz nie jest już tego taki pewny. Ona nie ma dokąd pójść, mówi, że jest sierotą, że ojciec i matka zginęli w pogromie kozackim, ale i tak nie byli jej prawdziwymi rodzicami. W rzeczywistości jest bowiem nieślubną córką króla polskiego.

– A dziecko? Czyje? – odważył się w końcu zapytać Aszer.

Wzruszyła ramionami, co przyjął z ulgą; woli milczenie niż kłamstwo.

Nie będzie łatwo umieścić gdzieś młodą dziewczynę z dzieckiem. Musi dowiedzieć się w gminie, gdzie są jakieś przytułki dla takich kobiet, pomyślał wtedy.

Ale teraz jest inaczej. Aszer już nie myśli o przytułku. Gitla stała się pomocna i zajęła kuchnią. W końcu zaczyna też wychodzić – nasuwa głęboko na twarz czepek i przemyka szybkim krokiem przez ulice, jakby się bała, że ktoś ją rozpozna. Gna na targ, kupuje warzywa i jajka, mnóstwo jajek, bo ona żywi się żółtkami ucieranymi z miodem. Aszerowi gotuje dobre, znajome potrawy, takie jakie Aszer pamięta

z domu – smakowity kugel, czulent, gdzie zamiast wołowiny są grzyby, bo Gitla nie je mięsa. Mówi: Żydzi robią to samo zwierzętom, co Kozacy Żydom.

Ale przecież Lwów to nieduże miasto i wkrótce cała tajemnica musi się wydać. Dzielnicę żydowską można przejść w dziesięć minut – wejść z Rynku w Ruską i skręcić w Żydowską, a potem szybkim krokiem przelecieć przez niewyobrażalnie wrzaskliwą Nową Żydowską, gdzie domy stoją w wielkim zagęszczeniu, jedne na drugich, pełne dobudówek i schodów, malutkich podwórek, a w nich warsztacików, pralni i kramów. Ludzie znają się tu dobrze i nic nie ujdzie ich uwagi.

O tym, jak okoliczności mogą stanąć na głowie. Katarzyna Kossakowska pisze do biskupa Kajetana Sołtyka

Do Jego Ekscelencji Kajetana Sołtyka

Najmiłościwszy Ekscelencjo, racz posłuchać swojej wiernej służebnicy, mieniącej się nie tylko wierną córą naszego Kościoła najświętszego, ale i Twoją przyjaciółką, w której zawsze możesz mieć wsparcie, nawet w chwilach tak pełnych grozy jak ta.

Śmierć biskupa tak bardzo zaskoczyła nas wszystkich, że przez pierwsze dni w Czarnokozińcach panowała cisza. I ja sama nie od razu się dowiedziałam, że on umarł, bo trzymano to czemuś w tajemnicy wielkiej. Mówi się, że to apopleksja.

Pogrzeb ma się odbyć dopiero 29 stycznia – pewnoś już dostał o tym wieści i masz jeszcze trochę czasu, żeby odpowiednie przygotowania do drogi poczynić. Wiedz, Wasza Ekscelencjo, że po śmierci biskupa Dembowskiego nasze sprawy przybrały zgoła inny obrót. Prawie natychmiast zaczęli działać rabini i przez nich opłacani doradcy króla, i wnet okazało się, że nigdzie beniaminy nasze nie są wspierane; gdy zabrakło biskupa, zaraz całą sprawę jakby przydymiono i przestano się nią zajmować. Gdzie tylko pójdę i co powiem w tej kwestii, zaraz uderzam głową o jakiś mur obojętności. Na dodatek mrozy straszliwe zamykają ludzi w domach, nikt choćby nosa nie wychyli. Cała ta nasza Rzeczpospolita od pogody zależna. Może też i dlatego tak z pogrzebem

zwlekają, żeby śnieg się uleżał i drogi były przejezdne. Teraz to nawet grobu nie dałoby się wykopać.

Martwi mnie to, Ekscelencjo, że wysiłki nasze na marne poszły. Gwałt przedtem zadawany talmudystom obrócił się teraz przeciw sabsaćwinnikom. Gminy żydowskie chaty im rekwirują – to w najlepszym razie, bo wiele spłonęło z całym dobytkiem. Przychodzą, nieszczęśnicy, do mnie po pomoc, ale co ja sama dla nich zrobić mogę, gdy zabrakło biskupa. Daję im więc odzienie i trochę pieniądza, tak żeby starczyło na fury i przeprawę za Dniestr. Bo oni tłumnie rzucają wszystko i lecą na południe, do Wołoszy, tam gdzie ich przywódca. Ja im czasem zazdroszczę i sama bym stąd za ciepłem i słońcem poszła. W każdym razie widziałam niedawno taki przysiółek sabsaćwinników opustoszały do ostatniej chałupy i dreszcz mnie przeszedł.

A i ja straciłam jakoś ochotę do wszelkich działań. Niedomagałam trochę, zaziębiwszy się widocznie w czasie podróży z Rohatyna do Kamieńca, i nic mnie potem rozgrzać nie mogło, nawet wieloletnia okowita mojego męża. Mówią ludzie, że biskup Dembowski żydowską klątwą dotknięty został i od tego umarł. Opowiadał mi jeden karczmarz, że nad głową biskupa klątwy się ze sobą ścierały. Jedna była ku obronie, druga ku zniszczeniu. Jedna od sabsaćwinników jego ulubionych, druga od rabinów talmudystów. Tak tu ludzie bajają, choć ja w żadne klątwy nie wierzę, żydowskie czy nie żydowskie. Lecz zasiało to we mnie niepokój, że dzieją się oto nad naszymi głowami jakieś wojny kosmiczne, jakieś siły latają, burzą się niczym chmury, a my tacy nieprzytomni, wątli, niepomni niczego.

Mówią, że następcą zmarłego biskupa będzie biskup Łubieński, którego dobrze znam i który sprawę naszą – mam nadzieję – wspierał będzie.

Z wielką nadzieją pozostaję, Wasza Ekscelencjo i Przyjacielu umiłowany, że ujrzymy się na pogrzebie, do którego tu już wszyscy szykują się niczym do wesela jakiego. Sama widziałam stada wołów kupione na Wołoszczyźnie i przeganiane przez Dniestr do Kamieńca na stypę...

Pompa funebris. 29 stycznia 1758 roku

Ciało arcybiskupa Dembowskiego, już oporządzone, przeniesiono z rozbebeszonego łoża, które było zbyt oczywistym świadkiem jego gwałtownej śmierci, do specjalnej komnaty bez okien, gdzie mróz

litościwie umożliwił czekanie do pogrzebu. Potem znalazło się już w komnacie paradnej, na łożu z baldachimem, i tam złożono bukiety z ostatnich kwiatów, które jeszcze przetrwały w ogrodach, i ze świerczyny i jałowca. Od tej chwili miały już mu bez przerwy towarzyszyć modlące się nieustannie zakonnice.

Najpierw cała bateria skrybów ruszyła do pisania zawiadomień, zorganizowano cały sekretariat – stoły ustawione jak w klasztornym skryptorium, flaszki atramentu i specjalny kleryk o kręconych włosach sennie ostrzący pióra.

Ten ruch dobrze wszystkim robi, nie myślą już więcej o skurczonym ciele biskupa i jego otwartych przerażonych oczach, całych czerwonych – widocznie umieranie kosztowało go tyle wysiłku, że popękały mu w nich żyłki. Trwa nerwowa dyskusja, czy zdąży się przygotować godny pogrzeb, bo przecież zbliża się Boże Narodzenie i zaraz zapusty. Wtedy to je się i pije, i odwiedza sąsiadów, przebywa poza domem, więc przy ustalaniu daty pogrzebu trzeba i to wziąć pod uwagę. Niezręcznie się biskupowi umarło w taki czas, przed Bożym Narodzeniem.

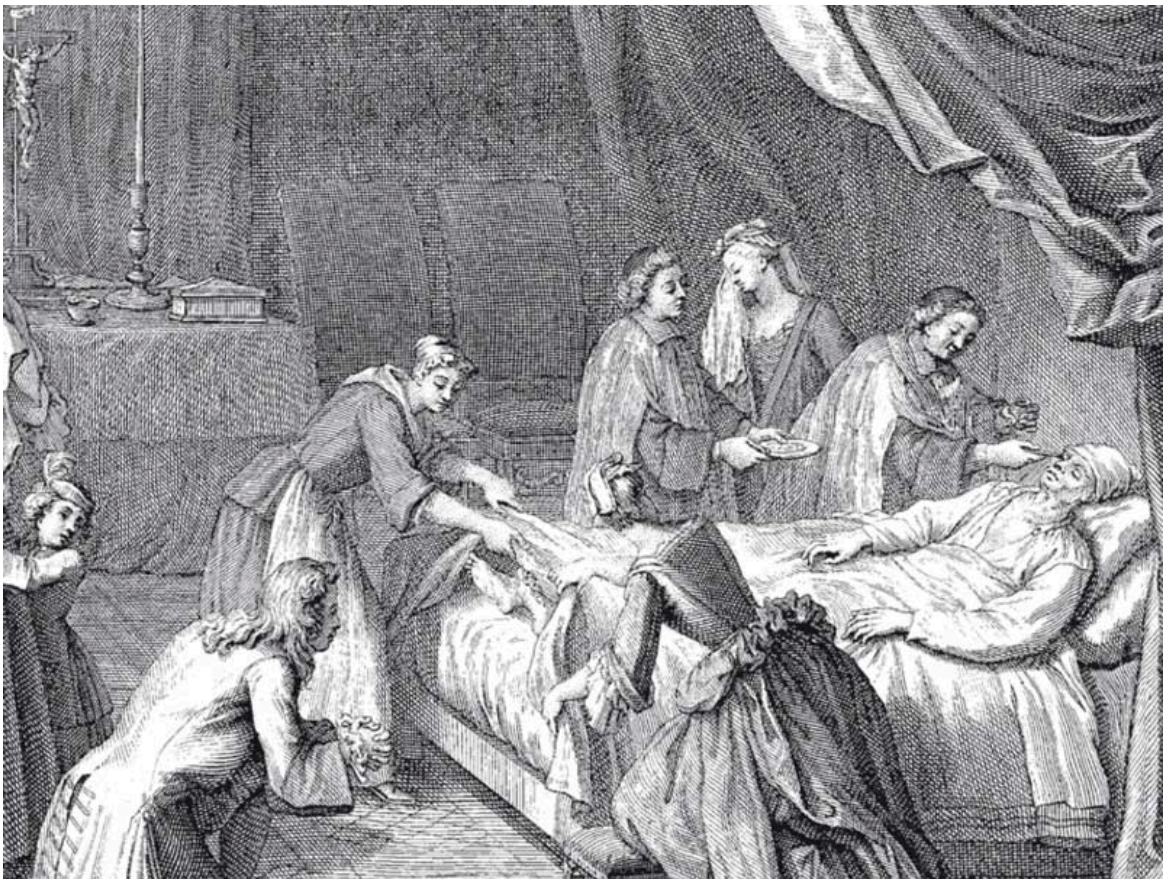

Zamawiają wiersze na cześć zmarłego. Zaczynają pisać przemowy, najmują zakonnice do wyszywania żałobnych chorągwi i ornatów. Dwóch najlepszych malarzy lwowskich maluje portrety trumienne. Sami żywi zaś zastanawiają się, czy aby mają godny płaszcz, czy może właściwsze byłoby futro, bo to przecież zima, czy buty na tę porę roku są w dobrym stanie. A czy jeszcze nie zamówić nowej szuby podbitej futrem i kołnierza z lisa dla żony; przydałyby się też pasy tureckie, no i czapki futrzane zdobione piórem i klejnotem. Zwyczaj panuje taki, żeby na pogrzeb przyjść ubranym bogato i orientalnie, po sarmacku, tak każe tradycja.

Księdza Pikulskiego to nie dotyczy – będzie ubrany po księżowsku, w sutannę i czarny wełniany płaszcz do ziemi, podbity futrem. Na razie jednak przez jego ręce zaczynają płynąć kosztorysy, a w nich sumy takie, o jakich mu się nie śniło. Materia fioletowa do wybicia ścian kościoła, jeszcze dyskutują, ile setek łokci, bo nikt nie umie zmierzyć powierzchni ścian katedry dokładnie, oraz pochodnie i wosk na świece –

to prawie połowa wszystkich kosztów! Zorganizowaniem przyjazdu gości, kwaterami dla nich zajmuje się cała grupa ludzi, a inna – tak samo liczna – samą stypą. Już zaciągnięto pożyczki u Żydów na budowę katafalku w katedrze i na świece.

Pogrzeb biskupa Dembowskiego stanie się nieoczekiwanym, przedwczesnym punktem kulminacyjnym karnawału. Ma to być prawdziwa pompa funebris z przemowami, chorągwiami, salwami i chórami.

Pojawia się kłopot, gdyż po otwarciu testamentu okazuje się, że biskup życzy sobie pogrzebu skromnego i cichego. Testament wywołuje konsternację, bo jakże to? Ale rację ma biskup Sołtyk, który mówi, że żaden biskup polski nie może umrzeć cicho. Dobrze, że przyszły mrozy i będzie można poczekać z pochówkiem, aż wszyscy się dowiedzą i zaplanują swój przyjazd.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia przewieziono ciało arcybiskupa uroczyście i z wielką pompą saniami do Kamieńca. Po drodze rozkładano ołtarze i odprawiano msze, choć mróz był nie do wytrzymania i kłęby pary leciały w niebo z ust wiernych niczym modlitwy. Chłopi przyglądali się temu orszakowi z nabożeństwem, klękając w śniegu, także prawosławni, ci po kilkakroć czynili z rozmachem znak krzyża. Niektórzy myśleli, że to przemarsz wojsk, a nie kondukt żałobny.

W dniu pogrzebu kondukt złożony z przedstawicieli wszystkich trzech obrządków katolickich: łacińskiego, unickiego i ormiańskiego, oraz szlachty i dostojników państwowych, cechów rzemieślniczych, wojska i ludności zwyczajnej, przy odgłosie wystrzałów i salw udał się do katedry. W różnych częściach miasta wygłaszano pożegnalne przemówienia, a zakończył je prowincjał jezuitów. Uroczystości trwały do jedenastej w nocy. Następnego dnia odbywały się msze i ciało złożono do grobu dopiero o siódmej wieczorem. W całym mieście płonęły pochodnie.

Dobrze, że był już mróz i sczerniałe ciało biskupa Dembowskiego zmieniło się w zamarznięty kawał mięsa.

O rozlanej krwi i głodnych pijawkach

Pewnego wieczoru, gdy Aszer stoi oparty o framugę i przygląda się, jak kobiety kąpią małego Samuela, słychać walenie do drzwi. Otwiera niechętnie i widzi rozchełstanego, zakrwawionego młodzieńca, który bełkocząc na pół po polsku, na pół po żydowsku, zaklina, żeby szedł z nim ratować jakiegoś rabbiego.

– Eliszę? Jakiego Eliszę? – pyta Aszer, ale już odwija rękawy i ściąga z kołka płaszcz. Bierze spod drzwi swój kuferek, który zawsze tam stoi, dobrze wyposażony, jak na doktora przystało.

– Eliszę Szora z Rohatyna, napadnięty został, pobity, połamany, Jezu Chryste – bełkocze mężczyzna.

– A tyś kto? – pyta go Aszer, gdy już schodzą ze schodów, uderzony tym „Jezu Chryste”.

– Ja Hryćko, Chaim, nieważne, niech się tylko waszmość nie przerazi, tyle krwi, tyle krwi... Mieliśmy sprawy do załatwienia we Lwowie...

Prowadzi Aszera za róg, w uliczkę i potem w ciemne podwórko, schodzą po schodkach do niskiej izby oświetlonej lampką oliwną. Na łóżku leży stary Szor – Aszer poznaje go po wysokim czole z zakolami, choć twarz jest zalana krwią, obok dostrzega najstarszego z jego synów, Salomona, Szlomo, a za nim Izaaka i jeszcze jakichś ludzi, których nie zna. Wszyscy są umazani krwią, posiniaczeni. Szlomo trzyma się za ucho, a między palcami płyną mu strumyczki krwi i zastygają w ciemne strużki. Aszer chciałby zapytać, co się stało, ale z ust starego dobywa się jakieś rzężenie, i lekarz przypada do niego, żeby go delikatnie unieść, bo zaraz, nieprzytomny, udławi się własną krwią.

– Dajcie mi więcej światła – mówi spokojnym, opanowanym głosem i synowie rzucają się do zapalania świec. – I wody, ciepłej.

Gdy delikatnie zdejmuje z rannego koszulę, widzi na jego piersi woreczki na rzemyku, z amuletami; gdy chce je zdjąć, tamci mu nie pozwalają, więc tylko odsuwa je na ramię rannego, żeby odsłonić złamany obojczyk i wielki siniec na piersi nabiegły fioletem. Szor ma wybite zęby i złamany nos, krew leje się z rozciętej brwi.

– Będzie żył – mówi może trochę na wyrost, ale chce ich uspokoić.

Wtedy oni zaczynają szeptem śpiewać, właśnie tak, szeptem, lecz Aszer nie rozpoznaje słów, domyśla się tylko, że to mowa sefardyjczyków, jakaś modlitwa.

Aszer zabiera rannych do własnego domu, ma tam bandaże i przybory medyczne. Salomonowi trzeba będzie opatrzyć to ucho. Przez wpółotwarte drzwi zagląda Gitla. Młody Szor przesuwa wzrokiem po jej twarzy, ale jej nie poznaje, utyła trochę. Zresztą skądże by mu mogło przyjść do głowy, że kobieta medyka to strażniczka, ta sama, z którą nie tak dawno miał do czynienia Jakub.

Kiedy opatrzeni ranni wychodzą, Gitla, krojąc zamaszyście cebulę, śpiewa pod nosem sefardyjską modlitwę. Robi to coraz głośniej.

– Gitla! – mówi Aszer. – Przestań tak mamrotać.

– Na mieście mówią, że biskup przemienił się w upiora i teraz chodzi pod swoim pałacem i wyznaje winy. To modlitwa obronna. Stara i dlatego działa.

– No to każdy z nas po śmierci będzie upiorem. Przestań tak gadać, bo mały się boi.

– Co ty za Żyd jesteś, skoro w upiory nie wierzysz? – Gitla uśmiecha się i ociera fartuchem cebulowe łzy.

– I ty nie wierzysz.

– Żydzi się cieszą! To wielki cud, większy niż te, które zdarzały się w dawnych czasach. Na biskupa mówili, że to Haman, a teraz, gdy umarł, mogą bić odmieńców. Stary Rapaport wydał rozporządzenie, słyszałeś? Że zabicie odszczepieńca jest micwą. Słyszałeś?

Aszer nic nie mówi. Ściera pakułami krew, czyści narzędzia szmatką i pakuje do torby, bo musi zaraz iść na puszczanie krwi do niejakiego Deyma, naczelnika poczty – ów cierpi, rażony apopleksją. Zachodzi jeszcze do komórki, gdzie trzyma w słojach pijawki. Wybiera te najmniejsze, najgłodniejsze, ów Deym jest drobnym mężczyzną, więc nie ma zbyt dużo niepotrzebnej krwi.

– Zamknij za mną drzwi – mówi do Gitli. – Na oba skoble.

Znowu jest październik i znowu czuć ten sam zapach suszonych liści i wilgoci. Aszer Rubin widzi w ciemnościach grupki pokrzykujących ludzi z zapalonymi pochodniami. Idą za mury miasta, tam gdzie mieszka heretycka biedota. Słychać krzyki. Gdzieś na przedmieściu widać słabą łunę, pewnie płonie jedna z tych biedniutkich chałup, gdzie ludzie mieszkają pospołu ze zwierzętami. Tak jak niedawno płonął Talmud, tak teraz trawione ogniem są Zohar i inne księgi, bogobojnym Żydom zakazane. Aszer widzi wóz pełen rozentuzjazmowanej paleniem heretyckich ksiąg żydowskiej młodzieży – wybierają się za miasto, zapewne w kierunku Glinian i Buska, gdzie odszczepieńców jest najwięcej. Potrącają go jacyś ludzie, wrzeszczący, biegnący z pałkami uniesionymi nad głową. Aszer ściska mocniej słój z pijawkami i szybkim krokiem zdąża do chorego. Na miejscu okazuje się, że poczmistrz zmarł przed chwilą, więc pijawki pozostaną głodne.

Pani Elżbieta Drużbacka
do księdza Chmielowskiego,
czyli o doskonałości form nieprecyzyjnych

...wysyłam Jaśnie Wielebnemu Księdzu Dziekanowi moje tomy i może Twoje bystre oko znajdzie w nich coś więcej niż samą płochość świata, aby bowiem wyrazić językiem cały ten jego ogrom, nie można używać słów zbyt jasnych i oczywistych ani jednoznacznych – bo wtedy się robi coś jak szkic piórkiem, przenosi się go na białą powierzchnię czarnymi kreskami. A słowa i obrazy muszą być giętkie i wieloznaczne, muszą migotać, muszą mieć w sobie wiele sensów.

Nie to że wysiłków Twoich, Przewielebny Księże Dobrodzieju, nie doceniam, wręcz przeciwnie, jestem pod wielkim wrażeniem ogromu Twojej pracy. Ale mam wrażenie, że radzisz się umarłych. Bo te księgi cytowane i kompilowane to jakby grzebanie po grobowcach. A fakty szybko stają się nieważne i tracą aktualność. Czy da się opisać nasze życie poza faktami, opierając się jeno na tym, co widzimy i czujemy, na drobnostkach, na uczuciach?

Staram się patrzeć na świat własnymi oczyma i swój język mieć, nie cudzy.

Martwił się Jego Ekscelencja biskup Załuski, że straci na mnie jako wydawca, i goryczą podlewał swe listy, a tu się okazuje, że cały nakład już wyprzedany, i jak się dowiaduję, szykuje się drugi. Przykro mi trochę, bo się teraz domaga ode mnie, bym własne wiersze wydane przez niego sama sprzedawała. Wysłał mi sto egzemplarzy, a że jego gnębią o pieniądze pijarzy z drukarni, to mnie kazał je zbywać. A ja mu napisałam, żem swych wierszy dla pieniędzy żadnych nie składała, ale dla zabawy i refleksji ludzkiej. Majątku dochodzić na nich ani nie chcę, ani nie umiem. Jakże to? Miałabym niczym handlarz jaki wziąć na wózek własne wiersze i po jarmarkach je za grosz oddawać? Czy wpychać je na siłę jakimś wielmożom i czekać ich łaski? To ja już sobie winem pohandlować wolę niźli wierszami.

Czyś dostał ode mnie przesyłkę, którąm przez jadących do Lwowa podała? A były tam filcowe papucie, cośmy je tu jesienią wyszywały, ja mało, bo źle już na oczy widzę, ale córka moja i wnuczki, a do tego słodycze suszone z naszego sadu, a to śliwki, gruszki, które lubię najbardziej, i baryłka mojego własnego wina z róży; uważaj, Ojcze, bo mocne. A przede wszystkim był tam szal piękny z kazimirku na zimne dni w Twojej samotni firlejowskiej. Pozwoliłam sobie dołączyć także tomik niewielki, którego jeszcze nie znasz, lecz gdyby na wagę położyć Twoje *Nowe Ateny* i moją dzierganinę, to rzecz byłaby oczywiście nieporównywalna. Tak to jest, że jedna rzecz dwu osobom wydaje się inna. Co innego myśli porzucony i porzucający. Co innego ten, kto posiada, i ten, kto jest posiadany. Ten, kto syty, i ten, kto głodny. Bogata córka szlachcica marzy o mopsiku z Paryża, a biedna córka chłopa – żeby gęś mieć na mięso i pierze. Dlatego tak piszę:

Dosyć tu będzie na mój rozum podły,
Nie potrafiwszy gwiazd na niebie zliczyć,
Przynajmniej w lesie dęby, sosny, jodły
Rachować, w tej się artmetyce ćwiczyć.

Twoja zaś wizja jest inna zgoła. Ty chciałbyś wiedzy jakby oceanu, z którego każdy zaczerpnąć może. I sądzisz, że człowiek wykształcony, gdy przeczyta wszystko, pozna cały świat, nie ruszając się z domu. I że wiedza ludzka jest jak księga, też ma swoje „deszczki”, granice, więc całą ją można streścić i wtedy

stanie się dostępna każdemu. Taki cel Ci chwalebny przyświeca i zatom Ci wdzięczna jako czytelniczka Twoja. Lecz swoje wiem.

Mały świat – człowiek żywy: tam niebo, gdzie głowa,
Zmysły – planety, rozum – Słońce, przy tym słowa.
Błądzi świat, na nim człowiek: niebo się obraca,
Śmierć od wschodu na zachód dzień nocą dotłacza.
Gdyby odmienna Luna niewiast nam nie dała,
Świat by nie stał na nogach, cóż by głowa miała?

Ot, powiesz – nieprecyzyjne, czcza gadanina. Pewnie będziesz miał rację i może cała ta sztuka pisania, Mości Dobrodzieju, jest doskonałością form nieprecyzyjnych...

Ksiądz dziekan Benedykt Chmielowski pisze do JWM Pani Elżbiety Drużbackiej

Ksiądz siedzi w dziwnej pozycji, na jego kolanach bowiem usnęła właśnie Saba, siostra Firlejki. Musi trzymać nogi sztywno, opierając się stopami o poprzeczkę pod stołem, żeby pies nie zsunął się na podłogę. Aby sięgnąć do kałamarza, musi wygiąć się w łuk nad stołem i to mu się udaje. Gorzej jest z piórami, które ma na półce za sobą – skręca się teraz i ręką próbuje dosięgnąć pudełka. Pióra spadają na podłogę i ksiądz wzdycha rozczarowany. Chyba będzie musiał czekać, aż się Saba obudzi. Lecz bezczynność taka nie leży w naturze księdza, zaczyna więc pisać stępionym piórem, wychodzi nawet nieźle. Niech będzie.

Wielkie pozdrowienia i życzenia zdrowia Waćpani ślę, jako żem sam się zaziębił na pogrzebie świętej pamięci arcybiskupa Dembowskiego i teraz, kaszląc i plując, siedzę zamknięty w domu i grzeję członki. I czuję, jak starość wielkimi krokami nadchodzi. Prawdą jest, że śmierć arcybiskupa i mnie zdrowie nadwerężyła, jako że był to człowiek mi bliski i byłem z nim w pewnej zażyłości, w jakiej tylko dwoje sług Kościoła być może. Myślę, że powoli i na

mnie przychodzi pora, a ja pracy swojej nie skończywszy, czuję niepokój i strach mnie ogarnia, że Biblioteki Braci Załuskich przed śmiercią nie zobaczę. Umówiłem się z biskupem Załuskim, że jak tylko ta zima zelżeje, wybiorę się do Warszawy, z czego on bardzo był rad i gościnę dać mi przyobiecał.

Wybacz, że tak krótko dziś z Tobą rozmawiam, ale mnie, zdaje się, gorączka trawi i śpiący pies nie pozwala mi zmienić pióra. Szczeniaki mojej Saby rozdałem i teraz pusto w domu i smutno.

Znalazłem coś dla Ciebie, Pani Dobrodziejko, i spisuję, mając nadzieję zająć Cię czymś ciekawszym niż doglądanie gospodarstwa et cetera:

Jak widzieć może siedzący w pokoju, co się dzieje na dworze?

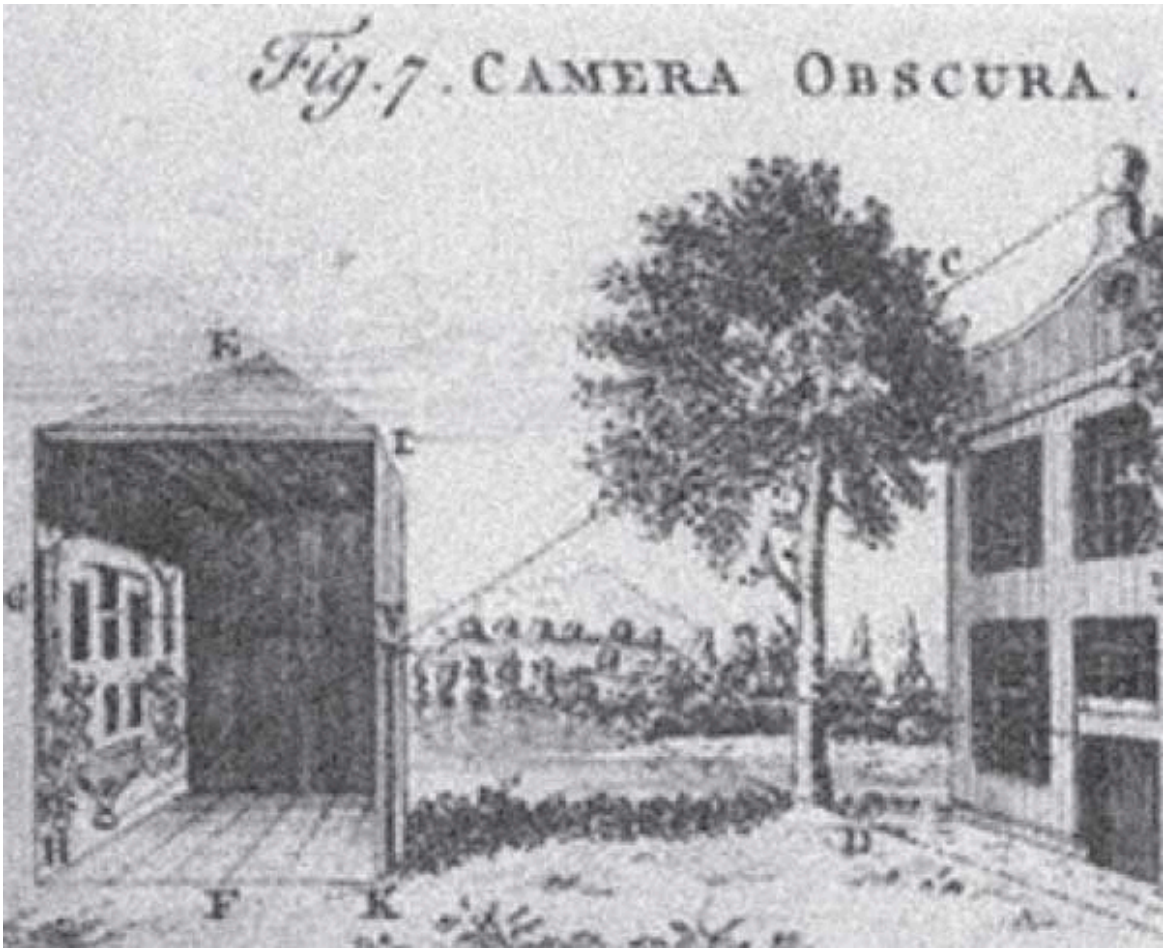

Kto by chciał widzieć wszystkie akcje dziejące się na dziedzińcu, okiem własnym nie patrząc, ale leżąc sobie, niechże uczyni ciemny pokój, okna tak dobrze pozamykawszy, aby nic światła z dworu w nim nie było. Potem niech zrobi dziurę okrągłą, niewielką, ku dziedzińcowi wprost, w niej niech osadzi

szkło z perspektywy lub okularów, które by rzeczy większe, niż są, reprezentowało; to uczyniwszy, w pokoju ciemnym przeciw tego okienka niech zawiesi cienkie, białe, gęste płótno albo duży papier biały. Na tym płótnie lub ekranie zobaczysz, Dobrodziejko, wszystko, co się na dziedzińcu wydarza, kto idzie, jedzie, bije się, swawoli, wynosi ze spiżarni czy piwnicy.

Jam tego dzisiaj próbował i powiedzieć Ci muszę, że udało się, choć obraz sam był niewyraźny i niewiele co rozpoznać mogłem.

Wysyłam Ci też rzecz wartościową wielce – kalendarze Stanisława Duńczewskiego. Jeden jest z zeszłego roku i zawiera poczet królów polskich do Zygmunta Augusta. Drugi, nowy, od Zygmunta Augusta do Augusta II. Wnuczkom swoim będziesz mogła o tym opowiadać, nie ufając zbytnio swojej pamięci, która to jest zawsze dziurawa i niepełna...

O niespodziewanym gościu, który nachodzi księdza Chmielowskiego w nocy

Ksiądz zamiera z piórem w ręku w połowie zdania, bo choć jest już zupełnie ciemno, pod plebanię w Firlejowie zajeżdża powóz. Ksiądz słyszy końskie kopyta na podwórku, a potem niecierpliwe parskanie. Saba, nagle przebudzona, zeskakuje z jego kolan i pędzi z cichym skomleniem do drzwi. Dźwięki rozpryskują się w mokrej mgle jak strugi wody z konwi. Któż to może być o tej porze? Podchodzi do okna, lecz ledwie widzi w ciemnościach, co się tam dzieje, słyszy głos Roszka, ale jakiś senny, niechętny, a za chwilę jeszcze inne, obce głosy. Podwórko znowu zasnuła mgła znad rzeki, głosy rozchodzą się w niej niepewnie, cichną w pół słowa. Czeka, aż Roszko podejdzie do drzwi, ale on nie podchodzi. A gdzie się podziała gospodyni? Przysnęła nad miską, w której myła nogi przed pójściem spać; w świetle dogasającej świecy ksiądz widzi jej opuszczoną głowę. Bierze świecę i sam idzie do drzwi. Widzi, że przy wozie stoją jakieś postaci, okutane od czubka głowy do stóp, jak zjawy. Pojawia się też Roszko, z sianem we włosach, zaspany.

– Kto to?! – woła ksiądz odważnie. – Kto się błąka po nocy i spokój duszy chrześcijańskiej zakłóca?

Wtedy jedna ze zjaw zbliża się do niego, ta mniejsza, i natychmiast ksiądz rozpoznaje starego Szora, chociaż nie dostrzega jeszcze jego twarzy. Wstrzymuje oddech, tak jest jego widokiem zaskoczony. Traci na chwilę mowę. A cóż oni tu robią po nocy, Żydzi przeklęci? Jest jednak na tyle przytomny, że każe Roszkowi odejść i wracać do domu.

Ksiądz poznaje też Hryćka – jakże zmężniał. Szor milcząco prowadzi księdza do fury z plandeką i jednym ruchem odrzuca przykrycie. Ksiądz widzi rzecz niebywałą. Wóz prawie cały wypełniony jest książkami. Leżą popakowane i związane rzemieniami po trzy, cztery.

– Matko Przenajświętsza – mówi ksiądz, a ostatnia sylaba, owo ciche „sza”, zdmuchuje płomień świecy. Potem we trójkę w milczeniu wnoszą książki na plebanię do komory, gdzie ksiądz trzyma miód i wosk, i kawałki próchna, żeby odymiać latem pszczoły.

O nic nie pyta, chce im tylko zaproponować kieliszek grzanego wina, trzyma je na piecu, a oni zmarzli. Wtedy Szor odrzuca na plecy kaptur i kanonik widzi jego posiniaczoną twarz; to dlatego księdzu trzęsą się ręce, gdy nalewa do szklanek wino, które, niestety, już wystygło.

Potem oni znikają.

O jaskini w kształcie litery alef

Trzeba przejść przez chrześcijańską część wsi, minąć krzyżówkę, która pełni tu funkcję ryneczku, gdzie jest karczma brata Sobli i gdzie sprzedaje się nalewkę z miejscowych ziół – jako lekarstwo, nie jako alkohol. I są tu też skład towarów oraz kuźnia. Dalej trzeba iść prosto, minąć kościół i plebanię, potem cmentarz katolicki, kilkanaście pobielonych domów Mazurów (tak się tu mówi o osadnikach z Polski) i dalej – małą cerkiewkę, żeby wyjść nad osadę i dotrzeć do jaskini. Mieszkańcy wsi boją się tam chodzić, miejsce jest nawiedzone, wiosną jest tam jesień, a jesienią wiosna, czas płynie swoim rytmem, innym niż na dole. Właściwie niewielu tylko wie, jak ogromna jest ta jaskinia, ale mówi się, że ma kształt litery alef, jest wielkim podziemnym alefem, pieczęcią, pierwszą literą, na której spoczywa świat. Może gdzieś daleko na świecie pod ziemią tkwią też i inne litery, cały alfabet, zbudowane

z niczego, z podziemnego powietrza, z mroku, z plusku podziemnych wód? Izrael wierzy, że to wielkie szczęście mieszkać tak blisko pierwszej litery i jeszcze koło żydowskiego cmentarza z widokiem na rzekę. Zawsze dech mu zapiera ze wzruszenia, kiedy patrzy ze wzgórza nad wsią na świat. Jest tak piękny i tak okrutny jednocześnie. Paradoks jakby żywcem wzięty z Zoharu.

Wiozą Jentę w tajemnicy, nad ranem. Zawinęli ją w całun, przysypali sianem, gdyby cudze oczy były zbyt ciekawskie. Czterech mężczyzn i trzy kobiety. Potem mężczyźni opuszczają się na sznurach przez wąskie wejście do jaskini wraz z ciałem, które jest lekkie, jakby wypchane

suchymi liśćmi. Znikają na kwadrans i wracają bez ciała. Ułożyli je wygodnie na skórach w skalnej niszy, w trzewiach ziemi, tak mówią. Mówią też, że dziwnie jest nieść takie ciało, bo ono jest już nieludzkie; lekkie, raczej jakby ptasie. Sobla płacze.

Dlatego z ulgą wydobywają się na słońce, które właśnie wzeszło, otrzepują spodnie i wracają do wsi.

Wzrok Jenty leci jeszcze za nimi kawałek, do drogi, zlicza im czapki, ale potem nudzi się tym i zawracając, muska czubki dojrzewających traw i strząsa puch z dmuchawców.

Następnego dnia do jaskini spuszcza się Pesełe. Zapala lampkę oliwną i od razu po kilkunastu metrach trafia do wysokiego pomieszczenia. Płomyk lampki oświetla dziwne ściany, zrobione jakby z onyksu, pełne wybrzuszeń i wiszących sopli. Pesełe wydaje się, jakby weszła w jeden z tych płatków śniegu, które tworzyły się na skórze Jenty. Widzi ciało prababki leżące na naturalnym podwyższeniu, wydaje jej się mniejsze niż wczoraj. Lecz skóra jest różowa, a po twarzy błąka się ten sam uśmiech.

– Wybacz – mówi Pesełe. – To tylko na jakiś czas. Zabierzemy cię stąd, jak będzie bezpiecznie. – Siedzi z nią chwilę i opowiada o przyszłym mężu, który właściwie wydaje się być jeszcze dzieckiem.

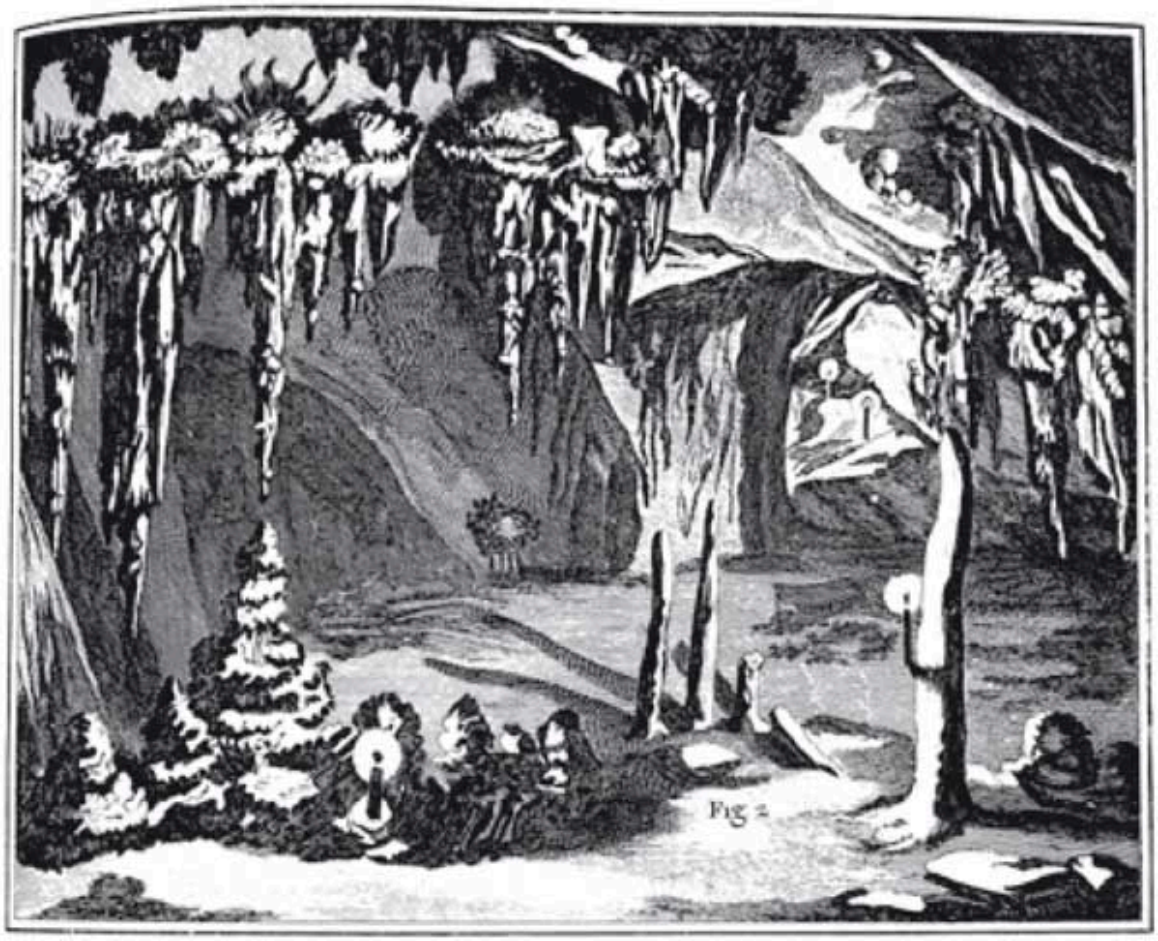

Fig 2

17

Resztki. Moje rozterki serca

Mówi się w Berachot 54, że czterej powinni dziękować Bogu: ten, kto wyszedł cało z podróży morskiej, ten, kto wrócił z podróży przez pustynię, chory, który wyzdrowiał, i więzień uwolniony z więzienia. I to wszystko ja sam przeżyłem, i za to wszystko powinienem dziękować Bogu, co też czynię każdego dnia. I gdym się napatrzył na cudaczną kruchość naszego życia, tym bardziej dziękuję Bogu, żem zdrów i żem wyszedł ze słabości, po tym jak nas ze starym Szorem i Nussenem w czasie tumultu po śmierci protektora naszego biskupa pobili. Na przemoc nie mam ja żadnej odporności i boję się bólu. Uczyłem się na rabina, nie do walki.

Gdy tylko wyzdrowiałem zupełnie (pominąwszy nieodwracalną stratę dwóch zębów), pomogłem teściom i mojej Lei zaopatrzyć karczmę w zapasy dobrej wódki, w smalec i kapustę, w miód i masło, w ciepłe ubrania, sam zaś zainwestowałem w towar – był to wosk – i wraz z Moszem z Podhajec, Chaimem i Jeruchimem Lipmanowiczem, z którymi już od tygodni spotykałem się w tajemnicy przed Leą, postanowiłem ruszyć za Jakubem. Nie chciałbym nazywać tego ucieczką, choć tak się to może przedstawiać i tak nazwała to Lea, krzycząc, że zawsze wolałem Jakuba niż ją. Nie zrozumiała mnie i mego posłannictwa.

Jednocześnie nastąpił bolesny rozłam w nas, prawowiernych: Szorowie wydawali się zapominać o Jakubie, lub też stracili wiarę w niego, a i nadzieję, że Jakub ich poprowadzi, więc wraz z Krysą ruszyli z misją do Salonik, do wyznawców Baruchji, którzy Jakuba przecież swego czasu okrutnie pognębili.

Często śni mi się ten sam sen, a reb Mordke zawsze mówił, żeby trzymać się tych snów, które się często powtarzają, są bowiem naszym łącznikiem z nieskończonością. Śni mi się, że błądzę po rozległym domu, w którym jest mnóstwo pokoi, drzwi, przejść. Nie wiem, czego szukam. Wszystko to jest stare i zmurszałe, obicia na ścianach, niegdyś kosztowne, teraz są wyblakłe i podarte, podłogi spróchniałe.

Ten sen mnie martwi, bo wolałbym śnić sny kabalistów o schowanych jeden w drugim pałacach i ich niekończących się korytarzach, które prowadzą do boskiego tronu. A w moim śnie są tylko zagrzybione labirynty bez wyjścia. Kiedy z zatroskaniem opowiedziałem o tym Jakubowi, ten się śmiał: „Masz szczęście, mnie się śnią stajnie i kloaki”.

Jesienią dostałem od Lei list z żądaniem rozwodu. Ręką miejscowego rabina oskarżała mnie, iż stałem się odszczepieńcem i zdradziłem ją na wieki wieków. Płakałem, gdy przyszło mi napisać jej get – list rozwodowy, lecz prawdę mówiąc, poczułem ulgę. Niewiele trzymało nas razem, a moje krótkie wizyty w domu nie wystarczyły, żeby powstała między nami głębsza więź. Obiecałem zajmować się synem i wspomagać ją, zanim nie ułoży sobie życia, ale nie odpisała.

Kiedy patrzę na swoje zapiski, widzę, żem rzadko wspominał w nich o mojej żonie, którą poślubiłem wiele lat temu, gdym powrócił z nauk u Beszta. Przeznaczono mi żonę po sąsiedzku, córkę krewnego mojego ojca. Pisałem o niej mało z tego powodu, żem nigdy nie miał większego zainteresowania dla spraw związanych z kobietami, a małżeństwo swoje traktowałem zawsze

jako obowiązek względem rodziny i plemienia. Dzieci mieć – mieliśmy, jedno z pięciorga, które Lea urodziła; inne umierały zaraz po narodzinach. Ona twierdziła, iż to z mojego powodu, bo za rzadko bywałem w domu, a kiedy już byłem, to czym innym byłem zajęty. Ja ze swej strony uważam, że z obowiązków moich wywiązywałem się sumiennie. Bóg nam poskąpił potomstwa, dawał je jakby na przynętę – i zaraz odbierał. Możliwe, że mogłem dać jej zdrowe, piękne dzieci, żeby nie umierały, jak te dotąd. Mogłem nauczyć ją czytać, mogłem zbudować dom i prowadzić interes, aby nie musiała pracować jak służąca, ale – taka jest prawda, która obciąża mnie nieustanną winą – żem wziąwszy ją za żonę, zupełnie ją zaniedbał.

Mosze Podhajecki proszony o radę, a jest to człowiek wielce uczony i obeznany w sprawach magicznych, rzekł nam, że mamy za sobą inne bolesne sprawy z poprzednich żywotów, czego pamiętać nie możemy, i że powinniśmy się rozstać, by więcej na ten świat bólu nie sprowadzać.

Jest dwoje ludzi w moim życiu, których kocham głęboko i niezmiennie – Lea i Jakub. Na moje nieszczęście są to przeciwieństwa, które się wzajem nie znoszą, których pogodzić się w żaden sposób nie da, a ja muszę lawirować między nimi.

Sam nie wiem, jak to się stało, że w największym nieszczęściu, bez żony i bez Jakuba, znalazłem się znowu u Beszta, w Międzybożu. Dotarłem tam jakby w malignie, szukając zapewne tego samego, co dostałem tam w młodości – mądrości, by umieć znosić cierpienie.

Czekałem dwa dni na rozmowę i przez ten czas nie wyjawiłem, kim jestem ani skąd się tam wziąłem. Gdybym powiedział, Beszt mógłby mnie nie przyjąć, wszyscy wiedzieli, że ubolewa nad nami, że w żydostwie nie trzymamy się tak, jak by wszyscy chcieli.

Inne już zwyczaje panowały w miasteczku, które prawie całe zamieszkiwali chasydzi. I wszędzie pełno było pielgrzymów, w chałatach do kolan, przybrudzonych pończochach i sztrejmlach na głowie. Cały Międzybóż zdawał się położony daleko od Lwowa, od Krakowa, zajęty sobą, jakby we śnie jakimś cudownym. Rozmowy na ulicach wszędzie takie same, o Bogu, o imionach, wykładanie znaczenia najmniejszego gestu, najmniejszego zdarzenia. Nic oni tam nie wiedzieli o życiu w świecie, o wojnie, o królu. I choć to tak kiedyś było mi bliskie, teraz pogłębiało jeszcze moją rozpacz, bo oni byli jakby ślepi i głusi. I zazdrościłem im tego, że mogą tak nieustannie pogrążać się w boskich sprawach, taka była też i moja natura, lecz z drugiej strony stawali się bezbronni jak dzieci, gdy już zza horyzontu nadchodziła kolejna burza. Byli jak dmuchawce – piękne i lekkie.

Widziałem tam jeszcze kilku naszych, którzy na skutek nagłych prześladowań po śmierci naszego protektora, arcybiskupa Dembowskiego, też tu dotarli i przyjmowano ich bez zbędnych pytań, choć wiadomo było, że Beszt uważa Jakuba za wielkiego szkodnika. Szczególnie ucieszyłem się z obecności tutaj Jehudy z Glinna, z którym to przed laty tak się w tym samym miejscu zaprzyjaźniłem, i choć on nie był prawowierny, to pozostawał bliski memu sercu.

Nauczano tu, że w każdym człowieku znajdzie się dobrą stronę, nawet w takim, który ci się zda największym nikczemnikiem. Tak i ja zacząłem rozumieć, że każdy ma swój interes, który chce zrobić i który jest dla niego dobry, i żadna to wina. Nic w tym złego, że ludzie chcą dla siebie dobrze. I gdym tak myślał o tym, czego każdy chce, zacząłem rozumieć więcej: Lea chce dobrego męża i dzieci, i podstawowej zasobności, żeby był dach nad głową i jedzenie pożywne. Elisza Szor i jego synowie chcą wejść wyżej,

niż mogliby się wspiąć jako Żydzi. Dlatego idąc w górę, pragną połączyć się z chrześcijańską socjetą, bo w żydostwie musieliby się pogodzić z tym, kim są, i trwać przy tym, co mają. Krysa to niespełniony władca, chciałby rządzić. Świętej pamięci biskup chciał się pewnie przysłużyć królowi i Kościołowi, liczył może na sławę. To samo pani Kossakowska, która dała nam pieniądze na podróż – cóż ona? Chciała mieć zasługę, że pomaga biednym? Może jej też o sławę chodzi?

A czego chce Jakub? I zaraz sobie odpowiedziałem:

Jakub nie musi niczego chcieć. Jakub jest narzędziem wielkich sił, ja to wiem. Jego zadaniem jest zniszczyć ten zły porządek.

Beszt posunął się w latach, lecz z jego postaci biły jasność i siła, toteż samo dotknięcie jego ręki wzbudziło we mnie wzruszenie tak wielkie, że nie mogłem powstrzymać płaczu. Długo rozmawiał ze mną jak równy z równym, i za to, że mnie wtedy nie odrzucił, będę mu wdzięczny do końca życia. Położył mi w końcu rękę na głowie i rzekł: „Zabraniam ci rozpaczać”. Nic nie powiedział innego, jakby wiedział, że w dyskusjach wszelkich jestem biegły i argumentami szafować mogę w nieskończoność, wobec tego nie potrzeba mi nauki. Lecz kiedym opuszczał Międzybóż, podbiegł do mnie młody chasyd i wcisnął mi w rękę zwitek papieru.

Było tam napisane po hebrajsku: „Im ata maamin sze-ata jachol lekalkel taamin sze-ata jachol letaken”. Jeśli myślisz, że jesteś zdolny niszczyć, pomyśl i o tym, że jesteś zdolny odbudować.

To było od Beszta.

Jak namawialiśmy Jakuba w Giurgiu

DO POWROTU DO POLSKI

Zimą 1757 roku przyjechaliśmy we czterech do Jakuba do Giurgiu, wyruszywszy w Chanukę, zaopatrzeni w listy żelazne, które wyjednano dla nas u króla polskiego. Jechaliśmy, żeby Jakuba namówić na powrót. Bez niego bowiem, w rękach innych – Krysy i Eliszy Szora – nasza sprawa dziwnie się rozłaziła.

Czterech nas było, niczym ewangelistów: Mosze ben Izrael z Nadwornej, Jeruchim Lipmanowicz z Czortkowa, mój brat Chaim z Buska i ja.

Przyjął nas zziębniętych i wymęczonych podróżą, zima bowiem była sroga, a po drodze nas napadnięto i straciliśmy konie. Ale gdym zobaczył Dunaj, wzięło mnie wielkie wzruszenie, jakbym do serca świata dotarł, i od razu zrobiło się cieplej i jaśniej, mimo że śnieg duży leżał.

Kazał nam Jakub podejść do siebie i przytknąć nasze czoła do jego, i tak nas mocno wszystkich czterech do siebie przycisnął, i tak blisko byliśmy, jakbyśmy się stali jednym człowiekiem z nim, my czterej po bokach i on w środku. I oddychaliśmy jednym oddechem. Staliśmy tak długo, aż się poczułem zupełnie z nimi zjednoczony i zrozumiałem, że to nie koniec, ale początek naszej drogi i że on, Jakub, nas dalej poprowadzi.

Wtedy odezwał się Mosze, jako najstarszy z nas: „Jakubie, myśmy po ciebie przyjechali. Musisz wracać”.

Jakub, gdy się uśmiechał, podnosił jedną brew. I wtedy, odpowiadając Moszemu, też podniósł brew, a mnie zalało jakieś niezwyczajne ciepło – ze wzruszenia, że znowu go widzę i że cały jest dla mnie piękny, że jego obecność wyzwala we mnie najlepsze uczucia.

Jakub rzekł na to: „Obaczym”. I zabrał nas natychmiast na obchód swoich włości, i wylegli do nas jego rodzina i sąsiedzi, cieszył się tu bowiem szacunkiem i nie mieli tu pojęcia, kim on jest naprawdę.

Jakże się dobrze urządził. Dom tu kupił, już się do niego wprowadzać zaczął, ale myśmy jeszcze w starym zamieszkali, który był także ładny, turecki, z malowanymi ścianami i podłogami wyłożonymi kafelkami. A że zima była, to wszędzie rozstawiono małe przenośne piecyki, pilnowane przez służące, od których trudno nam było oczy oderwać, zwłaszcza Chaimowi, który nade wszystko lubił kobiety. Zaraz poszliśmy oglądać nowy dom, z widokiem na rzekę; za domem ciągnęła się winnica, całkiem spora. A w samym domu pełno dywanów rozłożonych, pięknych przedmiotów tureckich. Chana utyła po urodzeniu synka, Lejba, zwanego też Emanuelem, co znaczy „Bóg jest z nami”; rozleniwiła się. Cały dzień leżała na otomanach, to tu, to tam, mamka zaś zajmowała się małym. Nauczyła się fajkę palić i choć niewiele mówiła, była z nami prawie cały czas, patrząc na Jakuba, śledząc każdy jego krok, jak nasze psy na Podolu. Małą Awaczę, dziecko miłe, spokojne i posłuszne, Jakub brał ciągle na ręce i widać było, że jest bardzo do niej przywiązany. Więc gdyśmy się tam rozejrzeli po przyjeździe i posiedzieli razem do późnej nocy, byłem trochę zmieszany i nie rozumiałem, czy nam to Jakub pokazuje, żebyśmy mu dali spokój, czy ma jakiś inny plan, o którym my nic nie wiemy, i co to znaczy.

Nie ukrywam, że gdy przyłożyłem głowę do poduszki, przed snem wrócił mi obraz Lei i ogarnęła mnie wielka żałość, bo starzała się teraz samotnie, ciężko pracując, taka zniszczona i wiecznie smutna, jakby ją trudy tego świata zupełnie przygięły do

ziemi. I przypomnieli mi się wszyscy ludzie cierpiący i zwierzęta, aż targnął mną wewnętrzny szloch i zacząłem się modlić gorąco o koniec tego świata, w którym ludzie tylko czyhają na siebie, żeby zabić, zabrać, poniżyć, zadać gwałt. I nagle zrozumiałem, że może już nigdy nie wrócę na Podole, bo nie ma tam dla nas miejsca, dla nas, którzy chcemy iść swoją drogą, śmiało, uwolnieni od wszelkich brzemion religii i zwyczaju. I że drogi, które nas prowadzą, może są i zmienne – sam często traciłem rozeznanie – ale kierunek jest dobry.

Trzeciego dnia, kiedyśmy już omówili całą sytuację, knowania Krysy i milczenie Szorów, kiedyśmy mu przeczytali listy od naszych, Jakub powiedział, że nas Turcy dobrze przyjęli i ratunku nam udzielili bez żadnego gadania, musimy więc z Turkami trzymać, innego wyjścia nie ma. Musimy się o wstawiennictwo tureckie postarać.

„Bądźcie rozsądni. Tyle o tym gadamy, od lat tylu, a kiedy przychodzi do czynu, to się wzdragacie – mówił. Potem ściszył głos tak, żeśmy musieli się do niego nachylić: – To będzie jak wejście do zimnej wody, wtedy ciało się wzdraga, ale potem przyzwyczaja się i to, co się wydawało strasznie obce, staje się miłe i swojskie”. A on dobrze znał muftiego i robił z nim interesy, i wiele ze swego bogactwa zawdzięczał handlowi z Portą.

Tak więc mimo że śnieg jeszcze wielki leżał, wzięliśmy czworo sań, Chanę i Awaczę małą, i jeszcze Herszełe, który im służył, i parobków do sań, wzięliśmy prezenty, wino i gorzałkę przednią polską i pojechaliśmy do Ruse, czyli Horoszczuk, gdzie był mufti, dobry znajomy Jakuba. Najpierw Jakub wyszedł na słowo z miejscowym agą, który mu był jak przyjaciel, i pomówił z nim trochę, podczas gdy my, jak mili goście, rozsmakowywaliśmy się

w słodyczach. Wrócili zadowoleni, i on, i ten Turek. I następnego dnia wszyscy, jak tam byliśmy, i jeszcze inni nasi prawowierni z Horoszczuk, gdzie było nas całkiem sporo, stawiliśmy się w południe w meczecie. I tam przyjęliśmy wszyscy islam, nakładając na głowy zielone turbany. Trwało to wszystko chwilę; trzeba było tylko powtórzyć słowa szahady: Lā ‘ilāha ‘illā-llāh, Muḥammadun rasūlu-llāh, a Jakub nadał nam wszystkim nowe tureckie imiona: Kara, Osman, Mehmed i Hasan, a swojej żonie i córce – Fatima i Aisza, takie jakie nosiły córka i ukochana żona proroka. Dzięki temu została osiągnięta liczba trzynastu wiernych, co było niezbędne do założenia własnego obozu, tak jak u Baruchji.

I nagle byliśmy znowu bezpieczni. Po raz drugi Jakub stał się chachamem, panem naszym. A myśmy go we wszystkim z całą ufnością za pana uznali i teraz bylibyśmy radzi, gdyby z nami znowu do Polski wyruszył.

Gdy wracaliśmy, byliśmy wszyscy w dobrym humorze i jakby to był jaki kulig, śpiewaliśmy nasze pieśni na cały głos, aż żeśmy gardła zdarli. Potem już czułem się lepiej i powracał w moje myśli sens. Do Boga idziemy przez trzy religie: żydowską, ismaelską i edomską. Jak było powiedziane. A ja już dawno przełożyłem na turecki z hebrajskiego moją modlitwę najulubieńszą i kiedy ją wieczorem powiedziałem, wszystkim się podobała i nawet spisali ją sobie w nowym języku. Oto ona:

Pod szarą szatą nie mam niczego prócz duszy,
Jest tam na chwilę, każde łańcuchy pokruszy.

Odbije od brzegu, żagiel postawi biały,
Nic jej nie zatrzyma, poryw serca za mały.

I tak będzie dryfować pośród portów waszych,
Naślijcie na nią stróżów, nic jej nie wystraszy.

Zbudujcie nowe mury, ona je przestąpi,
Choć prawemu człekowi dobra nie poskąpi.

I pośród waszych granic łatwo się rozezna,
Przeciwko waszym słowom mędrszym słowem zezna.

Wzgardzi urodzeniem i trwałym kształtem rzeczy,
Dwornością, wychowaniem, tym co masz na pieczy.

A gdy zaczniesz jej bezmiar wierszami rachować,
Ona się wyrwie, nie zdołasz jej zachować.

Nikt nie wie, czy jest piękna i jak bardzo wzniosła,
Przed chwilą tu była, już się gdzieś wyniosła.

Pomóż mi, dobry Boże, wiekuisty Panie,
Wysłowić tę wolną duszę ludzkimi ustami.

Otwórz me marne usta, język uczyń żwawym,
A wypowiem na zawsze, jakże jesteś prawy.

Miałem wtedy uczucie szczęścia – zaraz potem wiosna przyszła jednego dnia, właściwie jednego popołudnia, kiedy słońce nabrało

sił i zaczęło nas parzyć w plecy. Udało nam się już sprzedać cały towar i zrobiliśmy sobie przerwę w pracy przy księgowaniu, a następnego ranka obudziły mnie śpiewające ptaki i zaraz potem, nie wiadomo jak, zrobiło się zielono, mała trawka wyrosła między kamieniami podwórza i tamaryszek rzucił się do kwitnienia. Konie stały w bezruchu w plamach słońca i grzały swoje grzbiety, mrużąc oczy.

Moje okno wychodziło na winnicę i byłem tego jednego roku świadkiem całego procesu powracania życia po zimie, od początku do końca, od pączków po dojrzałe grona. W sierpniu można je było już rwać, tak były ciężkie i pełne soku. Myślałem więc, że oto daje mi Bóg przykład taki: potrzeba czasu, by każda idea powstała, wydawałoby się, znikąd. Wymaga ona własnej pory i rytmu. I niczego nie da się przyspieszyć ani obejść. Rozgniatałem winogrona w palcach i myślałem, jak wiele zrobił przez ten czas Bóg, pozwalając dojrzeć winu, wyrosnąć warzywom w ziemi i owocom na drzewach.

Myliłby się ten, kto by uważał, żeśmy tam siedzieli bezczynnie. Za dnia pisaliśmy listy i wysyłaliśmy je w świat do naszych braci – a to do Niemiec, to na Morawy, to do Salonik i Smyrny. Jakub zaś, pozostając w zażyłych stosunkach z miejscową władzą, spotykał się z Turkami często, w czym i ja udział brałem. Wśród owych Turków byli też bektaszyci, którzy mieli Jakuba za swojego, i on czasem do nich chodził, ale nie chciał, żebyśmy mu towarzyszyli.

I jako że nie zarzuciliśmy naszych interesów, siedząc u Jakuba, kilka razy tego lata ruszaliśmy z Giurgiu na drugi brzeg do Ruse, a stamtąd wieźliśmy towar dalej, do Widynia i Nikopola, gdzie wciąż mieszkał Jakubowy teść, Towa.

Poznałem ja dobrze tę drogę wzdłuż Dunaju – drogę, która prowadząc nisko, tuż przy brzegu, czasem wspina się wysoko na skarpy. Zawsze widać z niej ogromną moc płynącej wody, jej prawdziwą potęgę. Gdy wiosną Dunaj rozlewa się szeroko, tak jak to było tego roku, można by pomyśleć, że trafiło się nad morze. Niektóre osady nadrzeczne narażone są niemal każdej wiosny na zalanie. Dla ochrony przed powodzią ludzie sadzą na brzegu drzewa, które mają potężne korzenie i wypijają wodę. Wsie zdają się tu marne, zapełniają je domki z gliny, przy których suszą się sieci. Ich mieszkańcy są drobni i smagli, a kobiety chętnie wróżą z ręki. Dalej od wody, wśród winnic, budują się bogatsi; ich domy powstają z kamienia, a przytulne podwórka przykrywa gęsty dach z winorośli, który chroni przed upałem. To na tych podwórkach od wiosny toczy się życie rodzinne, tutaj przyjmuje się gości, tutaj je się, pracuje, rozmawia i pije wieczorami wino. Gdy o zachodzie słońca zejdzie się nad rzekę, często słychać daleki śpiew niosący się po wodzie – płynie on nie wiadomo skąd, trudno też rozpoznać, w jakim śpiewa się języku.

W okolicach Łomu brzeg wspina się szczególnie wysoko i wydaje się, że widać z niego pół świata. Tam zawsze stawaliśmy na popas. Pamiętam ciepło promieni słonecznych na skórze i wciąż czuję woń rozgrzanej roślinności, mieszaninę zapachów ziół i szlamu rzecznego. Kupowaliśmy zapas koziego sera, a także – w garncach – zakusku, dobrze przyprawioną pastę z pieczonych na ogniu bakłażanów i papryki. Teraz myślę, że nigdym nie jadł w życiu nic równie dobrego. I było to coś więcej niż zwykły popas i zwykłe miejscowe jedzenie. Wszystko się w tej drobnej chwili splatało w jedno i rozpuszczały się granice zwyczajnych rzeczy, aż przestawałem jeść i gapiłem się z otwartymi ustami na

rozsrebrzony przestwór, a wtedy Jakub albo Jeruchim musieli mnie walnąć w plecy, żebym wrócił na ziemię.

Patrzenie na Dunaj mnie uspokajało. Widziałem, jak wiatr porusza olinowaniem stateczków, jak kołyszą się barki przycumowane do brzegu. Właściwie nasze życie było rozpięte między dwiema wielkimi rzekami – Dniestrem i Dunajem, które jak dwaj gracze ustawiały nas na planszy dziwnej gry Chai.

Moja dusza jest nieodłączna od duszy Jakuba. Nie umiem inaczej wytłumaczyć własnego doń przywiązania. Widocznie kiedyś, w przeszłości, byliśmy jednym stworzeniem. Musieli być tam także reb Mordke i Isochar, o którym to z żalem dowiedzieliśmy się, że zmarł.

Wiosennego dnia w Pesach odprawiliśmy starą czynność, która była początkiem nowej drogi. Wziął Jakub małą baryłkę, przyczepił do niej dziewięć świeczek, a sam miał dziesiątą i zapalał tę jedną i tamtych dziewięć, a potem gasił. Tak zrobił trzy razy. Następnie usiadł koło żony, a potem my czterej podchodziliśmy pojedynczo do niego i łączyliśmy z nim dusze i ciała, uznając go za pana. A potem jeszcze raz to robiliśmy, ale wszyscy razem. A mnóstwo naszych czekało za drzwiami, żeby się przyłączyć. To był rytuał Kaw hamlicho, czyli Sznur Królewski.

Tymczasem zjeżdżały do Giurgiu rzesze naszych braci uciekających z Polski, którzy ciągnęli albo do Salonik, do braci donmeńczyków, zagubieni i zdecydowani nie wracać już nigdy na Podole, albo tu, na Wołoszczyznę. Dom Jakuba był dla nich otwarty, a oni czasem nawet nie wiedzieli, kim on jest, bo opowiadali o pewnym Jakubie Franku, który ponoć wciąż w Polsce grasuje i gromi talmudystów. Wzbudzało to wielką radość

w Jakubie i długo ich wypytywał i przeciągał sprawę, żeby im w końcu wyjawić, że on jest tym Jakubem. Znaczyło to tylko, że sława jego rosła i coraz więcej ludzi o nim słyszało. Lecz on sam nie był chyba szczęśliwy. Chana i my wszyscy musieliśmy znosić jego napady złego humoru, wtedy klął i wzywał Izraela Osmana, i kazał mu a to z poselstwem gdzieś jechać, a to coś u agi załatwiać.

Przybysze, gościnnie przez Chanę przyjmowani, opowiadali, że nad Prutem, po tureckiej stronie, zalega armia prawowiernych, czekając na możliwość powrotu do kraju. Tkwią tam w chłodzie, głodzie i biedzie, widząc z dala polski brzeg.

W maju przyszedł długi list od Moliwdy, bardzo wyczekiwany, w którym to liście donosił nam o wielkich staraniach jego samego i pani Kossakowskiej, a także innych wielmożów i biskupów u samego króla – tym samym znów zaczęliśmy myśleć o powrocie do Polski. Jakub nic nie mówił, ale widziałem, jak wieczorami sięga po książkę po polsku, a robi to w tajemnicy. Domyśliłem się, że się uczy w ten sposób języka, lecz upewniłem się wtedy, gdy razu jednego zapytał mnie niby mimochodem:

– Jak to jest, że mówi się po polsku: jeden pies, a dwa psy? Powinno być: piesy.

Nie umiałem mu tego wytłumaczyć.

Tą samą drogą dotarł do nas niedługo potem list żelazny od króla. List był napisany bardzo podniośle i nabiedziłem się nieco, żeby go udatnie przetłumaczyć. Czytałem go tak wiele razy, że zapadł mi w pamięć i nawet w nocy, wyrwany ze snu, mógłbym recytować jego dowolnie wybrane fragmenty:

Suplikowały nam wspomniane Rady Nasze, imieniem i ze strony wyrażonych kontratalmudystów, abyśmy onych, pod protekcję naszą królewską wziąwszy, tymże list żelazny naprzeciw zawziętości i usiłowaniu którychkolwiek bądź osób, tudzież rzeczonych niewiernych talmudystów, żeby ci kontratalmudystowie, nie tylko w województwie podolskim, ale na każdym miejscu w Królestwie i Państwach Naszych, wolno przebywać, prawować się, procesu niedokończonego, aby swój wziął skutek, w każdych sądach, by najwyższych Królestwa jako duchowych, tak i świeckich, popierać, poczynionych sobie krzywd dochodzić, zgoła, - przywilejów, praw, wolności, swobód, Żydom prawami koronnymi nadanych, zażywać bezpiecznie dobrowolnie i spokojnie mogli, dać i pozwolić raczyli.

Którym prośbom, słusznie i sprawiedliwie do Nas zaniesionym, przychylając się, to przedsięwziąwszy, że ciż kontratalmudystowie, talmud żydowski, niezliczonymi bluźnierstwy napojony, powszechnemu Prawowiernych Kościoła i Ojczyzny dobru szkodliwy, od Najwyższych Papieżów na ogień skazany i w niektórych królestwach jakoż i w Naszem ze sprawiedliwego dekretu wspomnianego Przewielebnego w Bogu, JMci księdza Mikołaja biskupa, w pośród miasta Naszego, Kamieńca Podolskiego spalony, odrzucając, onegoż się odrzekają, do poznania Boga, jako jest w Trzech Osobach, a Jeden w Istocie, zbliżając się, nauki ze Starego Testamentu wyjęte wyznają i utrzymują...

Onych więc kontratalmudystów w protekcję Naszą wziąwszy, tym w powszechności wszystkim, w szczególności każdemu, list żelazny dobrego powodzenia naprzeciw zawziętości i usiłowaniu wzwyż wyrażonych i wszelkich osób do uśmierzenia krzywd,

poparcia prawnego namienionych, zgoła próśb zyskania, wydać i pozwolić raczyliśmy...

Którym listem dobrego powodzenia przerzeczeni kontratalmudystowie zaszczyceni i wsparci, bezpiecznie i bez wszelkiej przeszkody tych, od których uciemiężenia obawiając się, w Królestwie i Państwach Naszych przebywać, handle podług używania przywilejów sobie pozwolonych, na każdem miejscu, po wsiach, miasteczkach, miastach prowadzić i jarmarkować, wszelkie oraz sprawunki godziwe i poczciwe, jako też i interesa, czynić przed Sądami, jako duchownymi, tak świeckimi, koronnemi, obecnie się stawić, sprawy powodować lub na nie odpowiadać, transakcje nie tylko prawne, ale i dobrowolne zeznawać i inne, podług prawa, sprawiedliwości i słuszności działać, aby mogli, onychże tudzież żony, dzieci i domową czeladź, jakoż dobra i ruchomości tąż protekcją Naszą Królewską zaszczycamy, aby i oni, spokojnie i wstrzemięźliwie rządząc się, a oraz kłótni i sprzeczek przyczyny nie dając, tej Naszej łaski na złe nie zażywali, ale raczej wszystkim, od których uciemiężenia albo jakowego niebezpieczeństwa obawiają się, ten list protekcjonalny do wiadomości powszechnej podali...

Dan w Warszawie, 11 mies. Junii R.P. 1758 panowania zaś Naszego, roku XXV. August Król.

Nieczęsto sam król staje po stronie uciśnionych, więc radość nastała powszechna i wielkie podniecenie, bo wszyscy już się zaczęli pakować, zbierać, sprawy załatwiać. Ryneczki, gdzie się wieczorami toczyły nieskończone dysputy, nagle opustoszały, bo wszyscy zajęci teraz byli przyszłą podróżą, i już wieści nas

dochodziły, że nad Dniestrem i Prutem koczują tysiące naszych – wracamy do Polski.

Dowiedziawszy się o tłumach koczujących nad Prutem, w Perebekowcach, zaopatrzył Jakub dobrze Izraela Osmana, który tu w Giurgiu mieszkał i od dawna w religii muzułmańskiej siedział, i wyprawił wygnańców z Polski do tej rzeszy biednej, która tam w wielkim smutku siedziała, nie wiedząc, gdzie ma się podziać. Jakub bardzo się martwił o braci, a najbardziej tym, że tam więcej matek, dzieci i starców było niźli mężczyzn, którzy ruszyli na zarobek jaki. Mieszkali w skleconych naprędce lepiankach.

Pierwszym stamtąd był drugi syn Nussena. Cieszył się on specjalnymi względami u Jakuba, a mówiło się o nim Smetankes. On to, przybywszy znad Prutu, zapisał się w pamięci wielką przemową o cierpieniach wygnanych z Polski prawowiernych. Jakub nakazał mu i jego towarzyszom się rozgościć, ale że dom był na takie spotkanie za mały, a im się już wracać nie chciało, przez to zalegli na czas upałów z nami pod winoroślą. Następnie przybył do nas kabalista Mosze Dawidowicz z Podhajec i zaraz to dobrał się z sobie podobnym Jeruchimem Lipmanowiczem, co wielce ucieszyło Jakuba.

Zaczynali każdą wypowiedź od: „My maaminim”, czyli my, wyznawcy, jak to się mówiło w Salonikach, kiedy się chciało podkreślić, że czci się Szabtaja. Codziennie o świcie sprawdzali, jak się mają sprawy świata we wróżbach. Jeruchim zaś wplatał wciąż w wypowiadane zdania słowa: „Jest czas na to... Jest czas na tamto”. Mosze wieczorami widywał nad głową Jakuba światło – było lekko niebieskie, chłodne, jakby lodowe; dziwne światło. Uważali, że Jakub powinien wracać do Polski i przewodzić wszystkim. Musi wracać, bo już się zniecierpliwieni

współwyznawcy pod wodzą Krysy, który z nimi został, zwracają o przywództwo do prawowiernych salonickich. A podobno bracia Szorowie widzieli się na Węgrzech z Wolfem, synem słynnego Eibeschütza, żeby polskie przywództwo wziął.

„Ty nie pójdziesz, pójdą inni”, powtarzałem mu codziennie, dobrze go znając. Gdy się Jakubowi pokazało, że mógłby być gorszy od innych, zaraz się złościł i zbierał w sobie.

Mosze z Podhajec, kiedy mówił, pochylał się do przodu, wyciągał szyję, a że głos miał wysoki, donośny, natychmiast przyciągał uwagę wszystkich. A gdy opowiadał, tak się zapamiętywał we własnej opowieści, że podnosił zaciśnięte pięści, potrząsał głową, oczy wznosił ku niebu i grzmiał. Okazał się dobrym aktorem i nie było nikogo, kogo nie umiałby naśladować. Dlatego prosiliśmy go o to często.

Bywało, że gdy naśladował mnie, sam śmiałem się do łez, widząc w jego gestach siebie: popędliwego, niecierpliwego, nawet moje zacinanie się umiał oddać co do joty. I jemu jednemu, Moszemu z Podhajec, wolno było przedrzeźniać Jakuba: wyciągał się wtedy jak struna, głowa wędrowała lekko do przodu, oczy stawały się okrągłe, ptasie, przenikliwe, wolno mrugał powiekami, szedłbyś o zakład, że mu nos urósł. Potem zakładał ręce do tyłu i ruszał, i tak samo lekko ciągnął nogi, niby dostojnie, niby leniwie. Najpierw chichotaliśmy, a potem już ryczeliśmy ze śmiechu, gdy Mosze pokazywał, jak Jakub przemawia do ludzi.

Sam Jakub śmiał się z nami, a śmiech miał głęboki, tubalny, jakby dochodził z głębi studni. Wszystkim od razu robiło się dobrze, kiedy się śmiał, bo to jakby namiot się budował nad nami, bezpieczny. Dobry aktor, powtarzam, jest ten Mosze z Podhajec, a przecież to uczony rabin.

Pewnego sierpniowego dnia przyjechał konno zdyszany Osman z Czerniowiec z wieścią, że biwakujący nad rzeką nasi prawowierni, uzbrojeni w królewski list i zachęcani przez jakichś posłańców nowego biskupa, przeszli z całym dobytkiem, ze śpiewem na ustach, w bród na Dniestrze, przez nikogo nie niepokojeni, a straże graniczne tylko się przyglądały temu radosnemu pochodowi ludzi. Mówił Osman, że rozeszli się po trzech wsiach w dobrach biskupich, w których mieli znajomych, a niektórzy tam mieszkali – w Uścieczku, Iwaniu i Harmackiem – i teraz ślą z Osmanem supliki, żeby i Jakub wracał.

„Czekają na ciebie jak na wybawienie – powiedział Osman i przykląkł. – Nawet nie wiesz, jak na ciebie czekają". A Jakub nagle zaczął się śmiać i powtarzał z upodobaniem: „Lustig, unsere Brüder haben einen Platz erhalten"[11], co zaraz skrzętnie zapisałem.

Teraz prawie co dzień ktoś się zjawiał z Polski z dobrymi wieściami, z rumieńcami na twarzy, i stało się jasne, że wracamy. Już się o tym wywiedziała Chana, bo teraz chodziła chmurna i patrzyła na mnie z niechęcią, słowem się nie odzywając, jakbym to ja był winny temu, że ten piękny dom Jakub chce opuścić. I zaraz po winobraniu, które było najlepsze od wielu lat, a grona okazały się tak słodkie, że lepiły się do palców, ruszyliśmy do swoich do Bukaresztu po wsparcie. I zebraliśmy tyle, że udało się kupić fury i konie i zacząć sposobić się do podróży. A z listu z Polski od braci dowiedzieliśmy się, że czeka tam na nas cała wieś w dobrach biskupa. I padło pierwszy raz to słowo: Iwanie.

Są rzeczy zewnętrzne i wewnętrzne. Zewnętrzne to pozór i my żyjemy w rzeczach zewnętrznych, w pozorze, jak ludzie we śnie,

i prawa tego pozoru musimy brać za prawdziwe, choć one takie nie są. Kiedy się żyje w miejscu i czasie, w którym obowiązują jakieś prawa, to trzeba tych praw przestrzegać, ale nigdy nie zapominać, że to są tylko porządki względne. Bo prawda jest inna i jeśli kto nie jest przygotowany, żeby ją poznać, może mu się wydać przerażająca i straszna, i będzie przeklinał dzień, kiedy się jej dowiedział.

Ale ja myślę, że każdy człowiek czuje całym sobą, jak jest naprawdę. Lecz w gruncie rzeczy nie chce się tego dowiedzieć.

Ksiądz Benedykt piele lebiodkę

Kabbala denudata von Rosenrotha z 1677 roku, pisana po łacinie – ją dostał ksiądz Chmielowski od Szora, po tym jak ratował jego żydowskie książki, które zresztą już wróciły do właściciela, kiedy wydano list królewski. Wielce to księdzu ulżyło, bo gdyby się ktoś dowiedział, co ksiądz na plebanii firlejowskiej przechowuje, byłby skandal niemały. Dlatego i do prezentu ma stosunek niejasny. Przyniósł ją, tę księgę, jakiś parobek, zawiniętą w płótno, obwiązaną na dodatek konopnym sznurkiem. Musiała kosztować majątek. Wręczył ją księdzu bez słowa i zniknął.

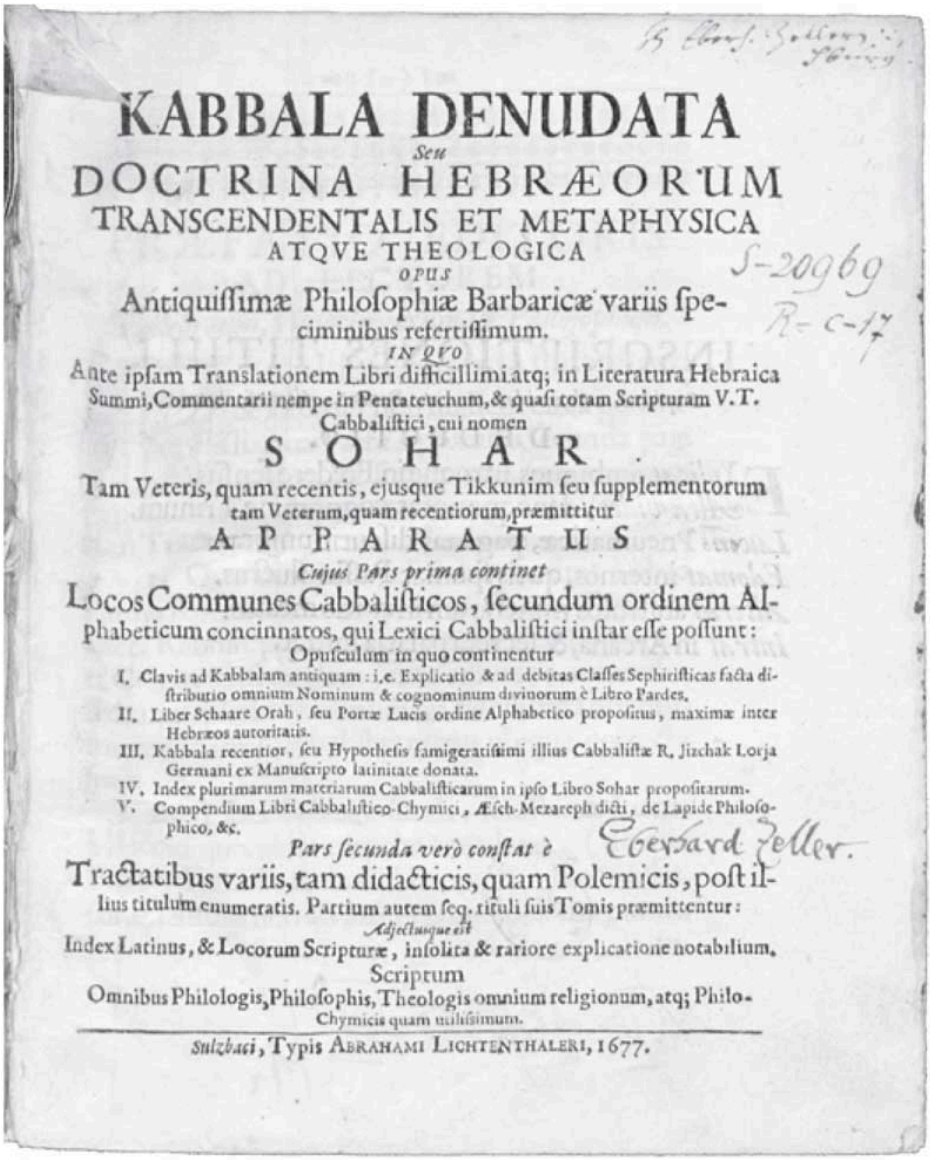

KABBALA DENUDATA
Seu
DOCTRINA HEBRÆORUM
TRANSCENDENTALIS ET METAPHYSICA
ATQVE THEOLOGICA
OPUS
Antiquiſſimæ Philoſophiæ Barbaricæ variis ſpeciminibus refertiſſimum.
IN QVO
Ante ipſam Translationem Libri difficillimi atq; in Literatura Hebraica Summi, Commentarii nempe in Pentateuchum, & quaſi totam Scripturam V.T. Cabbaliſtici, cui nomen
SOHAR.
Tam Veteris, quam recentis, ejusque Tikkunim ſeu ſupplementorum tam Veterum, quam recentiorum, præmittitur
APPARATUS
Cujus Pars prima continet
Locos Communes Cabbaliſticos, ſecundum ordinem Alphabeticum concinnatos, qui Lexici Cabbaliſtici inſtar eſſe poſſunt:
Opuſculum in quo continentur
I. Clavis ad Kabbalam antiquam: i.e. Explicatio & ad debitas Claſſes Sephiriſticas facta diſtributio omnium Nominum & cognominum divinorum è Libro Pardes.
II. Liber Schaare Orah, ſeu Portæ Lucis ordine Alphabetico propoſitus, maximæ inter Hebræos autoritatis.
III. Kabbala recentior, ſeu Hypotheſis famigeratiſſimi illius Cabbaliſtæ R. Jizchak Lorja Germani ex Manuſcripto latinitate donata.
IV. Index plurimarum materiarum Cabbaliſticarum in ipſo Libro Sohar propoſitarum.
V. Compendium Libri Cabbaliſtico-Chymici, Æſch-Mezareph dicti, de Lapide Philoſophico, &c.
Pars ſecunda verò conſtat è
Tractatibus variis, tam didacticis, quam Polemicis, poſt illius titulum enumeratis. Partium autem ſeq. tituli ſuis Tomis præmittentur:
Adjectusque eſt
Index Latinus, & Locorum Scripturæ, inſolita & rariore explicatione notabilium, Scriptum
Omnibus Philologis, Philoſophis, Theologis omnium religionum, atq; Philo-Chymicis quam utiliſſimum.
Sulzbaci, Typis ABRAHAMI LICHTENTHALERI, 1677.

Ksiądz czyta księgę popołudniami. Litery są małe, więc może czytać tylko w pełni dnia, przy oknie. Gdy się ściemnia, otwiera butelkę wina i odkłada książkę. Trzyma w ustach wino i patrzy na swój ogródek i na ciągnące się za nim nierówne łąki za rzeką. Trawy są wysokie i poruszają nimi podmuchy wiatru – łąki falują, drżą, jakby były żywe. Przypomina to skórę konia, która wzdraga się i drży, gdy usiądzie na niej bąk. Przy każdym podmuchu trawy odsłaniają swoje jasne podbrzusza, zielonoszare jak podszerstek psa.

Ksiądz jest rozczarowany; nic nie rozumie, choć to łacina jak łacina, acz w treści przypomina raczej pisanie pani Drużbackiej. Takie tam na

przykład: „Moja głowa jest pełna rosy” – cóż to znaczy?

I powstanie świata jakieś zbyt poetyckie. U nas jest ciach-ciach, w ciągu sześciu dni Bóg stworzył świat, jak gospodarz, co coś robi, a nie zastanawia się. A tutaj to jest jakoś skomplikowane. Księdzu słabnie wzrok i męczy go czytanie.

Dziwna to księga. Niby łaknął od dawna wiedzy szerokiej, takiej, co to by wyjaśniała początek i koniec, ruchy planet na niebie i wszystkie cuda, ale tutaj jest to dla niego zbyt nieuchwytne i nawet jego ulubieni łacińscy scholastycy na takie wyjaśnienia cudów nie odważyliby się nigdy – choćby że Jezus Chrystus jest Adamem Kadmonem, czystym boskim światłem, które zeszło na ziemię. Teraz myśli o wędrówce dusz na przykład. Niby słyszał o tej herezji, ale nigdy się nad jej sensem nie zastanawiał. Książka mówi, że nie ma w tym nic złego, by i dobry chrześcijanin wierzył w to, że po śmierci odradzamy się w innych postaciach.

Tak, przyznaje ksiądz dość chętnie, jak to on, jest bowiem człowiekiem przede wszystkim praktycznym, byłaby to szansa na zbawienie. Każdy żywot w innej postaci dawałby nam więcej możliwości do doskonalenia, do odkupienia grzechów. Wieczna kara w piekle rzadko bywa zadośćuczynieniem za całe zło, jakie się wyrządziło.

Ale potem robi mu się wstyd, że w ogóle tak pomyślał. Żydowskie herezje. Klęka przy oknie pod obrazem świętego Benedykta, swego patrona, i prosi go o wstawiennictwo. I przeprasza za swoje lekkoduchostwo, za to, że wdaje się w takie dywagacje. Cóż, wstawiennictwo świętego Benedykta jakoś nie działa, bo dzikie myśli znowu przychodzą mu do głowy... Z piekłem ksiądz miał zawsze kłopoty. Jakoś nie mógł uwierzyć w jego istnienie, nie pomagały straszliwe rysunki, które widział w księgach, a było ich sporo. A tu czyta na przykład, że dusze zamieszkujące w ciałach pogan, którzy uprawiali kanibalizm, nie trafią bezpośrednio i na zawsze do piekieł, byłoby to niemiłosierne. Przecież to nie ich wina, że byli poganami i nie znali światła chrześcijaństwa. Lecz dzięki kolejnym wcieleniom dostają szansę na poprawę i odkupienie zła, które uczyniły. Czyż to nie jest sprawiedliwe?

Księdza tak ekscytuje i ożywia ta myśl, że wychodzi do ogródka zaczerpnąć powietrza, ale jak to bywa w ogródku, mimo że prawie zmierzcha, zaczyna poszczypywać niepotrzebne pędy i ani się spodzieje, a już na kolanach piele lebiodkę. A jeżeli i lebiodka bierze udział w tym wielkim dziele doskonalenia się i jeżeli w niej mieszkają jakieś niewyraźne dusze? Co wtedy? I jeszcze gorzej: co, jeżeli to sam ksiądz jest właśnie narzędziem sprawiedliwości odwiecznej i karze w tej chwili grzeszne roślinki – pieląc grządki, pozbawia je życia?

Biegun

Wieczorem przed plebanię firlejowską zajeżdża żydowska fura kryta konopną derą, ale tylko zwalnia, nawraca na podwórku księdza i znika na drodze do Rohatyna. Ksiądz patrzy z ogrodu i widzi pod wiklinowym płotkiem wysoką, stojącą bez ruchu postać. Ciemny płaszcz spływa jej z ramion do ziemi. Księdzu przemyka przez głowę myśl straszna: że oto przybyła po niego śmierć. Ksiądz łapie drewniane grabki i szybkim krokiem idzie jej na spotkanie.

– Ktoś ty? Mów zaraz. Ja jestem ksiądz najświętszego Kościoła i diabła się nie boję.

– Wiem – mówi nagle cicho męski głos. Jest chropawy, łamiący się, jakby jego właściciel nie używał go od stu lat. – Ja jestem Jan z Okna. Nie bójcie się mnie, księże dobrodzieju. Jestem dobrym człowiekiem.

– To co tu robisz? Słońce już zaszło.

– Żydzi mnie tu podrzucili.

Ksiądz podchodzi bliżej i próbuje dojrzeć twarz przybysza, ale ten trzyma głowę spuszczoną, a wielki kaptur ją zakrywa.

– To już przesada z tymi Żydami. Za kogo oni mnie mają? – mruczy pod nosem ksiądz. – Jakże to „podrzucili”? Czy ty z nimi trzymasz?

– Teraz trzymam z księdzem dobrodziejem – odpowiada tamten.

Mężczyzna mówi niewyraźnie, jakby niedbale, ale po polsku, z lekkim tylko rusińskim zaśpiewem.

– Głodnyś?

– Nie bardzo, dobrze karmili.

– To czego chcesz?

– Schronienia.

– Domu własnego nie masz?

– Nie mam.

Ksiądz waha się przez chwilę, a potem z rezygnacją zaprasza:

– To chodźże do izby. Mokre dziś powietrze.

Postać rusza niezdecydowanie ku drzwiom, widocznie utykając, i na chwilę kaptur odsłania kawałek jasnego policzka. Przybysz naciąga go z powrotem na twarz, lecz ksiądz już dostrzegł coś niepokojącego.

– Popatrz tu na mnie – rozkazuje.

Wtedy tamten jednym ruchem podnosi głowę i kaptur opada na plecy. Ksiądz cofa się mimowolnie i wykrzykuje:

– Jezusie Nazareński, czy ty człowiek?!

– Ano sam nie wiem.

– I ja mam cię do własnej izby wziąć?

– Księża wola.

– Roszko – ksiądz woła szeptem służącego, ale chyba tylko po to, żeby dać tej strasznej twarzy do zrozumienia, że nie jest tu sam.

– Boicie się mnie – odzywa się postać ze smutkiem.

Ksiądz po króciutkiej chwili wahania nakazuje gestem, by szedł przodem do domu. Prawdę mówiąc, serce mu wali, na dodatek Roszko gdzieś zniknął, jak to on.

– Wejdź – mówi do mężczyzny i ów wchodzi do środka, za nim ksiądz.

Tam w świetle lichtarza widać więcej: dół twarzy jest zupełnie zniekształcony bliznami, jakby ściągnięto zeń skórę. Znad tej rany, pod gęstymi czarnymi włosami, błyszczą duże, ciemne, płonące oczy, młode, można by powiedzieć – piękne. Może tylko z powodu tego kontrastu.

– Na rany Chrystusa, co ci się stało? – pyta wstrząśnięty ksiądz.

Opowieść bieguna.
Żydowski czyściec

Ksiądz dziwi się tej niezwykłej istocie, która nazwała siebie Janem z Okna. Okno to wieś niedaleko Toków, wiele mil stąd. Ksiądz nie wie, do kogo należy, Jan nie chce powiedzieć. Mówi o właścicielu: pan. Jak pan, to pewnie Potocki: wszystko tu ich.

Mężczyzna zjada trochę chleba i popija maślanką. Nic więcej ksiądz nie ma. Częstuje go potem wódką, ale tamten nie chce. Siedzi sztywno, nawet nie zdjął okrycia, dolatuje od niego zapach koni. Saba ze zjeżoną rudą sierścią obwąchuje go z powagą, jakby świadoma tajemnicy – widać przybysz ma na sobie zapachy jej nieznane, bo zabiera jej to dużo czasu, zanim, uspokojona, położy się spać przy piecu.

– Ja jestem trup – odzywa się nagle człowiek o strasznej twarzy. – Ksiądz martwego nie wyda.

– Ja z martwymi obcuję – mówi ksiądz po chwili i pokazuje ręką książki za sobą, te, które leżą na stole. – Jestem przyzwyczajony do ich opowieści. Nic mnie nie dziwi. Mogę nawet uczciwie przyznać, że wolę słuchać martwych niż żywych.

Wtedy tamten jakby się rozluźnia, zdejmuje z ramion ciemną żydowską opończę i odsłania mocne ramiona, na które spadają długie włosy. Zaczyna opowiadać cichym głosem, monotonnym, jakby sobie tę opowieść długo w głowie powtarzał i w końcu nauczył się jej na pamięć. Teraz daje ją księdzu niczym garść monet za gościnę.

Ojciec tego Jana z Okna pochodził spod Jasła, matka zaś z Mazowsza. Przybyli tu jako zasiedleńcy, kolonizatorzy, jak to się mówi, ponieważ w ich rodzinach ziemi było mało i dzieci czym obdzielić nie stało. Pobrali się i dostali do uprawy kawał ziemi koło Tarnopola. Ale umowa z panem, który te ziemie na własność posiadał, była taka, że dla siebie pracują piętnaście lat (co było i tak korzystne, bo w innych majątkach dostawało się mniej – dziesięć, albo nawet pięć lat). Potem za użytkowanie pańskiej ziemi mieli płacić w towarze i robociźnie.

I musieli się jeszcze zobowiązać do różnych darmowych prac, takich jak pomoc w młócce, roboty budowlane na dworze, łuskanie grochu, a nawet pranie – zawsze było coś w pałacu do zrobienia, więc na pracę u siebie już nie starczało czasu. No i stawali się własnością pana.

Księdzu przypomniały się krzyże, których widok napawał go zawsze przerażeniem i niejasnym poczuciem winy. Stały przy chłopskich chatach jak chłopskie memento mori. W krzyż chłopi wbijali kołki, jeden na każdy rok zwolnienia z pańszczyzny. Co roku wyciągali jeden, aż któregoś dnia krzyż stawał się nagi – wtedy za te kilka lat wolności trzeba było słono zapłacić niewolą swoją i rodziny.

Okno słynęło z tkania kilimów i ojciec marzył, żeby tego fachu nauczył się Jan.

Jan urodził się już w niewoli jako najmłodszy z dziewięciorga rodzeństwa. Gdy był dzieckiem, rodzice musieli odpracowywać cztery dni pańszczyzny w tygodniu, gdy się żenił, było ich już siedem. Znaczyło to, że na pańskim musiała też pracować cała rodzina. Często, żeby obrobić własną ziemię, musieli poświęcić na to niedziele i nawet nie mogli iść do kościoła. Dwie starsze siostry Jana zatrudniane były we dworze – jedna jako kucharka, druga paliła w piecach. Ta, gdy zaszła w ciążę, została przez pana wydana za mąż do sąsiedniej wsi. Wtedy Jan po raz pierwszy próbował uciec. Usłyszał kiedyś od luźnych ludzi, którzy przechodzili czasem przez wieś i zatrzymywali się przed karczmą, że gdyby mu się udało dostać nad północne morze, mógłby się zaciągnąć na statek i pojechać do innych krajów, gdzie żyje się lepiej i bogaciej. Młody i niedoświadczony ruszył piechotą z węzełkiem na kiju, zadowolony i pewny swego. Sypiał w lesie i wkrótce się przekonał, że lasy pełne były takich zbiegów jak on. Został jednak złapany przez pańskich parobków kilka mil od domu. Pobito go do krwi i zawleczono do aresztu, którym był loch pod oborą. Tam spędził cztery miesiące. Potem jeszcze trzymano go w dybach i publicznie wychłostano. Powinien się cieszyć, że kara była tak łagodna. Po tym wszystkim pan kazał mu wziąć za żonę dziewczynę z dworu, w widocznej już ciąży. Tak robiło się z niespokojnymi mężczyznami – rodzina i dzieci ich uspokajały. Ale Jana to nie uspokoiło, dziewczyny nigdy nie pokochał, dziecko zmarło, a ona uciekła gdzieś ze wsi. Podobno była dziewką na

sprzedaż w karczmach Zbaraża, a potem Lwowa. Jan przez jakiś czas pokornie pracował i uczył się tkania na cudzym warsztacie, lecz kiedy jednej zimy umarli oboje rodzice, jedno po drugim, ubrał się ciepło i wziąwszy wszystkie ich oszczędności, zaprzągł konia do sań i postanowił dostać się do rodziny ojca pod Jasłem. Wiedział, że pan działa okrutnie, ale opieszale, w mrozy nikomu nie będzie się spieszyło, żeby go gonić. Udało mu się dotrzeć aż pod Przemyśl, tam zatrzymały go straże i aresztowały, bo ani nie miał dokumentów, ani nie umiał wytłumaczyć się z tego, kim jest i co tam robi. Po dwóch miesiącach zgłosili się po niego ludzie jego pana. Związanego jak wieprzka rzucili go na sanie i powieźli z powrotem. Jechali z nim kilka dni, bo drogi zasypało, a dla nich był to pretekst, żeby się do swojej wsi nie spieszyć. Raz zostawili go związanego i poszli do karczmy pić. Zawsze gdy go zostawiali na saniach na postojach, ludzie patrzyli na niego w milczeniu, z grozą w oczach, a najbardziej przerażała ich myśl, że ich samych coś takiego mogłoby spotkać. Bo chłop, który powtórnie ucieka i któremu udaje się zajść tak daleko, już jest martwy. Gdy prosił o coś do picia, ludzie bali się mu pomóc. W końcu jacyś pijani handlarze bardziej dla żartu niż z chęci ratowania bliźniego uwolnili go w nocy pod karczmą, gdy pańskie osiłki popiły się do nieprzytomności. Lecz i tak nie miał siły uciekać. Siepacze pańscy złapali go i jeszcze jednego uciekiniera i po pijanemu pobili tak mocno, że stracili przytomność. W strachu przed pańskim gniewem chcieli ich cucić, ale uznawszy, że nie żyją, zostawili go w dębowym zagajniku i przykryli śniegiem, żeby się ich grzech nie wydał. Ten drugi zaraz zmarł. Tam Jan leżał twarzą w dół i tam jakimś cudem znaleźli go przejeżdżający kilkoma wozami Żydzi.

Obudził się po kilku dniach w rohatyńskiej oborze Szorów, wśród zwierząt – w zapachu ich ciał i ich odchodów, w ich cieple. Wokół inny język, inne twarze i Jan pomyślał, że oto umarł i znalazł się w czyśćcu, i ten czyściec jest czemuś żydowski. I tu teraz przyjdzie mu spędzić wieczność, rozpamiętując swoje małe chłopskie niewinne grzechy i gorzko za nie żałując.

Jak kuzynostwo ustanawia wspólny front i wyrusza na wojnę

– Aniś ty mój wuj, ani ja twoja ciotka. Ja z domu Potocka. Jak już, to z mężem możesz mieć koligacje, ale waszej linii to ja nie rozpoznaję – mówi mu Kossakowska i każe siadać.

Sama obłożona papierami, odkłada je na kupkę, a tam już zajmuje się nimi dalej Agnieszka, która, teraz od Katarzyny nieodłączna, suszy papiery piaskiem.

Cóż ona za interesy prowadzi? – myśli Moliwda.

– A pilnuję dóbr rozległych, rachunków wszelkich, plotek towarzyskich, listów pisania, mój mąż do tego nieskory – odzywa się, jakby czytała w jego myślach, i Moliwda unosi brwi zdziwiony. – Interesy rodziny śledzę, swatam, informuję, umawiam, załatwiam, przypominam...

Kasztelan, jej mąż, spaceruje po pokoju z kieliszkiem likieru, śmiesznie chodzi, jak czapla, przeciąga nogi po tureckim dywanie. Szybko przetrze podeszwy, myśli Moliwda. Ma na sobie bladożółty żupan, specjalnie szyty na jego marną figurę, tak że wygląda w nim nawet elegancko.

– To cała instytucja, ta moja jejmość żoneczka. Sekretariat królewski by jej pozazdrościł – mówi radośnie. – Nawet się na koligacjach moich zna, o krewnych moich zabiega.

Kossakowska rzuca mu takie spojrzenie, jakby go chciała zabić. Ale Moliwda wie, że wbrew pozorom to dobre małżeństwo. To znaczy – każdy robi swoje.

Kasztelan zapala fajkę i zwraca się do dalekiego kuzyna:

– A czemuż się waćpan tak nimi przejmujesz?

– Odruch serca – odpowiada Moliwda po dłuższej chwili milczenia i uderza się lekko w pierś, jakby chciał zapewnić kasztelana, że ma tam serce, że nie udaje. – Są mi bliscy. Bo oni są poczciwi i ich zamiary są poczciwe...

– Żyd poczciwy... – mówi Kossakowska i patrzy na niego ironicznie. – Płacą ci?

– Nie dla pieniędzy to robię.

– Nic by nie było w tym złego, gdybyś dla pieniędzy...

– Nie, nie dla pieniędzy – powtarza, lecz po chwili dodaje: – Ale płacą.

Katarzyna Kossakowska odchyla się w fotelu i wyciąga długie nogi przed siebie.

– Ano rozumiem: dla sławy, dla imienia swojego, jak świętej pamięci ksiądz biskup. Karierę robisz.

– Nie mam głowy do kariery, to chyba już wiecie. Gdybym chciał kariery, tobym pilnował kancelarii królewskiej, gdzie mnie wuj umieścił za młodu. Byłby dziś ze mnie minister jaki.

– Daj mi waszmość fajkę, proszę – mówi Kossakowska do męża i wyciąga oczekującą dłoń. – Gorącą masz głowę, kuzynie. To do kogo mam napisać? I na co się powołać? A może byś mi przedstawił tego ich Franka?

– On teraz na Turecczyźnie, bo tu go chcieli zabić.

– Kto by chciał go zabić? Przecież my jesteśmy krajem z tolerancji słynącym.

– Swoi. Swoi ich prześladują. Swoi, to znaczy też Żydzi.

– Przecież oni się zwykle razem trzymają. – Kossakowska nie rozumie; bierze się teraz do nabijania fajki. Tytoń trzyma w wyszywanym skórzanym woreczku.

– Ale nie w tym przypadku. Ci sabsaćwinnicy uważają, że trzeba wyjść z religii żydowskiej. Wielka część Żydów przeszła na islam w Turcji, właśnie dlatego. A Żydzi w kraju katolickim chcieliby przejść na miejscową wiarę. To zaś dla każdego prawowiernego Żyda jest czymś gorszym niż śmierć: opuścić swoją wiarę.

– A dlaczego oni chcą do Kościoła? – pyta kasztelan, zaintrygowany tym dziwactwem. Do tej pory było jasne: Żyd to Żyd, do bożnicy; katolik to katolik, do kościoła; Rusin to Rusin, do cerkwi. Niezbyt się ta wizja ruchawki kasztelanowi podoba.

– Ich pierwszy Mesjasz mówi, że trzeba zbierać to, co dobre z każdego wyznania.

– I ma rację – podchwytuje Kossakowska.

– Jak to: pierwszy Mesjasz? A drugi? Jest i drugi? – pyta zaintrygowany kasztelan Kossakowski.

Moliwda tłumaczy, ale niechętnie, jakby wiedział, że i tak kasztelan zaraz zapomni, co usłyszał.

– Niektórzy mówili, że ma być trzech Mesjaszy. Jeden już był, to był Szabtaj Cwi. Po nim był Baruchja...

– O tym nie słyszałem...

– A trzeci przyjdzie niedługo i wybawi ich od wszelkiego cierpienia.

– A czemuż to im tak źle? – pyta kasztelan.

– Dobrze im nie jest. To waść widzisz sam. I ja widzę, jak ludzie mogą żyć w biedzie i upodleniu, i dopóki się jeszcze nie zamienią od tego w zwierzęta, to szukają jakiegoś ratunku dla siebie. Religia Żydów jest bliska naszej, tak jak muzułmanów, te same kamyczki w układance, trzeba je tylko umiejętnie poskładać. Oni są w religii żarliwi. Szukają Boga uczuciem, walczą o niego, nie tak jak my, zdrowaśki i leżenie krzyżem.

Kossakowska wzdycha:

– Chłopi nasi to się dopiero powinni Mesjasza spodziewać... Jakże to nam jest potrzeba nowych przejawów ducha chrześcijańskiego! Kto się jeszcze żarliwie modli?

Moliwda uderza w poetycki ton. To umie.

– To się raczej z buntem kojarzy, z rebelią. Motyl, który rankiem wzbija się pod niebo, nie jest zreformowaną, zbuntowaną lub odnowioną poczwarką. To jest nadal to samo stworzonko, lecz podniesione do drugiej potęgi życia. To przetransformowana poczwarka. Duch chrześcijański jest giętki, ruchliwy, wszędobylski... I nam dobrze zrobi, jak ich przyjmiemy.

– Ho, ho... jaki z ciebie kaznodzieja, mój kuzynie – w głosie Kossakowskiej słychać ironię.

Moliwda teraz bawi się guzami swojego żupana, jest nowiutki, świeżo uszyty z brązowej wełenki, z czerwoną jedwabną podszewką. Kupił go

za pieniądze, które wypłacił mu Nachman. Ale nie starczyło na wszystko – guzy są z taniego agatu, zimne w dotyku.

– Jest taka stara przepowiednia, co to teraz wszyscy o niej mówią, że jeszcze od praprzodków pochodzi, z dawnych bardzo lat...

– Na przepowiednie zawsze nadstawiam uszu. – Kossakowska zaciąga się dymem z widoczną przyjemnością i kieruje twarz ku Moliwdzie. Kiedy się uśmiecha, staje się ładna. – Będzie tak albo nie będzie tak. Znasz to? Jak na świętego Prota jest deszcz albo słota, to na świętego Hieronima jest deszcz albo go ni ma – mówi i wybucha śmiechem. I jej mąż chichocze, zapewne mają podobne poczucie humoru, przynajmniej to ich łączy.

Moliwda uśmiecha się i ciągnie:

– Że urodzi się w Polsce taki jeden z żydowskiego stanu, który porzuci swą religię i przyjmie chrześcijańską, i pociągnie za sobą wielu innych Żydów. To ma być podobno znakiem zbliżającego się Dnia Sądnego w Polsce.

Kossakowska poważnieje.

– I ty w to wierzysz, mości Antoni Kossakowski? Dzień Sądny? Dzień Sądny to my już mamy, nikt się z nikim nie zgadza, wszyscy ze sobą walczą, król w Dreźnie, sprawami swojego kraju mało się zajmuje...

– Gdyby jaśnie wielmożna pani napisała do tego i owego – Moliwda wskazuje na stosik listów, starannie składanych długimi palcami Agnieszki i potem pieczętowanych – i poparła tych biedaków, co tak się do nas garną, bylibyśmy pierwsi w Europie. Nigdzie się na taką skalę konwersje nie dzieją. Na dworach królewskich by o nas mówiono.

– Ja wpływu na króla nie mam, tak daleko nie sięgam. To by dopiero było! – wykrzykuje Kossakowska oburzona. Po chwili pyta spokojnie: – Mówią, że oni garną się tak do Kościoła, bo szukają w ten sposób profitów, chcą jako neofici wejść między nas i żyć. I jako neofici mogą się od razu uszlachcić, trzeba tylko groszem sypnąć.

– Dziwi cię to, wielmożna pani? Cóż jest w tym złego, że człowiek pragnie żyć lepiej? Gdyby jaśnie wielmożna pani zobaczyła, ile tam biedy, te ich miasteczka pełne błota, nędzy, otumanienia...

– A to ciekawe, ja nie znam takich. Ja znam tych sprytnych, co to ręce zacierają i tylko patrzą, jak by tu grosz wyłudzić, wody do wódki dolać, popsutego ziarna sprzedać...

– Jak masz znać, kiedy siedzisz po dworach i majątkach, listy piszesz i wieczorami zabawiasz się w miłym towarzystwie... – mówi jej mąż.

Chciał powiedzieć „próżniaków”, ale się zatrzymał.

– ...próżniaków – zakończyła za niego.

– Ty, pani, masz szerokie koligacje, z Branickimi się znasz dobrze i na samym dworze masz wielu zaufanych. To nie przystoi żadnej nacji, by dopuszczać do takiego bezprawia, żeby jedni Żydzi drugich bili, i król, nic nie robiąc, dawał na to przyzwolenie. A oni się do nas garną jak dzieci. Setki, a może tysiące z nich nad Dniestrem siedzą i tylko patrzą na polski brzeg z utęsknieniem, bo skutkiem tumultów i bezprawia zostali z domów wygnani, ograbieni, pobici. Teraz siedzą tam wypędzeni przez swoich z własnego kraju, bo przecież należą do tego kraju, koczują w ziemiankach wykopanych na brzegu rzeki i tęsknie patrzą na północ, żeby wrócić do domów, które już są zajęte przez tych drugich. Ziemię, jaką powinni dostać od nas, którzy mamy jej zbyt wiele...

Moliwda łapie się na tym, że chyba przesadził, i przerywa tyradę.

– O to ci chodzi? – pyta Kossakowska wolno i z nutą podejrzliwości.

Moliwda ratuje sytuację:

– Kościół się nimi powinien zająć. Z biskupem Sołtykiem jesteś w dobrej komitywie, mówią, żeś jego przyjaciółka od serca...

– A tam zaraz przyjaciółka! Dla niego mieszek to przyjaciel prawy, a ludzka przyjaźń tylko dla zabawy – mówi złośliwie Kossakowska.

Kasztelan Kossakowski, znudzony, odstawia pusty kieliszek i zaciera ręce, żeby dodać sobie energii.

– Przeprosić muszę, bo do psiarni idę. Femka ma się szczenić. Puściła się z tym kudłaczem księżowskim i teraz szczeniaki trzeba będzie potopić...

– Ja ci dam potopić. Nawet się nie waż, panie mężu. Teraz to będzie uroda po Acanie i bystrość psa gończego.

– To się pani zobliguj tymi bękartami zajmować. Ja dbać o nie nie będę – mówi Kossakowski, trochę obrażony, że go tak bezceremonialnie żona przy obcym traktuje.

– Ja się obliguję – odzywa się nagle Agnieszka i jej policzki czerwienieją. – Niechże się jaśnie wielmożny pan powstrzyma z wyrokiem.

– No, chyba że panna Agnieszka prosi... – zaczyna szarmancko Kossakowski.

– Idźże, idźże... – mruczy pod nosem Kossakowska i mąż znika w drzwiach, nie dokończywszy zdania.

– Ja już się do nowego biskupa Łubieńskiego zwracałem – kontynuuje Moliwda. – Ich jest więcej, niż się wam wszystkim wydaje. W takich Kopyczyńcach, Nadwornej. W Rohatynie, Busku czy Glinnej to już większość. Jakbyśmy byli mądrzy, tobyśmy ich przyjęli.

– Do Sołtyka trzeba uderzyć. On działać umie, choć interesowny. Żydów nie lubi, ciągle się z nimi chandryczy. Ile oni dać mogą?

Moliwda milczy, zastanawia się.

– Sporo.

– Czy sporo to jest tyle, żeby zastawione insygnia biskupie wykupić?

– Jak to? – przeraził się Moliwda.

– Znowu je zastawił. Biskup ma ciągle długi karciane.

– Może tak, nie wiem. Muszę zapytać. Może byśmy spotkali się wszyscy razem, oni, biskup, ty, pani, i ja.

– Sołtyk się teraz do biskupstwa krakowskiego przymierza, bo biskup krakowski umierający.

Katarzyna wstaje i wyciąga przed siebie ręce, jakby się przeciągając. Słychać trzeszczenie stawów w dłoniach. Agnieszka patrzy na nią z niepokojem znad tamborka.

– Wybacz, mój drogi, to są werble starości w moich kościach – uśmiecha się od ucha do ucha. – Powiedz mi, w co oni wierzą? Czy prawda to, że tylko po wierzchu do katolicyzmu się skłaniają, w głębi serca pozostając Żydami? Tak twierdzi Pikulski...

Moliwda poprawia się na krześle:

– Religia tych tradycyjnych Żydów to wypełnianie nakazów Tory, życie według starych rytuałów. Nie wierzą w żadne tam uniesienia, prorocy pojawiali się dawno, a teraz jest czas czekania na Mesjasza. Ich Bóg nie objawia się już, umilkł. A ci drudzy, sabsaćwinnicy, przeciwnie, mówią, że żyjemy w mesjańskich czasach i wszędzie wokół nas widać znaki zapowiadające przyjście Mesjasza. Pierwszy Mesjasz już przyszedł, to był ten Szabtaj. Za nim był drugi, Baruchja, i teraz przyjdzie trzeci...

– A Pikulski mówił, że niektórzy twierdzą, że to będzie kobieta...

– Ja jaśnie wielmożnej pani powiem, że mnie to na drugim miejscu obchodzi, w co oni wierzą. Mnie obchodzi, że oni są często traktowani jak parszywi. Jeśli Żydzi są bogaci, to i wysokich zaszczytów dojść mogą, jak ten, który radzi Brühlowi, ale ci biedni żyją w nędzy i poniżeniu przez wszystkich. Kozacy ich mają za gorszych od psów. Nigdzie tak nie ma na świecie. Byłem w Turcji i tam się im lepsze prawa daje niż u nas.

– No to i na islam przeszli... – dodaje Kossakowska sarkastycznie.

– W Polsce jest inaczej. Niech kuzynka popatrzy, Polska to kraj, gdzie wolność religijna i nienawiść religijna w równym się stopniu spotykają. Z jednej strony Żydzi mogą tu praktykować swoją religię, jak chcą, mają swoje swobody i sądownictwo własne. Z drugiej zaś nienawiść do nich jest tak wielka, że samo słowo „Żyd” jest w poniewierce i dobrzy chrześcijanie używają go jako przekleństwa.

– Prawdę mówisz. I jedno, i drugie jest rezultatem panującego w kraju lenistwa, nieświadomości, nie zaś jakiejś przyrodzonej złości.

– Każdy się tym woli tłumaczyć. Łatwiej być głupim i leniwym niż złym. Ktoś, kto nosa nie wychyla poza swój zaścianek, kto święcie wierzy w to, co powie ksiądz niedouczony, kto ledwie potrafi złożyć litery i czyta tylko kalendarze, łatwo odda swój rozum wszelkim bzdurom i uprzedzeniom, jako to widziałem u świętej pamięci biskupa Dembowskiego, że się *Nowymi Atenami* zachwycać nie przestawał.

Kossakowska patrzy na niego zdumiona.

– A co ty się księdza Chmielowskiego czepiasz i jego *Aten*? Wszyscy to czytają. To jest nasze silva rerum. Książek się nie czepiaj. Same

książki są niewinne.

Moliwda milknie zmieszany. Kossakowska kontynuuje więc:

– Powiem ci tyle, że według mojego rozumu Żydzi są chyba jedynymi dającymi się tu zużytkować ludźmi, bo panowie nie znają się na niczym i nie chcą się na niczym znać, zajęci przyjemnościami. Ale ci twoi żydowscy heretycy chcą jeszcze ziemi!

– W Turcji też się tak osiedlają. Całe Giurgiu, Widin i Ruse, pół Bukaresztu, Saloniki greckie. Tam kupcują i cieszą się spokojem...

– ...gdy na islam przejdą... Czy to prawda?

– Pani, oni są gotowi się ochrzcić.

Kossakowska podpiera się na łokciach i przysuwa bliżej twarz do twarzy Moliwdy, jak mężczyzna, patrzy mu badawczo w oczy.

– Kim ty jesteś, Moliwda?

Moliwda odpowiada bez mrugnięcia okiem:

– Jestem ich tłumaczem.

– Prawda to, żeś u starowierców był?

– Prawda. Tego się nie wstydzę ani nie zapieram. Ale oni starowiercy nie byli. A zresztą co z tego?

– A to, że wy po tych samych pieniądzach jesteście, heretycy.

– Wiele jest dróg do Boga, nie nam o tym sądzić.

– Ależ oczywiście, że nam. Są drogi i bezdroża.

– To pomóż im, wielmożna pani, wejść na prawdziwą drogę.

Kossakowska cofa się i uśmiecha szeroko. Wstaje, podchodzi do niego blisko i bierze go pod rękę.

– A grzech adamitów? – ścisza głos i patrzy na Agnieszkę, a dziewczyna, czujna jak mysz, już wyciągnęła szyję i uszu nadstawia. – Mówią, że te ich praktyki wcale chrześcijańskie nie są. – Katarzyna poprawia delikatnie chusteczkę, która przykrywa jej dekolt. – A w ogóle cóż to jest ten grzech adamitów? Wytłumacz mi to, kuzynie oświecony.

– Wszystko, co się nie mieści w głowach tym, którzy tak mówią.

Moliwda rusza w drogę
i ogląda królestwo luźnych ludzi

Po powrocie do kraju wszystko się Moliwdzie wydaje obce i niezwykłe. Nie był tu wiele lat, a pamięć ma krótką albo chromą – nie tak to wszystko zapamiętał. Przede wszystkim zdumiewają go szarość krajobrazu i daleki horyzont. I jeszcze światło – delikatniejsze niż na południu, bardziej miękkie. Smutne polskie światło. Przyprawiające o melancholię.

Najpierw jedzie ze Lwowa do Lublina powozem, ale w Lublinie wynajmuje konia – tak mu jest lepiej niż w dusznym, trzęsącym pudle.

Ledwie wyjechał za rogatki Lublina, a już wchodzi jakby do innego kraju, innego kosmosu, w którym ludzie przestają być planetami poruszającymi się po stałych torach, wokół rynku, domu, pola czy warsztatu, a stają się błędnymi ogniami.

To są ci luźni ludzie, o których opowiadał Moliwdzie Nachman, a z których wielu do prawowiernych przystępuje. Lecz Moliwda widzi, że ci luźni ludzie to nie tylko Żydzi, jak przedtem myślał, a nawet że Żydzi są tu w mniejszości. To jest jakaś nacja sama w sobie, odmienna od tej miejskiej, wiejskiej, osiadłej. To ci, co nie przynależą do żadnego pana ani do żadnej gminy, wałęsi różni, wagabundy, swawolni bandosi, bieguni różnego rodzaju. Z pewnością cechuje ich wszystkich niechęć do spokojnego życia osiadłego, jakby ich mrowiło w nogach, bo źle im, gdy czują się zamknięci w murach. Tak można pomyśleć w pierwszej chwili – sami sobie winni, lubią to. Lecz Moliwda z wysokości grzbietu konia patrzy na nich ze współczuciem i myśli, że większość tych ludzi to jednak tacy, co marzyliby o własnym łóżku, jednej misce i stałym, osiadłym życiu, ale tak się ich losy ułożyły, że musieli ruszyć w drogę. Sam taki jest.

Zaraz za granicami miasta siedzą na poboczu, jakby musieli odpocząć po trudnych odwiedzinach w ludzkiej osadzie, otrząsnąć się z jej smrodliwego powietrza, z jej śmieci, które przywierają do nóg, z brudu i hałasu ludzkiej ciżby. Wędrowni handlarze liczą zarobione pieniądze. Przenośne kramy, pustawe już, pozbawione towaru, ułożyli obok, ale patrzą spod kapelusza, czy nie przechodzi drogą jakiś amator resztek.

Często są to Szkoci z dalekiego kraju, którzy mają zawieszony na ramionach cały swój interes: wstążki z jedwabiu pięknie wyplatane, grzebienie z szylkretu, święte obrazki, pomadę na porost włosów, korale ze szkła, lusterka oprawione w drewniane ramki. Mówią dziwnym językiem, czasem naprawdę trudno ich zrozumieć, ale mowa monet jest zrozumiała powszechnie.

Obok odpoczywa obraźnik – dziad z długą brodą, w plecionym kapeluszu z szerokim rondem. Na rzemieniach ma zawieszony drewniany stelaż, a do niego przymocowane święte obrazy. Zdjął z pleców ciężki bagaż i posila się tym, czym zapłacili chłopi – tłustym białym serem, zagryzanym wilgotnym żytnim chlebem, który w ustach zamienia się w kluskę. Ale uczta! W skórzanej torbie ma pewnie jeszcze buteleczki ze święconą wodą, woreczki z piaskiem pustyni, na której przez czterdzieści dni modlił się Jezus, i inne cuda, na których widok klientom rozszerzają się z przejęcia oczy. Moliwda pamięta takich z dzieciństwa.

Obraźnik na co dzień udaje świętobliwego męża, który tylko przypadkiem zajął się handlem obrazami. Wtedy – jako ten święty mąż – podnosi nieco głos, żeby przypominał księżowski, mówi śpiewnie, jakby recytował Pismo Święte, i wtrąca od czasu do czasu łacińskie słowa, z sensem czy bez sensu, na chłopach robi to i tak wielkie wrażenie. Obraźnik nosi zawieszony na piersiach wielki drewniany krzyż, który nieźle mu ciąży; teraz oparł go o drzewo i wietrzy na nim onuce. Obrazy sprzedaje tak, że najpierw upatrzy sobie jeden z lepszych domów we wsi, a potem idzie tam, niby w jakiejś ekstazie, i upiera się, że obraz wybrał sobie ten dom, a nawet ścianę, tę w komorze, odświętną. Trudno chłopu odmówić świętemu obrazowi, wysupłuje ze skrytek ciężko uciułane pieniądze i płaci.

Dalej stoi karczma, mała i krzywa, byle jak pobielona, ale z gankiem przed wejściem i wspartymi na słupkach drewnianymi deskami, które służą za ławki. Na ławkach przysiadają dziady, zbyt biedne, żeby wejść do środka i poprosić o coś do jedzenia – liczą na to, że jałmużnę da im ktoś, kto już sam zaspokoił głód i teraz ma lepszy humor oraz serce wrażliwsze.

Moliwda zsiada z konia, choć nie ujechał zbyt daleko od Lublina. Od razu rusza do niego dwóch dziadów z lamentem na ustach. Moliwda częstuje ich tytoniem i sam pali, dziękują w zachwyceniu. Dowiaduje się od nich, że obaj pochodzą z tej samej wsi: rodzinom trudno ich utrzymać, dlatego co roku z wiosną ruszają na żebry, wracają zaś na zimę. Dołączyła do nich na wpół ślepa babina, która wędruje sama do Częstochowy, jak mówi, ale jeżeli lepiej się jej przyjrzeć, to zobaczy się pod jej fartuchem różne woreczki z ziołami, jakieś nasiona nawleczone na nici i inne medykamenty. Jest to zapewne taka babka, co to zna się na rzeczy – i krew umie zatamować, i pomoże przy porodzie, ale jak jej zapłacą, to będzie umiała spędzić płód. Wcale się nie chwali tym, co umie, i dziwić się jej nie trzeba. W Wielkopolsce niedawno spalili taką jedną na stosie, a w zeszłym roku kilka pojmano w Lublinie.

W karczmie siedzi dwóch jakoby byłych jeńców tureckich, zaopatrzonych w kościelne zaświadczenia, że zwolnieni zostali właśnie z niewoli – a pismo nakazuje temu, kto je pozna, pomóc okazicielowi z chrześcijańskiego współczucia dla jego złego losu. Lecz byli jeńcy nie wyglądają wcale na nieszczęśliwych czy zbolałych. Obaj są tłuści i rozweseleni, zwłaszcza że pierwsza wódka już podziałała, a oni mają właśnie zamiar zamówić następną. Dobrze im musiało być u Turka. Karczmarka, Żydówka, wdowa, zaradna i pyskata, daje im misę kaszy okraszonej cebulką smażoną na maśle i sama nie może się powstrzymać od pytań – jak to tam było? I dziwi się wszystkiemu, łapiąc się za policzki. Moliwda zjada tam taką samą misę kaszy, popija maślanką i kupuje na drogę kwaterkę wódki. Gdy rusza dalej, widzi zaraz zamieszanie – to do Lublina idą niedźwiednicy. Ci robią zawsze dużo hałasu, żeby się do nich zeszło jak najwięcej ludzi i oglądało poniżenie brudnego i zapewne chorego zwierzęcia. Widowisko to – nie wiedzieć dlaczego – daje im jakąś dziwną satysfakcję. Teraz też dźgają zwierzę kijami. Biedne, myśli Moliwda, ale rozumie radość włóczęgów: taki silny, a ma gorzej ode mnie. Głupia gadzina.

Zawsze też na traktach kręci się wiele luźnych kobiet, bo kiedy dziewczyna jest ładna i młoda, albo chociaż tylko młoda, to od razu jakoś lgną do takiej mężczyźni, a jak lgną, to zaraz robi się z tego najstarszy zawód świata. Niektóre z nich to zbiegłe szlachcianki, którym

się dziecko panieńskie przytrafiło, i to na dodatek z chłopem albo parobkiem, wtedy wstyd dla rodziny jest tak wielki, że lepiej dziecko porzucić lub liczyć na zmiłowanie dla niego wśród krewnych, niż przełknąć to nieszczęście. Wyruszają więc dziewczyny, mając jeszcze do wyboru klasztor, za cichym przyzwoleniem obrażonej, zgorszonej rodziny, z dworku modrzewiowego w czarną noc. I jeżeli je zatrzyma rzeka, most, bród, to wpadają w ręce wiecznie pijanych flisaków, i potem już każdy mężczyzna będzie żądał za każdą przysługę tego samego – za nocleg w karczmie, za podwiezienie. Tak łatwo jest upaść.

Chciałby i Moliwda skorzystać z ich usług, ale się boi ich chorób, brudu i braku porządnego schronienia. Poczeka z tym do Warszawy.

Jak Moliwda zostaje posłańcem w trudnej sprawie

W Warszawie przez pierwsze dni siedzi u brata swojego, księdza, który pomógł mu się trochę doposażyć i ubrać, mimo że biedna ta jego proboszczowska kiesa. Lecz brat po tylu latach wydaje się Moliwdzie obcy, dwuwymiarowy jak kartka papieru, jakiś nierzeczywisty. Piją razem ze dwa wieczory, próbując przełamać tę nieoczekiwaną obcość, jaka wyrosła pomiędzy nimi przez te dwadzieścia kilka lat. Brat opowiada mu o życiu w Warszawie, same rwane plotki. Szybko się upija i wtedy zaczynają się pretensje: że wyjechał, że go zostawił, że wuj ciężką miał rękę, że powołania na księdza nie czuł, że źle tak żyć samemu, a kościół za każdym razem, gdy do niego wchodzi, wydaje mu się za wielki. Moliwda klepie brata po ramieniu ze współczuciem, jak zupełnie obcego człowieka spotkanego w oberży.

Próbuje się dostać teraz do Branickiego, lecz ten na polowaniach, w rozjazdach. Doprasza się spotkania z biskupem Załuskim, zasadza się na księżną Jabłonowską, która bawi właśnie w stolicy. Próbuje też odnaleźć starych znajomych sprzed dwudziestu pięciu lat, ale nie jest to łatwe. Wieczory spędza więc z bratem; nie bardzo jest o czym rozmawiać z kimś, kogo nie widziało się tak długo, to człowiek zajęty księżowskimi sprawami, słaby i próżny. W końcu każdy w Warszawie wydaje się Moliwdzie zajęty sobą i próżny. Każdy tu udaje kogoś, kim

nie jest. I samo miasto udaje jakieś inne, większe, piękniejsze i rozleglejsze, a jest to zwykła mieścina o błotnistych uliczkach. Wszystkie towary są tak drogie, że można im się tylko przypatrzeć, i wszystko sprowadzane jest skądinąd. Kapelusze z Anglii, surduty na modłę francuską z Paryża, stroje na modłę polską – z Turcji. A samo miasto – okropne, zimne, przepastne, pełne pustych placów, po których hula wiatr. Buduje się tu pałace, ot tak, wprost na piasku, w błocie, potem widzi się, że służący przenoszą damy z powozu na drewniany chodnik, żeby nie utonęły w kałużach w swoich grubych, podbitych futrem salopach.

Moliwda się tu męczy. Na razie spędza czas w towarzystwie ludzi niezbyt wymagających, gdzie leje się dużo wina i gdzie może opowiadać niestworzone historie, zwłaszcza gdy wypije więcej. O ciszy morskiej albo – przeciwnie – o strasznej nawałnicy, która go wyrzuciła nagusieńkiego na grecką wyspę, gdzie go odnalazły kobiety... Potem już nie pamięta szczegółów i kiedy mu każą powtórzyć jakąś historię w innej kompanii, nie wie, co wcześniej mówił i w jakim kierunku pchnął swoje przygody. Oczywiście nie odchodzi za daleko, zawsze kręci się koło świętej góry Athos i malutkich wysepek na morzu greckim, po których, skacząc krokami olbrzyma, można by się dostać do Istambułu albo na Rodos.

Co do swojego nowego imienia: Moliwda – bo tak się każe teraz nazywać – opowiada różne historie, ale, zwłaszcza w Warszawie, robi to na ludziach ogromne wrażenie. Na przykład, że jest królem małej wyspy na morzu greckim, zwanej właśnie Moliwdą. Tej gdzie wylądował nagusieńki i gdzie na plaży znalazły go kobiety. Były siostrami i pochodziły ze szlachetnego tureckiego rodu. Wymyślił im nawet imiona: Zimelda i Edina. Upiły go i uwiodły. Został ożeniony z obiema, bo taki tam zwyczaj, i po rychłej śmierci ich ojca stał się jedynym władcą wyspy. Rządził tam piętnaście lat, dorobił się sześciu synów i im pozostawił to małe królestwo, ale kiedy już przyjdzie czas, zaprosi ich wszystkich tutaj, do Warszawy.

Towarzystwo klaszcze ubawione. Znowu leje się wino.

Kiedy obraca się wśród bardziej wykształconej kompanii, inaczej rozkłada akcenty swej opowieści i wychodzi na to, że przez przypadek

i za sprawą jego inności obrano go tam na wyspie władcą, z czego on skwapliwie korzystał przez lata i było mu z tym dobrze. Tu zaczyna opisywać obyczaje, wystarczająco odmienne, żeby mogły się stać interesujące dla słuchaczy. Mówi też na przykład, że imię nadali mu chińscy kupcy, których spotkał w Smyrnie, a którzy handlowali tam jedwabiem i laką. Nazwali go moli-hua, Kwiat Jaśminu. Gdy to mówi, zawsze widzi krzywy uśmieszek na ustach słuchaczy, przynajmniej tych złośliwszych. Nic mniej nie przypomina jaśminu niż Moliwda.

Co innego jeszcze opowiada, gdy robi się późno, winnie i intymnie. W Warszawie ludzie bawią się do rana, a kobiety są chętne i wcale nie takie wstydliwe, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka, kiedy wszystkie zgrywają szlachcianki. Czasem bywa tym nawet zdziwiony: nie do pomyślenia to u Turków czy na Wołoszczyźnie – gdzie kobiety trzyma się osobno i z daleka od mężczyzn – by tak swobodnie flirtowały, podczas gdy ich mąż robi to w drugim kącie sali. Słyszy się często – im wyższe sfery, tym częściej – że ojcem dziecka w jakiejś rodzinie nie jest ten, który za ojca uchodzi, lecz przyjaciel domu, ważny gość, wpływowy kuzyn. I nikt się temu nie dziwi ani tego nie potępia; przeciwnie, zwłaszcza jeśli ów ojciec dziecka jest ustosunkowany i wysoko postawiony. Cała Warszawa plotkuje na przykład, że ojcem dziecka Czartoryskich jest sam Repnin, z czego pan Czartoryski najbardziej wydaje się zadowolony.

Wreszcie pod koniec listopada udaje się Moliwdzie dostąpić zaszczytu audiencji u biskupa Sołtyka, który teraz przy dworze zabiega o biskupstwo krakowskie.

Widzi człowieka doskonale próżnego. Ciemne, nieprzeniknione oczy świdrują Moliwdę, próbując rozstrzygnąć, jak dalece ten może być użyteczny. Lekko już obwisłe policzki przydają biskupowi powagi; czy ktoś kiedy widział szczupłego biskupa? Chyba tylko jak ma tasiemca.

Moliwda przedstawia mu sprawę sabsaćwinników, ale nie uderza już w tony caritas, nie nawołuje do pochylenia się nad ich losem, nie celuje pięknym słowem prosto w serce. Przez chwilę szuka właściwych pojęć i w końcu mówi:

– Miałby Ekscelencja wielki atut w rękawie. Kilka setek, a może i tysięcy Żydów, którzy na łono Kościoła przeszli, na jedyną prawdziwą wiarę. A wielu z nich jest zasobnych.

– A ja myślałem, że to uliczna biedota.

– Pójdą za nimi i bogaci. Zawalczą o szlachectwo, a to przecież warte jest góry złota. Według prawa Rzeczypospolitej neofita może starać się o szlachectwo bez żadnych przeszkód.

– To byłby koniec świata...

Moliwda patrzy na biskupa, ten jakby zrobił się niespokojny. Jego twarz jest nieprzenikniona, ale prawa dłoń wykonuje mimowiednie dziwny gest, trzy palce, kciuk, wskazujący i środkowy trą o siebie nerwowo.

– A ten ich Frank to kto? Ignoramus jakiś, prostak... podobno tak o sobie mówi.

– On tak mówi. Mówi o sobie amoryc, prostak. To jest po hebrajsku am-ha arec...

– A waść stary żydowski znasz?

– Znam nieco. I rozumiem, co mówi. I to nieprawda, że prostak. Był dobrze uczony przez swoich, zna Zohar, Biblię i Prawo Mojżeszowe; może wielu rzeczy nie potrafi dobrze po polsku wypowiedzieć czy po łacinie, ale to człowiek wykształcony. I sprytny. Co sobie postanowił, do tego doprowadzi. Z pomocą tego lub innego...

– Ty też taki jesteś, panie Kossakowski – mówi biskup Sołtyk z nagłą przenikliwością.

O prawdzie użytecznej i prawdzie nieużytecznej oraz poczcie moździerzykowej

Biskup Kajetan Sołtyk tego 1758 roku dużo siedzi w Warszawie. Czas to miły, Warszawa obfituje w rozrywki i przyjemności. Jest jesień i wszyscy wracają do miasta ze swych wiejskich posiadłości, można powiedzieć, że sezon już się zaczął. Biskup ma wiele spraw na głowie. Pierwsza i najważniejsza to oczekiwanie, radosne oczekiwanie na

nominację na biskupa krakowskiego. Karty zostały rozdane – powtarza sobie; a znaczy to mniej więcej tyle, że nominacja dojdzie do skutku po śmierci biednego i schorowanego Andrzeja Załuskiego, jego przyjaciela, a brata Józefa. I niejako wszystko między tą trójką jest uzgodnione. Andrzej wie, że wkrótce umrze, i pogodzony ze śmiercią, jak dobry chrześcijanin, który swe życie przeżył świętobliwie, już napisał do króla listy polecające kandydaturę Sołtyka. Teraz jednak od kilkunastu dni jest nieprzytomny i sprawy ziemskie już go nie obchodzą.

Obchodzą za to biskupa Sołtyka. Zamówił już nowe szaty u krawców żydowskich i nowe zimowe obuwie. Wieczory spędza z przyjaciółmi, bywa w operze i na proszonych kolacjach. Niestety, zdarza się wciąż – sam nad tym niewymownie ubolewa – że później każe się wieźć do domu, tam się przebiera i starym zwyczajem jedzie do pewnej karczmy na rogatkach miasta, gdzie grywa w karty. Ostatnio udaje mu się grać tylko na małe sumy, żeby nie powiększać wielkiego długu, co bardzo podnosi jego poczucie własnej wartości. Gdybyż to tylko taką słabość mieli ludzie!

Pojawia się też w Warszawie przyjaciółka Załuskiego, Katarzyna Kossakowska, baba kuta na cztery nogi – Sołtyk nie bardzo ją lubi, lecz ją szanuje, a nawet trochę się jej boi. Ta ma misję prawdziwą, którą natychmiast każdego zaraża – w stolicy szuka wszelkiego wsparcia dla heretyków żydowskich. I szybko zjednuje sobie ludzi mogących pomóc w sprawie nakłonienia samego króla do wydania listu żelaznego chroniącego tych nieboraków, którzy garną się do chrześcijańskiej wiary. I staje się to tematem modnym na salonach, na proszonych obiadach, w kuluarach opery; wszyscy mówią o „żydowskich purytanach”. Jedni z przejęciem, inni z wyniosłą, chłodną polską ironią. Biskup dostaje od Kossakowskiej w nieoczekiwanym prezencie srebrny, pozłacany łańcuch, z krzyżem ciężkim, też srebrnym, wysadzanym kamieniami. Rzecz to cenna i rzadka.

Włączyłby się biskup w jej sprawę jeszcze bardziej, gdyby nie to czekanie. A ma konkurentów. Gdy tylko biskup Józef Andrzej Załuski umrze w Krakowie, trzeba będzie działać szybko, pierwszym się stawić u króla i robić na nim dobre wrażenie. Szczęście, że król teraz

w Warszawie, z daleka od swojego Drezna i Saksonii, plądrowanej właśnie przez Fryderyka. W Warszawie bezpieczniej.

Jakaż by to była zasługa przed Bogiem, wszystkich ich, tych żydowskich heretyków, na łono Kościoła sprowadzić. Świat tego jeszcze nie widział, tylko w katolickiej Polsce taka rzecz zdarzyć się może. Będzie o nas głośno w całym świecie.

Biskup, czekając już od października, obmyślił niesamowity plan. Kazał mianowicie rozstawić na całej drodze od Krakowa do Warszawy wynajętych kanonierów z moździerzykami, co kilka mil każdy, i gdy tylko jego umyślny na dworze biskupim w Krakowie dowie się, że biskup Załuski nie żyje, ma dać znać pierwszemu, żeby wystrzelił w stronę Warszawy. A na ten sygnał wystrzeli drugi i potem trzeci, i tak łańcuszkiem będą strzelać aż do Warszawy, i w ten sposób, tą niezwykłą pocztą, on pierwszy się dowie, zanim jeszcze oficjalne listy przez posłańców zostaną przywiezione. Pomysł podrzucił mu Józef Andrzej Załuski, rozumiejący niecierpliwość przyjaciela, a wziął go z jakiejś księgi.

Załuski chciałby jechać do Krakowa do umierającego brata, ale grudzień dziwnie ciepły, rzeki wylały i wiele dróg nieprzejezdnych, więc też jest zdany na pocztę moździerzykową Sołtyka.

Mówi się teraz o liście papieskim w sprawie ciągłych – choć ostatnio rzadszych – oskarżeń Żydów o to, że używają krwi chrześcijańskiej. Stanowisko Rzymu jest jasne i nieodwołalne: oskarżenia takie wyssane są z palca i żadnych podstaw nie mają. Budzi to dziwną gorycz w Kajetanie Sołtyku i zwierza się z tego na kolacji przyjaciołom: Katarzynie Kossakowskiej i biskupowi Józefowi Załuskiemu.

– Sam słyszałem zeznania. Sam świadkowałem całemu procesowi.

– Ciekawam, co by Jego Ekscelencja na torturach wygadywał – krzywi się Kossakowska.

Ale i Załuski w sprawę tę jest wciągnięty, bo wydarzenia z Markowej Wolicy kilka lat temu dokładnie opisał mu Sołtyk.

– Chciałbym ten temat straszliwy podnieść w jakiej pracy uczonej – mówi powoli. – I badam przy tym wszystkie źródła, do których mam

dostęp w bibliotece. A jest wiele źródeł na ten temat z całego świata. Gdyby mi tylko tyle czasu sprawy biskupie nie zajmowały...

Najchętniej pogrążyłby się bez reszty w studiach i ze swojej biblioteki nie wychodził. Zaraz robi jednak żałosną minę. Jego twarz jest żywa i widać na niej każdą emocję. Mówi:

– Jaka to szkoda, że teraz wszystko trzeba pisać raczej po francusku niż w świętej naszej łacinie, co mnie także odwodzi od pisania, bo francuskim posługuję się nie tak doskonale. A tu wszystko parle, parle... – próbuje przedrzeźniać nielubiany język.

– ...sucho w gardle – kończy Kossakowska.

Służący natychmiast podchodzi, żeby napełnić im kieliszki.

– Mogę tylko streścić moje przekonania. – Biskup Załuski patrzy uważnie na Sołtyka, ale ten, zajęty ogryzaniem króliczych kostek, wydaje się nie słuchać. Zwraca się więc do Kossakowskiej, która już zjadła i teraz się niecierpliwi, bo chciałaby już zapalić fajkę:

– Oparłem się na wnikliwym badaniu źródeł, lecz przede wszystkim na refleksji nad nimi, jako że fakty pisane bez refleksji rozumnej, czytane często, wprowadzają nas w błąd.

Zawiesza głos na chwilę, jakby usiłował sobie przypomnieć te fakty. W końcu rzecze:

– Więc doszedłem do tego, że całe nieporozumienie wzięło się z prostej pomyłki w słowach, a raczej literach hebrajskich. Słowo hebrajskie „d-a-m” – biskup pisze teraz hebrajskie znaki palcem na stole – znaczy jednocześnie „pieniądze” i „krew”, co mogło prowadzić do przeinaczenia, jako że mówimy, iż Żydzi są żądni pieniędzy, to wychodzi na to, że są żądni krwi. I do tego fantazja ludu dodała, że krwi chrześcijańskiej. I stąd cała bajka się wzięła. I może być także drugi powód: w czasie ślubu podają bowiem nowożeńcom napój z wina i mirtu, zwany „h-a-d-a-s”, a krew nazywa się u nich „h-a-d-a-m”, stąd mogły się wziąć te oskarżenia. Hadam – hadas, prawie tak samo, waćpani łapie? Nasz nuncjusz ma rację.

Biskup Sołtyk rzuca nieobgryzione do końca kosteczki na stół i gwałtownie odsuwa talerz.

– Jego Ekscelencja ośmiesza mnie i moje świadectwo – mówi niespodziewanie spokojnie i bardzo oficjalnie.

Kossakowska nachyla się ku nim obu, ku tym korpulentnym mężczyznom za śnieżnobiałymi serwetkami pod szyją, z policzkami zaczerwienionymi od wina:

– Prawdy dla prawdy dociekać nie warto. Prawda sama w sobie jest zawsze skomplikowana. Trzeba wiedzieć, na co nam ta prawda może być potrzebna.

I nie przejmując się etykietą, zapala upragnioną fajkę.

Nad ranem moździerzykową pocztą nadchodzi wreszcie smutna, a zarazem wyczekiwana przez Sołtyka wiadomość, że biskup krakowski Andrzej Załuski zmarł. W południe Kajetan Sołtyk zjawia się u króla. Jest 16 grudnia 1758 roku.

Kossakowska, kasztelanowa kamieniecka, pisze do księdza biskupa lwowskiego Łubieńskiego, senatora

Katarzyna nie rusza się nigdzie bez Agnieszki i każdy to wie, że bez Agnieszki nic się zdarzyć nie może. Nawet ostatnio sam kasztelan umawia się z żoną przez Agnieszkę. Agnieszka jest poważna i milcząca. Chodząca tajemnica – mówi o niej kasztelan, dziewica orleańska. Ale w jej towarzystwie jego żona jakoś mięknie i tępi się ostrze jej złośliwości, które nader często godziło w męża. Teraz we trójkę jadają kolację i – trzeba przyznać – od kiedy Agnieszka zajęła się także rozporządzaniem kuchnią, posiłki stały się smaczniejsze. Nawet śpią we dwie w tym samym pokoju. Niechże im będzie, babom.

Teraz Agnieszka rozplata przed lustrem włosy swojej pani i przyjaciółki, żeby je uczesać przed snem i znowu zapleść w warkocze.

– Tracę włosy – mówi kasztelanowa Kossakowska. – Jestem już prawie łysa.

– Co waćpani opowiadasz, zawsze takie miałaś, rzadkie, ale mocne.

– Nie, jestem już prawie łysa. Nie bądź głupia, nie okłamuj mnie... Wielka mi rzecz, włosy! I tak noszę czepce.

Agnieszka cierpliwie czesze cienkie włosy włosianą szczotką. Kossakowska zamyka oczy.

Potem nagle wzdryga się, aż Agnieszka zamiera z ręką nad jej głową.

– Jeszcze jeden list, kochaniutka – mówi. – Zapomniałam.

– O nie, moja pani. Praca na dziś skończona – odpowiada Agnieszka, wracając do szczotkowania.

Wtedy Kossakowska łapie ją wpół i sadza sobie na kolana. Dziewczyna nie opiera się, uśmiechnięta. Kasztelanowa całuje ją w kark.

– Jeden mały liścik do tego nadętego biskupa smutasa.

– Dobrze, ale z łoża i z bulionem.

– Ty jesteś mała jędza, wiesz o tym? – mówi Katarzyna, głaszcze Agnieszkę między łopatkami, jak psa, i wypuszcza ją z objęć.

Potem, siedząc w łóżku, wsparta na wielkich poduchach, prawie niewidoczna spod falban czepka, dyktuje:

> Powróciwszy na Podole, śpieszę przypomnieć się Księdzu Biskupowi i pozdrowić Go gorąco, najserdeczniej winszując Mu, iż objął biskupstwo lwowskie po tym strasznym nieszczęściu, które się poprzednikowi Jego Ekscelencji, świętej pamięci Mikołajowi Dembowskiemu, przydarzyło.
>
> Jednocześnie pragnę z całego serca polecić Księdzu Biskupowi krewnego dalekiego mojego męża, niejakiego Antoniego Kossakowskiego, który po wielu latach z dalekich peregrynacji powrócił w ramiona Rzeczypospolitej i teraz przybył tu do mnie z petycją, o wstawiennictwo moje, jako krewniaczki, prosząc. Ma ów Kossakowski wielki talent we wszelakich językach orientalnych, a szczególnie w hebrajskim. Mniemam, że już się szacowna uwaga Księdza Biskupa zwróciła ku tym żydowskim nieborakom, którzy jak ślepcy szukają prawdziwej wiary i po omacku idą do jedynego światła religii chrześcijańskiej, o czym słyszałam tu, w Kamieńcu, wszyscy o tym rozprawiają. Udało się nam wyjednać u króla wsparcie dla tych purytan i całym sercem jestem za nimi, także i z tego powodu, że od dawna już patrzę na nich, dzieci Mojżesza, i widzę ich ciężkie tutaj życie, któremu sami są niejako winni, trzymając się kurczowo

swoich żydowskich przesądów. Będę wdzięczna niewymownie za jakie słówko, choć nie chcę Jego Ekscelencji zbytnio inkomodować i fatygować.

Rychło wybieram się do Lwowa, czekam tylko, aż pogoda się poprawi, i nadzieją się sycę wielką, że zastanę Jego Ekscelencję w dobrym zdrowiu. I niechże Jego Ekscelencja pamiętać raczy, że ma u nas zawsze wielką gościnę, a to w Kamieńcu, gdzie męża mojego częściej można zastać, i w Busku, gdzie ja bywam często.

Ksiądz Pikulski pisze do księdza biskupa lwowskiego Łubieńskiego, senatora

Donoszę Jego Ekscelencji, że jeszcze w czasie Jego nieobecności we Lwowie udało mi się nieco wywiedzieć o protegowanym kasztelanowej. Okazuje się mianowicie, że pan Moliwda (jego nazwisko pochodzi podobno od wyspy na greckim morzu, która jest jego własnością, ale sprawdzić tego niepodobna) pewną część swojego burzliwego życia spędził na Wołoszczyźnie, gdzie był przełożonym albo – jak mówią – starszym gminy prawdopodobnie bohomolców, zwanych u nas także często chłystami. Jest to jednak nie kto inny jak Antoni Kossakowski herbu Ślepowron, syn niejakiego Remigiana, chorążego husarskiego, i matki z domu Kamieńskiej, ze Żmudzi. Przez dwadzieścia cztery lata za zaginionego był uważany. I teraz to dopiero pojawia się w kraju z przydomkiem „Moliwda”.

Na temat tej herezji, która pleni się od wielu lat wśród wiernych prawosławnych, wiem tyle, że uważają oni, iż świat został stworzony nie przez Boga żywego, lecz przez jego złego brata – Satanaela. To dlatego na świecie panują wszelkie zło i śmierć. Ten zbuntowany Satanael ulepił świat z materii, ale nie umiał w niego tchnąć ducha, dlatego poprosił o to dobrego Boga. Ten zaś dał dusze wszystkiemu stworzeniu, dlatego wierzą oni, że materia jest zła, a duch dobry. I że Mesjasz wnet przyjdzie drugi raz, a niektórzy sądzą, że będzie pod postacią kobiety. Wierni tych sekt to chłopi wołoscy, ale zdarzają się też zbiegli do Turków Kozacy, a nawet rusińscy chłopi, bieguni i ludzie stanu niższego, najubożsi. Jeszczem się dowiedział, że wielką rolę gra tam ich rzekoma Matka Boska, którą oni elekcją wybierają; zawsze musi to być nieskazitelnie piękna i czysta panna. Nie jedzą oni mięsa, nie piją wina ni wódki (co mi dziwne, bo doniesienia miałem z Warszawy, że imć Moliwda trunkami nie gardzi; toć to

dowód być może, że z sektą ową zerwał) i sakrament małżeństwa za nic mają, uważając, że dzieci zrodzone w takim związku są przeklęte. Wierzą natomiast w miłość duchową między ludźmi i wtedy obcowanie cielesne jest uświęcone. Nawet w grupie.

Kościół nasz święty powszechny bez skrupułów potępia takie herezje straszne, ale zbyt wielki i mocny jest, żeby się kłopotał takimi aberracyjami. Najważniejsze zawsze było dlań zbawienie duszy wiernych. Dlatego z prawdziwym zmartwieniem donoszę Jego Ekscelencji o tych podejrzeniach. Czy człowiek oddany na wskroś heretyckim pomysłom, który staje do pomocy innym heretykom, może być godny zaufania? W naszej drogiej Rzplitej, która trwa w swej wielkości tylko dzięki naszej wspólnej wierze w Kościół powszechny i katolicki, ciągle czai się niebezpieczeństwo rozłamu. Siły innowierców wciąż napierają na nas ze wschodu i zachodu, dlatego wszyscy powinniśmy zachować daleko idącą czujność. Do czujności owej szczególnie poczuwam się jako zakonnik.

Jednocześnie przemilczałbym pewne ważne w naszej wspólnej kwestyi sprawy. Ów Kossakowski-Moliwda biegły jest w kilku językach, a najlepiej w tureckim i starym żydowskim, a także greckim, ruskim, rzecz jasna w łacinie i francuskim. Ma rozległą wiedzę o Oriencie, zna się na wielu naukach, jako i pisze poezje. Talenty te z pewnością pomogły mu się utrzymać w jego burzliwym życiu i mogą się i nam przydać, jeśli można by mieć pewność co do jego całkowitego oddania sprawie...

Antoni Moliwda-Kossakowski do Jego Ekscelencji biskupa Łubieńskiego

Wielce jestem uszczęśliwiony, mogąc przed Jego Ekscelencją z pierwszego mojego zadania zdać sprawę, mniemając, że moje obserwacje choć trochę rozjaśnią wielce skomplikowaną kwestię antytalmudystów, o tyle dla nas, chrześcijan, niepojętą, iż nie potrafimy przeniknąć swoim jasnym zrozumieniem zawikłanych i ciemnych tajemnic żydowskiej wiary ani przejrzeć w pełni mrocznego żydowskiego ducha. Jego Ekscelencja raczył mnie wysłać, żebym śledził sprawę Jakuba Lejbowicza Franka i jego wyznawców z bliska, lecz jako że tego sławetnego Jakuba Franka w kraju naszym nie ma i że, jako obywatel turecki, zostaje pod ochroną Wielkiej Porty i przebywa zapewne w swoim domu

w Giurgiu, pojechałem do Satanowa, gdzie odbył się proces żydowski przeciw antytalmudystom, którego to obserwatorem się stałem na jeden dzień.

Miasteczko to ładne, dość czyste i jasne, przez to że położone na skarpie wysokiej, z synagogą ogromną, która góruje nad miastem, a wokół niej rozciąga się żydowska dzielnica, raptem kilkadziesiąt domów, które aż do rynku sięgają i tam żydowscy kupcy pieczę sprawują nad handlem satanowskim. Tam Żydzi talmudyści w owej pokaźnych rozmiarów synagodze odbyli swój sąd nad odszczepieńcami. Zainteresowanych zjechało się wielu, nie tylko Izraelitów, ale także ciekawych chrześcijan, nawet widziałem kilku panów okolicznych, którzy jednak, znudzeni mową żydowską, dla nich niezrozumiałą, szybko odjechali.

Ze smutkiem muszę stwierdzić i Jego Ekscelencji unaocznić, że to, co zobaczyłem, wcale nie przypominało procesu, lecz atak wściekłych rabinów na przestraszonych i Bogu ducha winnych drobniejszych kupczyków, którzy, zastraszeni, mówili, co im ślina na język przyniosła, i w ten sposób pogrążali nie tylko samych siebie, lecz i swoich pobratymców. Nienawiść towarzysząca oskarżeniom była tak wielka, iż obawiałem się o życie podsądnych, i trzeba było ludzi z dworu pana tamtejszego, owych mocnych kozackich parobków, żeby rozwścieczony tłum powstrzymać przed samosądem straszliwym. Posądzono ich bowiem o praktyki cudzołóstwa, przez co żony opuściły swych mężów, albowiem same uznane zostałyby za dziewki. Wielu przy okazji zabrano dobytek i puszczono z torbami. Nie ma dla nich litości, gdy swoi na nich napadają, a nasz ustrój nie umie ich przed tym bronić. Jest już pierwsza ofiara, a padł nią niejaki Libera z Brzeżan, zakatowany na śmierć, jako że w imieniu Jakuba Franka chciał przemawiać. I nie wiedziano widocznie, że już są ci ludzie od Franka pod opieką samego króla.

Rozumiem wzburzenie Jego Ekscelencji na to excommunico, zwane po hebrajsku „cherem”, i sam to wzburzenie podzielam. Można oto nie wierzyć w tajemne działanie klątwy i jej diabelskie moce, lecz miałem widomy przykład, jak klątwa działa tu na ziemi – wyjmuje niektórych ludzi spod prawa, narażając ich życie, dobytek i zdrowie.

W Polsce, na ziemiach zamieszkanych przez naszą chrześcijańską ludność, cząstki prawdy, które do nas docierają, zdobywane są w pocie czoła. Lecz tu mieszkają z nami miliony należące do najstarszego spośród wszystkich cywilizowanych ludów, czyli ludu żydowskiego, który z głębi swych synagog nie przestaje od wieków wznosić do nieba płaczliwego krzyku, do którego nic w świecie nie jest podobne. Jest to krzyk osamotnienia i opuszczenia przez Boga.

Otóż jeśli jest coś, co mogłoby sprowadzić na ziemię prawdę niebios, to czyż nie te krzyki, w których ludzie skupiają i wyrażają całe swoje życie?

To paradoks, że opieki tym ludziom trzeba nie od ich własnych pobratymców, lecz od nas, ich młodszych braci w wierze. Wielu z nich garnie się do nas z tą samą ufnością, z jaką dziateczki przychodziły do Jezusa Chrystusa, naszego Pana.

Dlatego zwracam się z prośbą do Jego Ekscelencji o rozważenie kolejnego kościelnego i katolickiego przesłuchania tychże ludzi i jednoczesnego powołania do dysputy ich oskarżycieli, rabinów satanowskiego, lwowskiego, brodzkiego i łuckiego, a także wszystkich innych, którzy stawiali im bardzo poważne zarzuty i w konsekwencji rzucili na nich klątwę. Klątw żydowskich my się nie boimy, tak jak i innych żydowskich przesądów, chcemy natomiast stanąć w obronie prześladowanych i dać im słuszne prawo do wypowiedzenia się w swojej sprawie.

Moliwda kończy list wielkim, eleganckim zawijasem i posypuje piaskiem. Gdy ten schnie, zaczyna pisać drugi, po turecku, drobniutkim pismem. Zaczyna od „Jakubie”.

Noże i widelce

Chana, młoda żona Jakuba, lubi porządek w swoich bagażach, wie, gdzie są spakowane szale, gdzie buty, gdzie olejki i maści na pryszcze. Swoim równym, nieco kulfoniastym pismem lubi robić spisy pakowanych rzeczy, czuje wtedy, że panuje nad światem, jak królowa. Najgorszy jest bałagan i chaos. Chana czeka, aż wyschnie atrament na jej liście, głaszcze czubkiem palca koniuszek pióra; jej palce są szczupłe, smukłe, o ładnych paznokciach, choć Chana nie może się powstrzymać, żeby ich nie obgryzać.

Teraz spisuje rzeczy, które wezmą do Polski za dwa miesiące, kiedy Jakub już się tam urządzi i zrobi się cieplej. Pojadą dwa powozy i siedmiu konnych. W jednym powozie ona z Awaczą i Emanuelem, i nianią, młodą dziewczyną, Lisią. W drugim służące i bagaże ułożone

w piramidę i powiązane sznurami. Konno będą jej brat Chaim i jego koledzy, ku obronie tej kobiecej wyprawy.

Ciążą jej piersi nabrzmiałe od mleka. Gdy tylko pomyśli o nich albo o dziecku, krople mleka same wydostają się na zewnątrz, jakby nie mogły się już doczekać maleńkich dziecinnych usteczek, i na jej lekkiej koszuli robią się plamy. Brzuch jeszcze nie zszedł jej całkiem, bardzo w tej drugiej ciąży utyła, choć chłopczyk urodził się mały. Jak się szybko okazało, przyszedł na świat w tym samym dniu, kiedy Jakub z całą kompanią wchodził przez Dniestr do Polski, dlatego w liście Jakub nakazał, żeby mu dać na imię Emanuel.

Chana wstaje i bierze synka na ręce, siada i wspiera go na wciąż sporym brzuchu. Pierś wydaje się przytłaczać głowę dziecka. Twarz chłopczyka jest ładna, oliwkowa, powieki niebieskie, delikatne jak płatki kwiatu. Awacza patrzy na matkę z kąta, naburmuszona, udaje, że się bawi, ale w gruncie rzeczy cały czas obserwuje i ją, i brata. Też domaga się piersi, lecz Chana odgania córkę jak uprzykrzoną muchę: jesteś za duża!

Chana jest ufna. Ufnie odmawia co wieczór przed pójściem spać Kriat szma al ha-mita, żeby uchronić się od niedobrych przeczuć, koszmarów i złych duchów mogących teraz zagrozić, szczególnie odkąd osłabła po porodzie, jej i dzieciom. Zwraca się do czterech aniołów jak do miłych, przyjaznych sąsiadów, żeby mieli baczenie na dom, kiedy ona będzie spała. Myśli uciekają jej w pół słowa, przywoływani aniołowie nabierają ciała, choć stara się ich sobie nie wyobrażać. Ich postaci wydłużają się, drżą jak płomienie świec i tuż przed zapadnięciem w głębiny snu Chana ze zdumieniem widzi, że są podobni do noży, widelców i łyżek, tych, o których jej opowiadał Jakub, srebrnych i pozłacanych. Stają nad nią ni to na straży, ni to gotowi, żeby pokroić ją na kawałki i zjeść.

18

O tym, jak Iwanie, mała wieś nad Dniestrem, staje się republiką

Iwanie leży niedaleko od uskoku, którego dnem płynie Dniestr. Wieś rozłożyła się na naddniestrzańskim płaskowyżu tak, że przypomina danie postawione na stole niebezpiecznie blisko jego krawędzi. Nieostrożny ruch, a spadnie w dół.

Środkiem wsi płynie rzeczka poprzegradzana co kilkadziesiąt kroków prymitywnymi stawidłami, skutkiem czego tworzą się małe stawy i rozlewiska – hodowano tu kiedyś kaczki i gęsi. Zostały po nich białe piórka, bo wieś opustoszała po ostatniej zarazie. Dopiero od sierpnia, za sprawą pieniędzy Szorów i dzięki łaskawej zgodzie biskupa, bo wieś leży w jego dobrach, osiedlają się tu prawowierni. Od chwili wydania królewskiego listu żelaznego ciągną do Iwania ludzie na wozach i pieszo – z południa, z Turcji, i z północy, z podolskich wiosek. To w większości ci sami, którzy wygnani z Polski, koczowali na granicy, a kiedy w końcu udało im się wrócić do domu, okazało się, że go już nie mają. Ich praca dostała się komu innemu, domy zostały ograbione, wprowadzili się do nich inni ludzie i teraz trzeba byłoby dochodzić praw własności siłą albo przez sąd. Niektórzy wszystko stracili, zwłaszcza ci, którzy żyli z handlu, mieli kramy i sporo towarów. Teraz nic nie mają. Tak samo jak Szlomo z Nadwornej i jego żona, Wittel. Ci mieli w Nadwornej i Kopyczyńcach warsztaty, gdzie robili pierzyny. Całą zimę kobiety przychodziły i darły pierze, Wittel to wszystko organizowała, bo z natury jest szybka i bystra. Potem szyło się ciepłe kołdry, zamawiały je dwory pańskie i pałace, takie były dobre, puch lekki, pachnący, obleczywo zaś z różowego adamaszku tureckiego, w piękne wzory. Jednak przez te tumulty wszystko przepadło. Pierze wiatr rozwiał po całym Podolu,

adamaszek zadeptano albo rozkradziono, dach domu zaś spalił się i budynek nie nadaje się już do zamieszkania.

Z zimowej mieszanki czerni i bieli wyłaniają się małe domki kryte rzeczną trzciną. Droga wije się między nimi, schodząc na nierówne dziurawe podwórka, na których dogorywają porzucone pługi, grabie, skorupy garnków.

Rządzi tu teraz Osman z Czerniowiec, to on każe wystawić straże przy wjeździe do wsi, żeby się nie przypałętał ktoś obcy. Czasami fury blokują wjazd, konie wydeptują dziury w zmrożonej ziemi.

Kto wjedzie do wsi, ten najpierw idzie do Osmana i tam zostawia wszystkie swoje pieniądze i cenne rzeczy. Osman jest intendentem, ma żelazny kufer zamykany na klucz i tam trzyma wspólny majątek. Jego żona, Hawa, starsza siostra Jakuba, dysponuje darami od prawowiernych z całego Podola i Turecczyzny – są tam ubrania, buty, narzędzia do pracy, garnki, szkło, a nawet zabawki dla dzieci. To ona wieczorem wyznacza mężczyzn do jutrzejszych prac. Ci pojadą wozem do chłopa po cebulę, ci po kapustę.

Wspólnota ma swoje krowy i setkę kur. Kupili je dopiero co, teraz słychać, jak budują kurniki – zbijają drewniane grzędy. Za domkami piękne ogródki, lecz nie ma w nich zbyt wiele, bo przyszli tutaj zbyt późno, w sierpniu. Na dachy wspina się winorośl, zdziczała i niepodcinana, winogrona były drobne i słodkie. Zebrali trochę dyń. Było też mnóstwo śliwek, małych, ciemnych i słodkich, jabłonie uginały się od jabłek. Teraz, po przymrozkach, wszystko poszarzało i właśnie odbywa się zimowy teatr butwienia.

Codziennie, przez całą jesień przybywają ludzie, zwłaszcza z Wołoszczyzny i Turecczyzny, a to z Czerniowiec, Jassów, a to nawet z Bukaresztu. A wszystko za sprawą Osmana – to on ściąga wszelkich pobratymców, w pierwszej kolejności tych, co już przeszli na islam, poddanych sułtana. Różnią się oni od Żydów swojskich, podolskich, tylko trochę: są bardziej opaleni, żywsi, ich pieśni wydają się skoczniejsze, a oni sami bardziej skorzy do tańca. Mieszają się tutaj języki, stroje, nakrycia głowy. Niektórzy w turbanach, jak Osman i jego

wielka rodzina, inni w futrzanych sztrejmlach, jeszcze inni mają na głowach tureckie fezy, a ci północni – rogatywki. Dzieci oswajają się ze sobą – mali Turczynkowie ganiają się z Podolanami wokół stawów, a gdy łapie mróz, biegają po lodzie. Jest ścisk. Na razie gnieżdżą się w małych izdebkach z dziećmi, z całym dobytkiem i marzną, bo właściwie jedyne, czego tu im brakuje, to drewno do palenia. Rankiem małe szybki w oknach zarastają mrozem, który naiwnie imituje towary wiosny – liście, paprotne pędy, pąki kwiatów.

Chaim Kopyczyniecki z Osmanem przydzielają przybyłym chałupy. Hawa, która dba o ich wyżywienie, rozdziela koce i garnki, pokazuje, gdzie kuchnia, a gdzie się można umyć – jest nawet mykwa na końcu wsi. Tłumaczy, że tutaj je się razem i razem gotuje. I praca będzie wspólna: kobiety zajmą się szyciem, mężczyźni naprawą budynków i szykowaniem opału. Mleko przysługuje tylko dzieciom i starcom.

Kobiety więc piorą, gotują, szyją, karmią. Już urodziło się jedno dziecko, chłopczyk, któremu dano na imię Jakub. Mężczyźni z rana ruszają po pieniądze – zajmują się handlem, interesami. Wieczorem radzą. Kilku podrostków pełni funkcję poczty iwańskiej – konno rozwożą przesyłki, jeżeli trzeba, do Kamieńca i przekradając się przez granice, do Turcji, do Czerniowiec. Stamtąd poczta idzie dalej.

Drugi Chaim, ten z Buska, brat Nachmana, przyprowadził wczoraj stado kóz i sprawiedliwie rozdzielił po chałupach – jest z tego wielka radość, bo brakowało mleka dla dzieci. Młodsze kobiety oddelegowane do kuchni zostawiły drobiazg pod opieką starszych, które w jednej z chałup zrobiły coś, co nazywają „kindergarten”.

Jest koniec listopada i wszyscy w Iwaniu czekają na przyjazd Jakuba. Wysłano czujki na turecką stronę. Młodzi chłopcy obstawili wysoki brzeg rzeki i lustrują brody. Wieś w swej odświętności ucichła, wszystko przygotowane już od wczoraj. Chata dla Jakuba lśni czystością. Na marnej podłodze z udeptanej gliny rozłożono kobierce. W oknach wiszą śnieżnobiałe zasłonki.

Wreszcie słychać gwizdy i nawoływania od strony rzeki. Jest.

Przy wjeździe do wsi czeka na przybyłych Osman z Czerniowiec, radosny i uroczysty. Gdy ich widzi, zaczyna śpiewać pięknym, mocnym głosem: „Dio mio Baruchja...”, i melodię podchwytuje wzruszony tłum oczekujących. Orszak, który się wyłania zza zakrętu, wygląda jak oddział turecki. W środku powóz i tam ciekawe oczy wypatrują Jakuba, ale Jakub to ten, który jedzie pierwszy, na siwym koniu, ubrany z turecka, w turbanie i w podbitym futrem niebieskim płaszczu o szerokich rękawach. Ma długą czarną brodę, która przydaje mu lat. Jakub schodzi i przykłada czoło do czoła Osmana i Chaima, kładzie dłonie na głowach ich żon. Osman prowadzi go do największego domu; podwórko uprzątnięto, wejście wyłożono świerczyną. Lecz Jakub wskazuje jakąś budkę przy domu, stary domek ulepiony z gliny, i mówi, że chce mieszkać sam, gdziekolwiek, może być buda na podwórzu.

– Tyś chacham – mówi Chaim. – Jakże będziesz mieszkał sam i w budzie?

Jakub się jednak upiera.

– Będę spał w budzie, bom prostak.

Osman nie bardzo rozumie, ale posłusznie zarządza sprzątanie szopy.

O rękawach świętej koszuli Szabtaja Cwi

Wittel ma gęste loki koloru jesiennej trawy, jest wysoka i postawna. Głowę nosi wysoko i sama siebie wyznaczyła do usługiwania Jakubowi. Sunie między domami, zgrabna, zarumieniona, dowcipkująca. Ma cięty język. Jako że chałupa Jakuba stoi na ich podwórku, przyjęła rolę strażniczki Pana, dopóki nie dołączy do niego jego prawowita żona Chana z dziećmi. Wittel ma jak na razie monopol na Jakuba. Ludzie wiecznie coś od niego chcą, zawracają mu głowę, ona odgania ich, broni dostępu do szopy, nosi mu tureckie piecyki. Gdy schodzą się ludzie, żeby popatrzeć na dom Pana, Wittel trzepie derki na płocie i zasłania sobą wejście przez furtkę.

– Pan odpoczywa. Pan się modli. Pan śpi. Pan sprowadza na Iwanie błogosławieństwo.

Za dnia wszyscy pracują i często widać z nimi Jakuba w rozchełstanej koszuli – jemu nigdy nie jest zimno – jak rąbie zamaszyście drzewo albo rozładowuje furę i nosi worki z mąką. Dopiero gdy się ściemni, zbierają się na nauki. Kiedyś było tak, że kobiety i mężczyźni słuchali ich osobno, ale w Iwaniu Pan zaprowadził od razu inne zwyczaje. Teraz nauki są dla wszystkich dorosłych.

Starsi zasiadają na ławach, młodsi na snopku zboża, jeden koło drugiego. Najlepsze są początki nauk, bo Jakub zawsze zaczyna od śmiesznych rzeczy, stąd wybuchy śmiechu. Jakub lubi sprośne żarty. Opowiada:

– W młodości przybyłem do jednej wsi, w której nigdy nie widziano Żyda. Zajechałem do gospody, gdzie się dziewki i parobkowie poschodzili. Dziewki tam przędły, a parobki im różne historie opowiadały. Gdy mnie jeden zobaczył, od razu zaczął mi urągać i drwiny ze mnie robić. Opowiadać zaczął, że szedł raz Bóg żydowski z Bogiem chrześcijańskim i ten chrześcijański palnął żydowskiego w pysk. Wielce to wszystkich rozbawiło i zaczęli się z tego śmiać, jakby to był przedni żart, a przecież nie był. A ja na to opowiedziałem im, jak to szedł raz Mahomet ze świętym Piotrem. Mahomet mówi do Piotra: „Mam wielką ochotę, żeby cię tak po turecku wybudzerować”. Piotr nie chciał, lecz Mahomet był silny, przywiązał go do drzewa i odbył swoje. Piotr wrzeszczał mocno, że go zadek boli, że już go za swojego świętego przyjmie, byle przestał. Nietęgo zrobiło się od tej mojej opowiastki i parobkom, i dziewkom, spuścili oczy, a potem ten najbardziej wojowniczy rzekł do mnie pojednawczo: „Wiesz co, zróbmy pokój między nami. My nie będziemy gadać na twojego Boga, ty nie gadaj na naszego. I naszego świętego Piotra zostaw w spokoju”.

Mężczyźni rechoczą, kobiety spuszczają oczy, ale podoba im się, że Jakub, przecież święty i uczony, jest taki swój i nosa nie zadziera, i że sam mieszka w tej małej chałupce, chodzi w zwykłych ubraniach. Za to go kochają. Zwłaszcza kobiety. Prawowierne kobiety są pewne siebie i hałaśliwe. Lubią flirtować i cieszy je to, co mówi Jakub: żeby zapomnieć o tureckich zwyczajach, zgodnie z którymi powinny siedzieć zamknięte w domu. Mówi, że kobiety są tak samo potrzebne w Iwaniu jak mężczyźni, do innych rzeczy, ale potrzebne.

Jakub naucza też, że odtąd nie ma już rzeczy, które by miały należeć tylko do kogoś jednego; nie ma własnych rzeczy. Lecz jeżeliby ktoś czego potrzebował, to ma poprosić tego, który to ma, i to dostanie. Albo gdy czegoś mu brakuje, a to buty zniszczył, a to koszula się rozleciała, ma iść do szafarza Osmana albo Hawy, tam się jego biedzie zaradzi.

– Bez pieniędzy? – woła któraś z kobiet.

I już jej inne odpowiadają:

– Za piękne oczy...

I wybucha śmiech.

Nie wszyscy rozumieją, że mają oddać wszystko swoje. Jeruchim i Chaim z Warszawy upierają się, że to nie przetrwa i że ludzie są z natury chciwi, będą chcieli za dużo, będą kupczyć tym, co dostali. Ale inni, jak Nachman i Mosze, widzieli ponoć, jak działa taka wspólnota. Popierają Jakuba. Nachman tej idei wielce przyklaskuje. Można często dostrzec, jak chodzi po domach i rozprawia:

– Tak właśnie było na świecie, zanim zaczęło obowiązywać prawo. Wszystko było wspólne, każde dobro należało do wszystkich i wszystkim wystarczało, nie było słów „nie kradnij” ani „nie cudzołóż”. Gdyby ktoś tak powiedział, nikt by go nie zrozumiał. Co to jest „kraść”, pytaliby. Co to jest „cudzołożyć”? I my tak właśnie żyć powinniśmy, bo nas już stare prawo nie obowiązuje. Przyszło trzech: Szabtaj, Baruchja i teraz Jakub. On jest największy, on nas wybawił. Powinniśmy być szczęśliwi, że nastąpiło to w naszym pokoleniu. Stare prawo już nie działa.

Podczas Chanuki Jakub rozdaje kawałki koszuli Szabtaja Cwi jako relikwie. To wielkie wydarzenie dla całej wspólnoty. Jest to ta sama koszula, którą Pierwszy rzucił synowi Halewiego; Szor odkupił niedawno od wnuczki tegoż w Krakowie całe dwa rękawy za duże pieniądze. Kawałeczki materiału nie większe niż najmniejszy paznokieć wędrują teraz do amuletów, pudełeczek z wiśniowego drzewa, woreczków i saczków skórzanych zawieszanych na szyi. Reszta koszuli zostaje złożona w skrzyni u Osmana i będzie się należała tym wszystkim, którzy się jeszcze przyłączą.

O tym, jak działa dotyk Jakuba

Mosze z Podhajec, który wie wszystko, siedzi między przędącymi kobietami w największym cieple. Kłęby pachnącego dymu wzbijają się pod drewnianą powałę.

– Wszyscy znacie tę modlitwę mówiącą o Elohi, który spotkał demona choroby Aszturwiego – mówi. – To ten, co zwykł siadać człowiekowi w członkach ciała i sprawiać, że ludzie chorują. Elohi mówi wtedy demonowi: „Jako nie możesz wypić całego morza, tak samo nie możesz więcej zła czynić człowiekowi”. Jakub, nasz Pan, jest jak Elohi, rozmawia z demonem choroby. Wystarczy, że spojrzy na niego groźnym okiem, a on już zmyka.

Brzmi to przekonująco. Wiecznie ktoś stoi pod drzwiami szopy Jakuba i jak go dopuści Wittel, to staje przed obliczem Pana. Pan kładzie ręce na głowie chorego, a potem przesuwa po czole kciukiem wte i wewte. Czasem dmucha w twarz. Prawie zawsze pomaga. Mówią, że ma gorące ręce, które roztapiają każdą chorobę, każdy ból.

Sława Jakuba prędko rozchodzi się po okolicy i w końcu przychodzą do Iwania chłopi (mówią: „do ciapciuchów”). Patrzą podejrzliwie na odmieńców, ni to Żydów, ni Cyganów. Im też Pan kładzie dłonie na głowie. Zostawiają jaja, kury, jabłka, kasze. Hawa wszystko skrzętnie chowa w swojej komorze, potem rozdziela sprawiedliwie. Każde dziecko dostaje jajko na szabat. Tak Hawa mówi: „na szabat”, mimo że Jakub zabronił obchodzić szabat. Dziwnie z tym jest, lecz i tak liczą czas od szabatu do szabatu.

W lutym dzieje się coś dziwnego, cud prawdziwy, wie jednak o nim niewielu. Pan zakazał rozpowiadać. Na własne oczy widział to Chaim. Otóż jedna dziewczyna z Podola, którą tu przywieziono już bardzo chorą, zaczęła umierać. I jej ojciec uderzył w krzyk straszny, zaczął włosy rwać z brody i rozpaczać, bo była to jego najukochańsza córka. Posłali do szopy po Jakuba i on przyszedł, i krzyknął tylko, żeby byli cicho. Potem się zamknął z tą dziewczyną na jakiś czas, a gdy wyszedł, to ona była już zdrowa. Kazał ją tylko ubrać na biało.

– Co z nią zrobiłeś? – dopytywał się Szlomo, mąż Wittel.

– Miałem z nią do czynienia i ozdrowiała – odpowiedział Jakub i więcej nie chciał wracać do sprawy.

Szlomo, który jest człowiekiem obytym, grzecznym i poważnym, nie od razu zrozumiał to, co usłyszał. Nie mógł jakoś po tym dojść do siebie. Wieczorem Jakub, jakby widział jego męczarnię, uśmiechnął się do niego i przyciągnął go za kark, delikatnie, jak dziewczyna chłopaka. Dmuchnął mu w oczy i kazał nikomu o tym nie mówić. Potem poszedł i już się Szlomem nie zajmował. Ten powiedział jednak o tym żonie, a ona przysięgła, że dochowa tajemnicy. Lecz, choć nie wiadomo, jak to się stało, w ciągu kilku dni wiedzieli o tym prawie wszyscy. Słowa są jak jaszczurki, potrafią uciec z każdego zamknięcia.

O czym rozmawiają kobiety przy skubaniu kur

Po pierwsze, o tym, że twarz biblijnego Jakuba służyła za wzór, gdy Bóg stwarzał anioły o ludzkich twarzach.

Po drugie, o tym, że Księżyc ma twarz Jakuba.

Po trzecie, o tym, że można wynajmować sobie mężczyzn, żeby mieć z nimi dzieci, jak która nie zachodzi ze swoim mężem.

Przypominają sobie biblijną opowieść. O Isocharze, synu Jakuba i Lei. Lea wynajęła sobie Jakuba, żeby z nią spał, i potem urodziła mu syna. Wynajęła Jakuba za mandragorę, którą znalazł Ruben na pustyni, a której chciała bezpłodna Rachel (potem Rachel zjadła tę mandragorę i poczęła Jakubowi Józefa). Wszystko to jest w Piśmie.

Po czwarte, o tym, że można zajść w ciążę z Jakubem, nawet wtedy gdy on nie dotknie choćby twojego najmniejszego palca.

Po piąte, o tym, że gdy Bóg stworzył anioły, od razu otworzyły usta i zaczęły go chwalić. Kiedy Bóg stworzył Adama, anioły zaraz zapytały: „Czy to ten człowiek, któremu mamy oddawać cześć?”. „Nie – odrzekł Bóg. – Ten jest złodziejem, ukradnie mi owoc z drzewa”. Gdy więc urodził się Noe, anioły z gorliwością zapytały Boga: „Czy to ten człowiek, którego mamy wychwalać pod niebiosa?”. Bóg odparł jednak, wielce zniecierpliwiony: „Nie, ten jest zwykłym pijakiem”. Gdy urodził

się Abraham, zapytały znowu, ale Bóg, bardzo chmurny, odrzekł im: „Nie, ten nie urodził się obrzezany i dopiero nawróci się na moją wiarę”. Kiedy urodził się Izaak, anioły spytały Boga, wciąż jeszcze z nadzieją: „Czy to ten?”. „Nie – odparł Bóg, niezadowolony. – Ten kocha swojego starszego syna, który mnie nienawidzi”. Lecz kiedy urodził się Jakub, zadały swoje pytanie po raz kolejny i wtedy usłyszały: „Tak, to ten”.

Kilku mężczyzn, którzy budują szopę, przerywa pracę i stojąc w drzwiach, przysłuchują się kobietom. Za chwilę na głowach osiadają im białe piórka, które ktoś poderwał z koszy jednym zbyt gwałtownym ruchem.

Kto znajdzie się w kobiecym kręgu

– Idź do niego – mówi mąż do Wittel. – On sobie szczególnie ciebie upodobał. Będziesz pobłogosławiona.

Ale ona się wymawia.

– Jakże mam z nim spać, kiedy jestem twoją żoną? To grzech.

Szlomo patrzy na nią z czułością, jak na dziecko.

– Ty myślisz po staremu, jakbyś nic z tego, co tu się dzieje, nie pojęła. Nie ma grzechu i nie ma: mąż, nie mąż. Nadszedł czas zbawienia, grzech nas nie dotyczy. On dla nas wszystkich pracuje, a chce ciebie. Ty jesteś najpiękniejsza.

Wittel się boczy.

– Nie jestem najpiękniejsza, przecież wiesz. Sam strzelasz oczami we wszystkie strony, tyle tu dziewcząt. A ty? Co byś zrobił?

– Co ja? Gdybym był na twoim miejscu, Wittel, tobym się nie pytał. Tobym od razu poszedł.

Wittel przyjmuje to przyzwolenie z ulgą. O niczym innym nie umiała myśleć przez ostatnie dni. Kobiety, które były z nim blisko, twierdzą, że Jakub ma dwa przyrodzenia. A dokładniej – że wtedy kiedy chce, ma dwa przyrodzenia, kiedy zaś nie chce, zadowala się jednym. Wkrótce Wittel zyskuje moc potwierdzania tego faktu lub zaprzeczania mu.

W kwietniu wysyła Jakub powóz po Chanę i odtąd Wittel nie chodzi już do Jakuba co noc. O Chanie mówi się „Imość”. Zostaje wydana na cześć Imości uczta, kobiety natopiły gęsiego smalcu, od kilku dni piekły bułki, które ułożyły w komorze u Hawy.

Wittel wolałaby, żeby stało się to przypadkiem, ale, niestety, nie udaje się – podsłuchuje pod mieszkaniem Jakuba i Chany, jak się kochają. Kręci ją coś w brzuchu, nie rozumie, o czym gadają, bo rozmawiają po turecku. Wittel się podnieca, słysząc Jakuba mówiącego po turecku, następnym razem każe mu tak mówić do siebie. Nie trzeba na to długo czekać, bo po miesiącu, w maju, Chana, chmurna i niezadowolona, wraca do Turcji.

Jeszcze w grudniu Pan kazał zebrać się wszystkim dorosłym. Ustawiają się w kręgu i stoją długo w zupełnym milczeniu. Pan zakazał rozmów i nikt nie ma odwagi się odezwać. Potem każe mężczyznom przesunąć się pod prawą ścianę. Z kobiet wybiera sobie siedem, tak jak to zrobił kiedyś Pierwszy, Szabtaj.

Najpierw bierze za rękę Wittel i nadaje jej imię Ewa. Wittel, wybrana pierwsza, nie wie, o co chodzi, od razu oblewa się rumieńcem i przestępuje z nogi na nogę nerwowo; zupełnie straciła swoją pewność siebie. Stoi spłoniona, posłuszna jak kura. Jakub ustawia ją po swojej prawej stronie. Potem bierze Wajgełe, młodziutką, świeżo poślubioną żonę Nachmana z Buska, i nadaje jej imię Sara. Ta idzie jak na ścięcie, smutna, ze spuszczoną głową, zerka na męża i czeka, co dalej. Jej Jakub każe stanąć za Wittel. Za nią ustawia Ewę, żonę Jakoba Majorka, i nadaje jej imię Rebeka. Potem długo patrzy po kobietach, a one spuszczają wzrok, w końcu wyciąga rękę po piękną Sprynełe, trzynastoletnią, młodziutką synową Eliszy Szora, żonę jego najmłodszego syna, Wolfa; ją nazywa Berszawą. Teraz zaczyna ustawiać lewą stronę – pierwsza jest żona Izaaka Szora, tej nadaje imię Rachel, potem żona Chaima z Nadwornej, której nadaje imię Lea. Na końcu zaś staje Uchla Lanckorońska i ją nazywa Afiszą Sulamitką.

Ponieważ wszystkie imiona są imionami żon patriarchów, wybrane kobiety stoją przejęte, w ciszy. I w ciszy stoją ich mężowie. Nagle

zaczyna płakać Wajgełe, świeżo poślubiona żona Nachmana. Nie jest to chwila na płacz, ale wszyscy to rozumieją.

Chmurny wzrok Chany wydobywa w Iwaniu następujące szczegóły

Ludzie w chatach śpią pokotem na przegniłych, byle jak zbitych łóżkach albo na ziemi. Całą pościelą jest wiązka starego siana. Ich posłaniem jest barłóg. Tylko niektórzy mają porządne łóżka z lnianą pościelą. Najbogatsza jest chata Szorów.

Wszyscy są brudni i zawszeni. Nawet Jakub ma wszy, a to dlatego, że zadaje się z miejscowymi brudaskami. Chana domyśla się tego, a właściwie wie to na pewno.

To nie jest żadna wspólnota, tylko zwykła zbieranina, tłum zmieszany. Niektórzy nawet nie potrafią się dogadać z innymi, na przykład ci, którzy na co dzień posługują się językiem tureckim lub ladino, jak Chana, i nie znają tutejszego żydowskiego.

Są tu chorzy i chromi. Nikt ich nie leczy, nakładanie rąk nie we wszystkim pomaga. Chana już pierwszego dnia była świadkiem, jak umarło kolejne dziecko, tym razem na kaszel, udusiło się.

Wiele między nimi jest luźnych kobiet, a to wdów, a to agun, których mąż zaginął, ale które nie mogą powtórnie zawrzeć małżeństwa, dopóki nie zostanie udowodnione, że nie żyje, a to jeszcze jakichś. Niektóre wcale nie są Żydówkami, tak się Chanie wydaje. Oddają się za smaczny kąsek i za to, że pozwala im się tu być. Przymyka się na to oczy, że każdy tu sypia z każdym, a nawet przydaje się temu szczególnego sensu. Chana nie rozumie, dlaczego mężczyznom tak na spółkowaniu zależy, nic w tym znowu takiego wspaniałego. Po drugim porodzie całkiem straciła na to ochotę. Przeszkadzają jej zapachy innych kobiet na skórze męża.

Jakub wydaje się Chanie zupełnie inny. Najpierw się cieszył z jej przyjazdu, ale mieli ze sobą do czynienia tylko dwa razy. Teraz mu co innego w głowie, a może jest jakaś inna kobieta. Kręci się wokół niego

ta Wittel i patrzy na Chanę spode łba. Jakub chętniej przebywa z nimi wszystkimi niż z Chaną. Słucha jej nieuważnie; bardziej interesuje go Awacza, którą wszędzie zabiera ze sobą. Nosi ją na barana, mała udaje, że jedzie na wielbłądzie. Chana zostaje w domu i karmi dziecko piersią. Boi się o synka, że złapie tu jakąś chorobę.

Mały Emanuel ciągle niedomaga. Wiatry iwańskie mu nie służą ani długie nadzwyczaj przedwiośnie. Turecka mamka codziennie robi Chanie wymówki, że nie chce tu być, że się brzydzi wszystkiego i zaraz straci pokarm.

U nich w Nikopolu już jest wiosna, a tutaj ze zgniłych traw ledwo co przebijają się pierwsze źdźbła.

Chana tęskni do ojca i jego wyważonego spokoju. Tęskni też do matki, która umarła, gdy Chana była dzieckiem. Za każdym razem kiedy o niej myśli, sama panicznie zaczyna się bać śmierci.

O tym, jak Moliwda wizytuje Iwanie

Moliwda wyrusza w drogę z Warszawy do Lwowa, gdy trakty po kolejnej odwilży zamarzły na kość i znowu są przejezdne. Po spotkaniu z arcybiskupem Łubieńskim do Iwania wyprawia go niejaki ksiądz Zwierzchowski, który został wytypowany do zajmowania się sprawą antytalmudystów. Ksiądz daje mu cały kufer katechizmów i pouczających broszur. A także różańce i medaliki. Moliwda czuje się jak jeden z tych objuczonych dewocjonaliami ulicznych sprzedawców. Osobno zapakowana leży w pakułach figurka Matki Boskiej, wyrzeźbiona z lipy, trochę toporna, jaskrawo pomalowana, dla pani Frankowej od pani Kossakowskiej jako prezent i pamiątka.

Dociera do Iwania 9 marca 1759 roku i od razu, od samego wjazdu, ogarnia go wielkie wzruszenie – widzi oto bowiem swoją wioskę spod Krajowy, tak samo urządzoną, tylko chłodniejszą i przez to jakby mniej przytulną. Panuje ta sama atmosfera: nieustającego święta, nawet pogoda temu wrażeniu sprzyja; jest niewielki mróz, wysoko na niebie świeci zimne słońce, które rzuca na ziemię wiązkę oschłych, ostrych promieni. Świat wygląda jak świeżo posprzątany. Ludzie wydeptują ścieżki

w czystym śniegu, tak że można prześledzić, dokąd chodzą. Moliwda ma wrażenie, że na śniegu żyje się uczciwiej: wszystko jest dosadniejsze, każde przykazanie wydaje się bardziej stanowcze, a każda zasada obowiązuje w sposób bardziej bezwzględny. Ludzie, którzy go witają, wyglądają na promiennych i szczęśliwych, mimo mrozu, mimo krótkiego dnia. Do jego powozu przybiegają dzieci ze szczeniętami w ramionach, podchodzą też zaróżowione od pracy kobiety i zaciekawieni, uśmiechnięci mężczyźni. Z kominów w wysokie niebo idzie dym – prościutko, jakby złożona w tym miejscu ofiara została bezwarunkowo przyjęta.

Jakub wita się z nim uroczyście, ale gdy wchodzą do małej chałupki i zostają sami, wyłuskuje z wilczego futra krępą postać Moliwdy i tuli go długo, klepiąc go po plecach i powtarzając po polsku: „No i wróciłeś”.

Wszyscy tu są, bracia Szorowie, bez ojca, bo stary po pobiciu jakoś nie może dojść do siebie, a także Jehuda Krysa ze swoim bratem i szwagrem. Jest Nachman, świeżo poślubiony z jakąś dziewczynką (taki młody wiek to barbarzyństwo, myśli Moliwda), Mosze w oparach dymu, drugi Mosze, kabalista, z całą rodziną, wszyscy. Tłoczą się teraz w małej izbie, gdzie okna zamarzły w piękny wzór.

Jakub do powitalnej biesiady siada pośrodku stołu, pod oknem. Za nim otwór okna, jak ramy obrazu. Jakub siedzi na ciemnym tle nocy. Podają sobie ręce, patrzą na siebie po kolei, witają się wzrokiem wszyscy jeszcze raz, jakby nie widzieli się wieki. Potem następuje uroczysta modlitwa, Moliwda zna ją na pamięć i po chwili wahania modli się razem z nimi. Później rozmawiają dużo i chaotycznie, w wielu językach. Płynny turecki Moliwdy przekonuje do niego nieufnych stronników Osmana, którzy choć wyglądają i zachowują się jak Turcy, piją prawie tak samo jak ci z Podola. Jakub jest hałaśliwy i ma dobry humor; przyjemnie patrzeć, jak je z apetytem. Chwali potrawy, opowiada anegdoty, które wywołują wybuchy śmiechu.

Kiedyś Moliwda się zastanawiał, czy Jakub może się bać, i pomyślał, że Jakub nie zna tego uczucia, jakby był go naturalnie pozbawiony. To dodaje mu siły, ludzie czują to przez skórę i ten brak lęku staje się zaraźliwy. A ponieważ Żydzi ciągle się boją – myśli Moliwda – a to pana, a to Kozaka, a to niesprawiedliwości, głodu i chłodu, przez co żyją

w wielkiej niepewności, to Jakub staje się dla nich wybawieniem. Brak lęku jest niczym aureola – można się w niej grzać, można zapewnić trochę ciepła małej, zziębniętej, wystraszonej duszy. Błogosławieni, którzy nie czują lęku. I choć Jakub często powtarza, że są w Otchłani, to dobrze jest z nim być w tej Otchłani. Kiedy Jakub znika choćby na chwilę, rozmowy jakoś się rozłażą i nie mają tego impetu co przy nim. Sama jego obecność buduje porządek i oczy mimowolnie ciążą ku niemu jak ku ogniowi. Tak jest i teraz – Jakub jest ogniskiem rozpalonym tej nocy. Jest już późno, kiedy zaczynają tańczyć, najpierw sami mężczyźni, w kręgu, jakby w transie. Gdy zmęczeni wracają do stołu, pojawiają się dwie tancerki. Jedna z tych tancerek zostanie potem z Moliwdą na noc.

Moliwda wieczorem uroczyście czyta kompanii list, który kilka dni temu w imieniu braci wołoskich, tureckich i polskich wysmażył do króla polskiego:

> Jakub Józef Frank wyjechał z żoną, z dziećmi i więcej niż sześćdziesięcioma osobami z krajów tureckich i wołoskich, ledwo z życiem, bo straciwszy całą znaczną chudobę, znający tylko swój język ojczysty i niektóre orientalne, nieznający też zwyczaju tego Najjaśniejszego Królestwa, żadnego niemający w nim sposobu na życie wraz ze swoim ludem, który, tak liczny, do prawdziwej pociągnął wiary, żebrze u Waszej Królewskiej Mości, Pana najmiłościwszego, o miejsce i sposób wyżywienia pospólstwa naszego...

Tu Moliwda chrząka i na chwilę przerywa, przychodzi mu do głowy pewna wątpliwość i zastanawia się, czy to czasem nie jest bezczelne. Jaki interes miałby tu król, skoro sami jego poddani, ci urodzeni w chrześcijaństwie chłopi, te rzesze żebraków, dzieci osieroconych, dziadów kalekich, potrzebują pomocy.

> ...abyśmy już mogli spokojnie osiąść, bo nam mieścić się z talmudystami nieznośnie i niebezpiecznie, ile że ten zajadły naród inaczej nas nie zwykł nazywać jak psią wiarą, odszczepieńcami etc.

Nie zważając na dane od Waszej Królewskiej Mości prawo, zawsze i wszędzie nas gnębi, grabi i bije, jak ten niedawny był przykład na Podolu, pod bokiem Waszej Królewskiej Mości...

Słyszy z głębi świetlicy pojedynczy szloch, do którego dołączają inne.

...Upraszamy więc Waszą Królewską Mość o wyznaczenie komisyi w Kamieńcu i Lwowie, aby nam nasze mienie powrócono, żony i dzieci pooddawano i zadość uczyniono dekretowi z Kamieńca i oby Wasza Królewska Mość publicznym listem swoim ogłosić raczył, aby ukryci bracia nasi, z podobną nam wiary żądzą, bez bojaźni wyjawiali się; aby tych miejsc panowie byli im pomocą do przyjęcia wiary świętej i jeżeliby talmudystowie onym jakie uciemiężenia mieli wyrządzać, aby tacy na miejsce bezpieczniejsze przyjść mogli i do nas dołączyć.

Podoba się słuchaczom kwiecisty styl. Moliwda, wielce z siebie zadowolony, wpółleży potem na dywanach, od przyjazdu Chany bowiem ma Jakub większą izbę, którą Chana urządza na turecki sposób. Dziwne to, bo za oknem śnieg i wichura. Małe okienka izby prawie całkowicie obklejone są nawianym sypkim śniegiem. Gdy tylko otworzyć drzwi, świeży pył wdziera się do środka, gdzie pachnie kaffą i lukrecją. A wydawało się jeszcze kilka dni wcześniej, że przyszła wiosna.

– Posiedzę u was kilka dni – mówi Moliwda. – U was jak w Smyrnie.

I to prawda, lepiej się czuje między tymi Żydami niż w Warszawie, gdzie nawet kaffy nie umieją podać, leją jej za dużo i za bardzo jest rozwodniona, co wywołuje potem zgagę i nerwowość. Tutaj siedzi się na podłodze albo powyginanych ławeczkach przy niskich stolikach, na których podają kaffę w maciupeńkich filiżankach. Jak dla skrzatów. Tutaj dają mu też porządnego węgrzyna.

Przychodzi Chana, wita się z nim serdecznie i daje mu na ręce córkę Jakuba, małą Awaczę, Ewunię. Dziecko jest ciche, spokojne. Onieśmiela je wielka rudawa broda Moliwdy. Patrzy na niego bez mrugania, uważnie, jakby badała, kto zacz.

– No i zadurzyła się w wujku – żartuje Jakub.

Jednak wieczorem, gdy zostają w pięciu z Osmanem, Chaimem z Warszawy i Nachmanem i otwierają trzeci dzban wina, Jakub wymierza palec w Moliwdę i mówi:

– Widziałeś moją córkę. Wiedz, że ona jest królową.

Potakują mu zgodnie, ale on nie chce takiego wsparcia.

– Tylko żebyś, Moliwda, nie myślał, że ją dla jej piękności nazywam królową.

Chwila przerwy.

– Nie, ona w istocie jest królową. Jeszcze nawet nie wiecie, jak wielką.

Następnego wieczoru, gdy zbiera się po kolacji nieduża grupa braci, Moliwda, zanim się upije, zdaje sprawę ze starań u arcybiskupa Łubieńskiego. Są na najlepszej drodze, choć biskup ma wątpliwości, czy oni z całego serca do Kościoła lgną. Teraz napisze list dla Krysy i Szloma Szora, ażeby wrażenie było, iż wiele grup o chrzest zabiega.

– Tyś jest bardzo sprytny, Moliwda – mówi do niego Nachman z Buska i klepie go w plecy.

Wszyscy się z tego Nachmana podśmiewają, jako że się drugi raz ożenił i wszędzie chodzi za nim jego młodziutka żona. Nachman wydaje się tym małżeństwem przestraszony.

Moliwda nagle zaczyna się śmiać.

– Widzisz, myśmy nigdy żadnych swoich dzikich nie mieli, gdy tymczasem Francuzi i Anglicy mają swoich Buszmenów. Chcieliby panowie i was, swoich dzikich, do pańskiego łona przytulić.

Widać, że wino z Giurgiu, które tu przybyło na wozach z Chaną, już działa. Wszyscy gadają jeden przez drugiego.

– ...To po toś jeździł sam poza naszymi plecami do biskupa Dembowskiego? – mówi do Krysy wzburzony Szlomo Szor, łapiąc go za niezbyt czysty halsztuk. – To dlatego mąciłeś z nim sam, żeby osiągnąć korzyści pod własnym przywództwem, nie? Patrzcie na niego. To dlatego wracałeś sam do Czarnokozińców po biskupie listy, w których dałby ci glejt. Obiecał ci?

– A tak, obiecał mi, że będziemy mieć niezależność w obrębie Królestwa. O chrzcie żadnym nie było mowy. I tego powinniśmy się trzymać. Po jego śmierci wszystko bierze w łeb. A wy, głupcy, pchacie się do tego chrztu jak ćmy. O chrzcie żadnym nie było mowy! – Krysa wyrywa się i uderza pięścią w powałę. – Wtedy ktoś na mnie nasłał zbirów, którzy mnie pobili prawie na śmierć.

– Podły jesteś, Krysa – mówi Szlomo Szor i idzie prosto w zamieć.

Przez otwarte na chwilę drzwi wpada do środka śnieg i od razu zaczyna topnieć na wyłożonej świerczyną podłodze.

– Ja się z Krysą zgadzam – mówi Jeruchim.

Inni mu potakują. Z chrztem można poczekać.

Na to wtrąca się Moliwda:

– Rację ty masz, Krysa, w tym, że tutaj, w Polsce, nikt Żydom praw całkowitych dać nie pozwoli. Albo staniesz się katolikiem, albo pozostaniesz niczym. Teraz łaskawość magnacka wesprze cię złotem, boś jest przeciwko innym Żydom, ale gdybyś się sam chciał w swojej wierze gdzieś na boku ustalić, to nie dadzą ci spokoju. Póki cię nie ujrzą krzyżem leżącego w kościele. Kto myśli, że jest inaczej, ten się myli. Byli przed wami innowiercy chrześcijańscy, arianie, ludzie całkiem łagodni i dużo bliżsi, niż wy jesteście. I zostali umęczeni, i w końcu wygnani. Majątki im odebrano, a ich samych albo zabito, albo wypędzono.

Mówi to jakimś grobowym głosem. Krysa wykrzykuje znowu:

– Chcecie iść wprost do paszczy tego potwora, Lewiatana...

– Rację ma Moliwda. Nie ma dla nas innego wyjścia jak chrzest – mówi Nachman. – Choćby tylko na pozór – dodaje cicho i rzuca okiem niepewnie na Moliwdę, który właśnie zapalił fajkę. Wypuszcza kłąb dymu, który na chwilę zakrywa mu twarz.

– Jak na pozór, to będą już zawsze między wami węszyć. Na to się przygotujcie.

Zapada dłuższe milczenie.

– Wy macie inaczej urządzone ze spółkowaniem. Nie ma u was w tym nic złego, gdy mąż się z żoną pokłada, nic wstydliwego – mówi, już

pijany, gdy obaj z Jakubem zostają sami i siedzą w kucki w chacie Jakuba owinięci w kożuchy, bo przez nieszczelne szybki wieje chłód.

Jakub nie pije teraz dużo.

– Mnie się to podoba, bo to ludzkie. Ludzie, jak ze sobą obcują, to ich to bardzo zbliża.

– Skoro ty możesz sypiać z kobietami innych, a inni nie sypiają z twoją kobietą, to jasne jest, że ty tu rządzisz – mówi Moliwda. – To tak samo jak u lwów.

To porównanie chyba podoba się Jakubowi. Uśmiecha się tajemniczo i zaczyna nabijać fajkę. Potem wstaje i znika na chwilę. Długo nie wraca. Taki właśnie jest, nieprzewidywalny, nigdy nie wiadomo, co zrobi. Kiedy się znowu pojawia, Moliwda jest już prawie zupełnie pijany i uparcie ciągnie temat:

– A to, że im wyznaczasz, kto z kim, i każesz im to robić przy zapalonych świecach, i sam z nimi to robisz, to ja rozumiem dlaczego. Bo przecież można by to robić na stronie, w ciemnościach, każdy, z kim by chciał... Ale ty ich tym łamiesz i tak mocno na zawsze związujesz, że będą ze sobą jeszcze bliżej niż rodzina, będą więcej niż rodziną. Będą mieli wspólną tajemnicę, będą się znali lepiej niż ktokolwiek, a ty dobrze wiesz, że ludzka dusza jest nakierowana na miłość, na kochanie, na przywiązanie. Nie ma nic silniejszego na świecie. O tym będą milczeli, bo przecież muszą mieć powód do milczenia, muszą mieć o czym milczeć.

Jakub kładzie się na wznak na łóżku i zaciąga się dymem o charakterystycznym zapachu, który natychmiast przypomina Moliwdzie noce w Giurgiu.

– No i dzieci. Są z tego wspólne dzieci. Skąd wiesz, czy ta młoda, która przyszła do ciebie wczoraj, nie urodzi niedługo dziecka. I czyje ono będzie? Jej męża czy twoje? To też bardzo was wiąże ze sobą, skoro wszyscy są ojcami. Czyim dzieckiem jest najmłodsza córeczka Szloma? – docieka Moliwda.

Jakub podnosi głowę i patrzy przez chwilę na Moliwdę; widać, że wzrok mu zmiękł, zmętniał.

– Zamknij się. To nie twoja sprawa.

– Aaa, teraz nie moja, a jak chodzi o wieś od biskupa, to moja – ciągnie Moliwda, też sięgając po fajkę. – Dobrze to jest pomyślane. Dziecko jest matki, a więc i jej męża. To najlepszy wynalazek ludzkości. W ten sposób tylko kobiety mają dostęp do prawdy, która podnieca tak wielu.

Tej nocy idą spać pijani, śpią w tej samej izbie, nie chce się im w zamieci, która szaleje między domami, szukać drogi do własnych posłań. Moliwda odwraca się do Jakuba, ale nie wie, czy on już śpi, czy go słucha – tamten oczy ma przymknięte, lecz światło lampek odbija się w zeszklonym paseczku pod rzęsami. Moliwdzie wydaje się, że mówi do Jakuba, a może nie mówi, może mu się tylko tak myśli i nie wie, czy Jakub go słyszy.

– Zawsze mówiłeś, że albo w ciąży, albo w połogu. Długie te ciąże i połogi wyczerpujące sprawiały, że była niedostępna, ale w końcu i ją wypuścić musiałeś z kobiecych pokoi; ciebie też musi obowiązywać ta sama sprawiedliwość, którą narzucasz innym. Rozumiesz?

Jakub nie reaguje, leży na wznak, jego nos mierzy w sufit.

– Widziałem was, jak w podróży porozumiewaliście się wzrokiem – ty i ona. I to ona ciebie prosiła: nie. Mam rację? I w twoim wzroku też to było: nie. Ale teraz to będzie znaczyło coś więcej. Ja czekam, ja się domagam tej sprawiedliwości, jaką macie dla innych swoich. Też jestem jednym z was, teraz. I domagam się twojej Chany.

Cisza.

– Masz tu wszystkie kobiety, wszystkie one są twoje i wszyscy mężczyźni, ciałem i duchem. Rozumiem to, jesteście czymś więcej niż grupą ludzi, którzy mają ten sam cel, jesteście czymś więcej niż rodziną, boście się związali ze sobą wszelkim grzechem, którego rodzina znać nie może. Jest między wami ślina i nasienie, nie tylko krew. To bardzo wiąże, to sprawia, że jest się bliżej niż kiedykolwiek. Tak było i u nas, w Krajowie. Dlaczego mielibyśmy się poddawać prawom, których nie szanujemy, prawom niezgodnym z religią natury.

Moliwda szturcha go w ramię, Jakub wzdycha.

– Ośmielasz swoich ludzi, żeby łączyli się ze sobą, lecz nie tak, jak oni chcą, nie idąc za prostym zewem natury. To ty im każesz, bo to ty dla nich j e s t e ś n a t u r ą.

Ostatnie zdania bełkocze. Widzi, że Jakub śpi, więc milknie, zawiedziony brakiem jego reakcji. Twarz Jakuba jest odprężona i spokojna, widocznie nic nie słyszał, nie mógłby się tak uśmiechać przez sen. Jest piękny. Moliwdzie przychodzi do głowy, że on jest jak patriarcha, choć młody i jego broda pozostaje wciąż czarna, bez śladu siwego włosa, nieskazitelna. Udziela mu się chyba to iwańskie szaleństwo, bo on też widzi wokół głowy Jakuba jakąś poświatę, tak jak mu z przejęciem opowiadał Nachman, który każe się teraz nazywać Jakubowskim. Nagła myśl, żeby go pocałować w usta. Chwilę się waha i dotyka palcami jego warg, ale nawet to nie budzi śpiącego. Jakub mlaska i odwraca się na drugi bok.

Rankiem okazuje się, że trzeba odgarniać śnieg sprzed drzwi, bo nie można wyjść z domu.

Łaska Boska, która woła z ciemności w światłość

Nazajutrz Jakub zagania Moliwdę do roboty. W chałupie Nachmana jest osobna izba do takich prac. Moliwda zaczyna mówić o niej „kancelaria”.

Będą pisać kolejne supliki, zarzucą nimi biskupie i królewskie sekretarie. Moliwda łyżkę miodu popija piwem – na żołądek. Zanim zejdą się inni, Jakub nagle pyta:

– Co ty, Moliwda, masz za interes z nami? W co ty grasz?

– Ja interesu z wami nie mam.

– Płacimy ci przecież.

– Pieniądze biorę na koszta własne, żeby mieć co jeść i w co się ubrać, bom goły jak święty turecki. Za dużo świata widziałem, Jakubie, żeby was nie rozumieć. Tamci mi są tak samo obcy jak i tobie, choć ja z nich. – Pociąga łyczek mikstury i po chwili milczenia dodaje: – Ale i nie z nich.

– Ty jesteś dziwny, Moliwda, jakby przełamany na pół. Ja cię pojąć nie mogę. Co cię przejrzę, to zaraz ty opuszczasz zasłonę. W morzu są podobno takie zwierzęta, że kiedy je próbować schwytać, to one wypuszczają z siebie atrament.

– To są ośmiornice.

– I ty taki sam jesteś.

– Jak mi się odechce, to odejdę od was.

– Krysa mówi, żeś ty szpieg.

– Krysa jest zdrajca.

– Kim ty jesteś, hrabio Kossakowski?

– Jestem królem wyspy na morzu greckim, władcą łagodnych poddanych, nie wiesz?

Zdanie po zdaniu klecą teraz nową prośbę do Władysława Łubieńskiego, arcybiskupa lwowskiego.

– Ale nic za dużo – boi się Moliwda – bo nie wiemy, jaki on jest. A może nam nieprzychylny? Mówią o nim, że interesowny i próżny.

Pewne jest jednak, że supliki należy pisać i pisać, jedną za drugą. Muszą być wyważone i okrągłe jak krople wody, żeby cierpliwie drążyły skałę. Moliwda zamyśla się, patrzy w sufit.

– Wszystko trzeba opowiedzieć od początku. Od Kamieńca. Od biskupiego dekretu.

I tak też robią. Przedstawiają siebie w dobrym, szlachetnym świetle i tak długo opisują swoje dobre intencje, aż wszyscy zaczynają w to wierzyć.

– „O czem dowiedziawszy się, walczący zawsze z duchem mądrości przeciwnicy nasi podnieśli na nas rękę i oskarżyli o zbrodnie niesłychane przed biskupem” – proponuje Moliwda.

Kiwają głowami. Nachman chciałby coś wtrącić.

– Może, żeby było, że podnieśli na nas rękę i „prędzej na samego Boga”?

– A co by to miało znaczyć? – pyta Moliwda. – Co tu ma Bóg do tego?

– Że my po stronie Boga jesteśmy.

– Że Bóg jest po naszej stronie – podsumowuje Szlomo Szor.

Moliwdzie niezbyt się to podoba, ale wpisuje rękę Boga, tak jak chciał Nachman.

Po chwili znowu im czyta to, co napisał:

> Jakim porządkiem to się wszystko działo, skąd Bóg dał nam siłę i nadzieję, żebyśmy my, słabi, pozbawieni poparcia, bez znajomości języka polskiego, wprawnie wyłuszczyli nasze tezy. Teraz takoż samo, doszliśmy bowiem już do takiej pewności i pragnienia, że domagamy się chrztu świętego. Wierzymy bowiem, że Jezus Chrystus, narodzony z Maryi Panny, prawdziwy Bóg i człowiek, którego dziadowie nasi na krzyżowym drzewie umęczyli, ten to był prawdziwym Mesjaszem w zakonach i prorokach obiecanym. Wierzymy w niego usty, sercem i całą duszą i tę wiarę opowiadamy.

Słowa wyznania padają ciężko, dosadnie. Anczel, młody synowiec Moszego, zaczyna chichotać nerwowo i cichnie pod wzrokiem Jakuba.

Dopiero potem Moliwda dopisuje początek:

> Z polskich, węgierskiego, tureckiego, multańskich, wołoskich i innych państw Izraelitowie, przez swojego posłanego, wiernego w Izraelu, w Piśmie Bożem i świętych proroków wyćwiczonego, podniósłszy ręce ku niebiosom, z których zwykła pomoc przychodzić, ze łzami przedwiecznych szczęśliwości, zdrowia, długiego pokoju i darów Bożego Ducha, stanowi, Jaśnie Wielmożnej Twojej Osobie, najprzyzwoitszych, życzymy.

Chyba tylko Nachman rozumie zawiły i ozdobny styl Moliwdy. Cmoka z zachwytu i nieudolnie próbuje przetłumaczyć pokrętne jego frazy na żydowski i turecki.

– Czy to jest na pewno po polsku? – upewnia się Szlomo Szor. – Teraz koniecznie być musi, że domagamy się dysputy, aby... aby...

– Aby co? – pyta Moliwda. – Po co ma być ta dysputa? Żeby co?

– Żeby wszystko było jawne, nic zaś utajone – mówi Szlomo. – Żeby działa się sprawiedliwość, najlepiej jest, gdy dzieje się na scenie, wtedy ludzie pamiętają.

– I dalej, dalej. – Moliwda robi ruch ręką, jakby kręcił jakieś niewidoczne kółka. – I co jeszcze?

Szlomo chciałby coś dopowiedzieć, ale z natury jest bardzo grzeczny, widać, że coś mu nie przechodzi przez usta. Jakub patrzy na tę scenę i cofa się, opierając o krzesło. Wtedy odzywa się Mała Chaja, żona Szloma, która donosi im figi i orzechy.

– Chodzi tu też o zemstę – mówi, stawiając miseczki na stole. – Za pobicie rabbiego Eliszy, za ograbienie nas, za prześladowania wszelkie, za wygnanie z miast, za żony, które odeszły od mężów i zostały uznane za dziewki, za klątwę, którą obłożono Jakuba i nas wszystkich.

– Ma rację – mówi Jakub, który do tej pory milczał.

Kiwają głowami. Tak, chodzi o zemstę. Mała Chaja mówi:

– To jest wojna. Idziemy na wojnę.

– Kobieta ma rację. – Moliwda macza więc pióro:

> Nie głód, nie wygnanie z domostw, nie rozproszenie rzeczy do tego pobudza nas odstąpienia od dawnych zwyczajów i zjednoczenia się z Kościołem Św. Rzymskim, bośmy, spokojnie siedząc w przykrościach naszych, do czasu wyglądali tylu z żalem za krzywdy braci naszych wygnanych i dotychczas głodem ginących i nigdy nie byliśmy pozwani. Ale osobliwie łaska Boska woła nas z ciemności na światłość. Nie możemy tedy być nieposłuszni, tak jak ojcowie nasi, Bogu. Wychodzimy z ochotą pod chorągiew Krzyża Świętego i prosimy o pole, na którem drugi raz zwieść bitwę z nieprzyjaciółmi prawdy, chęć mamy pokazać z ksiąg świętych, jawnie, zjawienie się na świat Boga w ludzkim ciele, mękę jego za naród ludzki, potrzebę jedności powszechnej w Bogu oraz dowieść bezbożności onych, grube niedowiarstwo...

Robią w końcu przerwę na obiad.

Moliwda wieczorami znowu pije. Wino przywiezione z Giurgiu jest klarowne, smakuje gajami oliwnymi i melonami. Jakub nie bierze udziału w dyskusjach i pisaniu suplik. Zajęty jest pracami we wsi i – jak mówi – naucza, co sprowadza się do tego, że siedzi przy drących pierze kobietach i opowiada. Tak go widzą – jako niewinnego, w nic nieuwikłanego, w żadne zdania, żadne litery. Podnosi ich za kołnierze, gdy wyrywają się, żeby mu się kłaniać. On tego nie chce. Jesteśmy równi, mówi. I to tych biedaków zachwyca.

Oczywiście, że nie są równi, myśli Moliwda. Oni w swojej bogomilskiej wsi też nie byli równi. Mieli ludzi cielesnych, psychicznych i duchowych. Somatyków, psychików i pneumatyków, tak ich z grecka nazywali. Równość jest czymś sprzecznym z natury, jakkolwiek by się do niej słusznie dążyło. Jedni składają się bardziej z żywiołu ziemskiego, ci są przyciężcy, zmysłowi i nietwórczy. Nadają się chyba tylko do tego, żeby słuchać. Inni żyją sercem, emocjami, porywami duszy, a jeszcze inni mają kontakt z najwyższym duchem, dalecy od ciała, wolni od afektów, przestronni w środku. Do tych ma dostęp Bóg.

Ale żyjąc razem, prawa powinni mieć jednakie.

Moliwdzie się tu podoba; właściwie to nie ma wiele do roboty oprócz tego pisania, które zajmuje im poranki. Zostałby tu z nimi, udał jednego z nich, schował się między ich brody i chałaty, w marszczonych, wielowarstwowych spódnicach kobiet, w ich pachnących włosach i dałby się jeszcze raz ochrzcić, i być może powróciłby do wiary inną drogą, razem z nimi, od innej strony, od kuchennych drzwi, którymi wchodzi się nie od razu na salony i dywany, ale tam, gdzie stoją w skrzyniach nadpsute warzywa, a podłoga jest lepka od tłuszczu i gdzie trzeba stawiać niewygodne, ordynarne pytania. Na przykład: kim jest ten Zbawiciel, który pozwolił się zabić w tak okrutny sposób, i kto go przysłał? I dlaczego świat stworzony przez Boga trzeba w ogóle zbawiać? I „dlaczego jest tak źle, skoro mogłoby być tak dobrze?”, cytuje sam sobie dobrego, naiwnego Nachmana i uśmiecha się.

Już wie, że wielu z nich wierzy, iż po chrzcie będą nieśmiertelni. Że nie umrą. A może mają rację – ten mieszany tłumek, który codziennie rano posłusznie staje w kolejce po racje jedzenia, który wreszcie idzie

spać z pełnym brzuchem, te dzieci brudne, ze świerzbem pomiędzy palcami, kobiety, które pod czepkami kryją kołtuny, ich wychudli mężowie. Może to właśnie ich prowadzi teraz święty duch, duszyca święta, ta wielka światłość, inna od świata i światu obca, jak i oni są obcy, z innej zrobiona substancji, jeżeli światło można nazwać substancją. A ona wybiera sobie właśnie takich jak oni – niewinnych, bo wyzwolonych z kajdan dogmatów i przepisów, ci zaś, zanim stworzą własne dogmaty i przepisy, są naprawdę czyści, są naprawdę niewinni.

Suplika do arcybiskupa Łubieńskiego

Trwa to kilka długich dni, zanim ustalone zostaje, co następuje:

1. Proroctwa wszystkich proroków o przyjściu Mesjasza już się spełniły.

2. Mesjasz był Bogiem prawdziwym, któremu na imię Adonai, ten wziął ciało nasze i wedle niego cierpiał dla odkupienia i zbawienia naszego.

3. Od przyjścia prawdziwego Mesjasza ofiary i ceremonie ustały.

4. Każdy człowiek powinien być posłuszny zakonowi Mesjasza, bo w nim zbawienie.

5. Krzyż Święty jest wyrażeniem Trójcy Przenajświętszej i pieczęcią Mesjasza.

6. Do wiary Mesjasza Króla żaden przyjść nie może inaczej, jak tylko przez chrzest.

Kiedy poddają pod głosowanie pierwszych sześć tez, Krysa jest przeciwny chrztowi, ale widząc podniesione ręce, zdaje sobie sprawę, że nic się już nie da zrobić. Macha gwałtownie ręką i siedzi ze spuszczoną głową, z łokciami wspartymi o kolana, patrzy w podłogę, na której grudki błota wniesione do izby na butach niechętnie wsiąkają w trociny.

– Opamiętajcie się! Robicie wielki błąd.

Krysa mimo brzydkiej twarzy jest dobrym mówcą i jako taki rozsnuwa przed zebranymi wizję tak marną, że zaczynają się przechylać

na jego stronę. W jego ustach ich przyszłość powoli i nieodmiennie będzie przypominać życie chłopa. Ten argument zaczyna działać po południu, kiedy już zjedli i rozgrzane ciała stają się ociężałe, a na dodatek zmierzch, który zapada za małymi okienkami, jest stalowy jak ostrze noża; wydaje się, że będzie trwał w nieskończoność.

Krysie udaje się zapisać warunki przyjęcia chrztu w kilku zdaniach:

Że chrzest nie odbędzie się przed świętem Trzech Króli 1760. Nie będzie się ich zmuszać do golenia bród i ścinania pejsów. Będą mogli używać podwójnych imion – i chrześcijańskich, i żydowskich. Będą nosić żydowskie ubiory. Będą mogli żenić się tylko między sobą. Nie będzie się ich przymuszać do jedzenia wieprzowiny. Oprócz niedzieli będą mogli obchodzić także szabat. I zachowają swoje pisma hebrajskie, zwłaszcza Zohar.

To ich uspokaja. Nie słuchają go już. Tym bardziej że przyjeżdża stary Szor z Chają.

Szor powłóczy nogami, Chaja go prowadzi i choć nie widać już u niego żadnych ran zewnętrznych, to daje się wyczuć, że przeżył jakąś traumę. W niczym nie przypomina tego rumianego starca, pełnego sił witalnych, którym był jeszcze przed rokiem. I właściwie nie wiadomo, skąd wynika ta nowa kwestia i czy wiąże się z przybyciem Eliszy i Chai, czy może tkwiła tu cały czas, niedopowiedziana, ostatnia w kolejce. Ciekawe, że teraz trudno nawet dociec, kto pierwszy sformułował ten pomysł na ostateczne rozprawienie się z wrogami. Mówiąc „wróg”, mają na myśli Rapaporta, Mendla, Szmulewicza i wszystkich rabinów: satanowskich, jazłowieckich, mohylewskich; a także ich żony, które plują na odszczepieńców na ulicy i rzucają kamieniami w ich kobiety.

Ten wróg jest dobrze znany, a nawet bliski, przez co staje się jeszcze większym wrogiem. Znając dobrze wroga, wiesz, gdzie zadać rany, w co uderzyć. Choć i ciebie może zaboleć. Jest w takiej walce z bliskim wrogiem jakaś dziwna, pokrętna przyjemność, bo to jakby się biło siebie samego, lecz równocześnie ciosów się unika. W każdym razie gdy pojawia się ten pomysł (nie wiadomo, z czyjej głowy), zapada cisza i wszyscy rozważają go w milczeniu. Nie wiadomo, co powiedzieć. Chodzi o to, żeby dopisać do supliki siódmy punkt:

> Talmud naucza, iż potrzebna jest krew chrześcijańska, a kto wierzy w Talmud, powinien jej żądać.

– Niczego takiego nie ma w pismach – mówi Nachman ponuro.

– W pismach jest wszystko – odpowiada mu Jakub.

Suplikę podpisują w milczeniu. Składają podpisy także ci całkiem nowi: Aron ben Szmul z Czerniowców i Meyer ben Dawid z Szegirtu, który jest tu z całą rodziną, i Moszko ben Jakob z Bukaresztu, i Anczel, co tak nerwowo chichotał. Suplikę zawiezie Moliwda, a jak się arcybiskup zgodzi, to wtedy pojedzie oficjalna delegacja.

Na koniec, już po złożeniu podpisów, Nachman wtrąca jeszcze swoje trzy grosze i przekonuje Moliwdę, by swoim pięknym, pełnym zawijasów charakterem pisma dopisał jedno zdanie:

> Sami czekamy dnia tego jak upragnionej wody, kiedy aleph święte, krzywe dotychczas, wyprostuje się i wszystkie cztery strony świata zjednoczy i pobłogosławi”.

Ostatniej nocy przychodzi do Moliwdy dziewczyna, która mu się spodobała, Tanna. Przez krótki moment myśli, że to Chana, można powiedzieć, że uderzająco podobna – takie same szerokie biodra i płaski brzuch. Jest trochę onieśmielona, on także. Robi jej miejsce koło siebie, ona kładzie się cichutko, z dłońmi przy twarzy. Zaczyna gładzić ją po plecach, są jak jedwab.

– Masz już przyrzeczonego? – pyta po turecku, bo dziewczyna wygląda na Wołoszkę.

– Miałam, ale tam został.

– Weźmiesz sobie innego?

– Nie wiem.

– A mnie chcesz?

– Chcę.

Delikatnie odsuwa jej dłonie od twarzy, a ona obejmuje go i przywiera do niego całym ciałem.

O tym, że boskość i grzeszność są ze sobą na trwałe związane

– Dlaczego biblijny Jakub jest dla was tak ważny? – pyta Moliwda, gdy Nachman odprowadza go konno do Kamieńca. – Tego nie rozumiem.

Nachman tłumaczy zawile. Moliwda musi sobie to wszystko przesiewać przez sito własnego języka, bo rozmawiają trochę po hebrajsku i trochę po polsku. Po hebrajsku wszystko jest skomplikowane, bo zawsze wieloznaczne. Ale po polsku to, co mówi Nachman śpiewnym głosem, jakby recytował z pamięci jakieś księgi, też trudno wysłowić. Brakuje słów na takie sprawy. Język polski jest w nich mało wprawiony i na teologii się nie zna. To dlatego w Polsce wszelka herezja jest przaśna i nijaka. Właściwie, mówiąc po polsku, herezji żadnej stworzyć się nie da. Język polski ze swej natury posłuszny jest wszelkiej ortodoksji.

– Ale było to błogosławieństwo otrzymane przez oszustwo i kradzież – dodaje Moliwda.

– Właśnie. Jakub sam sprzeciwił się prawu i oszukał ojca. Wyszedł poza to prawo i dlatego stał się bohaterem.

Moliwda milczy przez chwilę.

– Ale Jakub potem, kiedy już był patriarchą, sam pilnował prawa. To jest takie przewrotne: kiedy ci to potrzebne, jesteś przeciw prawu, kiedy potrzebujesz prawa dla swoich celów, jesteś za prawem... – Śmieje się.

– I to prawda. Pamiętasz, jak Jakub nie pozwalał swojej Racheli zabrać idoli, terafim – mówi Nachman.

– Dlaczego?

– Tutaj Jakub robi błąd. Zamiast uznać boskość zawartą w terafim, Jakub woli wyrzucić ją dlatego, że jest w idolach, czyli nie pozwala się

do naszej wiary przyłączyć świętości, która występuje w innej, obcej formie. Ale Rachela rozumie, że boskość jest nawet w idolu.

– Kobiety bywają czasem mądrzejsze.

– Mniej się przywiązują do słów.

– Chaja Szorówna też?

– Ona nie jest do końca kobietą – odpowiada z powagą Nachman.

Moliwda zaczyna się śmiać.

– Chciałem ją też, ale mi jej Jakub nie dał – mówi.

Nachman milczy. Jadą wzdłuż Dniestru, rzeka wije się po ich prawej ręce, znika i pojawia się znowu. Widzą już z daleka ogromne budowle Chocimia i Okopów.

– Jakub to oszust – stwierdza Moliwda prowokująco, ale Nachman zachowuje się tak, jakby nie słyszał. Odzywa się dopiero, gdy zza horyzontu wyłaniają się potężne kształty twierdzy i leżące u jej stóp miasteczko.

– A wiesz, że tam się urodził Baal Szem Tow, tam, w Okopach? – mówi Nachman.

– A kto to?

Nachman, zaskoczony tą niewiedzą, rzuca tylko szybko:

– To wielki mędrzec.

Zjeżdżają z głównej drogi, dla ostrożności, choć na lekko tylko pofalowanej równinie i tak nie ma się gdzie ukryć.

– Ja cię, Moliwda, bardzo szanuję. A najbardziej za to, że jesteś człowiek dobry. I Jakub cię kocha. Pomagasz nam jak nikt inny. Tylko nie wiem dlaczego. Po co ci to?

– Dla zysku.

– Dla mnie to wystarczy. Ale ty inaczej myślisz. Może nawet nas nie rozumiesz. Ty mówisz: czarne–białe, dobro–zło, kobieta–mężczyzna. A to nie takie proste. My już nie wierzymy w to, o czym mówili starsi kabaliści: że gdyby iskry z ciemności wyzbierać, to one się wtedy zjednoczą w mesjański tikkun i odmienią świat na lepsze. Myśmy już przeszli granice. Bo boskość i grzeszność są ze sobą na trwale związane. Szabtaj mówił, że po Torze de-Bria, Torze świata stworzonego, nastąpi

Tora de-Acilut. A Jakub i my wszyscy widzimy, że one, te dwie Tory, są ze sobą zmieszane i jedyne, co można zrobić, to wykroczyć poza nie obydwie, walka idzie o to, żeby opuścić ten punkt, w którym dzielimy wszystko na zło i dobro, światło i ciemność, porzucić te prostackie podziały i od tego zacząć jeszcze raz nowy porządek. Nie wiadomo, co jest poza tym punktem, to jest tak, jakby wszystko postawić na jedną kartę i zrobić krok w ciemność. I my idziemy w ciemność.

Gdy Moliwda patrzy na Nachmana, tego niedużego, piegowatego mężczyznę, który rozpędza się w mówieniu i wtedy zaczyna się jąkać, to dziwi go, że tak wielka inteligencja spożytkowana została na zgłębianie tak nieprzydatnych rzeczy. Zna ten Nachman na pamięć całe fragmenty ksiąg, może całe księgi, i kiedy trzeba, przymyka oczy i recytuje, szybko i namiętnie, tak że Moliwda nic nie rozumie. Tygodnie spędził nad paradoksami, komentarzami do komentarzy, jednym niejasnym słowem w tekście. Potrafi modlić się godzinami, skulony. A nie wie nic o astronomii ani o geografii, tylko tyle, ile się nasłuchał w podróżach. Nie wie nic o ustrojach politycznych, rządach, żadnych filozofów nie zna oprócz swoich własnych kabalistów. Kartezjusz to mogłaby być dla niego nazwa kartacza. A jednak Nachman Moliwdę wzrusza. Czy zna kogoś bardziej żarliwego i bardziej naiwnego? To ci dopiero rabin z Buska, Nachman Szmujlowicz, Nachman ben Samuel.

O Bogu

– Ty wiesz, Moliwda, że ja ci wszystkiego powiedzieć nie mogę. Mnie obowiązuje nakaz milczenia – mówi nagle Nachman; jego koń przystaje i spuszcza głowę, jakby to wyznanie napawało go smutkiem. – Ty myślisz, że my idziemy do Edomu z biedy i z żądzy zaszczytów...

– I to by było zrozumiałe – odzywa się Moliwda i spina boki swojego konia, żeby się zatrzymał. – Ludzkie. Nic w tym złego...

– Tak to się wam, chrześcijanom, wydawać może, i my chcemy, żebyście tak myśleli. Bo wy innych przyczyn nie rozumiecie. Wy jesteście płytcy, wam wystarczy powierzchnia, dogmat kościelny, kapliczka i już dalej nie szukacie.

– Jakich przyczyn?

– Że my cali jesteśmy w Bogu i że to jest tikkun. Że my ratujemy świat.

Moliwda uśmiecha się, jego koń zaczyna się kręcić w kółko. Wielka, pofalowana pagórkami przestrzeń, z Okopami Świętej Trójcy na horyzoncie, przesuwa się dostojnie przed jego oczami. Białe, mleczne niebo razi oczy.

– Jakże to: ratujecie? – pyta.

– Bo on jest źle zrobiony. Wszyscy nasi mędrcy, od Natana z Gazy po Kardoza, mówili, że Bóg Mojżeszowy, Stworzyciel Świata, jest tylko Małym Bogiem, namiastką Tamtego, Ogromnego, któremu nasz świat jest całkowicie obcy i obojętny. Stworzyciel odszedł. Na tym polega wygnanie, że musimy się wszyscy modlić do Boga, którego nie ma w Torze.

Moliwda źle się z tym czuje – ton Nachmana stał się nagle jakiś żałobny.

– Co cię dziś wzięło? – mówi i rusza przed siebie, ale Nachman za nim nie idzie, więc Moliwda wraca.

– Ten Bóg jest Bogiem... – zaczyna Nachman, lecz Moliwda spina konia i rusza galopem, słychać tylko jego:

– Milcz!

Moliwda zatrzymuje się tam, gdzie drogi się rozchodzą – jedna idzie do Kamieńca, druga na Lwów. Ogląda się za siebie. Widzi figurę Nachmana niepewnie siedzącego na koniu, zamyślonego, jego koń idzie stępa, wydaje się, że dokładnie po linii horyzontu, jak jakiś zaspany linoskoczek.

„Młynaż miele monke”

List donoszący o nominacji na marszałka dworu u arcybiskupa Łubieńskiego zastaje Moliwdę w Kamieńcu u kasztelana Kossakowskiego, niby-kuzyna, dokąd udał się z Iwania niby w odwiedziny, ale w gruncie rzeczy do łaźni, po odzież jaką, no i po

książki i plotki. Nie zastał tam jednak Katarzyny – ona jak zwykle w drodze, kuzyn Kossakowski zaś do rozmów głębszych się nie nadaje, wciąż gada o psach i polowaniu. Po kilku kieliszkach węgrzyna proponuje Moliwdzie wyjście w pewne miejsce, gdzie są najlepsze dziewczęta. Moliwda odmawia; po Iwaniu czuje się nasycony. Wieczorem grają w karty z dowódcą garnizonu, hałaśliwym i absorbującym uwagę panem Marcinem Lubomirskim, i wtedy właśnie wywołują Moliwdę, bo przyjechał goniec ze Lwowa z listem.

Wiadomość jest z tych piorunujących. Moliwda nie spodziewał się tego. Gdy czyta list przy stole, wciąż ma na twarzy bezgraniczne zaskoczenie, ale kasztelan Kossakowski wszystko rozumie:

– A to ci przecież moja wspaniała żoneczka naraiła, żeby kogo swojego przy prymasie mieć. Bo on, ten Łubieński, już na prymasa wyznaczony. A to nie wiedzieliście?

Pan Lubomirski każe posłać do siebie po skrzynkę jakiegoś specjalnego wina i Cyganów do muzyki, i karta już im nie idzie. Sam Moliwda jest nader przejęty i myśli wciąż uciekają mu naprzód, do jakichś niewyobrażalnych dni, które na niego czekają. I nie wiedzieć czemu przypomina mu się ten dzień, kiedy na górze Athos, pod ogromnym parasolem nieba, śledził drogi pewnego żuka, a głowę miał pełną monotonnej muzyki cykad. I oto, gdzie doszedł.

Następnego dnia, świeżo wygolony i pięknie ubrany, zjawia się we Lwowie u arcybiskupa.

Kwaterują go w pałacu, gdzie jest czysto i miło. Zaraz wychodzi na miasto, kupuje sobie w składzie u Ormianina turecki pas, piękny, tkany misternie, mieniący się kolorami, i jeszcze żupan. Zastanawia się nad błękitnym, ale przeważają względy praktyczne – wybiera kolor ciemnej wody, chmurnego lazuru. Ogląda katedrę lwowską, lecz szybko w niej marznie, więc wraca do pokoju i rozkłada papiery. Będzie pisał listy. Ale najpierw praca, którą wykonuje codziennie, tak sobie postanowił, żeby nie zapomnieć swojej greki – tłumaczy Pitagorasa. Kilka linijek każdego dnia, bo inaczej zgłupieje pod tym zimnym, nieprzyjaznym, ogromnym polskim niebem:

„Lekkomyślni ludzie są podobni do naczyń próżnych. Wziąwszy ich za uszy, najłatwiej nimi powodować”. Albo: „Rozumny tak ma z tego

świata schodzić jak z uczty”. Albo: „Czas sam piołun w miód słodki przemienia”. „Okoliczność i potrzeba czynią często, że nieprzyjaciela przeniesiesz nad przyjaciela”. Zamierza te mądre i wymowne cytaty umieszczać w prymasowskich listach.

Tymczasem arcybiskupowi Łubieńskiemu balwierz kładzie bańki. Zaziębił się podczas podróży z Warszawy, gdzie bawił dwa miesiące, i teraz kaszle. Nad łożem zaciągnięto kotary. Ksiądz Pikulski stoi w pobliżu i patrzy na cienki pasek zwalistego ciała arcybiskupa, nad którym znęcają się drobne ręce balwierza.

Ksiądz Pikulski ma nieodparte wrażenie, że to wszystko już było, że już to widział, że to samo mówił już świętej pamięci biskupowi Dembowskiemu, tak samo stał przed nim jak sługa przed panem i usiłował go przestrzec. Czemuż to hierarchowie kościelni są tak naiwni? – myśli i zawiesza wzrok na fantazyjnych tureckich wzorach zasłony. Mówi:

– Jego Ekscelencja nie powinien dozwolić na jakąkolwiek akceptację tego typu bezczelnych żądań, gdyż stworzyłoby to precedens w skali całego świata.

Zza kotary słychać tylko jęk.

– Nie udało im się zalegalizować swojej sekty w ramach ich żydowskiej religii, to próbują nowego oszustwa.

Czeka na jakąś reakcję, ale takowej brak, więc kontynuuje:

– Co to bowiem znaczy, że chcą zachować niektóre swoje zwyczaje i ubiór? Co miałoby znaczyć to „obchodzenie szabatu”? Albo co miałyby znaczyć ich brody, fryzury? Zresztą sami talmudyści nie życzą sobie, żeby sabsaćwinnicy chodzili ubrani po żydowsku, bo dla nich oni już Żydami nie są. Oni są teraz nikim i do niczego i nikogo nie należą, jak bezpańskie psy. Byłoby to najgorsze rozwiązanie, sprowadzilibyśmy sobie heretyków na głowę, a dopiero niedawno sobie z nimi poradziliśmy.

– Kogo ksiądz ma na myśli? – dochodzi zza kotary słaby głos.

– Mam na myśli tych nieszczęsnych arian – odpowiada ksiądz Pikulski, myśląc już o czym innym.

– Chrzest to chrzest. Spodobałby się taki wielki chrzest w Rzymie, oj, spodobał... – mówi chrapliwie zza kotary arcybiskup.

– Ale tylko bezwarunkowy. Musimy od nich żądać tylko bezwarunkowej konwersji, i to jak najszybciej, najlepiej zaraz po zakończeniu dysputy, którą planujemy, jak Jego Ekscelencja wie, na wiosnę, gdy zrobi się już ciepło. I bez żadnego ale. Niech Ekscelencja pamięta, że to my dyktujemy warunki. Pierwsi muszą się ochrzcić ich przywódca, jego żona i dzieci. I to tak uroczyście i z takim rozgłosem, jak to tylko możliwe, żeby wszyscy o tym wiedzieli i żeby wszyscy to widzieli. Bez dyskusji.

Gdy Moliwda przychodzi, widzi, że arcybiskupa bada jakiś medyk, wysoki Żyd o ponurym spojrzeniu. Wyciągnął z kuferka różne szkiełka i przykłada je do oczu Jego Ekscelencji.

– Będę nosił szkła, z trudem już czytam – mówi arcybiskup. – Ładnieś się, imć panie Kossakowski, spisał. Wszystko już ustalone, jak widzę. Twoje starania o przywiedzenie tych ludzi na łono Kościoła są znaczące i zauważalne. Odtąd będziesz tym samym się zajmował, ale pod moimi skrzydłami.

– Moja zasługa nieduża, bo jest chęć ogromna tych zagubionych dziatek – odpowiada skromnie Moliwda.

– Ty mnie tu, waszmość, nie czaruj dziatkami...

– Co Jego Ekscelencja teraz widzi? Czy może przeczytać te litery? – pyta Żyd, trzymając w ręku kartkę z koślawym napisem: „MŁYNAŻ MIELE MONKE”.

– Młynarz miele mąkę. Dobrze widzę, bardzo dobrze, to prawdziwy cud – mówi arcybiskup Łubieński.

– Obaj wiemy, że dla każdego jest lepiej trzymać z silniejszym – odzywa się Moliwda.

Widocznie inne szkiełko też pasuje dobrze, bo arcybiskup postękuje zadowolony:

– To jest jeszcze lepsze, o, to, to. Ach, jak dobrze widzę. Każdy włosek w twojej rudej brodzie, Aszer!

Teraz gdy medyk pakuje kuferek i wychodzi, zwraca się Łubieński do Moliwdy:

– A co do tych starych oskarżeń, znanych na całym świecie, że Żydzi do macy krwi chrześcijańskiej potrzebują... Sołtyk w tym wykazać się umie, prawda? – Uśmiecha się szeroko. – Dla mnie to jest tak, jakby się bawić samym ostrzem bez trzonka...

– Sami chcieli. Myślę, że to będzie zemsta.

– Papież jasno zakazał takich posądzeń o krew... Ale skoro oni tak sami mówią... Chyba racja jakaś w tym być musi.

– Mnie się zdaje, że nikt w to nie wierzy.

– A biskup Sołtyk? Czy on wierzy? Ja tego nie wiem. Wiem, że radzić sobie trzeba różnymi sposobami. Dobra robota, panie Kossakowski.

Następnego dnia Moliwda wyrusza prosto do Łowicza, by objąć nowy urząd, w nowym stanie ducha, w uniesieniu prawie. Już się zaczęły roztopy i drogi są trudne do przejechania, końskie kopyta ślizgają się po zamarzniętych jeszcze grudach błota, a po południu, gdy zaczyna zmierzchać, woda w koleinach zamarza i zimne niebo siarkowego koloru odbija się w tafelkach cieniutkiego lodu. Moliwda jedzie konno, sam, przyłączając się niekiedy do innych podróżnych, żeby ich na następnym noclegu opuścić. Złapał gdzieś pchły.

Za Lublinem napadają na niego jacyś obszarpańcy z kijami, przegania ich, wymachując szablą i wrzeszcząc jak opętany, ale od tego wydarzenia już do samego Łowicza podróżuje w grupie. Dociera tam po dwunastu dniach i praktycznie od razu bierze się do pracy.

Kancelaria prymasa już pracuje i jedną z pierwszych spraw, którymi trzeba się zająć, jest suplika żydowskich „puratynów”, jak mówi sam prymas Łubieński, ta sama, którą Moliwda niedawno pisał w Iwaniu. Wygląda na to, że teraz sam będzie musiał na nią odpowiedzieć. Jak na razie każe sporządzić kilka kopii i rozesłać dalej, do nuncjusza Serry, do kancelarii królewskiej, do archiwum.

Kilka razy, gdy ten już przybył do Łowicza, zaczyna z prymasem delikatnie rozmowę o tej sprawie, ale Łubieński jest teraz pochłonięty organizacją swojego pałacu prymasowskiego, który, niestety, podupadł i nie ma już dawnej świetności, z czasów, kiedy rezydował tutaj podczas bezkrólewia interrex prymas.

Teraz na przykład przyszły w kufrach książki prymasa ze Lwowa. Łubieński przegląda je nieuważnie.

– Waszmość powinieneś zbadać, dlaczego oni się tak ku chrztowi garną. Czy ich pobudki są rzeczywiście bezinteresowne i jaka byłaby skala tej konwersji – mówi nieuważnie.

– W samym Lwowie jest co najmniej czterdzieści takich rodzin, a reszta pochodzi nie tylko z Rzeczypospolitej, ale też z Węgier, z Wołoszczyzny, i są to ludzie najuczeńsi, najbardziej światli – kłamie Moliwda.

– A ilu ich jest?

– W Kamieńcu mówili, że razem może być i z pięć tysięcy, a teraz, po ostatnich doniesieniach wychodzi, że i trzy razy tyle.

– Piętnaście tysięcy – powtarza prymas z podziwem i bierze do ręki pierwszy z brzegu tom, otwiera go i nieuważnie przegląda. – *Nowe Ateny* – mówi.

IV. KSIĘGA KOMETY

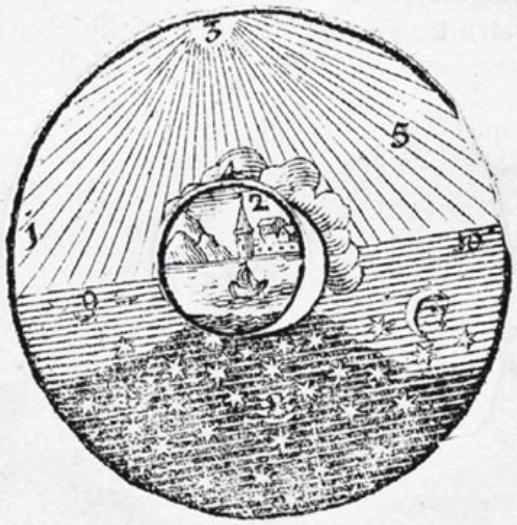

Cœlum 1 n. 2. rotátur, & ambit *terram*, 2 in medio ſtantem	Niebo 1 ſię obraca, i obchodzi (okrąża) ziemię, 2 w ſzrodku ſtoiące,	terra, f. 1. ziemia, medius, a, um, ſzrodek, prost

19

O komecie, która zawsze zapowiada koniec świata i sprowadza Szechinę

Roku 1759, 13 marca, na niebie pojawiła się kometa i jakby na jej komendę śniegi nagle stopniały i spłynęły do Dniestru, który wystąpił z brzegów. Wiele dni wisi nad całym wilgotnym i rozległym światem jako jasno świecąca gwiazda, niepokojąca, burząca porządek nieba.

Widać ją nad całym światem. Widać ją nawet w Chinach.

Patrzą na nią żołnierze liżący rany po bitwie na Śląsku, marynarze, którzy nad ranem trzeźwieją na bruku pod tawernami Hamburga, alpejscy pasterze prowadzący owce na letni popas w góry, greccy zbieracze oliwek i pielgrzymi z muszlami świętego Jakuba przyszytymi do czapek. Przyglądają jej się kobiety, które z niepokojem lada chwila spodziewają się porodu, i ściśnięte pod pokładem rodziny, które filigranowymi stateczkami przemierzają ocean w poszukiwaniu nowego życia po tamtej stronie.

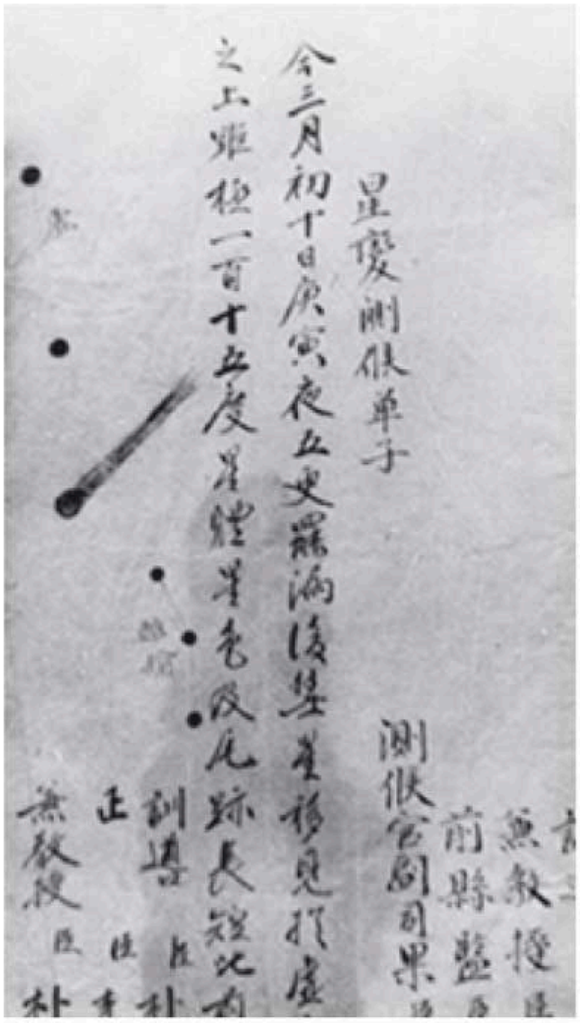

Kometa przypomina kosę wymierzoną w ludzi, nagie, lśniące ostrze gotowe w każdej chwili obciąć miliony głów, nie tylko tych zadartych w górę w Iwaniu, ale także miejskich, lwowskich, krakowskich, także szlacheckich i nawet królewskich. Nie ulega wątpliwości, że to jest znak końca świata, że to zapowiedź tego, iż zaraz aniołowie zaczną go zwijać jak dywan. Koniec przedstawienia. Za horyzontem szykują się już wojska archaniołów. Jeżeli wytęży się słuch, słychać szczęk anielskiego oręża. I jest to znamię posłannictwa Jakuba oraz wszystkich, którzy idą za nim w tę trudną drogę. Ci, którzy się jeszcze wahali, którzy nie byli pewni, teraz muszą przyznać, że i niebo ma udział w tej wędrówce. W tych dniach staje się dla wszystkich w Iwaniu jasne, że ta oto kometa jest wywierconą w niebieskim firmamencie dziurą, przez którą sączy się do nas boska światłość i przez którą Bóg podgląda świat.

Mędrcy zaś uważają, że przez nią schodzi Szechina.

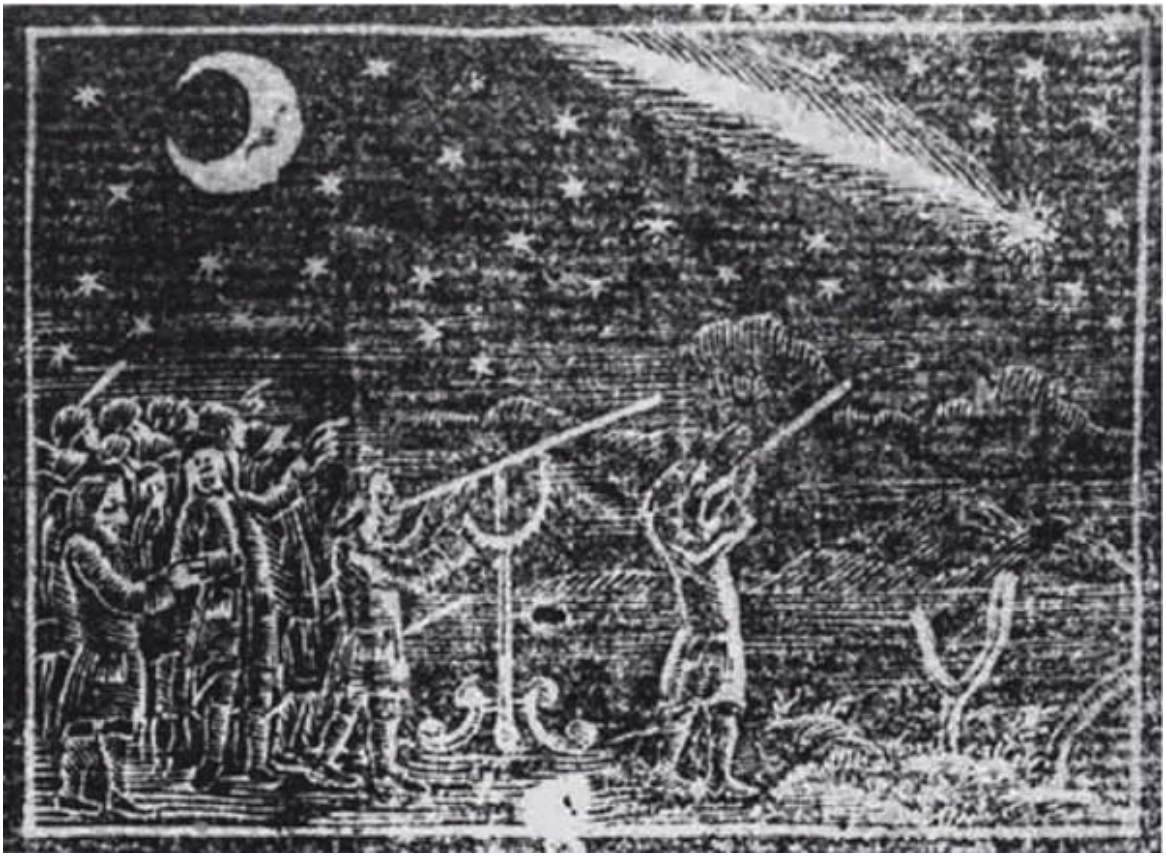

Dziwne to i niebywale, ale na Jencie ta kometa nie robi wrażenia. Gdy się patrzy stąd, skąd spogląda na wszystko Jenta, bardziej pociągające wydają się sprawy drobne, te ludzkie, to one są osnową świata. Kometa? Cóż, to pojedyncza jaskrawa nitka.

Jenta widzi na przykład, że Iwanie ma szczególny status w hierarchii bytów; nie jest do końca usadowione na ziemi, nie jest do końca realne. Chaty stoją zgarbione jak żywe istoty, starodawne tury, z pyskami do ziemi, grzeją zmarzniętą ziemię oddechem. Z okien płynie żółte światło, światło pociemniałego słońca, i jest o wiele silniejsze niż światło świec. Ludzie trzymają się za ręce przez chwilę, potem zaś jedzą z jednej miski, dzielą się bułką. Paruje kasza, a ojcowie z czułością karmią nią dzieci, które trzymają na kolanach.

Kurierzy na zmęczonych koniach wiozą listy ze stolicy do odległych prowincji, barki załadowane zbożem sennie suną do Gdańska, Wisła nie zamarzła w tym roku, a flisacy dochodzą do siebie po wczorajszym pijaństwie. We dworach podliczają wydatki, cyfry pozostają jednak na papierze, nie przeistaczają się w pieniądze, zawsze lepiej rozliczać się w mące i wódce niż w brzęczącej monecie. Chłopki zamiatają klepiska, dzieci bawią się kostkami pozostałymi z uczty, która odbyła się po świniobiciu. Rzucają je teraz na wysypaną trocinami podłogę i wróżą z ich rozkładu – czy zima skończy się rychło? Kiedy przylecą bociany? Na rynku we Lwowie właśnie zaczyna się targ, słychać uderzenia młotków, którymi zbija się pojedyncze deski w kramy. Horyzont kończy się gdzieś za Lublinem, za Krakowem, na Dniestrze, na Prucie.

Słowa, które wymawia się w Iwaniu, słowa wielkie i mocne, naruszają granice świata. Za nimi jest zupełnie inna rzeczywistość – nie ma języka, żeby ją wyrazić. To jakby przyłożyć haftowany jedwab o pięćdziesięciu sześciu kolorach do szarego barchanu – są nie do porównania. Jencie, która patrzy stąd, skąd nikt z ludzi nie mógłby spojrzeć, przypomina to pęknięcie – jest tam miękko i lepko, jest tam mięsiście, wszystko ma wiele stron i wymiarów, a czas nie istnieje. Ciepło, złoto, jasno, miękko. To jest jak dziwne żywe ciało, które odsłania cięta rana, jak soczysty miąższ, który wydobywa się spod pękniętej skórki.

Tak właśnie pojawia się na świecie Szechina.

Jakub mówi o niej coraz częściej, najpierw rzadko pada jej imię, ale ta nowa potężna obecność w Iwaniu szybko się rozprzestrzenia.

– Panna idzie przed Bogiem – stwierdza Jakub na zakończenie pewnego długiego zimowego wieczoru. Już jest po północy, piece wystygły, do izby przez szpary wciska się mróz jak mysz. – Ona jest bramą do Boga i tylko przez nią można do Boga przyjść. Tak jak łupina poprzedza owoc.

Mówią o niej: Wieczna Panna, Królowa Niebieska, Wspomożycielka.

– My się będziemy ukrywać właśnie pod jej skrzydłami – ciągnie swoje nauki Jakub. – Każdy po swojemu będzie ją oglądać.

– Myśleliście dotąd – mówi pewnego zimowego poranka – że Mesjaszem będzie mężczyzna, a to żadną miara być nie może, bo

gruntem jest Panna, ona będzie tym prawdziwym zbawcą. Ona prowadzić będzie wszystkie światy, bo wszystkie zbroje oddano w jej ręce. Dawid i ów Pierwszy przyszli po to, żeby pokazać drogę do niej, lecz żadnej rzeczy nie skończyli. Dlatego ja to będę kończył za nich.

Jakub zapala swoją długą turecką fajkę, od jej żaru przez jego oczy przemyka nikłe, miękkie światło, potem ten błysk skrywają opuszczone powieki.

– Przodkowie nasi wcale nie wiedzieli, czego tak poszukują. Może tylko niektórzy byli świadomi, że w istocie we wszystkich pismach i mądrościach szukali Panny. Na niej spoczywa wszystko. Tak jak Jakub znalazł przy studni Rachelę, tak Mojżesz, gdy przyszedł do źródła, znalazł tam Pannę.

O Jankielu z Glinna i fatalnym zapachu mułu

Jankiel, młody rabin z Glinna, wdowiec, który niedawno pochował i żonę, i dziecko, znalazł się w Iwaniu wiosną za namową Nachmana, z którym przed laty był na naukach u chasydów. Zachowują się teraz obaj nieco hałaśliwie, podkreślając wzajemne przywiązanie. Ale jak się zdaje, więcej ich dzieli, niż łączy. Po pierwsze, wzrost – Jankiel wyrósł, Nachman nie. Wyglądają jak topola i jałowiec. Gdy idą razem, ludzie, patrząc na nich, mimowolnie się uśmiechają. Nachman to entuzjasta, Jankiel z Glinna jest pełen smutnej rezerwy, tu, w Iwaniu, podszytej na dodatek lękiem, bo go to miejsce jednak przeraża. Słucha słów Franka i patrzy, jak reagują na nie ludzie. Ci, którzy siedzą najbliżej, nie spuszczają oka z mówcy, nie umknie im żaden ruch; ci z tyłu, pomimo marnego światła kilku lamp, niewiele już widzą i słyszą. Ale gdy pada słowo „Mesjasz”, po izbie rozchodzi się westchnienie, a może to jest jęk.

Jankiel z Glinna, jako że ma krewnego w gminie lwowskiej, przynosi im wiadomość, iż Żydzi talmudyści z całego Podola napisali list do Jakuba Emdena w Altonie z prośbą o poradę. I mówi Jankiel, że rabini wysłali już kolejny raz poselstwo do najwyższej kościelnej zwierzchności – do samego Rzymu, do papieża.

Jankiel, którego już nazwano tutaj ironicznie „panem Gliniańskim” – nosi się bowiem z polska i z polska zadziera nosa – siedzi w samym środku, zadowolony okazywanym mu zainteresowaniem. Mówi krótko i chwilę czeka na efekt swoich słów.

Widzi, że jego nowiny niepokoją zebranych. Zamilkli, słychać tylko pokasływania. Stodoła, którą przerobili na coś w rodzaju świetlicy, z paleniskiem w środku, staje się statkiem płynącym w ciemnościach przez wzburzone wody. A z każdej strony czyha niebezpieczeństwo. Dziwna jest świadomość, że wszyscy tam na zewnątrz życzą im źle. Tych szeptanych słów wrogów, ich knowań, ich oskarżeń i potwarzy nie zdołają zatrzymać cienkie drewniane ściany tego statku, tej iwańskiej arki.

Jakub, Pan, który wyczuwa wszystkie emocje lepiej niż ktokolwiek inny, intonuje swoim mocnym, niskim głosem radosną pieśń:

Forsa damus para verti,
seihut grandi asser verti.

Co znaczy w języku sefardyjczyków:

Daj nam moc widzenia go
i wielkie szczęście służenia mu.

I już „para verti” śpiewają wszyscy, cała stodoła, głosy łączą się i Jankiel z Glinna oraz jego zła wiadomość przestają istnieć.

Do swojej chaty przyjął Jankiela Nachman ze swoją młodziutką żoną Wajgełe, zwaną Mrówką. Często, udając, że już śpi, Jankiel podsłuchuje, jak gospodarze się kłócą, bo ona chce wrócić do Buska. Dziewczyna jest bardzo szczupła, często miewa gorączkę i kaszle.

To, że wszyscy muszą „na zewnątrz” przyjąć wiarę nazareńską i być bardziej chrześcijańscy niż sami chrześcijanie, wydaje się Jankielowi

nieuczciwe. To jest oszustwo. Podoba mu się, że trzeba żyć pobożnie, skromnie, niewiele mówić, myśleć swoje. Prawda ma być w sercu, nie na języku. Ale przejść na chrześcijaństwo!

Jego wątpliwości rozwiewa Nachman: Przyjąć to nie znaczy stać się. Nie wolno na przykład żenić się z chrześcijankami ani nawet mieć nałożnic spośród nich, bo chociaż Señor Santo Baruchja powtarzał: „Błogosławiony ten, kto zezwolił na wszelkie zakazane rzeczy”, to mówił też, że córa obcego Boga jest zakazana.

Lecz Jankiel z Glinna okazuje się raczej odporny na wszystkie te argumenty. Taki jest – nigdy nie podchodzi zbyt blisko, lecz stoi raczej z boku, ot, nie słucha nauk, ale tak sobie odpoczywa oparty o drzewo, o framugę drzwi, jakby właśnie wychodził i tylko na chwilę przystanął. Przygląda się. Od śmierci żony minęły już dwa lata i teraz on, rabin żyjący samotnie w biednym Glinnie, przeżywa niepokoje z powodu pewnej chrześcijanki, kobiety starszej od niego, guwernantki we dworze pod Buskiem. Spotkali się przypadkiem. Kobieta siedziała na brzegu rzeki i moczyła nogi w wodzie. Była naga. Gdy zobaczyła Jankiela, powiedziała po prostu: „Chodź tu”.

A on jak zwykle, kiedy jest zdenerwowany, zrywa źdźbło trawy i wkłada je między zęby – wierzy, że to mu dodaje pewności siebie. Teraz wie, iż powinien odwrócić się na pięcie i zniknąć sprzed oczu tej gojki, ale nie może oderwać wzroku od jej białych ud i nagle ogarnia go tak wielkie pożądanie, że traci rozum. I jeszcze podnieca go to, że są osłonięci trzcinami wysokimi jak ściany i że mokradła pachną rozkładem i mułem. Każda najmniejsza cząsteczka upalnego powietrza wydaje się nabrzmiała, pełna i soczysta jak wiśnia, zaraz pęknie i sok wyleje się na skórę. Będzie burza.

Nieśmiało kuca przy kobiecie, widzi, że jest już nie pierwszej młodości – jej piersi, pełne i białe, ciążą ku ziemi, jej brzuch, lekko wystający, ze znamieniem pępka, przecina w poprzek delikatna linia odgnieciona od spódnicy. Chce coś powiedzieć, ale nie znajduje żadnych słów po polsku stosownych w takiej sytuacji. A zresztą co miałby powiedzieć? Tymczasem jej ręka wyciąga się pierwsza w jego stronę, najpierw sunie po łydce, udzie i muska krocze, a potem dotyka rąk i twarzy, gdzie palce bawią się jego brodą. Potem łagodnie, naturalnym

ruchem, kobieta kładzie się na plecy i rozsuwa nogi. Jakub, prawdę mówiąc, nie wierzy, iżby mógł istnieć ktoś, kto by na jego miejscu zawrócił. Doznaje krótkiej, nieprawdopodobnej rozkoszy i leżą tak, nadal bez słowa. Ona głaszcze go po plecach, ich rozgrzane ciała są zlepione potem.

Umawiają się jeszcze kilka razy w tym samym miejscu, a kiedy nadchodzi jesień i robi się zimno, ona już nie przychodzi, dzięki czemu Jankiel z Glinna nie popełnia już więcej strasznego grzechu, za co jest jej wdzięczny. Lecz za to ogarniają go niczym nieukojona tęsknota oraz wielki żal, które nie pozwalają mu się na niczym skupić. Uświadamia sobie, że jest nieszczęśliwy.

Wtedy to spotyka Nachmana, z którym przed laty był u Beszta. Rzucają się sobie w ramiona. Nachman zaprasza go do Iwania, tam wszystko od razu pojmie. Po co ma siedzieć w pustym domu? Ale rabin Jakub z Glinna nie jest taki ochoczy. Nachman, pakując się na konia, mówi:

– Nie przyjeżdżaj do Iwania, skoro nie chcesz. Obserwuj za to własną nieufność.

Tak mu mówi. Badaj własną nieufność. To ujmuje rabina z Glinna bez reszty. Zostaje oparty o framugę drzwi, z trawką między zębami, niby obojętny, a jednak głęboko poruszony.

Na początku kwietnia rusza piechotą do Iwania i powoli udziela mu się wielki entuzjazm i nawet sam przed sobą nie chce przyznać, jak bardzo mu teraz zależy, żeby być blisko tego człowieka w tureckiej czapce.

Tymczasem w Busku, w pałacu księżnej Jabłonowskiej, gdy przyjeżdża tam kilka miesięcy później Kossakowska, wybucha drobny skandal. Oto guwernantka młodych Jabłonowskich, już czterdziestoletnia, zaczyna nagle słabować i jakby dostaje puchliny wodnej, a w końcu straszliwych bóli, aż ściągają do niej medyka. Lecz ten zamiast puszczać jej krew, woła o gorącą wodę, bo ona rodzi. Przyprawia to księżnę Jabłonowską o atak nerwowy, nigdy by jej do głowy nie przyszło, że Barbara... No tak, nawet słów brakuje. I to w tym wieku!

Ma chociaż tyle wstydu ta puszczalska, że na trzeci dzień umiera w połogu, co często przecież zdarza się tak starym położnicom. Ich czas już minął. Zostaje po niej dziewczynka, malutka, ale całkiem zdrowa, którą już chce Jabłonowska oddać chłopom na wieś i wspomagać z daleka. Lecz że się w Busku pojawia Kossakowska, sprawy przyjmują inny obrót. Kossakowska bowiem, sama dzieci nie mając, myśli o założeniu przytułku z pomocą biskupa Sołtyka, ale jakoś ta sprawa ciągle schodzi na drugi plan. Prosi więc Jabłonowską, żeby niemowlę trochę przytrzymać na dworze, aż przytułek powstanie.

– Co ci to, asindziejko, szkodzi? Nawet nie poznasz, że jedna mała osoba przybyła na tak dużym dworze.

– Dziecko z nierządu jakiegoś... Nawet nie wiem z kim.

– I cóż ono winne?

Prawdę mówiąc, nie trzeba przekonywać księżnej. Dziewczynka jest śliczna i taka cichutka; zostaje ochrzczona w Poniedziałek Wielkanocny.

O Cudzych Uczynkach, świętym milczeniu i innych zabawach iwańskich

Zaufany posłaniec przywozi list od Moliwdy, gdy kometa powoli znika. Schnąc po mżawce przy ogniu w izbie, opowiada, że na całym Podolu to ciało niebieskie wzbudziło wielki niepokój i wielu ludzi utrzymuje, że kometa zapowiada wielką zarazę i pogromy, takie jak za Chmielnickiego. I głód, i że sięgnie tu wojna z Fryderykiem. Dla wszystkich jest jasne, że oto zaczęły się Ostatnie Dni.

Gdy do izby wchodzi Jakub, Nachman w milczeniu podaje mu list, z miną poważną i nieprzeniknioną. Jakub nie potrafi go przeczytać, więc daje Chai, ale i ona biedzi się nad zawijasami, więc list wędruje z rąk do rąk, aż wraca do Nachmana. Ten czyta i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech, szelmowski i bezczelny. Mówi, że prymas Łubieński przyjął ich prośby. Dysputa odbędzie się latem, a potem – chrzest.

Jest to wiadomość długo wyczekiwana i upragniona, a jednocześnie zwiastująca nieuniknione. Gdy Nachman im to mówi, zapada cisza.

Nie jest łatwo zrobić pierwszy krok. Tak wytrwale ich uczono, jak mają postępować, że wyryło im się to w głowach na wieki. Ale oni muszą to z siebie wymazać, wyczyścić tablice Mojżeszowe z fałszywymi przykazaniami, które ich trzymają w uwięzieniu niczym zwierzęta w klatce. Nie rób tego, nie rób tamtego, nie wolno. Granice niezbawionego świata zbudowane są z zakazów.

– A to jest tak, że trzeba wyjść z siebie, siebie postawić obok – tłumaczy potem Nachman Wajgełe. – Sytuacja jest podobna do tej, kiedy trzeba przeciąć bolesny wrzód i wycisnąć z niego ropę. Najgorsze jest podjęcie decyzji i pierwszy ruch; potem, gdy się już zacznie, wszystko staje się bardzo naturalne. To jest akt wiary, skok na głowę do wody, bez baczenia, co jest na dnie. I wypływa się na powierzchnię zupełnie nowym. O, albo jak ten, który pojechał w dalekie kraje i wrócił, i nagle widzi, że wszystko, co mu się kiedyś wydawało naturalne i oczywiste, jest tylko miejscowe i dziwaczne. A to co mu się wydawało obce i dziwaczne, teraz rozumie i wydaje mu się to swoje.

Wie jednak, co najbardziej obchodzi Wajgełe. Wszyscy o to pytają, wszyscy pytają o spółkowanie, jakby to dla nich było najważniejsze; nie o cnoty, nie o walki sumienia związane z wyższymi sprawami – wszyscy pytają o jedno. To Nachmana bardzo rozczarowuje, ludzie niewiele różnią się od zwierząt. Gdy im mówić o spółkowaniu, o tych wszystkich sprawach od pasa w dół, dostają rumieńców.

– Czy jest coś złego w tym, że człowiek łączy się z drugim człowiekiem? A czy spółkowanie nie jest dobre? Trzeba się temu oddać i nie myśleć, w końcu pojawi się przyjemność, która pobłogosławi ten czyn. Ale bez przyjemności też jest dobrze, a może nawet lepiej, bo ma się świadomość, że przekracza się Dniestr i wchodzi do wolnego kraju. Wyobraź to sobie, jak przyjdzie ci ochota.

– Nie chcę – mówi Wajgełe.

Nachman wzdycha: kobiety miały z tym zawsze większy problem. Widocznie mocniej trzymają się starych praw; są przecież ze swej natury bardziej płoche i wstydliwe. Jakub mówił, że to jest tak jak

z niewolnikami – bo one są w większym stopniu niewolnicami świata – którzy nic nie wiedzą o swojej wolności, nie uczono ich być wolnymi.

Ludzie, którzy są już wprawieni, ci starsi, używają tego jak kiedyś mykwy. Samo ciało i serce dążą do tego i kiedy przychodzi gaszenie świec, to jest jak święto. Bo łączenie się jest dobre, nie ma nic złego w tym, że ktoś z kimś spółkował. Między osobami, których ciała się w siebie przelały, powstaje nowa więź, szczególny związek, subtelny i niedookreślony, jako że nie ma słów dobrze oddających charakter takiej relacji. I bywa, że po tym ludzie stają się sobie bliscy, jak brat i siostra, i lgną do siebie, inni zaś – tak też bywa – odczuwają wobec siebie wstyd i muszą się ze sobą oswajać. Zdarzają się i tacy, co nie mogą sobie spojrzeć w oczy, wtedy nikt nie wie, jak się sprawy między nimi ułożą.

Ludzie mają do siebie zwykle mniejszą lub większą skłonność, coś słabiej albo silniej ciągnie ich do siebie. Te sprawy są bardzo skomplikowane, dlatego z wyczuciem zajmują się nimi kobiety. One lepiej niż mężczyźni potrafią odgadnąć, dlaczego... Dlaczego na przykład Wittel zawsze wzbraniała się przed Nachmanem, a dlaczego Nachmana zawsze ciągnęło do Chai Szor? I dlaczego powstała tak głęboka przyjaźń między młodą Jachne z Buska a Izaakiem Szorem, mimo że mają już współmałżonków?

To co było do tej pory zakazem, jest nie tylko dozwolone, ale wręcz nakazane.

Wszyscy wiedzą, że Jakub bierze na siebie te najcięższe Cudze Uczynki, także i przez to zyskuje szczególną moc. Kto mu w tym pomaga, ten też zostaje namaszczony.

Największą moc mają jednak nie czyny cielesne, lecz te, które wiążą się ze słowem, świat bowiem został stworzony ze słowa i jego fundamenty są ze słów. Największym więc Cudzym Uczynkiem, Aktem Wyjątkowym – jest wypowiedzenie głośno Imienia Boga Szem ha-Meforasz.

Zrobi to Jakub wkrótce w obecności najbliższych – dwóch kręgów wybranych: kobiecego i męskiego.

Ostatnio jedli niekoszerny chleb i wieprzowinę. Jedna z kobiet dostała drgawek, lecz wcale nie od mięsa, mięso jest niewinne, tylko od tego, że nie mogła ścierpieć, iż popełnia taki uczynek.

– To nie jest zwykły uczynek. To jest coś specjalnego. Maasim Zarim, Cudze Uczynki – mówi Jakub. Wymawia te słowa, jakby coś przeżuwał, jakby żuł wieprzową chrząstkę.

– Jaki jest sens Cudzych Uczynków? – pyta ktoś, kto widocznie nie uważał.

Jakub powtarza więc od początku:

– Mamy deptać wszelkie prawa, bo one już nie obowiązują i bez ich zdeptania nowe nie może się pokazać. Bo te stare prawa były dla tamtego czasu, dla świata niezbawionego.

Potem bierze pod ręce stojących obok i szybko robi się krąg. Będą teraz śpiewać, jak zawsze.

Jakub bawi się z dziećmi w głupie miny. Dzieci to uwielbiają. Każde popołudnie, zaraz po wspólnym posiłku, przeznaczone jest dla dzieci; z najmniejszymi przychodzą ich matki i im, niewiele, wydawałoby się, starszym, też się to podoba. Wykrzywiają się i idą w zawody, kto będzie miał straszniejszą twarz. Trudno jest obrzydzić dziecięce twarzyczki, ale twarz Jakuba potrafi się zmieniać. Słychać piski, kiedy odgrywa potwory i monstra, kiedy udaje kulawych bałakaben. Gdy się już uspokoją, każe im usiąść dookoła siebie i opowiada im skomplikowane bajki. Są w nich królewny na szklanych górach, prostaczkowie i książęta. Są przygody na morzu i źli czarownicy, którzy zamieniają ludzi w zwierzęta. Dokończenie odkłada często na drugi dzień, przez co cała młodzież iwańska żyje tym, co się zdarzy jutro. Czy bohaterowi uda się uwolnić z uwięzienia w postaci osła, w którego został zamieniony przez zazdrosną kobietę?

Kiedy się robi cieplej, w kwietniu, zabawa przenosi się na błonie. Jakub kiedyś opowiadał Nachmanowi, że gdy był mały i mieszkał w Czerniowcach, przyszedł tam wariat jakiś i wszystkie dzieci biegały za nim i naśladowały go, wszystkie jego gesty, straszne miny, jego złość, powtarzały też jego słowa. Gdy ten wariat zniknął, gdy poszedł do

innego miasta, dzieci nadal go małpowały, a nawet wzbogaciły repertuar gestów, udoskonaliły szaleństwo tego wariata. I to było jak zaraza, bo w końcu wszystkie dzieci w Czerniowcach zaczęły się tak zachowywać, żydowskie, polskie, niemieckie, rusińskie, aż przestraszeni rodzice pościągali ze ścian rózgi i dopiero rózgami wybito im szaleństwo z głów. Ale nie mieli racji, bo to była dobra zabawa.

Teraz on sam stroi miny, a dzieci je powtarzają. Widać wysoką postać Jakuba, jak idzie pierwszy i wykonuje dziwne ruchy, a dzieci za nim. Wyrzucają nogi do przodu albo podskakują co kilka kroków, machają rękami. Ciągną takim sznurem wokół stawów, w których po zimie woda oczyściła się i drży teraz niespokojnie, odbijając niebo. Do zabawy przyłączają się niektórzy dorośli. Stary Mosze z Podhajec, wdowiec, którego już wyswatano z Małką z Lanckorunia, zaledwie piętnastoletnią, nabrał teraz wigoru i on też się dołącza do orszaku Jakuba za przyszłą żoną. A to ośmiela innych, bo Mosze to mędrzec, zatem wie, co robi, śmieszności się nie boi. Właściwie czy nie o śmieszność nam idzie, czy ona nie jest po naszej stronie? – myśli Nachman, też ruszając w tany. Podskakuje na dwóch nogach jak piłka, chce wciągnąć w to Wajgełe, jest taka drobna, filigranowa, ale ona odwraca się naburmuszona, zbyt jeszcze dziecinna, żeby się bawić w dziecko. Za to Wittel nie trzeba namawiać, łapie mocno za rękę Nachmana, śmiesznie podskakują jej obfite piersi. W ślad za Wittel idą inne kobiety, porzucają wieszane na sznurku pranie, przestają karmić niemowlęta, przerywają dojenie krowy i trzepanie pościeli. Widząc to, ich mężowie przestają rąbać drwa i zostawiają siekiery na pieńkach. Na jakiś czas zostaje darowane życie kogutowi, z którego miał być dziś gotowany rosół. Jeruchim schodzi z drabiny, przerywając poprawianie strzechy, i chwyta za rękę roześmianą Chaję. Jakub prowadzi szalony orszak między domami, po przewróconym płocie, przez stodołę otwartą na przestrzał, potem po grobli między stawami. Ten, kto ich widzi, albo przystaje zdumiony, albo zaraz przyłącza się, aż wracają na miejsce, z którego wyruszyli, rozgrzani, z czerwonymi policzkami, osłabli od śmiechu i pokrzykiwań. I nagle okazuje się, że jest ich wielu, dużo więcej niż na początku. Właściwie to prawie wszyscy. Gdyby ktoś obcy znalazł się w tym momencie w Iwaniu, pomyślałby, że to wioska głupich.

Wieczorem starsi zbierają się w największej izbie. Stoją w kręgu, ramię przy ramieniu, na przemian mężczyźni i kobiety. Najpierw śpiewają, potem odmawiają modlitwę, kiwając się i wspierając ramionami. Następnie do późnej nocy Jakub naucza, czyli opowiada gadki, jak to sam nazywa. Nachman stara się je dokładnie zapamiętać, a gdy wróci do siebie, zapisuje je, wbrew zakazowi. Zajmuje mu to sporo czasu, dlatego ciągle chodzi niewyspany.

Opowieść o dwóch tablicach

To jest opowieść, którą wszyscy w Iwaniu znają na pamięć.

Gdy Żydzi mieli wyjść z Egiptu, świat już był gotowy do zbawienia, wszystko przygotowane czekało – i na dole, i na górze. Wyglądało to zdumiewająco, bo zupełnie przestał wiać wiatr i na drzewach nie poruszały się liście, chmury na niebie sunęły tak wolno, że tylko najcierpliwsi mogli zobaczyć ich ruch. Podobnie było z wodą – stała się gęsta jak śmietana, a ziemia przeciwnie – rzadka, niestała, tak że często ludziom wpadały w nią nogi po kostki. Nie ćwierkał żaden ptak, nie latała żadna pszczoła, morze nie falowało, ludzie nic nie mówili, było tak cicho, że dało się słyszeć bicie serc najmniejszych zwierząt.

Wszystko się zatrzymało w oczekiwaniu na nowe Prawo i oczy wszystkiego zwrócone były na Mojżesza, który wstępował na górę Synaj, by je odebrać z rąk Boga. I tak właśnie było, że Bóg sam wyrył na dwóch kamiennych tablicach Prawo w taki sposób, żeby widzialne było dla ludzkich oczu i zrozumiałe dla ludzkich umysłów. Była to Tora de-’Acilut.

Ale podczas nieobecności Mojżesza jego lud uległ pokusom i oddał się grzechowi. Wtedy Mojżesz, schodząc z góry i widząc, co się dzieje, pomyślał: „Zostawiłem ich na tak krótko, a oni nie potrafili wytrzymać w cnocie. Nie są więc godni tak wspaniałomyślnego i wielkodusznego prawa, jakie przeznaczył im Bóg”. I w rozpaczy wielkiej rozbił tablice o ziemię, tak że rozpadły się na tysiąc kawałków i obróciły w proch. Wtedy zerwał się straszny wiatr, który rzucił Mojżeszem o skałę i poruszył chmury i wodę, i zestalił na powrót ziemię. Zrozumiał

Mojżesz, że ludzie jego nie dorośli do Prawa wolności dla zbawionego świata. Cały dzień i całą noc siedział oparty o skałę i patrzył z góry na ogniska płonące w obozowisku jego ludu, słyszał głosy, uderzenia w bębny, muzykę i płacz dzieci. Wtedy przyszedł do niego Samael pod postacią anioła i podyktował mu przykazania, które odtąd miały trzymać lud boży w niewoli.

Aby nikt już nie poznał prawdziwego Prawa wolności, Samael zebrał skrzętnie kawałki rozbitej Tory de-'Acilut i rozproszył je po świecie, w wielu religiach. Kiedy Mesjasz przyjdzie, będzie musiał wejść do królestwa Samaela, żeby zebrać odłamki tablic i na nowo przedstawić nowe Prawo w swoim ostatnim objawieniu.

– Na czym polegało to przepadłe Prawo? – pyta Wajgełe, gdy kładą się z Nachmanem do łóżka.

– Kto to teraz wie, skoro zostało rozproszone? – odpowiada jej ostrożnie. – Było dobre. Szanowało ludzi.

Ale ona jest uparta.

– Czy było przeciwieństwem tego, które obowiązuje teraz? Skoro nie cudzołóż, to cudzołóż? Skoro nie zabijaj, to zabijaj?

– To nie takie proste.

– Ty mi zawsze tak odpowiadasz: to nie takie proste. To nie takie proste... – przedrzeźnia go. Naciąga wełniane pończochy na chude nogi.

– Bo ludzie to chcieliby prostych wyjaśnień i dla nich trzeba wszystko upraszczać, a skoro nie można zapisywać, to wszystko to się robi jakieś głupie... tak i siak, czarne, białe, jakby motyczką przekopać. Proste jest niebezpieczne.

– Ja chcę to pojąć wszystko, a nie umiem.

– Wajgełe, i na mnie, i na ciebie przyjdzie pora. To jest łaska. Od przyjścia Szabtaja stare Prawo Mojżeszowe, to od Samaela, już nie obowiązuje. Tak też się tłumaczy przejście naszego pana, Szabtaja, na islam. Bo zobaczył on, że Izrael, stosując Prawo Mojżeszowe, nie służy już Bogu Prawdy. Dlatego nasz Pan porzucił Torę na rzecz Din Islam...

– Jak ty się w tym wszystkim wyznajesz, Nachman? Po co ci to? Czy prawda nie jest prosta? – mówi sennie Wajgełe.

– ...a my idziemy do Edomu. Bóg przeznaczył nas do takich uczynków.

Wajgełe nie odpowiada.

– Wajgełe?

Cisza, słychać równy oddech dziewczyny.

Nachman gramoli się z łóżka delikatnie, żeby jej nie obudzić, i zapala malutki kaganek. Osłania go deską, żeby go nie było widać z okna. Będzie pisał. Narzuca tylko na grzbiet koc. I zaczyna:

Resztki.
Osiem miesięcy wspólnoty pańskiej w Iwaniu

Istnieje w Ein Sof, czyli w samym Nieskończonym, w boskim źródle, absolutne dobro, które jest początkiem i źródłem wszelkiej doskonałości i dobra na świecie. Jest doskonałością, a doskonałość nie potrzebuje zmiany, jest dostojna i nieruchoma, nie ma w niej żadnego ruchu. Ale dla nas, którzy patrzymy z dołu stworzenia, z daleka, ten bezruch wydaje się martwy, jest więc zły, a przecież doskonałość wyklucza ruch, tworzenie, zmiany, więc samą możliwość naszej wolności. To dlatego mówi się, że w głębinach absolutnego dobra ukryty jest korzeń zła, który stanowi zaprzeczenie każdego cudu, każdego ruchu i tego, co jest możliwe i co może się jeszcze zdarzyć.

Dla nas więc, dla ludzi, dobro jest czym innym niż dla Boga. Dla nas jest ono napięciem między doskonałością Boga a jego wycofaniem się, żeby mógł powstać świat. Dla nas dobrem jest nieobecność Boga tam, gdzie mógłby on być.

Nachman rozciera zziębnięte palce. Nie może przestać, zdania atakują jego umysł:

Gdy rozbiły się naczynia i powstał świat, od razu zaczął piąć się tam, skąd upadł, zbierając się od dołu do góry, od mniej do bardziej doskonałego. Świat wznosi się coraz wyżej i doskonali, zdobywa nowe dobra i dodaje do poprzednich, organizuje uwolnione ze skorup materii iskry w siłę i blask. To jest tikkun, proces naprawy, w którym człowiek może pomóc. Ten proces wznoszenia się musi przekraczać prawo, które już jest, i tworzyć nowe prawo, żeby je potem znowu przekroczyć. Nic nie zostało dane w tym świecie martwych skorup raz na zawsze. Kto nie porusza się w górę, ten stoi, to jest spada w dół.

To ostatnie zdanie nagle go uspokaja. Przeciąga się i patrzy na śpiącą Wajgełe. Ogarnia go wzruszenie.

Gdyśmy ze śpiewem przechodzili Dniestr, tym razem śmiało i jawnie, bo mieliśmy w ręku list królewski, który nas wolnymi w tym kraju czynił, pomyślałem, że wszystko układa się jakby we wzór z kamieni, z których to każdy jest osobnym kolorem, i gdy są rozrzucone, nie widać między nimi żadnego związku i podległości, lecz gdy ułożone podług porządku pewnego, odsłaniają one obraz widomy i oczywisty.

Iwanie musiało nam być dane, żebyśmy stworzyli tutaj wielką rodzinę, która przetrwa lata, i nawet gdyby nas znowu rozproszono, gdybyśmy mieli poginąć gdzieś w świecie, to te więzi iwańskie na zawsze pozostać muszą. Bo my tutaj, w Iwaniu, jesteśmy wolni.

Gdybyśmy tak dostali ziemię swoją własną, jak powiada Jakub, na całe życie nasze i życie naszych dzieci, żebyśmy się mogli rządzić według naszych praw, nikomu innemu nie wadząc, nie

balibyśmy się śmierci. Jak kto ma kawałek ziemi, robi się nieśmiertelny.

Był pewien mędrzec w Wilnie, nazywał się Heszel Coref, i nauczał on, że według gematrii istnieje numerologiczna identyczność między słowami Polin, czyli Polska, a imieniem biblijnego wnuka Ezawa – Zefo. Opiekuńczy anioł Ezawa i jego rodziny to Samael i on jest także opiekunem Polski. Polska powinna być prawidłowo nazywana Królestwem Edomu. Imię Zefo ma te same litery hebrajskie co Zafon – północ, i mają one taką samą wartość jak Polin-Lita, czyli Polska-Litwa. A jak wiadomo, Jeremiasz 1,14 mówi, że kiedy przyjdzie zbawienie, zacznie się od kraju na północy, to jest od Polski i Litwy.

Edom jest krajem Ezawa, lecz tutaj, teraz, w ciemnościach świata, Edom znaczy Polska. Pójść do Edomu to przyjść do Polski. To jasne. Tu weźmiemy na siebie religie Edomu. Tak mówił Elisza Szor jeszcze w Smyrnie i tak ja mówiłem. Teraz wszystko to się ziszcza, lecz nie byłoby tego, gdyby nie Jakub.

Kiedy na niego patrzę, to widzę, iż są ludzie, którzy rodzą się z czymś takim, na co słowa znaleźć nie umiem, a co sprawia, że inni czują wobec nich respekt i ich szanują. Nie wiem, co to jest – czy to postawa ciała, czy wysoko noszona głowa, wzrok przenikliwy, sposób stawiania kroków? A może jakiś duch unoszący się wokół niego? Anioł, który mu towarzyszy? Wystarczy, żeby wszedł gdziekolwiek, czy to do najgorszej szopy, czy do najświetniejszej komnaty, a już wszystkie oczy kierują się na niego i pojawia się w nich wyraz zadowolenia i uznania, choć jeszcze nic nie zrobił, nic nie powiedział.

Przyglądałem się wiele razy uważnie jego twarzy – nawet gdy spał. Już to mówiłem – nie jest to piękna twarz, ale bywa piękna. Nie jest to brzydka twarz – ale bywa odrażająca. Jego oczy potrafią

być łagodne i smutne jak u dziecka. Te same oczy umieją patrzeć bezwzględnie, jak oczy drapieżcy, który obserwuje swoją ofiarę. Widać w nich wtedy coś prześmiewczego, drwiącego, od czego chłód przenika ciało. Nie wiem nawet, jaki mają dokładnie kolor, bo i on się zmienia. Czasem bywają całkiem czarne, bez źrenic, i nieprzeniknione. Innym razem nabierają złotobrązowych odcieni, są jak ciemne piwo. Raz dostrzegłem, że w istocie swej najgłębszej są żółte jak u kota i tylko przyciemnia je dla innych niby łagodny cień.

Pozwalam sobie pisać o Jakubie w taki sposób, bo go kocham. Bo jako kochający go, daję mu większe prawa i przywileje niż komukolwiek innemu. Lecz boję się, iżbym nie popadł w miłość ślepą, przesadną i niezdrową, jak ów Herszełe, który gdyby tylko mógł, położyłby się jak pies u jego stóp.

O Dwójni, Trójcy i Czwórcy

Prowadzimy w Iwaniu wiele studiów nad Trójcą i zdało mi się, żem już uchwycił jej sens.

Bo czymże jest w istocie nasze zadanie, jak nie ustalaniem równowagi między jednością Boga a wielością świata przezeń stworzonego, i my sami, ludzie, czyż nie jesteśmy porzuceni w tym „między” – między Jednym a światem podziałów. To nieogarnione „między” ma swój dziwny punkt krytyczny: Dwójnię. To jest pierwsze doświadczenie myślącego człowieka – kiedy dostrzeże tę przepaść, jaka pojawi się między nim samym a resztą świata. To jest bolesne Dwa, podstawowe pęknięcie stworzonego świata, które rodzi sprzeczności i wszelkie dualizmy. To i tamto. Ja i ty. Lewe i prawe. Sitra ‘Achra, czyli druga strona, lewa strona, siły

demoniczne w postaci potłuczonych skorup naczyń, które nie utrzymały światła w czasie ich rozbicia (szwirat ha-kelim) – to jest właśnie Dwa. Być może gdyby nie było Dwa na świecie, byłby on zupełnie inny, choć trudno to sobie wyobrazić; pewnie Jakub by umiał. Myśmy raz do nocy biedzili się nad tym zadaniem, ale głowy nasze myślą już w tym rytmie: dwa, dwa, dwa.

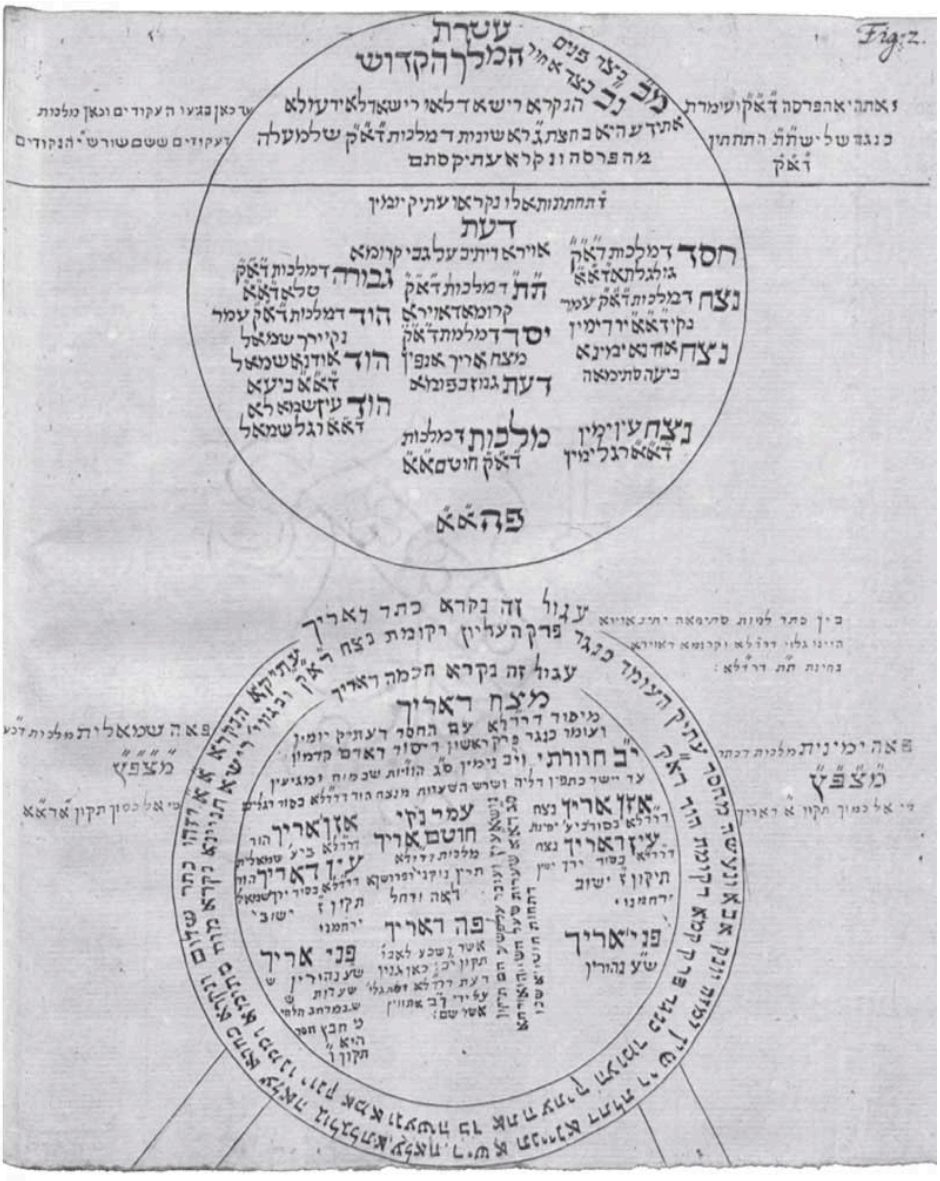

Trójca jest święta, jak mądra żona, godzi sprzeczności. Dwa, jak młoda sarnica, przeskakuje ją. Przez to jest święta, że obłaskawia

zło. Dlatego jednak, iż Trójca musi działać nieustannie na rzecz równowagi, którą sama zaburza, sama też jest chwiejna i dopiero Cztery jest największą świętością i doskonałością, która przywraca boskie proporcje. Nie darmo imię Boga składa się z czterech liter i wszystkie żywioły świata tak zostały przez niego ustalone (Jeruchim mówił mi kiedyś, że nawet zwierzęta potrafią liczyć do czterech!), i wszystko, co na świecie ważne – musi być poczwórne.

Raz Mosze wziął z kuchni ciasto na chałki, przyniósł je i potem zaczął formować jakiś kształt. Śmialiśmy się z niego, a najbardziej Jakub, jako że nic nie pasowało do siebie mniej niż Mosze i kuchenne czynności.

„Co to jest?” – zapytał nas, odsłaniając rezultat swej pracy.

Zobaczyliśmy na stole uformowany z ciasta alef i tak też mu zgodnie odpowiedzieliśmy. Wtedy wziął Mosze końce świętej litery zrobionej z ciasta i paroma prostymi ruchami je rozprostował.

„A co to jest?” – zapytał powtórnie.

To był krzyż.

Albowiem, twierdził Mosze, święta litera jest zalążkiem krzyża, jego pierwotną formą. I gdyby była żywą rośliną, to wyrosłaby w krzyż. W krzyżu zaś jest wielka tajemnica. Bo Bóg jest jeden w trzech postaciach, a do troistości Boga dodajemy Szechinę.

Nie dla wszystkich jednak była ta wiedza przeznaczona. Ludzie, którzy zebrali się z nami w Iwaniu, byli tak różnego pochodzenia i doświadczenia, że zgodnie obstawaliśmy przy tym, aby nie ukazywać im tej świętej wiedzy, by jej opacznie nie zrozumieli. Gdy pytali mnie o Trójcę, podnosiłem dłoń do czoła i dotykałem skóry, mówiąc: „Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba”.

Były też i takie rozmowy, któreśmy prowadzili tylko sami ze sobą, w małej grupie i cichymi głosami, bo ściany iwańskich chałup bywały nieszczelne, i kiedyśmy kończyli pisać listy, i palce całe mieliśmy ubabrane atramentem, i oczy tak zmęczone, że teraz odpoczywały wpatrzone w tańce płomyków świeczek. Wtedy Moliwda opowiadał nam o wierzeniach tych bohomilców, jak ich zwał, a my ze zdziwieniem stwierdzaliśmy, że mamy z nimi wiele wspólnego – jakby ścieżka, którą kroczyliśmy i my, i oni, była na początku jedna, potem zaś rozdwoiła się, aby być może zbiec się znowu w jedną, zupełnie jak nasze dwie drogi w Iwaniu.

Czy samo życie nie jest obce temu światu? I czy my nie jesteśmy obcy i nasz Bóg nie jest obcy? Czy to nie dlatego tym, którzy do tego świata rzeczywiście przynależą, wydajemy się inni, dalecy, straszni i niepojęci? Ale ten świat i dla obcego jest równie dziwny i niepojęty, i jego prawa są niepojęte, i jego zwyczaje. Przychodzi bowiem z najdalszej dali, z zewnątrz, musi znosić los cudzoziemca, samotnego i bezbronnego, zupełnie niezrozumiałego. My jesteśmy obcymi obcych, Żydami Żydów. I wciąż tęsknimy za domem.

Jako że nie znamy dróg tego świata, poruszamy się w nim bezbronni, po omacku, wiedząc tylko, żeśmy obcy.

Moliwda mówił, że gdy tylko my, obcy, żyjąc między tamtymi, przyzwyczaimy się i zagustujemy w urokach tego świata, zaraz zapomnimy, skądżeśmy przyszli i jakie jest nasze pochodzenie. Wtedy skończy się nasza niedola, lecz za cenę zapomnienia o własnej naturze, i to jest najboleśniejszy moment naszego losu, losu obcego. Dlatego musimy przypomnieć sobie o własnej obcości i pamięć tę pielęgnować jak coś najdroższego. Rozpoznać świat jako miejsce naszego wygnania, rozpoznać jego prawa jako obce, cudze...

Kiedy Nachman kończy pisać, zaczyna świtać; za chwilę tuż za oknem odzywa się kogut tak dramatycznym pianiem, że Nachman wzdryga się, jakby to on sam był nocnym demonem, który boi się światła. Wsuwa się w ciepłą pościel i długo jeszcze leży na wznak, nie mogąc usnąć. Cisną mu się do głowy polskie słowa, które kleją się w zdania, i sam nie wiedząc kiedy, składa w myślach swoją modlitwę o duszy, ale po polsku. A jako że wczoraj widzieli tu Cyganów, to i oni plączą mu się po głowie, i wskakują w zdania, z całym taborem:

Jak żeglarz, co zwiedza morza
Otchłanie, jak tabor w bezdroża,
Co wiodą Cyganie – duszy
Mej nikt nie dostanie, nie ruszy;

W powietrzu nie zamknie żelaznym
Ni w serca mieszku, ni poważnym
Urzędzie, który wie zazwyczaj,
Jak to będzie, jaki zwyczaj

I co wypada z urodzenia.
Zmienia się, bo się nie zmienia,
Moja dusza w swoich tchnieniach.

Tak, dobry Panie, wyrusza
Ma dusza Tobie na spotkanie;
Daj jej u siebie godne mieszkanie.

I sam Nachman nie wie, kiedy zasypia.

O gaszeniu świec

W nocy z 14 na 15 lipca, gdy już wyznaczona jest data kolejnej dysputy, zbierają się w izbie, kobiety i mężczyźni, szczelnie zamykają okiennice i zapalają świece. Powoli rozbierają się do naga, niektórzy układają ubranie porządnie złożone w kostkę, jakby wchodzili do mykwy. Wszyscy klękają na drewnianej podłodze i Jakub bierze krzyż. Ustawia go na ławie, potem całuje figurkę, małe terafim, które przywiozła Chaja, i kładzie ją koło krzyża, potem zapala wysoką świecę i wstaje. Będzie teraz chodził w kółko, nagi mężczyzna, owłosiony, z męskością dyndającą między nogami. Blask świecy niepewnie wydobywa z mroku ciała innych, szaropomarańczowe i złotawe głowy spuszczone na piersi.

Ciała są bardzo konkretne; widać przepuklinę Moszego i obwisły po wielu dzieciach brzuch Wittel. Zerkają na siebie spod oka, kiedy Jakub chodzi w kółko, mamrocząc modlitwę: W imię Wielkiego Pierwszego... w idei życia ze świateł światła... Trudno się skupić na tym, co mówi, kiedy obnażył się w tym mdłym, słabiutkim świetle jakiś inny świat. Jedna z kobiet zaczyna nerwowo chichotać i wtedy Jakub przystaje, a potem ze złością gasi świecę jednym dmuchnięciem. Odtąd wszystko dzieje się w ciemności. Dla tego, co mają zrobić, ciemność staje się balsamem.

Kilka dni później każe im Jakub stanąć w kręgu, o którym mówi się „cyrkuł”, i tak stać cały wtorek, środę i w czwartek do południa. Stoją dzień i noc, całą grupą, w kręgu. Zwolniona zostaje żona Izaaka, bo mdleje już po kilku godzinach i musi się położyć. Reszta zostaje. Nie wolno im rozmawiać. Jest upał, wydaje się, że słychać, jak krople potu spływają im po twarzy.

Człowiek, który nie ma kawałka własnej ziemi, właściwie nie jest człowiekiem

– Jeśli jest gdzieś piękniejszy cmentarz niż w Satanowie, to boso pójdę do Lwowa – mówi Hawa Chaimowa.

I choć o śmierci mówić powodów żadnych nie ma i ziemi według cmentarzy sądzić nie należy, to jednak sam cmentarz jest rzeczywiście piękny, co potwierdzają inni; jest nachylony cudnie ku rzece.

– Jak i cmentarz w Korolówce – dodaje Pesełe, która jest tu z rodziną od maja. – Niech będzie, że to jest drugi w kolejności cmentarz pod względem piękna.

– Ale ten nasz w Satanowie, za miastem, jest większy – kontynuuje Hawa Chaimowa – widać z niego pół świata. W dole na rzece stoi młyn, a wokół niego rozlewa się woda, po której pływają kaczki i gęsi...

Ten młyn dzierżawi jej ojciec i kiedyś im się będzie należał prawem chazaki, dziedziczenia prawa do wynajmu. Samo miasteczko leży na wzniesieniu i dwie rzeczy od razu rzucają się w oczy – zameczek jaśnie wielmożnego pana, zniszczony już bardzo, wzniesiony przy samym trakcie, żeby pan mógł kontrolować, kto i z czym jedzie, oraz synagoga na górze, jak zamek warowny, w stylu tureckim. I choć z tą synagogą od lat już nic wspólnego nie mają, to przecież kłamać nie będzie ta Hawa – synagoga jest wyjątkowa. Gdy się idzie od traktu stromą ścieżką do miasteczka, wspinając się zakrętami, to trzeba przejść koło synagogi, nie można inaczej. W miasteczku jest ryneczek, na którym jarmarki są cotygodniowe, zawsze w poniedziałek. Wokół rynku, jak wszędzie, na przemian rozstawiają się kramy chrześcijańskie i żydowskie, a czasem, latem, ormiańskie i tureckie.

Ziemię musieliby jednak dostać w dobrach biskupich, tylko od Kościoła. Kto by za darmo Żydom ziemię dawał? Albo królewszczyzna! – ktoś podrzuca. Najpiękniej tam, gdzie Zbrucz wpada do Dniestru.

– Kto by dawał Żydom placówkę przy rzekach? – wątpi ktoś.

– Niewiele... do tego lasu kawał i jakąś małą rzeczkę, jak choćby Strypę, tak żeby stawy rybne założyć i w nich hodować własne karpie – marzy Hawa.

– Ale kto da Żydom takie bogactwo? – odzywa się znowu ten wątpiący.

– Ale przecież my już nie Żydzi. Czy tak, czy my jeszcze Żydzi?

– My zawsze będziemy Żydami, tylko własnymi.

Byłoby pięknie tak żyć podług siebie, nikomu się nie tłumaczyć, nie mieć nad sobą pana, nie bać się Kozaka, z Kościołem dobrze trzymać, ziemię uprawiać, handlować, dzieci rodzić, mieć własny sad i sklep, choćby najmniejszy. Uprawiać za domem ogród, zbierać warzywa.

– A widziałaś synagogę w Husiatynie? – odzywa się do Hawy poniewczasie stary i głuchy Lewiński. – Nie widziałaś? Aja jaj! To nic nie wiesz. Bo ta jest największa i najpiękniejsza.

Za oknem dzieci bawią się hałaśliwie. Walczą na niby na kije i strzelają z armat, którymi są stare łodygi arcydzięgla. Bawią się dzieci żydowskie i chrześcijańskie z pobliskiej wsi, które tu, ciekawe, przychodzą. Już rozdzieliły między siebie role, nie bacząc na pochodzenie. Jedni są Tatarami, drudzy Moskalami. W bitwie na kije i trzciny znikają wszelkie różnice.

O masztalerzu i nauce języka polskiego

Słowo „masztalerz” bardzo śmieszy Jakuba.

Polskiego uczą się popołudniami, w grupach, kobiety i mężczyźni razem. Uczy ich Chaim Warszawski i drugi Chaim, młody, od Szorów. Zaczynają od zwyczajnych rzeczy: stół, nóż, łyżka, talerz, kubek. Mówią: „Daj mi nóż. Weź ten kubek. Daj talerz. Masz talerz”.

Ale przecież „masztalerz” to koniuszy, opiekun koni, Jakub zna to słowo i teraz bardzo go bawi ta zbieżność. W czasie kolacji podaje Nachmanowi talerz i mówi:

– Masz talerz.

Wszyscy, którzy wiedzą, o co chodzi, wybuchają śmiechem. Ale sam Nachman nie.

Jakub dostał od Szorów tę polską książkę i teraz na niej uczy się czytać. Pomagała mu Wittel, ale czytać po polsku sama dobrze nie umie, więc zatrudniono nauczyciela. Jest to młody guwerner z pobliskiego dworu. Przychodzi co drugi dzień. Czytają o zwierzętach. Pierwszy fragment, który Jakub potrafi sam przeczytać, jest o tym, które zwierzęta były w korabiu Noego:

> Zwierzęta ex putri materia, albo z zgnilizny mnożące się, nie były, iako to Glisti, Pchły, bo te zawsze mogą genus suum reparare[12], choć wyginą; gdziekolwiek się co zepsuie, zginie, w lot tam robactwo zrodzi się. Nierembergius Autor

w *Historyi Naturalney* mniema, że tych Zwierząt Pan BÓG nie stworzył, ale ich jest Matką korrupcya albo zgnilizna.

Trudno zrozumieć, o co chodzi, kiedy się czyta po polsku. Dziwny to język.

O nowych imionach

Tak jak najpierw Jakub wybrał siedem spośród kobiet, tak jakiś czas potem wybiera dwunastu zaufanych spośród mężczyzn. Każe im sobie przybrać imiona apostołów wzorem Ewangelii, którą tu, w Iwaniu, co wieczór się czyta.

Najpierw bierze Jakub Nachmana i stawia go po swojej prawej ręce, i odtąd Nachman będzie Piotrem. Po drugiej stronie ustawia starego Moszego – i on jest drugim Piotrem. Potem jest Osman z Czerniowców i jego syn, będą nazywać się Jakub Major i Jakub Minor. Następnie w specjalnym miejscu, jakby pośrodku, ustawia Szloma Szora, który już wcześniej używał imienia Franciszek i nazwiska Wołowski. Za nim stoi Krysa, który przybrał sobie imię Bartłomiej. I dalej, z drugiej strony, jest Elisza Szor, nazwany teraz Łukaszem Wołowskim, a po jego obu stronach – Jehuda Szor, teraz Jan Wołowski, oraz Chaim z Warszawy, nazwany Mateuszem. I są jeszcze Herszełe jako Drugi Jan, a także Mosze z Podhajec nazwany Tomaszem i Chaim z Buska, brat Nachmana, nazwany Pawłem.

Szlomo Szor, czyli Franciszek Wołowski, najstarszy syn Eliszy, prowadzi dla wszystkich swoje nauki o imionach. Niech każdy myśli o nowym, chrześcijańskim. Wylicza im na palcach dwunastu apostołów, ale sam każe na siebie mówić Franciszek. Kim był Franciszek? – pytają go.

– Mnie się to imię podobało ze wszystkich najbardziej – mówi. – I wy wybierzcie swoje nowe imię starannie i bez pośpiechu. Do swoich nowych imion nie przywiązujcie się. Ani do kraju, ani do języka, choć trzeba nim mówić. Imiona zapewne powstają jeszcze przed narodzinami;

dźwięk, który je tworzy, odpowiada pewnemu akordowi wszechświata. To jest prawdziwe imię. Te zaś, które nosimy na ulicy, na rynku, jadąc bryką po błotnistej drodze, albo te, którymi wołają nas inni, te są tylko na przyczepkę. To imiona pożyteczne jak robocze ubranie, które wkłada się do pracy. Nie ma się co do nich przywiązywać. Przyjdą, pójdą, jak wszystko. Raz tak, raz siak.

Ale Wittel nie daje to spokoju. Pyta kiedyś Jakuba:

– Przecież trzeba myśleć o sobie jakimś imieniem. Trzeba móc powiedzieć: ja, Wittel, ja, Jakub, prawda? To jak się nazwać przed samym sobą?

Jakub odpowiada, że on sam od razu myślał o sobie „Jakub”, zawsze nazywał siebie w myślach Jakubem. Ale nie j a k i m ś Jakubem, tylko t y m Jakubem, jedynym.

– Tym, który we śnie zobaczył drabinę... – domyśla się Wittel.

Lecz Jakub zaprzecza:

– Nie, nie. Tym, który założył na siebie skórę zwierzęcia i podstawił się pod dłoń ojca, żeby ta wzięła go za kogo innego, za ukochanego Ezawa.

Jenta to wszystko widzi z góry, patrzy, jak imiona oddzielają się od ludzi, którzy je noszą. Na razie nikt sobie z tego nie zdaje sprawy i wszyscy na siebie ufnie wołają po staremu: Chaim, Sprynełe, Lea. Ale te imiona straciły już blask, zmatowiały, podobne są do wężowej skórki, z której przed linieniem odpływa życie. Tak jest z imieniem Pesełe, zsuwa się z dziewczyny jak za duża koszula, a tam pod spodem dojrzewa już imię Helena, na razie jeszcze cieniutkie, jak skóra powstała po oparzeniu – zupełnie nowa i prawie przezroczysta.

Wajgełe brzmi teraz niedbale i nijak się ma do tej drobnej, chudej, choć silnej dziewczyny, o zawsze gorącej i suchej skórze, dziewczynie, która z koromysłem na ramionach niesie teraz wodę. Pełne wiadra. Wajgełe, Wajgełe. Jakoś przestało pasować. Tak samo imię Nachman wydaje się za duże dla jej męża; przypomina starą kapotę.

To właśnie on pierwszy każe na siebie mówić „Piotr” i dodaje do tego „Jakubowski”, czyli ten od Jakuba. Piotr Jakubowski.

To gubienie imion w iwańskiej trawie mogłoby budzić niepokój, jak zawsze wtedy gdy widzi się rzeczy jednorazowe, byty przemijalne, ulotne, ale Jenta widzi jednocześnie mnóstwo rzeczy, które się powtarzają. Otóż powtarza się ona sama. Powtarza się jaskinia. Powtarzają się wielka rzeka i jej przechodzenie w bród. Powtarzają się śnieg, ślady sań, równoległe do siebie, znaczące odkrytą, szeroką przestrzeń niepokojącym dwuznakiem. Powtarza się plama na śniegu, żółtawa, nieprzyjemna. Powtarzają się gęsie piórka w trawie. Czasami czepiają się ubrań ludzi i wtedy wędrują z nimi.

O Pinkasie, który schodzi do piekła w poszukiwaniu córki

Pinkas, sekretarz, który bierze udział w spotkaniach rady, przysłuchuje się dyskusjom uważnie i nie uroni ani jednego słowa. Rzadko ma śmiałość się odezwać, boi się, że głos mu zacznie drżeć i że nie będzie mógł opanować płaczu. Nie pomagają żarliwe modlitwy ani kura, za pomocą której jego żona zdejmowała z niego ewentualne uroki. Kura została oddana biednym wraz z całą zawartością kurzu i brudu, którym była pokryta dusza Pinkasa.

Dla Pinkasa zawsze było oczywiste, że wyjście z prawdziwej religii i przyjęcie nowej oraz chrzest są czymś najgorszym, co może się przydarzyć prawdziwemu Żydowi i Żydowi w ogóle. Samo mówienie o t y m jest grzechem straszliwym. Czynu to już sobie Pinkas nie wyobraża – to tak jak umrzeć, a nawet gorzej niż umrzeć. Utopić się w wielkiej wodzie, być martwym topielcem, a jednak żyć – tylko po to, żeby doświadczać hańby.

Dlatego gdy Pinkas spisuje dokumenty i kiedy jego pióro natrafia na słowo „szmad”, czyli „chrzest”, dłoń nie chce go nawet napisać i wzbrania się przed szin, mem i daleth, jakby to nie były niewinne litery, ale jakieś zaklęcia. Przypomina mu się za to historia innego odszczepieńca, Nechemiasza Hajona, o którym stało się głośno, gdy Pinkas był młody. Ten też sprzyjał szabtajskim pomysłom i wyklęty przez swoich, włóczył się po całej Europie, a zewsząd był wypędzany.

Tylko trzaskały przed nim zamykane drzwi. Ponoć kiedy przybył do Wiednia, chory i zmęczony, wiedeńscy Żydzi też zamknęli mu drzwi przed nosem i nie było nikogo, kto odważyłby się dać mu chociaż kubek wody. Siadł wtedy Hajon na jakimś podwórku, wprost na ziemi, i płakał, i nawet nie przyznał się, że jest Żydem, tak było mu wstyd, a kiedy go przechodnie pytali, co mu jest, mówił, że jest Turkiem. Żaden szabtajczyk, jak Europa długa i szeroka, nie mógł znaleźć u porządnego Żyda ani gościny, ani jedzenia, ani dobrego słowa, nic. Ale wtedy tych odstępców było mało. Dziś znalazłby swojego w każdym mieście.

Ostatnio był świadkiem, jak na zebraniu rady rabini mówili o księdze tych odszczepieńców, którą ci mają za świętą. Choć „mówili” to za duże słowo; raczej o niej bąkali, wymieniali się półsłówkami. Pinkas, który zebranie protokołował, tylko wyciągał uszy, bo kiedy mówili o tej diabelskiej księdze, kazali mu przestać pisać. Rabin Rapaport, ten święty człowiek, powiedział tylko, iż wystarczy przeczytać dwa, trzy akapity, żeby włosy stanęły dęba na całym ciele – tyle bowiem zawiera ten tekst przeklęty bluźnierstw przeciwko Bogu i światu i wszystko w nim jest postawione na głowie. Niczego podobnego nikt nie zna. Każde pojedyncze słowo tego obrzydliwego tekstu powinno być starannie wymazane.

Pinkas przemyka drobnym krokiem pod odrapaną ścianą kamienicy do miejsca, gdzie można wynająć furę. Ściana pokryta wapnem zostawia na jego rękawie białawy ślad. Ktoś mu niedawno mówił, że widział Gitlę na rynku. Że była ubrana jak służąca i miała w ręku koszyk. Ale może to nie była Gitla, tylko ktoś do niej bardzo podobny. Dlatego Pinkas, kiedy kończy pracę u rabbiego Rapaporta, nie idzie prosto do domu, ale jeszcze chodzi po ulicach Lwowa i zagląda kobietom w twarz, aż niektóre biorą go za jakiegoś starego lubieżnika.

Spotyka po drodze pochylonych ku sobie znajomych, starych kupczyków, którzy z wyrazem przejęcia na twarzy dyskutują podniesionymi głosami. Dołącza do nich i znowu słyszy to samo, o czym już od wczoraj huczy całe miasto.

Dwóch Żydów z Kamieńca Podolskiego przebrało się za chłopów i uzbrojeni w piki, próbowali porwać córkę jednego z nich, która poszła

za mąż za Lejbę Abramowicza i już była wraz z dzieckiem przygotowywana do chrztu. I obili ich oboje, męża i żonę. Nawet gdyby ją mieli zabić, byłoby to słuszniejsze, niż pozwolić na chrzest.

Dlatego Pinkas nie bardzo rozumie, kiedy dyskusja rabinów idzie w inną stronę. Powołują się przy tym na pewien list, w którym mówi się, że trzeba się od tych odszczepieńców odciąć, pozbyć się ich jak kończyny zaatakowanej gangreną, wypchnąć ich ze świętej wspólnoty na zawsze, potępić i w końcu sprawić, by odeszli w niepamięć. Niech imiona ich będą zapomniane. Zna ten list na pamięć, bo przepisywał go setki razy:

Abraham ha-Kohen z Zamościa do Jakuba Emdena w Altonie

Święta wspólnota Lublina zapłaciła wiele za lekarstwo dla świata dotkniętego zarazą. Nasi mędrcy, którzy się zebrali w Konstantynowie, by radzić o tej sprawie, uznali, że nie ma w tej kwestii innego sposobu, jak użyć podstępu i zmusić tych dotkniętych zarazą do chrztu, jako że napisane jest: „Ludzie będą żyli osobno". Niechże ta zaraza na zawsze zostanie odcięta od dzieci Izraela. I, dzięki Bogu, niektórzy z nich już się ochrzcili, w tym przeklęty Elisza Szor, niech imię jego będzie wymazane z pamięci. A na tych, którzy jeszcze się nie przechrzcili i wciąż noszą żydowski strój, a także przychodzą na modły do domów modlitw, będziemy pilnie baczyć i kiedy tylko odkryjemy ich ukryte zamiary, zawiadomimy o nich władze chrześcijańskie. Dlatego już wysłaliśmy naszego posłańca do Lwowa, aby dotarłszy tam jeszcze przed przybyciem sekty tych złoczyńców, dostąpił przyjęcia przez nuncjusza papieskiego i tam zdał mu sprawozdanie. Oby zdarzyła się sposobność do osadzenia tych niszczycieli, psów, odszczepieńców pracujących przeciw Bogu w więzieniu i nałożenia na nich klątwy, jak to zrobiliśmy kilka lat temu z niejakim Moszem z Podhajec i ich przeklętym przywódcą: Jakubem Frankiem.

Pinkas jest głęboko przekonany, że rację ma stara tradycja ojców, by w sprawach związanych z Szabtajem Cwi nic nie mówić; ani dobrze, ani źle; ani przeklinać, ani błogosławić. Coś, o czym się nie mówi, przestaje istnieć. Kontempluje tę mądrość, siedząc na trzęsącej się furze przykrytej płachtą barchanu. Oto jak wielka jest siła słowa: tam gdzie go zabraknie, znika świat. Obok niego siedzą jakieś wystrojone chłopki,

wygląda, że jadą na wesele, i dwoje starszych Żydów, on i ona. Zaczepiają go nieśmiało, ale Pinkasowi nie spieszy się do rozmowy.

Po co mówić? Gdyby chcieć się kogoś pozbyć ze świata, to nie za pomocą miecza ani ognia, ani żadnego gwałtu. Trzeba o tym kimś milczeć, nigdy nie nazywać go po imieniu. W ten sposób sczeźnie na zawsze w niepamięci. A każdemu, kto by się chciał o niego dopytywać, trzeba pogrozić cheremem.

Zatrzymuje się w Borszczewie u rabina jako posłaniec rabbiego Rapaporta. Przywiózł ze sobą całą torbę pism i listów. Także ten o odszczepieńcach. Czytają go wobec wszystkich członków gminy wieczorem w ciasnym pomieszczeniu, gdzie pod sufit ulatują małe kawałeczki sadzy z kopcących świec.

Na drugi dzień Pinkas idzie do borszczewskiej mykwy. Jest to buda o oknach zabitych deskami, z zapadniętym dachem. W środku podzielona na dwie części – w jednej z nich, czarnej od sadzy, odymiony kościsty łaziebny wrzuca teraz do pieca bukowe polana i podgrzewa wodę w kotle, w drugiej zaś, w półmroku, stoją dwie drewniane wanny dla kobiet. Dalej jest wkopany w ziemię zbiornik o pojemności czterdziestu wiader. Na jego obwodzie – pogorzelisko świec. Nierówna warstwa stearyny i łoju otacza basenik śliską, pachnącą obwódką pełną czarnych resztek knotów. Pinkas zanurza się w letniej wodzie siedemdziesiąt dwa razy, potem kuca, tak że woda podchodzi mu do podbródka. Przygląda się szpakowatej chmurze własnej brody, która się unosi na powierzchni. Żebym ją odnalazł, myśli i powtarza w myślach te słowa: Żebym ją odnalazł, odnalazł, żebym ją odnalazł całą i zdrową, wybaczę jej, żebym ją odnalazł, to dziecko, to dziecko o delikatnej duszy, żebym ją odnalazł.

Trwa to długo, ta rwana, pełna niepokoju modlitwa w tajemnicy, bo nikt nie wie o zamiarach Pinkasa. Orientuje się, że jest późno, gdy zaczyna drżeć – kościsty, umorusany łaziebny gdzieś zniknął, a ogień pod kotłem przygasł zupełnie. Pinkas jest sam w mykwie. Wyciera się szorstkim płóciennym ręcznikiem, aż boli go skóra. Następnego dnia, ufny w pomoc Bożą, udając, że wraca do Lwowa, wynajmuje nędznego furmana i jego wóz i rusza w stronę Iwania.

Im bliżej Iwania, tym większy ruch. Widzi wozy załadowane sprzętami, potem całą furę z worami mąki przykrytymi derą i duży kosz orzechów, a przy nim dwóch mężczyzn gadających do siebie; nie zwracają na nikogo uwagi. Widzi rodzinę, która ciągnie gdzieś od Kamieńca, z całym dobytkiem na furze, z kilkorgiem dzieci. To oni, myśli. Czuje do nich wstręt, wydają mu się brudni – ich kapoty, ich pończochy, bo niektórzy noszą się jak chasydzi, inni znowu jak chłopi, w chłopskich sukmanach. Jakże musiał zgrzeszyć, że jego córka jest pomiędzy nimi.

– A tyś kto? – pyta go nieprzyjaźnie osiłek przy zbitej z drewna bramie, starannie przyozdobionej gałęziami świerczyny. Teraz igły się wykruszyły i nagie gałęzie wyglądają jak kolce, jak zasieki.

– Żyd jak ty – mówi spokojnie Pinkas.

– A skąd?

– Ze Lwowa.

– Czego chcesz od nas?

– Szukam swojej córki. Gitla... Wysoka... – Nie wie, jak ją opisać.

– Nasz jesteś? Prawowierny?

Pinkas nie wie, co odpowiedzieć, walczy ze sobą, wreszcie mówi:

– Nie.

Osiłek czuje chyba respekt przed tym starszym, dobrze ubranym mężczyzną. Każe mu poczekać i po dłuższej chwili przyprowadza jakąś kobietę. Ta ma jasny fartuch i klucze przy suto marszczonej spódnicy. Twarz w czepcu, jakie noszą chrześcijanki, jest skupiona i czujna.

– Gitla – mówi Pinkas i jego ton w sposób niezamierzony robi się błagalny. – Odeszła w zeszłym roku, wtedy gdy... – nie wie, jak go nazwać – on jeździł po wsiach. Widziano ją w Busku. Wysoka, młoda.

– Ja cię skądś znam – stwierdza kobieta.

– Ja jestem Pinkas Abramowicz ze Lwowa, jej ojciec.

– Tak, już wiem, kim jesteś. Nie ma tu twojej Gitli. Nie widziałam jej już z rok.

Hawa ma ochotę dodać coś przykrego. Ma ochotę splunąć mu pod nogi. Powiedzieć na przykład: „Może pietuszą ją Turcy?”. Ale widzi, że

z mężczyzny uchodzi powietrze, jego pierś zapada się, a on maleje nagle. Przypomina jej ojca. Mówi, żeby poczekał, potem przynosi mu trochę jedzenia, ale starego już nie ma przy bramie.

Antoni Moliwda-Kossakowski pisze do Katarzyny Kossakowskiej

Moliwda w Łowiczu siada do stołu i macza pióro w atramencie. Od razu robi mu się wielki kleks, zawsze uważa kleks za jakieś ostrzeżenie. Sypie nań piaskiem, a potem delikatnie zdrapuje z papieru czubkiem nożyka. Zabiera mu to chwilę. Zaczyna:

Jaśnie Wielmożna Pani Dobrodziejko,

Wielkie zasługi będziesz miała, Pani, w niebie za te starania w sprawie antytalmudystów, którzy ściągają już do Lwowa w wielkiej liczbie i niby jacyś Cyganie na przedmieściu, wprost na ziemi rozkładają obozy – tak się garną do nowej wiary. Ale Ty, Mościa Dobrodziejko, jako człowiek bystry i umysłu szybkiego, dobrze wiesz, że nie stoi za tym tylko nagle przebudzona miłość do krzyża, ale i inne względy, może nie tak wzniosłe, choć bardzo ludzkie i zrozumiałe.

Doszło mnie tutaj, że oni jeszcze jedną napisali suplikę, i dobrze, że cudem jakimś przez moje ręce przejść musiała. Gdym rzucił okiem na podpisy, ujrzałem: Salomon ben Eliasz Szor z Rohatyna i Jehuda ben Nussen, czyli Krysa z Nadwornej, petycję tę wysmażyli.

Krew mi uderzyła do twarzy, gdym to czytał. Bo czego oni się domagają?

Najpierw skarżą się, że siedzą w ciasnocie we wsiach biskupa kamienieckiego, że żyją z jałmużny i wsparcia braci z Węgier, że jeść nie mają co ani pracy żadnej. Potem – tu Ci zacytuję: „Żądamy najpierw osiąść w Busku i Glinianach, jako w miejscach w środku prawowiernych zostających, w których przystojnych sposobów do przeciągnienia i szukania pożywienia szukać będziemy, czy handlem, czy z pracy rąk, byle bez obrazy Boskiej. Nie spodziewamy się bowiem, aby który z naszych miał osiadać w karczmach; przez szynki, posługę pijaństwu i wycieńczenie krwi chrześcijańskiej szukać chleba sobie, do czego talmudystowie przywykli”.

I dalej stawiają warunki, że po chrzcie nadal chcą żyć we wspólnocie swojej, że pejsów nie chcą ścinać, że szabat chcą obchodzić, ale i niedziele, i imiona swoje żydowskie chcą zostawić przy nowych katolickich, nie będą jeść wieprzowiny, wolno im będzie się żenić tylko między sobą i zachować swoje święte księgi, zwłaszcza Zohar.

Jakże miałem ten list pokazać prymasowi? Na dodatek odbili go w drukarni i na wiele języków przetłumaczyli. Zreferowałem więc sprawę ogólnie, listu samego nie czytając, na co prymas odrzekł, co traktuję jako ostateczne: „Co ich tam słuchać. A dysputa, dobrze, ale zaraz po dyspucie chrzest. Bez stawiania warunków. Po chrzcie się obaczy, jak żyją, jakimi chrześcijanami są. Niech nie zwlekają więcej".

Gdybyś mogła, Pani, jako żeś w niedalekości od Iwania, przestrzec Jakuba, że zmarnuje szansę daną i jemu, i jego ludziom, jeżeli pozwoli na takie nagłe zwroty, i reprymendę jakąś wobec niego zastosować.

Przestrzec Cię jeszcze muszę przed biskupem Sołtykiem, chodzą bowiem słuchy, że długi straszne porobiwszy, znalazł się w bardzo przykrym położeniu i wrażliwy jest na różne wpływy. Dlatego nie stroni od przyjmowania podarków, co jest w tym kraju powszechne. Na podarkach Rzeczpospolita stoi, każdy daje każdemu, licząc na protekcję, na pomoc jakąś, na wsparcie. I tak to już jest, o czym na pewno sama Waćpani wiesz najlepiej. Kłosy najwyżej się podnoszące są najpróżniejsze. Tak też ci, którzy pychą i dumą nad innych się wywyższają, są głowy czcze, a najmniej mają rozumu, zasług i sprawności. Dlatego przestrzec Cię muszę, Waćpani, że intencje biskupa są plecione z różnych wstążek, jedne piękne i czyste, inne wytaplane w błocie i zszargane. Doniesiono mi, że w Warszawie z naszym królewskim kasjerem się spotykał...

Katarzyna Kossakowska do Antoniego Moliwdy-Kossakowskiego

...Ty na biskupa naszego Kajetana nie nagaduj, boć jest oddany naszej sprawie. Wiem, że wiele on spraw trzyma za ogon niczym gracz przebiegły i sympatią go specjalną darzyć nie muszę, lecz rzecz to niebezpieczna pokazać, iż rozum mamy nad takimi, co zdania swoje mają za nieomylne. Bierzmy z niego, co ma najlepszego.

Jest i inny entuzjasta – udało mi się przekonać do naszej sprawy pana Jabłonowskiego, męża mojej drogiej przyjaciółki. A jako że ten zawsze do wszystkiego przystępuje nader metodycznie, od razu zaczął wymyślać wielką socyalną ideę – ażeby w jego dobrach utworzyć małe państwo żydowskie, nad którym on miałby pieczę, i tak się do pomysłu swojego zapalił, iż teraz jeździ po majątkach i próbuje wszystkich przekonać do tej idei. Mnie by się ten pomysł podobał, gdyby nie to, że pan Jabłonowski dość chimeryczny i niestały, a taki twór wymagałby wielu starań i podchodów. Książę naczytał się o Paragwaju, kraju w Ameryce, który z takiej samej biedoty i dzikusów został stworzony, a którego istnienie tak fascynuje Jabłonowskiego, że o niczym innym od jakiegoś czasu nie rozprawia. Ale ja się pytam, z czego się więc tam panowie utrzymują, a książę mi odpowiada, że panów tam nie ma i wszyscy jak wobec Boga, tak i w posiadaniu równi. To nie dla mnie więc!

Pan Jabłonowski znany jest ze swojego wielkiego mniemania o sobie. Nosi się z królewska, z zadartą głową, tak że się często o własne nogi potyka. Dobrze, że ma żonę taką, jaką ma, rozsądną i mądrą, która traktuje go jak przerośnięte dziecko i wyskoki jego dziwaczne ignorować raczy. Sama widziałam u niego obraz wielki, z przedstawieniem Matki Boskiej, która mówi „Couvrez–vous mon cousin”[13] i przed którą on sam namalowany został, jako uchylający czapki.

Dołączył też do nas Jerzy Marcin Lubomirski, który zgodził się przyjąć w swoje dobra stu pięćdziesięciu neofitów i tam ponoć gościnę im ofiaruje, jako że znany z hojności (a niektórzy mówią: rozrzutności) wielkiej, i stał się on wielkim orędownikiem sprawy, podobnież jak biskup Załuski...

O krzyżu i tańcu w otchłani

Po południu tego samego marcowego dnia przywożą z Kamieńca krzyż, prezent od biskupa, i list z zaproszeniem.

Jakub najpierw namawia się z rabbim Mojszem, a potem, dość poruszony, każe się wszystkim zebrać w świetlicy po zmroku. Sam przychodzi ostatni, odświętnie ubrany w tureckie suknie i z wysoką czapką na głowie, przez co wydaje się jeszcze większy. Kobiety ustawiają się w szeregu, a on z krzyżem staje pośrodku.

– Świat jest zapieczętowany pieczęcią krzyża – mówi Jakub.

Najpierw przykłada go do głowy i długo milczy, a potem rusza przez świetlicę, w jedną i drugą stronę, kobiety za nim, mężczyźni zaś ustawiają się rzędem, każdy wspiera się na ramionach poprzedniego i podążają za Jakubem i kobietami, śpiewając. Potem Jakub, jakby się zapamiętał, trzymając krzyż za wstęgę, rzuca go w każdą stronę po kolei, tak że oni muszą przed nim uskakiwać, ale łapią go instynktownie, bo nie wiadomo, czy ten krzyż jest groźny, czy przyjazny, więc kiedy go łapią i przez chwilę trzymają, a potem oddają go Jakubowi, to przypomina to jakąś grę. W końcu rabbi Mosze, który postępuje tuż za Jakubem, zagania ich do kupy i każe chwycić jeden drugiego, wesprzeć się na sobie, a wtedy Jakub zaczyna wielkim głosem powtarzać znaną modlitwę: „Forsa damus para verti, seihut grandi asser verti”. Wszyscy to za nim powtarzają, nawet ci, co biorą te słowa za zaklęcie, które na pewno uchroni ich od złego. I tak tańczą wczepieni w siebie coraz szybciej, aż ciąg powietrza gasi wszystkie lampki. Zostaje tylko jedna, umieszczona wysoko, i teraz światło oświeca im tylko czubki głów, więc wygląda to tak, jakby tańczyli w jakiejś mrocznej otchłani.

20

Co widzi Jenta spod sklepienia katedry lwowskiej 17 lipca 1759 roku

Bilet nie kosztował wiele, zaledwie bitego szóstaka, więc nic nie powstrzymało gawiedzi przed wejściem tłumnie do katedry lwowskiej. Ale choć ona ogromna, to i tak by się wszyscy zainteresowani nie zmieścili. Bo chętnie by weszli ci wszyscy wciąż koczujący na Halickim Przedmieściu, zwłaszcza te tłumy sabsaćwinników i biedoty żydowskiej, ale także miejscowi lwowscy, drobne kupczyki, przekupki, młodzież. Wielu z nich nie miałoby jednak i tego szóstaka, a jeżeli już jakimś cudem by go zdobyło, wolałoby go wydać na bułkę.

Porządku wokół katedry pilnuje straż z garnizonu lwowskiego. Dzięki przezornemu rozporządzeniu księdza administratora generalnego dotyczącemu biletów w środku jest miejsce i zajmują je teraz mieszczanie lwowscy oraz ci, którzy specjalnie przyjechali spoza miasta: jest starosta rohatyński Łabęcki i jego żona Pelagia, obok nich siedzi ksiądz dziekan Benedykt Chmielowski i dalej kasztelan kamieniecki Kossakowski z żoną Katarzyną. I inni możni z całej okolicy.

Jest też wielu Żydów – widok to niecodzienny w katolickim kościele – i młódź wszelakiego pochodzenia, która przyszła tu z czystej młodzieńczej ciekawości.

Na samym przodzie, w pierwszych rzędach, siedzą teologowie z różnych zakonów, a także księża i dygnitarze kościelni. Dalej za nimi zwykły kler. W ławkach ustawionych pośrodku dwurzędowo, w półkolu po prawej stronie stają kontratalmudyści, nieduża grupka, około dziesięciu, gdyż reszta z Iwania przybyć nie mogła z powodu braku wozów, jak się tłumaczą. Jehuda Krysa z Salomonem Szorem stoją na samym przedzie. Bystra twarz Krysy, przecięta na pół blizną, przyciąga wzrok. Szlomo, wysoki, smukły, w bogatym płaszczu, budzi respekt. Naprzeciwko – talmudyści, wszyscy podobni do siebie jak jeden mąż:

brodaci, czarni, w swoich szatach obszernych i – co zauważa Aszer stojący niedaleko wejścia – o jedno pokolenie od nich starsi. Ci wyznaczyli już trzy osoby do bezpośredniej dysputy: Nutkę, rabina z Bohorodczan, rabina lwowskiego Rapaporta oraz Dawida, rabina stanisławowskiego. Aszer staje na palcach i szuka wzrokiem tego Jakuba Franka, wreszcie chciałby go dojrzeć, ale nie widzi nikogo, kto mógłby na niego wyglądać.

Pośrodku, na podwyższeniu – sam administrator lwowski, ksiądz Mikulski, zdenerwowany i spocony, w cudnych fioletach, oraz dostojnicy koronni, a wśród nich ordynat Zamoyski, margrabia Wielopolski, Lanckoroński i Ostroróg, wszyscy w strojnych fałdzistych kontuszach przewiązanych tureckimi pasami; rozcięte rękawy odrzucone na plecy odsłaniają równie kolorowe jedwabne żupany.

Jenta patrzy na nich spod sklepienia, widzi morze głów, główek, kapeluszy, czapek i zawojów, kojarzy jej się to z wysypem grzybów – różnych opieniek rosnących grupami, podobnych do siebie, kurek o fantazyjnych kapeluszach i mocno wrośniętych w ziemię potężnymi nóżkami samotnych borowików. Potem Jenta robi szybki ruch i jej wzrok spływa w dół, do rozpiętego na krzyżu półnagiego Chrystusa – Jenta patrzy teraz przez oczy tej drewnianej twarzy.

Widzi mężczyzn skupionych na zachowywaniu powagi i spokoju, choć to jasne, że nie są spokojni. Może ten jeden, który siedzi w środku, najbardziej kolorowy, ten myśli o jakiejś kobiecie, która została w łóżku, a właściwie o jej ciele, dokładnie jednym miejscu w jej ciele, pachnącym i wilgotnym. I ci dwaj koło niego też nie są myślami w katedrze. Jeden jest przy ulach z pszczołami: wyroiły mu się, rój osiadł na lipie, czy uda się go zdjąć? Drugi w myślach przebiega jakieś rachunki, mylą mu się słupki i ciągle wraca na sam początek. Wszyscy oni mają na głowie sarmackie czapy spięte szpilą z wielkim klejnotem, z pawim piórem, kolory ich strojów są papuzie, wesołe, pewnie dlatego wszyscy trzej marszczą czoła, ściągają groźnie brwi, żeby rozpasane kolory ubioru zrównoważyć srogością twarzy. Ci są najbardziej dostojni.

Dyskutanci, ci po lewej, to rydze – ich czapy przypominają te grzyby. Rydze najchętniej dałyby stąd dyla. Znalazły się tutaj zagrożone karą więzienia lub grzywny. Cała sprawa jest dla nich z góry przegrana, ich

argumenty nie będą zrozumiane ani wysłuchane do końca. Ci po prawej zaś to opieńki, trzymają się razem, ich ubiory są bure i biedne, stoją ściśnięci i ich tłumek faluje, co chwilę ktoś wychodzi, potem przeciska się z papierami w ręku; płyną od nich zacietrzewienie i złość, ale spodziewają się tryumfu. Jencie nie podobają się, choć poznaje wśród nich swoich krewnych, co teraz jednak nie ma większego znaczenia. Bo jeśli Jenta miałaby w ten sposób patrzeć na sprawę pokrewieństwa z nimi, to ujrzałaby, że właściwie i tu, i tam, poza katedrą i w całym mieście, i w małych wioskach, które wyrosły wokół miasta, wszędzie są jacyś jej krewni.

Po powitaniach i odczytaniu długiej listy tytułów zaczyna przemawiać gospodarz tej dysputy – ksiądz Mikulski. Mówi trochę nerwowo, ale pomaga mu cytat z Ewangelii, który go zakotwicza w morzu pełnym słów, i mając za sobą Pismo Święte, zaczyna przemawiać pewnie i bez zająknięć, a nawet ze swadą. Przedstawia oto kontratalmudystów jako zagubione owieczki, które po długiej tułaczce odnalazły swojego pasterza, który zechciał się nad nimi pochylić.

Potem na środek wychodzi Antoni Moliwda-Kossakowski, szlachcic, tak go przedstawia sekretarz, rzecznik kontratalmudystów. Słusznej postury, z lekko wystającym brzuchem, łysiejący mężczyzna o wodnistych oczach nie robi może najlepszego wrażenia, ale kiedy zaczyna mówić, skupia uwagę wszystkich i robi się cicho jak makiem zasiał. Głos ma donośny i dźwięczny, ciepły i moduluje go tak pięknie, że chwyta ludzi za serce. Mówi ł a d n i e, choć dosyć zawile, za to z wielkim przekonaniem, a ludzie bardziej ufają melodii niż słowom. Od razu zwraca się do wszystkich Żydów, których nawołuje do nawrócenia się. Po każdym zdaniu zostawia pauzę, żeby dłużej wisiało pod sklepieniem. I rzeczywiście, każde zawisa w wielkiej przestrzeni kościoła jak topolowy puch.

– Nie z zemsty, złości i złem za złe odpłacenia duchem pobudzeni stajemy tu naprzeciw twarzy waszych, ani dla tych przyczyn Boga, serc rozumnych Stworzyciela błagaliśmy, aby was tu zwołali. Nie dlatego stajemy tutaj, ażebyśmy sądu boskiego, sądu sprawiedliwego wzywali,

ale by zmiękczył twarde serca wasze i do uznania prawa boskiego doprowadził...

I taka jest cała jego przemowa – patetyczna i górnolotna. Tłum jest wzruszony, Jenta widzi ten powtarzający się co chwila ruch chusteczek podnoszonych do oczu i wie, co to za emocje. Bo rzeczywiście, ci kontratalmudyści, którzy siedzą pod ścianą, wydają się jacyś marni i biedni naprzeciw odzianych, mimo lata, w długie futra i futrzane czapy rabinów. Wydają się dziećmi wygnanymi z własnego domu, zagubionymi owcami, obcymi wędrowcami, zmęczonymi i mizernymi, którzy pukają do drzwi. I niby to Żydzi, ale przecież przez samych swych braci prześladowani, wyklęci, nigdzie nieprzynależni. I w tym swoim pognębieniu ich ciemne dusze, niczym pędy wyrosłe w piwnicy, instynktem swym szukają światła i wyginają się ku niemu, biedne. Jakże ich nie przyjąć na łono chrześcijańskie, łono obszerne, katolickie, swojskie?

Wydają się poczciwi: Jeruchim z Jezierzan, Jehuda z Nadwornej zwany Krysą, Mosze Dawidowicz z Podhajec. Oni będą mówić. Potem Hirsz z Lanckorunia, zięć Eliszy Szora, mąż Chai, która stoi pod ścianą, i w końcu Elisza Szor z Rohatyna z synami, wśród których najbardziej rzuca się w oczy Szlomo ze swoją kręconą czupryną i jaskrawym płaszczem. Dalej są Nussen Aronowicz Lwowczyk, ubrany po turecku, i Szyla z Lanckorunia, stanowią coś w rodzaju sekretariatu. Przed nimi piętrzą się papiery, stoi kałamarz i leżą wszelkie przybory do pisania. Na samym końcu, przy osobnym stoliku, siedzi Nachman z Buska z Moliwdą – tłumacze. Nachman jest ubrany z turecka, ciemno i skromnie. Drobny, nerwowo zaciera ręce. Moliwda poci się w eleganckim ciemnym ubraniu.

Za nimi kłębi się tłum, kolorowy, spocony – żony, siostry, matki i bracia, wszyscy ściśnięci i onieśmieleni.

Po prawej stronie, w ławkach dla talmudystów, nie jest już tak tłumnie. Siedzi tam kilkunastu dostatnio ubranych, dostojnych starszych rabinów, prawie nie do odróżnienia od siebie, chyba po długości i bujności bród. Lecz oko Jenty rozpoznaje rabina Rapaporta ze Lwowa, Mendla, rabina satanowskiego, rabina międzybożskiego Lejbę i Berka, rabina jazłowieckiego. Jos Krzemieniecki, rabin z Mohylewa, siedzi na

skraju ławki i kiwa się w przód i w tył z zamkniętymi oczami, nieobecny duchem.

Zaczyna się czytanie punkt po punkcie manifestu, który został na tę okoliczność wydrukowany. A kiedy przychodzi do dyskusji nad pierwszym punktem, gawiedź od razu orientuje się, że nie dostanie tego, czego chciała. Pojawiają się jakieś zawiłości, a i trudno jest słuchać gadania rabinów, bo mówią z tłumaczem, co trwa długo, a i tłumacz jest marny. Tylko Rapaport odważa się mówić po polsku, ale wtedy brzmi to jakoś niepoważnie, bo ma żydowski zaśpiew, zabawny, jakby sprzedawał jaja – nie dodaje mu to autorytetu. Zebrani zaczynają więc szemrać, kręcić się, i to nie tylko ci stojący w katedrze, ale i panowie, którzy siedzą w ławach, szepczą coś do siebie albo błądzą nieobecnym wzrokiem po sklepieniu, skąd patrzy na nich Jenta.

Po kilku godzinach ksiądz Mikulski decyduje się odroczyć rozprawę do następnego dnia i wtedy zakończyć dyskusję nad tym, czy Mesjasz już przyszedł, jak wierzą chrześcijanie, czy dopiero przyjdzie, jak chcieliby Żydzi.

O szczęściu rodzinnym Aszera

Gdy Aszer wraca do domu, robi się już ciemno.

– I co? Był? Pokazał się? – pyta go Gitla w drzwiach, niby obojętnie, jakby pytała o kominiarza, który miał przyjść, żeby wyczyścić piec. Aszer wie, że ten człowiek wciąż w jakiś sposób mieszka w jego domu, choć Gitla o nim prawie nie wspomina. I nie jest to tylko kwestia dziecka, syna, Samuela. Jakub Frank jest niczym mała roślina, która wegetuje w kuchni na parapecie okna i Gitla ciągle ją podlewa. Aszer sądzi, że tak właśnie robią ludzie porzuceni. Kiedyś ta roślina uschnie.

Zagląda do pokoju, gdzie na podłodze, na wytartym dywanie bawi się mały Samuel. Gitla jest w ciąży i dlatego jest taka rozdrażniona. Gitla nie chciała tego dziecka, ale trudno się jej było przed ciążą uchronić. Czytała gdzieś, że we Francji robi się kapturki z jelita barana na męskie przyrodzenie, wtedy całe nasienie zostaje w kapturku i kobieta nie staje się brzemienna. Chciałaby takie kapturki mieć i rozdawać je wszystkim

kobietom na cotygodniowym targu, żeby dawały swoim mężom i przestały zachodzić w ciążę. Nieszczęście wynika z tego bezładnego mnożenia się, powielania, jak w przypadku robaków w gnijącym mięsie, mówi często, chodząc po domu z wystającym już brzuchem, co wygląda śmiesznie i smutno zarazem. Ludzi jest za dużo, miasta śmierdzące i brudne, wody czystej za mało, powtarza. Jej ładną twarz wykrzywia grymas wstrętu. I te kobiety, wiecznie napuchnięte, wiecznie w ciąży, w połogu albo karmiące. Nie byłoby tego nieszczęścia wśród Żydów, gdyby Żydówki tak często nie zachodziły w ciążę. Po co ludziom tyle dzieci?

Gitla, kiedy mówi, gestykuluje, jej gęste czarne włosy, przycięte do ramion, też poruszają się gwałtownie. W domu chodzi z odkrytą głową. Aszer patrzy na nią z miłością. Myśli, że gdyby stało się coś jej albo Samuelowi, on sam by umarł.

– Czy to po to – powtarza często Gitla – ciało kobiety oddaje swoje najlepsze substancje, żeby utworzyć w sobie przyszłego człowieka, a potem on umiera i wszystko okazuje się na nic? Jak to jest źle pomyślane. Na pewno nie ma w tym rozumu, ani praktycznego, ani jakiegokolwiek innego.

Ponieważ Aszer Rubin kocha Gitlę, słucha jej uważnie i stara się ją zrozumieć. Powoli zaczyna podzielać jej pogląd. Dzień, w którym zjawiła się u niego, ustanowił wielkim osobistym świętem, które co roku w milczeniu sam ze sobą obchodzi.

Siada na kanapie, przy jego nogach bawi się Samuel, zajęty dwoma połączonymi osią kołami, które zrobił mu tata. Na sporym już brzuchu Gitli leży książka – może zbytnio go uciska? Aszer podchodzi, zdejmuje ją i kładzie obok, ale Gitla natychmiast znowu kładzie ją na brzuch.

– Widziałem znajomych z Rohatyna – mówi Aszer.

– Pewnie się wszyscy postarzeli – odpowiada Gitla, patrząc w otwarte okno.

– Wszyscy byli przygnębieni. To się źle skończy. Kiedy zaczniesz normalnie wychodzić z domu?

– Nie wiem – mówi Gitla. – Jak urodzę.

– Ta cała dysputa nie jest dla ludzi. Przerzucają się mądrościami. Czytają z książek całe strony, potem je tłumaczą, trwa to długo i wszyscy się nudzą. Nikt tego nie rozumie.

Gitla odkłada książkę na kanapę i prostuje kręgosłup.

– Zjadłabym orzechów – mówi, a potem nagle bierze twarz Aszera w obie dłonie i patrzy mu w oczy: – Aszer... – zaczyna i nie kończy.

Siódmy punkt dysputy

Jest poniedziałek 10 września roku 1759, żydowskiego roku 5519, 18 dnia miesiąca elul. Ludzie schodzą się powoli, jeszcze stają pod katedrą, znowu będzie upał. Chłopi sprzedają małe, słodkie węgierskie śliwki i wołoskie orzechy. Można też kupić ułożone na wielkich liściach ćwiartki arbuza.

Uczestnicy dysputy wchodzą bocznym wejściem i zajmują swoje miejsca, ale dzisiaj wszystkich jest więcej, bo i sami kontratalmudyści przyszli w sporej grupie, otaczając swojego Franka, który raczył się pojawić, jak pszczoły królową. I stawili się rabini z okolicznych gmin oraz wybitni żydowscy uczeni, i sam rabbi Rapaport, zgarbiony, jak zwykle w długim płaszczu, w którym mu zapewne będzie gorąco. Jednocześnie do katedry wpuszczani są ciekawscy, ci, co wykupili bilety, ale i dla nich wkrótce zabraknie miejsca. Spóźnialscy stoją więc w przedsionku i niewiele słyszą z tego, co się tam dzieje w środku.

O godzinie drugiej ksiądz administrator Mikulski rozpoczyna zebranie i wzywa kontratalmudystów, aby przytoczyli dowody na siódmą tezę. Jest zdenerwowany, rozkłada przed sobą papiery i widać, że trzęsą mu się ręce. Rzucając okiem na napisany tekst, zaczyna przemowę; najpierw dosyć topornie mu to idzie, jąka się i powtarza, ale potem się rozpędza:

– Żądanie krwi chrześcijańskiej wśród pospólstwa talmudystów nie tylko w Królestwie Polskim, ale i w cudzych krajach jest jawne, wiele bowiem historii zarówno w obcych państwach, jak i tu się w Polsce i Litwie zdarzyło, że talmudyści niewinną krew chrześcijańską okrutnie wylali i za ten bezbożny uczynek dekretami na śmierć byli osądzani.

Zawsze jednak uparcie zaprzeczając, chcieli się przed światem oczyścić, że to ich niewinnie chrześcijanie oskarżają.

Głos mu się załamuje ze zdenerwowania, musi upić łyczek wody i ciągnie dalej:

– My jednak Boga wszystko widzącego, mającego przyjść sądzić żywych i umarłych, wziąwszy na świadka, nie ze złości albo zemsty, ale z miłości wiary świętej uczynek onych talmudystów dajemy światu całemu do wiadomości i dzisiaj rozsądzać sprawę tę będziemy.

Przez ściśnięty tłum idzie szmer, tłum faluje. Teraz to samo powtarza Krysa po hebrajsku i tym razem burzy się tłumek rabinów. Jeden z nich, zdaje się rabin z Satanowa, wstaje i zaczyna ubliżać drugiej stronie, lecz go powstrzymują i uciszają.

I teraz to idzie tak, że mówi Krysa, a potem Moliwda z kartki tłumaczy i wyjaśnia, choć wcale to nie jest jasne:

– Księga Talmudu, zwana Orach Haim Megine Erec, co znaczy: Ścieżka Żyjących, Obrona Ziemi, której autorem jest rabin Dawid, mówi: „Micwe lachzeur acher jain udym zeycher leydam”, co znaczy: „Przykaż (rabinie) starać się o wino czerwone, pamiątkę krwi”. Zaraz potem ten sam autor dodaje: „Od rejmez leudym zejcher lejdam szeochoju pare szojchet benaj Isruel”, to jest: „Jeszcze mrugam ci, dlaczego pamiątka czerwonej krwi, bo faraon rżnął dzieci Izraelitów”. Niżej zaś następuje zdanie*:* „Wajhuidne nimneu milajikach jain udym mipnej elilojs szejkurym”, czyli: „A teraz opuszczone zażywanie czerwonego wina, gdyż fałszywe napaści są”.

Znowu wstaje rabin z Satanowa i mówi coś podniesionym głosem, ale go nikt nie tłumaczy, więc ludzie go nie słuchają. Zostaje uciszony przez księdza Mikulskiego:

– Przyjdzie czas na obronę. Należy teraz wysłuchać argumentów jednej strony.

I teraz Krysa, tłumaczony przez Moliwdę, zawile udowadnia, że Talmud domaga się krwi chrześcijańskiej, gdyż słowa „jain udym” rabinowie tłumaczą jako „wino czerwone”, tymczasem w hebrajskim piśmie tymi samymi literami (alef, dalet, wow, mem) zapisuje się także słowo „udym”, czyli czerwony, jak i słowo „edym”, czyli

„chrześcijanin”. Oba słowa różnią się tylko u spodu pierwszej litery alef kropkami, zwanymi sygiel i kumec, z których powodu raz czyta się udym, a raz edym.

– Trzeba zaś wiedzieć – ciągnie Krysa, a Moliwda go pięknie tłumaczy – że księga Orach Haim Megine Erec, w której jest rozkaz dla rabinów, aby się starali o czerwone wino na Paschę, dwa te słowa podaje bez żadnych kropek, przez co te dwa hebrajskie słowa są dwuznaczne. Wolno je więc rabinom tłumaczyć przed pospólstwem jako „jain udym”, czyli „wino czerwone”, a u siebie rozumieć jako „jain edym”, czyli „krew chrześcijańska”, pod alegorią wina – tłumaczy Moliwda i właściwie nie wiadomo, czy tłumaczy, czy mówi to od siebie. Oczy ma wbite w kartki papieru, stracił gdzieś swoją elokwencję i czar.

– Co wy robicie?! – woła ktoś z tłumu po polsku, a potem powtarza to samo po żydowsku: – Co wy robicie?!

Krysa dowodzi dalej, że owo niby to „czerwone wino” ma być „pamiątką krwi”.

– Niech nam powiedzą talmudyści, jakiej krwi pamiątką?! – wykrzykuje Krysa i palcem wskazującym mierzy w siedzących naprzeciwko rabinów. – I dlaczego jest to „m r u g a m”! Na co to mruganie? – zwraca się do nich, wrzeszcząc, twarz robi mu się czerwona. W kościele jest cicho jak makiem zasiał. Krysa nabiera powietrza i mówi cicho, z satysfakcją: – Widocznie chodziło o to, aby sekret został przy rabinach, a pospólstwo aby rozumiało, że to znaczy tylko czerwone wino.

Teraz, szturchany przez współtowarzyszy, wstaje Mosze z Podhajec. Drżą mu dłonie:

– Na święta wielkanocne, czyli Paschę, wymyślona jest ceremonia talmudowa, którą obowiązani są zachować wszyscy. Oto pierwszego wieczoru świąt stawia się na stole kieliszek wina, w którym każdy przy owym stole siedzący macza mały palec prawej ręki, po czym zrzuca spadające z palca krople na ziemię i wspomina dziesięć plag egipskich: 1. „dam”, to jest krew, 2. „cefardaja”, to jest żaby, 3. „kinim”, to jest mszyce, 4. „uroiw”, to jest muchy, 5. „dyjwer”, to jest powietrze, 6. „szechin”, to jest wrzody, 7. „burod”, to jest grad, 8. „arby”, to jest szarańcza, 9. „chojszech”, to jest ciemności, 10. „bejchojros”, to jest

zabicie pierworodnych. Ceremonia ta opisana jest w księdze, której autor, rabin Juda, owych dziesięć plag oznacza trzema słowami hebrajskimi: dejcach, ejdasz, bejachaw, na które to słowa składają się litery początkowe nazw każdej z plag. Rabinowie przed prostakami swymi dają do wyrozumienia, że tych dziesięć liter oznacza tylko dziesięć plag. My zaś w tych początkowych słowach odkryliśmy sekret, który oni – tu znów mierzy palcem w rabinów – chowają u siebie i przed pospólstwem kryją, my zaś pokazujemy, że gdy się podłoży inne słowa pod te pierwsze litery, to wyjdzie nam co innego: „Dam ceruchin kiluni ał dyjrech szyjusi beojsoj isz chachumym byjruszulaim”, co znaczy: „Krwi potrzebują wszyscy na ten sposób, jak robili nad tym człowiekiem mądrzy w Jeruzalem”.

Zapada cisza, ludzie patrzą po sobie – jasne się staje, że nic z tego zrozumieć nie można. Zaczyna się szeptanie, komentowanie półgłosem, szuranie wychodzących, bo niektórzy, ci najbardziej niecierpliwi i rozczarowani, wychodzą na zewnątrz, gdzie – mimo upału – jest lepsze powietrze niż w kościele. Niezrażony niczym Mosze z Podhajec ciągnie:

– Powiem wam jeszcze, że w księdze Orach Haim punkt 460 o pieczeniu macy na pierwszą noc Wielkiejnocy napisano: „Ain luszoin maces micwe waiłoe oisin oiso ał idej akim waiłoe ał idej chejresz szojte wejkuten”, co znaczy: „Nie godzi się miesić macy tej co na micwę i nie godzi się upiec przy obcym ani przy głuchym, ani przy głupim, ani przy małym”. W inne zaś dni, jak napisano, przy każdym człowieku można miesić ciasto. Niech nam powiedzą talmudyści, czemu tej pierwszej macy nie wolno miesić i piec przy obcym, głuchym, głupim i małym? Wiemy, co odpowiedzą! Żeby nie skisło ciasto. Ale my ich zapytamy, czemuż miałoby skisnąć? Odpowiedzą, bo ci ludzie by je zakwasili. Alboż to jednak nie można tego ciasta uchronić? A jak by mieli to ciasto popsuć? Chodzi o to, że do macy na Paschę dodaje się krwi chrześcijańskiej i dlatego nie powinno być świadków przy jej mieszaniu.

Mosze uspokaja się, ostatnie słowa prawie wykrzyczał. Rabin jazłowiecki po drugiej stronie łapie się za głowę i zaczyna się kołysać. Pinkas najpierw się kręci, słuchając mowy Moszego, ale potem krew uderza mu do twarzy i wstaje, przepycha się do przodu, łapany za poły płaszcza, za rękawy, przez tych, którzy próbują go zatrzymać.

– Mosze, co ty robisz? Ty kalasz własne gniazdo. Mosze, my się znamy, myśmy w tej samej jesziwie byli. Mosze, opamiętaj się!

Już jednak ruszają do Pinkasa strażnicy z garnizonu z minami marsowymi i Pinkas wycofuje się. Mosze jednak zachowuje się tak, jakby tego nie widział. Mówi dalej:

– I jeszcze trzeci punkt. W Starym Zakonie krew tak bydlęca, jak ptactwa jest ściśle zakazana i używać jej do jedzenia albo do picia nie godzi się Żydom. Jednak księga Rambam, część druga, rozdział szósty, mówi: „Dam houdym ajn chajuwyn ulow", co znaczy, że każdej krwi nam nie wolno, kiedy jest krew człowiecza, to wolno. A jeszcze w księdze Masehet Ketubot fol. 60 wyrażono: „Krew tych, co idą na dwu nogach, czysta jest". Niech nam odpowiedzą, czyja to krew czysta? Wszak nie ptactwa? Takich przypadków jest moc, niejasno wyrażonych, ale tylko w celu ukrycia prawdziwego zamiaru. My samą prawdę odkryliśmy. Reszty zaś z częstych morderstw niewinnych dzieci można się domyślić.

Gdy Mosze kończy, robi się rwetes w całej katedrze, a że już zmierzcha, ksiądz Mikulski kończy to posiedzenie i każe rabinom przygotować odpowiedzi za trzy dni. Wzywa też wszystkich obecnych do zachowania spokoju. Przybywa straży, ale ludzie rozchodzą się w miarę spokojnie. Nie wiadomo tylko, kiedy i jak opuszczają katedrę wszyscy rabini.

Tajemny znak palcem i tajemny znak okiem

Dnia 13 września roku 1759, żydowskiego roku 5519, 21 dnia miesiąca elul, przy równie wielkim natłoku ciekawych, wstaje rabin lwowski Chaim Kohen Rapaport w imieniu swych współwyznawców i w dłuższej przemowie nazywa całe oskarżenie aktem złości, zemsty i zwyczajną napaścią. Wszystkie zaś zarzuty określa jako bezpodstawne i przeciw prawom natury.

O dach katedry uderzają ciężkie krople deszczu – w końcu spadł, długo oczekiwany.

Rapaport mówi po polsku, powoli, starannie, jakby się wyuczył na pamięć. Powołuje się na świadectwa Pisma Świętego i opinie o Żydach, wypowiedziane przez Hugona Grotiusa i chrześcijańskich uczonych. Niskim, pełnym spokoju głosem zapewnia, że Talmud nic złego przeciw chrześcijanom nie nakazuje, kończy zaś krasomówczym zwrotem do łaski i protekcji księdza administratora Mikulskiego, aby najgłębszą swojego rozsądku powagą raczył rozumieć zarzuty kontratalmudystów dotyczące krwi chrześcijańskiej jako ich złe i pełne złych intencji wytłumaczenie.

Teraz jego sekretarz podaje mu plik kartek i rabin Rapaport zaczyna czytać po hebrajsku. Po przeczytaniu kilku zdań Białowolski czyta tłumaczenie na polski. Jest tam, co do kwestii czerwonego wina, że Talmud przykazuje Żydom wypić na Wielkanoc cztery porcje wina, a że w Piśmie Świętym czerwone wino uznaje się za najlepsze, więc tego godzi się używać. Jeżeliby jednak białe było lepsze, wolno pić i białe. Czyni się zaś to na pamiątkę krwi owej, którą faraon wytaczał z dzieci izraelskich, bo chociaż nie ma tego wyraźnie w Piśmie Świętym, jest w tradycji. Czyni się to także na pamiątkę krwi baranka na Wielkanoc w Egipcie zabitego. Gdy drzwi były nią pomaszczone, anioł zabijający pierworodnych mijał domy Izraelitów. Terminu „m r u g a m” w ogóle nie ma w Talmudzie, widocznie źle kontratalmudystowie uczyli się hebrajskiego. Tak samo zła jest eksplikacja słów „edom” na „edym”, które nie oznacza chrześcijanina, lecz Egipcjanina.

Tłumaczenie, jakoby trzy słowa: „dejcach”, „ejdasz”, „bejchaw”, złożone z początkowych liter nazw dziesięciu plag, miały oznaczać to, co podają kontratalmudystowie, jest bezpodstawne. Ułożono bowiem te słowa tylko dla lepszej pamięci dziesięciu plag, a nie na oznaczenie krwi chrześcijańskiej. To się nazywa mnemotechnika, czyli nauka, jak lepiej zapamiętywać.

Macy pieczonej na Wielkanoc strzeże się zaś dlatego, aby przez nieostrożność nie skisła, bo Pismo Święte zakazuje spożywać wtedy chleb skisły. Księga zaś Orach Haim nie zakazuje przy cudzym, głuchym, głupim i małym, lecz przez cudzego, głuchego, głupiego i małego macę ową miesić i piec. Źle więc znowu kontratalmudystowie tłumaczą owo miejsce Talmudu i niesłusznie mówią, że to się dzieje dla

krwi chrześcijańskiej. Co do zarzutu, że księga Rambam „pozwala zażywać krew człowieczą”, to jest fałsz, gdyż księga ta wprost przeciwnie o tym mówi i przydałyby się tym kontratalmudystom lekcje hebrajskiego.

Lecz jako że zapadają w katedrze prawdziwe ciemności, ledwie tylko dziurawione przez światło świec, ksiądz Mikulski każe tę sprzeczkę przerwać i odracza rozprawę, na której ma zapaść wyrok.

Katarzyna Kossakowska
pisze do biskupa Kajetana Sołtyka

...Czuję już nosem, który rzadko się myli, iż Wasza Ekscelencja tracić zaczął zainteresowanie naszą sprawą, jako że ma teraz ważniejsze w nowej biskupiej stolicy. Ja jednak się mam za upartą i pozwolę sobie Waszą Ekscelencję inkomodować w tej sprawie, jako że mnie na sercu ona leży. Mieszają się we mnie tutaj zarówno afekta matczyne, jako że przypominają ci nasi purytanie dziatki osierocone, jak i ojcowskie, bo ileż to by się dobra nadziało, kiedy by oni błędne swoje wyznanie porzucili i na łono naszego polskiego Kościoła przeszli!

Podobnie jak przedtem nasi purytanie, złożyli takoż i rabini swoją obronę na piśmie do urzędu konsystorskiego. Na obecnych nie zrobiła ona atoli takiego wrażenia jak samo oskarżenie. Uznano, że była słabą i nie zawierała ani dobrego sensu, ani należytej odpowiedzi. Zwracano zwłaszcza uwagę, że rabini bronili Talmudu bądź cytatami z Pisma Świętego, bądź bezwzględnym przeczeniem. I w końcu o jakieś drobne sprawy poszło, jak to, czy jakiś rabin Dawid w swoim Talmudzie dał znak potajemny okiem, czyli też palcem, albo dlaczego powinni talmudystowie zażywać czerwonego wina. O to już mniejsza. Nikt tego nie słuchał.

Prawda jest taka, że wszyscyśmy tam zgromadzeni już swój osąd zyskali. Dlatego też mieliśmy wielką satysfakcję z wyroku. Ksiądz administrator Mikulski ogłosił zebranym, że co do pierwszych sześciu tez uznaje się talmudystów za przekonanych i pobitych przez naszych purytanów, a co się zaś tyczy tezy siódmej, o krwi chrześcijańskiej, to za pisemną radą nuncjusza Serry zostawił ją sobie sąd konsystorski do bliższej jeszcze rozwagi i ostatecznej decyzji nie podjął. Uważam, że słusznie. Sprawa sama była zbyt drażliwa,

roznamiętnienie zbyt wielkie, więc wyrok władzy duchownej uznający słuszność oskarżenia naszych podopiecznych, a tem samem prawdziwość wiekowych posądzeń, mógł grozić Żydom najgorszemi następstwami. Mimo pewnego rozczarowania się publiczności pod tym względem wszyscy przyjęli wyrok do wiadomości i rozeszli się do domów.

Tak więc donoszę Waszej Ekscelencji, że sprawa chrztu jest przesądzona i wyznaczono już datę dla samego Jakuba Franka, co mnie wielce ucieszyło.

Co on ma nam do zaoferowania? A wiele! Mówi – co ja przez kuzyna mojego, tego Moliwdę-Kossakowskiego wiem – że gdyby miał dobre warunki w Rzeczypospolitej, to poszłoby za nim kilkanaście tysięcy ludzi, nie tylko z Polski i Litwy, ale z Wołoszczyzny, Mołdawii, Węgier i nawet Turcji. Mądrze też argumentuje, że cały ten lud, naszych polskich zwyczajów nie znając, nie może być rozparcelowany niczym owce, bo wtedy bez swoich zmarnieje i zginie, więc muszą być osiedlani w kupie.

Ja Waszą Ekscelencję błagam na kolanach, by w stolicy grunt już pod te chrzty szykował i autorytetem swym sprawę naszą wspierał.

Ja się zaś tutaj, na miejscu, o wsparcie od możnych i od mieszkańców Lwowa postaram. Chodzi o wsparcie pieniężne lub jakiekolwiek materialne tej ogromnej rzeszy żydowskiej biedoty, która koczuje na ulicach. Zapewniam Waszą Ekscelencję, że przypomina to rozłożone tabory cygańskie i na dłuższą metę miasto przestanie sobie radzić z tymi ulicznymi obozowiskami. Niestety, oprócz braku żywności istnieją dużo mniej przyjemne konieczności cielesne i to powoli staje się problemem. Trudno jest już przejść przez Halickie Przedmieście bez zasłonięcia nosa, panuje też znowu upał, przez co te wyziewy stają się bardziej dotkliwe. I mimo iż sabsaćwinnicy wydają się bardzo dobrze sami zorganizowani, to zastanawiam się, czy nie należałoby wydzielić im jakiegoś miejsca pobytu za miastem, z czym zwracam się do Ciebie, a także do Jego Ekscelencji biskupa Załuskiego i list w tej sprawie zanoszę do naszego prymasa. Sama zaś rozważam odstąpienie czasowe dworku mojego w Wojsławicach dla rodziny Franka i jego najbliższych współpracowników, póki się dla nich miejsce jakie nie znajdzie na stałe. Lecz trzeba tam napraw dachu i wprowadzenia wielu udogodnień...

O kłopotach księdza Chmielowskiego

Rok komety to dla księdza jest rok kłopotów. Myślał, że na starość schroni się w swojej plebanii wśród malw i rzeżuchy (która mu pomaga na stawy), a tu ciągle jakiś tumult, jakiś zgiełk. Teraz jeszcze dochodzi ten biegun i niechęć do niego Roszka. Ksiądz trzyma u siebie uciekiniera o strasznej twarzy i nie ma zamiaru go zgłosić władzom. Choć powinien. Dobry to człowiek, łagodny i taki nieszczęśliwy, że nawet jego widok łamie księdzu serce i każe zastanowić się głęboko nad boskim miłosierdziem i dobrocią. Roszko zaś jest na tego bieguna cięty i ksiądz boi się, czy aby nie wygada komu. Wie, że Roszko jest zazdrosny, i dlatego musiał milszym się dla niego stać i dać mu o grosz więcej, niż mu dotąd dawał, a tamten i tak chodzi naburmuszony. Teraz więc, gdy jest kilka dni we Lwowie, martwi się, czy jeden drugiemu do gardła nie skoczy. O tym jednak w liście do pani Drużbackiej nie wspomina, choć może ona, gdyby była na miejscu, poradziłaby co mądrego. Listy do pani Drużbackiej, pisane od czasu do czasu, dają mu wielką przyjemność, ma bowiem wrażenie, że ktoś go wreszcie s ł u c h a, i to nie w materii uczonej, ale ludzkiej. Czasem układa je sobie w głowie całymi dniami, jak na przykład teraz, kiedy siedzi całkiem zaspany na porannej mszy u bernardynów. Zamiast się modlić, myśli o tym, co napisać. Może tak:

> ...Sprawa moja z panem Jabłonowskim znajdzie się w sądzie. Sam będę swoim obrońcą i dlatego piszę teraz przemowę, w której dowieść się staram, że książki i wiedza w nich zawarta są dobrem wspólnym. Należą bowiem do nikogo, a zarazem do wszystkich, tak samo jak niebo, powietrze, zapachy kwiatów i piękno tęczy. Czy można ukraść komuś wiedzę, którą on ma sam z innych ksiąg?

Teraz, gdy się znalazł we Lwowie, trafił w sam środek dysputy; biskup jest zajęty, całe miasto w wielkiej gotowości, nikt nie ma głowy do sprawy księdza Benedykta. Zatrzymał się więc u bernardynów, chodzi na każdą rozprawę, robiąc sobie notatki i spisując je po trochu do listu do pani Drużbackiej.

...Ty mnie dopytujesz, czym na własne oczy oglądał, to ja Ciebie grzecznie pytam, Dobrodziejko, czybyś dała radę ustać na nogach, a nawet usiedzieć na jednym miejscu tyle czasu, ile ja usiedziałem? Bądź pewna, że nudna to była rozprawa i wszyscy się tylko interesowali jednym: czy Żydzi krwi chrześcijańskiej potrzebują.

Ksiądz Gaudenty Pikulski, uczony bernardyn z lwowskiego zakonu, profesor teologii i mąż w języku hebrajskim doskonale ćwiczony, wykonał wielką pracę. Razem z księdzem Awedykiem spisali całą rozprawę lwowską i dodali doń wiedzę, jaką mamy dziś z ksiąg i przekazów wszelakich. Z widoczną erudycją ten uczony bernardyn kwestię mordu rytualnego szczegółowemu poddał rozbiorowi.

Podtrzymując w pełni oskarżenie tych antitalmudystów, dowody ich nowymi starał się poprzeć argumentami, zaczerpniętymi mianowicie z rękopisu niejakiego Serafinowicza, rabina z Brześcia Litewskiego, który w 1710 roku w Żółkwi przyjął chrzest i przyznawszy się publicznie, że sam dwukrotnie popełnił na Litwie mord rytualny, opisał wszystkie zła i bluźnierstwa, jakie Żydzi czynią przez cały rok według porządku świąt swoich. Wydane już były te sekreta talmudystów od tegoż samego Serafinowicza do druku, ale je Żydzi, wykupiwszy, spalili. Początek męczenia dzieci chrześcijańskich i dostawania krwi zaczął się po śmierci Chrystusowej w lat kilkadziesiąt z tej przyczyny, którą Ci tu w cytacie z księdza Pikulskiego i Awedyka, Pani Dobrodziejko, wstawiam, żebyś nie myślała, iż wszystko to zmyślam sobie:

„Kiedy po rozkrzewieniu wiary świętej chrześcijańskiej poczęli chrześcijanie wzmagać się przeciw Żydom i ich potępiać, radzili wspólnie Żydzi, jakim by sposobem mogli chrześcijanów ułagodzić i serca ich uczynić miłosiernymi ku sobie. Udali się tedy do rabina jerozolimskiego, najstarszego, imieniem Rawasze. Ten wszystkich sposobów przyrodzonych i przeciwnych naturze próbując, jeżeli żarliwość i zawziętość przeciwko Żydom mogła być zmiękczona, gdy tego dokazać nie mógł, na koniec udał się do księgi Rambam, najsławniejszej między uczonymi żydowskimi. W tej doczytał się, że żadna rzecz szkodliwa nie może być uśmierzoną, tylko przez aplikacyę sympatyczną drugiej rzeczy tego rodzaju, co pomieniony rabin Żydom przełożył, że inaczej płomień zawziętości chrześcijańskiej przeciw nim nie może być zatłumiony, tylko krwią wylaną z samychże chrześcijan. Od tego czasu zaczęli chwytać dzieci chrześcijańskie i okrutnie mordować, aby krwią ich mogli chrześcijan uczynić

sobie łaskawych i miłosiernych, i za prawo to sobie postanowili, jako wyraźnie i obszernie to opisuje Talmud w ich księdze Zywche Lew".

Mnie ta sprawa wielce przejęła i gdybym tych źródeł pisanych s a m n a w ł a s n e o c z y nie przeczytał, umysł mój wzbraniałby się przed przyjęciem tej prawdy. Wszystko to jest ponoć zapisane w ich księgach, lecz skoro pisze się u nich – jak mówi ksiądz Pikulski – z kropkami, czyli akcentami, których w języku hebrajskim jest dziewięć, Talmudy zaś drukują bez tych kropek, to znajduje się w Talmudzie mnóstwo słów wieloznacznych, które inaczej rozumieją rabini, a inaczej mogą tłumaczyć pospólstwu, jak im potrzeba dla zachowania sekretu.

Przeraża mnie to bardziej, niż sobie, Jaśnie Wielmożna Pani Dobrodziejko, wyobrażasz. Wrócę do mojego Firlejowa w strachu jakimś, bo jeżeli takie rzeczy mogłyby się dziać na świecie, to jakże mamy sobie z nimi umysłem naszym poradzić? Lecz przecież uczone księgi kłamać nie mogą!

Któż by dał wiarę w tej okoliczności talmudystom – myśleć nie przestaję – którzy jeśli w potocznych rzeczach mają zwyczaj kłamać i katolików oszukiwać, cóż dopiero w sprawie tak istotnej? I że ta potrzeba krwi chrześcijańskiej jest u samych rabinów w wielkim sekrecie. U prostych i nieuczonych Żydów jest niewiadoma; stąd jednak pewna, że tyle razy i świadectwem dowiedziona, i dekretem surowo karana...

O Pinkasie, który nie rozumie, jaki popełnił grzech

Wypełniał przecież wszystkie przykazania, spełniał dobre uczynki, modlił się więcej niż inni. Co zrobił święty rabin Rapaport, ten człowiek, który jest chodzącym dobrem? I co zrobili ci wszyscy podolscy Żydzi, że im się takie nieszczęście w postaci tych odszczepieńców trafiło?

Posiwiały, a przecież nie jest jeszcze stary, siedzi teraz przy stole w rozchełstanej koszuli, zgarbiony, nie może czytać, choć chciałby uciec w rzędy liter, które wywołują znajome skojarzenia, ale tym razem to się nie udaje – Pinkas odbija się od świętych liter jak piłka.

Wchodzi jego żona, ze świeczką, już gotowa do snu, ma długą do ziemi koszulę i białą chusteczkę na głowie, patrzy na niego z troską,

a potem siada przy nim i przytula policzek do jego ramienia. Pinkas czuje jej delikatne, kruche ciało i zaczyna płakać.

Rabini przykazali pozostać w domach, pozamykać okiennice i zaciągnąć zasłony w oknach na czas przyjazdu do Lwowa bezbożników. A jeżeli już nie można inaczej, jeżeli trzeba wyjść, to należy unikać zetknięcia się z nimi wzrokiem. I nie ma prawa się zdarzyć, żeby oczy tego Franka, tego kundla, zetknęły się z oczami porządnego Żyda. Wzrok należy trzymać przy ziemi, pod murem, przy rynsztoku, żeby przypadkiem nie śmignął w górę, ku demonicznym twarzom tych grzeszników.

Jutro Pinkas jedzie w poselstwie do Warszawy, do nuncjusza. Składa teraz ostatnie dokumenty. Ta dysputa jątrzy umysły ludzkie, wzywa do nienawiści, podżega do niepokojów. Siódmy punkt oskarża o używanie krwi chrześcijańskiej, a przecież Żydzi mają glejt od samego papieża, mówiący, żeby takie zarzuty między bajki wkładać. Sekta tego Franka ma jakieś tajemnicze obrządki, o które tak łatwo będzie obwinić wszystkich Żydów. Rabin Rapaport słusznie powiedział: „Nie są już Żydami i żadne nas postępowanie wobec nich jako Żydów nie obowiązuje. Są jak ta mieszana tłuszcza, ten tłum skundlony, który dołączył do dzieci Mojżeszowych, gdy uciekali z Egiptu: mieszańcy i nierządnice, fircyki i złodzieje, typy podejrzane i szaleńcy. Tacy oni są”.

Tego będzie dowodził Rapaport w Konstantynowie, gdzie mają się spotkać wszyscy rabini ziemi polskiej – że nie ma innego sposobu uwolnienia się od tych bezbożników, jak znaglić ich do przyjęcia chrześcijaństwa, czyli samemu należy przyłożyć się do tego, by się te psy ochrzciły. Zbiera się już dużo pieniędzy na zachody około tej sprawy i czyni naciski wszelakie, by jak tylko można istotnie przyspieszono chrzest sekciarzy. Pinkas, walcząc z kopcącą świeczką, zlicza sumy rozpisane w postaci tabeli, takiej samej, jakie prowadzi się w kantorach. Po lewej stronie nazwisko, imię i tytuł, po prawej – suma datku.

Nagle słychać walenie do drzwi i Pinkas blednie. Myśli: zaczęło się. Wzrokiem każe żonie zamknąć się w sypialni. Jedno z bliźniąt zaczyna płakać. Pinkas podchodzi pod drzwi i nadsłuchuje, serce mu bije

szaleńczo, w ustach robi się sucho. Z tamtej strony słychać drapanie paznokciami i po chwili głos:

– Otwórz, wujku.

– Kto to? – pyta Pinkas szeptem.

Głos odpowiada:

– To ja, Jankiel.

– Jaki Jankiel?

– No Jankiel, syn Natana, z Glinna. Bratanek twój.

– Jesteś sam?

– Sam.

Pinkas powoli otwiera drzwi, przez powstałą wąską szparę wciska się młody mężczyzna. Pinkas patrzy na niego z niedowierzaniem i potem przytula się do niego z ulgą. Jankiel jest wysoki, barczysty, dobrze zbudowany, więc wuj sięga mu zaledwie do ramion. Obejmuje go w pasie i stoi tak dłuższą chwilę, aż Jankiel z zażenowaniem chrząka.

– Widziałem Gitlę – mówi.

Pinkas puszcza go i cofa się.

– Widziałem Gitlę dzisiaj rano. Pomagała temu medykowi przy chorych na Halickim Przedmieściu.

Pinkas chwyta się za serce.

– Tu? We Lwowie?

– A jakże, we Lwowie.

Pinkas prowadzi bratanka do kuchni i sadza przy stole. Nalewa mu wódki i sam wypija kieliszek; nieprzyzwyczajony do trunków, ostrząsa się ze wstrętem. Wyciąga skądś ser. Jankiel opowiada – ci wszyscy przybyli do Lwowa rozłożyli się po ulicach, są z nimi małe dzieci, chorują. Ten Aszer, medyk żydowski z Rohatyna, je leczy, chyba go władze miasta wynajęły.

Jankiel ma duże, piękne oczy o niespotykanym kolorze – wydają się seledynowe. Uśmiecha się do zmartwionego wuja. Przez uchylone drzwi zagląda żona Pinkasa w nocnej koszuli.

– I żeby wuj wiedział – mówi Jankiel z pełnymi ustami – Gitla ma dziecko.

O ludzkiej powodzi, która zalewa ulice Lwowa

Fury są tak pełne, tak napakowane, że trzeba z nich schodzić, żeby podjechały pod małą nawet górkę. Stopy wzbijają kurz, bo wrzesień jest gorący i upalny, trawy przy drodze wyrudziały od słońca. Najwięcej ludzi idzie jednak piechotą – odpoczywają co kilka mil w cieniu orzechów i wtedy wszyscy dorośli i dzieci wyszukują w opadających suchych liściach ich owoce, wielkie na pół dłoni.

Na krzyżówkach, choćby na takich jak ta, pielgrzymi jadący z różnych stron łączą się i witają serdecznie. Większość z nich to sama biedota, drobni handlarze i rzemieślnicy, tacy, co rękami własnymi zarabiają na rodziny, tkając, drutując, ostrząc i reperując. Mężczyźni pochyleni pod ciężarem warsztatów, które od rana do wieczora noszą na plecach, obdarci, zakurzeni i zmęczeni, wymieniają się wiadomościami i częstują prostym jedzeniem. Nic nie potrzeba oprócz wody i kawałka chleba, żeby dotrwać wielkiego wydarzenia. Gdy się tak pomyśli, to człowiekowi wiele do życia nie brakuje. Nawet jeść codziennie nie musi. Po co grzebienie, wstążki, dzbanki gliniane, noże ostre, kiedy zaraz świat się zmieni. Wszystko będzie już inne, choć nie wiadomo jakie. O tym rozmawiają.

Wozy zaś pełne są kobiet i dzieci. Do fur przytroczono kołyski, które na postoju podwiesza się pod drzewo i z ulgą wkłada tam niemowlę, bo ręce już omdlały od trzymania. Te większe dzieci, bose, umorusane, otępiałe od upału, przysypiają na spódnicy matki, na becie z siana obciągniętego brudnym płótnem.

W niektórych wsiach wychodzą do nich inni Żydzi i plują im pod nogi, a dzieci wszelkiej krwi, tej polskiej, rusińskiej i żydowskiej, wołają za nimi:

– Ciapciuchy! Ciapciuchy! Trójca! Trójca!

Wieczorami nawet nie proszą o żadne noclegi, tylko układają się nad wodą, na skraju zarośli, pod jakimś rozgrzanym za dnia murem. Kobiety wieszają kołyski, pieluszki, rozpalają ogień, a mężczyźni wyruszają do wsi po jakieś jedzenie, zbierając po drodze opadłe papierówki i śliwki,

które nabrzmiewają od słońca i wabią swoim rozpasanym słodkim ciałem osy i bąki.

Jenta widzi, jak niebo otwiera się nad nimi we śnie, śpi im się dziwnie lekko. I wszystko jest święte, jakby było specjalne, szabatowe, wymyte i wyprasowane. Jakby trzeba było teraz kroczyć prosto i uważnie stawiać kroki. Może ten, co na nich patrzy, w końcu się ocknie z odrętwienia, które trwa tysiące lat? A pod boskim wzrokiem wszystko robi się dziwne i znaczące. Dzieci na przykład znajdują krzyżyk metalowy wciśnięty w drzewo tak mocno, że się go wyjąć już nie da, wrośnięty w korę. Chmury przybierają niezwykłe kształty – chyba jakichś zwierząt biblijnych, może owych lwów, co to ich nikt nigdzie nie widział, więc nawet nie wiadomo, jak wyglądały. Albo pojawia się chmura podobna do ryby, która połknęła Jonasza, i płynie teraz nad horyzontem. I nawet w małej chmurce obok ktoś zobaczył samego Jonasza, już wyplutego, krzywego jak ogryzek. Czasem towarzyszy im niebieska arka Noego. Wielka sunie przez firmament, a w niej sam Noe uwija się, karmiąc przez sto pięćdziesiąt dni swoje zwierzęta. A na dachu arki, patrzcie, patrzcie, kto to? Toż to nieproszony gość, gigant Og, który gdy wody potopu ruszyły, w ostatniej chwili uczepił się arki.

Mówią: Nie umrzemy. Chrzest nas uchroni od śmierci. Ale jak to będzie? Będziemy się starzeć? Czy zatrzymamy się w jakimś wieku i tak będziemy już trwać na zawsze? Podobno każdy z nas mieć będzie trzydzieści lat. Starych to cieszy, młodych przeraża. A ponoć to najlepszy wiek, gdzie zdrowie, mądrość i doświadczenie splecione są harmonijnie i po równo znaczą. I jak to tak – nie umierać? Mieć dużo czasu na wszystko, zebrać sporo grosza, dom pobudować, trochę powędrować, to tu, to tam, bo przecież całej wieczności nie da się spędzić w jednym miejscu.

Wszystko było dotąd w zepsuciu, świat jest zrobiony z samych braków, brakuje tego, brakuje tamtego. A dlaczego tak jest? Czy nie mogłoby być wszystkiego pod dostatkiem, i ciepła, i jedzenia, i dachów nad głowami, i piękna? Komu by to szkodziło? Dlaczego taki świat stworzony? Nic stałego nie ma pod słońcem, wszystko przemija i ani nie zdążysz się temu przyjrzeć. A czemu tak jest, czy nie mogłoby być więcej czasu, więcej namysłu nad wszystkim?

Lecz dopiero gdy staniemy się godni, by być na nowo utworzonymi, od Dobrego Prawdziwego Boga dostaniemy nową duszę, pełną, całkowitą. Człowiek będzie tak samo wieczny jak Bóg.

Majorkowicze

A to jest Srol Majorkowicz i jego żona Bejla. Bejla siedzi na furze z najmłodszą córką, Simą, na kolanach. Bejla przysypia, głowa co rusz opada jej na piersi. Chyba jest chora. Na szczupłych policzkach kwitną dwa rumieńce, kaszle. Posiwiałe kosmyki wychodzą spod lnianej chusty w nijakim kolorze, która strzępi się na końcach. Starsze dziewczynki idą za furą z ojcem. Elia ma siedem lat, jest tak samo szczupła i drobna jak matka. Ciemne włosy splecione w warkocze przewiązała gałgankiem, szmate, ma bose stopy. Obok niej idzie Frejna, trzynastoletnia, wysoka, będzie z niej piękna kobieta. Ma jasne, kręcone włosy i czarne oczy, trzyma za rękę swą młodszą o rok siostrę Masię, która utyka na jedną nogę, taka się urodziła, z krzywym biodrem. Może dlatego nie urosła. Ta jest smagła, jakby przydymiona, jakby uwędziła się w dymie ich biedniutkiej chaty w Busku; rzadko wychodzi z domu, wstydzi się swojego kalectwa. Ale ta, mówią ludzie, z tych wszystkich panienek najmądrzejsza. Nie chce spać z siostrami w jednym łóżku i co wieczór rozkłada sobie marne posłanie na podłodze – mały materac wypchany sianem. Przykrywa się derką, którą ojciec utkał w lepszych czasach z jakichś resztek.

Srol prowadzi jedenastoletnią Miriam, swoją ulubienicę, gadułę. Buzia jej się nie zamyka, ale mówi mądrze. Ojciec szczerze żałuje, że nie urodziła się chłopcem, wtedy na pewno zostałaby rabinem.

Za nimi idzie najstarsza, Estera, która już przejęła obowiązki matki – nieduża, koścista, o drobnej, ładnej twarzy łasiczki, zawzięta w sobie. Była przyrzeczona chłopcu z Jezierzan i ojciec już zapłacił przyszłemu panu młodemu jako posag z wielkim trudem uciułane w tej biedzie pieniądze. Lecz chłopiec zmarł na tyfus cztery lata temu, a jego ojciec tych pieniędzy nie oddał. Srol sądzi się o nie. Martwi się o Esterę, bo kto ją teraz weźmie, bez pieniędzy, z takiej biedy. Cud by się zdarzył, gdyby

wydał te córki za mąż. Srol ma czterdzieści dwa lata, ale wygląda już jak staruszek – pomarszczona, ogorzała twarz, ciemne, zapadnięte oczy, w które wszedł jakiś cień, zaniedbana, skołtuniona broda. Bóg żydowski jest widocznie przeciw niemu, bo dlaczego ma same córki? Za jakie grzechy Srol ma same dziewczęta? Czy jakiś zadawniony grzech przodków musi odkupić? Jest przekonany, że to nie o tego Boga chodzi, o którego powinno. Że jest inny Bóg, prawdziwszy i lepszy, nie ten zarządca i arendarz ziemski. Do tego prawdziwego można się modlić poprzez Baruchję, śpiewając pieśni albo ufając Jakubowi.

Byli w Iwaniu od kwietnia. Gdyby nie dobrzy iwańscy ludzie, chyba pomarliby z głodu. Iwanie uratowało im życie i zdrowie, Bejla czuje się teraz lepiej i już nie kaszle tak bardzo. Srol wierzy, że kiedy już się ochrzczą, będzie im tak samo dobrze jak chrześcijanom. Dostaną kawałek ziemi, Bejla będzie miała w ogrodzie warzywa, a on, Srol, będzie tkał kilimy, bo to umie robić dobrze. Na starość, gdy powydaje dziewczynki za mąż, one wezmą ich do siebie. To wszystkie jego marzenia.

Nachman i jego szata z dobrych uczynków

Kiedy Nachman przemawia w katedrze, jego młodziutka żona Wajgełe rodzi w Iwaniu córkę. Dziecko jest duże i zdrowe i Nachman oddycha z ulgą. Ma już syna z pierwszego małżeństwa, Arona, który jest w Busku z Leą. Lea do tej pory nie wyszła za mąż. Mówią o niej, że jej dusza jest zaciemniona, a serce niespokojne. Ma więc dwoje dzieci i w jakimś sensie może powiedzieć, że spełnił swoją powinność. Nachman bierze urodziny córki za wielki znak i poparcie boskie, że oto są na dobrej drodze. I że odtąd nie musi już mieć do czynienia z kobietami.

Tego jednak wieczoru, gdy opuszczają katedrę, w której omawiany był punkt siódmy dysputy, Nachman traci entuzjazm, który go niósł przez ostatnie dni. Nawet nie entuzjazm, ale pełne nadziei zacięcie. Radosny upór. Podniecenie kupca, który zaryzykował, żeby zarobić majątek. Gracza, który stawia wszystko na jedną kartę. Nachman był dziwnie podekscytowany, spocił się w czasie dysputy, teraz czuje od

siebie szczurzy zapach, jakby walczył, jakby się z kimś bił. Chciałby zostać sam, ale idą grupą. Jakub zatrzymał się w kamienicy Łabęckiego – tam więc ciągną. Zamawiają dużo wódki i suszone ryby jako zagryzkę. Dlatego tego wieczoru Nachman zapisuje tylko kilka zdań:

> Za życia na ziemi dusze tkają sobie ze swoich dobrych uczynków micwot, szatę, którą po śmierci będą nosić w wyższym świecie. Szaty złych ludzi są pełne dziur.
>
> Często wyobrażam sobie, jak będzie wyglądać moja szata. Wielu myśli o tym co ja i zapewne widzą siebie lepiej, niżby patrzyli na siebie oczami innego człowieka. Widzą swoje ubranie jako czyste i schludne, i może jeszcze – ładne, to znaczy harmonijne.
>
> Ale ja już wiem, że nie spodobam się sobie w niebieskich lustrach.

Potem, jak zwykle z impetem, wchodzi do niego Jakub i zabiera go do siebie. Będą świętować.

Kiedy się zaczynają chrzty, Nachman każe posłać po Wajgełe i córeczkę. Czeka na nie przy bramie miasta, zagląda do każdej wjeżdżającej fury, aż wreszcie znajduje je: z Wajgełe są jej matka i siostra. Dziecko leży w koszyku, przykryte cieniutką pieluszką. Nachman zdejmuje ją szybko z twarzy niemowlęcia – boi się, że mogłoby się udusić. Dziewczynka ma malutką, pomarszczoną twarzyczkę i piąstki zaciśnięte przy buzi. Są wielkości orzechów. Wajgełe, zarumieniona i pełna mleka, zadowolona, patrzy na męża z tryumfem. Nie widział jej jeszcze takiej.

Młoda matka nawet nie zauważa luksusu pokoju Nachmana. Rozwiesza na rzeźbionych oparciach krzeseł pieluszki. Śpią w wielkim łożu z dzieckiem między sobą i Nachman czuje, że odtąd wszystko będzie szło w dobrym kierunku, że nastało jakieś przesilenie. Że nawet siódmy punkt był potrzebny.

Mówi do Wajgełe:

– Ty masz na imię Sofia.

Dla dziecka wybiera imię Rebeka, Ryfka, tak samo jak matka biblijnego Jakuba, to będzie jej ukryte dawne imię. To zaś, które na chrzcie przyjmie, to Agnieszka. Zapisuje Wajgełe na nauki katolickie z innymi kobietami, ale ona jest tak skupiona na dziecku, że nic innego jej nie interesuje. Ledwo potrafi się przeżegnać.

Rachunki księdza Mikulskiego i jarmark imion chrześcijańskich

Ciężar utrzymania koczujących na ulicach Lwowa przybyszów spadł na księdza Mikulskiego. Wydaje na nich tygodniowo po trzydzieści pięć dukatów. Dobrze, że cały jego dwór i wydatki na neofitów, jak się stara o nich mówić, unikając słowa „przechrzty”, trzyma twardą ręką jego bratanica, kobieta niewiele młodsza od niego, zaradna i bystra. Wszyscy ją znają na targu. Gdy zamawia świeżą żywność, nikt nie śmie się z nią targować. Miasto ze swej strony też robi, co może, a i sami ludzie są pomocni. Można zobaczyć chłopów, jak dzielą się tym, co im rośnie w warzywniakach. Ten tu wieśniak w czworograniastej czapce z piórem, w brunatnej burce, nawiózł furę młodych, zielonych jabłek i rozdaje je teraz wprost do fartuchów kobiet i czapek mężczyzn. Ktoś przywiózł furę arbuzów i kilka koszy ogórków. Klasztory żeńskie przyjmują do siebie kobiety z ich córkami, dają spanie i strawę. Dla zakonnic to wielkie wyzwanie, siostrzyczki dwoją się i troją, ale są i takie, które plują na Żydówki. Zakony męskie żywią po kilkudziesięciu mężczyzn. Rozdają najczęściej zupę grochową i chleb.

Tuż przed chrztem we Lwowie powstaje coś niby targ imion chrześcijańskich, na którym najwyżej cenione jest imię Marianna. To imię jest na cześć Marii Anny Brühlowej, żony pierwszego królewskiego ministra, która to wspiera hojnie kontratalmudystów. Ale mówią też, że to najbardziej sprytne imię – ma w sobie i Marię, matkę Chrystusa, i Annę, jego babkę. Poza tym dobrze brzmi, jak dziecięca wyliczanka: Marianna, Marianna. Dlatego dużo dziewcząt i młodych kobiet chce zostać Mariannami.

Córki Srola Majorkowicza z Buska rozdzieliły już imiona między siebie. Sima zmienia się w Wiktorię, Elia w Salomeę, Frejna staje się Różą, Masia – Teklą, a Miriam – Marią. Długo wybiera swoje imię Estera i w końcu macha na to ręką, wybiera pierwsze lepsze imię. Będzie Teresą.

Tak oto powstają jakby dwie wersje tej samej osoby, każdy ma teraz sobowtóra o innym imieniu, każdy jest podwójny. Srol Majorkowicz, syn Majorka i Masi z Korolówki, staje się Mikołajem Piotrowskim. Jego żona Bejla – Barbarą Piotrowską.

Już wiadomo, że niektórzy dostaną nazwiska po chrzestnych. Mosze z Podhajec, który zna dobrze jejmość Łabęcką, a z jej mężem robił różne interesy, dostanie jego nazwisko. A jako że ma fantazję i tupet ten żylasty, inteligentny rabin i zna się najlepiej ze wszystkich na kabale, rozumie, jaką siłę mają słowa i imiona. Bierze sobie imię po niewiernym Tomaszu. Będzie się nazywał: Tomasz Podhajecki-Łabęcki. Jego dwaj kilkuletni synowie Dawid i Salomon stają się Józefem Bonawenturą i Kazimierzem Szymonem Łabęckimi.

Nie wszyscy możni są jednak tacy chętni do dawania swoich nazwisk. Pan Dzieduszycki na przykład nie jest tak skłonny szafować nazwiskiem jak Łabęcki. Będzie chrzestnym starego Hirsza, reb Szabtaja z Lanckorunia i jego żony, Chai z Szorów. Chai posiwiały włosy. Spod jej czepka wydostają się szpakowate loki, twarz ma bladą, przyszarzałą, ale wciąż widać jej niezwykłą urodę. Czy ten zarozumiały arystokrata w angielskim fraku, jakiego tu jeszcze nikt nie widział, a w którym wygląda jak czapla, wie, że chrzci prorokinię?

– Przyjmijcież sobie coś prostego, łatwego, zamiast łamać język na moim nazwisku. O, jako żeście rudzi – mówi do Hirsza – to może Rudnicki, czy to nie brzmi dobrze? Albo jako żeście z Lanckorunia, to może Lanckoroński? Brzmi jak nazwisko księcia.

Więc wahają się, kim zostać, Rudnickimi czy Lanckorońskimi, i właściwie jest im wszystko jedno. Stary Hirsz marnie pasuje i do jednego, i do drugiego nazwiska. Stoi w swoim brązowym chałacie, w czapie futrzanej, której nie zdejmuje nawet latem, długobrody, z jakimś cieniem na twarzy. Niezbyt szczęśliwy.

Dobrze na tej giełdzie notowane jest imię Franciszek i co trzeci chrzczony płci męskiej zostaje Franciszkiem – mówią, że na cześć Franciszka Rzewuskiego, który zgodził się być chrzestnym samego Jakuba Franka i hojnie sypnął groszem. Ale to nie jest prawda; prawdziwą przyczynę popularności świętego z Asyżu odkryli udzielający chrztu księża oraz zawsze podejrzliwy ksiądz Mikulski – biorą owo imię, bo Franciszek podobny jakoś do Franka, ich przywódcy.

Na Halickim Przedmieściu jest piątek wieczorem. Wciąż jeszcze późno zachodzące słońce oblewa na pomarańczowo dachy domów i ludzie, którzy siedzą grupkami, nagle zaczynają się czuć nieswojo. Zapada dziwna, wstydliwa cisza. Ów jeszcze pół godziny temu hałaśliwy tłum, skupiony wkoło wczorajszych ognisk, wśród koszy i pierzyn poupychanych na marne wiklinowe fury, do których przywiązano kilka kóz – wszystko to zamilkło i stężało. Patrzą w ziemię, palce bawią się frędzlami przy chustach.

Jakiś męski głos zaczyna nagle śpiewać *Szema Izrael*, ale inni zaraz go uciszają.

Królowa Szabat przechodzi nad głowami, nawet ich nie muskając, i idzie wprost do żydowskiej dzielnicy po drugiej stronie miasta.

O tym, co przydarza się księdzu Chmielowskiemu we Lwowie

– Czy mnie wielebny ksiądz poznaje? – zaczepia księdza Chmielowskiego, który przyjechał właśnie do Lwowa, jakiś młody chłopak.

Ksiądz patrzy na niego uważnie; nie poznaje, nie poznaje zaiste, choć ma nieprzyjemne uczucie, że już tego chłopca gdzieś spotkał. Oj, niedobrze z jego pamięcią. Kto to może być? Już ma na końcu języka, lecz mylą go broda i żydowski strój.

– Tłumaczyłem, gdy waszmość wybrał się do Szorów kilka lat temu.

Ksiądz kręci głową, nie pamięta.

– Ja jestem Hryćko. No, w Rohatynie... – mówi chłopak z lekkim rusińskim zaśpiewem.

I nagle przypomina się księdzu ten młody tłumacz. Lecz czegoś tu nie rozumie.

– Jak to, synu? – mówi bezradnie i patrzy na jego uśmiechniętą szeroko twarz. Nie ma jednego zęba na przedzie, ale za to te portki, ta kapota... – Matko Boska, a czemuś ty po żydowsku ubrany? – pyta.

Hryćko odwraca wzrok, patrzy gdzieś na dachy, chyba żałuje, że go w pierwszym odruchu zaczepił. Chciałby opowiedzieć wszystko, co się zdarzyło w jego życiu, i jednocześnie boi się mówić.

– Dalej u Szorów jesteś? – dopytuje się ksiądz dziekan.

– O, Szor to wielki pan. Uczony. Pieniędzy ma... – Macha ręką z rezygnacją, jakby ilość tych pieniędzy przekraczała ludzkie możliwości policzenia. – A co w tym dziwnego, proszę księdza dobrodzieja, jak on mnie i mojemu bratu ojcem?

– Na miłość boską! Aleś ty głupi! – Ksiądz rozgląda się przestraszony i sprawdza, czy ich kto nie widzi. Tak, tak, widzi ich całe miasto. – Czyś ty szaleju się najadł? Nie powinien was do siebie przyjmować, dusz chrześcijańskich, tylko zgłosić, żeście sieroty, do sierot byście poszli. Jak to się wyda...! Mnie to obchodzić nie powinno, boście prawosławni, ale wszystko jedno, chrześcijanie.

– No tak, i do ochronki jakiej kościelnej byśmy trafili – mówi gniewnie Hryćko i nagle podnosi na księdza wzrok. – Ale ksiądz nikomu nie będzie o nas rozpowiadał, prawda? Po co? Na co? Nam tam z nimi dobrze. Brat się czytać i pisać uczy. Kucharzy z kobietami, bo on taki fejgełe – chichocze. Ksiądz podnosi brwi, nie rozumie.

Z tłumu wychodzi do Hryćka dziewczyna, jednak widząc, że rozmawia z księdzem, wycofuje się przerażona. Jest młoda, szczupła, z widocznym już ciężarnym brzuchem. Żydówka jak nic.

– Chryste Panie... To ty nie tylko najmita żydowski, ale i żonkoś? Matko przenajświętsza! Życie się za taki grzech traci!

Ksiądz nie wie, co ma powiedzieć, tak go zadziwiają te rewelacje, więc sprytny chłopak wykorzystuje jego zaskoczenie i mówi dalej półgłosem, prawie wprost do ucha księdza:

– My teraz handle mamy tureckie, przez Dniestr do Mołdawii i na Wołoszczyznę się wypuszczamy. Handel idzie niezgorzej... najlepiej wódka, choć za rzeką królestwo Turka muzułmanina, to jednak wielu tam i chrześcijan, dobrą wódkę od nas kupują. Zresztą w ich księdze Al-Koranie stoi, że nie wolno im pić wina. Wina! Nic tam nie ma o wódce – tłumaczy Hryćko.

– A wiesz ty, że to grzech śmiertelny? Żeś ty Żyd... – Dochodzi wreszcie do siebie ksiądz. I potem dodaje cicho, szeptem, nachylając się chłopakowi do ucha: – Możesz pod sąd pójść, synu.

Hryćko uśmiecha się, a księdzu się wydaje, że to wyjątkowo głupi uśmiech.

– Ale ksiądz rozpowiadać nie będzie, to tak jak na spowiedzi.

– Chryste Panie... – powtarza ksiądz i z nerwów aż czuje mrowienie na twarzy.

– Niech ksiądz nie rozpowiada o tym. W Rohatynie to ja zawsze byłem u Szorów, od czasu potopu. Ludzie zapomnieli, co i jak. Po co o tym gadać. A teraz to my wszyscy razem i tak do Pana Jezusa i Najświętszej Panienki idziemy...

Nagle się księdzu przypomina, po co tu są te żydowskie tłumy, i rozumie paradoksalną sytuację tego chłopaka z wyłamanym zębem. Przecież oni teraz się chrzczą, to trzeba było mu zostać tym, kim był, stać w miejscu, a oni sami by do niego przyszli. To właśnie usiłuje mu jakoś nieudolnie powiedzieć, ale Hryćko mówi tajemniczo:

– To nie to samo.

Potem znika w tłumie.

Zły moment wybrał ksiądz dziekan Benedykt Chmielowski na przyjazd we własnej sprawie do Lwowa.

Zewsząd ciągną wozy pełne Żydów, za nimi biegną z wrzaskiem chrześcijańskie dzieci, mieszkańcy Lwowa zaś stoją przy ulicach i ze zdziwieniem patrzą, co też tu się będzie działo. Potrąca go biegnąca mieszczka i jakby się tłumacząc i przepraszając, próbuje go pocałować w rękę, ale nie trafia w pośpiechu, więc tylko rzuca mu przez ramię:

„Będą chrzcić Żydów”, jakby to miało usprawiedliwić jej podniecenie i pośpiech.

– Sabsaćwinnicy – pokrzykują pojedyncze głosy, ale języki im się plączą na tym trudnym słowie, więc zostaje ono puszczone w ruch, z ust do ust jest toczone, aż jego niewygodne kanciastości miękną i prostują się. Szabsiaświnkowie – ktoś próbuje inaczej, ale też nie chwyta. Jakże to skandować, jakże krzyczeć? Więc nagle słowo wraca z drugiej strony gładsze i prostsze, jak kamień, którym przez lata bawiła się woda: szapłaświnki, szapłaświnki, krzyczy ta strona ulicy, ale druga woła już: ciapciuchy, ciapciuchy. Ludzie, którzy idą przez ten szpaler wyzwisk – bo słowa utoczono tak, żeby to były wyzwiska – zdaje się, słyszą, ale nie rozumieją, co zostało wyżej wyraźnie powiedziane. Może nie rozpoznają się w tej skandowanej polszczyźnie.

Ksiądz nie może zapomnieć o Hryćku i jego przepastna pamięć, która zamiata do głowy wszystko, co napotka, wszystko, co oczy księdza widziały, a uszy słyszały, wraca do dawnych czasów, jak to jeszcze na początku wieku Radziwiłł, Karol bodajże, wydał rozporządzenie, by Żydzi chrześcijan do siebie na służbę nie brali. I zakazywało się raz na zawsze wszelkich małżeństw mieszanych. Dlatego były wielkie skandale, gdy w 1716 albo 1717 roku (ksiądz odbywał wtedy nowicjat u jezuitów) okazało się, że dwie kobiety chrześcijanki przyjęły religię Żydów i przeniosły się do żydowskich kwartałów. Jedna to była już wdowa, a córka, dobrze to ksiądz Benedykt pamięta, jakiegoś popa Ochryda z Witebska, i ta z wielką zawziętością broniła swej konwersji i skruchy żadnej pokazać nie chciała. Druga zaś to była młodziutka dziewczyna z Leżajska, która z miłości przeszła na judaizm i podążyła za swoim ukochanym. I kiedy je obie złapano, to starszą kobietę spalono na stosie, a młodszą ścięto mieczem. Tak skończyły te nieszczęśnice. Ksiądz pamięta, że dla małżonków tych kobiet kara była o wiele łagodniejsza. Obaj tylko po sto plag dostali i ponieśli koszty procesu oraz zobowiązano ich do ofiarowania kościołom wosku i łoju. Dziś nikt by tego śmiercią nie karał, myśli ksiądz Benedykt, tyle że skandal byłby wielki. Lecz – z drugiej strony – kto się takim Hryćkiem sierotą martwi, kto się nim interesuje? I czy dla duszy jego nieśmiertelnej nie lepiej by

było, żeby ktoś go wydał? Ale to paskudna myśl i ksiądz ją zaraz od siebie odgonił. Rachunek jest in plus: tu jeden w tamtą stronę przechodzi, a tu za chwilę setki, a może tysiące przejdą w drugą.

Jako że się do biskupa w swojej sprawie dostać nie może, chciałby też przy okazji tego pobytu we Lwowie wydrukować trochę opowiastek swoich, by je móc rozsyłać przyjaciołom, a szczególnie biskupowi Załuskiemu, no i pani Drużbackiej, żeby dobrze wspominali jego skromne imię. Zebrał te najciekawsze i kilka wierszyków, i jeden specjalnie dla niej, ale wstydzi się zanieść to do drukarni jezuitów, tam gdzie drukowali mu *Nowe Ateny* kilka lat temu, dlatego znalazł mały warsztat nakładczy Golczewskiego. Teraz stoi przed jego skromną witrynką i udaje, że czyta wyłożone na niej broszurki, zastanawiając się, co powiedzieć, kiedy wejdzie do środka.

Tłum szuka cienia w bramach, nie ma gdzie nogi postawić, jest upał, więc ksiądz cofa się w podwórko dwupiętrowej kamienicy o ciemnej fasadzie. Sprawdza, czy z torbą dobrze, czy dokumenty zaświadczające jego niewinność wciąż tam są. I przypomina sobie jeszcze, że jest dziś 25 sierpnia 1759 roku i że to dzień wspominania Ludwika Świętego, króla Francji, a że był to król lubiący pokój, zaczyna wierzyć, że uda mu się własny problem rozwiązać dziś pokojowo.

Wtedy z rynku dobiega go jakiś hałas i jakby westchnienie tłumu. Drobnym kroczkiem, ciężko dysząc, wychodzi na słońce i udaje mu się dopchać prawie do ulicy. Teraz widzi, co tak zdumiewa gapiów – poszóstna kareta, a każda para koni jest innej maści, obok karety dwunastu jeźdźców bogato wystrojonych, po turecku. Kareta objeżdża rynek i wraca na Halickie Przedmieście, gdzie wozami rozłożyli się Żydzi. Tam zaś zauważa namiot z dachem w paski, turecki, barwny, otoczony Żydami. I nagle spływa na niego prawdziwe oświecenie co do sprawy bieguna Jana. Jest mu jeszcze coś winien za te książki trzymane po komorach stary Szor. Ksiądz wycofuje się spiesznie z falującego, podnieconego tłumu i uśmiecha się teraz do wszystkich, którzy go mijają.

Pod szyldem Drukarni Pawła Józefa Golczewskiego, Uprzywilejowanego Typographa Jego Królewskiej Mości

Mieszczanki ormiańskie od polskich odróżnia się we Lwowie po wielkości czepca. Ormiańskie kupcowe mają te czepce ogromne i przy twarzy wykończone zieloną plisą, a nad czołem jeszcze wstążką, polskie zaś noszą czepce białe, nakrochmalone i nie tak duże, za to przyciągają oczy kołnierzami, a właściwie kryzami karbowanymi, spod których jeszcze spływają dwa, trzy sznury korali.

Katarzyna Deymowa, pocztmagistra, żona naczelnika poczty królewskiej we Lwowie, też ma polski czepiec i kryzę. Ale bez korali, bo jest w żałobie. Idzie właśnie zamaszystym krokiem, jak to ona, przez Halickie Przedmieście i nie może się nadziwić, co tu za tłum wielki. A cały na ciemno ubrany, szemrzący po swojemu, obcy – to Żydzi. Kobiety z dziećmi na rękach i wczepionymi w spódnice, mężczyźni chudzi, rozdyskutowani, wszyscy stoją w małych grupkach, na ich głowy zaczyna lać się żar. Tam gdzie ostał się jeszcze skrawek wolnej ziemi, siadają wprost na trawie i jedzą; jakieś mieszczki roznoszą w koszach bochenki chleba, kiszone ogórki, gomółki sera. Nad tym wszystkim muchy, te bezczelne, nachalne, sierpniowe, pchają się do oczu, obsiadają jedzenie. Jacyś chłopcy niosą dwa kosze wielkich orzechów.

Deymowa patrzy na to wszystko z niechęcią, dopóki jej służąca Marta nie przynosi wieści, że to ci Żydzi, którzy przyjechali się ochrzcić. Wtedy dzieje się tak, jakby Katarzyna Deymowa zdjęła jakieś okulary, chociaż nigdy nie wiedziała, że je nosi. Nagle ogarnia ją wzruszenie – Matko Najświętsza! Przyjechali się ochrzcić! Mają rację ci, którzy mówią o końcu świata. Więc przyszło do tego, że najwięksi wrogowie Pana Jezusa będą się chrzcić. Ich grzeszny upór zmiękł, dotarło do nich, że nie ma zbawienia poza świętym katolickim Kościołem, i teraz jako skruszone dzieci dołączają do nas. I choć jeszcze wyglądają inaczej, dziwacznie, w tych swoich kapotach, z brodami po pas, to już niedługo będą jako i my.

Patrzy na rodzinę, same dziewczynki, matka z dzieckiem przy piersi zsiada właśnie niezgrabnie z fury i furman pogania ją, bo fura zaraz musi wracać po innych na przedmieścia. Spada tobołek, który miała na plecach, i wysypuje się stamtąd trochę zszarzałych szmat i pojedynczy sznurek korali, drobnych, pociemniałych. Kobieta zbiera je zawstydzona, jakby właśnie oczom świata odsłoniła swoje najniedostępniejsze sekrety. Deymowa mija ją i nagle podbiega do niej chłopczyk, może sześcio-, siedmioletni, i patrząc na nią uśmiechniętymi oczami, bardzo z siebie zadowolony, mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”. Ona zaś odpowiada automatycznie, ale i uroczyście: „Na wieki wieków, amen”. I już chwyta się za serce i łzy nabiegają jej do oczu. Kuca przy chłopcu, chwyta go za nadgarstki, a ten patrzy jej prosto w oczy pełne łez, dalej uśmiechnięty, mały łobuziak.

– Jak ty masz na imię?

Chłopczyk rezolutnie odpowiada troszkę niepewną polszczyzną:

– Hilelek.

– Ładnie.

– A potem nazywam się Wojciech Majewski.

Deymowa już nie może powstrzymać łez.

– A precla chcesz?

– Tak, precla.

Opowiada to potem swojej siostrze, Golczewskiej, w warsztacie świętej pamięci szwagra, pod pięknym, wykutym z żelaza szyldem.

– ...Żydziątko małe i mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, widziałaś takie cuda? – Deymowa rozkleja się i znowu do oczu nabiegają jej łzy. Od śmierci męża często płacze, codziennie, wszystko jej się wydaje bardzo nieznośnie smutne i ogarnia ją wielki żal do całego świata. A zaraz pod tym żalem jest gniew, który dziwnie łatwo przechodzi we wzruszenie, i nagle wobec ogromu nieszczęść tego świata opadają jej bezradnie ręce, i wszystko doprowadza ją do łez.

Obie siostry są wdowami, ale ta druga lepiej znosi wdowieństwo, bo przejęła po mężu warsztat typograficzny, właściwie małą drukarnię, gdzie wykonuje drobne druki na różne zamówienia i próbuje

konkurować z dużą drukarnią jezuitów. Jest zajęta rozmową z jakimś księdzem, słucha siostry jednym uchem.

– Masz, waćpani, patrz! – Wręcza jej wydrukowaną (dość nierówno, trzeba przyznać) odezwę podpisaną przez prymasa Łubieńskiego, w której wzywa on szlachtę i mieszczan do stawania jako rodzice chrzestni dla kontratalmudystów.

– Kontratalmudyści – powtarza Deymowa poważnie, a siostra jej dodaje: – Ciapciuchy.

Ksiądz Chmielowski uparł się na wydrukowanie kilkunastu stron opowiastek. Golczewska nie chce się wtrącać, ale drogo go to wyniesie, bo chce tylko kilka egzemplarzy, więc tłumaczy mu, że lepiej już byłoby zrobić więcej i prawie w tej samej cenie za egzemplarz. Ale ksiądz jest jakiś speszony, nie może się zdecydować, tłumaczy, że to jest tylko prezent na okoliczność imienin i że nie potrzebuje tych bibułek zbyt wiele. Bo to i tak przecież dla jednej osoby.

– To czemu wielebny tego pięknie swoją własną ręką nie przepisze? Może jakim amarantowym albo złotym inkaustem?

Ale ksiądz mówi, że tylko druk daje należytą powagę każdemu słowu.

– Słowo pisane ręcznie jest w y m e m ł a n e, druk natomiast mówi dobitnie i wyraźnie – tłumaczy ksiądz.

Golczewska, typografka, zostawia go zadumanego i odwraca się znowu do siostry.

Chyba nie ma dwóch tak różnych sióstr na całym Podolu. Deymowa jest wysoka i tęga, ma jasną skórę i niebieskie oczy, Golczewska zaś drobna i ciemnowłosa, posiwiałe kosmyki wymykają się jej spod czepca, choć ledwie przekroczyła czterdziestkę. Deymowa jest bogatsza, dlatego jest też porządnie ubrana, w suto marszczoną salopę na wielu krochmalonych halkach, na którą poszło trzydzieści łokci czarnego jedwabiu. Na to narzuciła lekką płócienną jupkę, również czarną, w końcu owdowiała niedawno. Na głowie ma śnieżnobiały czepiec. Mniejsza siostra, przepasana fartuchem pobrudzonym drukarską farbą, wygląda przy niej jak służąca. A jednak rozumieją się bez słów. Czytają odezwę prymasa i od czasu do czasu spoglądają na siebie porozumiewawczo.

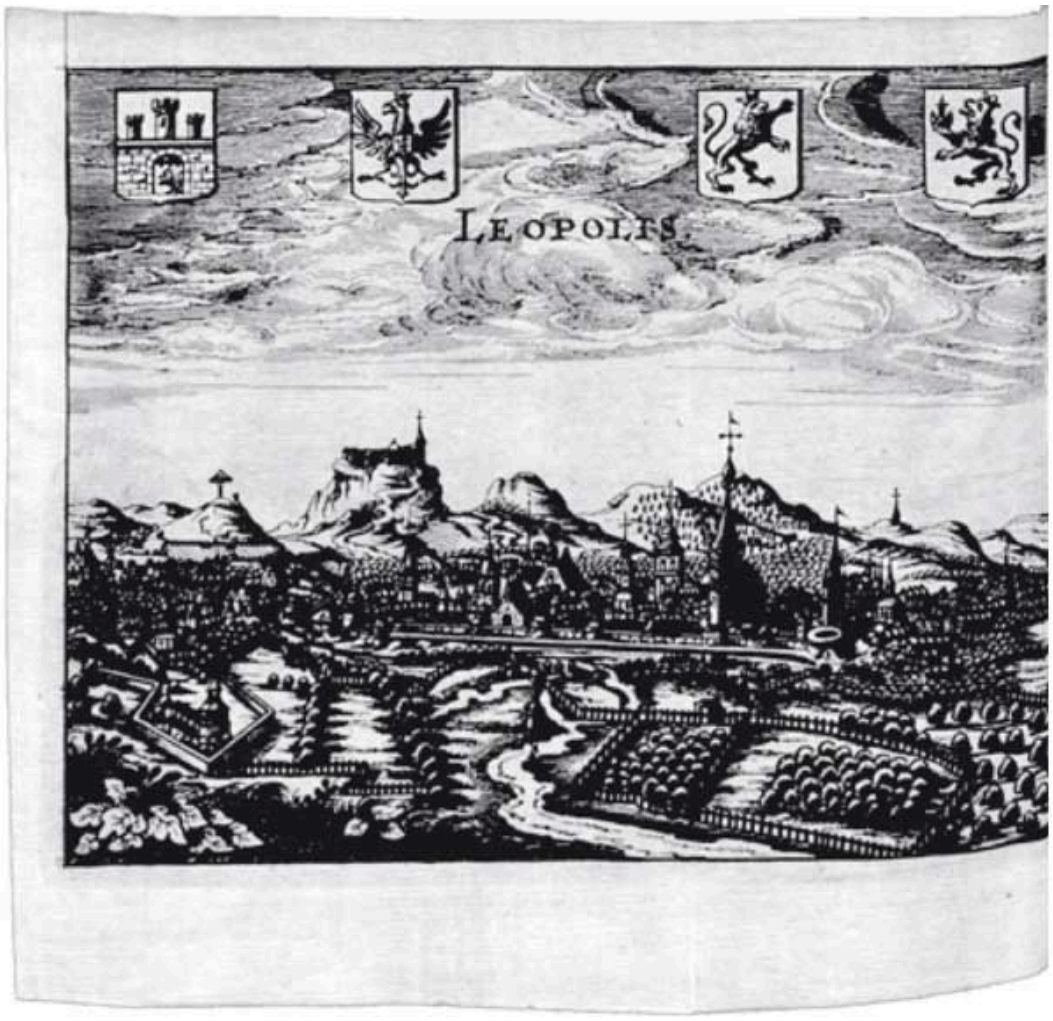

W odezwie prymasa Łubieńskiego jest napisane, że każdy chrzestny wyposaża swego chrześniaka w odpowiedni strój polski i łoży na jego utrzymanie do czasu chrztu, i dopóki podopieczny nie wróci do domu, zobowiązuje się także dbać o niego. Siostry znają się tak dobrze i tyle ze sobą przeszły, że nawet nie potrzebują się specjalnie nad tym tematem dalej rozwodzić.

Ksiądz po długim wahaniu godzi się wreszcie na większą liczbę druków. Zastrzega jeszcze swarliwym głosem, że tytuł ma być wytłuszczony i żeby mu miejsca nie żałować. I data, i miejsce, koniecznie – Leopolis, Augustus 1759.

O właściwych proporcjach

Pinkas nie mógł się powstrzymać i wyszedł na ulice miasta. Przemyka teraz pod ścianami budynków w wąskim paśmie cienia i łypie spod oka na karetę, która właśnie zatrzymuje się na rynku. Otacza ją od razu tłum ludzi. Pinkas boi się spojrzeć na jej pasażera, a kiedy już zmusza się, żeby podnieść wzrok, chłonie jego widok, prawie nie oddychając, napawając się każdym szczegółem, i każdy szczegół wydaje się jeszcze potęgować jego ból.

Mężczyzna, który wysiada z karety, jest wysoki i postawny, a wzrostu przydaje mu smukła turecka czapka, która wydaje się częścią jego postury. Ciemne falujące włosy wydostają się spod czapki, zmiękczając nieco wyraziste rysy regularnej twarzy. Wzrok ma niby bezczelny – tak się wydaje Pinkasowi – i patrzy lekko do góry, tak że widać kawałek białek na dole, jakby miał zemdleć. Toczy tym wzrokiem po ludziach stojących wokół karety i po czubkach głów zgromadzonego tłumu. Pinkas widzi ruch jego wydatnych, ładnie wykrojonych warg. Coś mówi do ludzi, śmieje się i wtedy błyskają równe i białe zęby. Jego twarz robi wrażenie młodej, a ciemna broda zdaje się ukrywać jeszcze więcej młodości, może ma nawet dołki w policzkach. Wygląda i władczo, i dziecinnie. Teraz Pinkas wie, że może się ten człowiek podobać kobietom, zresztą nie tylko kobietom, ale i mężczyznom, i wszystkim, bo ma dużo uroku, lecz przez to Pinkas jeszcze bardziej go nienawidzi. Kiedy Frank się prostuje, inni sięgają mu do brody. Turecki płaszcz, zielononiebieski, ozdobiony fioletowymi aplikacjami, jeszcze bardziej poszerza jego mocne plecy. Brokat błyszczy w słońcu. Ten człowiek wydaje się jak paw między kurami, jak rubin między kamyczkami. Pinkas jest zdumiony, zaskoczony, nie spodziewał się, że Frank zrobi na nim tak wielkie wrażenie, i nie może zupełnie znieść tego, że mu się ów człowiek podoba.

O, myśli Pinkas, ten na pewno musi być próżny, skoro tyle złota na siebie nałożył. I na pewno jest głupi, skoro imponuje mu taka kareta, choć mówią o nim Mądry Jakub. Czasami piękno zostaje wprzęgnięte w interesy zła, staje się sztuczką dla oczu, dla otumanienia tłumu.

Gdy ten Frank idzie, ludzie odsuwają się, żeby zrobić mu przejście, wstrzymują oddech. Niektórzy, ci nieśmiali, wyciągają dłonie, żeby go dotknąć.

Pinkas zastanawia się, jak go sobie wyobrażał. Nie pamięta. Lazurowofioletowe plamy wypełniły mu mózg. Mdli go. Nawet gdy odwraca się od tego dumnego przemarszu Jakuba Franka przez zachwycony tłum i spluwa z udawanym wstrętem, ma go w głowie.

Późną nocą, prawie o północy (bo nie może zasnąć), dla uspokojenia umysłu postanawia spisać raport i zanieść go do kahału. Niech go dołączą do innych dokumentów. Słowo pisane zostanie na zawsze, a kolory, nawet najbardziej jaskrawe, zblakną. Słowo pisane jest święte i każda litera powróci po wszystkim do Boga, nic nie będzie zapomniane. Co to zaś jest obraz? Nic. To barwna pustka. Choćby był najbardziej kolorowy i intensywny – to rozwieje się jak dym.

Ta myśl dodaje mu siły i nagle dostrzega prawdziwe, jak mu się zdaje, proporcje. Cóż to jest postura, uroda, dźwięczny głos? Toż to szata tylko. W jaskrawym świetle słońca wszystko wygląda inaczej, w mroku nocy cała ta jaskrawość blednie i widać lepiej to, co ukryte.

Z rozmachem zapisuje pierwsze słowa: „Widziałem na własne oczy...”. Stara się być teraz sprawiedliwy, zapomnieć o płaszczu i karecie, a nawet wyobraża sobie Jakuba nago. Trzyma się tej myśli. Widzi chude, wykrzywione nogi i zapadłą klatkę piersiową, porośniętą rzadkim włosem, jedno ramię jest wyżej, drugie, zdaje się, niżej. Moczy pióro w atramencie i chwilę trzyma je uniesione nad papierem, aż zbiera się na końcówce niebezpiecznie duża czarna kropla; wtedy ostrożnie strząsa ją do flaszki i pisze:

> Postać jego była raczej mizerna, skręcona, twarz brzydka, kostropata. Nos krzywy, pewnie od jakiego uderzenia. Włosy miał zmierzwione, matowe, zęby czarne.

Pinkas, pisząc „zęby czarne”, przekracza niewidzialną i niewyczuwalną granicę, ale w swoim zapamiętaniu w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy.

> W ogóle nie przypominał postaci ludzkiej, lecz jakby demona albo zwierzęcia. Poruszał się gwałtownie i w jego gestach nie było nic z gracji.

Znowu moczy pióro w inkauście i zamyśla się – co to za zwyczaj myśleć z umoczonym piórem, najpewniej będzie z tego kleks – ale nie, pióro rzuca się na papier i w zapamiętaniu skrobie:

> Mówił niby w wielu językach, ale prawda jest taka, że w żadnym z nich nie umiał się godnie wypowiedzieć ani napisać nic sensownego. Dlatego gdy się wypowiadał na głos, był to dźwięk nieprzyjemny dla uszu, skrzekliwy i piskliwy, i tylko ci, co go dobrze znali, mogli naprawdę zrozumieć, o co mu chodzi.
>
> Na dodatek nie zdobył nigdzie porządnego wykształcenia, wiedział tyle, ile tu i ówdzie posłyszał, więc wiedza jego była pełna dziur. Znał się raczej na bajkach, co to się je dzieciom opowiada, a jego wyznawcy jak jeden mąż wszyscy w te bajki wierzyli.

I zdaje się Pinkasowi, że widział nie człowieka, lecz trójgłową bestię.

Chrzest

W dniu 17 września 1759 roku, po uroczystej mszy, do chrztu przystępuje Jakub Frank i przyjmuje imię Józef. Chrzest otrzymuje z rąk metropolity lwowskiego Samuela Głowińskiego z Głowna. Jego chrzestnymi zaś są niespełna trzydziestoletni, elegancki, ubrany z francuska Franciszek Rzewuski oraz Maria Anna Brühlowa. Jakub Frank chyli głowę i poświęcona woda moczy jego włosy, leje się po twarzy.

Zaraz po Franku idzie Krysa, ubrany po szlachecku, po polsku, i w tym nowym stroju jego niesymetryczna twarz wydaje się nawet jakaś dostojna. To Bartłomiej Walenty Krysiński; jego chrzestnymi są unicki biskup lwowski Szeptycki i wojewodzina czernichowska Miączyńska.

Za nim stoi już cała grupa, z której co chwilę występuje jeden i idzie do ołtarza. Zmieniają się chrzestni w uroczystych, bogatych strojach. Grają organy, przez co wysoki, pięknie sklepiony sufit katedry wydaje się jeszcze wyższy – gdzieś tam, zaraz za stromymi łukami, znajduje się niebo, do którego wszyscy teraz chrzczeni z pewnością trafią. Cierpki zapach żółtych wysokich kwiatów, którymi ozdobiono ołtarz, zmieszany z zapachem kadzidła jest wytworny, jakby rozpylono w kościele najlepsze wschodnie pachnidła.

Teraz idą zgrabni młodzieńcy, z włosami obciętymi niczym u paziów – są to bratankowie Jakuba Franka, Paweł, Jan i Antoni, a czwarty, który miętosi nerwowo w dłoniach czapkę, to syn Chaima z Jezierzan, teraz Jezierzańskiego, Ignacy. Zapada na chwilę cisza, bo organy milkną i zmęczony organista przewraca karty nut do następnej pieśni. Przez moment słychać szelest stron, tak cicho jest w kościele. Potem znów bucha muzyka, uroczysta, patetyczna i oto do ołtarza idzie Franciszek Wołowski, jeszcze do niedawna Szlomo Szor, syn Eliszy, z synkiem, siedmioletnim Wojciechem. I za nim jego ojciec, najstarszy z ludzi Franka, sześćdziesięciokilkuletni Elisza Szor, dostojny starzec, podtrzymywany przez dwie synowe – Rozalię i Różę; nigdy nie wrócił do zdrowia po pobiciu. Tuż za nimi idzie piękna żona Chaima Turczynka, teraz Kaplińskiego, Barbara, Wołoszka, która świadoma swej urody, pozwala się podziwiać ciekawym oczom. Jasne jest, że ci ludzie,

którzy schylają głowy przed dotknięciem mokrych palców metropolity, to wielka rodzina, rozrośnięta jak drzewo.

Tak właśnie myśli ksiądz Mikulski, który patrzy na nich, usiłując znaleźć dowody pokrewieństwa w ich wyglądzie, posturze. Chrzczą bowiem jedną ogromną rodzinę, można by ją nazwać podolsko-wołosko-turecką. Teraz, porządnie ubrani i uroczyści, mają w sobie coś nowego – jakąś godność i pewność siebie, której nie mieli jeszcze wczoraj, gdy widział ich na ulicach miasta. Nagle przeraża go ta ich nowa postać. Za chwilę wyciągną ręce po szlacheckie tytuły, bo przecież Żyd, który się ochrzci, ma prawo do szlacheckiego tytułu. Jeśli dobrze zapłaci. Ogarnia księdza jakieś zwątpienie, a nawet lęk – że oto wpuszczają na swoje pokoje obcych o nieprzeniknionych twarzach oraz niejasnych i zagmatwanych intencjach. Wydaje mu się, że do katedry wlewa się cała ulica i że będą tak szli pod ołtarz do samego wieczora, i że nie widać końca.

Ale to nieprawda, że są tam wszyscy. Nie ma na przykład Nachmana, siedzi teraz przy swojej małej córeczce, która nagle zachorowała. Dostała biegunki i wysokiej gorączki. Wajgełe próbowała ją na siłę karmić mlekiem, ale nie dało to żadnego rezultatu, rysy małej twarzyczki zaczęły się nagle wyostrzać i dziewczynka umarła nad ranem 18 września, i sam Nachman orzekł, że trzeba to zachować w tajemnicy. Następnej nocy zrobiono jej pospieszny pogrzeb.

O zgolonej brodzie Jakuba Franka i nowej twarzy, jaka się spod niej dobywa

Chana Frankowa, która właśnie przybyła na chrzest z Iwania, nie poznała męża. Stoi przed nim i patrzy – jakby się jego twarz dopiero urodziła: blada, delikatna skóra wokół ust, jaśniejsza niż na czole i policzkach, wargi ciemne, dolna lekko wywinięta, podbródek miękki, podzielony delikatnie na pół. Dopiero teraz Chana dostrzega pieprzyk po lewej stronie, pod prawym uchem, jakby znamię. Uśmiecha się i odtąd

przyciągają uwagę jego białe zęby. To zupełnie inny człowiek. Wittel, która go goliła, wycofuje się z miednicą pełną piany.

– Powiedz coś – prosi go Chana. – Poznam cię po głosie.

Jakub śmieje się głośno, odrzuca głowę do tyłu, jak to on.

Chana jest wstrząśnięta. Stoi przed nią Jakub chłopiec, nowy człowiek, jakby nagi, z całym sobą na wierzchu, bezbronny. Dotyka go lekko dłonią, która odkrywa zaskakującą gładkość tej skóry. Chana czuje niepokój, niejasny, niedobry, i nie może opanować gwałtownego szlochu.

Twarze powinny pozostać w ukryciu, w cieniu – myśli – jak uczynki, jak słowa.

21

O tym, jak jesienią 1759 roku nawiedza Lwów zaraza

Jeszcze niedawno uważano, że zaraza powstaje z niefortunnej konstelacji planet, myśli Aszer. Rozbiera się do naga i zastanawia, co zrobić z ubraniem. Wyrzucić? Bo jeżeli nasiąknęło jakimiś wyziewami chorych, to mógłby teraz te wyziewy rozpylić w domu. A nic nie byłoby straszniejsze, niż gdyby wpuścić zarazę do własnego domu.

Pogoda we Lwowie nagle się zmieniła, z tej upalnej i suchej przeszła w ciepłą i wilgotną. Wszędzie, gdzie tylko jest trochę ziemi czy próchna, pojawiają się grzyby. Co rano w mieście stoi mgła, jak gęsta śmietana, którą dopiero ruch uliczny porusza i bełta.

Dziś stwierdził cztery zgony i odwiedził chorych; wie, że będzie ich więcej. Wszyscy mają te same objawy: wodnistą biegunkę, ból brzucha i postępujące osłabienie.

Zaleca picie dużej ilości świeżej wody albo – lepiej – zaparzonych we wrzątku ziół, ale ponieważ chorzy koczują na ulicy, nie mają gdzie gotować wody. Dlatego najwięcej chorych jest wśród Żydów neofitów. Z tego powodu spieszą się do chrztu – wierzą, że jako ochrzczeni, nie zachorują i nie umrą. Aszer widział dziś kilku takich już naznaczonych, a dwoje z nich to dzieci – wszyscy mieli twarz Hipokratesa: ostre rysy, zapadnięte oczy, zmarszczki. Życie musi mieć widocznie jakąś objętość, skoro gdy wypływa, sprawia, że ciało człowieka przypomina zeschnięty liść. Potem szedł od Halickiego Przedmieścia przez rynek i widział, jak miasto zamknęło się w sobie, okiennice pozawierane, pusto na ulicach i nie wiadomo, czy jarmark się odbędzie, chyba że przyjadą chłopi ze wsi, ci, co jeszcze o zarazie nie wiedzą. Kto jeszcze zdrów i ma gdzie, wyjeżdża.

Aszer próbuje wyobrazić sobie, jak choroba przechodzi z jednego człowieka na drugiego; musi to być tak, że choroba ma postać jakiejś nieuchwytnej gęstej mgły, zaduchu czy może zjadliwej pary. Te miazmaty, dostawszy się z wciągniętym powietrzem do krwi, zapalają ją i zarażają. Dlatego Aszer, wezwany dziś do pewnego mieszczańskiego domu, gdzie zachorowała pani domu, stał przy oknie, przez które wchodził wiatr, ona zaś, chora, leżała tam, którędy wiatr wychodził. Rodzina domagała się, żeby upuścić jej krwi, ale Aszer jest przeciwny temu zabiegowi – niektórych to bardzo osłabia, zwłaszcza kobiety, choć oczywiście umniejsza zawartą we krwi ilość jadu.

Aszer słyszał też o zarazkach, czymś w rodzaju maleńkich robaczków, które najchętniej uczepiają się takich rzeczy, jak futra, konopie, jedwab, wełna i pierze, ulatują z nich przy każdym ruchu, z oddechem przedostają się do krwi i zatruwają ją. Ich siła zależy od powietrza – gdy jest czyste, rozpadają się i giną. Na pytanie, jak długo może przetrwać zarazek, lekarze odpowiadają, że w rzeczach zachowanych w lochu do lat nawet piętnastu, w przewietrzanych zaś do trzydziestu dni, podobnie w człowieku – nie dłużej niż czterdzieści dni. Jednak ludzie główną przyczynę moru upatrują zgodnie w gniewie Bożym spowodowanym przez grzechy ludzkie. I to wszyscy – Żydzi, chrześcijanie, Turcy. Gniew Boży. Salomon Wolff, ten lekarz z Berlina, z którym Aszer koresponduje, powiada, że mór nigdy nie powstał pierwotnie w Europie, ale był zawsze przynoszony z innych części świata, i że kolebką jego jest Egipt, z którego zwykle dostaje się do Stambułu, a stamtąd szerzy się po Europie. Więc pewnie przynieśli tę zarazę do Lwowa ci wołoscy Żydzi, którzy tu przybyli na chrzest. Tak przynajmniej się tu mówi.

Teraz wszyscy czekają na zimę jak na wybawienie, bo mróz zgniliźnie jest przeciwny i dlatego to choroba w zimie całkiem zanika lub znacznie słabnie.

Aszer nie pozwala Gitli wychodzić z domu, ma siedzieć z Samuelem przy zasłoniętych oknach.

Któregoś wieczoru zjawia się u Aszera dwóch mężczyzn – starszy i młodszy. Starszy ubrany w długi czarny płaszcz, w czapce. Broda rozkłada się mu majestatycznie na wystającym nieco brzuchu. Ma jasną,

smutną twarz i przenikliwe niebieskie oczy, które świdrują teraz Aszera. Młodszy – wzięty chyba dla respektu, jest wielki i zwalisty. Ma zupełnie jasne zielone oczy i bladą karnację. Stojąc w drzwiach, starszy wymownie wzdycha.

– Pan doktor wielmożny – zaczyna po żydowsku – jest w posiadaniu pewnej rzeczy, która najprawdopodobniej nie jest pana własnością.

– A to ciekawe – odpowiada Aszer – bo ja w żadnym razie nic takiego sobie nie przypominam, żebym r z e c z jakowąś sobie przywłaszczył.

– Ja jestem Pinkas ben Zelik z Kozowej, rabin. A to mój synowiec Jankiel. Przyszliśmy po Gitlę, moją córkę.

Aszer milczy, zupełnie zaskoczony. Dopiero po chwili wracają mu głos i rezon.

– To by miała być ta r z e c z, o której mówicie? A ona przecież żywa istota, nie rzecz.

– No, tak się tylko mówi – powiada Pinkas polubownie. Patrzy za jego plecami w głąb mieszkania. – Może byśmy weszli na słowo.

Aszer niechętnie wpuszcza ich do środka.

– Jak się jest lekarzem, to się widzi tylko ludzkie nieszczęście – mówi do niego Pinkas, jego teść, powiedzmy, gdy następnego dnia Aszer Rubin jest znowu przy chorych w szpitalu. – A życie to jest wielka siła i my po jego stronie stoimy. Co się stało, to się nie odstanie.

Pinkas udaje, że znalazł się tu przypadkiem. Dół twarzy ma zakryty kawałkiem białego płótna, co podobno powinno chronić od wyziewów. Smród tutaj panuje straszliwy, to raczej umieralnia niż miejsce leczenia. Chorych kładzie się już na podłodze, bo szpital jest maleńki.

Aszer się nie odzywa.

Pinkas mówi teraz ponad jego głową, jakby nie do niego się zwracał:

– Gmina wiedeńska potrzebuje lekarza, i to takiego, który by się znał na oczach. Zakładają szpital żydowski. Mógłby Aszer Rubin zabrać żonę i – milknie na chwilę, zanim to wypowie – dzieci i wyjechać stąd. Wszystko złe poszłoby w niepamięć. Ślub by się wzięło i sprawy by się naprawiły.

Po chwili dodaje tonem zachęty do rozmowy:

– To wszystko przez te niewierne psy.

Gdy wypowiada „niewierne psy”, głos jego staje się chrapliwy i Aszer mimowolnie podnosi na niego oczy.

– Idźcie stąd. Jeszcze o tym pomówimy. Niech niczego nie dotyka. Ja muszę do chorego.

Śmierć jest szybka i łaskawa. Najpierw boli głowa, pojawiają się mdłości i ból brzucha, potem przychodzi biegunka i już nie ustaje. Ciało wysusza się, człowiek niknie w oczach, traci siły i w końcu przytomność. Trwa to dwa, trzy dni i przychodzi koniec. Najpierw umarło dziecko, potem rodzeństwo tego dziecka, potem matka, a na końcu ojciec – Aszer patrzył na to wszystko. Tak się zaczęło. Od nich zarazili się inni, którzy tu przybyli.

Ludzie, do których przychodzi z powodu puchliny pana domu, pobożni Żydzi, patrzą na niego porozumiewawczo, kiedy pytają o sytuację na mieście, w jakimś sensie dumni, że u nich – tylko puchlina. Kobieta w przekrzywionym czepcu podnosi znacząco brwi: to klątwa, to potężny cherem rzucony na zaprzańców. I on działa. Bóg karze zdrajców, co kalają własne gniazdo, odszczepieńców, szatanów.

– Długo jego powodzenie trwać nie mogło, wszystko to diabelskie siły. Skąd to złoto, te powozy wielokonne, te gronostaje? Teraz Bóg go ukarał przykładnie. Umierają zaprzańcy na zarazę, jeden po drugim. To kara – mamrocze.

Aszer odwraca od niej głowę i kieruje wzrok na zasłony przy oknie, wypłowiałe i pełne kurzu, tak że wzorek na nich stał się prawie niewidoczny – oto jest kolor kurzu. Przypomina mu się Pinkas, jego niby-teść, i zastanawia się, jak by to było, gdyby nienawiść mogła się zmienić w zarazę. Czy tak właśnie działa cherem? Aszer widzi często, że człowiek wyklęty wkrótce staje się bezbronny, słaby i choruje, a gdy się z niego zdejmie klątwę, to zdrowieje.

Ale Aszer prędzej sam by się dał zarazić, niżby wierzył w takie rzeczy. Wie, że wszystkiemu winna jest woda – wystarczy jedna skażona studnia, żeby zabić całe miasto. Chorujący piją taką wodę, a potem ich

zarażone odchody wędrują do innych ujęć wodnych. Aszer poszedł do ratusza i przedstawił swoje obserwacje – to musi mieć związek ze studniami i z wodą. Przyznali mu rację, Żydowi, kazali zamknąć studnie i rzeczywiście zaraza jakby trochę przycichła. Ale potem wybuchła ze zdwojoną siłą jeszcze raz, widocznie przeniosła się na inne źródła wody. Nie można zamknąć studni w całym Lwowie. Można mieć tylko nadzieję, że część ludzi z jakichś względów pozostaje na tę zarazę odporna. Jedni chorują krótko i lekko, a potem sami powracają do zdrowia. Inni w ogóle nie zapadają na chorobę, jakby byli nietykalni.

I wreszcie w tym ponurym zamieszaniu Aszer widzi tego pomazańca, może mu się napatrzyć do woli. Od kiedy pojawił się we Lwowie pod koniec sierpnia, teraz widać go często – albo w tej jego bogatej karecie, albo jak chodzi między wymizerowanymi wyznawcami, którzy śpią pod gołym niebem. Widać się nie boi. Mimo ciepła ma czapkę wysoką, turecką, i turecki płaszcz koloru pięknej zieleni, jakby wody w stawie albo szkła, z którego robi się butelki na lekarstwa. Wygląda jak ogromna zielona ważka, która przefruwa z jednego miejsca w drugie. Podchodzi do chorych, a wtedy Aszer, jeśli tam jest, odsuwa się na bok bez słowa. Tamten kładzie ręce na czole chorego i sam zamyka oczy. Chory jest rozanielony, jeżeli jest jeszcze przytomny. Niedawno jeden z chorych Żydów sam poszedł do kościoła i domagał się chrztu. A gdy go pospiesznie ochrzczono, od razu mu się polepszyło. Tak przynajmniej mówią na Halickim Przedmieściu. Pod synagogą mówią zupełnie co innego: że od razu umarł.

Aszer musi przyznać, że ten Frank to przystojny mężczyzna. Może tak właśnie będzie wyglądał kiedyś jego syn Samuel. Nie miałby nic przeciwko temu. Ale nie w urodzie jego siła. Aszer zna takich ludzi, wielu magnatów to ma, szlachetnie urodzonych – niewytłumaczalną pewność siebie, niczym nieuzasadnioną, chyba że istnieniem jakiegoś wewnętrznego punktu ciężkości, który sprawia, że taki człowiek czuje się królem w każdej sytuacji.

Od kiedy ten obcy jest w mieście, Gitla nie może znaleźć spokoju. Ubiera się, ale w końcu nie wychodzi z domu. Stoi chwilę pod drzwiami, a potem rozbiera się i zostaje. Aszer, gdy wraca, widzi ją, jak leży na

kanapie. Jej brzuch jest już duży, okrągły i twardy. Całe ciało wydaje się lekko opuchnięte, ociężałe. Ma ciągle zły humor i twierdzi, że umrze przy porodzie. Jest na niego zła – bez niego i bez ciąży wróciłaby do ojca albo znowu poszła z tym Frankiem. Gdy tak leży w ciemnościach, na pewno rozważa wszystkie możliwe, a niedoszłe wersje swojego życia.

W drugiej połowie października, gdy robi się chłodno, zaraza wcale nie mija, ale przybiera na sile. Halickie Przedmieście opustoszało, dla przyjezdnych znaleziono miejsca u sąsiadów, po klasztorach i pańskich folwarkach. Codziennie odbywają się chrzty w katedrze i kościołach Lwowa. Teraz jest nawet kolejka. Kiedy tylko ktoś umrze, inni od razu chcą się chrzcić.

Kiedy jednak wciąż umierają już ochrzczeni, Jakub przestaje się pokazywać na ulicy i leczyć dotykiem swoich długich palców. Mówią, że pojechał do Warszawy, do króla, starać się o ziemię dla przechrztów. Ale mówią też, że wystraszył się zarazy i znowu uciekł do Turcji.

Tak myśli Aszer, mając w pamięci wczorajsze zgony. Na przykład rodzina Majorkowiczów. W ciągu dwóch dni umarli w jego szpitalu matka, ojciec i ich cztery córki. Piąta dogorywa, tak wycieńczona, że już nie przypomina ludzkiego dziecka, ale jakiś mroczny kształt, ducha, upiora. Szósta, najstarsza, siedemnastoletnia, ponoć osiwiała z rozpaczy.

Majorkowicze mieli porządny pogrzeb, chrześcijański, drewniane trumny i miejsce na cmentarzu na koszt miasta. Pochowano ich pod nowymi nazwiskami, do których nie zdążyli się przyzwyczaić: Mikołaj Piotrowski, Barbara Piotrowska i ich córki: Wiktoria, Róża, Tekla, Maria. Aszer nakazuje sobie zapamiętać: Srol Majorkowicz, Bejla Majorkowiczowa oraz Sima, Frejna, Masia, Miriam.

To właśnie teraz, po pogrzebie tych Majorkowiczów-Piotrowskich, stoi u siebie w przedpokoju i powoli zdejmuje całe ubranie. Zwija je w kłębek i każe spalić służącej. Może śmierć czepia się guzików, szwów spodni, kołnierza. Wchodzi do pokoju, gdzie jest Gitla, całkiem nagi. Patrzy na niego zdumiona, wybucha śmiechem. Nic jej nie mówi.

Udaje się jednak uratować tamtą jedną małą, chudą dziewczynkę – drugą Majorkowiczównę. To Elia; teraz nazywa się Salomea Piotrowska. Aszer trzyma ją w szpitalu i dobrze karmi. Najpierw kleikiem z ryżu na wodzie, potem sam jej kupuje kurczęta i każe gotować rosół, sam palcami wpycha jej do buzi kęsy mięsa, po trochu, po malutkim kawałeczku. Dziewczynka zaczyna się uśmiechać, gdy go widzi.

Jednocześnie pisze list do starosty Łabęckiego i osobno do jego żony. Po dwóch dniach dostaje odpowiedź z Rohatyna, żeby przywieźć małą Salomeę.

Dlaczego nie pisał w tej sprawie do Rapaporta, do gminy? Tak, rozważał taką myśl. Po chwili namysłu uznał jednak, że mała Salomea będzie miała lepiej w pałacu Łabęckich niż w domu bogatego Rapaporta, nawet jeżeli – co wątpliwe – zechciałby ją przyjąć. Żyd – dziś bogaty i mocny, jutro biedny i bezradny; tego się Aszer w swoim życiu nauczył.

Po Chanuce i chrześcijańskim Nowym Roku, na początku stycznia, Gitla rodzi dwie córki. W marcu, gdy schodzą ostatnie śniegi, Aszer i Gitla pakują cały dobytek i ruszają z dziećmi do Wiednia.

Co Moliwda pisze do kuzynki, Katarzyny Kossakowskiej

Jaśnie Wielmożna Pani Dobrodziejko, Kuzynko Oświecona,

Dobrze, żeś szybko się stąd wyniosła, bo tu zaraza rozhulała się na dobre i widać już ślady Pani Śmierci stąpającej po ulicach Lwowa. Najbardziej zaś dotkliwe jest to, że zaraza upodobała sobie Twoich podopiecznych, jako że wśród nich wielu jest biednych, niedożywionych i mimo aprowizacji księdza Mikulskiego oraz okazywanej dobrej woli wielu szlachetnych ludzi pozostają oni w niedostatku, stąd są bardziej podatni na działanie choroby.

I ja już mam spakowane swoje rzeczy, i teraz za dni kilka poprowadzę Jakuba i jego kompanię do Warszawy, gdzie mam nadzieję natychmiast się z Jaśnie Dobrodziejką spotkać i omówić szczegóły naszych działań. Dziękuję też za hojną zapłatę za moją pracę, którą udało się zebrać dla mnie Mości Dobrodziejce

od innych możnych. Jak rozumiem, najhojniejszy jest pan Jabłonowski. Mam dla niego wiele szacunku i wdzięczności, idea Paragwaju pod Buskiem jednak mnie nie przekonuje. Nie są, Pani, Twoi podopieczni łagodnymi jak paragwajscy Indianie. I mają starszą od naszej religię, pisma i zwyczaje. Z całym szacunkiem – pan Jabłonowski powinien był przyjechać do Iwania albo teraz pobyć trochę z nimi na Halickim Przedmieściu.

Ja się nie podejmę opisania Ci całej sprawy, bo mnie to zbyt przygnębia. Po śmierci córki Nachmana, teraz Piotra Jakubowskiego, jednej z pierwszych ofiar moru, od razu zaczęto opowiadać, że to jest nowa klątwa żydowska rzucona na niewiernych. I jeszcze ta niespotykana szybkość, z jaką działa. Z człowieka wydobywa się woda i ciało się jakby zapada do środka, skóra się marszczy, a rysy stają się ostre i drapieżne. Człowiek słabnie w ciągu dwóch dni i umiera. Nachman-Jakubowski, całkowicie załamany, utonął w swojej kabale, coś tam liczy i przelicza, mając nadzieję, że znajdzie wytłumaczenie swojego nieszczęścia.

Robi się chłodno i nie ma co począć z tymi koczującymi i chorymi. Przydałyby się środki kolejne, ubrania i żywność, jako że ksiądz Mikulski, intendent tego przedsięwzięcia, nie radzi już sobie.

Żądali lekarze, aby od przyjeżdżających do miasta wymagano świadectw, iż przybywają z okolic wolnych od zarazy, i aby podejrzanych „wietrzyć” za miastem przez sześć tygodni, w miejscu zarazy zaś mieć dostateczną liczbę lekarzy, cyrulików, osobnych posługaczów do chorych, tragarzów i grabarzów. Także wszystkich mających styczność z chorymi zaopatrzyć w znaki, na ten przykład krzyże białe na piersiach i plecach. Należałoby mieć zapas pieniędzy na żywność i lekarstwa dla ubogich; psy i koty, biegające z domu do domu, z miasta usunąć, śledzić pojawienia się moru w każdym domu, zbudować za miastem dla chorych i podejrzanych sporo małych domków z desek, a towary podejrzane w przeznaczonych ku temu szopach wietrzyć. Ale, jak to u nas, wszystko się jakoś po kościach rozchodzi.

Ty, Jaśnie Oświecona Dobrodziejko, będziesz już wiedziała, co robić, by tych ludzi umieścić gdzieś w godziwych warunkach. Wielu z nich, wybierając się na chrzest, wyprzedało swoje małe majątki i teraz czeka na jakie zmiłowanie nasze.

Katarzyna Kossakowska
ośmiela się niepokoić możnych tego świata

Do Jana Klemensa Branickiego, Hetmana Wielkiego Koronnego, w dniu 14 grudnia 1759

W wielkim mam poważaniu gościnę, której mi JW Pan Dobrodziej użyczył niedawno, gdym znowu była po drodze. Mościska piękne i wygodne, długo je pamiętać będę. A ponieważ wyraziłeś do sługi swojej, że życzysz dobrze wszelkim moim zamiarom, to zwracam się do JW Pana Dobrodzieja o rozważenie sytuacji, o której już Mu wspominałam. Ażebyśmy jakim wspólnym ruszeniem, jako najwyżej urodzeni i dobrze ze sobą skoligaceni, znając to francuskie powiedzenie, iż noblesse oblige, wsparcia i pomocy udzielili owym biednym neofitom, purytanom, których tu na Podolu wysyp wielki. Już JW Pan Dobrodziej pewnie słyszał, że oni teraz ruszyli do Warszawy i domagają się audiencyi u króla (w którą bardzo wątpię), a także terytorium jakiego na królewszczyźnie do osiedlenia. Pomysł nasz jest taki, aby ich poprzyjmować do dóbr naszych, co byłoby i po chrześcijańsku miłosierne, i dusz nam nowych przybyłoby tym sposobem.

Osobnym listem, przez Kalickiego, dałam Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi znać, co się tu działo z sejmikiem...

Do Eustachego Potockiego, JW Pana Brata, generała artylerii Wielkiego Księstwa Litewskiego, 14 grudnia 1759

Tą pocztą dochodzi mnie obligacyja JW Pana Dobrodzieja, abym Mu posłała portret ojca naszego, co bym z chęcią uczyniła, gdyby była jaka pewna okazja, bo co do poczty, to nie masz żadnej pewności.

I ponawiam pytanie moje z poprzedniej korespondencji, czy Wielmożny Pan Dobrodziej rozważył kwestie jakiego majątku dla neofitów.

Jak mnie znasz, całe moje życie, wiesz dobrze, że nie rozczulam się zbytnio nad przypadkami ludzkiego losu i raczej twardą jestem. Wiem, że przez okulary można wypatrywać poczciwego, a nie znaleźć. Aleć w tym przypadku widzę to

jako nasz obowiązek – oni w najgorszej ze wszystkich sytuacji są postawieni; gorzej niż nasi chłopi, bo są jako te dziady – wygnani przez swoich, pozbawieni często majątku i bez własnego miejsca na ziemi, na dodatek języka dobrze nie znając, w wielu przypadkach są zupełnie bezradni. Dlatego to się tak usilnie ze sobą trzymają. Gdyby ich tak rozparcelować po naszych majątkach, mogliby żyć po chrześcijańsku, zajmując się rzemiosłem czy handlem i nikomu nie wadząc, i byłby to nasz uczynek zbożny, żeśmy ich oswoili i pod skrzydła naszego świętego Kościoła przyjęli.

Do Pelagii Potockiej, Kasztelanowej Lwowskiej, 17 grudnia 1759

Nie chciałabym ja teraz i fatygować, i inkomodować Wielmożnej Pani Dobrodziejki takimi rzeczami, które są arcystaroświeckiej mody, to jest winszować takich rzeczy, co były przed wieki, i życzyć tego, na co wcale nie masz mody – żeby się swoi kochali i życzyli sobie dobrze. Że zaś ja nie chcę być modną, tylko rzetelną i szczerą, wzdycham do Boga przychodzącego na świat, aby dodał zdrowia i lat długich. Więcej życzę, bo i pomyślności, ale temu nie poradzę.

Już zapewne Waćpani słyszała o tym nowym wezwaniu, nie to że modnym, ale miłosiernym, aby brać do siebie dziewczęta neofickie, kiedyś żydowskie, a teraz chrześcijańskie. Starościna Łabęcka taką małą dziewuszkę do siebie przyjęła. Gdybym ja w takim ruchu ciągle nie była, też bym i o tym pomyślała. Czyn taki daje im nadzieję na lepsze życie, edukację dla niewiast właściwą. Dziewuszka wielce bystra jest i już ma guwernera, i uczy się jednocześnie polskiego i francuskiego. Pani Łabęcka od razu odżyła, więc i zasługa jest obopólna...

O deptaniu monet i zawracaniu nożem klucza żurawi

W dzień przed wyjazdem do Warszawy Jakub każe im się zebrać, tym wybranym, kobietom i mężczyznom. Czekają na niego z godzinę – przychodzi ubrany po turecku, z nim Chana, strojna i uroczysta. Idą teraz całą grupą, szybkim krokiem w stronę Wysokiego Zamku, oglądają się

za nimi ciekawie przechodnie. Jakub gna pierwszy, stawiając wielkie kroki, pochylony do przodu, tak że stary reb Mordke naprawdę musi się starać, żeby za nim nadążyć; w końcu zostaje w tyle, z nim zaś Herszełe. Chana nie narzeka, że doszczętnie zniszczy wyszywane jedwabne pantofle, idzie o krok za mężem, podnosi tylko poły długiego płaszcza, patrzy pod nogi. Jakub wie, co robi.

Dziwny dzień, powietrze jest miękkie i gładkie, jakby się poruszali w rozwieszonym muślinie. Pachnie dziwnie niepokojąco, czymś słodkim, popsutym, o czym się zapomniało i co porosło pleśnią. Niektórzy mają na twarzach maseczki, ale im wyżej wchodzą, tym chętniej je zdejmują.

Dla wszystkich jest jasne, że zaraza to część wojny, że ją na nich napuścili wrogowie. I ten, czyja wiara jest słaba, ten umrze. Ten, kto mocno wierzy Jakubowi, nigdy nie umrze, byleby nie zwątpił. Gdy są już daleko od miasta, zwalniają i zaczynają rozmawiać, zwłaszcza ci, którzy zostali z tyłu. Rozgadują się, niektórzy pobrali kije do podpórki, mówią coraz śmielej, im dalej i im wyżej, szpiedzy tu nie dotrą, nikt ich nie podsłucha, nie ma ciekawskich sekretarzy, katechetów, oddanych sprawie pań. Mówią:

– Moliwda i stara Kossakowska będą zabiegać teraz w Warszawie o audiencję u króla...

– Niech ich Bóg prowadzi...

– Gdy to się stanie, szlachectwo nasze potwierdzimy...

– Ale jedziemy prosić o ziemię, królewską, nie magnacką...

– Tego pani Kossakowska jeszcze nie wie...

– Nie chcemy palić za sobą mostów, po co ma wiedzieć...

– Król da nam ziemie. Królewskie lepsze niż pańskie czy kościelne. Ale czy to pewne?...

– Kim jest ten król?...

– Król ma honor i słowo królewskie jest jak złoto...

– W Busku będzie ta ziemia...

– W Satanowie...

– Rohatyn jest nasz...

– A gdziekolwiek, byleby była...

Stoją na górze i widzą stąd całe miasto; drzewa już prawie całe czerwone i żółte, jakby jakaś wielka ręka zażegła w świecie płomień. Światło jest złote, miodowe, ciężkie, spływa ciepłymi falami z góry na dół, kryjąc pozłotą dachy Lwowa. A mimo to miasto widziane z góry wydaje się strupem na skórze, chropowatą blizną. Z daleka nie słychać gwaru, wygląda na niewinne, a przecież to tam chowają teraz zmarłych, zmywają wiadrami wody zakażony bruk. Nagle wiatr przynosi zapach dymu z drewna; Jakub milknie i tak stoją, nikt nie śmie się odezwać.

Wtedy Jakub robi dziwną rzecz:

Wbija w ziemię nóż i podnosi głowę do nieba, i wszyscy spoglądają z nim razem w górę. Klucz żurawi lecący nad ich głowami gubi szyk, pęka w dwóch miejscach jak sznur korali, ptaki rozsypują się, zawracają, plączą się, wlatują na siebie i zaczynają krążyć wysoko nad nimi, chaotycznie. Przykro na to patrzeć. Chaja zakrywa twarz. Wpatrują się w Jakuba zaskoczeni i zdumieni.

– Patrzcie teraz – mówi on i wyciąga nóż z ziemi.

Żurawie jeszcze przez chwilę krążą w nieładzie, ale zaraz znów formują klucz, ten po chwili zatacza duży krąg, potem jeszcze większy, a potem rusza dalej, w swoją drogę na południe.

Jakub mówi:

– To, coście zobaczyli, znaczy, że gdybyście zapomnieli, kim jestem i kim wy jesteście, wtedy biada wam.

Każe rozpalić ogień i gdy stają naokoło niego, bez obcych oczu, bez szpiegów, podglądaczy, zaczynają mówić jeden przez drugiego. Mylą im się nowe imiona. Gdy się Szlomo zwrócił do Nachmana po staremu, Jakub walnął go w ramię. Nie ma już odtąd dla nich tamtych żydowskich imion, są tylko te chrześcijańskie, niech nikt się nie pomyli.

– Ktoś ty? – pyta Chaima z Warszawy, który stoi przy nim.

– Mateusz Matuszewski – odpowiada Chaim, jakby smutno, jakby przygnębiony.

– A to jego żona Ewa. Nie ma już Wittel – dodaje nieproszony Nachman Jakubowski.

I tak każe każdemu w kółku powtórzyć swoje nowe imię, kilka razy. Kilka razy nowe imiona obiegają krąg.

Wszyscy obecni tu mężczyźni są w okolicach trzydziestki, w sile wieku, dobrze ubrani, mają płaszcze podbite filcem lub futrem. Ich postaci brodate, czapki na głowach futrzane, choć do zimy daleko. Kobiety w czepcach, jak mieszczki, inne mają jeszcze zawój na głowie, jak Chana, kolorowy. Gdyby się im ktoś przyglądał z boku, jak to zwykle robią wszelkiej maści szpiedzy, nie wiedziałby, po co zebrała się ta grupa na szczycie wzgórza, nad miastem Lwowem. I dlaczego powtarzają swoje imiona.

Jakub chodzi między nimi, z grubym kosturem, który podniósł z ziemi. Dzieli ich na dwie grupy. W pierwszej jest reb Mordke, zwany teraz Piotrem starszym, jako najstarszy, potem idzie Herszełe, drugi ulubieniec Jakuba, teraz Jan. Obok Nachman, teraz Piotr Jakubowski, i Chaim z Buska, teraz Paweł Pawłowski. Bierze Pan też do tej grupy Icka Minkowicera, zwanego teraz Tadeuszem Minkowieckim, oraz Jeruchima Lipmanowicza, zwanego teraz Dembowskim. Wszyscy oni pojadą jutro z Jakubem do Warszawy.

Chana i dzieci zostaną oddane na czas ich nieobecności pod opiekę pani Kossakowskiej. Jutro przyśle konie. Pojadą z nimi Lejbko Hirsz z Satanowa – teraz Józef Zwierzchowski, i jego żona Anna. Nazwisko dał im ksiądz, który ich chrzcił; trudno się je wymawia. Zostają też Jakub Szymonowicz, zwany teraz Szymanowskim, obaj Szorowie, teraz Wołowscy, i reb Szajes, który pozostał Rabinowiczem, bo się jeszcze nie ochrzcił.

Obie grupy spoglądają na siebie spod oka, ale tylko przez chwilę, bo zaraz Jakub nakazuje im przetrząsnąć kieszenie w poszukiwaniu monet. Bierze od nich po jednej, wybiera tylko duże złote dukaty, aż ma ich dwanaście. Starannie układa je w kupkę na ziemi, pośród zeschłej trawy. Potem butem depcze monety, prawie wgniatając je w ziemię. Potem znowu je zgarnia i depcze – wszyscy patrzą na to w milczeniu, wstrzymując oddech. Bo co to znaczy? Co chce im przez to powiedzieć? Mają teraz podchodzić po kolei do monet i wdeptywać je, wgniatać w ziemię.

Wieczorem przychodzi do Jakuba Franciszek, czyli Szlomo, i robi mu wymówki, że nie wybrał go ani jego braci na tę podróż do Warszawy.

– Dlaczegóż to? Mamy tam interesa, wiele byśmy pomogli. Ja teraz, jako uszlachcony i katolik, zupełnie inaczej stoję. Mam głowę na karku.

– Mnie twoje szlachectwo nic a nic nie robi. Ileś za nie dał? – Jakub jest złośliwy.

– Byłem z tobą od początku, najwierniejszy, i teraz mnie odrzucasz.

– Tak ma być – mówi Jakub i na jego twarzy pojawia się szeroki, ciepły uśmiech. Zwykle tak robi. – Ja cię nie odrzucam, bracie drogi, ja ci tu zostawiam władzę nad tym, cośmy już zrobili. Jesteś zaraz po mnie, drugi, musisz mieć oko na cały ten lud, teraz poupychany jak drób po stodołach i kurnikach. Ty bądź tu gospodarzem.

– Ale ty do króla idziesz... Nas, mnie ani moich braci, nie bierzesz ze sobą. Dlaczego?

– Nie jest bezpieczna ta wyprawa, wezmę ją na siebie.

– Ale to ja z braćmi i ojcem, gdyś ty w Turcji siedział...

– Siedziałem, boby mnie zabili.

– Ty się teraz wywyższasz, choć cię w katedrze z nami nie było! – wybucha Szlomo. To do niego niepodobne, zwykle jest opanowany.

Jakub robi krok i próbuje objąć Szloma – Franciszka Szora-Wołowskiego, ale tamten wymyka się z tego uścisku i wychodzi, trzaskają odbite od framugi drzwi i jeszcze długo kołyszą się na zardzewiałym zawiasie, skrzypiąc.

Godzinę potem Jakub woła do siebie Herszełe, czyli Jana. Każe przynieść wina i pieczone mięso. Nachman Jakubowski, który przyszedł porozmawiać z Jakubem, zastaje pod jego drzwiami Chanę. Chana mówi mu szeptem, że Pan włożył tefilim i ma tajemną czynność z Herszełe, zwaną wnoszeniem Tory do latryny.

– Z Janem – poprawia ją Nachman łagodnie.

Resztki. U Radziwiłła

Czyż nie jest tak, że każda żywa istota ma swoje własne, niepowtarzalne i jedyne powołanie, które jest absolutnie szczególne i tylko ona może je zrealizować? Jest zatem odpowiedzialna za to jedno zadanie przez całe życie i nie może go stracić z oczu. Zawsze tak myślałem, ale dni, które nastąpiły po naszym lwowskim uczynku, wydawały mi się tak gwałtowne, że przez długi czas nie tylko nie umiałem tego zapisać, ale także ułożyć sobie w głowie. I nawet teraz, kiedy zaczynam się modlić, przychodzą mi na myśl tylko lamentacje i tylko łzy cisną mi się do oczu, bo choć czas przecież mija, mój ból nie zmniejsza się wcale. Reb Mordke umarł. Herszełe nie żyje. Nie żyje moja dopiero co urodzona córeczka.

Gdyby moja córeczka Agnieszka była człowiekiem szczęśliwym i pełnym, na pewno bym tak nie rozpaczał. Gdyby reb Mordke ujrzał szczęśliwe lata zbawienia, nie smuciłbym się tak. Gdyby Herszełe zmęczył się życiem i wszystkiego doświadczył, nie płakałbym za nim. A stałem się pierwszą osobą, która musiała się zmierzyć z zarazą, bo dotknęła mnie samego, bo dotknęła długo wyczekiwanego dziecka. A przecież byłem wybrany! Jak to się mogło stać?

Zanim wyruszyliśmy w drogę, odbyła się mała uroczystość, choć nie tak radosna, jak mogłaby być, bo z powodu zarazy Jakub zarządził post. Nasz stary reb Mosze z Podhajec, wielki nasz cudotwórca i mędrzec, pojął bowiem za żonę młodą dziewczynę, osieroconą przez zarazę Teresę, kiedyś Esterę Majorkowiczównę. Gest to był dobrego człowieka, jako że jej siostrę, która przeżyła, zabrał już pan Łabęcki, chrzestny reb Mordkego, teraz więc obie siostry nazywały się tak samo, Łabęckie. Na ten wieczór jeden post został zniesiony, ale skromnie było i tak: trochę wina, chleba i tłustego rosołu. Panna młoda nieustannie płakała.

Na ślubie Jakub ogłosił, że wybiera się do króla do Warszawy, a potem błogosławił parę młodą i tak to było, iż wszyscy widzieli, że on jest tym najwyższym i na siebie bierze całe nasze pomieszanie, nasz ból i gniew. Spostrzegłem szybko, że nie wszystko jest po myśli innych. Zwłaszcza obaj bracia Wołowscy, siedzący przy Walentym Krysińskim, synu Nussena, byli jacyś naburmuszeni, jako że mieli zostać we Lwowie, i czułem, że oto odbywało się przy tym weselnym stole jakieś napieranie na siebie, jakaś niewidzialna walka, jakby nad głowami jedzących, nad wychudzoną panną młodą, która ledwo co uciekła śmierci, i starym już panem młodym szamotano się ze sobą o rząd dusz. A najwięcej w tym wszystkim było strachu, a w strachu – wiadomo – ludzie rzucają się na siebie, żeby kogoś móc obwinić za to wszystko złe, co się dzieje.

Kilka dni potem byliśmy już w drodze i dobrze jest napisane w Szochar Tow 31, że cztery rzeczy osłabiają człowieka: głód, podróże, post i władza. Tak, daliśmy się osłabić. Choć tym razem głód nam w podróży nie groził, przyjmowano nas bowiem po drodze po pańskich dworach albo w przykościelnych plebaniach, jako Żydów nawróconych, łagodnych i dobrych, prawie jak skruszonych przestępców, myśmy zaś z jakiegoś rozpędu te role chętnie grali.

Wyruszyliśmy 2 listopada ze Lwowa do Warszawy trzema powozami i kilku jeszcze konno jechało, w tym Moliwda, jako nasz przewodnik i stróż. Jego piękna mowa przedstawiała nas, gdziekolwiek dotarliśmy, zawsze nie tak, jak byśmy chcieli. Ale już na drugi dzień tak właśnie się czuliśmy, tak jak mówił o nas Moliwda, ów Antoni Kossakowski, którego – teraz myślę – nigdy

nie umiałem rozgryźć i o którym nigdy nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy może żartuje.

Gdyśmy zajechali do Krasnegostawu, gdzieśmy całą karczmę dla siebie wynajęli na tę noc, Moliwda rzekł, że chce się z Jakubem spotkać polski pan i że sława Jakuba jako wielkiego mędrca dotarła aż tu. I że ten pan też mędrzec, i tu do nas zajedzie. Dlatego Jakub mimo zmęczenia nie rozdziewał się z podróżnego stroju, ale narzucił na ramiona jeszcze podbity futrem płaszcz i grzał ręce nad ogniem, bo za dnia zaczął padać deszcz i przenikliwe zimno ciągnęło gdzieś ze wschodu, znad bagien poleskich. Rozłożyliśmy się w największej izbie pokotem na materacach, w których czuć było tegoroczne siano. W izbie było ciemno i pełno dymu. Karczmarz chrześcijanin całą swoją rodzinę zepchnął do jednej izdebki i nie pozwolił dzieciom wychodzić, wziął nas bowiem za znamienitych gości, Żydów w nas nie widząc. Ale i tak jego umorusane dzieci wyglądały przez pokaźne szpary w byle jakich drzwiach. Jednak gdy zapadł wczesny zimowy wieczór, poznikały, zapewne zmorzone snem.

Dopiero koło północy wpadł Icek Minkiewicer, który trzymał straż, i rzekł nam, że jakiś powóz przyjechał. Jakub zasiadł więc na ławie, niby na tronie, a poły płaszcza opadały mu luźno wzdłuż ramion, odsłaniając futro.

A tu wszedł najpierw Żyd w jarmułce, nieduży, tłustawy, ale pewny siebie, a nawet zuchwały. Za nim stali w drzwiach wielcy chłopi, uzbrojeni. Nic nie mówił, ten Żyd omiatał tylko wzrokiem izbę i w końcu po dłuższej chwili, dostrzegłszy Jakuba, ukłonił mu się ruchem głowy.

„A ty kto?”, nie wytrzymałem milczenia i zapytałem.

„Szymon”, powiedział ów człowiek, a głos miał głęboki, niepasujący do okrągłej postaci.

Wrócił do drzwi i za chwilę pojawił się z niedużym, pomarszczonym starym Żydem, który wyglądał na rabina. Był drobniutki. Spod futrzanej czapki błyskały jego ciemne, świdrujące oczy. Ten podszedł wprost do Jakuba, a zaskoczony Jakub wstał; mały objął go jak dobrego znajomego. Rzucił tylko okiem podejrzliwie na stojącego w kącie przy ścianie Moliwdę z winem.

„To jest Marcin Mikołaj Radziwiłł”, powiedział ów Szymon, nie dodając żadnych tytułów.

Chwilę trwała cisza i wszyscy staliśmy bez żadnego ruchu, zdumieni odwiedzinami i serdecznością tak możnego gościa. Słyszeliśmy przedtem o tym magnacie, który się sam na wiarę żydowską przekabacił, choć przez Żydów traktowany był podejrzliwie bardzo, jako że harem w domu trzymał i dopuszczał się dziwnych czynów. Jakub był także zdumiony zachowaniem Radziwiłła, lecz nie pokazał tego po sobie, jak to on, chętnie oddał mu uścisk i kazał usiąść przy sobie. Przynieśli świece i teraz twarze obu mężczyzn były dobrze oświetlone. Światło świec rozbiło się na mnóstwo drobnych plam na pobrużdżonej twarzy magnata. Szymon, niczym pies stróżujący, ustawił się przy drzwiach na czatach, a chłopom kazał obstawić karczmę, ale w rozmowie rychło okazało się, po co ta cała konspiracja.

Radziwiłł był – jak sam mówił – w areszcie domowym. Za sprzyjanie Żydom, twierdził, i teraz znalazł się tu incognito, słysząc, jaki to znamienity i uczony gość będzie przez Krasnystaw przejeżdżać. Sam bawił w Krasnymstawie wyjątkowo, więziony jest bowiem w Słucku. Potem nachylił się do Jakuba i coś tam szeptał, długo i powoli, jakby recytował.

Patrzyłem na wyraz twarzy Jakuba – przymknął oczy i nie dał po sobie poznać, co słyszy. Z tego, com jednym uchem złapał, magnat gadał po hebrajsku, ale bzdury mu z tego gadania wychodziły, jakby się na pamięć wyuczył jakichś wyimków, to stąd, to stamtąd. Nie miało to większego sensu dla mnie, którym nie słyszał całości. Jednak wyglądało to tak, jakby jakieś ważne tajemnice ów magnat wielki przekazywał Jakubowi, i myślę, że Jakub chciał, abyśmy wszyscy w istnienie tych tajemnic wierzyli.

Jakub zawsze się zmienia, gdy ma do czynienia z możnym. Twarz jego staje się wtedy chłopięca, niewinna i o wiele więcej jest w stanie wybaczyć takiemu wysoko urodzonemu. Staje się ujmująco miły i wydaje się uległy, jak pies, który korzy się przed większym i silniejszym. Na początku bardzo mnie to mierziło. Lecz każdy, kto zna Jakuba, wie, że to gra i zabawa.

Nikt nie jest od tego wolny, że inaczej zachowuje się, mając do czynienia z kimś wyżej od siebie postawionym, a inaczej, gdy spotyka się z takim, który stoi niżej. Na tym cały świat się opiera i tkwi ta hierarchia głęboko w człowieku. Mnie to zawsze drażniło i pouczałem czasem Jakuba, jeśli zechciał mnie słuchać, żeby był raczej sztywny i niedostępny i nigdy nie schylał karku. Słyszałem, jak mu kiedyś powiedział Moliwda: „Przecież większość z tych wielkich panów to idioci”.

Tak jak i po całej sprawie opowiadał o Radziwille, że więził przez lata swoją żonę i dzieci, trzymał ich o chlebie i wodzie w jednej izbie, dopóki się w końcu rodzina na niego nie zawzięła i nie wyjednała u króla, iżby go traktować jako szaleńca. To dlatego teraz siedział w areszcie domowym w Słucku. Miał ponoć u siebie cały harem młódek, złożony z porwanych dziewcząt lub kupionych od Turków niewolnic. A okoliczni chłopi mówili, że toczył z nich krew i destylował z niej specyfik na wieczną młodość. Jeżeli to

prawda, to zapewne specyfik nie zadziałał, bo ten człowiek wyglądał na starszego, niż musiał być. Wiele miał grzechów na sumieniu – napadał na podróżnych, plądrował sąsiednie dwory i działał w jakimś niewytłumaczalnym szale, lecz patrząc teraz na niego, trudno sobie to było wyobrazić, że taki bandyta. Cóż, twarz szpetna, ale nie świadczy to przecież o złej duszy.

Karczmarz podał wódkę i jedzenie, ale gość niczego nie chciał tknąć, mówiąc, że truto go już wiele razy. I żeby nie brali tego do siebie, bo źli ludzie są wszędzie i potrafią się podszyć pod dobrych. Siedział z nami do świtu i niektórzy z nas po pierwszym zadziwieniu jego widokiem doszli już do siebie i przysypiali, a on popisywał się kilkoma językami, w tym biegle czytał i pisał po hebrajsku. Powiedział też, że już by oficjalnie przeszedł na żydowską religię, gdyby nie to, że się boi.

„W Wilnie – rzekł – równe dziesięć lat temu spalono na stosie takiego apostatę. Był to niemądry Walentyn Potocki, który w Amsterdamie w dobrej wierze przystąpił z całym sercem do religii mojżeszowej i nie chciał po powrocie do Polski wrócić na łono Kościoła. Poddali go torturom i w końcu spalili. Sam widziałem jego grób w Wilnie. Widziałem, że Żydzi go czcią otaczali, ale życia mu nikt nie wróci”.

„Na nic się on nam nie przyda” – powiedział po jego wyjściu Jakub. Przeciągnął się tylko i głośno ziewnął.

Przysnęliśmy zaraz z głowami na stole, a gdy wzeszło słońce, pora była ruszać do Lublina.

O SMUTNYCH WYDARZENIACH W LUBLINIE

Dwa dni później, gdyśmy wjeżdżali na przedmieścia Lublina zwane Kalinowszczyzną, nagle posypał się na nas grad kamieni. Siła tego ataku była tak wielka, że kamienie łamały ściany i drzwiczki powozu, wybijały dziury w dachu. Jako że siedziałem koło Jakuba, przykryłem go sobą, sam nie wiem czemu. Oberwało mi się nie od kamieni, ale od Jakuba – strącił mnie z wściekłością. Dobrze, że nasz pojazd otoczony był ośmioma jezdnymi, z bronią, ci też, wyrwani z drzemki, dobyli szabel i próbowali przegnać to pospolite wiejskie ruszenie. Ale zza domów, ze wszystkich ulic dobiegali wciąż inni, z widłami i kijami, a jakaś krzepka kobieta z kosza wydobywała błoto i celnie rzucała nim w karetę. Zaczęła się prawdziwa, choć chaotyczna walka. Owi Żydzi z przedmieścia narobili więcej hałasu niż szkody. Była to jakaś wioskowa zbieranina – w końcu rozproszył ich widok odwachowych żołnierzy, ci zaś przyszli nam na pomoc za sprawą Moliwdy i Krysy, którzy pogalopowali do miasta po ratunek.

Mój głęboki smutek, zmęczenie z poprzedniej nocy i ten atak, w którym wielu z nas zostało poranionych (miałem rozbitą brew i wielki guz na głowie, odtąd często boli mnie głowa), bardzo nas przygnębił i tak dotarliśmy do Lublina. Najgorsze jednak miało przyjść wieczorem, gdy już rozłożeni byliśmy w pałacu wojewody, a to dzięki staraniom Moliwdy i Kossakowskiej. Okazało się bowiem, że reb Mordke zachorował i widać u niego było te same objawy, co u tych zarażonych we Lwowie. Położyliśmy go w osobnym pokoju, lecz on nie chciał leżeć i zbywał nas, że przecież nie może być chory. A gdy tylko kto się próbował od niego odsunąć, Jakub kazał mu siadać przy chorym na powrót i sam dbał o niego i podawał mu wodę do picia, choć staruszek słabł w oczach.

Herszełe, jako że miał dryg i delikatność kobiety do zajmowania się innymi, z oddaniem pielęgnował chorego. Ja latałem po Lublinie za rosołem i kurzą piersią. Reb Mordke, choć słaby, bardzo pragnął zobaczyć Lublin – tu uczył się, gdy był młody, i miał wiele wspomnień. Zabraliśmy go więc z Herszełe do miasta, prowadziliśmy powoli uliczkami aż do żydowskiego cmentarza, gdzie leżał jego nauczyciel. Gdy szliśmy między grobami, reb Mordke wskazał na piękny grobowiec, świeżo wystawiony. „Taki mi się podoba – powiedział. – Taki chciałbym mieć”.

Myśmy go obaj wtedy zbesztali i śmialiśmy się, że nie czas nam o grobowcach marzyć. Bo my przecież wyjęci spod praw śmierci. Tak z zapałem perorował Herszełe, mając łzy w oczach. Ja w to nigdy nie wierzyłem, to jedno mogę powiedzieć o sobie. Ale Herszełe tak; i wielu z nas. A może wierzyłem jak wszyscy? Teraz wszystko mi się zaciera w pamięci. Gdyśmy doszli na powrót do pałacu, już prawie nieśliśmy słabnącego reb Mordkego.

I w tę noc lubelską siedzieliśmy przy starcu w pałacu wojewody, zaniedbanym, wilgotnym i brudnym. Tynk pękał od wilgoci, przez nieszczelne okna wciskał się wiatr. Biegaliśmy po gorącą wodę do kuchni, ale krwista biegunka nie minęła i reb Mordke słabł w oczach. Kazał sobie zapalić fajkę, ale nie mógł już jej palić, trzymał ją w dłoniach, gasnący żar ogrzewał mu coraz bardziej zimne palce. Wszyscy ukradkiem spoglądali na Jakuba, co powie. I sam reb Mordke patrzył na niego wyczekująco: jak jego, reb Mordkego, uchroni od śmierci. Przecież reb Mordke był najwierniejszym wyznawcą Jakuba od lat, od słonecznej Smyrny, od pachnących morzem Salonik, taki jak on, już ochrzczony, umrzeć nie może.

Jakub drugiej nocy sam wyszedł na mokry dziedziniec i nie było go ze dwie godziny, wrócił zmarznięty, blady i runął na łóżko. Byłem przy nim.

„Gdzieżeś ty się podziewał? Reb Mordke umiera” – rzekłem do niego z wyrzutem.

„Nie mogłem go zwyciężyć” – powiedział niby sam do siebie, ale dobrze to słyszałem. Ja i Icek Minkowski, który już poważnie myślał, że Jakuba porwano.

„O kim tym mówisz?! – krzyknąłem do niego. – Z kim się zmagałeś? Kto tu był? Przecież straże zamkowe wszędzie są na czujkach...”

„Ty wiesz kto...” – powiedział, a mnie zimny dreszcz przeszedł po plecach.

Nad ranem tej samej nocy reb Mordke umarł. Siedzieliśmy przy nim do południa, oniemieli. Herszełe najpierw zaczął się dziwnie śmiać, mówił, że to właśnie tak wygląda – że najpierw się umiera, a potem ożywa. Że to trwa jakiś czas, żeby śmierć zaistniała, bo inaczej nikt by nie wierzył w zmartwychwstanie. To możliwe, bo inaczej nie wiadomo by było, że ktoś jest nieśmiertelny. Byłem zły i powiedziałem mu: „Aleś ty głupi”. Czego teraz bardzo żałuję. Bo on wcale głupi nie był. Ja też byłem przekonany, że to nie jest naprawdę, że zaraz stanie się coś wyjątkowego, tak samo jak wyjątkowy jest czas, w jakim żyjemy, i tak samo jak my jesteśmy wyjątkowi. I jeszcze Jakub, który słaniał się na nogach, a na jego twarz wystąpił pot, oczy miał przymknięte, a w nich jakieś ciemne światło. Prawie się nie odzywał i zdałem sobie sprawę, że ścierają się teraz nad nami wielkie siły, zmagają się, mroczne i najjaśniejsze, jak na burzowym niebie, kiedy czarne chmury wypierają błękit i zagarniają pod siebie słońce. Już mi się wydawało, że słyszę to wielkie zgrzytanie, jakby szum niski,

brzęczący, ponury. I nagle mój wzrok powędrował za tym dźwiękiem i ujrzałem nas siedzących kręgiem przy marach reb Mordkego, zgnębionych i płaczących. I byliśmy jak te figurki z chleba na planszach Chai, śmieszne i poczwarne.

Nie wygraliśmy ze śmiercią, nie tym razem.

Trzeciego dnia był uroczysty pogrzeb. Wynieśliśmy otwartą – katolickim zwyczajem – trumnę i położyliśmy ją na przybranym bogato wozie. A że po mieście rozeszła się wieść, iż to był wielki mędrzec żydowski, co do krzyża przyszedł, ruszyła ogromna procesja, a w niej bractwa cechowe, trąby, zakonnicy i pospólstwo w wielkiej liczbie, ciekawe, że będą chować przechrztę w poświęconej ziemi. Ludzie bardzo płakali, nie wiadomo dlaczego, bo ani nie znali zmarłego, ani nie bardzo wiedzieli, kim on był. Kiedy w farze biskup tutejszy prawił kazanie, płakał cały kościół, bo w kazaniu wiele razy padało słowo „daremność", a to jest chyba jeszcze gorsze słowo niż „śmierć". I ja płakałem, bo ogarnęła mnie rozpacz, jakiś żal odwieczny, i dopiero wtedy mogłem opłakać moją małą córkę i wszystkich zmarłych moich.

Pamiętam, że stał obok mnie Herszeле i zapytał mnie, co znaczy to polskie słowo: „daremność". „Ładne", powiedział.

To wtedy gdy cały wysiłek idzie na marne, gdy buduje się na piasku, gdy sitami czerpie się wodę, gdy ciężko zapracowany pieniądz okazuje się fałszywy. To wszystko jest właśnie ta daremność. Tak mu to wytłumaczyłem.

Pogoda była ponura i mglista, kiedy wychodziliśmy z kościoła. Wiatr podnosił z ziemi ubłocone żółte liście, które atakowały nas niczym dziwaczny gatunek nietoperzy. I ja, tak zawsze czujny na znaki, jakie nam daje Bóg, nie rozumiałem wtedy, co nam chce powiedzieć. Widziałem zapłakaną twarz Jakuba i ten widok zrobił

na mnie tak silne wrażenie, że osłabły mi nogi i nie mogłem iść. Nigdy nie widziałem go płaczącego.

Kiedyśmy wracali do domu po pogrzebie, Jakub kazał nam chwycić długie poły swojej tureckiej szaty i trzymać, jakby to były skrzydła. I tak zrobiliśmy; skupiliśmy się na tym trzymaniu jak ślepcy, wbrew smutkowi i zacinającemu deszczowi, który nas smagał. Parliśmy do tego płaszcza Jakubowego, każdy chciał go potrzymać choć chwilę, więc zmienialiśmy się całą drogę z cmentarza do pałacu. Ludzie ustępowali przed nami, dziwacznymi niczym owady, ludźmi o twarzach mokrych od łez. Któż to jest? – szeptali, gdy wąskimi uliczkami miasta zdążaliśmy do pałacu, trzymając się Jakubowego płaszcza. Im bardziej byli nami zdziwieni, im dziwniej na nas patrzyli, tym było lepiej. Oddzielaliśmy się od nich naszą rozpaczą, naszą żałobą. Znów byliśmy inni. I tak miało być. Jest w byciu obcym coś pociągającego, w czym się można rozsmakować, co wydaje się jak słodycz. Dobrze jest nie rozumieć języka, nie rozumieć zwyczajów, sunąć jak duch pomiędzy innymi, którzy są dalecy i nierozpoznawalni. Wtedy budzi się szczególna mądrość – umiejętność domysłu, chwytania spraw nieoczywistych. Budzą się też wówczas bystrość i przenikliwość. Człowiek, który jest obcy, zyskuje nowy punkt widzenia, staje się, chcąc nie chcąc, swoistym mędrcem. Kto nam wszystkim wmówił, że być swoim jest tak dobrze i tak wspaniale? Tylko obcy naprawdę rozumie, czym jest świat.

Dzień po pogrzebie reb Mordkego umarł Herszełe. Cicho i szybko jak królik. Jakub zamknął się w swojej komnacie i nie wychodził przez dwa dni. Nie wiedzieliśmy, co robić. Skrobałem w drzwi i prosiłem, żeby się chociaż odezwał. Wiedziałem, że kochał

Herszełe szczególnie, jakby Imość, choć był to po prostu zwyczajny, dobry chłopiec.

W czasie pogrzebu Jakub podszedł wprost do ołtarza, tam ukląkł i nagle pełnym głosem zaczął śpiewać: „Signor Mostro abascharo”, czyli „Pan nasz schodzi”, tę pieśń, którą śpiewa się w chwilach trwogi. I natychmiast dołączyły się do niego nasze mocne głosy, nas, którzy klękaliśmy za nim. A już ostatnie słowa przerwał szloch, więc ktoś, chyba to był Matuszewski, zaczął naszą świętą pieśń, Igadel:

Objawi Mesjasz wspaniałość Twego Królestwa
Ludowi biednemu, uderzonemu i poniżonemu,
Będziesz panował wiecznie, ostojo nasza.

„Non aj otro commemetu”, czyli: „Nie ma nikogo oprócz Ciebie”, dołączył Jakub w starym języku.

Głosy nasze brzmiały rozpaczliwie, wypełniały cały kościół, unosiły się pod sklepienie i wracały zwielokrotnione, jakby tu cała armia śpiewała w tym dziwnym języku, którego nikt tu znać nie mógł, a w którym pobrzmiewały dźwięki nie z tego świata. Przypomniały mi się Smyrna, port, słone morskie powietrze, zapachniało mi przyprawami, o jakich się tu, w farze lubelskiej, nie śniło. Sam kościół jakby znieruchomiał ze zdziwienia i płomienie świec przestały drgać. Zakonnik, który przedtem układał kwiaty przy bocznym ołtarzu, teraz stał przy kolumnie i patrzył na nas z takim wyrazem twarzy, jakby zobaczył duchy. Na wszelki wypadek przeżegnał się dyskretnie znakiem krzyża.

Na koniec wspólnie, tak głośno, że wydawały się drżeć kolorowe szybki w witrażach kościelnych, modliliśmy się po żydowsku, aby

Bóg podał nam pomocną dłoń w obcym kraju, kraju Ezawa, nam, dzieciom Jakubowym, zagubionym we mgle, deszczu i tej strasznej jesieni 1759 roku, po której miała nastąpić jeszcze gorsza zima. Zrozumiałem to tego wieczoru. Że robimy teraz pierwszy krok w otchłań.

Dzień po pogrzebie Jakub z Moliwdą ruszyli do Warszawy, myśmy zaś, cała reszta, zostali w Lublinie, jako że Krysa złożył do sądu sprawę o napad i pobicie i od gminy tutejszej żydowskiej zażądał sporego odszkodowania. A ponieważ wszyscy byli po naszej stronie, sąd miał się odbyć szybko, wyrok zaś miał być dla nas korzystny. Mnie to mało obchodziło. Chodziłem do kościołów lubelskich, siadałem w ławkach i myślałem.

A najwięcej myślałem o kwestii Szechiny. Czułem, że w tej strasznej porze to ona wydobywa się z ciemności, szamocze się wśród skorup i daje mi znaki, i przypominała mi się nasza z reb Mordkem podróż do Stambułu. Ona, Boża Obecność, zamieszkała w podłym świecie – ona, ktoś niewyobrażalny i niemający żadnego kształtu, a jednak istniejący w materii, diament w grudzie czarnego węgla. I teraz wszystko mi się przypomniało, bo to przecież reb Mordke wprowadził mnie w tajemnice Szechiny. To on zabierał mnie w różne święte miejsca i nie miał tych uprzedzeń, które tak częste są między Żydami. Gdy tylko dotarliśmy do Stambułu, zaraz drugiego dnia po przybyciu poszliśmy do Sofii, do wielkiego przybytku tej chrześcijańskiej Marii, matki Jezusa, o której reb Mordke mówił, że jest bliska Szechinie. Zdumiało mnie to. Nigdy bym wtedy sam nie wszedł do chrześcijańskiego kościoła, a i tutaj – mimo że zmieniono go teraz w meczet – czułem się nieswojo i chętnie bym ten etap mojej edukacji pominął. Moje oczy nie przywykły do malowideł. Kiedy zobaczyłem na ścianie wielką

podobiznę kobiety, która na dodatek wpatrywała się we mnie natarczywie, ogarnęła mnie jakaś duszność, której nigdy przedtem nie doznawałem, i zaczęło mi walić serce, aż chciałem stamtąd wyjść, lecz reb Mordke złapał mnie wtedy za rękę i zawrócił. Siedzieliśmy na zimnej podłodze, pod ścianą, na której widniały jakieś greckie napisy, wyryte tutaj zapewne przed wiekami, i powoli dochodziłem do siebie, aż mój oddech się uspokoił i znowu mogłem spojrzeć na ten dziw:

Kobieta wyłania się ze ściany, tkwi wysoko w sklepieniu kopuły, ponad głowami, potężna. Ma na kolanach dziecko, jakby trzymała jakiś owoc. Ale to nie dziecko jest ważne. Na jej łagodnej twarzy nie widać ludzkich afektów, jedynie ten, co leży u podstaw wszystkiego – miłowanie, które nie zna żadnych warunków. Ja to wiem, mówi ona, nie poruszając wargami. Ja to wszystko wiem i widzę, i nic nie umyka mojemu zrozumieniu. Jestem tutaj od początku świata, ukryta w najmniejszej cząstce materii, w kamieniu, w muszli, w skrzydle owadzim, w liściu drzewa, w kropli wody. Rozłup pień, a ja tam będę, rozłup skałę, a znajdziesz tam mnie.

Tak zdawała się mówić ta ogromna postać.

Wydawało mi się, że ta majestatyczna figura objawia mi jakąś oczywistą prawdę, ale nie mogłem jej wtedy pojąć.

22

Karczma na prawym brzegu Wisły

Moliwda z Jakubem patrzą od strony Pragi na Warszawę. Widzą miasto położone wysoko na skarpie, na wpół rdzawe, na wpół brązowobrunatne od brył i dachów miejskich kamienic, przyciśniętych jedna do drugiej jak ule. Mur obronny z czerwonej cegły jest w kilku miejscach zupełnie już rozwalony i poprzerastany korzeniami drzewek samosiejek. Ponad miastem na skarpie górują wieże kościołów – strzelista kolegiaty Świętego Jana, baniasta kościoła Jezuitów, w głębi ceglana kanciasta kościoła Świętego Marcina na Piwnej i na końcu, od strony Wisły, wysoka Wieża Marszałkowska. Moliwda każdą wieżę wskazuje ręką, jakby pokazywał swoje posiadłości. Pokazuje też Zamek Królewski z zegarem na wieży i pięknie rozplanowanymi ogrodami poniżej, które teraz pokrywa cieniutka warstwa pierwszego śniegu. Skarpa i miasto wyrastają jak jakaś anomalia w tym terenie zdecydowanie płaskim i poziomym.

Zapada już mrok i prom nie pójdzie na lewy brzeg. Znajdują więc nocleg w przybrzeżnej karczmie, niskiej i zadymionej. Jako że są obaj ubrani jak wielmożowie i domagają się pokoju czystego i z osobnymi łożami, karczmarz traktuje ich specjalnie. Zamawiają na wieczerzę pieczone kurczęta i kaszę ze słoniną, i do tego jeszcze ser i kiszone ogórki, które jednak Jakubowi nie smakują i jeść ich nie będzie. Jest jakiś cichy i skupiony. Twarz ma wygoloną i miękkie zagłębienie w brodzie, i wieczne cienie pod oczami, które teraz szczególnie stają się widoczne, jako że dół twarzy jest jasny. Nosi wysoką futrzaną czapkę, więc karczmarz bierze go za jakiegoś Turka, może posła.

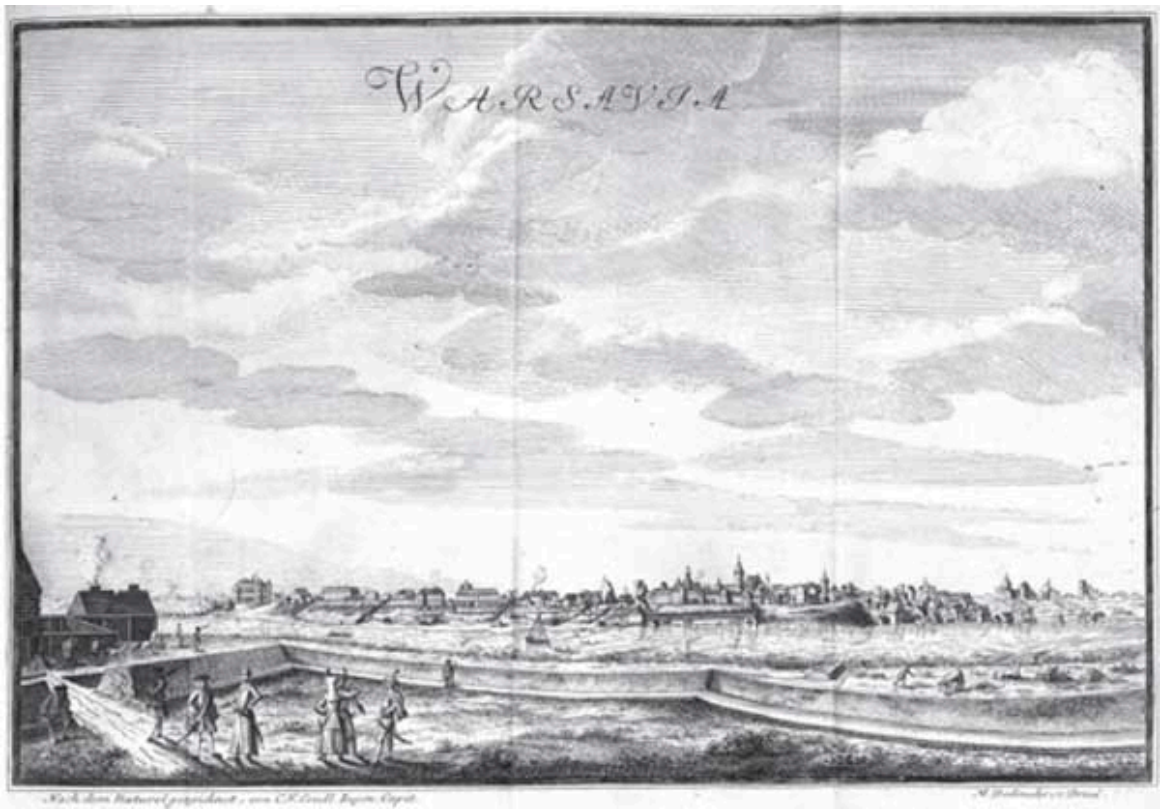

Moliwdzie już przymglił się wzrok od wódki. Nie jest przyzwyczajony do mocnej mazowieckiej okowity. Wyciąga przez stół rękę i palcem dotyka policzka Jakuba, nie mogąc widocznie nadziwić się tej twarzy bez zarostu. Jakub, zaskoczony, podnosi na niego wzrok, nie przestając żuć. Rozmawiają po turecku, przez co się czują bezpieczni.

– Ty się nie martw. Król cię przyjmie – mówi Moliwda. – Sołtyk do niego pisał. I wielu się za tobą wstawiało.

Jakub dolewa mu wódki, sam pije niewiele.

– Baba (tak mówią o Kossakowskiej) daje ci na ten czas darmo mieszkanie i służbę. Ściągniesz tu Chanę, wszystko się ułoży.

Tak go Moliwda pociesza, ale sam ma wrażenie, jakby popychał Jakuba w paszczę lwa. Zwłaszcza dzisiaj, gdy ujrzał to miasto wyniosłe i marne zarazem. I jego samego męczy jakiś niepokój. Lecz po zarazie we Lwowie, pogrzebach w Lublinie co jeszcze może się złego zdarzyć?

– Mnie nie chodzi o ułożenie się – mówi Jakub ponuro. – Chcę, żeby mi dali ziemię i władzę nad tą ziemią...

Moliwda zdaje sobie sprawę, że Jakub dużo chce. Zmienia temat.

– Weźmy sobie dziewkę – mówi pojednawczo. – Jedna na nas dwóch, to ją obaj poobracamy – mówi bez przekonania. Ale Jakub kręci przecząco głową. Teraz srebrną wykałaczką, którą zawsze nosi przy sobie, wydłubuje z zębów kawałki mięsa.

– Gdy tak długo nie ma odpowiedzi, to mnie się zdaje, że nie chce mnie przyjąć.

– A ty co myślisz, to kancelaria królewska. Takich podań jak twoje są tam setki. Król nie wszystkie papiery dokładnie czyta, a i tak listy i petycje go zasypują. Ja tam mam znajomego dobrego. On twój list na sam wierzch położy. Trzeba czekać.

Moliwda sięga jeszcze po mięso i trzyma przed sobą kurze udko jakby dziecinną szabelkę, chce się przekomarzać z Jakubem. Przedrzeźnia go.

– Ja wtedy powiem za ciebie – naśladuje akcent, z jakim Żydzi mówią po polsku. – Myśmy ufnie do wiary katolickiej weszli, los nasz w ręce Jego Wysokości kładąc z wielką ufnością, licząc, że swoich najmniejszych poddanych nie zostawi w potrzebie...

– Przestań – mówi Jakub.

Moliwda cichnie. Jakub nalewa sobie wódki i jednym haustem wypija. Oczy zaczynają mu błyszczeć i jego ponurość powoli topnieje, jak śnieg wniesiony do ciepłej izby. Moliwda przesiada się do niego i kładzie mu rękę na ramieniu. Wędruje za jego wzrokiem i widzi dwie panny, jedna jakby panna do towarzystwa, druga, ta bielsza – niby panienka jakaś. Widać, że to lepsze dziewki, i one łypią na nich okiem ciekawie, biorąc ich zapewne za jakichś zamorskich szlachciców. Albo posłów w podróży. Moliwda mruga do nich – podochocony, ale Jakub go powstrzymuje – pełno tu szpiegów, kto wie co się zdarzyć może. Nie przystoi.

Śpią w tym samym pokoju na dwóch łóżkach, które raczej przypominają prycze. W ubraniach. Jakub rozścielił sobie pod głową koszulę, żeby nie dotykać szorstkiego materiału siennika. Moliwda zasypia, ale budzi go hałas z dołu – tam nadal trwa zabawa. Słychać pijackie krzyki i oberżystę, który chyba wygania opornych. Patrzy na łóżko Jakuba, ale jest puste. Przestraszony, siada i dostrzega Jakuba pod oknem, ten kołysze się w przód i w tył i mówi coś do siebie szeptem,

mamrocze. Moliwda kładzie się z powrotem i już w półśnie uświadamia sobie, że pierwszy raz widział Jakuba, który się modli sam dla siebie. I jeszcze na granicy snu Moliwda się temu dziwi; zawsze był przecież przekonany, że Jakub nie wierzy w to, co opowiada innym, w potrójnych, poczwórnych bogów, w porządek Mesjaszy, a nawet w samego Mesjasza. Która to część naszego serca wierzy, a która jest pewna, że to nieprawda? – pyta siebie samego sennie i potem ostatnia myśl, która towarzyszy mu przed zapadnięciem w sen, jest taka, że trudno uciec od siebie.

O wydarzeniach w Warszawie i o nuncjuszu papieskim

Pierwsze, co robi Jakub w Warszawie, to wynajmuje powóz z trójką koni. Teraz jeździ po stolicy, powożąc sam, konie są zaprzęgnięte dziwacznie, jeden przed drugim, co zwraca uwagę i cała ulica staje, żeby się przyjrzeć temu dziwactwu. Najmuje też nieduży pałacyk za Żelazną Bramą, z wozownią i stajnią, mający siedem pokoi, umeblowany, tak żeby zmieścili się w nim wszyscy, którzy przybędą z Lublina. Meble tam są ładne i czyste, obite adamaszkiem, kilka luster, skrzyń i kanap. Są też kaflowe piece. Na górze stoi wielkie łoże, które natychmiast po pańsku każe zaopatrzyć w czystą pościel. Z pomocą Moliwdy przyjmuje lokaja, kucharkę i dziewczynę do palenia w piecach i sprzątania.

Działają już kontakty kasztelanowej Kossakowskiej – pierwszy zaprasza go pan Branicki, a potem to już wszyscy chcą mieć na salonach tego neofitę i purytana. Są więc Jabłonowscy, gdzie Jakub robi furorę w swoim tureckim, kolorowym stroju. Wszyscy obecni, ubrani z francuska, patrzą przez lorgnony na dziwnego, ospowatego, choć przystojnego mężczyznę z zaciekawieniem i sympatią. W Polsce obce jest zawsze bardziej atrakcyjne niż własne, dlatego chwalą jego egzotyczny ubiór, jaki im ten przybysz demonstruje. Panowie z zadowoleniem podkreślają, że widać w nim nie Żyda, ale Turczyna raczej albo i Persa; ma to być objaw ich dobrej pańskiej woli. Robi się na chwilę śmiesznie, kiedy piesek księżnej Anny podnosi nogę i oblewa strużką piękne żółte buty gościa. Księżna uważa to za kolejny dowód

wielkiej sympatii, tym razem psiej, i wszyscy cieszą się z dobrej wróżby. Po Jabłonowskich są Potoccy, także przyjaźni, i odtąd wielkie domy przekazują sobie to dziwo z rąk do rąk.

Jakub mówi niewiele, tajemniczo. Stara się odpowiadać na pytania ciekawskich, a Moliwda upiększa to, co Jakub powiedział, tak iż wychodzi on na człowieka z urodzenia rozsądnego i poważnego. Czasem opowie jakąś anegdotę, a wtedy Moliwda pięknie zaokrągla szczegóły. Musi umiejętnie tuszować samochwalny ton Jakuba, nie pasuje on do wysokich progów arystokratycznych salonów, gdzie modna jest skromność. Samochwalstwo Jakuba podoba się za to w przedmiejskich knajpach, gdzie zdarzyło im się kilka razy trafić po nudnej operze.

Następnie przyjmuje ich nuncjusz papieski Serra.

Ten starszy, wypielęgnowany mężczyzna o całkiem białych włosach patrzy na nich z nieprzeniknionym wyrazem twarzy; kiedy mówią, kiwa lekko głową, jakby całkowicie się z nimi zgadzał. Jakub prawie daje się złapać na tę grzeczność i łagodność, ale Moliwda wie, że to człowiek lis, nigdy nie dowiesz się, co myśli naprawdę. Tego ich uczą: zachować spokój, mieć dużo czasu, przyglądać się uważnie, starannie ważyć argumenty. Jakub mówi po turecku, Moliwda zaś tłumaczy to na łacinę. Piękny młody kleryk obojętnie zapisuje wszystko przy osobnym stoliku.

– Jakub, ten oto Frank – zaczyna mówić za Jakubem Moliwda – wyjechał z żoną i dziećmi oraz z sześćdziesięcioma swoimi współbraćmi z krajów tureckich, straciwszy swoją chudobę i nie umiejąc żadnego języka oprócz orientalnych, na nic tutaj nieprzydatnych, dlatego to ja za tłumacza muszę służyć... Tak bardzo do wiary chrześcijańskiej ich ciągnęło. A tu żadnych obyczajów nie znają, trudności z utrzymaniem się mają, jako że z jałmużny dobrych ludzi żyją... – Widzi zaciekawiony i nieco ironiczny wzrok nuncjusza i dodaje: – Co tam ma, to z szczodrobliwości naszych wielmożów... I na dodatek wielu prześladowań od talmudystów doświadcza ten zbożny ludek, jak teraz w Lublinie, gdzie doszło do krwawej napaści na spokojnych podróżnych, i najgorsze, że podziać się nie ma gdzie, jak tylko w gościnie, na cudzym garnuszku.

Jakub kiwa głową, jakby wszystko rozumiał. Może i rozumie.

– Przez tyle wieków byliśmy wyganiani z każdego kraju, przez tyle wieków cierpieliśmy nieustanną niepewność i korzeni zapuścić żeśmy nie mogli jak ludzie stateczni. A jak nie masz korzeni, jesteś nikim – dodaje Moliwda od siebie. – Puchem ulotnym. – Dopiero w Rzeczypospolitej znaleźliśmy schronienie, wspierani edyktami królewskimi i opiekuńczą postawą Kościoła... – Tu Moliwda rzuca szybkie spojrzenie Jakubowi, który, jak się wydaje, słucha uważnie tłumaczenia. – Jaką byśmy Bogu sprawili satysfakcję, gdyby teraz pozwolono się osiedlić na własnym terytorium tej garstce, co to dobrze chce żyć z innymi. To jakby dzieje zamknęły się i wszystko powróciło do dawnego porządku. I jakie wielkie zasługi miałaby Polska u Boga, większe niż cały świat, tak nieprzychylny Żydom.

Moliwda nawet nie zauważa, kiedy zamiast „oni” zaczyna mówić „my”. Bo jest tak, że wszystko to Moliwda powtarzał już tyle razy, iż zdania udają mu się podejrzanie okrągłe i ładne. I wszystko to jest aż nazbyt oczywiste, nawet jakby nudne. Czy znajduje się ktoś, kto mógłby myśleć inaczej?

– ...Dlatego ponawiamy swą prośbę wszem wobec o przyznanie nam w pobliżu tureckiej granicy jakiego osobnego terytorium...

– Di formar un intera popolazione, in sito prossimo allo stato Ottomano – mimowolnie powtarza po włosku młody kleryk o zjawiskowej urodzie i cichnie, cały w pąsach.

Nuncjusz po chwili milczenia zwraca uwagę, że niektórzy magnaci chętnie zaprosiliby do swoich dóbr ów „boży ludek”, ale na to odpowiada Jakub ustami Moliwdy:

– Balibyśmy się, żeby nas nie znaglono do poddaństwa takiego, w jakim jęczą nieszczęśliwi mieszkańcy wiosek w Polsce.

– ...miseri abitatori della campagna... – słychać szept kleryka, który widocznie pomaga sobie w ten sposób w pisaniu.

Dlatego Jakub Frank w imieniu swoich zwolenników błaga (implora), by im wyznaczono jakie miejsce oddzielne, najlepiej miejscowość całą (un luogo particolare), przyrzekając jednocześnie, że gdy znajdą się

w tym miejscu wszyscy razem (uniti), będą mogli zajmować się własnym przemysłem i zejdą z oczu prześladowcom.

Wtedy nuncjusz grzecznie się ożywia nieco i oznajmia, że rozmawiał z kanclerzem wielkim koronnym, który to wykazał się dobrą wolą, by osiedlić ich w dobrach królewskich, wtedy staną się poddanymi królewskimi, Kościół zaś jest gotowy przyjąć ich do miast pozostających pod biskupią jurysdykcją.

Moliwda wypuszcza głośno powietrze z płuc, ale Jakub nawet nie mrugnie okiem na tę dobrą wieść.

Potem rozmowa schodzi na chrzest, żeby go koniecznie uroczyście i na oczach wszystkich powtórzyć. Żeby odbył się raz jeszcze, z pompą, pod okiem króla. Kto wie, może ktoś z najwyżej postawionych zgodzi się być chrzestnym.

Audiencja skończona. Nuncjusz przywdziewa uprzejmą maskę. Jest blady, jakby dawno nie wychodził z tego luksusowego pałacu. Gdy się dobrze przyjrzeć, widać, że drżą mu ręce. Jakub idzie przez korytarze pałacu pewnie, uderza rękawiczkami o dłoń. Moliwda drepcze za nim w milczeniu. Jacyś księża sekretarze odsuwają się pod ściany.

Dopiero w powozie oddychają swobodnie. I Jakub, tak jak kiedyś w Smyrnie, gdy był zadowolony, przyciąga twarz Moliwdy do swojej i roześmiany całuje go w usta.

Pod domem Jakuba czeka Nachman-Piotr Jakubowski z Jeruchimem Dembowskim.

Jakub wita się z nimi w jakiś nowy, dziwaczny sposób, którego Moliwda wcześniej nie widział: podnosi dłoń do ust, a potem kładzie ją na sercu. A oni z ufnością, jak zwykle bez wahania, powtarzają ten gest i za chwilę wygląda, jakby od początku go stosowali. Dopytują się o szczegóły jeden przez drugiego, ale Jakub mija ich i znika w drzwiach. Moliwda zaś niczym jego rzecznik, niczym królewski minister, podąża za nim i mówi do tamtych:

– Przekonał nuncjusza bez trudu. Przemawiał do niego jak do dziecka.

Wie, że to właśnie chcieli usłyszeć. I widzi, jak wielkie robi to na nich wrażenie. Otwiera Jakubowi wszystkie drzwi, potem idzie tuż za nim, a Nachman z Jeruchimem drepczą z tyłu. Wydaje mu się, że wróciło to,

co było kiedyś – przyjemność z przebywania z Jakubem i grzania się w jego niezwykłej, choć niewidocznej dla ludzkich oczu aureoli.

O Katarzynie i jej rządach w Warszawie

Kossakowska jeździ małym, skromnym powozikiem, ubrana zawsze na ciemno, w ulubione brązy i szarości, z wielkim krzyżem na piersi. Przygarbiona, przemierza swoim długim krokiem odległości między pojazdem a wejściem do kolejnego domu. Potrafi ich odwiedzić w ciągu jednego dnia cztery, pięć, nie dbając o to, że zimno na dworze, że strój ma nieodpowiedni na wizyty. Lokajom przy drzwiach rzuca tylko: „Kossakowska przyszła”, i rusza w płaszczu na pokoje. Za nią Agnieszka stara się udobruchać wstrząśniętego lokaja. Od przyjazdu do Warszawy często towarzyszy im Moliwda, którego Kossakowska przedstawia jako swojego wielce oświeconego kuzyna. Ostatnio Moliwda pomaga jej w zakupach, bo ona się na święta wybiera do siebie. Na Krakowskim Przedmieściu w sklepie, gdzie mają towary wiedeńskie, pół dnia oglądali lalki.

Moliwda opowiada jej o śmierci reb Mordkego i Herszełe.

– Czy wie już o tym Chana Frankowa? – pyta Kossakowska, zaglądając pod szerokie spódnice eleganckim lalkom, i upewnia się, że mają długie, wykończone koronką pantalony. – Może by rozważyć, czy jej to mówić, zwłaszcza że, jak wiem, znowu spodziewa się dziecka. Tylko ją tknie, a ona znowu w ciąży. Zważywszy na to, jak rzadko się widują, to cud nad cudy.

Kossakowska szykuje Chanie dworek w Wojsławicach i zawsze skąpa, teraz robi się rozrzutna. Ciągnie Moliwdę na Miodową, gdzie sprzedają piękny farfur, cudeńka chińskie, delikatne, tak że przez filiżanki prześwieca światło. Wszystkie zdobne w pejzażyki – takie chciałaby Kossakowska kupić Chanie na jej nowy dom. Moliwda próbuje ją od tego odwieść – po cóż jej taka kruchość, która nie przeżyje w całości żadnej podróży – lecz potem milknie, bo powoli zdaje sobie sprawę, że Chana i ci wszyscy purytanie, jak o nich mówi, stali się dla Kossakowskiej jakby jej dziećmi, trudnymi i sprawiającymi kłopoty, ale

jednak dziećmi. To dlatego zamiast zostać w Warszawie na drugim uroczystym chrzcie w obecności króla, woli wracać na Podole. Kiedy ostatni raz widziała się z Frankiem, powiedziała mu, żeby on tutaj robił swoje, a ona zajmie się tymi, co zostali. Miasteczko Wojsławice to własność jej kuzynki i przyjaciółki, Marianny Potockiej, miejscowość bogata, z wielkim jarmarkiem i brukowanym rynkiem. Dworek należący do Kossakowskiej arendowany był ekonomowi tamtejszemu i już jest opróżniony, ściany odmalowane, wszystko ponaprawiane. Dalsza świta Chany może mieszkać w folwarku, zanim Jakub nie wyjedna ziemi do osiedlenia się na stałe.

– Z czego będą żyć? – pyta Moliwda przytomnie, patrząc, jak sprzedawca pakuje w bibułę każdą filiżankę z osobna i jeszcze umieszcza je w pakułach.

– Ze wsparcia i z tego, co mają. Zresztą zima handlom wszelkim nie przeszkadza. A od wiosny dostaną ziarna i siać mogą.

Moliwda krzywi się.

– Już ja to widzę.

– Tam są przecież te wszystkie jarmarki i kramy...

– Wszystko już przez innych Żydów zajęte od dziesiątek lat, a może i wieków. Nie można tak ludzi wpuścić między innych i czekać, co się tam stanie.

– Zobaczymy – mówi Kossakowska i płaci zadowolona.

Moliwda widzi ze zgrozą, że lalki kosztowały majątek. Wracają do powoziku po brudnym od końskich odchodów śniegu.

Układając pakunki w powozie, Moliwda jeszcze skarży się, że z nich wszystkich tylko Jakub na salony się nadaje. I przeraża go ilość pieniędzy, jakie Frank wydaje w stolicy; ten przepych i luksus drażnią ludzkie oczy. Kossakowska potwierdza:

– Po co poszóstna kareta? Po co te szuby, czapy i klejnoty? My tu się staramy, żeby ich jako biedaczyny przedstawić szlachetne, a on się tak rozbija po mieście. Mówiłeś z nim?

– Mówiłem, ale on słuchać mnie nie chce – odpowiada Moliwda ponuro i pomaga wsiąść Kossakowskiej do powozu. Żegnają się i Katarzyna odjeżdża. Moliwda zostaje sam na Krakowskim

Przedmieściu. Od Koziej zawiewa wiatr i szarpie poły jego zimowego kontusza. Przenika go do kości zimno, niczym w jakimś Peterburku.

Zapomniał donieść Kossakowskiej, że Jakub nie dostaje żadnych listów z Podola. Jeden, który przyszedł od Chany, miał pokruszoną pieczęć.

Do drugiego oficjalnego chrztu wszystko przygotowane; odbędzie się w królewskiej kaplicy w Pałacu Saskim. Poprzedzi go uroczysta msza z udziałem chóru, a mszę poprowadzi sam biskup kijowski Józef Andrzej Załuski. Król zapewne nie przyjedzie, zajęty jest bowiem w Dreźnie. I dobrze! Po co nam tu jakiś król? Doskonale sobie bez niego radzi cała Warszawa.

Katarzyna Kossakowska pisze do kuzyna

Drogi Kuzynie,

Farfury dowiozłam. Jedna tylko filiżanka straciła ucho, poza tym nic. Bardzo nam Cię tu brakuje, ponieważ nie mamy długi czas żadnych wiadomości, zwłaszcza Imość Frankowa odchodzi tutaj od zmysłów i niniejszym prosi o przekazanie tym samym posłańcem odpowiedzi na jej list do męża. Na razie goszczę ją z córką i jeszcze dwiema służącymi i niecierpliwie czekamy wieści, coście tam postanowili. Najgorsze jest to, że jakbyście tam w otchłań jaką wpadli wszyscy, bo dowiadywałam się, że i nasi nawróceni przyjaciele i ich rodziny znaku z Warszawy żadnego nie mają. Czy to ta zima szkaradna i jaki pomór padł na polską pocztę? Żywimy jednak tu wszyscy nadzieję, że to kwestia licznych waszych zajęć w stolicy.

Wiem skądinąd, że na audiencję u króla liczyć raczej nie można. Ja już jestem kuframi spakowana i dołączę tam do was, jak tylko mróz zelżeje, to znaczy gdzieś w marcu ruszę znowu w drogę, bo teraz ślina koniom przy pyskach zamarza. Na razie jednak, ze względu na mróz i jakieś zimowe rozleniwienie, zostawiam wszystko na Twojej głowie, wiedząc, żeś nie jest w ciemię bity i z pokusami stolicy poradzisz sobie.

Namawiam ja teraz i imć Branickiego, i Potockich na listy adopcyjne, aby się do naszej sprawy przyłożyli. Wiem jednak, że hetman Żydom ogólnie bardzo

niechętny, a przechrztom wszelkim jeszcze bardziej. A najbardziej ludzi gniewają ich szlacheckie ambicje, jako to już słyszałam, że cała rodzina Wołowskich uszlachcona została, jak i – zdaje się – Krysiński, ten z blizną na twarzy; często on do mnie pisze. Prawdą jest, że to i we mnie budzi jakąś moralną niewygodę, bo jakże to tak – ledwie w świat nasz weszli, a już się do rządzenia i kokoszenia biorą. Myśmy na nasze tytuły szlacheckie od pokoleń pracowali i nasi dziadowie dobrze sobie na nie zasłużyli przy Ojczyźnie naszej. A oni, cóż, garść złota rzucona na stół. Zwłaszcza że szlachcicowi przecież nie przystoi browaru w mieście prowadzić, jak jednemu z tych Wołowskich, co ktoś mu powiedzieć musi. Pisała mi o tym moja kuzynka Potocka, której syn w styczniu będzie się żenił i na gody zaprasza. Tym bardziej się więc do Warszawy wybierać nie zamierzam wcześniej jak na wiosnę. Za stara już jestem, żeby wte i wewte tłuc się po mrozie.

Razem z tym listem listy dwa Imości Chany załączam do wielmożnego Jakuba, jako i rysunki małej Ewuni. Poproś szanownego męża, by się do niej odezwał choć słowem, bo ona niedługo swe piękne czarne oczy wypłacze, tak tęskni. To jest kobieta egzotyczna, nie przywykła ani do naszych zimnych dworów, ani do naszego jedzenia...

Co podano na kolację wigilijną u Kossakowskiej

Nad wigilijnym stołem wisi gwiazdka z opłatka. Podano dwie zupy – migdałową i grzybową. Jest śledź w oliwie, posypany szczypiorkiem i siekanym czosnkiem. Są groch i pszenica z miodem, kasza z grzybami i dymiące pierogi.

W kącie komnaty ustawiono snop zboża, na którym wisi papierowa gwiazda pomalowana na złoto.

Goście składają sobie życzenia. Wszyscy z wielką czułością zwracają się do Chany, mówią coś po polsku miękko, raz poważnie, raz śmiejąc się. Mała Awacza wygląda na przestraszoną, pewnie dlatego nie puszcza matczynej sukni. Chana oddaje małego Emanuela niani, którą jest czysta i schludna Zwierzchowska. Chłopczyk wyrywa się do matki, ale jest za mały, żeby brać udział w uroczystej kolacji; Zwierzchowska znika z nim na pokojach wielkiego dworu Kossakowskich. Niestety, Chana niewiele

rozumie z tego, co do niej mówią. Kiwa głową i uśmiecha się niewyraźnie. Ciekawy wzrok współbiesiadników, rozczarowanych milczeniem Chany, pełznie chciwie – tak się wydaje Chanie – ku pięcioletniej Awaczy, która ubrana ślicznie jak księżniczka, patrzy nieufnie na to szczebioczące do niej towarzystwo.

– Nie widziałem jeszcze, żeby ludzka istota miała tak ogromne oczy – mówi kasztelan Kossakowski. – To chyba musi być aniołek, leśna wróżka.

To prawda, dziecko jest niebywale piękne. Niby poważne, ale i dzikie jakieś, jakby zabrane wprost z arabskiego, pogańskiego przepychu. Chana ubiera córeczkę jak damę. Ma sukienkę koloru błękitnego nieba na sztywnych halkach, pełną białych koronek, do tego białe pończochy, a obuta jest w granatowe atłasowe buciki wyszywane perełkami. Nawet w nich po śniegu do powozu nie dojdzie. Trzeba ją będzie nieść. Zanim jeszcze siadają do stołu, Kossakowski stawia ją na zydelku, żeby wszyscy mogli podziwiać dziewczynkę.

– Dygnij, Ewuniu – mówi do niej pani Kossakowska. – No, dygnij ładnie, jak cię uczyłam.

Ale Awacza stoi bez ruchu, sztywna jak lalka. Goście, nieco rozczarowani, dają jej spokój i zasiadają do stołu.

Awacza siedzi koło matki i patrzy na swoje halki, poprawia ostrożnie sztywne rąbki tiulu. Odmawia jedzenia. Położono jej na talerzu kilka pierożków, ale już wystygły.

Między życzeniami a siadaniem do stołu zapada cisza, ale potem kasztelan rzuca coś bardzo dowcipnego, z czego śmieją się wszyscy oprócz Chany. Dopiero wynajęty tłumacz Ormianin mówiący po turecku pochyla się ku niej i tłumaczy dowcip kasztelana, lecz tak chaotycznie, że Chana zupełnie nie wie, o co chodzi.

Chana siedzi sztywno i nie spuszcza wzroku z Katarzyny. Brzydzi się dotknąć tych potraw, choć wyglądają apetycznie, a ona jest głodna. Kto je robił i jak? Jak jeść pierogi z kapustą kiszoną i grzybami? Jakub kazał jej nie wybrzydzać i jeść jak wszyscy, te pierogi jednak sprawiają jej kłopot i przez gardło przejść nie mogą – kapusta jakby zgniła i do tego

grzyby. A te jasne kluski o mdłym kolorze, z ziarenkami maku, jakby oblazło je jakie robactwo?

Ożywia się, gdy wnoszą karpia, a on nie oblany galaretą, lecz pieczony. Zapach ryby zaraz wypełnia pokój i Chanie zbiera się ślina. Nie wie, czy czekać, aż go jej podadzą, czy brać samej.

– Ty się zachowuj jak dama – mówiła jej niedawno Kossakowska – ty się nie certol. Jesteś tym, za kogo się uważasz. A ty się uważasz za damę, prawda? Ty jesteś żoną Jakuba Franka, nie jakiegoś Icka, rozumiesz? Tacy jak ty nie muszą się bawić w grzeczności. Głowę noś wysoko. O tak – to powiedziawszy, Katarzyna zadziera głowę i klepie Chanę w tyłek.

Teraz Katarzyna zachęca ją do wigilijnych potraw. Mówi o niej per wielmożna Frankowa, ale do niej samej zwraca się „kochaneńka”. Chana patrzy na nią ufnie i odwraca się od pierogów, sięgając po karpia. O tak, nakłada sobie potężny kawałek z przypieczoną skórką. Kossakowska mruga zaskoczona, ale inni są zajęci rozmową, nikt na nie nie patrzy. Chana Frankowa rzuca na Kossakowską krótkie spojrzenie, jest zadowolona z siebie. Bo kimże jest ta kobieta, która tak wszystkim rządzi, hałaśliwa i przywódcza? Mówi głośno, niskim głosem, przerywa każdemu, jakby tak samo jak ziemia i przywileje do niej należało jedyne prawo do gadania. Ma ciemnoszarą suknię, a na niej czarne koronki, z których w jednym miejscu snuje się nitka – Agnieszka nie dopilnowała toalety. Owa nitka budzi w Chanie obrzydzenie, tak jak te potrawy. Jak cała Kossakowska i jej Agnieszka, i kulawy, garbaty mąż.

Jakim to sposobem znalazła się w tym więzieniu pełnym śliskiej uprzejmości, gadania po kątach, szeptów, z których nic nie rozumie? Stara się te gniewne myśli zamknąć głęboko w sobie, ma tam specjalne miejsce, w którym one buszują jak zwierzęta w klatce. Na zewnątrz nie pozwoli im wyjść, przynajmniej nie teraz. Teraz zdana jest na tę Kossakowską i może ją nawet jakoś lubi, choć jej dotyk ją mierzi, a tamta ciągle poklepuje ją i muska. Oddzielili ją od wszystkiego, co znała. Zostały jej Zwierzchowska i Pawłowska. I o nich teraz myśli, bez imion. Imiona zostały w jej głowie żydowskie. Reszta kompani wciąż czeka we Lwowie. Chana nie umie się dobrze porozumieć, ciągle szuka słów, ten język doprowadza ją do rozpaczy; nigdy się go nie nauczy. Co

dzieje się z Jakubem, dlaczego nie ma od niego żadnych wieści? Gdzie się podział Moliwda? Gdyby on tu był, czułaby się pewniej. Gdzież są wszyscy z kompanii, dlaczego ją od nich zabrano? Wolałaby siedzieć w cuchnącej dymem izbie w Iwaniu niż na dworze Katarzyny Kossakowskiej.

Na deser podają sernik z marcepanem i przekładaniec z cytrynowym i orzechowym nadzieniem. Mała rączka Awaczy bierze ze stołu na zapas i upycha słodycze w kieszeni błękitnej sukienki. Będą jadły te słodycze same, w nocy.

Sypiają tu wtulone w siebie. Małe dłonie Awaczy głaszczą twarz matki, gdy dziecko widzi, że Chana płacze. Chana przytula się do tego wielkookiego dziecka, chwyta się go, jak owad na wodzie czepia się źdźbła trawy, trzyma się kurczowo małego, drobnego ciałka i tak płyną we dwie przez noc. Często wyciąga też z kołyski Emanuela i karmi go piersią do woli, bo wciąż ma mleko, choć Kossakowska nawet i do tego się wtrąca. Uważa, że karmienie należy do mamek. Chana brzydzi się mamki, którą jej wynalazła kasztelanowa: jej białej skóry, jasnych włosów i ciężkich nóg. Jej wielkie różowe piersi przywalają Emanuela; boi się, że któregoś dnia ta wiejska dziewczyna go udusi.

O, proszę, gdy teraz o tym myśli, przy tym świątecznym stole, na jej sukni pojawia się plamka – Chana zręcznie przykrywa ją tureckim szalem.

Awacza i dwie lalki

Dla małej Awaczy ten wieczór będzie jednak inny niż wszystkie dotąd, właściwie owe przeszłe unieważni. Zostanie po nich zaledwie jakaś mglista smuga rozciągnięta w czasie.

Po kolacji Kossakowska prowadzi małą Awaczę do pokoju obok i każe jej zamknąć oczy. Tam podprowadza ją do jakiegoś miejsca i każe oczy otworzyć. Przed Awaczą siedzą dwie piękne lalki. Jedna jest brunetką ubraną w turkusy, druga zaś blondynką w eleganckich seledynach. Awacza patrzy na nie bez słowa, na jej policzki wypływają rumieńce.

– Wybierz sobie, którą wolisz – mówi jej do ucha Kossakowska. – Jedna jest twoja.

Awacza przestępuje z nogi na nogę. Widzi dokładnie każdy szczegół ubioru obu lalek, ale wybrać nie umie. Szuka pomocy u matki, ale ta uśmiecha się tylko, wzruszając ramionami, rozluźniona winem i tym, że mogą z Kossakowską zapalić w końcu turecką fajkę.

Długo to trwa. Kobiety zaczynają zachęcać dziewczynkę i chichotać. Śmieszy je powaga dziecka, które nie umie dokonać wyboru. Awacza słyszy, że lalki są z Wiednia najlepszej roboty, że korpus mają z koźlej skóry, twarz z papier mâché, a całe są wypychane trocinami. Wybrać jednak nie potrafi.

Na jej twarzy pojawiają się łzy. Strapiona swoim własnym niezdecydowaniem, rzuca się wprost w suknię matki i tam już szlocha na cały głos.

– Co się stało, co się stało? – pyta ją matka w ich własnym języku, po turecku.

– Nic. Nic – odpowiada Awacza po polsku.

Chciałaby ukryć się w miękkich fałdach, kucnąć tam i przeczekać najgorsze. Bo świata jest za dużo i zadań przed małą Ewunią zbyt wiele. Nigdy przedtem nie czuła się taka nieszczęśliwa. Ma wrażenie, że coś ściska ją za serce, i płacze, ale nie tak, jak z powodu zranionego kolana, tylko głęboko, w samym środku. Matka głaszcze ją po głowie, lecz ten gest nie niesie żadnego ukojenia. Awacza czuje, że znalazła się bardzo daleko od matki i że odtąd będzie trudno do niej wrócić jak gdyby nigdy nic.

Zaufanie ma tylko do tego dziwnego, brzydkiego pana, który w bożonarodzeniowy poranek przynosi jej małego szczeniaka, rudego i kudłatego; psiak jest z pewnością piękniejszy od tych wiedeńskich lalek.

Lalka dla Salusi Łabęckiej. Opowieści księdza Chmielowskiego o bibliotece i uroczystym chrzcie

Po świętach Kossakowska z mężem jedzie w odwiedziny do sąsiadów. Wypełnia przy tym swoją misję, aby poupychanych po folwarkach swoich purytanów przenieść do Wojsławic, tych zaś, co się tam nie zmieszczą, upakować do wiosny po dobrach pańskich. Jedzie z nią Agnieszka z torbą nalewek, bo pan Kossakowski skarży się na bóle kości, z kuferkiem oficjalskim, gdzie ma wszystko, co potrzebne do pisania listów, i dwiema podbitymi futrem szubami. Dyktowanie listów odbywa się w powozie, Agnieszka to spamiętuje, a potem pisze na postojach. Kossakowska o swoich podopiecznych myśli „przechrzty", ale stara się nie używać tego słowa ani w piśmie, ani w mowie, bo się źle kojarzy. Lepiej mówić o nich „purytanie", to słowo przyjechało z Francji czy Anglii, przypomniał je właśnie imć Łabęcki, i teraz wszyscy tego słowa używają. Dobrze się ono kojarzy, ma w sobie tę miłą uchu sugestię, że oni są czyści.

Wiezie piękny prezent: lalkę. A lalka ubrana jest wytwornie, jak damy na cesarskim dworze. Ma konopne włosy utrefione w loki i przykryte zgrabnym koronkowym czepeczkiem. Kossakowska wyciągnęła ją z pudła w powozie – śnieg stopniał i odstawili sanie – i teraz trzyma na kolanach niby dziecko, ćwierkając do niej, jak to mają w zwyczaju dorośli, kiedy się nad dzieckiem pochylą. A wszystko po to, żeby rozśmieszyć męża. Ale on dziś coś ponury, zły, że go żona ciąga po sąsiadach. Jako się rzekło, bolą go kości, cierpi od dawna na artretyzm. Chętnie zostałby w domu i wpuścił psy na pokoje, czego żona mu surowo zabrania. Do Rohatyna daleko, Łabęckiego nie lubi, zbyt dla niego uczony i zbytnio udaje Francuza. Kasztelan zaś ubrany jest po polsku, zimowo, w wełniany kontusz i futro.

Dziewczynka u Łabęckich ma na imię Salomea. Na razie milczy, nie powiedziała jeszcze ani słowa, choć ma polską guwernantkę. Najchętniej siedzi i wyszywa. Nauczono ją dygać i spuszczać oczy, gdy mówi do niej ktoś starszy. Nosi różową sukienkę i amarantową wstążkę w czarnych włosach. Jest drobna i śliczna. Pani Łabęcka mówi, że się nie uśmiecha. Dlatego patrzą na nią uważnie, gdy dostaje lalkę. Po

chwili wahania śmiało wyciąga po nią ręce i przytula ją do siebie, wtula twarz w konopne włosy lalki. Łabęcki patrzy na nią z jakąś dumą, ale potem szybko o niej zapomina. Dziewczynka znika z lalką jak kłębek kurzu.

Na wystawnym obiedzie, który zamienia się niepostrzeżenie w kolację i niewiele brakuje, aby przeszedł w śniadanie, pojawia się ksiądz dziekan Chmielowski. Kossakowska wita go serdecznie, jednak zdaje się nie poznawać biedaka. To mu chyba sprawia przykrość.

– W Rohatynie zdrowie jaśnie wielmożnej pani ratowałem... – mówi ksiądz skromnie, a Łabęcki go przekrzykuje, że to sławny pisarz.

– Ach – przypomina sobie kasztelanowa – to jest ten dzielny i waleczny ksiądz, który mnie w karecie popsutej z tłumu wyłuskał i pod wasze bezpieczne progi przyprowadził! Autor *Nowych Aten*, które sczytałam od deszczki do deszczki. – Klepie księdza bez pardonu po plecach i każe mu usiąść przy sobie.

Ksiądz się rumieni i wzbrania – ta kobieta, jej męskie zachowanie, budzi w nim lęk – ale w końcu siada koło niej i powoli powraca mu śmiałość, także za sprawą tokaju. Jego postać zmarniała, schudł i zmizerniał, i z zębami widać krucho, bo męczy się z kurczęciem na talerzu. Zjada za to gotowane warzywa i miękkie pasztety z dziczyzny, raz po raz dokłada sobie na talerz. Z białego chleba wybiera miękki środek, skórki zaś układa starannie w mały stosik i co pewien czas daje je ukradkiem siedzącemu pod stołem kudłatemu psu Łabęckich, który – zupełnie podobny do matki – budzi jego prawdziwe wzruszenie. Cieszy się, że wżenił psa w tak dobrą rodzinę. I więcej, czuje się trochę tak, jakby sam przez to zaczął być z Łabęckimi spokrewniony.

– Słyszałam, dobrodzieju, żeś wrócił z Warszawy – zaczepia go Kossakowska.

Ksiądz rumieni się lekko, co sprawia, że jego twarz młodnieje.

– Dawno mnie już zapraszał jaśnie oświecony biskup Załuski, który gdyby wiedział, że tu teraz z jaśnie wielmożną panią przesiaduję, kazałby mi zapewne powinszowania jakie przywieźć dla pani z Warszawy, bo mówił o pani w samych superlatywach.

– Jak wszyscy – wtrąca Łabęcki, trochę ironicznie.

Ksiądz ciągnie:

– Mnie sama Warszawa nie interesowała, tylko ta biblioteka. Miasto jak miasto, jakie jest, każdy widzi. Wszędzie takie samo, dachy takie same, kościoły i ludzie wszędzie podobni. Trochę jak Lwów, tylko więcej pustych placów, przez co wiatr dokuczliwszy. Mnie tam ten wielki zbiór pociągnął, a jako żem już słaby i zdrowia mam niewiele, to... – Tu ksiądz się wzrusza, sięga po wino i upija spory łyczek. – Przez tę ich bibliotekę spać nie mogłem i teraz spać też nie mogę... Jaki to ogrom... Kilka dziesiątek tysięcy, oni sami nie wiedzą ile...

Ksiądz mieszkał w klasztorze i codziennie musiał przejść kawałek po mroźnym powietrzu do biblioteki, tam pozwalano mu szperać po półkach. Miał zamiar robić notatki, bo jeszcze nie skończył pracy, ale ta wielość książek podziałała nań deprymująco. Ksiądz właściwie cały ten blisko miesiąc przychodził do biblioteki i próbował pojąć porządek tam panujący. Ale z coraz większą nerwowością stwierdzał, że porządku jako takiego tam nie ma.

– Niektóre książki są ułożone według autorów, ale zaraz dalej według „obiecadła”, alfabetycznie. Dalej znowu stoją książki z jednego zakupu i takie, co z powodu formatu większego nie zmieściły się na zwykłych półkach, więc dano je na inne półki, pojemniejsze, albo leżą jak złożone chorobą – mówi ksiądz z oburzeniem. – A przecież książki są jak żołnierze, powinny stać sztywno, jedna obok drugiej. Jak wojsko ludzkiej mądrości.

– Dobrze powiedziane – komentuje Łabęcki.

Księdzu Benedyktowi wydaje się, że tu powinien ruszyć cały sztab ludzi i zadziałać podobnie jak wobec armii – ustalić hierarchię, podzielić na pułki, nadać książkom szarże według cenności i rzadkości, zaaprowizować je wreszcie, tudzież podleczyć: podkleić i pozszywać te, które chore i uszkodzone. To byłoby wielkie przedsięwzięcie, ale jakże ważne. Co byśmy bez książek robili!

Najbardziej jednak księdza denerwuje, że ma to być biblioteka publiczna, to znaczy otwarta; nie potrafi pojąć, jak każdy może przyjść i wziąć książkę do domu. Widzi w tym szaloną ideę, jedną z tych zachodnich, francuskich, która więcej szkody dla księgozbiorów przyniesie niż pożytku ludziom. Zaobserwował, że książki u Załuskich

wypożycza się na marny rewers, który potem, kładziony do szuflady, może zaginąć albo przepaść, jak to mają w zwyczaju świstki papieru. A jak przychodzi jakiś dostojniejszy gość, to mu dają na gębę, nie śmiejąc podsunąć rewersu do podpisania. Nie ma spisu, gdzie, u kogo znajdują się wypożyczane książki.

Ksiądz teatralnie łapie się za głowę.

– Księdza dobrodzieja bardziej obchodzą książki niż ludzie – mówi Kossakowska z pełnymi ustami.

– Pozwolę sobie zaprzeczyć słowu jaśnie wielmożnej pani. Wcale nie. Obejrzałem sobie naszą stolicę i lud w niej żyjący.

– I jakie refleksje? – pyta grzecznie po francusku Łabęcki.

Księdza ten francuski zmieszał; nie rozumie, panna Agnieszka szeptem mu podrzuca tłumaczenie, ale i tak poczerwieniał.

– Dziwi mnie najbardziej, że ludziom chce się tak tłoczyć w małych mieszkaniach, na wąskich uliczkach, kiedy by mogli na wsi luksusu więcej mieć i świeżego powietrza do woli zażywać.

– Racja przenajświętsza. Nie ma jak na wsi – wzdycha Kossakowska.

Teraz ksiądz opowiada, jak to biskup Załuski zabrał go na chrzest do kaplicy królewskiej w Pałacu Saskim, gdzie chrzczono najważniejszych neofitów.

Kossakowska wyraźnie się ożywia:

– A niechże! Był ksiądz tam? I dopiero teraz to mówi?

– Stałem z tyłu i widzieć tyle mogłem, com się nawychylał. A to był drugi chrzest owego Franka, jaki widziałem, bo pierwszy był we Lwowie.

Ksiądz Benedykt mówi, że poszedł szmer wśród zgromadzonych w kościele, bo gdy biskup Załuski pochylił się nad chrzczonym, infuła mu z głowy spadła na posadzkę, co niektórzy uznali za zły znak.

– Bo i po cóż to się dwa razy chrzcić, czy jeden raz nie wystarczy? Dlatego infuła spadła – mówi gospodarz.

– Chrzestną była pani Brühlowa, prawda? I jakże ona wyglądała? – dopytuje się Kossakowska. – Czy nadal taka tęga?

Ksiądz zastanawia się przez chwilę.

– Kobieta jak kobieta, podeszła już w latach. Co mam mówić? Ja do kobiet pamięci zupełnie nie mam.

– Czy coś powiedziała, jak się prezentowała i co na sobie miała, z polska była ubrana, czy może z francuska?... Takie zwyczajne rzeczy.

Ksiądz wysila pamięć, obraca oczami, jakby obraz Brühlowej wisiał gdzieś w powietrzu.

– Niech mi jejmość wybaczy, nic nie pamiętam. Ale pamiętam, że przyjaciel wielmożnej pani, biskup Sołtyk, asystował przy chrzcie dwóch zastępców tego Franka – jeden zwie się Jakubowski, drugi Matuszewski – razem z księżną Lubomirską.

– A to ci dopiero! – zaciera ręce Kossakowska. W takich sytuacjach czuje, że żyje. Udało się jej namówić Sołtyka, by był neofitom ojcem chrzestnym. I księżnę Lubomirską, która raczej od takich pokazów stroni. Udział w chrztach tak wysoko postawionych osób przekonuje jej męża do sprawy.

– A to mi przypomina, że i my tutaj, na Podolu, mamy do ochrzczenia jeszcze wielu – odzywa się milczący do tej pory Kossakowski.

– Boże, Panie mój łaskawy, ile to ich jest! A co to za Żyd taki wielki, ze straszną twarzą, co go ksiądz onegdaj chrzcił? – pyta Kossakowska. – Podobno on niemowa, czy tak? I co mu się stało z tą twarzą?

Ksiądz jakby się trochę miesza.

– A taki tam... Poprosili mnie, tom się zgodził. On podobno z Wołoszy, sierota, za furmana u Szorów pracował, a teraz u mnie pomaga...

– Aż cisza zapadła w kościele, jak go ksiądz łaskawy prowadził. Jakby go ci Żydzi z gliny ulepili.

Kiedy wreszcie wstają od stołu, jest już zupełnie ciemno. Księdzu Chmielowskiemu przypomina się furman Roszko. Martwi się, czy aby dali mu tam w kuchni co gorącego, czy czasem nie zamarzł na sopel. Ale go uspokajają i zostaje jeszcze na fajkę. Łabęcki zawsze częstuje tytoniem najprzedniejszym, od Szorów rohatyńskich, którzy na Podolu najlepszy towar mają. Nikogo już nie dziwi, że pali z nimi Kossakowska – przecież ona to nie kobieta, tylko Kossakowska właśnie. Wolno jej.

W dniach 18 i 19 stycznia Stanisław Kossakowski, namówiony przez żonę, prowadzi do chrztu „purytan”. Najpierw jego córką chrzestną zostaje kulawa Anna Adamowska, przedtem Cibora, żona Matysa ze Zbryzia. Świadkowie, na widok tego, jak ojciec chrzestny z chrzestną córką, oboje chromi, idą do ołtarza, utykając, zastanawiają się, kto to ich tak dobrał. Wiódł kulawy kulawego – jak tu się nie roześmiać? A może to właśnie dobrze, porządek jakiś jest, ułomny wspiera ułomnego. Zdaje się jednak, że sam kasztelan czuje się z tym nieswojo.

Następnego dnia poprowadzi do chrztu Annę, siedmioletnią dziewczynkę, córkę wcześniej ochrzczonych Zwierzchowskich – przedtem Lejbka Hirsza z Satanowa i jego żony Hawy. Dziewczynka jest ładna i grzeczna. Kossakowska sprawiła jej białą sukienkę, skromną, ale z dobrego materiału, i kremowe trzewiczki z prawdziwej skóry. Kossakowski przeznaczył na jej wyuczenie pewną kwotę pieniędzy. Zamyślali nawet Kossakowscy, żeby ją wziąć na wychowanie, bo mądra i spokojna, gdyby rodzice się zgodzili. Ale rodzice grzecznie podziękowali za tyle dobroci i zabrali dziecko do domu.

Stoją teraz w kościele, onieśmieleni, pamiętając jeszcze własne czoła mokre od wody święconej, nie żałował jej ksiądz. Na głos wyczytuje ich szumnie brzmiące nazwisko. Patrzą na tego małego anioła prowadzonego przez imć Kossakowskiego w odświętnym kontuszu. Ojciec dziewczynki, Josephus Bartholomeus Zwierzchowski, jak zapisze się w księgach chrztu, ma lat trzydzieści pięć, jego żona zaledwie dwadzieścia trzy i jest w kolejnej ciąży. Mała Anna to ich jedyne pozostałe przy życiu dziecko. Wszystkie zmarły na lwowską zarazę.

Ksiądz Gaudenty Pikulski, bernardyn, przesłuchuje naiwnych

Drzwi otwiera im sam, przychodzą tu na jego zaproszenie. Najpierw długo czekali przed kancelarią lwowskiego klasztoru; czekanie odebrało im resztki pewności siebie, z jaką tu przyszli. I bardzo dobrze, będzie księdzu łatwiej. Często ich ostatnio widuje. Żarliwie modlą się na każdej mszy w lwowskiej katedrze i zwracają na siebie uwagę mimo nowych

strojów, które zakupili zamiast tamtych ciężkich kapot i kusych spodni. Teraz wyglądają jak ludzie, myśli Gaudenty Pikulski, uprzejmie wskazując im miejsce przy stole, i z zaciekawieniem patrzy na Szloma Szora – zgolił brodę. Odsłonięta skóra jest jasna, prawie biała, i w ten sposób twarz podzielona jest na dwie części: górną – ciemną, opaloną i dolną – dziecinną albo jakby piwniczną, to słowo przychodzi księdzu Pikulskiemu do głowy. Mężczyzna, który wyłonił się ze Szloma Szora i który nazywa się teraz Franciszek Wołowski, jest szczupłym, wysokim człowiekiem o pociągłej, miłej twarzy, wyrazistych ciemnych oczach i mocnych brwiach. Długie włosy, lekko już przyprószone siwizną, spływają mu na ramiona i stanowią zabawny kontrast dla tabaczkowomiodowego nowiutkiego żupana z czerwonym pasem tureckim przewiązanym wokół wątłej talii.

Sami się do niego zgłosili, choć nie ukrywa, że ich do tego zachęcał, mówiąc przy każdej okazji, że gdyby chcieli coś wyznać... Wziął więc dwóch sekretarzy, którzy teraz w gotowości, z kompletem zaostrzonych gęsich piór, czekają na znak.

Najpierw mówią, że Pan jest już pewnie w Warszawie i zobaczy się z królem. Potem patrzą na siebie i ten, co powiedział „Pan”, poprawia się i dodaje: Jakub Frank. Brzmi to uroczyście, jakby Jakub Frank był zagranicznym ambasadorem na specjalnych prawach. Ksiądz Pikulski stara się być sympatyczny:

– Tyle słyszeliśmy o waszym postanowieniu przyjęcia religii chrześcijańskiej i że podjęte ono zostało już dawno, a wasza żarliwość jest przysłowiowa i wywołuje łzy wzruszenia wśród mieszczan lwowskich i naszej szlachty...

Wchodzą służący z poczęstunkiem, o który postarał się ksiądz Pikulski: owoce w cukrze, zwykłe suszone jabłka i gruszki, rodzynki i figi. Wszystko za pieniądze Kościoła. Nie wiedzą, co mają zrobić, patrzą na Szloma-Franciszka Wołowskiego, ten zaś z wielką naturalnością wyciąga dłoń po rodzynkę.

– ...Dla wielu z was to zupełnie inne życie, a na dodatek ci, którym się w interesach powodzi, zostają od razu uszlachceni, jak waszmość, panie Wołowski, czy tak?

– Tak – odpowiada Franciszek, przełykając słodycze. – Tak właśnie.

Ksiądz Pikulski chciałby, żeby to oni sami zaczęli mówić. Podsuwa im talerzyki, żeby ich ośmielić, zwłaszcza że pióra obu sekretarzy wiszą już nad papierem, jak gradowe chmury, z których zaraz spadnie nawałnica.

Ten stary, który spod oka przygląda się bacznie księdzu Pikulskiemu, jakby mu czytał w myślach, to Józef z Satanowa – ma bardzo jasne niebieskie oczy, zatopione w ciemnej, ponurej twarzy. „Uchroń mnie, Panie Jezu Chryste, od wszelkiego uroku”, modli się ksiądz w myślach i udaje mu się nie poruszyć nawet wargą i nie dać po sobie niczego poznać. Potem zwraca się do całej gromady:

– Powinszować waszemu ludowi mądrości, rozwagi i gorącości serc. Jużeście powitani, ale nas nadal ciekawość wielka nurtuje, jak to wszystko się stało. Po jakiej drodze szliście do wiary prawdziwej?

Mówią głównie obaj bracia Szorowie – Rohatyński i Wołowski, bo też oni najlepiej znają polski. Ich polszczyzna jest nawet sprawna, trochę tylko chwiejna i niegramatyczna, ciekawe, kto ich uczył. Pozostałych czterech włącza się tylko od czasu do czasu; jeszcze nie zostali ochrzczeni, co może odbiera im pewność siebie: Jakub Tyśmienicki, Józef z Satanowa, stareńki dziadek, Jakub Szymonowicz i Lejba Rabinowicz grzecznie po kolei biorą pyszne figi i daktyle końcami palców i wkładają do ust.

Zaczyna Józef z Satanowa:

– Każdy, kto studiuje uważnie Zohar, znajdzie tam wiele napomnień o tajemnicy Trójcy Świętej i odtąd będzie go ta kwestia nurtowała. Tak i z nami było. W Trójcy jest wielka prawda i całe serce i rozum za nią się opowiadają. Bóg nie jest jedną osobą, lecz w jakiś boski, niepojęty sposób w trzech postaciach jest przejawiany. My to też mamy, więc dla nas Trójca nieobca.

– Bardzo nam to pasowało – przejmuje głos Szlomo, czyli Franciszek Wołowski. – U nas to nic nowego, są przecież trzy objawienia, trzej królowie, trzy dni, trzy miecze...

Pikulski patrzy wyczekująco na Wołowskiego, może powie coś więcej. Nie spodziewa się jednak, że usłyszy wszystko, czego chciałby się dowiedzieć.

Właśnie wnieśli tureckie piecyki z rozżarzonym węglem drzewnym i wszyscy teraz są zajęci śledzeniem ruchów służącego, który rozstawia te piecyki na posadzce.

– Gdy Jakub Frank przybył z Turcji w 1755 roku, przywiózł wieść o Trójcy i umiał ją dobrze przekazać innym, jako że był biegły w kabale. Wtedy to, gdy on zaczął jeździć po całym Podolu, ja też ich przekonywałem, że Bóg jest w trzech osobach – mówi Franciszek Wołowski i palcem wskazuje na swoją pierś.

I ciągnie dalej, że Jakub opowiadał to najpierw kilku wybranym, nie publicznie, że owa nauka o Trójcy najlepiej wyłożona jest w religii chrześcijańskiej i że dlatego to jest religia prawdziwa. Powiedział im też wtedy w tajemnicy, że gdy drugi raz do Polski przyjedzie, to trzeba będzie im wszystkim przyjąć chrzest i chrześcijańską wiarę, ale kazał to do swojego powrotu trzymać w sekrecie. I tak też robili, bo im się ten plan bardzo podobał, i powoli przygotowywali się sami, ucząc się języka i zasad wiary. Ale też wiedzieli, że to proste nie będzie, że rabini tak łatwo się z tym nie pogodzą i trzeba będzie wiele wycierpieć, jako się i stało. Wzdychają wszyscy i sięgają po daktyle.

Pikulski zastanawia się, czy oni są tacy naiwni, czy udają naiwnych, ale nie jest w stanie przeniknąć ich myśli.

– A wasz przywódca, Jakub, jaki on jest, żeście mu tak zawierzyli?

Patrzą po sobie, jakby się porozumiewali wzrokiem, kto teraz będzie mówił, w końcu znowu zaczyna Wołowski, lecz Paweł Rohatyński mu przerywa:

– Jak tylko Pan... czyli Jakub Frank, zajechał do Rohatyna, toś widział nad nim od razu światło – mówi i patrzy na Wołowskiego. Ten się chwilę waha, czy to potwierdzić, ale ksiądz Pikulski, a także zawieszone nad kartkami papieru pióra sekretarzy nie pozwolą mu przerwać w tym miejscu.

– Światło? – pyta Pikulski niewinnie słodkim głosem.

– Światło – zaczyna Wołowski. – Ta światłość była jak gwiazda, jasna i czysta, potem się rozszerzyła gdzieś na pół łokcia, trwając nad Jakubem dość długo, a ja przecierałem oczy, czy nie śnię.

Czeka teraz na efekt, jaki wywarły jego słowa, i rzeczywiście jeden z sekretarzy z otwartą gębą siedzi i nic nie pisze. Pikulski chrząka głośno i pióro znowu opada na papier.

– Ale to nic jeszcze – dodaje podniecony Jakub Tyśmienicki. – Gdy Jakub miał jechać do Lanckorunia, gdzie wystąpiły wiadome zajścia, już nam mówił w Brześciu, że będziemy mieli w Lanckorunie probunek i że wezmą nas w sekwestr. I dokładnie tak się stało...

– Jakże to należy rozumieć? – pyta ksiądz obojętnym tonem.

A oni zaczynają się teraz przegadywać ze sobą, przechodząc na swój język, milczącym zaś do tej pory też przychodzą do głowy jakieś drobne cuda owego Jakuba Franka. Na wyrywki opowiadają o Iwaniu, że leczyć umiał, że często braciom i siostrom na najskrytsze ich myśli, niewypowiedziane, potrafił odpowiedzieć. A gdy mu przyznawali większą moc, niż zwykły człowiek może posiadać, on się wymawiał i mówił, że jest najlichszy z braci. Jakubowi Tyśmienickiemu, gdy o tym opowiada, łzy zbierają się w oczach, ociera je mankietem, mięknie też na chwilę jasnoniebieski wzrok Józefa.

Pikulski zdaje sobie sprawę, że oni tego Jakuba k o c h a j ą, że połączeni są z tym odpychającym przechrztą jakąś więzią tajemniczą i ślepą, która w nim, zakonniku i księdzu, budzi wstręt. A zazwyczaj tak bywa, że gdzie więzi są bardzo mocne, tam jest również szczelina na bunt. I nagle czuje coś takiego w powietrzu – aż się boi zadać pytanie, bo jakie zadać? Wtedy Franciszek Wołowski ze wzruszeniem na twarzy opowiada, jak to Jakub tłumaczył im konieczność przejścia na chrześcijaństwo, jak po nocach Pismo Święte cytował, jak znajdował odpowiednie wersety, których uczyli się na pamięć. A potem dodał, że tylko niewielu o tym wie, bo tylko wybranym to wyjawił. I zapada na chwilę cisza. Ksiądz Pikulski czuje w powietrzu zapach męskiego potu, ostry, szczurzy, sam nie wie, czy to jego, spod zapiętej pod szyję sutanny, czy ich.

Jest pewny, że ich złapał, że ich pochwycił. I że nie mogą być tak głupi, by nie wiedzieli, co robią. Przed wyjściem mówią, że koniec świata jest już bliski i że będzie jedna Owczarnia i jeden Pasterz dla wszystkich ludzi na świecie. Żeby się wszyscy szykowali.

Ksiądz Gaudenty Pikulski pisze do prymasa Łubieńskiego

Wieczorem tego samego dnia, gdy wszyscy już śpią i miasto Lwów wydaje się obumarłym miejscem na płaskiej równinie Podola, Pikulski pieczętuje spisaną rozmowę i kończy swój list. O świcie ruszy do Warszawy specjalny posłaniec. Dziwne – wcale nie chce się księdzu spać, jakby natrafił na niewidzialne źródło energii, które odtąd będzie go karmić, mały gorący punkt w samym środku nocy.

Wysyłam Waszej Ekscelencji osobną pocztą raport z przesłuchania, jakie przeprowadziłem wczoraj z kontratalmudystami, i mniemam, że znajdzie w nim Wasza Ekscelencja wiele interesujących wątków, które potwierdzą wątpliwości, o jakich pozwalałem sobie pisać w poprzednim liście.

Także z innych źródeł próbowałem wywiedzieć się możliwie jak najdokładniej, z kim mamy do czynienia, mówiąc „kontratalmudyści". Jednocześnie z księdzem Kleczewskim i księdzem Awedykiem próbowaliśmy uzgodnić te wszystkie zeznania i informacje pochodzące z wielu innych przesłuchań, ale wydaje się to na tym etapie zupełnie niemożliwe. Najprawdopodobniej grupa żydowskich konwertytów nie jest w swej istocie jednorodna i pochodzą oni z różnych sekt, o czym świadczą ich poglądy, wzajemnie często się wykluczające.

Najlepiej jest pytać ludzi prostych, niekształconych – wtedy widzi się cały system pozbawiony sofistycznych ozdób, wiara zaś chrześcijańska nabyta niedawno okazuje się tylko cienką warstwą, jak lukier na ciastku.

I tak jedni wierzą, że jest trzech Mesjaszów: ten Sabsa Cewi, Baruchja i trzeci – sam Frank. Wierzą też, że prawdziwy Mesjasz musi przejść przez każdą religię, to dlatego ten Sabsa Cewi włożył na się zielony turban muzułmański, Frank zaś musi przejść przez nasz święty Kościół chrześcijański. Inni jednak wcale nie są o tym przekonani. Mówią za to, że gdy Sabsa Cewi stanął przed sułtanem, to nie był to on, lecz postać pusta i ta postać przyjęła islam, i jego konwersja nic ważnego nie znaczy, jak tylko pozór.

Jasne jest, że wszyscy, co się chrzczą, wcale nie pochodzą ze wspólnego pnia i każdy z nich w co innego wierzy. W jedno zebrała ich klątwa żydowska rzucona na wszystkich wyznawców Sabsa Cewi w 1756 roku, która ich

ekskomunikowała zupełnie z gmin żydowskich i chcąc nie chcąc, wszyscy stali się „kontratalmudystami”. Jedni z nich są więc przekonani, że pragnąc prawdziwego zbawienia, trzeba przyjąć chrześcijaństwo, dla innych sam chrzest nie jest związany ze zbawieniem przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, lecz wejściem pod skrzydła religijnej instytucji, jako że nie można żyć bez żadnej przynależności. Tych ponoć Frank nazywa przechrztami prostymi – i nie zalicza do swego obozu. To z tego tłumu mieszanego wywodzili się w dużej mierze delegaci w liczbie trzynastu, którzy występowali na dyspucie
lwowskiej.

Pragnąłbym zaznaczyć nadzwyczajne przywiązanie neofitów do swojego przywódcy. Wszystko, co on im powie, jest święte i przyjmują to bez zastrzeżeń. Gdy kto z nich czym zawini, Pan, jak o nim mówią, wyznacza mu karę cielesną, a wtedy oni zgodnie, grupowo tę karę wymierzają delikwentowi.

Wydobyłem z nich także i to, że wierzą, iż w Turecczyźnie narodził się Antychryst i sam Frank go widział. Będzie on niebawem cuda czynił i wiarę katolicką prześladował. Jako i to, że niejasne są słowa w Ewangelii, iż Chrystus przyjdzie jako Mesjasz z nieba. Bo – mówią – może on już jest na świecie, w ciele ludzkim? Miałem przy tym wrażenie, że choć nie chcą tego jasno powiedzieć, wierzą, iż Mesjasz jest ukryty w osobie samego Franka. Ten punkt poddałbym uwadze Waszej Ekscelencji i następnym inkwizycjom.

Dowiedziałem się też, że wioska na Wołoszczyźnie, w której Jakub Frank odwiedzał imć pana Moliwdę, to najprawdopodobniej chłystowie albo filipowcy, albo jakaś inna sekta urągająca naszej wierze świętej. Także ich wiedza o religii mahometańskiej nie pochodzi z jednego źródła, tylko jest to równie sekciarska nauka bektaszytów rozpowszechniona wśród ogarniętych mistycyzmem oficerów wojsk janczarskich.

Co zaś do zapytania Waszej Ekscelencji, czy prawdą jest, co mówią oni sami, iż jest ich wiele tysięcy, to sądzę, że ostrożnie rachując, będzie ich między pięć a piętnaście tysięcy na Podolu. Lecz nie wszyscy wyznawcy tego Sabsy Cewi będą skłonni się chrzcić i – mało tego – tylko mniejszość to zrobi, ta, która już i tak nie zostanie przyjęta z powrotem do swoich gmin i która nie ma innego wyboru, jak iść w chrześcijaństwo niczym przegnane ze dworu psy, które chowają się pod byle dach. Nie sądzę, by wielu z nich miało czyste serce i chrzest przyjęło, wierząc w prawdziwe zbawienie pod opieką Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Chciałbym jednocześnie donieść Waszej Ekscelencji, że jako iż teraz we Lwowie trwa zaraza, lud mówi, że to jest kara boska dla przechrzczeńców i stąd zapał do chrztu jakby się zmniejszył. Prawdą jest, że chorobą dotkniętych zostało wielu neofitów zarówno przed chrztem, jak i po chrzcie. Niektórzy z nich wierzyli, że chrzest przyniesie im życie wieczne, nie tylko duchowe, lecz i fizyczne, tu na ziemi, co świadczy o tym, jak powierzchownie znają oni wiarę chrześcijańską i jak wielka jest ich naiwność.

Zanoszę do Jego Ekscelencji Księdza Prymasa wielką prośbę, aby nasze tu sporządzone sprawozdania przeczytał i kierując się sercem i mądrością, wskazał nam, co robić mamy dalej. I ponieważ część kompanii Frankowej, zwana przez nich samych gawurą, już ruszyła za swoim przywódcą do Warszawy, należałoby pilnie na tych baczyć, by swoimi mętnymi poglądami na chrześcijaństwo, swoim tupetem i zatwardziałymi ambicjami Kościołowi, Matce Naszej, uczynić nic niegodnego nie mogli.

Ksiądz Pikulski już skończył pisać i bierze się do innego pisma, jednak po chwili odkłada je i dopisuje do starego:

Byłby to jednak akt małej wiary, gdybym uznał, że Kościołowi Świętemu taka zgraja oszustów zaszkodzić by mogła...

Chabrowy żupan i czerwony kontusz

Moliwda obstalował u krawca polskiego – bo tak się teraz nazywają ci, co szyją ubiory polskie, nie zaś modne francuskie czy niemieckie – jedwabny żupan i gruby sukienny zimowy kontusz podbity miękkim futerkiem. Do tego musi zamówić jeszcze słucki pas, choć taki wart jest majątek. Już je oglądał i spodobało mu się kilka. Kosztują w Warszawie trzy razy więcej niż w Stambule. Gdyby miał głowę do handlu, toby tu takich nawiózł.

Moliwda patrzy na siebie w lustrze, gruby kontusz dodaje jego brzuchowi jeszcze większej objętości. Ale to dobrze – wygląda jak szlachcic. Myśli teraz, co się w nim spodobało prymasowi Łubieńskiemu, że go tak wysoko w godności wyniósł – przecież nie ten

brzuch, nie wygląd. Moliwda stracił połowę włosów, a te, które zostały, mają kolor październierzy. Jego twarz zrobiła się przez ostatnie lata pełna, oczy jeszcze bardziej wyblakły. Broda i wąsy rozrosły się na wszystkie strony i wyglądają jak jakiś wiecheć starej słomy. Nie wypada, żeby sekretarz prymasa miał taki kłąb pod nosem. Niewątpliwie musiały się spodobać prymasowi krasomówcze talenta Moliwdy widoczne na dyspucie we Lwowie i jego szlachetny stosunek do neofitów. I z pewnością języki, którymi włada Moliwda. Nie bez znaczenia było i polecenie Sołtyka, bo przecież nie kuzynki Kossakowskiej, której Łubieński nie lubi.

Tego samego dnia dostaje dwa pilne listy i to w tej samej sprawie. Oba go postawiły w stan alertu – w jednym wzywa go kościelna komisja „do rychłych przesłuchań antitalmudistów", drugi jest od Krysy. Krysa pisze po turecku, że Jakub zniknął jak kamień w wodzie. Wyjechał sam powozem i nie wrócił. Powóz się odnalazł pod domem, ale pusty. Nikt nic nie widział.

Moliwda prosi prymasa o delegację do Warszawy. Spraw prymasowskich i tak się nazbierało, a tu jeszcze komisja kościelna. Gdy piękny angielski powóz rusza, Moliwda pociąga spory łyk nalewki, której zabrał całą butelkę – na rozgrzewkę, na lepszą pracę żołądka, na rozjaśnienie myśli i jako remedium na niepokój, bo Moliwda czuje, że nadciąga coś niedobrego, coś, co i jego może zmieść, a przecież ledwie co uchwycił się źdźbła, które go niesie, niepewnie, ale tak, że nie tonie. Gdy dociera do Warszawy bez snu i bez odpoczynku, boli go głowa i musi mrużyć oczy, tak agresywnie świeci warszawskie słońce. Mróz chwycił siarczysty, ale śniegu jest mało, dlatego błoto zamarzło w grudę i tylko lekko pokrywają je szron oraz tafelki lodu na kałużach, na których można się pośliznąć. Ledwie przytomny, Moliwda spotyka się z Wołowskim, od którego się dowiaduje, że Jakub jest więziony u bernardynów.

– Jak to „więziony"? – pyta z niedowierzaniem. – Coście na niego nagadali?

Wołowski wzrusza bezradnie ramionami, a potem oczy napełniają mu się łzami. Moliwdę powoli zaczyna ogarniać przerażenie.

– To koniec – mówi. Bez słowa wymija Wołowskiego stojącego samotnie na błotnistej ulicy i rusza po zamarzniętych kałużach przed siebie. O mało się nie przewraca. Wołowski, jakby się dopiero ocknął, biegnie za nim i zaprasza go do domu.

Szybko zapada zimowy mrok i robi się nieprzyjemnie. Moliwda wie, że powinien iść najpierw do biskupa Załuskiego, podobno bawi teraz w Warszawie, i tam szukać wsparcia, nie zaś lecieć do Żydów neofitów. Powinien odszukać Sołtyka, ale na to teraz jest już za późno, a on – nieogolony i zmęczony podróżą – łakomie patrzy w otwarte drzwi domu Wołowskich, skąd buchają ciepło i zapach ługu. Pozwala się Franciszkowi złapać za łokieć i wprowadzić do środka.

Jest 27 stycznia 1760 roku.

Co się działo w Warszawie, gdy Jakub zniknął

Na Nowym Mieście, gdzie Szlomo, Franciszek Wołowski, właśnie otworzył z braćmi mały skład tytoniowy, ruch jest spory. Nad sklepikiem mieści się małe mieszkanie, w którym ulokowali się właściciele. Dobrze, że mróz skuł ziemię, można przynajmniej przejść przez porozjeżdżane, błotniste, pełne kałuż ulice.

Wchodzi do sieni, a potem do paradnej izby, siada na nowiutkim krześle i przygląda się zegarowi, który ustawiony na głównym miejscu w tym pokoju tyka miarowo. Za chwilę drzwi się otwierają i pojawia się w nich Marianna Wołowska, mała Chajka, za nią dzieci, troje tych najmłodszych, co to nie chodzą jeszcze na nauki. Wyciera ręce o fartuch nałożony na ciemną sukienkę, widać, że pracowała. Wygląda na zmęczoną i zmartwioną. Skądś z głębi domu dobiegają dźwięki fortepiano. Marianna chwyta go za ręce, gdy wstaje, by się z nią przywitać, i każe mu usiąść. Moliwda czuje się niezręcznie, że zapomniał o dzieciach, mógł im kupić choć torebkę kandyzowanych wiśni.

– Najpierw po prostu zniknął – mówi Marianna. – Myśleliśmy, że może został u kogoś dłużej w gościnie, tośmy się przez pierwsze dni nie martwili. Potem Szlomo z Jakubowskim poszli do niego i tam zastali

Kazimierza, którego sobie najął na lokaja, rozpaczającego, że Jakuba porwali. Ktoś przysłał tylko po jego ciepłe rzeczy. „Kto?” – pytaliśmy. „Zbrojni, kilku ich było”, odpowiadał. Więc Szlomo, jak tylko przyjechał tu ze Lwowa, ubrał się wytwornie i zaczął chodzić i wypytywać po mieście, aleśmy się niczego nie dowiedzieli. Wtedy padł na nas strach, bo od kiedy Szlomo wrócił ze Lwowa, to wszystko idzie jakoś na opak.

Marianna bierze na kolana chłopczyka i szuka w rękawie chusteczki, żeby obetrzeć sobie oczy, a przy okazji jemu nos. Franciszek wychodzi po mieszkającego obok Jeruchima Dembowskiego i innych.

– Jak ty masz na imię? – pyta chłopczyka nieuważnie Moliwda.

– Franio – mówi dziecko.

– Jak tata?

– Jak tata.

– Wszystko się od tego przesłuchania we Lwowie zaczęło. Dobrze, żeś waćpan przyjechał, bo lepiej im po polsku się nie plątać – kontynuuje Marianna.

– A pani ładnie mówisz... Marianno.

– A może lepiej by było, gdyby nas, kobiety, przesłuchiwali – uśmiecha się gorzko. – Chaja dałaby im wszystkim popalić. Dom z Hirszem, z Rudnickim – poprawia się – kupili na Lesznie, wiosną się tu sprowadzą.

– Chaja zdrowa?

Marianna obrzuca go spłoszonym wzrokiem.

– Jak to Chaja... Najgorsze jest to, że teraz na te przesłuchania biorą pojedynczo. Jakubowskiego wzięli. – Milknie nagle.

– Jakubowski jest mistyk i kabalista... Nagada im głupot.

– No właśnie, co im tam nagadał, to nie wiadomo. Szlomo mówił, że jak razem zeznawali, to Jakubowski bardzo się bał.

– Że i jego zamkną? – Moliwda bierze nagle Mariannę za ręce i przysuwa się do niej. Mówi jej na ucho: – Ja też się boję. Ja z wami na tym samym wózku siedzę i widzę, że to nie jest bezpieczne. Powiedz

mężowi, że on jest głupiec, że wasze drobne, cuchnące interesy między sobą rozgrywacie... Chcieliście się go pozbyć, żeście tak nagadali, co?

Marianna wyrywa się i zaczyna płakać w chusteczkę. Dzieci patrzą na nią przestraszone. Odwraca się do drzwi i krzyczy:

– Basiu, zabierz dzieci!

– My się wszyscy boimy – mówi Marianna. – I ty się bój, bo ty nasze tajemnice znasz i jak swój jesteś. – Podnosi na Moliwdę swoje zapłakane piwne oczy i Moliwda przez moment słyszy w jej głosie groźbę.

Plujcie na ten ogień

Przesłuchanie warszawskich zwolenników Franka odbywa się z wolnej stopy, za całą grupę mówią Jeruchim, czyli Jędrzej Dembowski, pewny siebie i wygadany, oraz młodszy Wołowski, Jan. Obaj zeznają po żydowsku, ale Moliwdę zrobiono tym razem tylko pomocniczym tłumaczem. Siedzi więc przy stole, ma przy sobie pióro i papier. Tłumaczy niejaki Bielski, całkiem sprawnie. Moliwdzie udało się im podpowiedzieć, żeby mówili rzeczy ogólne, grzecznie i miło.

Ale oni brną coraz dalej. Gdy zaczynają mówić o cudach Jakuba, których jakoby miał dokonywać wszędzie, Moliwda milknie, zagryza wargi i spuszcza wzrok na czystą kartkę papieru, której widok go uspokaja. Dlaczego to robią?

Moliwda czuje, jak początkowe przyjazne nastawienie sądu się odmienia, jak spinają się ciała inkwizytorów i z małej rozmowy robi się prawdziwa rozprawa, głosy stają się niższe, pytania sądu bardziej dociekliwe i podejrzliwe, podsądni szepczą do siebie nerwowo, sekretarz zaś zaczyna oglądać agendę z datami, więc chyba – myśli Moliwda w panice – będzie tak, że dadzą kolejny termin i sprawa nie skończy się raz-dwa, jak myśleli.

I niechcący odsuwa od nich swoje krzesło, nieco dalej, w stronę pieca. I siada jakby bokiem.

Szlomo, czyli Franciszek Wołowski, kupiec i może trochę awanturnik, który radzi sobie i z ludźmi, i z pieniędzmi, nagle przed sądem staje jak

chłopiec, drży mu dolna warga, zaraz się rozpłacze. Jeruchim zaś gra pewnego siebie, otwartego prostaka, choć taki nie jest, dobrze o tym Moliwda wie. Opowiada, jak się modlą zazwyczaj, i wtedy sąd życzy sobie, żeby zaśpiewali tę pieśń tajemniczą, której treści oni wyjaśnić nie chcą albo nie potrafią. Patrzą na siebie niepewnie, szepczą, jest jasne, że coś kręcą i ukrywają. Wtrąca się w to Matuszewski, jakiś blady, jakby już wydano na niego wyrok śmierci. To on staje się dyrygentem tego chóru, podnosi dłoń i po chwili szeptania śpiewają pieśń *Igadel* przed sądem konsystorskim w Warszawie, jak uczniacy, jak niedorośli chłopcy. I nawet się w tym śpiewaniu zapamiętują, na przekór kościelnej powadze. Moliwda spuszcza oczy.

Tyle razy słuchał tej pieśni, a czasem się do niej przyłączał, to prawda, ale teraz, w ogrzewanym wnętrzu sądu biskupiego, gdzie zapach wilgoci bije się z zapachem ługu do czyszczenia palenisk pieca, gdzie mróz na szybach okiennych wyrysował przez noc filigranowe girlandy lodowych liści i gałązek, słowa *Igadel* brzmią absurdalnie, nic się nie zgadza. Moliwda ma posadę w Łowiczu przy najwyższym kościelnym urzędzie, przy prymasie Rzeczypospolitej Polskiej, udało mu się, wrócił do kraju, do swoich, zapomniano mu wszystkie winy i przyjęto go znowu w poczet godnych ludzi, dlaczego miałyby go zajmować słowa tej pieśni, czy naprawdę kiedykolwiek je rozumiał?

Kiedy podsądni wychodzą, mijają się z prowadzonym Jakubem. Odsuwają się wszyscy pod ścianę i bledną. Jakub jest paradnie ubrany, w swoją wysoką czapkę, w płaszcz z kołnierzem. Jakby prowadzili króla. Ma jednak dziwnie stężałą twarz. Patrzy na Wołowskiego, który zaczyna płakać, i mówi po hebrajsku:

– Plujcie na ten ogień.

Ocean pytań, który pogrąża nawet najsilniejszy okręt

Moliwda ma tłumaczyć. Udało mu się tu wkręcić za protekcją biskupa Załuskiego. Teraz patrzy na taśmę, którą wykończono poły jego nowego kontusza. Ubrał się w nowe, ale teraz widzi, że to zbyt wystawnie, elegancko. Żałuje.

Komisja już czeka – składa się z trzech duchownych i dwóch świeckich sekretarzy. Przy drzwiach od strony korytarza stoją jeszcze zbrojni. Jaka pompa, myśli Moliwda. Można by sądzić, że przesłuchują jakiegoś wielkiego uzurpatora. Oprócz księdza oficjała, który tu gra główną rolę, są ksiądz Szembek, kanonik gnieźnieński, niejaki Pruchnicki, pisarz konsystorski, i ksiądz Śliwicki, jezuita, inkwizytor. Szepczą do siebie, ale Moliwda nie słyszy, co mówią.

W końcu drzwi się otwierają i strażnicy wprowadzają Jakuba. Moliwdzie wystarczy jeden rzut oka, żeby zrobiło mu się gorąco, Jakub wydaje się jakiś zmieniony, jakby podpuchnięty, twarz ma zmęczoną, obwisłą. Może go bili? Nagle serce Moliwdy zaczyna uderzać szybko, jakby biegł, zasycha mu w gardle, ręce drżą. Jakub nie patrzy na niego. Wszystkie przygotowane myśli i całe zwroty, jakimi miał zamiar pokryć głupstwa Jakuba, biorą w łeb. Dyskretnie wyciera spocone ręce o poły kontusza, czuje już pot pod pachami. O tak, bili go, na pewno. Jakub patrzy na wszystkich spod oka, ponuro. Ich wzrok w końcu się spotyka i Moliwda zmusza się wszelkimi siłami, żeby powoli przymknąć powieki, dając mu znak, że będzie dobrze, żeby był spokojny.

Po odczytaniu oficjalnego wstępu i intencji przesłuchania pada pierwsze pytanie i Moliwda tłumaczy je na turecki. Robi to dosłownie, nic nie dodaje, nie ujmuje. Pytają Jakuba, gdzie się urodził, gdzie wychował i gdzie mieszkał w swoim życiu. Interesują ich żona i liczba dzieci, a także dobra materialne i stan posiadania.

Jakub nie chce usiąść, stoi, gdy odpowiada. Jego głos, głęboki, choć cichy, a także i śpiewność turecczyzny robią wrażenie na przesłuchujących. Co ten człowiek ma z nimi wspólnego? – myśli Moliwda. Tłumaczy odpowiedź Jakuba, zdanie po zdaniu. Jakub mówi, że urodził się w Korolówce na Podolu, a potem mieszkał w Czerniowcach, gdzie jego ojciec był rabinem. Przenosili się wiele razy: Bukareszt i inne miasta na Wołoszczyźnie. Ma żonę i dzieci.

– Po jakim znaku rozpoznawali tych, którzy do wiary chrześcijańskiej chcieli przystać?

Jakub patrzy w sufit, potem wzdycha. Milczy. Prosi Moliwdę o powtórzenie pytania, ale i teraz nie odpowiada. W końcu przenosi

wzrok na Moliwdę i mówi jakby do niego. Moliwda stara się zapanować nad każdym drgnieniem swojej twarzy.

– Znak, po którym rozpoznaję prawowiernych, jest taki, że widzę światło nad ich głowami. Nie wszyscy je mają.

Tłumaczy Moliwda:

– Znak, po którym rozeznaję, według obietnicy Pana Jezusa, tych, co szczerze do wiary Jego przystępują, jest światłem na kształt świecy, który widzę nad ich głowami.

Sąd domaga się wyjaśnienia, kto ma to światło, kto nie ma.

Jakub mówi niechętnie, raz zawahał się nad wymienianym imieniem, ale Moliwda tłumaczy płynnie, że co do niektórych Żydów, nawet gdy się usilnie starali, żeby ich Jakub przyjął do wiary, nawet gdy sporo pieniędzy dać mu za to chcieli, wzbraniał się, bo światła nad nimi nie widział. I wiedział już właściwie, kto jest szczery, a kto ma mętne zamiary.

Pytają go teraz o szczegóły pobytu w Polsce za pierwszym razem. Gdy mówi zbyt ogólnie, dopytują się o nazwy miejscowości, o nazwiska gospodarzy, którzy go gościli. Trwa to długo, czekają, aż sekretarze wszystko to zapiszą. Jakub gaśnie pod tym biurokratycznym reżimem, każe sobie podać krzesło i siada.

Moliwda tłumaczy sprawozdanie o wydarzeniach, w których czasami sam brał udział, ale teraz wolałby się do tego nie przyznawać, zresztą nie ma takiej potrzeby, nikt go o to nie pyta. Modli się tylko w myślach, żeby się sam Jakub z tym jakoś nie wsypał; gdy Frank opowiada o Nikopolu i Giurgiu, ani słowem nie wspomina o Moliwdzie, nawet na niego nie patrzy. Słusznie pomyśli sąd, że się w ogóle nie znają, że poznali się we Lwowie, niedawno, także przy tłumaczeniu, jak to napisał w oświadczeniu Moliwda.

Zarządzają teraz małą przerwę, w czasie której wnoszą wodę i kubki. Zmienia się i pytający, teraz to jezuita.

– Czy obwiniony wierzy w Boga w Trójcy? Że jest jeden w trzech osobach? I czy wierzy w Jezusa Chrystusa, Prawdziwego Boga i Człowieka, Mesjasza obecnego w Piśmie Świętym, a to według wyznania wiary świętego Atanazego? Czy gotów na nie poprzysiąc?

Dają Jakubowi tekst *Credo* po łacinie, Jakub nie umie go przeczytać, więc powtarza po Moliwdzie, zdanie po zdaniu: Wierzę w jednego Boga... Moliwda dodaje jeszcze od siebie: całym sercem. Każą mu teraz podpisać się na karcie z *Credo*.

Potem pada następne pytanie:

– W których miejscach Pisma Świętego obwiniony dociekał tajemnicy Trójcy Świętej?

Na powrót zawiązuje się małe, niewidoczne dla nikogo porozumienie między podsądnym i tłumaczem. Moliwda uczył go tego kiedyś, Jakub dobrze pamięta. I widać, przydały się nauki. Wymienia najpierw fragment z Genesis 1,26: „Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze", i Genesis 18,3, gdzie Abraham mówi do trzech mężów jakby do jednego: „Panie, jeżelim znalazł łaskę...". Potem przechodzi do Psalmów i wskazuje na fragment w Psalmie 110: „Rzekł Pan Panu memu: siedź po prawicy mojej". Potem się gubi, ma ze sobą swoje księgi po hebrajsku i przewraca kartki, ale w końcu mówi, że jest zmęczony i potrzebowałby czasu, żeby znaleźć odpowiednie miejsca.

Zadają mu więc następne pytanie:

– Gdzie w Piśmie powiedziane jest, że Mesjasz już przyszedł i że jest on Jezusem Chrystusem narodzonym z Maryi Dziewicy i ukrzyżowanym przed 1727 laty?

Jakub milczy przez dłuższy czas, aż każą mu odpowiedzieć. Jakub mówi, że kiedyś miał o tym jasność, a było to, kiedy nauczał. Ale po chrzcie stracił już tę jasność umysłu i pewnych rzeczy nie musi już wiedzieć, bo teraz są jemu i innym przewodnikami księża.

Moliwdę zdumiewa czasami jego szybki refleks. Odpowiedź mimo wszystko podoba się księżom.

– Które to są miejsca Pisma Świętego, z których sam doszedł i innym dowodził, że Mesjasz, Jezus Chrystus, jest prawdziwym Bogiem Stworzycielem i współistotnym Ojcu?

Jakub grzebie w swoich księgach, ale nie znajduje właściwego fragmentu. Pociera dłonią czoło, w końcu mówi:

– Izajasz. „Będzie nazwane imię jego Emanuel".

Inkwizytor Śliwicki nie odpuści tak łatwo. Nadal piłuje w sprawie Mesjasza.

– Co rozumie podsądny, mówiąc, że Chrystus przyjdzie powtórnie? Gdzie przyjdzie? Jak to ma wyglądać? Co to znaczy, że przyjdzie sądzić żywych i umarłych? Czy to prawda, że podsądny utrzymywał, iż on już jest na świecie w ciele jakimś człowieczym i nagle się objawi jak błyskawica?

Głos Śliwickiego jest spokojny, jakby wypowiadał rzeczy zwyczajne i pospolite, ale Moliwda czuje, jak cisza gęstnieje i wszyscy z uwagą wyczekują tego, co powie Jakub. Gdy tłumaczy Jakubowi pytanie jezuity, wtrąca słowo drobne: „Uważaj”.

Jakub łapie to słowo i mówi powoli, ostrożnie. Moliwda tłumaczy też powoli, czekając, aż tamten skończy zdanie, obracając słowa w myślach kilka razy.

– Nigdy nie uważałem, że Mesjasz jeszcze się raz w ciele ludzkim na ziemi urodzi, i nigdy tak nie nauczałem. Ani że przyjdzie jak jakiś król bogaty, który sądy zaprowadzi między ludźmi. A że jest utajony w świecie, to miałem na myśli, że skrywa się pod postacią chleba i wina. I to zrozumiałem kiedyś sam, głęboko, w kościele w Podhajcach.

Moliwda wypuszcza powietrze, ale tak, żeby nikt nie zauważył. Czuje, że lekki, elegancki żupan pod kontuszem jest cały mokry, pod pachami i na plecach.

Wtrąca się teraz ksiądz Szembek:

– Czy podsądny zna Nowy Testament? Czy czytał księgi Nowego Testamentu? A jeżeli tak, to w jakim języku?

Jakub mówi, że nie, nie czytał nigdy. Dopiero we Lwowie i tu w Warszawie cokolwiek z Ewangelii świętego Łukasza.

Księdza Szembeka interesuje, dlaczego chodził w turbanie i bywał w meczetach. Dlaczego dostał taki ferman od Porty na pozwolenie osiedlenia, jakby był nowym mahometaninem? Czy to prawda, że przeszedł na islam?

Moliwda jest bliski omdlenia, a więc wiedzą wszystko dobrze. Byłby głupi, gdyby się tego nie spodziewał.

Jakub odpowiada natychmiast, jak tylko zrozumiał pytanie. Mówi ustami Moliwdy:

– Gdybym uważał, że najlepsza jest wiara Mahometa, tobym się do katolickiej nie udawał.

I Moliwda tłumaczy dalej, że Żydzi talmudyści buntowali Portę przeciwko niemu i dawali łapówki, żeby go Turcy ujęli.

– Prześladowany, byłem zmuszony przyjąć tę religię, ale zrobiłem to tylko powierzchownie, w sercu moim nie miałem tej wiary za prawdziwą ani przez chwilę.

– A dlaczegoż to na suplice do sułtana pisze, że jest biedny i prześladowany, podczas gdy, jak sam mówi, był bogaty, miał dom z winnicą i inne włości?

W głosie pytającego słychać tryumf, oto przyłapał podsądnego na kłamstwie, ale Jakub nie widzi tutaj nic zdrożnego. Odpowiada nieuważnie, że mu tak kazał rządca miasta Giurgiu, Turek, widząc, że można w ten sposób pieniądze przyciągnąć. Cóż by to było złego? – zdaje się mówić ton Jakuba.

Ksiądz Szembek grzebie w papierach i znajduje tam widocznie coś ciekawego, bo się wyrywa, zanim jeszcze jezuita wróci do zadawania swoich pytań.

– Mówił jeden z przesłuchiwanych, niejaki Nachman, a teraz Jakubowski Piotr, żeście mu pokazywali w Salonikach Antychrysta. Czyście w to wierzyli?

Jakub odpowiada ustami Moliwdy:

– Nie, nigdy w to nie wierzyłem. Wszyscy mówili, że to Antychryst, to i ja tak opowiadałem, jakby ciekawostkę.

Jezuita wraca do rzeczy:

– Czy opowiadał o Sądzie Ostatecznym jako o bliskim? Skąd by to wiedział?

Moliwda słyszy:

– Tak, Sąd jest już bliski i to przekonanie znajduje się w Piśmie chrześcijańskim, że choć nie wiemy, kiedy ma to nastąpić, ale jest blisko.

I tłumaczy:

– Pobudzając innych, przywoływałem słowa proroka Ozeasza 3 i wykładałem, że przez tak wiele lat nie mieliśmy my, Żydzi, kapłana ani ołtarza, i teraz my, synowie Izraela, nawracamy się do Pana Boga i szukamy przez wiarę tę Mesjasza, syna Dawidowego. Przyjąwszy wiarę chrześcijańską, mamy już kapłanów i ołtarze, więc muszą to już być ostatnie dni według tego proroka.

– Czy wiedział, że go niektórzy jego uczniowie mieli za Mesjasza? Czy to prawda, że siedząc na krześle i zażywając kaffę, i paląc fajkę, pozwalał, aby mu inni, płacząc i śpiewając, cześć oddawali? Że sam mówił: „Mój święty Ojciec”? Czemu pozwalał i nie bronił, by jego uczniowie nazywali go świętym Ojcem i Panem?

Ksiądz Śliwicki staje się coraz bardziej napastliwy, choć wcale nie podnosi głosu; zadaje pytania takim tonem, jakby za chwilę miał zerwać zasłonę i ujawnić przed światem jakąś straszliwą prawdę, więc napięcie na sali rośnie. Pyta teraz, dlaczego Jakub obrał sobie dwunastu uczniów. Jakub tłumaczy, że wcale nie było ich dwunastu, tylko czternastu i dwóch umarło.

– A dlaczego oni wszyscy wybrali sobie na chrzcie imiona apostołów? Że niby Frank jest w miejscu Pana naszego, Zbawcy?

Jakub się zapiera, że wcale nie, że imiona wzięli, jakie chcieli. Poza tym jest wśród nich też Franciszek.

– Boże uchowaj – tłumaczy spocony Moliwda. – Bo oni innych imion chrześcijańskich nie znają. Zresztą są dwaj Franciszkowie.

– Czy wie, że niektórzy z uczniów widzieli nad nim jakieś światło? Co mu na ten temat wiadomo?

Jakub mówi, że pierwszy raz to słyszy, a także nie wie, o co chodzi.

A teraz znowu pytania zadaje ksiądz Szembek:

– Czy przepowiedział przed czasem swoje więzienie w Lanckoruniu i w Kopyczyńcach, przyjazd żony swej na Podole, śmierć dziecka Piotra Jakubowskiego i jeszcze śmierć dwóch osób z rodziny Eliasza Wołowskiego, i nawet to tutaj swoje zatrzymanie, jak to zeznali świadkowie z poprzednich przesłuchań?

Przychodzi Moliwdzie do głowy, że Jakub próbuje się pomniejszyć, jakby nagle zrozumiał, że jego osoba jest za duża, za bardzo zwraca uwagę. I teraz gra – tak jak przedtem grał silnego, tak jak się przedtem panoszył, tak teraz wchodzi w nową rolę, niepostrzeżenie i niejako naturalnie staje się nic nieznaczącym podsądnym, grzecznym, spolegliwym, skłonnym do współpracy, pozbawionym i zębów, i pazurów, niczym jagnię. Zna go na tyle dobrze, że wie, iż Jakub jest bystrzejszy niż wszyscy oni tutaj razem wzięci, choć go biorą za głupiego, tak samo jak go przedtem za takiego brali Żydzi, a on sam miał jakieś szczególne upodobanie, żeby się ukrywać w małości, żeby się kryć w prostaczku. Kiedy to on mówił, że ledwie czytać umie?

Moliwda tłumaczy jego odpowiedź prawie dosłownie:

– Tak, przepowiedziałem aresztowanie w Lanckoruniu, ale już nie w Kopyczyńcach. Co zaś do mojej żony, tom sobie wyliczył po prostu, ile trzeba czasu mojemu posłańcowi, by do niej dotrzeć, i na pakowanie, i na jazdę, dlatego utrafiłem, że to będzie w środę. Dziecko Jakubowskiego urodziło się już słabowite i chore. Ale żebym śmierć kogo z rodziny Wołowskich Rohatyńskich miał przewidzieć, to tego nie pamiętam. Rodzina jest duża, to zawsze ktoś tam umiera. Rzeczywiście, prawdą jest, że modliłem się nad księgą i nagle powiedziałem głośno: za dwa tygodnie. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem, a ci, co te słowa słyszeli, od razu je więzieniem u bernardynów wytłumaczyli. To także przyznaję, że kiedy kto szczerze do wiary garnący się miał przyjechać, to mnie nos świerzbił z prawej strony, a jeżeli nieszczerze, to z lewej strony, tak to przeczuwałem.

Teraz śmieje się pod nosem szanowna komisja sądowa. Ksiądz Szembek i ojciec Pruchnicki, sekretarz, i ksiądz oficjał. Nie śmieje się tylko jezuita, ale wiadomo, myśli Moliwda, że oni nie mają poczucia humoru.

Ten pyta poważnie:

– Dlaczego kiedy kto przyjdzie do niego chory, to jakieś uroki na nim odprawia, palcem dotykając czoła i szepcząc zaklęcia? I co rozumie przez urok?

Wesołość wśród komisji ośmieliła trochę Jakuba. Moliwda przewiduje więc, że odtąd przesłuchiwany będzie już grał na obie strony, jako silny

i jako słaby, tak żeby nic nie było jasne, żeby każdy miał wrażenie, iż jego racje są sprzeczne i mętne.

– Przez urok rozumiem, kiedy kto na kogo złym okiem spojrzy. Odczyniałem te uroki na wszystkich, którzy tego potrzebowali. – Teraz Jakub przywołuje imiona tych, którzy umarli, żeby znowu swą siłę umniejszyć. Mówi: – Nad Werszkiem już ochrzczonym, co zmarł tu w Warszawie, i nad reb Mordkem, zwanym Mordechajem, który umarł jeszcze w Lublinie. Jakoś im nie pomogło.

Teraz śledczy przechodzą do Iwania, bardzo ich ten czas interesuje. Czy to prawda, pytają, iż w Iwaniu nakazywał, żeby nikt żadnej rzeczy własnej nie miał, żeby wszystko oddać do wspólnego używania? I jeszcze że gdy się kilkoro kłóci i w końcu zgodzą się na jedną myśl, to ta myśl jest od Boga? Skąd te pomysły brał?

Jakub jest zmęczony, minęło popołudnie, a on tylko o wodzie, w zatęchłym, niewietrzonym pomieszczeniu, mówi, że nie wie, że nie ma pojęcia. Trze czoło.

– Czy to prawda, że dzieci oddawać na wychowanie chrzestnym i pobożnym katolikom zakazał, i wszystkim kazał się trzymać razem? Czy to prawda? – czyta z kartki ksiądz Szembek. Widać, mają dokładne zeznania.

I jeszcze:

– Czy to prawda – pyta ksiądz – że jego uczniowie w swoich egzemplarzach Nowego Testamentu imię Jezusa zastępują imieniem Jakuba?

Jakub zaprzecza krótko. Stoi ze spuszczoną głową. Stracił rezon.

Po zakończonym przesłuchaniu Moliwda żegna się z nadspodziewanie chłodnym księdzem Śliwickim i milczącym Szembekiem, przechodzi obok Jakuba, nawet na niego nie patrząc.

Wie, że nie zaproszą go już na kolejne przesłuchania, nie ufają mu.

Wychodzi w mroźne warszawskie powietrze, zimny, drapieżny wiatr podwiewa mu kontusz, więc opatula się nim szczelnie i kieruje się w stronę Długiej, ale potem zdaje sobie sprawę, że boi się iść do Wołowskich, więc zawraca i wolnym krokiem wlecze się w kierunku rogatek przy kościele Trzech Krzyży. I tam właśnie dopada go mroczna,

lepka fala poczucia winy, toteż nie pozostaje mu nic innego, jak wejść do małej żydowskiej oberży i pić, popisując się przed szynkarką znajomością hebrajskiego.

Rano przynoszą mu list z kancelarii prymasa, że ma się stawić w południe. Wylewa na głowę wiadro zimnej wody, płucze usta wodą z octem. Staje twarzą do okna i próbuje się modlić, ale jest tak roztrzęsiony, że nie może znaleźć w sobie tego miejsca, z którego zazwyczaj wybijał się w górę jak rzucony w niebo kamyczek. Teraz wyraźnie czuje nad głową sufit. Wie, co się stanie, i zastanawia się, czy pozwolą mu odejść. Rzuca okiem na swój niewielki bagaż.

W pałacu prymasa przyjmuje Moliwdę jakiś zwykły ksiądz, nawet się nie przedstawia, prowadzi go w milczeniu do małej salki, gdzie są tylko stół i dwa krzesła, a na ścianie wisi ogromny krzyż z chudym, ukrzyżowanym Chrystusem. Ksiądz siada przed nim, składa dłonie jedna na drugiej i łagodnie mówi, nie zwracając się do nikogo konkretnego, że przeszłość imć Antoniego Kossakowskiego, zwanego Moliwdą, jest Kościołowi dobrze znana, zwłaszcza zaś ów heretycki czas spędzony w kolonii odszczepieńców na Wołoszczyźnie. Działalność filipowców jest także wiadoma i napawa prawowitych katolików wielkim obrzydzeniem. Rzeczpospolita nie jest krajem dla takich wynaturzeńców i wszelcy odstępcy od prawdziwej wiary powinni sobie znaleźć inne miejsce do życia. Znane są też grzechy imć Kossakowskiego z jego młodości; Kościół ma pamięć wieczną, nigdy nie zapomina. I mówi, mówi, jakby popisywał się swą wiedzą, a ta wiedza jest ogromna, a potem ksiądz otwiera szufladę i wyciąga stamtąd kilka kart papieru oraz buteleczkę z inkaustem. Wychodzi na chwilę, żeby przynieść pióro, i końcem palca sprawdza, czy dobrze naostrzone. Wspomina jednym słowem o Łowiczu. Moliwda jest tak przygnębiony, że przestaje go rozumieć. Kołaczą mu się jeszcze w głowie słowa księdza: magia, metempsychoza, incest, nienaturalne praktyki... i czuje się, jakby przygniótł go wielki ciężar.

Potem ksiądz każe Moliwdzie pisać. Mówi, że czas ma nieograniczony. Wszystko, co wie o Jakubie Franku, a czego inni mogliby nie wiedzieć. I Moliwda pisze.

23

Jak się poluje u Hieronima Floriana Radziwiłła

Aż do 2 lutego, do Matki Boskiej Gromnicznej, panuje w kraju świąteczny nastrój. Wietrzą się na mrozie stroje balowe, marszczone suknie na rogówki, jedwabne żupany, eleganckie sutanny. Nawet w chłopskich komorach rozwieszono świąteczne ubrania, obszywane wstążkami, pięknie haftowane. W spiżarniach stoją garnce miodu i smalcu, cicho kiszą się ogórki w wielkich, ponurych beczkach, ożywają dopiero w ręce jakiegoś niecierpliwca – wtedy, śliskie, wymykają się z niej wprost na podłogę. Na drągach wiszą pęta kiełbasy, podwędzane szynki i połcie słoniny, z której jakiś zuch codziennie wycina po kryjomu plastry. Jeszcze miesiąc temu były żywymi zwierzętami, ufnymi, pożywiającymi się w przytulnych stajniach i oborach, nieświadomymi, że nie doczekają Bożego Narodzenia. W workach orzechów buszują myszy, zasadzają się na nie leniwe i tłuste o tej porze roku koty, lecz do konfrontacji rzadko dochodzi; myszy są sprytniejsze. Zapach suszonych jabłek i śliwek wypełnia domy. Z drzwi otworzonych w mroźną noc bucha muzyka, niczym kłęby pary z ludzkich oddechów.

Prymas Łubieński, człowiek w swej istocie próżny i dziecinny, zaproszony przez Radziwiłła na polowanie, zabiera ze sobą jednego ze swoich sekretarzy, Antoniego Kossakowskiego zwanego Moliwdą. Siedzą w jednym powozie z jego doradcą Młodzianowskim, ponieważ prymas nigdy nie przestaje pracować. Moliwda tego człowieka nie szanuje ani nie lubi, już się na wiele rzeczy napatrzył w pałacu w Łowiczu. Stara się robić jakieś notatki, ale trzęsący się na zmrożonych koleinach powóz na to nie pozwala.

Milczą przez dłuższą chwilę, bo prymas obserwuje przez okno mijający ich rozbawiony i hałaśliwy kulig, w końcu jednak Moliwda zbiera się na odwagę i mówi:

– Wasza Ekscelencjo, czy ja mógłbym upraszać o zwolnienie mnie...

Teraz biskupia kareta przejeżdża przez drewniany mostek, co przypomina trzęsienie ziemi.

– Tak, wiem, czego chcesz – odzywa się prymas Łubieński i zawiesza głos. Po chwili, która wydaje się Moliwdzie trwać wiecznie, dodaje: – Boisz się. Nie widzę w tym nic złego, żeś był ich tłumaczem. Może nawet lepiej, bo więcej wiesz. Wiesz, panie Kossakowski, mówią o tobie dziwne rzeczy. Żeś z niejednego pieca chleb jadł. I żeś był figurą znaczną u heretyków, prawda to?

– Wasza Ekscelencjo, to takie młodzieńcze wybryki. Miałem gorącą głowę, lecz z czasem do rozumu doszedłem. To o heretykach to plotki. Znam wiele innych historii, ale o heretykach – nie.

– To opowiedz jaką, podróż nam się skróci – rzecze prymas i opiera głowę o wyścielane materią oparcie.

Moliwda przez chwilę myśli, że przyszedł czas, by opowiedzieć historię swojego życia, pozbyć się od dawna noszonego ciężaru i zacząć tego mroźnego dnia jakieś nowe życie. I zdaje sobie sprawę, że wcisnęła go na tę posadę jakimiś swoimi wpływami Kossakowska, która Łubieńskiego nie lubi, uważając go za wroga interesu polskiego oraz człowieka niegodnego. Pewnie żeby mieć we wrogim stronnictwie swojego zaufanego człowieka. Obiecała za to wyciszać plotki kręcące się wokół Moliwdy niczym aureola.

Nie, Moliwda nigdy nie opowie tym dwom ludziom o tym, co go w istocie przywiodło do miejsca, w którym znalazł się teraz. Opowiada im więc, jak to go z przygodnymi współpasażerami burza na morzu spotkała i musieli się przywiązywać do masztów, żeby ich fale nie porwały... Jak to morze wyrzuciło go na brzeg i znalazła go piękna księżniczka, córka króla wyspy, jak więziono go w jaskini i podawano mu jedzenie w koszyku na długim drągu, bano się bowiem jego rudej brody... Jasne jest, że prymas nigdy nie widział żadnego morza ani plaży, ani księżniczki, ani zapewne żadnej jaskini, bo jego wyobraźnia za opowieścią nie nadąża i ogarnia go znudzenie, więc zaczyna drzemać. Moliwda się uspokaja. Ale przedwcześnie.

Wieczorem, na postoju, gdy zjedli już kolację, każe mu prymas opowiadać o filipowcach i bogomiłach. Co też Moliwda, złapany w sidła, niechętnie i ogólnikowo czyni.

– Ile się to człowiek dowiedzieć jeszcze może. A w co wierzymy, to się tylko możemy dowiedzieć z herezji – podsumowuje prymas wykłady Moliwdy, z uśmiechem zadowolonego dziecka, że tak mu się to dobrze powiedziało.

Hieronim Florian Radziwiłł od miesięcy przygotowywał się na ten dzień. Setki chłopów w jego dobrach na Litwie łapały wszelkiego rodzaju zwierzynę: lisy, dziki, wilki, niedźwiedzie, łosie i sarny pakowano do wielkich klatek i saniami wieziono do Warszawy. Nad Wisłą kazał na wielkim polu nasadzić małych choinek i w ten sposób powstał sztuczny las o prostych dróżkach. W samym jego środku stanęło eleganckie pomieszczenie dla znamienitych gości i przyjaciół króla Augusta – dwupiętrowe, z zewnątrz obite zielonym suknem, od środka zaś wyłożone skórami czarnych lisów. Dalej, za ogrodzeniem, postawiono trybuny dla widzów.

Król z synami i ze świtą, w której pysznił się obok innych purpuratów też prymas Łubieński, weszli do tego pomieszczenia, a szlachta i dworzanie rozsiedli się na trybunach, żeby wszystko dobrze widzieć. Brühl z żoną spóźniają się odrobinę, gdy już zaczynają naganiać. W mroźnym powietrzu wszystkim jest wesoło, a to za sprawą miodu i wina grzanego z korzeniami, hojnie rozdawanych przez służących. Moliwda ukradkiem przygląda się królowi, widzi go pierwszy raz. August jest duży, gruby, pewny siebie i zaróżowiony od mrozu. Jego miękki, dokładnie wygolony królewski podbródek wydaje się delikatny jak u wielkiego niemowlęcia. Przy nim jego synowie to mikrusy. Pije, wychylając duszkiem cały puchar, odchyla przy tym głowę do tyłu, a potem polskim zwyczajem strzepuje ostatnie krople na ziemię. Moliwda nie może oderwać wzroku od jego delikatnego, drżącego białego podgardla.

Na sygnał trąbki zaczęto wypuszczać zwierzynę z klatek. Oszołomione, zziębnięte zwierzęta, od dawna bez ruchu, ledwie żywe, stoją przy klatkach, nie wiedząc, przed czym uciekać. Wtedy spuszczają

na nie psy i robi się tumult straszliwy: wilki rzucają się na łosie, a niedźwiedzie na dziki, psy zaś na niedźwiedzie, wszystko na oczach króla, który do nich strzela.

Moliwda przepycha się do tyłu; dochodzi do stołów, gdzie rozstawiono przekąski, i prosi o wódkę. Nalewają mu kieliszek, potem drugi i trzeci. Gdy pokaz się kończy, jest dobrze wstawiony, przez co za rozmowny. Król się ponoć nadspodziewanie cieszył z tej rozrywki i zapewne zasług sobie tym pan Radziwiłł przyczynił, mówią wszyscy. A jako że nie jest częstym gościem w Warszawie, tym bardziej się go za to ceni. Gruby szlachcic w futrzanej czapie z piórem, ze wschodnim akcentem w mowie, opowiada Moliwdzie, że pan Radziwiłł jest człowiekiem wielkiej fantazji i ma w zwyczaju za pomocą specjalnie skonstruowanej machiny wystrzeliwać zwierzęta w powietrze jak armatnie kule – strzela się do nich, jak lecą. Tak było w Słucku w pamiętnym z powodu wielkiej zimy roku 1755, gdy strzelano do latających w ten sposób lisów. Dla dzików zaś zrobiono specjalny szpaler, u którego końca znajdowała się fosa z wodą; zaganiano dziki w ten szpaler i szczuto je psami, a gdy przerażone uciekały, wpadały wprost do wody, gdzie bezradnie pływając, stawały się łatwym celem dla strzelców. Wzbudzało to wielką wesołość wśród zaproszonych gości, którą zapewne podzielał opowiadający.

Tutaj mieli za to po południu inną atrakcję. Wszyscy myśliwi, już podchmieleni, zebrali się wokół specjalnej areny – wypuszczono na nią młode dziki, które miały przymocowane do grzbietów koty, jak jeźdźców. Przeciw nim poszła sfora psów. Bardzo to wszystkich cieszyło, tak że nabrali dobrego humoru przed wieńczącym polowanie balem.

Moliwda wraca sam. Jego Ekscelencja Prymas Rzeczypospolitej został jeszcze w gościnie u magnata. Sekretarza ponaglają jednak ważne sprawy Kościoła. Dociera do Warszawy, skąd ma zabrać listy do Łowicza, ale zajmuje mu to zaledwie trzy godziny. Nawet nie zauważa, jak stolica wygląda w taki ponury zimowy dzień. W ogóle nie patrzy. No, może widzi kątem oka ulice, szerokie i błotniste; trzeba uważać na końskie odchody parujące w chłodzie tego dziwnego powietrza, które

wydaje się Moliwdzie tak obce, że dłużej nie mógłby nim oddychać. Czuć je jakimś zimnym stepem, wiatrem. Zdaje sobie sprawę, że jest skurczony w sobie, czy to z racji zimna, czy wypitego alkoholu, dyszy raczej, niż oddycha. Po południu rusza do Łowicza. Jedzie konno bez wytchnienia.

Za Warszawą niebo jest szare, niskie, horyzont rozległy, płaski. Wydaje się, że ziemia już dłużej nie utrzyma ciężaru nieba. Na rozjeżdżonej drodze leży mokry śnieg, który już skuwa mróz. Jest późne popołudnie, zaraz się ściemni, dlatego przed karczmą coraz więcej koni. Zapach końskiego moczu, łajna i potu miesza się z wonią, który wydobywa się z krzywego komina karczmy, ale przede wszystkim bucha z otwartych drzwi. Stoją przy nich dwie kobiety w czerwonych spódnicach i krótkich kożuszkach zarzuconych na białe odświętne koszule, przyglądają się bacznie każdemu, kto wchodzi, pewnie kogoś szukają. Jedna, ta młodsza i bardziej pulchna, ogania się od natarczywych zalotów podpitego już mężczyzny w burej sukmanie.

Sama karczma to budynek z bali drewnianych pobielonych wapnem, niski, o kilku małych okienkach, przykryty trzcinową strzechą. Na ławie pod płotem przesiadują baby, które z nudów przychodzą tutaj popatrzeć na wielki świat. Owinięte w kraciaste wełniane chusty, o zmarzniętych czerwonych nosach, siedzą w milczeniu i oglądają uważnie, bez sympatii, każdego, kto przybywa. Czasem półsłówkiem skomentują jakieś drobne wydarzenie. Nagle dwie kobiety w kożuszkach dostrzegają kogoś i zaczyna się szarpanina, krzyki. Może to pijany mąż jednej z nich, a może narzeczony, który uciekł – mężczyzna próbuje wyrwać się kobietom, lecz po chwili, uspokojony, daje się prowadzić po drodze w kierunku wsi. Zlodowaciały śnieg kruszy się pod kopytami koni, które też patrzą z nadzieją na zadymione wejście do karczmy, ale stamtąd dochodzą tylko przytłumione dźwięki instrumentów. Najbardziej melancholijny dźwięk świata, myśli Moliwda: muzyka słyszana z dala, okaleczona przez drewniane ściany, gwar ludzki, skrzypienie lodu – sprowadzona do głuchych, samotnych uderzeń bębna. Za chwilę dołączy do tego dźwięk odległych dzwonów z miasteczka i zaleje całą okolicę niedającą się znieść rozpaczą.

Resztki. O trzech drogach opowieści
i o tym, że opowiadanie bywa uczynkiem

Nachman, czyli Piotr Jakubowski, od wielu dni siedzi w swoim malutkim pokoiku i pisze. W mieszkaniu, które wynajęli z Wajgełe na Solcu, jest przeraźliwie zimno i wszędzie stąd daleko. Wajgełe nie doszła do siebie po śmierci dziecka, nie odzywa się całe dnie. Nikt ich nie odwiedza i oni nie chodzą do nikogo. Zmierzch zapada szybko, ma kolor rdzy. Jakubowski zbiera wosk i ugniata z resztek świec nowe świeczki. Zapisane kartki spadają na podłogę.

...rozlewa. Każda sytuacja wydaje mi się nieskończona, kiedy usiłuję ją opisać, z bezradności pióro wypada mi z ręki. Opis sytuacji nigdy nie wyczerpuje jej do końca, zawsze coś zostaje nieopisane. Kiedy piszę, każdy szczegół odsyła mnie do innego i potem ten następny znów do innego, do jakiegoś znaku czy gestu, i muszę wciąż dokonywać wyboru, za czym podążać, opowiadając tę historię, na czym zatrzymywać mój wewnętrzny wzrok, ten sam potężny zmysł, który potrafi wywołać minione obrazy.

Więc pisząc, co chwila staję na rozdrożu, jak głupi Iwan z bajek, które tak chętnie opowiadał nam Jakub w Iwaniu. I mam przed oczyma te rozstaje, rozwidlone drogi, z których jedna, ta najprostsza, środkowa, jest dla głupców, druga, z prawej, dla zadufanych w sobie, trzecia zaś dla odważnych, albo nawet dla straceńców – ta będzie pełna pułapek, wybojów, złych czarów i fatalnych zbiegów okoliczności.

Zdarza mi się, że czasem naturalnie wybieram tę prostą drogę, tę pośrodku, i naiwnie zapominam o całym skomplikowaniu tego, co opisuję, ufam tak zwanym faktom, zdarzeniom, tak jakbym je sam

sobie opowiadał, jakby moje oczy były jedynymi, które je dostrzegają, jakby nie istniały żadne wahanie ani niepewność, a rzeczy były takie, jakie zdają się być (nawet gdy na nie nie patrzymy, o czym żeśmy tak żywo dyskutowali jeszcze w Smyrnie z Moliwdą). Wtedy piszę: „Jakub powiedział”, jakby słyszały to nie moje uszy, ale uszy Boga – tak właśnie Jakub powiedział i tak było. Opisuję miejsce, jakby ono także i innym zdawało się takie jak mnie, jakby takie b y ł o. Ufam mojej pamięci i zapisując to, co z niej pochodzi, czynię z tego słabego narzędzia młot, który ma wykuć dzwon. Idąc tą drogą, wierzę, że to, co opisuję, zdarzyło się naprawdę i bez żadnych wątpliwości. A nawet – że nie istniała nigdy możliwość zajścia czego innego.

Środkowa prosta droga jest fałszem.

Gdy mnie nachodzi takie zwątpienie, wybieram drogę po prawej. Teraz na odwrót – sam jestem sterem i okrętem, skupiam się więc na moich własnych doznaniach, jakby świat przed moimi oczami nie istniał, lecz był przez moje zmysły formowany. I wbrew temu, czego uczył mnie reb Mordke, dmucham w swój własny ogień i rozżarzam węgle mojego ja, o którym należałoby zapomnieć i którego popioły powinienem raczej puszczać z wiatrem – tymczasem ja go rozpalam w wielki płomień. I cóż wtedy mam? Ja, ja, ja – pożałowania godny stan więźnia zamkniętego przez przypadek w gabinecie luster, jakie to czasem pokazują za pieniądze Cyganie. Wtedy to więcej jest o mnie samym niż o Jakubie, jego słowa i czyny zostają przepuszczone przez sito mojej splątanej marności.

Prawa droga – to zaiste żałosny stan.

Dlatego w desperacji, ale i z nadzieją rzucam się w lewo, w czym powtarzam wybór głupiego Iwana i tak jak on daję się prowadzić przypadkowi i głosom pomocników. Nikt, kto by tego

nie zrobił, nie zaufał głosom na zewnątrz, nie przeżyłby tego szaleństwa lewej drogi i natychmiast stałby się ofiarą chaosu. Uznając siebie za drobinę, którą targają większe siły, uznając siebie za łódź na morzu, którą miotają fale (jak wtedy, gdyśmy z Jakubem płynęli do Smyrny), porzucając swoje wyobrażenie o własnej mocy i oddając się ufnie komuś lub czemuś we władanie, staję się naprawdę głupim Iwanem. Ale przecież to on zdobywa wszystkie księżniczki i królestwa świata i wyprowadza w pole najmocniejszych.

Tak i ja daję się prowadzić mojej własnej Ręce, mojej własnej Głowie, Głosom, Duchom Zmarłych, Bogu, Wielkiej Pannie, Literom, Sefirom. Poruszam się zdanie po zdaniu niczym ślepy po sznurku i choć nie wiem, co jest na końcu, cierpliwie brnę dalej, nie pytając o cenę, którą będę musiał zapłacić, ani tym bardziej o nagrodę. Moją przyjaciółką jest ta chwila, ta nabrzmiała godzina, najdroższy mi czas, kiedy pojawia się znikąd nieoczekiwana łatwość pisania i wtedy wszystko wydaje się cudownie w y r a ż a l n e. Co to za błogi stan! Czuję się wtedy bezpiecznie, a świat cały staje się kołyską, w której ułożyła mnie ona, Szechina, i teraz pochyla się nade mną niczym matka nad niemowlęciem.

Na lewą drogę zasłużył sobie tylko ten, kto rozumie to, co powtarzał reb Mordke – że świat sam domaga się opowiedzenia, dopiero wtedy istnieje naprawdę, dopiero wtedy w pełni rozkwita. Lecz także to, iż opowiadaniem świata jest jego zmienianie.

Dlatego Bóg stworzył litery alfabetu, byśmy mieli możliwość opowiedzieć mu to, co sam stworzył. Reb Mordke zawsze przy tym chichotał. „Bóg jest ślepcem. Nie wiedziałeś o tym? – mówił. – Stworzył nas, żebyśmy byli jego przewodnikami, jego pięcioma zmysłami”. Chichotał tak długo, aż zaczynał kaszleć od dymu.

W dniu 17 lutego 1760 roku wezwali mnie na przesłuchanie i myślałem już, że i ja zniknę jak Jakub. Całą noc nie spałem i nie umiałem się ubrać na tę inkwizycję, jakby teraz, gdy Jakub nas opuścił, moje ciało lgnęło do tamtych starych żydowskich ubiorów. Pamiętam, żem wyszedł ubrany po żydowsku w swoje stare rzeczy i zawróciłem z ulicy, żeby się przebrać w nijaki strój z czarnej wełny, jakie tu nosiliśmy, ni nasz, ni cudzy, krótki, tak że od razu zaczęły mi marznąć łydki.

Głupi stary Żyd przebrany za paniczyka, mówiły oczy Wajgełe. Jej twarz pełna była powątpiewania (a może nawet pogardy), policzki czerwone, z bliska widać było na nich siateczki żyłek. Jej wargi, kiedyś takie pełne, radosne, teraz zastygły w grymasie niezadowolenia. Wajgełe wie, że wszystko, co stało się złego, stało się przeze mnie.

Idąc z Matuszewskim, który mnie odprowadzał, myślałem, żem jeszcze takiego miasta nie widział jak ta Warszawa – szerokie, pustawe ulice, bryły zmrożonego błota tworzące grudy nie do przejścia, a do przeskoczenia chyba, ludzkie postaci podobne do tłumoków, z głowami wrośniętymi w futrzane kołnierze. Między nimi błyszczące od lakieru powozy, z ozdobnymi inicjałami ich właścicieli, herby, pióra, medaliony. Próżność nad próżnościami w tym świecie z lodu. Drżałem cały z zimna, z oczu ciekły mi łzy i nie wiadomo było, czy to ze zdenerwowania, czy od mrozu.

Był wczesny poranek, tak że wozy z drewnem do palenia, zaprzęgnięte w ciężkie, powolne konie, stały u bram domostw, a okutani chłopi wnosili drewno powiązane sznurkiem w pakunki i układali je w stosy. Jakiś dobrze ubrany Ormianin otwierał skład z oszkloną wystawą – dojrzałem swoje odbicie w tej szybie, i aż mnie zabolało, tak bowiem żałośnie wyglądałem. Kim byłem i co

się ze mną stało? Dokąd miałem pójść i co mówić? O co mnie będą pytać i w jakim języku im odpowiem?

Nagle mi się zdało, że te dekoracje, które kiedyś na chwilę ujrzałem jako cały świat, zetlały i postarzały się tak, że już nikt dziś nie da się na nie nabrać. Oto iluzja bardzo niedoskonała, szkaradna i kaleka. Oto żyjemy w grze Chai, jesteśmy figurkami z chleba ulepionymi przez jej zwinne palce. Poruszamy się po okręgach wyrysowanych na planszy, spotykając siebie, a każdy dla każdego jest zadaniem i wyzwaniem. Teraz zaś zbliżamy się do miejsca decydującego, jeden rzut kostką i zyskamy lub stracimy wszystko.

Kim stanie się Jakub, gdy gra pozwoli mu wygrać w tym miejscu? Stanie się jednym z owych pewnych siebie, zarozumiałych ludzi, którzy rozbijają się po ulicach tego północnego miasta powozami. Będzie żył jak oni, pusto i niemrawo. Duch opuści go ze wstydem, nie tak widocznie, jak w niego wszedł, z pełnym rozczarowania westchnieniem. Albo wymknie się z jego ciała jak bździna, jak beknięcie. Jakub, mój ukochany Jakub, stanie się pożałowania godnym przechrztą i w końcu jego dzieciom uda się zdobyć za pieniądze szlachectwo. Cała nasza droga dotąd przebyta straci sens. Utkniemy tutaj, na postoju zaledwie, jak więźniowie. Pomylimy nasze wielkie cele z byle jakim przystankiem po drodze.

Jak mówić, żeby nie powiedzieć? W jaki rodzaj czujności się uzbroić, żeby nie dać się zwieść grze, gładkim słowom? Uczyliśmy się tego, i on nas uczył.

Przygotowałem się dobrze. Zostawiłem u Marianny Wołowskiej wszystkie pieniądze i trochę cennych rzeczy dla syna, uporządkowałem książki, a moje pisma przewiązałem sznurkiem. Bóg mi świadkiem, żem się nie bał, czułem się nawet uroczyście,

bom wiedział od samego początku, kiedym ten plan umyślił, że robię dobrze i że robię to dla Jakuba, chociażby mnie nawet przeklął i nigdy przed swoje oblicze nie dopuścił.

Wiedziałem to coraz lepiej, ale bardzo mnie to męczyło, w nocy zaś nie mogłem spać, tak bardzo powracające wspomnienia burzyły mi krew. Zdawało mi się bowiem, że nagłe poważanie zmieniło Jakuba nie do poznania, że bardziej zaczął się troszczyć o ubiór i powóz niż o wielką myśl, którą miał do przekazania innym. Zajmowały go zakupy i pachnidła. Wolał chrześcijańskiego fryzjera, żeby mu golił brodę i przystrzygał włosy, wiązał sobie na szyi perfumowaną chustkę i nazywał ją halsztukiem. Wieczorami kobiety wmasowywały mu w dłonie olejek, bo skarżył się, że pierzchną mu one od mrozu. Uganiał się za kobietami, robił im prezenty ze wspólnej naszej kasy, na cośmy już z Osmanem w Iwaniu nieco sarkali. Przemiana owa zaszła po tym, jak zaczął bywać u biskupów i z nimi się z pomocą Moliwdy targować. Przypominało to handel, jak w Krajowie w kantorze, jak w Izmierzu, gdy chodził z perłą albo drogim kamieniem na umówione spotkania, by je sprzedać. Wiele razy mu towarzyszyłem i wiem, że niczym się to nie różniło od tego handlu tutaj. Tam siadał przy stole, z jedwabnego woreczka wyciągał klejnot, kładł go na suknie i jeszcze tak ustawiał świece, by padało na niego najlepsze światło – w ten sposób wydobywało piękno towaru. A tu, dziś, myśmy byli towarem.

Gdy tak szedłem przez to zmarznięte miasto, przypomniał mi się tamten szczególny wieczór w Salonikach. Wtedy to po raz pierwszy duch zstąpił na Jakuba. Jakub był cały spocony, miał nieprzytomne z przerażenia oczy, a powietrze wokół nas stało się tak gęste, że zdawało mi się, iż się poruszamy wolniej i mówimy wolniej, jakby w jakim miodzie zawieszeni. I wszystko wtedy było

p r a w d z i w e; tak prawdziwe, że aż świat bolał cały, czuło się bowiem, jaki jest niezręczny i odległy od Boga.

I tam wtedy, młodzi i nieopierzeni, byliśmy na swoim miejscu; przemawiał do nas Bóg.

A tu teraz wszystko stało się n i e p r a w d z i w e, całe to miasto – zaledwie namalowane na desce, tak jak się maluje tło dla kukiełek w jarmarkowych teatrzykach. I my odmienieni, jakby rzucono na nas zły czar.

Szedłem ulicami i miałem wrażenie, że wszystko na mnie patrzy, i wiedziałem, że muszę dokonać tego, co zamierzyłem, żeby ratować i Jakuba, i nas wszystkich, i naszą drogę do zbawienia, tutaj bowiem, w tym płaskim kraju, zaczęła się ona wić niepokojąco, zawracać i mataczyć.

Myślę, że była jeszcze jedna osoba w naszej chawurze, która wiedziała, co chcę zrobić. To była Chaja Szor, teraz Rudnicka czy Lanckorońska, trudno mi było spamiętać te wszystkie nowe nazwiska. Czułem wyraźnie, że mnie wspiera, że z daleka jest ze mną i dobrze rozumie moje intencje.

Najpierw przeczytano nam zeznania Jakuba. Długo to trwało i było po polsku, więc nie wszystko rozumieliśmy. Odpowiedzi Jakuba brzmiały w urzędowej mowie sztucznie i nieprawdziwie. Potem jeden z księży uroczyście nas ostrzegł, żebyśmy nie słuchali „bajek” Jakuba Franka ani nie wierzyli jego opowieściom o proroku Eliaszu i innych sprawach, których nie chce już wymieniać, żeby im nie przydawać powagi.

Sześciu podsądnych, dorosłych mężczyzn strofował drobny ksiądz... Na koniec zrobił nad nami w powietrzu znak krzyża

i wtedy poczułem się Judaszem – musiałem bowiem wziąć w swoje ręce sprawę, której inni się brzydzą.

Poszedłem na przesłuchanie pierwszy. Musiałem tę prawdę prześladowcom naszym przedstawić, wiedząc dobrze, co się stanie. Mesjasz ma być uwięziony i prześladowany. Tak jest powiedziane i tak stać się musi. Mesjasz winien upaść w najniższą sferę, najniższą z możliwych.

Zaczęli od Smyrny. Mówiłem niechętnie, musieli ze mnie wiele wyciągać, ale i to było częścią planu. Udawałem takiego, co lubi się chwalić, mieli mnie za głupiego zarozumialca. Ale mówiłem prawdę. Nie umiałbym kłamać w tej sprawie. W innych – owszem; kłamstwo przydaje się w interesach, ale tutaj kłamać nie mogłem. Starałem się opowiedzieć jak najmniej, ale tak, żeby zrobić na nich wrażenie. Nie mówiłem za dużo, żeby nas samych ochronić. Powiedziałem im o ruach ha-kodesz, zesłaniu Świętego Ducha, o świetle, jakie widywaliśmy nad głową Jakuba, o przepowiadaniu śmierci, o aureoli, o Antychryście, którego spotkał w Salonikach, o bliskim końcu świata. Byli grzeczni i nawet przestali zadawać pytania. Mówiłem rzeczowo i konkretnie, nawet gdy zeszło na sprawy cielesne, nie wahałem się odsłonić czegokolwiek. Słychać było tylko mój głos i skrzypienie piór.

Kiedy skończyłem i wychodziłem z sali, w drzwiach minąłem się ze Szlomem. Tylko rzuciliśmy na siebie krótkie spojrzenie. Czułem wielką ulgę i jednocześnie smutek tak ogromny, żem usiadł wprost na ulicy, pod murem, i zacząłem szlochać. I otrzeźwiło mnie dopiero to, że jakiś przechodzień rzucił mi na podołek grosika.

Chana co chwilę posyła sprawdzić, czy nie przyszła jaka poczta.

Nie przyszła.

Nie ma znikąd pomocy i jej opór wobec dobrodziejki pozbawiony jest teraz sensu. Pani Kossakowska już jej przygotowała i suknię, i buty, tak samo jak i małej Awaczy. Chrzest zapowiedziano na 15 lutego.

Chana napisała do ojca do Giurgiu, zaraz gdy przyszła wiadomość o uwięzieniu Jakuba. Napisała w prostych słowach, że sąd biskupi na podstawie przesłuchań jej męża i – a może przede wszystkim – jego wyznawców uznał Jakuba za winnego podawania się za Mesjasza i najwyższy rangą dostojnik kościelny w Polsce, czyli prymas, wydał wyrok skazujący go na karę dożywotniego więzienia w częstochowskiej twierdzy, czego kwestionować nikt nie jest w stanie.

> Mnie się to wszystko wydaje szalone. Bo gdyby on taki heretyk był, za jakiego go uznano, to jakże to w najświętszym sanktuarium trzymać by go mieli? Przy ich największych terafim? Tego pojąć nie umiem i nie chcę. Ojcze, co mam robić?

Odpowiedź przyszła po dwóch tygodniach, czyli najszybciej, jak to było możliwe. Więc jednak listy dochodzą, tylko nie od Jakuba. Czytała ją, kiedy wreszcie została sama, odwrócona do ściany, płacząc. Było tam napisane:

> Chano, rozważ w sercu, co możesz, a czego nie możesz zrobić, bo narazisz się sama i narazisz swoje dzieci. Bądź – jako Cię uczyłem – jak najmądrzejsze zwierzę, które widzi to, czego inni nie widzą, i słyszy to, czego inni nie słyszą. Od dzieciństwa imponowałaś wszystkim swoją rozwagą.

Dalej ojciec zapewnia ją, że w każdej chwili przyjmą ją z otwartymi ramionami.

Lecz Chanie pozostaje w pamięci pierwsze zdanie tego listu: „Chano, rozważ w sercu”.

Czuje te słowa jak fizyczny ciężar, gdzieś pod biustem, po lewej stronie.

Chana ma dwadzieścia dwa lata, dwoje dzieci, schudła, zmarniała. Skóra i kości. Próbuje przez tłumacza negocjować z Kossakowską, ale wygląda na to, że klamka już zapadła. Niby jest wolna, a czuje się jak w więzieniu. Patrzy przez okno na szarobiały pejzaż, nagi sad, żałosny i jałowy, i rozumie, że nawet gdyby stąd wyszła, to i tak ten sad i pola, i rzadka sieć dróg, i brody przez rzeki, i nawet niebo, i sama ziemia są jej więzieniem. Dobrze, że są przy niej Wittel Matuszewska i Pesełe Pawłowska; Kossakowska traktuje jedną jako sekretarkę, drugą jako pokojówkę i fuka na nie zupełnie tak samo jak na swoją służbę.

Z samego rana 19 lutego Chana czeka w uroczystym stroju, jakby mieli ją rzucić na pożarcie smokowi. A to jest wtorek, zwykły dzień, zimny i ponury. Służba krząta się po domu, dziewczyny rozpalają w kaflowych piecach, chichocząc i nawołując się. Szczękają metalowe drzwiczki. Chłód jest wilgotny i lepki, cuchnie popiołem. Awacza popłakuje, chyba ma gorączkę, czuje niepokój matki, śledzi ją wzrokiem znad drewnianej laleczki, którą rozbiera i ubiera. Ta, którą dostała w Boże Narodzenie, usadzona jest na jej łóżku i dziewczynka prawie jej nie dotyka.

Chana patrzy w okno, podjeżdża już kareta kasztelanowej, kremowa, z herbem Potockich na drzwiczkach, ta, która tak bardzo podoba się Awaczy, że wszędzie by chciała nią jeździć. Chana odwraca od niej wzrok. Masuje sobie ramiona, bo piękna suknia, którą dostała od Kossakowskiej na chrzest, ma rękawy z cienkiej gazy. Szuka w kufrze ciepłego tureckiego szala w kolorze ciemnej czerwieni i nim się otula. A szal pachnie domem w Giurgiu – suchym, popękanym od słońca drewnem i rodzynkami. Chanie napływają natychmiast łzy do oczu i gwałtownie odwraca się od córki, żeby ta nie widziała, że matka płacze. Zaraz wejdą po nią dziewczęta z płaszczem i będzie musiała z nimi zejść. Dlatego szybko próbuje się modlić: Dio mio Baruchja, Panie nasz, Panno Świetlista... Sama nie wie, co ma mówić w takiej modlitwie. Co ojciec jej przykazywał? Przypomina sobie niezrozumiałe

słowa, jedno po drugim. Serce zaczyna jej szybko bić i wie, że musi natychmiast coś zrobić.

Kiedy otwierają się drzwi, Chana pada na podłogę zemdlona, a z nosa zaczyna jej lecieć krew. Dziewczęta z krzykiem podbiegają do niej i próbują ją cucić.

Modlitwa została więc wysłuchana. Chrzest musi zostać przesunięty.

V. Księga Metalu i Siarki

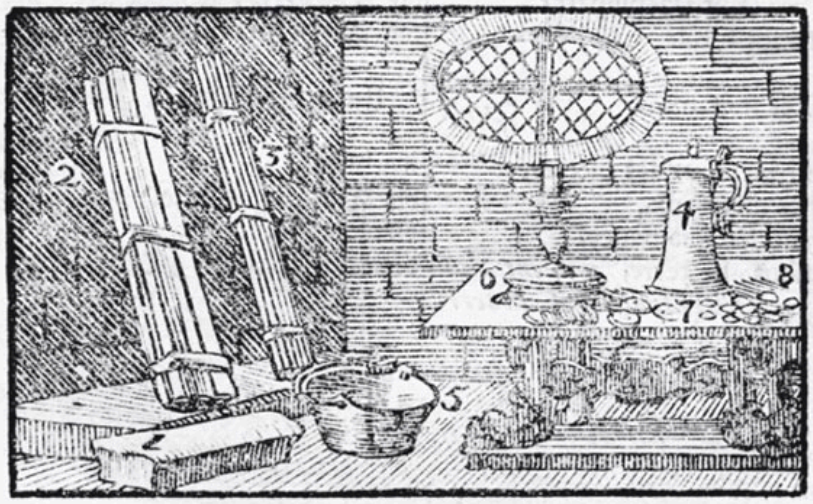

Plumbum 1 n. 2. eſt molle et grave	Ołow 1 ieſt miękki i ciężki.	mollis, c. 3. e, n. 3. miękki, a, e. gravis, c. 3. e, n. 3. ciężki, a, e.
Ferrum 2 n. 2. eſt durum; et dúrior *chalybs*, 3 m. 3.	Zelazo 2 twarde, á ieſzcze twardſza ſtal. 3	durus, a, um, twardy, a, e. durior, c. 3. us, n. 3. twardſzy, a, e.

Faci-

24

Machina mesjańska, jak działa

Korzyścią ze stanu, w jakim znalazła się Jenta, jest między innymi to, że teraz rozumie, jak działa machina mesjańska. Jenta widzi świat z góry, ciemny, poznaczony tylko maleńkimi iskrami światła – to pojedyncze domy. Słabnąca łuna na zachodzie nieba podkreśla świat czerwoną kreską. Wije się ciemna droga, obok niej stalowo błyszczy nurt rzeki. Drogą porusza się pojazd, mała kropka, prawie go nie widać, głuchy łomot rozchodzi się falami w ciemnym, gęstym powietrzu, gdy powóz mija drewniany mostek i dalej – młyn. Więc machina mesjańska jest jak ten młyn, który stoi nad rzeką. Ciemna woda obraca wielkie młyńskie koła, równomiernie, bez względu na pogodę, powoli i systematycznie. Człowiek przy młyńskich kołach wydaje się nie mieć żadnego znaczenia, jego ruchy są przypadkowe i chaotyczne. Człowiek się miota, maszyna działa. Ruch kół przenosi siłę na kamienne młyńskie kręgi, które mielą ziarno. Wszystko, co tam wpadnie, zostanie starte na pył.

Tak i wyjście z niewoli wymaga tragicznych poświęceń. A Mesjasz sam musi zejść najniżej, do tych beznamiętnych mechanizmów świata, gdzie uwięzione zostały rozproszone w mrokach iskry świętości. Tam gdzie ciemność jest największa i największe poniżenie. Mesjasz będzie zbierał iskry światła, więc którędy przejdzie, zostawi za sobą jeszcze większą ciemność. Bóg zesłał go z wyżyn w poniżenie, w otchłań świata, gdzie potężne węże będą z niego drwić, pytając złośliwie: „Gdzież jest teraz ten twój Bóg? Co się z nim stało? I dlaczego ci nie pomoże, biedaku?”. Mesjasz musi pozostać głuchy na te wredne zaczepki, stąpać po wężach, popełnić najgorsze czyny, zapomnieć, kim jest, stać się prostakiem i głupcem, wejść we wszystkie fałszywe religie, przyjąć chrzest i włożyć turban. Musi unieważnić każdy zakaz i znieść każdy nakaz.

Ojciec Jenty, który widział na własne oczy Pierwszego, czyli Szabtaja, przyniósł Mesjasza na ustach do ich domu i przekazał go swojej

ulubionej córce. Mesjasz to jest coś więcej niż postać i osoba, to jest coś, co płynie we krwi, mieszka w oddechu, to najdroższa i najcenniejsza ludzka myśl, że istnieje ratunek. I dlatego trzeba ją hodować jak najdelikatniejszą roślinę, chuchać na nią, podlewać ją łzami, za dnia wystawiać na słońce, nocą zaś chować do ciepłej izby.

O tym, jak w lutową noc 1760 roku Jakub przybywa do Częstochowy

Wjeżdżają gościńcem warszawskim. Koła powozu terkoczą na śliskich kocich łbach. Konie sześciu zbrojnych muszą podjechać do przodu i trzymać się wąskiego traktu, żeby nie wpaść w rozmiękłe błoto. Zaczyna zmierzchać i resztki kolorów spełzają w mrok, biel mętnieje i szarzeje, szare robi się czarne, czarne znika w otchłani, która otwiera się przed ludzkimi oczami. Jest wszędzie, pod każdą rzeczą na świecie.

Miasteczko leży po lewej stronie Warty, wpatrzone w klasztor na górze. Składa się z kilkudziesięciu domków, niskich, szpetnych, wilgotnych, ustawionych wokół prostokątnego rynku i wzdłuż kilku uliczek. Rynek jest prawie pusty, jego nierówny, falujący bruk przymarzł lekko i wydaje się pokryty błyszczącym lukrem. Po wczorajszym jarmarku zostały końskie odchody, zgniecione siano i niesprzątnięte jeszcze śmieci. Większość domków ma podwójne drzwi chronione żelazną sztabą, co znaczy, że się w nich handluje, lecz trudno się domyślić czym.

Mijają cztery kobiety, baby owinięte w kraciaste wełniane chusty, spod których wystają jasne plamy fartuchów i czepków na głowach. Pijany mężczyzna w rozchełstanej chłopskiej sukmanie słania się i podtrzymuje belki pustego kramu. W rynku skręcają w prawo, na trakt, który prowadzi do klasztoru. Widać go od razu, gdy tylko wyjeżdżają na otwartą przestrzeń: wysoka wieża, jak wystrzał prosto w niebo, groźna. Wzdłuż traktu posadzono drzewa, lipy, które, teraz nagie, towarzyszą tej strzelistości jak soprany potężnemu basowi.

Nagle daje się słyszeć nierówny, rwany śpiew – to grupa pielgrzymów szybkim krokiem zdąża w stronę miasteczka. Najpierw ów śpiew wydaje

się zwykłym hałasem, szumem, ale stopniowo można z niego wyodrębnić słowa i pojedyncze wysokie kobiece głosy, którym towarzyszy pomruk dwóch czy trzech męskich: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...”.

Późni pielgrzymi mijają ich i trakt znowu jest pusty. Im bliżej klasztoru podjeżdżają, tym wyraźniej widać, że to jest twierdza, forteca dobrze wczepiona w górę, przysadzista, czworokątna. Za klasztorem, tuż przy horyzoncie, odsłania się nagle krwistoczerwony pasek nieba.

Jakub już przedtem prosił konwojentów, żeby go rozkuli, i zrobili to, gdy tylko wyjechali z Warszawy. Wewnątrz karetki siedzi z nim oficer w randze kapitana. Najpierw przyglądał się więźniowi dość natarczywie, ale Jakub nie podjął wymiany spojrzeń i patrzył przez maleńkie okienko, które jednak trzeba było potem zasłonić, bo wieje. Oficer próbował coś mówić, lecz Jakub go zignorował. W końcu jedynym przejawem czegoś w rodzaju komitywy było poczęstowanie więźnia tytoniem i wkrótce z dwóch fajek szły kłęby dymu.

Straż zbrojna nie wie dokładnie, kim jest ów więzień, więc na wszelki wypadek konwojenci starają się być szczególnie ostrożni, choć ten człowiek nie wygląda na kogoś, kto by chciał uciec. Jest blady i prawdopodobnie chory – wielkie cienie pod oczami, siniak na policzku. Dość słaby, chwieje się na nogach, kaszle. Gdy na postoju chciał się wysikać, jego kucharz musiał mu pomagać, podtrzymywać go za ramiona. Siedzi wciśnięty w kąt powozu, drży. Kazimierz, ów kucharz i lokaj w jednej osobie, poprawia na nim ciągle futrzaną szubę.

Jest już ciemno, kiedy wjeżdżają na dziedziniec klasztorny, a tam zupełnie pusto. Bramę otworzył im jakiś stary obdartus i zniknął. Zmęczone konie nieruchomieją, zmieniają się w zwaliste, parujące cienie. Po dłuższej chwili słychać skrzypienie drzwi i jakieś głosy, po czym pojawiają się braciszkowie, z pochodniami, zaskoczeni, zmieszani, jakby ich przyłapano na czymś zdrożnym. Prowadzą Jakuba i Kazimierza do pustego pomieszczenia poczekalni, gdzie stoją dwie drewniane ławy, ale siada tylko Jakub. Czekają dość długo, bo jest nabożeństwo. Gdzieś zza ścian słychać męskie głosy, które śpiewają pieśni, raz wydają się potężne i z łatwością przenikają mury, raz zaś słabną, a potem nagle zapada cisza, jakby śpiewacy szykowali teraz

w ciszy jakiś spisek. I znów śpiew. Powtarza się to kilka razy. Kapitan ziewa. Czuć tu wilgotnym kamieniem, omszałą skałą i delikatnie kadzidłem – to będzie zapach tego klasztoru.

Przeor jest zaskoczony stanem Jakuba. Trzyma ręce w rękawach jasnego wełnianego habitu, który tuż przy mankietach wybrudzony jest atramentem. Czyta list z Warszawy wyjątkowo długo, widocznie między słowami znajduje wygodne miejsca do zastanowienia się, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Spodziewał się krnąbrnego heretyka, którego z jakichś względów nie można ot tak, po prostu pozbyć się bardziej skutecznie, dlatego przygotował mu celę w klasztornym lochu; nigdy nie był używany, przynajmniej nie za pamięci przeora. Ale w liście wyraźnie jest mowa o „internowaniu”, nie „więzieniu”. Zresztą ten człowiek z rękoma skutymi łańcuchami w niczym nie przypomina złoczyńcy i heretyka, porządny strój przywodzi na myśl raczej obcokrajowca, Ormianina w podróży, wołoskiego hospodara, który zabłądził nocą w to święte miejsce. Przeor patrzy pytająco na kapitana eskorty. Potem przenosi wzrok na przestraszonego Kazimierza.

– To jest jego kucharz – mówi kapitan i to jest pierwsze zdanie, jakie pada w tej izbie.

Przeor nazywa się Ksawery Rotter, pełni swą funkcję dopiero cztery miesiące i nie wie, co zrobić. Ten siny policzek... Bili go? – chciałby zapytać. Zapewne słusznie tak zrobiono, czasem konieczne są pewne korporalne konfessaty, nie chciałby tego w żadnym razie kwestionować, ale sam fakt jest dla niego nieprzyjemny. Brzydzi się przemocą. Usiłuje zajrzeć w twarz temu człowiekowi, ale on ma spuszczoną głowę. Przeor wzdycha i każe na razie zanieść jego skromne rzeczy do izby oficerskiej tuż przy wieży; nikt jej nie używa. Zaraz brat Grzegorz przyniesie materac i gorącą wodę, i może jeszcze jaki posiłek, jeśli coś zostało w kuchni.

Przeor przychodzi do więźnia następnego dnia, nie mogą się jednak porozumieć. Kucharz próbuje tłumaczyć, ale ponieważ sam mówi po polsku byle jak, przeor nie wie, czy w istocie ten dziwny więzień potrafi

zrozumieć jego dobre intencje. Osowiały, odpowiada tylko „tak” i „nie”, więc przeor nie próbuje go nagabywać i z ulgą się oddala. Potem u siebie jeszcze raz rzuca okiem na rozłożony na stole list:

> Człowiek, którego powierzyliśmy ojcowskiej opiece Kościoła i pod kuratelę klasztoru jasnogórskiego oddaliśmy, nie jest niebezpieczny w tym sensie, w jakim byłby takim pospolity złoczyńca, a wręcz przeciwnie, wyda się Ojcu spokojny i dobry, choć zapewne obcy i inny niż ludzie, z którymi Ojciec zwykł obcować... Ów, choć jako Żyd urodzony na Podolu, to jednak wychowany w obcych tureckich krajach, całkowicie przejął język i zwyczaje obcych...

Tu następuje zwięźle ujęta historia więźnia, a na końcu pada to groźne sformułowanie, które przyprawia przeora o nieprzyjemny skurcz gdzieś w brzuchu: „miał się za Mesjasza”. Potem pismo konkluduje:

> Dlatego nie zalecamy bliższych z nim kontaktów. A w jego internowaniu należałoby go jak najlepiej odosobnić i potraktować jako szczególnego rezydenta, czas aresztu jest bowiem bezterminowy i nie ma żadnych okoliczności, które mogłyby to zmienić.

Ostatnie zdanie budzi w przeorze nieoczekiwaną grozę.

Jak wygląda więzienie Jakuba

Jest to izba tuż przy wieży, właściwie w murze fortyfikacji, z dwoma wąskimi okienkami. Ojcowie wstawili tu prycze (podobno śpią na takich samych) z siennikiem świeżo wypchanym sianem, mały stolik i ławę. Jest też porcelanowy nocnik, oszczerbiony niemiłosiernie – można sobie nim zrobić krzywdę. Po południu pojawia się drugi materac, dla Kazimierza. Kazimierz, sarkając na przemian i płacząc, rozpakowuje swoje bagaże oraz nieduże zapasy, ale nie ma mowy, żeby został wpuszczony do klasztornej kuchni. Kierują go do innej kuchni, dla służby, ot, palenisko, gdzie można gotować.

Jakub przez kilka dni ma gorączkę i przestaje wstawać z pryczy. To dlatego Kazimierz domaga się od ojców paulinów świeżej gęsiny, a z kuchni pożycza garnek, bo nie wzięli swoich naczyń. Mięso gotuje na prymitywnym palenisku i przez cały dzień, łyk po łyczku, poi Jakuba rosołem. Przeor zaopatruje ich w chleb i kruszący się stary ser; zainteresowany zdrowiem więźnia, dokłada do tego butelkę mocnej okowity – każe ją pić z gorącą wodą, wtedy rozgrzewa. Tę okowitę wypija w końcu Kazimierz, tłumacząc się sam przed sobą, że musi być w dobrej formie, by zająć się Jakubem; zresztą Jakub nie chciał jej tknąć, pożywia się tylko rosołem i to mu pomaga. Pewnego razu Kazimierz budzi się nad ranem, gdy ojcowie, szurając nogami, idą na swoje modły. Blady brzask wpada przez małe okienko do izby i Kazimierz widzi, że Jakub nie śpi – ma otwarte oczy i patrzy na kucharza tak, jakby go nie widział. Kazimierza przechodzi dreszcz.

Cały dzień oczy straży śledzą ruchy Kazimierza. Dziwni to strażnicy – starzy i kalecy, jeden jest bez nogi, ma drewnianą kulę, ale nosi mundur i przewieszony przez ramię muszkiet. Zachowuje się jak prawdziwy wojak, wypina pierś, choć dziurki od guzików munduru wystrzępione, a szwy rękawów nadprute. Na szyi sakiewka z tytoniem.

– Co to jest za wojsko? – pyta Kazimierz, krzywiąc usta ze wstrętem. Ale boi się ich. Już zauważył, że wszystko da się z nimi załatwić za tytoń, więc z bólem serca oddaje swój – w ten sposób udaje mu się zdobyć i garnek, i opał.

Jeden z tych wiarusów, prawie bezzębny, w zapiętym pod szyję wytartym mundurze, siada kiedyś przy Kazimierzu i zaczyna rozmowę:

– A kim to jest twój pan, chłopcze?

Kazimierz nie wie, co ma mówić, ale ponieważ przedtem ten wiarus przyniósł mu ruszt, czuje się w obowiązku coś powiedzieć.

– To wielki pan.

– A to my widzimy, że wielki. Ale dlaczego tu siedzi?

Kucharz tylko wzrusza ramionami. Tego to i on sam nie wie. Przyglądają mu się wszyscy, czuje ich wzrok.

Ów bezzębny i najbardziej łasy na pieniądze wiarus to Roch. Towarzyszy Kazimierzowi całymi godzinami, gdy ten gotuje pod gołym niebem. Wilgotne drewno kopci niesamowicie.

– Co ty tam pichcisz, chłopcze? Zapach skręca mi kiszki – zaczyna Roch, nabijając fajeczkę.

Kazimierz opowiada, że jego pan lubi tureckie jedzenie i przyprawy tureckie. Wszystko jest ostre – pokazuje na dłoni małe, suche papryczki.

– A gdzieżeś ty tureckiej kuchni nabył? – pyta obojętnie wiarus, a gdy się dowiaduje, że Kazimierz na kuchni wołoskiej i tureckiej wychowany, już pod koniec dnia wie o tym cały garnizon. Wieczorami ci, co na warcie nie stoją, schodzą na dół do miasteczka i rozgrzewają się rozwodnionym najtańszym piwem, plotkując. Niektórzy mają tu jakąś rodzinę, ale tych można policzyć na palcach ręki. Reszta to samotni, starzy mężczyźni, sterani w walkach, o nędznym żołdzie, na garnuszku ojców paulinów. Czasem, gdy pojawia się jakaś znaczna pielgrzymka któregoś z możnych, nie wstydzą się wyciągać ręki po jałmużnę, drugą trzymając broń.

Na Wielkanoc, po wielu petycjach i prośbach Jakuba, udaje się wyjednać dlań prawo wychodzenia na mury. Raz w tygodniu. Odtąd na jego coniedzielny spacer czekają wszystkie wiarusy. O, już tam jest. Żydowski prorok – jego przygarbiona, wysoka, ciemna postać. Chodzi po murze tam i z powrotem, z jakąś gwałtownością zawraca i gna w drugą stronę, żeby tam odbić się od jakiejś niewidzialnej ściany i znowu ruszyć w drogę. Jak wahadło. Można by według niego regulować zegarki. Roch właśnie to zrobi – nareguluje zegarek, który dostał od przechrzty. Jest to najcenniejsza rzecz, jaką miał w życiu, i żałuje, że dopiero teraz to go spotkało. Gdyby miał go dwadzieścia lat temu... Wyobraża sobie siebie w paradnym mundurze, jak wchodzi do karczmy pełnej towarzyszy broni. Teraz jest pewny, że za ten zegarek będzie miał przyzwoity pogrzeb, z drewnianą trumną i huczną salwą.

Obserwuje więźnia spokojnie, bez współczucia, przyzwyczajony, że ludzkie losy układają się niespodziewanie – a dla Rocha to dobry los. Wyznawcy owego proroka-przechrzty zaopatrują swojego Pana w dobre

jedzenie i przemycają do klasztoru pieniądze, choć to surowo zabronione. Wielu rzeczy się w klasztorze zabrania, a mimo to wszystko tu jest: a to wino wołoskie i madziarskie, a to wódka, a i na tytoń przymyka się oczy, więc te zakazy i tak nie działają. Właściwie zaś działają tylko na początku, potem ludzka natura swoim długim palcem zaczyna wiercić w nich dziurę, najpierw małą, potem, gdy nie ma żadnego oporu, coraz obszerniejszą, aż wreszcie dziura staje się większa niż to, co dziurą nie jest. Tak to się dzieje z każdym zakazem.

Przeor na przykład już wiele razy zakazywał wiarusom żebrać przy wejściu do kościoła. I rzeczywiście przestawali, ale po kilku dniach – chociaż żebrania nie było – pojawiała się jedna ręka wyciągnięta na krótką chwilę do pielgrzymów. Za chwilę dołączały do niej inne, było ich coraz więcej, a po czasie do wyciągniętych rąk dołączało się mruczenie: „O wspomożenie prosić raczym”.

Biczownicy

W ciągu kilku dni robi się ciepło i od razu przy bramie tłoczą się klasztorne dziady, które ściągają tu z całej okolicy. Niektórzy skaczą na jednej nodze, wymachując nieprzyjemnie kikutem drugiej, wstydliwym, jakby zogromniałym członkiem. Inni wskazują pielgrzymom swoje puste oczodoły po wyłupionych przez Kozaków oczach. Śpiewają przy tym długie, melancholijne pieśni, których słowa tak się już sfilcowały od wiecznego międlenia w bezzębnych ustach, że stały się nierozpoznawalne. Mają poplątane, dawno nieobcinane włosy i podarte odzienie, stopy owinięte w szare, dziurawe szmaty. Wyciągają kościste dłonie po datki; trzeba by było mieć pełne kieszenie drobnych monet, żeby ich tu wszystkich obdzielić.

Jakub siedzi z twarzą wystawioną do słońca tuż przy okienku. Plama światła jest akurat tej wielkości, że pokrywa jego twarz niczym jaskrawa chusteczka. Na wale naprzeciw okienka siada Roch i też pławi się we wczesnym wiosennym słońcu; ma go więcej niż więzień. Zsunął niewygodne buty i odwinął onuce – teraz jego nagie, białe stopy

o czarnych paznokciach celują w jasne niebo. Wyciąga tytoń i starannie, powoli nabija nim fajkę.

– Hej ty, żydowski proroku, żyjesz tam? – mówi w stronę okienka.

Jakub, zaskoczony, otwiera oczy. Uśmiecha się przyjaźnie.

– Bo mówią, żeś heretyk jakiś, niby nie Luter, ale żydowski Luter, lepiej od ciebie trzymać się z daleka.

Jakub nie rozumie. Patrzy, jak tamten zapala fajkę, i aż go skręca – też by zapalił, a tytoniu już nie ma. Roch chyba czuje jego wzrok, bo wyciąga ku niemu rękę z fajką, lecz oczywiście podać mu jej nie może, dzieli ich kilka metrów.

– Każdy chciałby zapalić – mruczy do siebie wiarus.

Jakiś czas potem przynosi Jakubowi małe zawiniątko, a w nim tytoń i fajkę, prostą, chłopską. Kładzie na kamiennym stopniu i utykając, odchodzi.

Przez cały Wielki Post w każdy piątek pojawiają się w klasztorze kapnicy. Idą procesją z miasteczka. Na czele jeden niesie wielki krzyż z figurą Ukrzyżowanego, tak realistycznie zrobioną, że krew ścina się w żyłach na sam widok. Odziani są w wory z grubo tkanego płótna w kolorze różowym, w których na plecach mają wycięty otwór, tak żeby się lepiej biczować. Otwór ten może być zasłonięty klapą. Na głowie tkwi kanciasty worek z otworami na uszy i oczy, przez co podobni są jakimś zwierzętom czy duchom. Za każdym uderzeniem czarnych lasek kapników, idących na początku i końcu procesji, pozostali kładą się na ziemi, modlą się, a potem podnoszą zasłonę na plecach i zaczynają się biczować. Jedni robią to rzemiennymi dyscyplinami, inni drucianymi, z przyprawionymi na koniuszkach ostrymi metalowymi gwiazdkami, których zadaniem jest rwać ciało. Kiedy taka gwiazdka zahaczy o skórę, często tryska na patrzących strumień krwi.

W Wielki Piątek robi się rojno w klasztorze. Od świtu i otwarcia bram napływają fale szarobrunatnego tłumu, jakby ziemia, która dopiero co przyszła do siebie po zimie, szara i na wpół jeszcze zmarznięta, wydała tych ludzi niby na wpół przegniłe bulwy. To głównie chłopi w grubych filcowych spodniach, w sukmanach w kolorze, którego nie da się określić słowami, ze zmierzwionymi włosami, i ich żony w grubych

marszczonych spódnicach, chustach, przewiązane w pół zapaskami. Pewnie mają w domach pochowane odświętne stroje, ale w Wielki Piątek wyciąga się na światło dzienne całą marność i brzydotę świata. A jest jej tyle, że zwykłe ludzkie serce nie zdołałoby jej znieść, gdyby nie pomoc tego ciała na krzyżu, które bierze na siebie ten cały ból stworzenia.

I na dowód tego, że szczególny to czas, w tłumie widać opętanych, którzy krzyczą głosem przeraźliwym, albo takich szaleńców, co to mówią wieloma językami naraz, tak że nie można ich zrozumieć. Widać też egzorcystów, jakichś eks-księży w podartych sutannach, z torbami pełnymi relikwii, które kładą na głowach opętanych, wypędzając z nich tym sposobem diabły.

Tego dnia przeor pozwala Jakubowi wyjść pod okiem Rocha na wał i przyglądać się tej mętnej ludzkiej powodzi. Pewnie liczy na to, że procesja zrobi na więźniu wrażenie i skruszy jego nie dość katolicką duszę.

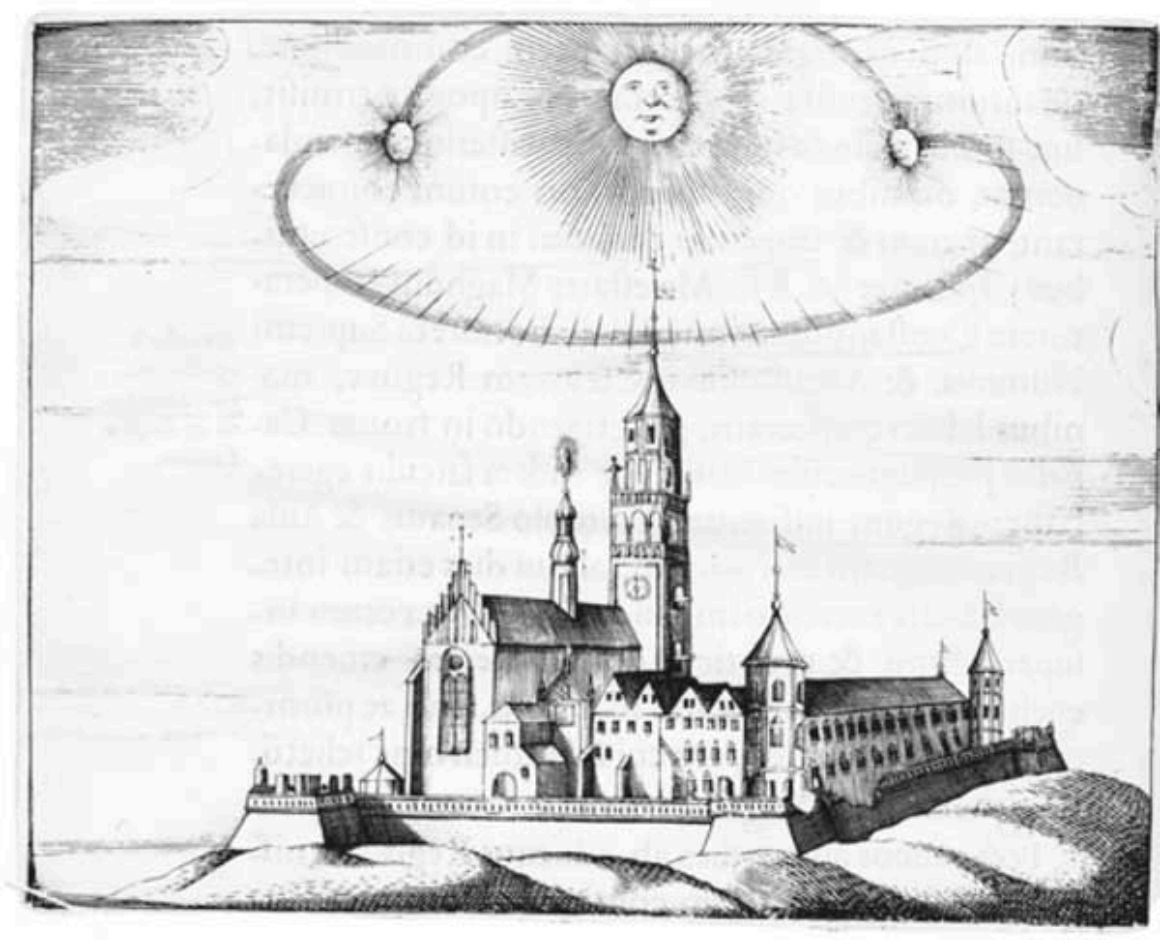

Dopiero po czasie oczy Jakuba przyzwyczajają się do światła i do bukietu wiosennych kolorów. Przesuwają się i sycą ruchem ludzi, i zdaje się Jakubowi, że tłum jakby fermentuje, puszcza bąble jak zaczyn. Oczy jego zachłannie oglądają szczegóły – przez ostatnie tygodnie miały wszak do czynienia tylko z kamieniami na ścianie i małym światem widocznym z okienka. Teraz ogarniają przybytek z wałów, widzą wieżę, ogromne zabudowania klasztoru i mury, którymi jest cały otoczony. W końcu prześlizgują się nad głowami pielgrzymów, nad dachami klasztornymi i murami i obejmują pierwszą panoramę: lekko pofałdowany teren, szary i smutny, ciągnący się po rozległy horyzont, usiany wsiami i mieścinami, z których największą jest miasteczko Częstochów. Roch wyjaśnia mu, trochę słowami, trochę na migi, że ta nazwa bierze się stąd, iż święty przybytek w nim się znajdujący często

chowa się oczom grzeszników, i trzeba dobrze wytężyć wzrok, żeby go dojrzeć wśród łagodnych wzgórz.

Obraz święty, który ukrywa, a nie odkrywa

Tego dnia Jakubowi po raz pierwszy wolno wejść w tłum przed obrazem. Boi się, lecz nie obrazu, ale tego tłumu. Tworzą go pielgrzymi – przejęci, spoceni, o świeżo wygolonych twarzach i przygładzonych włosach, chłopki kolorowe, pstrokate, mieszczki z rumieńcami na twarzy i mężowie w najlepszych strojach, w żółtych skórzanych butach. Co on ma z nimi wspólnego? Góruje nad większością głów, patrzy na tłum, który wydaje mu się przerażająco obcy.

Kaplica jest cała w malowidłach i wotach. Dopiero mu wyjaśniono, że to są ofiary dla klasztoru, w większości w kształcie chorych członków ciała, które Matka Boska wyleczyła. I są jeszcze drewniane nogi, i kule pozostałe tu po cudownym uzdrowieniu, i tysiące odlanych ze srebra, złota czy miedzi serc, wątrób, piersi, nóg i rąk, niby części pokawałkowanych istot, które święty obraz złoży w jedno i naprawi.

Tłum milczy, słychać tylko pojedyncze pokasływania, którym sklepienie kaplicy dodaje powagi. Wyrywa się pojedynczy nieartykułowany okrzyk opętanego, który nie może już znieść oczekiwania.

Nagle rozbrzmiewają dzwonki, a potem biją werble tak głośno, że Jakub chce zasłonić rękami uszy. Tłum, jakby pod nagłym ciosem, rzuca się na kolana z hukiem i westchnieniem, a z kolan na twarz, kto znajdzie miejsce, a kto nie – przykurcza się do podłogi, niczym grudka ziemi. I już grają przeraźliwie trąby niczym żydowskie szofary, powietrze drży, a hałas jest straszny. Coś dziwnego zastyga w powietrzu, tak że serce ściska się niejako ze strachu, ale to nie jest strach, tylko coś większego, co udziela się Jakubowi, więc i on pada na twarz, na posadzkę przed chwilą wydeptywaną brudnymi butami chłopów, i tutaj, przy podłodze, ten zgiełk jakby przycicha, lepiej jest też znieść skurcz serca, który go nagle zgiął wpół. Teraz po ciałach pokrywających szczelnie posadzkę kaplicy powinien przejść Bóg. Jakub czuje jednak tylko woń końskiego

łajna, przyniesionego pewnie tutaj na butach i wtartego w szpary między płytami podłogi, a także wszechobecny o tej porze roku zapach wilgoci, szczególnie nieprzyjemny, gdy ta połączy się z wełną i ludzkim potem.

Jakub podnosi oczy i widzi, że zdobna pokrywa już prawie odsłoniła obraz, oczekuje czegoś w rodzaju światła, które błyśnie stamtąd – oślepiające, niedające się znieść dla ludzkich oczu, lecz widzi tylko dwa ciemne kształty na tle srebrnej plamy. Dopiero po chwili orientuje się, że to są twarze – kobiety i dziecka, ciemne, nieprzeniknione, jakby wychylały się z najgłębszej ciemności.

Kazimierz zapala łojową świecę, dostał zapas w paczce; świeci ona jaśniej niż olejowe lampki, które mają od zakonników.

Jakub siedzi przytulony policzkiem do muru. Kazimierz sprząta miskę po goleniu. Pływają w niej krótkie włoski z brody; dopiero co go golił. Jakub ma zmierzwione włosy, ale nie da ich sobie rozczesać. Kazimierz myśli, że jak tak dalej pójdzie, jego pan upodobni się do wiarusów – skołtunionych, rozczochranych. Jakub gada niby do siebie, niby do Kazimierza, który zaraz weźmie się do przygotowywania kolacji. Udało mu się dostać na targu trochę dobrego mięsa – przed świętami jatki się zapełniły. Pan domagał się wieprzowiny. To i ma. Kazimierz odwraca do góry dnem żelazną miskę, robi z niej coś w rodzaju rusztu. Mięso leżało w zalewie od rana. Jakub bawi się gwoździem i potem rysuje nim coś na ścianie.

– Ty, Kazimierz, wiesz, że wybawienie z Egiptu nie było całkowite, bo ten, co ich stamtąd wykupił, był mężczyzną, prawdziwe zaś odkupienie przyjdzie od Panny?

– Od jakiej panny? – pyta nieuważnie Kazimierz, rozkładając mięso na ruszcie.

– To jest jasne. A jasne, bo wydobyte spod tych wszystkich bajań i przypowieści, spod tego krętactwa, omiecione z kurzu słów. Widziałeś obraz? Tam jaśnieje czarna twarz Panny Jasnogórskiej, Szechiny.

– Jakże czarna twarz może jaśnieć? – przytomnie zauważa Kazimierz.

Mięso już się podpieka, teraz trzeba uważać na ogień, żeby się żarzył, a nie palił płomieniem.

– Jak ty tego nie wiesz, to nic nie wiesz – mówi Jakub zniecierpliwiony. – Dawid i Szabtaj byli w tajemnicy niewiastami. Nie dojdzie inaczej do zbawienia, jak tylko przez kobietę. Ja to teraz wiem i po tom tu jest. Od początku świata mnie jednemu, nikomu innemu, oddana jest ta Panna, bym jej strzegł.

Kazimierz nie bardzo rozumie. Przewraca kawałki mięsa, delikatnie polewa je tłuszczem. Lecz Jakub jest nieczuły na zapachy. Ciągnie:

– Tutaj ludzie starają się ją malować, żeby o niej nie zapomnieć, gdy ona musi się kryć w otchłani. Tęsknią do jej widoku. Ale to przecież nie jest prawdziwe oblicze, bo każdy ją widzi inaczej, mamy zmysły niedoskonałe, stąd to. Lecz nam ona codziennie coraz dokładniej i we wszelkich szczegółach objawiać się będzie.

Jakub milknie na chwilę, jakby zastanawiał się, czy ma to powiedzieć.

– Panna ma wiele postaci. Pokazuje się też w postaci ajelet, łani.

– Jak to? W postaci zwierzęcia? – pyta strapiony Kazimierz, bardziej zajęty mięsem niż rozmową.

– Mnie ją dano, bym się nią opiekował na wygnaniu tutaj.

– Panie, już gotowe – odzywa się przejęty swą potrawą Kazimierz i nakłada na cynowy talerz drobne, najlepsze kawałki mięsa. Jakub sięga po nie ręką, niezbyt zainteresowany. Kazimierz patrzy z rezerwą na mięso.

– Ja to jednak do tej świniny nie bardzom przekonany – mówi. – Ona jakaś taka inna, rozlazła jakby.

Wtedy ktoś puka do drzwi. Obaj mężczyźni patrzą po sobie, zaniepokojeni.

– Kto tam? – pyta Kazimierz.

– To ja, Roch.

– Niechże wejdzie – odzywa się Jakub z ustami pełnymi jedzenia.

Głowa wiarusa pojawia się w szparze drzwi.

– Toć dziś Wielki Piątek. Czyście poszaleli? Ty mięso pieczesz? Przecież czuć w całym klasztorze. Tfu.

Kazimierz narzuca na talerz z kawałkami mięsa derkę.

– Daj mu co, niech idzie – mówi cicho Jakub i wraca do skrobania na ścianie.

Ale Kazimierz, przestraszony, tłumaczy się:

– A skąd mamy wiedzieć, co jadać w Wielki Piątek? My przecież jeszcze w nowej religii Wielkiego Piątku nie mieli, to niech nas ktoś oświeci.

– Racja – mówi Roch – to nie wasza wina. Mięso je się dopiero w niedzielę. Na jutro masz mieć jajka do święcenia. Zresztą może was zaproszą na śniadanie mnisi. Nas zapraszają co roku.

Gdy Kazimierz kładzie się już spać i gasi świecę, przybliża jej płomień do ściany. Widzi pojedynczy napis po hebrajsku i dziwi mu się. Jest napisane bowiem: פרת משה רבנו, biedronka, parat mosze rabenu. Patrzy zaskoczony, potem wzrusza ramionami i gasi świecę.

List po polsku

Chana dostaje list od męża i nie umie go przeczytać. Jest po polsku. Czyta go Nachman, czyli Jakubowski, czyta i zaczyna płakać. Patrzą na niego zdumieni – Chana i obecny przy tym Matuszewski z Wittel. Widok płaczącego nad listem Jakubowskiego budzi w nich coś w rodzaju obrzydzenia. Jakubowski postarzał się, uwięzienie Jakuba zupełnie go przybiło. A także to, że wszyscy go mają za zdrajcę, choć przecież każdy się przyłożył po trochu. Włosy Jakubowskiego na czubku głowy przerzedziły się ostatnio i wygląda spod nich piegowata różowa skóra. Jego plecami wstrząsa szloch.

> Martwić się mną nie należy, jestem w dobrych rękach ojców paulinów i nie brakuje mi nic. Gdybym jednak mógł Imość prosić o: ciepłe onuce (Jakubowski zaczyna płakać właśnie przy tych onucach), tudzież kilka sztuk ciepłej bielizny, najlepiej wełnianej, a także wełniany żupan, a najlepiej dwa na zmianę. Futro jakie do rozłożenia na posłaniu. Kazimierzowi zaś nadałaby się zastawa do spożywania posiłków i garnek do gotowania oraz podobne takie utensylia wedle

uznania Imości. Aplikowałbym jeszcze o jaką książkę pisaną polskim językiem, abym się z niej mógł uczyć. A także papier, atrament i pióra...

Na liście pieczęć klasztoru.

Jest czytany wiele razy, potem go przepisują, a Jakubowski zawozi go do Wołowskich. I w końcu znają go wszyscy w Warszawie, cała machna, kompania. List wędruje też do Kamieńca do pani Kossakowskiej, no i w tajemnicy, od Nachmana Jakubowskiego, dostaje go Moliwda, który czyta go ukradkiem i pali. Do wszystkich więc jasno dociera ta wspaniała wieść, że Jakub, Pan, żyje. Że nie stało się najgorsze i teraz te wszystkie miesiące, kiedy byli w niepewności, wydają się miesiącami bezdechu i ciszy. Powiał świeży wiatr, a ponieważ wszystko to dzieje się w okolicy Wielkiejnocy, świętują to jak zmartwychwstanie. Tak, Pan zmartwychwstał, wyłonił się z ciemności, niczym światło, które tylko dało nura w mroczną wodę, ale już wypłynęło na powierzchnię.

Odwiedziny w klasztorze

Szlomo Szor, teraz Franciszek Łukasz Wołowski, wyrusza do Częstochowy pospiesznie, żeby zdążyć przed innymi. Jest początek maja. Pola w ciągu kilku dni zrobiły się zielone, a dziurawią te płachty zieleni żółte krople mleczy. Jedzie konno, tylko za dnia, i to głównymi traktami. Jest ubrany skromnie, właściwie nie wiadomo jak, czy po chrześcijańsku, czy po żydowsku. Ogolił się, ale włosy pozostawił dłuższe i wiąże je teraz w harcapik. Ma czarny surdut z holenderskiego sukna, a do tego spodnie za kolana i wysokie buty. Jego głowa nie potrafi być odsłonięta mimo dobrej, ciepłej pogody, zakrył ją więc baranią czapką.

Tuż przed Częstochową spotyka na drodze znajomą postać: młody mężczyzna, chłopiec jeszcze, idzie pieszo skrajem drogi, na plecach niesie tobołek. Kijem wali po żółtych główkach kwitnących mleczy. Ubranie ma dość niedbałe. Szlomo Wołowski poznaje ze zdumieniem Kazimierza, Jakubowego kucharczyka.

– A skądżeś ty tu, Kazimierzu? Gdzie to się wybrałeś? Czy nie powinieneś być u pańskiego stołu, czy nie czas na obiad?

Chłopiec martwieje na moment. Gdy poznaje Franciszka, rzuca się do niego i wita go wylewnie.

– Ja tam nie wrócę – mówi po chwili. – To jest więzienie.

– A toś nie wiedział, że do więzienia idziecie?

– Ale ja? Za co ja? Dlaczego mam się z własnej woli skazywać na więzienie, tego nie rozumiem. Pan ma humory, kilka razy zbił mnie, ostatnio wyszarpał mnie za włosy. Raz nic nie je, potem życzy sobie jakichś specjałów. I... – zaczyna, ale urywa. Szlomo Wołowski domyśla się, o co chodzi, i nie pyta. Wie, że musi postąpić delikatnie.

Schodzi z konia, siadają na trawie pod drzewem, które puściło już małe listki. Wyciąga twardy ser, chleb i butelkę wina. Łakomie patrzy na nią Kazimierz. Jest spragniony i głodny. Podczas jedzenia obaj kierują wzrok w stronę miasta Częstochowy. W ciepłym wiosennym powietrzu dopływa do nich dźwięk klasztornych dzwonów. Szlomo Wołowski zaczyna się niecierpliwić.

– No i jak tam jest? Dostanę się do niego?

– Nie wolno mu się z nikim spotykać.

– Ale jak podpłacić, to komu?

Kazimierz długo myśli, jakby rozkoszował się tym, że jest w posiadaniu tak cennej wiedzy.

– Nikt z braciszków nie weźmie... Wiarusy wezmą, tylko że oni takich mocy nie mają.

– Chciałbym choć przez okno porozmawiać. To się uda? Ma jakie okno na zewnątrz klasztoru wychodzące?

Kazimierz milczy i w myślach rachuje klasztorne okna.

– Chybaby się dało z jednego. Ale i tak by cię musieli wpuścić do klasztoru.

– Do klasztoru to sam wejdę jako pielgrzym.

– Racja. Potem idź, bracie, do tych wiarusów. Rozmawiaj z Rochem. Kup mu tytoniu i wódki. Jak cię wezmą za hojnego przyjaciela, to pomogą.

Szlomo Wołowski patrzy na płócienną torbę Kazimierza.

– Co tam niesiesz?

– Listy pańskie, bracie.

– Pokaż.

Chłopak posłusznie wyciąga cztery listy. Widzi starannie złożone arkusze z pieczęcią Jakuba, którą sobie kazał zrobić w Warszawie. Adresaci wypisani pięknym charakterem pisma, z zawijasami.

– Kto mu pisze po polsku?

– Brat Grzegorz, taki młody. Uczy go i pisać, i mówić.

Jeden jest do Józefy Scholastyki Frankowej, czyli Chany, drugi do Jeruchima, czyli Jędrzeja Dębowskiego, najgrubszy, trzeci, do Katarzyny Kossakowskiej i czwarty do Antoniego Kossakowskiego-Moliwdy.

– Do mnie nie ma – ni to pytająco, ni to twierdząco mówi Szlomo.

Potem Wołowski dowiaduje się jeszcze wielu niepokojących rzeczy. Że przez cały luty Jakub nie wstał z posłania, a gdy przyszły wielkie mrozy i nie można było dogrzać pomieszczenia, zachorował i dostał strasznej febry, aż przychodził go leczyć jeden z ojców i puszczał mu krew. Kazimierz kilka razy powtarza to samo: bał się, że Pan umrze i że będzie sam jeden towarzyszyć mu przy śmierci. Potem cały marzec Jakub był osłabiony, Kazimierz karmił go tylko rosołem z kury. Po kury pozwalano mu chodzić do Częstochowy do sklepu Szmula, wydał na nie wszystkie pieniądze na wyżywienie Pana i musiał założyć własne. Ojcowie paulini się więźniem niewiele przejmują. Jeden tylko, ojciec Marcin, co maluje kościół w środku, do niego gada, ale Pan niewiele jeszcze z tego rozumie. Pan spędza w kaplicy wiele czasu. Leży też krzyżem przed świętym obrazem w czasie, gdy nie ma tam pielgrzymów, czyli właściwie w nocy, przez co potem śpi w dzień. Według Kazimierza w takiej wilgoci i bez słońca Jakub długo nie pociągnie. I jeszcze coś – zrobił się bardzo gniewny. Kazimierz słyszał też, że gada sam do siebie.

– A do kogo ma gadać? Przecież nie do ciebie – mruczy Szlomo Wołowski pod nosem.

Wołowski stara się o widzenie z Jakubem. Wynajął w miasteczku pokój u chrześcijanina, który patrzy na niego podejrzliwie, ale dobrze opłacany, nie pyta o wiele. Codziennie idzie do klasztoru i czeka na audiencję u przeora. Kiedy się w końcu po pięciu dniach na nią dostaje, przeor pozwala tylko przekazać paczkę, i to po jej rewizji. Jeżeli listy, to tylko po polsku lub łacinie, i tylko po cenzurze przeora. Takie ma rozkazy. Wizyty nie są przewidziane. Audiencja trwa chwilę.

Ostatecznie jednak podpłacony Roch prowadzi Wołowskiego w nocy przez mury do klasztoru, gdy wszyscy śpią. Każe mu stanąć pod małym okienkiem w wieży, skąd dochodzi nikły blask światła. Sam wchodzi do środka i po chwili z okna wyłania się głowa Jakuba. Wołowski widzi go niewyraźnie.

– Szlomo? – pyta Pan.

– Tak, to ja.

– Cóżeś mi przyniósł za wieści? Paczkę dostałem.

Wołowski ma tak wiele do powiedzenia, że nie wie, od czego zacząć.

– Wszyscyśmy do Warszawy ściągnęli. Żona twoja jeszcze u baby, pod Warszawą, w Kobyłce, już ochrzczona.

– Jak dzieci?

– Dobrze, zdrowe. Tylko że smutne, jak my wszyscy.

– Po toście mnie tu wsadzili?

– Jakże to?

– A czemu mi żona nie pisała?

– Nie napiszą ci wszystkiego... Bo te listy po drodze czytają. I tu, i w Warszawie. Ani tego, że teraz Dembowski Jeruchim za wodza się ma. I jego brat Jan. Oni chcą rządzić i rozkazy wydawać.

– A Krysa? On jest mocny.

– Krysa po twoim uwięzieniu zupełnie nas nie poznaje. Przechodzi na drugą stronę ulicy, gdy nas widzi. On jest stracony...

– Ja piszę w listach, co macie robić...

– Ale to za mało, ty musisz kogoś za siebie wyznaczyć...

– Ale ja tu jestem i sam mogę wam mówić...

– Tak nie da rady. Musi być ktoś...

– A kto pieniądze trzyma? – pyta Jakub.

– Część ma Osman Czerniawski w depozycie, część u mojego brata, Jana.

– Niech do niego Matuszewski dołączy, niech razem rządzą.

– Ty mnie wyznacz. Ty mnie dobrze znasz i wiesz, że ja mam siłę i głowę.

Jakub milczy. Po chwili pyta:

– Kto mnie zdradził?

– Z własnej głupoty myśmy się dali wciągnąć, aleśmy dobrze dla ciebie chcieli. Ja słowa przeciwko tobie nie wyrzekłem.

– Wy jesteście tchórze. Powinienem na was napluć.

– Pluj – mówi Szlomo cicho. – Nachman Jakubowski nagadał najwięcej. On cię zdradził, a miałeś go najbliżej. Aleś ty wiedział, że on jest słaby, może i w dysputach dobry, ale do takich rzeczy słaby. On zdradził. On tchórz.

– Tchórz jest mądre zwierzę, kiedy wie, co robi. Powiedz mu, żebym go już nigdy na oczy nie obaczył.

Szlomo Wołowski zbiera się w sobie.

– Napisz mi list, że ja będę za ciebie, zanim ty wyjdziesz. Ja ich twardą ręką przypilnuję. Na razie zbieramy się u Jeruchima. On interes robi, naszych zatrudnia. Dużo naszych w Kobyłce, w dobrach biskupa Załuskiego, się osiedliło, ale wszyscyśmy biedni i opuszczeni. Codziennie po tobie płaczemy, Jakubie.

– Płaczcie. U króla się starajcie przez Moliwdę.

– On w Łowiczu u prymasa siedzi...

– To starajcie się u prymasa!

– On, Moliwda, już nie z nami. Zbiesił się. Nic po nim.

Jakub milknie na dłuższą chwilę.

– A ty gdzie?

– Ja w Warszawie, interes mi idzie. Każdy by chciał do Warszawy, tam dzieci można kształcić. Twoja Awacza ma dwóch nauczycieli od Kossakowskiej. Francuskiego się uczy... My ją chcemy do siebie wziąć. Ja i Marianna.

Gdzieś na sąsiednim dziedzińcu zapala się światło i pojawia się na dole Roch, który łapie Wołowskiego za poły czarnego surduta i wypycha go do bramy.

– Koniec już. Koniec.

– Poczekam do jutra wieczór, napisz mi list do kompanii, to ja go bez niczego zaniosę, Roch mi poda. Pisz po naszemu. Wyznacz mnie na swojego zastępcę. Przecież mi ufasz.

– Teraz już nikomu nie ufam – mówi Jakub i cofa głowę.

I tyle ma Szlomo Wołowski z widzenia z Jakubem. Następnego dnia idzie do obrazu Matki Boskiej. Jest szósta rano, wschodzi słońce, dzień będzie pogodny, niebo ma piękny różowy kolor, srebrna mgła unosi się nad polami, a do klasztoru płyną fale zapachu wilgoci i tataraku. Stoi między ludźmi, w zaspanym tłumie. Gdy odzywają się trąby, lud pada na twarz na zimną posadzkę, na kolana. Wołowski też, czołem czuje jej chłód. Przy dźwięku trąb srebrna przesłona obrazu powoli podnosi się i Szlomo widzi z daleka mały prostokąt z ledwie zarysowaną sylwetką o czarnej twarzy. Jakaś kobieta koło niego zaczyna szlochać i to udziela się prawie wszystkim. Wołowskiego ogarnia w tym tłumie takie samo wzruszenie, potęgowane jeszcze odurzającym zapachem majowych kwiatów i ludzkiego potu, szmat i kurzu. Cały ranek przekonuje Kazimierza, żeby jeszcze trochę służył Panu, aż go kto nie zmieni. Po południu Roch wciska mu list pisany po hebrajsku, zwinięty grubo, jak paczuszka tytoniu. Zaraz po południu Szlomo Franciszek Wołowski opuszcza klasztor, zostawiając Kazimierzowi pieniądze i przekazując na ręce przeora spory datek.

Upupa dicit

Kilka dni potem przychodzi do Jakuba do klasztoru skrzynia z rzeczami. Nawet nie wie, kto je przywiózł. Skrzynia stoi najpierw cały dzień u przeora, tam ją sprawdzają dokładnie. Zakonnicy oglądają odzież, szal turecki, buty skórzane z futrem w środku, bieliznę z cienkiego płótna, figi suszone, daktyle, wełnianą derę, poduszkę puchową obleczoną w żółty adamaszek. Jest też papier do pisania i pióra tak dobrego

gatunku, jakich przeor w życiu nie widział. Długo zastanawia się nad zawartością i nie wie, czy powinien się zgodzić na te delikatesy dla więźnia. Niby nie jest to zwykły więzień, ale takie luksusy w klasztorze, gdzie ojcowie żyją tak skromnie, czy to nie jakaś przesada? Dlatego przeor co chwila podchodzi do skrzyni i rozkłada w rękach cieniutki wełniany szal, bez ozdób wprawdzie, ale tak delikatny, że przypomina jedwab. A te figi! Gdy zostaje na chwilę sam, tłumacząc, że to tylko dla sprawdzenia, bierze jedną do ust i długo ją tam trzyma, aż ślina napływa mu obficie i wraz ze smakiem figi spływa do żołądka, napełniając ciało wielką przyjemnością, bo słodycz jest niebywała. Jakie dobre te figi, pachnące słońcem, nie twarde, jak te ostatnio nabyte przez klasztor w niewielkiej ilości od żydowskiego kupca, który tutaj na przedmieściu ma sklep korzenny.

Przeor znajduje też dwie książki, po które sięga podejrzliwie, węsząc tu jakieś heretyckie traktaty – takich nie przepuści nigdy. Ale gdy je bierze do ręki, ze zdziwieniem stwierdza, że pierwsza jest po polsku, i to napisana przez księdza. Nie słyszał ojciec tego nazwiska: Benedykt Chmielowski, ale to zrozumiałe, nie ma przecież czasu na lektury świeckie, a to książka dla ludu, nie kościelna, nie modlitewnik. Druga to pięknie ilustrowane wydanie *Orbis Pictus* Comeniusa, w którym każde słowo jest w czterech językach, przez co łatwo się z niej uczyć. A ponieważ wspominał mu sam uwięziony, a i podobne sugestie czynili z nuncjatury – żeby nauczyć więźnia po polsku, to niechże się uczy

i z Comeniusa, i z tych to *Nowych Aten*. Sam, kartkując ów pierwszy tom, czyta z zainteresowaniem na przypadkowo otworzonej stronie:

Ciekawe, myśli przeor. Przydać się może w życiu. Takich informacji nie ma w jego pismach zakonnych. Nie wiedział, że Upupa dicit.

O tym, jak Jakub uczy się czytać i skąd się wzięli Polacy

Na miejsce lekcji wyznaczono izbę odstąpioną przez dowódcę straży na życzenie przeora. Przyniesiono tu stoły i dwa zydelki. Stoją tu też karafka z wodą i dwa kubki żołnierskie. Są jeszcze wąska prycza i ława. W kamiennej ścianie sterczą haki, na których wiesza się odzież. Dwa małe okna wpuszczają tu niewiele światła i jest zawsze zimno. Co godzinę trzeba wychodzić na dwór, żeby się rozgrzać.

Nauczycielem został brat Grzegorz, łagodny zakonnik w średnim wieku, cierpliwy i pogodny. Co większe błędy Jakubowe, przekręcone słowa, sprawiają, że jego policzki czerwienieją – czy to z tłumionego oburzenia, czy ze wstydu. Lekcje zaczęły się od „Szczęść Boże”, trudnego i do wymówienia, i do napisania. Potem pisali *Ojcze nasz*, aż przeszli do prostych rozmów. Jako że w klasztorze brakowało książek po polsku, łacina zaś nie była im do niczego potrzebna, Jakub przyniósł bratu Grzegorzowi swoją własną, którą mu tu dostarczono, a były to *Nowe Ateny* Benedykta Chmielowskiego. Brat Grzegorz stał się prawdziwym wielbicielem tej książki i odtąd pożyczał ją ukradkiem od Jakuba, chyba z poczuciem winy, pod pretekstem przygotowania tekstów do wspólnej lektury.

Nauki odbywają się codziennie po mszy porannej, w której Jakub może uczestniczyć. Brat Grzegorz wnosi ze sobą do cuchnącej wilgocią wieży zapach kadzideł i zjełczałej oliwy, którą rozrabia się farby; często ma palce pobrudzone kolorowo, bo zaczęto wielkie malowidła w kaplicy i brat Grzegorz pomaga w mieszaniu farb.

– Jakże się waszmość miewasz? – zaczyna zawsze tą samą frazą, usadawiając się na zydlu i rozkładając przed sobą papiery.

– Niezgorzej – odpowiada Jakub. – Czekałem na brat Grzegorz niecierpliwie.

Wymówienie tego imienia nie przychodzi mu łatwo, ale w maju Jakub robi to już prawie perfekcyjnie.

– Brata Grzegorza – poprawia go zakonnik.

Zaczynają od rozdziału dziesiątego, *O Polskim Królestwie*.

> W Sarmacyi jako Perła kosztowna wydaje się POLSKIE KRÓLESTWO, ze Słowieńskich Narodów naysławniejsze. Polska ta nazwała się od pola, na którym żyć i umierać lubili Polacy; albo też a Polo Arctico, to jest od Północnej gwiazdy, ku której nadało się Królestwo Polskie, jako Hiszpania nazwana Hesperia od gwiazdy Zachodniej Hesperus. Innym się zda, że imię to nadano Polakom od Zamku Pole olim[14] na granicach pomorskich będącego. Jest to i to zdanie Autorów, że Polacy niby Polachy, to jest po Lechu potomkowie zwać się powinni. Paprocki zaś ingeniose racjonuje, że za Mieczysława I Xiążęcia Polskiego, gdy Polacy wiarę Ś. Przyjmowali i wielkimi do Chrztu Ś. kupami przystępowali, tedy kapłani z Czechów na to wokowani pytali się: Czy jesteście polani? Id est już ochrzczeni? Tedy ci co byli ochrzczeni, odpowiadali: Jesteśmy polani, stąd Polani, czyli Poloni poszło Polakom in nomen gloriosum.

Jakub długo duka ten tekst, utyka na łacińskich wtrętach, które sobie zapisuje na boku, pewnie do dalszej nauki.

– I ja jestem p o l a n y – mówi do brata Grzegorza uczeń i podnosi oczy znad książki.

O tym, jak Jan Wołowski i Mateusz Matuszewski jako następni przyjeżdżają do Częstochowy w listopadzie 1760 roku

Obaj wyglądają na szlachciców. Zwłaszcza Jan Wołowski, który z braci Wołowskich największe zapuścił wąsy – to one dodają mu teraz powagi. Obaj ubrani w zimowe kontusze podbite futrem i ciepłe futrzane czapy,

wydają się pewni siebie i bogaci. Wiarusy patrzą na nich z szacunkiem. Wynajęli pokoje w mieście na dole, niedaleko klasztoru. Z okien widzą stromą ścianę umocnień. Po dwóch dniach czekania, pertraktacji i przekupywania zostają wreszcie dopuszczeni do Jakuba. Ten na ich widok wybucha śmiechem.

Stoją zaskoczeni. Nie tego się spodziewali.

Jakub przestaje się śmiać i odwraca się od nich. Podbiegają do niego i klękają u jego stóp. Wołowski przygotował sobie całą mowę, ale teraz nie potrafi wydobyć z siebie głosu. Mateusz zaś mówi tylko:

– Jakubie...

W końcu Jakub odwraca się ku nim i podaje im dłonie. Całują je, a on podnosi ich z klęczek. No i płaczą, trzej mężczyźni, celebrując niejako ten płacz czysty, lepszy niż jakiekolwiek słowa powitania. Potem ich Jakub przygarnia do piersi, jak chłopców, którzy nabroili, przytula, obejmując ich głowy, klepiąc ich po karkach, aż spadają im futrzane czapki z ozdobnym piórem i posłowie zamieniają się w spocone dzieci, szczęśliwe, że odnalazły drogę do domu.

Wizyta trwa trzy dni. Właściwie nie wychodzą z izby przy wieży, chyba tylko ze względu na potrzeby ciała i konieczność powrotu na noc do miasta. Przywieźli kufry i saki. Jest tam wino, są bakalie, same smakołyki. Dokładnie przejrzał je sam oficer i – dobrze usposobiony łapówką – nie odmówił prezentów, wszak bliskie Boże Narodzenie to czas miłosierdzia dla więźniów. W wielkiej, wypchanej torbie jest dla Jakuba puchowa kołdra i są wełniane szale, i skórzane papcie na chłodną posadzkę, i nawet dywanik. Kilka par skarpet, bielizna z monogramem „J.F.” (wyszywały wszystkie Wołowskie), papier do pisania i książki... Wszystko to wykładają najpierw na stół, a potem, gdy brakuje już miejsca, wprost na podłogę. Jakub najbardziej jest zainteresowany tym, co znajduje się w kilku garncach – a tam masło i gęsi smalec, i miód. W woreczkach płóciennych bułeczki z makiem, słodkie ciastka.

Świece płoną długo w noc, co nie daje spokoju Rochowi – nie może się powstrzymać, żeby tam nie zaglądnąć pod byle pretekstem. Na przykład wkłada głowę między drzwi i pyta, czy nie trzeba im gorącej wody albo piecyka z żarem, czy stary już czasem nie wygasł? Tak, chcą wody. Ale gdy im przynosi pełne konwie, zapominają o nich i woda

stygnie. Ostatniej nocy zostają w izbie przy wieży, a nad ranem słychać podniecone głosy i jakby śpiewy, potem wszystko cichnie. Rankiem wszyscy trzej zjawiają się na mszy.

Wołowski i Matuszewski opuszczają Częstochowę 16 listopada, w piękny, słoneczny i ciepły dzień. Wiozą cały kuferek listów i listy zamówień. Zostawiają wiarusom beczkę piwa kupioną w miasteczku, a oficerom tureckie fajki i najlepszy tytoń, nie licząc złota, które im dali na samym początku. W gruncie rzeczy robią jak najlepsze wrażenie.

Jeszcze w tym samym miesiącu Wołowski z Matuszewskim wyruszą pod Lublin oglądać owe Wojsławice, gdzie Kossakowska szykuje im przystań. Lecz zanim się tam wybiorą, mają się wszyscy, całą kompanią, przenieść do Zamościa, jako że to blisko Wojsławic, pod opiekę ordynata i tam czekać.

Drużbacka do Księdza Benedykta Chmielowskiego Dziekana Rohatyńskiego, Tarnów, Boże Narodzenie 1760 roku

Jako że już mi ręka nie odmawia trzymania pióra, jak to było do niedawna, winszuję Waszmości tytułu kanonika, którego się spodziewasz w przyszłym roku, w rocznicę 1760 narodzenia Pańskiego życzę Ci wszelkich błogosławieństw Jego, obyś codziennie doświadczał Jego łaskawości.

Donoszę Ci też jak najkrócej, Drogi Przyjacielu, aby się nad sprawą jakże bolesną nie rozwlekać nadmiernie i serca zbolałego nie szarpać, że zmarła w zeszłym miesiącu moja córka Marianna na zarazę, która tu przyszła ze wschodu. Wcześniej zaraza zabrała z tego świata sześć moich wnuczek, jedną po drugiej. Tak więc znalazłam się w tym strasznym położeniu, które każe rodzicowi przeżyć swoje dzieci, a babce wnuki swoje, choć przecież – wydawałoby się – sprzeczne to jest z całym porządkiem natury i sensem wszelakim. Śmierć moja, która do tej pory czaiła się gdzieś daleko, za sceną, przebrana i utrefiona, teraz zrzuciła balowe stroje i widzę ją przed sobą w całej jej postaci. Nie przeraża mnie ani nie boli. Zdaje mi się tylko, że miesiące i roki

idą teraz na opak. Bo czemu staremu pozwolono trwać, a młode trawki ścięto? Boję się przeto sarknąć czy zapłakać, jako że nie ma śmiałości, ja stworzenie, z Twórcą o tym rozprawiać, gdzie On granice swoje ustanawia, i stoję jak z kory obnażone drzewo – bez czucia. Powinnam odejść stąd i dla nikogo nie byłoby z tego powodu rozpaczy ani bólu wielkiego. Słów mi brakuje i myśli mi się rwą...

Ciężkie złote serce Elżbiety Drużbackiej ofiarowane Czarnej Madonnie

Pisze na skrawku papieru: „Jeśliś miłościwa, przywróć ich do życia”, zasypuje piaskiem i czeka, aż atrament zaschnie, potem zwija papier ciasno w rulonik. Trzyma ten rulonik w ręce, gdy wchodzi do kaplicy, a że jest zima, pielgrzymów nie ma tak wielu, więc idzie środkiem, podchodząc tak blisko, jak tylko jej wolno, jak pozwolą na to barierki. Po lewej chlipie jakiś beznogi żołnierz o zmierzwionych włosach przypominających kłąb konopi. Nie może nawet uklęknąć. Jego mundur zniszczony, guziki już dawno wymienione na inne, szamerunek oderwany i zapewne przydał się do czego innego. Za nim babina omotana w chusty, z małą dziewczynką, która ma twarz zniekształconą guzem purpurowym. Jedno oko prawie niewidoczne spod tej dzikiej materii. Drużbacka klęka koło niego i modli się do zasłoniętego obrazu.

Całą swoją biżuterię kazała przetopić na wielkie serce – nie wiedziała, jak inaczej wyrazić ból. Bo teraz ma w piersiach dziurę, musi o niej pamiętać, albowiem to miejsce boli, ciśnie. Więc odlała ze złota protezę, kulę dla serca. Składa teraz to wotum w klasztorze, mnisi wieszają je z innymi sercami. Nie wiadomo dlaczego, widok serca, które dołączyło do innych serc, wielkich i małych, niesie Drużbackiej największą ulgę, większą niż modlitwa i wpatrywanie się w czarną, nieprzeniknioną twarz Madonny. Tak wiele tu widać bólu, że ból Drużbackiej staje się częścią tego morza łez, które tu wylano. Jedna ludzka łza jest drobną częścią strumyka, który wpada do rzeczki, a potem rzeczka do większej rzeki, i tak dalej, aż w końcu, wielkim nurtem ogromnej rzeki wpływa do morza i rozpuszcza się w horyzoncie. Drużbacka w tych sercach

rozwieszonych wokół Madonny widzi niewiasty, które traciły, tracą i będą tracić swoje dzieci i wnuki. I w jakimś sensie życie jest taką ciągłą utratą. To, że coś zdobywamy, że stajemy się bogatsi, to największe złudzenie. W rzeczywistości najbogatsi jesteśmy w momencie swego urodzenia, potem już tylko tracimy. To właśnie przedstawia Madonna: początkowa całość, boska jedność nas, świata i Boga to coś, co musi zostać utracone. Zostaje po tym płaski obraz, ciemna plama twarzy, zwid, iluzja. Znakiem zaś życia jest krzyż, cierpienie, nic więcej. Tak sobie to wszystko tłumaczy.

W nocy, w domu pielgrzymim, gdzie wynajęła skromny pokój, nie może spać. Nie śpi już od dwóch miesięcy, zapada tylko w krótkie drzemki. W jednej śni jej się matka, dziwne to, bo matka nie śniła się jej ze dwadzieścia lat. Dlatego Drużbacka rozumie ów sen jako zapowiedź własnej śmierci. Siedzi u matki na kolanach, nie widzi jej twarzy. Widzi tylko wielce skomplikowany wzór na jej sukni, rodzaj labiryntu.

Kiedy następnego poranka, jeszcze przed świtem, znowu zjawia się w kościele, jej wzrok przyciąga wysoki, postawny mężczyzna w stroju tureckim, w ciemnym, zapiętym pod szyję kaftanie, z gołą głową. Ma czarne gęste wąsy i długie włosy przyprószone siwizną.

Najpierw modli się żarliwie, klęcząc – jego usta poruszają się bezgłośnie, powieki o długich rzęsach drżą przymknięte; potem kładzie się z rozpostartymi rękami na zimnej posadzce, na samym środku, tuż przed barierką, która chroni święty obraz.

Drużbacka znajduje sobie miejsce w nawie, przy ścianie, z trudem klęka, bo ból biegnący od kolan przeszywa jej stare drobne ciało. W prawie pustym kościele każde szurnięcie, każde westchnienie ulega wzmocnieniu i przechodzi w szum czy poświst, który odbija się od sklepienia, dopóki nie zagłuszy go jedna z nieregularnie intonowanych przez zakonników z chóru pieśni:

Ave regina coelorum,
Ave Domina Angelorum:
Salve radix, salve porta,
Ex qua Mundo lux est orta.

Drużbacka usiłuje znaleźć w murze jakieś rysy, jakieś spojenia między marmurowymi płytami, którymi wyłożono tu ściany, gdzie mogłaby wsunąć swój zwitek papieru. Bo jakże miałby on trafić do Boga, jak nie przez kamienne usta świątyni? Marmur jest gładki, a spojenia bezlitośnie staranne. Karteczka daje się koniec końców wcisnąć w płytką szparę, ale Drużbacka wie, że nie pobędzie tam długo. Najpewniej niedługo wypadnie i zdeptają ją tłumy pielgrzymów.

Tego samego dnia po południu ponownie spotyka owego wysokiego mężczyznę z kostropatą twarzą. Już wie, kim on jest. Chwyta go za rękaw, a ten patrzy na nią ze zdziwieniem, jego wzrok wydaje się miękki i łagodny.

– Waćpan jesteś tym uwięzionym prorokiem żydowskim? – pyta go bezceremonialnie, spoglądając na niego z dołu, bo sięga mu zaledwie do piersi.

Rozumie, kiwa głową. Jego twarz się nie zmienia; jest ponura i brzydka.

– Waćpan cuda robiłeś, uzdrawiałeś, tak słyszałam.

Nawet nie mrugnie Jakubowe oko.

– Mnie umarła córka i sześcioro wnucząt – Drużbacka rozczapierza przed nim palce i liczy: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... – Słyszałeś waćpan, żeby można było przywrócić do życia zmarłego? Ponoć to się udaje. Prorocy to potrafią. A tobie się udało kiedykolwiek, choćby z psiną marną?

25

Jenta śpi pod skrzydłami bociana

Peseле, która została już ochrzczona, wyszła za mąż za kuzyna o tym samym nazwisku, nazywa się teraz Marianna Pawłowska. Wesele odbywa się w Warszawie, jesienią 1760 roku, w smutnym czasie, kiedy Pan uwięziony jest w Częstochowie i kiedy cała machna wydaje się jakby przygięta do ziemi, niepewna i pełna lęku. A jednak jej ojciec, Izrael, teraz Paweł, też Pawłowski, jako że cała rodzina wzięła to samo nazwisko, uważa, iż żyć trzeba dalej i żenić się, i rodzić dzieci. Tego się nie uniknie. Życie jest siłą, jak powódź, jak potężny nurt wody, nie można mu się przeciwstawiać. Tak mówi, urządzając skromnymi środkami warsztat rymarski, gdzie zamierza szyć piękne portmonetki i paski z tureckich skór.

Skromny ślub odbywa się w kościele na Lesznie, wcześnie rano. Ksiądz instruował długo, jak to wszystko ma wyglądać, ale i tak Peseле i jej narzeczony, jej matka Sobla, teraz Helena, jej ojciec Paweł Pawłowski oraz wszyscy świadkowie i goście czują się niepewnie, jakby nie nauczyli się dokładnie kroków tańca, który mają tu teraz odtańczyć.

Peseле ma ze zdenerwowania oczy pełne łez, ksiądz bierze to za wzruszenie panny młodej i uśmiecha się do niej jak do dziecka. Gdyby to wypadało, pogłaskałby ją po głowie.

Stoły rozstawiono w mieszkaniu, skąd wyniesiono wszystkie inne meble. Jedzenie już czeka. Goście, zmęczeni po długiej mszy w zimnym kościele, chcieliby się rozgrzać. Gdy jedzą, Paweł Pawłowski nalewa do kieliszków wódki – na rozgrzewkę i dla ośmielenia, bo każdy, kto siedzi przy stole, w końcu ma do czynienia z czymś obcym i na razie nieprzyjemnym, co dzieje się pierwszy raz, ale już wiadomo, że odtąd będzie się powtarzać. Jakby siedzieli wokół wielkiej pustki i jedli ją łyżkami, jakby nakryte białymi obrusami stoły były czystą nicością,

a oni celebrowali jej blady chłód. To dziwne uczucie trwa przez pierwsze dwa dania i kilka kieliszków wódki. Potem zasłony w oknach zostają zaciągnięte, odsuwa się stoły pod ściany i Franciszek Wołowski z ojcem panny młodej robią drugi ślub, ten własny, swojski. Dłonie szukają dłoni, nerwy uspokajają się, gdy staje się w kole, trzymając się za ręce, i gdy pod sufit mieszkania na Lesznie wznosi się modlitwa w języku, którego Pesełe ani jej młody mąż już nie rozumieją, mówiona szeptem, tajemnicza i przedwieczna.

Pesełe-Marianna pochyla głowę jak inni i jej myśli lecą daleko, do Jenty, która została w jaskini pod Korolówką. Nie może przestać o tym myśleć. Czy dobrze zrobili, wnosząc drobniutkie ciało w głąb korytarzy, niby pod prąd czasu, do kamiennego, czarnego początku? Co mogli zrobić innego? Przed wyjazdem zaniosła Jencie orzechy i kwiaty. Okryła ją wyszywaną przez siebie kapą – miała być na ślub, ale Pesełe pomyślała, że skoro Jenta ma tam zostać, będzie za pośrednictwem tej kapy uczestniczyć w jej ślubie. Kapa jest z różowego adamaszku, wyszywana białymi jedwabnymi nićmi, ma białe frędzle. Marianna wydziergała na niej ptaka, bociana z wężem w dziobie, stojącego na jednej nodze, jak te, które przylatują do Korolówki na nadbrzeżne łąki i poważnie kroczą przez trawy. Pocałowała praprababkę w policzek, a był chłodny i świeży, jak zwykle. Powiedziała na pożegnanie: „Pan piórami swymi okryje ciebie, Jento, pod jego skrzydłami będziesz bezpieczna, jak jest napisane w Psalmie 91”. Pesełe wie dobrze, że Jencie podobałby się bocian z wężem w dziobie. Jego mocne, wielkie skrzydła, jego czerwone nogi, jego puch, jego pełen godności krok.

Teraz gdy trwa to drugie wesele, dwuimienna Pesełe, Marianna, myśli też o jednoimiennej siostrze Frejnie, tej, którą najbardziej kochała z rodzeństwa i która została w Korolówce ze swoim mężem i dziećmi. Obiecuje sobie, że już wiosną znowu ją odwiedzi i będzie tak robić co roku; przysięga na swój własny grób.

Jenta, która to widzi spod bocianiego skrzydła, z góry, jak zwykle, wie już, że nie da się dotrzymać tej przysięgi.

O tym, jak Jenta mierzy groby

Wzrok Jenty unosi się także nad Częstochową, małym miasteczkiem przytulonym do wzgórza, nad którym panuje Madonna. Ale Jenta widzi tylko dachy – tutaj równe dachy klasztoru jasnogórskiego kryte właśnie nowiutką dachówką, a tam niżej marne dachy chałupek i domów pokryte gontem drewnianym.

Niebo jest wrześniowe – chłodne i dalekie, słońce powoli robi się pomarańczowe i żydowskie kobiety z Częstochowy umawiają się na drodze do żydowskiego cmentarza, schodzą się tam teraz, te starsze, ubrane w grube spódnice, zmawiają się półszeptem, czekają na siebie.

W straszne dni między Rosz ha-Szana a Jom Kippur odbywa się Kvarim mesn – mierzenie grobów. Kobiety wymierzają sznurkiem cmentarze, sznurek nawija się na szpulkę, a potem robi się z niego knoty do świec; niektóre używają go potem do wróżb. Każda z nich mruczy pod nosem modlitwę, wyglądają jak czarownice w szerokich, marszczonych spódnicach, o które zaczepiają kolce jeżyn i które szeleszczą wśród suchych żółtych liści.

Jenta sama kiedyś mierzyła groby, wierząc, że to obowiązek każdej kobiety – zmierzyć, ile jest wciąż miejsca dla zmarłych (i czy jest jeszcze miejsce), zanim urodzi się nowych żywych. Jest to swego rodzaju buchalteria, którą zajmują się kobiety, zresztą zawsze lepiej im idą rachunki.

Po cóż jednak mierzyć groby i cmentarze? Przecież nie ma zmarłych w grobach – Jenta wie to dopiero teraz, ale wcześniej utopiła w wosku tysiące knotów. Groby są nam całkowicie nieprzydatne, bo zmarli je ignorują i włóczą się po świecie; są wszędzie. Jenta widzi ich cały czas, jakby przez szkło, bo choćby bardzo tego pragnęła, sama nie może do nich wejść. Gdzie to jest? Trudno powiedzieć. Patrzą na świat jakby zza szybki, przyglądają mu się i ciągle coś by od tego świata chcieli. Jenta próbuje zrozumieć, co znaczą te miny, co znaczą te gesty, i w końcu wie: zmarli chcieliby, żeby o nich mówiono, tego są głodni, to jest ich strawa. Chcą od żywych uwagi.

I jeszcze jedno dostrzega Jenta – że ta uwaga jest niesprawiedliwie rozłożona. O jednych mówi się wiele, wypowiada się na ich temat

mnóstwo słów. O innych nie mówi się wcale, ani słowa, ani słóweczka. Ci drudzy w końcu gasną, odsuwają się od szyby, znikają gdzieś w tyle. Jest ich bardzo wielu, całe miliony, zupełnie zapomnianych, nikt nie wie, że żyli na ziemi. Nie zostało po nich nic i dlatego szybciej uwalniają się i odchodzą. Może to i dobrze. Jenta też by odeszła, gdyby mogła. Gdyby nie trzymało jej wciąż to potężne słowo, które połknęła. Nie ma już ani papierka, ani śladu sznurka, wszystko rozpełzło się i najmniejsze cząstki światła wsiąkły w materię. Pozostało tylko to słowo jak kamień, którym ją przywiązał lekkomyślny Elisza Szor.

Sam stary Szor odszedł niedawno, widziała, jak przemknął obok niej – wielki mędrzec, ojciec pięciu synów i jednej córki, dziadek mnóstwa wnuków – teraz rozmazana smuga. Widziała też małe dziecko – przemknęło równie szybko. To mały Emanuel, synek Jakuba i Chany, miał ledwie rok.

List z tą wiadomością przemycił Jakubowi Kazimierz. Napisała go Chana po turecku, ogólnikami, jakby w wielkiej tajemnicy. A może ze wstydem, że im się to zdarzyło? Przecież mieli nie umierać. Jakub czyta go kilka razy. Za każdym razem wstaje i zaczyna krążyć po izbie. Z listu wypada karteczka mała, krzywo wycięta, a na niej czerwoną farbką namalowane zwierzę jakieś. Piesek jakby kudłaty. Na dole napisano: Rutka. Domyśla się, że to od córki, i dopiero wtedy coś ściska go za gardło i do oczu napływają łzy. Ale nie płacze.

List Nachmana Jakubowskiego do Pana w Częstochowie

Dopiero następny list wytrąca Jakuba z równowagi. Od pierwszych słów drażni go jego ton; słyszy głos Nachmana, płaczliwy, żałosny, jakby skomlenie psa. Gdyby Nachman tu był, Jakub uderzyłby go w twarz i patrzył, jak płynie mu z nosa krew. Dobrze, że nie pozwolił temu zdrajcy podejść pod okienko, kiedy tu się zjawił.

...Jakubie, nazywam się przecież teraz Piotr Jakubowski i to moje imię świadczy, jak bardzo jestem Twój. Serce mi o mało nie pękło, gdy stałem tu, tak blisko Ciebie, bez możności zobaczenia Cię ani usłyszenia. Musiała mi pozostać na pocieszenie myśl, że jesteś tak blisko i oddychamy tym samym powietrzem, podszedłem bowiem pod ten wysoki mur, jaki oddziela Twoje więzienie od miasteczka. Zdał mi się on prawdziwą ścianą płaczu. Ze smutkiem dowiedziałem się o Twojej ciężkiej chorobie i wyobrażam sobie samotność, jaką musisz tu znosić, tak przecież będąc nienawykły do braku wokół Ciebie ludzi.

Ty wiesz, że ja Cię nieodmiennie miłuję i gotów jestem poświęcić Ci wszystko. Jeżelim powiedział coś przeciwko Tobie, to nie ze złej mojej woli, ale z głębokiego poczucia sensu Twojej misji, naszego powołania, które mi całkowicie zagarnęło umysł. Przyznaję się także do strachu, który mnie, tchórzliwego, mocą swoją prawie zwalił z nóg. Ty wiesz, jak bardzo jestem marny, choć nie dla tej marności uczyniłeś mnie swoją prawą ręką, ale dla zalet, które ośmieliłbym się Ci przypomnieć, gdyby nie to, żem Cię musiał opuścić.

Jakub ze złością rzuca list i spluwa. Głos Nachmana milknie w jego głowie, ale nie na długo. Jakub podnosi list i czyta dalej:

Tak jak i wielu z nas, którzyśmy teraz schronili się a to w stolicy, a to pod skrzydłami możnych i tam próbujemy żyć, i własnymi rękoma utrzymać się, wierząc w Twój rychły powrót i codziennie czekając Twego przyjścia do nas...

Sam nam kiedyś w Iwaniu mówiłeś o dwóch rodzajach ludzi. O jednych powiedziałeś, że to są ci czarni, którzy wierzą, że świat jaki jest, jest zły i niesprawiedliwy i że trzeba się umieć do tego przystosować, i podjąć grę, stać się takim samym jak ten świat. Co do drugich twierdziłeś, że to są ci jaśni, co wierzą, że świat jest zły i straszny, ale zawsze można go zmienić. I samemu nie upodobniać się do świata, ale być w nim obcym i rozkazać mu, by się nam poddał i zmienił na lepsze. Przypominało mi się to właśnie, gdy stałem pod tym wysokim murem. I chyba, Jakubie, należę do tych pierwszych. Straciłem wolę życia bez Twojej przy mnie obecności. Myślę też, że wielu podobnie zareagowało na Twoje zniknięcie. Dopiero teraz widzimy, jak bolesna jest Twoja nieobecność. Niech nas Bóg osądzi; myśleliśmy, żeśmy Cię zabili.

Przybyłem prosto z Warszawy, gdzie liczni spośród nas osiedli w zupełnym otępieniu, nie wiedząc, co się z Tobą stało. Najpierw wielu, w tym ja, podążyło

za Twoją Chaną do Kobyłki pod Warszawą, wioski w dobrach biskupa Załuskiego, co nam ją przygotowało pani Kossakowskiej poruczenie. Było tam jednak i ciasno, i ponuro, dom biskupi zaniedbany, a służba biskupia nam niechętna, tak że powoli, jako że blisko do Warszawy, niektórzy zaczęli na własną rękę szukać tam zaczepienia, żeby bezczynnie na biskupim garnuszku nie siedzieć i po obcych domach się nie tułać. Ci, co by chcieli wrócić na Podole, jak Rudniccy, zaraz się opamiętali. Hirsz, czyli Rudnicki, pojechał sprawdzić, czy byłoby to możliwe, ale szybko sobie uprzytomnił, i my za nim, że tam nic już na nas nie czeka i do wsi naszych i domów powrócić nie możemy. Wszystko przepadło. Rację miałeś, że my robimy krok w przepaść, idąc na chrzest. I zrobiliśmy, teraz byliśmy jakby zawieszeni w spadaniu, nie wiedząc, dokąd spadamy oraz kiedy to spadanie się skończy i czym. Czy rozbijemy się na miazgę, czy ocalejemy? Zdrowi będziemy czy połamani?

Pierwsze, co się zaczęło, to obwinianie. Co kto powiedział i kiedy. Wykorzystano nasze słowa przeciwko Tobie, ale nie byliśmy niewinni. Wielu z nas po chrzcie chwyciło się nowego życia jak skarbu jakiego. Zmieniliśmy ubiór i schowaliśmy nasze zwyczaje głęboko do szaf, by udawać kogoś, kim wcale nie jesteśmy. Tak zrobił Krysa. Krysiński wżenił się w chrześcijańską rodzinę i już nawet nie trzyma z nami interesów. Staliśmy się znowu obcy, bo nawet w najlepszych ubraniach, z krzyżem na piersi, gładko ogoleni i grzeczni, kiedy tylko otworzymy usta, rozpoznaje się nas po naszej wymowie. Uciekając więc od swojej obcości, pogardzanej i wyszydzanej, zaczęliśmy teraz być niczym kukły między ludźmi.

Powoli stajemy się samolubni i obojętni, i choć kompania trzyma się razem, to jednak najważniejsze stały się sprawy bytowe: jak przetrwać, jak poradzić sobie na tej wojnie, jak dzieciom dostarczyć jedzenia i dachu nad głową. Wielu z nas już by się chwyciło za jaką robotę, ale nie ma jak, bo nie wiadomo, czy tu zostaniemy, co też Pani Dobrodziejka Kossakowska umyśli dla nas i czy warto z nią trzymać. Ci, co mają złoto, jakoś sobie radzą, jak Wołowscy, którzy zainwestowali już w Warszawie, lecz inni, ci biedni, z którymi rozkazywałeś się dzielić w Iwaniu, teraz muszą się o tę pomoc dopraszać. I jeżeli taka sytuacja potrwa dłużej, to się rozsypiemy, jakby kto dmuchnął w garść piasku.

Pozycja nasza jest niewątpliwie lepsza, niż kiedyśmy byli zwykłymi Żydami. Wołowscy i inni uszlachceni mają się najlepiej, lecz wielu nie stać na bakszysz za tytuł. Franciszek ma z bratem gorzelnię na Lesznie, ale teraz przynosi im ona większe dochody, jako że zdobyli nowych nabywców. Smetankes od Nussena

właśnie otworzył sklep z wyrobami skórzanymi, ciągnie tam towar z Turcji i sam widziałem piękne damy, które kupowały u niego rękawiczki. Oni sobie dadzą radę. I ich najbliżsi krewni, jak Rudniccy czy Lanckorońscy, nie wiem, jak się w końcu nazwali. Choć mąż Chai, Hirsz, stary się zrobił i chory. Chaja jest wielką damą, my jej tutaj staramy się doglądać, ale ona się do takiej tułaczki nie nadaje. Dobrze, że ma córki mądre i zaradne.

Wołowscy dzieci swe od razu oddali do szkół zakonnych, chcą je kształcić nie na kupców, ale raczej na oficerów i prawników. Namawiają na to innych, ale nie każdego stać na takie wydatki. Tak jak kazałeś, żenimy swoje dzieci między sobą, i tak Franciszek Wołowski ożenił teraz swojego syna Jędrzeja z córką swojego brata Jana, nie pamiętam, jak ma na imię ta dziewczyna. Zaślubiny będą jednak tylko na razie i nasze, bo według prawa polskiego są niepełnoletni i jako tacy pobrać się jeszcze nie mogą.

O prawo widzenia z Tobą stara się Chana nieustannie, listy od niej dostajesz, to wiesz o tym. Wielką jej pomocą jest baba, czyli Kossakowska, która obiecała wyjednać widzenie u samego króla, ale kiedy król zjedzie do Warszawy, tego my nie wiemy.

Staram się Chanę pocieszyć po śmierci Emanuela, ale ona mnie nie lubi. Trzyma się ze Zwierzchowskimi i to oni dbają bardzo o Awaczunię. Baba Kossakowska zajmuje się Chaną jak córką. Planuje osadzić ją w swoich dobrach, dać jej dach nad głową i utrzymanie, a Awaczy dobre wykształcenie. Mała ma od niej, czego tylko zapragnie. Nie musisz się o nią troszczyć, to mądra dziewczynka i jako że Bóg zabrał Ci syna jedynaka, ona musi Cię pocieszyć. Teraz ma nauczyciela, który uczy ją grać na fortepiano.

Skoro jest możliwość przekazywania listów, będę wysyłał z Warszawy posłańca co dziesięć dni. I wierzę, że wszelka zadra zniknie z Twego serca i rana się zagoi, bośmy wszyscy biedni i głupi, rzuceni w coś, czego zrozumieć nie potrafimy, a tylko Ty jeden ogarniasz to myślą.

Na koniec powiem Ci, że ja rozumiem to, co się stało, tak: Tyś musiał iść do więzienia, aby się wszelkie proroctwa wypełnić mogły – Mesjasz musi upaść najniżej, jak tylko się da. I kiedym Cię zobaczył, wyprowadzanego, z twarzą posiniaczoną, gdyś rzekł do nas: „Plujcie na ten ogień”, zrozumiałem, że tak właśnie miało być i maszyna zbawienia wskoczyła w swój właściwy tryb,

niczym zegar, co odmierza eony czasu – Tyś musiał upaść, a ja musiałem Cię odepchnąć.

Jakub leży na wznak na pryczy w izbie u dołu wieży twierdzy częstochowskiej, list, który trzymał, spada na podłogę. Przez malutkie okienko, lepsze do strzelania niż wyglądania, widzi gwiazdy. Znajduje się jakby wewnątrz głębokiej studni, skąd gwiazdy są widoczne lepiej niż z powierzchni ziemi, studnia bowiem działa jak luneta, która przybliża ciała niebieskie i sprawia, że wydają się na wyciągnięcie ręki.

Stamtąd patrzy na Jakuba Jenta.

Wieża stoi w fortecy ogrodzonej wysokimi murami, forteca zaś na wzgórzu, u którego podnóża leży ledwie widoczne w ciemnościach, marnie oświetlone miasteczko. I wszystko to mieści się w pofałdowanej krainie, którą porastają gęste lasy. A jeszcze dalej rozciąga się wielka nizina w środku Europy, którą oblewają wody mórz i oceanów. W końcu sama Europa widziana z wysokości, na której jest Jenta, staje się wielkości monety, a z ciemności wyłania się majestatyczna krzywizna planety, jak świeżo wyłuskany z łupiny zielony groszek.

Podarunki od Beszta

Nachman, Piotr Jakubowski, który ostatnio rzadko wychodzi z kantorka, pogryza świeże strąki zielonego groszku, który przyniósł mu tutaj jego syn Aron. Wyciągnął je z kieszeni zmięte i połamane, ale wciąż są smaczne i chrupiące. Aron przyszedł pożegnać się z ojcem, wraca do Buska, żeby tam, jak kiedyś jego ojciec, dołączyć do karawany wyruszającej do Turcji po tytoń i szlachetne kamienie. Jakubowski rzadko go widuje; chłopiec został w Busku z matką i dziadkami, gdy rozwód doszedł do skutku. Ale jest z niego dumny. Trzynastoletni Aron, podobny do matki, przysadzisty i śniady, przypomina Turka. Już się wyuczył tureckiego. Zna też niemiecki, jako że z Osmanem Czerniawskim jeździł do Wrocławia i Drezna.

Nachman skończył właśnie pisać list i teraz składa go bardzo starannie. Aron rzuca okiem na tureckie znaki, pewnie domyśla się, do kogo pisze ojciec.

Ściskają się i całują w usta, jak to ojciec z synem. W drzwiach Aron ogląda się przez ramię i patrzy na ojca, drobnego, chudego, o zmierzwionych włosach i w podartym chałaciku. Potem znika.

Tegoż 1760 roku umarł Baal Szem Tow, ale Jakubowski nie napisał o tym Jakubowi. Jakub nie szanował chasydów, mówił, że to durnie, ale Beszta chyba się bał. Za każdym razem, gdy okazywało się, że przechodzą do niego ludzie od Beszta, nie krył satysfakcji. A było ich całkiem sporo.

Teraz mówią, że Beszt umarł, bo pękło mu serce na wieść o setkach chrztów Żydów. I że pękło mu serce z powodu Jakuba Franka. Jakubowski nie jest jednak pewny – może ta wiadomość ucieszyłaby Franka? Może mu o tym napisać?

Jakubowskiego zatrudnił Szlomo, Franciszek Wołowski, w kantorku przy zliczaniu beczek piwa. Nie ma z tym wiele roboty, bo browar dopiero zaczyna. Jakubowski zlicza transporty, pełne i puste beczki, ekspediuje towar na całe miasto i do oberży podmiejskich. Najpierw wyprawiał go Wołowski pod Warszawę, by tam znajdował nabywców, ale zrezygnował z niego. Nachman, czyli Piotr Jakubowski, nawet przebrany w kontusz wygląda jakoś niemrawo, nieprzekonująco. Żydzi od przechrzty kupować piwa nie chcą, nie-Żydzi zaś patrzą podejrzliwie na tego drobnego rudzielca o urodzie kury. Tak właśnie mówi o nim Franciszek – że Nachman jest podobny do kury. Jakubowski słyszał to raz i zrobiło mu się przykro. Sam by o sobie myślał raczej, ze względu na swoje rudawe włosy i bystrość, że podobny jest do lisa.

Prawda jest taka, że nie czuje się od jakiegoś czasu dobrze ani ze sobą, ani z kompanią. Ostatnio myślał, żeby rzucić to niespokojne czekanie w Warszawie na jakiś cud i ruszyć na wschód, do Międzyboża, ale potem umarł mały Emanuel, a pierwsza myśl, jaka pojawiła się w głowie Nachmana, była taka, że to Beszt zabrał małego ze sobą, że jest w tym jakiś sens. Beszt wziął malca na ręce i zaniósł tam, w noc –

żeby go od nich uchronić. Tak Nachman-Jakubowski pomyślał i nawet z drżeniem serca zapisał to na marginesie swej książki.

Niedawno w Warszawie opowiadano, że kiedy już jakiś czas temu Baal Szem Tow spodziewał się w czasie choroby, iż umrze, kazał zgromadzić się przy sobie wszystkim swoim uczniom i rozdawał im przedmioty, których dotąd sam używał. Jednemu dał tabakierkę, drugiemu szal modlitewny, innemu ukochany psałterz, ale dla ulubionego ucznia nic już z jego własności nie pozostało. Wtedy Beszt powiedział, że oddaje mu oto swoje historie: „Będziesz wędrować po świecie, żeby ludzie mogli te historie usłyszeć". Uczeń ów, prawdę mówiąc, niezbyt był zadowolony z takiego dziedzictwa, był bowiem biedny i wolałby dostać coś materialnego.

Zapomniał jednak o tym i żył biednie jako mleczarz. Aż razu pewnego do jego wsi doszła wiadomość, że jakiś bogaty człowiek w dalekim kraju wiele zapłaci za usłyszenie jakichś historii o Beszcie. Wtedy sąsiedzi mleczarza przypomnieli mu o jego spadku i wyprawili go w drogę. Kiedy przybył na miejsce, okazało się, że tym łaknącym opowieści jest sam przewodniczący gminy, człowiek majętny, lecz smutny.

Zorganizowano małą ucztę, na którą zaproszono znacznych gości, usadzono mleczarza pośrodku i po obfitym poczęstunku, gdy zrobiło się już cicho, poproszono, żeby zaczął. A on otworzył usta, nabrał powietrza – i nic. Wszystko zapomniał. Usiadł, skonfundowany, a goście nie kryli swojego rozczarowania. Tak samo było następnego wieczoru. I następnego. Wyglądało na to, że mleczarz stracił mowę. Dlatego wielce zawstydzony, po cichu zebrał się do odjazdu. Gdy siedział już na wozie, nagle coś się w nim przełamało i cała jego wielka dotąd pamięć pełna opowieści wydała z siebie jedno małe wspomnienie. Uchwycił się tego drobnego zdarzenia i kazał wstrzymać konie. Zeskoczył z wozu i powiedział do żegnającego go chłodno gospodarza: „Coś mi się przypomniało. Jedno małe zdarzenie. Nic wielkiego...".

I zaczął mówić:

„Razu pewnego Baal Szem Tow zerwał mnie w nocy ze snu i kazał zaprzęgać konie, a potem ruszać z nim do odległego miasteczka. Tam wysiadł przed pewnym bogatym domem przy kościele, gdzie wciąż

świeciło się światło, i zniknął w nim na pół godziny. Gdy wrócił, był nieco wzburzony i kazał mi wracać”.

Tu ów mleczarz znowu się zaciął i zamilkł. „I co? I co było dalej?” – pytali go inni, ale wtedy, ku zaskoczeniu wszystkich, ów przewodniczący gminy wybuchnął płaczem, szlochał głośno i nie mógł się opanować. Dopiero po chwili, gdy przyszedł do siebie, rzekł: „To ja byłem tym człowiekiem, któremu Baal Szem Tow złożył wizytę”. Wszyscy, niczego nie rozumiejąc, domagali się wzrokiem wyjaśnień.

Przewodniczący gminy mówił więc dalej: „W tamtym czasie byłem chrześcijaninem, byłem ważnym urzędnikiem. Do moich obowiązków należało organizowanie przymusowych nawróceń. Kiedy Baal Szem Tow wtargnął do mnie tamtej nocy, zerwałem się od stołu, na którym podpisywałem rozporządzenia. Zdziwił mnie widok tego brodatego chasyda, który na dodatek zaczął na mnie krzyczeć po polsku: «Jak długo jeszcze?! Jak długo to ma trwać?! Ile jeszcze każesz cierpieć własnym braciom?». Patrzyłem na niego zdumiony, myśląc, że starzec oszalał i pomylił mnie z kimś innym. On zaś nie przestawał krzyczeć: «Czy nie wiesz, że jesteś ocalonym żydowskim dzieckiem, przygarniętym i wychowanym przez polską rodzinę, która ukrywała zawsze przed tobą twoje prawdziwe pochodzenie?!».

Zanim święty mąż zniknął, tak samo nagle, jak wszedł, ogarnęło mnie wielkie pomieszanie oraz żal i poczucie winy. «Czy możliwe jest, żeby mi wybaczono to wszystko, co zrobiłem przeciwko swoim braciom?» – zapytałem drżącym głosem. Wtedy Baal Szem Tow odrzekł: «W dniu, kiedy ktoś przyjdzie i opowie ci tę historię, będziesz wiedział, że ci wybaczono»”.

Jakubowski też chciałby, żeby ktoś zawitał do niego z jakąś opowieścią. Żeby mu wybaczono.

Modrzewiowy dwór w Wojsławicach i zęby Zwierzchowskiego

Sam dworek przebudowano latem. Dostał nowy dach, więźbę nową i modrzewiowy gont. Pokoje przemalowano, piece wyczyszczono, a jeden postawiono od nowa, z pięknych białych kafli, które tu przyjechały aż spod Sandomierza. Pokoi jest sześć, w tym dwa przeznaczono dla Imości, Chany z córeczką, w innych rozlokowały się kobiety, które Chanie towarzyszą i które jej usługują. W jednym mieszka rodzina Zwierzchowskich. Bawialni żadnej nie ma, spotykają się w dużej kuchni, gdzie jest najcieplej. Reszta kompanii przemieszkuje w folwarku, w złych warunkach, bo to domy przegniłe i wilgotne.

Najgorsze jest od początku to, że boją się chodzić do miasteczka. Patrzą tam na nich spod oka – i Żydzi, którzy obsiedli cały mały ryneczek i prowadzą handle, i goje też są im wrodzy. Od początku ktoś im maluje czarne krzyże na drzwiach dworku, nie wiadomo, kto to robi i co one znaczą. Dwa skrzyżowane ze sobą pociągnięcia pędzlem robią złowrogie wrażenie.

Którejś nocy ktoś podpala szopę i szczęście, że zaczyna padać śnieg i ogień gasi.

Zwierzchowski z Piotrowskim jeżdżą do baby, Kossakowskiej, która teraz baczy na nich z pałacu kuzynów Potockich w Krasnymstawie, i skarżą się na bezczynność.

– Z handlem musimy jeździć do Krasnegostawu, a nawet Zamościa, bo tu nas nie wpuszczają. Mieliśmy kram na jarmarku, to go nam w śnieg wywrócono i wiele towaru rozkradziono i zniszczono – mówi Piotrowski, podążając wzrokiem za babą, która chodzi po pokoju tam i z powrotem.

– Furkę nam rozebrano i teraz nawet nie mamy czym jeździć – dodaje po chwili Piotrowski.

– Imość boi się z domu wyjść – odzywa się Zwierzchowski. – Musieliśmy straż własną po sadzie porozstawiać. Ale co to za straż, to prawie same kobiety, dzieci i starcy.

Po ich wyjściu Kossakowska wzdycha do swojej ciotecznej siostry Marianny Potockiej:

– Ciągle mają jakieś roszczenia. A to niedobre, a to złe. Wzięłam sobie kłopot na głowę. Sam piec mnie majątek kosztował.

Kossakowska nosi żałobę po mężu. Zmarł w Boże Narodzenie. Śmierć męża, nagła i niepotrzebna (zaziębił się, chodząc do psiarni, gdy szczeniła się jego ukochana suka), pogrążyła ją w dziwnym stanie, jakby znalazła się w garncu smalcu. Czego tylko próbuje się uchwycić, to rozłazi jej się w rękach. Daje krok i zaraz grzęźnie. Mówiła o nim do Agnieszki „ten kuternoga", a teraz czuje się zupełnie bezradna. Pogrzeb odbył się w Kamieńcu i zaraz stamtąd przybyła do Krasnegostawu; wie, że do Kamieńca już nie wróci.

– Ja im już pomóc nie mogę – tłumaczy się Kossakowska Mariannie.

Na to Potocka, starsza już kobieta, bardzo świętobliwa, mówi:

– A co ja dla nich mogę jeszcze zrobić? Chrztów już wiele wyprawiłam, dwór razem wyszykowałyśmy...

– To już nie o datki idzie – mówi Kossakowska. – Z tego, co do mnie dochodzi z Warszawy, mają oni wrogów potężnych, w ogromne zaopatrzonych środki, co nie tylko pełnymi kiesami złota szafują. Zdziwiłabyś się – zawiesza na chwilę głos, a potem wykrzykuje: – U ministra Brühla! Ten, jak wiadomo, dobrze z Żydami trzyma i państwowe pieniądze u nich deponuje. Co ja, mała Kossakowska, poradzę, jak biskup Sołtyk nic zaradzić nie umiał? – Kossakowska pociera zmarszczone czoło. – Tutaj trzeba by jakiego mądrego...

– Napisz im – mówi do Katarzyny Marianna Potocka – że trzeba im siedzieć cicho i czekać cierpliwie. I jeszcze dobrym przykładem świecić tym innym Żydom niewiernym, co trwają w błędzie swoim grzesznym.

Dzieje się to wiosną 1762 roku. Wieje gęsty od wilgoci przedwiosenny wiatr. Podgniwa w piwnicy cebula, w mąkę wdał się grzyb. Na drzwiach pojawiają się znowu czarne krzyże, jakby były formą przednówkowej, pokracznej flory. Gdy ktoś z podopiecznych Kossakowskiej wybierze się na rynek, Żydzi plują mu w twarz i zamykają przed nim sklepy. Goje tych ludzi poszturchują i wołają za nimi: ciapciuchy. Mężczyźni wdają się nieustannie w bójki. Ostatnio kawalerka z miasteczka napadła Zwierzchowskiego i jego kilkunastoletnią córkę, gdy wracali furką

z Lublina. Dziewczynę wyobracali, a ojcu wybili zęby. Zwierzchowska pozbierała je potem z błota, przyniosła do dworu, i pokazała wszystkim na wyciągniętej dłoni. Trzy zęby – zła wróżba.

Kilka dni po tym wydarzeniu dziewczyna powiesiła się, ku rozpaczy rodziców.

O kaźni i klątwie

Rozwiązanie jest proste, zdaje się wisieć w powietrzu. Jest tak oczywiste, że nawet trudno będzie znaleźć autora pomysłu. Sprawa przedstawia się tak:

Oto tuż przed świętami wielkanocnymi jakaś kobieta ubrana po żydowsku, z zawojem na głowie, w marszczonych spódnicach i chustą na ramionach, idzie do miejscowego księdza i przedstawia się jako żona rabina wojsławickiego. Mówi niewiele, tylko tyle, iż podsłuchała, jakoby jej mąż z innymi zabił dziecko dla krwi chrześcijańskiej, jako że zbliża się Pascha i krew potrzebna jest do świątecznej macy. Księdza zatyka. Kobieta jest zbyt wzburzona i zachowuje się dziwnie, nie patrzy mu w oczy, chodzi nerwowo od ściany do ściany, zasłania twarz. Ksiądz jej nie wierzy. Odprowadza ją do drzwi i radzi, żeby się uspokoiła.

Następnego dnia ów proboszcz, poruszony jednak własnym niepokojem, jedzie do Krasnegostawu do pani Marianny Teresy Potockiej i jej bliskiej krewnej Katarzyny Kossakowskiej, i jeszcze tego samego dnia we trójkę zgłaszają tę niecodzienną sprawę w sądzie. Śledztwo rusza.

Śledczy znajdują ciało bez większego wysiłku, leży ukryte pod gałęziami niedaleko domu rabina. Skóra dziecka jest pokłuta, lecz nie posiniaczona. Drobne ranki na nagim ciele ciemnowłosego, może trzyletniego Mikołaja wyglądają nierealnie, jak płytkie zagłębienia zaledwie, które nigdy nic wspólnego nie miały z krwią. Wieczorem aresztowani zostają dwaj rabini z Wojsławic, Sender Zyskieluk i Henryk Józefowicz, żona tego pierwszego oraz jeszcze kilkanaścioro z gminy wojsławickiej. Ksiądz szuka tej tajemniczej drugiej rabinowej, żeby zeznania potwierdziła, ale jej nie znajduje. Drugi rabin był bowiem

wdowcem. Na torturach, którym wszystkich aresztowanych natychmiast poddano, przyznają się oni do kilkunastu morderstw, do rabowania kościołów i znieważenia hostii, wkrótce okazuje się, że cała gmina żydowska w miasteczku Wojsławice, w liczbie osiemdziesięciu osób, to mordercy. Obaj rabini i jeszcze Lejb Moszkowicz Sienicki oraz Josa Szymułowicz, torturowani, przyznają się jak jeden mąż, że to oni zabili chłopczyka, a po wytoczeniu z niego krwi rzucili ciało na pożarcie psom.

Potwierdzają to wszystko przybysze: Zwierzchowska, oboje Piotrowscy, Pawłowski i Wołowscy, posługując się pismami z „punktu siódmego". Dowód robi na sądzie wielkie wrażenie, tak że następnego dnia o mało co nie dochodzi do linczu. Kossakowska zaklina Sołtyka, żeby przyjechał – i ten w końcu się zjawia, jako specjalista od tego typu problemów. Instruuje obie kobiety, Kossakowską i Potocką, jak na te sprawy patrzeć należy. Kossakowska, która zeznaje jako jedna z ostatnich, mówi o krzyżach na domach i prześladowaniu przybyszów. Proces trwa długo, bo wszyscy chcą się o nieprawości żydowskiej dowiedzieć jak najwięcej, czytane są więc książeczki, głównie Serafinowicza, który sam będąc kiedyś Żydem, zmienił wiarę i po latach przyznawał się do zbrodni żydowskich, a także księdza Pikulskiego i Awedyka. Sprawa wydaje się jasna i oczywista, nic dziwnego, że wszyscy oskarżeni skazani zostają na śmierć przez poćwiartowanie. Tylko tym, którzy zdecydują się na chrzest, karę łagodzi się litościwie – będą ścięci. Dlatego czterech decyduje się na chrzest i ci, tuż przed ścięciem, zostają uroczycie ochrzczeni w kościele, a po śmierci z wielką pompą pochowani na chrześcijańskim cmentarzu. Senderowi Zyskielukowi udaje się powiesić w celi i – jako że uniknął prawdziwej kary – jego ciało jest włóczone po ulicach Krasnegostawu, a potem spalone na rynku. Nie pozostaje nic innego, jak resztę Żydów wypędzić z miasta. Rabin Zyskieluk, zanim się powiesił, rzucił na całe miasteczko klątwę.

Latem zaczynają w wojsławickim dworze i folwarku chorować dzieci, ale tylko dzieci neofitów, chłopskich się ta zaraza nie ima. Umiera ich kilkoro. Najpierw – dziewczynka od Pawłowskich, kilkumiesięczna,

potem Wojtuś Majewski, a potem jego siostra, siedmioletnia. I do sierpnia, kiedy są największe upały, chyba nie ma rodziny, której by taka dziecinna śmierć nie dotknęła. Kossakowska woła lekarza z Zamościa, ale ten nie umie pomóc. Każe kłaść gorące okłady na plecy i piersi. Udaje mu się uratować malutką Zosię Szymanowską tylko dlatego, że robi jej nożem dziurę w gardle, kiedy zaczyna się dusić. Jest to choroba, która przenosi się z dziecka na dziecko – najpierw kaszle, potem dostaje gorączki i dusi się od kaszlu. Kossakowska przychodzi na ich małe, skromne pogrzeby. Kopią grobki na katolickim cmentarzu w Wojsławicach, nieco z dala od reszty grobów, świadomi swojej inności. Pod koniec sierpnia już prawie codziennie jest jakiś pogrzeb. Marianna Potocka jest tak przerażona, że każe zbudować na pięciu rogatkach miasteczka kapliczki; będą je strzegły przed siłami złego: święta Barbara przeciw burzom i pożarom, święty Jan Nepomuk przeciwko powodziom, święty Florian przeciwko ogniowi i święta Tekla przeciw wszelkim zarazom. Piąta kapliczka poświęcona jest Michałowi Archaniołowi, który ma chronić miasteczko od wszelkiego złego, uroku i klątwy.

Umiera też najstarszy Łabęcki, Mosze, i zostawia młodziutką żonę, Tereskę, w wysokiej ciąży. Podobno na dachu domu, kiedy ktoś w nim umrze, rozsiada się wielki czarny kruk. Nikt nie ma wątpliwości, że to działa klątwa i że jest potężna i złowroga. Kiedy nie ma Moszego Łabęckiego, który umiał zdejmować cheremy i zwracać je do źródła, z którego wyszły, wszyscy czują się bezbronni. Zdaje się im, że teraz zginą wszyscy. Dlatego przypomina im się Chaja Hirszowa, teraz Lanckorońska, czy może Rudnicka, prorokini. Imość Chana sama pisze do niej list z gorącą prośbą o wróżbę, co będzie dalej. Wysyła dwóch posłańców: z listami do Jakuba w Częstochowie oraz do kompanii i Chai w Warszawie, ale nie ma odpowiedzi. Posłańcy jakby przepadli.

Jak wróży Chaja

Chaja, gdy mówi obcymi głosami, ma zawsze przed sobą namalowaną na desce mapę. Są tam znaki przeróżne, tajemne i jakby drzewo sefirot,

tylko poczwórne; wygląda jak nadzwyczaj ozdobny krzyż, jak nieistniejący w naturze czteroramienny płatek śniegu. Rozkłada na niej pionki zrobione z chleba, z wetkniętymi piórkami, guzikami, nasionami, każdy wygląda dziwacznie, niczym ludzka figurka, ale jakaś skoszmarniona, nieprzyzwoita. Chaja ma dwie kostki – jedną z liczbami, a drugą z literami. Na planszy namalowane są jakieś okręgi, ale dość niechlujne, granice między nimi zatarte, niewyraźne, rozrzucone litery, znaki, w rogach widnieją zwierzęta, słońca i księżyce. Są pies i duża ryba, jakby karp. Plansza musi być stara, bo w niektórych miejscach farba się zupełnie złuszczyła i już nie wiadomo, co tam kiedyś było.

Chaja bawi się teraz kostkami, obraca je w dłoniach, wpatruje się w planszę długo – nigdy nie wiadomo, ile to będzie trwało – a potem jej powieki przez chwilę szybko mrugają i drgają, po czym kostki toczą się, ukazując odpowiedź; Chaja zgodnie z tą wróżbą rozstawia figurki na planszy, szepcze coś do siebie, popycha je. Zmienia ustawienia, jedne odkłada na bok, wyciąga skądś inne, jeszcze dziwaczniejsze. Trudno ogarnąć tę dziwną grę, gdy się patrzy z boku, konfiguracja bowiem ciągle się zmienia. A robiąc te dziwne rzeczy, Chaja rozmawia – o dzieciach, o jakości tegorocznych powideł, dopytuje o zdrowie członków rodziny. Potem nagle mówi tym samym tonem, co o powidłach, że umrze król i będzie bezkrólewie. Kobiety zamierają, robiąc kluski; dzieci przystają w pogoni wokół stołu. Chaja wpatruje się w swoje figurki i znowu się odzywa:

– Nowy król będzie ostatnim królem Polski. Trzy morza zaleją kraj. Warszawa będzie wyspą. Młoda Łabęcka urodzi pogrobowca, dziewczynkę, wyrośnie z niej wielka księżna. Jakuba uwolnią najwięksi wrogowie i z najbliższymi będzie musiał uciekać na południe. Wszyscy, jak się w tej izbie znajdują, będą mieszkać w wielkim zamku nad szeroką rzeką, w bogate stroje ubrani będą i zapomną swojego języka.

Chyba sama Chaja zdziwiona jest tym, co mówi. Ma śmieszny wyraz twarzy, jakby tłumiła śmiech albo próbowała zatrzymać słowa, które wyrywają jej się z ust. Krzywi się.

Marianna Wołowska, która układa w kobiałkach jajka, mówi:

– Mówiłam wam. Ta rzeka to Dniestr. Wszyscy wrócimy do Iwania i tam zbudujemy swoje pałace. Ta wielka rzeka to Dniestr.

Edom chwieje się w posadach

Po śmierci Augusta III Wettyna, w październiku 1763 roku, dzwon bije cały dzień. Mnisi zmieniają się przy sznurze, a niezbyt liczny o tej porze roku i z powodu chaosu w kraju tłum pielgrzymów ogarnia nagle wielka bojaźń – leżą na ziemi z rozkrzyżowanymi ramionami, aż nie ma jak przejść z dziedzińca do kościoła.

Jakub dowiaduje się o tym od Rocha, który zjawia się natychmiast i mówi to z niejaką satysfakcją:

– Będzie wojna. To pewne i może znowu wezmą wszystkich, bo już nikt nie pilnuje tego państwa katolickiego, tylko wszyscy niewierni i odszczepieńcy wyciągają ręce po Rzeczpospolitą.

Jakubowi robi się żal tego starego człowieka i daje mu kilka groszy, by przekazał jak zwykle listy poza klasztorną cenzurą, co znaczy, żeby je wyniósł do miasteczka i tam oddał Szmulowi. Jemu samemu też by się podobała wojna. Potem idzie do przeora, ma zamiar poskarżyć się, że braciszkowie wstrzymują mu żywność z miasteczka i inne rzeczy, w tym tytoń. Wie, że przeor nic w tej sprawie nie zrobi, skarży się tak co czwartek. Lecz przeor go nie przyjmuje. Jakub drży z zimna, czeka tak długo, aż robi się ciemno. Potem przeor idzie na wieczorną mszę i mija go bez słowa. Jakub, wysoki i chudy, zawinięty w opończę, wraca zmarznięty do izby przy wieży.

Wieczorem, opłaciwszy jak zwykle sowicie straże, przemyka się do Pana Matuszewskiego i razem piszą list. Ręka drży Matuszewskiemu z zimna, gdy pisze na górze strony: „Nuncjusz Visconti”, i potem jeszcze wiele razy, gdy padają inne znane nazwiska. Ten list trzeba napisać teraz, gdy ze śmiercią króla stary porządek umiera i rodzi się coś nowego. Teraz, po śmierci starego króla, gdy wszystko obraca się do góry nogami, gdy lewe staje się prawym i na odwrót. Póki jeszcze nowy porządek się nie ustalił, póki nowe kancelarie jeszcze nie zaczęły działać i twarde – wydawałoby się – prawa nie rozmiękły jak suchy chleb w wodzie, a wszyscy, którzy dotychczas byli na górze, nerwowo rozglądają się, z kim zawrzeć teraz sojusze, a do kogo przestać się odzywać, właśnie teraz jest szansa, żeby ten list odniósł skutek. Jakub domaga się więc zwolnienia. A jeżeliby jednak nuncjusz uznał

zwolnienie za zbyt przedwczesne, to prosi o interwencję, gdyż cierpi w więzieniu ciasnotę i biedę. Zakonnicy wstrzymują mu wszelkie wspomożenie od rodziny i przyjaciół, nie pozwalają zażyć powietrza, już ponad dwa lata w zimnej izbie u dołu wieży nadwątliły jego zdrowie. A przecież jest gorliwym katolikiem, całym oddanym wierze, i bliskość Najświętszej Panny sprawia, że jego wiara, od zawsze mocna i prawa, nabiera jeszcze większej siły.

Gdy kończą tę część listu, zostaje jeszcze najważniejsze, tyle że nie bardzo wiedzą, jak to napisać. Biedzą się cały wieczór, wypalają kilka świec. Nad ranem i ta część jest gotowa. Brzmi tak oto:

> Zwracał już Święty Kościół uwagę na fałszywość oskarżeń o krwi chrześcijańskiej używanie przez Żydów. I chociaż i tak już wieloma nieszczęściami obarczeni zostaliśmy, to jeszcze jedno spadło na nas, jako się ta cała rzecz wydarzyła w Wojsławicach, jednak nie z naszej przyczyny, ale że staliśmy się narzędziem w cudzych rekach.
>
> Będąc wdzięcznymi dozgonnie naszym wielkim protektorom, to jest biskupowi Kajetanowi Sołtykowi, jako też Józefowi Andrzejowi Załuskiemu, którzy nas w swoich dobrach przygarniać zechcieli, a także Katarzynie Kossakowskiej, wielkiej naszej dobrodziejce, bronić się musimy przed wszelkimi podejrzeniami, iż to my wszczęliśmy oskarżenia Żydów wojsławickich o krwi chrześcijańskiej upuszczenie, i mord straszny wbrew nauce Świętego Kościoła został uczyniony, jednakże bez naszego przytomnego udziału, nas, dobrymi katolikami będących.

O tym, jak bezkrólewie przekłada się na ruch powozów na Krakowskim Przedmieściu

W Warszawie podobno zabrakło kwater, a ruch na Krakowskim Przedmieściu zaczął być niemiłosierny. Każdy co możniejszy swoją karetą wyjeżdża i od razu robi się zator i wielki ścisk.

Agnieszka nauczyła się puszczać swojej pani krew, ostatnio jednak to nie pomaga. Za dnia Kossakowska trzyma się dobrze, ale w nocy spać

nie może, ma uderzenia gorąca i palpitacje serca. Doktora już trzy razy wzywano. Może powinna zostać w domu, w Busku lub Krystynopolu? Ale gdzie właściwie Katarzyna Kossakowska ma dom?

Gdy tylko umarł król, pognała do stolicy i tu od razu skumała się z Sołtykiem, żeby popierać królewicza Fryderyka Chrystiana na nowego władcę. Kareta biskupa, którą jadą teraz do hetmana Branickiego na polityczne narady, utknęła na Krakowskim Przedmieściu tuż przy Świętokrzyskiej. Kossakowska siedzi naprzeciwko tęgiego, spoconego Sołtyka i mówi swoim niskim, prawie męskim głosem:

– Jak tu nie zwątpić w porządki w kraju, patrząc na naszych ukochanych mężów, braci i ojców, którzy dzierżą w dłoniach nasze losy? Tylko się im bliżej przyjrzyj, Ekscelencjo, łaskawy biskupie. Jeden się nowomodną alchemią zajmuje i kamienia filozoficznego szuka, drugiego pociąga malowanie obrazów, trzeci w stolicy gra po nocach i przepuszcza pieniądze z dóbr swoich na Podolu, jeszcze inny, patrzcie go!, koniarz, wielkie sumy wydaje na arabskie źrebaki. I zapomniałam jeszcze o tych, co wiersze piszą, a raczej rachunkami zająć się powinni. A, i o tych, co to peruki pomadują, podczas gdy szable rdzewieją...

Biskup chyba jej nie słucha. Patrzy przez szparę w okienku; są przy kościele Świętego Krzyża. Biskup martwi się, bo znowu ma długi. Wygląda, że to, co się powtarza w życiu biskupa, jest boleśnie realne – długi.

– ...Nam się często wydaje, że Polska to my – ciągnie uparcie Kossakowska. – Ale Polska to i oni. Bo choć ten chłop, coś to go niedawno wychłostać raczył, nie wie wcale, że i on do Rzeczypospolitej należy, ani ten Żyd, co ci interesy prowadzi, tego nie wie, a może nawet by się do tego przyznać nie chciał... to przecież my na jednym wozie jedziemy i o siebie powinniśmy się troszczyć, nie zaś wyrywać sobie z gęby ochłapy jak jakieś psy wrogie. Jak i teraz. Żeby u nas ambasadorowie Rosji rządzili? Króla nam narzucali?

Kossakowska gada tak do samej Miodowej i Sołtyk w myślach dziwi się jej niespożytej energii, ale biskup nie wie tego, co wie Agnieszka: Kossakowska od klątwy wojsławickiej nie może spać i co wieczór biczuje się. Gdyby biskup Sołtyk miał jakimś cudem możność rozsupłać sznurowany stanik, odwinąć lnianą koszulę i odsłonić plecy, ujrzałby

skutki owej bezsenności – bezładnie rozrzucone krwawe krechy z jakiegoś niedoszłego do skutku napisu.

Pinkas redaguje *Documenta Judaeos*

Rabbi Rapaport jest postawnym, wysokim człowiekiem o siwej brodzie, która się rozdwaja i spływa mu na piersi jakby dwoma soplami. Mówi cichym głosem i tym prostym sposobem podporządkowuje sobie ludzi, ponieważ muszą się wysilać, żeby zrozumieć jego słowa, co zmusza ich do uwagi. Tam gdzie się pojawia, zawsze budzi respekt. Tak i dzisiaj zaraz tu przyjdzie Chaim Kohen Rapaport, naczelny rabin lwowski; wejdzie cicho, a i tak wszystkie oczy zwrócą się ku niemu znad stołów i ludzie umilkną. Wtedy Pinkas pokaże mu jedną z pierwszych broszur, złożoną już i zszytą, o równiutko przyciętych kartkach. Pinkas, chociaż od Rapaporta trochę starszy, ma często wrażenie, że ten ostatni jest jego ojcem, albo nawet dziadkiem. Prawdą jest, że święci ludzie nie mają wieku, rodzą się od razu starzy. Jego pochwała znaczy dla Pinkasa więcej niż sztaba złota. Rozpamiętuje potem każde słowo rabbiego, w myślach rozgrywa scenę pochwały po wielokroć. Rabbi nigdy nie gani. Kiedy nie chwali, milczy, a jego milczenie jest ciężkie jak kamień.

W domu rabina jest teraz jakby wielka kancelaria. Porozstawiano stoły, stoliki i pulpity, przepisuje się tu najważniejszy obecnie dokument. Jego tekst poszedł już do drukarni i są już pierwsze próbne luźne kartki papieru. Jedni je przycinają, inni składają karty w małą broszurę i doklejają jej grubszą tekturową okładkę, gdzie widnieje długi, skomplikowany tytuł, który rozlewa się na pół strony: *Documenta Judaeos in Polonia concernentia ad Acta Metrices suscepta et ex iis fideliteriterum descripta et extradicta*.

Pinkas ma w tym swój udział, gdyż zorganizował całe to biuro, a jako że sam po polsku mówi i potrafi czytać, to jeszcze pomagał w tłumaczeniu. Wielce się przysłużył sprawie niejaki Zelig, który uciekł od kaźni żytomierskiej i piechotą wędrował do papieża domagać się sprawiedliwości. Teraz trzeba było to, co ów wyjednał w swojej misji, dla Świętego Oficjum w Rzymie przetłumaczyć na polski i hebrajski,

i jeszcze to, co w 1592 roku zapisano w metrykach koronnych, przełożyć na łacinę i hebrajski. I do tego list polecający dla Zeliga do nuncjusza warszawskiego wydany przez prefekta Świętego Oficjum, w którym jest jasno napisane, że Święte Oficjum po dokładnym przeanalizowaniu sprawy oskarżeń o użycie krwi chrześcijańskiej w Żytomierzu i rzekome morderstwo rytualne stwierdza, że są one zupełnie bezpodstawne. I wszelkie takie oskarżenia powinny być oddalane, jako że upuszczanie krwi chrześcijańskiej nie ma żadnych podstaw w religii ani tradycji żydowskiej. Na koniec udało się Rapaportowi za pomocą swoich znajomości zdobyć list od Viscontiego, nuncjusza papieskiego, do ministra Brühla, w którym nuncjusz potwierdza, że Żydzi zwrócili się o pomoc do najwyższego urzędu kościelnego, do papieża, i papież wziął ich w obronę przed tymi strasznymi oskarżeniami.

I jest prawie dokładnie tak, jak to sobie wyobraził wcześniej Pinkas, choć rzadko się zdarza, żeby wyobrażenie tak dobrze pasowało do rzeczywistości (Pinkas jest na tyle stary, by rozumieć, jak to działa: Bóg podsuwa nam tylko takie sytuacje, których sami nie jesteśmy w stanie wymyślić).

Rapaport wchodzi i Pinkas podaje mu przygotowaną broszurę. Na twarzy rabbiego pojawia się cień uśmiechu, ale nie przewidział Pinkas jednego, że rabbi z nawyku otworzy książkę od innej strony, tak jak to robią Żydzi, i wtedy zamiast karty tytułowej zobaczy samo zakończenie:

> Święte Oficjum rozważyło ostatnio wszelkie dostępne świadectwa, że Żydzi używają krwi ludzkiej do przygotowania ich chleba zwanego macot i dla tej przyczyny zabijają dzieci. Stanowczo stwierdzamy, iż nie ma żadnych podstaw do takich oskarżeń. Jeżeli takie oskarżenia pojawią się znowu, rozstrzygnięcie nie może być ustanawiane na bazie zeznań ustnych świadków, lecz na przekonujących dowodach kryminalnych.

Rabbi przesuwa wzrokiem po tych słowach, ale nie rozumie, co czyta. Dopiero Pinkas, odczekawszy chwilę, zbliża się do niego i pochylając się ku niemu z lekka, cichym, lecz tryumfalnym głosem – tłumaczy.

Kogo to Pinkas spotyka na targu we Lwowie

Pinkas przygląda się pewnemu człowiekowi na targu we Lwowie. Ubrany po chrześcijańsku, włosy do ramion, cienkie, pierzaste. Halsztuk biały pod szyją, wygolona postarzała twarz. Dwie zmarszczki przecinają pionowo młode jeszcze czoło. Już wie, że jest obserwowany, dlatego rezygnuje z zakupu wełnianych pończoch i usiłuje zniknąć w tłumie. Pinkas rusza jednak za nim, klucząc wśród przekupniów. Potrąca dziewczynę z koszem orzechów, w końcu udaje mu się złapać mężczyznę za poły kapoty.

– Jankiel? Tyś to?

Tamten odwraca się niechętnie i mierzy Pinkasa od stóp do głów.

– Jankiel? – pyta Pinkas z większą już wątpliwością w głosie i puszcza kapotę.

– To ja, wujku Pinkasie – mówi cicho zatrzymany.

Pinkasa aż zatyka. Zakrywa sobie oczy dłońmi.

– Co się z tobą stało? Nie jesteś już rabinem w Glinnie? Jak ty wyglądasz?

Tamten jak gdyby się już zdecydował:

– Nie mogę z wujem rozmawiać. Muszę iść...

– Jak to nie możesz rozmawiać?

Były rabin z Glinna odwraca się i już chce odejść, ale drogę blokują mu chłopi prowadzący krowy. Pinkas mówi:

– Ja cię nie puszczę. Ty musisz mi wszystko wyjaśnić.

– Nie ma nic do wyjaśniania. Nie dotykaj mnie, wuju. Nie mam już z tobą nic wspólnego.

– Tfu – nagle Pinkas rozumie i zatacza się ze zgrozy. – Czy ty wiesz, że na wieki siebie pogrążyłeś? Jesteś z nimi? Już ochrzczony czy w kolejce czekasz? Żeby twoja matka tego dożyła, toby jej serce pękło.

Pinkas nagle, na środku rynku, zaczyna płakać; wargi wygiął w podkówkę, chudym ciałem wstrząsa szloch, z oczu puściły się łzy i zalały zupełnie jego małą, pomarszczoną twarz. Ludzie patrzą ciekawie i pewnie myślą, że biedaka okradli i teraz on leje łzy nad straconymi

groszami. Były rabin z Glinna, teraz Jakub Goliński, rozgląda się niepewnie wokół siebie i widocznie żal mu się robi krewnego. Podchodzi i delikatnie bierze go pod ramię.

– Wiem, że mnie nie zrozumiesz. Nie jestem złym człowiekiem.

– Szatan was opętał, jesteście gorsi niż sam szatan, jeszcze czegoś takiego nie było... Tyś już nie Żyd!

– Wuju, chodźmy gdzieś do bramy...

– A ty wiesz, że ja przez was Gitlę, córkę jedynaczkę, straciłem? Wiesz to?

– Nigdzie jej tam nie widziałem.

– Nie ma. Wyjechała. Nigdy jej nie znajdziecie.

Potem znienacka i z rozmachem uderza Golińskiego w pierś, z całej siły, i Goliński, mimo że duży i silny, musi zachwiać się pod tym ciosem.

Pinkas staje na palcach i syczy mu prosto w twarz:

– Jankiel, tyś mi wbił dziś nóż w serce. Ale ty jeszcze wrócisz do nas.

Potem odwraca się i szybkim krokiem odchodzi między stragany.

Zwierciadło i zwykłe szkło

Udaje się Kossakowskiej wyjednać pozwolenie na spotkanie małżonków w Częstochowie. Wszyscy zajęci są polityką, wyborem przyszłego króla. Przeor klasztoru zgadza się złagodzić więzienie. Wczesną jesienią z wielką ulgą Chana z Awaczą i sporą grupą prawowiernych porzucają znienawidzone Wojsławice i ruszają do Częstochowy. Marianna Potocka jest zła i na nich, i na Katarzynę. Nie dosyć, że miasto straciło tamtych Żydów, to teraz ci odchodzą, porzucając modrzewiowy dwór. Zostawiają pootwierane drzwi i śmieci na podłodze. Tam gdzie się ładowali na fury, leżą jeszcze jakieś ubłocone, zdeptane szmaty. O ich tu bytności będą świadczyć chyba tylko te groby, nieco na uboczu, pod wielkim wiązem, z byle jakimi brzozowymi krzyżami i kupkami kamieni. Tylko grób rabbiego Moszego z Podhajec, wielkiego kabalisty i twórcy potężnych

amuletów, wyróżnia się białymi kamykami, którymi obłożyła go jego żona.

Do Częstochowy przybywają 8 września 1762 roku. Wchodzą za mury klasztoru uroczyście, pięknie przystrojeni, z bukietami kwiatów, żółtych i fioletowych. Załoga twierdzy i braciszkowie patrzą na nich zdziwieni, bo w niczym nie przypominają zmęczonych pielgrzymów, raczej orszak weselny. I zaraz 10 września ma Chana z mężem, którego nie widziała prawie dwa lata, pierwsze obcowanie, w biały dzień, w przytomności całego orszaku przybyłych. Dzieje się to w izbie oficerskiej, której małe okienka zasłoniono starannie, żeby nikt obcy nie mógł uczestniczyć w tym tikkun, uczynku, który naprawia świat. I wszystkim, którzy są tego świadkami, serce napełnia nadzieja, że najgorsze już minęło i teraz czas ruszy do przodu. Miesiąc potem ręka Matuszewskiego zapisuje w chaotycznie prowadzonej kronice, że 8 października (kalendarz żydowski Pan definitywnie kazał zarzucić) Chana i Jakub poczynają syna, a to wie ze słów Pana.

Kompania wynajęła dwa domy na Wieluńskim Przedmieściu, reszta gniecie się po stancjach, ale trzymają się razem. Po północnej stronie klasztoru urosła więc jakby malutka osada, z samych prawowiernych, dlatego Jakub ma codziennie świeże warzywa i owoce, i jaja, i mięso – kiedy nie pości.

Domki miasteczka podchodzą prawie pod sam mur; i są tacy sprytni młodziankowie, jak choćby Jan Wołowski, co potrafią się na ten mur wspiąć i podać coś więźniowi, zwłaszcza gdy przedtem wciśnięto co nieco do ręki wiarusom. Wtedy przysypiają wsparci o piki albo w ogóle, skarżąc się na zimno, znikają pod dachem, żeby grać w kości. Udało się nawet pod osłoną nocy zamocować w murze kółko, dzięki któremu można wciągać na sznurku worki z prowiantem. Trzeba uważać, żeby żaden z braciszków tego mocowania w murze nie przyuważył. Pan domaga się ostatnio cebuli, a to dlatego, że osłabł bardzo od siedzenia w zamknięciu, krwawią mu dziąsła i dokuczają zęby. Żali się też, że boli go ucho, skarży się na zawroty głowy. Chana za zgodą klasztoru ma prawo odwiedzać męża raz dziennie, ale jej wizyty się przedłużają i często zostaje na noc. Przychodzą też inni. Teraz już chodzą do Pana

małe pielgrzymki. Wszyscy ubrani schludnie, po chrześcijańsku, po miejsku, skromnie, kobiety różnią się całkowicie od pstrokatych częstochowskich Żydówek w wielkich zawojach na głowie. Prawowierne kobiety noszą mieszczańskie czepki i choć niektórym podeszwa od buta odchodzi, a płócienny czepek kryje pod poszarzałą koronką kołtun, wysoko noszą głowę.

Odkąd zakazy się poluźniły, Pan posłał do Warszawy wiadomość, żeby mu przysłać kobiety, jako że one w zdradzie udziału nie brały; odtąd to one będą jego strażniczkami. I potrzebuje kobiet, naarot, czyli panien, dla swojej małej Awaczy – dwórek i nauczycielek. I potrzebuje kobiet do opieki nad nim. Kobiet, kobiet, dużo i wszędzie, jakby to ich łagodna, wibrująca obecność mogła odwrócić ciemny częstochowski czas.

I są. Najpierw Wittel Matuszewska – ona pierwsza. Potem Henrykowa Wołowska, młodziutka, ale stateczna, nieco przyciężka – ma ładną, choć szeroką twarz, mówi cichym, śpiewnym głosem, a jej piękne brązowe, połyskujące włosy wysmykują się z upiętej fryzury. Jest Ewa Jezierzańska, drobna, nieduża, na szyi ma myszkę porośniętą włosami, czego się wstydzi i zawsze nosi chustkę. Ale twarz ma ładną, jakby podobną do pyszczka młodej łasiczki, ciemne, aksamitne oczy, piękną cerę i burzę włosów ściągniętych mocno wstążką. Jest też Franciszkowa Wołowska, najstarsza z nich, piękna i postawna, o czystym głosie, utalentowana muzycznie. I są te same kobiety, które Pan upodobał sobie w Iwaniu – Pawłowska, Dembowska i Simcie Czerniawska, jego siostra. Są tu też Lewińska i Michałowa Wołowska. Jest i Klara Lanckorońska, córka Chai, o bujnych kształtach i uśmiechniętych oczach. Wszystkie przyjechały z Warszawy bez mężów, dwoma furami. Będą dbać o Pana.

Jakub każe im stanąć przed sobą w szeregu i najpierw patrzy na nie poważnie (Piotrowska powie potem: „Jak wilk”), bez uśmiechu. Pasie na nich swój wzrok, takie są piękne. Przechadza się przed nimi, jakby były żołnierzami, i na policzku każdej składa pocałunek. Potem każe do nich dołączyć zaskoczonej Chanie.

Kiedy je tak ogląda, mówi to samo, co kiedyś w Iwaniu – żeby wybrały spośród siebie jedną, ale zgodnie i bez swarów, ta zostanie u niego na czas jakiś, a on z nią będzie miał do czynienia siedem razy

w nocy i sześć razy w dzień. Ta kobieta urodzi potem córkę, a gdy tylko zajdzie w ciążę, wszyscy to będą wiedzieć, bo będzie się za nią ciągnęła niby-nić czerwona.

Kobietom rumieńce występują na policzki. Starsza Wołowska, Marianna, pięknie ubrana, ma roczne bliźniaki, zostawiła je pod opieką siostry w Warszawie i rada by szybko wracać. Cofa się, nieco zmieszana. Panny rumienią się najbardziej.

– Ja będę tą kobietą, która z tobą zostanie – mówi nagle Chana.

Widocznie złości to Jakuba. Wzdycha i spuszcza wzrok, a one wszystkie milkną przestraszone. Ale Pan nic nie mówi, ignoruje zgłoszenie się żony, to oczywiste, przecież Chana jest w ciąży. Poza tym przecież to jego żona. Chanie łzy nabiegają do oczu i wychodzi wraz z innymi, nagle odrzucona. Starsza Wołowska przygarnia ją ramieniem, ale nic nie mówi.

Zwierzchowska, która w tym wyborze udziału nie bierze, jest bowiem przy Panu codziennie i jakby naturalnie, gdy już kobiety schodzą razem z klasztornej góry do miasteczka, mijając pątników, głośno rozprawia, że najpierw trzeba ustalić, która by sama chciała. Wtedy zgłaszają się prawie wszystkie oprócz obu Wołowskich. Robi się harmider i w chwili podniecenia przechodzą na żydowski; teraz mówią po swojemu, szeptem.

– Ja pójdę – mówi Ewa Jezierzańska. – Ja go kocham nad życie.

Ale inne się burzą.

– Ja też chętnie pójdę – zgłasza się Marianna Piotrowska – wiecie, że nie mam dzieci. Może od niego będę mieć.

– Ja też mogę iść. Byłam z nim w Iwaniu. I to mój szwagier – mówi Pawłowska.

Fakt, ma z nim córkę. Wszyscy o tym wiedzą.

Zwierzchowska każe im zamilknąć, bo już się za tą rozgorączkowaną grupą niewiast oglądają spóźnieni, rozmodleni pielgrzymi.

– Będziemy radzić w domu – zarządza.

Pan codziennie pyta, czy już uzgodniły, która to ma być, a one nie mogą się dogadać. W końcu losują i pada na Henrykową Wołowską, miłą, stateczną, a na dodatek ładną, która oszołomiona, teraz stoi w pąsach, ze spuszczoną głową. Ta ma najwięcej głosów, tylko Ewa Jezierzańska nie zgadza się na żaden wybór, a musi być jednomyślność.

– Albo ja, albo żadna – mówi.

Dlatego Lewińska, którą Jakub szczególnie lubi za jej spokój i rozwagę, idzie do klasztoru i prosi o widzenie z Jakubem. Błaga go, żeby sam wybrał, bo one nie mogą. Pan wpadł w taki gniew, że nie chciał żadnej z nich przyjąć przez cały miesiąc. W końcu we wszystko wmieszała się Chana i sprytnie wypytała Jakuba, która mu się wydaje najbardziej odpowiednia. A on wskazał Klarę Lanckorońską.

Kilka dni potem, kiedy siadają do wspólnego posiłku w oficerskiej izbie, zadowolony Jakub każe Klarze Lanckorońskiej pierwszej włożyć łyżkę do zupy. Klara spuszcza głowę i na jej jasnoróżowe policzki wypływają wielkie czerwone rumieńce. Wszyscy czekają z łyżkami w ręku.

– Klaro, zacznij pierwsza – mówi Pan, ale ona się wzbrania, tak jakby ją namawiał do największego grzechu.

W końcu Jakub rzuca łyżkę i wstaje od stołu:

– Kiedy wy mnie z taką bagatelą słuchać nie chcecie, to co dopiero, gdy ja wam co większego rozkażę! Czy ja mogę na was liczyć? Czyście jak te barany i zające?

Milczą ze spuszczonymi głowami.

– Ja was postawiłem tak, jakby zwierciadło, które jest przezroczyste, a ja jestem w tym zwierciadle pokładą, czyli folgą. To dzięki mnie zwierciadło było zwierciadłem, i widzieliście się w nim. Ale ja teraz musiałem zabrać tę folgę, a przed wami zostało proste szkło.

Wieczorem ma dla nich pomysł nowy. Wzywa do siebie Wittel Matuszewską, swoją prawą rękę od czasu odtrącenia Jakubowskiego.

– Chcę, aby bracia, co obce, nie z nas, żony mają, porzucili je i wzięli sobie żony z naszych sióstr. I chcę, żeby te z kobiet, które wyszły za mąż za obcych, wzięły sobie mężów z naszych braci. Chcę też, żeby to się

stało publicznie. A jeżeli was kto zapyta dlaczego, powiedzcie, że ja tak nakazałem.

– Jakubie, to być nie może – odzywa się Wittel Matuszewska, zaskoczona. – To są trwałe pary. Wiele mogą oni dla ciebie zrobić, ale nie to, żeby żony i mężów porzucać.

– Wyście już wszystko zapomnieli – mówi Jakub i wali pięścią w ścianę. – Wy już nie jesteście prawowierni. Za dobrze wam. – Z otartych kostek sączy się krew. – Ma się stać tak, jak powiedziałem, Wittel. Słyszysz?

Tak jak zapowiedział Jakub, w lipcu 1763 roku, w domku na Wieluńskim Przedmieściu, rodzi mu się syn i dostaje imię Jakub. Miesiąc później, gdy Chana wyszła już z połogu, w izbie oficerskiej w klasztorze jasnogórskim następuje uroczyste połączenie małżonków w obecności wszystkich.

Na narodziny drugiego syna, Rocha, we wrześniu 1764 roku, przybywa do Częstochowy mnóstwo wyznawców Jakuba. Wracają prawowierni z rozproszenia – resztki z Wojsławic, z Rohatyna, z Buska i Lwowa, i wszyscy myślą osiedlić się bliżej Jakuba, może w samej Częstochowie. Przyjeżdżają też w odwiedziny przyjaciele z Turcji i Wołoszczyzny, przekonani już, że uwięzienie Jakuba w samym najświętszym miejscu Edomu niewątpliwie wypełnia proroctwo.

Wcześniej, w sierpniu 1763 roku, posyła Frank do Warszawy po Jakubowskiego i ten pojawia się natychmiast. Podchodzi do Pana zgarbiony, jakby się spodziewał uderzenia, jakby się szykował na ból, a tu nagle Pan sam przed nim przyklęka – zapada cisza.

Potem kompania dyskutuje po kątach, czy Pan zrobił to dla żartu, czy z prawdziwej atencji dla Piotra Jakubowskiego, zwanego kiedyś Nachmanem z Buska.

Życie codzienne w więzieniu i o trzymaniu dzieci w pudełku

Wajgełe Nachmanowa, teraz Zofia Jakubowska, chodzi często za miasto, do lasu, i tam szuka dość grubej lipowej gałęzi; musi być świeża, jeszcze pełna soku. Nie wiadomo dlaczego wybiera tę, a nie inną. Ona wie. Przynosi ją do domu, na Wieluńskie Przedmieście, gdzie Jakubowscy wynajmują pokój, i siada z nią z tyłu domu, tam gdzie nikt jej nie widzi. Bierze ostry kozik i tym kozikiem zaczyna wycinać z drzewa kształt człowieczka. Kiedy widać już ręce i szyję, i głowę, Wajgełe nie może powstrzymać płaczu, wydobywa się z niej szloch jak spazm, jak flegma, którą trzeba wykrztusić. Spłakana maluje oczka, zawsze zamknięte, malutkie usteczka, ubiera drewnianą figurkę w małe ubranka zmarłego dziecka i chowa ją pod ławką. Przychodzi w to miejsce i bawi się tą małą laleczką, jak dziewczynka. Przytula ją, przykłada do piersi, mówi do niej szeptem i ta zabawa w końcu ją uspokaja – to jest znak, że Bóg się nad nią zlitował i oddalił od niej ból. Wtedy wkłada laleczkę do specjalnego pudełka ukrytego na strychu, tam gdzie leżą inne lalki. Są już cztery; mniejsze i większe. O dwóch Nachman nawet nie wie, że się poczęły. Wyskoczyły z niej za wcześnie, zbyt małe, gdy był w podróżach. Nic nie mówiła. Zawinęła je w płótno i pochowała w lesie.

Gdy kładą się spać, pochlipuje w poduszkę. Odwraca się do Nachmana przodem, kładzie sobie jego dłoń na nagiej piersi.

– Śpij ze mną.

Nachman chrząka i głaszcze ją po włosach:

– Nie bój się. On da ci siłę i zdrowie i pozwoli twojemu ciału, żebyś zaszła w ciążę.

– Boję się go.

– Co ty mówisz? Nie widzisz, że my wszyscy w świetle skąpani jesteśmy, nie widzisz, jak nam się wszystkim twarze zmieniły, jak wypiękniały? A to światło nad Jakubem? Nie widzisz go? Zielona poświata. My teraz jesteśmy boscy wybrańcy. W nas jest Bóg, a w kim jest Bóg, tego nie obowiązują zwykłe prawa.

– Tak świecą grzyby nocą – mówi Wajgełe. – Światło w grzybie, z wilgoci, z mroku...

– Co ty mówisz, Wajgełe?

Wajgełe płacze. Nachman-Jakubowski głaszcze ją po plecach, aż któregoś dnia Wajgełe zgadza się.

Jakub każe mu zostać. Sam kładzie się na Wajgełe sztywno, ze stęknięciem, i robi swoje, w ogóle na nią nie patrząc. Wajgełe na koniec wydaje z siebie głębokie westchnienie.

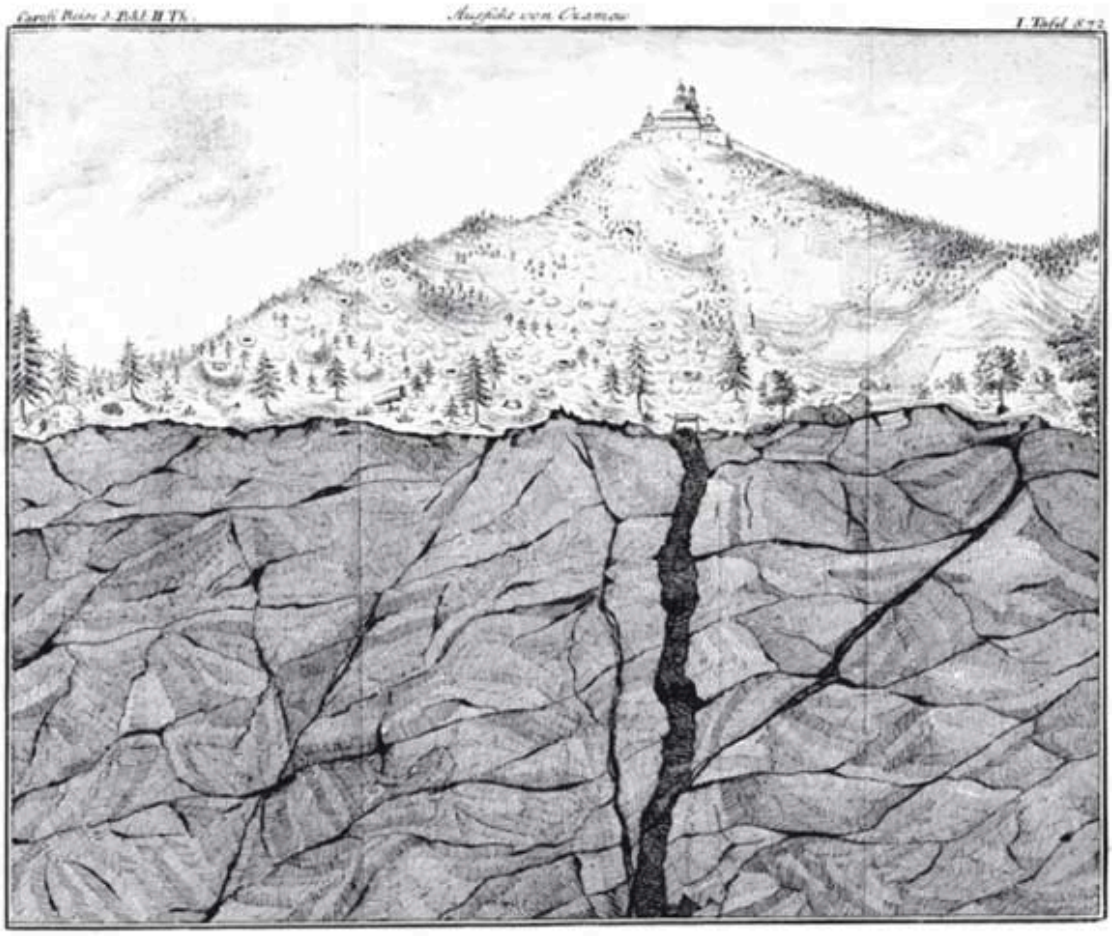

Każdego wieczoru zbierają się w izbie oficerskiej i Jakub ma swoje gadki, tak jak w Iwaniu. Często wskazuje jakąś osobę z kompanii i od jej historii zaczyna swoje opowieści. Tego wieczoru jest to Wajgełe, żona Nachmanowa. Każe jej usiąść koło siebie i kładzie jej rękę na ramieniu. Wajgełe jest blada i zmizerniała.

– Śmierć dziecka jest dowodem na to, że nie ma Boga dobrego – mówi Jakub. – Bo jakże mógłby być, skoro niszczy to, co najdroższe:

czyjeś życie. Co mu przyjdzie z tego, temu Bogu, że nas zabije? Czy się nas boi?

Ludzie są poruszeni takim postawieniem sprawy. Szepczą między sobą.

– Tam gdzie my idziemy, nie będzie praw, bo one zrodzone są ze śmierci, a my złączeni jesteśmy z życiem. Zła siła, która stworzyła kosmos, może być oczyszczona tylko przez Pannę. Kobieta tę siłę przezwycięży, bo ona ma moc.

Nagle Wajgełe znowu zaczyna płakać, a po chwili dołącza do niej stara Pawłowska i inne też pochilipują. Szklą się oczy mężczyzn. Jakub zmienia teraz ton głosu:

– Ale światy stworzone przez dobrego Boga istnieją, tylko że są ukryte przed ludźmi. Tylko prawowierni mogą znaleźć do nich drogę, bo do nich wcale nie jest daleko. Trzeba tylko wiedzieć, jak tam dojść. Ja wam powiem: przejście do nich prowadzi przez jaskinie olsztyńskie pod Częstochową. Tam jest wejście. Tam jest jaskinia Makpela, tam jest centrum świata.

Rozsnuwa przed nimi wielką wizję – oto wszystkie jaskinie świata są ze sobą połączone, a tam gdzie się łączą, czas płynie inaczej. Dlatego gdyby kto usnął w takiej jaskini i spałby trochę, i chciałby iść do swojej wsi, gdzie zostawił rodzinę, to okazałoby się natychmiast, że jego rodzice poumierali, jego żona jest zgrzybiałą staruszką, a dzieci starcami.

Kiwają głowami, znają te historie.

– Tak i ta jaskinia, która jest pod Częstochową, ma szybkie połączenie z jaskinią z Korolówki, ta zaś z jaskinią, gdzie spoczywają Abraham i pierwsi rodzice.

Słychać westchnienie. A więc to tak, wszystko jest ze wszystkim połączone, związane.

– Czy ktoś zna rozkład tych jaskiń? – pyta z nadzieją Marianna Pawłowska.

Jakub zna, to oczywiste. Jakub wie, gdzie i w którym momencie skręcić, żeby dostać się do Korolówki albo do innego świata, tego, gdzie

są wszelkie bogactwa i karety wyładowane złotem czekają na kogoś, kto zechce je wziąć.

Sprawia im przyjemność, gdy szczegółowo opisuje owe bogactwa, dlatego robi to dokładnie: ściany ze złota, zasłony cenne, złotem i srebrem wyszywane, stoły zastawione złotymi talerzami, a na nich zamiast owoców leżą wielkie kamienie szlachetne, rubiny, szafiry, wielkości jabłek, wielkości śliwek, obrusy adamaszkowe srebrną nitką haftowane, lampy całe z kryształu.

Wajgełe, czyli Zofia Jakubowska, która jeszcze nie wie, że jest w ciąży, wyobraża sobie, że właściwie nie potrzebowałaby tego wszystkiego, że wystarczyłaby jej taka gruda rubinów wielkości jabłka... I nie słucha już, tylko planuje, co zrobi z takim kamieniem. Otóż Wajgełe Zofia Jakubowska każe go pociąć na drobniejsze, żeby nikt nie mógł jej posądzić, że ukradła taki cud; posiadanie wielkiego kamienia jest także niebezpieczne, kusi złoczyńców, rabusiów. Więc ona pociełaby w tajemnicy ten kamień (ale kto by się tego podjął?) i powolutku sprzedawała kamyczki, jeden po drugim, w różnych miastach, bo bezpieczniej. I z tego by żyła. Kupiłaby sobie sklepik mały, a potem do sklepu dokupiła dom nieduży, ale ładny, jasny, suchy, i jeszcze piękną białą bieliznę płócienną i pończochy jedwabne, z pół tuzina, na zapas. I pewnie zamówiłaby spódnice nowe, lżejsze, i wełniane na zimę.

Gdy wszyscy już się rozchodzą i cicho wymykają się z klasztoru do miasteczka, Nachman Jakubowski zostaje. Kiedy są już sam na sam, Nachman pada na kolana i obejmuje nogi Jakuba.

– Ja cię zdradziłem, żeby cię ocalić – mówi gdzieś w podłogę stłumionym głosem. – Ty wiesz o tym. Tyś tego chciał.

Dziura do przepaści, czyli odwiedziny Towy i jego syna Chaima Turka w 1765 roku

Oto pierwszym posunięciem nowego, znielubionego za to w klasztorze króla było odebranie braciom pieczy nad twierdzą jasnogórską, co zmniejszyło znacznie fundusze klasztoru i teraz – można powiedzieć – klasztor cienko przędzie. Przeorowie zmieniają się co rok lub co dwa lata i żaden nie potrafi znaleźć rozwiązania, jako że oni, braciszkowie, nie są obeznani z prowadzeniem takiego gospodarstwa. A klasztor to jest gospodarstwo.

Żaden też nie umie sobie poradzić z tym kłopotliwym więźniem, który przejął już całą wieżę oficerską, a starych oficerów ma za jakąś służbę i trudno mu odmówić za hojne datki jakiej takiej wolności. Przeor przygląda się jemu samemu i często odwiedzającym go gościom – godzinami przesiadują w kościele, wpatrzeni w święty obraz i ten widok gorliwej modlitwy i leżenia krzyżem całymi dniami robi na przeorze wrażenie. Zawsze chętni pomóc klasztorowi, wydają się łagodni i z karą swojego Pana pogodzeni. Czasem zdarzają się w wieży jakieś kłótnie i krzyki. Kilka razy słychać było ich śpiewy – tego im stanowczo zakazał, chyba że to będą śpiewy katolickie.

Przeor Mateusz Łękawski mniej im był przychylny niż jego następca i poprzednik Mniński. Łękawskiemu doniesiono, że oni w izbie oficerskiej dopuszczają się bezeceństw, a i sam fakt życia rodziny ludzkiej na świętym terenie klasztoru nie podobał się przeorowi, i drażniła go wielość kobiet, które się tu kręcą. Jego następcy natomiast wcale to nie przeszkadza. Mniński zwraca uwagę na malowidła w kaplicy, boleje nad złym stanem dachu i cieszy się z każdego grosza, a tego obficie dostarczają neofici. Na niewiasty popatrzeć lubi, a te podobają mu się szczególnie.

Widzi teraz, jak do bramy podążają z Jakubem Frankiem dwie kobiety. Jedna z nich niesie niemowlę, druga prowadzi małą dziewczynkę. Jakub idzie przodem, pozdrawia wesoło pielgrzymów, a ci, zdziwieni jego wysoką turecką czapką i tureckim płaszczem, przystają i patrzą za nim. Przy bramie Jakub wita się z dwoma mężczyznami ubranymi po turecku. Robią to tak, jakby się dawno nie widzieli. Kobieta z niemowlęciem klęka przed starszym mężczyzną i całuje go w rękę. Przeor domyśla się, że to jej ojciec. Wydał więźniowi

pozwolenie opuszczenia klasztoru. Ma wrócić przed nocą. Widzi, jak idą wszyscy w stronę miasteczka.

Tak, to ojciec Chany Jakubowej, Jehuda Towa Lewi, niewiele się postarzał. Jest smagły i otyły, jego bujna broda, wciąż czarna, bez śladów siwizny, zasłania mu piersi; ma łagodne rysy i zmysłowe usta. Chana odziedziczyła po nim piękne duże oczy i oliwkową barwę skóry, na której nigdy nie widać rumieńców. Docierają do stancji, którą wynajęła mu córka. Towa mości się na krześle. Nie będzie mu tu zbyt wygodnie, woli raczej siedzenie tureckim zwyczajem na poduszkach. Ręce układa na sporym brzuchu – są miękkie i delikatne jak ręce mędrca.

Jego syn, brat bliźniak Chany, Chaim, wyrósł na przystojnego mężczyznę, choć nie jest tak postawny jak ojciec. Ma jak Towa okrągłą twarz o regularnych rysach. Ciemne, bardzo gęste brwi prawie się ze sobą łączą i poziomo dzielą jego twarz. Chaim, ubrany po turecku, jest miły i serdeczny. Uśmiech nie schodzi z jego twarzy, jakby próbował nimi wszystkimi zawładnąć. Widać po nim, że wychowano go w miłości, bo jest pewny siebie, choć nie pyszny. Stary Towa trzyma na kolanach Awaczę, która teraz zrobiła się chuda jak sarniątko. Dlatego dziadek podsuwa jej suszone figi i tureckie słodycze. Chana siedzi przy ojcu z Jakubkiem przy piersi, małe rączki dziecka bawią się frędzlami chusty, którą jej ojciec przywiózł w prezencie. Po przybyciu ojca i brata Chana bardzo się ożywiła – ma pewność, że teraz nastąpi znacząca zmiana, choć nie wie jaka. Gdy rozmawiają, przenosi badawczy wzrok z męża na ojca i brata, jest bowiem zależna od mężczyzn, od tego, co postanowią. I tak cały wieczór, aż morzy ją sen.

Jakub wróci do celi późno w nocy. Następnego dnia Roch dostanie z tego powodu zapas dobrego tureckiego tytoniu i kilka fajek. Nie do pogardzenia będzie też brzęcząca moneta, którą schowa szybko do postrzępionych kieszeni spodni. Do klasztoru prócz hojnego datku powędruje kosz smakołyków. Ktoś mówił, że bracia, jako że wielu przyjemności życiowych mieć nie mogą, bardzo są łasi na słodycze.

Gdy Jakub mówi, zdawać by się mogło, że Towa go nie słucha; ciągle rozgląda się po izbie, patrzy na swoje palce, od czasu do czasu

z westchnieniem zniecierpliwienia zmienia niewygodną pozycję. Ale to nieprawda – Towa słucha uważnie. Może rzeczywiście denerwuje go to, co opowiada mu Jakub, któremu pięć lat w odosobnieniu dało dużo czasu do snucia swoich pomysłów. Część z nich Towa uważa za nierealne, inne za szkodliwe. Kilka jest interesujących. Jeden – straszny.

Towa nie może już słuchać o Szechinie uwięzionej w obrazie w klasztorze, zaczyna bębnić palcami. Jakub po raz kolejny, jakby powracanie do tego samego tematu w rozmowie czyniło ją bardziej realną, powtarza słowa Zoharu:

– W najgorszym miejscu znajduje się wybawienie.

Czeka na efekt tych słów, zawiesza głos, a potem nagle podnosi palec do góry, jak to on, i pyta dramatycznie:

– A my gdzie się znaleźliśmy?

Bardzo się zmienił, jego wygolona twarz pociemniała, oczy przygasły. Ruchy ma kanciaste, jakby tłumił gniew. Ta gwałtowność budzi w innych lęk, dlatego nikt mu nie śmie odpowiedzieć. Jakub wstaje – teraz będzie chodził po izbie pochylony do przodu, z palcem wzniesionym do góry, wskazującym na drewnianą powałę.

– To jest nikwe detom rabe – droga do przepaści, ta Częstochowa, ta Jasna Góra. To jest Brama Rzymska, przy której, według innych słów Zoharu, siedzi Mesjasz, rozwiązując i zawiązując... To jest ciemne miejsce, przedsionek do otchłani, w którą my musimy iść, żeby uwolnić uwięzioną tu Szechinę. I dalej jest to, co było: żeby wejść wyżej, trzeba spaść jak najniżej, im ciemniej teraz, tym jaśniej się zrobi, im gorzej jest, tym będzie lepiej.

– Ja nie wiedziałem od razu, dlaczego mnie tu posadzono – mówi Jakub. Jest napięty, podniecony; jego teść dyskretnie patrzy na córkę, ta wpatruje się w podłogę, nieobecna. – Czułem tylko, że mam się nie sprzeciwiać temu wyrokowi. Ale teraz wiem. Mnie tu dano, bo tu jest więziona Szechina, na tej nowej górze Syjon, schowana pod malowaną deską, pod obrazem, jest Panna. Sami ci ludzie tego nie widzą, myślą, że czcią otaczają ten wizerunek, ale on jest tylko odbiciem Szechiny, jej wersją dostępną ludzkiemu wzrokowi.

Dla Towy to, co Jakub mówi, wydaje się szokujące. Jest z nim jeszcze gorzej, niż wynikało z listów, które mu słał zięć. Towa widzi jednak, że częstochowska kompania przyjmuje te słowa jako całkiem naturalne. Jakub mówi, że Szechina znajduje się w niewoli u Ezawa, dlatego trzeba jej towarzyszyć uwięzionej, jak on sam to robi, bo oto stał się strażnikiem Szechiny w obrazie jasnogórskim. Mówi, że to Polska jest krajem uwięzienia Szechiny, Boskiej Obecności w świecie, i to tutaj Szechina wyjdzie z więzienia, by uwolnić cały świat. Polska jest najszczególniejszym miejscem na ziemi, jednocześnie najgorszym i najlepszym. Trzeba podnieść Szechinę z prochu i zbawić świat. Szabtaj próbował i Baruchja próbował, lecz dopiero Jakubowi się uda. Bo znalazł się w odpowiednim miejscu!

– Przyjrzyj się, ojcze, zwyczajom światowym – mówi Towie jego córka, ukochana Chanełe, jakby się nagle obudziła. – U Ismaela uganiać się za Szechiną nie można, bo Szechina w kobiecie jest, a oni, Ismaelowie, kobietę mają za nic, jest niewolnicą i nikt jej nie szanuje. Szechinę można znaleźć tylko w takim państwie, gdzie niewieście hołd się oddaje, i tak jest w Polsce, nie tylko stoją tu przed niewiastami z odkrytą głową, komplementa im prawią, są dla nich jak służący, a na dodatek otaczają najwyższą czcią tę Pannę z dzieciątkiem tutaj, w Częstochowie. To jest kraj Panny. To i my się powinniśmy pod jej skrzydła schować.

Bierze w swoją dłoń rękę męża i podnosi ją do ust:

– Pan uczyni nas rycerzami tej Panny, wszyscy będziemy wojownikami Mesjasza.

Ojcu Chany przychodzą do głowy myśli, których nie potrafi się pozbyć: żeby ją stąd z dziećmi zabrać. Wytłumaczyć jakoś Jakubowi, że to dla ich zdrowia. Albo i porwać. Gdyby tak nająć zbirów? Jakże tu ciemno, jakże wilgotno. Życie w murach twierdzy czyni ich podobnymi grzybom. Chanę bolą kości, ma spuchnięte kostki u nóg, jej twarz obrzękła, zbrzydła. Dzieci są delikatne i lękliwe. Śliczna Awacza, ściągnięta z Warszawy, jest nieśmiała i małomówna. Powinna mieć lepszą opiekę. Jakub nie uczy jej tutaj niczego dobrego, dziewczynka biega po garnizonie, rozmawia z wojakami. Zaczepia pielgrzymów.

Dzieci mają za mało słońca, pożywienie zaś, nawet kupowane w najlepszych tutejszych kramikach i sprowadzane z daleka, jest nieświeże i podłej jakości.

Jakub mówi, gestykulując rękami, a oni, ściśnięci w izbie oficerskiej, siedzący na siennikach i na podłodze, słuchają go:

– Ajelet ahuwim, czyli jelenica ulubiona, łania. Do tego miejsca, do którego ja idę, podążał już przedtem Jakub z Pisma, a potem Pierwszy Jakub, Szabtaj Cwi. A teraz idę ja, prawdziwy Jakub. – Mówiąc „ja”, bije się w szeroką pierś, aż dudni. – Do tego miejsca kołatali już patriarchowie: Mojżesz, Aron, Dawid, Salomon i wszystkie filary świata. Jednak otworzyć go nie mogli. W tym miejscu, do którego idziemy, nie ma śmierci. Mieszka w nim Panna, Bezoka Dziewica, Łania, która jest prawdziwym Mesjaszem.

Teraz Jakub milknie i przechadza się dwa kroki w jedną, dwa kroki w drugą stronę. Czeka, aż dojdzie do nich, co powiedział. Panuje absolutna cisza, na której tle chrząknięcie Towy brzmi jak grzmot. Jakub zwraca się do niego i ciągnie:

– To wszystko jest zapisane, ty to wiesz. Panna jest boską mądrością ukrytą w malowanej desce jak królewna w wysokiej wieży, której nikt nie zdobędzie. Dla niej trzeba popełniać Obce Uczynki, czyny, które wywracają świat na nice. Pamiętacie tego węża w raju? Wąż namawia do wolności. Kto wykarczuje Drzewo Poznania, a osiągnie Drzewo Życia i zjednoczy się z Panną, posiądzie wiedzę o zbawieniu, tę Daat skrytą.

Wszyscy powtarzają to słowo: Daat, wszędzie Daat. Towa jest zdumiony zmianą, jaka zaszła w zięciu. Zanim tu przyjechał, słyszał plotki, że Jakub umarł, a zastąpił go nowy. W istocie to jest nowy człowiek. Ma niewiele wspólnego z tym, któremu szeptał do ucha tajemnice pod ślubnym baldachimem.

Towa z Chaimem śpią w zatęchłej, brudnej chałupie, z której wyprowadzili się właściciele. Towa brzydzi się tu dotknąć czegokolwiek. Wychodek jest taki, że od jego wyziewów robi mu się

słabo, ot, daszek na kołkach zasłonięty brudną szmatą, w sąsiedztwie kupy gnoju. Do tego wychodka musi go podprowadzać syn. Stary Towa unosi nieco długi płaszcz, panicznie się bojąc, że uwala się w gównie.

Codziennie obiecuje sobie, że porozmawia z Chaną, i codziennie nie śmie jej zapytać: Czy pojedziesz ze mną do domu?

Chyba dlatego że wie, co ona odpowie.

Towa widzi też, że w ciągu tych dwóch tygodni wizyty Jakub owładnął także Chaima; stworzyła się między nimi jakaś komitywa, jakieś dziwne, dwuznaczne porozumienie, pełne wzajemnego oddania. Chaim powtarza coraz więcej po Jakubie, mówi jego słowami.

Jakub Frank to jest więc ktoś, kto ukradł Towie dzieci. Stało się coś bardzo złego. Towa wysupłuje swoje amulety, modli się nad nimi i zawiązuje je córce i wnuczce na szyi.

Widocznie Towa jest małej wiary – jednego wieczoru dochodzi do kłótni: Towa nazywa Jakuba zdrajcą i oszustem, a ten uderza go w twarz. Towa o świcie rusza z niechętnym tej decyzji, zgnębionym Chaimem do domu, nawet nie pożegnawszy się z córką i wnuczką. Wzburzenie nie opuszcza go przez całą drogę. Już w myślach układa list, jaki roześle po wszystkich prawowiernych gminach w Europie. Napisze na Morawy i do Altony, do Pragi i Wrocławia, do Salonik i Stambułu. Stanie przeciwko Jakubowi.

Są jednak rzeczy, w których teść i zięć się ze sobą zgadzają: trzeba spojrzeć na wschód, na Rosję. Tutaj, w Polsce, ich protektorzy powoli tracą wpływy. Obaj, i Towa, i Jakub, zgodnie uważają, że zawsze trzeba trzymać z silniejszymi.

Wkrótce po nagłym wyjeździe Towy ruszają wysłannicy układać się z Moskwą. Prowadzi ich Jakubowski, szczęśliwy, że przywrócono go do łask. W wieczór przed wyjazdem odbywa się przy wieży wspólna wieczerza. Sam Jakub nalewa posłom wina.

– Powinniśmy być wdzięczni Pierwszemu, który uczynił ten nowy krok w tureckiej religii. Również Drugiemu, który odkrył Daat Edoma, czyli chrzest. Teraz ja was wysyłam do Moskwy, gdzie musi być trzeci, wyższy, kosztowniejszy stan.

Kiedy to mówi, wstaje i chodzi po izbie, a wysoka czapka zahacza o belki powały. Tej nocy przed podróżą posłańcy, Wołowski, Jakubowski i Pawłowski, obcują z Chaną. W ten sposób wszyscy stają się Jakubowi braćmi i krewnymi jeszcze bardziej, niż do tej pory byli.

Elżbieta Drużbacka pisze z klasztoru Bernardynek w Tarnowie ostatni list do księdza kanonika Benedykta Chmielowskiego w Firlejowie

...Ja już, Drogi Przyjacielu, Księże Dobrodzieju, świata prawie wcale nie widuję, tyle, ile przez okno w mojej celi, a więc widzę świat jako dziedziniec klasztorny. Niesie mi to zamknięcie wielką ulgę; mniejszy świat sprzyja spokojowi duszy. Takoż jako te przedmioty, które mam wokół siebie – niewiele – i nie zaprzątają mi one głowy tak bardzo jak te całe kosmosy domowe, które musiałam dźwigać na swoich barkach niczym Atlas. Po odejściu mojej córki i wnuczek wszystko się dla mnie skończyło i choć ostrzegasz, że grzech tak mówić, nie dbam nawet o to. Od urodzin naszych wszystko – kościół, dom, edukacja, zwyczaje i miłości, każe nam się przywiązywać do życia. Tylko nikt nam nie mówi, że im bardziej się przywiązujemy, tym większy ból cierpimy potem, kiedy już nabędziemy ostatecznego rozpoznania.

Ja już do Ciebie pisać nie będę, mój Przyjacielu, któryś mi osłodził swoimi opowieściami stare moje lata i wspomógł mnie, gdy mi się przytrafiło to nieszczęście. Życzę Ci, abyś żył długo i zdrowo. I żeby Twój ogród przepiękny mógł w Firlejowie trwać wiecznie, tak jak Twoja biblioteka i wszystkie Twoje książki – oby służyły ludziom...

Pani Elżbieta Drużbacka kończy list i odkłada pióro. Odsuwa klęcznik, zwrócony do wiszącego na ścianie Chrystusa, którego każde cierpiące ścięgno zna na pamięć. Kładzie się na wznak na podłodze, obciąga jeszcze brązową wełnianą sukienkę podobną do habitu, ręce zakłada na piersi, jak do trumny, wzrok wbija w jakieś nic wiszące w powietrzu. I tak leży. Już nawet nie próbuje się modlić, słowa

modlitwy ją męczą, wydają jej się przelewaniem z pustego w próżne, mieleniem wciąż tego samego ziarna, pełnego sporyszu, zatrutego. Po kilku chwilach udaje jej się osiągnąć specyficzny stan; pozostanie w nim, dopóki nie zadzwonią na posiłek. Trudno opisać ten stan; udaje się Drużbackiej po prostu zniknąć.

Jenta, która jest zawsze obecna, traci panią Drużbacką z oczu. Leci szybko jak myśl do adresata listu leżącego na stole i widzi go zajętego moczeniem spuchniętych nóg w cebrzyku. Siedzi zgarbiony, może przysnął, głowa opadła mu na piersi i chyba pochrapuje. Och, Jenta wie, że nie pomoże moczenie nóg.

Ostatniego listu ksiądz Chmielowski już nie jest w stanie przeczytać i leży on całymi tygodniami nierozpieczętowany na stole wśród innych papierów. Ksiądz Benedykt Chmielowski, kanonik rohatyński, umiera na zapalenie płuc, bo nieopatrznie i niecierpliwie wyrwał się do ogródka, gdy tylko zaświeciło słońce. Następca Roszka, Izydor, chłopak młody i nierozgarnięty, i gospodyni Ksenia zwlekali z zawołaniem doktora do następnego dnia, zresztą drogi podmokły i nie dawało się łatwo przejechać. Umarł spokojnie, gorączka tuż przed śmiercią spadła na tyle, że wyspowiadał się i przyjął ostatnie namaszczenie. Na stole długo jeszcze leżała otwarta księga, z której tłumaczył kilka wersów pod przerażającą ryciną; były zapisane jego charakterem pisma.

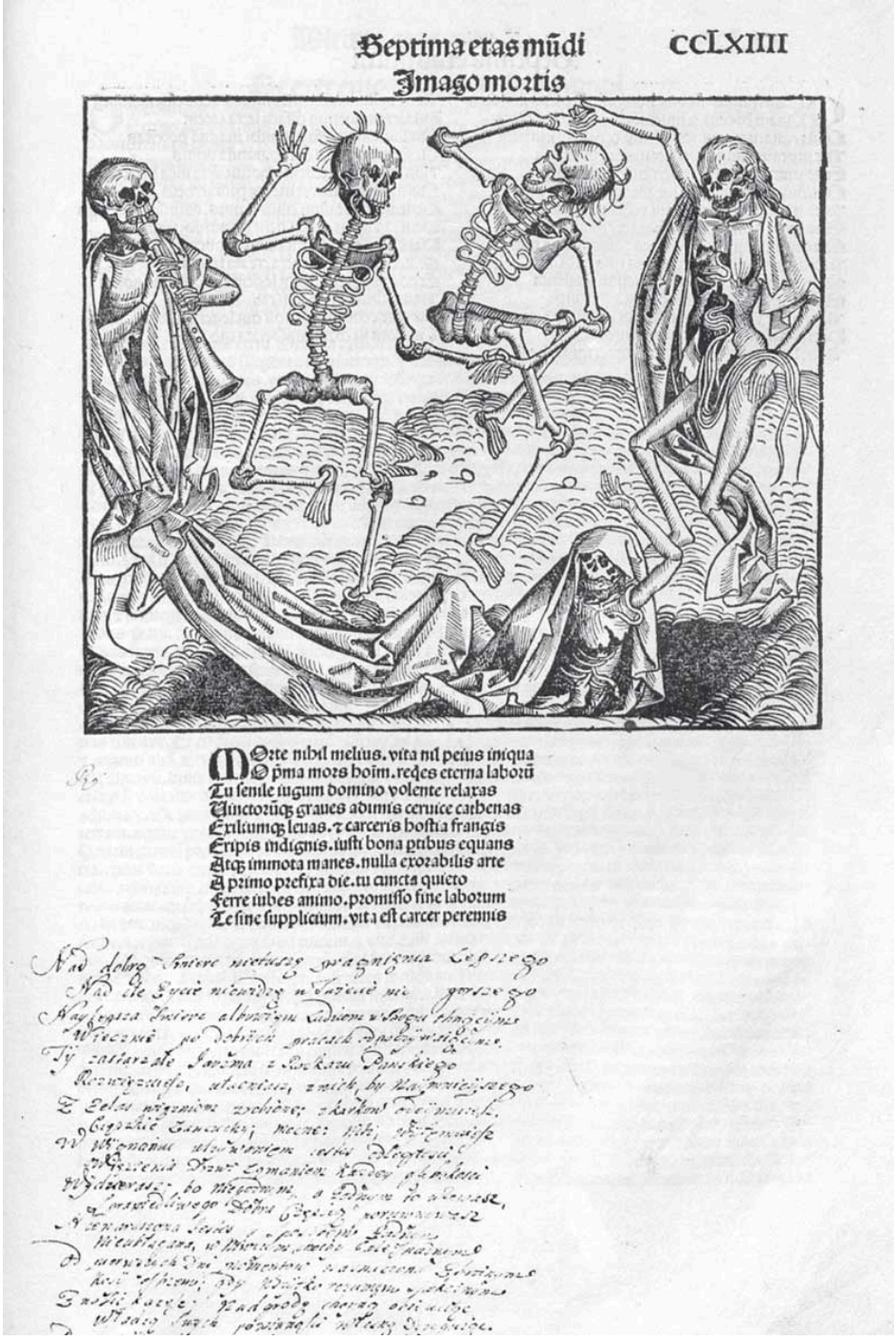
Septima etas mũdi CCLXIIII
Imago mortis
Morte nihil melius. vita nil peius iniqua
Ō ꝑma mors hoīm. reḡes eterna laborū
Tu senile iugum domino volente relaxas
Uinctorūq; graues adimis cervice carbenas
Exiliumq; leuas. ⁊ carceris hostia frangis
Eripis indignis. iusti bona ꝓbus equans
Atq; immota manes. nulla exorabilis arte
A primo ꝓfixa die. tu cuncta quieto
Ferre iubes animo. promisso fine laborum
Te sine supplicium. vita est carcer perennis

Następca księdza Benedykta, który przejął plebanię w Firlejowie, spędził cały wieczór, szperając w dokumentach poprzednika i szykując je do odesłania do kurii. Otworzył też list od Drużbackiej, ale nie bardzo wiedział, kim jest ta kobieta. Zdumiało go jednak, że ksiądz korespondował z kobietami, znalazł bowiem całe pudełko listów,

starannie ułożonych, według dat, przełożonych suszonymi kwiatkami, zapewne żeby się mole w papier nie wdały. Nie wiedział, co z nimi zrobić, bo do ksiąg, które nakazano mu spakować i wysłać do biskupstwa do Lwowa, dołączyć ich jakoś nie śmiał. Trzymał jakiś czas pudełko przy łóżku, podczytywał sobie te listy z przyjemnością, potem o nich zapomniał, pudełko wsunęło się pod łóżko i tam stało, w wilgotnej sypialni plebanii, aż listy zbutwiały i zamieniły się w gniazda dla myszy.

W ostatnim liście Drużbacka pisała jeszcze, że najgorsze są dwa pytania: „dlaczego?” i „w jakim celu?”.

> A przecież nie mogę się powstrzymać, by ich nie stawiać. Więc odpowiadam sobie, że Pan Bóg chce nas stworzonych i grzeszących ze stworzeniem, właśnie przez stworzenie ukarać. Sam zaś ręce umywa, by dobroć swoją ochronić w naszych oczach. Szuka sposobów naturalnych do wygubienia nas pośrednio, przez jakąś rzecz naturalną, aby lżejsze było uderzenie, niż gdyby sam uderzył, bo tego byśmy zrozumieć nie mogli.
>
> Mógł przecież Bóg Naamana z trądu uleczyć jednym słowem, ale kazał mu iść się kąpać do rzeki Jordan. Mógł ślepego uzdrowić swoją wszechmiłością, ale przecież ślinę z błotem mieszał i kładł mu na oczy. Mógłby każdego od razu uzdrowić, a stworzył aptekę, medyka, zioła lecznicze. Jego świat to wielkie dziwowisko.

O powrocie Moliwdy do życia

Moliwda zeszczuplał i właściwie w niczym nie przypomina siebie sprzed kilku lat. Jest gładko ogolony i wprawdzie nie ma tonsury, ale nosi włosy krótko, tuż przy głowie strzyżone. Wygląda młodziej. Jego starszy brat, emerytowany wojskowy, jest tym klasztorem jakoś zażenowany. Nie bardzo rozumie, co się stało Antoniemu, i to na stare lata. Mówią w Warszawie, że się zakochał bez pamięci i bez wzajemności w mężatce, a ta na jego zaloty pozwalając, dała mu błędne i fałszywe pozory związku jakiegoś bliższego. I tak to rozkochawszy

w sobie Moliwdę, szybko go porzuciła. Brat tego nie pojmuje, nie chce mu się wierzyć w takie opowieści, pojąłby, gdyby chodziło o honor, o zdradę, ale nie o miłostki. Spogląda na brata podejrzliwie. Ale może rzecz w czym innym? Może ktoś na niego urok rzucił, bo tak dobrze mu szło u prymasa.

– Ja już się dobrze czuję. Niech brat tak na mnie nie patrzy – odzywa się Moliwda i ściąga przez głowę habit.

Przed klasztorem czeka powóz, a w nim ubranie dla Antoniego Kossakowskiego zwanego Moliwdą – swojskie: spodnie, koszula, polski żupan i kontusz skromny, ciemny, do tego ciemny pas, bez ostentacji. Przeorowi klasztoru zaoferował wsparcie złotem, ale przeor jest chyba trochę rozczarowany, Moliwda-Kossakowski wydaje się bowiem prawdziwie świętobliwy – na modłach spędzał całe dnie i noce, leżał krzyżem w kaplicy i nie odchodził od obrazu Matki Boskiej Królowej Świata, który sobie nadzwyczaj upodobał. Do braci rzadko się odzywał, w pracach klasztornych udziału brać nie chciał, trudno mu się było dopasować do porządku klasztornego. Teraz idzie przed bratem pułkownikiem, trzyma się blisko ściany, dłonią sunie po cegłach, jego bose stopy w sandałach irytują brata, stopy powinny być obute, najlepiej w buty z cholewami, wojskowe. Nagie – to chłopskie, żydowskie.

– Wszystkich swoich wpływów użyłem, żebyś trafił do królewskiej kancelarii. Dobre wsparcie dostałeś od prymasa samego i to przeważyło. Innych rzeczy ci nie pamiętają. Ty masz wielkie szczęście, Antoni. Na znajomość języków bardzo liczą... Wdzięczności od ciebie żadnej nie chcę, robię to dla spokoju duszy naszej świętej pamięci matki.

Gdy powóz rusza, Antoni nagle całuje brata w rękę i zaczyna szlochać. Pułkownik chrząka z zażenowaniem. Chciałby, żeby powrót Antoniego odbył się po męsku i godnie, jak na szlachcica przystało. O młodszym bracie myśli – nieudacznik. Cóż go pokierowało do klasztoru, gdy w kraju dzieje się tyle złego? Skąd te napady melancholii, gdy państwo rządzone przez młodego, płochego króla coraz bardziej popada w zależność od carycy?

– Ty nic nie wiesz, panie bracie, boś się za murami klasztornymi schował, gdy kraj w potrzebie – powiada z wyrzutem i zniesmaczony odwraca się, kierując wzrok w okienko powozu.

A potem mówi jakby nie do brata, ale do pejzażu za oknem:

– Na sejmie czterech przedstawicieli Rzeczypospolitej jak chłystków wywlekli z ław siepacze ambasadora imperatorowej. Jak kmiotków ich potraktowali... A za co, mój panku? A za przeciwstawianie się reformom dla innowierców, które chce się tutaj siłą narzucić.

I już wraca to samo święte oburzenie, które poczuł, gdy dotarły do niego wieści o owym barbarzyństwie; zwraca się znów do spłakanego brata, który właśnie wyciera łzy rękawem:

– A oni się zapierali i krzyczeli, aż zrobiła się z tego wielka ruchawka, bo część posłów próbowała stanąć po ich stronie, a wtedy...

– A którzy to posłowie tacy odważni, czy ich znasz? – przerywa mu Moliwda, który jakby już doszedł trochę do siebie.

Pułkownik, wyraźnie rad, że coś z tego, co mówi, dociera do brata, odpowiada żywo:

– A jakże. Załuski, Sołtyk i dwóch Rzewuskich. Reszta zebranych, gdy zobaczyła wojsko regularne, rosyjskie, które weszło gotowe do strzału, tylko krzyczała: „Hańba, hańba, sejm święty naruszony!”, lecz się tym Moskale nie przejmowali i tych czterech z sali wywlekli. Otyły Sołtyk, cały czerwony na twarzy, bliski apopleksji, próbował im się opierać i w końcu chwycił się jakiego mebla, ale i jemu dali radę. I wyobrażasz sobie, to wszystko przy przyzwoleniu reszty, niech ich psia mać, tchórzy!

– I co z tymi posłami zrobili? Uwięzili? – pyta Moliwda.

– Żeby tylko uwięzili! – wykrzykuje pułkownik, całkiem już teraz odwrócony do brata. – Prosto z sejmu na Sybir ich wysłano, a król nawet palcem nie kiwnął!

Milkną obaj na chwilę, bo powóz wjeżdża do jakiegoś miasteczka i koła zaczynają turkotać po bruku.

– Dlaczegóż to oni tak się upierają, żeby nie dawać praw żadnych innowiercom? – pyta Moliwda, gdy koła na powrót wracają w miękkie błotniste koleiny.

– Jakże to: dlaczego? – Tego pytania brat Moliwdy zrozumieć nie potrafi. Wszak bez żadnych wątpliwości wiadomo, że zbawienie przyjdzie tylko przez najświętszy Kościół rzymski. Chcieć

wyrozumiałości dla lutrów, dla Żydów czy dla arian to diabelstwo zwyczajne. I dlaczego Rosja wtrąca się w nasze własne sprawy? – Cóż ty opowiadasz? – aż mu słów zabrakło.

– Ja gdziekolwiek w świecie swoją stopę postawiłem – mówi Moliwda – tam widziałem, że może i Bóg jest jeden, ale sposobów wiary weń mnóstwo, liczba nieskończona... W wielu różnych rodzajach butów można iść do Boga...

– O tym toś powinien zmilczeć – stwierdza brat z przyganą. – To wielka plama na twoim honorze. Dobrze, że już prawie zapomniana została twoja niecna przeszłość. – Składa usta, jakby chciał splunąć.

I nie rozmawiają już prawie ze sobą do samej Warszawy.

Brat instaluje Moliwdę u siebie, w starokawalerskim zabałaganionym mieszkaniu na Solcu i każe mu się wziąć w garść, tak żeby jak najszybciej mógł zacząć nową pracę.

Moliwda zaczyna nowe życie od golenia. Ostrząc brzytwę, patrzy przez okna, jak na ulicy gromadzą się niespokojne tłumy. Wszyscy trwają w pełnym oburzenia oszołomieniu. Gesty stały się zamaszyste, słowa latają wysoko: Bóg, Rzeczpospolita, Ofiara, Śmierć, Honor, Serce... Wypowiada się je z przydechem. Wieczorem słychać z ulicy monotonne modlitwy, recytowane zmęczonymi, pełnymi rezygnacji głosami, albo szumne okrzyki.

Pracę zaczyna Moliwda od pisania i tłumaczenia listów, które królewska dyplomacja rozsyła po całej Europie. Płodzi je i przepisuje bezmyślnie. I tłumaczy bezmyślnie. Patrzy na to wszechobecne poruszenie jak na teatr kukiełek. A sztuka jest o kupczeniu. O świecie-jarmarku. Ludzie inwestują w towary, w materię wszelkiego rodzaju i we wszelkie jej odmiany – dobra, władzę, która przyniesie dostatek i da pewność siebie, przyjemności dla ciała, w cenne przedmioty, które poza swoją cennością są zupełnie bezużyteczne, w jedzenie i napitki, w spółkowanie. Czyli w to wszystko, co ludzie prości pojmują jako życie. I każdy tego chce, od chłopa do króla. Gdzieś za tym darciem szat i rzucaniem się samemu na stos majaczą ciepła izba i suto zastawiony stół. Moliwdzie wydaje się, że biskup Sołtyk, już okrzyczany największym bohaterem, to jakiś Herostrat, który podłożył ogień dla sławy, bo czyn jego, niby bohaterski, niczemu się nie przysłużył, niczego nie wniósł do wspólnej sprawy. I nie jest dla Moliwdy zrozumiały ten fanatyczny opór przeciw żądaniom Rosji w sprawie innowierców. Wszystko, co caryca Katarzyna powie, jest z góry traktowane jako zamach na Rzeczpospolitą, a przecież nie trzeba wielkiej roztropności, żeby wiedzieć, że taki jest duch czasów – prawa dla innych wyznań, że są rzeczy i czarne, i białe, ale też są i szare, i tych jest najwięcej. W kancelarii króla wielu myśli tak jak on.

Wracając do domu, przygląda się prostytutkom, które nawet w ten burzliwy czas nie schodzą ze swojej warty na ulicy Długiej, i zastanawia się, co to jest właściwie to życie.

I mimo że nie potrafią mu odpowiedzieć na to pytanie, często korzysta z ich usług, bo od wyjścia z klasztoru panicznie boi się zostać sam.

O wędrujących jaskiniach

Gdy wychodzi się poza miasteczko w stronę południowo-wschodnią, droga prowadzi najpierw przez gęsty las, w którym oprócz drzew rosną białe kamienie. Rosną wolno, ale z czasem, jak ziemia się zestarzeje, wyjdą zupełnie na wierzch, gleba nie będzie już potrzebna, bo nie będzie

człowieka, zostaną same białe skały i wtedy okaże się, że to są kości ziemi.

Widać, że grunt od razu za miastem zmienia się – jest ciemnoszary, szorstki i składa się z malutkich, lekkich kamyczków, jakby ze zmielonych w młynach kosteczek. Rosną tu sosny i wysokie dziewanny, w wywarze z nich chłopki myją włosy, żeby stały się jaśniejsze. Sucha trawa trzeszczy pod nogami.

Zaraz za lasem zaczynają się wzgórza pełne białych skał, z których wyrastają ruiny zamku. Gdy widzą to pierwszy raz, zgodnie myślą, że nie może to być zamek zbudowany ludzką ręką, lecz że formowała go ta sama siła, ta sama ręka, która zbudowała skały. Wygląda ta budowla na twierdzę bałakaben, owych beznóżków, podziemnych bogaczy, o których wspominają mędrcy w świętych księgach. Tak, to musi być ich posiadłość, i cały teren wokół Częstochowy – dziwaczny, skalisty, pełen tajemniczych przejść i kryjówek.

Ezdra, przyjazny im Żyd z Częstochowy, u którego zaopatrują się w żywność, największą rewelację trzyma jednak na koniec. To jaskinia.

– I co? – pyta Ezdra tryumfalnie, uśmiechając się i odsłaniając zbrązowiałe od tytoniu zęby.

Wejście do jaskini kryje się w krzakach porastających zbocze. Ezdra zaprasza ich do środka, jakby to była jego własna rezydencja, ale im wystarcza włożenie w otwór głowy; i tak nic nie widać. Ezdra wyciąga skądś pochodnię i krzesze ogień. Po kilku krokach otwór za nimi znika i światło pochodni pokazuje wnętrze: wilgotne ściany, dziwne, piękne, połyskliwe, jakby zrobione z nieznanego człowiekowi kruszcu – gładkiego minerału, który zastygł w krople i sople, cudownej skały w pięknym rudawym kolorze, poprzetykanej nićmi innej barwy, białej i szarej. A im głębiej wchodzą, tym bardziej to wnętrze wydaje się żywe, jakby weszli do cudzego brzucha, jakby wędrowali po jelitach, żołądku i nerkach. Odgłos ich kroków odbija się od ścian, rośnie jak grzmot i wraca pokawałkowany. Nagle skądś pojawia się podmuch wiatru i gasi marną pochodnię, ogarnia ich ciemność.

– El Szaddaj – mówi nagle szeptem Jakubowski.

Nieruchomieją, słychać teraz ich niepewne, płytkie oddechy, szum krwi w żyłach, bicie serca. Słychać, jak Nachmanowi Jakubowskiemu kiszki marsza grają, słychać, jak Ezdra przełyka ślinę. Cisza jest tak gęsta, że czują na skórze jej zimny, śliski dotyk. Tak, z pewnością jest tu Bóg.

Zwierzchowska, która w sposób naturalny przejęła rządy nad całą kompanią rozparcelowaną po częstochowskich domkach, szykuje hojny dar dla przeora – srebrne świeczniki i żyrandol z kryształów, wszystko warte tyle, że przeor nie może odmówić prośbie. Już przecież chodzili całą kompanią na spacery wokół klasztoru. Co by szkodziło, żeby pójść dalej. Przeor się waha, ale błysk srebra i skrzenie się kryształków go przekonują. Wydaje zgodę. Klasztor ma kłopoty finansowe. Ma być po cichu i tylko Jakub z dwoma towarzyszami. Chana z dziećmi zostają pod strażą.

I nadszedł ten moment 27 października 1768 roku, dzień po narodzinach Jakubowego syna, Józefa. Wtedy to Pan pierwszy raz wychodzi poza mury miasteczka. Wkłada długi płaszcz Czerniawskiego i nasuwa czapkę na oczy. Przy rogatkach czekają na nich fura i wynajęty chłop, który wiezie ich w milczeniu piaszczystą, nierówną drogą.

Jakub wchodzi do jaskini sam i każe im czekać. Czerniawski i Jakubowski rozbijają pod wejściem do jaskini mały obóz, ale ognisko ledwie się tli. Dzień jest deszczowy i mokry. Wilgotnieją im kapoty od tego stania w mżawce. Jakub nie wraca aż do wieczora. W słabym ogniu pękają jabłka nabite na kije.

Pojawia się w otworze, gdy już jest ciemno. Nie widzą dokładnie jego twarzy. Każe im szybko iść, idą więc, potykając się o wystające kamienie i o własne nogi, oczy przyzwyczaiły się już do mroku, a noc jest czemuś jasna – czy to mokra mgła tak rozprasza światło gwiazd i księżyca, czy tutejsza ziemia koloru wyschłych kości tak świeci? Chłop z wozem, który na nich czeka przy drodze, jest mokry i zły. Domaga się większej zapłaty; nie wiedział, że to będzie trwało tak długo.

Jakub przez całą drogę nie mówi ani słowa; odzywa się dopiero w izbie przy wieży, zrzuciwszy wpierw mokry płaszcz:

– To jest ta sama jaskinia, w której Szymon bar Jochaj z synem ukrywali się przed Rzymianami, a Bóg cudownie dostarczał im jedzenie i sprawiał, że ich ubranie nigdy się nie niszczyło – mówi. – To tutaj Szymon bar Jochaj napisał Zohar. Ta jaskinia przywędrowała tu za nami z Hebronu, nie wiedzieliście? Tam głęboko, na samym dnie, jest grób Adama i Ewy.

Zapada cisza, w której słowa Jakuba szykują sobie miejsce. Można by rzec, że przesuwają się nad nim z szelestem wszystkie mapy świata, obracają się, dopasowują do siebie. Trwa to dłuższą chwilę, potem zaczynają się chrząknięcia, ktoś wzdycha; wygląda na to, że zapanował porządek. Jakub mówi: zaśpiewajmy. I śpiewają, jak zwykle razem, tak samo jak śpiewali w Iwaniu.

Na noc zostają u niego dwie kobiety, reszcie zaś, która mieszka w miasteczku, nakazuje, by dwaj Matuszewscy i Pawłowski mieli połączenie z Henrykową Wołowską. Podobnie następnej nocy: z Zofią Jakubowską, która już nie karmi córeczki piersią, mają mieć do czynienia Pawłowski, obydwaj Wołowscy, i jeszcze Jasskier.

O nieudanych poselstwach i historii, która oblega klasztorne mury

Dobra passa Nachmana, Piotra Jakubowskiego, nie trwa długo. Starannie przygotowywane poselstwo do Moskwy kończy się zupełnym fiaskiem. Posłów, Jakubowskiego i Wołowskiego, potraktowano jak przestępców, morderców i wiarołomców, a to dlatego, że wcześniej już dotarły tam wieści z Polski o upadłym Mesjaszu więzionym w Częstochowie. Nie udało im się spotkać z nikim, nie pomogły hojnie rozdawane podarki. Wreszcie przepędzono ich stamtąd jak szpiegów. Wrócili bez pieniędzy, z pustymi rękami. Jakub ich ukarał. Kazał im stanąć przed kompanią boso, w samych koszulach, a potem na klęczkach przepraszać wszystkich za swoją nieudolność. Jakubowski zniósł to lepiej niż Franciszek Wołowski. Marianna Wołowska mówiła potem innym kobietom, że jej mąż szlochał w nocy ze wstydu i poniżenia, a przecież żadnej winy posłów w tym, co się stało, nie było. Wydaje im się, że cały

świat knuje przeciw nim, cała Europa. Więzienie w Częstochowie po tym wszystkim jawi się Nachmanowi Jakubowskiemu jako swojskie i przytulne, zwłaszcza że Pan może bez ograniczeń wychodzić do miasteczka, a nawet na długie spacery do jaskini, cała zaś kompania ma do niego swobodny dostęp.

Teraz za dnia izba u dołu wieży zmienia się w kancelarię. Jakub dyktuje listy do prawowiernych na Podolu, na Morawach i w Niemczech, opowiada im w nich o Szechinie ukrytej w jasnogórskim obrazie i nawołuje do chrztów na wielką skalę. Ton tych listów z miesiąca na miesiąc robi się coraz bardziej apokaliptyczny. Czasem skrybie, Jakubowskiemu albo Czerniawskiemu, drży ręka przy pisaniu. Wieczorami zaś kancelaria zmienia się w świetlicę, taką jaka była w Iwaniu, a po naukach zostają tylko wybrani i zaczyna się „gaszenie świec". Któregoś jesiennego dnia 1768 roku w czasie trwania rytuału do izby zaczynają się dobijać ojcowie paulini z klasztoru, aż w końcu wyważają drzwi. Niewiele jednak widzą w ciemnościach. Zdaje się jednak, że wystarcza im to, co zobaczyli, bo następnego dnia przeor wzywa do siebie Jakuba pod strażą i zabrania mu przyjmowania u siebie kogokolwiek poza ścisłą rodziną.

– Żadnych kobiet w klasztorze i żadnych młodych chłopców – mówi przeor, a gdy to mówi, zakrywa sobie twarz dłońmi.

Przywraca też zakaz wychodzenia do miasteczka, ale jak to bywa z zakazami, kruszeją one z czasem i pod wpływem wielkiej hojności. Jako że czas staje się niespokojny, przeor wydaje kategoryczny nakaz zamykania klasztoru na całą noc i dopiero choroba Chany na tyle wzrusza jego serce, że pozwala na jej i dzieci całodobowy pobyt w izbie oficerskiej.

O tym, że coś się dzieje na Podolu, przy granicy tureckiej, dowiadują się od Jaskiera Korolewskiego, szwagra Pawłowskiego, który krąży z listami na Podole i ma oczy wokół głowy. Najpierw – dziwna rzecz – jego ojciec, który jest namiotnikiem w Korolówce, dostał od polskich panów wielkie zamówienie na namioty, co znaczyć musi najpewniej, że szykują się jakieś ruchy wojsk. I rację ma Jaskier – Roch wkrótce oznajmia im, że w miasteczku Bar zawiązała się konfederacja przeciwko królowi, który z Rosją się zmawia. Wzruszony Roch opowiada

o sztandarach: że widnieje na nich Nasza Panna z Częstochowy, ta sama, z ciemną twarzą, z Dzieciątkiem na ręku, a konfederaci noszą płaszcze z krzyżami i z napisem czarnym: „Za wiarę i wolność”. Podobno wojska królewskie wysłane przeciwko konfederatom albo pierzchają przed ich zapałem religijnym, albo przechodzą na ich stronę. Roch przyszywa naderwane guziki starego munduru i poleruje strzelbę, jak wszyscy wiarusi w klasztorze. Pod murami układa się kamienie i naprawia okienka strzelnicze, porosłe już krzakami.

A sama Częstochowa, senna do tej pory, powoli wypełnia się żydowskimi uchodźcami z Podola, tam bowiem trwa hajdamackie powstanie i już zaczęły się pogromy. Uchodźcy ciągną więc do świętego chrześcijańskiego przybytku, wierząc, że w nim do przemocy żadnej dojść nie może, a na dodatek garną się pod skrzydła uwięzionego tu żydowskiego niby-Mesjasza. Przywożą ze sobą straszne opowieści, że rozjuszeni bezprawiem hajdamacy nie przepuszczą nikomu. Nocne niebo jest czerwone od łun płonących wsi. Gdy reżim przeora nieco łagodnieje, Jakub wychodzi do nich każdego dnia, kładzie na ich głowy ręce – rozeszła się już szeroko pogłoska, że uzdrawia.

Całe Wieluńskie Przedmieście zamienione jest teraz w obóz, ludzie koczują na ulicach, na podłużnym ryneczku. Ojcowie paulini noszą im tam świeżą wodę z klasztoru, bo ponoć studnie są już zanieczyszczone i wszyscy boją się zarazy. Rozdaje się co rano ciepłe bochenki chleba pieczonego w klasztornej piekarni i jabłka z sadu, co pięknie w tym roku obrodziły.

Nachman Jakubowski spotyka w tym obozie znajomych chasydów. Ci osieroceni przez Beszta przyglądają się ludziom Jakubowym z boku, nieufni. Trzymają się razem, lecz w końcu zaczynają wdawać się w dysputy z prawowiernymi, hałaśliwe i gwałtowne. Głosy dyskutujących, pełne cytatów z Izajasza, z Zoharu, niosą się nad murami i można je usłyszeć z wieży Jakuba.

Z okazji chrztu małego Józefa Jakub wydaje w miasteczku wielką ucztę, tak że jeść i pić może każdy, kto chce, bez względu na to, czy chrzczony, czy nie. Równie huczne jest wesele Jakuba Golińskiego, któremu Pan, jako dobremu prawowiernemu, przeznaczył na żonę Magdę Jezierzańską, dwakroć od niego młodszą. Ślub odbywa się

w kaplicy nowicjackiej w klasztorze, którą przeor łaskawie im udostępnia po odmalowaniu. Uroczystość jest piękna – nie słychać jeszcze huku armat, które nieubłaganie zbliżają się do Częstochowy, brzmią za to dostojnie psalmy ojców paulinów, zadowolonych, że klasztor dostał bogatą ofiarę.

Zaraz potem nadchodzi wieść, że w wewnętrzne polskie animozje włączyła się Rosja i rosyjskie wojska idą tu ze wschodu. I że to jest wojna. Potem już każdego dnia wiadomości są gorsze. I codziennie do Panny Jasnogórskiej przychodzi coraz więcej ludzi, którzy wierzą, że w jej obecności nic im się złego stać nie może. Kaplica jest pełna, ludzie leżą krzyżem na zimnej posadzce, powietrze jest gęste od modlitw. Gdy milkną śpiewy, z daleka, zza horyzontu, dopływają niskie, złowróżbne grzmoty wybuchów.

Przestraszony tym wszystkim Jakub każe Janowi Wołowskiemu jechać do Warszawy po Awaczę, która tam u Wołowskich jest na naukach. Potem tego bardzo żałuje. Sam jest zdziwiony jej wyglądem. Wyjechała chuda dziewczynka z włosami splecionymi w warkoczyki, z obgryzionymi paznokciami i dłońmi szorstkimi od wspinania się na mur, a wróciła panna, grzeczna i piękna. Włosy nosi teraz upięte w wysoki kok, mienią się kolorami jaskrawe sukienki z dekoltem (choć przykrytym chusteczką). Gdy tylko wychodzi na codzienny krótki spacer po murach, wszystkie oczy w klasztorze kierują się na nią. Niemile jest widziana przez zakonników, za dużo wokół niej zamieszania. Ojciec trzyma ją więc w izbie oficerskiej i w końcu nie pozwala wychodzić jak tylko po zmroku, i to zawsze pod czyimś czujnym okiem.

Dwa tygodnie po jej przyjeździe do klasztoru przybywają konfederaci pod wodzą niejakiego Pułaskiego. Zajmują któregoś popołudnia twierdzę jasnogórską jak podwórko oberży, roztasowują się z końmi, wozami, armatami wszędzie, ku wielkiemu przerażeniu paulinów. Wypraszają pielgrzymów i zaprowadzają swoje wojskowe porządki. Natychmiast twierdza zostaje zamknięta i Jakuba teraz odwiedzać nie można, a i jemu nie pozwala się wychodzić do miasta. Są z nim Chana, Awacza i chłopcy, a także oboje Zwierzchowscy, Matuszewscy i Nachman Jakubowski jako posłaniec. Mnisi muszą opuścić jedno skrzydło klasztoru, zamienia się je teraz na kwatery dla wojska. Pielgrzymki najpierw ustają, a potem nieśmiało znowu ruszają, lecz przy bramie odmłodzeni, pełni wigoru wiarusi sprawdzają każdego, czy aby nie ruski szpieg. Roch, który jest dowódcą przybramnej straży, nie ma już czasu na rozmowy z Jakubem. Ma teraz inne sprawy na głowie –

dopilnowuje cowieczornego dowozu piwa i wina dla żołnierzy. Ożywia się samo miasteczko, jako że trzeba żołnierzy wyżywić, ubrać i dostarczyć im rozrywki.

Kazimierz Pułaski wygląda młodo, jak chłopiec, któremu się właśnie wąs puścił. Aż trudno uwierzyć, że to doświadczony przywódca. On sam to chyba wie, bo dodaje sobie powagi i ciała wojskowym ciężkim płaszczem, który czyni jego szczupłą sylwetkę masywniejszą.

Nie ma on wielu okazji do walki. Oddziały rosyjskie kręcą się wokół twierdzy jak lis wokół kurnika. Podchodzą i odchodzą. Ludzie wierzą, że odstrasza ich Matka Boska na sztandarach wywieszonych na murach.

Pułaskiego, który już zaczyna się nudzić bezczynnością w zamkniętym klasztorze, intrygują człowiek w wysokiej czapce, rzadko wychodzący z wieży, i jego piękna, tajemnicza córka, o której już krążą w garnizonie legendy. Nie obchodzą go kościelne sprawy i herezjami niewiele się interesuje. Słyszał tylko, że to neoficki herezjarcha, rezydent klasztoru. Ale i dobry katolik, jak zapewniał go przeor. Widzi go codziennie na porannej mszy. Jego szczere i autentyczne uczestnictwo w nabożeństwie, jego mocny głos, który śpiewa *Ojcze nasz*, budzą w Pułaskim podziw i sympatię. Zaprasza ich kiedyś na kolację, ale przychodzi sam Jakub – wysoki, dystyngowany. Mówi z lekko obcym akcentem niewiele, z rozmysłem. Rozmawiają o tym, co może się wydarzyć, o Rosji, o polityce króla. Pułaski rozumie, że ten więzień królewski musi być ostrożny, i próbuje zmienić temat, bo rozmowa się nie klei. Na pytanie o córkę ten Jakub Frank odpowiada, że musiała zostać z niedysponowaną matką. Pułaski wydaje się rozczarowany. Lecz następnym razem Jakub zabiera córkę i jej obecność sprawia, że wieczór staje się bardzo miły. Zaproszeni inni oficerowie, lekko podekscytowani obecnością takiej pięknej młodej (choć nieśmiałej i milczącej) kobiety, popisują się dowcipem i inteligencją. Wino smakuje, a chude kurczęta przypominają w smaku dziczyznę.

Miłe towarzyskie wieczory kończą się, gdy przybywa do Częstochowy ze swoimi oddziałami pan Lubomirski. Ten – jak mówią ludzie w miasteczku – jest jeszcze gorszy niż sami Rosjanie. Łupi bezlitośnie okoliczne wsie, jego żołnierze nie wahają się posuwać do

gwałtu i chłopi nazywają go husytą. Oddział Lubomirskiego krąży po ogromnym terenie i przegania wprawdzie Rosjan, ale z trudem podporządkowuje się rozkazom naczelnego dowództwa konfederatów i powoli zamienia się w bandę rabusiów.

Kiedy pojawia się w klasztorze, Jakub chowa Awaczę u braciszków i nie wolno jej wychodzić, dopóki się ci rabusie nie wyniosą. Lubomirski urządza w garnizonie wielkie libacje i ma zły wpływ na żołnierzy Pułaskiego. Tylko wiarusi patrzą na młodego księcia z podziwem.

– Takich przywódców nam trzeba – mówi Roch, częstując Jakuba tytoniem, który dostał od księcia. – Rosjan byśmy pogonili jak psy parszywe.

Jakub bierze szczyptę i milczy. Któregoś wieczoru podpity książę dobija się do wieży Jakuba i Jakub musi go przyjąć. Radzi się Jakuba jak ojca w kwestiach związanych z kobietami. Jego wzrok nerwowo błądzi po izbie, szukając zapewne jednej z nich, tej, o której wszyscy tutaj mówią.

Są w twierdzy żołnierze oddziałów królewskich zagarniętych przez konfederatów i wielu z nich służy niechętnie. Jeden, a jest to kapitan gwardii mirowskiej, z którego oddziału Moskale zabili już trzech oficerów, przychodzi kiedyś do Jakuba po poradę, czym daje początek nowej modzie – odtąd wielu zaczyna się radzić Jakuba, jako mądrego Żyda nie-Żyda, jakiegoś nie do końca określonego proroka, któremu wielkiej tajemniczości przydaje stan uwięzienia w tak dziwnym miejscu. Ów kapitan, drobny, jasnowłosy i ujmująco grzeczny, pyta Jakuba w wielkim zaufaniu, co ma zrobić, bo jest młody, a boi się śmierci. Siedzą na kamieniach, obaj nachyleni do siebie, po północnej stronie wieży, tam gdzie zwykle żołnierze obsikują mur.

– Powiedzcież, panie, czy uciekać mam do Warszawy, skąd pochodzę, i zostać przez to dezerterem i tchórzem, czy wojować dla ojczyzny i dać się zabić dla niej?

Rada Jakuba jest bardzo konkretna. Ma ów oficer iść na targ do Częstochowy i nakupić cenności drobnych – zegarków, pierścieni, a jako

że jest wojna, wszystko to tanio dostanie. I trzymać to jako zabezpieczenie, gdyby się źle działo.

– Wojna to jest takie pomieszanie jarmarku i nocnego koszmaru – mówi mu Jakub Frank. – Rzucaj za siebie te fanty, wykupuj się z pierwszej linii, podpłacaj, żebyś dobrze jadł, szanuj się, to tak się od śmierci wykupisz. Żadne to bohaterstwo dać się zabić.

Klepie młodego oficera po plecach, a ten przez króciutki moment wtula się w kołnierz Jakuba.

– Tak się boję, panie.

O odejściu Imości Chany w lutym 1770 roku i miejscu jej wiecznego spoczynku

– Ja to mam za ekscentryczność – mówi przeor. – Sprzeciwiać się nie śmiem w tej kwestii, więzień jest nie nasz, ale świętego Kościoła. Jako ochrzczonej, wystarałbym się tej kobiecie o miejsce na cmentarzu w mieście, bo tutaj świeckich nie chowamy.

Przeor wygląda przez okno i widzi, jak przed kaplicą ćwiczą się w szabli podstarzali konfederaci. Klasztor przypomina teraz raczej garnizon. Jakubowski kładzie na stole pokaźną sakiewkę, jak zwykle.

Chana drugi dzień leży w izbie oficerskiej przy wieży. Wszystkim wydaje się już, że to bardzo długo; przez te dni nikt nie ma spokoju, wiedząc, że jeszcze nie przyjęła jej ziemia. Jakubowski już kolejny raz chodzi do przeora z prośbą o pozwolenie pochowania zmarłej w jaskini, jak przedtem, jak wiele razy, jak ostatnio, gdy umarł mały Jakub. Ale Chana to nie małe dziecko i nie jakiś pośledni neofita. To przecież żona Jakuba Franka.

Chana umarła ze zgryzoty. W zeszłym roku urodziła córeczkę, której dano na imię Józefa Franciszka. Dziecko, ledwie co ochrzczone, zmarło. Najpierw Chana traciła siły z powodu niewyjaśnionych krwawień, które ciągnęły się długo po ostatnim porodzie i nie ustały. Potem dołączyły się gorączka i bolesny obrzęk kości. Zwierzchowska, która się nią opiekowała, mówiła, że to z chłodu ciągnącego od kamieni. Nie

pomagały na to zimno piernaty puchowe, które przyszły z Warszawy. Wilgoć była tu wszechobecna. Stawy tak spuchły, że Chana nie mogła się w końcu ruszać. Potem umarł mały Jakubek. Dzieci pochowano w jaskini, bez księdza, chyłkiem, ale po tych dwóch zgonach Chana się już nie podniosła. Jakub kazał Wołowskim zabrać Awaczę do Warszawy, a chorą Chanę wynosić w Częstochowie w plamę słońca. Tam dopiero można było zobaczyć, jak jest blada i wyniszczona. Jej skóra, zawsze jasnooliwkowa, teraz była szara i wyglądała, jakby ją pokryła warstewka popiołu. Przez jakiś czas pomagał jeszcze wyciąg z kory wierzby, po którą dziewczęta chodziły na pobliskie pola. Wierzba rośnie tam na miedzach równymi rzędami. Jasne witki wyrastają z pokracznych, krępych pni. Jakie to brzydkie drzewo, ta wierzba – mówiła Chana – rozczapierzona, rozczochrana, niczym zgrzybiała, kaleka kobieta. A jednak pomagała jej jakiś czas ta brzydka roślina. Kobiety ścinały witki i ściągały z nich korę. W domu gotowało się tę korę w wodzie, a wywar dawało pić chorej. Próbował leczyć Chanę jeden z ojców paulinów – nacieraniem wódką z miodem, ale i jego kuracja nie pomogła.

Teraz jest chłodno i wilgotno. Ziemia pachnie niepokojąco – grobem. Z pól pod Częstochową widać daleki horyzont, jak rozwieszoną między niebem i ziemią pojedynczą strunę, na której wiatr wygrywa ciągle ten sam monotonny, ponury dźwięk.

Nikt nie śmie zajrzeć do Jakuba. Stoją stłoczeni na schodach, bladzi, usta jak ciemne kreski, oczy podkrążone od czuwania nieustannego, nikt nic nie jadł od wczoraj, garnki zimne; nawet dzieci ucichły. Jakubowski przytulił policzek do ściany tej przeklętej wieży. Szturcha go któraś z kobiet, więc kładzie sobie dłonie na czole i zaczyna się modlić, i zaraz dołączają do niego wszyscy. Wyobraża sobie, że nawet jeżeli sklepienie nieba też jest zbudowane z takiego szorstkiego, mokrego kamienia, to i tak jego modlitwa potrafi się przezeń przedrzeć, słowo po słowie. Najpierw mówią *Ojcze nasz*, a potem śpiewają *Igadel*.

Wszystkie oczy wpatrzone są w niego, w Nachmana-Piotra Jakubowskiego, oni wiedzą, że Pan tylko jemu pozwoliłby wejść. Więc Jakubowski uchyla ciężkie drzwi na byle jakich zawiasach. Czuje, jak tamci napierają mu na ramię, żeby zobaczyć, co się dzieje w środku.

Pewnie spodziewają się cudu, Pana w białej szacie unoszącego się nad ziemią, z Imością żywą i promienną w ramionach. Jakubowski tłumi westchnienie, któremu już niedaleko do szlochu, ale wie, że musi się opanować, bo cokolwiek teraz zrobi, zrobią i tamci. Wsuwa się w cieniutką przestrzeń wpółotwartych drzwi i zaraz zamyka je za sobą. Świece już dawno zgasły, świeci się tylko jedna gromnica. Imość leży tak jak przedtem, kiedy umarła; nie zmartwychwstała, nic się nie zmieniło oprócz tego, że teraz nie ma już wątpliwości, iż jest trupem. Szczęka opadła, otwierając usta, powieki są wpółprzymknięte i blask świecy igra na śliskiej powierzchni oka, skóra Imości jest szara, ciemnawa.

Obok leży Jakub – nagi, jakiś wychudły, kanciasty, też ciemny, choć włosy na jego ciele teraz są całkiem siwe, zmierzwione jak u psa, oczy ma zapadnięte. Jego chude biodra dotykają ciała Chany, ręka leży na jej piersi, jakby ją obejmowała. Jakubowskiemu przychodzi do głowy, że on, Jakub, też umarł, i nagle robi mu się gorąco, pada na kolana przed łożem, nie czuje uderzenia o kamienną posadzkę i nie może już powstrzymać szlochu.

– Czy naprawdę wierzyłeś w to, że nie umrzemy? – pyta go Jakub, unosząc się znad ciała żony. Patrzy na Nachmana, w jego ciemnych oczach nie odbija się światło gromnicy, są jak wejście do jaskini. Pytanie, na które Jakubowski nie odpowiada, brzmi ironicznie i zaczepnie. Jakubowski opanowuje się, wyciąga z kufra świeżą koszulę oraz wełnianą turecką tunikę i zaczyna ubierać Jakuba.

Kondukt wyrusza poza mury następnego dnia przed świtem. Koło południa są przy jaskini Makpela. Dwaj Wołowscy, Pawłowski i Matuszewski z trudem wnoszą trumnę do jaskini.

Resztki. Stan oblężenia

Będę pisał o śmierciach.

Najpierw odszedł syn najstarszy, siedmioletni Jakubek, przez ojca ukochany i szykowany na następcę. Był to koniec Nowembra i spadł już śnieg. W klasztorze, zamienionym w twierdzę, panowały chłód i bieda. W tym czasie siedział już w twierdzy jej nowy komendant, Kazimierz Pułaski, i on, jako że był w dobrych stosunkach z Jakubem i często ze sobą rozmawiali, pozwolił na pogrzeb w jaskini. Mieliśmy już w jaskini mały grobowiec, z dala od cudzych cmentarzy, i każdy od nas tam był chowany, z czym się obnosić nie zamierzaliśmy. Myśmy tę jaskinię dla siebie wzięli, odebraliśmy ją nietoperzom i ślepym jaszczurkom, jako że ona przywędrowała do nas z Ziemi Izraela, jak to odkrył Jakub. I jako że spoczywali w niej Adam i Ewa, Abraham i Sara oraz patriarchowie, zaczęliśmy i my chować w niej swoich zmarłych. Pierwszym był reb Eli, nasz skarbnik, potem dzieci Jakubowe, a w końcu Chanełe. Jeżeli cokolwiek kiedy mieliśmy cennego w Polsce, to właśnie tę jaskinię, tam nasze wszystkie skarby złożyliśmy, bo była i jest drzwiami do lepszych światów, gdzie już na nas czekano.

Były to złe dni i niczym nie da się ich wytłumaczyć przed Bogiem. Jesienią 1769 roku zrobili sobie konfederaci Pułaskiego polowanie na Awaczę. I nie pomagało, jak to rozgłaszał komendant sam, że ona to córka żydowskiego maga i lepiej dać jej spokój. Jej uroda budziła powszechną ciekawość. Raz zobaczyli ją jacyś wysocy oficerowie i poprosili Jakuba o widzenie z córką. Potem jeden z nich rzekł, że ona sama z urody swojej mogłaby być Matką Boską, co się Jakubowi niezwykle podobało. Zwykle jednak trzymał ją ukrytą w wieży i gdy żołnierze pili, zabraniał jej wychodzić nawet za potrzebą. Zły duch wstąpił jednak w tych konfederackich żołnierzy, zbieraninę zewsząd, często znudzoną

siedzeniem w twierdzy lub podochoconą okowitą, którą tu z miasteczka przemycano. Bo gdy tylko Awacza wychodziła, natychmiast zastępowano jej drogę i dogadywano, a czasami stawało się to nieprzyjemne, gdy tylu mężczyzn nastawało na kobietę, do tego młodą i piękną. Ona sama zdziwiona była tym zainteresowaniem, jakie budziła, ową mieszaniną fascynacji i wrogiej pożądliwości. I kilka razy nie ograniczano się do gwizdów i dogadywań – wychodziło na to, że cały garnizon niczym innym nie mógł się zająć, jak tylko polowaniem na nią. Nie pomagało wstawiennictwo samego pana Pułaskiego, który ostro zakazał nastawania na Ewę Frankównę. Żołnierze pozbawieni zajęć dla nich właściwych, zawieszeni w oczekiwaniu i niepewni, co będzie, stają się głupim tłumem, nad którym zapanować nie można. Wolałbym o tym nie pisać i nie mówić, ale z obowiązku prawdy tylko nadmienię, iż w końcu, gdy to się stało, odprawił ją Jakub ze mną i Wołowskim do Warszawy, skąd wróciła dopiero po śmierci matki i do końca była z ojcem. A tej nocy, gdy ją poturbowano, miała sen, w którym z wieży uwolnił ją pewien Niemiec ubrany na biało. Powiedziano jej w tym śnie, że to cesarz.

Owe lata oblężenia okazały się trudne i dla mnie, i dla nas wszystkich. Wdzięczny byłem losowi, że jako posłaniec kursowałem często między stolicą a Częstochową, przez co czułem się mniej pognębiony niż Jakub, któremu po latach względnej wolności w klasztorze teraz więzienie bardziej doskwierało. Prawie wszyscy z naszych w pośpiechu kwatery swoje opuścili i wracali do Warszawy, wiedząc, że tu będzie oblężenie. Wieluńskie Przedmieście opustoszało. Przy Panu zostali tylko Jan Wołowski i Mateusz Matuszewski.

Jakub po śmierci Chany zapadł na zdrowiu i przyznam szczerze, że myślałem, iż to już koniec. Wiele się wtedy zastanawiałem,

dlaczego Hiob mówił: „Ciałem swym Boga zobaczę”; werset ten z Hioba nie dawał mi nigdy spokoju. Bo skoro ciało człowieka nie jest ani trwałe, ani doskonałe, to ten, kto je stworzył, sam musi być słaby i marny. To miał na myśli Hiob. Tak myślałem i nadchodzący czas miał potwierdzić, że racja była po mojej stronie.

Posłaliśmy zatem zgodnie do Warszawy z Wołowskim i Matuszewskim po Mariannę i potem Ignacową, aby Jakub mógł ssać ich piersi. Zawsze mu to pomagało. Tak więc mam przed oczami ciągle ten obraz, jak w czasie rosyjskiego oblężenia, gdy waliły działa i kruszyły się mury twierdzy, gdy trzęsła się ostrzeliwana ziemia i ludzie padali jak muchy, Pan w izbie oficerskiej przy wieży swojego więzienia ssał kobiecą pierś i naprawiał w ten sposób dziurawy, nędzny świat.

Latem 1772 roku nie było już czego bronić. Częstochowa była złupiona, ludzie wymęczeni i głodni, klasztor ledwie dychał, brakowało wody i jedzenia. Nasz komendant Pułaski został oskarżony o spisek przeciw królowi i musiał poddać twierdzę oddziałom rosyjskim. Nie pomogły modły w dzień Matki Boskiej Królowej Polski 15 sierpnia. Bracia leżeli krzyżem na brudnej posadzce i czekali na cud. Wieczorem po mszy wywieszono na murach białe flagi i pomagaliśmy braciszkom chować cenne obrazy i wota, a na miejsce najświętszego obrazu powiesiliśmy kopię. Rosjanie weszli kilka dni potem i kazali zamknąć zakonników w refektarzu; przez kilka dni słychać było stamtąd ich modlitwy i śpiewy. Przeor rozpaczał, że to po raz pierwszy w całej historii klasztor znalazł się w obcych rękach i że to zapewne jest koniec świata.

Rosjanie rozpalali na podwórku klasztoru wielkie ogniska i pili mszalne wino, a czego nie wypili, wylewali na kamienie, aż były

czerwone, jakby od krwi. Ograbili bibliotekę i skarbiec, zniszczyli prochownię i wiele uzbrojenia. Wysadzili bramę. Z murów klasztoru widać było dymy, kiedy szły z ogniem palone przez nich okoliczne wioski.

Lecz ku mojemu zdziwieniu Jakub wcale nie był tą sytuacją przygnębiony. Wręcz przeciwnie – chaos dodawał mu sił. Wojenny rozgardiasz podniecał go. Wychodził do Moskali i rozmawiał z nimi, a oni się go bali, bo śmierć Chany zmieniła go bardzo – był teraz chudy, oczy miał podkrążone, rysy twarzy wyostrzyły się, a włosy posiwiały. Ktoś, kto go dawno nie widział, mógłby rzec, że to inny człowiek. Może szalony? Nawiedzony? Prawdą jest i to, że wstawił się u Moskali za ojcami paulinami i zwolniono ich z refektarzowego aresztu.

Kilka dni potem pojawił się w klasztorze generał Bibikow. Wjechał konno pod same drzwi kaplicy i z konia zapewnił przeora, że nic się im nie stanie pod rosyjskim zarządem. Jeszcze tego samego wieczoru poszliśmy z Jakubem prosić rosyjskiego generała o nadzwyczajne zwolnienie z więzienia. Myślałem, że będzie potrzebne moje tłumaczenie na rosyjski, ale rozmawiali po niemiecku. Bibikow był uprzedzająco grzeczny i już za dwa dni Jakub dostał oficjalną zgodę na opuszczenie klasztoru.

Jakub, Pan nasz, mówi:

„Każdy, kto szuka zbawienia, musi uczynić trzy rzeczy: zmienić miejsce zamieszkania, zmienić swoje imię i zmienić swoje uczynki”.

Tak i my uczyniliśmy. Staliśmy się innymi ludźmi i opuściliśmy Częstochowę, miejsce najjaśniejsze i najciemniejsze zarazem.

VI. Księga Dalekiego Kraju

In noſtra Europa (ſunt *regna* & *regiones* primariæ:	W naſzey Europie (ſą nayprzednieyſze (kroleſtwa:	regnuum, n. 2. kroleſtwo. primarius, a, um, nayprzednieyſzy.
Luſitania,	Portugallia,	
Hiſpania, 1	Hiſzpania, 1	
Gallia, 2	Francya, 2	
Italia, 3	Włochy, 3	
Anglia, (*Britannia*)	Anglia, 4 (Brytania)	

(4

Scotia,

26

Jenta czyta paszporty

Jenta widzi paszporty okazywane na granicy. Oficer w rękawiczkach bierze je delikatnie i zostawia podróżnych w powozie, żeby przeczytać je w spokoju w strażnicy. Podróżni milczą.

> Karol Emeryk baron von Revisnye – czyta półgłosem urękawiczniony oficer – szambelan rzymskiej, w Germanii, Węgrzech i Czechach królewskiej Apostolskiej Mości, rzeczywisty poseł i uwierzytelniony przy dworze królewskim w Polsce minister, czyni wiadomem, iż okaziciel niniejszego, p. Józef Frank, kupiec, wraz z będącą z nim służbą z ośmnastu osób złożoną, na dwóch brykach, zamierza stąd we własnych interesach udać się do Brna w Morawii, i dlatego wszelkie władze, do których to należeć może, wezwane są, by pomienionemu panu Józefowi Frankowi i będącej z nim służbie, z 18 osób złożonej, żadnych przeszkód przy przejeździe granicy nie stawiały i w razie potrzeby odpowiedniej pomocy mu udzielały. Dan w Warszawie 5 Marca 1773.

Poza tym austriackim paszportem jest jeszcze pruski i Jenta widzi go bardzo dokładnie; jest napisany pięknym charakterem pisma i poświadczony wielką pieczęcią:

> Okaziciel niniejszego, kupiec, p. Józef Frank, który tutaj przybył z Częstochowy, udaje się po ośmiodniowym w Warszawie pobycie, z ośmnastu osobami swej służby, na dwóch brykach, przez Częstochowę na Morawy, we własnych interesach. Ponieważ tutaj powietrze wszędzie jest czyste i zdrowe, i dzięki Bogu nie ma śladu zarazy...

Jenta przygląda się z uwagą temu niemieckiemu sformułowaniu: „und von ansteckender Seuche ist gottlob nichts zu spüren...”

...dlatego wszelkie władze wojskowe i cywilne z urzędu wezwane są, by pomienionego kupca, wraz z jego ludźmi i powozami, bez przeszkody, za poprzednim wszelako zbadaniem, przepuściły przez granicę w dalszą drogę. W Warszawie 1 marca 1773. Gen. Benoit, Jego Królewskiej Mości przy Rzplitej Polskiej rezydujący poseł.

Jenta rozumie z tego, że za paszportami kryje się wielki kosmos aparatu państwowego, z jego układami słonecznymi, orbitami, satelitami, z fenomenem komety i z tajemniczą siłą ciążenia, opisaną nie tak dawno przez Newtona. Jest to równocześnie system czujny i baczny, który wspierają setki i tysiące biurek urzędniczych i stosy papierów, rozmnażanych za pomocą pieszczoty ostrych końcówek gęsich piór i podawanych sobie z rąk do rąk, z biurka na biurko; arkusze papieru czynią poruszenie powietrza może niezauważalne wobec wichrów jesiennych, ale jednak znaczące w skali świata. Gdzieś daleko, w Afryce czy na Alasce, może wywołać huragan. Państwo to uzurpator doskonały, władca nieprzejednany, porządek ustanowiony raz na zawsze (dopóki nie zmiecie go najbliższa wojna). Kto wytyczył granicę w tym kłębowisku burzanów? Kto zabrania jej przejść? W czyim imieniu działa ten podejrzliwy oficer w rękawiczkach i skąd ta podejrzliwość? W jakim celu powstają papiery niesione przez pocztylionów i posłańców, przez pocztowe bryki, przy których na każdej stacji zmienia się zmęczone konie?

Orszak Jakuba stanowią młodzi, nie ma nikogo ze starych. Ci zostali w Warszawie i czekają, pilnując rozkręconych dopiero interesów. Młodsze dzieci posłali do pijarów, mieszkają na Nowym Mieście, chodzą do kościoła regularnie co niedzielę. Inni po zgoleniu bród wmieszali się w ciżbę na błotnistych ulicach stolicy, czasem jeszcze słychać ich z lekka żydowski akcent, ale i on znika, jak śnieg.

Jakub jedzie w pierwszej karecie okryty futrami, przy nim Awacza, o której ojciec nie mówi już inaczej, jak tylko Ewa. Dostała rumieńców z zimna i ojciec co chwila poprawia na niej futrzany pled. Dziewczyna trzyma na kolanach starą suczkę Rutkę, która od czasu do czasu smętnie popiskuje. Nie dała się przekonać, żeby zostawić ją w Warszawie. Naprzeciwko siedzi Jędrzej Jeruchim Dembowski, który teraz stał się sekretarzem pańskim, jako że Jakubowski (razem z żoną) zajmuje się synami pańskimi w Warszawie. Obok Dembowskiego Mateusz Matuszewski. Milczą, gdy oficer zabiera paszporty. Konno jadą kucharz Kazimierz z dwoma pomocnikami, Józefem Nakulnickim i Franciszkiem Bodowskim, a ponadto Ignacy Cesirajski, którego sobie Jakub jeszcze w Częstochowie szczególnie upodobał jako własnego pomocnika.

W drugiej karecie tłoczą się kobiety – Magda Golińska, kiedyś Jezierzańska, przyjaciółka Ewy Frank, starsza od Awaczy o kilka lat, wysoka, pewna siebie, jak matka opiekuńcza i oddana, w paszporcie ma, że jedzie jako pokojówka. I tak samo jako pokojówka jedzie Anusia Pawłowska, córka Pawła Pawłowskiego, niegdyś Chaima z Buska, brata Nachmana Jakubowskiego. Anusia wyrosła na piękną dziewczynę. Jako

praczki występują Róża Michałowska i Teresa, wdowa po Łabęckim. Są z nimi Jan, Janek, Ignac i Jakub, którzy jeszcze się nie dorobili nazwisk, więc skrupulatny oficer wpisuje w odpowiednie rubryki „Forisch” i „Fuhrmann”. Jakubowi mylą się ich imiona, a gdy się zapomni, na każdego z chłopców mówi Herszełe.

Od Ostrawy już widać, jaki to inny kraj, porządny i czysty. Drogi utwardzone i pomimo błota da się nimi całkiem dobrze przejechać. Przy traktach stoją gospody, wcale nie żydowskie, tych zresztą, jadąc przez Polskę, unikali. Ale Morawy to przecież kraj prawowiernych, w każdym miasteczku jest tu ktoś z nich – choć są inni, bardziej zamknięci w sobie, swoje myślą, a na zewnątrz wyglądają jak prawdziwi chrześcijanie. Jeruchim Dembowski, o którym Jakub mówi teraz zabawnie „Jędruś”, wyglądając ciekawie przez okno, przytacza słowa jakiegoś kabalisty, że wers z Psalmu 14,3: „Wszyscy razem zbłądzili, stali się nikczemni: nie ma takiego, co dobrze czyni, nie ma ani jednego” – ma taką samą wartość liczbową jak hebrajska nazwa Moraw – Mehrin.

– Uważajmy na tych Niemczyków – ostrzega.

Ewa jest rozczarowana – bardzo chciała, żeby pojechali z nimi bracia, ale oni, dziecinni i nieśmiali, wątli jak pędy, które wyrastały w piwnicy, boją się ojca, a i ojciec ma dla nich więcej surowości niż miłości i zdają się go nieustannie irytować. To prawda, że obaj są niezgrabni i brak im pewności siebie. Roch, rudy i piegowaty, skarcony, zaczyna się mazać, a wtedy jego zielonkawe wodniste oczy zachodzą łzami, i nawet te łzy też mają kolor wody w stawie. Józef, cichy i skryty, o wyrazistych ptasich rysach i pięknych czarnych oczach, zawsze zajęty jest sobą, zbieraniem patyczków, kamieni, kawałków wstążek, szpulek po niciach, niezrozumiałą aktywnością sroki. Tego brata kocha Ewa jak własne dziecko.

Gdy oficer oddaje im w końcu paszporty i powóz rusza, Ewa wychyla się, patrzy za siebie na drogę i rozumie, że oto opuszcza Polskę raz na zawsze, że nigdy tu już nie wróci. Polska to będzie dla niej więzienie na Jasnej Górze; miała osiem lat, gdy zobaczyła je po raz pierwszy – izbę oficerską, wiecznie niedogrzaną, zimną. Polska to także wyjazdy do Warszawy, do Wołowskich, gdzie pospiesznie uczyła się gry na

fortepiano, a nauczyciel bił ją po rękach drewnianą linijką. Zapamięta też niespodziewaną śmierć matki, jak uderzenie w pierś. Wie, że nigdy nie pojedzie tą drogą z powrotem. Gościniec wysadzony topolami w niepewnym marcowym słońcu zamienia się we wspomnienie.

– Panna Ewa raczy żałować izby oficerskiej i zapewne tęskni do Rocha... – mówi ironicznie Matuszewski, widząc jej smutną minę.

Wszyscy w powozie chichoczą, oprócz jej ojca. Po jego wyrazie twarzy nie widać, co myśli. Zagarnia ją ramieniem i chowa jej głowę pod płaszcz, jak szczeniaka. Tam udaje się Ewie ukryć płynące bez umiaru łzy.

Przyjeżdżają pod Brünn wieczorem 23 marca 1773 roku i wynajmują pokoje w oberży Zum blauen Löwen, ale są dostępne tylko dwa pokoje, więc jest im tam ciasno. Oddział złożony z „Forischów” i „Fuhrmannów” śpi pokotem na ziemi, na sianie rozrzuconym w stajni. Dembowski ma pod głową kuferek z pieniędzmi i dokumentami. Ale – czego się dowiadują już następnego dnia – żeby osiąść w mieście na dłużej, trzeba specjalnego glejtu. I to dlatego Jakub z Ewą każą się wieźć do Prossnitz, do swych kuzynów Dobruszków.

O rodzinie Dobruszków w Prossnitz

Ewa patrzy rozszerzonymi oczami na stroje tutejszych kobiet, na ich pieski i powozy. Widzi równe rzędy nagich o tej porze roku winnic i czyste, wysprzątane na Wielkanoc ogródki. A przechodnie przystają na widok ich powozu, wysokiej czapki jej ojca i jej podbitej wilczym futrem szuby. Koścista, mocna dłoń ojca, która nie zna sprzeciwu, trzyma ją mocno za przegub i rozciąga nowiutką koźlęcą rękawiczkę. Ewę boli ten uścisk, ale nie skarży się. Może znieść wiele.

Dom Dobruszków jest wszystkim w mieście doskonale znany, każdy wskazuje doń drogę. Stoi przy rynku, jest jednopiętrowy, a na dole ma sklep z dużym oknem. Elewację świeżo odnowiono, a teraz jacyś ludzie układają przed nim bruk. Powóz staje, nie można podjechać bliżej

i furman biegnie zaanonsować przybyłych. Po chwili w oknach na piętrze odsuwają się firanki, na przybyłych popatrują ciekawe oczy starszych i młodszych domowników.

Wychodzą ich przywitać. Ewa dyga przed ciocią Szejndel. Ta przygarnia ją do siebie, wzruszona, i Ewa czuje zapach jej sukni – lekki, kwiatowy, jakby pudru i wanilii. Salomon, czyli Zalman, ma łzy w oczach. Bardzo się postarzał, ledwie chodzi. Otacza Jakuba swoimi długimi ramionami i poklepuje go po plecach. O tak, Zalman jest słaby i chory, schudł. Jego duży zwykle brzuch opadł, a na twarzy pojawiły się bruzdy. Dwadzieścia jeden lat temu na weselu w Rohatynie wydawał się dwa razy większy. Za to Szejndel, jego żona, kwitnie niczym jabłoń na wiosnę. Któż o niej powie, że urodziła dwanaścioro dzieci? Nadal ma dobrą figurę, pełną, krągłą. Tylko nieco posiwiała, bujne włosy ma zaczesane do góry, spięte czarnymi koronkowymi zapinkami, które przytrzymują malutki czepek.

Szejndel mimo okazywanej serdeczności nieufnie patrzy na kuzyna, tyle o nim słyszała, nie wie, co ma o nim sądzić. Z natury nie myśli o ludziach dobrze, zbyt często wydają jej się głupi i próżni. Ściska Awaczę trochę teatralnie, zbyt mocno – nad kobietami ma zawsze władzę – zachwycając się jej po polsku splecionymi warkoczami. Szejndel jest piękną kobietą, dobrze ubraną, pewną siebie i siły własnego uroku, jaki wokół siebie roztacza. Za chwilę będzie słychać w całym domu tylko jej głos.

Bierze bezceremonialnie kuzyna za rękę i prowadzi go do salonu, którego przepych onieśmiela gości, bo przecież przez trzynaście lat oglądali piękne, zbytkowne rzeczy tylko w kościele. A tu wyfroterowana drewniana podłoga, na niej tureckie dywany, ściany pomalowane łagodnymi kolorami w kwiaty oraz biały instrument z zębami klawiszów, a przy nim stołeczek kunsztownie zdobiony, na trzech nóżkach, które udają nogi zwierzęcia. Udrapowane zasłony na oknach, fikuśna niciarka z szufladkami – goście przybyli, gdy wyszywała z córkami, dlatego na krzesłach leżą porzucone tamborki. Córki są cztery; stoją teraz jedna przy drugiej, uśmiechnięte, zadowolone z siebie: najstarsza, Blumełe, piękna, nieduża, wesoła, potem Sara, Gitla i młodziutka Estera o kręconych lokach, z rumieńcami na bladej twarzy,

jakby jej ktoś te rumieńce namalował. Wszystkie w sukienkach w delikatne kwiatki, ale każda sukienka w innym kolorze. Ewa chciałaby mieć taką sukienkę i takie wstążki we włosach, w Warszawie takich nie noszą, i już czuje, jak się zakochuje w tych sukienkach, w delikatnych kolorach i we wstążkach. Z Polski zna tylko krzykliwe czerwienie i amaranty, błękity tureckie, a tu inaczej: wszystko jakby rozwodnione, jakby różne barwy świata rozpuścić w mleku; nawet nie ma słów, żeby nazwać ten lekko przyszarzały róż wstążek we włosach. Ciotka Szejndel dokonuje prezentacji swoich dzieci. Jej żydowski jest trochę inny niż przybyszów z Polski. Po dziewczynkach kolejno podchodzą chłopcy.

Oto jest Mosze, który na wieść o wizycie słynnego wuja przyjechał specjalnie z Wiednia. Ledwie o dwa lata starszy od Awaczy, dwudziestoletni, o szczupłej, ruchliwej twarzy i nierównych zębach, już pisze naukowe rozprawy, zarówno po niemiecku, jak i po hebrajsku. Interesują go poezja i literatura oraz nowe prądy filozoficzne. Wydaje się trochę zbyt śmiały, zbyt gadatliwy, może i zbyt pewny siebie, jak matka. Są tacy ludzie, z którymi ma się od początku kłopot, bo zbytnio do nich ciągnie i lubi się ich bez żadnego uzasadnienia, mając przecież pewność, że to tylko gra i pozór. Taki właśnie jest Mosze. Kiedy na nią spogląda, Ewa odwraca wzrok i czerwieni się, za co jest jej wstyd jeszcze bardziej. Przy powitaniu dyga niezręcznie i nie chce mu podać ręki, a wtedy wszystko widząca Szejndel, patrząc znacząco na męża, daje swą miną wszystkim do zrozumienia, że dziewczynie brak dobrego wychowania. Ewa nie jest już w stanie zapamiętać imion kolejnych braci Dobruszków.

Szejndel Hirsch urodziła się we Wrocławiu, ale jej rodzina pochodziła z Rzeszowa, tak jak rodzina Jakuba; matka Jakuba i ojciec Szejndel byli rodzeństwem. Teraz ma trzydzieści siedem lat, jej twarz wciąż wygląda świeżo i młodo. Wielkie ciemne oczy przypominają studnie, nie wiadomo, co znajduje się na ich dnie. Patrzy przenikliwie, podejrzliwie, uważnie. Trudno strząsnąć z siebie ten wzrok. Ewa odwraca oczy i myśli, jak bardzo ciocia Szejndel różni się od jej matki. Jej matka była ufna i prostolinijna, przez co często wydawała się bezbronna i bezradna, tak ją zapamiętała – jakby ją opuściły wszystkie siły i codziennie rano musiała je zbierać niczym jagody, powoli i cierpliwie. Ta ma siły aż

nadto, rozmawiając z kuzynem, równocześnie nakrywa do stołu. Wpada służąca z koszykiem jeszcze ciepłych bułek prosto z piekarni. I do tego jest miód i grudki ciemnego cukru, który wrzuca się do kawy specjalnymi szczypczykami.

Pierwsze rozmowy są po to, żeby się dokładnie obejrzeć. Dzieci Dobruszków, które zbiegły się z całego domu, ciekawe i rozbawione, patrzą na Ewę Frank, nieznaną kuzynkę, i dziwnego wuja o kostropatej, ciemnej twarzy. Ewa ma sukienkę kupioną jeszcze w Warszawie, w kolorze „podróżnym", tabaczkowym, bardzo nietwarzowym. Pękł jej trzewik, teraz stara się go zasłonić czubkiem drugiego buta. Z jej pełnej twarzy nie schodzi rumieniec. Spod kapelusza (pomyśleć, że w Warszawie wydawał się szykowny) wydostają się kosmyki włosów.

Jakub od początku zachowuje się głośno i bezpośrednio, jakby z momentem opuszczenia powozu nastąpiła w nim zmiana i na zgnębioną, wymęczoną twarz nałożył jowialną maskę. Jego przygnębienie mija, zmywają je łyki gęsiego bulionu, ogrzewa zaraźliwy śmiech Szejndel, rozpuszcza wiśniowy likier. W końcu pada to egzotyczne słowo: Częstochowa, i Jakub zaczyna opowiadać, jak to on – gestykulując i strojąc miny. Klnie po polsku, klnie po żydowsku, dzieci są tym zmieszane, lecz rzut oka na matkę je uspokaja – Szejndel lekko przymyka powieki, jakby mówiła: jemu wolno.

Siedzą w salonie przy małym okrągłym stoliku i piją kawę z delikatnych filiżanek. Ewa nie słucha opowieści ojca.

Gdy sięga po cukier (do kawy podano śnieżnobiały, w dużych kryształkach), widzi na cukiernicy obraz portowego miasta, z charakterystycznymi żurawiami do wyładowywania towarów. A filiżanka – jej wnętrze jest białe i śliskie, brzeżek zaś zdobi delikatny złoty szlaczek. Dotykając go ustami, odnosi się wrażenie, że ten szlaczek ma smak – jakby waniliowy.

Tyka zegar – ten nowy dźwięk kawałkuje czas na małe cząstki, wszystko wydaje się jakby wyskalowane, w kratkę. Czyste, porządne i pełne sensu.

Po obiedzie ojciec zostaje z wujem Zalmanem i ciotką Szejndel, a Ewie każą iść do pokoju dziewcząt, gdzie najmłodsze, Gitla i Estera,

pokazują jej pamiętniki, do których wpisują się goście odwiedzający dom. Ona też ma się tam wpisać. Jest przerażona.

– Może być po polsku? – pyta.

Przegląda pamiętnik i widzi, że wszystkie wpisy są po niemiecku, który zna słabo. W końcu wpisuje się za nią Magda Golińska, pięknym charakterem pisma i po polsku. Ewie pozostaje dorysowanie róż z kolcami, tak jak to razem robiły jeszcze w Częstochowie. To jedyne kwiaty, jakie umie narysować.

W salonie dorośli głośno rozmawiają i słychać od czasu do czasu ich wybuchy śmiechu i okrzyki zdziwienia. Potem zniżają głos do szeptu. Służące donoszą kawę i owoce. Gdzieś z głębi domu dochodzi zapach smażonego mięsa. Jędrzej Dembowski chodzi po całym domu, zagląda w każdy kąt. Zagląda do pokoju dziewcząt, wraz z nim wpływa tam zapach tytoniu, gorzki, intensywny.

– Tu się panienki schowały... – mówi i jego tytoniowa postać znika.

Do Ewy, która siedzi w głębokim fotelu i bawi się frędzlem od zasłony, dochodzi z salonu głos ojca, który żywo opowiada, jak został uwolniony przez Rosjan. Słyszy, jak on ubarwia wydarzenia, może nawet kłamie. W jego relacji wszystko wygląda dramatycznie, a on sam staje się herosem – atak, wystrzały, umierający wiarusi, krew, braciszkowie przysypani gruzem. W rzeczywistości wyglądało to mniej teatralnie. Sam ojciec opowiadał, że garnizon poddał się bez walki. Wywieszono na murach białe flagi. Złożono broń na wielkie stosy. Padał wtedy deszcz i sterty pistoletów, szabli i muszkietów wyglądały jak kupy chrustu. Konfederatów ustawiono w czteroszeregowe kolumny i wyprowadzono. Rosjanie zajęli się systematycznym plądrowaniem.

Wołowski i Jakubowski rozmawiali z generałem Bibikowem w imieniu Jakuba. Ten po krótkiej naradzie z jakimś oficerem kazał wypisać Jakubowi pismo, że jest wolny.

Gdy wynajętym powozem jechali wszyscy do Warszawy, kilka razy sprawdzały ich różne patrole: konfederackich niedobitków i rosyjskie. Czytali pismo i podejrzliwie przyglądali się pięknej dziewczynie wciśniętej między dziwnych mężczyzn. Raz zatrzymali ich jacyś obdarci zbóje i wtedy Jan Wołowski strzelił w powietrze, a oni uciekli.

W okolicach Warszawy skręcili z drogi i zapłaciwszy sowicie mniszkom w klasztorze, zostawili tam Ewę, nie chcąc ryzykować dalszej z nią drogi przez ten nagle zdziczały kraj. Miała tam poczekać na powrót ojca. Żegnając się z nią, pocałował ją w usta i powiedział, że jest najważniejszym, co ma.

Teraz ojciec opowiada o staraniach o paszporty. I słychać głos ciotki Szejndel, wykrzykującej z niedowierzaniem:

– Tyś chciał do Turcji?!

Ewa nie słyszy, co na to odpowiada ojciec. I znowu ciotka:

– Przecież Turcja to teraz wróg i Polski, i Austrii, i Rosji. Wojna będzie.

Ewa usypia w fotelu.

O nowym życiu w Brünn i tykaniu zegarków

Kilka dni potem wynajmują dom na przedmieściach Brünn, od Ignacego Pietscha, radcy. Jakub Frank musi pokazać mu swoje paszporty i złożyć w urzędzie pismo poświadczające, że pochodzi ze Smyrny, podróżuje z Polski i zmęczony już handlowym zajęciem, chce się osiedlić z córką Ewą na stałe w Brünn. Oraz że ma konieczne do tego środki, pochodzące z handlu.

Gdy tygodniami rozpakowują swoje rzeczy, gdy ścielą łóżka i układają w szafach na półkach bieliznę, szeleszczą nad ich głowami kartki papieru, wędrujące pisma, sprawozdania i donosy, furkoczą notatki, raporty wędrują tam i z powrotem. Naczelnik Okręgu Prossnitz, niejaki von Zollern, wyraża oto na piśmie wątpliwość, czy należy zezwolić tej gromadzie na osiedlenie się w Brünn, gdyż wydaje mu się podejrzane, żeby neofita – jak słyszał – mógł sobie pozwolić na tak dużo służby. I na dodatek też złożonej z samych neofitów. I choć Jego Cesarska Mość kładzie nacisk na tolerancję, to jednak von Zollern boi się przyjęcia odpowiedzialności i wolałby, żeby wyżej wymieniony osiedlił się gdzie indziej, do czasu aż przyjdzie ostateczne rozstrzygnięcie z Cesarsko-Królewskiego Zarządu Prowincjami.

Na to odpowiadają, że z uwagi na stan wojenny w Polsce rozstrzygać sprawę przybyszów powinna władza wojskowa, bez której pozwolenia, stosownie do rozporządzenia dworu z dnia 26 lipca 1772 roku, osobom pochodzenia polskiego pobyt w kraju dozwolony być nie może. Na co

przychodzi pismo z komendantury wojskowej, że jednak podlegają oni nie wojennej, lecz cywilnej jurysdykcji, i dlatego ta władza uważana jest za właściwą do podjęcia decyzji w tej materii, władza cywilna zaś zgłasza się do Naczelnika Okręgu z prośbą, by zasięgnął informacji co do osoby Józefa Franka – celów jego podróży, środków utrzymania oraz bliższych szczegółów o prowadzonym ponoć przez niego handlu.

W wyniku starań oficjalnych i nieoficjalnych wywiadowców Naczelnik Okręgu donosi, iż:

> ...zeznał ów Frank, że w Królestwie Polskim, 30 mil od Czerniowiec, gdzie przemieszkują narody Imperium Rosyjskiego, posiada własny dobytek w bydle rogatym, którym rozległy prowadzi handel, lecz że z powodu obecnych okoliczności i zamieszek wojennych w Polsce, bojąc się o własne i rodziny życie, zamierza się takowego wyzbyć. Że nadto w Smyrnie posiada dobra, z których co lat trzy pobiera dochody, i dlatego, nie mając zamiaru prowadzenia w Brünn morawskim handlu, żyć będzie wyłącznie z tychże swoich dochodów. Co się zaś tyczy zachowania, prowadzenia, charakteru i życiowych stosunków pomienionego Franka, to po najtroskliwszym, z oględnością wielką i mozołem przeprowadzonym badaniu ze strony Urzędu Okręgowego nic takiego się nie okazało, co by jakikolwiek cień na rzeczonego Franka rzucić mogło. Jest tenże Frank konduity poprawnej, żyje z własnych dochodów i gotowizny i żadnych długów nie zaciąga.

Najpierw, jako się rzekło, mieszkają na przedmieściach, na pięknych wzgórzach pełnych ogrodów przy Winogradach. Po roku przenoszą się na ulicę Kleine Neugasse i potem – na Petersburger Gasse, gdzie dzięki pomocy Zalmana Dobruszki i innych jeszcze wynajmują dom pod numerem 4 na dwanaście lat.

Dom, wynajęty od jednego z rajców miejskich, stoi tuż przy katedrze, na wzgórzu, i widać z niego całe Brünn. Podwórko jest nieduże, zaniedbane, zarosłe łopianami.

Ewa dostaje najpiękniejszy pokój – z czterema oknami, jasny, z mnóstwem obrazów na ścianie, które przedstawiają scenki rodzajowe z pasterkami. Jest łóżko z baldachimem, wysokie jakieś, niezbyt

wygodne. W szafie wiszą jej suknie. W pokoju Ewy co noc rozkłada się na ziemi Magda Golińska, która za nic w świecie nie chce wracać do męża; aż kupują jej wreszcie łóżko. To niepotrzebne, bo gdy jest zimno, i tak śpią przytulone razem, ale tylko wtedy, gdy ojciec tego nie widzi, gdy już śpi i jego chrapanie niesie się przez pokoje.

A przecież Jakub skarży się, że nie może spać.

– Zabrać to tykadło! – krzyczy i każe wynieść zegar, który najpierw tak go zachwycał, na dół. Zegar jest skądś z Niemiec, cały drewniany, z ptaszkiem, który wyskakuje o pełnych godzinach z takim szczękiem, jakby obok wybuchł kartacz, jakby byli wciąż w oblężonej Częstochowie. Na dodatek ptaszek jest brzydki, przypomina raczej szczura. Jakub budzi się w środku nocy i chodzi po domu. Przychodzi też czasem do pokoju Awaczy, ale widzi, że leży z nią Magda, i staje się czemuś jeszcze bardziej zły i rozdrażniony. Wreszcie zegar zostaje dany komuś w prezencie.

Latem Ewa jeździ do ciotki Szejndel na nauki dobrych manier i grania na modnym fortepiano, które Zalman sprowadził z Wiednia. Uczy się też francuskiego, jest pojętna i wkrótce dobrze sobie radzi w konwersacji. Ze swoimi porozumiewa się po polsku, ojciec zabronił żydowskiego wszystkim. Teraz jednak musi z kuzynami mówić po niemiecku; ma u ciotki nauczyciela, tego samego, który prowadzi młodsze dziewczynki. Ewa wstydzi się, że siedzi na lekcjach z takimi maluchami. Uczy się pilnie, ale i tak już chyba nie dogoni młodych Dobruszanek. Dołącza też czasem do lekcji domowego Hausrabina, który dba o hebrajską edukację dzieci, zarówno dziewcząt, jak i chłopców. To staruszek, Salomon Gerstel, krewny samego Jonatana Eibeschütza, który urodził się właśnie w Prossnitz i tutaj wciąż żyje jego dalsza rodzina. Zajmuje się głównie dwoma chłopcami, Emanuelem i Dawidem, którzy są już po bar micwie i teraz zaczynają studiować święte księgi prawowiernych.

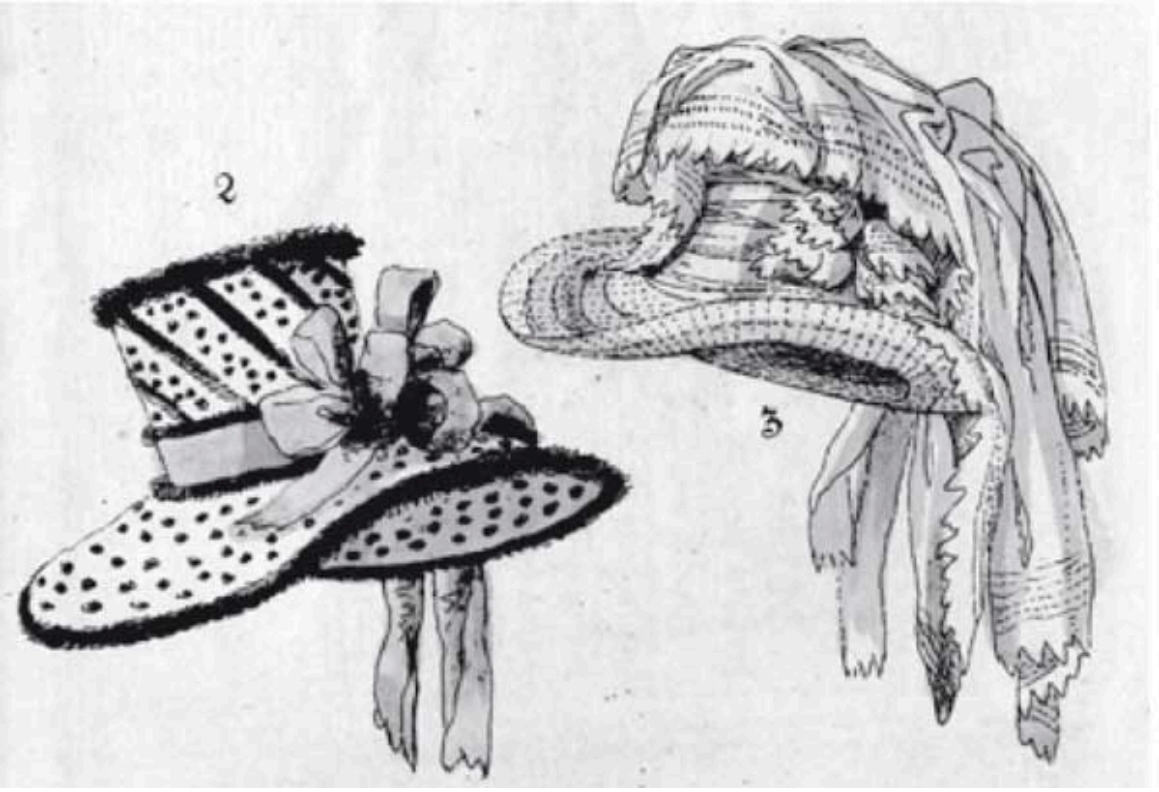

Raz w miesiącu przychodzi krawiec i ciotka sukcesywnie zamawia dla Awaczy nową garderobę: lekkie letnie sukienki w stonowanych kolorach, krótkie kubraczki, które odsłaniają dekolt, kapelusze tak obłożone wstążkami i kwiatami, że przypominają groby dla lalek. U szewca zaś zamawia buciki z jedwabnego materiału, tak miękkie, że strach w nich wyjść na zakurzone ulice Brünn. W tych nowych strojach przeistacza się Ewa w światową kobietę i ojciec mruży z zadowoleniem oczy, gdy na nią patrzy, i jeszcze każe jej mówić po niemiecku, cokolwiek. Ewa recytuje niemieckie poezje. Wtedy cmoka z zadowoleniem.

– O takiem prosił dziecko, o taką córkę, o królową.

Ewa lubi podobać się ojcu, dopiero wtedy sama się sobie podoba. Ale nie lubi, kiedy jej ojciec dotyka. Wymyka mu się, niby czymś zajęta, i odchodzi, zawsze się jednak boi, że ją zawoła, a wtedy będzie musiała wrócić. Woli być w Prossnitz u wujostwa. Obie z Anusią Pawłowską robią tam wtedy to samo co kuzynki: uczą się być damami.

W ogrodzie Dobruszków już zawiązały się owoce na małych jabłonkach; trawa jest bujna, wydeptano w niej ścieżki. Niedawno padał

deszcz i teraz powietrze jest czyste, ciemnozielone, pełne zapachów. Deszcz wyżłobił małe rysy na ścieżce, jego krople dosychają teraz na drewnianej ławce, którą Szejndel przy niej ustawiła. Oddaje się tam często lekturze. Latem Ewa przesiaduje na tej ławce, próbując czytać po francusku romanse, których ciotka ma całą szafkę zamkniętą na kluczyk.

Zalman Dobruszka przygląda się córkom przez otwarte okno, gdy siedzi przy rachunkach. Ostatnio nie jeździ do swojej tytoniarni, letnie powietrze przyprawia go o ataki astmy. Ciężko mu się oddycha, musi uważać. Wie już, że długo nie pożyje. Postanowił, że interes zostawi najstarszemu synowi, Carlowi. W rodzinie Dobruszków trwa wieczny spór o chrzest. Zalman i kilku najstarszych synów jest na ten pomysł opornych, ale Szejndel wspiera te dzieci, które chcą się zdecydować na taki krok. Carl ochrzcił się niedawno wraz z żoną i malutkim dzieckiem. Handel tytoniem stanie się handlem chrześcijańskim. Tytoń stanie się chrześcijański.

O Moszem Dobruszce i uczcie Lewiatana

Mosze był już obecny dwadzieścia lat temu na weselu w Rohatynie, choć oczywiście nie może tego wiedzieć. Jenta dotykała go przez brzuch młodziutkiej Szejndel, którą brzydziły końskie odchody na podwórku. Jenta, która też bywa czasem w ogrodzie Dobruszków w Prossnitz, poznaje go – tak, to on, tamto niepewne, połowiczne istnienie, galaretowata kulka potencji, byt, który jest i nie jest zarazem, do którego opisu nie wymyślono jeszcze żadnego języka i żaden Newton nie pokusił się o stworzenie na jego temat odpowiedniej teorii. Ale Jenta stamtąd, gdzie jest, widzi zarówno jego początek, jak i jego koniec. Nie jest dobrze wiedzieć zbyt wiele.

A w Warszawie, w kuchni na Lesznie kościste palce Chai, teraz Marianny Lanckorońskiej, lepią mu figurkę z chleba. Trwa to długo, bo chlebowa masa kruszy się i łamie, figurka przybiera dziwne kształty i rozpada się. Okazuje się potem, że jest zupełnie inna niż wszystkie.

Mosze studiuje prawo, ale interesują go bardziej teatr i literatura, wiedeńskie winiarnie z pewnością są lepszym miejscem do uczenia się życia, mówi matce. Nie odważyłby się tego powiedzieć choremu ojcu. Matka go kocha nad wszystko i uważa za prawdziwego geniusza. Jej matczyny wzrok widzi w nim młodzieńca nader przystojnego. Cóż, nikomu, kto nie przekroczył dwudziestu pięciu lat, nie można odmówić urody, tak i Moszemu – jest dość postawny i smukły jednocześnie. Gdy przyjeżdża z Wiednia, pozbywa się upudrowanej peruki i chodzi z gołą głową. Wtedy ciemne falujące włosy nosi związane w harcap. Właściwie jest podobny do matki, ma jej wysokie czoło i pełne usta i tak samo jak ona jest głośny i gadatliwy. Nosi się elegancko, po wiedeńsku: kroczy.

Jego wysokie buty z cieniutkiej skóry i z posrebrzanymi klamrami podkreślają długie, szczupłe łydki.

Ewa dowiedziała się, że Mosze ma w Wiedniu narzeczoną, Elke, pasierbicę bogatego przemysłowca Joachima von Poppera, uszlachconego neofity. Tak, tak, planuje się ślub. Ojciec chętnie by go już ożenił, żeby Mosze ze spokojem razem z braćmi kontynuował to, co wydaje mu się najlepsze – handel tytoniem. Ale Mosze poznaje właśnie dziwną i głęboką kieszeń tego świata, z której można nieustannie wyciągać pieniądze – giełdę. I wie, podobnie jak matka, że są ważniejsze rzeczy niż handel tytoniem.

Mosze przywozi do domu swoich przyjaciół, młodych ludzi z bogatych domów; wtedy matka otwiera okna na ogród i odkurza ogrodowe meble, na środek pokoju wysuwa się klawikord, żeby go było słychać w całym domu i w ogrodzie. Siostry wkładają najlepsze sukienki. Ci młodzi przyjaciele, poeci, filozofowie i Bóg wie kto jeszcze (Zalman mówi o nich: lekkoduchy), są ludźmi otwartymi i nowoczesnymi; żadnemu z nich nie przeszkadzają wielka broda Zalmana i jego obcy akcent. Są jakby na ciągłym rauszu, w lekkim uniesieniu, zachwyceni sobą, własnymi wierszami, w których roi się od alegorii i abstrakcji.

Gdy matka woła ich na kolację, Mosze stoi właśnie na środku salonu.

– Słyszeliście? Chodźmy jeść Lewiatana! – wykrzykuje. Młodzi podnoszą się z miejsc i ślizgając się po wyfroterowanych podłogach, biegną zająć najlepsze miejsca przy stole.

Mosze pokrzykuje:

– Na mesjańskiej uczcie Izrael zje Lewiatana! Wprawdzie Majmonides tłumaczy to filozoficznie i górnolotnie, ale dlaczego mielibyśmy pogardzać wierzeniami prostych ludzi, którzy przez całe życie byli głodni?

Mosze zajmuje miejsce w samym środku długiego stołu i nie przestaje perorować:

– Tak, lud Izraela pożre Lewiatana! Wielkie, ogromne cielsko potwora okaże się pyszne i delikatne jak, jak...

– ...Jak mięso dziewiczych przepiórek – podrzuca któryś z kolegów.

– Albo przezroczystych latających ryb – ciągnie Mosze. – Lud będzie zjadał Lewiatana tak długo, aż nasyci swój wielusetletni głód. Będzie wielkie żarcie, niezapomniana uczta. Wiatr będzie trzepotał białymi obrusami, a kości będziemy rzucać pod stół dla psów, które też skorzystają na zbawieniu...

Rozlegają się słabe oklaski, bo ręce są już zajęte nakładaniem sobie na talerz. Do późnej nocy z domu Dobruszków niosą się muzyka i wybuchy śmiechu, gdy młodzi bawią się w modne francuskie gry towarzyskie. Szejndel stoi z założonymi rękami, oparta o futrynę drzwi i z dumą przygląda się synowi. Może być z niego dumna, i zapewne jest: w roku 1773 wydał aż trzy własne rozprawy – dwie po niemiecku i jedną po hebrajsku. Wszystkie o literaturze.

Po pogrzebie Zalmana, który odbył się na początku kwietnia 1774 roku, w czasie stypy Mosze poprosił o rozmowę z wujem Jakubem Frankiem. Siadają na oszklonej werandzie, gdzie Szejndel trzymała zimą kwiaty; teraz stoją tam wciąż wysokie fikusy, palmy i oleandry.

Mosze, zdaje się, podziwia Jakuba i jednocześnie go nie lubi. Często tak podchodzi do ludzi – skrajnie i ambiwalentnie. Przygląda mu się spod oka i drażnią go te maniery prostaka, z którymi się tak wuj obnosi, drażni go jego turecki strój, pstrokaty i teatralny. Podziwia go zaś za niewytłumaczalną, niczym niezmąconą pewność siebie; takiej jeszcze u nikogo nie widział. Łapie się na tym, że czuje przed tym człowiekiem respekt, a nawet, że się go boi. I właśnie dlatego do niego lgnie.

– Chcę, żebyś był moim świadkiem na ślubie, wuju. Chcę, żebyś mi towarzyszył na chrzcie.

– Podoba mi się, że na stypie zapraszasz na wesele – mówi Jakub.

– Ojcu się też by to podobało. Zawsze był za tym, żeby iść prosto do celu.

Przez szybę, tak jak ich widzą goście, wyglądają, jakby paląc fajki, rozmawiali o zmarłym Zalmanie. Ich ciała są rozluźnione, Jakub wyciągnął nogi przed siebie i w zamyśleniu puszcza kółka dymu.

– Wszystko sprowadza się do tego – mówi Mosze Dobruszka – że Mojżesz i jego konstytucja są oszukańcze. Sam Mojżesz poznał prawdę,

ale ją przed swoim ludem ukrył. Dlaczego? Pewnie dlatego, żeby mieć nad nim władzę. Zbudował kłamstwo tak wielkie, że aż prawdopodobne. Miliony ludzi wierzą w to kłamstwo, powołują się na nie i żyją według niego – Mosze raczej przemawia niż mówi, na wuja w ogóle nie patrzy. – Jak to jest uświadomić sobie, że żyło się w zupełnej iluzji? To tak, jakby ktoś powiedział dziecku o czerwonym, że jest zielone, o żółtym, że jest różowe, o drzewie powiedziałby, że to tulipan...

Dobruszka zapomina się w wyliczaniu porównań, robi ręką jakiś okrągły gest i mówi dalej:

– Czyli świat jako oszukańcze kłamstwo, odgrywany teatr. A przecież Mojżesz miał największą szansę, mógł naród wygnany, naród błąkający się po pustyni wyprowadzić do prawdziwego światła, a on wolał go oszukać i wymyślone przez siebie nakazy i prawa przedstawił jako boskie. Tajemnicę tę schował głęboko i trzeba było wieków, żebyśmy poznali prawdę.

Mosze nagle gwałtownie zsuwa się z krzesła i klęka przed Jakubem, kładzie na jego kolanach głowę.

– Ty, Jakubie, jesteś tym, który nam to uporczywie uświadamia. Wziąłeś na siebie to zadanie i podziwiam cię za to.

Jakub nie wydaje się zaskoczony, obejmuje dłońmi głowę młodego Dobruszki i ktokolwiek ich widzi teraz przez szybę, rozumie, że wuj pociesza syna po śmierci ojca, i jest to wzruszający widok.

– Ty wiesz, wuju, Mojżesz zawinił straszliwie, skazał nas, Żydów, i nie tylko nas, na nieprzeliczone nieszczęścia, na klęski, plagi i cierpienia, a potem swój lud opuścił...

– Poszedł do innej religii... – wtrąca Jakub, a Dobruszka wraca na fotel, przysuwa go jednak tak blisko wuja, że ich twarze są od siebie na odległość dłoni.

– Powiedz, czy mam rację? Próbował nas uratować Jezus i był już blisko, jednak jego idea została wypaczona, podobnie jak idea Mahometa.

Jakub mówi:

– Prawa Mojżeszowe są ciężarem i zabójstwem dla ludu, ale nauki boskie są doskonałe. Żaden człowiek ani żadne stworzenie nie mieli

szczęścia ich słyszeć, ale my ufamy, że je usłyszymy. Ty to wiesz, prawda?

Mosze Dobruszka energicznie kiwa głową.

– Prawda cała jest w filozofii Oświecenia, w wiedzy, którą możemy poznać, ona nas wyzwoli z tej nędzy...

Szejndel jest zaniepokojona tym, co widzi przez szybę werandy, waha się przez chwilę, a potem zdecydowanie puka i otwiera drzwi, żeby powiedzieć im, że podano już skromny posiłek.

O domu przy katedrze i dostawie panien

Już od razu, od pierwszego roku, do mieszkania na Petersburger Gasse zaczynają przybywać goście i robi się gwarno w całym domu. Oficyny są zajęte, a ci, którzy się nie zmieścili, wynajmują mieszkania po domach mieszczan – w senne miasto Brünn wstępuje nowa siła, bo prawie wszyscy goście to młodzież. Ponieważ nauki odbywają się tylko rano, przez resztę dnia nie ma co robić, więc Pan zarządza musztrę i odtąd dziedziniec pełen jest wielojęzycznego gwaru, gdy razem ćwiczą marsze chłopcy z Polski, Turcji oraz Czech i Moraw, te „Niemczyki”, jak o nich mówi Jakub. Dwór w Brünn wydaje spore pieniądze i zamawia dla wszystkich mundury, a potem, gdy są już w nie przebrani, Pan dzieli swe małe wojsko na chorągwie. Na stole ma rozłożone szkice mundurów, proporców i plany ustawienia oddziałów. Każdego ranka Pan zaczyna podobnie. Wychodzi na balkon i wsparty o kamienną balustradę, mówi do ćwiczących:

– Kto nie będzie uważał na moje słowa, ten żadną miarą przy moim dworze pozostawać nie może. Kto zaś będzie tu przeklinać, ten od razu zostanie wymazany ze wszystkiego. A jak ktoś powie, że rzecz, do której dążę, jest zła albo niepotrzebna, też będzie wyłączony.

I czasami ciszej trochę dodaje jeszcze:

– Kiedyś szedłem burzyć, wykorzeniać, a teraz zaszczepiam i buduję. Chcę was nauczyć obyczajów królewskich, bo wasze głowy są do noszenia korony.

Co miesiąc przyjmuje się na dworze dziesiątki pielgrzymów. Jedni przyjeżdżają w odwiedziny do Jakuba, inni, młodzi, zostają na dłużej. To zaszczyt dla panien i kawalerów – spędzić rok na służbie u Pana. Przywożą ze sobą pieniądze, które od razu deponują u intendenta.

Dom przy Petersburger Gasse jest solidny, dwupiętrowy. Ciężka drewniana brama zamyka wjazd na wewnętrzne podwórko, gdzie mieszczą się stajnia, powozownia, składy na drzewo i kuchnia. Od strony Petersburger Gasse, która prowadzi do samej katedry Świętego Piotra i Pawła, pokoje są najpiękniejsze, choć zacienione ogromnym gmachem kościoła, i te na pierwszym piętrze zajmują Pan z Imością Ewą, a także Roch i Józef, kiedy tu przyjadą z Warszawy. Tu również są pokoje dla co ważniejszych przybyszów, dla ważnych braci i sióstr. Gdy w Brünn goszczą starsi bracia, jak Wołowscy, Jakubowski, Dembowscy czy Łabęccy, to tutaj nocują. Na końcu lewego skrzydła Pan ma gabinet, w którym przyjmuje swoich gości. Obcych podejmuje się na dole, zaraz przy dziedzińcu. Jest tu też wielka sala, poprzedni właściciel urządzał w niej bale, teraz jest to miejsce spotkań i nauk. Od podwórza zaś znajduje się Kindergarten, gdzie uczy się najmłodsze dzieci. Pan nie lubi niemowląt wokół siebie, dlatego każda kobieta, która urodzi, jest na jakiś czas oddalona ze dworu i wraca do Polski, do rodziny, chyba że Pan zdecyduje inaczej, od niektórych bowiem Pan lubi ssać mleko.

Na drugim piętrze i od ulicy, i od podwórka mieszczą się pokoje dla mężczyzn i kobiet oraz pokoje gościnne. Urządzono ich sporo, ale i tak nie są w stanie pomieścić wszystkich przyjezdnych. Pan nie pozwala mieszkać razem małżeństwom. Sam rozporządza, kto z kim ma się zejść, i właściwie nigdy nie było na tym tle niesnasek.

To zrozumiałe, że w takiej atmosferze kwitną miłostki i romanse. Czasem ktoś, kto się już w łaski Pana dostanie, prosi o możliwość zbliżenia z tą czy tamtym. Wtedy Pan albo przyzwala na to, albo nie. Tak to było niedawno z córką Jezierzańskiego, Magdą Golińską, która sama, nieco zawstydzona, błagała Pana, iżby mogła mieć do czynienia z Jakubem Szymanowskim z pańskiej gwardii przybocznej, choć przecież zamężna już była z Jakubem Golińskim, który został w Polsce, bo prowadził tam interesy. Pan długo nie dawał zgody, ale kiedyś,

wzruszony piękną paradą i urodą Szymanowskiego, w końcu ustąpił. Potem się okazało, że nie była to dobra decyzja.

Z tyłu za domem i stajniami, na skarpie, jest nieduży ogród obsadzony głównie ziołami i pietruszką. Grusza, która rodzi bardzo słodkie owoce, przyciąga z całego Brünn wszelkie osy. Tam, pod tą gruszą, ciepłymi wieczorami spotyka się cała młodzież z domu, jak i ta, która mieszka po kwaterach w mieście. Tu jest prawdziwe życie. Młodzi przynoszą czasem instrumenty i wtedy grają i śpiewają: łączą się języki, melodie nakładają się na siebie. Muzykują, dopóki w końcu ktoś ze starszych ich nie przegoni; wtedy – za pozwoleniem – wychodzą na skwer u stóp katedry.

Koni się w stajni nie trzyma cały czas, chyba że jedną parę, potrzebną do niewielkiego powozu na co dzień. Reszta stoi w stajniach pod miastem. Piękne rumaki, każda para inna. Gdy Pan potrzebuje wyjechać, wysyła się kogoś do Obrowitz konno i sprowadza konie z karetą.

Do kościoła Pan końmi jeździć nie musi. Katedra jest o dwa kroki. Z okien widać jej masywne kamienne ściany; nad całym miastem góruje jej wieża. Gdy dzwonią dzwony, wszyscy zbierają się na wewnętrznym podwórcu odświętnie ubrani i formują orszak. Najpierw idzie Pan z Ewą, za nimi starsi, a potem młodzież – na jej czele są Jakubowi synowie, którzy niedawno dołączyli do ojca i siostry. Otwiera się bramę i wszyscy powolnym krokiem przechodzą do katedry. Droga jest krótka, więc zdają się celebrować każdy pojedynczy krok, żeby gawiedź miała czas się na nich napatrzyć. Mieszkańcy Brünn już wcześniej zajmują na tym odcinku miejsca, żeby się przyglądać owej paradzie. Największe wrażenie robi zawsze Pan, bo on urodził się królem – wysoki i barczysty, a wzrostu dodają mu jeszcze wysoki turecki fez, którego prawie nie zdejmuje, i szeroki płaszcz z kołnierzem gronostajowym, królewski. Ludzie patrzą też na jego tureckie buty z wywiniętym noskiem. Również Ewa jest atrakcją samą w sobie, najmodniej ubrana, z głową wysoko uniesioną, odziana w seledyny albo róże, płynie koło ojca jak chmura i ześlizgują się po niej spojrzenia tłumu, jakby była istotą zbudowaną ze szlachetnej materii, nietykalną.

Wczesną wiosną 1774 roku, kiedy Jakub znowu niedomaga, tym razem na niestrawność, każe sprowadzić z Warszawy Łucję, żonę Kazimierza Szymona Łabęckiego, tę samą, która go w Częstochowie karmiła własnym mlekiem. Jako że wtedy ozdrowiał, teraz chce ponowić terapię. Szymkowa Łucja bez gadania pakuje się z dzieckiem i z siostrą i stawia się na wezwanie. Przez pół roku karmi Jakuba, potem zostaje odesłana, kiedy on coraz więcej czasu zaczyna spędzać w Wiedniu.

Latem przybywa cały zastęp panien do orszaku Ewy. Jedzie ich z Warszawy osiem: dwie młode Wołowskie, Lanckorońska, Szymanowska i Pawłowska oraz Tekla Łabęcka, Kotlarzówna i Grabowska, w dwóch powozach pod eskortą braci i kuzynów. Po dwóch tygodniach podróży do Brünn przyjeżdża wesoła kompania. Panny są bystre, ładne, rozszczebiotane. Jakub patrzy na nie z okna, gdy wysiadają z pojazdów, prostują zmięte spódnice, wiążą pod brodą wstążki kapeluszy. Przypominają stado kurcząt. Wyciągają z powozów kosze i kuferki; aż przystają przypadkowi przechodnie, patrząc na to

nieoczekiwane zagęszczenie wdzięku. Jakub taksuje je wzrokiem. Zawsze najładniejsze są Wołowskie, a to za sprawą wdzięku jakiegoś bezczelnego, rohatyńskiego, który wydaje im się przyrodzony – żadne dziecko z Wołowskich nie jest brzydkie. A jednak to rozszczebiotanie najwyraźniej Jakuba drażni – odwraca się od okna, zły. Każe im przyjść po wieczornym posiłku odświętnie ubranym do długiej sali, gdzie jest z kilkoma starszymi braćmi i siostrami. Siedzi na krześle – polecił sobie zrobić takie samo czerwone, jakie miał w Częstochowie, tylko bardziej zdobione – bracia i siostry zaś siedzą pod ścianami na swoich stałych miejscach. Dziewczęta stoją na środku, spłoszone nieco, szepczą coś między sobą po polsku. Szymanowski, który stoi przy Jakubie, dzierżąc w ręce ni to wysoką pikę, ni halabardę, ucisza je srogo. Każe im kolejno podejść do Pana i pocałować go w rękę. Dziewczęta idą posłusznie, jedna tylko zaczyna nerwowo chichotać. Jakub w milczeniu podchodzi potem do każdej z nich z osobna i mierzy je wzrokiem. Najdłużej przystaje przed tą rozchichotaną, czarnowłosą i czarnooką.

– Podobna jesteś do matki – mówi.

– A skąd wiecie, panie, z której to ja matki?

Na sali słychać śmiechy.

– Ty jesteś najmłodsza Franciszka, czy tak?

– Tak, tylko że nie najmłodsza, mam jeszcze dwóch braci.

– Jak masz na imię?

– Agata. Agata Wołowska.

Rozmawia z jeszcze jedną, Teklą Łabęcką; mimo że dziewczynka nie ma więcej niż dwanaście lat, jej bujna uroda przyciąga wzrok.

– Mówisz po niemiecku?

– Nie, po francusku.

– To jak się mówi po francusku: jestem głupia jak gęś?

Dziewczynce zaczynają drżeć wargi. Spuszcza głowę.

– No jak? Podobno znasz francuski.

Tekla mówi cicho:

– Je suis, je suis...

Robi się cicho jak makiem zasiał, nikt się nie śmieje.

– ...tego nie powiem.

– A to dlaczego?

– Mówię tylko prawdę.

Jakub nie rozstaje się ostatnio z laseczką zakończoną głową węża. I teraz tą laseczką dotyka ramion i dekoltów dziewcząt, szarpie nią haftki ich gorsetów, drapie je po szyi.

– Proszę się rozebrać z tych fatałaszków. Do połowy.

Dziewczęta nie rozumieją. Nie rozumie też Jeruchim Dembowski, który lekko zbladł i porozumiewa się wzrokiem z Szymanowskim.

– Panie... – zaczyna Szymanowski.

– Rozebrać się – mówi łagodnie Pan i dziewczęta zaczynają się rozbierać. Żadna nie protestuje. Szymanowski kiwa głową, jakby chciał je uspokoić i potwierdzić, że rozbieranie się publiczne i pokazywanie piersi jest czymś zupełnie naturalnym na tym dworze. Dziewczęta zaczynają odpinać haftki gorsetów. Jedna z nich pochlipuje i w końcu stoją półnagie na środku sali. Kobiety, zmartwione, odwracają wzrok. Jakub nawet na nie nie patrzy. Podrzucając swoją laseczkę, wychodzi.

– Dlaczego kazałeś je tak poniżyć? – mówi potem do niego z wielką pretensją Franciszek Szymanowski, który wyszedł zaraz za nim. Nosi się jak Polak, ma długie czarne, sterczące wąsy. – Co ci zrobiły te niewinne panienki? I to jest powitanie?

Jakub odwraca się do niego zadowolony z siebie, uśmiechnięty.

– Ty wiesz, że ja bez przyczyny nic nie robię. Kazałem je poniżyć wobec wszystkich dlatego, że jak przyjdzie mój czas, to podniosę je i wywyższę ponad wszystkie. Tak im powiedz ode mnie, żeby wiedziały.

Resztki. Jak w mętnej wodzie ryby łowić

Napisane jest, że trzy rzeczy przychodzą, kiedy się o nich nie myśli: Mesjasz, odnalezienie zguby i skorpion. Ja bym dodał i czwartą – wezwanie do wyjazdu. Z Jakubem zawsze tak jest:

trzeba być gotowym na wszystko. Ledwiem się rozłożył w Warszawie i Wajgełe, Zofia, moja żona, kazała wyłożyć drukowanym płótnem ściany mieszkania na Długiej, przyszedł list z Brünn, i to pismem Jakuba napisany, żeby wieźć pieniądze, bo tam im zabrakło. Żal mi było Wajgełe, Zosię, zostawiać samą, jako że niedawno urodziła nam drugą córeczkę, Annę. Zebrawszy odpowiednie fundusze i umieściwszy je w beczułce, jak to już robiliśmy w Częstochowie, udając, iż z nas kupcy piwni, wyruszyliśmy z Ludwikiem Wołowskim i synami Natana, czyli Michała, w drogę i po tygodniu byliśmy na miejscu.

Przywitał nas po swojemu – głośno i hałaśliwie; ledwośmy z bryki wysiedli, a już ugoszczono nas jak królów. Całe popołudnie trwało rozdawanie listów, opowiadanie, co u kogo, ile dzieci się urodziło i kto umarł. I jako że wino morawskie, którym nas częstowano, dobrej było jakości, od razu zawróciło nam w głowie, tak że dopiero rano następnego dnia powoli zacząłem uprzytamniać sobie, gdzie jestem.

Prawda jest taka, że nigdy się tym Brünn nie umiałem zachwycić, bo to było życie pańskie, a nie takie, jak miało być. Musiał być Jakub rozczarowany, żem się nie podniecał wielkością i zbytkiem domu, gdy mnie oprowadzał z dumą po swych nowych włościach naprzeciw katedry i gdy razem z całym dworem poszliśmy na mszę i tam w ławkach własnych mieliśmy miejsce, jak jaka szlachta. Pamiętałem ja jego inne domy: ten wynajmowany w Salonikach, niska nora, bez okien, do której światło wpadało tylko, gdy otwierało się drzwi, i drewniany w Giurgiu, z dachem z płaskich kamieni, którego gliną łatane ściany kryła miłościwie winorośl. A także ten, którego sobie zażyczył w Iwaniu – jednoizbowa chata z klepiskiem i byle jak skleconym piecem.

I w Częstochowie – kamienna cela z okienkiem wielkości chustki do nosa, zawsze zimna i wilgotna. Czułem się w Brünn nieswojo i powoli uprzytomniać sobie zacząłem, że się starzeję i że to wszystko nowe przestaje mnie pociągać, a wychowany w biedzie buskiej, nigdy się do bogactwa nie przyzwyczaję. Także i kościół – wysoki, smukły, jakby wychudzony – sprawiał, że czułem się w nim obco. W takim miejscu trudno jest się modlić; obrazy i rzeźby, nawet jeżeli piękne, są daleko i nie sposób ich oglądać spokojnie i powoli. Głos księdza rozchodzi się i odbija echem od ścian – nigdy nic nie rozumiem. Jest za to porządek klękań, i ten opanowałem dość dobrze.

Jakub siedział zawsze w pierwszym rzędzie, przede mną, w bogatym płaszczu. Obok niego Awaczunia, śliczna jak ciastko z lukrem, które sprzedają tutaj ze szklanych gablot jak biżuterię, z włosami starannie ułożonymi pod kapeluszem tak strojnym, że jego szczegóły przyciągały całą moją uwagę. Obok Ewuni – Zwierzchowska, która tu pełni funkcję ochmistrzyni w miejsce słabującej Wittel, i panny dwie. Chciałbym ja tu swoją starszą córkę, Basię, przysłać na dwórkę, żeby się ze światem wielkim obyła, bo w Warszawie nie za wiele się nauczy i opatrzy, lecz jeszcze za młoda.

I myślałem sobie, patrząc na to wszystko, na ten cały nowy świat, który otworzył się przed Jakubem w cudzym kraju: Czy to ten sam Jakub? Przecież ja od niego swoje nazwisko wziąłem, Jakubowski, jak jego własność jaka, jak kobieta jego, ale nie znajdowałem go teraz tak jak kiedyś. Trochę przytył, włosy już całkiem miał białe, a to po Częstochowie mu zostało.

Przyjmował nas z Wołowskim w swoim urządzonym po turecku pokoju, gdzie siedziało się na podłodze. Skarżył się, że już kaffy zbyt wiele pić nie może, że ona mu żołądek osusza i w ogóle

wielce zajmował się swoim zdrowiem, co mnie zdziwiło, bo on kiedyś był taki, jak by nie miał wcale ciała.

I tak te pierwsze dni schodziły nam na oglądaniu okolicy, chodzeniu na msze i na rozmowach, lecz i one były jakieś próżne. Czułem się nieswojo. Starałem się usilnie patrzeć na niego jak na tamtego młodzieńca, któregośmy w Smyrnie spotkali, i przypomniałem mu, jak mu skóra cała zeszła i jak płynęliśmy morzem, kiedy mnie przed moim własnym lękiem wybawić umiał. „Tyżeś to, Jakubie?”, zapytałem go kiedyś, udając, żem wypił za dużo, ale w gruncie rzeczy byłem bardzo czujny, co mi odpowie. Zmieszał się. Ale potem myślałem, że głupcem byłby ten, kto by oczekiwał, iż ludzie wciąż są tymi samymi co w przeszłości, i że jest w nas jakaś pycha, kiedy siebie traktujemy jako niezmienną całość, jakbyśmy byli wciąż tą samą osobą – bo przecież nie jesteśmy.

Gdym z Warszawy wyjeżdżał, krążyły tam plotki między prawowiernymi, że prawdziwy Jakub umarł w Częstochowie, a ten, który teraz siedział przede mną, podmienił go. I wielu w to wierzyło, jako że te plotki ostatnio nasiliły się; nie miałem wątpliwości, że i Ludwik Wołowski, i młody Kapliński, szwagier Jakubowy (albowiem plotki i na Wołoszczyznę dotarły), który zaraz po nas przybył, tę sprawę przyjechali tu zbadać, by uspokoić naszych w Warszawie i wszędzie.

Siedzieliśmy przy stole i widziałem, jak w mdłym świetle świec wszyscy bacznie patrzą na Jakuba, obserwując każdą jego zmarszczkę. Gapił się tak na niego i Ludwik Wołowski, który go dawno nie widział i zapewne zaskoczony był zmianami. Nagle Jakub pokazał mu język. Ludwik spłonił się i potem już cały wieczór siedział markotny. Gdyśmy się już rozdyskutowali,

zapytałem Jakuba podczas tej wieczerzy: „I co ty teraz zamierzasz? Siedzieć tu? A co z nami wszystkimi?”.

„Moje największe nadzieje, to żeby więcej Żydów przyszło do mnie – odpowiedział. – Bo przyjdzie ich moc niezliczona. W jednym szeregu mniej nie będzie niż dziesięć tysięcy...”, tak mówił i jeszcze o chorągwiach i mundurach, że gwardię chciałby tu mieć swoją, a im więcej pił wina, tym rozleglejsze miał plany. Mówił, że my się do wojny szykować musimy i że czasy są niespokojne. Turcja osłabła, a w siłę idzie Rosja. „Wojna jest dla nas dobra – w mętnej wodzie można coś dla siebie ułowić”. Rozpalał się coraz bardziej: „Będzie wojna Austrii z Turcją, to pewne, gdyby tak wywalczyć dla nas w trakcie wojennego zamieszania upragniony kawałek ziemi? Potrzeba do tego dużo złota i wiele pracy. Gdyby tak zebrać ze trzydzieści tysięcy ludzi własnym ekspensem i tak się ułożyć z Turcją, żeby ich wesprzeć w wojnie, a za to kawałek ziemi otrzymać jako małe królestwo gdzieś na Wołoszczyźnie?”.

Wołowski dodał, że i Chaja w Warszawie wyprorokowała, i to kilka razy pod rząd, wielkie zmiany na świecie, ogień i pożogę.

„W Polsce król słaby i wielki chaos panuje...”, zaczął Ludwiczek.

„Z Polską już skończyłem”, uciął Jakub.

A powiedział to z goryczą i tak jak kiedyś zaczepnie, jakby mnie wzywał do bójki. A potem to już wszyscy gadali o własnej ziemi, jeden przez drugiego, rozpalali się tym pomysłem. I dwóch Pawłowskich, którzy też tu przybyli z żonami, i nawet Kapliński, szwagier Jakubowy, którego miałem za wyjątkowo roztropnego człowieka, wszyscy zaczęli obstawać przy tym nierealnym zamyśle. Nic ich już nie zajmowało, tylko polityka.

„Ja już na te własne ziemie nadzieję straciłem!”, krzyknąłem w ten rozdysputowany, podpity tłumek, ale nikt nie słyszał.

Ku mojemu zaskoczeniu Jakub kazał nam z Jeruchimem Dembowskim spisywać jego wieczorne gadki. Bo najpierw zaczęto na dworze notować sny Ewy, a robił to Antoni Czerniawski, syn tych Czerniawskich z Wołoszczyzny, co w Iwaniu kasę trzymali. I wychodziła z tego ładna książeczka. Mnie to bardzo zdziwiło, jako że już nieraz Jakuba prosiłem usilnie, iżby się na zapisywanie zgodził, a on nigdy nie chciał.

Z pewnością poczuł się tutaj bezpiecznie, może wpływ nań miał też młody Mosze Dobruszka, który często nas wizytował, i przekonał go, że w piśmie takim nie musi być tych rzeczy, które nie są innym przeznaczone, natomiast rosnąca liczba zwolenników Jakuba miałaby wgląd w jego myśli i opowieści. Pisać podobną księgę byłoby rzeczą ze wszech miar szlachetną, ku pamięci potomnych.

Najpierw pisał Jeruchim, czyli Jędrzej Dembowski, potem ja. Gdyby nas miało nie być, zastępować nas winien syn Czerniawskich, Antoni, chłopiec wyjątkowo bystry i Jakubowi wielce oddany. I miało to być pisane po polsku, bo już dawno nasz stary język zarzuciliśmy. Sam Jakub mówił, jak chciał: i po polsku, i po niemiecku, czasem całe zdania po turecku, robił też wiele wtrętów po hebrajsku; przepisywać to musiałem, bo nikt by się w tych moich notatkach nie wyznał.

Przypomniało mi się wtedy, że kiedyś chciałem być przy Jakubie, jak był Natan z Gazy przy Szabtaju Cwi, który go wywyższył i pokazał mu jego samego jako Mesjasza, bo tamten nie wiedział, kim jest. Kiedy bowiem duch wstępuje w człowieka, dzieje się to

jakby przemocą, bo to jest tak, jakby powietrze miało wejść w najtwardszy kamień. I ciało, i umysł, w które wstępuje duch, nie są do końca świadome tego, co się wydarza. Więc musi istnieć ktoś, kto to wypowie i nazwie. I tak myśmy z naszym świętym Mordechajem zrobili w Smyrnie – byliśmy świadkami zstąpienia na Jakuba ducha i daliśmy temu słowa.

Lecz zdało mi się po tej pierwszej brünneńskiej wizycie, że wyrosła teraz między mną a Jakubem jakaś ściana niewidzialna, jakaś zasłona, jakby kto rozwiesił prześcieradło cieniutkie, muślinowe.

Słowa Pańskie

„Trzech jest zakrytych przede mną, a o czwartym wy nie wiecie”. Co znaczą te słowa Jakuba? Znaczą one, że jest oto trzech Bogów bardzo mocnych i oni prowadzą cały świat twardą ręką. Tak mówił Pan i ja to spisywałem za nim. Jeden Bóg jest to ten, co daje życie każdemu, dlatego jest dobry. Drugi Bóg jest to ten, co daje bogactwo, nie każdemu, ale temu, komu zechce. Trzeci to Majlech Hamuwes – Pan Śmierci. Ten jest najmocniejszy. A ten czwarty, o którym nic nie wiemy, to jest sam Dobry Bóg. Nie da się przejść do Dobrego Boga, nie przeszedłszy uprzednio przez tych trzech.

Tego wszystkiego – mówił Jakub, a myśmy zapisywali – nie wiedział Salomon, parł od razu do Najwyższego, ale mu się udać nie mogło, musiał odejść ze świata i nie mógł sprowadzić wiecznego życia na ten świat. Potem wołano w niebiosach: „Kto jest ten, kto chce iść po wieczne życie?”.

Odezwał się na to Jezus Nazareński: „Ja pójdę”. Ale on też nic nie zdziałał, choć był bardzo mądry i uczony i moc miał wielką.

Poszedł tedy do tych trzech, co świat prowadzą, i z ową mocą, którą miał od Boga Dobrego, zaczął leczyć i uzdrawiać, lecz ci trzej to zobaczyli, zaniepokoili się, że weźmie władzę nad światem, bo wiedzieli z proroctwa, że przyjdzie Mesjasz i że połkniona zostanie śmierć na wieki. Przyszedł więc Jezus Nazareński do pierwszego z tych trzech i ten go puścił do drugiego, a ten do trzeciego. Ale trzeci, który był Panem Śmierci, wziął go za rękę i zapytał: „Dokąd idziesz?”. Jezus rzekł: „Idę do czwartego, który jest Bogiem nad Bogi”. Na to zagniewał się Pan Śmierci i rzekł: „To ja jestem panem świata. Zostań u mnie, będziesz siedział po mojej prawicy, będziesz Bożym Synem”. A wtedy Jezus zrozumiał, że nie ma przy nim mocy Dobrego Boga i że jest jak dziecko bezbronny. Rzekł tedy do Pana Śmierci: „Niech tak będzie, jak żądasz”. Lecz ten odpowiedział mu: „Synu mój, musisz ofiarować swoje ciało i krew dla mnie”. „Jakże to – odparł na to Jezus – jakże mam dać ciało tobie, kiedy mi powiedziano, że sprowadzę na świat życie wieczne?”. Bóg ów, Pan Śmierci, rzekł mu na to: „To być nie może, żeby na świecie nie było śmierci”. A Jezus na to: „Wszak ja mówiłem uczniom swoim, że sprowadzę...”. Przerwał mu Bóg Śmierci: „Powiedz uczniom twoim, że ten żywot wieczny nie będzie na tym, ale na drugim świecie, jak to stoi w pacierzu: «A po śmierci żywot wieczny, amen»”. I dlatego Jezus pozostał u Pana Śmierci i sprowadził więcej mocy śmierci na świat niż Mojżesz. Żydzi umierają mimo woli, bez pragnienia i nie wiedzą, gdzie idą po śmierci. A chrześcijanie umierają z radością, bo mówią, że każdy ma cząstkę swą w niebie u Jezusa, który siedzi po prawicy Ojca. I tak Jezus poszedł z tego świata. Wiele wieków potem znowu zawołano: „Kto chce pójść?”.

Odezwał się na to Szabtaj Cwi: „Ja pójdę”. Poszedł jak dziecko, nic nie wskórał, nic nie załatwił.

Dlatego po nim mnie posłano – opowiada Jakub, a cisza wśród tych, co go słuchają, jakby makiem zasiał, jakby im Jakub, dzieciom, bajkę jaką snuł. Po mnie posłano, mówił, abym sprowadził żywot wieczny na świat. Dano mi też moc. Lecz ja jestem wielki prostak, ja sam nie pójdę. Jezus był wielki uczony, a ja jestem prostak. Do tych trzech trzeba iść po cichu i krętymi drogami, czytają oni z naszych warg nawet niewypowiedziane słowa. Nie trzeba robić krzyku, ale posuwać się w ciszy, milcząc. Nie ruszę się jednak, dopóki nie przyjdzie czas ziszczenia się słów moich.

Tylko niektórzy rozpoznali w tej baśni nasz święty traktat, który jedynie tak uproszczony i popsuty mógł trafić do ludu.

Gdy skończył, napraszali się, żeby jeszcze co mówił. Więc zaczął nową historię.

To tak jak było z pewnym królem, który założył wielki kościół. Fundament zbudował pewien majster, a był on na łokieć głęboki i jeszcze na wysokość człowieka. I gdy miał budować dalej, nagle majster zniknął na trzynaście lat, a gdy powrócił, wziął się do budowy ścian. Spytał go król, dlaczego odszedł bez słowa i porzucił swą pracę?

„Królu mój, odpowiedział tamten, budynek ten jest bardzo wielki, gdybym go zaraz chciał ukończyć, fundament nie wytrzymałby ciężaru ścian. Dlatego odszedłem umyślnie, aby fundament dobrze się osadził. Teraz zacznę na nowo stawiać budowlę, a ta będzie już wieczna i nigdy nie upadnie”.

Szybko zebrałem kilkadziesiąt zapisanych takimi opowieściami kart, to samo Jeruchim Dembowski.

Ptaszek, który wyskakuje z tabakierki

Mosze, kiedy się pojawia na dworze w Brünn, sprowadza jakichś rzemieślników, którzy mówią po niemiecku z dziwacznym akcentem.

Najpierw pokazuje Jakubowi i Ewie rysunki.

Tłumaczy zawile wszelkie korzyści z wynalazku, choć Jakub zdaje się nie rozumieć, jak to działa. Ponoć taka sama rzecz jest na cesarskim dworze, gdzie Mosze ma wielu znajomych i przyjaciół. Bywa tam i ma nadzieję, że wkrótce pojawi się tam i Jakub ze swoją piękną córką. Woli teraz, żeby go nazywano Thomasem.

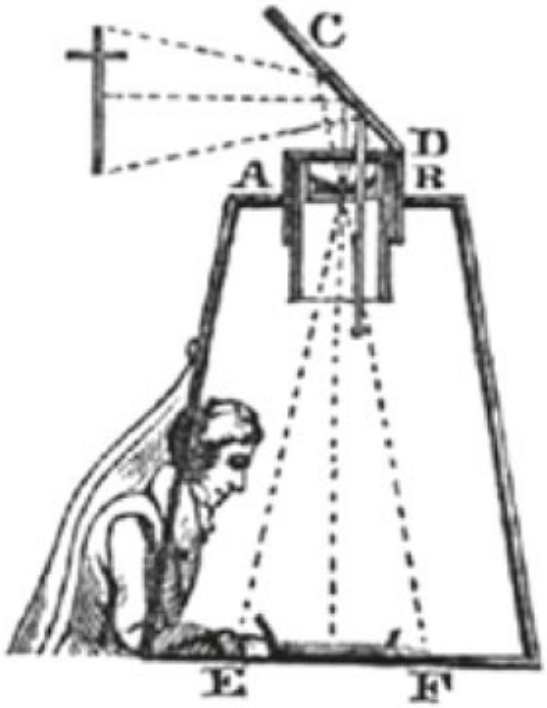

Sprawa jest całkiem prosta, gdy po kilku tygodniach okazuje się, jak to działa – to jest kamienna misa ustawiona w najwyższym pokoju, pięknie wyszlifowana, w środku zaś znajduje się rura, która pnie się w górę i przez dach, niby komin, wychodzi na zewnątrz. Trzeba było wyciągnąć kilka dachówek i pobudować drewniane stelaże do jej podtrzymania, ale już działa.

– Camera obscura – mówi Mosze-Thomas z dumą, jak konferansjer w teatrze. Kobiety klaszczą. Dłońmi o giętkich nadgarstkach robi Thomas kółka w powietrzu i śmigają koronki przy jego mankietach. Gładko wygolona, miła twarz, falujące włosy. Szeroki uśmiech, lekko

krzywe zęby. Kto się oprze temu młodzieńcowi, który ma sto pomysłów w jednej chwili i który działa szybciej niż ktokolwiek inny? – myśli Ewa. Po kolei podchodzą do misy i co widzą? Niebywałe. Pochyleni nad wyszlifowanym wnętrzem, widzą tam całe Brünn, dachy, wieże kościołów, wąskie, biegnące w górę i w dół uliczki, korony drzew, rynek pełen straganów. I nie jest to martwy obrazek, wszystko się rusza – o, przez Alte Schmiedegasse jedzie powóz zaprzężony w czwórkę koni, a tu zakonnice prowadzą sieroty i robotnicy układają bruk. Ktoś wyciąga palec, żeby dotknąć tego obrazu, ale ze zdziwieniem cofa go natychmiast, widok miasta nie ma bowiem materialnej natury. Opuszka palca czuje tylko chłód wypolerowanego kamienia.

– Będziesz, Panie, miał baczenie na całe miasto. To jest wielki wynalazek, choć nie ma w nim magii ani kabały. To jest myśl ludzka.

Mosze jest bezczelny. Śmie popychać Jakuba ku misie i Jakub się temu poddaje bez protestu.

– Widzieć, a samemu nie być widzianym, to naprawdę boski przywilej – podlizuje się Mosze.

Mosze-Thomas zaskarbia sobie tym wynalazkiem podziw młodych, a ci widząc, że Pan darzy go sympatią, zaczynają go traktować trochę jak syna pańskiego. Zwłaszcza że większość z nich jego synów prawdziwych nie zna. Znowu są w Warszawie, Pan ich odesłał, a oni obydwaj wrócili do Polski z ulgą. Tam zajmują się nimi Jakubowski z Wołowskim.

Jakub patrzy na Moszego z okna; przygląda mu się bardzo dokładnie. Widzi, jak tamten rozchyla poły francuskiego żakietu, rozstawia szeroko nogi w białych jedwabnych pończochach, żeby narysować coś patykiem na ziemi skupionej wokół niego młodzieży. Pochyla się, widać czubek jego głowy. Piękne loki cierpią tylko pod peruką. Zarost ledwie widoczny, skóra gładka, oliwkowa, bez skazy. Matka zbyt go rozpuściła. Szejndel rozpieszcza swoje dzieci, rosną jak książątka, pewne siebie, przemądrzałe, urodziwe, bezczelne. Życie da im się we znaki.

Kiedy się lekko wychyli, dostrzeże Awaczę, która też ze swego okna obserwuje tę scenę i tego strojnisia. W jej ciele jest zawsze ta sama

uległość, nie trzyma się jak królowa, choć tyle razy ją tego uczył: prosty kręgosłup, podniesiona głowa, lepiej nieco wyżej niż niżej, ma w końcu piękną szyję i skórę jak jedwab. Jednak czego innego uczył ją za dnia, czego innego w nocy. Noc wyłania się czasem w środku dnia i wtedy jej uległość pociąga go. Lekkie drżenie powiek i jej piękne, zupełnie ciemne oczy, tak ciemne, że gdy odbijają światło, wydaje się, że pokrywa je lśniący lukier.

Nagle Thomas, jakby świetnie wiedział, że jest obserwowany, podnosi wzrok i Jakub nie zdąży już się cofnąć. Ich oczy na chwilę spotykają się.

Z innego okna, czego Thomas już nie dostrzega, patrzy na niego Ewa Frank.

Wieczorem, gdy Pan udaje się już na spoczynek, młodzi znowu siedzą wokół Thomasa Dobruszki. Są Ewa, Anusia Pawłowska i Agata Wołowska oraz młodszy Franciszek Wołowski. Thomas pokazuje im tym razem tabakierkę, jakby miał zamiar poczęstować ich tabaką. Gdy Franciszek wyciąga dłoń i dotyka wieczka, tabakierka z trzaskiem otwiera się i wyskakuje z niej ptaszek, który macha skrzydłami i ćwierka. Franciszek cofa dłoń przestraszony, a towarzystwo wybucha niepowstrzymanym śmiechem. W końcu i sam Franciszek się śmieje. Za chwilę do pokoju zagląda Zwierzchowska, która obchodzi swoim zwyczajem cały dom i każe gasić świece. Wołają ją do środka, rozbawieni.

– No, no, pokaż jej – zachęcają młodzi Thomasa.

– Ciociu, poczęstuj się tabaką – wołają.

Thomas wyciąga do kobiety mały prostokątny przedmiot, pięknie zdobiony. Po chwili wahania, rozbawiona i przeczuwając podstęp, Zwierzchowska sięga po tabakierkę.

– Niech ciocia naciśnie tu – zaczyna po niemiecku Thomas, ale skarcony jej wzrokiem, mówi ze śmiesznym akcentem po polsku: – Niech ciocia naciśnie tu.

Ona bierze tabakierkę i ptaszek tańczy ten sam mechaniczny taniec tylko dla niej, a Zwierzchowska, tracąc całkowicie swoją powagę, piszczy jak dziewczyna.

Tysiąc komplementów, czyli o ślubie Moszego Dobruszki vel Thomasa von Schönfelda

Ślub Moszego Dobruszki z Elke von Popper odbywa się w Wiedniu w maju 1775 roku, gdy mija żałoba po Salomonie. Wynajęto w tym celu ogrody niedaleko Prateru. Jako że ojciec pana młodego nie żyje, do ślubu prowadzą go Michael Denis, jego przyjaciel i tłumacz słynnych *Pieśni Osjana* Macphersona, oraz Adolf Ferdinand von Schönfeld, wydawca, który specjalnie na ten ślub przyjechał z Pragi. Zanim pan młody pojawi się w kościele, odbywa się mały masoński rytuał; bracia z loży, wszyscy ubrani na czarno, z powagą wprowadzają go w nowy etap jego życia. Von Schönfeld traktuje Moszego jak syna i właśnie zaczęły się starania, skomplikowane, biurokratyczne procedury przyjęcia Thomasa do herbu Schönfeldów. Mosze zamieni się w Thomasa von Schönfelda.

Teraz jednak trwa przyjęcie. Oprócz przepychu stołów, na których postawiono jedzenie i ogromne bukiety majowych kwiatów, wielką atrakcją jest pawilon, gdzie pokazuje się niezwykłą kolekcję motyli. Przyczynił się do jej powstania Michael Denis, pracodawca pana młodego. Kuzynki zabierają tam Ewę i teraz pochylone nad gablotami, podziwiają te cudowne martwe stworzenia przyszpilone na jedwabnej wyściółce.

– Ty jesteś taki motyl – mówi do Ewy Estera, najmłodsza z rodzeństwa Dobruszków. Ewie zapada ta pochwała w pamięć i jeszcze długo o tym myśli. Motyle biorą się bowiem z poczwarek, z brzydkich robaków, tłustych i niekształtnych, co też dokumentuje jedna z gablot. Ewie Frank przypomina się ona sama, kiedy była w wieku Estery – piętnastoletnia, w ciemnoszarej sukience, w którą kazał się jej ubierać ojciec w Częstochowie, żeby nie przyciągała uwagi żołnierzy. Przypomina sobie chłód kamiennej wieży i powykręcane stawy matki. Ogarnia ją niewytłumaczalny smutek i tęsknota za nią. Nie chce o tym myśleć i uczy się zapominać. Dobrze jej to idzie.

Wieczorem, gdy w ogrodzie zapalono lampiony, lekko odurzona winem stoi w grupie przysłuchujących się perorującemu hrabiemu von Schönfeldowi, który ubrany w długi ciemnozielony żakiet, wznosząc

kielich z winem, zwraca się żartobliwie do niezbyt ładnej, ale bardzo inteligentnej panny młodej:

– ...Cała rodzina pana młodego jest tak zacna, że lepszej nie znajdziesz. Pracowita, kochająca się wzajemnie, do majątku doszła uczciwie.

Goście wyrażają aprobatę, kiwając głowami.

– Ponadto mają wiele przymiotów i talentów, a nade wszystko są ambitni – ciągnie hrabia. – I bardzo dobrze. Niczym nie różnią się od nas, tych uszlachconych za jakichś dawnych barbarzyńskich czasów, kiedy nasi przodkowie mieczem wspierali królów lub łupili okolicznych chłopów i zagarniali ich ziemie. Dobrze wiecie, że nie każde „von" równoznaczne jest z wielkimi przymiotami ducha i serca... A nam potrzeba ludzi mocnych, żeby podzielali i wcielali w życie, co jest najcenniejsze. Zdziałać więcej można z góry, mając stosunki i władzę. To co uważamy za powszechnie oczywiste, cała ta budowla świata, jaką znamy, jest zmurszała i sypie się w oczach. Temu domowi należy się przebudowa i my jesteśmy tymi, którzy dzierżą w rękach kielnie do jego naprawy.

Rozlegają się oklaski i usta gości zanurzają się w najlepszym morawskim winie. Potem zaczyna grać muzyka, na pewno będą tańce. Ku Ewie Frank lecą ciekawe spojrzenia i wkrótce pojawia się przy niej hrabia Hans Heinrich von Ecker und Eckhofen. Uśmiechnięta Ewa podaje mu dłoń, tak jak uczyła ją ciotka, ale zaraz szuka wzrokiem ojca. Jest. Siedzi w cieniu, otoczony przez kobiety, i patrzy wprost na nią z daleka. Ona czuje dotyk jego wzroku. Jest przyzwolenie na taniec z tym pełnym gracji młodym arystokratą podobnym do konika polnego, którego nazwiska nawet nie potrafi spamiętać. Ale potem, gdy podchodzi do niej niejaki Hirszfeld, bajecznie bogaty kupiec z Pragi, ojciec ledwo zauważalnie kręci głową. Po chwili wahania Ewa odmawia, tłumacząc się bólem głowy.

Tej nocy słyszy tysiąc komplementów i kiedy rzuca się wreszcie w sukni na łóżko, zupełnie kręci jej się w głowie, a w brzuchu z nadmiaru morawskiego wina, pitego ukradkiem z Esterą, wzbierają mdłości.

O cesarzu i ludziach zewsząd i znikąd

Jaśnie oświecony współrządzący z matką cesarz jest przystojnym trzydziestokilkuletnim mężczyzną i już dwukrotnym wdowcem. Podobno zarzekał się, że trzeci raz się nie ożeni, co wiele panien z najlepszych domów przyprawiło o melancholię. Jest zamknięty w sobie i – tak mówią ci, co go znają bliżej – nieśmiały. Cesarz i nieśmiały! Dodaje sobie odwagi lekkim podniesieniem brwi, wydaje mu się wtedy, że patrzy na wszystkich z góry. Jego kochanki mówią, że w łóżku jest jak nieobecny i szybko kończy. Dużo czyta. Koresponduje z Fryderykiem pruskim, którego w skrytości ducha podziwia. Naśladuje go w tym, że czasem incognito wychodzi na miasto przebrany za zwyczajnego żołnierza i w ten sposób na własne oczy widzi, jak żyją jego poddani. Oczywiście dyskretnie towarzyszy mu również przebrana obstawa.

Zdaje się, że ma skłonność do melancholii, jako że interesują go ludzkie ciało i jego tajemnice, te wszystkie kości, szczątki, czaszki ludzkie, zajmują go też wypchane zwierzęta i rzadkie monstra. Urządził wspaniałą wunderkamerę, do której zabiera gości; bawi go ich dziecinne zdziwienie, ich wstręt pomieszany z fascynacją. W takim momencie bacznie się gościom przygląda – tak, opada z nich ten grzeczny uśmiech, ten przymilny grymas, jaki wszyscy mają na twarzy, gdy obcują z cesarzem. Wtedy widzi, kim naprawdę są.

Chciałby wkrótce zamienić tę wunderkamerę na zbiór uporządkowany, systematyczny, podzielony na klasy i kategorie – wtedy kolekcja osobliwości stanie się muzeum. Będzie to epokowe przejście – wunderkamera to świat stary, chaotyczny, pełen anomalii i niepojęty rozumem; muzeum zaś to świat nowy, oświecony światłem rozumu, logiczny, sklasyfikowany i uporządkowany. To muzeum, gdy powstanie, będzie pierwszym krokiem do dalszych reform – naprawy państwa. Marzy na przykład o tym, żeby zreformować rozrośniętą i zbiurokratyzowaną administrację, która pochłania ogromne sumy ze skarbca, i nade wszystko znieść poddaństwo chłopów. Pomysły tego rodzaju nie podobają się jego matce, cesarzowej Marii Teresie. Uważa je

za nowomodne dziwactwa. Zupełnie się w tych kwestiach ze sobą nie zgadzają.

Lecz akurat kwestia Żydów zajmuje ich oboje. Zadanie, jakie postawił przed sobą młody cesarz, polega na tym, by uwolnić Żydów dla ich własnego dobra od średniowiecznych zabobonów, bowiem teraz naturalne i niewątpliwe talenty tego ludu wykorzystywane są do różnych kabał, podejrzanych spekulacji i bezproduktywnych rozważań. Gdyby mogli się porządnie kształcić na równi z innymi, więcej pożytku przynieśliby cesarstwu. Matka cesarza chciałaby ich przeciągnąć na jedynie prawowitą wiarę i jak słyszała, mogłoby się to udać z wieloma. Gdy więc na liście zabiegających o audiencję u cesarza z okazji jego imienin pojawia się nazwisko Józefa Jakuba Franka, Józef II i jego matka są wielce zadowoleni i ciekawi, jako że o Franku i jego córce mówią już wszyscy.

Polecają Jakuba współtowarzysze z loży, więc cesarz zaprasza tę dziwną parę, ojca i córkę, z chęcią i ciekawością, na czas przeznaczony dla artystów i właśnie do wunderkamery. Prowadzi ich teraz między gablotami, w których zgromadził kości starożytnych zwierząt i ludzi gigantów, jacy kiedyś podobno żyli na ziemi. Z Frankiem rozmawia przez tłumacza, z jego córką mówi po francusku; stwarza to pewien dyskomfort. Dlatego najpierw skupia się na ojcu. Jednak kątem oka patrzy na tę interesującą kobietę i widzi, że jest nieśmiała i niezbyt pewna siebie. Plotki o jej urodzie zdają mu się przesadzone. Jest ładna, ale nie jest to piękność olśniewająca. Zna dużo piękniejszych kobiet. Z zasady jest wobec nich podejrzliwy i nieufny, tkwi w nich coś pokrętnego i zawsze są interesowne. Ale ta wydaje się prostolinijna i spłoszona, nie wabi i nie udaje. Jest nieduża, w przyszłości, jak wszystkie kobiety Wschodu, będzie pulchna, teraz osiągnęła stan pełnego rozkwitu. Ma bladą, jakby leciutko seledynową cerę, bez rumieńców, ogromne oczy i wspaniałe włosy ułożone wysoko; na czoło i szyję spadają piękne zalotne loczki. Jej malutkie ręce i stopy sprawiają wrażenie niemal dziecinnych. Nie ma w sobie tej dostojności, co jej ojciec, wysoki, dobrze zbudowany, brzydki i pewny swego. Cesarz z przyjemnością znajduje, że Ewa mimo onieśmielenia potrafi być dowcipna. Robi mały test – prowadzi ich do półki, na której w wielkich

słojach pływają w mętnym płynie ludzkie embriony; większość z nich to okazy spotworniałe. Jedne mają podwójne głowy, inne – zwielokrotniony tułów, jeszcze inne – jedno wielkie oko, jak cyklopi. Ojciec i córka patrzą bez wstrętu, z zainteresowaniem. Dostają punkt. Potem idą do podłużnej gabloty wielkości człowieka, gdzie spoczywa „Sybilla”, jak o niej myśli – woskowy model kobiety z twarzą w ekstazie, z otwartym brzuchem, w którym można obejrzeć układ jelit, żołądka, macicy i pęcherza. Zwykle kobiety przy tym eksponacie mdleją albo robi im się co najmniej niedobrze. Jest ciekawy reakcji tej Ewy Frank. Ona zaś pochyla się nad gablotą i z wypiekami ogląda wnętrze brzucha. Potem podnosi głowę i patrzy na cesarza pytająco.

– Kto był modelką?

Cesarz śmieje się rozbawiony, a potem cierpliwie tłumaczy, jak wykonano ten niezwykle dokładny woskowy model.

Gdy wracają z wunderkamery, Jakub przez tłumacza rozwlekle opowiada o swoich znajomościach w Warszawie, wtrącając co chwilę jakieś nazwisko, które mogłoby coś cesarzowi powiedzieć, ale, niestety, nie mówi. Dwa razy wspomina o Kossakowskiej. Wie, że sekretarz Jego Cesarskiej Mości będzie pamiętał wszystkie te karkołomne nazwiska i da je do dokładnego sprawdzenia. Cesarz pierwszy raz rozmawia z ludźmi takimi jak oni, to znaczy Żydami, którzy Żydami być już przestali. Jedna uporczywa myśl nie daje mu spokoju – gdzie mianowicie podziała się ich żydowskość. Nie widać jej ani w wyglądzie, ani w manierach. Ewa mogłaby uchodzić za Włoszkę czy Hiszpankę, dla jej ojca nie ma nacji, do której można by go zaliczyć. To oryginał. Kiedy zwraca się do niego z jakimś bezpośrednim pytaniem, czuje wręcz, jak obija się o twarde, żelazne mury jego woli, wyczuwa niesamowicie mocne granice „ja” tego człowieka. To są ludzie zewsząd i znikąd. Przyszłość ludzkości.

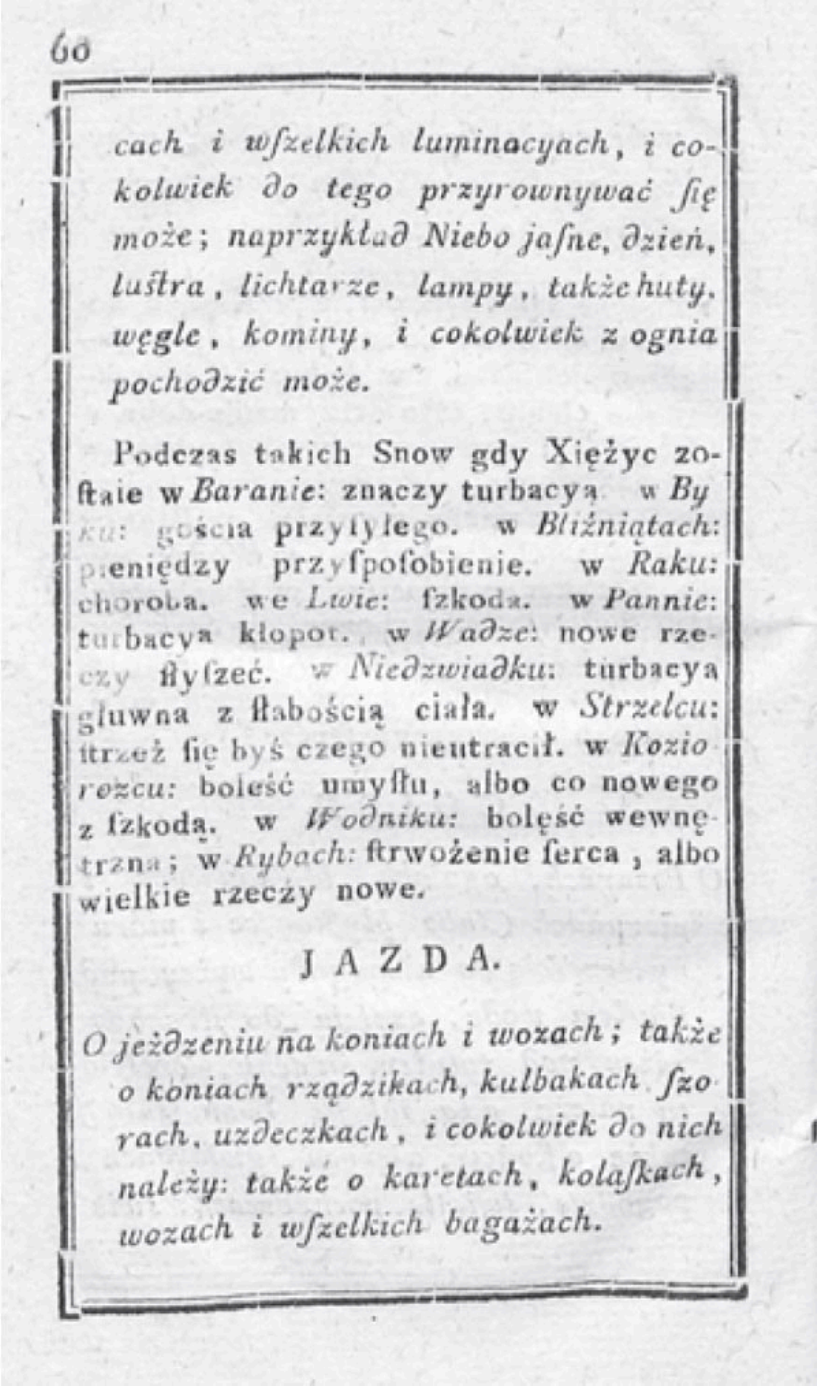
60
cach i wſzelkich luminacyach, i co-
kolwiek do tego przyrownywać ſię
może; naprzykład Niebo jaſne, dzień,
luſtra, lichtarze, lampy, także huty,
węgle, kominy, i cokolwiek z ognia
pochodzić może.
Podczas takich Snow gdy Xiężyc zo-
ſtaie w Baranie: znaczy turbacyą. w By
ku: gościa przyſłego. w Bliźniątach:
pieniędzy przyſpoſobienie. w Raku:
choroba. we Lwie: ſzkoda. w Pannie:
turbacya kłopot. w Wadze: nowe rze-
czy ſłyſzeć. w Niedźwiadku: turbacya
gluwna z ſłabością ciała. w Strzelcu:
ſtrzeż ſię byś czego nieutracił. w Kozio
rożcu: boleść umyſłu, albo co nowego
z ſzkodą. w Wodniku: bolęść wewnę-
trzna; w Rybach: ſtrwożenie ſerca, albo
wielkie rzeczy nowe.
JAZDA.
O jeżdżeniu na koniach i wozach; także
o koniach rządzikach, kulbakach ſzo
rach, uzdeczkach, i cokolwiek do nich
należy: także o karetach, kolaſkach,
wozach i wſzelkich bagażach.

Audiencja trwała niecałą godzinę. Jeszcze tego samego dnia cesarz każe wysłać do Franków list z zaproszeniem do letniej rezydencji w Schönbrunn. Jego matka, która widziała ich przez pierwsze pięć minut (do wunderkamery chodzić nie lubi, mówi, że potem ma złe sny), podziela dobrą opinię syna. Mówi, że tacy ludzie są pożądani w państwie. Nie dosyć, że katolicy, to jeszcze wydają – jak jej już

zaraportowano – nawet i tysiąc dukatów dziennie na utrzymanie dworu w Brünn.

– Gdybyśmy takich ludzi do naszego cesarstwa mogli zapraszać, kwitłoby lepiej niż Prusy Fryderyka – pointuje, czym lekko rozdrażnia syna.

O niedźwiedziu ze snu Awaczy Frank

Ewie śni się – co skrzętnie zapisuje Czerniawski – że podchodzi do niej wielki brązowy niedźwiedź. Ona boi się ruszyć, stoi skamieniała ze strachu. A ten niedźwiedź zaczyna jej lizać ręce i stopy. Nie ma nikogo, kto mógłby ją wybawić z tej strasznej opresji. Wtedy przychodzi jakiś człowiek i siada na krześle, takim samym, czerwonym, jakie ojciec miał w Częstochowie. Ewa myśli, że to przyszedł właśnie on, ale to jest jakiś inny mężczyzna, młodszy, bardzo przystojny. Ma coś z cesarza, ale przypomina też Franciszka Wołowskiego i trochę – Thomasa Dobruszkę. I jeszcze tego magika, z białą laseczką, którego widzieli w Schönbrunn u cesarza. Podarł na przykład chusteczkę na cztery części, włożył do czarnego kapelusza, po czym pomachał nad nim tą laską – i wyjął chusteczkę całą. Ewie było wtedy wstyd za ojca, bo podszedł do magika i zaproponował, że sam mu podrze swoją własną chustę, którą nosił na szyi. Ale tamten odmówił, powiedział, że wie, jak składać, kiedy sam drze, co wszystkich bardzo rozśmieszyło. Więc w tym śnie jej wybawca ma cechy aż tylu osób. Niedźwiedź odchodzi, a Ewa ulatuje w powietrze.

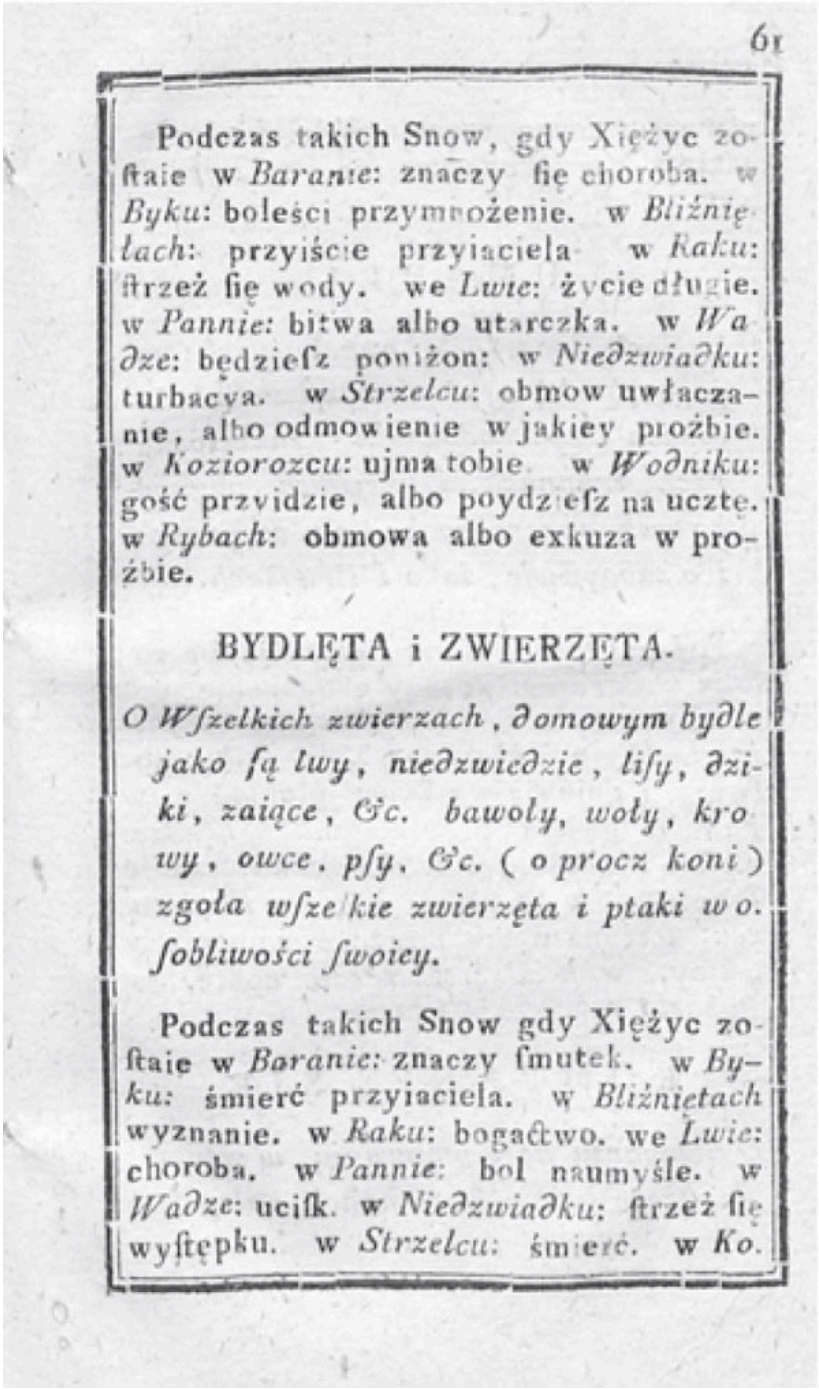

61

Podczas takich Snow, gdy Xiężyc zoſtaie w *Baranie*: znaczy ſię choroba. w *Byku*: boleści przymnożenie. w *Bliźnięłach*: przyiście przyiaciela w *Raku*: ſtrzeż ſię wody. we *Lwie*: życie długie. w *Pannie*: bitwa albo utarczka. w *Wadze*: będzieſz poniżon: w *Niedzwiadku*: turbacya. w *Strzelcu*: obmow uwłaczanie, albo odmowienie w jakiey prożbie. w *Koziorozcu*: ujma tobie. w *Wodniku*: gość przyidzie, albo poydzieſz na ucztę. w *Rybach*: obmowa albo exkuza w prożbie.

BYDLĘTA i ZWIERZĘTA.

O Wſzelkich zwierzach, domowym bydle jako ſą lwy, niedzwiedzie, liſy, dziki, zaiące, &c. bawoły, woły, krowy, owce, pſy, &c. (oprocz koni) zgoła wſzelkie zwierzęta i ptaki wo. ſobliwości ſwoiey.

Podczas takich Snow gdy Xiężyc zoſtaie w *Baranie*: znaczy ſmutek. w *Byku*: śmierć przyiaciela. w *Bliźnietach* wyznanie. w *Raku*: bogactwo. we *Lwie*: choroba. w *Pannie*: bol naumyśle. w *Wadze*: uciſk. w *Niedzwiadku*: ſtrzeż ſię wyſtępku. w *Strzelcu*: śmierć. w *Ko.*

Ewa ma tak dziwne i tak prawdziwe sny, że nie rozstaje się z polskim sennikiem, który dostała od Marianny Wołowskiej prosto z Warszawy.

Ojciec zakupił jej na wyjazd do Schönbrunn cztery najpiękniejsze suknie, jakie znaleźli w Wiedniu. Trzeba im było trochę skrócić rękawy

i lepiej je dopasować. Suknie mają mocny gorset i zgodnie z nową modą nie sięgają nawet do kostek. Cały dzień kupowali u modystki kapelusze. Były tak wspaniałe, że Ewa nie mogła się zdecydować, które wziąć. W końcu zniecierpliwiony ojciec kupił je wszystkie.

Potrzebne były też pantofle i pończochy. Ojciec przyglądał się, jak je przymierzała. Potem kazał wyjść Magdzie i Anusi, a jej kazał rozebrać się do naga. Tym razem jej nie tknął. Patrzył tylko, po czym kazał jej się położyć na brzuchu i potem na plecach. Robiła wszystko, co chciał. Spoglądał na nią krytycznym okiem, ale nic nie powiedział. Potem Anusia obcięła jej paznokcie u nóg i natarła stopy olejkiem. Następnie tureckim zwyczajem Ewa wykąpała się w pachnącej wodzie i obie przyjaciółki nacierały jej ciało fusami z kawy i miodem, żeby skóra była bardziej gładka.

Razem z cesarzem i jego matką Ewa zwiedzała Cekhaus i ogrody. Szła z nim, podczas gdy inni zostali z tyłu. Czuła dziesiątki oczu na swoich plecach, jakby niosła jakiś ciężar, lecz kiedy cesarz dotknął niby niechcący jej dłoni, ten ciężar spadł z jej ramion. Wiedziała już, że to nadejdzie, tylko nie wiadomo było kiedy. Dobrze było wiedzieć, że to o to chodzi. O nic więcej.

A stało się to po śmiesznym spektaklu, który oglądali z tarasu pałacu w Schönbrunn. Nie pamięta treści komedii, nic nie rozumiała w tym dziwnym niemieckim. Sztuka rozbawiła cesarza; miał dobry humor.

Kilka razy dotknął jej dłoni. Tego samego wieczoru przyjechała po nią dama dworu, pani Stamm czy jakoś tak, i kazała jej włożyć najlepszą bieliznę.

Przejęta Anusia Pawłowska mówiła, pakując jej rzeczy:

– Jak to dobrze, że skończył ci się period.

Żachnęła się, ale tak, miała szczęście, że skończył jej się period.

O życiu na wysokościach

Jakub Frank z pomocą Jędrzeja Dembowskiego wynajął na cały kwartał mieszkanie na Grabenie. Jednocześnie wysłał Mateusza Matuszewskiego do Warszawy po pieniądze, z listem do wszystkich warszawskich prawowiernych, całej machny, w którym zawiadamiał ich, że negocjuje z cesarzem. Mateusz dostał za zadanie opowiedzieć wszystko po kolei i opisać każdy szczegół Brünn i ich nowego dworu. Oraz wyprawy Ewy do cesarza i poufałość z nim Jakuba.

W liście było napisane:

> Zauważcie, nim ja wszedłem do Polski, wszyscy panowie siedzieli spokojnie i król z nimi, a skorom wszedł do Częstochowy, miałem widzenie, że Polska rozdzieloną zostanie. Również i teraz, czyż możecie wiedzieć, co dzieje się między królami i cesarzami i co oni uradzają ze sobą? A ja to wiem! Widzicie sami, iż to już prawie trzydzieści lat, jak ja z wami, a jeszcze żaden z was nie wie, gdzie ja idę? Gdzie się obrócę? Myśleliście, że wszystko stracone, gdym ja w twierdzy częstochowskiej siedział w ciasności wielkiej. Ale Bóg mnie wybrał, że jestem prostak i nie uganiam się za honorem. Gdybyście twardo byli za mną, gdybyście mnie nie opuścili, jak wtedy w Warszawie, to gdzie bylibyśmy teraz?

Mateusz wraca w trzy tygodnie z pieniędzmi. Zebrano większą kwotę, niż chciał Pan, a to dlatego że gruchnęła wieść o jakimś starożytnym manuskrypcie znalezionym na Morawie, w którym było czarno na białym napisane, że w ostatnich dniach Rzesza rzymska przejdzie w ręce jakiegoś obcego człowieka. Podobno jest tam jasno wyłuszczone, że

będzie to człowiek w tureckim stroju, ale bez zawoju na głowie, tylko w wysokiej czerwonej czapce obszytej wąskim barankiem, i ten człowiek zrzuci władcę z tronu.

Trzeba zakupić mnóstwo nowych rzeczy.

Najpierw – serwis do kawy, z miśnieńskiej porcelany, zdobiony złotymi listkami, z obrazkami namalowanymi cieniutkim pędzelkiem, przedstawiającymi sceny pasterskie, podobny do tego, jaki widziała Ewa w Prossnitz. Teraz będzie miała własną porcelanę, znamienitszą.

Poza tym – przybory kąpielowe; te trzeba nabyć u najmodniejszego sprzedawcy. Specjalne stroje, ręczniki, leżaki rozkładane, płaszcze podbite mięciutkim płócienkiem. Gdy Jakub Frank z Michałem Wołowskim idą się kąpać do Dunaju, towarzyszy im gawiedź wiedeńska i jako że Jakub dobrze pływa, to popisuje się swoją tężyzną w wodzie jak młodzieniec. Mieszczki piszczą, podekscytowane zręcznością tego niemłodego już, lecz przecież przystojnego mężczyzny. Niektóre rzucają do wody kwiaty. Jakub po takiej kąpieli zawsze ma dobry humor aż do wieczora.

A także należy zapłacić za konia dla Ewy, sprowadzonego z Anglii, o bardzo cieniutkich pęcinach. Jest zupełnie biały, w słońcu mieni się jak srebro. Ewa jednak boi się go, bo koń narowi się z powodu turkoczących powozów, błysków światła i małych piesków; wtedy staje dęba. Kosztuje majątek.

Potrzebne są też niezwłocznie cztery tuziny atłasowych pantofelków. Zdzierają się, gdy się w nich chodzi dłużej po ulicy, dlatego wystarczają właściwie na jeden spacer, potem Ewunia oddaje je Anusi, stopa Magdy jest bowiem za duża.

Ponadto cukiernice i porcelanowe talerze; srebrne sztućce i patery – Ewa uważa złoto za zbyt ostentacyjne. Potrzebna jest nowa, lepsza kucharka i pomocnica kucharki. Przydadzą się jeszcze dwie dziewczyny do sprzątania – to akurat kosztuje mniej niż serwis, ale też sporo. Po śmierci polskiego pieska, który miał na imię Rutka, Ewa zamawia na pocieszenie dwa charty, również prosto z Anglii.

– A gdyby ciebie tak poskrobać i zdjąć to, co na zewnątrz, co tam będzie pod spodem? – pyta Józef, z łaski bożej cesarz rzymski, król Niemiec, Węgier, Czech, Dalmacji, Chorwacji, Slawonii, Galicji i Lodomerii, arcyksiążę Austrii, książę Burgundii i Lotaryngii etc.

– A co ma być? – odpowiada Ewa. – Będzie Ewa.

– A kto ona, ta Ewa?

– Poddana najjaśniejszego. Katoliczka.

– I co jeszcze?

– Córka Józefa Jakuba i Józefy Scholastyki.

– A jakim się u was w domu mówiło językiem?

– Po turecku i po polsku.

Ewa nie wie, czy dobrze odpowiedziała.

– A ten język, którym mówią Żydzi, znasz pani?

– Znam trochę.

– A matka, jak do ciebie, pani, mówiła?

Ewa nie wie, co odpowiedzieć. Kochanek jej pomaga:

– Powiedz coś w tym języku, pani.

Ewa zastanawia się.

– Con esto gif, se vide claro befor essi.

– Co to znaczy?

– Niech wasza wysokość nie pyta o zbyt wiele. Nie bardzo już to pamiętam – kłamie Ewa.

– Kłamiesz, pani.

Ewa śmieje się i odwraca się na brzuch.

– Czy to prawda, że ojciec pani jest wielkim kabalistą?

– Prawda. To wielki człowiek.

– Że przemienia ołów w złoto i stąd ma tyle pieniędzy? – droczy się kochanek.

– Może tak jest.

– A ty, pani, też widocznie jesteś kabalistka. Popatrz, co robisz ze mną.

Cesarz wskazuje na swoje podnoszące się przyrodzenie.

– Tak, to są moje czary.

Kiedy jest dobra pogoda, jadą na spacer po Praterze, który niedawno został przez cesarza otwarty dla ludności. Odkryte powozy, niczym pudełka z czekoladkami, niosą wiedeńskie bonbony, elegantki w cudownych kapeluszach, obok jadący konno kawalerowie kłaniają się znajomym. Spacerowicze drobią, żeby jak najpowolniej przejść spacerowy dystans. Widać pieski na wstążkach, małpki na łańcuszkach, ukochane papużki w posrebrzanych klatkach. Jakub zamówił dla córki specjalny mały powozik angielski, tylko na te spacery. Z Ewą siedzą często w tym słodkim powoziku Magda i Anusia, czasem tylko Magda. Plotka niesie, że to też córka Jakuba, tylko że nieślubna. Gdyby się dobrze przyjrzeć, to jest rzeczywiście do tego Franka podobna, wysoka, z pociągłą twarzą, o białych zębach, bardziej od Ewy dystyngowana, więc niezorientowani biorą ją czasami za samą Ewę Frank. Ludzie mówią też, że oni wszyscy są do siebie podobni, jak członkowie tych murzyńskich plemion, których cesarz pokazuje czasem jako żywe dziwowisko.

Maszyna, która gra w szachy

Niejaki von Kempelen zrobił dla swej rozrywki machinę przedstawiającą Turka w pięknym wschodnim stroju, o twarzy ciemnej, wypolerowanej, acz całkiem miłej. Siedzi ona przy stole, gra w szachy, robi to zaś tak doskonale, że jeszcze nikt z nią nie wygrał. Zdaje się, jakby podczas gry myślała i dawała przeciwnikowi czas do namysłu. Prawa ręka wspiera się na stole, a lewa przesuwa figury. Gdy zaś się współgrający pomyli i reguły złamie, kiwa głową i czeka, aż się zorientuje i poprawi. Machina czyni to wszystko samodzielnie, nie mając przyłączonej do siebie żadnej zewnętrznej mocy.

Cesarz oszalał na punkcie tej maszyny. Sam z nią przegrał wielokrotnie, lecz podobno znaleźli się tacy we Francji, którzy z nią wygrali. Czy to możliwe?

– Jeżeli maszyna jest w stanie robić to co człowiek, a nawet człowieka przewyższyć, to kim jest człowiek?

Zadaje to pytanie przy podwieczorku, gdy siedzi z paniami w ogrodzie. Żadna jednak nie śmie mu odpowiedzieć. Czekają, aż on sam coś powie. Ma skłonność do przemawiania, dlatego zadaje pytania retoryczne i po chwili sam na nie odpowiada. Także i teraz, mówiąc o życiu, że jest to proces całkowicie naturalny i chemiczny, aczkolwiek zapoczątkowany przez siłę wyższą, nie kończy zdania kropką, ale zawiesza je, a ono rozwiewa się w powietrzu jak dym z fajki. Tylko kiedy rozkazuje, kończy zdanie kropką i to wszystkim przynosi ulgę. Przynajmniej wiadomo, o co chodzi. Ewa na samą myśl, że mogłaby zabrać głos w takim towarzystwie, dostaje rumieńców i musi się schłodzić wachlarzem.

Cesarza nadal interesują osiągnięcia anatomii. Dla towarzystwa „Sybilli” zakupił woskowy model ludzkiego ciała bez skóry, z zaznaczonym układem krwionośnym; gdy się go ogląda, widać wtedy, że i ludzkie ciało przypomina maszynę – te wszystkie ścięgna i mięśnie, zwoje żył i tętnic, przywodzące na myśl motki muliny używanej do wyszywania przez jego matkę, te zawiasiki stawów podobne do dźwigni. Z dumą pokazuje Ewie Frank ostatni nabytek – to znowu ciało kobiety, tym razem jest obdarta ze skóry, na mięśniach wiją się nitki żył.

– Czy nie można by tego wszystkiego pokazać na mężczyźnie? – pyta Ewa.

Cesarz się śmieje. Nachylają się razem nad woskowym ciałem, ich głowy prawie się dotykają. Ewa wyraźnie czuje zapach z jego ust – jabłkowy, pewnie od wina. Jasna i gładka twarz cesarza nabiera nagle rumieńców.

– Może i ludzie tak wyglądają bez skóry, ale na pewno nie ja – mówi Ewa swobodnie i zaczepnie.

Cesarz znowu wybucha śmiechem.

Któregoś dnia Ewa dostaje od niego w prezencie mechanicznego ptaszka w klatce. Wystarczy go nakręcić korbką, a już zaczyna trzepotać blaszanymi skrzydełkami, z jego gardła zaś wydobywa się szczebiot. Ewa przywozi go do Brünn i ptaszek w klatce staje się atrakcją całego dworu. Ewa nakręca go sama, zawsze z największą powagą.

Panuje zwyczaj, że kiedy cesarz ma ochotę zobaczyć się z piękną Ewą, wysyła po nią skromny powóz, bez herbów i ozdób, żeby nie rzucał się w oczy. Ewa wolałaby jednak jeździć do niego cesarską karetą. Raz taka przyjechała na Graben, gdzie zatrzymuje się w wielopokojowym wynajętym mieszkaniu, po nią i po ojca. Cesarzowa matka bowiem upodobała sobie Jakuba Franka i pozwala mu przychodzić do jej prywatnych komnat, gdzie spędza z nim sporo czasu. Podobno nawet razem się modlą. Prawda jednak jest taka, że cesarzowa lubi słuchać opowieści tego egzotycznego, miłego człowieka o wschodnich manierach, człowieka bez gniewu i jakiejkolwiek zapalczywości. Wyznaje jej ów Jakub w wielkiej tajemnicy, jak to chrzest w Polsce przyjęli, będąc już od lat w prawdziwej wierze. I opowiada jej o Kossakowskiej, z którą cesarzowa ma zresztą wiele wspólnego, o tym, jak ta dobra kobieta pomogła im na łono Kościoła przejść i jak wielką opieką otaczała świętej pamięci żonę Jakuba... To się cesarzowej podoba, o Kossakowską dopytuje. Często rozmawiają też na bardzo poważne tematy. Otóż cesarzowej, odkąd trafiły jej się w rozbiorze Polski ziemie w Galicji i część Podola, marzy się wielkie cesarstwo po Morze Czarne, po greckie wyspy. Frank wie o Turkach więcej niż jej najlepsi ministrowie, więc wypytuje go o wszystko: o słodycze, o jedzenie, o ubiory, o to, czy kobiety noszą bieliznę i jaką,

ile dzieci jest średnio w rodzinie, jak wygląda życie w haremie i czy kobiety nie są o siebie zazdrosne, czy w Boże Narodzenie bazar turecki jest zamknięty, co Turcy myślą o mieszkańcach Europy, czy klimat w Stambule lepszy niż w Wiedniu i dlaczego wolą koty od psów. Sama nalewa mu kawę z dzbanuszka i namawia, żeby dodawał do niej mleka – taka ostatnia moda.

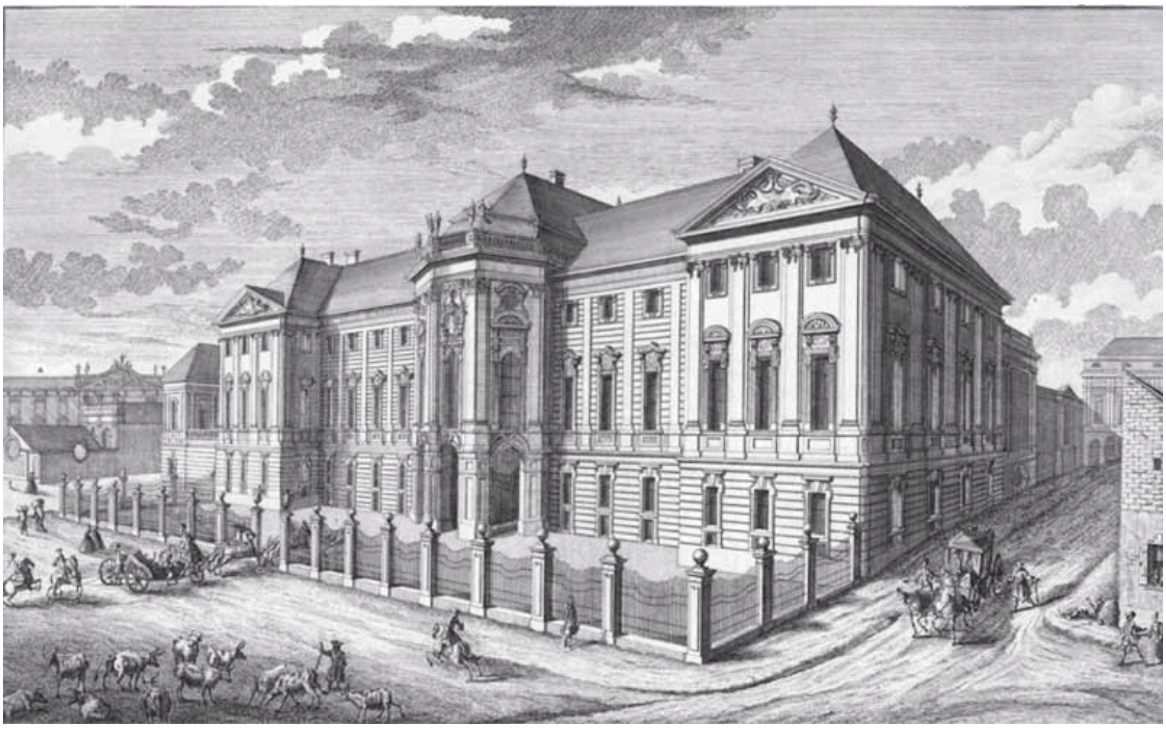

Kiedy Jakub wraca od niej, opowiada o tych spotkaniach braciom i siostrom, którzy podekscytowani wyobrażają sobie jego z Ewą u boku jako wicekróla na Wołoszczyźnie. Czymże wobec tej wizji były marzenia, które snuli jeszcze nie tak dawno – o tych nieszczęsnych kilku wsiach na Podolu; teraz wydają im się one śmieszne i dziecinne. Jakub chodzi do cesarzowej z prezentami, nie ma wizyty, żeby Maria Teresa nie dostawała a to kaszmirowych szali, a to jedwabnych, malowanych ręcznie chustek, a to obszywanych turkusikami bucików z najlepszej tureckiej skóry. Odkładała je niby wcale niezainteresowana takim przepychem, ale w gruncie rzeczy te prezenty ją cieszą, tak jak wizyty Franka. Zdaje sobie sprawę, że wielu ludzi musi go nienawidzić. Jest w naturalny sposób szarmancki i ma ten rodzaj ironicznego poczucia humoru, który ona szczególnie lubi. Jej sympatia dla tego człowieka

musi budzić w wielu ludziach niepokój. Na biurku cesarzowej ciągle lądują różne sprawozdania i donosy. Pierwszy z brzegu informuje:

> ...nie mniej podejrzaną rzeczą były źródła dochodów, dochodów bardzo znacznych, gdyż żył w Warszawie w przepychu. Mówi się na przykład, że ów Jakub Frank ma swą własną pocztę, ludzi rozstawionych ku granicom Polski, przez których swe listy wysyła. Przesyłki pieniężne, zawsze w beczułkach, przychodzą doń pod eskortą jego własnej gwardii.

– I co z tego? – odpowiada na wszelkie wątpliwości synowi. – Wwożenie złota przez nasze granice i wydawanie go tu, na miejscu, tylko nas wzbogaca. Lepiej, że ląduje u nas, niż miałoby się znaleźć w Rosji.

Albo pojawia się zarzut, że Frank zbroi sobie prywatną straż, coraz liczniejszą.

– A niechże się zbroi – mówi cesarzowa – i niech dba o swoje bezpieczeństwo. A nasi arystokraci w Galicji własnego wojska nie mieli? Może się jeszcze przyda jako wódz.

I mówi cichszym głosem do syna:

– Mam ja co do niego swoje plany.

Wydaje się Józefowi, że już się zajęła na powrót czytaniem, ale matka po chwili dodaje:

– Ale ty co do niej planów nie miej żadnych.

Młody cesarz nic na to nie odpowiada i odchodzi. Matka go często żenuje. Jest głęboko przekonany, że to przez ten jej pełen uporu, chłopski katolicyzm.

27

Jak Nachman Piotr Jakubowski został ambasadorem

Dwór w Brünn to nie tylko miejsce pustych uciech i targ wszelkich próżności. W pokojach na pierwszym piętrze, zwanych kancelariami, trwa nieustanna praca. Jakub zjawia się tam już z samego rana i dyktuje listy, które potem trzeba przepisywać i rozsyłać. Obok, z pomocą Zwierzchowskiej, jest prowadzona cała buchalteria dworu. W trzeciej kancelarii Czerniawscy, siostra pańska i jej mąż, zajmują się naborem młodzieży, odpisują na listy, negocjują z rodzicami młodzieży przysyłanej na pański dwór. O ile druga kancelaria zajmuje się sprawami dworu, o tyle pierwsza to małe ministerstwo spraw zagranicznych, trzecia zaś – resort gospodarki i handlu.

Jeszcze w grudniu 1774 roku wyruszają z Wiednia do Istambułu najlepsi posłańcy Jakuba: Paweł Pawłowski, Jan Wołowski i szwagier, czyli Jakub Kapliński, Chaim, który po śmierci Towy zabrał całą rodzinę i przybył do Brünn. Przed wyjazdem odprawiana jest uroczysta ceremonia, w czasie której Jakub wygłasza mowę. Nazywa ich wojownikami Mesjasza, którzy nie mają żadnej religii; wiele razy to słyszeli. Jedyne, co mają, to misję, a misja jest tajna – trzeba zyskać przychylność sułtana, odnaleźć starych popleczników, zaproponować swoje usługi. W wieczór poprzedzający ich wyjazd długo trwają wspólne modlitwy, zakończone modlitwami w kręgu i śpiewami. W tych ceremoniach biorą udział wszyscy, także goście, lecz potem zostają tylko bracia oraz siostry i zaczyna się uczta z wielką ilością wina morawskiego, które im dobrze tu posmakowało. Jest tak jak dawniej, jak w Iwaniu, lecz teraz Cudze Uczynki stają się symboliczne, stały się rytuałami. Wciąż jednak są sobie bliscy, potrafią rozpoznać się po zapachu, po dotyku, wszystko budzi wzruszenie – pociągła twarz Jana Wołowskiego, jego świeżo wygolone policzki i wielkie wąsy, drobne ramiona Pawłowskiej, jej niski wzrost, wielka siwawa czupryna Jeruchima Jędrzeja Dembowskiego, utykanie Zwierzchowskiej.

Wszyscy się postarzeli, mają już dorosłe dzieci, a niektórzy są już dziadkami, inni pochowali żony czy mężów i zawarli nowe małżeństwa; spotkały ich wielkie tragedie i dramaty – śmierć dzieci, choroby. Na przykład Henryk Wołowski miał niedawno atak apopleksji, po którym został mu niedowład prawej części ciała, odtąd mówi niewyraźnie, ale jego siły życiowe pozostały te same co kiedyś – ostatnio, prowadzony przez córki, osobiście musztrował kolorowy legion, pstrokatych młodziutkich niby-żołnierzy.

O świcie, kiedy posłańcy wyruszają, dwór jest jeszcze cichy. Kobiety przygotowały już wczoraj kosze z prowiantem na drogę. Konie wydają się jakieś zaspane. Jakub wychodzi na podwórzec w czerwonym jedwabnym szlafroku, każdemu z posłańców daje złotą monetę i błogosławieństwo. Mówi im, że od tej misji zależy przyszłość prawowiernych. Powóz rusza po brunneńskim bruku do rynku, skąd wyjedzie z miasta, kierując się na południowy wschód.

Wracają po kilku miesiącach z niczym – tak doświadczeni ambasadorowie, a nawet się nie dostali przed oblicze sułtana, zmitrężywszy kilka tygodni. Wiosną 1775 roku, wtedy gdy Jakub uważa się za największego przyjaciela cesarza, wysyła drugie poselstwo do Stambułu. Tym razem jadą Piotr Jakubowski z Ludwikiem Wołowskim, synem Jana Wołowskiego. Wracają z Turcji jesienią, po pół roku, i okazuje się, że ich misja też się nie powiodła. Nie tylko nie udało im się dotrzeć do sułtana; stało się coś znacznie gorszego – za poduszczeniem Żydów stambulskich oskarżono ich o herezję i spędzili trzy miesiące w stambulskim więzieniu, przez co Jakubowski rozchorował się na płuca. Na dodatek urzędnicy sułtańscy skonfiskowali im całe pieniądze, które mieli dać sułtanowi w czasie audiencji w darze. A było tego sporo. Słali rozpaczliwe listy z więzienia, ale Jakub ignorował je – może chory, może zbyt zajęty bywaniem na cesarskim dworze. Możliwe jest jednak, jak twierdzi z uporem Jakubowski, że żadne wieści z Turcji do niego nie doszły. Misja była ta sama – zyskać sobie przychylność sułtana, obiecać wierną służbę, ukazać korzyści z tak bliskiego dojścia do cesarza, pomówić o nagrodzie, jaka mogłaby być, gdyby... – już Jakubowski będzie wiedział, jak to zrobić, on najlepszy w tureckim i umie roztaczać wizje.

Wrócili chudzi i wymęczeni. Aby mieć za co wrócić, musieli zaciągnąć pożyczki w Stambule. Jakubowski – suchy jak wór, kaszlący. Wołowski z jakimś cieniem na twarzy.

Pan ich nawet nie wita. Wieczorem, według starego rytuału, każe Jakubowskiego obić za utratę pieniędzy.

– Z ciebie, Jakubowski, to żadnego pożytku nie ma, jesteś osioł stary, uparty – mówi. – Do pisania się nadajesz, a nie do ludzkiej pracy.

Jakubowski próbuje się bronić, przypomina wtedy chłopca dziesięcioletniego.

– To po coś mnie słał? Nie maszże to młodszych ode mnie, lepiej mówiących językami?

Kara odbywa się tak: kładzie się skazanego na stole, w samej koszuli, i każdy ze zgromadzonych prawowiernych, braci i sióstr, musi witką ciąć przez plecy leżącego. Pan zaczyna i siecze zwykle bez litości, za nim idą mężczyźni, ale już biją słabiej, kobiety zaś zwykle zamykają oczy i uderzają leżącego niby palemką (chyba że która ma jakiś własny powód do obicia). I tak właśnie jest z Jakubowskim. Z pewnością niektóre razy są bolesne, ale krzywda mu się nie stanie. Po wszystkim zwleka się ze stołu i odchodzi. Nie odpowiada na wezwanie Jakuba, żeby został. Koszula wisi mu prawie do kolan, rozchełstana z przodu. Twarz nieobecna. Mówią, że Jakubowski na starość zdziwaczał. Odchodzi, nawet się nie odwracając.

Po jego wyjściu, gdy zapada milczenie i trwa odrobinę zbyt długo, a wszyscy mają spuszczone głowy, Pan zaczyna mówić i mówi bez przerwy, szybko, tak że trudno to zapisywać, i osamotniony w pisaniu Dembowski w końcu odkłada pióro. Powiada on, że dla nich świat będzie zawsze zagrożeniem, dlatego muszą się trzymać razem i wzajemnie wspierać. Muszą porzucić stare rozumienie wszystkich spraw, bo tamten stary świat już się skończył. Przyszło nowe, a ono jest jeszcze bardziej bezwzględne i wrogie niż to, co było. To są czasy wyjątkowe i oni muszą być wyjątkowi. Muszą żyć razem, blisko siebie, i muszą się ze sobą wiązać, nie z obcymi, tak żeby powstała wielka rodzina. Jedni w tej rodzinie będą stanowić trzon, inni będą luźni. Dobra powinni traktować jako wspólne, a tylko zarządzane przez pojedynczych ludzi, i ten, kto ma więcej, dzieli się z tym, któremu brakuje. Tak było

w Iwaniu i tak musi pozostać tutaj. Zawsze. Dopóki się dzielą tym, co mają, dopóty istnieją jako machna, kompania, i są tajemnicą dla innych. Tę tajemnicę należy za wszelką cenę utrzymać. Im o nich inni mniej wiedzą, tym lepiej. Będą wymyślać o nich niestworzone historie – tak, dobrze, niech wymyślają. Lecz na zewnątrz nigdy nie wolno dać powodu, żeby przekroczone zostały prawo lub zewnętrzne ludzkie obyczaje.

Każe im stanąć w kręgu i założyć sobie nawzajem ręce na ramiona, głowy mają być lekko pochylone do środka, oczy skupione na punkcie w środku okręgu.

– Mamy dwa cele – mówi Jakub. – Pierwszy to jest dojście do Daat, wiedzy, przez którą uzyskamy wieczne życie i wyrwiemy się z więzienia świata. Możemy to uczynić w sposób bardziej przyziemny: własne miejsce na ziemi, kraj, w którym zaprowadzimy swoje własne prawa. A ponieważ świat garnie się do wojny i się zbroi, upadł już stary porządek i my musimy się włączyć w to zamieszanie, żeby ułowić coś dla siebie. Dlatego nie patrzcie podejrzliwie na moich huzarów i moje chorągwie. Ten, kto ma chorągwie i wojsko, choćby najmniejsze, jest na tym świecie uważany za prawdziwego władcę.

Potem śpiewają *Igadel*, tę samą pieśń, co w Iwaniu. Na zakończenie, gdy już zbierają się do wyjścia, Jakub opowiada im jeszcze sen, który miał zeszłej nocy: śnił mu się król Stanisław Poniatowski. Że uganiał się za nim i za Awaczą i chciał się bić. Widział też w tym śnie, że jego, Jakuba, prowadzono do cerkwi, lecz ona była w środku doszczętnie spalona.

Powrót biskupa Sołtyka

Zimą 1773 roku lud z biskupami ciągnie z Warszawy do rzeki. Przez zamarznięty lód dochodzi na wyspę pośrodku i tam czeka na biskupa Sołtyka, niczym na świętego męczennika. Sztywnieją na mrozie kościelne proporce. Obłoki pary wydobywają się z ust śpiewających kościelne pieśni. Mieszczki warszawskie są w czepcach futrzanych, okutane w pelerynki podbite futrem i jeszcze opatulone wełnianymi

chustami. Różni mężczyźni w szubach do ziemi, furmani, sprzedawcy, rzemieślnicy, kucharki i arystokraci – wszyscy zziębnięci.

W końcu pojawia się powóz, jest i konna wojskowa eskorta. Wszyscy ciekawie zaglądają do środka, ale firanki są zaciągnięte. Gdy powóz staje, lud klęka na środku rzeki, prosto w śniegu.

Biskup pojawia się tylko na chwilę, podtrzymywany pod ramiona, otulony w długi purpurowy płaszcz, podbijany jasnym futrem, pewnie z jakichś syberyjskich zwierząt. Wydaje się duży, jakby utył jeszcze. Nad głowami wiernych robi znak krzyża i w mroźne powietrze bucha płaczliwa pieśń, trudno zrozumieć słowa, bo tłum śpiewa ją w różnym rytmie, jedni wolniej, inni szybciej, więc tony nakładają się na siebie wzajemnie i zagłuszają.

Tylko przez krótką chwilę widać twarz biskupa – zmienioną, dziwnie szarą. Zaraz idzie szept, że był tam męczony, dlatego tak wygląda. Potem jego postać znika w powozie i powóz rusza po lodzie w stronę Starego Miasta.

Od razu po Warszawie roznoszą się plotki, że biskup Sołtyk tam, w Kałudze, w tym mroźnym piekle, postradał zmysły i jasność umysłu wraca mu tylko czasami. Niektórzy, co go znali wcześniej, twierdzą, że już wtedy, gdy go Rosjanie pojmali, nie był zdrów na umyśle. Ci mówią, że istnieją tacy, których mniemanie o sobie samych jest tak wysokie, że ich zupełnie zaślepia i wszędzie wokół widzą tylko siebie. I przekonanie o własnej ważności odbiera im rozsądek i władzę sądzenia. Z pewnością biskup Sołtyk do takich ludzi należy i nieważne, czy zmysły postradał, czy nie.

Co się dzieje w machnie Pańskiej w Warszawie

Posłańcy muszą zdać przed machną sprawę z pobytu w Brünn i nieudanych wypraw poselskich. W Warszawie teraz wszystko się kręci koło domu Franciszka Wołowskiego. Machna spotyka się raz u niego na Lesznie (ma największy dom), raz u jego córki, kolejnej, która wyszła za Lanckorońskiego, syna Chai. Czas jest trudny, panuje jakieś polityczne

podniecenie, jakiś niepokój, więc rewelacje o Brünn brzmią tutaj nierealnie.

Jakubowski spotyka w stolicy Jakuba Golińskiego, którego ostatni raz widział chyba w Częstochowie. Ma do niego jakąś słabość – w Golińskim ucieleśnia się widocznie wspomnienie Jakubowskiego o pobycie u Beszta w Międzybożu, a to wspomnienie nieodmiennie go wzrusza. Obejmują się i przez chwilę stoją tak, nieruchomo. Przez gruby płaszcz Jakubowski czuje, że tamten schudł i jakby zmalał.

– Dobrze z tobą? – pyta go zaniepokojony.

– Potem ci powiem – odpowiada szeptem Goliński, bo oto głos zabiera stary Podolski, mały, zasuszony człowiek w tym zapiętym po szyję buroszarym kaftanie. Ma ręce pobrudzone atramentem. Prowadzi rachunki w browarze u Wołowskich.

– Ja się to powiedzieć odważę – odzywa się po polsku z silnym, śpiewnym żydowskim akcentem. – Jestem stary i niczego się już nie boję. Zwłaszcza że mnie się wydaje, iż wy tak samo myślicie, tylko nie macie odwagi mówić tego głośno. Nu, ja to powiem.

Zawiesza głos na chwilę, po czym znów się odzywa:

– To się już skończyło. Kiedy on...

– Jaki on? – rzuca ktoś gniewnie spod ściany.

– ...Kiedy Jakub, nasz Pan, stąd wyjechał, my nie mamy już co na niego czekać. Winniśmy się sami zająć sobą, żyć przykładnie, trzymać się razem, praktyk swoich nie zarzucać, ale je odpowiednio do warunków przystrzyc...

– Jak te szczury przylgnięte strachem do ziemi... – daje się słyszeć ten sam głos.

– Szczury? – Podolski odwraca się w stronę głosu. – Szczury to mądre stworzenia, przetrwają wszystko. A tyś rozum postradał, synu. Mamy dobre posady, mamy co jeść i dach nad głową, jakie szczury?

– Nie po tośmy chrzest brali – odzywa się ten sam głos, a to jest niejaki Tatarkiewicz, którego ojciec był z Czerniowiec. Jest oficerem pocztowym, przyszedł w mundurze.

– Tyś jest młody i zapalczywy. Masz gorącą głowę. A ja jestem stary i dobry w liczeniu. Ja podliczam wydatki naszej wspólnoty i wiem, ileśmy wysłali złota na Morawy i jakim to trudem okupione, żeby tu w Polsce tyle zebrać. Za te pieniądze mielibyście dla waszych dzieci na studiowanie.

Szmer idzie po sali.

– Ileśmy wysłali? – pyta spokojnie Marianna Wołowska.

Stary Podolski wyciąga zza pazuchy papiery i rozkłada na stole. Wszyscy cisną się teraz ku niemu, ale nikt nie rozumie tabelek z cyframi.

– Dałem dwa tysiące dukatów. Prawie wszystko, com miał – mówi Jakub Goliński do Piotra Jakubowskiego, który usiadł przy nim. Obaj zostali na krzesłach pod ścianą, wiedząc, że jak się tylko zaczyna mówić o pieniądzach, to zaraz robi się awantura. – Ma rację ten Podolski.

I rzeczywiście, zaczynają się nad stołem kłótnie, nad którymi próbuje zapanować Franciszek Wołowski starszy – ucisza ich i tłumaczy, że słychać będzie niepotrzebnie wrzawę z ulicy i że robią z jego domu bazar turecki, i z tych grzecznych, dobrze ubranych urzędników i mieszczan wychodzą nagle handlarze starzyzną z jarmarku w Busku.

– Wstydźcie się! – nawołuje ich do spokoju.

Nagle w Piotra Jakubowskiego wstępuje jakby sam diabeł. Rzuca się do stołu i zakrywa całym sobą rozrzucone papiery.

– A wam co się stało? Jakuba będziecie rozliczać, jak jakiegoś kupczyka? A nie pamiętacie już, gdzie byliście, zanim przyszedł? I kim bylibyście teraz, gdyby nie on? Kupczykami, arendarzami z brodami do pasa, z groszami zaszytymi w szrejmlach? Już zapomnieliście?

Wykrzykuje Majewski, dawny Hilel, co się na Litwę wyprowadził i w Warszawie rzadko bywa:

– I dalej nimi jesteśmy!

Uspokaja Jakubowskiego Franciszek Wołowski:

– Ty się, bracie Piotrze, nie unoś. My wiele własnemu uporowi w wierze zawdzięczać możemy. I pracy własnej.

– Przez nas siedział w więzieniu trzynaście lat, zdradziliśmy go – mówi Jakubowski.

– Nikt nie zdradził – odzywa się młody Lanckoroński. – Sam mówiłeś, że tak być musiało. Sam mówiłeś, a myśmy, cała machna, przez te trzynaście lat okrzepli i na próbę byliśmy wystawieni, ale nie zeszliśmy z drogi.

I ktoś rzuca jeszcze spod ściany, chyba znowu ten Tatarkiewicz:

– Nie wiadomo, on to czy nie on... Mówią, że go podmienili.

– Ty się zamknij – krzyczy już Jakubowski, ale ku jego zaskoczeniu krytykę podejmuje Goliński:

– Kim my teraz jesteśmy? Kim ja teraz jestem? Byłem w Busku rabinem, dobrze mi się wiodło, a teraz tam powrotu już nie ma, a jam bankrut.

Jakubowski dostaje szału, rzuca się do przyjaciela i łapie go za halsztuk. Papiery ze stołu sfruwają na podłogę.

– Wy jesteście wszyscy mali, podli ludzie. Już wszystko zapomnieliście. W gównie byście tkwili, w tym rohatyńskim, podhajeckim, kamienieckim.

– I buskim – dorzuca złośliwie ten Majewski z Litwy.

Jakub Goliński wraca do domu piechotą, samotnie. Jest wzburzony. Żona, która bawi w Brünn od początku przy Imości, nie odzywa się już kilka miesięcy; miał nadzieję, że Jakubowski przywiezie listy od niej. Nie przywiózł. Odwrócił jakoś wzrok, a potem porwała ich ta kłótnia, po której Goliński nie może przyjść do siebie.

Cyfry, które widział na rachunkach Podolskiego, nie dają mu spokoju i ma w głowie swoje własne rachunki – był dostawcą tkanin dla dworu królewskiego, wysoko zaszedł, lecz teraz to się skończyło. Został z belami materiałów, drogich, luksusowych, których nikt dziś od niego nie kupi. Ufny w swoją dobrą passę, pozbył się wszystkich oszczędności na składkę dla Brünn, wierząc, że tym samym wspomaga tam powodzenie swoje i swojej rodziny, ale teraz nagle widzi to zupełnie inaczej. Jakby łuski spadły mu z oczu. Bo dlaczego jego Magda się nie odzywa? Do tej pory nie chciał o tym myśleć, był zajęty, ale teraz na dnie jego mózgu rośnie podejrzenie, prawie pewność; i jest to jak guz złośliwy, jakby miał w głowie gnijące mięso – ona jest z innym.

Goliński nie śpi całą noc, przewraca się z boku na bok, słyszy jakieś głosy, jakby reminiscencje gwałtownej dyskusji, widzi znowu odwrócony wzrok Jakubowskiego i robi mu się gorąco. Czuje już, już wie, choć jego głowa nie chce się tym w ogóle zajmować. Znowu liczy długi, widzi w półśnie myszy, które gryzą zapasy szkarłatnego brokatu i bele adamaszku.

Następnego dnia, bez śniadania, idzie piechotą na Długą, do Jakubowskich. Otwiera mu zaspany jeszcze gospodarz, w koszuli i szlafmycy, jakiś wymizerowany, zmęczony, stopy w przybrudzonych skarpetach trą jedna o drugą. Wajgełe w koszuli i narzuconej na nią wełnianej chuście bez słowa bierze się do rozpalania pod kuchnią. Po chwili przychodzą do nich dwie zaspane córeczki Jakubowskiego, Barbarka i Anusia. Jakubowski patrzy na niego przez dłuższą chwilę, wreszcie pyta:

– Czego ty chcesz ode mnie, Goliński? – pyta Jakubowski, gestem każąc żonie zabrać dzieci.

– Ty mi powiedz, co tam się zdarzyło. Co z moją Magdą?

Jakubowski spuszcza wzrok na swoje skarpety.

– Wejdź.

Małe mieszkanie Nachmana Piotra Jakubowskiego jest zagracone. Stoją tu jakieś kosze, skrzynie. Czuć gotowaną kapustą. Siadają przy stole, z którego Jakubowski zgarnia papiery. Starannie wyciera pióro i chowa do pudełka. W kieliszku widnieją na dnie resztki wina.

– Co z nią? Powiedz!

– Co ma być? A co ja mogę wiedzieć? Byłem tu i tam, to nie wiesz? Nie siedziałem z babami.

– Ale byłeś i w Brünn.

Poryw wiatru uderza w okno, szyby drżą groźnie. Jakubowski wstaje i zamyka okiennice. Robi się ciemnawo w pokoju.

– Pamiętasz, spaliśmy w jednym łóżku u Beszta – mówi Goliński, jakby się skarżył.

Jakubowski wzdycha.

– Wiesz, jak tam jest. Widziałeś to sam. Byłeś w Częstochowie, byłeś w Iwaniu. Tam ci nikt żony pilnował nie będzie. To wolna kobieta.

– Nigdy tak blisko nie byłem. Nie byłem jednym z was, „braci”.

– Ale widziałeś – Jakubowski mówi to tak, jakby wszystkiemu winny miał być zrozpaczony Goliński. – Ona sama o to poprosiła. Jest teraz z pańskim masztalerzem, Szymanowskim. To taki kozak na koniu...

– Kozak – powtarza za nim bezwiednie Goliński, kompletnie załamany.

– Ja ci to mówię, Goliński, po naszej przyjaźni. Żeś mnie po śmierci syna wspierał, żeśmy spali w jednym łóżku u Beszta....

– Wiem.

– I na twoim miejscu bym się tak nie martwił, bo czegoś się spodziewał? Oni to dla dobra nas tu wszystkich... Przy największym cesarzu na świecie. Dwór wielki... Zechcesz, żeby wróciła, to wróci.

Goliński wstaje i zaczyna chodzić po małym pokoju, dwa kroki w jedną stronę, dwa kroki w drugą. Potem zatrzymuje się, bierze głęboki oddech i zaczyna szlochać.

– Sama nie poprosiła, to na pewno wiem... Pewnie ją zmusili.

Nachman sięga do kredensu po drugi kieliszek i nalewa doń wina.

– Mógłbyś cały towar sprzedać w Brünn, pewnie stracisz na tym trochę, bo tam już brokat nie idzie tak jak kiedyś. Ale zawsze część pieniędzy odzyskasz.

Goliński pakuje się w godzinę i pożycza na weksle pieniądze na podróż. Po kilku dniach staje w Brünn, brudny i zmęczony. Umieściwszy towar w składzie, od razu idzie na Petersburger Gasse, pod dom przy katedrze, z kapeluszem nasuniętym na czoło, pytając kilka osób o drogę. Każdy mu ją wskazuje. Myśli zapukać i wejść, zaanonsować się jak człowiek, ale ogarnia go nagle wielka podejrzliwość, czuje się, jakby wyruszał na wojnę, więc staje w bramie naprzeciwko i choć jest wcześnie, a ulice wypełniają długie cienie poranka, stoi, nasuwa kapelusz jeszcze głębiej i czeka.

Najpierw otwiera się brama i wyjeżdża stamtąd wózek, który wywozi śmieci i nieczystości, potem wychodzą jakieś kobiety. Goliński ich nie zna; mają wiklinowe kosze i idą pod górę, pewnie na targ. Potem zajeżdża fura z warzywami, potem jeździec na koniu. W końcu skądś podstawiają powóz, wjeżdża do środka, ale nie wyjeżdża aż do południa, kiedy to nagle robi się ruch w bramie. Golińskiemu wydaje się, że widzi dwie kobiety, jedna to Zwierzchowska, która coś podaje czy to posłańcowi, czy pocztylionowi, druga to starsza Czerniawska. W oknach na pierwszym piętrze odsuwają się firanki i miga tam jakaś twarz, Goliński nie wie czyja. Ssie go w żołądku, ale boi się odejść – mógłby przeoczyć coś niezwykle ważnego. Tuż przed południem brama znowu się otwiera i formuje się na ulicy mały orszak, głównie młodzi ludzie, idą do katedry na mszę, ale znowu nie poznaje nikogo. Dopiero na końcu widzi znajomego Dembowskiego, w polskim stroju, z żoną. Idą w milczeniu i znikają w katedrze. Goliński rozumie, że nie ma tu ani Franka, ani Awaczy. Łapie za rękaw jednego ze spóźnionych młodzieńców i pyta:

– A Pan gdzie?

– W Wiedniu, u samego cesarza – odpowiada tamten dobrodusznie.

Goliński spędza tę noc w oberży, czystej i strojnej, a wcale nie tak drogiej. Pozwalają mu się tam umyć i wyspać. Śpi jak kamień. Następnego dnia rano rusza do Wiednia, gnany tym samym niepokojem.

Cały dzień mu zajmuje dostanie się na Graben, gdzie rezyduje Pan. Przy wejściu do domu stoi straż, dziwaczna jakaś, ubrana w jaskrawe zielone i czerwone liberie, w czapkach z pękiem piór. Trzyma halabardy. Nie ma mowy, żeby tam wszedł. Każe się zapowiedzieć, ale nie ma odpowiedzi do wieczora. Wieczorem zajeżdża bogata kareta i przy niej kilku konnych. Gdy chce podejść, straż zatrzymuje go dość brutalnie.

– Jestem Goliński Jakub. Pan mnie zna, muszę się z nim zobaczyć.

Każą mu jutro rano złożyć liścik.

– Pan przyjmuje w południe – mówi grzecznie jakiś lokaj w dziwacznej liberii.

Anzeige, czyli doniesienie

Maria Teresa Habsburg – z bożej łaski cesarzowa rzymska, królowa Niemiec, Węgier, Czech, Galicji i Lodomerii, arcyksiężna Austrii, księżna Burgundii, Styrii, Karyntii, Krainy, księżna Siedmiogrodu etc.

Jako poddany Waszej Cesarskiej Mości, urodzony w Glinnie, o cztery mile od Lwowa oddalonym, i tamże wychowany, byłem w tym mieście rabinem. Zdarzyło się, że w 1759 roku pojawił się tam niejaki Jakub Frank, mniemany neofita, obecnie w Brünn mieszkający, który był synem żydowskiego bakałarza. Ojciec jego, podejrzany o przynależność do sekty szabtajczyków, z gminy został wypędzony i osiadł w Czerniowcach na ziemiach mołdawskich. Ów Jakub Frank, choć urodzony w Korolówce, wielce się po świecie najeździł, ożenił się i miał córkę, po czym przyjął mahometańską wiarę i okrzyknięty został między szabtajczykami chachamem.

Wstydzę się przyznać, iż i ja należałem do tej sekty i zaliczałem się do grona jego czcicieli. Uważałem go w swojej głupocie nie tylko za mędrca wielkiego, ale za wcielenie ducha Szabtaja i za cudotwórcę.

W początkach 1757 roku przybył rzeczony Frank do Polski i wezwał wszystkich wiernych, aby się do Iwania, włości biskupa kamienieckiego, przenieśli. Tam ogłosił, że pan król Szabtaj Cwi musiał przejść na wiarę

Izmaelitów, że bóg Baruchja również przez nią musiał przejść, jak i przez prawosławną, lecz on, Jakub, musi przejść na wiarę nazareńską, gdyż Jezus Nazareński był powłoką i łupiną owocu i przyjście jego dlatego tylko spełnionym zostało, by utorować drogę prawdziwemu Mesjaszowi. I dlatego to my wszyscy musimy pro forma przyjąć tę wiarę i celebrować ją baczniej w oczach chrześcijan niż sami chrześcijanie. Musimy przeto żyć pobożnie, lecz nie żenić się z żadną chrześcijanką, gdyż chociaż Señor Santo, czyli Baruchja, mówił: „Błogosławiony ten, który zezwoli na wszystkie zakazane rzeczy", mówił też, że córa obcego Boga jest zakazaną. Nie należy więc żadnymi sposobami mieszać się z innymi narodami, lecz pozostawać w głębi serca wiernymi trzem węzłom królów naszych: Szabtajowi Cwi, Baruchji i Jakubowi Frankowi.

Po wielu prześladowaniach nas ze strony Żydów, chronieni protekcją biskupów kamienieckiego i lwowskiego, jesienią 1759 roku przyjęliśmy chrzest.

Frankowi, który przybywszy z Turcji, był biedny, dano zaraz dużo pieniędzy, do czego i ja się przyłożyłem, ofiarując mu najpierw 280 dukatów.

Potem pojechał rzeczony Frank do Warszawy i tam głosił wszem wobec, że jest panem życia i śmierci i że ci, którzy w niego z całego serca uwierzą, nigdy nie umrą.

Gdy jednak mimo to niektórzy z jego najbliższych oraz największych zwolenników umarli i pytano go o wyjaśnienie, mówił, że widać nieszczerze w niego wierzyli.

Niektórzy z jego grona, chcąc go wystawić na próbę, donieśli o wszystkim władzom kościelnym...

– Tak było? – pyta Goliński człowieka, który mu dyktuje i którego słowa spisuje swoim pięknym charakterem pisma, potykając się tylko nieznacznie na dłużyznach niemieckich wyrażeń. Tamten jednak nie odpowiada, więc Goliński pisze dalej:

...Sprawa ta została poddana sądowi złożonemu z kanclerza koronnego, kapituły i biskupów. Większość z grona owych stronników otwarcie przyznała się do błędu i złożyła przyrzeczenie, że się od tego typu rzeczy odżegnuje i odtąd będzie żyć po chrześcijańsku. Franka owego skazano zaś na wieczny areszt w klasztorze w Częstochowie. Niestety, umiał ten opętany przez szatana

człowiek pociągnąć do siebie ludzi. Pojechali oni do niego do więzienia i obficie go obdarowali. Wielu z nich trwało tam przy nim, umiał bowiem im wmówić, że areszt jego jest konieczny. I znowu muszę przyznać ze wstydem, że i ja tam byłem i pozostawałem z nim w jego więzieniu aż do czasu śmierci jego żony i jej pogrzebu.

Śmierć ta wywarła na wielu ogromne wrażenie, podobnie jak nauki Franka, w których chwalił czyny obrażające naturę i obyczaje ludzkie. Wtedy to odstąpiłem od niego i stałem się jego wrogiem. Porzuciwszy Częstochowę, powróciłem do Warszawy, gdzie mieszkałem z moją żoną i dzieckiem. Ta moja żona od czterech lat przebywa w Brünn na dworze Franka, a niedawnymi czasy z jakimś gachem...

Ręka Golińskiego zatrzymuje się na tym słowie, „Gefährten".

– To też już wiecie? – pyta.

Tamten nie odpowiada, więc Goliński po chwili pisze dalej:

...była z Frankiem i jego córką w Wiedniu, a teraz do Brünn powróciła, spotkała się ze mną i znowu czując do mnie naturalny jakiś pociąg, odkryła mi, że Święty Pan, bo tak o Franku mówią wyznawcy, wtedy jeszcze w Częstochowie, kazał mnie i innych opornych zgładzić we śnie.

– Przecież to nieprawda. Nic takiego nie było – mówi Goliński zaskoczony, ale pisze dalej:

Dowiedziała się o tym, ponieważ ufano jej tam całkowicie, jest ona bowiem córką jednego z najbardziej prawowiernych zwolenników Franka. Ostrzegła mnie przeto, bym się ratował i bezzwłocznie oddalił. Wniosłem z tego powodu skargę do władz koronnych i wszczęto nawet śledztwo, uprzednio zapisawszy moje zeznania w protokole, który jest w Warszawie do wglądu.

Gdy powstały w Polsce zamieszki, znalazł Frank sposobność, by przy pomocy wojsk rosyjskich uwolnić się z więzienia. A następnie udał się do Brünn, gdzie swoją diabelską wiarę bezkarnie rozkrzewia.

Jego stangreci, masztalerze, służący, forysie, huzary, ułany, słowem całe otoczenie składa się z samych przechrzczonych Żydów. Co każde dni czternaście

przybywają do niego mężowie, żony, synowie i córki z Polski, jak i z Moraw, a nawet Hamburga i zwożą bogate podarunki, konie, i oni też są przechrztami z tej samej sekty, która – jak widać – rozprzestrzeniona jest po świecie. Całują jego nogi, pozostają kilka dni i odjeżdżają, na ich miejsce zaś przybywają inni, a tego rodzaju robactwo mnoży się z każdym dniem.

Wiem dobrze, że moje słowa nie są żadnym dowodem, lecz jestem gotowy na uwięzienie mnie, dopóki śledztwo Jego Cesarskiej Mości nie potwierdzi tych niesłychanych rzeczy, jakich od początku świata nie słyszano, i moja denuncjacja...

Goliński zastanawia się chwilę nad tym słowem, w końcu pisze:

...we wszystkich punktach udowodniona zostanie.

Zwracam się więc najuniżeniej do Waszej Cesarsko-Królewskiej Apostolskiej Mości z najpokorniejszą na klęczkach prośbą, by z uwagi na ważność tej sprawy poddano mnie tutaj, w Wiedniu, z Jakubem Frankiem ocznej konfrontacji, która wykaże wszelkie zbrodnie Franka, a mnie dopomoże do odzyskania zabranych mi przezeń tysiąca dukatów, przy czem z powodu moich dotychczasowych błędów, które zmazać pragnę tym otwartym wyznaniem, spodziewam się przebaczenia.

Waszej Cesarsko-Królewskiej Apostolskiej Mości najpokorniejszy sługa

– Jakub Goliński.

Człowiek, który mu ten list dyktował, bierze od niego pismo i posypuje piaskiem. Piasek suszy słowa Golińskiego i teraz nabierają one mocy.

Kawa z mlekiem, skutki picia

Jakubowi prawdopodobnie zaszkodziła ta nowa moda na picie zmieszanych dwóch żywiołów: kawy i mleka. Zaczęło się od drobnej niestrawności, lecz wkrótce trawienie jakby zupełnie ustało i słabość, jaka go ogarnęła, przypominała chyba tę tylko, która dopadła go

w Częstochowie, kiedy mu zatrute komunikanty dawano. Na dodatek wciąż dobijają się wierzyciele i nie ma im z czego płacić, jako że ogromne sumy poszły na Wiedeń, jak i przepadły w poselstwach. Czekając, aż Kapliński, Pawłowski i Wołowski dotrą z pieniędzmi z Warszawy, kazał tymczasem ograniczyć wszelkie zbytki w jedzeniu i część gości, których utrzymanie było ogromnym ciężarem dla dworu, odesłać do domu. Tak słaby i wycieńczony, że nie może już nawet usiedzieć, dyktuje listy do machny w Warszawie, swojej ukochanej wspólnoty. Napomina ich, żeby byli silni jak drzewo, które mimo że wiatr miota jego gałęziami, samo zawsze w miejscu stoi. Umacniać mają serca i pozostać odważnymi. List kończy słowami: „Nie lękajcie się niczego”.

List go tak wyczerpuje, że tego samego wieczoru zapada jakby w ciężki i głęboki sen.

Kilka dni trwa przesilenie, kiedy to Pan leży w letargu i tylko zmieniają się przy nim pielęgnujący, żeby mu zwilżać gąbką usta, prześcielać łóżko. Okna zasłonięte, odwołano wspólne posiłki, teraz wydaje się proste jedzenie: chleb i kaszę, lekko tylko omaszczoną. Na pierwsze piętro, gdzie są pokoje Pana, w ogóle się nie wchodzi. Grafik wart ustala Zwierzchowska, która, wysoka i chuda, lekko przygarbiona, krąży po korytarzach, dzwoniąc kluczami przypasanymi do bioder. To ona pewnego ranka, idąc jeszcze zaspana, by otworzyć kuchnię, widzi Pana w samej koszuli, bosego, jak stoi w drzwiach i chwieje się na nogach. Ot, strażniczki usnęły, a on ozdrowiał. Zwierzchowska cały dwór stawia na nogi, zaczyna się gotowanie rosołu, którego on tknąć nie chce. Odtąd żywi się pieczonymi jajami, nie je ni chleba, ni mięsa, tylko te jaja, i – o dziwo – szybko przychodzi do siebie. Znowu zaczyna swoje samotne spacery daleko poza miasto. Zwierzchowska dyskretnie wysyła za nim kogoś z dworu, żeby go miał na oku.

Miesiąc potem, już zupełnie wydobrzawszy, uroczyście wybiera się do Prossnitz do Dobruszki, gdzie zjeżdżają się raz w roku – co jest wiadome tylko wtajemniczonym – prawowierni z całej Europy. U Dobruszków udaje się, że to jest rocznica rodzinna, tylko nie bardzo jasne jaka i czyja. Coś jak wesele Izaaka Szora, teraz Henryczka Wołowskiego, dwadzieścia siedem lat wcześniej – wszyscy tu są. Jakub

Frank przyjeżdża bogatą karetą otoczoną przez jego własnych huzarów. Jeden jest lekko ranny. Napadli ich Żydzi spod Brünn, ale byli marnie uzbrojeni. Szymanowski, który zawsze trzyma naładowaną broń, wystrzelił kilka razy i pouciekali.

Wszystko to ogląda Jenta, ponieważ występuje oto jakieś podobieństwo, które przywołało tutaj jej uwagę. W czasie zdarzają się momenty bardzo podobne do siebie. Nici czasu mają swoje węzły i węzełki, co jakiś czas przydarza się coś symetrycznego, co jakiś czas coś się powtarza, jakby rządziły wszystkim refreny i motywy, co dostrzega się z pewnym zażenowaniem. Porządek taki bywa kłopotliwy dla umysłu; nie wiadomo, co z nim począć. Chaos zawsze wydawał się ludziom bardziej swojski i bezpieczny, jak bałagan we własnej szufladzie. A to teraz, tu, w Prossnitz, jest jak w Rohatynie dwadzieścia siedem lat temu, kiedy to pamiętnego dnia Jenta nie do końca umarła.

Tam jechały w błocie wozy, a na nich ludzie w wilgotnych kapotach. Ćmiły się w niskich izbach lampki oliwne, gęste brody mężczyzn i sute spódnice kobiet wydzielały zapach wszechobecnego dymu, mokrego drewna i smażonej cebuli. Teraz po morawskich traktach suną powozy na resorach, miękko wyścielane. Podjeżdżają pod duży dom Dobruszków ludzie czyści i dobrze odżywieni, porządnie ubrani, grzeczni i skupieni. Witają się na podwórcu i widać po nich, że świat traktują jak swoje wygodne mieszkanie. Są wobec siebie mili i przyjaźni, co wskazuje, że spotyka się oto wielka rodzina. I tak istotnie jest. Dwie oberże wynajmują im w okolicy pokoje gościnne. Mieszkańcy miasteczka przyglądają się tym przybyszom mówiącym śpiewnie po niemiecku z zainteresowaniem, które jednak nie trwa zbyt długo. Może to złote gody u Dobruszków. Że on Żyd, każdy to wie, wielu tu Żydów. Żyją uczciwie i ciężko pracują. Różnią się czymś od tych innych Żydów, ale już nikogo nie interesuje, czym się różnią.

Kobiety na czas obrad starannie oddzielono od mężczyzn, całe trzy dni spędzają teraz w swoim gronie, dokładnie omawiając, kto, kiedy, z kim, jak, dlaczego i gdzie. Z tych rozmów wyniknie potem więcej korzyści niż z uzgadniania doktryny. Powstaną pomysły na małżeństwa, ustali się modne imiona dla nienarodzonych jeszcze dzieci, omówi się

atrakcyjne miejsca na leczenie reumatyzmu i skojarzy się szukających dobrego zajęcia z tymi, którzy potrzebują pracowników. Rano czytają święte teksty i także dyskutują. Po południu robią sobie też lekcje muzykowania – Szejndel i jej córki są bardzo uzdolnione i mają sporo nut. Gdy dziewczęta grają, starsze kobiety, w tym Szejndel, biorą sobie po kieliszku nalewki wiśniowej i dopiero zaczyna się dyskusja – nie gorsza niż za ścianą u mężczyzn.

Jedna z córek Dobruszków, Blumełe, szczególnie utalentowana, akompaniuje sobie na fortepiano i śpiewa przetłumaczoną na niemiecki starą prawowierną pieśń:

W schowku z żelaza, z powietrza balonie,
Mej duszy okręt na morze wyrusza,
Nie da się zamknąć w serca Babilonie
Ni w żadnych murach przez ludzi zrobionych.
O ludzką nie dba nic reputacyję,

Opinie gości na ucztę sproszonych,
Gładkość, uprzejmość, znaczącą nacyję.
Dusza wyrywa się ponad kordony,
Za nic ma stróżów waszego porządku,
Omija słowa umieszczone w rządku
Albo co słowa ogarnąć nie mogą.

Nie wie, co rozkosz, a co nocne strachy,
A wasze piękno jak krewną ubogą
Wywozi w puszcze i porzuca w piachy.
Boże, trwający ciągle w nieboskłonie,
Daj mi Twe słowo, bym mogła stać o nie,
Dopiero wtedy Twą prawdę dogonię.

Jej czysty głos niesie się tak wyraźnie, że niektórzy z mężczyzn, którzy stojąc blisko drzwi, przysłuchują się dyskusjom, wycofują się dyskretnie i na palcach przenoszą się do kobiet.

Specjalnie na to wielkie zebranie przyjechał z Wiednia Thomas. Najpierw idzie naturalnie do kobiet – zanim pochłoną go poważne rozmowy, chce porozmawiać niepoważnie. Przywiózł z Wiednia nową grę towarzyską – trzeba pokazać na migi treść jakiegoś zdania, reszta zgaduje. Gesty i miny to najbardziej demokratyczny język, nie będzie już przeszkadzać najdziwaczniejszy akcent, z jakim się tutaj mówi. Obiecuje, że zagrają w to wieczorem, gdy będzie czas na przyjemności. Zostawia im *Pieśni Osjana*, które przetłumaczył jego przyjaciel. Wieczór schodzi więc kobietom na ich czytaniu. Ewa nie rozumie uniesienia, jakie temu towarzyszy, ani wzruszenia, które zamienia się w łzy panien.

Pośród mężczyzn Thomas mówi o ideach masońskich. Ten temat budzi ciekawość starszych braci z prowincji od dawna, a jako że syn Szejndel sam do loży należy, robi im coś w rodzaju małego wykładu, po którym zaczyna się wielka dyskusja. Najbardziej w pamięć zapada braciom jeden fragment. Thomas opowiada, że w tym podzielonym świecie zbudowanym z frakcji, które nastają wzajemnie na siebie, a które zwą się religiami, wolnomularstwo jest jedynym miejscem, gdzie mogą się spotykać i działać ludzie czystego serca, pozbawieni przesądów i otwarci.

– Pokażcie mi, gdzie indziej może Żyd rozmawiać, dyskutować i wspólnie działać z chrześcijaninem poza czujnym okiem kościołów i synagog, systemów władzy, hierarchii, które dzielą ludzi na lepszych i gorszych? – woła ponad ich głowami; biały jedwabny halsztuk poluzował się, a ułożone przedtem włosy, długie i falujące, są zmierzwione. Thomas mówi jak natchniony: – Te dwa wrogie systemy wiecznie na siebie napierają, ciągle wobec siebie nieufne, posądzając się wzajemnie o niecne czyny i błędne idee. Uczestniczymy w tym zwarciu niejako z urodzenia, jedni z nas rodzą się jako ci, drudzy jako tamci, i nie ma znaczenia, jak chcielibyśmy żyć...

Z tyłu podnoszą się protesty. Zaczyna się gwałtowna dyskusja i nie dają Thomasowi dokończyć. Gdyby nie to, że jest gospodarzem,

a spotkanie odbywa się wieczorem i jest mniej oficjalne, wybuczeliby go. To jasne jednak, że syn Zalmana ma zbyt gorącą głowę.

Jakub przemawia tego dnia na końcu, odważnie i z polotem. Nie ma w sobie nic z tych nudnych, starych przedmówców (z wyjątkiem Thomasa), którzy na wszystkie sposoby odmieniali nazwisko Eibeschütza. Nie ma w mowie Jakuba nic o nim samym ani o Pannie – przed tym szczególnie przestrzegał go młody kuzyn i to mu się udaje. Jest o tym, że przejście „na religię edomską” stało się już koniecznością. Brak innej możliwości. I trzeba poszukiwać miejsca dla siebie, w miarę niezależnego, gdzie da się żyć według własnych praw, ale spokojnie.

Kiedy w kącie słychać jakieś pełne oburzenia szepty, Jakub odwraca się w tamtą stronę i mówi:

– Wy wiecie, kim jestem i jak stałem się tym, kim jestem. Mój dziadek, Mojżesz Meir Kamenker, został przyłapany rok przed moim urodzeniem, kiedy szmuglował prawowierne książki z Polski do Hamburga. Poszedł za to do więzienia. Ja wiem, co mówię, i nie mylę się. Nie mogę się mylić.

– A to dlaczego nie możesz się mylić, Jakubie? – pyta ktoś z sali.

– Bo we mnie jest Bóg – odpowiada Jakub Frank z pięknym uśmiechem, który odsłania jego wciąż białe i zdrowe zęby.

Robi się ruch, ktoś gwiżdże i trzeba wszystkich uciszać.

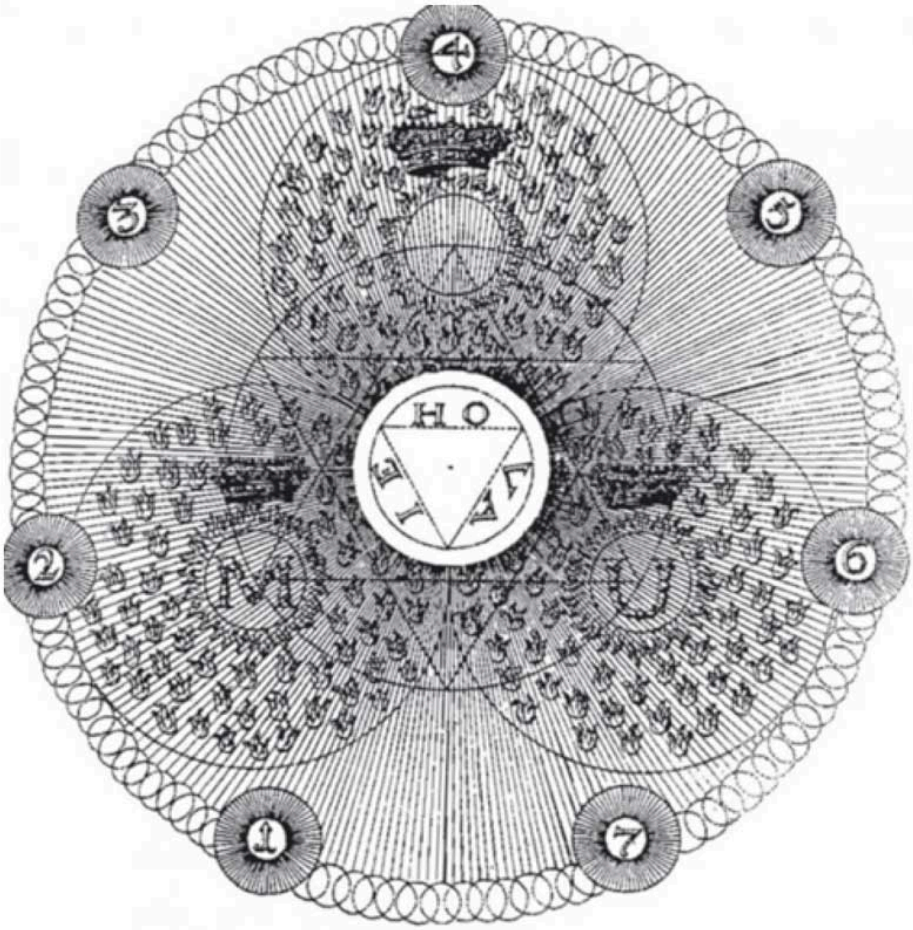

Do późna w nocy kobiety i młodzież grają w nową grę Dobruszki. Przez otwarte okna dobiegają wybuchy śmiechu. Absolutną zwyciężczynią okazuje się młoda żona najbardziej protestującego przeciw Thomasowi rabina z Altony, Fanny.

Ruptura i słowa Pańskie

Pałac w Brünn nie jest już tak zatłoczony jak kiedyś, ale wciąż przyjeżdżają prawowierni z Rusi, z Podola i z Warszawy. To są ci biedniejsi goście, których też trzeba przecież przyjąć. Brudni od długiej podróży, niektórzy jakby dzicy, jak ta kobieta z kołtunem, którego nie dała sobie ostrzyc, bojąc się, że wraz z nim straci życie. Pan zarządził,

żeby obciąć jej ten kołtun w trakcie snu, i potem, odmówiwszy nad nim modlitwy, uroczyście go spalił. Przybysze rozkładają się po całym domu i nad kuchnią w podwórzu, gdzie przysposobiono pielgrzymie pokoje, a i to nie wystarcza. Najmują więc kwatery w całej okolicy. Za dnia przychodzą i tak do Pana. Ten tylko rzuca okiem i już umie ocenić, co to za ludzie, i w zależności od tego, jak ich osądzi, jednym opowiada bajki i anegdoty, drugim objaśnia trudne i skomplikowane zdania z uczonych książek.

Na Chanukę Pan sam zapalił świece, ale zabronił się modlić po żydowsku. Na Jom Kippur kazał zaś śpiewać i zarządził tańce, jak to bywało w Iwaniu i wcześniej jeszcze.

Pan prosi do siebie na noc Wittel Matuszewską – właśnie przyjechała z Warszawy, gdzie bawiła u dzieci. Cieszy się na jej przyjazd, każe się ogolić, ostrzyc i obcina paznokcie u nóg. Wittel biegnie do niego od drzwi i przyklęka przed nim w ukłonie, ale on ją podnosi i ściska, Wittel zaś robi się czerwona jak piwonia. Równie serdecznie wita się z jej mężem, Mateuszem.

Kiedy Ewa Zwierzchowska zachorowała, Wittel przejęła jej obowiązki i zaczyna teraz rządzić mocną ręką. Zagania młodych, rozmusztrowanych i leniwych mężczyzn do prac w ogrodzie, do plewienia chwastów, które wdzierają się między kamienie podwórka, do sprzątania na bieżąco końskich odchodów, nad którymi unoszą się chmary much. Układa się z woziwodą, żeby przywoził więcej wody, organizuje kiszenie ogórków w wielkich beczkach. Tylko Wittel pozwala Pan mówić do siebie z lekką pretensją. Może się ona nawet na Pana obrazić, tak jak na przykład wtedy, gdy zarzuca mu – już się jej poskarżyły kobiety – że zawsze wyznacza obcowanie tak, żeby to dobrze pasowało mężom, a nie żonom.

– A ty jak byś to robiła? – pyta Jakub. – Mnie podpowiada Bóg.

– Musisz patrzeć czujnie, kto ma się ku sobie, kto się lubi, a kto nie. Jeśli wyznaczysz parę, która się nienawidzi, to przyniesie to tylko wstyd i cierpienie.

– Nie chodzi o to, żeby mieli ze sobą do czynienia dla przyjemności – tłumaczy jej Pan – ale żeby musieli się złamać i do siebie się przekonać. Chodzi o to, żeby byli całością.

– Łatwiej to przyjdzie mężowi niż żonie „złamać się”, jak to nazywasz, a kobiety czują się potem okropnie.

Patrzy na nią uważnie, zaskoczony tym, co powiedziała.

– Niechże kobiety mają prawo powiedzieć „nie” – mówi Wittel.

Jakub odpowiada:

– A tego to nie mów głośno, bo wtedy ich mężowie każą im mówić „nie”.

Wittel odzywa się po chwili:

– Nie są takie głupie. Kobiety chętnie mają do czynienia z innymi mężczyznami... Wiele tylko czeka na przyzwolenie; jeżeli nie ma przyzwolenia, to i tak to zrobią. Zawsze tak było i będzie.

Po powrocie z Prossnitz do Brünn Jakub znowu jest chory. Wittel Matuszewska twierdzi, że te jego choroby biorą się z nieumiarkowania w jedzeniu tutejszych hermelinów, serów miejscowych, które na gorąco Pan raczy spożywać w wielkich ilościach. Żaden żołądek tego nie strawi, piekli się. Tym razem jednak wraca bolesna przepuklina. U dołu podbrzusza, prawie w pachwinie, pojawia się zgrubienie, wyłazi na wierzch z brzucha. Miał to już w Iwaniu. Wittel i te, które służą Panu za dnia albo nocą, opowiadają z przejęciem, że Pan ma dwa członki. W kuchni mówi się, że drugi członek się ukazuje, gdy ma się stać coś ważnego. Kobiety chichoczą, różowią im się policzki.

Z ruptury, na którą podobno nie ma lekarstwa – może ta choroba zresztą jest widomym błogosławieństwem – Pan leczy się sam. W jego ulubionym lesie pod Brünn jest dąbrowa, tam Pan wybiera młody dębczak i każe go przeciąć wzdłuż na pół, po czym krzesze ogień i wkłada tam i kamień, i nadpaloną hubkę. Potem owija to rózgami i każe wszystkim iść precz. Tak robi kilka razy i ruptura się cofa.

W tym samym czasie posłał po Ewę do Wiednia i sprowadził pewnego artystę, który specjalizował się w portretach miniaturkach. Kazał zrobić trzy. Ewa pozowała niezadowolona, że ją od dworu cesarskiego odciągnięto, a przecież w każdej chwili mógł ją wezwać do siebie cesarz. Miniaturki posłano do braci z Hamburga i Altony z prośbą o finansowe wsparcie dworu i samej Panny, która u cesarza przebywa, co kazał wielokrotnie podkreślać.

Na wykładach wieczornych, które przeciągają się często do późnej nocy, Jakub najpierw opowiada baśnie i przypowieści, potem zaczyna się poważniejsza część. Słuchacze siedzą na wszystkim, na czym się da – starsi na fotelach, kanapach i ławkach znoszonych w tym celu z jadalni, młodzi zaś siadają na podłodze na tureckich poduszkach, których tu wszędzie pełno. Ci, którzy nie słuchają, wędrują w myślach do swoich spraw i tylko od czasu do czasu wyrywa ich z zamyślenia czyjeś nie dość mądre pytanie czy nagły wybuch śmiechu.

– Zrobimy trzy kroki, pamiętajcie – zaczyna Pan.

Trzy kroki – jeden to chrzest, drugi to wejście do Daat, a trzeci to królestwo Edomu.

Pan ostatnimi czasy najchętniej mówi o Daat, co po hebrajsku znaczy w i e d z a, największa wiedza, taka sama, jaką ma Bóg. Może ona być jednak dostępna człowiekowi. Jest to też 11 Sefira, która stoi wewnątrz Drzewa Sefirot i od początku nie poznał jej jeszcze żaden człowiek. Ten, kto idzie z Jakubem, idzie wprost do Daat, a gdy się tam dojdzie, wszystko zostanie unieważnione, także śmierć. To będzie wyzwolenie.

Jędrzej Dembowski w trakcie wykładu rozdaje wydrukowane kartki z wizerunkiem Drzewa Sefirot. Wpadł na to niedawno i cieszy się, że i do nich zawitały nowoczesne, oświecone metody uczenia. W ten sposób słuchający mogą sobie łatwo unaocznić, gdzie mieści się zbawienie w ogólnym planie stworzenia.

O pociągu do tajemniczych eksperymentów na materii

Thomas von Schönfeld, który z braćmi po śmierci ojca zainwestował pieniądze w zamorski handel, teraz zbiera pierwsze zyski. Kilka razy w roku jeździ do Amsterdamu i Hamburga, bywa także w Lipsku i wraca stamtąd z dobrymi kontraktami. Jego bracia założyli w Wiedniu mały bank i pożyczają pieniądze na procent. Thomas przeprowadza też dla cesarza jakieś nie do końca wiadome rozpoznania dotyczące Turcji, w których z przyjemnością i lojalnością posługuje się szerokimi kontaktami swojego wuja, Jakuba Franka.

Jakub go często wzywa listami; pożycza przez niego pieniądze od banków w Wiedniu. Thomas wozi weksle. Namawia Jakuba, żeby lokował pieniądze, które przychodzą z Polski, na procent, lub dobrze inwestował, zamiast trzymać je w beczkach w piwnicy, jak by tego chcieli Czerniawska z mężem, oni są teraz skarbnikami dworu.

Ale najważniejszą rzeczą w czasie trwania tej wyjątkowej miłości wujowsko-siostrzeńczej są dziwne wizyty „braci”, jak o nich mówi Thomas, takich jak Efraim Josef Hirschfeld i Nathan Arnstein, obaj

bogaci przemysłowcy z Wiednia, Bernard Eskeles, bankier, którego wcale nie interesują pieniądze, czy pewien drukarz będący hrabią i ojcem chrzestnym Thomasa von Schönfelda. Ten to hrabia wkrótce wystąpi o tytuł szlachecki dla chrześniaka.

Na razie Thomas używa „von” bezprawnie, najczęściej wtedy, gdy wyjeżdża do Niemiec albo do Francji. Lecz jednocześnie – także za jego sprawą – ruszyła już korespondencja w materii tytułu barona, o jaki zabiega Jakub Frank. Tutaj, w Brünn, używa nazwiska Dobrucki, co jest jak najbardziej uzasadnione, jako że jest przecież spokrewniony z Dobruszkami z Prossnitz. Więc – Józef hrabia Dobrucki. Jakub jest imieniem odświętnym, purpurowym płaszczem, który zakłada się na szczególne okazje.

Na długo przed śmiercią Marii Teresy w 1780 roku na biurku jej syna pojawia się prośba o austriackie uszlachcenie Jakuba Franka, bo polskie już ma, pisana prawniczym, ładnym i budzącym zaufanie stylem Thomasa von Schönfelda. Drugie pismo, dołączone przez skrupulatnego i lojalnego sekretarza, to donos sformułowany w ten charakterystyczny sposób, w jaki pisze się donosy – bezosobowo, z niezmąconą pewnością, a jednocześnie jakby szeptem:

> ...należy być świadomym, że istniała w przeszłości, a i w sposób nieunikniony istnieje i dzisiaj wiedza niedostępna powszechnie, zajmująca się rzeczami, wydawałoby się, naturalnymi, które jednak rozumiane są jako ponadnaturalne, a także tradycja rozpatrywania tego, co dzieje się na naszej planecie, za pomocą wiary w cykle. Tradycja ta zajmuje się śmiało tym, na co my, bogobojni katolicy, byśmy się nie odważyli – rozważaniem kwestii Istoty Boskiej. Mówi się, że nauki takie zawarte są w chaldejskiej księdze mądrości zwanej Zoharem. Mądrości te wyrażone są tam w sposób niejasny i specjalnie alegoryczny, po to aby postronni niepotrafiący stosować technik numerycznych i symboli hebrajskich zrozumieć jej nie mogli. Zresztą dotyczy to także Żydów – tylko niewielu z nich jest w stanie zrozumieć to, co tam napisano. Do tych, którzy to potrafią, należy między innymi poddany Jego Wysokości, ów Frank mieszkający w Brünn. Wiedza tego pokroju ludzi wystarcza im, by przeprowadzać tajemnicze eksperymenty na materii i zadziwiać nimi nieobeznanych. Jest to czysta

szarlataneria, lecz tworzy wokół tych ludzi atmosferę niezwykłości i buduje fałszywe domniemania na ich temat. Mówi się jednakowoż, że po zburzeniu Drugiej Świątyni pozostałości owej wiedzy rozproszyły się po całym świecie Orientu, głównie po krajach arabskich. Arabowie zaś przekazali ją templariuszom...

Cesarz w tym momencie ciężko wzdycha, przerwałby, gdyby nie to, że rozpoznaje pod listem znajome nazwisko. Czyta więc dalej:

...którzy na powrót przywieźli ją do Europy, dając asumpt do powstania wielu herezji. Ta sama wiedza, czy jej fragmenty, stała się istotnym kamieniem węgielnym tego, w co wierzą i czym się zajmują masoni, lecz nie wszyscy, a tylko tacy, których to jednym z najważniejszych jest Thomas von Schönfeld vel Mojżesz Dobruszka...

– Pani, czy twój ojciec potrafi robić złoto? – pyta cesarz Ewę, gdy kilka dni potem ta pojawia się w jego sypialni w Schönbrunn. Mówi do niej „meine Vogel”, czyli: „mój ptaszku”.

– Oczywiście – odpowiada Ewa. – Mamy pod domem w Brünn przejścia do tajemnych kopalni złota, prowadzą aż na Śląsk.

– Pytam poważnie – mówi cesarz, ściąga brwi i na jego nieskazitelnie czystym czole pojawia się pionowa zmarszczka. – Mówiono mi, że to możliwe.

Po wiedeńskiej prapremierze opery *Wesele Figara* niejakiego Mozarta, której zażyczył sobie cesarz jeszcze przed premierą we Francji, do Ewy podchodzi elegancki, wysoki i postawny, acz niemłody już mężczyzna. Jego biała peruka jest doskonale ułożona, a strój tak wykwintny i tak inny od tych, które nosi się w Wiedniu, iż nie ma wątpliwości, że przybył tutaj prosto z Paryża.

– Wiem, kim jesteś, pani – odzywa się po francusku, spoglądając na nią nieco z ukosa.

Ewie to schlebia, że rozpoznano ją pośród tylu wielkich pań, i właściwie na tym zakończyłaby już tę znajomość, ale elegant mówi dalej:

– Jesteś, pani, kimś takim jak ja, kimś obcym temu widowisku. Nie mam racji?

Ewa płoszy się. Myśli, że to jakiś impertynent; chce odejść i odruchowo szuka w tłumie ojca.

– Widać, pani, że twoja szlachetność i uroda są o wiele głębszej natury, biorą się z czystego serca; jesteś pani jak gwiazda, która zabłądziła pod te banalne dachy, jak zgubiona iskra z najczystszej komety... – ciągnie nieznajomy. Mimo że nie pierwszej młodości, jest wciąż bardzo przystojny. Jego upudrowana twarz wydaje się Ewie nieprzenikniona. Kątem oka widzi ciekawe spojrzenia innych kobiet.

Ponieważ cesarz nie interesuje się nią tego wieczoru i znika szybko ze swą świeżą kochanką, Ewa spędza czas z owym nieznajomym. Jest za stary, by można było traktować go jak mężczyznę, za miękki, za bardzo wygadany, w gruncie rzeczy wydaje się jej całkowicie niemęski. Idą do palarni i towarzysz częstuje ją świetnym tytoniem. Przynosi jej

szampana i – to dziwne – rozmawiają o psach. Ewa skarży się, że jej charty są bardzo delikatne i wydają jej się głupie. Tęskni do psa, którego miała w dzieciństwie. Mężczyzna wykazuje się wielką znajomością zwyczajów psów i tajników ich hodowli.

– Duże psy są chorowite i żyją krótko, charty są tego przykładem, bo krzyżuje się je między sobą, aż się zupełnie zdegenerują. Jak ludzie – dodaje ów starszy elegant. Jej przydałby się piesek malutki, ale dzielny. Mały lew. Takie hodują w Tybecie, podobno to święte psy.

Nie wiadomo kiedy i jak rozmowa schodzi na „dzieło". Ten temat fascynuje wszystkich, choć niewielu zgłębiło go naprawdę; większości chodzi tylko o złoto. A przecież alchemia to ścieżka do mądrości. I Giacomo Casanova zawile tłumaczy Ewie Frank znaczenia poszczególnych stadiów „dzieła". Są właśnie przy nigredo.

Ewa ściska brzuch. Oddaliła Magdę Golińską, która ma długi język. Magda wróciła do Brünn. Wychodzi za mąż za Szymanowskiego, który ją odbił Golińskiemu. Tylko Anusia Pawłowska wie o wszystkim, ale nie mówią o tym. Pomaga Ewie bandażować biodra i zaokrągloną talię, robi to tak, jakby to było zupełnie normalne. Jest bardzo delikatna, ale stanowcza. Kiedyś przyszedł do Ewy ojciec, gdy już leżała w łożu, i swą pewną rękę wsadził pod przykrycie. Jego szorstkie, kościste palce wymacały kłopotliwą okrągłość. Ewa zagryzła wargi. Ojciec położył się przy niej i pogłaskał ją po głowie, potem jednak jego palce wpiły się w jej włosy i za te włosy szarpnął jej głowę do tyłu. Patrzył jej długo w oczy, ale tak, jakby nie ją widział, lecz coś, co dopiero się wydarzy. Ewa struchlała. Zdarzyło się najgorsze, co może być – ojciec jest zły. Ewa panicznie boi się jego gniewu. Nie pokazał się już potem, a ona sama nie wychodziła, udając, że jest chora.

W końcu pojawiła się Wittel Matuszewska i dała Ewie do wypicia dużo słonej wody z czymś gorzkim, ohydnym. Następnego dnia też przyszła – gniotła jej brzuch, aż wieczorem pojawiła się krew. Dziecko było malutkie, wielkości ogórka, długie, chude i martwe. Matuszewska z Anusią zawinęły je w szmaty i gdzieś wyniosły. Przez przypadek do pokoju zajrzała ta Francuzka, która uczyła Ewę. Jeszcze tego samego dnia została oddalona.

Wszystkie odmiany popiołu, czyli jak zrobić złoto domowym sposobem

Gdy Thomas wypowiada słowo „alchemia”, robi to tak, jakby z jego ust wysuwał się mały, krągły bochenek chleba, jeszcze ciepły.

Na pracownię zostaje przeznaczony ostatni pokój na końcu korytarza, przy izbach Jakuba. Jakub zamawia specjalną aparaturę z Włoch za pośrednictwem generała Balwicciniego, którego poznał na cesarskim dworze. Tę maszynerię, złożoną z retort i palników, szklanych rurek i słojów, rozstawia się starannie i uważnie na specjalnie w tym celu zrobionych stołach i półkach, tak żeby na Boże Narodzenie wreszcie rozpalić od pierwszej chanukowej świeczki ogień pod retortą. Thomas von Schönfeld, już ojciec trójki dzieci, zawsze w śnieżnobiałej peruce i w eleganckim stroju, zjawia się, kiedy tylko jest obecny w kraju. Przywozi ogromne ilości prezentów, dla każdego z braci i każdej z sióstr.

Obaj z Jakubem prawie nie wychodzą wtedy z pracowni i nikomu tam wejść nie pozwalają, wtajemniczony zostaje tylko Matuszewski i jeszcze jeden znajomy Thomasa, niejaki hrabia Ecker und Eckhofen, który tak pięknie tańczył z Ewą u cesarza. Teraz jednak wiadomo powszechnie, że nie jest on zainteresowany kobietami, co nie przeszkadza, żeby znał się na dziele. Niestety, do marca nie udaje się w żaden sposób otrzymać ani kawałeczka złota czy srebra. W niezliczonych naczynkach i słojach od czasu do czasu pojawiają się tylko cuchnące płyny i wszystkie możliwe rodzaje popiołu.

Jakubowi śni się, że grafowa Salm, którą poznał na dworze i która darzy go wyjątkowymi względami, radzi mu, żeby na bóle karku, które rzeczywiście go nękają ostatnio, „zażyć Morawy”. Z pewnością znaczy to, że już niedługo nadejdzie pomoc w złocie, a byłaby niezwykle pożądana, dwór jest bowiem zadłużony ponad wszelką miarę, mimo spekulacji Thomasa. A może nawet z ich powodu. Namówił on bowiem Jakuba, a przede wszystkim Zwierzchowskich i Czerniawskich, do zainwestowania w giełdzie. I jeśli na początku udało się zyskać tyle, żeby spłacić długi, to jednak potem dobra passa odwróciła się. To wtedy

zrodził się pomysł z alchemią. Teraz Thomas wpada na jeszcze przedniejszy koncept – zaczynają butelkować przezroczysty, pięknie pachnący płyn o złotawym kolorze, który jest pochodną pewnego słabego kwasu. Rozcieńczony porządnie, nie robi krzywdy skórze. Jego kropla wypita z kubkiem wody leczy wszystkie choroby – twierdzi Thomas. Sprawdził to na sobie Jakub, który cierpiąc na krwawienia z odbytu, zupełnie latem ozdrowiał.

Pierwsze skrzynki z buteleczkami z tym cudownym płynem jadą do gminy prawowiernych w Prossnitz, a gdy tam robią furorę, Wołowski zabiera je do Warszawy. Latem w kolejnym pokoju powstaje mała manufaktura i tam kobiety naklejają na buteleczki małe ozdobne etykietki, po czym umieszczają je w skrzyneczkach, które pojadą do Altony.

Niestety, nawet te „złote krople”, jak je nazwali, nie są w stanie pokryć wszystkich długów.

Jak widzą świat Pańskie sny

Zima 1785/1786 roku nie przynosi niczego dobrego. W pałacu przy Petersburger Gasse panuje chłód, a Pan jest ciągle chory i osowiały, Imość zaś prawie nie wychodzi ze swoich pokoi. Nagle, jakby ucięte nożem, skończyły się wyjazdy do Wiednia. Sprzedano jeden powóz, natomiast drugi, mały elegancki kocz, jest wciąż trzymany w wozowni, na wypadek gdyby jednak cesarz zmienił zdanie i chciał przywołać Ewę Frank do siebie. Żeby spłacić zobowiązania dostawcom, trzeba było też sprzedać cenny serwis. Po bardzo okazyjnej cenie kupił go generał Balwiccini. Sporo osób odesłano do domu i w pałacu zrobiło się cicho. Pali się tylko w sypialniach i w dużej sali, gdzie jest kominek. To z jego powodu większość dnia ci, co zostali na dworze, spędzają właśnie tutaj.

Rankiem, jeszcze przed śniadaniem, wierni schodzą się na słuchanie Pańskich snów. Pan pojawia się wtedy, kiedy wszyscy już są, i ważne jest to, jak przychodzi ubrany. Kobiety zauważyły, że kiedy ma na sobie białą koszulę, to będzie zły tego dnia i niejednego skarci. Jeżeli zaś włożył czerwoną szatę, znaczy to, że ma dobry humor.

Pan opowiada swój sen i jest on zapisywany przez młodego Czerniawskiego lub Matuszewskiego. Kiedy jest w Brünn Jakubowski, spisuje też i on. Potem swój sen opowiada Ewa – i też go zapisują. Następnie te sny są szeroko omawiane i komentowane. Utarł się zwyczaj, że inni również mogą opowiadać swoje sny i w ten sposób komentować sny Pana i Imości. Wynikają z tego niezwykłe koincydencje, o których dyskutuje się cały dzień. Opowiadanie snów trwa czasem do południa, więc Zwierzchowska zarządziła, żeby jeść przy tym małe śniadanie.

Na korytarzach i klatkach schodowych panuje przenikliwy chłód, drobne pazurki lodowatego śniegu drapią w szyby w oknach; wiatr szamocze się w kominach. Niemal daje się odczuć, jak na dom w Brünn napierają jakieś inne światy, gdzie nikt nie jest tym, kim jest, lecz kimś całkiem innym, i wszystko, co wydaje się stałe i pewne, traci swoje kontury i całą pewność własnej egzystencji.

Pan jest na dworze u króla pruskiego Fryderyka i podaje mu najlepsze wino, ale zanim naleje wina, wsypuje do szklanki piasek i ten piasek miesza z winem. I cesarz to pije z przyjemnością. I potem to samo daje do picia książętom i królom, którzy też tam są.

Dziwne, jak się taki sen rozgaszcza w świecie dziennym. Potem już każdy ma przed oczami obraz szklanicy z piaskiem i winem, i nawet gdy jedzą wieczorem i piją wino, to obraz sypiącego się piasku powraca, przy czym niektórzy – zwłaszcza kobiety, bo one jakby śnią więcej, a przynajmniej więcej pamiętają – mówią, że następnej nocy też piły piasek albo dawały pić innym; powstaje więc taka możliwość zamiany, która będzie im teraz towarzyszyć: zamienić piasek w wino, zamienić wino w piasek.

Panu ukazał się we śnie rabbi Symeon, ojciec Jakuba Szymanowskiego, i powiedział mu, że czeka na niego dziedziczka z Wojsławic. I ukazała mu się jako kobieta piękna, biała i młoda. Pan powiedział Symeonowi: „Wszak ona jest stara, brzydka i zawsze na czarno ubrana”. Symeon odrzekł mu: „Nie zważaj na to, to tylko cień. Ona ma wielkie bogactwa i tobie oddać je wszystkie chce”. Pan był w tym śnie jeszcze młody i tłusty. Dziedziczka Wojsławic karesowała go

i piersi przy nim obnażyła, i chciała mieć z nim obcowanie, ale Pan nie chciał, wzbraniał się.

Wszyscy zgadzają się po tym śnie, że oznacza on zakończenie kłopotów finansowych.

Pan widział na wielkim polu tysiące ułanów, sami prawowierni, jego synowie zaś, Roch i Józef, dowodzili nimi. Wykład pański: Wyjdę z Brünn i będę wreszcie siedział na swoim miejscu, a wtedy przyjedzie do mnie wielu panów i Żydów, żeby się ochrzcić.

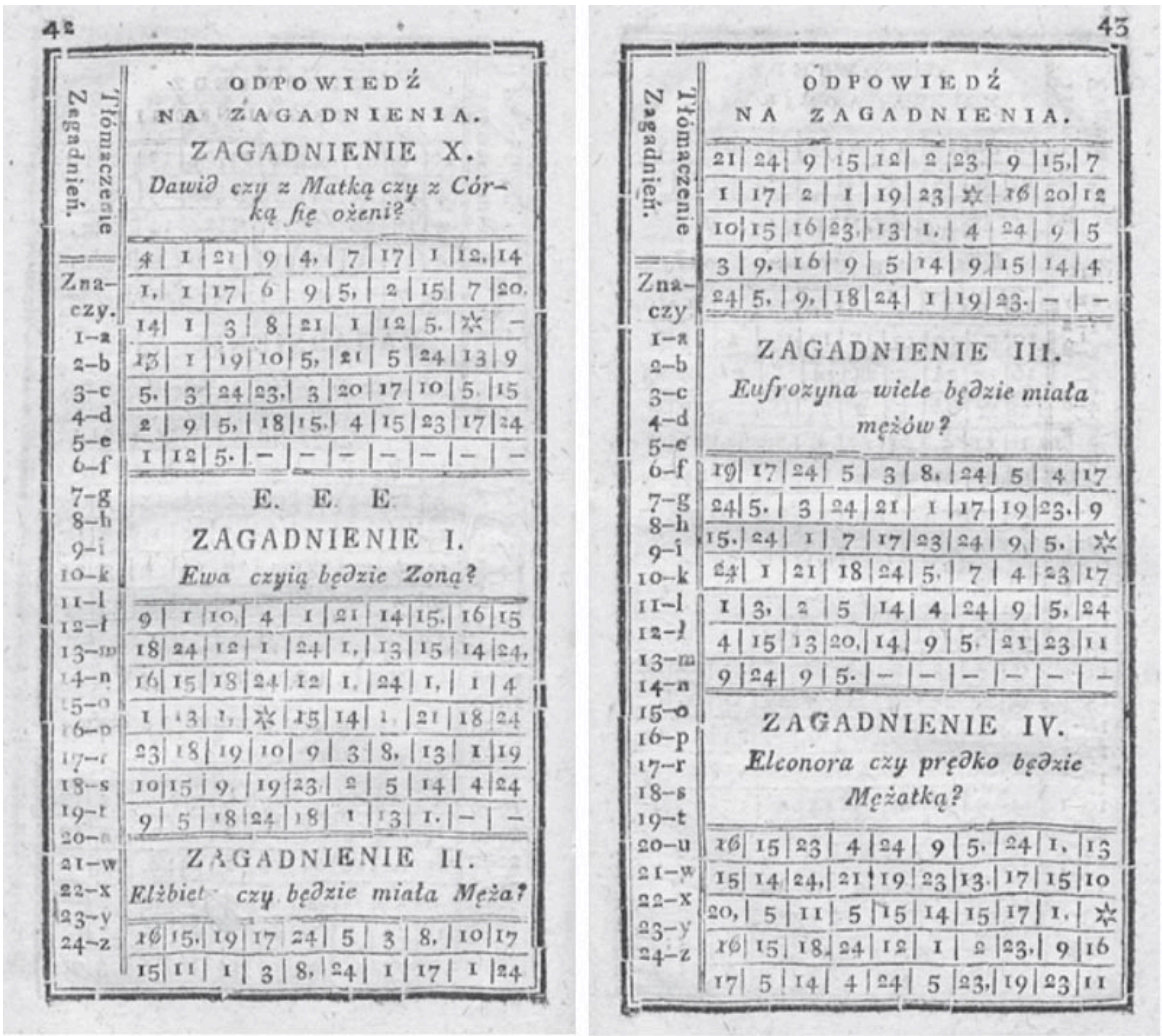

42

Tłómaczenie Zagadnień.

ODPOWIEDŹ NA ZAGADNIENIA.

ZAGADNIENIE X.

Dawid czy z Matką czy z Córką się ożeni?

	4	1	21	9	4.	7	17	1	12.	14
Znaczy.	1.	1	17	6	9	5.	2	15	7	20.
1–a	14	1	3	8	21	1	12	5.	✲	–
2–b	13	1	19	10	5.	21	5	24	13	9
3–c	5.	3	24	23.	3	20	17	10	5.	15
4–d	2	9	5.	18	15.	4	15	23	17	24
5–e	1	12	5.	–	–	–	–	–	–	–
6–f										
7–g										
8–h										
9–i										
10–k										
11–l										
12–ł										
13–m										
14–n										
15–o										
16–p										
17–r										
18–s										
19–t										
20–u										
21–w										
22–x										
23–y										
24–z										

E. E. E.

ZAGADNIENIE I.

Ewa czyią będzie Żoną?

	9	1	10.	4	1	21	14	15.	16	15
	18	24	12	1	24	1.	13	15	14	24.
	16	15	18	24	12	1.	24	1.	1	4
	1	13	1.	✲	15	14	1.	21	18	24
	23	18	19	10	9	3	8.	13	1	19
	10	15	9.	19	23.	2	5	14	4	24
	9	5	18	24	18	1	13	1.	–	–

ZAGADNIENIE II.

Elżbiet czy będzie miała Męża?

	16	15.	19	17	24	5	3	8.	10	17
	15	11	1	3	8.	24	1	17	1	24

43

Tłómaczenie Zagadnień.

ODPOWIEDŹ NA ZAGADNIENIA.

	21	24	9	15	12	2	23	9	15.	7
	1	17	2	1	19	23	✲	16	20	12
	10	15	16	23.	13	1.	4	24	9	5
	3	9.	16	9	5	14	9	15	14	4
Znaczy	24	5.	9.	18	24	1	19	23.	–	–
1–a										
2–b										
3–c										
4–d										
5–e										
6–f										
7–g										
8–h										
9–i										
10–k										
11–l										
12–ł										
13–m										
14–n										
15–o										
16–p										
17–r										
18–s										
19–t										
20–u										
21–w										
22–x										
23–y										
24–z										

ZAGADNIENIE III.

Eufrozyna wiele będzie miała mężów?

	19	17	24	5	3	8.	24	5	4	17
	24	5.	3	24	21	1	17	19	23.	9
	15.	24	1	7	17	23	24	9	5.	✲
	23	1	21	18	24	5.	7	4	23	17
	1	3.	2	5	14	4	24	9	5.	24
	4	15	13	20.	14	9	5.	21	23	11
	9	24	9	5.	–	–	–	–	–	–

ZAGADNIENIE IV.

Eleonora czy prędko będzie Mężatką?

	16	15	23	4	24	9	5.	24	1.	13
	15	14	24.	21	19	23	13.	17	15	10
	20.	5	11	5	15	14	15	17	1.	✲
	16	15	18.	24	12	1	2	23.	9	16
	17	5	14	4	24	5	23.	19	23	11

Pan widział grafa Wessla, od którego starał się pałac w Pilicy wynająć, że siedział on na małym stołeczku w swojej karecie. Wykład pański: Przyjdzie wspomożenie w złocie, a prośba grafa zostanie wypełniona, bo prosił, żeby wziąć jego córkę do dwórek Ewy.

Pan widział piękną pannę siedzącą na górze, a wkoło niej były same zioła i trawy świeże i bujne. A spomiędzy jej nóg biło źródło czystej, słodkiej i zimnej wody. Ludzi bez liku stało i piło z tego źródła. I on też pił, ale dyskretnie, tak żeby na siebie nie zwracać uwagi. Wykład tego snu odbywa się wieczorem w sypialni Ewy, która ostatnio jest bardzo zgnębiona. Sen ten definitywnie musi znaczyć jedno: że wyjdzie w końcu za mąż.

Ewa czeka na znak od cesarza. Ale ten nie nadchodzi. Od czasu pogrzebu matki cesarz nie posyła po nią. I już pewnie nie pośle. Mimo iż wiedziała, że tak będzie, czuje się teraz marna i porzucona. Schudła. Do Wiednia nie chce jeździć, zbyt wiele jej przypomina, choć zaprzyjaźniona hrabina Wessel próbowała jej wytłumaczyć, że jako była kochanka cesarza, mogłaby mieć teraz każdego i wszystko. Wybiera się jeszcze tylko na pogrzeb cesarzowej, ale tak wielki jest tam tłum, że giną w tym tłumie jej nowa suknia i kapelusz, gubią się jej piękne oczy i wschodni wdzięk.

Cesarzową pięknie ubrano do trumny, w pianie koronek utonęła jej potężna tusza. Ewa Frank stała wystarczająco blisko, żeby zobaczyć koniuszki jej sinych palców złożonych na piersi. Odtąd codziennie pełna obaw ogląda swoje, bojąc się, że to znak śmierci. Na pogrzebie opowiadano sobie półgłosem, jak to było z tą śmiercią Marii Teresy. Podobno cesarzowa osunęła się na fotel i zaczęła się dusić. Jedna z dworek mówiła dramatycznym szeptem, że młody cesarz, jak zwykle zimnokrwisty, zdążył jej jeszcze zwrócić uwagę, że źle upadła. „Wasz majestat źle się ułożył”, miał rzec. „Wystarczająco dobrze, żeby umrzeć”, odpowiedziała podobno cesarzowa i rzeczywiście umarła.

Ewa obiecuje sobie, że ona też umrze godnie. „Najlepiej młodo”, mówi, a to drażni jej ojca. Jakub twierdzi, że teraz, kiedy Józef stał się jedynym władcą, będzie wreszcie robił, co chce, i wierzy, że ożeni się z Ewą.

Każe jej szykować suknie, bo za chwilę wróci na dwór. Ale Ewa wie, że już nie wróci. Boi się powiedzieć o tym ojcu, dlatego wieczorami z Anusią Pawłowską naprawiają naderwane koronki i wróżą sobie z kabały przywiezionej przez Anusię z Polski.

Ewa od jakiegoś czasu obgryza skórki z paznokci. Czasem ma tak poranione palce, że tylko rękawiczki są w stanie to ukryć.

O Franciszku Wołowskim w zalotach

Franciszek Wołowski, pierworodny syn Szloma, czyli Łukasza Franciszka Wołowskiego, jest spokojnym, wysokim, przystojnym młodym człowiekiem, starszym o rok od Ewy; mówi powoli, z rozwagą. Chodził do polskich szkół i marzył o uniwersytecie, ale to się mu nie udało. Sam za to dużo czytał i zna się na wielu rzeczach. Mówi po hebrajsku, żydowsku, polsku i niemiecku. W każdym z tych języków na swój własny sposób, bo ma lekką wadę wymowy. Nie chce zostać z ojcem w Warszawie i zajmować się warzeniem piwa. Ma w końcu szlachecki tytuł. Chciałby robić rzeczy wielkie i ważne, choć jeszcze nie wie dokładnie jakie. Gdy przyjeżdża do Brünn, jest już w tym wieku, że powinien się ożenić. Jako syn jednego z najstarszych i najważniejszych braci ma przywileje. Dostaje dwuosobowy pokój – zamieszkuje w nim ze stryjecznym bratem. Ów, młodszy o kilka lat, skończył kolegium pijarów, czego mu Franciszek bardzo zazdrości.

Ojciec Franciszka, Szlomo Wołowski, już pisał w sprawie małżeństwa syna do Jakuba Franka; może nie opisał tego wprost, ale list był ciepły nad wyraz i nie brakowało w nim wspomnień, powoływania się na pamięć Eliszy Szora i zapewnień o miłości braterskiej, co mogło wskazywać, że Wołowscy liczą na coś, co scementuje związki warszawskiej machny z brünneńskim dworem. Jest w tej idei coś bardzo oczywistego, wiele razy wspominano o takim małżeństwie, jeszcze w Iwaniu, gdy dzieci były małe. Cóż w tym niezwykłego, że Franciszek przyjedzie oświadczyć się o rękę Ewy?

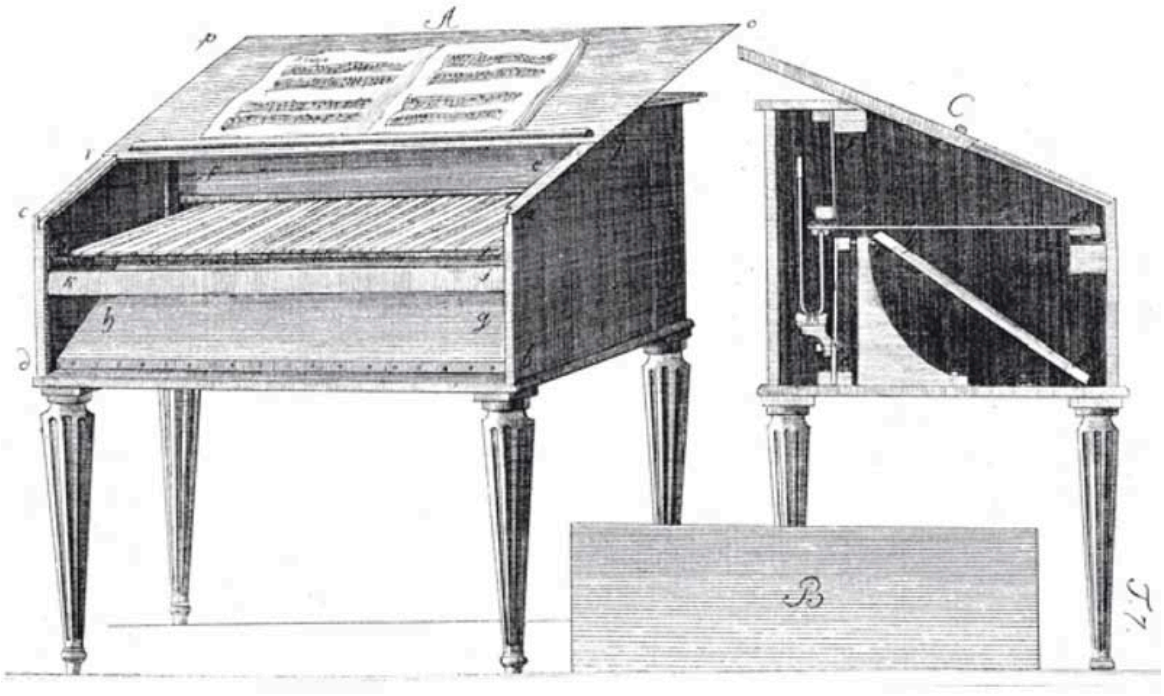

Franciszek spokojnie czeka, aż go zaproszą na swoje pokoje wieczorem. W końcu, schludnie ubrany, wita się serdecznie z Panem i Ewą, a potem, po dość trudnej rozmowie (nigdy nie umiał swobodnie konwersować), pozwala mu się nawet przewracać nuty, gdy Ewa gra na właśnie zakupionym nowiutkim instrumencie. Wkrótce Franciszek, tak jak życzyli sobie tego rodzice, jest zakochany, choć można śmiało powiedzieć, że Ewa chyba nawet nie zarejestrowała obecności tego przewracacza nut.

– Nie przeszkadza ci, że ona się gziła w tym Wiedniu? – pyta go kuzyn, gdy leżą już w łóżkach, zmęczeni całodziennym huzarowaniem i musztrą. Franciszek się zupełnie do tego nie nadaje.

– Gziła się z cesarzem. Zresztą o cesarzu nie mówi się, że się „gzi”, cesarz flirtuje, cesarz ma romanse... – mądrze odpowiada Franciszek.

– I chciałbyś ją mieć za żonę?

– A jakże. Jest mi przypisana, jako że mój ojciec jest najbliższym Panu prawowiernym, najstarszym z braci.

– Mój także, kto wie, czy nie bliższym. Był z nim w Częstochowie, a potem uciekał przez mur, kiedy umarła Imość Chana.

– Dlaczego uciekał?

– Tak mówił, że skakał z muru, bo był przestraszony.

Franciszek Wołowski młodszy odpowiada na to spokojnie, jak to on:

– Nasi ojcowie wierzyli, że odkąd są z Panem, śmierć ich nie dotyczy. Dzisiaj trudno to zrozumieć.

– Wierzyli, że są nieśmiertelni? – głos kuzyna zmienia się w pełen niedowierzania dyszkant.

– Cóż cię tak dziwi? Ty też w to wierzysz.

– No tak, ale nie na ziemi. W Królestwie Niebieskim.

– Czyli gdzie?

– Nie wiem. Po śmierci. A ty jak myślisz?

O Samuelu Ascherbachu, synu Gitli i Aszera

Jenta, która jest wszędzie, spogląda teraz na Samuela, syna Gitli i Aszera, czyli Gertrudy i Rudolfa Ascherbachów, którzy mają zakład optyczny na Alte Schmiedegasse w Wiedniu. Ten chudy, pryszczaty młodzieniec, student prawa, stoi z kolegami i patrzy na przejeżdżający bogaty otwarty powóz. W powozie siedzi jakiś mężczyzna w wysokiej czapie, a obok niego piękna młoda kobieta. Kobieta ma oliwkową cerę i ogromne ciemne oczy. Cały jej strój jest jasnoseledynowy i nawet pióra w kapeluszu są tej samej barwy – wydaje się, jakby świeciła jakimś podwodnym światłem. Jest drobna, ale doskonale zbudowana – szczupła w pasie i krągła. Jej duży dekolt zakrywa śnieżnobiała koronkowa chusteczka. Powóz zatrzymuje się i służący pomagają tej parze wysiąść.

Chłopcy patrzą z ciekawością, a z pełnych podniecenia szeptów przechodniów Samuel dowiaduje się, że to jest jakiś polski prorok z córką. Znikają w drogim sklepie ze słodyczami. I tyle. Chłopcy ruszają do swoich spraw.

Samuel bywa czasami wulgarny, ale w tym wieku jest to do wybaczenia.

– Nabiłbym ją na drąg, tę piękną polską paniusię – mówi.

Jego towarzysze rechoczą.

– Nie dla psa kiełbasa, Ascherbach. To wielka pani.

– Właśnie wielkie panie nabiłbym chętnie na drąg.

Seledynowa piękność zrobiła na Samuelu ogromne wrażenie. Wieczorem, gdy się onanizuje, to właśnie ją sobie wyobraża. Jej pełne, jędrne piersi wyskakują z dekoltu, a wśród spienionych halek Samuel znajduje gorący, wilgotny punkt, który go pochłania i zalewa rozkoszą.

28

Aszer w kawiarni wiedeńskiej albo Was ist Aufklärung? 1784

Herbata z Chin, kawa z Turcji, czekolada z Ameryki. Wszystko tu mają. Stoliki stoją gęsto, przy nich zgrabne krzesła z giętego drewna, fikuśne, na jednej nodze. Przychodzą tu z Gitlą-Gertrudą, zamawiają do kawy słodki torcik, który zjada się małą łyżeczką, powoli, smakując każdy kęs. Czekolada wybucha w ustach prawdziwą rozkoszą, od której widok na ulicę zamazuje się. Kawa zaś przywraca ostrość wzroku. Kończą w milczeniu tę wojnę żywiołów w ludzkich ustach i siedzą, przyglądając się kolorowemu tłumowi, który przewala się pod katedrą Świętego Stefana.

Na półce przy wejściu znajdują się gazety, to nowa moda, która podobno przyszła tu prosto z Niemiec i Anglii. Bierze się gazetę i siada przy stoliku, najlepiej tym najbliżej okna, tam jest najjaśniej, inaczej trzeba czytać przy świecach, co męczy wzrok. Na ścianach powieszono wiele obrazów, ale trudno na nich coś rozpoznać w półmroku, nawet za dnia. Często goście podchodzą do nich z lichtarzem i podziwiają pejzaże i portrety w niepewnym świetle świec.

I jeszcze do tego dokłada się rozkosz z czytania. Najpierw czytał gazety od deski do deski, spragniony druku; teraz już wie, gdzie znajdzie coś interesującego. Żałuje, że słabo zna francuski, musi to zmienić, bo sprowadzają tutaj też francuskie pisma. Dobiega sześćdziesiątki, ale umysł ma sprawny i rzutki.

„Istnieje niezliczona ilość punktów widzenia, poprzez które można wyrazić zarówno świat materialny, jak i świat idei, a liczba możliwych systemów przekazywania ludzkiej wiedzy jest tak samo wielka jak liczba tych punktów widzenia”, to przetłumaczono na niemiecki. Są to słowa niejakiego Diderota. Niedawno z zachwytem oglądał *Encyclopedie*.

Aszer Rubin dobrze trafił. Kiedy po wyjeździe ze Lwowa znaleźli się tutaj, w Wiedniu, Aszer kazał wpisać do urzędniczych rubryk swoje nazwisko – Ascherbach. Przyjął imiona Rudolf Józef, zapewne po młodym cesarzu, którego pęd do wiedzy tak mu imponuje i którego podziwia; Gitla zaś stała się Gertrudą Anną. Rodzina doktorostwa Ascherbachów zamieszkuje teraz w porządnej kamienicy przy Alte Schmiedegasse. Ascherbach jest okulistą; najpierw leczył miejscowych Żydów, lecz wkrótce jego klientela się poszerzyła. Leczy zaćmę i przysposabia okulary. Mają też sklep optyczny, nieduży, który prowadzi Gitla-Gertruda. Dziewczynki uczą się w domu, mają guwernera, Samuel studiuje prawo. Aszer natomiast kolekcjonuje książki, to jego główna pasja; ma nadzieję, że kiedyś jego zbiór przejmie Samuel.

Pierwszy zakup Aszera-Ascherbacha to sześćdziesiąt osiem tomów *Universal Lexicon* Johanna Heinricha Zelera, na który wydał właściwie pierwsze pieniądze. Szybko to sobie odbił. Pacjenci pojawiają się jeden za drugim, polecani przez innych pacjentów.

Gitla najpierw sarkała na ten zakup, ale któregoś dnia, kiedy wrócił ze szpitala, zobaczył ją pochyloną nad jednym z tomów i przyglądającą się jakiejś stronie; ostatnio zaś studiowała kształty muszel. Gertruda nosi okulary, które sobie sama wyszlifowała. Soczewka jest skomplikowana i pozwala jej patrzeć przez te same szkła daleko oraz czytać przez nie.

Wynajęli spore mieszkanie razem z warsztatem w oficynie. Rudolf Ascherbach zatrudnił tam starego, prawie już ślepego szlifierza, który robił szkła optyczne według jego recept. Gertruda po przyjeździe przesiadywała w warsztacie i patrzyła, jak staruszek precyzyjnie obrabia soczewki. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła to robić sama. Siadała przy stole, podciągając suknię nad kolano, żeby wygodnie jej było poruszać pedałem, który napędzał mechanizm szlifierek. I teraz to ona wykonuje okulary.

Często się kłócą i tak samo często godzą. Kiedyś rzuciła w niego kapustą. Teraz rzadko bywa w kuchni – mają kucharkę i dziewczynę, która pali w piecach i sprząta. Raz w tygodniu przychodzi praczka, raz w miesiącu szwaczka.

Ostatni tom tego ogromnego dzieła ukazał się w 1754 roku, a ponieważ Ascherbach układa książki na półkach nie według serii, tytułu, nazwiska autora, lecz według daty ukazania się, stoi teraz ten tom obok *Nowych Aten*, które przywieźli z Podola i na których Gitla uczyła się czytać po polsku. Nadaremny wysiłek. Ten język nie będzie im już potrzebny. Aszer czasami bierze je do ręki i przegląda, choć jego polski słabnie z dnia na dzień. Zawsze wtedy przypomina mu się Rohatyn i ma wrażenie, jakby chodziło o dawny, daleki sen, a on sam w tym śnie nie był wcale do siebie podobny, tylko jakiś stary i zgorzkniały, jakby dla niego czas pracował w drugą stronę.

Ascherbachowie, zgodnie ze swym cotygodniowym rytuałem, siedząc w niedzielne popołudnie w kawiarni, postanawiają włączyć się w dyskusję toczącą się od pewnego czasu na łamach pisma „Berlinische Monatsschrift", które regularnie czytują. To Gertrudzie przychodzi do głowy pomysł, żeby tego spróbowali, i sama wyrywa się do pisania, lecz Ascherbach uważa, że ona ma zły styl, zbyt ozdobny, więc zaczyna ją poprawiać i w ten sposób zaczynają pisać oboje. W dyskusji chodzi o to, żeby zdefiniować to modne, coraz bardziej przenikające i do rozmów pojęcie „oświecenie". Wszyscy używają sobie na nim jak mogą, ale każdy rozumie je nieco inaczej. Rzecz zapoczątkował niejaki Johann Friedrich Zöllner, który w jednym ze swoich artykułów, broniąc instytucji małżeństwa kościelnego, nawiązał do tego pojęcia i nawet nie w tekście głównym, a w przypisie rzucił pytanie: „Was ist Aufklärung?". Niespodziewanie wywołało ono odzew wśród czytelników, i to tych o znanych nazwiskach. Jako pierwszy odpowiedział na nie Moses Mendelssohn, a z czasem artykuł na temat oświecenia opublikował w piśmie słynny filozof z Królewca, Immanuel Kant.

Ascherbachów pociąga swoiste wyzwanie – wyszlifować słowo tak, żeby można było przez nie wyraźnie widzieć. Gertruda, która zawsze pali w kawiarni fajkę, przez co wzbudza pewne poruszenie wśród statecznych mieszczan wiedeńskich, sporządza pierwsze notatki. Zgadzają się tylko w tym, że rozum jest najważniejszy. Przez cały jeden wieczór bawią się metaforą światła rozumu, które oświetla wszystko po równi i beznamiętnie. Gertruda zauważa zaraz inteligentnie, że tam

gdzie jest coś jaskrawo oświetlone, pojawia się cień, zaciemnienie. Im mocniejsze światło, tym głębszy, intensywniejszy cień. No tak, to niepokojące, milkną.

I jeszcze – skoro człowiek powinien posługiwać się tym, co ma najcenniejszego, czyli rozumem, to przestają być ważne kolor skóry, rodzina, z jakiej się pochodzi, czy religia, jaką się wyznaje, czy nawet płeć.

Ascherbach dodaje, cytując Mendelssohna, którego ostatnio namiętnie czyta (na stole leży *Phädon oder über die Unsterblichkeit der Seele* – „Fedon, czyli nieśmiertelność duszy", tytuł jest wydrukowany czerwoną czcionką), że Aufklärung dla kultury jest tym samym, czym teoria dla praktyki. Oświecenie ma więcej wspólnego z nauką, z abstrakcją, kultura zaś jest doskonaleniem kontaktów międzyludzkich za pomocą słowa, literatury, obrazu, sztuk pięknych. Zgadzają się ze sobą. Kiedy Ascherbach czyta Mendelssohna, czuje się po raz pierwszy w życiu zadowolony z tego, że jest Żydem.

Gitla-Gertruda ma czterdzieści cztery lata, posiwiała i utyła, ale nadal jest piękną kobietą. Teraz, przed snem, zaplata swoje włosy w warkocze i chowa je pod czepkiem. Śpią razem, ale rzadziej niż kiedyś zbliżają się do siebie, choć Aszer, patrząc na nią, na jej uniesione pełne ramiona, na jej profil, wciąż czuje pożądanie. Myśli, że nikt na całym świecie nie jest mu tak bliski jak ona. Żadne z dzieci. Nikt. Jego życie zaczęło się wtedy, we Lwowie, gdy przyszła do niego dziewczyna w ciąży, gdy stanęła w drzwiach, przemarznięta, głodna i bezczelna. Teraz zaś Ascherbach żyje nowym życiem i nie ma nic wspólnego ani z Podolem, ani z tym niskim, rozgwieżdżonym niebem nad rynkiem w Rohatynie. Zapomniałby o tym zupełnie, gdyby nie pewien dzień.

Natyka się mianowicie na ulicy przed swoją ulubioną kawiarnią na znajomą twarz, młodego mężczyznę skromnie ubranego, który idzie zamaszystym krokiem z nutami pod pachą. Ascherbach patrzy nań tak natarczywie, że tamten zwalnia. Mijają się jakby opornie, oglądają się za sobą; w końcu przystają i podchodzą do siebie, bardziej zdziwieni niż ucieszeni tym nieoczekiwanym spotkaniem. Aszer rozpoznaje tego

młodego człowieka, ale nie bardzo potrafi dopasować zapamiętane imiona do czasu, a czas do miejsc, z którymi je kojarzy:

– Ty jesteś Szlomo Szor? – pyta po niemiecku.

Przez twarz chłopca przebiega cień i robi ruch, jakby chciał odejść. Ascherbach rozumie już, że się pomylił. Uchyla kapelusza, zmieszany.

– Nie, ja się nazywam Wołowski. Franciszek. Mylicie mnie z ojcem, panie... – odzywa się z polskim akcentem.

Ascherbach przeprasza, w jednej chwili rozumie jego zmieszanie.

– Ja jestem ten lekarz z Rohatyna. Aszer Rubin.

Już od lat nie wymawiał swojego dawnego imienia, chce nim teraz tego chłopca ośmielić. Nieswojo się z tym czuje, jakby włożył stopy w stare, rozdeptane buty.

Młodzieniec przez chwilę milczy, jego twarz nie wyraża żadnych emocji i dopiero teraz różnica między nim a jego ojcem jest wyraźna. Ojciec miał bardzo żywą mimikę.

– Pamiętam pana, panie Aszer – odzywa się po chwili po polsku. – Pan leczył ciotkę Chaję, prawda? Pan u nas bywał. Pan mi wyciągał gwóźdź z pięty, mam jeszcze bliznę.

– Nie możesz mnie pamiętać, synu. Byłeś za mały – mówi Ascherbach, nagle rozczulony, nie wiadomo czy tym, że go zapamiętano, czy tym, że mówi po polsku.

– Pamiętam. Ja bardzo dużo pamiętam.

Uśmiechają się, każdy do siebie, do tamtego czasu.

– Tak... – mówi z westchnieniem Ascherbach.

Idą przez jakiś czas w jednym kierunku.

– Co tu robisz? – pyta w końcu Aszer.

– Jestem w gościnie u rodziny – odpowiada spokojnie Łukasz Franciszek. – Czas się żenić.

Ascherbach nie wie, o co pytać, żeby nie natrafić na jakieś wrażliwe miejsce. Czuje, że jest ich wiele.

– Masz już narzeczoną?

– W głowie. Sam chcę wybrać.

Ta odpowiedź, nie wiadomo dlaczego, cieszy Ascherbacha.

– Tak, to bardzo ważne. Oby ci się udało wybrać dobrze.

Wymieniają jeszcze jakieś nieistotne informacje, z których niczego nie można się dowiedzieć, a potem każdy idzie w swoją stronę. Ascherbach wręcza chłopcu wizytówkę z adresem, a on długo na nią spogląda.

Nie opowiada Gitli-Gertrudzie o tym spotkaniu. Jednak wieczorem, gdy pracują nad tym artykułem do berlińskiej gazety, wraca do niego, jak wizja, pewna noc w Rohatynie, gdy szedł w ciemnościach przez rynek do domu Szorów. Nikłe światło gwiazd, które tylko obiecuje inną rzeczywistość, ale nawet nie oświetla ścieżki. Woń gnijących liści, zapach zwierząt w chlewikach. Chłód, który przenika do kości. Obcość i obojętność świata przeciwstawiona wielkiej ufności tych przygiętych do ziemi chałupek, niskich płotów obrośniętych suchymi sznurami powojnika, świateł w oknach, mizernych i niepewnych – wszystko mieściło się w tym marnym porządku świata. Tak przynajmniej wtedy widział to Aszer. Dawno o tym nie myślał, ale teraz nie może przestać. Więc Gitla, rozczarowana jego rozkojarzeniem, pisze sama, zadymiając przy tym niemiłosiernie cały salon.

Tego wieczoru Aszera ogarnia tamta melancholia. Jest rozdrażniony i każe sobie zaparzyć melisy. Nagle wydaje mu się, że oprócz tych wszystkich wzniosłych tez, które drukuje „Berlinische Monatsschrift”, poza światłem i rozumem, poza ludzką mocą i wolnością pozostaje coś bardzo istotnego, jakaś kleista, ciemna i ciastowata kraina, w którą wszelkie słowa i pojęcia wpadają jak w smołę, tracą kształt i znaczenie. Wzniosłe tyrady z gazety brzmią, jakby je wypowiadał brzuchomówca – niewyraźnie i groteskowo. Zewsząd dochodzi jakby chichot; może kiedyś Aszer pomyślałby, że to diabeł, dziś w żadne diabły nie wierzy. Przypomina mu się to, co powiedziała Gitla – cień; coś, co jest dobrze oświetlone, rzuca cień. To jest właśnie niepokojące w tym nowym pojęciu. Oświecenie zaczyna się wtedy, gdy człowiek traci wiarę w dobro i porządek świata. Oświecenie jest wyrazem nieufności.

O zdrowotnych aspektach prorokowania

Aszera wzywają niekiedy wieczorami do innych spraw. Chyba go ktoś polecił, bo miejscowi Żydzi, a zwłaszcza ci, którzy w tajemnicy skłaniają się ku asymilacji i których wielu pochodzi z Polski, z Podola, wołają go już nie jako okulistę, ale jako mądrego lekarza do spraw wstydliwych i dziwnych.

Dzieje się bowiem tak, że w tych przestronnych kamienicach, w jasnych pokojach, dochodzą do głosu stare demony, jakby wydobywały się ze szwów znoszonych ubrań, z pamiątkowych tałesów po dziadku, z kufy aksamitnej, dzianej niegdyś przez prababki, wyszywanej czerwonymi nićmi. A te kamienice to najczęściej domy bogatych kupców i ich licznych rodzin, dobrze zasymilowanych, bardziej wiedeńskich niż sami wiedeńczycy, bogatych, zadowolonych z siebie, ale tylko po wierzchu, bo tak naprawdę to niepewnych i zagubionych.

Aszer pociąga za uchwyt i słyszy z drugiej strony miły dla ucha dźwięk dzwonka.

W milczeniu ściska mu dłoń zatroskany ojciec dziewczyny; jej matka to jedna z córek morawskiego Żyda Seidla, kuzyna Szorów rohatyńskich. Prowadzą go prosto do pacjentki.

Choroba ze swej natury jest dziwna i niezbyt przyjemna. Wolałoby się ją jakoś ukryć, żeby nie narzucała się oczom przyzwyczajonym do pięknych ciężkich zasłon, do tapet w klasyczne wzory, tak teraz modnych, do wdzięcznie wygiętych nóżek stolików kawowych i tureckich dywanów. A jednak głowy tych rodzin zapadają na syfilis i zarażają swoje żony, dzieci miewają świerzb, szacowni wujowie i właściciele wielkich firm upijają się do nieprzytomności, a ich ślicznym córkom zdarza się zajść w ciążę. Wtedy właśnie wzywa się Rudolfa Ascherbacha, który na powrót staje się rohatyńskim Aszerem.

Tak jest i tutaj, u kupca Rudnitzkiego, który zaczynał od manufaktury guzików, a teraz ma fabryczkę pod Wiedniem szyjącą mundury dla wojska. Zachorowała jego młoda żona, którą poślubił jako wdowiec.

Mówi, że oślepła. Zamknęła się w pokoju, od dwóch dni leży tam w ciemności i boi się ruszyć, żeby nie wypłynęła z niej wraz z krwią miesięczną cała krew. Wie, że wszelkim krwotokom sprzyja ciepło, więc nie pozwala rozpalić w piecu i przykrywa się samym prześcieradłem, przez co nabawiła się już przeziębienia. Trzyma wokół łóżka zapalone świece, bo chce być pewna, że krew z niej nie płynie. Nie odzywa się. Wczoraj podarła kawał płóciennego prześcieradła i zrobiła sobie tampon, który włożyła między nogi, i tak ma nadzieję zatamować ewentualny krwotok. Boi się, że tak samo stolec może wywołać ów krwotok, więc nie je, żeby się nie wypróżniać, i zatyka sobie odbyt palcem.

Kupcem Rudnitzkym miotają sprzeczne uczucia – umiera z niepokoju i jednocześnie wstydzi się choroby młodziutkiej żony. Jej szaleństwo go przeraża i żenuje. Gdyby to wyszło na jaw, straciłby reputację.

Doktor Ascherbach siada na brzegu kanapy, na której ona leży, i bierze ją za rękę. Bardzo łagodnie zaczyna z nią rozmawiać. Nie spieszy się, pozwala jej na długie momenty milczenia. To koi nerwy. Znosi ciszę, która panuje teraz w dusznym, ciemnym i zimnym pokoju. Bezwiednie zaczyna gładzić chorą po ręce. Myśli o czym innym. Że okruchy ludzkiej wiedzy poczynają układać się jak ogniwa łańcucha, jeden łączy się z drugim nierozerwalnie. Wkrótce będzie tak, że wszystkie choroby będzie można wyleczyć, także i taką jak ta. Lecz teraz czuje się bezradny, nie rozumie jej cierpienia, nie wie, co za nim stoi, i jedyne, co może dać tej biednej, chudej, nieszczęśliwej dziewczynie, to jego własną ciepłą obecność.

– Co ci jest, dziecko? – pyta. Gładzi ją po włosach i pacjentka zaczyna na niego patrzeć.

– Czy mógłbym odsłonić okna? – pyta cicho.

Słyszy stanowczą odpowiedź:

– Nie.

Gdy wraca późnym wieczorem ulicami Wiednia, wciąż jeszcze pełnymi hałasu i gwaru, przypomina mu się, jak chodził w Rohatynie do Chai

Szor, gdy prorokowała, rzucając się po podłodze, prężąc ciało, cała spocona.

Rohatyn przy Wiedniu wydaje się dzisiaj Aszerowi snem śnionym pod pierzyną, w ciemnej, zadymionej izbie. Żadna z jego pacjentek nie mieszka już we wspólnej izbie, nie nosi na głowie szmate ani nie ubiera się w polski kubrak. Nikt tu nie cierpi na kołtun. Domy są wysokie, potężne, mają grube kamienne ściany, pachną wapnem, świeżym drewnem, z którego robiono schody. Większość tych nowych domów ma kanalizację. Na ulicach płoną gazowe lampy, same ulice zaś są szerokie i przewiewne. Przez czyste szyby w oknach widać niebo i smyczki dymów z kominów.

A jednak Aszer zobaczył dziś w tej chorej Chaję Szor z Rohatyna. Tamtą młodą kobietę, która teraz musi mieć już sześćdziesiątkę, jeżeli jeszcze żyje. Może ulgę przyniosłoby pani Rudnitzky prorokowanie, sprawne poruszanie się w ciemnościach rozumu, w jego cieniach i mgłach. Może tam też jest dobre miejsce do życia. Może to powinien poradzić jej mężowi: „Panie Rudnitzky, niech pańska żona zacznie prorokować, to jej pomoże”.

O figurkach z chleba

Chaja, Marianna, teraz drzemie. Głowę opuściła na piersi, ręce opadły jej bezwładnie i zaraz z jej kolan zsunie się księga rachunkowa. Chaja trzyma rachunki u syna. Polega to na tym, że siedzi całymi dniami w kantorze za sklepem i podlicza słupki cyfr. Sklep jest bławatny. Jej syn nazywa się Lanckoroński, jak wszyscy jej synowie i córki, i sama Chaja, już wdowa. Syn sprowadzał z Golińskim tkaniny, lecz Goliński poszedł w hurt i stracił wiele, Lanckoroński zaś zatrzymał się na detalu i lepiej na tym wyszedł. Sklep znajduje się na Nowym Mieście, jest bardzo ładny, zadbany. Po materiały przychodzą tu warszawskie mieszczki, bo ceny są rozsądne i można dostać rabat. Jest tu sporo prostych perkali, a także tańsza jeszcze, sprowadzana ze Wschodu bawełna, która podbija świat. Szyją sobie z niej sukienki panny służące i kucharki. Bogate mieszczki kupują lepsze materie, do tego wstążki, pióra, taśmy, haftki

i guziki. Oprócz tego Lanckoroński sprowadza z Anglii kapelusze, to jego nowy dział; chce otworzyć nieduży sklep z samymi angielskimi kapeluszami na Krakowskim Przedmieściu. Myśli też o manufakturze, bo nikt w Polsce nie robi porządnych filcowych kapeluszy. Dlaczego? Bóg jeden wie.

Chaja drzemie więc w kantorku. Utyła i nie chce jej się ruszać, bolą ją nogi, stawy jej pogrubiały i wydaje się, że trzeszczą boleśnie. Przez tę tuszę twarz Chai stała się nieco obrzękła, trudno odnaleźć w niej tamte dawne rysy. Właściwie tamta Chaja zniknęła, roztopiła się. Ta nowa Marianna jest jakby senna, jakby zawsze była we wróżebnym transie. Nadal, kiedy kto tylko do niej przychodzi po radę, rozkłada planszę; kiedy ją sobie rozłoży na stole i wygrzebie z drewnianego pudełka odpowiednie figury, jej powieki zaczynają drżeć, a wzrok wędruje ku górze, aż źrenice nikną. W ten sposób Chaja widzi. Figury rozstawione na płaskiej powierzchni tworzą rozmaite układy, jedne ładne, drugie brzydkie, takie, od których cierpną zęby. Chaja-Marianna potrafi rozłożyć na swojej planszy każde „dalej” i każde „bliżej”, zarówno w czasie, jak i przestrzeni, umie z pozycji figurki pokazać lgnięcie lub – przeciwnie – odpychanie. Widzi też jasno konflikt i zgodę.

Figurek się namnożyło od czasów rohatyńskich, jest ich mnóstwo, a te najnowsze są najmniejsze, robione już tylko z chleba, nie z gliny. W jednym rzucie oka potrafi Chaja zrozumieć sens konstelacji i ujrzeć, dokąd zmierza, w co się rozwinie.

Wynikają z tego pewne wzory, które łączą się ze sobą mostkami czy kładkami, są też między nimi groble i tamy, kliny i gwoździe, złączki, obręcze, które dociskają do siebie sytuacje o podobnie ukształtowanych krawędziach, jak klepki w beczce. Istnieją również ciągi, które wyglądają jak mrówcze drogi, stare, jakby roślinne trakty, nie wiadomo przez kogo wychodzone i dlaczego akurat tak, a nie inaczej. I są pętle i wiry oraz niebezpieczne spirale, a ich powolny ruch wciąga wzrok Chai pod spód, w głąb, w głębinę, która towarzyszy każdej rzeczy.

Chaja ze swojego kantorka, pochylona nad planszą, przez co niektórzy klienci jej syna myślą, że ta dziwna kobieta zdziecinniała i bawi się zabawkami wnucząt, dostrzega czasami Jentę: czuje jej obecność, dociekliwą, lecz spokojną. Poznaje ją, wie, że to Jenta, widocznie nie

umarła do końca, to jej nie dziwi. Dziwi ją jednak obecność jeszcze kogoś innego, o zupełnie odmiennej naturze. To ktoś, kto ich czule obserwuje, ją samą i kantor, i wszystkich rozproszonych po świecie braci i siostry, i ludzi na ulicy. Ten ktoś przygląda się szczegółom, o, teraz na przykład obserwuje planszę i figurki. Domyśla się Chaja, czego ten ktoś chce, więc traktuje go jako nieco kłopotliwego przyjaciela. Podnosi zamknięte oczy i usiłuje spojrzeć temu komuś w twarz, ale nie wie, czy to się może udać.

Odrzucone oświadczyny Franciszka Wołowskiego młodszego

Franciszek Wołowski młodszy chciałby Ewy. Nie dlatego, że ją kocha i jej pożąda, ale dlatego, że jest niedostępna. Im bardziej staje się to niemożliwe, tym silniejsza jest wola Franciszka, żeby poślubić Ewę Frank. Właśnie dlatego na nią zachorował, winny tej chorobie jest także jego ojciec – zawsze mu powtarzał, że Ewa będzie jego i w ten sposób połączą się dwa rody, a Franciszek przejmie władzę po Jakubie. I sam Jakub był temu przychylny, ale potem, gdy Ewa zaczęła bywać u samego cesarza, wszelka nadzieja odpłynęła niczym chmura, wysoko, wysoko, nie da się jej już złapać. Sama Ewa stała się inna, pojawia się rzadko; ubrana w połyskliwe jedwabie, stała się śliska jak ryba, nie do pochwycenia.

Franciszek oświadcza się jej – bez wiedzy ojca, ten jest w Warszawie, pilnuje browaru. Oświadczyny zostają jednak przemilczane, jakby Franciszek popełnił czyn wstydliwy, o którym nie należało w ogóle wspominać. Szepcze się o tym na dworze w Brünn jeszcze całe tygodnie, a on nie dostaje odpowiedzi i powoli zdaje sobie sprawę, że się ośmieszył. Pisze do ojca pełen goryczy list i prosi, żeby go ojciec zawezwał z powrotem do Warszawy. Czekając na odpowiedź, przestaje przychodzić na wspólne modlitwy i na Jakubowe gadki. To, co kiedyś, gdy tu przyjechał, wydawało mu się tak atrakcyjne – ten tłumek ludzi w pałacu na Petersburger Gasse, nowe twarze, poczucie wspólnoty, jakby się znalazł w ogromnej rodzinie, te flirty, plotki, ciągłe żarty

i zabawy, a zaraz potem modły i śpiewy – wszystko to mu teraz obrzydło. A chyba najbardziej musztra, jaką organizuje tu cały czas młodym mężczyznom i chłopcom jego stryj Jan Wołowski, od stroju, który nosi, nazywany Kozakiem. Ten musztruje kilku chłopców w szwadron kozacki, lecz nie starcza koni na szwadron; chłopcy muszą zamienić się wierzchowcami, bo są tylko cztery pod siodło. Drugi kuzyn – Franciszek Szymanowski – dostał od Pana zadanie sformowania legionu. To nowe słowo odmienia się na wszystkie sposoby. Mundury dla legionu, sztandar legionu, ćwiczenia legionowe, pieśń o legionie... słyszy nieustannie Franciszek, syn Szloma, który do tych wszystkich spraw związanych z mundurem i wymachiwaniem szablą odnosi się z głęboką niechęcią, lekko nawet zabarwioną pogardą.

Jeździ za to do Wiednia, włóczy się po ulicach i w tej niezręcznej sytuacji znajduje pociechę w koncertach, o co w Wiedniu nie jest trudno – wszędzie tu grają. Wzruszył się, słuchając pewnego Haydna, tak wydawała mu się bliska i piękna ta muzyka. Popłakał się dyskretnie, zwilgotniały mu oczy i udało mu się przełknąć te łzy, popłynęły do środka i tam obmywały mu serce. Gdy orkiestra skończyła grać i rozległy się oklaski, poczuł, że nie zniesie jej braku, że musi ją mieć bez przerwy. Świat stał się bez niej pusty. Bo oto dowiedział się po koncercie, na który ledwie go było stać, że jest coś, co może przynieść pełnię szczęścia, i można o tym nie wiedzieć, żyjąc w ciągłym braku. Miał kupić siostrom prezenty – prosiły o koronki i obszywane jedwabiem guziki, o kapelusze i wstążki, ale Franciszek przywiezie im nuty.

Nie udało mu się dostać na koncert tego młodego Mozarta, ale znalazł takie miejsce pod oknami opery, gdzie słyszał tak, jakby był w środku. Miał wrażenie, jakby opera się na niego przewróciła, a na nią jeszcze katedra, i jakby cały Wiedeń spadł mu na głowę, i go ogłuszył. Ta muzyka była niemożliwa jak Ewa, stała się wielkim niedościgłym marzeniem, którego nie da się ziścić w Warszawie. On jest Warszawą, a ona Wiedniem.

W końcu przyszedł wyczekiwany list i ojciec kazał mu wracać. Wspomniał w nim o Mariannie Wołowskiej, córce stryja Michała,

z którą Franciszek znał się od dziecka. Nie było tam nic o małżeństwie, ale Franciszek pojął, że już mu ją przeznaczono. Ścisnęło mu się serce i w takim stanie wyjechał do Warszawy.

Na pożegnanie Jakub go przytulił jak syna – wszyscy to widzieli. I – prawda – Franciszek poczuł się jak syn Jakuba. Poczuł, że dostaje jakąś misję, choć nie taką, jakiej oczekiwał. Widocznie stamtąd, gdzie jest Jakub, sprawy wyglądają inaczej niż stąd, gdzie jest Franciszek. Czule pożegnał się z przyjaciółmi, którzy zostawali jeszcze na dworze przy Pannie. Na koniec nakupił nut i przeglądał je potem w powozie, próbując palcami bezgłośnie grać na kolanie. W gruncie rzeczy poczuł wielką ulgę, że wraca do Warszawy i odtąd tam będzie jego miejsce. Będzie dowódcą jakiegoś innego legionu, w twierdzy warszawskiej, posłusznym Jakubowi.

Gdy tylko przekroczył granicę, Wiedeń zbladł, stał się zaledwie biało-czarną ryciną, i wszystkie myśli Franciszka skierowały się ku ulicy Leszno w Warszawie, ku tej Mariannie. Zaczął rozmyślać o niej intensywnie i przypominać sobie, jak wygląda, bo nigdy przedtem nie przyjrzał się jej dokładnie. Gdy zatrzymali się po drodze w Krakowie, kupił jej zupełnie niewinnie malutkie kolczyki z koralami – wyglądały, jakby ktoś na filigranowym złotym włosie powiesił małe krople ich wspólnej, bratersko-siostrzanej krwi.

Ostatnia audiencja u cesarza

Puszczać krew Panu nauczyła się Zwierzchowska i teraz robi to bardzo sprawnie. Krew spływa do miski, dużo jej. Po tym zabiegu Pan jest osłabiony, chwieje się na nogach. Pobladł. Bardzo dobrze. Będzie wyglądał wystarczająco słabo.

Kareta już czeka, nie jest tak strojna i bogata jak tamta, którą kiedyś jeździli do Schönbrunn. To zwykły powóz zaprzężony w dwa konie, skromny i nierzucający się w oczy. Wsiadają doń we trójkę – Jakub, Ewa i Anusia Pawłowska, która towarzyszy Ewie, dobrze się prezentuje i świetnie mówi po francusku.

Cesarz Józef spędza lato w Laxenburgu ze swoimi nieodstępnymi damami, znanymi z urody i inteligencji. Ich piękne kapelusze towarzyszą mu niczym powietrzne meduzy, gotowe bronić do niego dostępu. Pod nimi – dwie siostry Lichtenstein, hrabina Leopoldyna Kaunitz oraz księżna Kinsky, z którą łączy go ponoć romans.

Ewa nie chciała jechać, ojciec ją przymusił. Siedzi teraz naburmuszona, patrzy przez okno. Jest maj 1786 roku, świat w rozkwicie, wzgórza wokół Brünn wydają się miękkie i soczyste od zieleni. Wiosna tego roku przyszła wcześnie, więc bzy dawno już przekwitły, teraz kwitną jaśminy i pękate piwonie, wszędzie czuć słodki, radosny zapach kwiatów. Jakub postękuje, upuszczanie krwi rzeczywiście go osłabiło. Rysy twarzy zaostrzyły się, jak wtedy po krwotoku. Nie wygląda dobrze.

Najpierw każą im długo czekać – rzecz dotąd niebywała. Przez okna widzą grupki ludzi spacerujących po parku, jasne plamy parasolek dam, soczystą zieleń przystrzyżonych trawników. Czekają ze dwie godziny, nie odzywając się do siebie, w zupełnym milczeniu, i tylko raz ktoś do nich zagląda i proponuje im wodę.

Potem słychać rozbawione głosy oraz szybkie kroki i nagle drzwi otwierają się – wchodzi cesarz. Ma na sobie lekkie letnie ubranie, wcale nie francuskie, lecz jakby chłopskie. Rozpięta u góry koszula odsłania chudą szyję i podkreśla wysuniętą dolną szczękę Habsburgów. Nie ma peruki – jego rzadkie włosy zmierzwiły się; wygląda młodziej. Za nim wchodzą dwie damy, roześmiane, eleganckie pastereczki, wybrzmiewają ostatnie żarty.

Goście wstają. Jakub chwieje się na nogach i Anusia rzuca się ku niemu, żeby go wesprzeć. Ewa stoi jak zahipnotyzowana i patrzy na cesarza.

Dwaj mężczyźni w otoczeniu kobiet mierzą się przez chwilę wzrokiem. Jakub skłania się nisko. Suknie Ewy i Anusi więdną w przysiadzie.

– Kogóż to widzą moje oczy? – mówi cesarz i siada, wyciągając przed siebie długie nogi.

– Wasza Cesarska Mość... – zaczyna Jakub słabym głosem.

– Znam ja twoją sprawę – odzywa się cesarz i zaraz wchodzi jego sekretarz z papierami. Podaje mu kartkę i pokazuje na niej odpowiednie pozycje, na którą cesarz rzuca tylko okiem. – Długi uczciwe spłacić trzeba. Na wiele z nich siły nie ma. Inne możecie rozłożyć na dłuższy czas. Nasza pomoc polega na tym, że tu jest wyszczególnione, które długi są sprawiedliwe, a które nie. Na te zostaliście naciągnięci, a tych spłacać nie powinniście, bo to są bezzasadne roszczenia. Tyle możemy dla was zrobić. Radzę lepiej dbać o swoje interesy. Dwór rozpuścić, długi pospłacać – taka jest moja rada.

– Wasza wysokość... – zaczyna Jakub, ale milknie, żeby za chwilę dodać: – Może moglibyśmy na stronie?

Cesarz robi niecierpliwy gest i wszystkie kobiety wychodzą. Gdy siadają w sąsiednim pokoju przy fikuśnym stoliku, księżna Kinsky każe podać orszadę. Zanim ją podano, już słychać zza drzwi podniesiony głos cesarza.

Ewa zbiera się na odwagę i drżącym głosem, ze wzrokiem wbitym w podłogę, mówi szybko, jakby chciała ten gniewny głos zagłuszyć:

– Prosimy o pomoc nie tylko ze względu na nas samych, ale i na całe miasto. Brünn bez nas opustoszeje, już się kupcy brunneńscy skarżą na niskie dochody, od kiedyśmy część naszej kompanii musieli odesłać.

– Współczuję brunneńczykom, że takich jak wy stracą gości – odpowiada na to grzecznie księżna Kinsky. Jest śliczna, podobnej urody jak Ewa: nieduża, o wielkich ciemnych oczach i bujnych czarnych włosach.

– Gdyby się księżna raczyła wstawić za nami... – zaczyna Ewa, słowa ledwie jej przechodzą przez zaciśnięte szczęki.

– Pani przeceniasz mój wpływ na cesarza. My jesteśmy od rzeczy przyjemnych, górnolotnych.

Zapada cisza, wroga, nieprzyjemna. Ewa czuje, że jest cała mokra. Pod pachami na jedwabiu pojawiają się plamy potu i to odbiera jej resztki pewności siebie. Chce jej się płakać. Nagle drzwi otwierają się i kobiety wstają. Cesarz wychodzi pierwszy i nawet nie patrzy na panie, za nim idzie jego sekretarz.

– Przykro mi – mówi po prostu księżna Kinsky i rusza za cesarzem. Gdy znikają, Ewa wypuszcza całe powietrze i nagle czuje się lekka jak papierek.

Thomas von Schönfeld i jego gry

Wracają w milczeniu, przez całą drogę nie pada ani jedno słowo. Wieczorem Jakub w ogóle nie schodzi na dół do świetlicy. Jest przy nim jak zwykle Zwierzchowska. Na kolację Jakub każe sobie podać tylko dwa jajka na twardo, nic więcej.

Następnego dnia zaczyna odsyłać młodzież do domów. Od ręki udaje się sprzedać elegancki koczobryk i porcelanę. Inne drobne rzeczy kupuje hurtem handlarz z Frankfurtu. Ewa unika wychodzenia do miasta, wstydzi się, bo w każdym miejscu jest coś komuś winna.

Miesiąc po audiencji u cesarza zjawia się w Brünn Thomas von Schönfeld. Wraca z zagranicy, przywozi pannie Ewie pudło czekoladek. Napisała do niego kilka rozpaczliwych listów z prośbą o pomoc. W każdym pojawiała się wzmianka o więzieniu za długi.

– Kłopoty są częścią życia, tak samo jak kurz jest częścią spaceru – mówi Thomas, gdy we trójkę wyjeżdżają za miasto, na ulubione leśne trakty Jakuba. Jest piękna letnia pogoda. Ranek jest rześki, później na pewno będzie gorąco. Zdrowo jest trochę zmarznąć, gdy w perspektywie jest upał.

– Jestem takim człowiekiem i leży to chyba w naturze naszej rodziny, że staramy się dostrzegać zawsze dobre strony wszystkiego, co niesie nam życie – ciągnie Thomas. – To prawda, nie udało nam się dokonać pewnych rzeczy, ale udało się dokonać innych. Ów balsam leczniczy cieszy się niemałym powodzeniem nawet tutaj, w Wiedniu; staram się go rozprowadzać dyskretnie i tylko pośród znajomych i godnych zaufania ludzi.

Jego paplanina drażni Ewę.

– Tak – wtrąca. – Wiemy wszyscy, że dochód z niego nie jest w stanie nam zapewnić nawet w małej części takiego życia, do jakiego

przywykliśmy, a tym bardziej całego dworu nie utrzyma.

Thomas idzie krok za Ewą i ostrym końcem bambusowej laseczki ścina czubki pokrzyw.

– Dlatego mówię to szczerze – zwraca się do Jakuba – z ulgą przywitałem wiadomość, że nakazałeś, Panie, niedawno wracać braciom i siostrom i całej tej pasożytniczej hałastrze do domu. To dobry znak.

– Pozbyliśmy się też wielkiej części ruchomego dobytku... – dodaje Ewa.

Ojciec milczy.

– Bardzo dobrze, to pozwoli zebrać się w sobie i zrobić następny krok, do czego cię, wuju, bardzo namawiam.

Dopiero teraz odzywa się Jakub. Mówi cicho, trzeba się wysilić, żeby go usłyszeć. Zawsze tak robi, kiedy jest zły, to rodzaj wstępnej przemocy – zmusić rozmówcę do słuchania go.

– Daliśmy ci nasze zebrane od braci i sióstr pieniądze. Mówiłeś, że je pomnożysz na giełdzie. Że pożyczasz je na procent. Gdzie one są?

– One będą! To oczywiste – Thomas zaczyna się gorączkować. – Będzie wojna, to pewne. Cesarz musi dotrzymać zobowiązań wobec Katarzyny, a ona uderzy na Turcję. Dostałem glejt na wielkie zaopatrzenia dla armii, a wiesz, że ja znam każdego, każdą ważną osobę w Europie.

– Tak samo mówiłeś, kiedyśmy ściągali tutaj alembiki i retorty.

Thomas wybucha trochę sztucznym śmiechem.

– No tak, myliłem się. Wszyscy się mylili. O ile wiem, nikomu się nie udało otrzymać złota, choć krążą o tym jakieś plotki. Jest jednakże coś dużo bardziej pewnego niż setki eksperymentów w retortach, te wszystkie nigredo i conniunctio. Ta nowa alchemia to umiejętne inwestowanie. Inwestować odważnie i ufając wewnętrznemu głosowi, zupełnie tak jak to się odbywa w pracowni alchemicznej – próbować i ryzykować...

– Jużeśmy raz źle na tym wyszli. – Jakub przysiada na zwalonym pniu drzewa i końcem laski niszczy trakt wędrującym mrówkom. Podnosi głos:

– Musisz nam pomóc.

Thomas staje przed siedzącym Jakubem. Ma jedwabne pończochy. Obcisłe ciemnozielone spodnie opinają jego szczupłe biodra.

– Ja ci muszę coś powiedzieć, wuju – odzywa się po chwili. – Twoja osoba wzbudziła w moich towarzyszach zainteresowanie. Od cesarza żadnego wsparcia mieć już nie będziesz, dostaniesz je od nich. Misja twoja tutaj skończona. Cesarz ma doradców tobie nieprzychylnych, to jasne. Sam słyszałem, że mówi się o tobie jakby o jakim szarlatanie, jakże niesprawiedliwie równając cię z tymi naciągaczami, co to ich pełno po królewskich dworach. Twój kredyt w Wiedniu zamknięty, a i ja chwilowo nie mogę żadnego wsparcia ci dać, jako że sam pewne interesa wielkie zamierzam i wolałbym, iżby nas nie kojarzono.

Jakub podnosi się i przysuwa twarz do twarzy Thomasa. Jego oczy ciemnieją.

– Teraz się mnie wstydzisz.

Jakub rusza szybkim krokiem z powrotem, Thomas idzie za nim zmieszany, tłumaczy się:

– Ja się ciebie nigdy nie wstydziłem i wstydzić nie będę. Między nami jest różnica pokolenia i gdybym się urodził wtedy, co ty, być może parłbym, żeby być takim, jakim ty jesteś. Ale teraz panują inne prawa. To co ty mówisz, ja chciałbym robić. Ty czekasz na znaki mistyczne, na jakieś sprzysiężenia bałakaben, a mnie się zdaje, że wyzwolić człowieka można prościej i nie w sferach mistycznych, ale tutaj, na ziemi.

Ewa patrzy ze strachem na ojca, pewna, że bezczelność Thomasa spowoduje w nim atak gniewu. Ale Jakub jest spokojny, idzie pochylony do przodu, patrzy pod nogi. Thomas drepcze za nim.

– Człowiekowi trzeba pokazać, że ma wpływ na swoje życie i na świat cały. Jak tupnie, to zadrżą trony. Ty mówisz: prawo trzeba łamać niejawnie, w swoich alkowach, na zewnątrz udawać, że się mu podporządkowało. Łamać prawo w sypialniach i buduarach! – Thomas czuje, że się w krytyce wuja zapędził, i ton jego głosu trochę się obniża. – Ja mówię odwrotnie: prawo, jeśli jest niesprawiedliwe i stanowi dla ludzi nieszczęście, trzeba zmieniać, działać jawnie, odważnie, bez żadnych kompromisów.

– Człowiek najczęściej nie wie, że jest nieszczęśliwy – mówi spokojnie Jakub do swoich butów.

Jego spokój widocznie ośmiela Thomasa, bo wybiega przed Jakuba i peroruje dalej, idąc tyłem:

– Trzeba mu to uzmysłowić i porwać go do czynów, a nie tańczyć w kole i śpiewać, wymachując rękami.

Ewa jest pewna, że teraz Thomas von Schönfeld dostanie w twarz. Ale Jakub się nawet nie zatrzymuje.

– Ty myślisz, że można zbudować coś od nowa? – pyta go Jakub, dalej patrząc pod swoje nogi.

Thomas zatrzymuje się wstrząśnięty i podnosi głos:

– Przecież to twoje słowa, twoje nauki!

Gdy wieczorem von Schönfeld wraca do Wiednia, Jakub przyciąga go do siebie i obejmuje. Mówi mu coś do ucha. Twarz Thomasa się rozjaśnia, potem Thomas chrząka. Ewa, która stała blisko ojca, nie jest pewna, czy dobrze słyszała, co powiedział. Wydaje jej się, że to było: „Ufam ci bezgranicznie”. I padło też słowo „syn”.

Kilka miesięcy potem przychodzi z Wiednia przesyłka. Przywozi ją ubrany na czarno kurier. Są to listy polecające na podróż i między nimi wiadomość od Thomasa:

> ...Bracia moi, których wpływy są duże, znaleźli pewnego anielskiej dobroci człowieka, księcia osobnego państewka, który by Cię do siebie z całym dworem przyjął. Ma on zamek okazały nad rzeką Men, niedaleko Frankfurtu, i do Twojej dyspozycji go przeznaczy, jeżeli zgodzisz się dla siebie go przystosować. Dobry to jest kierunek zmiany – zachód, z dala od wojny, którą cesarz, niechętnie, ale jednak, Turcji wypowiedział. Lepiej będzie dla Was zwinąć namioty i ruszyć w to nowe miejsce. Zważ na to, co Ci tu piszę w wielkim zaufaniu.
>
> Twój wielce oddany Thomas von Schönfeld

Ewa, czytając list, który pokazał jej ojciec, mówi wstrząśnięta:

– Jakże on to zrobił?

Jej ojciec, zapięty pod szyję mimo gorąca bijącego z kominka, siedzi z zamkniętymi oczami. Ewa zauważa, że potrzeba mu już balwierza. Nagie stopy oparł o miękki, tapicerowany stołeczek i Ewa widzi popękane żyłki, które zabarwiają skórę na sino. Ogarnia ją nagle straszne zmęczenie i robi jej się wszystko jedno, co się z nimi stanie.

– Zbrzydło mi to miasto – skarży się. Patrzy przez okno na opustoszałe podwórko, które wydobyło się właśnie z trudem spod brudnego śniegu, odsłaniając śmieci. Ewa widzi czyjąś samotną, porzuconą w śniegu rękawiczkę. – Po prostu mi zbrzydło. Nie mogę już na to wszystko patrzeć.

– Milcz – mówi ojciec.

W wieczór przed wyjazdem z Brünn do opustoszałego dworu Franków przychodzi poselstwo mieszczan brunneńskich. Ponieważ nie ma już mebli, zostają przyjęci na stojąco. Jakub wychodzi do nich wsparty na młodym Czerniawskim, Ewa stoi obok. Mieszczanie przynoszą prezenty pożegnalne – skrzynkę najlepszego morawskiego wina dla „pana barona” i srebrną paterę z wygrawerowanym widokiem miasta oraz napisem: „Żegnamy przyjaciół Brünn. Mieszkańcy”.

Jakub wygląda na wzruszonego, wszyscy są wzruszeni, a w mieszczanach pojawia się na dodatek poczucie winy, bo okazuje się, że odjeżdżający zostawiają znaczną sumę na jałmużny i na rzecz rajców miejskich.

Jakub Frank w swojej wysokiej tureckiej czapie i w płaszczu z gronostajowym kołnierzem stoi na niewysokim schodku i mówi swoim chropawym, ale poprawnym niemieckim:

– Raz udałem się w daleką podróż i byłem tak zmęczony, że szukałem jakiegoś miejsca na odpoczynek. Wtem znalazłem jedno drzewo dające wielki cień. Jego owoce pachniały z daleka, a przy nim biło źródło najczystszej wody. Położyłem się więc pod drzewem, jadłem jego owoce, piłem wodę ze źródła, i spałem dobrym snem. „Jak cię wynagrodzić, drzewo? – zapytałem. – Czym ci mam błogosławić? Życzyć ci mam wielu gałęzi? Już je masz. Mówić: niechaj twój owoc

słodki będzie i niech zapach ma wielki? Już to posiadasz. Mówić: abyś miało koło siebie źródło słodkiej wody? Już ci to dano. Niczym cię więc innym błogosławić nie mogę, jak tylko tym, aby wszyscy poczciwi przechodnie spoczywali pod tobą i oddawali chwałę Bogu, który cię stworzył". A to drzewo – to jest Brünn.

Jest 10 lutego 1786 roku i znowu zaczyna padać śnieg.

Resztki. Synowie Jakuba Franka. Moliwda

Misje swoje zawsze wypełniałem z oddaniem, wiedziałem bowiem, że Jakub mnie tym wyróżnia. Bo kogóż, jeśli nie mnie? – byłem biegły w tureckim i znałem tamtejsze obyczaje jak swoje własne. A jednak ostatnie niepowodzenia sprawiły, że Jakub odsunął mnie od siebie, trzymając teraz raczej z młodszym i bardziej obrotnym Janem Wołowskim, którego przebrana po kozacku postać, o smagłej twarzy przeciętej w poprzek sumiastym polskim wąsem, ciągle mu towarzyszyła. Drugim jego przybocznym był Antoni Czerniawski, jego szwagier. Kręcili się wokół niego jak muchy, swoje robili też Matuszewski z Wittel, a najbardziej Ewa, która go broniła i powoli z córki stawała się jego matką.

Z Jeruchimem mieliśmy wiele wspólnego i podczas gdy młodsi oddawali się temu, co nazywali szumnie życiem, myśmy woleli rozmawiać o starych sprawach, tych, o których już nikt tutaj nie pamiętał ani ich nie cenił. Prowadziliśmy bowiem naszą rzecz od początku i widzieliśmy szerzej niż ktokolwiek z naszej dużej machny. Ja zaś mogłem być dumny, że ostałem się tylko jeden, który był z Jakubem od początku, bo przecież ani reb Mordke, ani Isochar, ani nawet Mosze z Podhajec i jego ojciec, który pochowany został w jaskini częstochowskiej, już nie żyją, choć zawsze myślę o nich raczej, że odeszli i czekają gdzieś na nas

wszystkich, siedząc przy dużym drewnianym stole, a drzwi do ich pokoju są tutaj, w tym wielkim zamku. Czy śmierć nie jest tylko zwykłym pozorem, jak i wiele jest na świecie pozornych zjawisk, w które wierzymy niczym dzieci?

Wiele rozmyślałem wtedy o śmierci, bowiem podczas jednej z moich nieobecności w Warszawie umarła moja Wajgełe, dając życie dziewczynce, którą nazwałem Rozalią i którą bardzo pokochałem jako moją trzecią córkę. Było to dziecko zbyt wcześnie urodzone i słabiutkie; jego matka, już nie tak młoda, nie wytrzymała trudów porodu. Odeszła cicho w naszym mieszkaniu przy Długiej w obecności swoich dwóch sióstr, które zakomunikowały mi tę straszną wiadomość, gdy wróciłem z Brünn. Sądzę, iż Bóg chciał mi coś powiedzieć, dając mi tę kruszynę w chwilach pełnych zwątpienia i marności – mnie, który nigdy nie byłem blisko mej rodziny; obcowaliśmy już wówczas cieleśnie z żoną rzadko i wielkich nadziei na rodzicielstwo od dawna nie mieliśmy. Co mi chciał powiedzieć Bóg, dając mi Rozalię? Myślę, że ustanowił mnie w ten sposób na powrót ojcem, przypomniał ową zapomnianą przeze mnie rolę, abym podjął się baczenia na synów Jakuba.

Dlatego chętnie powracałem do Warszawy, gdzie zająłem się własnymi interesami, jak i obowiązkami wobec naszej wielkiej familii, lecz przede wszystkim opieką otaczałem obu synów Jakuba: Józefa i Rocha (Rozalię zostawiając na razie u jej ciotek), którym poświęcałem więcej uwagi niż własnym. Umieszczeni w szkołach, kształcili się na oficerów. Wiedział dobrze Jakub, co robi, oddając ich pod moją kuratelę, starałem się bowiem, aby się w żywiole warszawskim nie rozpuścili, i miałem do nich szczególny sentyment, a zwłaszcza do starszego z nich, Rocha,

który mi się bliski zdawał, i wiele razy liczyłem na palcach te mroczne miesiące w Częstochowie, kiedy przyszedł na świat i kiedym ja przez Jakuba został podniesiony, i kiedy mi wybaczono wspaniałomyślnie mój postępek. Lecz Roch mnie jak mógł unikał i nawet był wobec mnie szczególnie szorstki. Miałem wrażenie, że się mnie wstydzi, żem jest dla niego nie dość polski, za bardzo żydowski, że drażni go mój żydowski zaśpiew i ja sam mu jestem nieznośny. Gdy się do mnie zbliżał, kręcił nosem i mówił: „Czuć tu cebulą", co mi sprawiało wielką przykrość. Jego zaś brat młodszy, Józef, przez Rocha sterowany, traktował mnie także szorstko, lecz i – bywało – czule: myślę, że poza mną nie mieli obaj nikogo bliższego. I nie mieli lekkiego życia ci chłopcy – ciągle w obcych domach, potem w internatach Szkoły Rycerskiej, niby otoczeni mirem, ale traktowani jak dziwacy, stali się samowolni, zżyci tylko ze sobą, jakby reszta świata była im wroga. Starannie ukrywali swe żydowskie pochodzenie, zawsze bardziej polscy niż sami ich polscy koledzy.

Kiedy byli mniejsi, znaleźli się u pijarów. Najpierw poszedł tam Roch – pytałem go, jak tam jest, a on skarżył się płaczliwie, że pobudka o szóstej rano, potem zaraz msza, a po mszy kawałek chleba z masłem, ale po kawę to już trzeba było posyłać za pieniądze. O ósmej znowu do klasy i lekcje aż do południa. Potem obchód wartowniczy, jak kto miał wartę, i obiad. Do drugiej mieli czas na zabawy w ogrodzie na tyłach budynku, a od drugiej znowu lekcje do piątej. Do ósmej wieczorem mieli repetycje i odrabianie zadań, i z tego wszystkiego zostawała im tylko godzina czasu do zabawy – od ósmej do dziewiątej. O pół do dziesiątej szli już do łóżka. I tak w koło. Czy to jest życie szczęśliwego dziecka?

Wpajano im tam usilnie, że jest rzeczą tylko przypadku i ślepego losu pochodzenie ze szlacheckiego rodu, a prawdziwe szlachectwo polega na cnocie i stanowi bodziec do cnoty, jako że bez cnoty, zdolności i dobrych obyczajów jest szlachectwo i czcze, i próżne. Z nauk wszelakich porządnie uczono ich tam łaciny, żeby pojąć potem inne dyscypliny. Były także matematyka, języki obce, historia powszechna i historia Polski oraz geografia i nowoczesna filozofia. Obowiązkowe było czytanie gazet w innych językach. Mieli też coś, co mnie się już w głowie nie mieściło – „fizykę eksperymentalną" z zajęciami praktycznymi, co przypominało mi nieco – z tego co o tym mówił Józef – praktyki alchemiczne.

Później zaś, już w Szkole Kadetów, gdzie przebywali jako uszlachceni hrabiowie Frank, przyuczeni zostali do tego, żeby na swój temat milczenie twarde zachować, o sobie zbytnio nie rozpowiadać, z nikim się zbyt blisko nie zadawać. Roch, drobny i rudawy, nerwowy, dodawał sobie odwagi niesłychaną brawurą, a potem już – winem. Józef natomiast, o delikatnej cerze, bardziej przypominał dziewczynę. Czasami, patrząc na niego, miałem wrażenie, że dobrze go kadecki mundur trzyma i gdyby go z niego zdjąć, Józef Frank rozlałby się jak maślanka. Józef był wyższy od Rocha i lepiej zbudowany, o wielkich oczach siostry i pełnych wargach, zawsze ostrzyżony krótko. Cichy i zgodny, przypominał w tym trochę Franciszka Wołowskiego.

Na święta mieszkali bądź u mnie, bądź u Wołowskich Franciszków, a ja starałem się wiedzę i wiarę prawowierną im przekazywać, choć oni się przed tym bardzo wzbraniali. Niby słuchali moich nauk, ale byli jakby nieobecni, jak wtedy gdy ojciec ich wymierzał im kary za każde przewinienie, uważał bowiem Jakub, że chłopców należy trzymać twardą ręką. Często, jeszcze w Częstochowie, było mi ich żal, a zwłaszcza Rocha, który do

śmierci Chany dzieciństwo swoje spędził w więzieniu i całym jego światem były izba oficerska i nieduży podworzec przed wieżą, a towarzyszami zabawy stawali się wiarusi i czasem mnisi z nowicjatu. Wydawał mi się jako ta roślinka, co rosła w piwnicy, w wilgoci, może dlatego był taki mały i drobny, taki niepozorny. Jakże takie stworzenie mogłoby się stać następcą Jakuba? Jakub go nie lubił i nie poważał, i chyba sam widok synów go irytował. Dlategom się podjął tego zadania. Lecz ojcowanie tym dwom zagubionym duszom wcale mi nie wyszło.

Miałem też w odpowiednim czasie odegrać rolę podobną do tej, jakąśmy z reb Mordkem w naszych peregrynacjach dawno temu grali – swatki. Najpierw Jakub przeznaczył ich do wzięcia sobie żon z wysoko urodzonych ze szlachty, wtedy bowiem wszystkich kierował na zewnątrz – żeby się żenić i za mąż wychodzić za cudzych. Trwało to jednak krótko.

Ja zawsze uważałem, że trzymać się musimy razem, inaczej nie przetrwamy. Syn mój, Aron, jedynak od Lei, ożenił się z Marianną Piotrowską, wnuczką Moszka Kotlarza, i moje wnuki dorastały teraz w Warszawie, a wszystkie nasze wysiłki szły w kierunku ich wykształcenia. Córka moja najstarsza przeznaczona już była najmłodszemu chłopcu od Henryka Wołowskiego. Nie chcieliśmy, żeby zbyt młodo wychodziła za mąż, więc czekaliśmy, aż dorośnie.

Kiedyś spotkałem w Warszawie na ulicy Moliwdę. Byłem zaskoczony, bo nic się nie zmienił, może schudł i tylko jak czapkę zdjął, okazało się, że i wyłysiał, lecz twarz jego i charakterystyczny chód, i wszystko w nim wydawało się niezmienione. Tyle że jego strój był teraz zupełnie inny – bo zagraniczny, może kiedyś elegancki, ale zapuszczony nieco. Nie od razu mnie poznał. Minął

mnie najpierw, ale potem się odwrócił i nie wiedziałem, jak się zachować, więc stałem, dając mu pierwszemu prawo do słowa. „Nachman – powiedział zaskoczony. – To ty?”

„Ano ja. Tylko żem Piotr Jakubowski. Nie pamiętasz?” – odrzekłem.

„Jakże ty wyglądasz? Ja ciebie innego pamiętam”.

„I ja mógłbym powiedzieć, że ciebie innego mam w głowie”.

Klepnął mnie w plecy tak jak kiedyś w Smyrnie, wziął mnie pod rękę i zeszliśmy z ulicy w podwórko, jakoś zmieszani obaj, ale i radośni. A mnie jakieś wzruszenie ogarnęło i łzy cisnęły mi się do oczu. „Ja myślałem, że mnie miniesz...” – powiedziałem.

A wtedy na tym podwórku on zrobił rzecz zadziwiającą – objął mnie za szyję, wtulił twarz w mój kołnierz i załkał jakoś tak strasznie, że i mnie się płakać zachciało, choć nie miałem powodu.

Od tego czasu widywałem się z nim kilka razy i zawsze szliśmy do małej winiarni na tyłach rynku, gdzie rozlewano węgrzyna, i to takiego, jakiego się kiedyś piło. Moliwda zawsze się w końcu upijał, a ja – prawdę mówiąc – też.

Był on teraz wysoko postawionym królewskim kancelistą, obracał się w najlepszym towarzystwie, pisał do gazet i przynosił mi swoje drukowane pamflety, i myślę, iż dlatego ciągnął mnie do tej winiarni, bo była w piwnicy i ciemnawa, i nawet gdyby tam kto wszedł, to i tak nikogo by po twarzy nie poznał. „Czemuś ty się nie ożenił?” – pytałem go za każdym razem, nie mogąc tego zrozumieć, że woli żyć samotnie, i obce kobiety mu piorą, i obce bierze sobie do łóżka. Nawet jeżeli nie ma się skłonności do kobiet, to i tak pożytecznie jest żyć z jakąś.

A on wzdychał i opowiadał historię, jak to on, a za każdym razem nieco inną, plątał się w szczegółach, ale ja tylko kiwałem

głową ze zrozumieniem, bom znał to jego opowiadactwo.

„Brak mi spokoju ducha, Nachman”, mówił wsparty nad szklanką.

Zawsze potem schodziło do wspominania Smyrny i Giurgiu i na tym jakby się nasze przygody kończyły, nic poza tym nie było. O Częstochowie nie chciał słuchać, zaczynał się kręcić i wyglądało na to, że to, co stało się po uwięzieniu Jakuba, nic go już nie obchodzi. Zapisałem mu także adres Wołowskich i Chai Lanckorońskiej, ale o ile wiem, nigdy się tam nie wybrał. Za to raz przyszedł do mnie, kiedym miał jechać do Brünn, lekko już wstawiony i poszliśmy razem pić na Grzybowską. Opowiadał mi o królu, że na obiady go zaprasza i wiersze jego ceni, a gdy już wypił, rozrysowywał mi na stole, gdzie i jaka dziewka przyjmuje.

Całkiem niedawno się dowiedziałem, że polecił syna Michała Wołowskiego, który był młodym prawnikiem, do pracy w kancelarii królewskiej i opiekował się nim, a chłopak był bardzo zdolny.

Tyle o Moliwdzie. Kiedy nas Pan wezwał na ostatnie dni po świętach 1786 roku do Brünn, tuż przed wyjazdem dowiedziałem się, że Moliwda umarł.

Ostatnie dni w Brünn

Kiedyśmy na wezwanie przybyli do Brünn, dom przy Petersburger Gasse był już prawie pusty. Jakub wezwał do siebie na owe ostatnie miesiące tych, którzy się jeszcze ostali z naszej chawury iwańskiej, najstarszych braci i siostry: Ewę Jezierzańską, Klarę Lanckorońską, braci Wołowskich oraz mnie. Z młodszych braci – Redeckiego

i Bracławskiego. Na miejscu byli stary Pawłowski, Jeruchim Dembowski i jeszcze inni.

Znaleźliśmy go samego w jego pokojach, kazał się bowiem przenieść Ewie i Anusi Pawłowskiej do innej części budynku, co wydało mi się dość nieroztropne, jako że cierpiał ostatnio na krwotoki i apopleksję. Był rozdrażniony i kazał, żeby się nim zajmował Redecki – ten jako żywo przypominał mi nieodżałowanego Herszełe, który był umarł w Lublinie. Jakub wychudł i zmizerniał. Jego kilkudniowy zarost był już zupełnie siwy, także i włosy – białe, choć wciąż gęste i falujące. Chodził, wspierając się na lasce. Nie mogłem uwierzyć, że go takim widzę i że stało się to właściwie w ciągu roku jednego, w mojej pamięci bowiem wciąż pozostawał tamtym Jakubem ze Smyrny, z Iwania – pewnym siebie, rubasznym, który mówił donośnym głosem i poruszał się szybko, a nawet gwałtownie.

„Cóż mi się tak przyglądasz, Jakubowski – powiedział na powitanie. – Postarzałeś się. Wyglądasz jak strach na wróble”.

To było oczywiste, że i mnie dotknął ząb czasu, nie czułem tego, bo nic mi nie dolegało. Ale niepotrzebnie przy wszystkich przyrównał mnie do stracha na wróble.

„Ty też, Jakubie”, odparłem, a on nawet nie zareagował na tę moją bezczelność. Inni zachichotali.

Codziennie rano wyruszaliśmy a to do Brünn, do wierzycieli, a to do Wiednia, gdzie synowie świętej pamięci Salomona, dość dobrze ustosunkowani, radzili nam, w jaki sposób spłacić niebotyczne długi dworu.

Gdy się ściemniało – a wieczory były teraz długie – siadywaliśmy jak kiedyś we wspólnej izbie; Jakub pilnował, żeby się modlić po naszemu, ale krótko, chyba tylko tak, by nie zapomnieć. Za dnia odbywało się pakowanie i wyprzedaż tego, co

się jeszcze sprzedać dało. Wieczorem Jakub stawał się skory do opowiadania i chyba cieszyło go, że widzi tak wielu z nas. Sporo z tych gadek gdzie indziej spisaliśmy i ja, i moi towarzysze.

„Jest takie miejsce, do którego was prowadzę – mówił, a ja tej opowieści mógłbym słuchać bez końca, uspokajała mnie ona i gdybym chciał jakiej historii na łożu śmierci, to właśnie o tę bym prosił – i choć teraz jesteście w biedzie, to nie chcielibyście żadnych skarbów świata, gdybyście to miejsce znali. To jest miejsce owego Wielkiego Brata, Dobrego Boga, który jest człowiekowi przychylny i braterskim go darzy uczuciem, i który jest do mnie podobny. I ma wokół siebie orszak, co jest zupełnie jak u nas – dwunastu braci i czternaście sióstr, a siostry są wspólniczkami łoża dla braci, też jak u nas. Te wszystkie siostry są królowe, bo tam kobiety władają, nie mężczyźni. I co dziwne wam się zda – nazwiska tych braci i sióstr są zupełnie takie same, jak wasze po hebrajsku. I ich postaci są podobne do waszych, tylko młode, takie, jakimi byliście w Iwaniu. I do nich właśnie idziemy. Kiedy się z nimi wreszcie spotkamy, to poślubicie tamte siostry i tamtych braci”.

Ja tę opowieść znałem i oni też znali. Zawsze słuchaliśmy jej ze wzruszeniem, ale tym razem, w tym pustym domu miałem wrażenie, jakby wszyscy p u ś c i l i j ą m i m o u s z u. Jakby ona już nie znaczyła tego samego, co zawsze, lecz była po prostu piękną przypowieścią.

Było dla nas wszystkich jasne, że teraz najważniejszy dla Jakuba stał się Mosze Dobruszka, na którego mówiono tu Thomas von Schönfeld. Jakub czekał na jego przyjazd z Wiednia całe dnie i codziennie pytał o pocztę od niego. Jedyną zaś osobą, która go

odwiedzała, był podskarbi Wessel, znajomy Dobruszki, z którym wiązały go jakieś sprawy, ale nam nic o nich nie mówił. Mnie zaś przypadło pisanie listów i były to głównie listy do wierzycieli, uspokajające, grzeczne, a także listy do braci w Altonie i w Prossnitz.

Jakub zaczął nawet mówić o powrocie do Polski, przez co wypytywał mnie o Warszawę i o to, jak tam jest, i wydawało mi się, że tęskni albo jest już zbyt słaby, żeby jakie nowe życie zaczynać na obczyźnie. Wieczorami zbierało mu się na wspomnienia, więc brałem papier i je spisywałem, a gdy mnie bolała ręka, pisała Anusia Pawłowska, a potem, następnego dnia Antoni Czerniawski to poprawiał i przepisywał.

„Patrzcie – mówił – gdym był w Polsce, kraj to był spokojny i dostatni. Gdy tylko mnie uwięziono, umarł król i krajem zaczęły targać niepokoje. A gdym na dobre z Polski wyjechał, rozdrapano królestwo”.

Trudno było nie przyznać mu racji.

Mówił też, że dlatego ubiera się po turecku, bo w Polsce jest stare podanie, iż przyjdzie ktoś obcego pochodzenia, z obcej matki, i kraj naprawi, i spod wszelkiego uciśnienia uwolni.

Ciągle nas ostrzegał, abyśmy do dawnej wiary żydowskiej nie wracali, ale tej zimy nagle w Chanukę zapalił pierwszą świeczkę i kazał nagotować potraw żydowskich, i wszyscy je ze smakiem wielkim jedli. A potem śpiewaliśmy w starym języku tę starą piosenkę, co to jej nas uczył jeszcze reb Isochar:

Czym jest człowiek? Iskrą.

Czym jest ludzkie życie? Chwilą.

Czym jest teraz przyszłość?

Iskrą. A czym bieg czasu szalony? Chwilą.

Z czego powstaje człowiek?

Z iskry. A czym jest śmierć? Chwilą.

Kim był On, gdy świat zawierał w sobie?

Iskrą. A czym będzie, gdy świat znowu pochłonie? Chwilą.

Moliwda w poszukiwaniu środka swojego życia

Musi być to najlepsze, takie, po którym następnego dnia nie boli go głowa. Po winie jednak nie może spać, budzi się nad ranem, a jest to najgorsza pora dnia: wszystko wydaje się wtedy problemem, strasznym nieporozumieniem. Gdy przewraca się na łóżku, wracają dawne wspomnienia, bardzo wyraźne, ze szczegółami. Coraz częściej pojawia mu się też w głowie uporczywa myśl: kiedyż to był środek jego życia. Który to był dzień, gdy jego historia osiągnęła najwyższy punkt, swoje południe, i od tej pory – choć o tym nie wiedział – zaczęła się chylić ku zachodowi. To bardzo ciekawy problem, bo gdyby ludzie wiedzieli, który dzień stał się punktem środkowym ich życia, może prędzej umieliby nadać temu życiu i występującym w nim zdarzeniom jakiś sens. Leżąc bezsennie, zlicza daty, tworzy kombinacje cyfr, niczym Jakubowski w swojej kabalistycznej obsesji. Jest 1786 rok, późna jesień. Urodził się latem 1718. Ma więc sześćdziesiąt osiem lat. Gdyby teraz umarł, znaczyłoby to, że środek jego życia przypadł na rok 1752. Próbuje sobie przypomnieć ten rok, przewraca w myślach kartki swojego wewnętrznego, niezbyt dokładnego kalendarza i w końcu znajduje, że gdyby miał umrzeć teraz, to tym punktem byłby może ów dzień, kiedy przyjechał do Krajowy. O dziwo, pamięta go bardzo dobrze. Pamięta nawet to, że był ubrany w białą lnianą koszulę bogomiłów, że był upał i drobne przejrzałe śliwki spadały na wyschniętą drogę, gdzie zaraz miażdżyły je koła wozów. Duże, tłuste osy, podobne raczej do szerszeni, spijały słodki sok z gruszek w sadzie. Ludzie ubrani na biało tańczyli

w kole. Moliwda stał między nimi i czuł radość, ale był to ten rodzaj radości, do której się trzeba zmusić – wtedy ona rozkwita.

Praca w kancelarii królewskiej nie należy do najcięższych; on, jako starszy urzędnik, raczej dozoruje, niż sam pisze. Do niego należy dział kontaktów z Portą Otomańską, jako że zna języki. Właściwie w jego wieku można już udawać, że się pracuje, i tak też Moliwda robi.

Król lubi dowcipnego Moliwdę, jego nieco ochrypły głos, jego historyjki. Często wymieniają kilka zdań; zawsze jest to zabawne i kończy się wybuchem śmiechu. Dlatego Moliwdę ogólnie się szanuje. Kiedy Stanisław August wchodzi do kancelarii, wszyscy szybko wstają

i kłaniają się, tylko Moliwda podnosi się długo i z trudem, a wszystko za sprawą wielkiego brzucha; ponieważ król nie lubi przesady, ukłon Moliwdy ogranicza się do pochylenia głowy.

Moliwda uznaje się teraz za kogoś w rodzaju mędrca i pomimo drobnych kryzysów zachowuje o sobie dobre mniemanie. W gruncie rzeczy nie uważa, że został przez życie skrzywdzony. Stara się żyć jak filozof cynik. Niewiele rzeczy jest w stanie go dotknąć. Ma ostre pióro, z którego często korzysta. Niedawno niejaki Antoni Felicjan Nagłowski napisał *Przewodnik warszawski*, w którym przedstawił piękne i ważne miejsca w stolicy. Obśmiał go Moliwda, bo ta ugrzeczniona wizja stolicy godna była pensjonarek. Postanowił równocześnie napisać rzecz o warszawskich kurwach, których zwyczaje zgłębiał przez ostatnie lata, jak uczony zgłębia życie dzikich na dalekich wyspach. Dzieło to, nazwane *Suplementem „Przewodnikowi" przez innego Autora wydanym*, ukazało się w 1779 roku i szybko się rozeszło, a niektóre warszawskie kurtyzany uczyniło sławnymi, pozycja towarzyska samego Moliwdy zaś jeszcze na tym zyskała; mimo iż druk był ulotny i na dodatek anonimowy, to i tak wszyscy wiedzieli, że ów suplement do *Przewodnika* napisał Moliwda.

Od lat spotyka się z grupą przyjaciół – są wśród nich niektórzy z kancelarii, ale są i dziennikarze, i ci, co piszą sztuki. Wesołe towarzystwo, które nie stroni od inteligentnych rozmów. Panowie spotykają się w każdą środę, smakują wina, palą fajki, a potem zgodnie, podochoceni winem, ruszają w Warszawę, szukając nowych miejsc, jeszcze lepszych niż te, które znaleźli tydzień temu. Na przykład – u Lizy Szyndler na Krochmalnej, gdzie tanio i swojsko. Dziewczyny w koszulinach, a nie w jakichś robronach i fochach. Tego całego zgrywania dam Moliwda nie lubi. Czasami wybierają się na Trembacką, gdzie parter każdego domu to przybytek miłości, a kobiety siedzą w oknach i zachęcają klientów. Rzadko korzysta teraz z ich usług, jego męskość nie podziela bowiem jego entuzjazmu dla panien w koszulkach, które ledwie przesłaniają tyłek, w semidupkach, jak mówią o nich żartobliwie i złośliwie. Kobiety go wciąż pociągają, ale rzadko jest

w stanie odbyć normalny stosunek, co naraża go na półuśmieszki (semiuśmenki) i dwuznaczne spojrzenia. Od jakiegoś czasu nawet nie próbuje.

Właśnie – kobiety go pociągają, ale i coraz bardziej brzydzą. Ma wrażenie, że dopiero teraz rozpełza się w nim ta cała konstrukcja, która nadbudowywała się w ciągu życia odnośnie do kobiet, ich bezbronności, ich świętości i czystości. Wiecznie cierpiał z ich powodu, kochał się bezustannie i najczęściej była to miłość nieodwzajemniona. Modlił się do nich... A teraz postrzega kobiety jako w przeważającej większości istoty bardzo proste, cwane kurewki, puste i cyniczne, które robią z własnego ciała świetny interes, kupczą dziurą, jedną i drugą, jakby były wieczne, a ich młodość granitowa. Zna ich wiele i patrzy na ich upadek z satysfakcją. Niektóre potrafią dorobić się własną piczką całkiem sporego bogactwa – jak ta Maciejewska, do której chodzili wszyscy oficerowie, jeden po drugim, za co sobie wystawiła kamieniczkę na Nowym Mieście. Potem byli już tylko żołnierze, ale z tonu nie spuściła, ostatnio widział ją w dobrym zdrowiu, jako matronę i mieszczkę. Ta pogarda Moliwdy przenosi się na wszystkie kobiety, nawet te szlachetne (tylko z pozoru, myśli), te, co wyniośle demonstrują swoje pochodzenie, na które przecież nie miały żadnego wpływu, i co, same oziębłe, stają się strażniczkami cudzej czystości.

Jego kompani zdają się tak samo jak on czerpać przyjemność z tej starczej mizoginii i potem toczą o tych dziewkach dyskusje, bawią się w robienie spisów i zestawów, ustalają rankingi. I Moliwda na starość zdaje sobie sprawę, że gardzi kobietami, nie tylko tymi z listy, ale wszystkimi. Że tak było od początku, tak czuł zawsze, tak został wychowany i tak pracuje jego mózg. I że jego czysta młodzieńcza miłość była próbą poradzenia sobie z tym ciemnym uczuciem, jakim pogarda zapewne być musi. Naiwną rewolucją, próbą uczynienia siebie czystym i wolnym od wszelkich złych myśli. Nie udało się.

Gdy odszedł z pracy na zasłużony odpoczynek, przyjaciele zamówili jego portret i kazali malarzowi umieścić na nim wszystkie przygody Moliwdy, tak jak im je opowiadał – przygody na morzu, piraci, wyspa, której był królem, egzotyczne kochanki, żydowska kabała, klasztor na

Athos, nawracanie pogan... Większość z tego była oczywiście wierutnym kłamstwem. Postawiono pomnik jego kłamliwemu życiu.

Zdarza mu się błądzić po ulicach Warszawy, błotnistych i pełnych dziur. Bywa, że zajdzie aż na Ceglaną, gdzie mieszka wielu dworskich rzemieślników i gdzie mają swoje interesy Wołowscy. Tutaj zbudował swój dom Szlomo Wołowski – jest to niewykończona jeszcze piętrowa kamienica ze sklepem na parterze i zabudowaniami browaru w podwórzu. Nad wszystkim unosi się tu mdlący zapach słodu, który wzbudza głód.

Raz, widząc jakąś młodą kobietę, ośmielił się i zapytał o Nachmana Jakubowskiego.

Kobieta spojrzała na niego nieprzyjaźnie i odrzekła:

– Chyba Piotra. Żadnego Nachmana to ja nie znam.

Moliwda skwapliwie potwierdził.

– Znaliśmy się w młodości – dodał, żeby ją uspokoić.

Teraz wyciąga z kieszeni karteczkę, na której mu napisała adres Jakubowskiego, i postanawia tam pójść.

Zastaje go w domu, spakowanego do drogi. Nachman, najwyraźniej niezbyt ucieszony jego widokiem, spędza z kolan małego chłopczyka, chyba wnuka, i wstaje, by przywitać się z Moliwdą – drobny, niedogolony.

– Wybierasz się gdzieś? – pyta go Moliwda i nie czekając na odpowiedź, siada na wolnym krześle.

– A co? Nie widać? Jestem posłańcem – uśmiecha się Jakubowski, pokazując pociemniałe od tytoniu zęby.

I Moliwda także się uśmiecha, patrząc na tego zabawnego drobnego staruszka, który jeszcze niedawno opowiadał mu o świetle wydobywającym się z człowieka. Śmieszne jest też słowo „posłaniec” w odniesieniu do tego chuderlaka. Jakubowski jest trochę zmieszany, bo Moliwda zastał go w sytuacji tak wstydliwej – dzieci ganiają wokół stołu, a synowa wpada z groźną miną i spłoszona, wycofuje się. Za chwilę pojawi się z dzbankiem kompotu i koszyczkiem małych, słodkich bułeczek. Jednak kompotu Moliwda pić nie będzie. Wychodzą do karczmy i Moliwda zamawia tam cały dzbanek wina. Nachman Jakubowski nie protestuje, choć wie, że jutro będzie miał zgagę.

Dalszy ciąg historii Antoniego Kossakowskiego zwanego Moliwdą

– Miałem od was żonę, a z nią dziecko – zaczyna. – Uciekłem z domu i wziąłem z nią ślub chrześcijański.

Jakubowski patrzy na niego zaskoczony, palcem dotyka brody i kilkudniowego zarostu. Wie, że będzie musiał wysłuchać całej opowieści do końca. Moliwda mówi:

– I porzuciłem ich.

Po tym jak młynarz Berek Kozowicz wyprawił swoją córkę Małkę i młodego Kossakowskiego na Litwę, zatrzymali się u kuzyna Małki,

celnika mostowego, zagonionego mężczyzny z ogromną rodziną. Od razu zrozumieli, że to tylko przejściowo, choć dostali własną izbę przy obórce ogrzaną ciałami krów. Cała rodzina, łącznie z malutkimi dziećmi, nie spuszczała z oka Kossakowskiego, jakby był jakimś dziwacznym tworem natury. Było to nie do zniesienia. Antoni pomagał przyszywanemu kuzynowi w papierach, ubrany w żydowski strój, po którymś z podrostków mostowego, chodził do wsi albo wykłócał się przy moście o myto. Bał się jednak, że zdradzi go mowa, więc specjalnie ją mącił różnymi akcentami, wstawiał słowa z różnych języków, litewskie, rusińskie i żydowskie. Kiedy wracał, serce mu się ściskało na widok Małki, nagle ociężałej, przestraszonej, zdziwionej własnym stanem, dziecinnej. Co robić? Mostowy, od którego czuć było arakiem, kazał mu czytać ciągle to samo, palcem z czarnym paznokciem wskazywał mu tę samą część pisma, którego jeszcze Antoni nie znał – i w końcu Małka mu powiedziała, że to jest opowieść o Dinie, córce Lei i Jakuba, którą gdy mimo ostrzeżeń wyszła za daleko od domu, zgwałcił obcy, Szechem.

– I ty jesteś tym Szechemem – dodała.

A kiedy jakiś chłopek przy moście zaczął go dźgać palcem w pierś i dopytywać się kto on, Żydek czy Polaczek, zaczął się bać, jakby pływał w rzece i stracił grunt pod nogami i jakby woda go teraz unosiła, bezbronnego, ku niewiadomemu. Popadał w coraz większy niepokój, potem wpadł w panikę, być może przeczuwając już, co się zdarzy. Wtedy przypomniał sobie, że w Trokach ma jakąś rodzinę ze strony matki, jakieś krewne od Kamińskich, i ubrdał sobie, że pojedzie do nich i poprosi o wsparcie.

I wyruszył rzeczywiście, w styczniu, zmieniwszy ubranie z żydowskiego na polskie, szlacheckie. Po trzech dniach znalazł się w Trokach, lecz nikogo takiego jak Kamińscy nie znalazł. Umarła ta ciotka kilka lat temu, jej córki rozjechały się z mężami, jedna gdzieś do Polski, druga w głąb Rosji. Ale za to dowiedział się przypadkiem, że pewien kupiec z Troków szuka polskiego guwernera do dzieci w Pskowie, gdzie prowadzi interes.

Wysłał więc Antoni mostowemu wszystkie pieniądze, jakie miał, i w sążnistym liście do niego, i osobnym do żony, obiecał przysłać

znowu, jak tylko coś zarobi, i zaklinał tego obcego człowieka, żeby zajmowali się Małką i dzieckiem, dopóki nie wróci. Wtedy wszystko się ułoży. Niech dziecko nie będzie zwykły mamzer z nieprawego łoża, lecz ślubne, i ten ślub chrześcijański szanują.

I właśnie w zimowy szary dzień wyruszał do Rosji, kiedy przyszedł list, jako że podał swój adres w Trokach. Niewprawną ręką napisał w nim mostowy, że i Małka, i dziecko umarli przy porodzie, i życzył mu z całego serca, żeby obraz tych dwojga do końca życia go nie opuścił, i żeby wszędzie szła za nim ta myśl, że przyczynił się do ich śmierci, i żeby nic go od tej winy wybawić nie mogło. Czytał ten list pod wielkim zimnym niebem, w furze, ściśnięty między innymi podróżnymi i czuł jednocześnie i rozpacz, i ulgę – jak pływak niesiony nurtem rzeki dopóty czuje grozę, dopóki nie pogodzi się z własną małością i bezradnością i nie stanie się niczym drewienko, od którego nic nie zależy. Wtedy przychodzi spokój.

Podróż do Pskowa trwała miesiąc. Przeważnie szedł piechotą, czasem podwoziły go fury. Sypiał w stajniach i niekiedy wydawało mu się, że w jego mózgu powstał bolesny wrzód i że można żyć z tym wrzodem, pod warunkiem że się go nie będzie ruszać. Było to istotnie możliwe, poza niektórymi momentami, które pojawiały się same z siebie, bez ostrzeżenia, wtedy ból zdawał się wymykać z zakreślonych magicznie granic i ogłuszał go. Zdarzały się takie sytuacje jak wtedy, gdy jechał saniami z jakimiś chłopami ruskimi, zmarznięty i brudny, i płakał całą drogę, aż w końcu woźnica, wielki chłop w kożuchu, zatrzymał konia i podszedł do niego, żeby go przytulić i pokołysać. Stali tak spleceni w wielkiej białej pustce, konie parowały na mrozie, opatuleni chłopi czekali cierpliwie. Nawet go nie zapytał ten woźnica, dlaczego płacze.

W Pskowie okazało się, że przybył za późno i guwerner już jest, zresztą bardziej od niego doświadczony.

Po długiej podróży dotarł do Petersburga i zdał sobie sprawę, że mógłby tak dalej żyć – będąc ciągle w ruchu, na wozie, na koniu, codziennie z innymi. Był miły, inteligentny, rozmowny. Ludzie go od razu lubili i jakby czując, że jest młodszy, niż się przedstawia, roztaczali nad nim opiekę. Korzystał z niej i nigdy nie przekraczał granic. Gdyby

tak spojrzeć uczciwie, to człowiekowi niewiele jest potrzebne do życia – jakiś posiłek i ubranie. Spać można wszędzie, zresztą zawsze go przygarniali jacyś kupcy, którym służył za tłumacza czy rachmistrza bądź opowiadał śmieszne historie. Pomagali mu zwykli chłopi, przed którymi grał tajemniczego szlachcica w kłopotach i których zawsze traktował z szacunkiem, jakby oni sami mieli szlacheckie tytuły. Nie stronił też od Żydów i Greków, nauczył się ich języka i chętnie pracował jako tłumacz. Raz mówił, że się nazywa – po matce – Kamiński, innym razem, że Żmudziński, albo zmyślał sobie nazwisko na jedną noc, na dwa dni. Ponieważ ładnie się wysławiał, był grzeczny i dobrze ułożony, kupcy, których poznał w drodze, polecali go swoim znajomym, i tak wędrował z karawanami po całej Turecczyźnie. Nękany nawracającymi napadami melancholii, zaciągnął się w końcu do floty czarnomorskiej. Prawie trzy lata pływał jako marynarz i zwiedził wiele portów. Przeżył katastrofę statku na Morzu Egejskim, siedział w tureckim więzieniu w Salonikach, niesprawiedliwie posądzony, rzecz jasna. Po wyjściu wyprawił się na świętą górę Athos, wierząc, że znajdzie tam ukojenie. Lecz nie znalazł. Potem był dragomanem w Smyrnie, aż w końcu trafił do bogomiłów w Krajowie i tam zamierzał spędzić resztę swojego życia.

– Dopóki nie pojawił się tam Jakub. Dopóki mnie nie odnaleźliście – mówi teraz Moliwda. Wysuszyli dwa dzbany wina i Moliwda czuje się bardzo zmęczony. Nachman milczy przez dłuższy czas, a potem wstaje i obejmuje Moliwdę jak kiedyś ten chłop wśród zimowej pustki.

– Jak myślisz, Jakubowski, czy dobrze przeżyłem swoje życie? – mamrocze Moliwda w kołnierz Nachmana.

Gdy chwiejnym krokiem wraca do domu, widzi pożar. Staje i dłuższą chwilę przygląda się płonącemu domowi, w którym był skład instrumentów muzycznych. Od gorąca pękają struny gitar i strzelają napięte skóry bębnów – ogień gra piekielną muzykę, której przysłuchują się przechodnie, do czasu aż z wielką pompą przyjedzie straż pożarna.

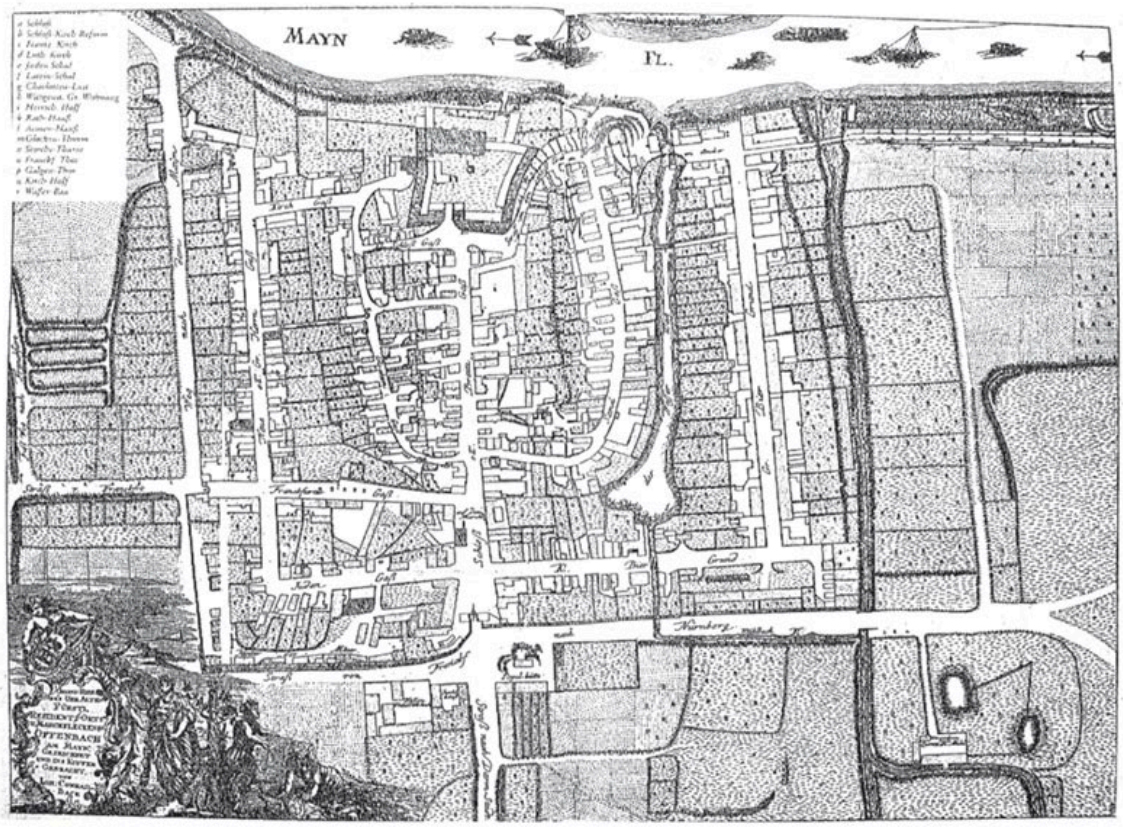

PLAN VON OFFENBACH 1750 (Joh. Conrad Bock)

29

O owadzim ludku, który zasiedla Offenbach nad Menem

Widok jest tak zaskakujący, że miejscowe powozy niejako same z siebie usuwają się na pobocze, żeby pozwolić przejechać tej dziwacznej kawalkadzie konnych i pojazdów. Jej czoło tworzy oddział jeźdźców złożony z sześciu uzbrojonych w piki i kolorowo odzianych wojaków. Mają sumiaste wąsy i mimo poważnych, a nawet groźnych min, wydają się heroldami zapowiadającymi przybycie jakiegoś cyrku. Prowadzi ich uzbrojony przewodnik, którego wąsy są skręcone fantazyjnie, niczym wiolinowe klucze. Za ową przednią strażą posuwa się bogata kareta z wymyślnym i trudnym do zapamiętania herbem na drzwiach, a za nią ciągnie jeszcze kilkanaście wieloosobowych powozów ciągniętych przez wschodnie, ciężkie konie. Na samym końcu toczą się załadowane fury, starannie przykryte plandekami. Za nimi znowu konni – młodzi przystojni mężczyźni. Kawalkada jedzie od Frankfurtu, przejeżdża przez most na Menie i kieruje się w stronę Oberradu, które jest przedmieściem Offenbachu.

Pani von La Roche, która odwiedza rodzinę w Offenbachu i jest bliska decyzji osiedlenia się w tym wyjątkowo spokojnym miasteczku przypominającym uzdrowisko, też każe stangretowi zjechać na bok. Przygląda się zaciekawiona, cóż to za dziwni ludzie podróżują w ten sposób. Straż ma na sobie pstrokate uniformy, jakby ułańskie, w barwach przeważnie zieleni i złota, pełne szamerunków i guzików. Wysokie czapki zdobią pawie pióra. Ci bardzo młodzi mężczyźni, chłopcy prawie, przypominają Zofii von La Roche długonogie, skoczne owady. Chętnie zajrzałaby do środka najbogatszej karety, ale firanki w oknach są dokładnie zaciągnięte. Za to bez trudu można przyjrzeć się przybyszom w następnych powozach – to głównie kobiety i dzieci, wszyscy wystrojeni, barwni, uśmiechnięci i chyba nieco zawstydzeni zainteresowaniem, jakie wzbudzają.

– Kto to jest – pyta zaintrygowana pani von La Roche gapiącego się na ten orszak mieszczanina.

– A to podobno jakiś polski baron z synami i córką.

Kawalkada ciągnie niespiesznie przez przedmieście miasta, rozpycha się na wąskich brukowanych uliczkach. Jeźdźcy pokrzykują w jakimś obcym języku, słychać ich gwizdy. Pani von La Roche czuje się jak na przedstawieniu w operze.

Potem, gdy Zofia wita się z równie podnieconą kuzynką, na drugi plan schodzi jej pobyt w Berlinie. Wszyscy mówią o tym polskim baronie z tajemniczą a piękną córką, który sprowadził się tutaj na zaproszenie księcia i wynajął od niego zamek, gdzie najpierw mają się zatrzymać przybysze.

Kuzynka specjalnie wynajęła powóz do Oberradu i widziała całe uroczyste wysiadanie z karety. Opowiada teraz przejęta:

– Ci dwaj synowie wyprowadzili wysokiego starca całego w czerwieni i w tureckiej czapce. I miał brylantową gwiazdę przypiętą do piersi. Z drugiej karety wysiadła jego córka, ubrana jak księżniczka. Widziałam brylanty na jej włosach. Nie masz pojęcia, wyglądali jak cesarska para. Będziecie sąsiadami, gdy sprowadzi się do zamku.

Od marca 1786 roku cały Offenbach trwa w lekkiej histerii. W zamku pracują murarze, z okien leci kurz. Zamówiono ogromne ilości tapet, dywanów, materii na ściany, mebli i pościeli – wszystkich rzeczy, jakich potrzeba, żeby uczynić siedzibę polskiego barona wygodną i godną.

Zofia von La Roche, która jest pisarką i pisanie ma w nawyku, skrzętnie notuje w dzienniku wszystko, co widzi:

> Ciekawe jest bardzo – pisze – jak nasi drodzy offenbachscy współmieszkańcy radzą sobie z dziurawą wiedzą, którą przyszło im się zadowolić na temat tych Polaków. Człowieczy umysł nie znosi niepewności i niedomówień, więc od razu zaczęto wymyślać wszelkie możliwe historie tego owadziego ludku. Plotki głoszą, iż stary mężczyzna w tureckim stroju to jakiś alchemik i kabalista, jak ów Saint-Germain, i że fortunę swoją zawdzięcza złotu, jakie produkuje we własnej pracowni, co potwierdzali robotnicy, którzy wnosili jakieś tajemnicze skrzynie

pełne szkła, słoi i buteleczek. Mówiła mi nasza droga pani Bernard, że ten baron Frank-Dobrucki to nie kto inny jak sam car Piotr Trzeci cudownie od śmierci uratowany, co wyjaśnia obecność całych beczek złota, które tu płyną ze Wschodu na utrzymanie tego dworu Nabuchodonozora. Pozwoliłam sobie sama wziąć udział w tej zabawie i powiedziałam jej, że nie ma racji. Owa niby-córka i jej dwóch braci są bowiem dziećmi carycy, samej Elżbiety, i jej kochanka Razumowskiego, a ów baron jest tylko ich guwernerem. Pokiwała głową i jeszcze tego samego dnia pod wieczór plotka wróciła do mnie ustami lekarza, który przyszedł puszczać mi krew, nic nieznieksztalcona.

O Schlossie isemburskim i jego zziębniętych mieszkańcach

Zamek stoi tuż nad wodą i niejeden raz powódź go nie oszczędziła. Widać w dwóch miejscach skrzętne notowania poziomu wody. Najwyższy był dwa lata temu. Stąd zapewne na murach jest liszaj od wilgoci. Ewa długo wybiera sobie pokój, zastanawia się, czy woli ten z widokiem na rzekę, wtedy miałaby balkon, czy może z dużym oknem na miasto. W końcu decyduje się na rzekę i balkon.

Rzeka ma tu wiele kolorów, jest miękka i łagodna. Nazywa się Men, ale ojciec uparcie mówi na nią: Prut. Widok pływających po rzece barek i łodzi z podwójnymi żaglami uspokaja Ewę. Mogłaby tak siedzieć na balkonie i patrzeć; odczuwa to jako rodzaj pieszczoty, płynny ruch wody, poruszenia żagli, wszystko to w jakiś sposób dotyka jej ciała i zostawia na skórze przyjemną smugę. Zamówiła już meble: biurko i dwie szafy, a także obite jasnym materiałem kanapy oraz stolik do kawy. Ojcu sposobi dwa pokoje z widokiem na Men. Specjalnie wybrała się do Frankfurtu, by zamówić dla niego dywany, ojciec nie uznaje bowiem krzeseł ani foteli. Najpiękniejsza sala z ciągiem okien o kolorowych witrażach będzie templem, już to postanowiła. Tu będą się zbierać bracia i siostry.

Zamek jest okazały, to największa budowla w okolicy, robi większe wrażenie niż jakikolwiek kościół. Od płaskiego brzegu dzieli go ciągle podmakająca droga, wzmacniana co roku kamieniami przywożonymi tu przez robotników. Jest też przystań dla promu, którym można się przeprawić na drugi brzeg. Koło przystani stoją karczma i kuźnia. Na skleconych z desek stołach sprzedaje się ryby z rzeki, głównie szczupaki i okonie. Oni, Polacken, jak o nich mówią w mieście, też kupują całe kosze ryb.

Zamczysko ma cztery piętra. Ewa z Matuszewskim rozrysowali przeznaczenie każdego z nich. Na parterze będą więc sale paradne, na pierwszym zamieszkają ona z ojcem oraz najstarsi bracia i siostry. Wyżej kuchnia i pomieszczenia dla kobiet, a dwa ostatnie piętra – dla młodzieży. Jeszcze jedna kuchnia i pralnia w budynku obok. Ewa, która napatrzyła się na cesarskie pałace w Wiedniu, ma wizję, jak to powinno wyglądać. Zatrudniła do prowadzenia remontu architekta z Frankfurtu; czasem trudno mu wytłumaczyć, czego chcą – sala do zebrań ma być bez mebli, tylko z kobiercami i poduszkami, kaplica domowa bez ołtarzyka, tylko z podestem na środku. Wielu rzeczy ów człowiek nie rozumie. Całe lato malują ściany i wymieniają zmurszałe podłogi. Najgorzej jest na parterze, gdzie dwa lata temu stała woda. We wszystkie

okna trzeba było wstawić nowe szyby. We Frankfurcie zakupiono już dużą liczbę dywanów i pledów, bo w środku jest zimno, nawet latem. Nabywcy płacą chętnie i bez szemrania. Natychmiast zjawiają się u nich bankierzy frankfurccy z propozycjami kredytów.

Przeprowadzka do zamku nie jest już ani trochę uroczysta i nie odbywa się jednego dnia. Wprowadzają się doń w tym samym czasie, kiedy pani Zofia von La Roche, owdowiawszy, osiedla się na stałe w Offenbachu – na zimę 1788 roku.

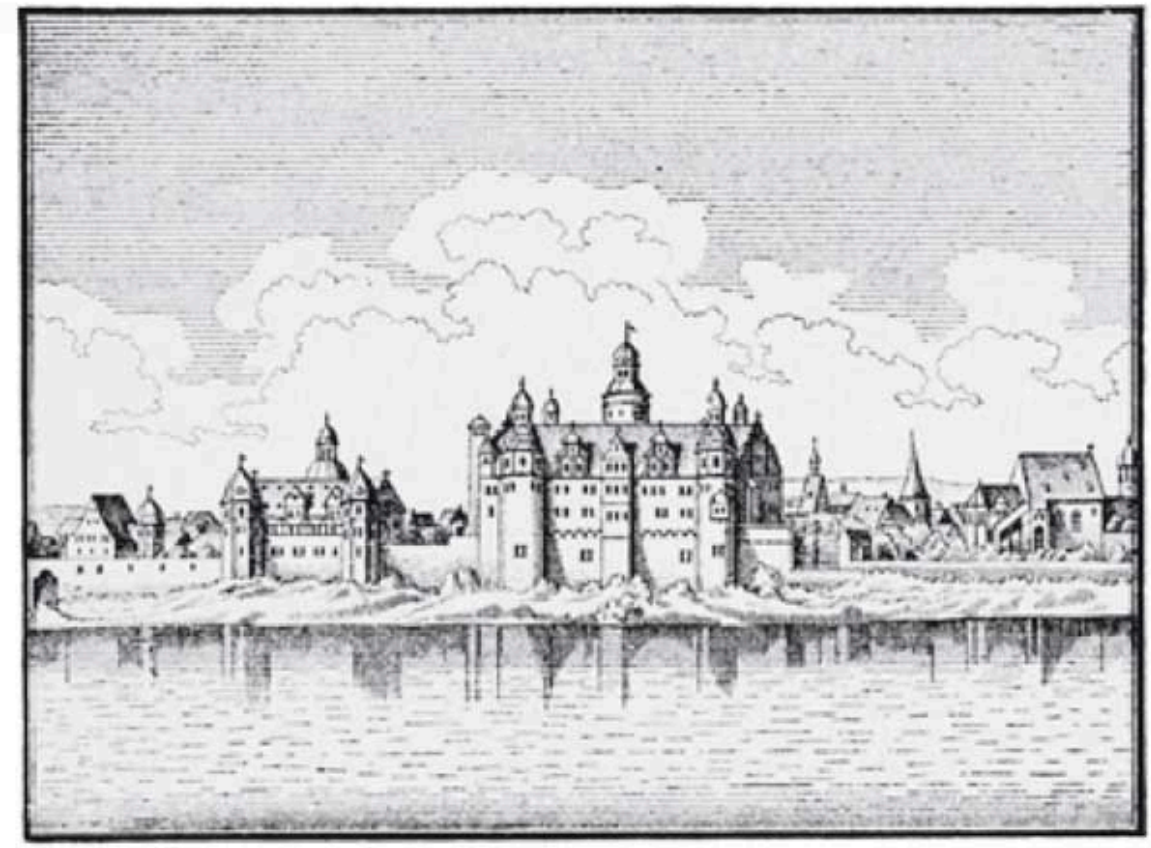

Dwie klatki schodowe, o stromych schodach, będą sprawiać trudność Jakubowi Frankowi – źle chodzi. Długa podróż do Offenbachu przez zimowe Niemcy spowodowała zaziębienie. W Miśni, gdzie się zatrzymali na kilka dni, miał atak gorączki, majaczył i znowu twierdził, że chcą go otruć komunią. Ozdrowiał nieco po wizycie w manufakturze, gdzie oglądali porcelanę.

Teraz, niepomny na remonty, niezainteresowany tapetami i tapicerką, całymi dniami dyktuje listy, które posłańcy rozwożą do Polski, na Morawy, do Bukaresztu i wszędzie tam, gdzie są prawowierni. Wzywa też do przyjazdu wszystkich starszych braci. Latem jako pierwsi pojawiają się Jakubowski z Janem Wołowskim i zaraz potem ściągają dzieci Łabęckich oraz Lanckorońskich, a także „turczynki", jak o nich mówią – prawowierni z Wołoszczyzny. Dom w Oberradzie, gdzie najpierw osiedli, pomieścić ich nie mógł, więc dopóki zamek nie będzie gotowy, muszą wynająć pokoje w Offenbachu, w tych zadbanych, przytulnych domkach o ścianach wyłożonych łupkiem.

Jakuba wyraźnie ożywiają wizyty Thomasa, który pojawia się w Offenbachu w trakcie swoich częstych podróży w interesach do Frankfurtu. Dwa razy obaj wybrali się za rzekę, gdzie Thomas przedstawił wuja bankierom i pomógł mu uzyskać kolejne pożyczki.

Zwykle jednak siedzą i rozmawiają. Teraz Jakub, niby mimochodem, każe podać kawę na zamkowych krużgankach, gdzie można się grzać w słonecznych plamach, ale chodzi mu zapewne o to, aby Thomas mógł ujrzeć przystojnego mężczyznę w eleganckim białym mundurze, który prowadzi musztrę na zamkowym podwórku.

– To jest hrabia Lubomirski – mówi Jakub z dziecinną dumą.

Thomas milczy zaskoczony, a może po prostu nie dowierza wujowi.

– Skąd się tutaj taki wziął? Prawdziwy hrabia?

Jakub z przyjemnością opowiada tę historię, smakując kawę. Kawa sprowadzona z Turcji robi furorę w Offenbachu. Jeden z prawowiernych otworzył już w tym mieście małą kawiarnię i bywanie w niej natychmiast stało się modne pośród offenbachskich mieszczan.

Jakub mówi, że Lubomirski jest w istocie bankrutem i żeby uniknąć więzienia za długi, musiał z Polski uciekać. A że poznał w Warszawie śliczną Teklę Łabęcką, pogrobową córkę Mosze Łabęckiego i Tereski, i zakochał się w niej, pociągnął za nią aż tutaj. Jakub dał mu zatrudnienie – hrabia Lubomirski został mianowany głównodowodzącym straży. Pomógł nawet zaprojektować jej mundury, korzystając ze swojej wielkiej w tej materii wiedzy.

Thomas śmieje się.

– Więc te pstrokate mundury to pomysł Lubomirskiego?

Jakuba oburza to przypuszczenie. Pomysł mundurów był jego własny: amarantowe portki i błękitna kurtka ze złotym szamerunkiem. Halabardnicy zaś mają jedną stronę lazurową, a drugą karmazynową.

O gotowanych jajkach i księciu Lubomirskim

Zamek, nieogrzewany przez lata, przerósł grzybnią mrozu i wszelkiego chłodu, ściany są zimne i wilgotne, kominki i piece rozpalają się leniwie. Nagrzewają się wprawdzie dobrze, lecz gdy tylko ostatnie bierwiono spłonie, kominek schładza się natychmiast. Dlatego sylwetki wszystkich zaokrąglają się – to od kilku warstw ubrań, które nosi się jedne na drugich. A ten chłód tutaj inny, obcy – klei się do skóry, trzyma ręce i stopy w wiecznym zgrabieniu, trudno igłę wbić w tamborek, trudno stronę książki przewrócić. Dlatego zimą życie toczy się w jednej, największej, izbie na parterze, przy kominku i porozstawianych po kątach piecykach tureckich z żarem, przez co odzież przesiąka swojskim zapachem wilgotnego dymu. Pachnie jak w Iwaniu – mawia Pan, gdy tam wchodzi. Tam też jadają wszystkie posiłki. Siedzą przy długim stole ustawionym jak najbliżej kominka. Na pięknej zastawie prawie same gotowane jajka.

– Ty się już robisz stara baba. Nawet cię ten Lubomirski nie chciał, choć go na herbatki do siebie prosiłaś – odzywa się nagle Jakub do córki, gdy jedzą wszyscy śniadanie.

Tak zwykle zaczyna się jego zły humor – musi w kogoś uderzyć.

Ewa oblewa się rumieńcem. Słyszą to: Matuszewski, obaj jej bracia, Anusia Pawłowska, Ewa Jezierzańska i – to okropne – Thomas. Ewa odkłada sztućce i wychodzi.

– On tu przecież dla Tekli Łabęckiej jest – mówi pojednawczo Ewa Jezierzańska i dokłada Jakubowi chrzanu. – On jest wielki pies na baby, uważać na niego trzeba. Tekla mu się stawiała, ale to do niej go ciągnie.

– Niedługo się stawiała – mówi Matuszewski z pełnymi ustami, zadowolony, że udało się zmienić temat.

Jakub milknie na chwilę. Ostatnio żywi się tylko gotowanymi albo pieczonymi jajami. Twierdzi, że jego żołądek nie trawi już nic innego.

– To przecież polski książę... – mówi Jakub.

– Może i książę, ale finansowo i honorowo skończony – odzywa się cicho Czerniawski. – Pieniędzy nie ma i żadnego szacunku. Z Polski musiał przed wierzycielami uciekać. Dobrze, że przydaje się jako masztalerz...

– Jest generałem straży pałacowej – poprawia go Matuszewski.

– Ale to książę – mówi Jakub, rozdrażniony. – Idź po nią – zwraca się do Zwierzchowskiej.

Zwierzchowska nawet nie ma zamiaru wstać.

– Ona nie przyjdzie. Obraziłeś ją – i po krótkiej chwili dodaje: – Panie.

Przy stole zapada cisza. Jakub nie może opanować oburzenia, drży mu dolna warga. Dopiero teraz widać wyraźnie, że po ostatniej apopleksji lewa strona twarzy przywiędła i nieco opadła w dół.

– Wziąłem na siebie całą chorobę za was – zaczyna po chwili cicho, potem mówi coraz głośniej. – Patrzcie, kim jesteście, a wcale mnie nie słuchaliście i słowa moje mieliście za nic. Tu was doprowadziłem, a gdybyście mnie tylko słuchali od samego początku, to bylibyście jeszcze dalej. Nawet sobie tego zmiarkować nie potraficie. Spalibyście w łabędzim puchu i na skrzyniach pełnych złota, w królewskich pałacach. Kto z was naprawdę we mnie wierzył? Wszyscy jesteście głupcy, na darmo się tyle z wami męczyłem. Niczego się nie nauczyliście, tylko we mnie patrzycie, nikt z was nie pomyśli, jak się czuję i że mnie boli.

Gwałtownie odsuwa talerz. Obrane ze skorupek jajka spadają na podłogę.

– Precz idźcie. Ty, Ewa, zostań – zwraca się do Jezierzańskiej.

Kiedy wychodzą, ona nachyla się nad nim i poprawia mu halsztuk z cienkiej wełny.

– Drapie mnie – skarży się Jakub.

– Musi drapać, wtedy grzeje.

– Ty mi byłaś najmilsza, zaraz po mojej Chanusi.

Jezierzańska próbuje się wywinąć, ale Jakub łapie ją za rękę i przyciąga do siebie.

– Zaciągnij zasłony – mówi.

Kobieta posłusznie zaciąga grubą tkaninę, tak że robi się prawie ciemno i teraz schowani są jakby w pudełku. Jakub mówi jękliwym głosem:

– Moje myśli nie są waszymi myślami. Jestem taki samotny. Wy jesteście ludzie może piękni i dobrzy, ale prostaki i bez rozumu. Do was trzeba jak do dzieci. Mówię do was o prostych rzeczach za pomocą prostych podobieństw. Mądrość może być w głupstwie utajona. Ty to wiesz, bo jesteś mądra – mówi Jakub i kładzie jej głowę na kolanach. Ewa Jezierzańska ostrożnie zsuwa mu z głowy nieodstępną jego czapkę i palcami rozdziela tłustawe, siwe kosmyki Pana.

Jakub jest stary. Ewa Jezierzańska, która go co tydzień kąpie, dokładnie zna jego ciało. Skóra na nim wyschła i zrobiła się cieniutka, lecz za to gładka jak pergamin; nawet blizny na twarzy wygładziły się, a może zaczaiły się tylko pod głębokimi zmarszczkami. Ewa wie, że ludzie dzielą się na tych, którzy mają poziome zmarszczki na czole, i tych, którzy mają je pionowe. Ci pierwsi są pogodni i przyjacielscy, tak sobie o nich myśli i sama taka jest, lecz rzadko osiągają to, czego chcieli. Drudzy, ci z bruzdą nad nosem, są gniewni i porywczy, za to udaje im się zdobyć to, co sobie zamierzyli. Jakub należy do tych drugich. Kiedyś w młodości te gniewne zmarszczki były bardziej widoczne, teraz jakby się wygładziły; może cel już został osiągnięty i nie ma więcej powodów do ich istnienia. Na czole został zaledwie ich cień, zmywany codziennie przez światło słońca.

Skóra Jakuba zbrązowiała; włosy na piersiach posiwiały i przerzedziły się, a kiedyś miał je bujne, czarne. Tak samo nogi – teraz są prawie gładkie. I przyrodzenie Jakuba zmieniło się. Jezierzańska może coś o tym powiedzieć, ponieważ kiedyś często miała z nim do czynienia,

gościła je w sobie. Ewa Jezierzańska już dawno nie widziała go w postawie walecznej, teraz, także przez tę rupturę, przypomina bezkształtny mieszek, który dynda między nogami. Na łydkach i udach pojawiły się siateczki żylaków, malutkich i drobnych, chyba we wszystkich kolorach. Jakub schudł, choć brzuch ma wydęty od złego trawienia.

Odwraca taktownie głowę do okna, gdy myje mu delikatną gąbką przyrodzenie. Musi uważać z wodą, żeby nie daj Boże nie była za zimna ani za gorąca, bo wtedy Jakub krzyczy, jakby go mordowała. A przecież nigdy nie była w stanie zrobić mu najmniejszej krzywdy. To jest najcenniejsze ludzkie ciało, jakie zna.

To ona wymyśliła też, żeby posłać na wieś, do chłopów, po specjalny sekatorek, którym obcina się rozdwojone kopyta zwierzętom gospodarskim, tylko tym daje się bowiem obciąć paznokcie u nóg Jakuba.

– Idź ty, Ewa, do młodszych kobiet, wybierz mi ze trzy, wiesz, jakie ja lubię, i powiedz im, żeby przygotowały biały strój i trzymały go w pogotowiu. Wkrótce je zawezwę.

Ewa Jezierzańska wzdycha teatralnie i mówi z udawanym oburzeniem:

– Nie ma dla ciebie choroby ni starości, Jakubie... Wstydziłbyś się.

Widać, że mu to schlebia, uśmiecha się pod nosem i obejmuje jej tęgawą talię.

Jak wilczyca Zwierzchowska trzyma porządki w zamku

Wszystko trzeba zaczynać od początku. Zwierzchowska jest zmęczoną ochmistrzynią tego dworu, z kluczami przyczepionymi do pasa. Długo się musiała ich uczyć.

Zwierzchowska zawsze tam, gdzie się znajdzie, zakłada gospodarstwo i zaczyna rządzić. Jest jak wilczyca, która dba o swoje stado – karmi je i chroni. Umie oszczędzać, zna się na prowadzeniu dużego domu,

nauczyła się tego już w Iwaniu, a potem uczyła się wszędzie, gdzie się osiedlali – w takich miejscach, jak Wojsławice, Kobyłka, Zamość, jakieś pomniejsze dwory i wsie, gdzie dawano im kąt. Wie, że przyczyniła się do zbrodni i zginęło przez nią czternastu ludzi, ma ich na sumieniu i jeszcze teraz, po latach, dokładnie pamięta tę scenę, gdy udawała żonę wojsławickiego rabina Zyskiela. Udawała nieudolnie i właściwie każdy powinien się na tym udawaniu poznać. Tłumaczyła sobie, że tak trzeba, że są na wojnie, a na wojnie obowiązują inne prawa niż w czasie pokoju. Mściła się też za zgwałconą córkę, która się powiesiła. Miała prawo do zemsty. Teraz jej mąż powtarza, żeby się nie obwiniała; wszyscy brali w tym udział. Kąsali jak wściekłe zwierzęta. Wygląda na to, że nikt tym, co się stało, nie przejmuje się tak jak ona. Jakub obiecał jej, że kiedy przyjdą ostatnie dni i będą szli do Panny, on będzie ją trzymał za rękę. Ta obietnica bardzo jej pomogła. Ma nadzieję, że nie dotknęła jej żadna klątwa i nie czyha na nią żadne przekleństwo. Przecież walczyła w obronie swoich.

Teraz, gdy cierpi na puchnięcie nóg, ma do pomocy młodziutką synową, Eleonorę, z domu Jezierzańską. Zwierzchowska, która chodzi dość ociężale, często wspiera się na Eleonorze, i wtedy mówią o nich, że wyglądają jak Noemi i Rut.

Ewa Jezierzańska, matka synowej Zwierzchowskiej, kiedy jest przy Jakubie, a nie w Warszawie, zawiaduje młodzieżą, jej kwaterunkiem, panienkami, ich pracami i rozrywkami. Prowadzi korespondencję, ustalając zakwaterowanie i terminy przyjazdów braci do Offenbachu, jakby to była wielce oblegana oberża. Gdy wraca do Warszawy, jej obowiązki przejmuje Jakub Zalewski, zięć młodszego Dembowskiego. Czerniawscy zaś prowadzą finanse, ich syn, Antoni jest sekretarzem pańskim, razem z Jeruchimem Dembowskim, którego teraz Pan ciągle chce mieć przy sobie. Mają przy pokoju pańskim całą kancelarię, jeszcze większą niż w Brünn. Kilkoro młodych przepisuje listy, kiedy trzeba je rozesłać do prawowiernych. Dembowska, żona Jeruchima, w małym pokoiku na samej górze, pod dachem, który nieustannie szturmują pazurki gołębi, zajmuje się sprzedażą złotych kropli. To jest jakby punkt pocztowy: stoi tu pełno skrzyneczek drewnianych, leżą stosy pakuł do ich wymoszczenia. Na półkach mieści się cenny towar – setki buteleczek

już napełnionych złotymi kroplami; etykiety wypisuje jej córka. Kuchnią zarządza jedna z Matuszewskich, która wyszła za syna Michała Wołowskiego. Jest to kobieta władcza i pewna siebie, pasuje posturą i temperamentem do wystroju kuchni, nie ma tu bowiem garnków, są natomiast kotły i ogromne patelnie, a brytfanny kupili takie, żeby mogła się w nich zmieścić najtłustsza gęś. Do najgorszych robót zatrudnia się dziewczyny z miasta, ale pomaganie w kuchni jest obowiązkiem każdej przyjezdnej panny.

Franciszek Szymanowski, który w Brünn zajmował się gwardią i musztrą i miał władzę absolutną, musiał się nią podzielić z księciem Lubomirskim. Zrobił to chętnie, a nawet uroczyście – oddał mu położoną na poduszce buławę, którą zamówiono jeszcze w Brünn. Sam czuje się już zmęczony ciągle rosnącym „legionem”. Zostawił sobie tylko funkcję prowadzącego orszak, gdy w każdą niedzielę jadą do kościoła traktem nad rzeką. Wtedy to ludzie wychodzą z domów, żeby się im przyglądać. Szymanowski prowadzi całą kawalkadę – siedzi na koniu wyprostowany i dumny. Na ustach ma zawsze coś w rodzaju półuśmiechu, ni to zamyślonego, ni to ironicznego. Jego wzrok przesuwa się po mijanych ludziach jak po trawniku, nudnym i monotonnym. Książę Lubomirski zaś jedzie zawsze przy karecie z Jakubem i Ewą. Pochód pojawia się tak punktualnie, że mieszczanie z Offenbachu mogliby według niego regulować zegarki – czas na poranną kawę! Oto polski hrabia jedzie do Bürgel, do jedynego w okolicy katolickiego kościółka, w orszaku niczym jaki faun.

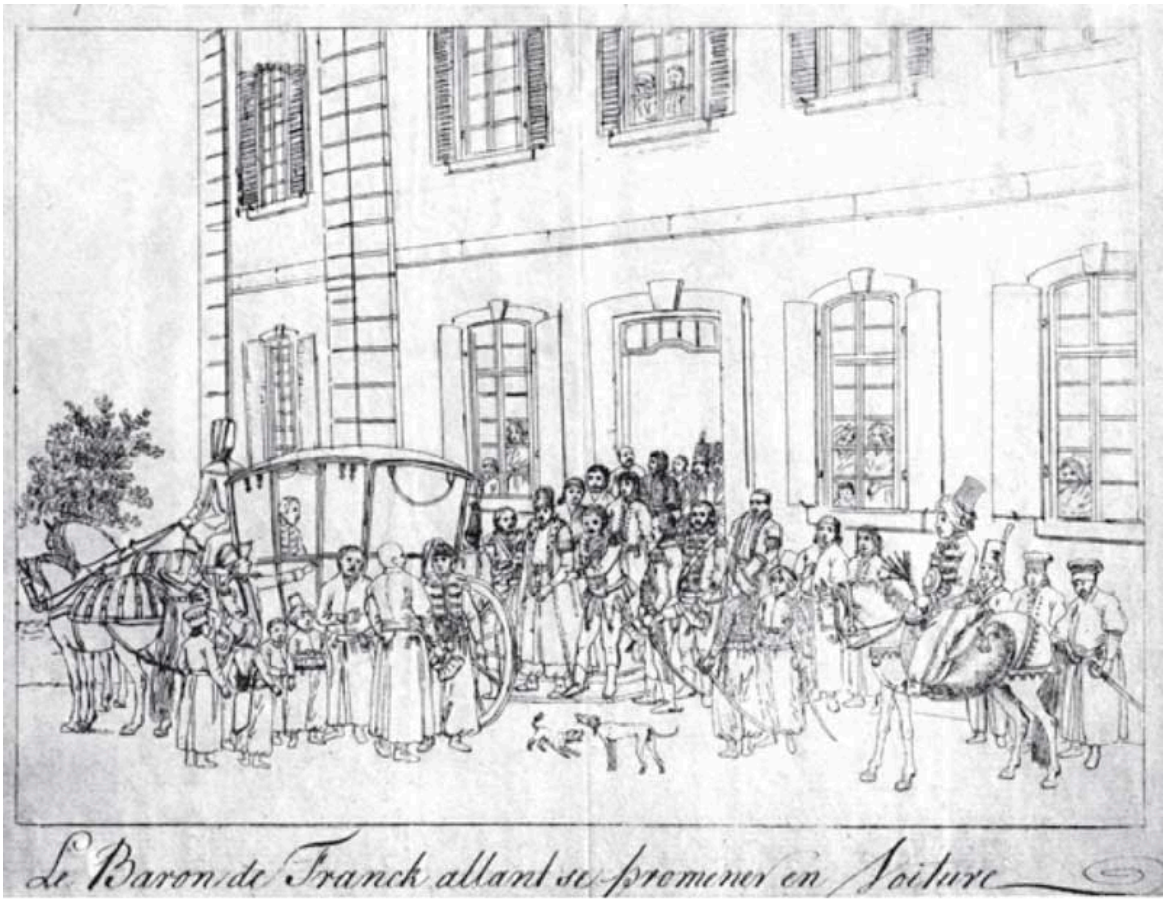

Msza odprawiana jest tylko dla nich, i Polacken, jak tu o nich mówią, szczelnie wypełniają nieduży kościółek. Modlą się w milczeniu, śpiewają po polsku. Jakub ma zwyczaj leżeć krzyżem przed ołtarzem, co w niewielu katolikach w wiosce Bürgel wzbudza sensację; nie znają takiej ostentacyjnej wschodniej pobożności. Chwali ich ksiądz proboszcz i daje za przykład. Od kiedy tu są, nie brakuje świec ani kadzideł. A ostatnio Ewa ufundowała nowe księżowskie szaty i piękną złotą monstrancję wysadzaną najdroższymi kamieniami. Ksiądz o mało nie zemdlał, kiedy ją zobaczył, a i teraz co noc się martwi, czy aby nie skusi ta cenna rzecz jakiegoś złodzieja.

Nóż wysadzany turkusami

Książę Jerzy Marcin Lubomirski był już kompletnie spłukany, kiedy pojawił się w Offenbachu. Z wielkiej fortuny, jednej z największych

w Polsce, nie zostało nic. W ostatnich latach poświęcił się całkowicie pracy dla króla, który docenił jego świetną znajomość aktorek i aktoreczek oraz wszelkich spraw, jakie dzieją się za kulisami – książę Lubomirski organizował w Warszawie królewski teatr. Niestety, ciągnie się za nim zła sława zdrajcy i awanturnika. Najpierw, jeszcze jako dowódca twierdzy w Kamieńcu, splamił swój szlachecki honor przez poślubienie kobiety bez zgody własnych i jej rodziców. Małżeństwo okazało się krótkotrwałe i nieszczęśliwe. Po rozwodzie ożenił się jeszcze raz, ale i to małżeństwo nie przetrwało. Miał też miłostki z mężczyznami. Jednego kochanka obdarował miasteczkiem i kilkoma wioskami. Chyba nie nadawał się więc na męża. Sam uważał się zawsze za żołnierza. Jego talenty taktyczne dostrzegł widocznie sam król pruski Fryderyk, bo uczynił go generałem w czasie wojen śląskich. Powodowany jakąś trudną do wytłumaczenia nudą towarzyszącą pruskiemu sposobowi wojowania książę zdezerterował z pruskiej armii i założył własny oddział, którym atakował swoich dotychczasowych towarzyszy broni. Działał zresztą na dwa fronty, walcząc także z polskim wojskiem, ale też oddawał się z upodobaniem gwałtom i grabieży. Obszar międzyfrontowy, jego rozkoszna anarchiczność, zawieszenie wszelkich praw ludzkich i boskich, wsie spalone po przejściu wojska, pole bitewne pełne trupów, które można ograbić, zabijając myszkujących tam biedaków, mdlący zapach krwi mieszający się z kwaśną wonią przetrawionego alkoholu – to było księstwo Jerzego Marcina. W końcu został złapany przez Polaków i skazany za zdradę i bandytyzm na śmierć. Wstawiła się za nim rodzina i karę śmierci zamieniono mu na długoletnie więzienie. Gdy jednak zawiązała się konfederacja barska, przypomniano sobie o jego talentach przywódczych i dano mu szansę na rehabilitację. Aprowizował oddziały Pułaskiego w twierdzy jasnogórskiej i sam tam bywał.

Lubomirski wciąż dobrze pamięta pewien wieczór w Częstochowie, gdy umarła żona tego Franka. Patrzył na owych neofitów, jak formują mały żałobny orszak i za pozwoleniem dowódcy twierdzy wychodzą poza mury, żeby pochować ciało w jakiejś jaskini. Chyba nigdy w życiu nie widział bardziej zgnębionych ludzi. Biedni, wymięci, poszarzali, poubierani jeden po turecku, inny po kozacku, ich kobiety zaś w tanich,

krzykliwych sukienkach, niepasujących na pogrzeb. Zrobiło mu się ich wtedy żal. Kto by pomyślał, że będzie teraz wśród nich?

W czasie trwania chaotycznego oblężenia wiedział, że choć było zabronione kontaktować się z uwięzionymi, żołnierze chodzili do tego Franka jakby do jakiego księdza, a ten kładł im ręce na głowę. Wśród żołnierzy panowało bowiem przekonanie, że jego dotyk przynosi odporność na ciosy i kule. I pamięta jeszcze tę dziewczynę, córkę Franka, młodziutką i płochą, której ojciec nie wypuszczał z wieży, bojąc się pewnie o jej cnotę, jak przemykała czasami z miasteczka do klasztoru w kapturze nałożonym na śliczną główkę.

Popadł wtedy książę w tej Częstochowie w jakiś ponury nastrój. Modlić się nie umiał, klepał pacierz, nieswojo mu się też robiło od wotów wiszących na ścianach. Bo gdyby to jemu przydarzyło się takie nieszczęście? Gdyby stracił nogę albo wybuch oszpeciłby mu twarz? Lecz jednego był pewien – takim ludziom jak on Matka Boska sprzyja, wiele razy tego dokazała. Była dla niego jak krewna, dobra stryjenka, która pomoże wyjść z każdej opresji.

Znudzony bezczynnością panującą w klasztorze upijał się każdego wieczoru i napuszczał swoich podoficerów na tę młodą córkę więźnia. Raz w przypływie pijackiej hojności, znużony tym miejscem, w którym czuł się nie mniej więźniem niż ten prawdziwy dziwaczny Żyd, obdarował neofitów koszem wiktuałów z trudem zdobytych w mieście oraz beczką niezbyt dobrego wina z zapasów braciszków. Frank przesłał mu grzeczne podziękowanie oraz piękny turecki nóż oprawiony w srebrną rękojeść wysadzaną turkusami – prezent o wiele więcej wart niż ten kosz z jedzeniem i kwaśne wino. Ów nóż Lubomirski gdzieś zapodział, lecz potem, gdy popadł w tarapaty i znalazł się w Wiedniu, nagle sobie o nim przypomniał.

Po upadku Jasnej Góry wrócił do Warszawy. Mówiono, że na sejmie rozbiorowym sam usuwał Rejtana z przejścia i potem wytyczał nawet nowe granice Królestwa Polskiego, okrojone i kalekie. Dlatego w Warszawie wkrótce wszyscy znajomi zaczęli przechodzić na jego widok na drugą stronę ulicy. On zaś w pogrążonej w chaosie Warszawie prowadził hulaszcze życie, trwoniąc resztki fortuny i zaciągając gigantyczne długi. Pił, grał w karty – nazywano go tu tym modnym

ostatnio słowem „libertyn”, choć przecież tak długo, jak się dało, trzymał z ultrakatolikami. Kiedy w 1781 roku została opublikowana lista jego długów, to widniało na niej przeszło sto nazwisk wierzycieli. Ci skrupulatnie podliczyli kosmiczną sumę: było tego dwa miliony sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć złotych polskich. Był bankrutem, może największym bankrutem w Europie. Kilka lat potem od jednej ze swoich znajomych, starej Kossakowskiej, dowiedział się, że dwór Jakuba Franka przeniósł się do Offenbachu.

I nagle ów nóż wysadzany turkusami, zagubiony czy podarowany jakiejś prostytutce, wyciął z chaosu myśli księcia jedną zdumiewającą – że oto musi mieć z tymi ludźmi coś wspólnego, skoro się tak na nich natyka co rusz, co kilka lat, bo przecież pierwszy raz widział ich w Kamieńcu, gdy byli jeszcze Żydami, ukrytymi w swoich wielkich brodach, a potem już ochrzczonych, gdy przez całą zimę na prośbę herod-baby Kossakowskiej mieszkali w jego dobrach. Musi być jakaś siła niewidzialna, która wiąże ludzkie losy, bo jakże inaczej dałoby się wytłumaczyć takie zbiegi okoliczności jak spotkanie z nimi znowu w Częstochowie. Lubomirski teraz, gdy praktycznie nie ma już gdzie mieszkać, chętnie wierzy w niewidzialne nici losu, ale nade wszystko ufa sam sobie. Ma przy tym głębokie przekonanie, że jego droga życiowa jest prosta i konsekwentna niczym ścieżka wycięta szablą w zbożu. Żałuje tylko, że zamienił potem w Częstochowie kilka słów z owym Jakubem. A teraz ten poczerniały częstochowski więzień ma własny zamek i dwór. I z pewnością ma go po to, żeby uratować księcia Lubomirskiego, kiedy ten musi zniknąć z Warszawy.

Tylko idee odważne, nietypowe, można by powiedzieć: ekscentryczne, mają szansę powodzenia – tego się nauczył przez całe swoje burzliwe życie. Bo całe dotychczasowe życie księcia Lubomirskiego składa się z takich nietypowych decyzji, których żaden motłoch pojąć nie jest w stanie.

I tym razem było podobnie. Posłał list do dawnego przyjaciela jeszcze z czasów pruskich, księcia Fryderyka Karola Lichnowskiego, z prośbą o protekcję u Franka, skoro już ten, nie wiadomo jak, dorósł do takich zaszczytów. Poprosił, żeby wspomniał o dawnej znajomości, bez

wyszczególniania, o co chodzi, i o jego delikatnej i trudnej sytuacji. Wkrótce dostał od przyjaciela list pisany szybko i w entuzjastycznym tonie, donoszący, że ów baron Frank-Dobrucki będzie zaszczycony, mogąc zaoferować Jego Wysokości księciu Lubomirskiemu dowództwo swojej przybocznej straży, gdyż spodziewa się w ten sposób podnieść splendor swego dworu. Frank oferował też księciu mieszkanie w najlepszej części miasta, powóz i adiutanta ze stopniem pułkownika.

I stało się najlepiej, jak mogło, bo już nawet na podróż do Offenbachu książę nie miał i musiał o konie pocztowe wykłócać się na każdej stacji, żeby mu dano na kredyt.

O domku dla lalek

– Droga przyjaciółko, myślę, że mogę tak panią nazywać – odzywa się Zofia von La Roche i z bezpośredniością, która tu jest znana i nikogo już tu nie dziwi, bierze zmieszaną Ewę pod łokieć i prowadzi ją do stolika, gdzie zasiedli inni. A są to głównie mieszczanie i przedsiębiorcy offenbachscy – jak na przykład państwo André i Bernardowie, potomkowie hugenotów, których przygarnął przodek księcia issenburskiego ponad sto lat temu, tak samo jak teraz ów książę przygarnął Franka i jego dwór.

Jacyś ludzie kręcą się po salonie, przez otwarte drzwi do drugiego pokoju widać kilka osób, które stroją instrumenty. Ewa Frank i Anusia Pawłowska siadają, Ewa, jak zawsze, gdy czuje się niepewnie, a chce uchodzić za pewną siebie i nawet grubiańską, wydyma lekko wargi.

– Widzi pani, u nas zawsze jest zamieszanie. Jak tu pracować? Wczoraj jednak pan André, nasz przyjaciel, przywiózł z Wiednia najmodniejsze nuty, będziemy ćwiczyć. Czy panie grają na jakimś instrumencie? Potrzebujemy klarnetu.

– Nie mam talentu do muzyki – mówi Ewa. – Ojciec przywiązywał wielką wagę do muzycznej edukacji, ale cóż... Może mogłabym na klawikordzie akompaniować?

Dopytują o ojca.

– Ojciec prosił o wybaczenie, rzadko rusza się z domu. Jest cierpiący.

Zofia von La Roche, podając im filiżanki z herbatą, pyta zaniepokojona:

– Czy potrzeba lekarza? Jest we Frankfurcie jeden najlepszy z najlepszych, zaraz napiszę liścik do niego.

– Nie, nie trzeba, mamy własnych lekarzy.

Zapada na chwilę cisza, jakby wszyscy musieli się spokojnie zastanowić nad tym wszystkim, co powiedziała Ewa Frank, co to znaczy to „my” i co znaczy „moi lekarze”. Chwała Bogu, że z sąsiedniego pokoju zaczynają dochodzić pierwsze takty muzyki. Ewa wypuszcza z płuc powietrze i ściąga wargi. Na stoliku leżą nuty, widać, że pochodzą prosto z drukarni, strony jeszcze nieporozcinane. Ewa sięga po nie i czyta: *Musikalischer Spaß für zwei Violinen, Bratsche, zwei Korner und Bass, geschrieben in Wien*. W.A. Mozart.

Herbata pita z pękatych filiżanek smakuje wybornie. Ewa nie nawykła do tego napoju, co Zofia von La Roche skrzętnie notuje w głowie. Przecież wszyscy Rosjanie piją herbatę.

Ewa ciekawie, ale dyskretnie przygląda się Zofii – ma około pięćdziesiątki, lecz jej twarz jest zadziwiająco świeża i młoda, a oczy dziewczęce. Nosi się skromnie, nie jak arystokratka, raczej jak mieszczka. Włosy zaczesane do góry, szpakowate, przytrzymuje delikatny czepek o starannie plisowanych falbankach. Wydaje się schludna i zadbana, dopóki nie spojrzy się na jej ręce – są poplamione atramentem, jak ręce dziecka uczącego się pisać.

Gdy mały ansambl zaczyna wreszcie grać, Ewa korzysta z tego, że nie musi już z nikim rozmawiać, i rozgląda się po salonie. Widzi coś, co przyciąga jej uwagę na dłuższą chwilę. Nie może się skupić na muzyce i zaraz w przerwie chce zapytać o to gospodynię, ale wracają do stolika muzycy, brzękają filiżanki, mężczyźni żartują, gospodyni dokonuje w tym hałasie chaotycznej prezentacji nowych gości. Ewa jeszcze nie widziała tak bezpośrednich i zabawnych ludzi z towarzystwa. W Wiedniu wszyscy byli sztywni i pełni dystansu. I nagle sama nie wiedząc, jak to się dzieje – to chyba przez Anusię, która przejęta, z rumieńcami na policzkach, chwali Ewę, a dobre, mądre oczy Zofii

wydają się ją asekurować, w każdym razie Ewa już siedzi przy klawikordzie pani von La Roche. Serce jej wali, ale przecież wie, że jej największą umiejętnością nie jest gra na klawikordzie, lecz trzymanie uczuć na wodzy: „usta nie dają się zwieść sercu ani ciało nie ujawni, co czuje serce” – to efekt starych nauk. Zastanawia się, co zagrać; podsuwają jej nuty, ale ona spokojnie je odsuwa i spływa pod jej palce to, czego uczyła się w Warszawie, gdy ojciec siedział zamknięty w Częstochowie – gra prostą wiejską balladę.

Gdy Ewa z Anusią wychodzą, Zofia von La Roche zatrzymuje Ewę przy domku dla lalek.

– Zauważyłam, że panią zainteresował – mówi. – To dla moich wnuczek. Niedługo się tu zjawią. Te cudeńka robi jeden rzemieślnik z Bürgel, niech pani spojrzy, ostatnio zrobił magiel.

Ewa przysuwa się bliżej, żeby móc dostrzec najmniejsze szczegóły. Widzi maleńką komódkę, bieliźniarkę, na której zamontowano drewnianą śrubę, dociskającą kawałeczek białego płótna.

Przed snem rozpamiętuje wszystkie detale domku. Na parterze – szwalnia i pralnia pełna balii i cebrzyków, piec i garnki, warsztat tkacki i beczułki. Jest tu nawet mały kurnik, starannie pomalowany na biało, i drabinka dla drobiu. I sam drób, miniaturowe drewniane kaczki i kury. Na pierwszym piętrze – pokój dla kobiet, ze ścianami wyklejonymi tapetą, z łóżkiem z baldachimem, na stoliku zaś stoi piękna kremowa zastawa kawowa, a obok śliczne łóżeczko dla dziecka z koronkową zasłonką. Na drugim piętrze znajdują się gabinet pana domu i sam ów pan w tużurku; na jego biurku leżą przybory do pisania i ryza papieru niewiele większa niż paznokieć kciuka. Nad tym wszystkim wisi kryształowy żyrandol, a na ścianie kryształowe lustro. Na samej zaś górze jest kuchnia, wypełniona po brzegi garnkami, sitami, talerzami i miskami wielkości naparstków, na podłodze stoi nawet blaszana maselnica z drewnianą korbą, taka sama, jaką mieli w Brünn, bo kobiety same wolały robić masło.

– Proszę, niech pani zobaczy z bliska – mówi gospodyni i podaje malutką maselnicę. Ewa bierze przedmiot w dwa palce i zbliża do oczu. Odstawia ostrożnie.

W nocy Ewa nie śpi i Anusia słyszy, że cicho płacze. Przechodzi więc boso po lodowatej podłodze do łóżka swojej pani i przytula się do jej wstrząsanych łkaniem pleców.

Niebezpieczny zapach maliniaku i muszkatelu

Jakubowski nocą przepisuje pański sen na czysto z notatek. Pan śnił:

> Widziałem bardzo starego Polaka, któremu siwe włosy sięgały do piersi. Pojechałem z Awaczunią i przybyłem do jego mieszkania. Jego dom stał samotnie na równinie pod górą wysoką. Szliśmy do tego domu, a pod nogami naszymi był lód, a na tym lodzie rosły piękne zioła. Pałac był cały podziemny, a było tam sześćset pokoi, a każdy wybity czerwonym suknem, a dalej w wielkiej liczbie pokoi siedzieli polscy magnaci, jak ci Radziwiłłowie i Lubomirscy, i Potoccy, i wszyscy oni pasów drogich na sobie nie mieli, a młodzi i skromnie ubrani byli, o brodach czarnych i czerwonych, i zatrudniali się robotą krawiecką. Bardzom się zdziwił na ten widok. A potem starzec wskazał nam lewar w ścianie, z którego można było utoczyć napoju, i piliśmy z Awaczunią ten cudny napój, a smak miał niewypowiedzianie dobry, jakby maliniaku czy muszkatelu, że czułem go jeszcze po przebudzeniu.

Jest późna noc grudniowa, w piecu właśnie wygasło i Jakubowski ma zamiar położyć się spać. Nagle słyszy na dole huk jakiś, jakby coś metalowego spadło na posadzkę, a zaraz potem krzyki kobiet i tupot nóg. Narzuca na siebie płaszcz i ostrożnie schodzi po krętych schodach na dół. Na pierwszym piętrze migają ogniki świec. Mija go pędząca Zwierzchowska:

– Pan omdlał!

Jakubowski wciska się do pokoju. Są tam już prawie wszyscy (mieszkają niżej albo szybciej schodzą po tych strasznych schodach). Jakubowski przepycha się do przodu i zaczyna się głośno modlić: „Dio mio Baruchja...”, ale ktoś go ucisza.

– Nie słychać, czy oddycha. Zaraz przyjdzie doktor.

Jakub leży na wznak, jakby spał, lekko drży. Ewa klęczy przy ojcu i płacze bezgłośnie.

Zanim przyjdzie doktor, Zwierzchowska usuwa wszystkich z pokoju Jakuba. Stoją teraz na korytarzu, słychać wycie wiatru, jest przeraźliwie zimno. Jakubowski zgrabiałymi palcami przytrzymuje płaszcz i modli się cicho, kiwając się w przód i w tył. Mężczyźni, którzy prowadzą doktora z Offenbachu, odpychają Jakubowskiego jakby ze złością. Stoi tam z innymi do rana, a tuż przed świtem komuś przychodzi do głowy, żeby przynieść tu, na korytarz, tureckie piecyki.

Ranek następnego dnia jest dziwny, jakby dzień w ogóle się nie zaczął. Kuchnia nie pracuje, nie ma śniadania. Młodzi, którzy zebrali się jak co rano na zajęcia, już zostali poinformowani, że są odwołane. Ludzie z miasta przychodzą pod zamek zapytać o zdrowie barona.

To ciekawe, wszyscy o tym mówią, że Pan wiedział, co się stanie, bo dlaczegóż to rozsyłał ostatnio listy do Warszawy, w których kazał przyjechać do Offenbachu wszystkim prawowiernym? A kto go posłuchał?

Oto wrócili na stałe synowie, Roch i Józef; przyjechali z kuframi i służącymi. I jeżeli mieli jakiekolwiek nadzieje, że znajdą u boku ojca należną im z racji urodzenia władzę, to bardzo się pomylili. Dostali piękne pokoje, lecz o złoto na każdy wydatek muszą, jak wszyscy, prosić Czerniawskiego. Chwała Bogu, dla dzieci Pana jest on hojny. Do Offenbachu zjechał też z dwiema córkami, Anną i Rozalią (starsza została w Warszawie), Piotr Jakubowski, który po śmierci żony uznał, że nie ma nic do roboty w Warszawie, i zdał się na pańską opiekę. Mieszka teraz w pokoiku na ostatnim piętrze, z jednym okienkiem w pochyłej ścianie, i tam – jak mu kazał Czerniawski – oddaje się redagowaniu Pańskich słów i swoim własnym dziwacznym studiom. Gdy Czerniawski wizytuje pod jego nieobecność tę małą dziuplę, znajduje na stoliku stos papierów i nie wstydzi się w nich grzebać. Nic nie rozumie z hebrajskich

wyliczeń Jakubowskiego, rysunków i szkiców. Znajduje tam natomiast pisane chwiejnym pismem jakieś dziwne proroctwa, kronikę wydarzeń, która sięga daleko w przeszłość, i zszyte ręcznie kartki, na których pierwszej stronie widnieje tytuł *Resztki*. Czerniawski przerzuca je zaciekawiony, nie rozumiejąc, czego to są resztki, jakiej całości dotyczą.

Antoni Czerniawski, syn Izraela Osmana z Czerniowiec, owego Żyda tureckiego, który przeprowadzał kompanię Franka przez Dniestr, w niczym nie przypomina ojca. Tamten był smagły, szczupły i gwałtowny, ten zaś jest już trochę otyły, bardzo spokojny, uważny. To niewysoki, milczący człowiek, bardzo skupiony, ze ściągniętym zmartwionym czołem, które przydaje mu lat. Mimo młodego wieku dorobił się już brzucha i przez to cała jego postać wydaje się masywna. Ma gęste, długie do ramion, całkiem czarne włosy i brodę, którą co jakiś czas przystrzyga. I Pan się tej jego jedynej na offenbachskim zamku brody nie czepia. Pan ufa mu bezgranicznie, jemu też powierza pilnowanie finansów, co nie jest łatwe – przychody, choć są duże, to bardzo nieregularne, wydatki zaś i nie mniejsze, i, niestety, regularne. Pełni również funkcję sekretarza i ma zwyczaj wchodzenia do każdego pokoju, kiedy mu się spodoba, bez pukania i bez zapowiedzi. Ciemnobrązowe oczy badają każdy szczegół. Jego zdania są krótkie i konkretne. Uśmiecha się czasami lekko, bardziej samymi oczami, które wtedy zamieniają się w szparki.

To on, Czerniawski, okazał się godny ręki najmłodszej siostry pańskiej, Ruty. Sam też tak uważa – dostał skarb. Ruta, Anna Czerniawska, jest kobietą mądrą i rozważną. Niegdysiejsza zaś bliskość siostry jego, Ewy Jezierzańskiej, z Jakubem, sprawia, że Czerniawski czuje się poniekąd podwójnym szwagrem (Ewa Jezierzańska dawno straciła męża i stała się pańską jakby żoną), a to znaczy już tyle, co brat. Teraz, kiedy Jakub jest chory, tak właśnie patrzy na niego Antoni Czerniawski – jak na starszego brata, który traci siły. Sam Antoni żadnych predyspozycji do rządzenia nie ma. On woli pilnować porządku, organizować. Jedyne, co czasami wymyka mu się spod kontroli, to dobre jedzenie. Raz w tygodniu wysyła wóz do Bürgel i Sachsenhausen po jaja, drób, a szczególnie perliczki, które najbardziej lubi. Ma też wielki kredyt w mieście u dostawcy serów, Kuglera. Temu serowi Czerniawski oprzeć się nie umie. Okoliczne wino także kupuje na

beczki. To właśnie mu chodzi po głowie – beczki wina i kopy jaj – gdy tak spaceruje po cichych korytarzach zamku.

Czerniawski zdaje sobie sprawę, że wśród wszystkich historii, które dotąd zdarzyły się na świecie, historia ich machny i ich kompanii pod wodzą Jakuba jest wyjątkowa; zwykle myśli w liczbie mnogiej: „my”, co przypomina jakiś rodzaj piramidy, której wierzchołkiem jest Jakub, a podstawą ten cały tłum, tutaj, w Offenbachu, snujący się bez zajęcia po krużgankach, ćwiczący do znudzenia paradny krok, ale i tam – w Warszawie, na całych Morawach, w Altonie i w Niemczech, w Pradze czeskiej (choć tamci są raczej jakimiś bocznymi odnogami tego „my”). I kiedy przegląda kronikę pisaną przez Jakubowskiego (każe mu się tym zająć dokładniej i ustalić pewne fakty z innymi starszymi, jako to z Janem Wołowskim, który też zjechał do Offenbachu, i Jeruchimem Dembowskim, który tu jest od początku), uświadamia sobie, że historia tego „my” jest zaiste niezwykła. Upewnia się w tym, kiedy wieczorami Pan snuje swoje gawędy, a Jeruchim i Jakubowski spisują je, aż wyłania się z tych opowieści życie Jakuba, które jest jednocześnie życiem owego „my”. Czerniawski staje się wtedy jednym z tych, którzy wielce żałują, że urodzili się za późno i nie mogli towarzyszyć Panu w jego niebezpiecznych podróżach, spać razem z nim na pustyni i przeżyć z nim morską przygodę. Tę opowieść najbardziej wszyscy lubią, jako że Pan parodiuje dobrze Jakubowskiego i naśladuje jego wrzaski, Jakubowski zaś staje się rozpoznawalny dla wszystkich jako niechlubny bohater morskiej burzy.

– Obiecywał, drąc się wniebogłosy, że ociupinki wina już do ust nie weźmie – rechocze Pan, a oni z nim, i nawet sam Jakubowski chichocze. – Albo obiecywał być Janem Wołowskim, Kozakiem, jak o nim mówią, dziś już jest starszem, wąsatem człowiekiem, a który niegdyś umiał wykraść się od sułtana i przemycał pieniądze w beczkach przez granicę.

Służbę swoją przy Panu traktuje Czerniawski z powagą, jest ona też dla niego źródłem nieustannych wzruszeń – chyba nikt inny w tym rozgadanym, nieświadomym tłumie nie rozumie tak dobrze jak on tego, co się w istocie stało, gdy jego rodzice przybyli na Podole w 1757 roku, żeby dołączyć do Jakuba. Oto nikt ich już nie nazywa sabsaćwinnikami, przechrztami, i z tej pogardy, która była przecież częścią powietrza,

jakim wtedy oddychali, nic już nie zostało. Patrzy z dumą na coniedzielny orszak jadący do Bürgel do kościoła i na Pana, którego wyprowadzają, trzymając pod ramiona, i na Ewę – wszelkie oddawane jej honory uważa za absolutnie należne, choć ona sama wydaje mu się mało wyrazista. Wie, że synowie pańscy nienawidzą go, lecz wierzy, że to złe uczucie bierze się z czystego nieporozumienia i rozwieje się z czasem. Dba o nich, o tych podstarzałych kawalerów, niezdolnych do żadnej pracy, roszczeniowych, nieszczęśliwych. Roch jest sybarytą, a Józef milczkiem i dziwakiem.

Czerniawski zarządza, że wchodząc na audiencję do Pana, trzeba najpierw paść na twarz i czekać na pańskie słowo. Pilnuje pańskiej diety. Zamawia dla niego szaty. Im słabszy jest Jakub, tym Czerniawski staje się bardziej pewny swego, ale nie chodzi mu o jakiś swój interes, nie chce rządu dusz. Wystarczy, że bez niego nie może się Pan obejść, że woła go zniecierpliwiony o każdą drobnostkę. Czerniawski rozumie wszystkie potrzeby Pana, nie ocenia ich i nigdy się im nie przeciwstawia.

Rozlokował się tuż przy komnatach pańskich i teraz każdy, kto chce z Panem mówić, musi się u niego najpierw zameldować. Pilnuje porządku żelazną ręką; sam dobiera Panu lekarzy i prowadzi korespondencję Ewy. To jego Pan wysyła z listami do księcia i z poselstwem do Warszawy. I to za jego wstawiennictwem udało się zdobyć część pieniędzy na przeprowadzkę do Offenbachu.

Teraz właściwie czuje się jak pies pasterski, taki, jakiego chłopi mieli na Wołoszczyźnie, który zagania wszystkie owce do kupy i pilnuje, żeby się nie rozlazły.

Panu wyraźnie się poprawiło, choć pozostał niedowład lewej ręki i lewej części twarzy. Nadaje to owej twarzy pewien nowy wyraz smutku i zdziwienia. Kobiety biegają z rosołami i przysmakami. Panu zachciało się suma – lecą po niego do rybaków nad rzekę. Całe dnie siedzi przy nim Ewa, Awaczunia, ale synów do siebie nie prosi, choć ci od wczoraj czekają na audiencję u chorego.

Po tygodniu czuje się już tak dobrze, że każe się wieźć do Bürgel do kościoła, a potem wzdłuż rzeki, w słońcu, na spacer. Wieczorem wygłasza pierwszą gadkę od czasu choroby. Mówi, że wziął tę boleść na siebie w drodze do Daat, która to jest wiedzą świętą i jedyną drogą do zbawienia. Kto na nią wstąpi, ten zostanie uwolniony od wszystkich bóli, wszystkich plag.

O wielkich planach Thomasa von Schönfelda

Pokoje Jakuba są na pierwszym piętrze, z wejściem wprost z krużganków, z witrażami w oknach, ogromne. Wyłożono je dywanami, które tak lubi. Siedzi się tu tureckim zwyczajem na poduszkach. Łoże zasłonięto grubymi kobiercami. Ponieważ w tych pokojach panuje wilgoć, Ewa pamięta, żeby codziennie je okadzać. Kadzidła palą się do południa i każdy ma obowiązek przyjść rano do „templa”, jak się tu mówi o paradnym pokoju Jakuba, i na modlitwie oddać pokłon ukrytemu w głębi Panu. Ewa wie dokładnie, kto był, a kto nie dopełnił obowiązku – odzież przenika kadzidlanym zapachem, wystarczy powąchać ubranie.

Zwierzchowska, która ma prawo wchodzić do Pana o każdej porze przez całą dobę, przyprowadza mu dziewczynki do grzania pościeli. Im Pan starszy, tym bardziej podobają mu się takie młodziutkie. Każe im się rozebrać i leżeć przy nim w łóżku, po dwie. Zazwyczaj najpierw są przerażone, ale szybko się przyzwyczajają i chichoczą w pościeli. Pan czasem z nimi żartuje. Takie młode dziewczęce ciała przypominają pietruszki, długie, delikatne korzonki. Zwierzchowska nie martwi się o ich cnotę. Pan jest mocny tylko w gębie. Z ich cnotą będzie się musiał męczyć kto inny. One mają Pana grzać.

Zwierzchowska puka i nawet nie czeka na „proszę”.

– Młody Dobruszka przyjechał.

Jakub wstaje ze stęknięciem i każe się ubrać, żeby powitać gościa. Powoli w zamku zapalają się światła, choć jest środek nocy.

Thomas von Schönfeld biegnie do wuja z otwartymi ramionami. Za nim jego młodszy brat, Dawid-Emanuel.

Siedzą prawie do świtu – Jakub wrócił do łoża, Thomas w nogach łóżka. Młody Emanuel przysnął na dywanie. Thomas pokazuje Jakubowi jakieś kwity i rysunki, na co Jakub każe budzić Czerniawskiego. Ten przychodzi w długiej koszuli i szlafmycy. Kiedy się woła Czerniawskiego, zapewne chodzi o pieniądze.

Jeszcze przed drzwiami słyszy zaspany Czerniawski głos Thomasa von Schönfelda:

– ...ja się z moją żoną rozwiodę i poślubię Ewę. Jesteś już słaby, nie udźwigniesz tego wszystkiego, potrzeba ci spokoju. Bogaci ludzie w twoim wieku wyjeżdżają na Południe, tam gdzie lepsze powietrze. We Włoszech powietrze leczy najgorsze choroby. Popatrz, ledwie chodzisz, wuju.

Gdy Czerniawski puka i wchodzi, wpada mu jeszcze do uszu ostatnie zdanie:

– A przecież wiem, że jestem ci najbliższy i nikt inny nie rozumie tak dobrze tego, co mówisz...

Potem, już przy Czerniawskim, rzeczywiście mówią o inwestycjach: że pieniądze na giełdzie chwilowo unieruchomione, ale będą niedługo nowe możliwości. Inwestycje w Ameryce, obligacje. Thomas dobrze się w tym orientuje. Czerniawski myśli w kategoriach złota w kufrach, w żadne obligacje nie wierzy – ot, świstki papieru.

Thomas cały dzień siedzi przy Jakubie i każe sobie do niego przynosić jedzenie. Czyta mu wszystkie listy i spisuje te dyktowane. Próbuje układać się z Czerniawskim, ale ten jest nieprzenikniony – grzeczny, posłuszny, ale tam, gdzie trzeba, bardzo stanowczy. Thomas uderza też do tak zwanych starców, czyli Dembowskiego i Jakubowskiego, oni jednak milczą i patrzą na niego, jakby zupełnie nie rozumieli, o co tu chodzi. Kiedy przyjeżdża Jan Wołowski, Thomas próbuje w nim znaleźć sojusznika, ale też mu się nie udaje, choć liczył na niego bardzo. Polacy są wciąż na dworze najsilniejsi i oni trzymają tu wszystko twardą ręką. „Niemczyki” nie mają wiele do powiedzenia, choć ich przybywa.

Jest teraz na zamku niejaki Hirschfeld, bogaty i uczony mieszczanin, ekscentryczny Żyd, który się nigdy nie przechrzcił i który dogaduje się dobrze z Jakubowskim. To on, podpuszczony przez Jakubowskiego, poszedł do Pana, by go ostrzec przed Thomasem von Schönfeldem.

– To jest z pewnością człowiek genialny – powiedział. – Ale jest też libertyn. Został wyrzucony z Loży Braci Azjatyckich, którą sam powołał do życia i do której napisał wspaniały i godny statut. W Wiedniu wiecznie się powoływał na ciebie, Panie, i na pannę Ewę, jako swoich krewnych, przez co miał lepszy dostęp do dworu. Zadłużył się z powodu kobiet i rozpasania. Przykro mi to mówić, bo byłem z nim w dobrych stosunkach – kaja się ów Hirschfeld – lecz muszę cię, Panie, lojalnie ostrzec: to awanturnik i utracjusz.

Jakub słucha go z nieruchomą twarzą. Od ataku mruga tylko jednym okiem. Drugie, to nieruchome, łzawi. Za to zdrowe oko nabrało jakiegoś metalicznego blasku.

– Do Wiednia już on wrócić nie może, dlatego tu jest – dodaje Hirschfeld.

Potem Czerniawski odkrywa rzecz prawdziwie haniebną: Thomas porozsyłał listy do gmin prawowiernych, głównie do Niemiec i na Morawy, że jest prawą ręką Jakuba; zawarł w nich też sugestię, bardzo wyraźną, choć w elokwencję przebiegłą uwikłaną, że po śmierci pańskiej to on będzie jego następcą. Czerniawski pokazuje listy Panu, a ten natychmiast każe wezwać Thomasa von Schönfelda.

Jakub nachyla się teraz nad nim, twarz ma ściągniętą. Chwieje się jeszcze na nogach, ale powoli odzyskuje równowagę i wtedy – Jezierzańska widzi to, bo stoi najbliżej, ale są też i inni świadkowie – z rozmachem uderza Thomasa w twarz. Ten przewraca się jak długi i natychmiast na jego białym koronkowym żabocie widać plamy krwi. Usiłuje się podnieść, zasłania się krzesłem, ale łapie go za ramię silna koścista dłoń Jakuba i ściąga do siebie. Potem słychać drugie trzaśnięcie, uderzony ponownie z całej siły w twarz Thomas pada znowu, zdumiony, że ma krew na wargach. Nie broni się, zaskoczony, że ten na wpół sparaliżowany starzec ma tyle siły. Ręka Jakuba podnosi go za włosy z podłogi, żeby za chwilę wymierzyć mu kolejny cios. Thomas zaczyna skamleć:

– Nie bij mnie!

Lecz jeszcze raz dostaje w twarz, a tego już Jezierzańska nie wytrzymuje i łapie Jakuba za ręce, stając między mężczyznami. Usiłuje złapać wzrok Jakuba, ale on jej umyka. Jego oko jest przekrwione, szczęka wisi mu luźno, ślini się i wygląda jak pijany.

Thomas leży na podłodze i płacze jak dziecko, krew miesza się ze śliną i smarkami, osłania głowę, krzyczy w podłogę:

– Nie masz już siły. Zmieniłeś się. Nikt ci już nie wierzy, nikt za tobą nie pójdzie. Umrzesz wkrótce.

– Milcz! – krzyczy do niego przerażony Jakubowski. – Milcz!

– Z prześladowanego i z ofiary stałeś się tyranem, baronem z bożej łaski. Stałeś się jak ci, przeciwko którym występowałeś. Na miejsce tamtego prawa, które odrzuciłeś, wprowadziłeś swoje własne, jeszcze głupsze. Jesteś żałosny, jak postać w komedii...

– Zamknąć go – mówi ochrypłym głosem Jakub.

Kim jest Pan, kiedy nie jest już tym, kim jest

Ze swojej dziupli na górze schodzi Nachman Jakubowski, jego pokój przez ścianę sąsiaduje teraz z pokojem jego brata, Pawła Pawłowskiego, który od lata też tu mieszka jako rezydent. Jakubowskiemu to zejście zajmuje sporo czasu, kamienna klatka schodowa jest kręta i wąska. Jakubowski trzyma się żelaznej poręczy i drobi powolutku. Co kilka stopni przystaje i wtedy mówi coś do siebie w języku, którego Antoni Czerniawski nie rozumie. Czeka na Jakubowskiego na dole. Zastanawia się, ileż to lat może mieć ten chudy, drobny staruszek o powykręcanych rękach. Ten brat Jakubowski, do którego Pan, kiedy byli w swoim gronie, wciąż mówił: „Nachman”. I teraz często tak samo myśli o nim Czerniawski – Nachman.

– Wszystko dzieje się według tego, jak ma się dziać – informuje Nachman Jakubowski Czerniawskiego. Ten podaje mu rękę i pomaga zejść po ostatnich schodach. – Najpierw przyszła na nas odmiana imienia, musieliśmy zmienić nasze imiona, a to się nazywa szinui ha-

szem, czego wy, młodzi, już wiedzieć nie chcecie. Potem nastąpiła odmiana miejsca, kiedy ruszyliśmy z Polski w drogę, do Brünn i tutaj następuje szinui ha-makom, a teraz właśnie dokonuje się szinui maase, odmiana uczynku. Pan wziął na siebie chorobę, żeby nam ulżyć. Wziął na siebie całe cierpienie świata, jak to było powiedziane u Izajasza.

„Amen”, ma ochotę odpowiedzieć Czerniawski, ale milczy. Staruszek jest już na dole i nagle żwawo rusza korytarzem.

– Muszę się z nim widzieć – mówi.

Niektórych to uspokaja, cała ta gadanina o cierpieniu i zbawieniu. Ale nie Czerniawskiego. On myśli konkretnie, wcale w te kabały nie wierzy i nic z nich nie rozumie. Wierzy jednak, że Bóg nad nimi czuwa i że te sprawy, których się nie rozumie, należy zostawić specjalistom. Trzeba się raczej skupić na tym, że na wieść o pańskiej chorobie zaczynają ciągnąć do Offenbachu wielkie rzesze wyznawców, których musi rozkwaterować w mieście i przyjmować na zamku. Audiencje są tylko raz dziennie, wieczorem, i to krótkie. Ludzie ciągną z dziećmi po błogosławieństwo. Pan kładzie ręce na brzuchach ciężarnych, na głowach chorych. O – przypomina się Czerniawskiemu – trzeba w drukarni zamówić druczki z rysunkami Drzewa Sefirot, które rozdaje się tu adeptom. I już Czerniawski zostawia drobiącego przed nim Jakubowskiego, niech się inni o niego martwią, i skręca do kancelarii, gdzie widzi dwóch młodzieńców, zapewne z Moraw, gotowych do wstąpienia w szeregi wyznawców i zasilenia dworu godziwą sumą pieniędzy, w które wyposażyły ich rodziny. Gdy wchodzi, z szacunkiem wstają jego dwaj sekretarze: Zaleski i Czyński. Zaleskiemu umarli tutaj, w Offenbachu, oboje rodzice, z którymi przyjechał na obowiązkową pielgrzymkę do Pana. Po ich śmierci zamknął się w sobie i właściwie nie ma po co wracać do Warszawy. Kompania zajęła się sprawami spadkowymi, spieniężyła mały sklepik, jaki mieli Zalescy w stolicy, i pieniądze przesłała do Offenbachu. Niewielu jest tutaj takich rezydentów jak Zaleski, najczęściej są to ludzie starsi, starsi bracia, jak oboje Matuszewscy z niewidomą córką, która pięknie gra na klawikordzie, dzięki czemu została nauczycielką gry na dworze, czy Paweł Pawłowski, brat Jakubowskiego, jeszcze niedawno pański poseł.

Są również Jezierzańska, wdowa, i dwaj synowie sławnego Eliszy Szora: Wolf z żoną, o których mówi się Wilkowscy, i Jan „Kozak”, który niedawno owdowiał, przez co na chwilę przygasło jego zaraźliwe poczucie humoru, ale który już, zdaje się, wraca do siebie – ktoś go widział, jak emablował jakąś młódkę. Są też Józef Piotrowski i pański zaufany Jeruchim Dembowski, o którym Pan pieszczotliwie mówi „Jędruś”. No i do tych starszych należy zaliczyć Franciszka Szymanowskiego, kilkukrotnego rozwodnika, który dowodzi gwardią Pańską za Lubomirskiego, ten bowiem pojawia się rzadko i nieregularnie, odkąd zamieszkał w mieście.

Jednej z jesiennych nocy Pan każe zbudzić wszystkich braci i siostry. Słychać w ciemnościach tupot nóg na schodach, zapalają się świece. Ludzie zaspani, nie odzywając się do siebie, zajmują miejsca w największej sali.

– Nie jestem tym, kim jestem – mówi Pan po długiej chwili milczenia. W nocnej ciszy słychać pokasływania.

– Byłem przed wami ukryty pod tym imieniem Jakub Frank, ale to nie jest moje prawdziwe imię. Mój kraj leży stąd daleko, siedem lat podróży morzem od Europy. Mój ojciec zwał się Tygier, a pieczęcią mojej matki był wilk. Była ona królewską córką...

I gdy tak mówi Pan, Czerniawski patrzy po twarzach zebranych. Starsi słuchają tego z uwagą, kiwając głowami, jakby to już od dawna wiedzieli i teraz przychodziło do nich potwierdzenie. Ci są przyzwyczajeni do tego, że cokolwiek Jakub powie, jest to prawda. A prawda jest jak sękacz, składa się z wielu warstw, które kręcą się wokół siebie, raz siebie zawierają, a raz same są zawierane przez inne. Prawda to jest coś, co można wyrażać wieloma opowieściami, bo jest jak ten ogród, do którego weszli mędrcy: każdy widział co innego.

Młodsi zaś słuchają tylko na początku, potem długa, skomplikowana niczym wschodnia baśń opowieść ich nudzi, kręcą się, szepczą między sobą, wiele niedosłyszą, bo Jakub mówi cicho, z trudem, a historia sama jest tak dziwna, że nie rozumieją już, kogo dotyczy. Czy to chodzi o Jakuba, że jest królewskiego rodu, a został oddany Żydowi

Buchbinderowi na wychowanie i zamieniony z synem jego, też Jakubem, i ów Buchbinder nauczył go żydowskiej mowy, na pokaz, dla ludzkich oczu? To dlatego jego córka Ewa, Awacza – oby była zdrowa – musi wyjść za mąż tylko za kogoś z królewskiego rodu.

Tych młodych bardziej interesują, jak się zdaje, wieści, które dochodzą z Francji, a o których gazety piszą z rosnącym niepokojem. Niektóre z tych wieści dziwnie współgrają z tym, co mówi Jakub, gdy cytuje Izajasza – że gdy nadejdzie czas chrztu wszystkich Żydów, wypełnią się słowa proroków: „On zrównywa wielkiego z małym, rabinów, mędrców i majstrów z poniżonymi i niepiśmiennymi. Wszyscy ubrani będą jednakowo”. To robi na młodych wrażenie, lecz gdy gadka schodzi na jakąś gwiazdę Szabtaj, która wskazuje drogę do Polski, gdzie leży wielki skarb, znowu tracą zainteresowanie.

Pan kończy tę dziwną mowę słowami:

– Gdy was zapytają, skąd jesteście i dokąd idziecie, uczyńcie się głuchymi i sprawiajcie wrażenie, że nie rozumiecie ich słów. Niechże powiedzą o was: Ci ludzie są piękni i dobrzy, ale to prostaki i rozumu nie mają. Zgódźcie się z tym.

Rozchodzą się do łóżek zziębnięci i zmęczeni. Kobiety jeszcze szeptem komentują długi i nieoczekiwany monolog Pana, ale ze wschodem słońca on jakoś blednie i rozpływa się jak noc.

Następnego dnia są chrzciny malutkiego Kaplińskiego, bo na wieść o słabości Pana z Wołoszczyzny przyjechali wszyscy Kaplińscy. Widząc ich, Jakub ożywia się i zaczyna płakać ze wzruszenia, płaczą też Czerniawski i wszyscy starsi bracia, przejęci tą subtelną obecnością Chany poprzez jej brata i zawstydzeni jakoś, że czas ich traktuje bez pardonu. Chaim, teraz Jakub Kapliński, postarzał się i utyka, ale jego twarz nadal jest piękna i tak bardzo jest podobna do twarzy Chany, że przechodzi ich dreszcz.

Pan bierze małego chłopca na ręce i zanurza dłoń w wodzie święconej przyniesionej z kościoła. Najpierw obmywa mu głowę, a potem wkłada na nią zawój na pamiątkę tureckiej religii. I jeszcze jako znak miejsca, w którym są teraz, wiąże mu na szyi jedwabną chusteczkę. W czasie tej ceremonii po jego ściągniętej, cierpiącej twarzy, w połowie nieruchomej, płyną łzy. Bo jasne wydają się jego słowa, że prawowierni płyną teraz na

trzech okrętach, a ten okręt, na którym on sam, Jakub, płynie, najwięcej szczęścia da jego towarzyszom podróży. Lecz też i drugi jest dobry, bo będzie płynął niedaleko; to są bracia na Wołoszczyźnie i Turecczyźnie. Trzeci zaś odpływa daleko, daleko w świat – a to są ci, którzy rozpuszczą się w wodach świata.

O grzechach Rocha Franka

Któregoś dnia, gdy Jakub jest chory i w zamku zarządzono przez to ciszę, robi się na dole jakiś raban – mimo gwardii rozstawionej wokoło, dociera do głównego wejścia jakaś kobieta i wpada dalej na krużganki z krzykiem. Czerniawski biegnie na dół i spotyka tam żonę, która próbuje uspokoić krzyczącą. Kobieta jest młoda, jej jasne włosy rozsypały się w szarpaninie na plecy. Odwiązuje pękaty tłumoczek ze swoich piersi i kładzie go na podłodze. Czerniawski z przerażeniem widzi, że tłumoczek się rusza, każe więc odejść gwardzistom i wszystkim przypadkowym świadkom tego zdarzenia, aż zostają we trójkę:

– Który pan? – pyta przytomnie Anna Czerniawska.

Bierze dziewczynę za łokieć i prowadzi delikatnie do jadalni. Każe mężowi przynieść jej coś ciepłego, bo zrobiło się zimno i dziewczyna drży.

– Herr Roch – mówi dziewczyna, płacząc.

– Nie bój się. Będzie dobrze.

– Ożeni się ze mną. Tak mówił!

– Dostaniesz zadośćuczynienie.

– Co to jest zadośćuczynienie?

– Będzie dobrze. Dziecko nam zostaw.

– Ono jest, ono jest... – zaczyna dziewczyna, ale Czerniawska sama widzi, gdy odgarnia szmatki. Dziecko jest chore, pewnie dziewczyna ściągała brzuch. Dlatego takie spokojne, wodzi dziwnie oczami, całe uślinione.

Czerniawski przynosi jej jedzenie, dziewczyna je z apetytem. Małżonkowie naradzają się przez chwilę. Potem Czerniawska podejmuje decyzję i jej mąż kładzie na drewniany stół kilka złotych monet. Dziewczyna znika. Jeszcze tego samego dnia Czerniawscy jadą na wieś i tam, sowicie opłacając pewnego gospodarza i oddając mu dziecko, podpisują z nim długoterminową umowę.

Sporo kosztują miłostki Rocha. To już drugie.

Ewa Frank, poinformowana przez Czerniawskich, kazała wezwać Rocha do siebie, i teraz robi bratu wymówki. Jej suknia zamiata przed nim strzępki materiału, które zostawiła tu krawcowa; przed chwilą robiła Ewie przymiarki. Ewa mówi ściszonym, napiętym głosem, który smaga Rocha.

– W niczym nie przykładasz się do sprawy, nic pożytecznego zrobić nie umiesz, nic cię nie interesuje. Jesteś jak wrzód na tyłku, co się z nim tylko trzeba cackać. Ojciec dawał ci szanse, a tyś nic nie zrobił. Tylko wino i baby.

Wymienia spojrzenie z Czerniawską, która siedzi z mężem pod ścianą.

– Będziesz dostawał rację wina. Ojciec tak kazał.

Roch, rozparty w fotelu, nie podnosi wzroku i wydaje się, jakby się śmiał do własnych butów. Jasnorude włosy wychodzą spod niestarannie założonej peruki.

– Ojciec jest chory i długo nie pożyje. Nie mów mi o nim. Dostaję mdłości.

Ewa przestaje panować nad sobą. Nachyla się nad bratem i syczy:

– Milcz, głupi, mały człowieczku.

Roch zakrywa twarz dłońmi. Ewa odwraca się gwałtownie, jej suta sukienka znowu zamiata strzępki materiału i rozrzuca je po pokoju. Ewa wychodzi.

Czerniawski, zakłopotany, widzi, jak Roch szlocha.

– Jestem najnieszczęśliwszym z ludzi.

O neszika, boskim pocałunku

Panu znowu śni się ten dziwny zapach, zapach ambrozji. Kilka godzin później przychodzi atak. Dzięki pani von La Roche zostaje sprowadzony dla Jakuba Franka najlepszy lekarz we Frankfurcie, ten zaś zwołuje konsylium z miejscowymi, offenbachskimi kolegami. Radzą długo, ale staje się jasne, że Jakubowi pomóc nie można. Jest zupełnie nieprzytomny.

– Kiedy? – pyta ich Ewa Frank, gdy opuszczają pokój Jakuba.

– Tego powiedzieć się nie da. Organizm chorego jest silny nadzwyczaj, a wola życia ogromna. Nikt nie przeżyłby jednak tak potężnej apopleksji.

– Kiedy? – powtarza Czerniawski.

– To Bóg jeden wie.

A jednak Pan żyje. Odzyskuje na chwilę przytomność i wtedy cieszy go zielona papuga, która potrafi mówić, a którą ktoś przywiózł mu w prezencie. Czytają mu gazety, ale nie wiadomo, w jakim stopniu wieści z nich, coraz bardziej apokaliptyczne, docierają do jego umysłu. Wieczorem nakazuje, żeby zacząć szkolić do jazdy konnej także kobiety. One też będą wojowniczkami. Każe sprzedać wszelkie kosztowne kobierce i szaty, żeby kupić więcej broni. Woła Czerniawskiego, żeby podyktować mu listy. Czerniawski spisuje wszystko, co Jakub powie, nie dając nawet ruchem brwi znać, co o tym sądzi.

Pan nakazuje również wyprawić poselstwo do Rosji i szykować się do wyjazdu. Jednak przez większość czasu leży nieobecny, jakby jego myśli wędrowały gdzieś daleko. Majaczy. A w jego majaczeniach pojawiają się wciąż te same słowa. „Czyńcie, co rozkażę!”, woła kiedyś przez cały wieczór.

„Panowie drżeć będą”, mówi i zapowiada wielkie rozruchy i krew na ulicach miast. Lub modli się i śpiewa w starym języku. Jego głos załamuje się i zamienia w szept: „Achapro ponow bamincho...”, czyli, w ladino: „darem przeproszę Jego oblicze”. Muszę być bardzo słaby, żeby dostąpić śmierci... Zrzec się swojej siły, wtedy dopiero ona mnie odnowi... wszystko odnowione zostanie.

Jakubowski, zgnębiony, przysypia przy jego łóżku. Potem jednak twierdzi, że zapisał ostatnie słowa Jakuba, i brzmiały one tak: „Chrystus mówił, że przyszedł uwolnić świat z rąk szatańskich. Lecz ja przyszedłem uwolnić go od wszelkich praw i ustaw, które były dotąd. Trzeba to wszystko zniszczyć, a wówczas odkryje się Dobry Bóg”.

Lecz prawda jest taka, że Jakubowskiego pod sam koniec wcale nie było przy Panu. Usnął na korytarzu w niewygodnej pozycji. Zastąpiły go kobiety i już nie wpuszczały nikogo. Ewa z Anusią, stara Matuszewska, Zwierzchowska, Czerniawska i Ewa Jezierzańska. Ustawiły gromnice, rozłożyły kwiaty. Ostatnią osobą, która z nim rozmawiała – jeśli to można nazwać rozmową – była Ewa Jezierzańska. Siedziała przy łóżku całą poprzednią noc, ale nad ranem poszła się zdrzemnąć. Wtedy Pan posłał po nią, mówiąc tylko: „Ewa”. Niektórzy myśleli, że woła Imość, ale nie powiedział „Imość”, tylko „Ewa”, a do córki mówił zawsze Awacza albo Awaczunia. Więc przyszła stara Jezierzańska, zmieniła Jakubowskiego i Ewę, usiadła na brzegu łóżka i od razu domyśliła się, o co mu chodzi. Położyła sobie jego głowę na podołku, a on starał się ułożyć usta jak do pocałunku, ale ze względu na nieruchomą połowę twarzy nie bardzo mu to wychodziło. Wyciągnęła dużą, zwiotczałą już pierś i przytknęła do pańskich warg. A on ją ssał, mimo że była pusta. Potem opadł z sił i przestał oddychać. Nic nie powiedział.

Wstrząśnięta Jezierzańska odeszła. Rozpłakała się dopiero za drzwiami.

Antoni Czerniawski obwieszcza to niespokojnym zebranym rano, gdy ciało jest już umyte, przebrane i ułożone na katafalku. Mówi:

– Pan nasz odszedł. Zmarł przez pocałunek, neszika. Bóg przyszedł do niego w nocy i musnął go w usta swoimi ustami, jak Mojżesza. Bóg Wszechmogący przyjmuje go właśnie w swoich pokojach.

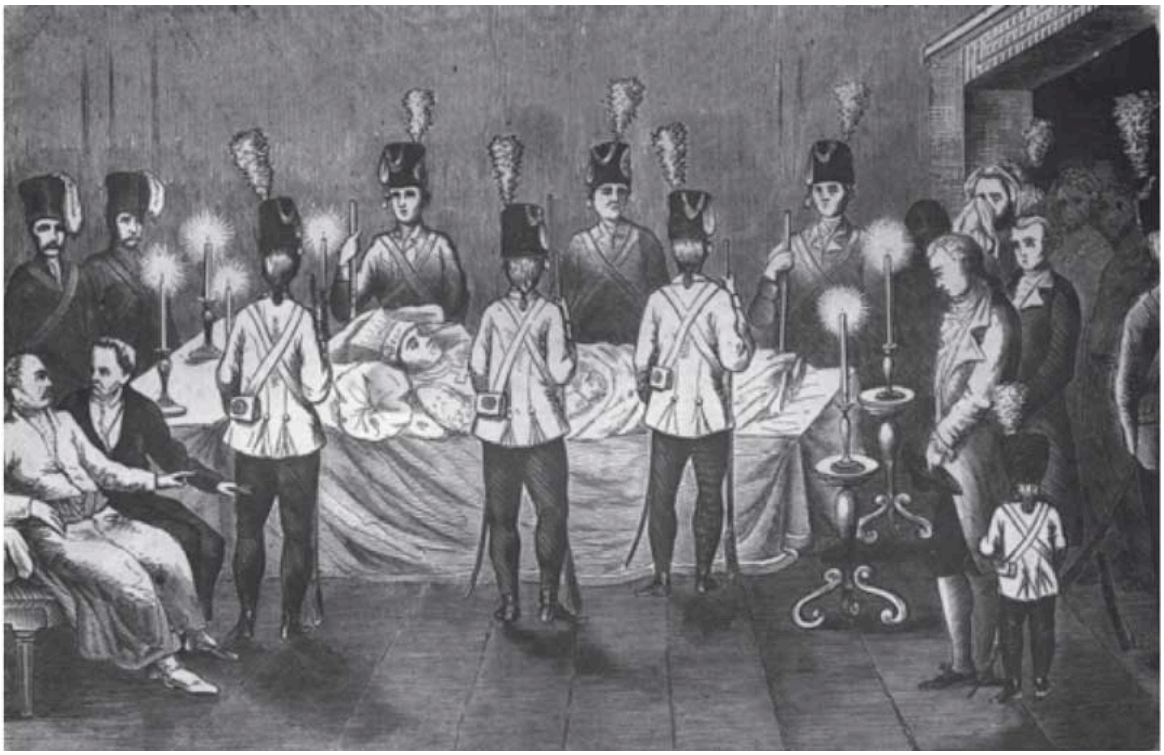

Rozlega się jeden wielki szloch, wiadomość pędzi krużgankami, wylatuje z zamku i rozkręca się jak wietrzny wir po wąskich, czyściutkich ulicach Offenbachu. Za chwilę zaczynają bić dzwony we wszystkich miejskich kościołach, bez względu na wyznanie.

Czerniawski zauważa, że wszyscy starsi bracia zeszli już na dół, nie ma tylko Jakubowskiego, który całą noc siedział pod drzwiami, i nagle zaczyna się martwić, czy aby i jemu coś się nie stało. Wspina się po schodach na ostatnie piętro, myśląc, że zły to był pomysł, by starszyznę umieścić tak wysoko, trzeba to zmienić.

Jakubowski siedzi tyłem do drzwi, przy swoich papierach, szczupły, zgarbiony, jego siwa, krótko ostrzyżona głowa w wełnianej mycce wydaje się mała jak głowa dziecka.

– Bracie Piotrze – mówi do niego Czerniawski, ale Nachman nie reaguje.

– Bracie Piotrze, on odszedł.

Zapada dłuższe milczenie i Czerniawski rozumie, że powinien zostawić staruszka samego.

– Śmierć nie jest zła – mówi nagle Jakubowski, nie odwracając się. – I właściwie nie ma się co oszukiwać, należy do Dobrego Boga, który w ten sposób miłosiernie zbawia nas od życia.

– Bracie, zejdziesz?

– Nie ma takiej potrzeby.

W noc po śmierci ojca Ewa ma sen. Dzieje się w tym śnie coś takiego, że jej ciało nabrzmiewa, coś się po niej przesuwa, kładzie na niej, ona wie, co to jest, lecz zobaczyć tego nie może. Najgorsze jest to (i zarazem najlepsze), że czuje rozpychanie w brzuchu, coś wpycha się do jej łona, do tego miejsca między nogami, którego nazwy nawet nie chce wypowiadać, i tam się w niej porusza, trwa to krótko, a to dlatego że wszystko przerywa jej nagła przyjemność, wybuch i zaraz potem słabość. To jest dziwny moment bezwstydu i zagubienia. Tracą ważność niezapłacone rachunki, spojrzenia burmistrza, listy od pana Giacoma Casanovy, ciemne interesy Rocha i grudki srebra na białej serwecie – dowód tryumfu. Wszystko się w tym krótkim momencie unieważnia. I już we śnie Ewa chce o wszystkim zapomnieć, wymazać na zawsze i tę przyjemność, i ten wstyd. I, wciąż we śnie, rozkazuje sobie nie pamiętać o niczym i nigdy do tego nie wracać. Potraktować to tak samo, jak traktuje się inne tajemnice ciała, okresy, wysypki, uderzenia gorąca, drobne palpitacje serca.

Dlatego budzi się zupełnie niewinna. Otwiera oczy i widzi swój pokój, jasny, kremowy, i toaletkę z porcelanowym dzbankiem i miską. I domek dla lalek zrobiony na specjalne zamówienie w Bürgel. Mruga oczami i póki leży na brzuchu, wciąż ma jeszcze dostęp do snu i do tej nieprawdopodobnej przyjemności, ale kiedy obraca się na plecy i poprawia czepek, w którym śpi, by nie burzyć starannie ułożonej fryzury, sen mija i ciało zwija się w sobie, schnie. Pierwsza myśl, która pojawia się w jej głowie, to że ojciec umarł. I nie wiadomo dlaczego owa myśl budzi w niej dwa zupełnie sprzeczne uczucia – nieznośnej rozpaczy i dziwnej, rozkołysanej radości.

Oto co miała do powiedzenia na temat pogrzebu Jakuba Franka offenbachska „Gazeta Vossa”:

> Ciało barona Franka uroczyście pogrzebionem zostało dnia 12 grudnia 1791 roku w Offenbachu.
>
> Był to patryarcha polskiej sekty religijnej, która poszła za nim do Niemiec i którą rządził z wielką grandezzą. Czciła go ona niemal jako drugiego Dalajlamę. Pochód otwierały kobiety i dzieci w liczbie około dwustu osób, w biel przyodzianych, z jarzącymi świecami w rękach. Za nimi szli mężczyźni w polskich barwnych strojach, z przepaskami jedwabnymi na ramieniu. Potem postępowała orkiestra dętych instrumentów, a za nią niesiono na łożu paradnem ciało zmarłego. Po obu stronach szły: po prawej – dzieci zmarłego, jedyna córka i dwóch synów, po lewej – książę Marcin Lubomirski, magnat polski, z Orderem Świętej Anny na szyi, oraz wielu dostojników. Zmarły leżał w stroju wschodnim, czerwonym, gronostajami obłożonem, z twarzą zwróconą do lewej strony, jakby śpiąc. Otaczała jego trumnę gwardya złożona z ułanów, huzarów i innych Polacken w przepysznych strojach. Zmarły za życia jeszcze dał rozkaz, by go nie opłakiwano i nie noszono po nim żałoby.

Po pogrzebie, na który przyszło całe miasto Offenbach i pół Frankfurtu, towarzystwo usiadło jeszcze u Zofii von La Roche. Najpierw skomentował całą sprawę pan Bernard, zawsze dobrze poinformowany:

– Mówi się, że ci neofici próbują zawiązać jakiś rodzaj konfederacji pośród Żydów. Pod sztandarem opozycji wobec Talmudu, żydowskiej Biblii, podważają władzę i poddają się jakimś tureckim prawom i religiom.

– A ja uważam – mówi doktor Reichelt, który był przy chorobie Jakuba Franka – że ten cały ruch mesjański jest swego rodzaju rozbudowaną i skomplikowaną formą wyciągania pieniędzy od naiwnych Żydów.

Potem swoje do powiedzenia ma przyjaciel domu, von Albrecht, kiedyś pruski rezydent w Warszawie, który świetnie zna sprawy

wschodnie:

– Ja, drodzy państwo, dziwię się wam, że byliście tutaj tak naiwni. Zawsze ostrzegałem, że ta nowa sekta jest próbą zawłaszczenia i kontrolowania synagog w całej Polsce, że więc należałoby poddać jej działania bacznej obserwacji i informować gabinet Jego Cesarskiej Mości o rozwoju sytuacji. Tak to widziałem jeszcze wiele lat temu, gdy dopiero zaczynali. A teraz podobno okazało się, że na ich dworze znajduje się niespotykana ilość broni. Nadto regularnie prowadzili tam musztrę i przysposobienie wojskowe młodych mężczyzn...

– Ale i podobno kobiet! – wykrzykuje pani von La Roche.

– Wszystko to budzi podejrzenie – kontynuuje emerytowany rezydent – że ci neofici przygotowywali się do powstania w Polsce, które miałoby być głównie skierowane przeciwko Prusom. Dziwię się zatem waszemu księciu, że tak się wielkodusznie zgodził, żeby ich tu przyjąć. Udało się tutaj stworzyć tej sekcie swego rodzaju państwo w państwie, które rządzi się swoimi prawami, ma swoją gwardię, a rozliczenia w większości prowadzi poza jakimkolwiek systemem bankowym.

– Żyli spokojnie i uczciwie – próbuje bronić „owadzi ludek” Zofia von La Roche, ale w słowo wchodzi jej doktor:

– Mają niewyobrażalne długi...

– Kto dziś nie ma długów, drogi doktorze? – pyta retorycznie Zofia von La Roche. – Ja wolę wierzyć, że panna Ewa i jej bracia to nieślubne dzieci carycy Elżbiety i księcia Razumowskiego, za takich ich tutaj mamy. To bardziej romantyczne.

Śmieją się grzecznie i zmieniają temat.

– Niedowiarki z was – mówi jeszcze pani von La Roche, niby obrażonym tonem.

Jednak sprawa Jakuba i jego wyznawców wcale nie przycicha i teraz listy i denuncjacje roznosi coraz gwałtowniejszy wiatr wiejący nad Europą, budząc nowe lęki i kolejne domysły.

Listy rozsyłane wkoło do gmin żydowskich, jak i do innych, nawołują do zjednoczenia się wszystkich Żydów i chrześcijan pod sztandarem ich sekty nazywanej Edom. Celem miałoby być tak zwane braterstwo ponad różnicami między tymi dwiema religiami...

Nie wiadomo dokładnie, jakie cele mogą przyświecać działaniom sekty, lecz wiemy na pewno, że jej pojedynczy członkowie pozostają w bliskich kontaktach z masonerią, iluminatorami, różokrzyżowcami oraz jakobinami, jakkolwiek nie potrafimy tego udowodnić zarówno z korespondencji, jak innych sposobów...

Rozporządzenie króla Fryderyka Wilhelma zaś wyraźnie stwierdza, że

...ów człowiek, Jakub Frank, był przewodnikiem sekty, a zarazem ukrytym agentem nieznanej jeszcze siły. Ostatnio wyszły na jaw listy, które nawołują do zjednoczenia się różnych synagog pod skrzydłami jego sekty. Od dziś wszystko, co wiąże się z tajnymi stowarzyszeniami powstałymi pod nieznanymi lub niejasnymi auspicjami, każdy polityczny entuzjazm, będą wymagały szczególnej uwagi, zważywszy na to, że tajne stowarzyszenia zawsze działają w milczeniu i mroku, używając każde z nich jakobińskiej propagandy dla swoich straszliwych zbrodniczych zamiarów...

Z czasem zaś – ponieważ czas ma wielką zdolność do zacierania wszelkich miejsc niepewnych i łatania wszelkich dziur – zgodnie już pisano, że

co się tyczy sekty frankistów zwanej teraz Edomem, to o ile jeszcze niedawno była ona traktowana przez wielu naszych arystokratów jako egzotyczne curiosum, o tyle teraz, po straszliwych doświadczeniach rewolucji we Francji i ich związkach z jakobinizmem, należałoby zmienić naszą perspektywę i traktować mistyczne rytuały jako przykrywkę prawdziwych politycznych i rewolucyjnych zamiarów.

30

Śmierć polskiej księżniczki, krok po kroku

Sprawy rozgrywają się we właściwym sobie porządku. Trudno to docenić, gdy patrzy się na nie ze sceny, na której się dzieją. Tu nic nie widać, zbyt wiele jest planów, które zasłaniają się nawzajem i sprawiają wrażenie chaosu. W zamieszaniu przepada fakt, że Gitla Gertruda Ascherbach umiera tego samego dnia co Pan. W ten sposób dopełnia się proces rozpoczęty gdzieś na Podolu, mroźną zimą, wtedy gdy jej wielka, burzliwa miłość, której owocem jest Samuel, miała swoje niesprawiedliwie krótkie trwanie, które można uznać za mgnienie oka wśród wydarzeń na tej płaskiej scenie.

Lecz ten porządek widzi Jenta, której ciało powoli zmienia się w kryształ w korolewskiej jaskini. Wejście do niej zarosło już prawie zupełnie czarnym bzem, bujne baldachy pełne przejrzałych dawno jagód opadły już na ziemię, a te, które ostały się ptakom, zamarzły; Jenta widzi śmierć Jakuba – nie zatrzymuje się przy niej, bo pociąga ją inna, w Wiedniu.

Aszer, Rudolf Ascherbach, siedzi przy swojej żonie Gertrudzie, Gitli, od kiedy zasłabła. Już dwa, trzy miesiące temu zrozumiał wszystko, gdy obejrzał guz na jej piersi, jest w końcu lekarzem; zdaje mu się, że rozumiał to nawet wtedy, gdy Gitla jeszcze chodziła i w dziwnej nerwowości próbowała zarządzać domem. Piekliła się na przykład o cebulę na zimę, którą zamówili w grubych lnianych workach – że jest zgniła w środku i nie przetrzyma do wiosny. Że praczka niszczy mankiety i że lód z lodziarni dziwnie pachnie, tak jak pachniało w Busku – stojącą wodą. Nad gazetami pomstowała na głupotę polityków i jej siwa głowa tonęła w dymie tureckiej fajki, którą do końca paliła.

Teraz głównie leży na kanapie, nie chce pójść do łóżka. Aszer odmierza jej coraz większe dawki laudanum i obserwuje wszystko

dokładnie i uważnie. Obserwacja, chłodna i beznamiętna, niesie mu ulgę i chroni go przed rozpaczą. Na przykład na kilka dni przed śmiercią skóra Gitli robi się gęsta, sztywna i matowa, inaczej odbija dzienne światło. Wpływa to na rysy twarzy – stają się ostre. Na koniuszku nosa pojawia się podłużne zagłębienie. Aszer widzi je w poniedziałkowy wieczór, w świetle świec, kiedy Gitla, choć bardzo słaba, siada, by porządkować papiery. Wyciąga z szuflad wszystko, co miała, co napisała, wszystkie listy do ojca we Lwowie pisane po hebrajsku, artykuły, rysunki, projekty. Rozdziela to na kupki i wkłada w miękkie papierowe teczki. Co rusz pyta o coś Aszera, ale Aszer nie może się skupić. Zobaczył już tę bruzdę i ogarnął go strach. Ona wie, że umrze, myśli przerażony, wie, że jej choroba jest nieuleczalna i nic się już nie da zrobić. Ale nie spodziewa się ś m i e r c i, to zupełnie co innego. Wie to swoim rozumem, potrafi to powiedzieć słowami, napisać, ale w gruncie rzeczy jej ciało, zwierzę, jakim jest, w ogóle w to nie wierzy.

W tym sensie śmierci rzeczywiście nie ma, myśli Aszer, nikt jej doświadczenia nie opisał. Zawsze jest cudza. Nie ma się jej co bać, ponieważ boimy się czego innego, niż jest naprawdę. Boimy się jakiejś ś m i e r c i (albo Śmierci), wyimaginowanej, która jest wytworem naszego umysłu, splątaniem myśli, opowieści, rytuałów. Jest zakontraktowanym smutkiem, uzgodnioną cezurą, która wprowadza w ludzkie życie porządek.

Więc gdy Aszer widzi bruzdę na jej nosie i ten dziwny kolor skóry, wie, że to już czas. We wtorek rano Gitla prosi, żeby pomógł jej się ubrać, właśnie jego prosi, nie Sofii, która u nich służy. Aszer sznuruje jej suknię. Gitla siada do stołu, ale nie je, potem wraca do łóżka i Aszer jej tę suknię zdejmuje. Wyciąga troki z haftek z trudem, jego dłonie są bowiem zgrubiałe i niepewne. Ma wrażenie, jakby odpakowywał cenny, kruchy przedmiot – coś jak chińską wazę, jak delikatny kryształowy kielich, jak figurkę z porcelany – by odłożyć ów przedmiot na swoje miejsce; więcej nie będzie się go już używać. Gitla, cierpliwie to znosząc, doprasza się słabym głosem o krótki list do Samuela. Każe sobie podać papier, ale nie ma siły pisać, więc tylko dyktuje kilka słów, potem, po laudanum, zapada w drzemkę, nie reaguje, kiedy Aszer przerywa pisanie. Pozwala się karmić (ale tylko Aszerowi) zupą,

rosołem, ale właściwie zjada tylko kilka łyżek. Aszer wysadza ją na nocnik, lecz Gitla oddaje tylko kilka kropel moczu i Aszer ma wrażenie, że jej ciało zacięło się, jak mały, skomplikowany mechanizm. Tak trwa do wieczora. W nocy Gitla się budzi, pyta go o różne rzeczy, na przykład czy zapłacony rachunek u księgarza, i napomina, żeby kwiaty na zimę schować z parapetu. Prosi, żeby odebrać materiały od krawcowej, nie będzie z nich już sukien. Dziewczętom się na pewno nie spodobają, to modnisie, a materiały dobrej jakości. Może dać je Sofii, Sofia się ucieszy. Potem wracają wspomnienia i Gitla opowiada o tej zimie, kiedy przyszła pod drzwi Aszera we Lwowie, o sannach, śniegu i orszaku Mesjasza.

W środę z rana sprawia wrażenie, jakby czuła się lepiej, ale koło południa jej wzrok staje się szklisty. Patrzy w jakiś odległy punkt, jakby poza ściany tego wiedeńskiego mieszkania, gdzieś w powietrze, wysoko nad domami. Ręce ma niespokojne, błądzą po pościeli, palce tworzą fałdki w adamaszku kołdry, a potem je starannie rozprostowują.

– Popraw mi poduszkę – mówi do Adelajdy, jej przyjaciółki, którą już Aszer zawiadomił i która przybiegła tu z drugiego końca miasta. Ale poprawianie nie na długo starcza, widać, że nie jest jej wygodnie. Rudolf Ascherbach wzywa córki, ale nie wiadomo, kiedy przyjadą. Jedna mieszka w Weimarze, a druga we Wrocławiu.

Głos Gitli spowolnił i stracił całą melodyjność, ton zrobił się jednostajny, metaliczny, nieprzyjemny, rejestruje Ascherbach. Trudno ją zrozumieć. A pyta kilka razy, jaki to dzień tygodnia. Środa. Środa. Środa. Aszer odpowiada gestem na jej proste pytanie:

– Umieram?

Kiwa głową bezgłośnie, ale zaraz się poprawia i mówi ochrypłym głosem:

– Tak.

I ona, jak to Gitla, upewniona, spina się w sobie i powiedziałby ktoś, że bierze we własne ręce całe to umieranie, ten problematyczny i nieodwracalny proces, niczym kolejne zadanie do wykonania. Kiedy Aszer patrzy na jej wychudzone, wynędzniałe od choroby drobniutkie ciało, napływają mu łzy do oczu, a to jest pierwszy raz, kiedy płacze,

odkąd pamięta, może nawet od tego dnia, gdy w ich domu odpoczywała polska hrabianka i kiedy wszyscy próbowali szmatami zebrać rozlaną wódkę z rozbitych beczek.

W nocy czuwają nad nią Adelajda i pani Bachman, sąsiadka z dołu. Aszer pyta żonę:

– Czy chcesz księdza?

Po chwili wahania dodaje:

– Rabina?

Patrzy na niego zdziwiona, może nie rozumie. Musiał ją zapytać. Ale nie będzie żadnego księdza ani żadnego rabina. Gitla by się śmiertelnie obraziła, gdyby jej to zrobił. W czwartek o świcie zaczyna się agonia i kobiety budzą Aszera, który zdrzemnął się z głową na biurku. Zapalają świece wokół łóżka. Adelajda zaczyna się modlić, ale cicho, jakby mówiła sama do siebie. Aszer widzi, że paznokcie Gitli zbielały, a potem nieodwracalnie sinieją, a gdy bierze ją za rękę, jest zupełnie zimna. Oddech Gitli staje się świszczący i utrudniony, każdy wymaga wysiłku; po godzinie zmienia się w rzężenie. Ciężko tego słuchać, dlatego i Adelajda, i pani Bachman zaczynają płakać. Ale ten oddech słabnie – a może to uszy się do niego przyzwyczaiły? Gitla robi się spokojniejsza i odpływa. Aszer jest świadkiem tego momentu – to się dzieje na długo przedtem, nim zatrzyma się serce i ustanie oddychanie, Gitla się dokądś wymyka, nie ma jej już w tym świszczącym ciele, poszła, zniknęła. Coś ją zajęło, odwróciło jej uwagę. Nawet się nie obejrzała.

W czwartek o trzynastej dwadzieścia serce Gitli przestaje bić. Gitla bierze ostatni haust powietrza i on w niej zostaje. Wypełnia jej piersi.

Nie ma więc żadnego ostatniego tchnienia, myśli z rosnącą złością Aszer, żadna dusza nie wymyka się z ciała, wręcz przeciwnie, to ciało ściąga ducha do siebie, żeby go zanieść do grobu. Tyle razy to widział, ale dopiero teraz w pełni zrozumiał. Właśnie tak. Nie ma żadnego ostatniego tchnienia. Ani żadnej duszy.

Warszawski stół na trzydzieści osób

Do Warszawy wieść o śmierci Jakuba Franka dochodzi spóźniona, na początku stycznia, gdy miasto nagle pustoszeje od mrozów i cały świat wydaje się ściągnięty w sobie, zasznurowany szorstkim szpagatem.

U Wołowskich na Waliców rozstawiono wielki stół na trzydzieści osób, starannie przykryto go białym obrusem i zastawiono porcelaną. Obok każdego talerza leży bułka chleba. Okna są zasłonięte. Dzieci Wołowskich, Aleksander i Marynia, grzecznie witają się z gośćmi, od których dostają drobne prezenty – owoce i słodycze. Śliczna Marynia, o kręconych, czarnych jak smoła włosach, dyga i powtarza: dziękuję wujkowi, dziękuję cioci. Potem dzieci znikają. Rozstawione w równych odstępach siedmioramienne świeczniki oświetlają zebranych – wszyscy ubrani po mieszczańsku, schludnie, na czarno. Stary Franciszek Wołowski stoi u początku stołu, obok niego jego siostra Marianna Lanckorońska i syn, młodszy Franciszek, i jego żona Barbara, dalej dorosłe dzieci innych braci Wołowskich z mężami, żonami, a także dzieci Lanckorońskich, dwaj bracia Jezierzańscy – Dominik i Ignacy, Onufry Matuszewski z żoną z Łabęckich, bracia Majewscy z Litwy i Jakub Szymanowski z nową żoną z Rudnickich. Franciszek pomaga ojcu wstać, ten patrzy na wszystkich długo, potem wyciąga ręce do stojących po jego obu stronach i wszyscy robią to samo. Syn myśli, że ojciec zaintonuje jedną z tych pieśni, które trzeba śpiewać cicho, prawie szeptać, ale ojciec mówi tylko:

– Podziękujmy Bogu naszemu wszechmogącemu i jego chwale, Pannie Świetlistej, żeśmy wytrwali. Podziękujmy Panu naszemu, że nas tu doprowadził, i niech każdy modli się za niego, jak umie, z największą miłością.

Modlą się teraz w milczeniu, ze spuszczonymi głowami, aż stary Franciszek Wołowski odzywa się swoim wciąż mocnym głosem:

– Co zapowiada nadejście nowych czasów? Co mówił Izajasz?

Siedząca po jego lewej stronie najstarsza Łabęcka mówi mechanicznie:

– Ustanie praw Tory i popadnięcie królestwa w herezję. Tak było powiedziane od najdawniejszych czasów i na tośmy czekali.

Wołowski chrząka i bierze głębszy oddech:

– Nasi przodkowie rozumieli to tak, jak umieli, i myśleli, że proroctwo to dotyczy tego, jak chrześcijanie zapanowali nad światem. Ale teraz wiemy, że nie o to chodziło. Wszyscy Żydzi muszą przejść przez królestwo Edomu, aby to proroctwo mogło się wypełnić! Jakub, nasz Pan, był wcielonym Jakubem, który poszedł pierwszy do Edomu, ponieważ historia biblijnego Jakuba opowiadała w gruncie rzeczy również naszą historię. I jak mówi Zohar: Nasz ojciec Jakub nie umarł. Jego ziemskie dziedzictwo przyjęła Ewa, która jest Jakubową Rachel.

– W istocie Jakub nie umarł – odpowiadają mu chórem.

– Amen – odpowiada im wszystkim Szlomo Franciszek Wołowski, siada do stołu, przełamuje bułkę na pół i zaczyna jeść.

O życiu sposobem zwyczajnym

Jeden z kontrahentów, od którego Wołowscy kupują chmiel, jest szczególnie wścibski. Z rękami w kieszeniach patrzy, jak Franciszek młodszy waży worki, i w końcu pyta:

– Powiedzcież, Wołowski, po co wy jeździcie do tego Franka i dzieci tam swoje posyłacie, kiedy się przecież w naszych kościołach chrzcicie? I mówią, że macie go za jakiegoś patriarchę i składki na niego płacicie. I że się z katolikami żenić nie chcecie.

Wołowski stara się być wobec niego serdeczny, klepie go po plecach, jak swój swego:

– Ludzie przesadzają. Racja jest, że wśród swoich się żenimy, ale to jest tak wszędzie. Lepiej się ze swoimi znamy i nawet to samo nasze kobiety gotują, co i nasze matki, i zwyczaje mamy te same. To naturalne. – Franciszek kładzie worek na wadze i dobiera teraz porcelanowe odważniki. – Moja żona na przykład robi takie bułki jak moja matka, nikt by tego nie potrafił, kto nie urodzony na Podolu i w żydowskiej rodzinie. Dla tych bułek się z nią ożeniłem. Ten Frank do nas rękę wyciągnął, kiedy byliśmy w potrzebie, to teraz mu wdzięcznością odpłacamy. To przecież cnota, nie grzech.

Wołowski grzebie w odważnikach, potrzebuje tych najmniejszych, żeby zważyć suchy chmiel co do łuta.

– Masz rację – mówi hurtownik. – Ja się ożeniłem dla kapusty z grochem. Moja to robi tak, że palce lizać. Ale mówią też, że się jeden koło drugiego osiedlacie, gdzie tylko dwór pański jaki stanie, to już tam jesteście, a to z szynkiem, a to z towarami, nawet kapele zaraz zakładacie...

– No i co w tym złego? – odpowiada Wołowski pogodnie i zapisuje wagę w rubryce. – Na tym to handel polega. Znaleźć trzeba miejsce, gdzie będą od ciebie kupować. Sam tak waść robisz, a mnie nie pozwalasz?

Hurtownik podaje mu drugi wór, większy, ten ledwie się mieści na wadze.

– A dzieci? Powiadają, żeście synów Franka wielkim kosztem wysoko wykształcili i mówiliście o nich „baronowicze”, a często ich widziano, kiedy tutaj w Warszawie byli, na redutach, balach i komediach, w bogatych powozach się rozbijali...

– A to nie znasz takich katolików, co na reduty i bale chodzą? A powozy Potockich widziałeś?

– Ty się, Wołowski, z panami nie równaj.

– Nie równam się. Są i między nami biedni i bogatsi. Jedni chodzą per pedes, drudzy mają bogate powozy. I cóż z tego?

Wołowski ma już dość natręta. Ten niby to ogląda susz chmielowy, niby go wącha i miętosi, ale rozgląda się po podwórku. A w jego głosie jakby cały czas tłumiona złość. Franciszek Wołowski młodszy zamyka wagę i idzie do wyjścia. Natręt niechętnie rusza za nim.

– A jeszcze jedno mi przyszło do głowy. Prawda to, że macie schadzki tajemne, okna zasłonięte, dziwy jakieś? – pyta podchwytliwie. – Tak mówią o was.

Franciszek jest czujny. Chwilę waży słowa, jakby dobierał właściwe odważniki.

– My, neofici, szczególnie dbamy o to, żeby bliźniego swego miłować. Bo czy to nie jest podstawowe przykazanie chrześcijan wszystkich? – pyta retorycznie. Tamten mu przytakuje. – Tak, to prawda,

zbieramy się i naradzamy, ot, jak i wczoraj u mnie w domu: jakiej sobie pomocy udzielić, w co zainwestować, prosimy się na śluby i chrzciny. O dzieciach mówimy, o ich szkołach. Trzymamy się razem, a to nie tylko nic złego, ale właściwie to przykład dla innych chrześcijan.

– Oby ci się wiodło, mości Wołowski, wśród nas – mówi w końcu natręt, nieco zawiedziony, i siadają do rozliczeń za chmiel.

Kiedy się wreszcie udaje Franciszkowi go pozbyć, oddycha z ulgą. Ale zaraz znowu przychodzi stan czujności, nieustannej i męczącej.

Atmosfera wokół nich w Warszawie nie jest najlepsza. Niektórzy wyjechali do Wilna, jak młodsi Kaplińscy i wszyscy Majewscy, albo powrócili do Lwowa, jak Matuszewscy, ale tam też nie jest łatwo. W Warszawie sytuacja wygląda chyba jednak najgorzej. Wszyscy patrzą, szepczą. Barbara, żona Wołowskiego, mówi, że Franciszek za bardzo się angażuje, przez co staje się widoczny. Brał udział w Czarnej Procesji, domagającej się praw dla mieszczan. Działa też w gildii kupieckiej. Ma dobrze prosperujący browar, ma dom, żyruje długi innym, jego nazwisko, zwielokrotnione przez synów i kuzynów, kole w oczy. Wczoraj na przykład znalazła Barbara włożony w drzwi kawałek papieru z rozmazanym, byle jakim drukiem:

Frank wpaja w nich zabobon, dziwnie błogosławi,
za co mu każdy z Polski dukaty zostawi.
Ten to u nich, za Boga czczony, jest w honorze,
ten z dekretu w fortecy był na Jasnej Gorze,
temu z Polski czynsz dają od wódki, od piwa,
milijony wywożą. Czyż nie sprawiedliwa
rzecz – zabiec temu głupstwu i sekretom tajnym,
Gdy chrzest mają – niech żyją sposobem zwyczajnym.

Heiliger Weg nach Offenbach

Prawdziwy dom Boga jest w Offenbachu, powiedziano kilkunastoletniemu Josefowi von Schönfeldowi, bratankowi Thomasa Schönfelda z Pragi, i zaczęły się przygotowania do wyjazdu. Trzeba przyznać, że oprócz świętej drogi, którą przebyć musi każdy prawowierny, chodzi też o pewną rzecz praktyczną: ucieczkę przed pójściem do wojska, do czego prawowierni, jako już chrześcijanie, byli zobowiązani. Droga wiodła przez Drezno, gdzie bez specjalnych wyjaśnień chłopcy mieli dostać listy polecające od barona Eibeschütza, choć Josefowi z tym nazwiskiem von Schönfeld – jak mówiła matka – nie były one potrzebne. Towarzyszyło mu dwóch takich jak on, znajdujących się w podobnej sytuacji.

Gdy w czerwcu 1796 roku dotarli w końcu do Offenbachu, spędzili cały dzień, czekając na audiencję u Pani pośród kolorowej, wielonarodowej ciżby młodych ludzi; niektórzy już przebrani w dziwaczne mundury, ćwiczyli musztrę, inni kręcili się po prostu po podwórku, a gdy lunął deszcz, pozwolono im schować się pod dach krużganków. Josef przyglądał się ciekawie rzeźbom na kolumnach, każda z nich przedstawiała postaci, które bystry chłopak łatwo zidentyfikował jako postaci z mitologii. Między innymi był tam znienawidzony przez niego Mars – zakuty w zbroję rycerz z halabardą, u którego stóp stał Baran, znak zodiaku, którym Mars rządzi, lecz Josefowi wydawał się ów Baran raczej symbolem tych wszystkich, którzy jak owce idą pod rządy generałów i stają się mięsem armatnim. Zdecydowanie bardziej podobała mu się krągła, dobrze zbudowana Wenus, której kształty komentował z kolegami.

Dopiero pod wieczór dostąpili przyjęcia przez ową Panią.

Jest to kobieta okołopięćdziesięcioletnia, bardzo strojnie ubrana, o białych, wypielęgnowanych dłoniach, z burzą wciąż ciemnych włosów upiętych w wysoki kok. Kiedy czyta list, Josef z fascynacją przygląda się jej psu – wysokiemu i chudemu, bardziej podobnemu do monstrualnego pasikonika, niespuszczającemu z chłopców oka. Wreszcie kobieta mówi:

– Zostaliście przyjęci, moi drodzy. Poddacie się tutaj regule, której skrzętne wypełnianie przywiedzie was do prawdziwego szczęścia. Tutaj jest prawdziwe zbawienie.

Mówi po niemiecku z silnym wschodnim akcentem. Oddala pozostałych chłopców, a Josefowi każe zostać. Wtedy wstaje i podchodzi do niego, dając mu dłoń do ucałowania.

– Ty jesteś bratankiem Thomasa?

Potwierdza.

– Czy to prawda, że on nie żyje?

Josef spuścił głowę. Ze śmiercią stryja wiąże się jakaś nigdy niewyjawiona przez rodzinę niezręczna, wstydliwa tajemnica. Josef nie wie, czy chodzi o to, że Thomas z jakiegoś niewiadomego powodu pozwolił się zabić, czy o coś innego, czego mu nie powiedziano.

– Pani go znała, prawda? – pyta Josef, żeby tym sposobem oddalić jej dalsze pytania.

– Przypominasz go trochę – mówi Piękna Pani. – Gdybyś chciał ze mną porozmawiać, gdyby ci czegoś brakowało tutaj, zawsze chętnie cię przyjmę.

Przez moment Josefowi wydaje się, że pani patrzy na niego z czułością, to go ośmiela. Chce coś powiedzieć, czuje nagle miłość i wdzięczność dla tej smutnej kobiety, którą wiąże jakaś tajemnicza nić z tą Wenus z czerwonego piaskowca, ale nic nie przychodzi mu do głowy, więc bąka tylko nieśmiało:

– Dziękuję, że mogłem tu przybyć. Będę dobrym uczniem.

Pani uśmiecha się na te słowa, jak się Josefowi zdaje, zalotnie, jak młoda kobieta.

Następnego dnia każą chłopcom iść na samą górę, do niedużych pomieszczeń, gdzie rezydują tak zwani starcy.

– Byliście już u starców? – pytali ich już przedtem wszyscy, więc Josef jest ciekawy, kim owi starcy są. Ma cały czas wrażenie, jakby się znalazł w jednej z tych baśni, które opowiadała mu matka, pełnej królów, pięknych księżniczek, zamorskich wypraw i mędrców bez nóg, którzy pilnują skarbów.

Ci – jak się okazuje – mają nogi. Siedzą przy dwóch dużych stołach, na których jest pełno rozłożonych ksiąg, ryz papieru, zwojów. Widać, że

trwa tu jakaś praca. Mężczyźni wyglądają jak Żydzi, jak żydowscy uczeni, których widuje się w Pradze – mają długie brody, ale ubrani są po polsku, w barwne kiedyś, teraz nieco wypłowiałe kubraki. Na mankietach mają zarękawki chroniące od atramentu. Jeden ze starców wstaje i ledwie rzucając na nich wzrokiem, wręcza im kartkę, na której wydrukowano jakiś dziwaczny rysunek pełen połączonych ze sobą kółek, po czym mówi z tym samym akcentem, co Piękna Pani:

– Synowie moi, Szechina jest w niewoli, trzymają ją w więzieniu Edom i Izmael. Naszym zadaniem jest wyzwolenie jej z więzów. Stanie się to, gdy nastąpi połączenie trzech sefirot w jedną Trójcę, wówczas nastąpi zbawienie. – Kościstym palcem wskazuje na kółka.

Towarzysz Josefa rzuca mu spod oka rozbawione spojrzenie, widać, że tłumi śmiech. Josef rozgląda się po pomieszczeniu i widzi dziwaczną mieszaninę: na pierwszym miejscu wisi krzyż, i obok niego obraz katolickiej Matki Boskiej, ale gdy jej się przyjrzeć uważniej, okazuje się, że jest to portret owej Pięknej Pani, przystrojony tak, jak przystraja się w kościołach i kaplicach Matkę Boską, niżej zaś widnieją portrety jakichś mężczyzn i stoją figury z hebrajskimi literami, których znaczenia zupełnie nie rozumie. Potrafi tylko rozpoznać na jednej z tablic nazwy zapamiętane, których jednak głębszego sensu nie zna: Keter, Chochma,

Bina, Gdula, Gwura, Tiferet, Necah, Hod, Jesod i Malkut – połączone ze sobą kreskami, łączą się w jedno pojęcie Ein Sof.

Starzec mówi:

– Już dwie sefiry okazały się w ludzkiej postaci. Teraz musimy oczekiwać nadejścia ostatniej. Chwała temu, który jest do tego wybrany, aby połączyć się z Tiferet – Pięknością; z niego powstanie zbawiciel. Bądźcie więc pilni i słuchajcie wszystkiego uważnie, abyście do tych wybranych mogli należeć.

Starzec wypowiada to wszystko, jakby recytował coś, o czym wszyscy wiedzą, jakby to powtarzał tysiące razy. Odwraca się i bez słowa odchodzi. Jest drobny i zasuszony, drepcze małymi kroczkami.

Za drzwiami obaj chłopcy wybuchają śmiechem.

Zaraz po powrocie od starców zostają wcieleni do gwardii, oddają przywiezione z domu pieniądze, a dostają śmieszne, kolorowe mundury. Teraz codziennie będą uczestniczyli w musztrze oraz w naukach strzelania i walki wręcz. Ich jedynym obowiązkiem będzie wykonywać rozkazy prowadzącego musztrę mężczyzny z polskim wąsem, a potem prężyć się przed starym człowiekiem, który na mundurze ma dystynkcje generała i który pojawia się na dworze od czasu do czasu i przyjmuje parady. Kuchnia wydaje trzy sute posiłki dziennie, wieczorami zaś ci, którzy nie służą, idą do dużej sali na nauki u starców. W naukach uczestniczą i chłopcy, i dziewczęta, zrozumiałe jest więc, że bardziej ich zajmuje strzelanie oczami na wszystkie strony. Josef łapie tylko pojedyncze słowa z wykładów, cała ich treść jest dziwaczna, a on nie ma głowy do takich spraw. Nie rozumie, czy to, co tu mówią, należy brać dosłownie, czy może jest to jakiś rodzaj metafory. W wykładach powtarzają się cytaty z proroka Izajasza, a także słowo „Malkut” – Królestwo. Kiedy Josef zostaje powołany – zapewne za wstawiennictwem Pięknej Pani, która zaprasza go czasami na kawę – do eskorty honorowej coniedzielnej wyprawy do Bürgel do kościoła, zaczyna rozumieć, że oznacza ono tego samego P a na, którego wożą szczelnie zamkniętą karetą do miasteczka. Podtrzymywany przez rosłych osiłków, zakryty wielkim kapturem, z trudem wchodzi on do kościoła i zostaje tam sam przez jakiś czas. Wtedy Josef domyśla się, że ów P a n jest właśnie tym samym P a n e m, który niedawno umarł, i prawda jest

taka, że on n i e u m a r ł. Wszyscy gwardziści, ubrani w wielokolorowe mundury – Josef czuje się w tym mundurze jak cyrkowiec – muszą się wtedy odwrócić tyłem, tak że mają teraz przed oczami spokojnie płynącą rzekę Men i kruche jak ważki żagle stateczków.

Czasem gwardziści mają wolne. Josef idzie wtedy z kolegami do miasta i tam dołączają do kolorowego, znudzonego tłumu młodych ludzi, którzy obsiedli już wszystkie parki i skwery miasteczka i albo flirtują z kim się da, albo grają na instrumentach – barwni, egzotyczni, mówiący wieloma językami. Można tu usłyszeć i północny niemiecki dialekt z Hamburga, i południowy z Czech i Moraw, i czeski, rzadziej jakieś wschodnie języki, których Josef nie umie rozpoznać. Najwięcej jednak jest tu polskiego, który nauczył się już rozumieć. Tam gdzie młodzi nie mogą się dogadać, próbują mówić po żydowsku albo po francusku. Kwitną romanse; sam widział ślicznego młodzieńca, który przygrywając sobie na gitarze, śpiewał jakąś tęskną pieśń pod oknem kochanki.

Josef nawiązał szybko przyjaźń z chłopcem z Pragi, który tak jak i on uciekł tutaj przed surową postacią Marsa. Ma na imię Mojżesz, lecz każe mówić do siebie: Leopold. Nie jest ochrzczony i z początku odmawia jeszcze swoje żydowskie modlitwy. Potem zarzuca ten zwyczaj. To z nim Josef spędza najwięcej czasu, i dobrze – ma się komu zwierzyć z tego coraz silniej ogarniającego go poczucia nierealności tego miasta, tego kraju, tej wielkiej rzeki, która przygląda się obojętnym płaskim okiem ich leniwemu życiu.

Josef ma jednak specjalny status – domyśla się, że nie tylko dlatego, iż jest dalekim krewnym Pięknej Pani, ale też dzięki stryjowi. Kilka razy zostaje zaproszony do stołu Pani i jej braci. Wypytują go o rodzinę, Pani dobrze zna jego ciotki. Pyta go o zegar w salonie babci, czy jeszcze chodzi. To ośmiela Josefa przy stole. Opowiada anegdoty o Brünn, wspomina kupców, winiarnie i cukiernie, lecz w gruncie rzeczy niewiele ma tych wspomnień, do babci jeździł rzadko. Kiedyś w oczach Pani pojawiają się łzy i prosi go o podanie chusteczki. Jej pies patrzy na niego z nieludzkim spokojem, acz podejrzliwie. Kiedy jednak zostaje z nią sam na sam, traci całą pewność siebie. Wydaje mu się, że płynie od tej kobiety szczególne dobro, pomieszane z nieokreślonym smutkiem, tak że wraca od niej z zamętem w głowie, bezbronny.

Mojżesz-Leopold jest dużo bardziej krytyczny.

– To wszystko jest wielkie udawanie – mówi. – Zobacz, tu nic nie jest prawdziwe, to jakby się sztukę jaką grało.

Patrzą z góry na szykowany do wyjazdu powóz. Konie mają wielkie pióropusze na głowach. Po obu stronach powozu ustawiają się chłopcy w pstrokatych uniformach, będą biec obok niego. Mojżesz ma rację.

– A ci starcy? Przecież oni są śmieszni, cały czas powtarzają to samo, a kiedy próbować się czegoś dowiedzieć, zasłaniają się jakąś tajemnicą. Te ich mądre miny...

Mojżesz naśladuje ich miny i gesty. Przymyka oczy, podnosi głowę i recytuje jakieś bezsensowne zbitki słów. Josef wybucha śmiechem. I w nim rodzi się coraz silniejsze podejrzenie, że znaleźli się w wielkim, rozciągniętym na całe miasto teatrze, gdzie każdy gra przypisaną mu rolę, nie znając jednak ani treści dramatu, w którym występuje, ani jego sensu, ani końca. Musztra, nudna i męcząca, przypomina ćwiczenia do

zbiorowego tańca: ustawiają się w dwuszeregi, które potem mają się ze sobą łączyć, rozdzielać, niby w jakimś kontredansie. Ma szczęście, którego nie dostępuje Mojżesz – zostaje przez generała wybrany do nauki jazdy konno. I to jest jedyna konkretna i pożyteczna rzecz, której się uczy w Offenbachu.

O kobietach, które moczą nogi

Ewa już dawno musiała się zgodzić, żeby wydać Anusię Pawłowską za mąż. Anusia jednak, mimo iż ma męża i dzieci w Warszawie, i tak co roku przyjeżdża do Offenbachu. Wyszła za mąż niedaleko – za swojego kuzyna Pawłowskiego, nie zmieniła więc nawet nazwiska. Mąż jest oficerem, często nie ma go w domu. Teraz Anusia Pawłowska przyjechała z córką, Paulinką, która będzie przy Pani w ciągu samotnie spędzanej zimy w Offenbachu, już na szczęście nie w zamku, którego nie udało się utrzymać, ale w solidnym domu przy głównej ulicy. Zakupili go na swoje nazwisko Czerniawscy, żeby w ten sposób pomóc Ewie umknąć przed wierzycielami.

Paulinka poszła ze służącą do miasta, a one, stare, zarządziły moczenie nóg. Ewie spuchły kostki przy paluchu i boli ją to bardzo. Kiedy Anusia zdejmuje białe pończochy, widać, że cierpi na tę samą dolegliwość. W ciepłej wodzie rozpuszczono leczniczą sól. Podkasane spódnice odsłaniają ich nogi, które u Ewy są aż czerwone od popękanych żyłek. Na stoliku obok postawiły panie dzbanek z kawą i talerzyk z małymi andrucikami. Ewa lubi najbardziej te z masą pistacjową. Zastanawiają się, ile Jakub mógł mieć dzieci i kogo należy do tego grona zaliczyć. Teraz Ewę to nawet cieszy, że mogła mieć tyle rodzeństwa. Znaczy to przecież, że ma wiele ciotecznych i stryjecznych wnuków w Warszawie, na Morawach, na Wołoszczyźnie. Czy jednym z nich jest któryś z małych Kaplińskich, tych, których Jakub niedługo przed śmiercią chrzcił z takim wzruszeniem? Pamiętasz? Pamiętasz? A Magda Jezierzańska? Pamiętasz? A Ludwiczek Wołowski? – wydawał się taki podobny. A Basia Szymanowska? Czy nie Janek Zwierzchowski? Basia Jakubowska to na pewno; to skóra zdarta z Jakuba.

I nagle Anusia pyta:

– A ja?

Ewa patrzy na nią dobrotliwie i nagle głaska ją po włosach, jakby ją pocieszała.

– Może ty też. Nie wiem.

– I tak jesteśmy siostrami.

Przytulają się nad miskami z wodą. Potem Ewa pyta:

– A twoja matka? Jaka była?

Anusia zamyśla się, zakłada ręce pod głowę.

– Dobra i bystra. Miała nosa do interesów. Wszędzie jej było pełno, do końca. Ojciec zginąłby bez niej. Jak rozkręciła sklep, wykształciła braci. No i teraz mamy ten sklep.

– Miała na imię Pesełe, prawda? Ojciec mówił o niej Pesełe.

– Tak, wiem.

– Jak ci jest w małżeństwie, pani Pawłowska? – pyta ją potem Ewa, gdy wycierają nogi w miękkie ręczniki.

– Dobrze. Wyszłam za mąż za późno. Zbyt przywiązałam się do ciebie.

– Zostawiłaś mnie – mówi Ewa, jakby się przekomarzała.

– A co może kobieta, jak nie dobrze wyjść za mąż?

Ewa zamyśla się. Potem się schyla i masuje sobie opuchniętą kość.

– Może zostać świętą. Mogłaś zostać ze mną.

– Przecież jestem.

Ewa odchyla się do tyłu, opiera głowę o fotel i zamyka oczy.

– Ale pojedziesz – mówi i z trudem nachyla się, żeby wciągnąć pończochy. – Zostanę tu sama z bratem pijakiem i bratem rozpustnikiem.

– Poczekaj, pomogę ci – mówi Anusia i schyla się po pończochy.

– Wszędzie długi, nie wolno mi się ruszyć z miasta. Czerniawscy rzucili wszystko i uciekli do jakiegoś Bukaresztu czy Budy. Zostawili mnie z tym samą. Wszyscy wokół mnie są mi zupełnie obcy.

Anusi udaje się wciągnąć na nogę Ewy pończochę. Wie, o czym mówi Ewa. Widziała plakaty rozwieszone na ulicach Offenbachu, informujące,

że rodzeństwo Frank obiecuje spłacić wszystkie zaciągnięte u rzemieślników i kupców długi i w tym celu młodszy baron Frank udaje się po pieniądze do Petersburga.

– Dlaczego do Petersburga? – pyta Anusia.

– To wymyślił Zaleski. Oni wierzą, że my jesteśmy Rosjanami. Z carskiej rodziny. A Roch pojedzie do Warszawy.

– Tam nie ma czego szukać. Tam bieda. Chcesz wódki? – pyta Anusia i wstaje, żeby boso podejść do kredensu, skąd wyciąga butelkę i dwa kieliszki. Potem wraca i nalewa do kieliszków złoty napój.

– Miodówka.

Smakują wódkę w milczeniu. Przez okno wpada na moment czerwony blask zachodzącego zimowego słońca i sprawia, że pokój staje się naprawdę przytulny – kobiecy buduar, miękkie łóżko i pasiaste fotele stojące wokół kawowego stoliczka, klasyczne, „rzymskie” biurko, na którym leżą stosy rachunków i rozpoczęty list. Końcówka pióra już wyschła.

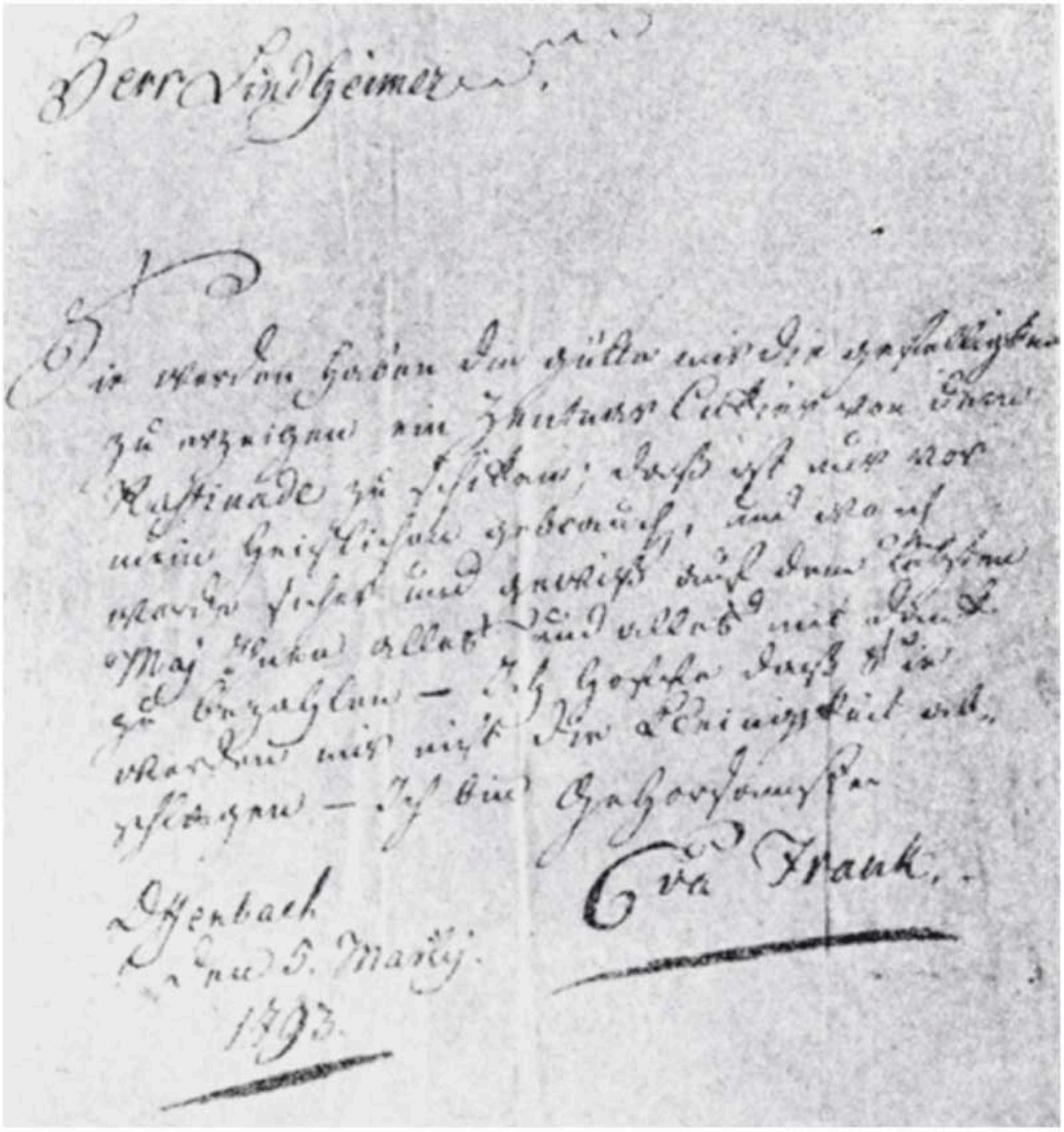

Potem jednak słońce znika i pokój zaczyna tonąć w gęstniejącym mroku. Anusia podnosi się, żeby zapalić świecę.

– Nie zapalaj światła – mówi Ewa. – Pamiętasz, opowiadałaś kiedyś, że we wsi twojej matki była pewna kobieta, która nie do końca umarła.

– Tak, to prawda. Mama mówiła, że wciąż oddychała i tylko malała. To była jakaś nasza praprababka. W końcu zrobiła się mała jak dziecko, jak lalka. Zostawili ją w jaskini.

Ewa porusza się niespokojnie.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem – odpowiada Anusia i nalewa drugi kieliszek. – Już się tego nie dowiesz.

Resztki. O świetle

Nachman jest już stary, wyschnięty na wiór i zgarbiony. Siedzi przy małym okienku, z którego wpada niewiele światła, od grubych murów płynie chłód. Jego ręka, która trzyma pióro, wyraźnie drży. W małej klepsydrze stojącej obok kałamarza przesypują się ostatnie ziarenka piasku: za chwilę trzeba będzie ją odwrócić. Nachman pisze:

> Nasi dziadowie powtarzali, że jak to jest zapisane w Pesachim 3, są cztery rodzaje pieniądza, które nigdy nie przynoszą szczęścia: wynagrodzenie pisarzy, wynagrodzenie tłumaczy, zasiłki sieroce i pieniądze przychodzące z zamorskich krajów.
>
> I myślę, że wielka jest jednak mądrość Talmudu, bo były to w moim życiu główne źródła dochodu, przez co zrozumiałe staje się, żem do wielkiego szczęścia nie doszedł. Doszedłem jednak do spełnienia, które można by nazwać małym szczęściem, ludzkim, a stało się to od momentu, gdym osiadł tutaj, w Offenbachu, i zrozumiałem, że tutaj umrę. Wtedy to też odeszła mnie nagle moja największa słabość, mój grzech – niecierpliwość. Bo co to znaczy być niecierpliwym?
>
> Być niecierpliwym to znaczy nigdy nie żyć naprawdę, a być zawsze w przyszłości, w tym co się wydarzy, ale czego przecież jeszcze nie ma. Czy ludzie niecierpliwi nie przypominają duchów, które nigdy nie są tu, w tym miejscu, i teraz, w tej właśnie chwili, ale wystawiają głowę z życia jak ci wędrowcy, którzy podobno,

gdy znaleźli się na końcu świata, wyjrzeli poza horyzont. Cóż tam zobaczyli? Cóż może ujrzeć niecierpliwy?

Przypomniało mi się wczoraj to pytanie, gdyśmy jak zwykle do późna prowadzili nasze dysputy z Jeruchimem Dembowskim. Mówi się, odpowiedział mi, że tam, poza światem, jest niby za kulisami jakiego teatrzyku jarmarcznego – bałagan linek, starych dekoracji, przebrań i masek, rekwizytów najróżniejszych, cała maszyneria potrzebna do tego, by zbudować iluzję. Tak to podobno tam wygląda. Achaia Ajnajim, czyli w starym języku – iluzja, prestidigitatorstwo.

Tak to ze swojego pokoiku teraz widziałem. Iluzja. Przedstawienie. Dopóki mogłem chodzić po schodach, każdego ranka mieliśmy nauki dla młodych – każdego roku wydawali mi się oni mniej wyraźni, aż zupełnie zlali mi się w jedną twarz, która zmieniała się i falowała. I właściwie nie znajdowałem już w nich nic ciekawego. Mówiłem do nich, a oni nie rozumieli, jakby drzewo naszego świata wypuściło gałęzie w zupełnie inne strony. Ale i to mnie już nie martwi.

Po śmierci Jakuba nastał dla mnie czas wielkiego spokoju. Głównym moim zajęciem stało się studiowanie merkawy, do tego doszły jeszcze nasze rozmowy z Jeruchimem Dembowskim, jako że zamieszkaliśmy w jednym pokoju, przez co zbliżyliśmy się do siebie. Jemu, Jeruchimowi, powiedziałem też o Chai Szor – że była jedyną kobietą, którą mogłem pokochać i kochałem od tego pięknego momentu, kiedym ją dostał na jedną noc, wtedy gdym przyjechał z wieściami o Jakubie do Rohatyna. Lecz przede wszystkim kochałem Jakuba.

A teraz tu, w Offenbachu, mieście spokojnym i sennym, całe dnie nie zajmowaliśmy się niczym innym, jak tylko badaniem

hebrajskich słów. Przestawialiśmy w nich litery i zliczali ich wartości, tak że powstawały z nich nowe znaczenia, a więc nowe możliwe światy. Jeruchim, gdy mu się co udało, chichotał, a mnie wydawało się, że tak samo chichotał Bóg, gdy nas wszystkich stwarzał.

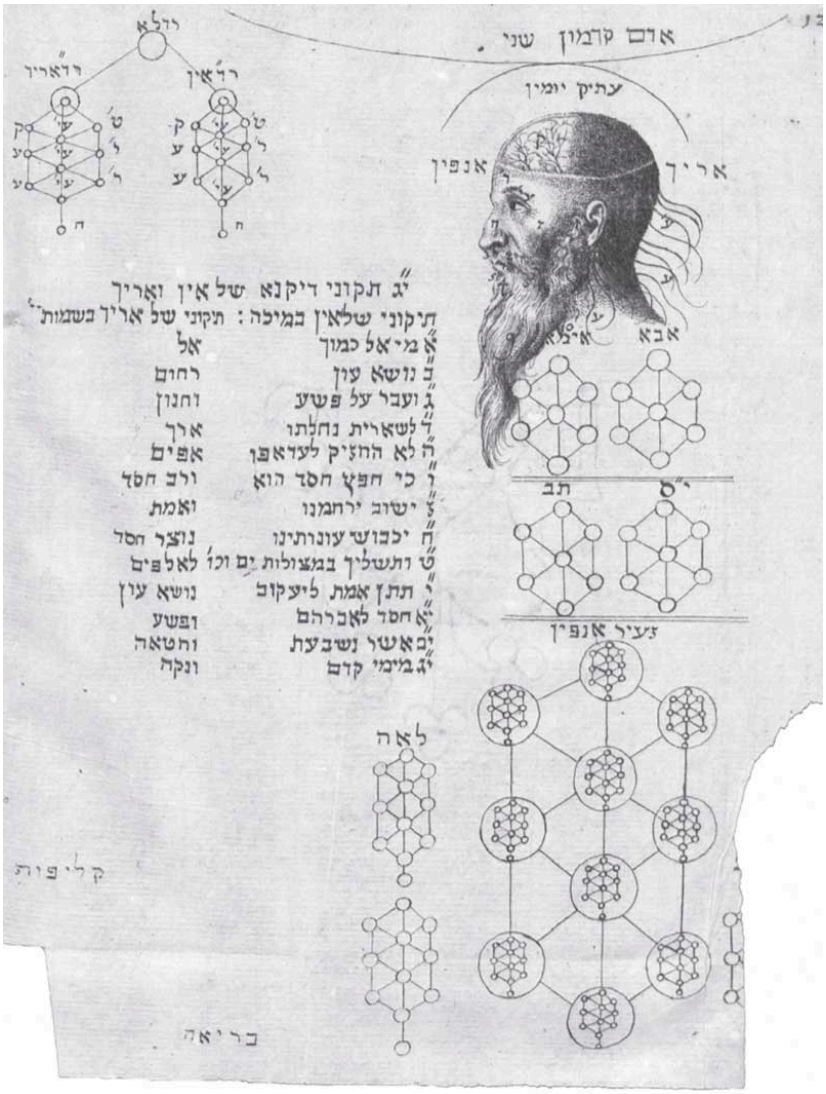

Czasami zbierało nam się na wspomnienia. Wtedy to pytałem go: „A pamiętasz, jakżeś był ulubionym Żydem biskupa Dembowskiego? Jak cię hołubił?”, bo ciągnęło mnie wędrowanie pamięcią wstecz, przeszłość była dla mnie żywa; teraźniejszość

ledwie dychała, przyszłość zaś leżała przede mną niczym zimny trup.

Obaj wiecznie czekaliśmy na nasze dzieci i wnuki. Jeruchima mieli odwiedzić w Offenbachu jego synowie, Jan i Joachim. Opowiadał o nich tak często i tak szczegółowo ich opisywał, że wkrótce ich odwiedziny stały się niepotrzebne. Wszyscy pamiętali ich z dzieciństwa i młodości jako chłopców nieco wyniosłych, bo kształconych u teatynów, noszących się prosto i dumnie. Obaj rośli, przystojni. „Jeden przyjedzie w srebrnym surducie – mówił stary Jeruchim – a drugi w polskim mundurze". Ale nigdy się nie pojawili.

Ja zaś znajdowałem wielką pociechę w moich wnuczkach, które tu przyjeżdżały do naszej pani, a jedna wyszła nawet w Offenbachu za mąż, za Piotrowskiego. Wnuki nas cieszą tylko do pewnego czasu, potem stajemy się bardziej czuli na sprawy świata, i nawet imiona wnuków zaczynają nam się mylić.

Nikt nie chciał nas słuchać, wszyscy zajęci byli sobą. Ewa, Panna, z pomocą oddanych jej sekretarzy Zaleskiego i młodego Czyńskiego, prowadziła dwór niczym pensjonat. Kręcili się po nim ludzie, lecz znaczna ich część mieszkała już w mieście. Na dole grano koncerty, na które nigdy nie schodziliśmy z Jeruchimem, woląc nasze ćwiczenia z gematrii i notarikonu. W zeszłym roku przyjechali tu bracia Wołowscy i całe lato z Jeruchimem pracowali nad listem do wszystkich gmin żydowskich na świecie. Przepisywali ów list setki, a może tysiące razy czerwonym atramentem, wciąż na nowo. A było to ostrzeżenie dla wszystkich przed wielką katastrofą, która ich czekać miała, jeżeli nie przyjmą wiary Edomu, bo jedynie ona miała być ucieczką przed ową zagładą. Podpisywali ten list swoimi żydowskimi imionami

Franciszek Wołowski – Salomon ben Elisza Szor, Michał Wołowski – Natan ben Elisza Szor, i Jędrzej Dembowski – Jeruchim ben Hananiah Lippman z Czarnokoziniec. Lecz ja się pod tym listem podpisać nie chciałem. Nie wierzę w przyszłe katastrofy. Wierzę w te, których udało nam się uniknąć.

W Bemidbar Masej jest powiedziane, że Bóg nakazał Mojżeszowi opisywać szlak wędrówki narodu, i mnie się zdaje, że i mnie Bóg nakazał to robić. I choć nie sądzę, żeby mi się to udało, bo byłem zbyt szybki i niecierpliwy, czy może zbyt leniwy, żeby uchwycić wszystko, starałem się prawowiernym przypomnieć, kim są i skąd prowadziła nasza droga. Bo czy nie jest tak, że nasze historie opowiadają nam inni? Tyle możemy znać siebie, ile nam inni powiedzą, kim jesteśmy i dlaczego tak się staramy. Cóż bym zapamiętał ze swojego dzieciństwa, gdyby nie moja matka? Jakżebym poznał siebie, gdybym się nie ujrzał odbitego w oczach Jakuba? Siadałem więc przy nich i przypominałem im, cośmy razem przeżyli, albowiem przewidywanie przyszłych katastrof zasnuwało im umysł mgłą. „Idźże, Nachmanie, zajmij się swoją pracą. Mamy cię dość”, odganiali mnie początkowo od siebie. Lecz ja byłem uparty. Przypominałem im to, jak zaczynaliśmy. Przywoływałem ulice Smyrny i Salonik, meandry Dunaju i ciężkie polskie zimy, gdyśmy w mrozie dzwoniącymi sankami podążali za Jakubem. A także nagie ciało Jakuba, gdyśmy świadkowali jego połączeniu z duchem. Twarz Chai. Księgi starego Szora. Surowe twarze sędziów. A czy pamiętacie jeszcze mroczny czas Częstochowy? – pytałem.

Słuchali mnie nieuważnie, jako że człowiek z czasem zapomina swoje kroki i wydaje mu się, że idzie sam, jak mu się chce, a nie jak go Bóg prowadzi.

Czy można dojść do tej wiedzy, świętej Daat, którą nam obiecywał Jakub?

Mówiłem im: Są oto dwa rodzaje niemożności poznania. Pierwszy jest wtedy, gdy ktoś nie próbuje nawet pytać i badać, skoro uważa, że i tak nie dowie się niczego do końca. A drugi jest wtedy, gdy bada i szuka, i dochodzi do tego właśnie, że wiedzieć nie można. Tutaj odwoływałem się do przykładu, żeby moi bracia mogli lepiej zrozumieć wagę owej różnicy. Mówiłem więc, iż to jest tak, jakby dwóch chciało poznać króla. Jeden myśli: skoro nie można poznać króla, po cóż w ogóle wchodzić do jego pałacu i przemierzać jego komnaty? Drugi zaś myśli inaczej. Ogląda królewskie komnaty, cieszy się królewskim skarbcem, zachwyca się pysznymi kobiercami, i nawet gdy się dowiaduje, iż króla poznać nie może, to przynajmniej zna jego pokoje.

Słuchali mnie, nie wiedząc w istocie, do czego zdążam.

Chciałem więc im przypomnieć sam początek i powiedzieć jedno – że w rzeczywistości myśmy się zajmowali światłem. Podziwialiśmy światło we wszystkim, co istnieje, szliśmy jego tropem po wąskich traktach Podola, przez brody Dniestru, przekraczając Dunaj i przechodząc przez najpilniej strzeżone granice. Światło nas wzywało, gdyśmy za nim nurkowali w największe ciemności w Częstochowie, i światło nas prowadziło z miejsca na miejsce, od domu do domu.

I przypomniałem im coś – czy w starym języku słowa „światło” (or) i „nieskończoność” (Ejn Sof) nie mają tej samej wartości numerycznej? Or pisze się przecież: alef-waw-resz

אור

co daje 1+6+200=207. A Ein Sof – alef-jod-nun-samech-waw-fe:

אין ם וף

to jest: 1+10+50+60+6+80=207. Ale i słowo rez, czyli tajemnica, ma wartość numeryczną 207.

Patrzcie, mówiłem im: wszystkie księgi, które studiowaliśmy, były o świetle: Sefer ha-Bahir to Księga Jasności, Szare Ora to Bramy Światła, Meor Enajim – Światło Oczu, i w końcu Sefer ha-Zohar – Księga Blasku. Nic innego nie robiliśmy, tylko budząc się o północy, w największych ciemnościach, w niskich, ciemnych izdebkach, w zimnie – studiowaliśmy światło.

To światło odkryło nam, że ogromne ciało materii i jej praw nie jest meciut, rzeczywiste, i takoż wszystkie jej kształty i przejawy, jej nieskończone formy, jej prawa i nawyki. Prawdą świata jest nie materia, lecz wibracja iskier światła, to nieustanne migotanie, które znajduje się w każdej rzeczy.

Pomnijcie to, za czym szliśmy, rzekłem im. Wszystkie religie, prawa, księgi i stare zwyczaje już minęły i zwietrzały. Ten, kto czyta te stare księgi, przestrzega tych praw i zwyczajów, to jakby ciągle głowę do tyłu trzymał, a musiał iść do przodu. Dlatego będzie się potykał i w końcu upadnie. Ponieważ wszystko, co było, przychodziło ze strony śmierci. Człowiek mądry zaś będzie patrzył do przodu, przed siebie, poprzez śmierć, jakby była tylko muślinową zasłoną, i stanie po stronie życia.

I pod tym się podpisuję – ja, Nachman Samuel ben Lewi z Buska, czyli Piotr Jakubowski.

VII. KSIĘGA IMION

Hominem 1 attingunt *conſanguinitate*,	Człowieka 1 dotykaią pokrewieństwem,	Homo, m. 3. człowiek. consanguinitas, f. 1. pokrewny.
in *linea aſcendente*, (m. 2.	w Linii powſtaiącey,	linea, f. 1. aſcendens, c. 3. linia powſtaiąca.
pater, m. 3. *vitricus*, 2 & *mater*, f. 3. *noverca*, 3 f. 1.	Ociec, Oyczym, 2 i Matka, macocha, 3	
avus, 4 m. 2.	dźiadek, 4	
& *avia*, 5 f. 1.	i babka, 5	
proavus, 6 m. 2.	pradźiadek, 6	
& *proavia*, 7 f. 1.	i prababka, 7	
abavus, 8 m. 2.	prapradźiadek, 8	

31

Jakubowski i księgi śmierci

Jakubowski umarł niedługo po Panu, przeżył go zaledwie o rok. Wszechobecny wzrok Jenty widzi, jak urzędnik wpisuje jego nazwisko do *Sterbe und Begräbnis Bücher* miasta Offenbach, pod datą 19 października 1792 roku, a jako powód śmierci podaje: „An einer Geschwulst”, wrzód. Ponieważ nikt tak naprawdę nie wie, ile Jakubowski miał lat, wydaje się wszystkim obecny od jakiegoś mitycznego początku. Ktoś z młodych mówi tylko, że był bardzo stary. Wpisuje się więc – dziewięćdziesiąt pięć lat, wiek matuzalemowy, godny starszego brata. W rzeczywistości Jakubowski urodził się w 1721 roku, miał więc 71 lat, lecz wycieńczony chorobą, wyglądał jak starzec. Miesiąc po nim umarła w Offenbachu jedna z jego córek, Rozalia, wykrwawiwszy się w połogu.

Jędrzej Jeruchim Dembowski zebrał jego papiery. Nie było ich wcale dużo i wszystko w końcu udało się zmieścić w kuferku. *Żywot Szabtaja Cwi*, który Jakubowski pisał przez całe życie, gubiąc się w kabalistycznych dygresjach, to w rzeczywistości gruby plik papierów, pełen wykresów, rysunków, geometrycznych obliczeń i dziwnych mapek. „Rozmaite adnotacje” zaś to notatki do nigdy niepowstałej biografii Jakuba.

Rok po nim zmarł Jan Wołowski, Kozak, niedługo potem zaś Józef Piotrowski, jak zwano Moszka Kotlarza, którego oddano tutaj na spokojną starość; zrobił się dziecinny i krnąbrny, ale tutaj miał dobrą opiekę.

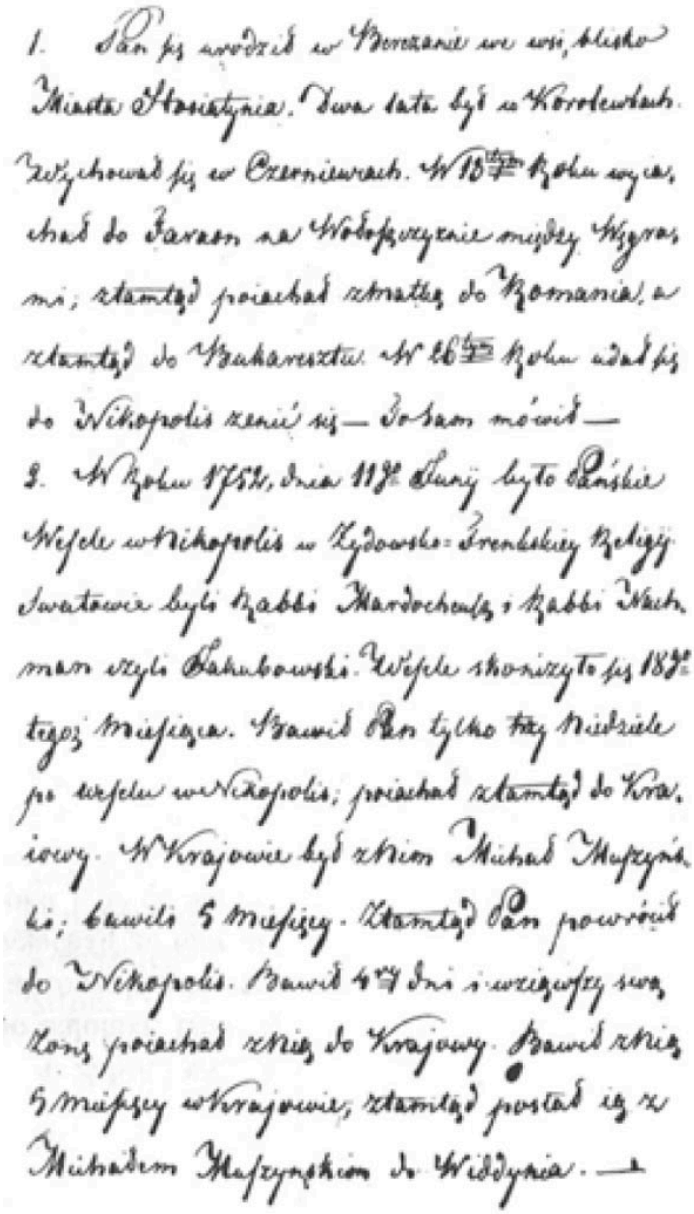

1. Pan ſię urodził w Mszanie we wsi, blisko Miasta Horodenka. Swe lata był w Korolewkach. Wychował ſię w Czerniowcach. W 18ym Roku wyiechał do Jassow na Wołoſzczyznie między Węgrami; ztamtąd proiechał ztratką do Romanich, a ztamtąd do Bukaresztu. W 16ym Roku udał ſię do Nikopolis zenił ſię — Jo sam mówił —

2. W Roku 1758, dnia 11go Lutij było Pańſkie Weſele w Nikopolis w Żydowsko-Frenkelskiey Religij. Swatowie byli Rabbi Mardochaiu, i Rabbi Hachman czyli Bakubowski. Weſele skończyło ſię 18go tegoż Miesiąca. Bawił Pan tylko trzy Niedziele po weſelu w Nikopolis; proiechał ztamtąd do Krajowy. W Krajowie był zkim Michał Matyszkiewicz; bawili 5 Miesięcy. Ztamtąd Pan powrócił do Nikopolis. Bawił 4ry Dni i wziąwszy swą Żonę proiechał zkią do Krajowy. Bawił zkią 5 miesięcy w Krajowie, ztamtąd poszedł ię z Michałem Matyszkiem do Widdyna. —

We wrześniu 1795 roku odszedł Mateusz Matuszewski, a niespełna miesiąc potem jego żona Wittel, zwana Anną. Po śmierci męża popadła w dziwne odrętwienie i już się z niego nie otrząsnęła. Czasami tak się dzieje, że małżonkowie żyć bez siebie nie mogą i wolą umrzeć jedno po drugim.

Jeden po drugim umarli też dwaj bracia Szymanowscy, Eliasz i Jakub, jako starcy, a po ich śmierci reszta rodziny Szymanowskich wróciła do Warszawy.

Po śmierci ostatniego z obecnych na dworze w Offenbachu starców, Pawła Pawłowskiego, dawnego Chaima z Buska, brata Jakubowskiego, dwór powoli opustoszał i wprawdzie w mieście mieszkali jeszcze różni prawowierni, pochodzący głównie z Moraw i z Niemiec, lecz byli oni coraz luźniej związani z dworem. Gdy po długiej i wyczerpującej chorobie zmarł w 1807 roku młodszy z braci Franków Józef, Ewie Frank, która się nim z poświęceniem opiekowała, udało się zmylić czujność wierzycieli i uciec do Wenecji; z powrotem ściągnęła ją wiadomość o chorobie Rocha. Roch Frank odszedł 15 listopada 1813 roku, samotnie, w swoim pokoju, i trzeba było wyważać drzwi, by móc stamtąd zabrać i pochować jego duże, spuchnięte od alkoholu, nieszczęśliwe ciało.

Ewa Frank ratuje Offenbach od grabieży napoleońskiej

Bardzo chorego już Rocha próbowano nieco przypudrować, gdy w marcu 1813 roku, w jej domu na rogu Canalstrasse i Judengasse, odwiedził Ewę Frank car Aleksander. Wiadomość o wizycie niby miała być poufna, ale szybko rozeszła się po całym mieście. Car chciał się zapoznać z tą słynną kolonią żydowsko-chrześcijańską, o której miał sposobność słyszeć w czasie swojej podróży po Europie. Jako władca oświecony i postępowy, nosił się już z zamiarem stworzenia na terytorium swojego wielkiego państwa małego kraju, gdzie Żydzi mogliby żyć w pokoju i oddawać się pielęgnowaniu tradycji.

Wizyta cara podsyciła krążące od lat po Offenbachu plotki, jakoby Ewa Frank była z tronem rosyjskim blisko związana, co pozwoliło jej na jakiś czas odroczyć spłatę wielu długów. Carowi tak bardzo spodobało się to, co zobaczył, że kilka lat potem powołał rozporządzeniem Komitet Opiekuńczy nad mającymi się tworzyć na Krymie koloniami żydowskich chrześcijan, izraiłskich christian. Głównym zadaniem tego komitetu było nawracanie Żydów na chrześcijaństwo.

Kilkanaście lat wcześniej, w lipcu 1800 roku, Ewa i jej brat Roch, jeszcze w dobrym zdrowiu, stali się bohaterami Offenbachu w czasie burzy wojennej, która dotknęła to spokojne do tej pory miasto.

Lewe skrzydło Francuzów, w składzie którego znajdowała się Legia Naddunajska walcząca pod Kniaziewiczem, zdobyło armaty Austriaków i tej samej nocy opanowało Offenbach. Rozjuszeni, żądni grabieży żołnierze rzucili się na Bogu ducha winne miasto i dopiero zdecydowana postawa Ewy i jej brata uratowała Offenbach przed gwałtem i rozbojem. Otóż z wielką gościnnością otwarła ona podwoje swego domu i z radością przyjęła swoich rodaków, uraczyła ich bogato, nie zważając na niebezpieczeństwo i ogromne wydatki, i w ten sposób, gościną i dobrym słowem, uśmierzyła pożądliwość zwycięzców.

Dobrze jej to zapamiętali mieszkańcy Offenbachu. Cnota kobiet, witryny sklepów i towary w składach – wszystko to wyszło obronną ręką z wojny, która spustoszyła sąsiednie miasta. I udało się Ewie, i tak już potężnie zadłużonej, dostać kolejne kredyty.

Niestety, ostatnie lata spędziła w areszcie domowym ze swoją frajliną, Pauliną Pawłowską, i sekretarzem Zaleskim, który odpowiadał za aprowizację. Po jej śmierci, 7 września 1816 roku, dom opieczętowano, a rozczarowani wierzyciele nie znaleźli tam już nic cennego, oprócz kilku osobistych rzeczy baronowej, będących raczej pamiątkami. Udało się spieniężyć właściwie tylko fantastyczny dom dla lalek, czteropiętrowy, o wielu pokojach, salonach, łazienkach, wyposażony w kryształowe żyrandole, srebrne zastawy, najlepszą garderobę. Wyposażenie tego domku licytowano osobno i może dlatego osiągnął on wcale niebagatelną cenę. Kupił go jakiś bankier z Frankfurtu.

Paulina Pawłowska wyszła za mąż za miejscowego radcę i długo jeszcze bawiła jego towarzystwo dziwnymi opowieściami o koneksjach Panny Ewy, o dworze w Wiedniu, o cudownym koźle o giętkich rogach, który to kozioł zainspirował pewnego miejscowego artystę do umieszczenia przedstawiającej go rzeźby nad wejściem do jednej z kamienic w Offenbachu.

Franciszek Wiktor Zaleski zaś, zwany Der Grüne, jako że – jak jego nieżyjąca pani – ubierał się na zielono, dożył spokojnie w Offenbachu do połowy dziewiętnastego stulecia. Kazał sobie po śmierci przeciąć tętnicę, panicznie bowiem bał się letargu.

Czaszka

Wszyscy offenbachscy neofici zostali pochowani na miejskim cmentarzu, który po latach zaczął jednak przeszkadzać planom rozbudowy miasta i został w 1866 roku zlikwidowany. Kości pogrzebanych tam ludzi zebrano i z szacunkiem pochowano w innym miejscu. Przy tej okazji została wyjęta z grobu czaszka Jakuba Franka i, opisana starannie jako „czaszka żydowskiego patryarchy”, znalazła się w rękach historiografa miasta Offenbach. Wiele lat potem, w nieznanych okolicznościach, trafiła do Berlina, gdzie poddana została szczegółowym pomiarom i badaniom i uznana za przykład żydowskiej niższości rasowej. Po wojnie przepadła bez wieści – może zniszczona wojenną zawieruchą, rozsypała się w pył, albo leży jeszcze w podziemnych magazynach jakiegoś muzeum.

O spotkaniu w Wiedniu

Jedną z najdalszych podróży Katarzyny Kossakowskiej była ta do Wiednia w 1777 roku. Udała się tam po odbiór tytułu hrabiowskiego i Orderu Krzyża Gwiaździstego, które przyznała jej cesarzowa Maria Teresa. Towarzyszył jej bratanek, Ignacy Potocki, którego kochała jak syna. Podobno jej bezpośredniość bardzo spodobała się cesarzowej i ta nazwała ją nawet „drogą przyjaciółką”.

W czasie balu wydanego na cześć odznaczonych rozradowany Ignacy zrobił jej niespodziankę.

– Niechże stryjenka zgadnie, kogo jej przyprowadziłem – powiedział podniecony.

Kossakowska ujrzała damę w seledynowej sukni, piękną i wytworną. Ta z rumieńcami na twarzy stanęła przed nią i ukłoniła się z wielką atencją, uśmiechając się. Kossakowska poczuła się wielce zażenowana i spiorunowała wzrokiem niefrasobliwego bratanka, który postawił ją

w tak niezręcznej sytuacji. Wtedy tamta kobieta powiedziała grzecznie i po polsku:

– Pragnę przypomnieć się waszej wysokości. Jestem Ewa Frank.

Nie było jednak zbyt wiele czasu na rozmowy. Ignacy szepnął tylko stryjence do ucha, że plotkuje się tutaj, na dworze, o tym, jakoby Ewa Frank była metresą samego cesarza, co wprawiło Kossakowską w tak wielkie osłupienie i wywołało taki natłok wspomnień, że płakała w karecie, gdy wracali z balu.

Ignacy wziął to za naturalne wzruszenie starszej pani honorami, jakie ją tego dnia spotkały, tak że nawet się temu atakowi płaczu nie dziwił. Wspomniał tylko, że wiele dobrego o ojcu tej Ewy Frank opowiadali tutejsi bracia wolnomularze, z którymi młody Potocki utrzymywał ścisłe kontakty.

Katarzyna umarła w swoich dobrach w Krystynopolu w bardzo podeszłym wieku, czule pielęgnowana przez równie zgrzybiałą od starości Agnieszkę.

Samuel Ascherbach i jego siostry

Samuel Ascherbach, syn Rudolfa i Gertrudy Ascherbachów, już na studiach popadł w złe towarzystwo, lecz studia te szczęśliwie, choć z pewnym trudem, ukończył. Po krótkiej, nieudanej praktyce w jednej z kancelarii prawnych w Wiedniu, skonfliktowany z przełożonym, rzucił wszystko i narobiwszy długów, bez wiedzy rodziców wyruszył do Hamburga. Tam najpierw znalazł sobie pracę u pewnego armatora jako kancelista, a potem dorobił się pieniędzy jako zdolny, obiecujący prawnik, któremu udawało się odzyskiwać olbrzymie sumy ubezpieczeń. Z jakichś nie do końca jasnych powodów (podobno chodziło o wyłudzenia) po roku dobrze rozwijającej się kariery zniknął. Rodzice dostali od niego w końcu list z Ameryki i długo oglądali kopertę, która przebyła ocean. List był z Pensylwanii, a w podpisie widniało nazwisko Samuel Uscher. Dowiedzieli się z listu, że ożenił się z córką gubernatora i został szanowanym prawnikiem. Z zamorskich gazet, które jednak nie miały szans dotrzeć do wiedeńskiej kawiarni, gdzie chodzili Gertruda

i Rudolf Ascherbachowie, można się było dowiedzieć, że – widocznie żona miała na niego dobry wpływ – zwieńczeniem jego kariery była funkcja sędziego Sądu Najwyższego. Spłodził siedmioro dzieci. Zmarł w 1842 roku.

Jego siostry bliźniaczki osiadły w Weimarze i Breslau, gdzie powychodziły za szacownych mieszczan żydowskich. Mąż Christiny, doktor Löwe, był w Breslau aktywnym członkiem Pierwszego Towarzystwa Braci, organizacji postępowych Żydów. Oboje przyczynili się do wzniesienia synagogi Pod Białym Bocianem. Katarina, niestety, umarła przy pierwszym porodzie i żaden ślad po niej nie pozostał.

Biblioteka Braci Załuskich i ksiądz kanonik Benedykt Chmielowski

Zbiory, skrzętnie i z wielkim nakładem pieniędzy gromadzone przez obydwóch braci biskupów, o których stan tak bardzo martwił się ksiądz Chmielowski, doszły z czasem do niespotykanej wielkości – około czterystu tysięcy woluminów i dwudziestu tysięcy rękopisów, nie licząc tysięcy sztychów i rycin. W 1774 roku przejęła je Komisja Edukacji Narodowej, a w 1795 roku na rozkaz Katarzyny II, po ostatnim rozbiorze Polski, na wozach i w furgonach były przez kilka miesięcy sukcesywnie wywożone do Petersburga, gdzie pozostały do I wojny światowej. W niepodległej Polsce zbiory te częściowo wróciły do kraju, ale spłonęły w czasie powstania warszawskiego.

Dobrze, że ksiądz Chmielowski nie musiał znowu oglądać tego widoku – jak ogień zjada litery i drobne płatki papieru lecą w niebo.

Gdyby ludzie umieli zachować swoją wiedzę o świecie, gdyby potrafili ją wyryć w skale, w kryształach, w diamencie i przekazywać w ten sposób swoim następcom, może świat wyglądałby zupełnie inaczej. Cóż nam z tak kruchego tworzywa jak papier? Cóż nam z pisania książek!?

Ale w przypadku księdza Chmielowskiego i materia bardziej konkretna, kamienna, ceglana, zawiodła podobnie jak papier. Nic nie zostało z jego plebanii ani z ogrodu, ani z lapidarium. Rozbite tablice zarosły darnią, rozmnożyły się na nich kłącza i teraz wyryte litery królują pod ziemią. Codziennie mijają je ślepe krety i dżdżownice w swoich pokrętnych wędrówkach, obojętne na fakt, że litera „n” w „dogonim” jest napisana odwrotnie.

Męczeństwo Juniusa Freya

Thomas von Schönfeld po śmierci Pana został zawezwany przez Ewę do Offenbachu jako pański „bratanek”. To dziwne, lecz ci młodsi, zwłaszcza prawowierni z Moraw i Niemiec, powitali go jako następcę Pana. Dołączyli do nich niektórzy Polacy, jak Łabęccy i dzieci Jana Wołowskiego. Podobno jednego wieczoru doszło do wielkiej kłótni, po której Thomas spakował się i następnego dnia odjechał.

Jeszcze w tym samym miesiącu, jako Junius Brutus Frey, wraz z siostrą Leopoldyną i bratem Emanuelem przybył do rewolucyjnej Francji. Mieli ze sobą różne listy polecające, tak że właściwie od razu znaleźli się w samym centrum wydarzeń.

W dniu 10 sierpnia 1792 roku Junius Frey i jego brat Emanuel wzięli udział w szturmie na pałac tuileryjski i otrzymali za to ordery, dla uczczenia zaś proklamacji Republiki miesiąc później Junius Frey adoptował chłopca sierotę, przyjął na dożywocie ślepą wdowę i zaczął wypłacać rentę niedołężnemu starcowi.

Latem 1793 roku ukazało się dzieło Juniusa Freya pod tytułem *Philosophie sociale, dédiée au peuple français par un citoyen de la section de la République française*, czyli „Filozofia społeczna dedykowana narodowi francuskiemu przez obywatela Sekcji Republiki Francuskiej”, w którym Frey, czyli Thomas von Schönfeld, czyli Mosze Dobruszka, utrzymywał, że każdy ustrój polityczny, podobnie jak religia, ma własną teologię i że należałoby zbadać teologiczne fundamenty demokracji. Jeden rozdział całkowicie poświęcił druzgoczącej krytyce

konstytucji Mojżesza, który oszukał swój lud w ten sposób, że prawa przez siebie wymyślone, służące jedynie zgnębieniu człowieka i odebraniu mu wolności, przedstawił jako boskie. Ilość nieszczęść i plag, przemocy i wojen, jakie ściągnął przez to na naród żydowski i na inne narody świata, jest oszałamiająca. Jezus postąpił lepiej i szlachetniej, a to dlatego że system swój oparł na rozumie. Niestety, jego idee zostały wypaczone, podobnie jak idee Mahometa. Do prawdy, którą tak skutecznie ukrył Mojżesz, można jednak dotrzeć, śledząc związki między pozornie oderwanymi od siebie dziedzinami – ścisłą nauką, sztuką, alchemią i kabałą, ponieważ to wszystko dopełnia się i wzajemnie komentuje. Książka kończyła się wielką apoteozą Kanta, który z obawy przed mrocznym reżimem musiał ukryć prawdziwe myśli pod pozorem ciemnej metafizyki, służącej mu jako „talizman przeciw cykucie i krzyżowi".

W Paryżu Junius Frey prowadził życie niezwykle intensywne i rozrzutne. Obaj z Chabotem, który poślubił Leopoldynę, znani byli ze skłonności do hulaszczości i mieli wielu wrogów. Thomas vel Junius dysponował ogromnymi pieniędzmi i był podejrzewany o szpiegostwo na rzecz Austrii. Dzięki Chabotowi został członkiem komisji likwidującej aktywa i pasywa Kompanii Indyjskiej, w której szło o niewyobrażalny majątek. Posądzony o sfałszowanie dokumentów Chabot pociągnął za sobą Thomasa.

Po krótkim procesie, 15 Germinala II roku, czyli 5 kwietnia 1794 roku, Junius Frey, jego młodszy brat Emanuel oraz Danton, Chabot, Desmoulins i inni usłyszeli wyrok śmierci.

Kulminacją egzekucji było ścięcie Dantona, to jego głowy niecierpliwie oczekiwała gawiedź. Rozległy się gwizdy i oklaski, słabnące jednak przy każdym kolejnym skazańcu. Gdy przyszła kolej na Juniusa Freya, czyli Thomasa von Schönfelda, czyli Moszego Dobruszkę, a był on ostatni w kolejce, gawiedź zaczęła się już rozchodzić.

Junius widział wszystkie ucięte głowy, jak wpadały do kosza ustawionego pod gilotyną, i próbując opanować falę zupełnie zwierzęcego lęku, która go sparaliżowała, zaczął intensywnie myśleć, że

wreszcie będzie miał okazję dowiedzieć się, jak długo żyje odcięta głowa, o czym się burzliwie dyskutowało, od kiedy gilotyna zrobiła tak zawrotną karierę. Pomyślał także, że postara się przenieść tę wiedzę przez puste pola śmierci, zanim odrodzi się znowu.

Do Francuzów napisał: „Jestem pośród was cudzoziemcem, moje rodzinne niebo jest daleko stąd, ale moje serce rozgorzało od słowa «Wolność» i to jest najpiękniejsze słowo naszego stulecia. To właśnie ono przyświeca wszystkim moim czynom, przywarłem ustami do sutków Wolności i mlekiem Wolności się karmię. Moją ojczyzną – świat, zawodem – czynienie dobra, misją – poruszanie dusz czujących”.

Długo jeszcze na ulicach Paryża śpiewano piosenkę, której pochodzenia nikt nie dociekał. My zaś wiemy z pewnością, że musiało to być uproszczone tłumaczenie na ludowy francuski wiersza Juniusa Freya, które było oczywiście francuskim przekładem niemieckiej wersji Modlitwy Nachmana. A brzmiała ona tak:

Za nic ma dziś moja dusza
To co was dręczy i wzrusza.
Tron, godło, berło, korona,
Beztroska i uwolniona.

Moja dusza dziś tańcuje,
Na swej scenie występuje.
Dobro, zło, grzeczność, uroda,
Ona jest młyn, a to woda.

Przecieka mury, granice,
Z drwiną nawiedza mównice,
Przewiewa ziarno i plewy,
A perły rzuca pod chlewy.

Powiedz mi, niebieski Panie,
Wieczności obywatelu,
Nim duszy skończy się taniec –
Czy takich jak Ty jest wielu?

Bo jeśli jesteś jedyny,
Daj mi właściwe słowa,
By moje wnuki i syny
Wciąż miały kogo miłować.

Dzieci

Tylko Jenta jest w stanie ujrzeć z góry i prześledzić tropy tych wszystkich ruchliwych istot.

I tak widzi, że stary Jeruchim Jędrzej Dembowski miał rację, mówiąc o tym, jak będą ubrani synowie, gdy go odwiedzą. Nie jest też dziwne, dlaczego go w końcu nie odwiedzili. Jan Dembowski został sekretarzem Ignacego Potockiego, Joachim zaś był adiutantem księcia Józefa Poniatowskiego, królewskiego bratanka. Jan walczył potem w kościuszkowskiej insurekcji w randze kapitana i ponoć był najruchliwszym ze spiskowców. Potem widziano go, jak przewodził pospólstwu, gdy wieszano zdrajców. Po upadku powstania poszedł jak wielu do Legionów i walczył we Włoszech. W czasie wojny w 1813 roku bił się z Austriakami i przez jakiś czas był gubernatorem Ferrary. Ożenił się z panną Visconti i osiadł we Włoszech.

Jego brat Joachim do końca walczył u boku swojego księcia i podzielił jego tragiczny los.

Jedyny syn Józefa Bonawentury Łabęckiego z małżeństwa z Barbarą Piotrowską, córką Moszka Kotlarza, a wnuk Moszego z Podhajec, Antoni, po ukończeniu konwiktu pijarów, w wieku piętnastu lat rozpoczął pracę w kancelarii Sejmu Czteroletniego i już w tak młodym

wieku ogłosił kilka drobnych publikacji w obronie planowanych reform. W czasach Królestwa Kongresowego działał jako adwokat i często stawał w obronie mniejszości. Znany był jego styl obrony: przechylał się mocno przez barierkę i niby szepcząc, zniżał głos, żeby potem, nagle, w miejscach, które uważał za szczególnie istotne, ryknąć tubalnie i uderzyć pięścią o krawędź tej barierki, tak że sędziowie, ukołysani chwilową monotonią wykładu, nerwowo wzdrygali się na swoich fotelach. Gdy widział, że jego argumenty nie są skuteczne i że przegrywa, podnosił wówczas obie ręce do góry, zaciskał pięści, szamotał się całym korpusem, wyrzucając z piersi tony rozpaczliwe, wzywające sędziów na ratunek.

Żonaty z Ewą Wołowską, miał czworo dzieci, spośród których szczególnie się wyróżnił najstarszy syn, Hieronim, organizator i historyk górnictwa Kongresówki.

Dzieci Chaima Jakuba Kaplińskiego rozpierzchły się po Europie. Część została w Nikopolu i Giurgiu, część powędrowała na Litwę, gdzie otrzymawszy szlachectwo, gospodarowała na ziemi.

Jenta może dojrzeć też rzecz dziwną i znamienną: obie gałęzie rodziny, już zupełnie zatraciwszy pamięć o swoim wzajemnym istnieniu, wydały z siebie poetów. Jeden z najmłodszych potomków jest poetą węgierskim i dostał ostatnio prestiżową nagrodę państwową. Drugi stał się bardem w jednym z nadbałtyckich krajów.

Salomea Łabęcka, jedna z dwóch ocalałych córek Majorkowiczów, adoptowana przez Łabęckich, wyszła za mąż za zarządcę dóbr Łabęckich i została matką ośmiorga dzieci i babką trzydziestu czworga wnucząt. Jeden z jej wnuków był znanym nacjonalistycznym i zaciekle antysemickim politykiem w międzywojennej Polsce.

Brat jej ojca, Falk Majorkowicz, po chrzcie Walentyn Krzyżanowski, przeniósł się z całą rodziną do Warszawy. Jeden z jego synów, Wiktor Krzyżanowski, wstąpił do zakonu bazylianów. Jego drugi syn, oficer w czasie powstania listopadowego, stanął w obronie małych żydowskich

sklepików rabowanych przez tłum. Razem z innymi oficerami próbował rozpędzić demolujący je tłum, o czym pięknie opowiadał Maurycy Mochnacki.

Hryćko, Chaim Rohatyński, został we Lwowie; pod wpływem rodziny swojej żony porzucił herezję i stał się zwyczajnym Żydem trudniącym się handlem wódką. Jedna z jego wnuczek została cenioną tłumaczką literatury jidysz. Ów zaś biegun, wziąwszy powtórnie chrzest, nazwał się Janem Okno i został we Lwowie węglarzem. Po roku ożenił się z pewną wdową i miał z nią jedno dziecko.

Najwięcej do powiedzenia byłoby o rodzinie Wołowskich, jako że rozrosła się do ogromnych rozmiarów. Niemal wszystkie gałęzie tego rodu zostały nobilitowane, jedne były herbu Bawół, drugie herbu Na Kaskach. Niewątpliwie wielką karierę zrobił Franciszek, syn Izaaka Wołowskiego, tego samego, którego ksiądz Chmielowski nazwał Jeremiaszem. Urodził się w 1786 roku w Brünn i wychowany w Offenbachu, stał się jednym z najlepszych prawników i znawcą prawa tamtego czasu. Co ciekawe – gdy w sejmie pojawił się wniosek o nadanie polskiego obywatelstwa Żydom, Franciszek jako poseł w swojej porywającej przemowie przekonywał, że jeszcze nie czas na taki krok. Najpierw naród polski musi wywalczyć sobie niepodległość, a potem będzie pora na reformy społeczne.

Wnuk innego z synów Wołowskich, Ludwik, po upadku powstania listopadowego wyjechał do Francji i tam zasłynął jako genialny znawca prawa, za co otrzymał Legię Honorową.

Śliczna mała dziewczynka gra na szpinecie

W Warszawie, w niedawno zbudowanym na rogu ulic Grzybowskiej i Waliców murowanym dużym domu Franciszka i Barbary Wołowskich, odbywają się koncerty. W jego pokojach gościnnych często zatrzymują się przyjaciele rodziny. Franciszek, spokojny i opanowany, sadza gości

w salonie. Tu zazwyczaj się grywa, ale dziś szpinet stoi w drugim pokoju, bo mała artystka ma ogromną tremę i nie potrafi grać przy tak licznej widowni. Muzyka, która płynie spod jej palców, dochodzi więc do salonu przez otwarte drzwi. Słuchacze siedzą cicho, właściwie strach wziąć głębszy oddech, tak piękna jest ta muzyka. To Haydn. Nuty przywieziono z Offenbachu, ze sklepu pana André. Mała Marynia ćwiczyła cały miesiąc przed występem. Jej nauczyciel gry, człowiek w średnim wieku o nieco zbyt frenetycznym usposobieniu, jest równie zdenerwowany jak mała pianistka. Przed koncertem mówił, że nie jest już w stanie nauczyć jej niczego więcej. Są tu Szymanowscy, Majewscy, Dembowscy i Łabęccy. Jest pan Elsner, który także udzielał jej lekcji, i gość z Francji Ferdinando Paër, który namawia rodziców, żeby starannie szlifowali ten niezwykły talent. W kącie siedzi ubrana w czerń starsza pani, którą opiekują się wnuczki. To Marianna Lanckorońska, czy może Rudnicka, ciocia Chaja, jak mówią o niej między sobą w tym domu. Imię Marianna jakoś do niej nie mogło przylgnąć. Jest już bardzo stara i co tu kryć – głucha, więc nie słyszy dźwięków płynących spod palców Marysi Wołowskiej; po chwili jej głowa opada na piersi i kobieta przysypia.

O pewnym manuskrypcie

Pierwsza książka o podróży przez czas, miejsca, języki i granice została ukończona w 1825 roku. Napisał ją niejaki Aleksander Bronikowski alias Julian Brinken jako honorarium dla mecenasa Jana Kantego Wołowskiego, który prowadził – i wygrał – proces o majątek pani Bronikowskiej, co napisano w przedmowie.

Jan Kanty był potomkiem Jehudy Szora, czyli Jana Wołowskiego „Kozaka”, i cieszył się powszechną sławą jako świetny prawnik, człowiek uczony i nieskazitelnie uczciwy. Przez wiele lat pełnił funkcję dziekana uniwersytetu i naczelnika prokuratury. Zapamiętano mu, że jako dziekan wydziału prawa i administracji nie korzystał z pensji, lecz w całości przeznaczył ją na stypendia dla sześciu biednych studentów.

Rząd rosyjski proponował mu tekę ministra, ale odmówił. Zawsze podkreślał swoje pochodzenie żydowskie i frankistowskie, kiedy więc okazało się, że jego klient nie ma pieniędzy na opłacenie procesu, poprosił go o honorarium w formie powieści.

– Takiej, żeby ją każdy zdołał przeczytać i żeby opisała sprawy tak, jak się one miały – powiedział.

Brinken rzekł mu na to:

– A jak się miały? Czy to kto teraz dojdzie, po tylu latach?

Wołowski zaprosił go do swojej biblioteki i tam, przy likierze, opowiedział mu historię swojej rodziny, rwaną i dziurawą, jako że sam wiedział niewiele.

– Pan jesteś pisarzem, więc domyśl tu wszystko, czego brakuje – rzekł mu na pożegnanie.

Po tym wieczorze pisarz wracał ulicami Warszawy oszołomiony przesłodzonym likierem i powieść już snuła mu się po głowie.

– Czy to wszystko prawda? – zapytała go kilka lat potem piękna i utalentowana Maria Szymanowska, z domu Wołowska, pianistka, gdy spotkali się w Niemczech.

Stary już Julian Brinken, pisarz i oficer najpierw pruski, potem napoleoński i w końcu Królestwa Polskiego, wzruszył ramionami:

– To jest powieść, droga pani. Literatura.

– Więc co to znaczy? – dopytywała się pianistka: – Prawda czy nieprawda?

– Wymagałbym od pani jako artystki, by nie myślała pani w sposób właściwy ludziom prostym. Literatura to szczególny rodzaj wiedzy, to... – szukał odpowiednich słów i nagle w usta wpadła mu gotowa fraza: – ...doskonałość form nieprecyzyjnych.

Zmieszana Szymanowska umilkła.

Na drugi dzień zaprosiła go do swojego salonu, gdzie grała zebranym gościom, a gdy wszyscy wychodzili, poprosiła go, żeby został. Wtedy to przekonała go – a trwało to prawie do rana – żeby nie publikował powieści.

– Mój kuzyn, Jan Kanty, cieszy się zbyt dobrym samopoczuciem w kraju, w którym ciągle panują chaos i rozprzężenie. Łatwo jest kogoś posądzić o... – zawahała się i dokończyła po chwili: – ...wszystko i potem zdyskredytować. Wie pan, nie śpię w nocy, zawsze się boję, że zaraz zdarzy się coś strasznego... Po co nam teraz taka wiedza?

Brinken wyszedł od niej otumaniony jej wdziękiem oraz kilkoma butelkami świetnego wina. Dopiero rano poczuł złość i oburzenie. Jak śmiała? Oczywiście, że opublikuje książkę w Warszawie. Już ma wydawcę.

Ale wkrótce tak wiele zaczęło się dziać, że nie miał głowy do zajmowania się rękopisem. Zaczął organizować pomoc dla ciągnących ze wschodu uciekinierów z powstańczej Polski, a zimą 1834 roku nabawił się przeziębienia i nagle umarł. Rękopis zaś, nigdy nieopublikowany, spoczął w przepastnych magazynach Biblioteki Narodowej.

Wędrówki *Nowych Aten*

Tam też trafił rohatyński egzemplarz *Nowych Aten*, z których Jakub Frank uczył się czytać po polsku. Najpierw zawędrował aż do Offenbachu, a z powrotem do Polski, do Warszawy, przywiózł go Franciszek Wołowski, po likwidacji dworu. Tam długo stał w jego bibliotece i czytały go jego wnuczki.

Egzemplarz zaś podarowany przez autora biskupowi Dembowskiemu niemal całkiem spłonął w jednej z wielkich prywatnych bibliotek, na Hożej, w czasie powstania warszawskiego. Dobra robota introligatora lwowskiego, który mocno ścisnął karty księgi, sprawiła, że przez pewien czas broniły się przed płomieniami. I dlatego *Nowe Ateny* nie dopaliły się do końca – w samym środku karty pozostały nienaruszone i jeszcze długo rozwiewał je wiatr.

Nowe Ateny podarowane pani Elżbiecie Drużbackiej zostały w rodzinie i trafiły do jej wnuczki; potem zaś czytywał je hrabia Fredro, prawnuk Drużbackiej. Po wojnie ten egzemplarz odnalazł się, jak

większość księgozbioru lwowskiego, w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu, gdzie można go czytać do dziś.

Jenta

Tam, skąd patrzy Jenta, nie ma żadnych dat, nie ma więc czego świętować ani czym się przejmować. Jedynym znakiem czasu są mijające ją smugi, niewyraźne, uproszczone do kilku cech, nieuchwytne, pozbawione mowy, ale za to cierpliwe. To są właśnie Umarli. Jenta powoli nabiera zwyczaju liczenia Umarłych.

Nawet wtedy gdy ludzie całkiem przestają odczuwać ich obecność, gdy już nie dochodzi od nich żaden znak, oni wciąż przechodzą swój czyściec wspomnień. Pozbawieni ludzkiej usługi, nie mają własnego miejsca ani żadnego zaczepienia. Żyjącymi opiekują się nawet skąpcy, a Umarłych – nawet najhojniejsi nie pielęgnują. Jenta ma dla nich coś w rodzaju czułości, kiedy ją muskają niczym ciepły wietrzyk, ją, która utknęła na granicy. Pozwala im na chwilę obcować ze sobą, poświęca uwagę tym postaciom, które pojawiły się w jej życiu, i teraz, odsunięte przez śmierć na drugi plan, są jak ci weterani z Częstochowy, o których zapomniał król i zapomniała armia i którzy żebrzą teraz o odrobinę uwagi.

Jeżeli więc Jenta wyznawała kiedykolwiek jakąś religię, to po tych wszystkich budowlach, jakie jej przodkowie i jej współcześni zbudowali w głowie, teraz jej religią stała się religia Umarłych i ich niespełnione, niedoskonałe, poronione próby naprawy świata.

Pod koniec tej historii, gdy jej ciało staje się czystym kryształem, Jenta odkrywa całkiem nową umiejętność: przestaje być tylko świadkiem, okiem, które wędruje w przestrzeni i czasie – może także płynąć przez ciała ludzi, kobiet, mężczyzn i dzieci, wtedy czas przyspiesza i wszystko się dzieje bardzo szybko, w jednym momencie.

I staje się zupełnie jasne, że te ciała są jak liście, w których na jeden sezon, na kilka miesięcy zamieszkało światło. Potem opadają martwe

i suche i ciemność miele je na proch. Jenta chciałaby ogarnąć wzrokiem ten ruch, kiedy przechodzą jedne w drugie, ponaglane przez niecierpliwie dążące do ponownego wcielenia dusze, ale nawet dla niej jest to już niepojęte.

Frejna, siostra Pesełe, a później Anusi Pawłowskiej, dożyła szczęśliwie starości w Korolówce, tam gdzie się urodziła, i została pochowana na tym pięknym cmentarzu żydowskim, który schodzi zboczem w dół, do rzeki. Nigdy nie miała kontaktu ze swoją siostrą i zajęta wychowywaniem dwanaściorga dzieci, zapomniała o niej. Zresztą jej mąż, jako dobry Żyd, wiedzę o heretyckich krewnych żony trzymał w wielkiej tajemnicy.

Jej prawnukowie mieszkali w Korolówce także wtedy, gdy wybuchła druga wojna światowa. Pamięć o jaskini w kształcie litery alef i Starej Babce przechowała się, zwłaszcza wśród kobiet, tych starszych, pamiętających rzeczy, wydawałoby się, niepotrzebne i fantastyczne, z których nie da się zrobić chleba ani zbudować domu.

Praprawnuczka Frejny, na którą mówiono Czarna, najstarsza w rodzinie, uparła się, żeby nie iść do Barszczowa, by się zarejestrować, tak jak kazali Niemcy. Nigdy nie ufaj żadnej władzy, mówiła. Dlatego podczas gdy wszyscy Żydzi z Korolówki ruszali z tobołkami na rampę do miasta, oni cichcem, w nocy, ciągnąc wózki z dobytkiem, poszli w las.

Dwunastego października 1942 roku pięć rodzin z Korolówki, trzydzieści osiem osób, z których najmłodsze dziecko miało pięć miesięcy, a najstarszy dorosły siedemdziesiąt dziewięć lat, porzuciwszy swoje domy we wsi, tuż przed świtem weszło do jaskini od strony lasu, tam gdzie podziemna potężna litera alef ma swoją prawą górną kreskę.

Niektóre sale w jaskini są pełne kryształów, które wyrastają ze ścian i sufitów. Mówią, że to zastygłe krople światła, które utkwiły głęboko w ziemi i przestały świecić. Ale gdy tylko dotknie ich płomień świecy, rozbłyskują i pokazują swoje wieczne, milczące wnętrze.

W jednej z tych sal wciąż leży Jenta. Wilgoć przez lata osiada na jej skórze, już zupełnie przywarłej do kości, krystalizuje się, skrzy, błyszczy. Blask wrasta w głąb ciała i czyni je prawie przezroczystym. Jenta zamienia się powoli w kryształ i za miliony lat stanie się diamentem. Ów długi różowawy kryształ wrośnięty w skałę, który rozświetla się na chwilę od starannie oszczędzanych oliwnych lampek, ukazuje zamazane, niewyraźne wnętrze. Dzieci, które przyzwyczaiły się do życia w jaskini i umieją już zapuszczać się w jej głąb, twierdzą, że ów kawałek skały żyje i gdyby spróbować poświecić czymś do środka, zobaczy się tam ludzką twarz, ale oczywiście nikt nie bierze tego poważnie, zwłaszcza że prawie półtora roku spędzone w ciemności trwale osłabiło ich wzrok.

Dorośli wychodzą od czasu do czasu po żywność, ale nigdy nie zapuszczają się dalej jak do okolicznych wsi. Chłopi traktują ich jak duchy, niby przypadkiem zostawiając dla nich za stodołami woreczki z mąką czy kapustą.

W kwietniu 1944 roku ktoś wrzuca do dziury prowadzącej do jaskini butelkę z karteczką, na której było niezdarnie napisane: „Niemcy odeszli”.

Wychodzą oślepieni, zakrywając oczy przed światłem.

Wszyscy przeżyli i w powojennej zawierusze większości z nich udało się wyemigrować do Kanady, gdzie opowiedzieli swoją historię, tak nieprawdopodobną, że mało kto im uwierzył.

Jenta widzi leśne poszycie, małe grudki czarnych jagód, jasne liście młodych dębów przy wejściu do jaskini, a potem całą górę i wieś, i drogi, po których szybko mkną pojazdy. Widzi błysk Dniestru, jak błysk ostrza noża i inne rzeki, które niosą wody do mórz, i morza obciążone wielkimi statkami, przewożącymi towary. I widzi latarnie morskie porozumiewające się okruchami światła. Na chwilę zatrzymuje się w tej wędrówce w górę, bo wydaje jej się, że ktoś ją woła. Kto jeszcze znałby jej imię? I dostrzega tam w dole siedzącą postać z twarzą oświetloną białą poświatą, widzi jej osobliwą fryzurę, cudaczny strój – lecz Jenta od dawna już niczemu się nie dziwi, straciła tę umiejętność.

Patrzy tylko, jak dzięki ruchom palców tej postaci w jasnej płaskiej plamie światła pojawiają się znikąd litery i ustawiają karnie w rządki. Jencie kojarzy się to tylko ze śladami na śniegu, bo, zdaje się, zmarli tracą zdolność czytania; to jeden z najbardziej przykrych skutków śmierci... Tak więc biedna Jenta nie jest w stanie rozpoznać własnego imienia w tym JENTA JENTA JENTA, które pokazuje się teraz na monitorze. Traci zatem zainteresowanie i znika gdzieś w górze.

Tu, gdzie jesteśmy, pojawia się za to buczenie, ponury dźwięk materii, i świat ciemnieje, ziemia gaśnie. Bez wątpienia świat zbudowany jest z ciemności. Teraz znajdujemy się po stronie ciemności.

Napisane jest jednak, że człowiek, który trudzi się sprawami Mesjaszy, nawet tych nieudanych – choćby tylko opowiadał ich historię – będzie traktowany jak ten, który studiuje odwieczne tajemnice światła.

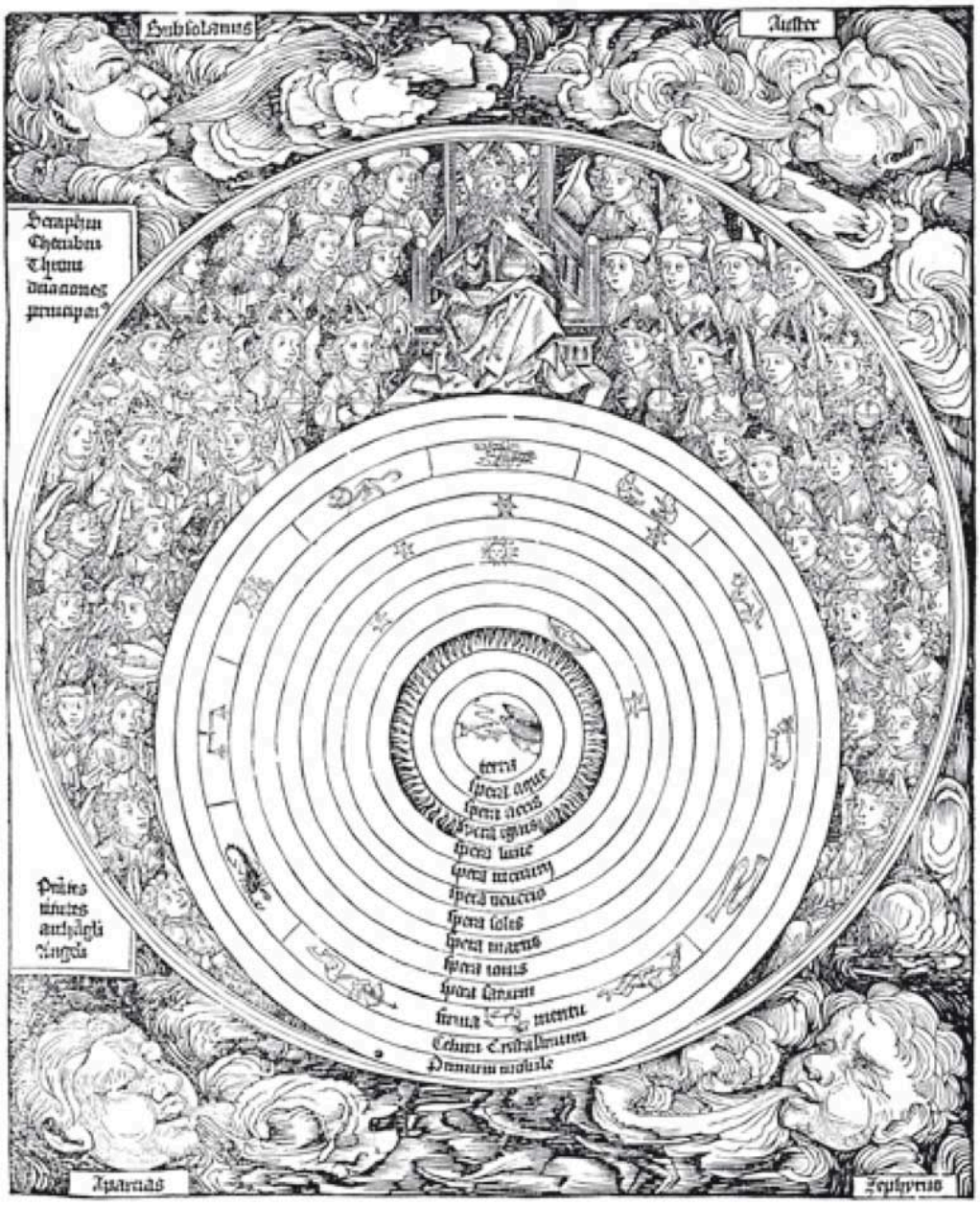
Subsolanus
Auster
Seraphim
Cherubim
Throni
dominationes
principatus
terra
sperā aque
sperā aeris
sperā ignis
sperā lune
sperā mercurij
sperā veneris
sperā solis
sperā martis
sperā iouis
sperā saturni
firmū
mentu
Celum Cristallinum
Primum mobile
Potestates
virtutes
archangeli
Angeli
Aparctias
Zephyrus

Nota bibliograficzna

Dobrze się składa, że powieść traktuje się tradycyjnie jako fikcję i dlatego nie wymaga się od autora wskazywania jej kontekstów bibliograficznych. Zwłaszcza w tym przypadku zajęłoby to niepotrzebnie wiele miejsca.

Wszyscy zainteresowani historią opowiedzianą w tej książce powinni przede wszystkim sięgnąć po dwutomowe dzieło Aleksandra Kraushara *Frank i frankiści polscy 1726 –1816. Monografia historyczna* z 1895 roku, a także po zapis „gadek" samego Franka, czyli *Księgę Słów Pańskich. Ezoteryczne wykłady Jakuba Franka* w opracowaniu Jana Doktóra (1997).

Najszerszy kontekst historyczny i polityczny, który pozwala zrozumieć zjawisko frankizmu w Polsce, przedstawia praca Pawła Maciejki *The Mixed Multitude: Jakub Frank and the Frankist Movement 1755–1816*, wydana przez University of Pennsylvania Press w 2011 roku, już w trakcie pisania mojej książki. Artykuł o doktrynie Szabtaja Cwi tego samego autora pozwolił mi zrozumieć, czym w swej najgłębszej istocie mógł być frankizm. Trzy paradoksy rozważane przez teologię szabtajską, dyskutowane przez Nachmana (s. 703–702), zostały zapożyczone z prekursorskiej pracy Pawła Maciejki: *Coitus interruptus in And I Came this Day unto the Fountain*, w: *R. Jonathan Eibeschütz's And I Came this Day unto the Fountain*. Critically Edited and Introduced by Paweł Maciejko, Los Angeles: Cherub Press, 2014, ix-lii, dzięki uprzejmości Autora.

Fundamentalną lekturą, która organizowała wszystkie inne w materii dotyczącej judaizmu, był oczywiście *Mistycyzm żydowski* Gershoma Scholema wydany po polsku w 1997 roku.

Szczegółowy opis sprawy oskarżenia o mord rytualny w Markowej Wolicy w 1752 roku oraz wiele dokumentów dotyczących tej sprawy znalazłam w pracy Kazimierza Rudnickiego *Biskup Kajetan Sołtyk*

1715–1788, wydanej w 1906 roku w Krakowie jako tom V *Monografii w zakresie dziejów nowożytnych* pod redakcją Szymona Aszkenazego. Wypowiedzi podczas dysputy lwowskiej oparłam na książce Gaudentego Pikulskiego *Sąd żydowski we lwowskim Kościele Archikatedralnym 1759 r.* (wyd. 4, 1906).

Psychologiczny portret Katarzyny Kossakowskiej zainspirowała jej postać, która pojawia się przez moment w *Macosze* Józefa Ignacego Kraszewskiego, a także bogata korespondencja rzeczywistej Kossakowskiej. Postać Moliwdy z pewnością wiele zawdzięcza Andrzejowi Żuławskiemu i jego *Moliwdzie* (1994). Z kolei liczne informacje o Thomasie von Schönfeldzie zaczerpnęłam z książki Krzysztofa Rutkowskiego *Kościół świętego Rocha. Przepowieści* (2001).

Wiele radości przyniosła mi praca nad figurą księdza Benedykta Chmielowskiego, dziekana rohatyńskiego, później kanonika kijowskiego, pierwszego polskiego encyklopedysty. Wszystkim zainteresowanym polecam lekturę dzieła *Nowe Ateny albo Akademia Wszelkiej sciencyi pełna* wydanego w świetnym wyborze i opracowaniu Marii i Jana Józefa Lipskich w 1968 roku. Prawdę powiedziawszy, należałoby się tej wspaniałej książce wznowienie. Spotkanie księdza Chmielowskiego ze znakomitą, choć mało dziś szerszej publiczności znaną, barokową poetką Elżbietą Drużbacką, nie zostało nigdzie udokumentowane, ale według wszelkich zasad prawdopodobieństwa byłoby możliwe, poruszali się oni bowiem po bliskich sobie czasowo i miejscowo orbitach.

Rejestry zgonów, ślubów i narodzin, jakie znalazłam w archiwum miejskim w Offenbachu nad Menem, pozwoliły mi odtworzyć skład kompanii, która do końca towarzyszyła Jakubowi Frankowi na obczyźnie, a także prześledzić z grubsza losy rodzin frankistowskich, które powróciły do Polski.

Mógłby to być temat na następną książkę.

Ryciny stanowiące podstawę ilustracji w książce pochodzą w ogromnej większości ze zbiorów Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu.

Inna numeracja stron zastosowana w tej książce jest ukłonem w stronę ksiąg pisanych po hebrajsku, a także przypomnieniem, że każdy

porządek jest kwestią przyzwyczajenia.

Jestem pewna, że ksiądz Chmielowski czułby się spełniony, wiedząc, że jego idea wiedzy dostępnej dla wszystkich i w każdym momencie mogła się zrealizować po dwustu pięćdziesięciu latach od jego śmierci. Bardzo wiele bowiem zawdzięczam Internetowi, to dzięki temu pansoficznemu wynalazkowi wpadłam na trop „cudu” w jaskini korolewskiej – niezwykłej historii uratowania się kilkudziesięciu osób przed Zagładą. Ten trop pozwolił mi dostrzec, po pierwsze, jak wiele spraw pozostaje ze sobą subtelnie powiązanych, a po drugie, że historia jest nieustanną próbą rozumienia tego, co się wydarzyło, i tego, co się mogło wydarzyć.

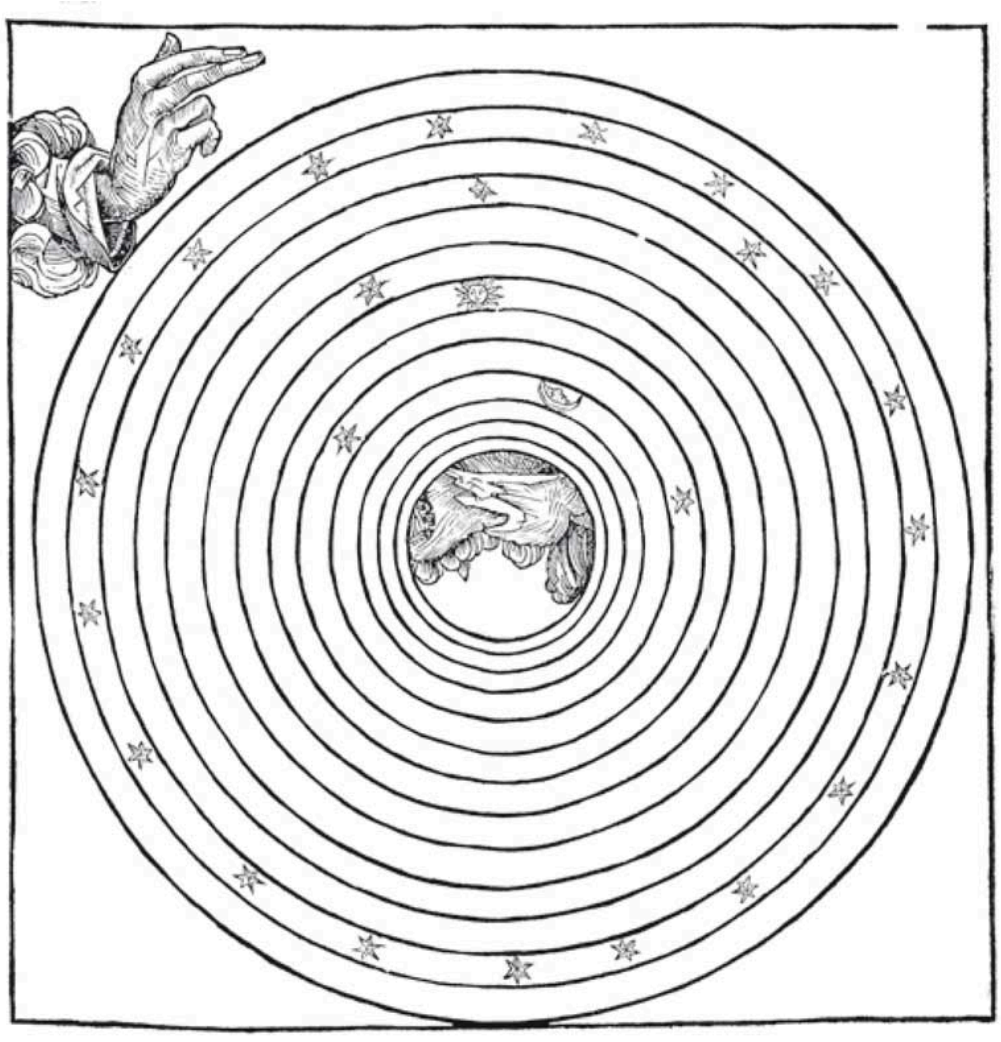

Podziękowania

Ta książka nigdy nie pojawiłaby się w tym kształcie, gdyby nie pomoc wielu ludzi. Pragnę podziękować tym wszystkim, których przez kilka lat zamęczałam opowieściami o frankistach, a którzy – domagając się wyjaśnień – stawiali właściwie pytania i tym samym pomagali mi zrozumieć złożony i wielopoziomowy sens tej historii.

Dziękuję Wydawcy za cierpliwość, Waldemarowi Popkowi – za uważną i dociekliwą lekturę, Wojciechowi Adamskiemu – za wytropienie wielu anachronizmów i sprawdzenie mnóstwa drobnych szczegółów, bez których powieść zawsze wydaje się niedoprawiona. Dziękuję Henryce Salawie za benedyktyńską pracę redaktorską, Alkowi Radomskiemu zaś – za nadanie wyjątkowego kształtu graficznego *Księgom Jakubowym*.

Jestem szczególnie wdzięczna Pawłowi Maciejce za cenne uwagi dotyczące kwestii judaistycznych i spraw dotyczących doktryny Jakuba Franka.

Dziękuję Karolowi Maliszewskiemu za to, że potrafił poetycko przeprowadzić Modlitwę Nachmana poprzez czasy i miejsca. Kindze Dunin – za pierwsze czytanie, jak zwykle.

Panu Andrzejowi Link-Lenczowskiemu dziękuję za wnikliwą konsultację historyczną.

Ilustracje, które znalazły się w tej książce, zawdzięczam dostępowi do zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, co umożliwił mi dyrektor Biblioteki Adolf Juzwenko, a Dorota Sidorowicz-Mulak pomogła mi zorientować się w ich ogromie. Bardzo dziękuję!

Moja mama, która jest bardzo dociekliwą osobą, czytając pierwsze wersje, zwróciła mi uwagę na kilka drobnych, ale istotnych szczegółów obyczajowych i za to jestem jej bardzo wdzięczna.

Nade wszystko zaś dziękuję Grzegorzowi za jego tropicielskie, wręcz detektywistyczne talenty; ta umiejętność szperania w najmniej

oczywistych źródłach podsunęła mi mnóstwo pomysłów i wątków. A jego cierpliwa i wzmacniająca obecność dodawała mi nieustannie sił i nadziei, że doprowadzę tę książkę do końca.

Przypisy

[1] (franc.) Witam (...) sprawy kobiece

[2] (franc.) Pani pozwoli? (...) To człowiek wyjątkowy

[3] (łac.) lud oświecony i obyczajny (...) mędrzec

[4] (łac.) nazajutrz

[5] (łac.) niefortunny los (...) Dość tych wiadomości

[6] (łac.) powszechna praktyka

[7] (łac.) zbiór głupstw

[8] (łac.) zaniedbawszy wszelkich zabiegów o doczesne znaczenie (...) Tyś złodziej (...) starannie

[9] (łac.) Jakże mogę rozumieć, jeśli mi nikt nie wyjaśni? (...) wielkiej fatygi

[10] (łac.) „woda życia”, okowita

[11] (niem.) śmieszne, nasi bracia dostali miejsce

[12] (łac.) odnowić swój gatunek

[13] (franc.) Nakryj głowę, mój kuzynie.

[14] (łac.) ongiś (...) zmyślnie (...) jako chlubne imię